

GEORGE ELIOT
MŁYN NAD FLOSSĄ

PRZEŁOŻYŁA
ANNA PRZEDPEŁSKA-TRZECIAKOWSKA
OPRACOWAŁA
ALINA SZALA
WROCŁAW- WARSZAWA-KRAKÓW
ZAKŁAD NARODOWY IMIENIA OSSOLIŃSKICH - WYDAWNICTWO

Tytuł oryginału The Mill on the Floss
Redakcja Biblioteki Narodowej JAN BŁOŃSKI i MIECZYŚLAW KLIMOWICZ
Redaktor tomu: Barbara Antoniuk Redaktor techniczny: Małgorzata Fraczek
© Copyright by Zakład Narodowy im. Ossolińskich - Wydawnictwo Wrocław 1991
Printed in Poland
ISSN 0406-0636 ISBN 83-04-03446-8
Zakład Narodowy im. Ossolińskich - Wydawnictwo Wrocław
Oddział w Krakowie 1991 Objętość ark. wyd. 39,50; ark. druk. 22,65 (x 32); ark. form. A1
30,09
Zam. 896-k- 89. Cieszyńska DrukarniaWydawnicza

WSTĘP I. ŻYCIE I CZASY GEORGE ELIOT

Autorka Młyna nad Flossą, która rozpoczynając karierę pisarską miała ważny powód, by ukryć swą tożsamość pod pospolitym męskim imieniem i nazwiskiem, urodziła się w środkowej Anglii w r. 1819, jako najmłodsze z trojga dzieci Roberta Evansa i jego drugiej żony Christiany. Na chrzcie nadano jej imiona Mary Ann. Dom Evansów był zasobny, choć byli to ludzie prości. Ojciec, człowiek o dużej energii i umiejętnościach praktycznych, wyuczył się za młodu ciesielki i wcześniej podjął stałą pracę w rozległych dobrach rodziny Newdegate, gdzie doglądał melioracji gruntów, budowy dróg, wyřębu drzew oraz remontów w zajmowanych przez dzierżawców domach. Rzetelny w pracy i dobry fachowiec, ceniony był wysoko przez dziedzica, któremu zawdzięczał szybki awans społeczny. Nie bez znaczenia dla pozycji Evansa było jego drugie małżeństwo z panną posażną i posiadającą stosowne koligacje wśród okolicznych zamożnych kupców i farmerów. Rodzina zamieszkała w obszernym domu z ogrodem, w którym miało upłynąć dzieciństwo i wczesna młodość Mary Ann. Jej przyrodni brat i siostra usamodzielnili się wcześniej; w domu oprócz najmłodszej dziewczynki rósł uwielbiany przez nią brat Isaac i siostra Chrissey.

Wzorem zamożnych rodzin Evansowie umieścili dzieci w szkołach z internatem. Poważna i skryta Mary Ann nie mogła zrazu przywyknąć do życia na pensji; była nieśmiała i nie wyróżniała się inteligencją wśród swoich rówieśniczek. Dopiero w starszych klasach ujawniły się jej zdolności do muzyki i do pióra. Obudziła się też w dziewczynce dzięki wpływowi jednej z nauczycielek gorąca religijność. W domu pobożnym praktykom poświęcano niewiele czasu; emocjonalny protestantyzm, jaki od końca XVIII wieku propagowały sekty ewangelicz-

IV ŻYCIE I CZASY GEORGE ELIOT

ne, szerzył się głównie wśród biedaków. Evansowie trzymali się od tego typu religijności z daleka.

Szkoła ukształtowała dziewczynkę i w inny sposób: nauczono ją mówić literacką angielszczyzną (w domu używano dialektu), grać na fortepianie i słuchać z zapalem muzyki poważnej, nieźle rysować, a także czytać i mówić po francusku. Nade wszystko jednak zachęcano pensjonarki do czytania. Wśród szkolnych lektur przeważała poezja, zapewne nie

zawsze najwyższej próby, ale na pensji zetknęła się też Mary Ann po raz pierwszy z dramatami Shakespeare'a, poematami Johna Milтона, Alexandra Pope'a, Byrona i wielu innych poetów z epoki klasycyzmu i romantyzmu. Uczennicom pozwalano na czytanie powieści, choć we wczesnych latach trzydziestych XIX wieku uważano je często w Anglii za rozrywkę niestosowną dla młodych panienek. Przyszła powieściopisarka pasjonowała się więc już w szkolnych latach powieściami historycznymi Waltera Scotta, czytywała jednak również pośledniejsze utwory, m.in. romanse Edwarda Bulwer-Lyttona.

Droga do wiedzy. Szkolną edukację ukończyła Mary Ann w wieku lat szesnastu, ale jej pragnienie wiedzy nie osłabło po powrocie do domu. Była teraz wprawdzie zdana tylko na siebie, lecz miała dostęp do obszernych bibliotek znajomych oraz do kieszeni ojca, który aprobował jej aspiracje i nie szczędził pieniędzy na zakup książek dla niej.

Tymczasem w ciągu najbliższych paru lat sytuacja rodzinna Evansów ulega zasadniczym zmianom. Na początku roku 1836 po długiej chorobie zmarła pani Evans. Wkrótce po tym wyszła za mąż Chrissey, a w jakiś czas po niej ożenił się Isaac. Mary Ann przeniosła się wtedy z ojcem do domu w Coventry dzieląc czas między zajęcia gospodyni i pracę przy biurku. Już wcześniej pobierała lekcje włoskiego i niemieckiego, sama uczyła się łaciny i greki, i dalej intensywnie czytała, a także studiowała teksty biblijne, filozofię, historię, teologię. Ponadto uzupełniała swe wiadomości z zakresu nauk ścisłych, bez których żadna wiedza nie mogła być wówczas w Anglii uznana za wystarczającą.

Mimo intensywnej pracy nad sobą odwiedzała Mary Ann mieszkającą w pobliżu siostrę i spędzała wiele czasu z jej rosnącą gromadką

DROGA DO WIEDZY y

dzieci, utrzymywała kontakty z koleżankami z pensji i nawiązywała nowe przyjaźnie w Coventry. Choć osiągnęła właśnie pełnię młodości, była wyjątkowo nieurodziwa, ale jej piękny głos i dykcja, a także walory umysłu i osobowość zjednywały jej podziw wielu osób. W miarę dojrzewania, pod wpływem lektur, własnych przemyśleń i rozmów z nowymi przyjaciółmi, przyszła pisarka - jak wiele osób z jej pokolenia - zaczyna stopniowo tracić wiarę w objawiony charakter chrześcijańskich prawd religijnych. Na początku roku 1842, doszedłszy do całkowitego zwątpienia, z właściwą młodości bezkompromisowością odmówiła chodzenia do kościoła. Doprowadziło to do ostrego konfliktu między nią a ojcem, który obawiał się, że w prowincjonalnym mieście postawa córki będzie budzić zgorzniecie. Groźba odtrącenia jej przez rodzinę skłoniła Mary Ann ostatecznie do towarzyszenia ojcu na nabożeństwa, choć jej stosunek do wiary pozostał nie zmieniony. Religia stała się odtąd tematem, który do końca życia ojca nie był w domu poruszany. Niemniej jednak rodzina dziewczyny z nie skrywanym niezadowoleniem patrzyła na jej przyjaźń z grupą młodych ludzi, gromadzących się w salonie zamożnego przemysłowca, Charlesa Braya, znanego z aktywności społecznej i entuzjazmu dla pozytywizmu. Żona Braya, Cara i jej zaangażowana w działalność feministyczną siostra, Sara Hennell, miały przez wiele lat być bliskimi przyjaciółkami Mary Ann.

W roku 1844 panna Evans zaczęła tłumaczyć dzieło Davida Friedricha Straussa *Das Leben Jesu* (Życie Jezusa). Dwa lata trwała praca nad tą ogromną księgą, gęsto przetkaną cytatami łacińskimi, greckimi, a nawet hebrajskimi. W tym czasie Mary Ann odrzuciła propozycję małżeństwa, które w jej opinii nie wróżyło partnerstwa intelektualnego. Po ukończeniu przekładu wraca do intensywnego czytania poznając utwory pisarzy współczesnych: Charlesa Dickensa, Williama Makepeace Thackeraya, Thomasa Carlyle'a. Zajmuje ją również literatura francuska, szczególnie Jean-Jacques Rousseau i George Sand. Ma nadto więcej zajęć związanych z opieką nad ojcem, którego zdrowie pogarsza się szybko. W dzieciństwie był on najbliższym jej człowiekiem i mimo dzielących ich później różnic nadal zajmował to miejsce.

VI ŻYCIE I CZASY GEORGE ELIOT

Robert Evans zmarł w czerwcu 1849, gdy jego najmłodsza córka zbliżała się do trzydziestych urodzin. Skrupulatnie podzielił majątek między dzieci. Część, którą odziedziczyła Mary Ann, zainwestowana zgodnie z wolą zmarłego, miała jej przynosić skromny dochód, nie wystarczający niestety na samodzielne utrzymanie. Skończył się więc dla niej okres spokojnej egzystencji, wolnej od troski o jutro. Trzeba było teraz podjąć decyzję, gdzie zamieszka i w jaki sposób będzie zarabiać na życie. Na razie jednak za namową przyjaciół wyjechała na kontynent, gdzie zamierzała odpocząć i wrócić do równowagi.

Trasa podróży była typowo turystyczna: wiodła przez Paryż na południe Francji, do Włoch i Szwajcarii. Mary Ann nie była jednak w nastroju odpowiednim do podziwiania piękna natury i gromadzenia ciekawych obserwacji. W Genewie rozstała się z przyjaciółmi, zdecydowawszy, że spędzi tu zimę sama. Pomysł okazał się udany: poznała innych ludzi i odmienny od angielskiego sposób życia, zaczęła inaczej patrzeć na własne środowisko. Ścierała się z niej prowincjonalność.

W kręgu intelektualistów. Po powrocie do kraju wiosną 1850 r. Marian (tak od pobytu za granicą pisała konsekwentnie swe imię) odbyła wizyty rodzinne i natychmiast zajęła się przygotowaniem do rozpoczęcia pracy zarobkowej. Największe nadzieje na sukces wiązała z publicystyką. Słusznie wydawało się jej bowiem, że to zajęcie pozostawi jej więcej swobody niż praca guwernantki lub nauczycielki.

Początki były niezachęcające. Spędziła jakiś czas w Londynie, poznała sporo osobistości ze świata literackiego i naukowego i wydrukowawszy tylko jedną recenzję wróciła do domu przyjaciół w Coventry bez żadnych widoków na pracę. Dopiero jesienią 1851 zarysowały się dla niej możliwości współpracy z "Westminster Review". Był to kwartalnik, który miał piękną przeszłość i zasługi dla życia umysłowego w Anglii. Założony w r. 1824 przez Jeremy Benthama, autora wielu rozpraw z dziedziny ekonomii politycznej, zagadnień społecznych i etycznych, a zarazem twórcę kierunku filozoficznego zwanego utylitaryzmem, osiągnął "Przegląd" wysoki poziom w początkowym okresie swego istnienia, gdy w redakcji działał młody jeszcze, ale już bardzo obiecujący filozof John Stuart Mill. W dwadzieścia lat póź-

W KRĘGU INTELEKTUALISTÓW

VII
niej "Westminster Review" zachował już tylko resztki dawnej reputacji i czytelników, gdy zdecydował się go nabyć młody londyński księgarz i wydawca, John Chapman, z zamiarem przywrócenia mu dawnej świetności. Ambicja była chlubna, acz nie całkiem bezinteresowna, nabywca zapragnął bowiem wsławić się jako redaktor, do czego nie bardzo się nadawał. Był wprawdzie energiczny i obeznany z rynkiem wydawniczym, brakowało mu jednak niezbędnej wiedzy i kultury literackiej. Świadomy własnych braków stanowisko swego zastępcy powierzył pannie Evans, która od początku faktycznie wykonywała całą pracę redaktorską, podczas gdy on zajmował się stroną finansową przedsięwzięcia. W ten sposób Marian zamieszkała ostatecznie w Londynie.

Zajęta uciążliwymi pracami edytorskimi przez najbliższe dwa lata miała mało czasu na pisanie. Nakład czasopisma był niewielki - zaledwie 650 egzemplarzy, ale jego prestiż podniósł się prawie natychmiast, w znacznym stopniu dzięki starannemu przygotowaniu każdego numeru przez przyszłą powieściopisarkę, która znalazła również czas na przetłumaczenie w tym okresie dzieła Ludwiga Feuerbacha Das Wesen des Christenthums (Istota chrześcijaństwa). Stopniowo poszerzała też krąg swych znajomości. U Chapmana miała sposobność poznać wybitnych przedstawicieli różnych środowisk londyńskich, których przedsiębiorczy wydawca zapraszał na swe cotygodniowe wieczorne przyjęcia. Można tam było spotkać miejscowe znakomitości, takie jak Thomas Henry Huxley czy Herbert Spencer, bywali także odwiedzający Londyn wybitni Amerykanie, wśród nich Ralph Waldo Emerson, wreszcie - pojawiali się czasem uchodźcy polityczni z kontynentu, których wielu osiadło w Anglii po roku 1848. Raz przybył na takie przyjęcie Karol Marks, nie wiadomo jednak, czy

Marian go poznała. Zetknęła się natomiast z szanowanym w Anglii włoskim uchodźcą Giuseppe Mazzinim.

Niedługo po przyjeździe Marian na stałe do Londynu rozwinęła się przyjaźń między nią a Herbertem Spencerem, już wówczas człowiekiem dość ekscentrycznym i świadomym własnej ważności. Biografowie pisarki snuli domysły na temat tej przyjaźni sugerując, że

ŻYCIE [CZASY GEORGE ELIOT

VIII

młoda kobieta dotkliwie odczuwająca swą samotność w stolicy mogła wiązać z nim nadzieje na małżeństwo. Jak było naprawdę, nie da się dziś stwierdzić, fakty z biografii obojga wskazują jednak, że Spencer, zajęty wówczas pisaniem *Principles of Psychology* (Zasady psychologii) i z natury mało uczuciowy (dożył 84 lat w kawalerskim stanie, którego nigdy nie pragnął zamienić na ciepło domowego ogniska), nie odwzajemnił jej zainteresowania i choć pozostali przyjaciółmi, ich kontakty wkrótce stały się mniej częste.

Jesienią 1852, gdy Marian i Spencer widywali się już rzadziej, pojawiają się w jej listach wzmianki o innym pisarzu, którego spotkała u Chapmana. Był nim George Henry Lewes, płodny publicysta, krytyk literacki i twórca licznych adaptacji dramatów francuskich, człowiek znany, ale niezbyt ceniony w kołach literackich Londynu. Przyjaźń tych dwojga miała się niebawem przerodzić w miłość, pod wpływem której Marian zdecydowała się zostać towarzyszką jego życia, mimo iż Lewes był człowiekiem żonatym. Ta decyzja oznaczała dla niej zerwanie z przeszłością, rodziną i przyjaciółmi, bowiem nawet w dość swobodnym obyczajowo środowisku londyńskich intelektualistów nikt nie mógł otwarcie naruszać surowej moralności publicznej, jaka wtedy obowiązywała. Po kilkunastu latach panowania Wiktorii, będącej od dawna szczęśliwą żoną i matką ośmiorga, a potem dziewięciorga dzieci, kult rodziny osiągnął szczyt. Dwór był wzorem dla przemysłowców, bankierów, twórców angielskiej potęgi kolonialnej. Rodzina i trwałe więzy małżeńskie były kamieniem węgielnym reprezentowanego przez nich porządku. Tej zasady wiktoriańskiego etosu nie kwestionowała bynajmniej Marian Evans i tylko szczególny układ okoliczności jej życia sprawił, że się jej przeciwstawiła.

George Henry Lewes był niskiego wzrostu, nerwowy, ruchliwy, ze śladami ospy na twarzy. Niedostatki aparycji wynagradzała jego żywość umysłu i dowcip pozbawiony złośliwości. Kształcił się w kilku szkołach najpierw we Francji, potem w Anglii; ostatecznie formalną edukację zakończył wcześniej dłuższym pobytem w Niemczech. Interesowała go filozofia, teatr i literatura, zaczął więc pisać. Ożeniwszy się ze śliczną i uzdolnioną Agnes Jervis, córką światłej rodziny ziemiań-

W KRĘGU INTELEKTUALISTÓW

IX

kiej, stał się niebawem członkiem londyńskiego świata literackiego. Pisywał artykuły i recenzje, tłumaczył co się dało, niekiedy wraz z żoną robili adaptacje sztuk francuskich. Po kilkuletnim szczęśliwym pożyciu Agnes zwróciła swe uczucia ku przyjacielowi Lewesa. Mąż, wyznający podobnie jak ona zaszczepiony przez romantyzm pogląd, że uczuć nie można krępować prawem, uznał dziecko tej pary za swoje, starając się odzyskać miłość żony. Gdy to się nie powiodło, bez goryczy wyprowadził się ze wspólnego domu. Godząc się wcześniej ze zdradą żony nie mógł wedle prawa angielskiego ubiegać się o rozwód, a równocześnie był zobowiązany utrzymywać ją wraz ze stale rosnącą liczbą dzieci. Unikał skandalu, lecz chroniąc swym milczeniem dobre imię kobiety, która była matką także jego synów, sam stał się winny w oczach społeczeństwa porzucając rodzinę.

Poznawszy go bliżej, Marian ceni go jako człowieka honoru. Wie, że związek ich będzie pozbawiony szans na legalizację i że będzie od niej wymagał wielu wyrzeczeń. Oboje są jednak ludźmi dojrzałymi - Marian ma prawie 35 lat, Lewes - 37. Wiedzą, czego chcą. W

lipcu 1854 wyjeżdżają razem do Niemiec z zamiarem powrotu, gdy ucihnie skandal wywołany ich decyzją.

Pobył w atmosferze większej niż w Anglii swobody obyczajowej zrobił obojgu dobrze. Lewes zebrał nadto materiały do przygotowywanej właśnie biografii Goethego, która okazała się niebawem i została wysoko oceniona przez krytykę w Anglii i w Niemczech, co oboje powitali z radością.

Wracając do Londynu wiosną następnego roku literacka para, uważająca siebie za małżeństwo (Marian występuje odtąd w życiu prywatnym jako Mrs. Lewes), rozpoczyna pracowitą egzystencję. Całe dni spędzają razem w skromnym mieszkanku pisząc artykuły i recenzje, by utrzymać siebie, Agnes z dziećmi oraz dwu najstarszych synów Lewesa kształcących się w dobrej szkole w Szwajcarii. Marian wykorzystuje w publicystyce swą pogłębioną wiedzę o literaturze i filozofii niemieckiej. W lipcu 1855 ukazuje się w czasopiśmie "The Leader", z którym stale współpracował Lewes, jej artykuł *The Morality of Wilhelm Meister* (Moralność Wilhelma Meistra), uważany

X ŻYCIE I CZASY GEORGE ELIOT

za najlepsze angielskie omówienie tej powieści. Artykuł był ważny również dlatego, że przeciwstawiał się wcześniejszym angielskim sądom - nader powierzchownym - iż *Faust* a także *Lata nauki i wędrówki Wilhelma Meistra* to utwory niemoralne¹. W tym samym roku i także na łamach "Leadera" drukuje płodna już teraz publicystka artykuł *The Future of German Philosophy* (Przyszłość filozofii niemieckiej), a na początku roku 1856 ukazuje się w "Westminster Review" następna jej rzecz z tego cyklu tematycznego, *German Wit*. Heinrich Heine (Heinrich Heine i umysłowość niemiecka).

Praca jest teraz dla Marian i George'a zarówno koniecznością, jak i ucieczką przed poczuciem izolacji społecznej. Na rozrywki nie wystarcza im czasu ani pieniędzy. Marian musi się wyrzec nawet muzyki, która przez wszystkie wcześniejsze lata londyńskie była jej najsilniejszą potrzebą. Odwiedziny przyjaciół także należą do rzadkości, bo tylko nieliczni gotowi są zaznaczyć swój sprzeciw wobec powszechnej opinii piętnującej ten związek jako niemoralny. Przed podjęciem decyzji o wspólnym życiu wiedzieli oboje, że ogół osądzi ich surowo, jednakże Marian odczuła boleśnie niespodziewane potępienie serdecznej przyjaciółki, Cary Bray, do której napisała z goryczą:

Przelotnych [...] związków nie pochwalam w teorii i nie mogłabym ich akceptować w życiu. Kobiety, które w takich związkach znajdują zadowolenie, nie postępują tak, jak ja: dostają to, na czym im zależy i nadal bywają na proszonych obiadach².

Czas miał potwierdzić trafność jej oceny charakteru Lewesa. Związek ich przetrwał w niezmaconej harmonii do jego śmierci w roku 1878 i w krótkim czasie pozwolił jej uwierzyć we własne możliwości twórcze.

Kim jest George Eliot? Od roku 1855 Marian pisze więcej. Często też recenzuje powieści.

Czyta je uważnie, poznaje zasady

r. R. Ash-ton, *The German Idea. Four English writers and the reception of German thought 1800-1860*, Cambridge, London, New York 1980, s. 1, 5 i 22.

yt. za: G.S. Haight, *George Eliot: A Biography*, Oxford, London 1968, s. 190. O ile nie podano inaczej, przekłady cytatów: Alina Szala.

KIM JEST GEORGE ELIOT?

XI

kompozycji i gusty czytelników, choć jest zmęczona monotonią pracy i choć trapi ją tęsknota za rodzinnymi stronami, których teraz nie odważy się odwiedzić. Myślami wraca często do lat dziecińczych, własnych przeżyć, wydarzeń, których była świadkiem, zasłyszanych opowieści. Z tego tworzywa powstaje pierwsza jej opowieść *The Sad Fortunes of the Reverend Amos Barton* (Smutne koleje losu wielebnego Amosa Bartona). Przedsiębiorczy Lewes posyła ją do "Blackwood's Magazine" jako utwór zaprzyjaźnionego z nim pastora, który pragnie pozostać

anonimowy. Opowieść ukazała się na początku roku 1857. Po niej wydrukowano dwie dalsze; w ten sposób powstał cykl zatytułowany *Scenes of Clerical Life* (Sceny z życia duchownych). Edycja książkowa cyklu została oceniona pozytywnie przez krytykę, debiut był więc pełnym sukcesem, również dlatego, że szanowany miesięcznik często drukował utwory czołowych powieściopisarzy brytyjskich. Redaktor, wykształcony i energiczny John Blackwood, mógł nieznaną autorce pomóc w dalszej karierze. Na razie jednak, po rocznej korespondencji z nią, prowadzonej za pośrednictwem Lewesa, zna tylko jej pseudonim i - podobnie jak czytelnicy i recenzenci - uważa ją za mężczyznę. Nie domyśla się, że gdyby na karcie tytułowej pojawiło się jej własne nazwisko, krytycy londyńscy nie zdobyliby się na bezstronną ocenę książki. Podczas gdy czytelnicy usiłują odgadnąć, kim jest nowy autor, zachęcona sukcesem Marian zaczyna pisać swą pierwszą powieść, zatytułowaną *Adam Bede* i rozgrywającą się w środowisku wsi angielskiej na przełomie XVIII i XIX wieku. Gdy Blackwood wydał ją w lutym 1859 roku, stała się natychmiast wydarzeniem literackim. Rozgłos jej przeniknął za granicę i wkrótce gotowe były przekłady: niemiecki, francuski, holenderski, rosyjski i węgierski. *Adam Bede* wzbudził podziw czytelników tak różnych jak Lew Tołstoj i królowa Wiktoria. Trzeba było wyjawić nazwisko autorki, zwłaszcza że znalazł się pozbawiony skrupułów pastor, który utrzymywał, że to on napisał *Sceny z życia duchownych* i nie otrzymał za nie należnego honorarium. W londyńskim świecie literackim jedni znali prawdę od jakiegoś czasu dzięki niedyskrecji Spencera, inni się jej domyślali (był wśród nich

XII ŻYCIE I CZASY GEORGE ELIOT

Dickens). Teraz w brukowej prasie pojawiło się kilka niewybrednych ataków na "niemoralną" autorkę, które dotknęły ją głęboko, ale pozostały bez wpływu na popularność powieści. George Eliot zostaje uznana za wielką powieściopisarkę. Już tylko nieliczni uważają, że sukces jej może być efemeryczny. Ostatnie wątpliwości zostają rozwiane, gdy w roku 1860 ukazuje się druga jej powieść, *Młyn nad Flossą* (*The Mill on the Floss*), zyskując natychmiastową poczytność i przychylny sąd krytyki.

Lata sławy. Sukces i znaczna poprawa sytuacji materialnej powodują wiele zmian w dotychczasowym stylu życia literackiej pary. Przenoszą się do obszernego domu z ogrodem, bywają na koncertach, wyjeżdżają częściej za granicę. Widują teraz ludzi, którzy bywają u nich na nieformalnych przyjęciach, ale jeszcze przez wiele lat pozostają na uboczu. Dni dalej wypełnia im praca. Marian ma potrzebę pisania, lecz jej starannie planowane utwory muszą być zawsze wsparte szczegółową wiedzą o przedmiocie, proces twórczy jest więc powolny. W latach 1861-1870 wydała tylko trzy powieści: *Silas Marner*, *Romola* i *Felix Holt*. *Radical* (*Feliks Holt*, radykał). Nie były one już inspirowane przez wspomnienia z dzieciństwa, jak utwory wcześniejsze; *Romola* to powieść historyczna, której akcja toczy się we Florencji w XV wieku, *Felix Holt* jest powieścią polityczną. Powitano je w Anglii z zainteresowaniem, jak każdy produkt pióra sławnej pisarki, nie wzbudziły jednak tak powszechnego entuzjazmu wśród czytelników jak powieści wcześniejsze. Uwielbienie dla poezji, przejawiające się od wczesnej młodości, skłoniło ją ponadto w późnych latach sześćdziesiątych do własnych prób poetyckich. Tak powstał poemat dramatyczny *The Spanish Gypsy* (*Hiszpańska Cyganka*) i grupa krótszych utworów metrycznych. Jest to poezja wysoce intelektualna i nie wyróżniająca się oryginalnością.

W latach 1871-1872 ukazała się w odcinkach najambitniejsza bodaj powieść George Eliot, *Middlemarch*, słusznie uznawana od początku za wielki sukces artystyczny pisarki mającej już wówczas znaczne doświadczenie twórcze. Tak się złożyło, że były to lata, kiedy odeszli już starsi nieco powieściopisarze, którzy debiutowali wcześniej

KONIEC DROGI

XIII

niż Marian: Thackeray, Dickens, Mrs. Gaskell. George Eliot była więc teraz jedyną wielką powieściopisarką angielską. Po *Middlemarch* opublikowała już tylko jedną powieść, *Daniel*

Deronda, która pozostaje ważnym dziełem, pokazującym, że pisarka rozwijała się nadal w ostatnim okresie swej twórczości. Jej zdumiewająca wiedza i głęboko odpowiedzialny stosunek do własnej twórczości, wreszcie humanistyczna wiara w sztukę i cywilizację zjednały jej powszechną admirację, wobec której nieistotny był jej nie zalegalizowany związek z Lewesem, nie stanowiący już teraz przeszkody w publicznym okazywaniu jej szacunku nawet przez członków rodziny królewskiej.

Koniec drogi. W listopadzie 1878 po krótkiej chorobie zmarł Lewes. Marian pograżyła się w rozpacz, która doprowadziła ją do załamania nerwowego i uniemożliwiła jej uczestniczenie w pogrzebie. Była to dla niej nie tylko strata najbliższego człowieka, z którym przeżyła wiele lat, ale i troskliwego opiekuna, który załatwiał wszystkie sprawy praktyczne, bronił ją przed zniechęceniem, depresją i niepożądanymi kontaktami z ludźmi. Teraz nie potrafiła żyć sama. Wracając do równowagi zaczęła widywać Johna Crossa, z którego rodziną łączyły ją i Lewesa więzy długoletniej serdecznej przyjaźni. Młodszy od niej o 19 lat, zamożny, wykształcony i darzący ją głębokim podziwem Cross otoczył pisarkę opieką i wiosną 1880 roku zaproponował jej małżeństwo. Drugi jej związek był całkowicie regularny, nawet zawarty w kościele, niemniej jednak wzbudził zgorszenie tych, którzy wcześniej szanowali ją za bezkompromisowość i odwagę przekonań. George Eliot dla wielu była już bardziej pomnikiem, niż żywą kobietą. Zanim krytyczna część opinii publicznej zdążyła się oswoić z jej nowym wizerunkiem, wielka pisarka zmarła po trzydniowej chorobie 22 grudnia 1880 roku w wieku 61 lat.

Cross pragnął, by w uznaniu wielkiej roli, odegranej przez George Eliot w kulturze angielskiej, Kościół zezwolił na pochowanie jej wśród zasłużonych w Katedrze Westminsterskiej. Spencer zainicjował zbieranie podpisów popierających ten plan wybitnych naukowców i artystów. Jednakże Huxley i inni jej przyjaciele nie chcieli, by gest szacunku dla zmarłej przeczył temu, co sama głosiła za życia. Chrześcijańska

XIV TWÓRCZOŚĆ GEORGE ELIOT

świątynia nie była ich zdaniem właściwym miejscem spoczynku dla kobiety, której przekonania i praktyka życiowa pozostawały w otwartej sprzeczności z dogmatami religii. George Eliot została pochowana w niepoświęconej części cmentarza Highgate w sąsiedztwie grobu Lewesa. Mimo odstraszałającej grudniowej pogody zegnali ją tam wszyscy czołowi angielscy intelektualiści i tłumy wielbicieli jej talentu, zaś w małej grupce bliskich idących za trumną znalazł się obok Crossa i jej ukochanego pasierba, Charlesa Lewesa, również Isaac Evans z rodziną, pogodzony z siostrą dopiero po jej ślubie z Crossem.

II. TWÓRCZOŚĆ GEORGE ELIOT

George Eliot pozostawiła po sobie siedem powieści, pięć dłuższych opowiadań, tom szkiców i dwa tomy poematów. Uzupełnia tę spuściznę siedmiotomowa edycja jej listów i dwa tomy publicystyki zebranej z czasopism, a pochodzącej głównie z jej wczesnych lat londyńskich. Te ostatnie pozycje wydane zostały dopiero po ostatniej wojnie, kiedy po wielu latach zapomnienia twórczość jej zaczęła na nowo budzić szersze zainteresowanie. W porównaniu z dorobkiem jej niez mordowanych kolegów po piórze, takich jak Anthony Trollope, czy nawet mniej płodny William Makepeace Thackeray, najwybitniejsza intelektualistka wiktoriańskiej Anglii napisała mało. Trzeba jednak pamiętać, że debiutowała późno, a zdobywszy natychmiastową poczytność i uznanie krytyki, nie pisała nigdy "na zamówienie", pod presją rynku wydawniczego.

Rzut oka na daty pierwodruków kolejnych utworów George Eliot pokazuje, jak rozwijało się jej pisarstwo. Anonimowy debiut pisarki na łamach "Blackwood's Magazine" jesienią 1857 roku zapoczątkował pięcioletni okres owocnej pracy twórczej, jaki nie miał się już nigdy powtórzyć w jej karierze. Ukazały się wtedy Sceny z życia duchownych (1857-1858), następnie zaś pierwsza powieść Adam Bede (1858-1859), której entuzjastyczne przyjęcie przez czytelników skłoniło niepewną dotąd swego talentu autorkę do porzucenia konspira-

TWÓRCZOŚĆ GEORGE ELIOT

XV

cyjnej metody publikacji. Trzecia wydana pozycja to Młyn nad Flossą (1860), przez większość krytyków i historyków literatury uznawany dotąd za jedno z największych osiągnięć pisarki, choć niektórzy współcześni recenzenci przyjęli tę powieść z pewną rezerwą dostrzegając w niej liczne niedoskonałości. Opublikowana następnie krótka powieść Silas Marner (1861), niemal jednomyślnie zaaprobowana ze względu na zawarty w niej morał, oraz dwa opowiadania: The Lifted Veil {Podniesiona zasłona, 1859) i Brother Jacob {Brat Jakub) kończą listę utworów powstałych w tym płodnym pięcioleciu.

Łączy te utwory w jedną grupę nie tylko chronologia; można w nich dostrzec również podobieństwa tematyczne i kompozycyjne. Akcja toczy się w nich zazwyczaj na prowincji, w końcowych latach wieku XVIII lub latach dwudziestych i trzydziestych następnego stulecia. Charakterystyczne jest, że - choć okres od 1790 do 1840 to półwiecze, w którym narodziny przemysłu, długotrwałe wojny z Napoleonem i eksplozja demograficzna spowodowały w Wielkiej Brytanii głębokie przemiany gospodarcze i społeczne - prezentowana przez George Eliot zbiorowość ludzka jest zazwyczaj "zamknięta", konserwatywna, wierna odziedziczonym wzorcom postępowania, które pokoleniu czytelników z roku 1860 wydawać się musiały dziwne, może nawet już wręcz archaiczne. To poczucie dystansu czasowego wobec świata przedstawionego wytwarzane było u odbiorcy świadomie. Wskazują na to liczne komentarze narratorskie podkreślające odmiennosć form życia zbiorowego w minionej epoce oraz wpływ społecznych nacisków na decyzje i losy jednostki. Nacisków tych czytelnicy nie dostrzegali z taką ostrością we własnym, codziennym działaniu, choć były one tam obecne. Dystans czasowy pomagał im dostrzec je w świecie powieści. Dla George Eliot zaś społeczne uwarunkowania postępowania ludzkiego stanowiły przedmiot szczególnego zainteresowania od początku jej kariery pisarskiej i naturalne było eksponowanie tego czynnika w prezentowanych przez nią postaciach fikcyjnych. Po wzorce sięgała chętnie do własnej przeszłości, może po części dlatego, że w Londynie nie zalegalizowany związek pisarki z Lewesem ograniczał krąg jej znajomości do niewielkiej grupy postępowych

TWÓRCZOŚĆ GEORGE ELIOT

XVI

intelektualistów i pisarzy, co zamykało przed nią możliwości dalszego uważnego obserwowania przekształceń więzi społecznych i oddziaływania systemu nacisków zbiorowości na jednostkę.

Podstawowym tworzywem powieściowym była dla niej od początku sfera wewnętrznych doznań ludzkich. Jednakże panujące podówczas w Anglii konwencje powieściowe wymagały od pisarza koncentrowania się na tym, co zewnętrzne: na majątku lub jego utracie, na karierze lub niepowodzeniach, na szacunku lub potępieniu bliźnich. Te problemy eksponowała w swych powieściach również i George Eliot. I ona musiała zadbać o pewne urozmaicenie warstwy zdarzeniowej, choć w tym względzie jej ustępstwa wobec obowiązujących konwencji były niewielkie. Elementy akcji są u niej prawie zawsze czerpane z codzienności. Tajemnice, wyjaśniane dopiero na końcu powieści, zaskoczenia czy niezwykle zbiegi okoliczności należą w jej pisarstwie do rzadkości. Brak też u niej nagłych zwrotów akcji czy teatralnej komediowości tak częstej we wczesnych utworach Dickensa i w satyrycznych powieściach Thackeraya. Sięgała natomiast George Eliot bez wahania do wydarzeń codziennych, opisów zajęć gospodarskich, pracy fizycznej w kuchni, w młynie, w warsztacie stolarskim. Wszystko, co bardziej niezwykle w materii powieściowej tych wczesnych utworów, zostało oparte na epizodach znanych jej z własnego życia na prowincji lub z opowiadań zasłyszanych od rodziców i krewnych. Być może, że właśnie ta monotonia prowincjonalnej egzystencji, nasycenie wczesnych utworów wspomnieniami z dzieciństwa i młodości, nadaje przedstawionemu w nich światu szczególną plastyczność.

Mimo sukcesów, po wydaniu *Silasa Marnera* poczuła pisarka potrzebę odejścia od historii o prostych ludziach. Aby odmienić zasadniczo formułę powieści, którą wcześniej stworzyła i którą z taką gotowością przyjęli czytelnicy, sięgnęła teraz do odleglejszej przeszłości obcego kraju. Tak powstała *Romola* (1862-1863), długa, poprzedzona żmudnymi badaniami powieść historyczna, której akcja toczy się we Florencji pod koniec XV wieku i w której zamiast porwań, pościgów lub romantycznych scen miłosnych, znanych czytelnikom ze

TWÓRCZOŚĆ GEORGE ELIOT

XVII

stron romansów Waltera Scotta, przedstawione są skontrastowane postawy ludzkie, różne systemy wartości i dylematy moralne, przed którymi stają bohaterowie. Jest też akcja powieści przetkana szczegółowymi informacjami o historii, kulturze, gospodarce i obyczajach we Florencji w dobie renesansu.

Nic dziwnego, że już pierwsze odcinki powieści, drukowanej w poczytnym i wcale nie snobującym się na intelektualizm "Cornhill Magazine", wywołały konsternację czytelników. Co wnikliwsi recenzenci wkrótce dostrzegli, że *Romola* ma innego adresata niż utwory, które ją poprzedziły. Inne są w niej problemy i ludzie. Ostatecznie powieść została oceniona krytycznie przez większość recenzentów. Surowi byli też w swych ocenach potomni.

Powszechny jest sąd, że zawiodła w powieści wyobraźnia twórcza pisarki, która nie zdołała tchnąć życia w pracowicie zgromadzone realia historyczne. Dla badacza twórczości George Eliot powieść pozostaje jednak ciekawa jako punkt zwrotny w jej karierze.

Po ukazaniu się *Romoli* nastąpiła przerwa w twórczości powieściowej pisarki. Szukała ona teraz inspiracji w lekturach, szczególnie historycznych, a także w dramacie antycznym, próbując dla odmiany tworzyć poematy dramatyczne. Jednakże próba ucieczki od współczesności i własnych doświadczeń w sferę wyobraźni przyniosła skromne wyniki. Rozpoczęte utwory powstawały wolno i jej samej nie dały nigdy pełnej satysfakcji twórczej³, choć ulegając naciskom Lewesa opublikowała je ostatecznie, zresztą znacznie później, niż pierwotnie zamierzała. W roku 1868 ukazał się tom zatytułowany *The Spanish Gypsy*, zaś w roku 1874 - *The Legend of Jubal and Other Poems* (Legenda o Jubalu i inne poematy). Zanim jeszcze ukazały się próby

W lecie 1864, po studiach nad historią Hiszpanii, napisała George Eliot prolog i akt I Hiszpańskiej Cyganki. Z dalszych części była jednak niezadowolona, zmieniała wielokrotnie koncepcję i przepisywała duże fragmenty. W r. 1867 odbyła wraz z Lewesem podróż po Hiszpanii, a powróciwszy do pracy nad utworem, w części II pisała najpierw każdą scenę prozą, by ją następnie "przełożyć" na wiersz (por. F.B. P i n i o n, *A George Eliot Companion*, London and Basingstoke 1981, s. 167; G.S. Haight, op. cit., s. 404).

2 BN 11/234 G. Eliot: Młyn nad Flossą

XVIII TWÓRCZOŚĆ GEORGE ELIOT

poetyckie jej pióra, ocenione przez pierwszych recenzentów z wielką kurtuazją, George Eliot powróciła do powieści i swych własnych czasów.

Jednakże po przerwie owe powieści nie były już takie, jak dawniej. Nie tło przestrzenne fikcyjnych wydarzeń i nie postacie, portretowane dotąd z drobiazgową wiernością zapamiętanym obyczajom i językowi, były teraz najważniejszymi elementami jej świata powieściowego. Zniknęli prości ludzie, skromne domostwa, nieuczona mowa. Ich miejsce zajęli bohaterowie, których stan świadomości społecznej był zbliżony do stanu świadomości autorki. Pisarka opuściła teraz krąg samych tylko problemów osobistych, albo raczej poszerzyła go czyniąc przedmiotem swych obserwacji sferę ludzkiej działalności publicznej: politycznej, społecznej, zawodowej. Postawiła sobie cel ambitny: pokazanie potrzeby duchowej więzi jednostki ze społeczeństwem. Bohaterowie i bohaterki ostatnich trzech jej powieści pragną nie tylko miłości, przyjaźni, rodzinnego ciepła, ale chcą też mieć wpływ na

bieg spraw publicznych, chcą działać dla dobra ogółu, a także dla zaspokojenia własnych ambicji, wykorzystując swe wykształcenie, energię i talenty.

Aby przedstawić tę stronę życia ludzkiego musiała George Eliot zmodyfikować poetykę powieści wiktoriańskiej, nastawionej dotychczas głównie na prezentację życia jednostki, rodziny lub niewielkiej grupy. W powieści tej aspiracje społeczne bohaterów bywały niekiedy przedstawiane, ale pozostawały drugoplanowymi albo też dotyczyły postaci drugoplanowych. Autorka Adama Bede w swych późniejszych powieściach uczyniła z działalności publicznej dziedzinę równorzędną staraniom o zaspokojenie potrzeb biologicznych i emocjonalnych człowieka, pokazała bowiem, że w gruncie rzeczy spraw tych rozdzielić się nie da. Ale musiała dla osiągnięcia tego celu stworzyć nowy typ bohatera, odmienny wzorzec jego działań i sposób widzenia świata.

Trzeba powiedzieć, że ze względu na nowość tej koncepcji trzy ostatnie powieści George Eliot są tworamii kompozycyjnie niedoskonałymi, chociaż w niejednakowym stopniu.

Wydany w r. 1866 Felix Holt. Radical jest dziś - obok Romoli - uważany za najslabszą TWÓRCZOŚĆ GEORGE ELIOT

XIX

pozycję w jej twórczości. Jednym ze źródeł słabości książki jest zagmatwana fabuła oraz niespójność dwu głównych jej wątków. Nie mniej poważnym brakiem jest to, że postaci fikcyjne zostały tu zbyt wyraźnie podporządkowane postawionej przez autorkę tezie, którą jedynie ilustrują.

Choć powieść spotkała się z dość dobrym przyjęciem współczesnych, na następną przyszło czytelnikom poczekać długo, dopiero bowiem pod koniec roku 1871 zaczęła się ukazywać w odcinkach rozpoczęta dwa lata wcześniej powieść-gigant Middlemarch. Tytuł jest nazwą fikcyjnego miasta, w którym toczy się akcja powieści, odsunięta w pierwszą połowę stulecia, i którego społeczność, wraz z jej systemem wartości i wyobrażeniami o świecie, wpływa w istotny sposób na losy dwu głównych postaci, powieść dramatyzuje bowiem problem niemożności konsekwentnego dążenia jednostki do ideału w bezideowym społeczeństwie. Śmiałe użycie w powieści kilku równoległych, nie związanych ze sobą wątków, dogłębność analizy psychologicznej oraz stopień uszczegółowienia obrazu życia w mieście sprawiają, że lektura powieści jest szczególnie trudna⁴. Aby uchwycić całość tego panoramicznego obrazu, trzeba się nauczyć nań patrzeć nie szukając jednego centrum kompozycyjnego. Niemniej jednak już po ukazaniu się pierwszych kilku odcinków czytelnicy angielscy zgodnie uznali ją za wydarzenie artystyczne. Wysoka ocena współczesnych została zaakceptowana przez następne pokolenia i dziś powszechny jest sąd, że Middlemarch to najambitniejsze i najpełniej zrealizowane zamierzenie artystyczne George Eliot, a równocześnie najbardziej ideowo pojemna powieść epoki wiktoriańskiej.

Ostatnia powieść pisarki, Daniel Deronda (1876), łącząca również problematykę etyczno-społeczną z panoramicznym obrazem angiels-

Podkreślało to wielu współczesnych recenzentów, m.in. profesor uniwersytetu w Cambridge, Sidney Covin, który napisał: "Nie jest łatwo stwierdzić z całkowitą pewnością, jakie przesłanie zawiera powieść" (recenzja z "Fort- mghtly Review" ze stycznia 1873, przedruk w: George Eliot. The Critical Hentage, pod red. D. Carrolla, London 1971, s. 337).

XX TWÓRCZOŚĆ GEORGE ELIOT

kiej prowincji, tym razem w drugiej połowie XIX wieku, posiada doskonale napisane fragmenty, postacie o ciekawym rysunku psychologicznym i umiejętne operowanie dialogiem, pozostaje jednak niespójna. Sięgnęła tu bowiem George Eliot do tematyki całkowicie dla niej i dla jej czytelników egzotycznej: życia Żydów angielskich, dość jeszcze wówczas na Wyspach Brytyjskich nielicznych i egzystujących w ścisłej izolacji od reszty społeczeństwa. To z ich wątkiem w tej powieści wiąże się mistyczna wiara w potrzebę duchowej więzi jednostki z własnym narodem, narzucająca autorce przesadne idealizowanie

postaci tytułowego bohatera, które kłóci się z krytyczną prezentacją zamożnych angielskich rodzin prowincjonalnych, wokół których zbudowany jest wątek równoległy, uznawany na ogół za bardziej udaną artystycznie część powieści. Dodać do tego trzeba romansowe nieprawdopodobieństwa fabuły, w której Deronda, odkrywszy późno swe żydowskie pochodzenie, porzuca dotychczasowy styl życia, by poświęcić się pracy dla swego uciskanego narodu.

Po Danielu Derondzie ukazał się już tylko tom szkiców pióra George Eliot, zatytułowany *Impressions of Theophrastus Such* (1878, Wrażenia Teofrasta Sucha). Wydany dwa lata przed śmiercią pisarki pozostał jedyną jej wycieczką w twórczość eseistyczną, co może wydać się zaskakujące, jeśli zważyć że zaczynała karierę od publicystyki i krytyki literackiej. Jej ogromna erudycja, wieloletni związek z Lewesem, który pisywał rozprawy i szkice na różne tematy, a także przyjaźń z filozofem Herbertem Spencerem i innymi wybitnymi intelektualistami tej epoki mogły zachęcić ją do wypowiadania się w eseju na tematy etyczno-społeczne, które przez całe życie pozostały dla niej najważniejsze. Stało się inaczej; pisarkę pociągała niezmiennie powieść. W gruncie rzeczy jednak zainteresowania moralne zdecydowały o specyficznym charakterze jej twórczości, bowiem w powieściach dominują idee. Nie są one wypowiadane wprost, jak to jest często w twórczości pisarzy brytyjskich naszego stulecia, takich jak Aldous Huxley. Funkcjonują jednak zawsze w obrębie świata fikcji. Dzięki nim właśnie utwory jej zajmują szczególną pozycję w powieści okresu wiktoriańskiego, która unikała na ogół problematyki filozoficznej.

POWIEŚĆ WCZESNOWIKTORIAŃSKA

XXI

Powieść wczesnowiktoriańska. Już w momencie debiutu powieściopisarskiego George Eliot przewyższała pod względem wykształcenia większość swoich kolegów po piórze gruntowną znajomością współczesnej myśli europejskiej, a także całej zachodniej kultury i literatury. Od lat też śledziła uważnie wszelkie nowości powieściowe własnego kraju, czytała ważniejsze bieżące pozycje beletrystyczne francuskie i niemieckie, działała jako tłumaczka i recenzentka. Pisując artykuły krytycznoliterackie miała niejednokrotnie sposobność do głębszej refleksji nad stanem i kierunkiem rozwoju powieści. Kiedy z krytyka przeistoczyła się w twórcę, miała niewątpliwie własne koncepcje estetyczne i sprecyzowane pojęcia o tym, jakie treści ogólne pragnie wpisać w swe utwory. Musiała się jednak liczyć z zastanym smakiem literackim i oczekiwaniami czytelników. Zaczynała bowiem tworzyć w obrębie gatunku, który miał w Anglii tradycję sięgającą początków XVIII wieku i który zdążył sobie wytworzyć własne konwencje kompozycyjne i tematyczne.

Wobec dalszego dynamicznego rozwoju powieści w epoce poromantycznej konwencje te ulegały oczywiście wzbogaceniu i stopniowej modyfikacji, nie był to jednak okres radykalnych zmian. Przeciwnie, historycy powieści angielskiej XIX wieku podkreślają cechującą ją ciągłość tradycji i powszechną akceptację wzorców ukształtowanych przez mistrzów poprzedniego stulecia, krytykowanego skądinąd przez wiktorianów za rzekomą oschłość i nieczułość.

Zależność powieści wiktoriańskiej od wzorów z poprzedniego wieku podkreślił w okresie międzywojennym Lord David Cecil w swej serii szkiców *Early Victorian Novelists* (Powieściopisarze wczesnowiktoriańscy). Zgadza się z nim zasadniczo trzeba jednak nieco uściślić jego twierdzenia: oto już około roku 1770 istniało kilka odmian powieści angielskiej, z których dwie odznaczały się ważnością; jedna - satyryczno-obyczajowa, nastawiona była głównie na prezentację losów i dokonań bohaterów, druga - sentymentalna, zajmowała się przede wszystkim światem ich wewnętrznych przeżyć. Odmiana pierwsza wywodziła się od Henry'ego Fieldinga, lub - gdyby sięgnąć jeszcze dalej w przeszłość - od Daniela Defoe, druga natomiast

TWÓRCZOŚĆ GEORGE ELIOT

XXIV

pozwolić na utratę tak wpływowego klienta. Ale na powieść wywierali również wpływ wydawcy. W połowie stulecia w produkcję i rozpowszechnianie powieści zainwestowany był już znaczny kapitał. Tylko nieliczni zaś spośród wydawców posiadali - jak John Blackwood, właściciel oficyny, w której ukazała się większość utworów George Eliot - wysoką kulturę literacką i prawdziwe zaangażowanie w sprawy kultury narodowej. Dla większości ludzi tej branży powieść była po prostu artykułem, który należało nabyć od autora za możliwie niską cenę, wydrukować pospiesznie w odcinkach lub w formie zeszytowej, a następnie w trzech oprawnych tomach, potem zaś - jeśli nakład rozszedł się szybko - pomyśleć o jego rychłym wznowieniu. Ze wznowienia bowiem, przy odpowiednim sformułowaniu warunków kontraktu, większy profit szedł już na konto wydawcy niż do kieszeni autora. Dążąc do wyższych zysków wydawcy unikali też ryzyka i wywierali nacisk na autorów, by dostarczali im dokładnie taki towar, jaki spotkał się już z aprobatą czytelników. Komercjalizacja procesu wydawniczego ograniczała w ten sposób swobodę twórczą powieścio- pisarzy. Eksperyment pisarski wiązał się z ryzykiem, należało go więc ograniczyć albo nawet całkowicie wyeliminować. Analizujący tę sytuację znawca problemu J.A. Sutherland stwierdza, że tylko dwojgu największym powieściopisarzom- Dickensowi i George Eliot- udało się przez cały ciąg kariery zachować swobodę. Inni w różnym stopniu dostosowywali swe

utwory do wymagań wydawców, przynajmniej do czasu, gdy osiągnęli znaczną popularność wśród czytelników i mogli sami dyktować warunki.

Dickens i George Eliot, oboje w równym stopniu nie krępowani przez wydawców, różnili się od siebie znacznie jeśli chodzi o przebieg kariery. Największy humorysta angielski XIX wieku pojawił się w londyńskim życiu literackim na początku roku 1836, gdy miał dwadzieścia cztery lata. Było to wkrótce po śmierci Waltera Scotta, 6J.A. Sutherland, *Victorian Novelists and Publishers*, London 1976, s.78.

KOMERCJALIZACJA POWIEŚCI

XXV

kiedy w kraju nie tworzył żaden wybitny powieściopisarz. Trzy lata później był już postacią pierwszej wielkości i to nie tylko dlatego, że nie miał godnych siebie rywali (w latach czterdziestych i dekadzie następnej tym rywalem był W.M. Thackeray), ale również dlatego, że twórczość jego była oryginalna, różnorodna i niezmiennie pociągająca dla czytelników. W ciągu paru lat stworzył dwie całkiem odrębne powieści: Klub Pickwicka, arcydzieło komizmu, któremu pod względem popularności nie dorównała żadna powieść stulecia, oraz Oliwera Twista, gdzie dziecięcy bohater tytułowy ukazany jest na tle ponurego świata londyńskich przestępców. Po Pickwicku, z jego bogatą galerią postaci komicznych, ukazał pisarz brutalność i zło bez retuszu w Oliwierze. Przeplecione dla złagodzenia efektu scenkami czarnego humoru, były dla czytelników niemałym zaskoczeniem, ale zaangażowały ich uczuciowo. Przedstawiciele arystokracji sięgający po powieści Dickensa mogli oburzać się, jak czynił to ówczesny premier Lord Melbourne, że nieogładzony młody autor nie wie, iż na karty ambitnej powieści nie wprowadza się prostytutki i włamywaczy⁷. Jednakże sporadyczne potępienia nie zmniejszały popularności Dickensa. Tylko nieliczni oskarżali pisarza o zły smak lub o przesadę i naruszenie wymogów realizmu. Większość czytelników zafascynowana była jego postaciami i sytuacjami. Zarzuty, że rzeczywistość nie jest aż tak czarna, jak jawi się w jego drugiej powieści, były nietrudne do odparcia: w latach trzydziestych brutalne formy wyzysku dzieci i dorosłych wykonujących szkodliwą pracę w przemyśle i kopalniach nie zostały jeszcze ograniczone przez prawo. Wiedzieli też o nich wszyscy. Był to jednakże okres radykalizmu politycznego, czasy energicznej działalności czartystów na rzecz poprawy doli robotników. Krytyka społeczeństwa nabierała ostrości. Klasa średnia, fundament kształtującego się imperium brytyjskiego, nie była wprawdzie sama

radykałna politycznie, wierzyła jednak w możliwość pokojowego rozwiązania konfliktów klasowych, dlatego poczuwała się do obowiązku

Tyl' Dickens- Modern Judgements, pod red. A.E. Dysona, Nashville, London 1970, wstęp, s. 13.

TWÓRCZOŚĆ GEORGE ELIOT

XXVI

działania na rzecz poprawy sytuacji warstw najbiedniejszych i nie unikała obrazu ich losów we współczesnych powieściach.

Tę gotowość czytelników do wzruszania się losem biednych potrafił wyzyskać Dickens wzbogacając tematykę powieściową. Pisał o tych, co utracili pieniądze i o tych, co nigdy ich nie mieli; o sierotach, z których pracy dobrze opłacani opiekunowie społeczni ciągnęli dodatkowe zyski,

o więzieniach dla dłużników i o szkołach, równie strasznych jak więzienia. To dzięki niemu dziecko weszło na stronicę angielskich powieści przeznaczonych dla dorosłych i długo tam pozostało⁸.

Miała to w przyszłości wykorzystać autorka Młyna nad Flossą do zupełnie innych celów artystycznych. Bo też twórczość George Eliot była od pisarstwa Dickensa całkowicie odmienna. Różnice między nimi były sprawą temperamentu, środowiska, w którym każde z nich wyrosło, i wykształcenia, ale nie bez znaczenia były też gusty i oczekiwania czytelnicze, które w ciągu dwudziestolecia, jakie upłynęło między debiutem Dickensa a początkiem kariery George Eliot, zmieniły się znacznie. Na lata pięćdziesiąte, a więc czas, kiedy George Eliot zaczyna publikować, przypada południe epoki wiktoriańskiej. Wiosna Ludów, która wcześniej jak burza przemknęła nad kontynentem europejskim, ominęła wprawdzie Anglię, ale poważnie zaalarmowała sfery rządzące i zwiększyła w brytyjskiej klasie średniej podejrzliwość wobec radykalizmu politycznego. Stabilizacja, jaką przyniósł początek drugiego półwiecza, rozkwit kolonii, wzrost dobrobytu, a także pewne ograniczenie najbardziej jaskrawych form eksploatacji robotników w przemyśle, pozwoliły grupom lepiej sytuowanym wytworzyć sobie optymistyczną wizję przyszłości, która miała być osiągnięta bez konfliktów, na drodze ewolucji społeczeństwa i wzrostu jego poczucia odpowiedzialności.

Nie wszyscy uwierzyli w możliwość urzeczywistnienia tej wizji. Dickens, który zdążył już utracić swój wcześniejszy optymizm, tworzy

Omawia ten problem J.H. Buckley w pracy *Autobiography in the English Bildungsroman*, w: *The Interpretation of Narrative Theory and Practice*, pod red. M. Bloomfielda, Harvard English Studies, vol. 1, Cambridge, Mass. 1970, s. 95.

REALIZM, ALE JAKI?

XXVII

w tym okresie swe najbardziej krytyczne powieści, m.in. *Hard Times* {Ciężkie czasy}.

Wtórują mu inni. Należy do nich Elizabeth Gaskell, której powieść *North and South* {Północ i południe} ukazuje - podobnie jak powieść Dickensa - nędzę i gorycz rodzin robotniczych na północy Anglii. Ale ton krytyki społecznej nie jest tonem dominującym w tych latach.

Zaznacza się natomiast mocno zainteresowanie codziennością i jej obrazem w powieści.

Ludzie chcą czytać o monotonnym życiu na prowincji, o kobietach i mężczyznach pozbawionych cech bohaterskich, słowem o istotach pospolitych, których losy są równie zwyczajne jak los czytelnika.

Realizm, ale jaki? U podłoża zainteresowania szarym człowiekiem, z jego mieszaniną cech dobrych i złych, słabości i siły, leżała potrzeba afirmacji i optymistyczna wiara w ludzkość, w której dobro - jak uważano - zawsze ostatecznie triumfuje. Wiktoriański czytelnik domagał się wprawdzie realizmu, chciał, by postacie fikcyjne były "takie jak w życiu", ale chciał też, by dobrzy zostali w powieści nagrodzeni, źli zaś ukarani stosownie do winy. Dopiero wtedy

koniec mógł być uważany za szczęśliwy, to zaś była bardzo ważna część oczekiwań odbiorcy. Wynikało z tego, że absolutnie nie można wprowadzić tragedii do powieści. Krytycy z kolei domagali się, by świat powieści realistycznej tworzony był nie tylko przy pomocy trafnie zaobserwowanych sposobów działania postaci, ich reakcji na zdarzenia, opisów tła przestrzennego, w którym toczy się ich życie, ale by był także dziełem wyobraźni i dlatego uintensywniał przedstawiane stany uczuciowe. Pisarz, który tego nie czynił, krytykowany był za brak wyobraźni. Zarzut taki kierowano dość często pod adresem Anthony Trollope'a, choć cieszył się on w latach pięćdziesiątych i dekadzie

następnej znaczną poczytnością. Jego powieści niektórzy wyrnagający recenzenci nazywali

fotografiami" raczej niż "obrazami"⁹. Ten krytyczny stosunek do pisarstwa Trollope'a, przy

równoczesnym uznawaniu wyższości Thackeraya nad nim, był zapewne

K- Or- D. S k i 11 o n, Anthony Trollope and his Contemporaries, London 1972

XXVIII

w znacznym stopniu spowodowany wstrzeźliwą prezentacją uczuć w jego powieściach. George Eliot orientowała się dokładnie we współczesnych poglądach na temat realizmu w powieści jeszcze zanim sama została powieściopisarką. Jej własne poglądy kształtowały się zapewne pod wpływem George'a Henry Lewesa, który w roku 1858, a więc już w czasie trwania ich niezalegalizowanego związku małżeńskiego opublikował obszerny artykuł Realizm w sztuce: powieść nowożytna w ostatnich latach (Realism in Art: Recent Modern Fiction), w którym propagował realizm jako "podstawę wszelkiej sztuki"¹⁰. Rozpoczynając karierę powieściopisarską musiała znaleźć środki wyrazu, które harmonizowałyby z jej poglądami teoretycznymi. Była wszak dojrzałą publicystką i nie mogła zadowolić się intuicyjnym sposobem tworzenia, takim, jakim z wielkim sukcesem posługiwał się Dickens w latach trzydziestych.

Tworząc swój pierwszy cykl nowelistyczny Sceny z życia duchownych umieściła w centrum każdego z trzech pomieszczonych tam utworów postaci "niebohaterską"; wprowadziła też znaczną liczbę postaci drugoplanowych i epizodycznych, wyeksponowanych w dialogach jako swego rodzaju chór, który wygłasza opinie ogółu i tworzy społeczny kontekst działania głównej postaci. Model głównego bohatera czy częściej - w jej przypadku - bohaterki rychło uległ przemianie; szarego człowieka zastąpiła pisarka później jednostką wyjątkową, której konflikt ze zbiorowością jest nieunikniony, nie powodują go bowiem jedynie okoliczności zewnętrzne, ale zderzenie indywidualnych sposobów działania osobowości wyjątkowej ze sztywnymi normami ukształtowanymi w ciągu pokoleń. Natomiast staranny dobór postaci drugoplanowych, troska o ich typizację, nacechowanie środowiskowe, właściwości języka, a z nim - myślenia, miały pozostać ważnym elementem metody twórczej George Eliot do końca,

100 szkicu Lewesa wspomina Henryk Markiewicz omawiając rozwój pojęcia realizmu w literaturze anglosaskiej w tomie Główne problemy wiedzy o literaturze, wyd. III: Kraków 1970, s.229.

REALIZM, ALE JAKI?

XXIX

podobnie jak plastyczne opisy krajobrazu, warunkującego działanie człowieka, opisy jego pracy, wnętrza domów, ubioru, czyli środowiska w szerokim znaczeniu tego słowa. Korespondencja pisarki z Blackwoodem, który zrazu sugerował pewne skróty w prezentacji tła społecznego w nowelach, pokazuje, jak wielką wagę przywiązywała ona do tych fragmentów swych utworów. Nie zgodziła się niczego opuścić ani zmienić i napisała do niego przy tej okazji:

Sztuka musi być albo realna i konkretna, albo idealistyczna i eklektyczna. Obie są na swój sposób dobre i prawdziwe, ale moje opowiadania należą do tej pierwszej kategorii. Nie

zamierzam przedstawiać rzeczy takimi, jakie być powinny; staram się jedynie pokazać jakie były lub jakie są, gdy poznaje się je przy pomocy takiego aparatu poznawczego, w jaki wyposażyla mnie natura¹¹.

Rodzaj głównego bohatera oraz funkcje spełniane przez postacie drugoplanowe i epizodyczne nie wyczerpywały jednak zagadnień realizmu w praktyce. Ważniejszym problemem okazała się gotowość początkującej pisarki do prezentowania drażliwych spraw obyczajowych i odsłaniania niskich motywów działania osób szacownych i traktowanych jako wzór moralności społecznej. Wprawdzie jej komentarz narratorski nie zawierał grzmiących potępień, a satyra nigdy nie była nadmiernie wyostrzona, ale umiar i obiektywność krytycznych akcentów czyniły naganę tym dotkliwszą. Bo George Eliot unikała czarnych charakterów: pokazywała jedynie zwykłych, uczciwych ludzi, gotowych przymykać oczy na zło, by nie burzyć własnej wygody, nieskorych do tolerowania odmiennych poglądów, pewnych własnego sądu i własnej wyższości.

Subtelność jej metody charakteryzacji zachęciła zrazu czytelników do lektury. Życzliwie przejęto postacie pastorów w dwu pierwszych nowelach. Odrzuciła tu George Eliot dwa dominujące dotąd w powieści stereotypy duchownego anglikańskiego: idealistycznego duszpasterza, oddanego bez reszty sprawie religii, z drugiej zaś strony ambitnego karierowicza dążącego do biskupiej mitry. Pierwszy z jej bohaterów, za: G.S. Haight, op. cit., s. 239-240.

TWÓRCZOŚĆ GEORGE ELIOT

Amos Barton, jest uczciwy i pełen zapału do działania, ale niezbyt inteligentny, przekonany o własnej racji i pozbawiony taktu, co doprowadza go do konfliktu z parafianami i rujnuje mu życie rodzinne. Drugi przedstawiciel duchowieństwa, pastor Gilfil, choć ma za sobą tragiczne przeżycia młodości, pozostaje pogodny, towarzyski i lubiany przez parafian, nie zrażonych tym, że sprawom ducha poświęca ten miły człowiek niewiele czasu.

W utworze trzecim indywidualne portrety duchownych tracą nieco na ważności, na czoło bowiem wysuwa się wizerunek całego miasta, wizerunek - dodajmy - który obudził obawy Blackwooda i skłonił go do poproszenia George Eliot, by zechciała swój obraz nieco "złagodzić". Pisarka pozostała jednak nieustępliwa i ostatecznie wydawca zadowolił się drobnym kompromisem: z wersji książkowej usunięto parę zdań. Znalazło się wśród nich jedno, które mówiąc o powszechnym w Milby obyczaju picia dodawało, że "jest w mieście najwyżej pół tuzina matron, które często widać się w stanie coraz to bardziej chwiejnej równowagi, w miarę jak ranek przechodzi w popołudnie"¹². Z mężczyznami sprawa wyglądała o wiele gorzej. Mimo to Milby nie miało być przykładem szczególnego upadku kultury i obyczajów; przeciwnie, komentarz narratorski podkreślał, że nie jest to miasto ani gorsze, ani lepsze od innych, aż do chwili kiedy wyrwie je z moralnej drętwy człowiek wyjątkowy, którym jest nowy pastor.

Usunięcie pojedynczego zdania z opisu miasta nie zmieniło zasadniczo jego obrazu, ukazanego na początku utworu; zmniejszyło najwyżej nieznacznie możliwość obrażenia uczuć tych czytelników, którzy w Milby mogliby znaleźć zbyt wiele podobieństw do jakiegoś punktu na mapie Anglii, gdzie znajdował się ich własny dom. Zaś drobne ustępstwo, na jakie przystała George Eliot, nie oznaczało że zrezygnowała z mówienia czytelnikom nieprzyjemnych prawd o nich samych, co było ważną częścią jej pojęcia realizmu.

Realizm ten we wczesnych utworach George Eliot oznacza jednak zazwyczaj coś więcej niż tylko ujawnianie wad ówczesnego społeczeńs-

¹²Ibidem, s. 238.

XXX

REALIZM, ALE JAKI?

stwa angielskiego. Obejmuje on także ujmowanie człowieka w jego kontekście społecznym, troskę o prawdę psychologiczną w ukazywaniu przeżyć bohaterów, podkreślanie typowości

postaci przy równoczesnym unikaniu stereotypów i melodramatycznych sytuacji, wreszcie - rezygnację ze szczęśliwego zakończenia. Tworzony w ten sposób świat powieściowy miał swe walory, ale i swe ograniczenia. Te drugie były najłatwiej dostrzegalne na płaszczyźnie charakteryzacji. Prawda, że postacie są u niej w miarę indywidualizowane, a równocześnie ich losy i przeżycia posiadają wymiar uniwersalny. Unikała też pisarka uproszczeń, których nie bał się Dickens, niepośledni przecież artysta. Ona sama surowo jednak potępiała naiwną wiarę w to, że cierpienie zawsze uszlachetnia, że biedacy są nieodmiennie lepsi od ludzi mających, że zło zawsze zostanie przykładowo ukarane. Stworzone wedle tej recepty wizerunki jawiły się jako prawdziwe, ale często pozbawione barwy i intensywności, przez co nie angażowały czytelnika emocjonalnie. Zdaniem Barbary Hardy, od lat wytrwale badającej twórczość George Eliot, liczne i niekiedy nużące komentarze narratorskie, mające w czytelniku wzbudzić sympatię dla postaci, są wynikiem autorskiej świadomości, że postacie te są niedoskonałe jako wytwór sztuki i same tej sympatii nie zyskują¹³. Można do tego dodać uwagę, że nazbyt rozbudowany komentarz narusza nadto niekiedy zasadę przedmiotowości epickiej.

Ostatnią właściwością sztuki pisarskiej autorki Młyna nad Flossą, także mającą swe źródło w dążeniu do realizmu, jest atmosfera smutku, który przenika k j świat powieściowy od pierwszych utworów po ostatnie. Zdarzają się sceny komiczne, postacie, które bawią, dialogi nieodparcie śmieszne, ale wszystko to podporządkowane jest wizji świata szarego, pełnego zmagania, wymagającego od człowieka nieustannego spełniania trudnych obowiązków wobec innych i samego siebie. W opowieściach o takich losach nie ma miejsca na szczęśliwe zakończenie; w najlepszym razie czytelnik rozstaje się z bohaterami w Cnwili, gdy skończył się dla nich jakiś szczególnie trudny i bolesny

¹³ B. Hardy, *The Novels of George Eliot*, London 1981 (wyd. 1:1959), s. 18.

XXXII TWÓRCZOŚĆ GEORGE ELIOT

etap życia, po którym jawi się możliwość lżejszych lat, więzi z najbliższymi i czerpania stąd siły do dalszych trudów.

George Eliot a religia. Jeśli zastanowić się głębiej nad Scenami z życia duchownych, wyda się chyba czymś szczególnym, że napisała ten cykl autorka, która utraciła wiarę wiele lat wcześniej. Czy skrywając się wygodnie pod pseudonimem chciała może przyciągnąć tematyką czytelników, których ogromna większość pozostawała w obrębie Kościoła anglikańskiego lub licznych w kraju sekt protestanckich i interesowała się duszpasterską i społeczną działalnością pastorów tych kościołów? Motyw tak przyziemny nie wydaje się w przypadku George Eliot prawdopodobny. Można raczej sądzić, że do wyzyskania swych własnych doświadczeń z okresu wczesnej młodości skłoniła pisarkę jej koncepcja religii, ukształtowana lekturą dzieł współczesnych filozofów: Augusta Comte'a i Ludwiga Feuerbacha. Oczywiście sięgnęła po te dzieła dlatego, że utraciwszy wiarę tworzyła sobie stopniowo nowy światopogląd ateistyczny i rozmyślając przez lata nad problemem religii w życiu człowieka chciała swe własne wnioski skonfrontować z przemyśleniami uznanych autorytetów intelektualnych Europy.

Ponieważ już za życia pisarki wiadano o jej zainteresowaniu filozofią Comte'a i o jej przyjaźni z wieloma brytyjskimi zwolennikami jego systemu, ją samą także zaczęto uważać za pozytywistkę. Nie jest to jednak trafnie dla niej dobrana etykieta. Warto pamiętać, że pozytywizm w Anglii miał własne oblicze, jak podkreśla Władysław Tatarkiewicz¹⁴. Ale i ten zmodyfikowany przez Johna Stuarta Milla pozytywizm pisarka także nie we wszystkim akceptowała. Dzieła francuskiego filozofa czytała w latach pięćdziesiątych i na początku dziesięciolecia następnego. Miała też wielu przyjaciół, którzy byli gorącymi zwolennikami pozytywizmu i szerzyli jego zasady w Anglii. Ona sama jednak nie ze wszystkimi jego poglądami się zgadzała. Przyjmowała z pełnym przekonaniem głoszoną przez Comte'a potrzebę altruizmu i uważała za słuszną koncepcję oparcia na niej etyki.

14 W. Tatarkiewicz, Historia filozofii, Warszawa 1970, t. III, s. 26.

GEORGE ELIOT A RELIGIA

XXXIII

Powieści jej jednak pokazują dowodnie, że nie wierzyła bez zastrzeżeń w postęp, zaś jeszcze poważniejsze wątpliwości budziła w niej jego wiara w ludzkość. W rozmowie z jednym z gorących zwolenników Comte'a w Anglii dała kiedyś wyraz swym wątpliwościom, czy niski poziom etyczny społeczeństwa wskazuje istotnie na to, że ludzkość osiągnęła już najwyższą fazę swego rozwoju¹⁵. Angielski pragmatyzm nakazywał jej weryfikowanie teorii przez zestawienie jej z obserwacjami codziennego życia, a te nie dawały podstaw do entuzjastycznej oceny ludzkości. Według niej nosicielem prawdziwych wartości moralnych jest jednostka i taki obraz świata wyłania się z jej powieści.

Sceptycyzm George Eliot wobec niektórych idei francuskiego filozofa mógł zresztą mieć swe źródło nie tylko w jej własnych przemyśleniach, ale także w lekturze pism innych wybitnych myślicieli. Wiadomo, że znaczny wpływ wywarł na nią Baruch Spinoza (1637-1677), który dostrzegał społeczną funkcję mitów religijnych, czemu dał wyraz w dziele

Tractatus theologico-politicus {Traktat teologiczno-polityczny). Wiktoriańska sawantka poznała je gruntownie nim jeszcze rozpoczęła karierę publicystyczną, tłumaczyła je bowiem w Coventry w trudnych dla niej miesiącach przed śmiercią ojca¹⁶. Przekład nie ukazał się nigdy, nie wiadomo nawet, czy został ukończony, nie zachował się bowiem jego rękopis, są jednak wzmianki o pracy nad nim w jej korespondencji z tego okresu. Po przeniesieniu się do Londynu przełożyła natomiast Marian w całości największe dzieło Spinozy, Etykę, przejąwszy to zadanie od Lewesa. Niestety i ten tekst nie doczekał się wydania wskutek nieporozumień między Lewesem a wydawcą. Trud tłumaczki nie poszedł jednak na marne; poznała gruntownie koncepcje etyczne wielkiego filozofa holenderskiego,¹⁵ Jak podaje F.B. P i n i o n {op. cit., s. 39), rozmowa odbyła się w Leeds w r. 1868, rozmówcą pisarki zaś był dr Clifford Allbutt, który sam wybrał karierę medyczną pod wpływem lektury dzieł Comte'a.

¹⁶Por. G.S. H a i g h t, op. cit., s. 69. Natomiast R. Ashton w przywoływanym powyżej studium {op. cit., s. 156) wysuwa hipotezę, że pracę nad przekładem Traktatu Spinozy mogła Marian Evans rozpocząć jeszcze wcześniej, a mianowicie w r. 1843.

3 BN II/234 G. Eliot: Młyn nad Flossą

TWÓRCZOŚĆ GEORGE ELIOT

XXXIV

którego racjonalny system i drobiazgowa analiza duszy ludzkiej odpowiadały jej w każdym szczególe. Echa jego myśli dadzą się odnaleźć w Middlemarch. Do końca życia pozostał też dla niej w sprawach etycznych główną inspiracją.

Spośród współczesnych jej myślicieli natomiast najwyżej bodaj ceniła Ludwiga Feuerbacha (1804-1872). Odnosi się to szczególnie do jego filozofii religii. Odegrała ona bardzo ważną rolę w kształtowaniu się jej dojrzałych poglądów na religię. Lekturę Feuerbacha rozpoczęła w roku 1851 i wkrótce zajęła się tłumaczeniem jego podstawowego dzieła z zakresu filozofii religii Das Wesen des Christenthums (Istota chrześcijaństwa). Ukończony przekład ukazał się w Londynie w lecie roku 1854; na karcie tytułowej widniało jej nazwisko - Marian Evans. Po skończeniu tłumaczenia napisała do swej przyjaciółki, że z ideami Feuerbacha zgadza się w każdym punkcie.

Prawdziwym olśnieniem była dla niej idea miłości niemieckiego filozofa, który głosił, że miłość jest sama Bogiem i poza nią nie ma żadnego Boga. Nie chodziło mu przy tym o miłość nadprzyrodzoną, uważał bowiem człowieka za twór przyrody, nic więcej. Prawdziwa ludzka miłość oznacza, jego zdaniem, potrzebę złożenia siebie w ofierze drugiej istocie. "Człowiek człowiekowi bogiem" - głosił - bo człowiek jest najdoskonalszym tworem przyrody, której należy się najwyższa cześć. Dlatego też człowiek powinien uznać swe popędy, będące wszak

dziełem przyrody. Pójście za nimi jest jedyną właściwą rzeczą. Naturalizm Feuerbacha nie przeszkadzał mu jednak przyznawać, że potrzeba religii jest czymś bardzo ważnym i stałym w naturze ludzkiej, stąd rola, jaką religia odgrywa w dziejach ludzkości, jest i pozostanie doniosła.

W pojęciu angielskiej powieściopisarki religia zawiera idee o różnym stopniu ważności dla różnych jednostek, choć idei tych nie można zgłębić umysłem. Dała ona wyraz swym własnym wątpliwościom w tej dziedzinie w czasie wizyty w Cambridge w czerwcu 1873, rozmawiając z profesorem tamtejszej uczelni F.W.H. Myersem, który zanotował jej wypowiedź. George Eliot wymieniła wtedy trzy wzniosłe słowa, które najczęściej są dla ludzi inspiracją - Bóg, Nieśmiertelność, Obowiązek

GEORGE ELIOT A RELIGIA

XXXV

i dodała: "Jakże niepojęte jest pierwsze, jak nieprawdopodobne drugie, a jednak jak nieodwołalne i bezwarunkowe trzecie"¹⁷. Ona sama miała niezachwiany zmysł etyczny, u innych uznawała jednak potrzebę wiary jako fundamentu zasad moralnych.

Obraz religii w utworach George Eliot zgodny jest z poglądami Feuerbacha. Religia jest potrzebą wielu postaci fikcyjnych, jednakże w gruncie rzeczy nie potrzebą metafizyczną, ale czymś, co przede wszystkim tworzy więź między nimi a innymi ludźmi. Jest nadto podstawą, z której wyrastają ich zasady etyczne. Zazwyczaj też religijna motywacja działania postaci przedstawiana jest przez nie same w dialogu lub w przytoczeniach ich toku myślenia. Stany te nie są natomiast komentowane czy oceniane przez narratora, którego komentarz jest w innych okolicznościach bardzo wyczerpujący. Kiedy Amos Barton, odwiedzając grób żony, woła: "Milly! Milly! Czy mnie słyszysz? Nie kochałem cię wystarczająco", nie pojawia się w tekście noweli żadna narratorska interpretacja jego stanu ducha, nic, co pozwalałoby przypuszczać, że wierzy on, iż Milly istnieje dalej w jakimś innym wymiarze egzystencji. Okrzyk jawi się raczej jako wyraz żalu i skruchy z powodu własnych przeszłych zaniedbań, których nie można już naprawić.

Najbardziej zbliżyła się George Eliot do metafizycznego aspektu religii w Adamie Bede, szczególnie w prezentacji postaci Dinah Morris, uduchowionej członkini ewangelicznej sekty metodystów, ale i tam narrator pozwala jedynie mówić bohaterce o swoich doświadczeniach religijnych, sam zaś nigdy ich nie ocenia. Dziewczyna stwierdza, iż odczuwa obecność boską w czasie swego pobytu w celi więziennej, gdzie udziela pociechy duchowej kuzynce, skazanej na śmierć za zabicie nieślubnego dziecka. Rozmowa dwu dziewcząt jest dialogiem nie przerwany słowem narratorskim. Ta technika może zwiększać dramatyczność sceny w więzieniu, ale można ją także interpretować jako celowe nieangażowanie się narratora w wypowiedź postaci, której wiary nie podziela, choć ją szanuje z czysto ludzkich powodów.

¹⁷Por. G.S. Haight, op. cit., s. 464.

XXXVI TWÓRCZOŚĆ GEORGE ELIOT

W innych okolicznościach bowiem komentujący głos narratora odgrywa w powieściach George Eliot bardzo ważną rolę i uzupełnia wypowiedzi postaci.

Echa romantyzmu. Pierwsza powieść George Eliot zapewniła jej znaczny rozgłos i entuzjastyczne przyjęcie przez krytykę w Anglii, a wkrótce także przekłady na języki obce: francuski, niemiecki, rosyjski, węgierski, holenderski. Pisarka tworzyła tę powieść, której akcja toczy się na przełomie XVIII i XIX wieku, po starannym sprawdzeniu wszystkich szczegółów, takich jak topografia okolicy stanowiącej tło wydarzeń, miejscowa historia, nawet szczegóły atmosferyczne zanotowane w objętym akcją okresie. Miała to być jej metoda pracy również w przyszłości. Owa wierność szczegółom, która tak podobała się wiktoriańskim czytelnikom i która przez życzliwych pisarce krytyków porównywana była do malarstwa szkoły holenderskiej XVII wieku, miała stać się jej godłem.

A jednak, choć Adam Bede ma w sobie wiele zapowiedzi późniejszych utworów, nie posiada przecież cech najbardziej charakterystycznych dla całego jej pisarstwa. Krytycy często nazywali świat tej powieści "idyllicznym" i zwracali uwagę na szczególny charakter zaprezentowanego tu społeczeństwa¹⁸. Jest to społeczeństwo w odległej wiosce u progu rewolucji przemysłowej, ale panujący tam porządek to porządek odwieczny, który wkrótce miał się w Anglii stać czymś całkowicie archaicznym. Wieś nie zna antagonizmów ani konfliktów społecznych, jakie miały nadejść z rozwojem uprzemysłowienia i ruchem ludności ze wsi do miast. Społeczeństwo jest tu patriarchalne i w pełni statyczne. Właśnie ta jego cecha sprawia, że w prostej opowieści o głupocie, zbrodni i karze, a także nie zawinionym cierpieniu krewnych i bliskich pary winowajców, działają jedynie pojedyncze postacie, podczas gdy zbiorowość pozostaje bierna. Narrator ustala jedynie stopień zaniedbania, jakiego dopuścili się różni członkowie tej zbiorowości i ich moralną współodpowiedzialność za

¹⁸ Por. N. Roberts, George Eliot. Her Beliefs and Her Art, Pittsburgh 1975, s. 64-65.

ECHA ROMANTYZMU

XXXVII

zło. Społeczność, przedstawiona z taką drobiazgową troską, nadaje poszczególnym postaciom plastyczność i uprawdopodobnia akcję, ale jej nie warunkuje. '

Świat powieści jest w założeniu światem ludzi prostych i ma ukazywać najbardziej podstawowe ludzkie doświadczenia. Wskazuje na to motto zapożyczone z VI księgi poematu *The Excursion* (Wycieczka) Williama Wordswortha (1770-1850), jednego z "poetów jezior"¹⁹. Motto mówi, że bohaterami będą ludzie prości, "krzaki leśne, co nie pną się w górę", a szczególnie ci z nich, którzy popełnili jakiś niewybaczalny czyn. Pozwala to domyślać się, że odpowiedzialność postaci za zło zostanie ustalona indywidualnie i że nie będzie mowy o społecznie zdeterminowanych mechanizmach działania ludzkiego.

W przyszłości miała i George Eliot osadzać swoje powieści w scenerii miejskiej i wskazywać na złożone uwarunkowanie działania jednostki, ale sięgając po temat do czasów młodości swego ojca, który był prototypem Adama Bede, starała się przy pomocy wyobraźni

¹⁹ Poemat ten ukazał się w roku 1814; jako motto użyte zostały wersy 651-658:

So that you may have

Clear images before your gladdened eyes

Of nature's unambitious underwood

And flowers that prosper in the shade. And when

I speak of such among the flock as swerved

Or fell, those only shall be singled out

Upon whose lapse, or error, something more

Than brotherly forgiveness may attend.

Tak, abyście sami Okiem radosnym popatrzyli sobie Na krzaki leśne, co nie pną się w górę, Na kwiaty, co im dobrze, choć są w cieniu. A kiedy powiem o tych spośród stada, Co z drogi zeszli, wymienię jedynie Takich, co błędom ich lub złym postępkom Nie dosyć będzie braci przebaczenia.

TWÓRCZOŚĆ GEORGE ELIOT

XXXVIII

dokonać rekonstrukcji społeczeństwa znanego jej tylko z opowiadań, lektur historycznych, a także - zapewne - lektury powieści sentymentalnej, która bujnie rozkwitła pod koniec XVIII wieku. To dzięki niej człowiek prosty został nobilitowany jeszcze nim zaczęli go opiewać romantycy i jak pasterz w sielance począł czuć głęboko i cierpieć z subtelnością równą subtelności bywalców salonów. W krytyce anglo-amerykańskiej zwracano na to uwagę; pojawiło się nawet określenie *the pastoral novel*" (powieść sielankowa) w odniesieniu do Adama Bede²⁰. Taka interpretacja utworu wynikała chyba jednakże z przeceniania ważności

pewnych zapożyczeń z powieści sentymentalnej przy równoczesnym pominięciu realistycznego ukształtowania świata w opisach przestrzeni, postaci drugoplanowych, dialogach i komentarzu narratorskim.

Jest pewnym paradoksem, że w świecie powieści, której fabuła obraca się wokół ponurego wydarzenia - dzieciobójstwa - panuje ład i harmonia. Gdy ten ład zostanie naruszony, sprawcy poniosą zasłużoną karę, a zbiorowość stopniowo powróci do równowagi po wstrząsie. Pusta, egoistyczna dziewczyna zostanie wprawdzie ułaskawiona w ostatniej chwili, ale przecież w jakiś czas potem umrze w więzieniu. Jej lekkomyślny uwodziciel, młody dziedzic, opuści rodzinne dobra na wiele lat i wybierając dobrowolne wygnanie sam sobie wymierzy sprawiedliwość. Oszukany przez dziewczynę Adam po pewnym czasie poślubi altruistyczną Dinah, która wyrzeknie się głoszenia słowa Bożego i poświęci sprawom własnej rodziny.

Porządek tego świata przez swą prostotę przemawiał do wiktoriańskiego czytelnika i Adam Bede stał się na wiele lat najpopularniejszym utworem George Eliot. Dała temu wyraz publicystka Anne Mozley,

20 por. M. S. quires, *The Pastoral Novel: Studies in George Eliot, Thomas Hardy and D.H. Lawrence*, Charlottesville 1974, s. 18. Wg autora proponowane w tytule określenie uzasadnione jest w przypadku powieści, w której występuje kontrast między wizją świata ukształtowaną w mieście a wizją uformowaną na wsi, implikowana miłość prostoty przy równoczesnej krytyce życia współczesnego, wreszcie tworzenie świata zamkniętego w wąskich granicach i należącego do bezpowrotnie minionej przeszłości.

ECHA ROMANTYZMU

XXXIX

która podkreślała w swej entuzjastycznej recenzji w lipcu 1859 roku, że powieści nie osłabia wyraźnie sformułowany w niej morał, dlatego że morał ów stanowi tu pewna ogólna prawda: "że przeszłości nie da się wymazać, że zła nie da się naprawić"²¹.

Pierwsza powieść George Eliot była więc czymś nowym w porównaniu ze Scenami z życia duchownych, nawet jeśli w rozwoju talentu pisarki stanowi ona jedynie etap przejściowy. Ważne jest to, że świat, ukształtowany tu jak w romantycznej balladzie pozwalał pisarce na pewną stylizację głównej postaci na bohatera, na wyeksponowanie zdrady, cierpienia, grzechu (czy - jeśli wolimy bardziej świeckie określenie - naruszenia normy moralnej). Siłą przeżyć oznacza, że z kart powieści usunięty został człowiek pospolity, zwyczajny zjadacz chleba, a jego miejsce zajął człowiek nieuczony, ale naznaczony znamieniem niezwykłości. Jednostka niezwykła miała odtąd być w centrum każdej jej powieści.

III. Młyn nad Flossą

Nie wiadomo dokładnie, kiedy zrodził się pomysł powieści, są jednak dowody, że w stadium realizacji wkroczył na początku roku 1859. Już wtedy zapewne istniał zamiysł tragicznego zakończenia, George Eliot przeglądała bowiem materiały archiwalne w poszukiwaniu zapisów o przebiegu katastrofalnych powodzi z lat wcześniejszych.

Od pierwszych stron powieści dominuje tu rzeka. Podkreślono jej rolę cywilizacyjną i znaczenie dla społeczeństwa, któremu umożliwia kontakty handlowe ze światem i gromadzenie w ten sposób bogactw. Symbole związane z rzeką sugerują jej poetycki aspekt jako siły niszczycielskiej. Wszystko to wskazuje, że zamiarem autorki było zaprezentowanie zarówno egzystencji zbiorowej, jak i głębokich przeżyć zindywidualizowanych bohaterów. Miała to być powieść o epickim zakroju, której świat byłby pojemniejszy i bardziej nasycony

A. Mozley, "Adam Bede", przedruk w: George Eliot. *The Critical Heritage*, op. cit., s. 88.

XL Młyn nad Flossą

problemami czasów George Eliot niż spokojna wioska, będąca tłem wydarzeń w Adamie Bede.

Zamierzona epickość skłaniała autorkę do sięgnięcia pamięcią w odległe już czasy własnego dzieciństwa, do wzorowania wielu postaci drugoplanowych na członkach własnej rodziny, do nadania głównej bohaterce wielu cech własnego temperamentu i do przypisania jej wielu pragnień ze swej wczesnej młodości. Z rodziny Evansów została też zapożyczona sytuacja serdecznej miłości siostry i brata przy całkowitej niemożności ich wzajemnego porozumienia. Tak powstała potem opinia, że *Młyn nad Flossą* jest powieścią autobiograficzną. Ostrożniejsze sformułowania krytyków XIX wieku, nawet tak cenionych jak Leslie Stephen²², określają początek i środek powieści jako "duchową autobiografię" pisarki. Obydwie wersje tej opinii są mylące. Okoliczności życia Madzi, jej desperackie wysiłki, by swe wielkie pragnienie miłości urzeczywistnić w ramach surowego etosu protestanckiego, jej klęska i tragiczna śmierć świadczą o tym, że w ramach powieści psychologicznej i obyczajowej starała się George Eliot umieścić współczesną tragedię zrodzoną w jej wyobraźni, nie przeżyłą. Własne doświadczenia posłużyły jej jako tworzywo powieściowe w stopniu nie większym niż w utworach innych pisarzy, np. Dickensa czy Charlotte Bronte. Nowe elementy. Jako nieodrodna córka swej epoki miała George Eliot głęboki szacunek dla nauk przyrodniczych oraz dla rodzącej się socjologii i stale poszerzała swą wiedzę w zakresie jednej i drugiej dziedziny. Wiara w uwarunkowania genetyczne nigdy nie zaprowadziła jej w rejony całkowitego determinizmu, ale kazała przedstawić w powieści możliwie pełne wyjaśnienie sposobów działania głównych postaci, wynikających z ich urodzenia i wychowania. Dlatego być może dzieci pojawiające się na stronicach *Młyna nad Flossą* mają

22 Sir Leslie Stephen (1832-1904) - był wybitnym publicystą, krytykiem literackim i przez wiele lat redaktorem naczelnym założonego w r. 1860 poczytnego miesięcznika literackiego "Cornhill Magazine", którym przed nim kierował William Makepeace Thackeray.

NOWE ELEMENTY

XLI

rodziców, ciotki, wreszcie bliższych i dalszych krewnych w odróżnieniu od tych licznych dziecięcych bohaterów wiktoriańskich powieści, którzy pojawiają się na początku już jako sieroty. Sierotą jest Dawid Copperfield i cała galeria Dickensowskich bohaterów, sierotami są Jane Eyre i bohaterka Yillette, innej powieści pióra Charlotte Bronte, sierotą jest Becky Sharp gdy zaczyna swą karierę w Targowisku próżności Thackeraya, zaś równie znaczna liczba bohaterów to półsieroty, których nazwisk nie warto tu wymieniać. Trzeba jednak zwrócić uwagę na konsekwencję ich sytuacji, tę mianowicie, że zaczynają życie niejako na własny rachunek, staczają ze społeczeństwem i jego instytucjami własne bitwy już w dzieciństwie i wyruszają w drogę życia bez bagażu zapakowanego dla nich przez rodzinę, lub przynajmniej niewiele o tym bagażu można wyczytać w powieści.

Inaczej jest w *Młynie nad Flossą*. Dzieci są częścią rodziny i całej społeczności, do której ta rodzina należy, dlatego prezentacja małych bohaterów odbywa się na dwu płaszczyznach: jedną stanowi to, w czym same biorą udział: bójki, zabawy w domu i nad rzeką, siadanie do stołu zastawionego smakołykami w czasie świąt - drugą zaś ta sfera działalności dorosłych, o której one same nic nie wiedzą, a która decyduje o ich jutrze: wybieranie dla nich szkoły, podpisywanie weksli, rozstrzyganie sporów majątkowych w sądzie. Oprócz tego widocznego nurtu egzystencji istnieją więzi biologiczne z resztą rodziny, która sama jest specyficznym układem sił, ścierają się w niej bowiem właściwości i predyspozycje pochodzące z rodziny matki i ojca. Oceny dzieci przez rodziców nie są bezstronne, ale nie pozbawione trafności; zależą od tego, jak dalece dziecko zbliża się do modelu, który ojciec czy matka uważa za bardziej pożądanym społecznie. Młynarz już w drugim rozdziale księgi pierwszej wątpi, czy jego synowi powiedzie się w przyszłości w zawodzie prawniczym, bo "wrodził się w rodzinę matki" i melancholijnie dodaje: "Nasza mała poszła we mnie; jest dwa razy bystrzejsza od Tomka" (ks. I, rozdz. II). Odmienna jest opinia Jego żony o córce; marzycielskie skłonności

dziewczynki i jej gotowość do zapominania o drobnych poleceniach matki wydają się pani Iulliver raczej dowodem, że dziecko jest nierozgarnięte.

XLII Młyn nad Flossą

Wstępna rozmowa rodziców o dzieciach, sama w sobie umiarkowanie komiczna, zapowiada ważne później różnice charakterów Tomka i Madzi. Różnice te stają się motorem fabuły. Wszystko bowiem, co się rodzeństwu wydarzy, będzie wynikiem splotu okoliczności zewnętrznych i właściwości psychicznych postaci. Charakteryzacja była uważana za ważny czynnik w powieści wiktoriańskiej, ale nigdy przed pojawieniem się utworów George Eliot nie była tak wyraźnie podporządkowana koncepcji psychologiczno- społecznej. W okresie wczesnowiktoriańskim postacie fikcyjne miały za zadanie bawić czytelnika lub go wzruszać, czasem jedno i drugie, mogły więc być ekscentryczne jak Pickwick, pomysłowe jak jego służący, wreszcie głupkowate jak postacie w komediach scenicznych lub prześladowane jak figury w melodramatach. Najczęściej były to więc postacie typowe. Natomiast Madzia i Tomek, choć i oni po trosze spełniają zadania komediowe w pierwszej części książki, mają również inną funkcję; jako postacie dorosłe pokazują złożoność motywów działania ludzkiego, które kształtują czynniki genetyczne wraz z nabywanymi stopniowo pojęciami epoki, klasy, kultury narodowej. George Eliot wzbogaciła więc sposoby charakteryzacji postaci fikcyjnych w powieści angielskiej, co większość czytelników natychmiast doceniła. Umieszczenie w centrum powieści siostry i brata zamiast pojedynczego bohatera lub bohaterki miało ważne konsekwencje: umniejszyło dominującą dotąd rolę miłości i małżeństwa w zobrazowanym procesie dojrzewania. W iluż to powieściach wiktoriańskich rozbrzmiewają na końcu dzwony weselne! Czasem zresztą dzwonią one bohaterowi po raz drugi, gdy pierwsze, nieszczęśliwe małżeństwo dobiegło końca (jak w Dawidzie Copperfieldzie), pozostawiając po sobie doświadczenie życiowe i umiejętność dokonania lepszego, dojrzałego wyboru. Czasem pierwsza miłość kończy się tylko zerwanymi zaręczynami, po których nastąpi inny, trwały związek, stanowiący stosowne zakończenie. W Młynie nad Flossą nie dochodzi w ogóle do małżeństwa, nie ma więc tego umownego znaku wejścia w dojrzałe życie. Finał jest inny. Tomek, który wcześniej wziął na swe barki odpowiedzialność za losy

XLIII

NOWE ELEMENTY

rodziny, ukrywa swą miłość. Pierwsza miłość Madzi jest raczej uczuciem przyjaźni, wspartym podziwem dla młodego człowieka, którego ceni za inteligencję, talent i wrażliwość. Następne uczucie, którego przedmiotem jest człowiek mniej wartościowy, rodzi się wbrew jej woli i ulegając mu chwilowo, narusza własne zasady, a także rani uczucia swych bliskich. Ostatecznie wyrzeka się go. W takiej sytuacji żadne uczucie nie mogło zostać uwieńczone małżeństwem.

Dokonana przez George Eliot modyfikacja w schemacie fabularnym wiktoriańskiej powieści obyczajowej zostawiała miejsce na tragedię, o którą tak się upominali krytycy angielscy drugiej połowy XIX wieku. Tragedia jako wynik działania bohatera, którego charakter zderza się z okolicznościami jego życia powodując katastrofę, wydawała się tym, czego potrzebowała powieść, by osiągnąć pełną nobilitację, bo mimo popularności wciąż jeszcze ceniono ją w literaturze wysokiego obiegu niżej niż poezję i dramat. Pogłębiona charakteryzacja, prowadząca do końcowej katastrofy, miałyby powieść wynieść na wyżyny tragedii.

W odczuciu współczesnych George Eliot Młyn nad Flossą posiadał ów pożądany walor tragiczności. Opinia ta znalazła wyraz w recenzji zamieszczonej w kwietniu 1860 w czasopiśmie "Spectator", której anonimowy autor pisał:

W powieści tej [...] został odtworzony ów dawny i wzniosły sposób pobudzania zainteresowania, charakterystyczny dla dramatu greckiego; jest nim oddziaływanie

okoliczności na człowieka. Mamy tu jednak także analizę głębin umysłu, której najwspanialszym przykładem jest Hamlet².

Wysoka to ocena. W gruncie rzeczy jednak tragiczność jest w powieści niepełna. Katastrofa nie jest przecież jedynie wynikiem zderzenia się sił charakteru i okoliczności; dla jej osiągnięcia wprowadzone zostały niespodziewanie także siły żywiołu, które w akcji zacytować tę wypowiedź w oryginale: "In this novel [...] we have [produced the old grand element of interest which the Greek drama possessed, the effect of circumstances upon man; but you have, in addition, that analysis of the mind, of which Hamlet stands in literature the greatest example" George Eliot. *The Critical Heritage*, op. cit., s. 112).

XLIV Młyn nad Flossą

stanowią element przypadkowy. Umieszczając powódź bezpośrednio po ostatecznym odtrąceniu Madzi przez Tomka zastosowała George Eliot ów wygodny zbieg okoliczności, który tak często wiązał w harmonijną całość ciąg wydarzeń powieściowych w epoce wiktoriańskiej, lub też wygodnie go doprowadzał do końca. Ale jest i druga cecha zakończenia, która osłabia wrażenie tragiczności losu brata i siostry. Katastrofa ma przecież i swój bardziej optymistyczny aspekt; podejmując próbę uratowania brata bohaterka ginie wprawdzie wraz z nim, ale przedtem osiągają oboje świadomość wzajemnego zrozumienia i miłości, wybaczą sobie nawzajem i na moment zespała ich silna więź, jakiej nigdy nie osiągnęli w toku codziennych spraw, które nieodmiennie wznosiły między nimi bariery. Koniec jest więc afirmacją miłości, która triumfuje nad różnicami usposobienia, zasad i poglądów na życie.

Siostra i brat. Pisząc *Młyn nad Flossą* "przymierzała" autorka do tej powieści różne tytuły. Był wśród nich wariant podkreślający związek rodzinny między parą głównych bohaterów: *Sister Maggie*. Na polski należałoby go chyba przetłumaczyć po prostu jako *Siostra*. Wydał się pisarce ostatecznie mniej trafny czy mniej sugestywny niż formuła tytułu podsunęta jej przez wydawcę, ta bowiem kieruje uwagę czytelnika na młyn - ściśle miejsce akcji i własność Tulliverów od pokoleń. Ma to swoją wagę. Po pierwsze: młyn jest legitymacją klasowej przynależności rodziny; po wtóre: jest symbolem ciągłości pokoleniowej i wierności tradycji, która jest myślą przewodnią powieści. Wybór tytułu był więc na pewno słuszny. Ale i wcześniejszy pomysł miał pewną zaletę; wskazywał mianowicie, że postać Madzi dominuje w powieści.

Prawda, że nie jest tak od początku. Rola dziewczyny nabiera ważności mniej więcej od połowy książki. Wcześniej dzieci występują w scenach dramatycznych najczęściej razem. Zamiarem narratora jest bowiem ukazanie możliwie najpełniej zarówno głębokiej więzi uczuciowej, jak i różnic osobowościowych między nimi. Służy temu celowi konsekwentne podkreślanie podobieństwa Tomka do Dodsonów, Madzi zaś do Tulliverów. Już wtedy zresztą osobowość dziewczynki

SIOSTRA I BRAT

XLV

przedstawiana jest jako emocjonalnie bogatsza, żywiej reagująca na każde wydarzenie i mająca przez to większe możliwości rozwoju psychicznego. Ale oboje są dziećmi spontanicznymi, żywymi, tworzącymi sobie własny świat, do którego dorośli nie mają dostępu. Na tym etapie pozostaje jeszcze prawie niezauważalny wąski praktycyzm Tomka, który później będzie nieuchronnie ograniczał sympatię czytelnika dla tej postaci. Dorósłszy przedwcześnie straci bowiem Tomek swą indywidualność i stanie się typowym reprezentantem świata Dodsonów, którego rodzinne związki z Tulliverami ograniczą się do gwałtownych uczuć negatywnych: mściwości i pamiętania własnych uraz.

W dzieciństwie chłopiec wykazuje bogatszą skalę uczuć, nie tłumii ich pod wpływem nacisku przyzwyczajęń zdeterminowanych społecznie i łatwo uwierzyć, że młodsza siostra, której szczególne przywiązanie do Tomka narrator ustawicznie podkreśla, uwielbia brata za jego

różnorodne umiejętności praktyczne (sama jest takich talentów pozbawiona) oraz za sam fakt, że jako przyszyły mężczyzna będzie miał w ich świecie rozległe możliwości działania. Nie zazdrości mu lepszych prezentów ani wyższego kieszonkowego, po prostu przyjmuje, że jest kimś od niej lepszym i ważniejszym.

Sygnaly konfliktów między rodzeństwem pojawiają się jednak wcześniej. Madzia nie dość troszczy się o rzeczy brata i nie spełnia sumiennie obowiązków. Raz przez nieuwagę niszczy mu sprzęt wędkarski, kiedy indziej pozwala zginąć z głodu jego królikom, które obiecała karmić, gdy on będzie w szkole. Tych przewinień brat nie wybaczają jej łatwo, ona zaś dotkliwie odczuwa jego ostre wymówki. Niepostrzeżenie brat staje się dla niej najwyższym trybunałem: jego negatywny osąd jej działania i osobowości staje się wkrótce źródłem najboleśniejszych chwil w jej dziecięcej egzystencji.

Bankructwo młynarza zmienia układ ważności głównych postaci, które się teraz rozdzielają. Każde z rodzeństwa prezentowane jest oddzielnie. Szesnastoletni Tomek przerywa edukację, by podjąć pracę w kantorze przedsiębiorstwa, w którym jego wuj jest współnikiem - Jego codzienne doświadczenia w świecie dorosłych nie stają się

XLVI Młyn nad Flossą

jednak przedmiotem narracji, są tylko najogólniej wspomniane. Zmiany psychiczne, jakie w nim zachodzą, wskazane są jedynie pośrednio poprzez jego stosunek do rodziców, siostry i dalszych krewnych, których pomocy szuka, mimo iż traktują go tak szorstko, jak to przewiduje ich kodeks zachowań rodzinnych.

Przesunięcie Tomka na dalszy plan jest naturalną konsekwencją eksponowania w drugiej połowie powieści elementów psychologicznych. Wiele miejsca zajmuje tu prezentacja zmian psychicznych, jakie pod wpływem bankructwa zachodzą w osobowości młynarza i jego żony, a także osamotnionej teraz Madzi. Nabierają znaczenia refleksje starszych Tulliverów nad własnym losem i ich próby dostosowania się do nowej sytuacji, której zmienić nie mogą.

Tomek oddaje się rozmyślaniam rzadko, bo coraz wyraźniej wyrasta na Dodsona i zgodnie z tradycją tej rodziny woli działać niż myśleć. Taką zresztą misję składają na jego barki rodzice: ma usunąć plamę, jaką na honorze Tulliverów pozostawiło bankructwo, spłacić długi i - jeśli nadarzy się sposobność - wyrzucić zemstę na Wakemie, który wygrał sprawę sądową z jego ojcem, doprowadzając w ten sposób pośrednio do ruiny młynarza. Ma też kiedyś przywrócić rodzinie jej dawną pozycję w okolicy.

Wszystkie te obowiązki synowskie zgodne są z wiktoriańskim etosem. Pojęcia i ideały angielskiego drobnomieszczanstwa wytyczają chłopcu drogę życiową, którą on w pełni akceptuje, co zmniejsza dotkliwość jego przeżyć w tym trudnym okresie. Tomek nie przeżywa więc rozterek właściwych wiekowi dojrzewania; z dziecka przeistacza się od razu w młodego mężczyznę, świadomego własnych celów, ale z tego też powodu dewaluuje się częściowo jako główny bohater. Rozwój tej postaci rozmija się więc z narastającą tendencją do pogłębiania analizy psychologicznej w powieści i chyba taki był zamysł artystyczny.

Tomek, jako typowy reprezentant swej warstwy, nie mógł stać się zadowalającym przedmiotem analizy psychologicznej. Dlatego też od chwili rozpoczęcia dorosłego życia będzie obecny w powieści tylko jako niezbędna część duetu siostra- brat.

Zmiana pozycji Tomka, a z nią częściowa utrata ważności przez tę postać, dokonuje się w księdze IY, która stanowi pomost między erą

SIOSTRA I BRAT

XLVII

dostatku w życiu Tulliverów a erą ostrej walki o byt. W rozdziale II tej księgi występuje tu jeszcze raz wzajemne skonstrastowanie brata i siostry. O Madzi, zabranej teraz z pensji, samotnej, błakającej się bez celu po ogołoconym wskutek licytacji domu (meble i wszystkie wartościowe przedmioty zostały sprzedane na pokrycie długów) mówi narrator, że wyrósłszy

w potrójnym świecie Konkretu, Książek i Snów na Jawie [...] na swój wiek była dziwnie dorosła pod każdym względem, z jednym wyjątkiem - brakowało jej zupełnie owej rozwagi i opanowania, dzięki którym Tomek osiągnął męskość już wtedy, kiedy intelektualnie był jeszcze dzieckiem, (ks. IV, rozdz. II)

Na tym etapie różnicuje się także stosunek narratora do pary bohaterów. Madzia obdarzana jest żywym współczuciem; podkreślono monotonię jej życia, stałe, ujemne oddziaływanie na nią posepności rodziców, brak przyjaciół, brak perspektyw na przyszłość. Młoda dziewczyna żyje w intelektualnej i emocjonalnej próżni, nie ma "odzewu na swą czułość ani od ojca, ani od Tomka - od swoich dwóch bożyszczy" (ks. IV, rozdz. II). Goście bywają w tym domu rzadko i przychodzą na krótko, by nie objadać domowników.

Jest oczywiste, że bohaterka pragnie uciec od tych posepnych warunków życia i gdy nadarzy się sposobność, przyjmie z wdzięcznością przyjaźń zaoferowaną jej przez Filipa Wakema, syna człowieka, którego nienawidzi jej ojciec i brat. Po odnowieniu ich dziecinnej znajomości Madzia nie czuje do niego niechęci, przeciwnie, Filip jawi się jej jako przybysz z innego, piękniejszego świata, w którym istnieją muzyka, obrazy i sprawy ducha. Rozmowy z nim i przynoszone przez niego książki stają się dla niej jedyną możliwością chwilowej ucieczki od brzydoty i ubóstwa jej życia. Odkrycie przez Tomka ich potajemnych spotkań wywoła jego gwałtowną reakcję i zakaz ich kontynuacji. Gdy siostra ponownie postąpi wbrew jego pojęciom o honorze rodziny, tym razem w związku z osobą narzeczonego kuzynki, Tomek odtrąci ją ostatecznie, nie dając jej możliwości wytłumaczenia swego zachowania. Dzieje się to już po śmierci młynarza, kiedy brat jest głową rodziny i - według wiktoriańskich pojęć - jego potępienie dziewczyny oraz wyrzucenie jej z domu piętnuje ją w oczach społeczeństwa.

Młyn nad Flossą XLVIII

stwa. Dołączy się do tego jej rozpacz z powodu utraty miłości brata. Mur, jaki od tej chwili ich rozdziela, mogą skruszyć już tylko okoliczności nadzwyczajne. Powódź, która stanowi finał, nie została więc wprowadzona jedynie dla efektu. Uzasadnia ją narastające pod koniec powieści napięcie dramatyczne, wróżące katastrofę.

Tak zarysowaną fabułę można odczytać jako tragedię wpisaną w konwencję powieści wiktoriańskiej, jak to czyniło wielu współczesnych pisarki. Jej elementy układają się w logiczną całość: miłość siostry i brata, odmienne niż innych członków jej środowiska potrzeby inteligentnej i wrażliwej dziewczyny, nieuchronne próby wyrwania się z ciasnego, jałowego duchowo świata przy równoczesnej niemożności zerwania więzów z przeszłością, domem rodzinnym, uwielbianym bratem. Tomka w konflikcie z siostrą wspomaga odziedziczona po Dodsonach surowości niewzruszone przekonanie o własnej racji, jakie cechuje ludzi jego pokroju. Odtrąca siostrę, gdy uważa, że jej postępowanie hańbi rodzinę i nie ma w narracji sugestii, że krok ten jest jego osobistą tragedią. Tragiczny los mógłby więc stać się tylko udziałem Madzi. Ale jaki tragiczny los? Wobec narosłych pod koniec powieści komplikacji i rozłamu między nią a bratem właściwym zakończeniem - jak się wydaje - jest śmierć bohaterki.

Śmierć samobójcza byłaby jednak pogwałceniem prawdopodobieństwa ze względu na właściwości psychiczne i uwarunkowania społeczne bohaterki. Zresztą byłaby niemożliwa w ogóle w angielskiej powieści tego okresu. Wprowadził ją wyjątkowo - nadto w sposób jedynie aluzyjny i w zastosowaniu do postaci drugoplanowej - George Meredith w wydanej w roku 1859 powieści *The Ordeal of Richard Feverel* (Próba ogniowa Ryszarda Feverela), i spotkało się to z chłodnym przyjęciem. George Eliot mogła uciec się do rozwiązania najczęstszego w powieściach z finałem melodramatycznym: nagłej i fatalnej w skutkach choroby bohaterki. Zamiast tego wybrała żywioł, kończąc książkę mocnym akordem dramatycznym: śmiercią obydwu głównych postaci.

Portret angielskiego drobnomieszczaństwa. Była już mowa o tym, że na początku powieści dzieci Tulliverów w niczym nie przypominają

PORTRET ANGIELSKIEGO DROBNOMIESZCZANSTWA

XLIX

samotnych małych istot ze stron wielu wiktoriańskich powieści. Są mocne, normalne na swój wiek i otoczone liczną rodziną. Ale właśnie dlatego, że żyją w kręgu rodziny, mentalność i system wartości postaci drugoplanowych jest kluczem do zrozumienia ich własnych osobowości w wersji dorosłej.

Charakteryzując rodziców i krewnych Madzi i Tomka trzeba podkreślić dość istotną odmienność Tulliverów, odgrywających mniejszą rolę, i Dodsonów, z których wywodzi się młynarzowa, i którzy w powieści dominują zarówno liczbowo, jak i pod względem ważności. Majątkowo te dwie rodziny są zbliżone, należą również do tej samej warstwy. Tulliverowie od pięciu pokoleń są właścicielami młyna w Dorlcote; trzy siostry Bessy Tulliver mają za mężów: współwłaściciela olejarni, właściciela folwarku i byłego handlarza wełną, który wycofawszy się z interesów ulokował gotówkę korzystnie na hipotekach. Jednakże jeśli chodzi o temperamenty, Tulliverowie i Dodsonowie są zupełnie odmienni. Tym pierwszym nie wiedzie się w życiu, mają bowiem w sobie żywiołowość, zdolność do miłości i nienawiści, wreszcie niechęć do oglądania się na konsekwencje swego działania, jeśli podyktowane jest ono emocjami. Ci drudzy braki wyobraźni i małą uczuciowość kompensują wytrwałością, rzetelnością w pracy, umiejętnością kalkulacji i bezwzględną lojalnością w stosunku do innych członków rodziny. Są w sposób doskonały podporządkowani regułom życia zbiorowego, dzięki czemu cieszą się szacunkiem swej warstwy. Ogół widzi w nich wzór rodziny drobnomieszczańskiej, kwintesencję jej cnót.

Sam nie pozbawiony dumy rodowej, młynarz uznaje w pełni wyższość Dodsonów. Są to bowiem ludzie sukcesu, płynącego z ich Przystosowania społecznego, w gruncie rzeczy zaś i Tulliverowie, i Dodsonowie mają ten sam system wartości, w którym dobra Materialne odgrywają ważną rolę jako widomy znak wysokiej pozycji społecznej, natomiast sprawy duchowe i dla jednych, i dla drugich pozostają abstrakcją i stanowią ledwie margines życia. Słuszność metody postępowania Dodsonów zostaje potwierdzona ich powodzeniem życiowym. Młynarz uznaje uprzywilejowaną pozycję żony nie ze

4 BN 11/234 G. Eliot: Młyn nad Flossą

L Młyn nad Flossą

względu na jej własny, trafny sąd, lecz dlatego że pochodziła "z rodziny Dodsonów, naprawdę bardzo godnej, może najbardziej albo prawie najbardziej szanowanej w parafii" (ks. I, rozdz. VI). To ogólne stwierdzenie zostaje natychmiast uzupełnione przez narratora szczegółami: oto rodzina ta miała własne, specjalne sposoby na wszystko: "specjalny sposób bielenia płótna, robienia wina porzeczkowego, specjalny sposób peklowania szynek i przechowywania agrestu w butelkach" (tamże). Narrator sugeruje tu z lekką ironią, że siła rodziny leży nie w osiągnięciach jej poszczególnych członków, ale w jej stałym i nieomylnym działaniu jako zbiorowości, mającej na celu głównie korzyść ekonomiczną.

Ten motyw jest wyeksponowany w powieści dosyć wyraziście. Oto każdy Dodson rodzi się jak gdyby z polisą ubezpieczeniową: ilekroć znajdzie się w trudnościach, pozostali członkowie rodziny pospieszają mu z pomocą, choć nie okażą mu przy tym miłości ani współczucia, Dodsonowie bowiem nie pielęgnują sfery emocji, jako społecznie nieprzydatnej. W dalszej części charakterystyki Dodsonów czytamy:

Kiedy ktoś z rodziny znalazł się w kłopotach lub zachorował, wszyscy natychmiast przyjeżdżali do nieszczęśnika, zazwyczaj naraz, i nigdy nie wahali się powiedzieć mu w oczy niemilej prawdy, jaką im dyktowały zdrowe uczucia rodzinne. Jeśli cierpiętnik sam był winien swoich kłopotów lub choroby, Dodsonowie nie zwykli tego przed nim ukrywać, (ks. I, rozdz. VI)

Ton wypowiedzi narratorskich odnoszących się do Dodsonów - a jest ich wiele, szczególnie w księdze I i IV ma charakter łagodnie ośmieszający, nie pojawiają się w nim jednak akcenty ostrej satyry. Dodsonowie są obficie wykorzystywani jako źródło komizmu nie całkiem może w stylu Dickensa, który swego Pickwicka czy Micawbera otacza ciepłą sympatią narratorską, ale są też niezmiennie ukazywani jako reprezentanci swej klasy. Prawda, że najstarsza z sióstr, ciotka Glegg, uważająca siebie za głowę rodziny i skarbnicę rodzinnych cnót, katastroficzna ciotka Pullet, a także mężowie obydwu tych dam mają swoje indywidualne śmieszności i dziwactwa, ale razem odsłaniają system wartości swej klasy, jej walory i jej niedostatki. Podstawową cechą jednoczącą rodzinę jest głębokie poczucie wartości przedmio-

PORTRET ANGIELSKIEGO DROBNOMIESZCZAŃSTWA

LI
tów, których właściwe użytkowanie samo przez się czyni jednostkę ludzką także wartościową. Paradoks tkwi w tym, że owo właściwe użytkowanie polega na pieczołowitym przechowywaniu cennych przedmiotów za życia i właściwym rozdzieleniu ich w testamencie. Nie po to się je bowiem gromadzi, by czerpać przyjemność z ich użytkowania, co doskonale ilustruje pani Glegg, zachowująca urodę w dojrzałym wieku, ale jawiąca się Tomkowi i Madzi jako "szczyt ohydy" częściowo przynajmniej z powodu okropnego ubrania. Narrator przyznaje:

strój nie dodawał jej wdzięku, chociaż, jak często podkreślała, niewiele kobiet kupowało rzeczy w tak dobrym gatunku. Nie miała jednak zwyczaju nosić nowych sukien, póki nie wydarła starych, (ks. I, rozdz. VII)

Mentalność Dodsonów dopuszcza jedynie wykonywanie czynności pożytecznych, na przyjemność zaś patrzy z podejrzliwością. Przyjemność może być tolerowana jedynie wówczas, gdy ubocznie przynosi pożytek. Dlatego też pan Glegg wycofał się wprawdzie z interesów, by odpoczywać, ale stwierdziwszy natychmiast, że odpoczywanie jest męczące, zabrał się do uprawiania własnego dużego ogrodu, co żona akceptuje ze względu na korzyści, jakie jego działalność przynosi w gospodarstwie domowym.

Te delikatnie ośmieszające komentarze narratora w księdze I wydają się nie mieć na razie innego celu niż wyposażenie w rysy komiczne szeregu postaci drugoplanowych. Jednakże ich szczególne ukierunkowanie, aby raczej scharakteryzować całą warstwę niż jej pojedynczych przedstawicieli, staje się wkrótce oczywiste, narrator bowiem nie tylko z wyraźną intencją zaludnia tworzony przez siebie świat powieściowy, ale również analizuje go pod względem socjologicznym, wskazuje czynniki historyczne i ekonomiczne, które ukształtowały prezentowane postaci w taki a nie inny sposób. Szczególnie ważny jest stosunek ludzi do pieniędzy, które są w tym świecie podstawowym miernikiem Wartości. Postacią w powieści najbardziej w tym względzie typową jest Pan Glegg, określony otwarcie jako człowiek skąpy, aczkolwiek nie ma w tym stwierdzeniu przygany narratorskiej. Skąpstwo nie przeszkadza mu być miłym dla ludzi, którym bez obłudy wyraża swą

LII Młyn nad Flossą

życzliwość, choć nigdy nie przyszedłby nikomu z pomocą, gdyby miał w ten sposób uszczuplić swój własny stan posiadania. Jego krewni, sąsiedzi i znajomi też zresztą tego nie oczekują, całą tę społeczność łączy bowiem utrwalony od dawna system wartości. On to stanowi o traktowaniu pieniędzy jako głównego miernika szacunku przyznawanego jednostce przez współobywateli. Jeśli zaś pieniądze są tak ważne, to człowiek skory do ich wydawania lub zbyt szczodry dla innych nie mógłby zyskać zaufania społecznego.

Wizerunek pana Glegga ukazany jest na szerokim tle, choć jest to postać drugoplanowa. Narrator nie ogranicza się do scharakteryzowania go pokrótce, lecz sięga do niedawnej historii, by stwierdzić, że jest on typowym produktem ówczesnych warunków ekonomicznych. W swoim pokoleniu stanowi wzorzec. Ludzie tacy jak on dowiaduje się

czytelnik - trzydzieści lat wcześniej wszyscy codziennie dokonywali groszowych oszczędności.

Ten niewzruszony zwyczaj oszczędzania - dodaje narrator jako cel sam w sobie, był w poprzednim pokoleniu cechą przedsiębiorczych ludzi interesu, którzy majątki swoje robili tak wolno, jak pies gończy idzie po tropie lisa. Zwyczaj ten stworzył z nich "rasę" niemal niespotykaną w dzisiejszych czasach prędkiego zdobywania majątku, (ks. I, rozdz. XII) Jest to jeden z wielu przykładów podkreślenia nie tylko typowości postaci, ale także socjologicznej prawidłowości ich działania. Narrator przeistacza się częstokroć w analityka procesów społecznych, które znajdują swoje odbicie w działaniu jednostek. I tak walka adwokata Wakema z Tulliverem została porównana do ataku szczupaka na płotkę. Nie ma tu więc naprawdę - wyjaśnia narrator - równej walki, jest żerowanie większej ryby, której ofiarą niechybnie padnie mniejsza. Inny finał byłby niemożliwy. Jest to prawidłowość biologiczna, ale i społeczna. Przyjaźń ze Spencerem - jak widać - pozostawiła ślady w poglądach społecznych George Eliot. Narrator daje wyraz tym koncepcjom.

Jednakże narracja zobiektywizowana, odwołująca się do przebiegu procesów społecznych, wskazująca na zdeterminowanie działania jednostkowego przez te procesy, nie zawsze następuje po scenach

PORTRET ANGIELSKIEGO DROBNOMIESZCZAŃSTWA

LIII

rodzinnych, zręcznie wyzyskujących komizm postaci drugoplanowych. Narrator przemawia jeszcze innym głosem; występuje mianowicie jako obrońca angielskiego drobnomieszczaństwa.

Obrona Dodsonów umieszczona jest w samym środku powieści, w pierwszym rozdziale krótkiej, bo składającej się z trzech tylko rozdziałów, księgi IV (powieść podzielona jest na siedem ksiąg). Księga IV nosi tytuł Dolina Upokorzenia i opisuje losy rodziny Tulliverów po bankructwie młynarza. Ton opowieści jest tu bardzo odległy od nasyconej delikatnym komizmem pierwszej połowy utworu, którą wypełniają sceny z życia rodzinnego w domu młynarza charakteryzujące jego samego, Tomka i Madzie oraz społeczeństwo będące tłem ich działania. Księgę IV otwiera rozdział pt. Odmiana protestantyzmu nie znana Bossuetowi poświęcony refleksjom narratora i dialogowi z czytelnikiem, którego opinie na temat klanu Dodsonów oraz rodziny Tulliverów narrator stara się przewidzieć.

Przewiduje więc, że brak aspiracji duchowych cechujący rodziny Dodsonów i Tulliverów, prozaiczność życia i przyziemność ich ideałów usposobi czytelnika do nich niechętnie. W jego oczach, domyśla się narrator, życie ich jawić się może jako mrówcza egzystencja. Z tym odczuciem narrator się zgadza, broni ich jednak stwierdzając:

W ich teorii życia tkwiło zdrowe ziarno, boć musi ono tkwić we wszystkich teoriach, na których wychowały się i rozkwitły przyzwoite i zamożne rodziny, (ks. IV, rozdz. I)

Argument narratora wskazuje, że jego poglądy (w tej konwencji powieściowej identyczne z poglądami autora) wyrastają z długiej tradycji pragmatycznego myślenia brytyjskiego. Inaczej mówiąc, światopogląd Dodsonów ma na swoją obronę to, że sprawdził się w praktyce. Nie tylko osiągnięcia ekonomiczne jednak usprawiedliwiają w oczach narratora postawę życiową Dodsonów. Przemawia za UTU także głęboki konserwatyzm, który narrator pochwala. Tak też chyba należy odczytać aprobatywne, choć zabarwione ironią stwierdzenie:

"Religia Dodsonów to po prostu cześć dla wszystkiego, co szacowne tradycyjne: trzeba być ochrzczonym, bo inaczej nie pogrzebią człowieka na

Młyn nad Flossą

amentarzu, i trzeba przyjąć przed śmiercią sakramenty, jako zabezpieczenie przed dość mgliście rozumianymi niebezpieczeństwami. Lecz równie jest konieczne, aby właściwi ludzie nieśli końce całunu i żeby szynka na stypę była dobrze zapeklowana. (tamże)

Poszanowanie tradycji jest wielokrotnie wymienione jako naczelną cnotą Dodsonów. Ono to właśnie jest źródłem ich dumy. A mogą być dumni, bo są to ludzie, którzy robią wszystko zgodnie z wyznaczonymi przez tradycję obowiązkami i dlatego nie zniosą niczyjej przygany. Mają w sobie wiele faryzejskiego samozadowolenia, ale - podkreśla narrator - nie ma w nich ani krzty hipokryzji. Nie chcą się wydawać ani lepsi, ani bogatsi niż są naprawdę. Ich "autentyczność" - by znowu użyć określenia narratora - jest także ich cechą dodatnią.

Wreszcie następuje takie oto podsumowanie ich zalet i niedostatków:

zarówno grzechy, jak i cnoty były pewnymi stadiami dumnego, uczciwego egoizmu, który żywił serdeczną niechęć do wszystkiego, co przeciwiało się jego znaczeniu i interesom. Dla uciążliwych krewnych było się szczerze twardym w mowie, lecz nigdy by się ich nie opuściło [...] - nie pozwoliłoby się im głodować, żądałoby się tylko, by jedli chleb rodzinny zaprawiony goryczą, (tamże)

Nie ulega wątpliwości, że ostatecznie z tych rozważań wyłania się pozytywna ocena warstwy drobnomieszczańskiej zaprezentowanej w powieści. I nie ma w tym niczego dziwnego; autorka wzorowała Dodsonów na własnej rodzinie, dla której zasad do końca życia zachowała szacunek, nawet gdy sama te zasady porzuciła. Na początku XIX wieku rodziny takie, jak Evansów, dzięki własnej przedsiębiorczości zmieniały oblicze angielskich miast i ich okolic. Fikcyjne miasto St. Ogg's to Coventry, poddane pewnej kosmetyce geograficznej i przesunięte na północno-wschodni kraniec Anglii. Tło przestrzenne akcji zostało zmienione, ale ludzie, których George Eliot znała w dzieciństwie pozostali takimi, jakich ich pamiętała i przeistoczyli się w postaci drugoplanowe²⁴.

Narrator wypowiada poglądy Marian Evans, kiedy chwali tych

-? Tę metodę twórczą, polegającą na znalezieniu właściwego języka opisowego dla zapamiętanego świata, nazywa J.P. Micgowan "prostym realizmem" i odróżnia go od późniejszego "realizmu wizyjnego". Przykładem pierwszej odmiany jest według niego Młyn nad Flossą, drugiej - Middlemarch (The Tum of George Eliot's Realism, "Nineteenth-Century Fiction" 1980, nr 2, s. 171-192).

PODZIAŁY MIESZCZAŃSKIEGO ŚWIATA

LV

ludzi za ich rzetelność w pracy, nieukrywaną gotowość do zdobywania dóbr materialnych oraz konserwatyzm, który gwarantował trwałość systemu politycznego i wykluczał wstrząsy, jakich areną była wcześniej sąsiednia Francja. Wobec tych cech pomniejszana jest celowo waga ukazanego wcześniej materializmu Dodsonów, ich braku tolerancji, ciasnoty umysłowej, ubóstwa życia duchowego. Narrator wybacza im wiele i taką ocenę ich warstwy podsuwa czytelnikowi w tej części tekstu powieści, gdzie zwraca się do niego wprost. Paradoksem jest jednak, że fabuła na pierwsze miejsce wysunie niedostatki Dodsonów i one to skomplikują sytuację pary młodych bohaterów tak, iż jedynym wyjściem będzie śmierć obojga.

Podziały mieszczańskiego świata. Odczytanie Młyna nad Flossą jako tragedii przykrojonej do konwencji powieści realistycznej XIX wieku pozostawia poza zasięgiem dyskusji drugą ważną tu sferę problemów: zagadnienia społeczno-obyczajowe. Istotna jest przecież w tym utworze rola narratora, który stara się nie tylko komentować wydarzenia i ujawniać motywacje postaci, ale także wskazywać społeczne uwarunkowania ich działań. Była już mowa o tym, że narrator przybiera czasem postawę uczonego i odwołuje się w swej analizie do prawidłowości socjologicznych wszelkiego ludzkiego działania, choć kiedy indziej wskazuje na szczególne uwarunkowania historyczne odnoszące się tylko do epoki i społeczności, którą prezentuje²⁵.

Zanim jednak zajmiemy się szczegółowiej zagadnieniem komentarzy narratorskich, przyjrzyjmy się aspektowi socjologicznemu samego świata przedstawionego. Naciski społeczne znajdują odbicie w sytuacji wszystkich ważniejszych postaci, szczególnie łatwo

odnaleźć je jednak w sytuacji Madzi, będącej w większym stopniu niż jej brat ofiarą własnego środowiska, w którym nie jest w stanie żyć pełnią życia. Wyjście z niego byłoby dla pięknej dziewczyny możliwe tylko przez małżeństwo. Taki wniosek nasuwa lektura, a potwierdza znajomość

Ważność tej postawy narratorskiej podkreśla G. Martin w pracy "The Mill on the Floss" and the Unreliable Narrator w: George Eliot: Centenary essays and an Unpublished Fragment, pod red. A. Smith, London 1980, s. 42.

Młyn nad Flossą

LVI

realiów wiktoriańskiego świata. Toteż gdy dwukrotnie rysuje się szansa na rozpoczęcie życia w innych, mniej ograniczających osobowość dziewczyny warunkach, wiąże się ona z postacią mężczyzny. Raz szansę taką oferuje Filip, drugi raz - Stefan Guest. Obaj pochodzą ze świata odmiennego od świata Dodsonów; każdy z nich jest inny, ale każdy jest z innego powodu niewłaściwy jako kandydat na męża Madzi.

Filip jest mimo młodości w pewien sposób "oderotyzowany" ze względu na kalectwo: jest garbaty. Nie zostałby też nigdy zaakceptowany przez Tomka. Ale niezależnie od tego jest to postać niezmiernie wysublimowana przez cierpienie spowodowane upośledzeniem fizycznym, a także przez szczególną wrażliwość estetyczną, talent malarski i wysoką kulturę osobistą. Filip nie jawi się dziewczynie nigdy jako przyszły towarzysz życia, ale jako mędrzec i nauczyciel, który rozumie ją lepiej, niż ona sama siebie rozumie^{2S}; trafnie odczytuje jej wady, wśród których naczelną jest talent do samoudręczenia, i przewiduje, że w przyszłości jej gotowość do wyrzekania się wszystkiego, co jest najgłębszą potrzebą jej natury, doprowadzi do katastrofy. Jest to jednak postać odgrywająca szczególną rolę. Trudno więc uznać Filipa za typowego przedstawiciela kręgu zamożnego, wykształconego mieszczaństwa, z którego się wywodzi.

Tu wydaje się konieczne przypomnienie, że mieszczaństwo angielskie, określane bardziej ogólnie jako klasa średnia, było w XIX wieku już dość znacznie zróżnicowane. Jego górna warstwa - the upper middle class - obejmowała przemysłowców, ludzi interesu, ale także przedstawicieli wolnych zawodów, którym się w życiu powiodło, znanych pisarzy, wydawców, właścicieli dobrze prosperujących gazet. Warunkiem należenia do tej warstwy była zamożność, choć cenionym dodatkiem były też związki rodzinne ze szlachtą. Wielu jej przedstawicieli legitymowało się gruntownym wykształceniem i zajmowało się kulturą, co w innym kraju oznaczałoby, że zaliczeni byłiby do inteligencji.

Filip należy do tego właśnie kręgu, ale występuje w powieści w izolacji,

²JPor. B. Hardy, op. cit., s. 51.

PODZIAŁY MIESZCZAŃSKIEGO ŚWIATA

Lvii

nie ma własnego świata i nie prezentuje nowego programu dla kręgu Dodsonów. Typowy przedstawiciel tej warstwy pojawia się dopiero w księdze VI. Jest nim Stefan Guest, nieoficjalny jeszcze narzeczony ciotecznej siostry Madzi, Lucy Deane, do której przybywa w odwiedziny panna Tulliver, ucząca na pensji w innej miejscowości. Lucy mieszka w St. Ogg's z ojcem i owdowiałą panią Tulliver, która teraz prowadzi dom swych zamożnych krewnych. Lucy - podobnie jak Madzia - wywodzi się przez matkę z Dodsonów, ale dzięki lepszej sytuacji majątkowej i dobrym widokom małżeńskim jest przyjmowana i odwiedzana przez miejscowe "towarzystwo", jak narrator nazywa zamożne rodziny mieszczańskie w St. Ogg's (gdzie indziej określa je jako "dobre towarzystwo"). W domu kuzynki córka zbankrutowanego młynarza po raz pierwszy poznaje ludzi, którzy żyją w dostatku, otoczeni służbą, zajęci tylko własnymi przyjemnościami. Niebawem jest tym światem oczarowana. Narrator ma jednak o "dobrym towarzystwie" inne zdanie i szkicując sylwetkę Stefana, jedyne go pełniej zaprezentowanego przedstawiciela tego świata, tworzy wizerunek, w którym

cechy ujemne przeważają nad dodatnimi i są to cechy równie wyraźnie ukształtowane przez środowisko, jak skąpstwo i brak ogłady Dodsonów.

Wystarczy przeczytać początkowy akapit rozdziału I księgi VI, by zorientować się, że Stefan został przedstawiony jako mieszkaniec innego świata niż Dodsonowie i Tulliverowie, i że narrator nie darzy tego świata sympatią. Akapit wypełnia scena przekomarzania się zakochanej pary, w co wpleciony jest następujący opis:

Wytworny młodzieniec, wychylający się z fotela [...] - to nie kto inny jak Pan Stefan Guest, a jego pierścień brylantowy, różane perfumy oraz nonszalanckie rozleniwienie o godzinie dwunastej w południe są wdzięcznym i wonnym rezultatem posiadania największej olejarni i najruchliwszej przystani w St. Ogg's. (ks. VI, rozdz. I)

Ponieważ pominięte są w tym wstępnym opisie postaci cechy fizyczne, za które człowiek nie odpowiada, wymieniony jest natomiast Pierścień i szczególnie kosmetyki młodego człowieka, z podkreśleniem ostentacyjności nowobogackiego w doborze tych dodatków, nie ulega wątpliwości, że narrator ocenia go ujemnie. Warto tu zacytować interpretację amerykańskiego badacza, który - komentując ten

Młyn nad Flossą

LVIII

właśnie fragment tekstu - pisze tak oto o widocznym tu stosunku narratora do postaci: W pierwszych dwu trzecich powieści nie brak postaci antypatycznych, w tym miejscu pojawia się jednak nowy rodzaj dystansu i ironii w opisie Stefana, w którym niemal pobrzmiwa już wrogość. Stefan zostaje natychmiast postawiony z dala od wszystkich innych postaci. Ten stan rzeczy jest po części wynikiem nagłej zmiany tonu, jak gdybyśmy przenieśli się w inny świat, a nawet w inną powieść²⁷.

W dalszej części rozdziału i rozdziałach następnym Stefan ukazany jest jako przystojny młody człowiek o nienagannych manierach, z pewną wiedzą o tym, co się akurat śpiewa w miejscowych salonach i znajomością książek, o których się w nich mówi. Słowem - dyletant pozujący na światowca. Dla uzupełnienia pojawiają się stwierdzenia narratorskie, że jest leniwy, nonszalancki, powierzchowny w swej wiedzy, zarozumiały. Czasem oceny te nie są wypowiedzane głosem narratora, ale wtedy można podobny wniosek wysnuć z wypowiedzi samej postaci w dialogu lub jej działania w scenach o charakterze dramatycznym.

Nie jest zaskoczeniem, że narrator ocenia krytycznie Stefana i - przez implikację - warstwę, z której ten się wywodzi. Już wcześniej wypowiedzi zwrócone do czytelnika wyrażały taką opinię.

Najostrzejszy atak, w postaci długiego fragmentu odnarratorskiego, pojawia się w rozdziale III księgi IV. Po epizodzie prezentującym uniesienie Madzi podczas lektury kupionego u kramarza, starego tomu pism mistyka średniowiecznego, św. Tomasza a Kempis, narrator przerywa tok opowiadania, by rozważyć, czym jest dla człowieka duchowa pociecha i komu najbardziej jest potrzebna. Wyjaśnia też, że pisząc o wszystkich biednych, strudzonych i pragnących pociechy nie można uniknąć nuty patosu, co z pewnością nie przypadnie do gustu "wyższym sferom". Ale - kontynuuje -

dobre towarzystwo [...] jest czymś bardzo kosztownym: wymaga ono ni mniej, ni więcej tylko tego, by wielki i prężny naród zamknął się w ogłuszających, cuchnących fabrykach, gniótł się w kopalniach, zalewał się potem przy piecach, tłukł, walił kilofem, tkął wdychając mniej czy bardziej szkodliwe wyziewy

27N. Roberts, op. cit., s. 98.

PODZIAŁY MIESZCZAŃSKIEGO ŚWIATA

LIX

kwasy węglowe - lub też by się ten naród rozproszył po pastwiskach, po samotnych domach i chatkach na gliniastych czy kredowych ziemiach, posepnych w dni deszczowe. Życie

tego wielkiego narodu opiera się w całości na patosie, patosie biedy, która każe ludziom wykonywać czynności niezbędne dla istnienia dobrego towarzystwa i delikatnej ironii. Ludzie ci przeżywają ciężkie lata w chłodzie, pośród domowego zgiełku, którego nie tłumią długie korytarze ani dywany. W takich warunkach wiele spomiędzy miliardów dusz nie należących do dobrego towarzystwa ma absolutną potrzebę patosu wiary: nawet osoby nie zajmujące się spekulacją myślową przyznają, że tak przykre życie wymaga jakichś środków zaradczych, (ks. IV, rozdz. III)

Ten długi fragment (i tak dość znacznie tu okrojony), umieszczony w samym środku powieści, nie ma wprawdzie oczywistego związku z tokiem narracji, nie można go jednak traktować jako nawiasowej refleksji czy objawu narratorskiego gadulstwa, nierzadkiego w powieści tej epoki. Jest on bowiem istotny dla koncepcji powieści. Często też zastanawiają się nad jego funkcją badacze Młyna nad Flossą. Nie można go pominąć, jeśli chce się ustalić kryteria wartości ludzkiej egzystencji, stosowane przez narratora w świecie tej powieści. Teoretycznie proponowany podział ludzi jest prosty: ci, którzy się trudzą, a dostają tylko niewielką część wartości swej pracy, i ci, którzy żyją w luksusie nie robiąc nic. Ci pierwsi stanowią ogromną większość, ci drudzy - nieliczną grupkę, która w dodatku przypisuje sobie szczególną wartość.

Jaki jednak zastosować podział zaprezentowanych tu postaci fikcyjnych? Przedstawicielei wyzyskiwanej większości, ciężko pracującej i pomnażającej bogactwa innych, reprezentują dwie lub trzy postacie, głównie robotnicy zatrudnieni w młynie, a więc nie ci, których los jest najcięższy. Pan Glegg istotnie ciężko pracuje we własnym ogrodzie, co jego żona toleruje tylko dlatego, że nie muszą zatrudniać dwu ogrodników, nie jest więc do tego zmuszony okolicznościami. Tulliverowie nawet po bankructwie nie mieszkają w walącej się chacie, ale w dostatnim domu. Tomek nie pracuje w "cuchnącej fabryce", ale w kantorze, zaś Tulliver senior, choć z poczuciem upokorzenia, bierze - po utracie młyna - posadę jego zarządcy. Uznaje w ten sposób słusność argumentów żony i jej rodziny, że

Młyn nad Flossą

LX

niełatwo byłoby mu znaleźć inną odpowiednią pracę. Wiódł dotychczas życie łatwe, wiele rozkazując, niewiele pracując i nie potrafiłby poprowadzić żadnego innego interesu, (ks. III, rozdz. IX)

Tulliverów łączy więc ze światem wyzyskiwanych jedynie ubóstwo i konieczność wykonywania pracy dla innych, ale w tej sytuacji znaleźli się częściowo dzięki zapalczywości i pieniactwu młynarza, częściowo zaś dzięki zmieniającej się sytuacji prawnej i ekonomicznej, która ostatecznie doprowadza ich do bankructwa.

Natomiast Dodsonowie, przedstawiciele tej samej warstwy drobnomieszczańskiej, chwaleni przez narratora za pracowitość, czerpią profity częściowo z własnej pracy, częściowo zaś z korzystnej lokaty pieniędzy odziedziczonych i zaoszczędzonych. W ten sposób sami uczestniczą w wykorzystywaniu trudu innych. Surowo krytykowane za bezczynność "dobre towarzystwo" robi to samo na szerszą skalę. Różnica polega na tym, że odziedziczywszy lub zgromadziwszy więcej, członkowie tej drugiej warstwy nie potrzebują już stosować rygorystycznie zasad protestanckiego etosu pracy. Czy są z tego powodu moralnie gorsi? I czy jest to tylko sprawa moralności, a nie - w znacznym stopniu - również stosunków społecznych? Narrator nie zadaje takich pytań, jednakże surowo ocenia tę warstwę. Wydaje się, że sąd ten wynika z faktu, iż sam jest emocjonalnie po stronie Dodsonów, mimo ich rozlicznych braków, które zostały wcześniej ujawnione z całą uczciwością.

Ważne jest jednak nie tyle zaangażowanie narratorskie po stronie jednej grupy postaci, ile jego konsekwencje dla koncepcji głównej bohaterki i naczelnej idei utworu. Istotna w tej koncepcji jest sprawa miłości Madzi do Stefana, jej uwikłanie się w skandal, potem zaś wyrzeczenie się ukochanego, kiedy szkoda została już wyrządzona. Ten fragment powieści

niezmiennie budził kontrowersje zarówno wśród współczesnych pisarki, jak i wśród potomnych²⁸. Ponieważ przeważa opinia, że jest on niezadowolający, że przedstawione tu

28Por. J. Bennett, *George Eliot: Her Mind and Art*, Cambridge 1948, s. 120-121; B.J. Paris, *Experiments in Life: George Eliot's Quest for Values*, Detroit, Michigan 1965, s. 165.

PODZIAŁY MIESZCZAŃSKIEGO ŚWIATA

LXI

wydarzenia wypaczają stworzone wcześniej pojęcie bohaterki, warto spróbować dociec, co powoduje trudności w recepcji.

Niewątpliwie miłość Stefana i Madzi przedstawiona jest w przeważającej mierze z punktu widzenia dziewczyny i z odniesieniem do jej przeszłości. Wypowiedzi Stefana ograniczają się do uczestnictwa w dialogach i jednego listu. Gdy miłość tych dwojga się zaczyna, bohaterka jest już postacią wysoce zindywidualizowaną, ale scharakteryzowaną także poprzez zaprezentowane wcześniej związki rodzinne i społeczne, z natury swej typowe. Tymczasem przedmiot jej miłości jawi się jako typ, zarysowany bardzo ogólnie, a i ten zarys ma pewne znamiona karykatury. Od początku jest tu więc nierówność: Stefan ma odegrać w powieści ważną rolę, jednakże jako postać pozostaje mało wyrazisty, zarysowany w sposób, który byłby właściwy dla postaci drugoplanowej lub nawet epizodycznej. Nie chodzi więc o to, że Madzia kocha człowieka, który nie jest jej wart: taka była często opinia czytelników, lecz o to, że wyraziście nakreślona dziewczyna kocha postać nie w pełni zrealizowaną artystycznie, banalny stereotyp, wyposażony w kilka typowych rysów, pozbawiony przeszłości, wprowadzony z nienacką i nie pogłębiony odpowiednio w scenach dramatycznych, w których się pojawia.

Trudno oprzeć się wrażeniu, że ten młody człowiek zostaje wprowadzony głównie po to, by bohaterka mogła stanąć przed wyborem świata, w którym ma żyć: świata bezczynności, zbytku i nieliczenia się z innymi, lub też świata ubóstwa, umiłowania przeszłości i poświęcenia się dla innych. W kategoriach takiego wyboru przedstawiona jest walka wewnętrzna, tocząca się w niej jeszcze przed wspólną wycieczką łodzią ze Stefanem, wycieczką, która ma mieć tak ważne konsekwencje. Nie ma wtedy w jej myśleniu o Stefanie obrazu konkretnej osoby, są natomiast możliwości, jakie związek z nim otworzyłby przed nią: Chwilami myślała, że bierze w niej górę okrutny egoizm: dlaczego to nie Lucy, dlaczego nie Filip ma cierpieć? Ona musiała cierpieć przez wiele lat, a któż się kiedykolwiek wyrzekł czegoś dla niej? A kiedy w jej zasięgu znalazło się coś, co było równoznaczne z pełnią istnienia: miłość, bogactwo, swoboda, elegancja

Młyn nad Flossą

LXII

- wszystko, czego pragnęła jej natura, dlaczegoż miałaby porzucić to dla kogo innego, dla kogoś, kto może mniej tego potrzebuje? (ks. VI, rozdz. XIII)

Natychmiast jednak pojawiają się wątpliwości: "Czy to życie, które ją kusi, to ta właśnie wyśniona pełnia życia?" (tamże). Ostatecznie bohaterka wyrzeka się błyszczącego świata i księga VI, zatytułowana znacząco: Wielkie Kuszenie, zakończy się decyzją dochowania wierności "wspomnieniom zmagania" i przeczuciu czegoś wyższego niż zwykłe, osobiste zadowolenie" (tamże).

Ucieczką przed "wielkim kuszeniem" jest zatem chyba próba znalezienia pełni życia w dążeniu do własnej perfekcji. Ale i tu rodzą się natychmiast wątpliwości; jeśli bowiem odwraca się bohaterka od świata bogatego mieszczaństwa, z jego snobizmem i zamknięciem w kręgu własnych przyjemności, przyjdzie jej żyć wśród Dodsonów i Tulliverów z ich surowością i ciasnotą, ten zaś sposób życia, przedstawiony plastycznie i przekonująco w pięciu księgach poprzedzających "wielkie kuszenie", nie wydaje się sprzyjać wysiłkom nad doskonaleniem siebie.

Raymond Williams, najwybitniejszy bodaj przedstawiciel podejścia socjologicznego do badań literackich w Anglii, interpretując obraz świata stworzony w Młynie nad Flossą pisze, że przed Madzią nie rysują się naprawdę możliwości osiągnięcia pełni życia w żadnej z tych dwu warstw. Istnieją więc tylko pozory wyboru. Podobnie złudna jest - jego zdaniem - narratorska interpretacja tradycji, którą rzekomo pielęgnują rodziny drobnomieszczańskie. Otóż, stwierdza autor, powieść George Eliot prezentuje istotnie moment kulminacyjny w zachodzących w Anglii po wojnach napoleońskich zmianach ekonomiczno-społecznych. Znika dotychczasowa stabilizacja społeczna i majątkowa, zaś postępujące uprzemysłowienie stwarza jednym ogromne możliwości bogacenia się, popychając równocześnie innych do ruiny. Wolni i niezależni Tulliverowie już przegrywają w starciu z narastającymi komplikacjami prawnymi i nowymi procesami ekonomicznymi, zaś Dodsonowie, wywodzący się z tej samej warstwy drobnych farmerów, przechodzą do interesów, zrazu także drobnych, zachowując z tradycji rodzinnych jedynie nieistotne formułki rytuału życiowe-

DZIEDZICTWO PRZESZŁOŚCI

LXIII

go29, podczas gdy w kwestiach zasadniczych będą niezmiennie ulegać naciskom nowych mechanizmów ekonomicznych. Bez trudu można sobie wyobrazić, że w toku zmian historycznych sami przeistoczą się w bogatych posiadaczy, których synowie i córki będą zwierciadlanym odbiciem późnowiktoriańskich Forsyte'ów.

Ponieważ Madzia nie ma możliwości osiągnięcia pełni życia w żadnym z dwu powieściowych światów, pozostaje jej wyrzeczenie i samotność, zaś w finale - śmierć w nurtach rzeki, nad którą upłynęło jej dzieciństwo. Można to odczytać jako symboliczny powrót w przeszłość. W tej wersji osobista tragedia wydaje się bardziej zdeterminowana przez siły historii, ale śmierć bohaterki jawi się jako rozwiązanie równie nieuniknione. Dziedzictwo przeszłości. Postacie w Młynie nadFlossą dzielą się na te, które żyją dniem dzisiejszym, ewentualnie myśląc jeszcze o swej własnej, jednostkowej przyszłości, i te, dla których istotne są miejsca i ludzie znani od lat oraz pamięć tego, co było i co kształtuje postrzeganie terażniejszości. Podział nie zawsze rysuje się ostro; zdarzają się osobowości mieszane. Niektóre istnieją głównie w terażniejszości i przyszłości, ale z przeszłością wiąże je jakieś jedno głębokie uczucie czy wspomnienie, które je czyni pełniejszymi jako jednostki ludzkie. Są i tacy jak młynarz, którzy pozornie żyją chwilą bieżącą, angażują się w to, co się dzieje teraz z intensywnością właściwą naturom pierwotnym, ale mają równocześnie szczególnie instynkt przeszłości. On to pogłębia ich życie i nadaje mu duchowy wymiar, choć równocześnie utrudnia im przystosowanie się do zmian, jakie nieuchronnie narzuca egzystencja zbiorowa. Sympatia narratora jest Po ich stronie, choć procesy społeczno-ekonomiczne są przeciwko nim. W swoim społeczeństwie należą do mniejszości, która nie ma szans przetrwania, z czego sami niejasno zdają sobie sprawę.

Ważność wyniesionych z dzieciństwa doświadczeń jako podstawy tworzonego stopniowo systemu wartości podkreśla narrator zaraz na

29R. Williams, *The English Novel from Dickens to Lawrence*, St. Albans 1974, s. 68 (wyd. I: London 1970).

Młyn nad Flossą

LXIV

początku powieści. Komentuje tam wakacyjne zabawy Tomka i Madzi, które w ich dziecinnej wyobraźni pozostaną ich głównym zajęciem do końca życia. Pewni są więc, że Zawsze będą się kochać i mieszkać razem. I nigdy nie zmieni się to wszystko, co ich otacza: młyn i jego nieustanny łoskot, wielki kasztan, pod którym bawili się w dom, ich własna mała rzeczka Ripple, nad którą czuli się jak u siebie, (ks. f, rozdz. V)

Na te dziecinne wyobrażenia o przyszłości, która będzie nieprzerwanym ciągiem wszystkiego, co znane, wypróbowane i bezpieczne, spogląda następnie narrator z pozycji

wiedzy o tym, co ma się w dalszym ciągu opowieści wydarzyć dwójce małych bohaterów i co będzie bardzo odmienne od ich idyllicznej wizji, a jednak będzie się z nią zgadzać w jednym ważnym punkcie:

Życie Tomka i Madzi zmieniło się jednak, a mimo to nie zawiodła ich wiara, iż myśli i uczucia tych wczesnych lat zawsze stanowią będą częścią ich samych. Nigdy nie kochalibyśmy tak mocno tego świata, gdybyśmy na nim nie przeżyli dzieciństwa, gdyby to nie był ten świat, na którym co wiosną wyrastają te same kwiaty, jakie zbieraliśmy małymi paluszkami siedząc na trawie, (tamże)

Zwróćmy uwagę, że w tym fragmencie wypowiedź narratorska nie jest jedynie relacjonowaniem wrażeń i poglądów bohaterów, ale przechodzi w końcowym fragmencie zdania w uogólnianie, które dotyczy całego rodzaju ludzkiego. Odczucia pary bohaterów nabierają wymiaru uniwersalnego.

W dalszych rozdziałach ważność zapisu wrażeń z dzieciństwa w umyśle ludzkim i oddziaływania tego zapisu na osobowość będzie systematycznie ujawniana. Ta cecha będzie ostro różnicować postacie, z których jedne - posiadając bogatsze życie emocjonalne - będą do przeszłości przywiązywać dużą wagę, drugie zaś - bardziej egocentryczne - będą ją cenić mniej niż przyszłość, mającą im przynieść osobiste sukcesy.

W świecie dorosłych człowiekiem, u którego zapis przeszłości pozostaje najbardziej plastyczny i odgrywa największą rolę w kształtowaniu postępowania, jest młynarz. Przeszłość, teraźniejszość i przyszłość tworzą w jego umyśle nieprzerwany ciąg. Jego szczególna miłość

DZIEDZICTWO PRZESZŁOŚCI

LXV

do córki jest częściowo odbiciem i kontynuacją miłości do nieżyjącej już matki i do młodszej siostry. Wspominając matkę mówi: "piękna to była kobieta, miała czarne oczy, nasza dziewczuszka będzie kubek w kubek taka sama" (ks. III, rozdz. IX). Miłość do własnego dziecka wpływa też na bardziej opiekuńczą postawę młynarza wobec siostry, która - chorowita i obciążona liczną rodziną - potrzebuje pomocy finansowej. Kiedy Tulliver odwiedza ją z zamiarem odzyskania pieniędzy pożyczonych wcześniej jej i jej mężowi na ratowanie gospodarstwa przed ruiną, patrząc na jej przedwcześnie postarzałą twarz nie może oprzeć się niewesołym myślom na temat niepewnej przyszłości Madzi i trudności, z jakimi będzie się ona musiała borykać, gdy zabraknie ojca. Później, w czasie własnej choroby i bankructwa, jego postawa nie ulegnie zmianie. Nie żałuje, że pożyczył szwagrowi pieniędzy i dodaje: "Moje dzieci nie powinny się martwić, że będą przez to biedniejsze" (ks. III, rozdz. III). Ostatecznie syn, który nie w pełni podziela pietyzm ojca dla przeszłości, uszanuje wolę starszego mężczyzny i zniszczy weksel wuja, by ubogich krewnych uchronić od ruiny. Równie silne jest przywiązanie Tullivera do domu i młyna, gdzie upłynęło jego dzieciństwo. Po bankructwie godzi się podjąć pracę u zniechęconego Wakema częściowo pod naciskiem żony i jej rodziny, głównie jednak dlatego, że nie zdołałby się oderwać od tego, co dotąd było treścią jego życia. W miarę, jak wracają mu siły po chorobie, rośnie w nim potrzeba powrotu do pracy w młynie:

Kiedy młynarz zaczął samodzielnie chodzić i oglądać stare przedmioty, Poczul, że to mocne przywiązanie do sędziwego domu jest jakby częścią składową jego własnego życia, częścią jego samego, (ks. III, rozdz. IX)

Tulliver porównuje następnie siebie do złamanego drzewa; pozostanie tam, gdzie są jego korzenie, choć po klęsce nigdy już nie będzie mógł nosić głowy wysoko. Organiczny obraz drzewa pojawia się w tym rozdziale także w wypowiedzi Łukasza, pomocnika młynarza, którego Tulliverowie traktują prawie jak członka rodziny. Łukasz godzi się pracować u Wakema, choć warunki pracy będą cięższe, bo - wyjaśnia -

5 BN 11/234 G. Eliot: Młyn nad Flossą

Młyn nad Flossą

LXVI

Byłem przy panu dwadzieścia lat. Taki kawał czasu nie przeleci na gwizdnięcie. Drzewa pan też nie zmusi, żeby szybciej rosło, (tamże)

Narrator kontrastuje to wrosnięcie prostych ludzi w glebę z "uczonym zamięłowaniem do włóczęgi", które - "wykarmione książkami podróżniczymi" - pcha ludzi w odległe rejony globu i nie pozwala im zrozumieć prawdziwego przywiązania do miejsca i domu, gdzie wyrosli. Jest w tym komentarzu ukryta narratorska pochwała życia w harmonii z naturą, według wzorca wykształconego w ciągu egzystencji wielu pokoleń, zgodnego z nakazem instynktu, a nie ukształtowanego społecznie obyczaju czy mody zaczerpniętej z książek. Ten obraz zanikłej już formy egzystencji kryje pewno w sobie także echa poezji Wordswortha rozmiłowanego w portretowaniu prostych ludzi, tylko że w drugiej powieści George Eliot świat tych ludzi jest już ginącym światem, a oni sami są bezradni wobec zachodzących wokół nich zmian, które nie sprzyjają tworzeniu się trwałych więzi.

Tulliver nie jest jedyną postacią zapuszczającą korzenie głęboko. Podobnie żyje jego córka. Czuje się tak samo jak ojciec związana z ludźmi wspólnie przeżyтыми chwilami i tak samo drogie są jej przedmioty należące do niej od dzieciństwa. Bolesnym doświadczeniem jest dla niej sprzedaż rodzinnych książek po bankructwie ojca, a także sprzętów, wśród których wyrosła. Jej serdeczny stosunek do Filipa Wakema, gdy spotykają się po kilku latach spędzonych w różnych szkołach, bierze swój początek z ich dziecinnej znajomości. Kiedy przyjaźń jest już ponownie utrwalona, Filip stwierdza ze smutkiem, że nigdy nie zajmie w jej sercu takiego miejsca, jak brat, co dziewczyna przyznaje tłumacząc mu:

widzisz, pierwsze moje wspomnienie w życiu, to jak stałam nad brzegiem Flossy, a Tomek trzymał mnie za rękę. Wszystko, co było przedtem, jest dla mnie ciemnością, (ks. V, rozdz. I) Miłość do brata wzmacnia miłość do domu rodzinnego pełnego wspomnień wspólnie spędzonych tam lat. Dlatego też w chwili kryzysu uczuciowego, po odrzuceniu miłości Stefana, Madzia odczuwa przemożną potrzebę natychmiastowego powrotu do domu. W tekście potrzeba ta wskazana jest za pomocą krótkiego fragmentu mowy

DZIEDZICTWO PRZESZŁOŚCI

LXVII

pozornie zależnej, złożonego z rwących się myśli bohaterki, przetkanych symbolami religijnymi:

Dom ... gdzie jest matka i brat ... Filip ... Lucy ... miejsce jej trosk i prób - do tego portu dążyły jej myśli - sanktuarium, gdzie złożone zostały święte relikwie ... gdzie będzie bezpieczna od upadku, (ks. VI, rozdz. XIV)

Gdy brat osądzi ją surowo i nie pozwoli jej wrócić do domu, Madzia i tak nie zechce wyjechać do innej miejscowości do pracy, gdyż czułaby się tam "jak samotny wędrowiec odcięty od przeszłości" (ks. VII, rozdz. II). Wiąż z przeszłością jest w jej umyśle uwarunkowana przestrzennie: może mieć poczucie ciągłości życia tylko jeśli przebywa w znanych jej miejscach i wśród znajomych twarzy.

Ta postawa bohaterki sprawia, że jej ostatni powrót do domu w czasie powodzi musi być odczytany nie tylko jako zamiar ratowania matki i brata, ale także jako próba przełamania barier między nią a wszystkim, co dotąd było ważne w jej życiu. Tylko w ten sposób może Madzia połączyć własną przeszłość i przyszłość i nadać ciągłość swemu życiu.

W odróżnieniu od siostry brat zapatrzony jest w przyszłość, przeszłość zaś ma dla niego mniejsze znaczenie. Kiedy podczas edukacji u pastora Stellinga wraz z Filipem Wakemem zranił się pałaszem w czasie zabawy i w okresie rekonwalescencji korzysta z pomocy kolegi w lekcjach, nie traktuje tego jako początków trwałej przyjaźni, ale obiecuje sobie, że po skończeniu wspólnej nauki zerwie znajomość ze zdolniejszym od niego chłopcem. Przy innych okazjach narrator także podkreśla gotowość, z jaką chłopiec tworzy sobie wizje

własnej przyszłości. Tak więc przekonany dzięki własnej kosztownej edukacji o dobrej sytuacji majątkowej swej rodziny często marzył, że gdy dorośnie, będzie zadawał szyku, będzie miał konia, psy i siodło, i w ogóle wszystko, co powinien posiadać elegancki, młody człowiek, (ks. II, rozdz. VII)
Po bankructwie ojca, gdy chłopiec zmuszony jest szukać pracy w Przedsiębiorstwie Guesta, w którym jego wuj jest współnikiem, wizje przyszłych sukcesów stają się jeszcze ważniejszym elementem w jego życiu. Idąc na rozmowę do kantoru wuja, chłopiec
Młyn nad Flossą

LXVIII

myślał już, że jak będzie dostatecznie bogaty, to odkupi ojcowski młyn i ziemię, przebuduje trochę dom i tam zamieszka. [...] I będzie mógł trzymać tyle psów i koni, ile zechce, (ks. III, rozdz. V)

Może się to wydać nieco dziecinnym obrazem przyszłości, ale u tego szesnastoletniego chłopca, z pełną odpowiedzialnością biorącego na siebie trudne obowiązki dorosłego życia, nie jest to wynik niedojrzałości, lecz raczej uproszczonych wyobrażeń o świecie, które nie zostaną pogłębione, gdy on sam zgromadzi większe doświadczenie życiowe. Tomek bowiem, w miarę dorastania, zbliża się coraz bardziej do wzorca osobowości Dodsonów, co narrator stwierdza najdobitniej w rozdziale II księgi V. Jak oni, jest człowiekiem czynu, uczciwym i pracowitym, ale widzącym świat w kontrastowych kolorach białym i czarnym, pozbawionym wyobraźni i możliwości zrozumienia uczuć i wątpliwości innych ludzi. To, co sam pragnie osiągnąć, jest dla niego istotną częścią dnia dzisiejszego, dąży więc do zaplanowanych sukcesów z żelazną konsekwencją. Nie jest też wyrozumiały wobec wahań i niepowodzeń innych.

Tomek posiada niezachwianą wiarę w możliwość pełnego poznania otaczającego go świata. Wierzy też, że gruntownie zna sam siebie. Ułatwia mu to samokontrolę, ale czyni go surowym sędzią innych. Dopiero wstrząs, jakim jest dla niego powódź i własne śmiertelne niebezpieczeństwo, groza rozszalałego żywiołu i bohaterstwo przybywającej mu na ratunek siostry pozwalają mu uświadomić sobie fałszywość swych wcześniejszych sądów o niej i o świecie. Następująca w jego świadomości przemiana jest dobitnie zaznaczona przez narratora: Dopiero gdy Tomek wypchnął łódź na szerokie wody i znalazł się twarzą w twarz z Madzią - dopiero wtedy zrozumiał w pełni, co się stało. Przyszło to do niego z tak przemożną siłą, było tak niespodzianym objawieniem głębin życia leżących poza jego możliwościami poznania, o których bystrości i jasności był święcie przekonany - że nie potrafił zadać ani jednego pytania. Siedzieli w milczeniu patrząc na siebie: z Madzinej zmęczonej, udręczonej twarzy spoglądały oczy pełne intensywnego życia - Tomek był błydy od grozy i upokorzenia, (ks. VII, rozdz. V)

Jak widać, funkcja powodzi w fabule powieści jest wieloraka, między innymi klęska żywiołowa staje się okazją do skonstrastowania

RZEKA

LXIX

raz jeszcze dwu postaw: postawy wyrzeczenia i gotowości do ofiary z własnego życia w imię miłości, oraz postawy chronienia jedynie siebie i swej biologicznej egzystencji. Ostatecznie triumfuje postawa altruistyczna i Tomek uznaje jej wyższość. Tylko dzięki temu może nastąpić pojednanie siostry i brata, które poprzedza ich tragiczną śmierć. Tomek przeżywa olśnienie, które rozbija racjonalną wizję jego uporządkowanego, mieszczańskiego świata. Tworzył ją sobie od dzieciństwa snując marzenia o swych przyszłych sukcesach i pozycji społecznej. W ostatnich minutach życia dzięki miłości siostry odkrywa inny wymiar ludzkiej egzystencji, nie dostrzegany dawniej, gdy żył zgodnie z wytworzonym w jego społeczeństwie kodeksem powinności i honoru, ale nie z płynącymi z serca nakazami miłości i poświęcenia.

Rzeka. Zaproponowany przez Blackwooda tytuł różni się nieco z treścią powieści, jeśli pojmować ją dosłownie, młyn bowiem znajduje się nad niewielkim dopływem Flossy, rzeczką zwaną Ripple. W rzeczywistości jednak Flossa odgrywa dominującą rolę w świecie powieści. Jest ważna jako element tła przestrzennego, jako czynnik kształtujący fabułę i jako naczelną symbol, który powraca w różnych kontekstach i który może być interpretowany wielorako.

W literaturze światowej można znaleźć wiele powieści, w których rzeka odgrywa ważną rolę. Znana jest prezentacja Tamizy w przedostatniej powieści Dickensa *Nasz wspólny przyjaciel*, ważną rolę odgrywa Mississippi w *Przygodach Hucka Marka* Twaina, w polskiej powieści XIX wieku na czoło wysuwa się *Nad Niemnem* Elizy Orzeszkowej, wśród powieści XX wieku warto wspomnieć *Cichy Don* Szolochowa, a także *Ulissesa* Jamesa Joyce'a, gdzie rzeka Liffey, przepływająca przez Dublin, ma również ważną funkcję w świecie przedstawionym. Wszystkie te rzeki znaleźć można na mapie. Flossa natomiast jest tworem wyobraźni autorki i choć jest to wyobraźnia zdyscyplinowana i licząca się z faktami, autorka potrafi wykorzystać swobodę twórczą, którą fikcyjność rzeki jej pozostawiła.

Charakterystyczny jest już pierwszy opis Flossy i jej małego dopływu, nad którym usytuowany jest młyn. Narrator prezentuje te ważne elementy przestrzeni przed rozpoczęciem opowieści z sugestią,

Młyn nad Flossą

LXX

że zdrzemnął się w fotelu i ujrzał je w sennej wizji, dokładnie tak jak zapisały się w jego pamięci przed wieloma laty. Przywołanie widzenia sennego pozwala na stworzenie obrazu niby uszczegółowionego, a jednak pozbawionego informacji ściśle faktograficznych czy kronikarskich, jakie często pojawiały się na początku powieści wiktoriańskich. Nie wiadomo więc dokładnie, w której części Anglii znajduje się młyn (choć wiele wskazuje na to, że jest to region północno-wschodni), jakimi szczegółami architektonicznymi się wyróżnia, kiedy został zbudowany. Wielokrotnie powtórzono jedynie, że młyn jest stary. Opis równinnej okolicy, którą przecina Flossa, wskazuje na jej żyzność, zaś szerokość rzeki i podnoszący jej poziom przypływ pozwala domyślać się, że jest to już jej część bliska ujścia do morza, co potwierdza informacja o trwającym na rzece ruchu ładownych statków i pojemnych składach portowych widocznych w pobliskim mieście St. Ogg's. Miasto jest stare, ale niewiele uwagi poświęca swej przeszłości. Życie toczy się tu równo, jak wody Flossy.

W pierwszych pięciu księgach wody rzeki wspomniane są w narracji głównie ze względu na ich aspekt ekonomiczny lub też dlatego, że odgrywają ważną rolę w zabawach dzieci i stale pojawiają się w ich wyobrażeniach o przyszłości. W rozdziale VI księgi I dzieci, znające powódź jedynie z opowiadań dorosłych, próbują ją sobie wyobrazić i wtedy Tomek mówi do towarzysza swych zabaw, Boba:

Kiedy dorosnę, wybuduję wielką łódź, a na niej drewniany dom, tak jak w Arce Noego i będę tam trzymał masę rzeczy do jedzenia, króliki i inne zwierzęta. Wszystko będzie przygotowane. A wtedy, rozumiesz, jak przyjdzie powódź, to cóż mi z tego? I jak zobaczę, że płyniesz, to cię wezmę - dodał łaskawie i protekcyjnie.

Wcześniej już była mowa o tym, jak dziecięce wyobrażenia o przyszłości konfrontowane są następnie z rzeczywistymi wydarzeniami ich późniejszego życia. Flossa jest okazją do takich zestawień. Stwarza też sposobność do pokazania różnych postaw dzieci wobec życia. Madzia jako dziecko boi się rzeki i wszystkiego, co nieznanego; jej brat w wyobraźni z łatwością pokonuje wszelkie przeszkody i niebezpieczeństwa. Prawdziwa powódź w finale powieści

RZEKA

LXXI

przynosi odwrócenie tej sytuacji: to Madzia śpieszy bratu na ratunek.

Podczas gdy dzieci tworzą sobie własną wizję powodzi, młynarz wikła się w proces o prawo do wyłącznego korzystania z wód Ripple i przegrawszy go zostaje bankrutem. W tym samym czasie rzeka pomaga wzbogacić się wielu mieszkańcom miasta i okolicy dzięki temu, że drogą wodną odbywa się na coraz większą skalę transport towarów, rośnie port, a wokół niego powstają magazyny. Ekonomiczna działalność obywateli St. Ogg's pokazuje ważność Flossy, o której narrator mówi, że łączy "drobne tętno życia starej angielskiej miejsciny z uderzeniami potężnego serca świata" (ks. IV, rozdz. I). Cywilizacja pomaga wykorzystać wody rzeki, ale człowiek nigdy nie podporządkuje jej sobie w całości. Nigdy też nie pozna do końca własnego wnętrza, które - jak wzburzone wody rzeki - pozostanie ciemne i niedostępne obserwacji. Taka jest następna teza narratora.

Księga VI otwiera etap narracji, w którym Flossa nabiera ważności jako element przestrzeni, a także jako metafora ludzkiej psychiki i ludzkiego życia. Życie Madzi przed katastrofą, jaką stanie się dla niej nagła, odwzajemniona miłość do Stefana, porównane jest do rzeki. W porównaniu tym kryje się aluzja do tragicznego końca bohaterki:

przeznaczenie Madzi jest jeszcze okryte tajemnicą - stwierdza narrator - musimy czekać, aż się pokaże jak bieg nie oznaczonej na mapie rzeki: wiemy tylko, iż rzeka jest głęboka i rwąca i że wszystkie rzeki biegną do tego samego ostatecznego celu. (ks. VI, rozdz. VI)

Opuściwszy młyn po śmierci ojca, by gdzie indziej podjąć pracę nauczycielki, Madzia przyjeżdża w rodzinne strony na wakacje i zbliża się znowu do rzeki, zatrzymuje się bowiem u wuja Deane i kuzynki. Dom wuja stoi nad Flossą, ku której schodzi ogród zakończony Prywatną przystanią. Z niej obie dziewczyny wypływają na przejażdżki łodzią, zazwyczaj w męskim towarzystwie, bo rzeka jest niebezpieczna. Lucy mówi o Madzi, że "wspaniale wiosłuje". Odtąd rzeka będzie sceną najważniejszych wydarzeń w życiu pięknej młynarzówny. W czasie jednej z przejażdżek, którą Madzia i Stefan odbywają we dwoje, łódź ich zostaje zniesiona ku morzu, uniemożliwiając im powrót na

Młyn nad Flossą

LXXII

czas. Stefan wyznaje dziewczynie miłość i proponuje wspólny wyjazd do Szkocji, skąd wróciliby jako małżeństwo. Skandal i tak jest nieunikniony. Stefan stara się przekonać Madzie, że oboje działają uczciwie: "Nic nie knuliśmy, nie zamierzaliśmy tego sami". Ale choć dziewczyna gorąco pragnie wierzyć, że "odpływ naprawdę zrobił za nich wszystko" (ks. VI, rozdz. II), nie może się zdobyć na to, by zawieść zaufanie Lucy i Filipa, i decyduje się wrócić i stawić czoło plotkom.

Charakterystyczne jest, że dramatyczna prezentacja tej sceny nie zostaje uzupełniona komentarzem narratorskim, w innych przypadkach chętnie stosowanym. Można wnioskować, że rola rzeki jako narzędzia losu zostaje umyślnie zaznaczona, aby tragiczny finał wydał się tym bardziej nieunikniony. Jeśli skryte pragnienie bohaterki, by poślubić Stefana, powoduje że przez krótki czas zachowuje się ona biernie i przyjmuje narzuconą jej sytuację, można się tego najwyżej domyślać. Surowa cenzura obyczajowa, jaka obowiązywała w powieści wiktoriańskiej, nie pozwoliła George Eliot pokazać z większą ostrością konfliktu między uczuciem bohaterki a obowiązkiem akceptacji przyjętych norm etycznych. Bohaterka musiała pozostać postacią "pozytywną"; mogła mieć momenty rozterki i wahania, mogła popełnić błąd w wyniku chwilowej słabości czy dezorientacji, ale nie mogła świadomie popełnić wykroczenia przeciw przyjętej moralności. Dlatego narrator oddaje w tej scenie głos postaciom i pozostawia osąd ich wypowiedzi czytelnikowi, ale równocześnie ogranicza wieloznaczność zaprezentowanej sceny formułą tytułową rozdziału: Porwani nurtem. Ta formuła to w istocie stwierdzenie, że wypadkami pokierował los, a nie wola pary bohaterów. I jest to już wstęp do zniszczenia, jakie przyniosą wzburzone fale Flossy w ostatniej księdze. Komentarz a świat powieści. Podobnie jak w innych powieściach wiktoriańskich, w utworach George Eliot pojawia się narrator, który snuje refleksje na temat wydarzeń i postaci

fikcyjnych, ocenia ich motywy czy też porusza problemy psychologiczne i społeczne bardziej ogólnej natury. Od narratorów w innych powieściach tego okresu odróżnia go jedynie ambitniejszy zakres poruszanej problematyki.

KOMENTARZ A ŚWIAT POWIEŚCI

LXXIII

Wspomniano wcześniej, że narrator nie unika tematyki abstrakcyjnej i wniosków zbliżonych do hipotez naukowych. Te rozważania mają uświadomić odbiorcy złożoność problemów, które fabuła kryje w sobie.

Etyczne zainteresowania pisarki kierowały ją w większym stopniu niż jej kolegów po piórze ku problematyce psychologicznej i ta była też często tematem refleksji narratorskich, zarówno dłuższych, prezentowanych otwarcie jako swego rodzaju rama dla elementów świata powieści, jak też urywkowych, ukrytych w przytaczanych wypowiedziach lub toku myślenia postaci fikcyjnych. W przytoczeniach tych narrator dokonuje często pewnych zabiegów, które zacierają różnice między językiem postaci a jego własnymi uzupełnieniami. Wypowiedzi i myślenie postaci nasycza z reguły treścią ogólniejszą: w cierpieniach i rozterkach zostaje wówczas zatarty element jednostkowości i szczególności, uwypuklone zaś zostają ich właściwości ogólnoludzkie.

Przykładem takiego zabiegu narratorskiego jest fragment tekstu z końca księgi IV, przedstawiający stan ducha bohaterki cierpiącej szczególnie dotkliwie, ponieważ bankructwo rodziny zamknęło jej dostęp do książek i świata wiedzy. Porównując swój los z losem Boba, towarzysza dzieciennych zabaw Tomka, prostego chłopaka, zadowolonego z własnej sytuacji, marzy, żeby mogła być podobna do niego "z tym jego nieuctwem, dzięki któremu łatwiej może znaleźć zadowolenie". Zaraz też do tego przytoczenia jej myśli dołącza się głos narratora:

Biedne dziecko! [...] czuła się tak samotna w swych troskach, jakby była jedyną dziewczynką w ówczesnym cywilizowanym świecie, która wyszła ze szkoły nie przygotowana wewnątrz do nieuniknionych walk; jedyną, która poznała tylko strzępki i skrawki słabej literatury i fałszowanej historii z całego przypadającego na nią dziedzictwa ciężko zdobytych skarbów myśli ludzkiej. Uczono ją - dodaje narrator - o królach, którzy nie mogli być dla niej żadnym przykładem, "lecz nie uzyskała niestety żadnej wiedzy o nieodmiennych prawach rządzących nią samą i światem wokół niej" (ks. iv, rozdz. III).

Młyn nad Flossą

LXXIV

To, co w powyższym fragmencie można uznać za reprezentację myśli Madzi, to jedynie informacja, że dziewczyna czuje się osamotniona i bezradna; nie trzeba natomiast chyba dowodzić, że to nie ona ocenia swoją wiedzę o historii jako bezużyteczną i nie ona ubolewa nad własną nieznajomością praw rządzących społeczeństwem. Do jej przemyśleń dodano głos narratora i tylko uważna lektura pozwala tę wypowiedź podzielić na osobne człony.

Zamierzeniem artystycznym jest jednakże, by obydwie te głosy współbrzmiały w narracji.

W tym przypadku jest to możliwe dlatego, że uwagi narratorskie uzupełniają tylko myśli postaci i osadzają je w kontekście ludzkich doświadczeń. Bywa jednak i tak w tej powieści, że komentarz narratorski staje się elementem dezorientującym czytelnika, tworząc sprzeczność między tym, co zostało zaprezentowane w scenach dramatycznych a tym, co narrator przekazuje od siebie. Najczęściej komentarze te dotyczą Tomka. Być może też dlatego już pierwsi czytelnicy i recenzenci oceniali tę postać bardzo różnie. Nawet w pierwszych scenach z lat dzieciennych pary bohaterów Tomek ukazywany jest konsekwentnie jako urodzony konformista, z łatwością dostosowujący się do wymagań otoczenia i czerpiący satysfakcję z pozytywnej oceny jego osiągnięć przez to otoczenie. Bankructwo ojca właśnie dlatego przeżywa boleśnie, że cała rodzina spada w opinii swego środowiska. Tak właśnie

przedstawia tok myślenia chłopca narrator w rozdziale II księgi III, wyjaśniając dlaczego czuł żal do ojca.

Wobec takiego ukształtowania postaci zaskakuje całkiem odmienna ocena charakteru Tomka na początku księgi IV, którą otwiera dłuższa refleksja narratorska na temat historii i rozmaitych społeczeństw znanych z przekazów historycznych. Na tym tle oceniono drobnomieszczańskie środowisko Dodsonów i Tulliverów. W rozważaniach swych narrator wysuwa przypuszczenie, że czytelnik odniósł w trakcie dotychczasowej lektury przygnębiające wrażenie małości ludzi, których losy są przedmiotem opowieści. I dalej już całkiem otwarcie przypisuje narrator czytelnikowi uczucie antypatii do przedstawionego środowiska: "denerwują was ci nudni ludzie, tak jakby

KOMENTARZ A ŚWIAT POWIEŚCI

LXXV

stanowili jakiś gatunek będący w dysharmonii z ziemią, na której żyją". Wyjaśnia tedy, dlaczego prezentuje ich z taką drobiazgowością:

Zgadzam się, że ograniczoność tych ludzi wprost przytłacza; lecz konieczne jest, żebyśmy ją odczuli, jeżeli chcemy zrozumieć, jaki miała wpływ na losy Madzi i Tomka - jaki miała wpływ w ciągu wielu pokoleń na młode istoty, które w naturalnym dążeniu naprzód wyrastały ponad poziom umysłowy poprzedniego pokolenia, a mimo to były z nim najmocniej zespolone sercem. Cierpienia, czy to męczennika, czy to ofiary, które nierozłącznie towarzyszą postępowi ludzkości, można znaleźć pod taką postacią wszędzie, (ks. IV, rozdz. I) Ten fragment dłuższej, wyodrębnionej i niewątpliwie ważnej wypowiedzi narratorskiej na temat obydwu głównych postaci i tła społecznego nasuwa kilka wątpliwości. Pierwsza z nich to ustawienie brata i siostry na tej samej płaszczyźnie i przypisanie obojgu tej samej roli w procesie ewolucji społeczeństwa. Tymczasem jedynie Madzie można - na podstawie ciągu poprzedzających, a zwłaszcza dalszych scen - uznać jeśli nie za męczennicę, to z pewnością za ofiarę; jej protesty przeciw normom społecznym pozostają, być może, zbyt wyraźnie jedynie gestami i nie predestynują jej do roli rewolucjonistki, są jednak gwałtowne i liczne. Tomek zaś jawi się od dzieciństwa jako studium konformizmu społecznego i jego kariera po bankructwie ojca dobrze to ilustruje.

Drugi znak zapytania należy postawić przy stwierdzeniu, że brat wyrósł "ponad poziom umysłowy poprzedniego pokolenia". Przeczy temu nie tylko jego postawa i sądy o świecie, ale również sąd narratora o nim wyrażony w księdze VII. Tłumacząc bezwzględność, z jaką brat Potępia siostrę w czasie skandalu po wycieczce ze Stefanem, z naciskiem mówi narrator o ograniczeniach Tomka wynikających z cech wrodzonych i braków umysłu ("wykształcenie prześliznęło się po nim tylko, zostawiając powierzchowny polor") i z wyrozumiałością dodają że "obowiązek tolerancji spoczywa na ludziach o szerokich horyzontach" (ks. VII, rozdz. III). Wąskie horyzonty Tomka zapewniają mu więc w tym przypadku wyrozumiałość narratorską, ale Waśnie dlatego można wątpić, czy ta postać jest stosowną ilustracją do Sierdzenia o roli jednostek nieprzeciwnych w procesie ewolucji

Młyn nad Flossą'

LXXVI

socjalnej. Tak samo wątpliwa jest teza o przeżywanym przez Tomka konflikcie między miłością do pokolenia rodziców a krytyczną ich oceną z pozycji jednostki, która osiągnęła wyższy poziom umysłowy; Tomek cierpi bowiem głównie wtedy, gdy jego siostra narusza normy obyczajowe lub tylko drobnomieszczańskie sposoby zachowania, zaś z pokoleniem rodziców dochodzi łatwo do porozumienia.

Zagadnienie historycznego rozwoju społeczeństwa, wprowadzone przez narratora najpierw w rozdziale XII księgi I, potem na początku księgi IV i przy kilku innych okazjach, jest wyraźnie pomyślane jako temat serii refleksji, które miały tworzyć ramę dla świata przedstawionego. Refleksje te otwiera opis miasta St. Ogg's stanowiącego okazję do

zaprezentowania narratorskiej koncepcji historii. Jest ona organiczna, niemal biologiczna, pojawiają się w niej bowiem porównania zapożyczone wyłącznie z natury. Jest więc St. Ogg's jednym z tych

bardzo starych miast, które wydają się kontynuacją i wykwitaniem natury, podobnie jak gniazda rajskiego ptaka czy kręte chodniki białych mrówek; miasto, na którym, jak na tysiącletnim drzewie, znać ślady długiego rozwoju i historii, (ks. I, rozdz. XII)

Pojawia się tu wyraźna sugestia, że twórcami historii miasta były anonimowe szeregi pokoleń, których cywilizacyjna działalność nie była świadoma; była raczej podyktowana instynktem życia, dyscypliną i umiejętnością działania zbiorowego. Potwierdza to informacja, że "miasto odziedziczyło swą historię i nie myślało o niej" (tamże). Mieszkańcy żyją tu teraźniejszością i albo nie mają bohaterów, albo szybko o nich zapominają, tak jak zapomnieli o legendarnym świętym, którego imię pozostało w nazwie miasta.

Kiedy w księdze IV podjęta zostaje refleksja historyczna, narrator podkreśla powolne tempo zmian zachodzących w opisywanej społeczności, a także ich powierzchowność. Dopiero po tej charakterystyce środowiska pojawia się uwaga o jego wpływie na losy Madzi i Tomka jako jednostek, które "wyrastały ponad poziom umysłowy poprzedniego pokolenia" i pragną zmian, ale są w swych dążeniach hamowane. Od tego momentu uzasadnione wydaje się oczekiwanie na

KOMENTARZ A ŚWIAT POWIEŚCI LXXVII rozwinięcie się konfliktu między parą bohaterów a społeczeństwem, do którego należą. Tymczasem konflikt taki w ogóle nie rozwija się w przypadku brata, zaś tylko częściowo - w przypadku siostry. Ostracyzm społeczny, z jakim w księdze VII spotyka się Madzia, nie jest bowiem konsekwencją podjętej przez nią walki, np. w imię emancypacji kobiet, a jest raczej sprawą przypadku czy losu. Historia życia Tomka i Madzi nie ilustruje więc - wbrew zapowiedzi - roli młodego pokolenia w procesie przemian historycznych. Przemiany, zwłaszcza ekonomiczne, dokonują się wprawdzie i znajdują odbicie w fabule powieści, jak przekonywająco argumentuje Graham Martin, ale nie dzieje się to za sprawą prężnych przedstawicieli młodego pokolenia³⁰. Złożone procesy historyczne zostały trafnie przedstawione, lecz ich wyjaśnienie w komentarzu narratorem jest uproszczone i nieprawdziwe. Można sobie jednak zadać pytanie, czy powieść pomyślana jako tragedia rodzinna, której akcja toczy się z dala od ośrodków władzy i w której główne postacie giną u progu młodości, mogła stanowić ilustrację procesów historycznych zachodzących w Anglii w latach trzydziestych ubiegłego stulecia. Wydaje się, że nie. Świat przedstawiony jest tu zawężony socjalnie i choć uwarunkowania ekonomiczne dominującej w nim klasy drobnomieszczańskiej podobnie jak jej mentalność, przedstawione są wiernie, zakres obserwacji jest z konieczności zbyt wąski, aby mógł stanowić podstawę syntezy historycznej i nadać powieści intelektualną głębię, do jakiej miały prowadzić narratorskie refleksje historiozoficzne. Wniosły one raczej element dysharmonii i albo zostały odczytane powierzchownie przez odbiorców współczesnych pisarce, albo nie odnoszono ich do fabuły. . Dobrze wtopione w materię powieściową są natomiast komentarze

Psychologiczne. Stanowią one szczególnie wkład George Eliot w roz
Podkreśla on szczególnie zmianę form produkcji i związaną z tym urbanizację oraz wypieranie drobnej własności przez kapitalizm. W powieści odpowiada temu przeniesienie akcji z podmiejskich wiosek do St. Ogg's w dwu ostatnich księgach (G. Martin, op. cit., s. 52).

1
LXXVIII

wój poetyki powieści wiktoriańskiej, gdyż zazwyczaj odnoszą się nie tylko do postaci będącej przedmiotem komentarza, lecz mają charakter uniwersalny; pokazują, co w przeżyciach

jednostki właściwe jest wszystkim ludziom znajdującym się w podobnej sytuacji. Jak stwierdza Barbara Hardy, nawet w postaciach jednostek nieprzeciętnych, utalentowanych i twórczych podkreśla George Eliot ich emocjonalną zwyczajność, wszystko to, co łączy je z całym rodzajem ludzkim³¹. Umiejętność charakteryzowania postaci fikcyjnych zapewniła rozgłos jej pierwszej powieści; w drugiej została ugruntowana i wzbogacona. Podkreślali to zgodnie pierwsi recenzenci *Młyna nad Flossą*, nawet jeśli równocześnie krytykowali powieść za niedostatki w budowie fabuły czy za narratorską akceptację postaw, które wydawały im się sprzeczne z etycznym kodeksem epoki.

Niedostatki kompozycyjne. *Młyn nad Flossą* uważany jest za jedną z bardziej oryginalnych powieści wiktoriańskich. Trzeba nadto podkreślić, że jest to powieść, która dotąd przemawia do szerokich kręgów czytelników, nawet jeśli wiedzą oni niewiele o konwencjach właściwych tej epoce. Ale to, że powieść jest interesującą lekturą, nie oznacza, że jest bez skaz. Krytycy i co bardziej uważni czytelnicy wielokrotnie wskazywali główne jej defekty. O niektórych z nich była już mowa. Często są one wynikiem ambitnego zamysłu artystycznego autorki.

Ukazując bowiem losy brata i siostry chciała George Eliot nie tylko opowiedzieć wzruszającą historię i wycisnąć łzy z oczu czytelników; chciała także dać obiektywny obraz zmian ekonomiczno-społecznych, jakie w wyniku uprzemysłowienia przekształcały w latach 1830-1840 angielskie drobnomieszczaństwo w dziesiątkach prowincjonalnych miast.

Dlatego to tworząc wysoce zindywidualizowany rysunek dwu głównych postaci - siostry i brata - mnoży autorka równocześnie sceny z życia codziennego dorosłych, które toczy się wolno i monotonicznie, choć ustawicznie dokonują się w nim drobne zmiany. Tak

31w: *History of Literature in the English Language*, pod red. A. Pollarda, t. VI: *The Victorians*, Sphere Books, London 1969, s. 187.

NIEDOSTATKI KOMPOZYCYJNE

LXXIX

powstaje szerokie tło społeczne, jawią się procesy, których nie rozumieją ani dzieci, ani dorośli, ale które czytelnikowi interpretuje głos narratora. To właśnie po to, by procesy te można było odmalować z dostateczną wyrazistością, pojawiają się liczne postacie drugoplanowe, zazwyczaj jawnie typizowane, ale łącznie tworzące bogaty świat prowincjonalnej społeczności i ilustrujące działanie mechanizmów ekonomicznych, które gruntownie zmieniały układy w obrębie miasta i okolicznych rodzin. W powieści wiele jest szczegółów obyczajowych luźno jedynie związanych z głównym wątkiem, ukazane są bowiem ambicje postaci drugoplanowych, sukcesy jednych, niepowodzenia drugich. Powstaje w ten sposób epicka szerokość świata powieściowego.

Nie bez znaczenia jest rozpoczęcie powieści od scen w domu młynarza, którego losy będą bardziej burzliwe niż innych postaci z kręgu dorosłych i zaważą na losach dzieci, mających w dalszych księgach stać się głównymi bohaterami. Tulliver reprezentuje tych, którzy są częścią ginącego porządku na angielskiej wsi. Od pokoleń związany z młynarskim rzemiosłem i tym samym zakątkiem kraju, pełen poczucia niezależności, wierzący w niezawodność swego instynktu i odziedziczoną wiedzę o życiu, nie dostrzega zmian, które spowodują jego zgubę. Skontrastowany z nim jest szwagier młynarzowej, pan Deane, pochodzący z wiejskiej biedoty, ale umiejący zbić fortunę na rozwoju handlu i transportu wodnego, rozkwitającego dzięki dynamicznemu wzrostowi przemysłu. Rolnictwo traci ważność w gospodarce kraju i może się bronić jedynie zwiększając produkcję za pomocą melioracji, którą zwalcza młynarz broniąc swych własnych, Partykularnych interesów. Jest to jego błąd. Stary młyn i tak jest skazany na zagładę w wieku pary, on jednak przyspiesza jego upadek swym procesem i bankructwem.

Szerokie uwzględnienie w powieści ekonomiczno-społecznego wymiaru ludzkiej egzystencji wzbogaciło stworzony przez pisarkę świat, nie osłabiło zaś poważnie zainteresowania

głównymi postaciami, które są wyraźnie zindywidualizowane, a równocześnie nacechowane społecznie. Taka koncepcja wpłynęła jednak na zwolnienie tempa akcji,

Młyn nad Flossą

LXXX

która rozwija się pomału w pierwszych trzech księgach, a później, gdy staje się bardziej dramatyczna, także nie obfituje w zdarzenia. W dodatku drobiazgowo portrety licznych postaci drugoplanowych, ukazanie ich sposobu myślenia i szczegółów codziennej egzystencji zajmują tak wiele miejsca na początku i w środkowych partiach powieści, że część ostatnia, w której brat i siostra są już dorośli, jest bardzo skrótowa: autorka nie mieściła się w wyznaczonej zazwyczaj przez wydawcę objętości książki. W ten sposób ich samodzielne życie, toczące się w innym nieco kręgu ludzi i spraw, nie jest przedstawione z takim bogactwem szczegółów, jak okres dzieciństwa. Uboższa jest nie tylko społeczna otoczka ich egzystencji, ale także ich życie psychiczne. Tomek usunięty zostaje prawie na margines, zaś dylematy przeżywane przez Madzie nie mają tej wyrazistości, jaką posiadały wcześniej. Wartość akcji w księdze przedostatniej została więc czymś okupiona: ceną za nią jest nieostrość konturów tła społecznego, a także słabiej zarysowana motywacja działania głównych postaci. Również ukształtowanie przestrzeni, która od początku odgrywa ważniejszą rolę niż czas, traci wiele ze swej wyrazistości. Młyn, rzeka i przylegające do niej pola, zarośnięta drzewami dolina, w której dzieje się tak wiele ważnych scen w okresie dorastania Madzi, ustępują miejsca miastu St. Ogg's, o którym narrator informuje czytelnika odwołując się do jego historii i jego handlowego i portowego charakteru, nie starając się jednak wydobyć na pierwszy plan tych szczególnych jego zakątków, z którymi wiążą się ważniejsze sceny i epizody akcji. Przykładem tej skrótowej metody kreślenia tła przestrzennego jest salon w domu pana Deane, ogólnikowo określony jako "elegancko umeblowany", wyposażony w pianino i posiadający widok "na ogród opadający ku brzegom Flossy" (ks. VI, rozdz. I). Oczywiście jest to już fragment nowego świata, na którym pokolenia ludzkie nie wycisnęły swego piętna, tak jak wycisnęły je na starym młynie, ale prezentacja przestrzeni mogłaby być pełniejsza, gdyby nie to, że cała uwaga narratora skierowana jest teraz na zdarzenia mające szybko doprowadzić do finału.

NIEDOSTATKI KOMPOZYCYJNE

LXXXI

Małe także rola dialogów. Odkąd na dalszy plan zeszli członkowie klanu Dodsonów, zniknęły z dialogów rodzinne nieporozumienia i barwny język ludzi nieuczonych, tak ważny dla portretu środowiska w pierwszej połowie powieści. Pan Deane, odmieniony po swym "awansie społecznym", wygłasza w rozmowie z Tomkiem pochwałę zdobyczy nowej gospodarki językiem będącym skrzyżowaniem oficjalnych przemówień z dziennikarskim żargonem:

Para, widzisz [...] dokonała tych wszystkich zmian: każde kółko kręci się teraz dwa razy szybciej, a razem z nim i koło Fortuny [...] Handel [...] otwiera ludziom oczy. Jeżeli ilość mieszkańców tej ziemi ma się powiększać, a przecież się powiększa, to świat musi wyteżać rozum i łapać się najrozmaitszych wynalazków. Ja zrobiłem, co do mnie należało, jak zwykły człowiek interesu, (ks. VI, rozdz. V)

Wyrażony tu pogląd niedaleko odbiega od programów pozytywizmu i nigdzie nie jest komentowany krytycznie przez narratora, może się więc wydawać, że pan Deane awansował w księdze V do roli autorskiego porte parole.

Świat Dodsonów zostaje także ostatecznie nobilitowany. Narrator porównuje go teraz na jego korzyść z kręgami bogatych przedsiębiorców w St. Ogg's, których przedstawiciele Madzia poznaje w salonie wuja. Z pewnym uproszczeniem można o nich powiedzieć, że gorsi są od

wuja dlatego, że on pieniądze zrobił, oni zaś je odziedziczyli bez dokonywania wysiłku. Jest oczywiste, że ich zbiorowy portret jest równie uproszczony, co tendencyjny.

Wobec miernych osiągnięć w zakresie charakteryzacji postaci drugoplanowych w końcowej części powieści, tym bardziej uwaga czytelnika skupia się tam na Madzi i związanych z nią wydarzeniach. Wskutek tego jednak zmienia się wrażenie, jakie na czytelniku wywiera świat przedstawiony. Jest to teraz świat intensywnych przeżyć Psychiczných głównej bohaterki poruszającej się w mniej wyraźnie nakreślonym świecie stosunków społecznych. Jeśli więc jedni krytycy popatrywali się w Młynie nad Flossą podobieństw do Jane Eyre Charlotte Bronte, podczas gdy inni wskazywali na pewne rysy Przypominające raczej Thackeraya, to każda z tych grup miała na

6 BN H/234 G. Eliot: Młyn nad Flossą
RECEPCJA TWÓRCZOŚCI GEORGE ELIOT
LXXXII

myśli inną część książki, ciekawej, ale pod względem metody twórczej wybitnie niejednorodnej. Można powiedzieć, że utwór jest "pęknięty"; przez dwa pierwsze tomy realizuje bowiem wzorzec wiktoriańskiej powieści obyczajowo-społecznej, by w ostatnim skoncentrować się na wewnętrznych konfliktach głównej bohaterki i stać się powieścią psychologiczną, zbliżoną bardziej do pisarstwa kontynuującego tradycje romantyczne, pisarstwa, którego najlepszym przykładem były na gruncie angielskim powieści sióstr Bronte.

IV. RECEPCJA TWÓRCZOŚCI GEORGE ELIOT

Młyn nad Flossą. Pomysł powieści powstał na samym początku roku 1859, wtedy bowiem pojawia się pierwsza wzmianka o niej w dzienniku pisarki. Pisanie szło jej zrazu opornie i w rok później ukończony był dopiero tom pierwszy i drugi. Już wcześniej Marian zastanawiała się nad formą publikacji. Z niechęcią odnosiła się do myśli o wydaniu powieści w odcinkach, co proponował Blackwood, reflektujący na nową pozycję jej pióra dla swego miesięcznika. Popierał go Lewes. Znał on dobrze powieściowy rynek wydawniczy i odgrywał zwykle rolę agenta Marian. Pisarce zależało jednak na tym, by całe jej dzieło dotarło od razu do rąk krytyków i czytelników. Wcześniejsze doświadczenie nauczyło ją, że lektura recenzji kosztuje ją wiele. Niespodziewanie negocjacje z wydawcami ułatwił jej sukces Adama Bede, który w wydaniu książkowym spotkał się z doskonałym przyjęciem w Anglii, a wkrótce również uczynił anonimową autorkę sławną w Europie.

Ostatecznie wydawcą George Eliot pozostał szanowany powszechnie Blackwood, który przystał na publikację książkową jej drugiej powieści i zaoferował bardzo korzystne warunki. Podniesiona na duchu autorka napisała tom trzeci w ciągu ośmiu tygodni, a więc w tempie typowym raczej dla Dickensa niż dla niej samej. Na początku kwietnia 1860 ukazała się drukiem pierwsza, trytomowa, kosztowna edycja powieści w sześciu tysiącach egzemplarzy, z których ponad dwa

SADY WSPÓŁCZESNYCH I POTOMNYCH LXXXIII

tysiące zakupiła wszechpotężna wypożyczalnia Mudiego. Oznaczało to, że książka dotarła natychmiast do sporego kręgu czytelników.

Nakład rozszedł się w ciągu pierwszych kilku tygodni, ale odbite dodatkowo pięćset egzemplarzy nie znalazło już nabywców. Zapotrzebowanie na powieść nie rosło, mimo że wczesne recenzje - choć nie entuzjastyczne - były na ogół życzliwe i przeważały w nich oceny pozytywne. Można tak określić recenzję w "Timesie", podobne stanowisko zajął "Guardian" i "Westminster Review", zaś "Macmillan's Magazine" piórem popularnej powieściopisarki Dinah Mulock chwalił sztukę powieściową George Eliot, choć wyrażał zastrzeżenia moralne do przesłania jej nowej książki. Dzielili je inni recenzenci.

Wkrótce stało się jasne, że Młyn nad Flossą nie dorówna popularnością Adamowi Bede. Potwierdziły to liczby. Zgodnie z przyjętą wśród wydawców praktyką, pod koniec roku 1860 Blackwood wydał drugą, tańszą edycję książki w dwu tomach, która, nie przyniosła mu spodziewanego zysku. W roku 1862 jego oficyna wypuściła jeszcze wydanie jednotomowe, które rozchodziło się już bardzo wolno. Dopiero więc w roku 1867 dodano do istniejących wydań jednotomową edycję z ilustracjami. Za zgodą autorki Młyn nad Flossą ukazał się także w Lipsku, w anglojęzycznej serii Tauchnitza, oficyny orientującej się doskonale w tym, czego poszukiwali wykształceni czytelnicy w Niemczech i krajach sąsiednich. W Ameryce wydała powieść starannie firma Ticknor i Fields, opłacająca prawa autorskie znanych pisarzy angielskich i ciesząca się wśród nich dobrą reputacją. Wielość wydań pozwala wnosić, że powieść weszła do obiegu natychmiast szędzie tam, gdzie znajdowali się czytelnicy znający język angielski orientujący się w angielskich nowościach wydawniczych. Niemniej jednak skromna liczba sprzedanych egzemplarzy nie wskazuje na wielką popularność nowej pozycji w ciągu pierwszego dziesięciolecia, jednakże nawet jeśli George Eliot nie stała się poważną konkurentką Dickensa, druga powieść utrwaliła jej pozycję jako poważnej i liczącej się pisarki.

Sądy współczesnych i potomnych. Warto omówić szerzej oceny Młyna nad Flossą w Anglii bezpośrednio po ukazaniu się powieści

RECEPCJA TWÓRCZOŚCI GEORGE ELIOT

LXXXIV

i nieco później, reputacja pisarza kształtuje się bowiem zasadniczo na gruncie rodzimym. Wspomniano już, że druga powieść George Eliot przyjęta została niejednolicie. Dostrzegano w niej sporo niedostatków, ale pochwały były liczniejsze. Wielu recenzentów żałowało, że w nowym utworze zabrakło uroku wiejskiej scenerii, która tak podobała się w Adamie Bede i że tym razem nie stworzyła autorka barwnych postaci prostych ludzi, obdarzonych zdrowym rozsądkiem i ciętym językiem, który poprzednio tak urozmaicał dialogi. Co gorsze, zaprezentowana tym razem drobnomieszczańska społeczność jawiła się krytykom jako środowisko wręcz odpychające w swym poczuciu własnej ważności, wulgarnym materializmem i sobkostwie. Przyznawano wprawdzie, że obraz ten tchnie autentyzmem, ale niektórzy wątpili, czy pisarzowi wolno iść tak daleko w dążeniu do pełnego realizmu. Od powieści oczekiwano obrazu rzeczywistości niby obiektywnego, ale w gruncie rzeczy na tyle upiększzonego, aby mógł czytelnikowi sprawiać przyjemność. Ciągłe jeszcze stwierdzenie, że autor przedstawia jakieś wycinki życia z "fotograficzną dokładnością" było bardziej przyganą niż pochwałą, a takie właśnie określenia stosowali niektórzy wobec George Eliot po przeczytaniu jej drugiej powieści. Inni znowu mieli jej za złe brak akcentów optymistycznych, bez których lektura była męcząca dla czytelników nawykłych do happy endu.

Jeszcze ostrzejsze zarzuty kierowano przeciwko postaci głównej bohaterki i to wyłącznie na podstawie ostatniego tomu. Powody były różne. Dla jednych były one natury etycznej: dowodzono, że namiętność jest tematem niebezpiecznym dla powieściopisarza. Zdaniem innych charakteryzacja ucierpiała z powodu nagłego zwrotu w fabule w księdze III, gdzie bohaterka pojawia się jako istota nagle całkowicie odmieniona. Można powiedzieć, że nie jest to zarzut zupełnie bezpodstawny. Jeszcze inni, odczytujący powieść podobnie, mieli do autorki pretensję, że nie uczyniła z Madzi postaci dostatecznie wzniosłej i gotowej do wyrzeczeń, co w ich opinii było konieczne w sztuce, której obowiązkiem jest tworzenie ładu i harmonii, jaka nie istnieje w życiu.

SĄDY WSPÓŁCZESNYCH I POTOMNYCH

LXXXV

Odpowiadając w liście do wydawcy na niektóre zarzuty pisarka przyznała, że tom końcowy ucierpiał z powodu nadmiernego skondensowania treści. Nie zgodziła się natomiast z twierdzeniem, że jej bohaterka powinna być istotą nieskazitelną. Przeciwnie, podkreśliła, miała ona być od początku portretem kobiety niedoskonałej, "zasadniczo szlachetnej, ale zdolnej do popełnienia poważnego błędu". Inny obraz postaci byłby - jej zdaniem - niezgodny z realistyczną koncepcją powieści. Jeśli zasady etyki obowiązujące w sztuce w jakimkolwiek okresie kłócą się z prawdą psychologiczną, to George Eliot uważała za konieczne zrewidowanie tych zasad, nie zaś odstępowanie od prawdy psychologicznej.

Spory między krytykami wskazują, że większość zarzutów kierowanych przeciwko drugiej powieści wiązała się ściśle z toczącą się właśnie w Anglii dyskusją na temat istoty i granic realizmu w literaturze. Dziesięć lat wcześniej Dickensowi zarzucano nieprzestrzeganie nakazów realizmu, teraz krytykowano George Eliot za to, że jej obraz świata jest zbyt realistyczny. Pierwsza powieść pisarki, w której postaci bohaterów poddane były pewnej poetyckiej stylizacji, nie wzbudziła takich zastrzeżeń, natomiast bardziej współczesne społeczeństwo St. Ogg's i postaci fikcyjne, które pod naciskiem przemian społecznych naruszają obowiązujące normy postępowania, wzbudziły zaniepokojenie i osłabiły entuzjazm dla realizmu.

Obok polemik z pisarką znalazły się też liczne wyrazy admiracji dla jej sztuki pisarskiej. Anonimowa recenzja w "Saturday Review", opublikowana już w połowie kwietnia, podnosiła z uznaniem jej umiejętność tworzenia wysoce zindywidualizowanych postaci fikcyjnych, mistrzostwo w operowaniu dialogiem i dyskretne wprowadzanie akcentów satyrycznych, w czym - zdaniem autora - pisarka przypomina Jane Austen. Było to porównanie wysoce dla niej zaszczytne. Z kolei bezbłędne przedstawianie gwałtownych konfliktów wewnętrznych postaci i silnych uczuć, do jakich są zdolne, zasługuje według recenzenta na porównanie z Charlotte Bronte.

Recenzja, którą zamieścił "The Times", zaczynała się od stwierdzenia, że talent pisarski George Eliot pozostał nie umniejszony. Tu także

RECEPCJA TWÓRCZOŚCI GEORGE ELIOT

LXXXVI

przewija się porównanie do sióstr Bronte. Wprawdzie jej sukces w dziedzinie charakteryzacji wydaje się recenzentowi mniejszy, ale sądzi, że powodem tego jest trudność jej zadania. Odmiennie bowiem od utalentowanych sióstr z Yorkshire, jej zamierzeniem było ukazanie zwyczajnych ludzi wraz z całą ich małością, zgodnie z założeniami powieści realistycznej, choć jednocześnie nie brak u niej także elementów przynależących bardziej do tragedii greckiej niż do współczesnej beletrystyki. Inni także sięgali do porównań z wielkimi poprzedniczkami "wiktoriańskiej Sybilli" i z najwyższą pochwałą pisali o jej ogromnej kulturze literackiej.

W ciągu pierwszego dziesięciolecia po wydaniu Młyn nad Flossą utrzymał swą pozycję powieści o uznanych walorach, lecz nieszczerze poczytnej. W roku 1861 ukazał się Silos Marner, krótka powieść George Eliot, która znacznie bardziej przypadła do gustu publiczności, nie było w niej bowiem dylematów etycznych, było zaś sporo scen, które czytelnikom wyciskały łzy z oczu. Ta opowieść o prostym człowieku, żyjącym na marginesie społeczności wiejskiej całkowicie samotnie aż do czasu przygarnięcia porzuconego dziecka, jest dla Polaka ciekawa ze względu na zbieżność jej fabuły z wydaną kilka lat wcześniej powieścią Józefa Ignacego Kraszewskiego Jermoła. Utwór naszego rodaka tłumaczony był na osiem języków, w tym także na francuski i niemiecki, które znała George Eliot. Przekłady te są jednakże sporo późniejsze niż data ukazania się Silasa Marnera (francuski pochodzi z roku 1869, niemiecki zaś z 1877). Nie ma więc dowodu na to, że angielska powieściopisarka

dokonała swobodnej przeróbki Jermoły przenosząc akcję do Anglii, a także zmieniając stosownie do tego charakterystykę, pewne szczegóły fabuły i wprowadzając szczęśliwe zakończenie. Nikt też tego nigdy nie sugerował. Jednakże zbieżności są intrygujące. Zwróciła na nie uwagę jako pierwsza Mathilde Blind w swej biografii literackiej George Eliot (London 1883). Informacja została powtórzona w biografii Leslie Stephena (George Eliot, London 1902). W ten sposób dowiedział się o niej w dwudziestoleciu międzywojennym Julian Krzyżanowski, który przeprowadził staranne porównanie obydwu powieści i doszedł

SADY WSPÓŁCZESNYCH I POTOMNYCH

LXXXVII

do niepodważalnego wniosku, iż podobieństwa są tak znaczne, że nie mogą być dziełem przypadku. Poszukując wytłumaczenia uznał za możliwe istnienie na Zachodzie Europy jakiegoś wcześniejszego przekładu Jermoły, nie odnotowanego w Bibliografii polskiej Estreichera. Nie ma na to jednak żadnego dowodu. Wysunął więc polski badacz ostatecznie - jako bardziej prawdopodobną - drugą hipotezę, że pomysł został zaczerpnięty, zarówno przez Kraszewskiego jak i przez George Eliot, z tego samego źródła. Mogły nim być różne wersje tej samej opowieści moralnej. Owe contes moraux cieszyły się w XVIII wieku znaczną popularnością i dostępne były w różnych językach³². Kontynuując tę starannie podbudowaną spekulację wybitnego historyka literatury i komparatysty można dodać, że George Eliot, po sukcesie Adama Bede oraz chłodniejszym przyjęciu Młyna nad Flossą mogła tym chętniej sięgnąć ponownie do tematyki związanej ze stuleciem poprzednim. Wybór był trafny: Silas Marner zyskał natychmiastową popularność i długo ją zachował.

Problematyka etyczna stanowi ważny element również w następnym utworze, którym była historyczna powieść Romola. Po jej opublikowaniu stała się George Eliot na wiele lat największą moralistką swej epoki.

Romola odegrała jednak w jej karierze pisarskiej jeszcze inną rolę: była to powieść tak wyraźnie nacechowana erudycją, posiadająca tak wielki ładunek głębokiej refleksji historycznej w wypowiedziach narratora, że wydawcy i krytycy uświadomili sobie nagle przemianę, jaka zaszła w jej metodzie twórczej. Było jasne, że nowa powieść jest zaadresowana do ludzi wykształconych i aktywnych intelektualnie. Wielu czytelników, którzy sięgnęli po nią w nadziei, że będzie to znowu Prosta opowieść osadzona w znanych im realiach, doznało rozczarowania.

por. Krzyżanowski, Zagadka "Jermoły". (Kraszewski i George) [w:] Księga ku czci J.I. Kraszewskiego, Łuck 1939, s. 141-159, przedruk W: W świecie romantycznym, Kraków 1961, s. 325-338.

RECEPCJA TWÓRCZOŚCI GEORGE ELIOT

LXXXVIII

W następnych powieściach pisarka pozostała wierna metodzie tworzenia wypróbowanej w Romoli, choć ograniczyło to krąg jej czytelników. Wiktoriańska sawantka była jednak zbyt ważną postacią w życiu umysłowym swego kraju, by zamknęły się przed nią drzwi oficyn wydawniczych. Jej utwory ukazywały się nadal u Blackwooda i były recenzowane przez wszystkie wiodące czasopisma kraju. Recenzenci mieli zastrzeżenia do wielu rzeczy w tych nowych utworach, kryteria ocen były bowiem ciągle jeszcze ukształtowane według modelu powieści z połowy stulecia. Stopniowo pogodzono się jednak z tym, że George Eliot stawia sobie inne cele. Jak pisał o niej Sir Sidney Colvin, prezentowane przez nią doświadczenie ludzkie jest częścią starego świata, świata jej dzieciństwa i młodości, ale dogłębna analiza tego świata, usilne staranie, by dotrzeć do najsłabszych motywów ludzkiego działania, wreszcie refleksja nad sensem ludzkiego życia to elementy nowe i trudne do oceny, ponieważ wcześniej nie były tworzywem powieściowym³³.

Te trudne, refleksyjne powieści coraz częściej nazywano "filozoficznymi" i nie wszyscy krytycy nadawali temu przymiotnikowi znaczenie pozytywne. Wielu uważało nową metodę

kompozycji za dowód słabnięcia sił twórczych pisarki. Tylko publicyści o największej kulturze literackiej wiązali zmianę ze stopniowym odrzucaniem starego modelu powieści. Były to przecież już lata siedemdziesiąte, kiedy ze sceny zeszli w Anglii wszyscy wybitni powieściopisarze tworzący w połowie stulecia. William Makepeace Thackeray, autor Targowiska próżności, zmarł w roku 1863, Elizabeth Gaskell w roku 1865, Charles Dickens w roku 1870. Siostry Bronte odeszły jeszcze wcześniej; Charlotte, której dane było żyć najdłużej, zmarła w roku 1855. George Eliot, która debiutowała w dojrzałym wieku, była teraz jedyną żyjącą powieściopisarką o nazwisku dorównującym tamtym, ale właśnie dlatego, że w dziedzinie sztuki stawiała sobie ambitne cele, nie chciała mechanicznie powielać swych własnych wcześniejszych sukcesów.

33Por. S. Colvin w: George Eliot. The Critical Heritage, op. cit., s. 332.

SADY WSPÓŁCZESNYCH I POTOMNYCH

LXXXIX

Był to pewien paradoks, że gdy etykieta autorki powieści filozoficznych zmniejszyła jej popularność, czytelnicy i krytycy zaczęli łaskawszym okiem spoglądać na utwory wcześniejsze. Tak to w kilkanaście lat po wydaniu Młyn nad Flossą był już oceniany jako jedna z jej lepszych powieści. Jeśli nie wszystko w tej książce było do przyjęcia, można było przynajmniej chwalić ją za realizm, którego w nowszych utworach pisarki na ogół się nie dopatrywano.

Taka sytuacja w recepcji powieści George Eliot utrzymała się bez większych zmian do jej nagłego zgonu w roku 1880. Po śmierci pisarki zaczęła się w Anglii szybka erozja jej reputacji. Był to okres rozkwitu estetyzmu i głosicielom hasła "sztuka dla sztuki" nietrudno było ośmieszać twórczość moralistki, która nigdy nie miała wątpliwości, że sztuka powinna służyć społeczeństwu.

Wydana w roku 1885 biografia pisarki pióra jej męża, Johna Crossa, wzbogacona wyborem listów Marian, także nie przysporzyła jej uznania. Kierowany dobrymi intencjami Cross dał wyraz nie tyle prawdzie, ile swemu uwielbieniu dla zmarłej. Bez wahania ukrył lub przemilczał wszystko, co w jego opinii mogłoby się kłócić z pochlebnym wizerunkiem pisarki. Tak powstał pomnik raczej niż oparta na faktach biografia.

Przygasanie zainteresowania twórczością George Eliot było długotrwałym procesem, który został na krótko przerwany, kiedy w roku 1902 ukazała się książka poświęcona jej życiu i twórczości pióra szanowanego krytyka akademickiego, wspomnianego tu już Leslie Stephens. Niestety przyczyniła się ona do utrwalenia wielu obiegowych a powierzchownych sądów o tej twórczości, m.in. twierdzenia o niższości późniejszych powieści. Jest zresztą prawdopodobne, że ;dyby nawet Stephen potrafił zdobyć się na wnikliwsze i rzetelniej kumentowane opinie o pisarce, nie zachęciłby nikogo do lektury

JCJ utworów. Była to wszak już epoka modernizmu; zmieniły się mody trackie i kryteria ocen. Cechujący George Eliot szacunek dla nauki dbałość o dyscyplinę myślową mogły najwyżej odstraszyć młodszych czytelników, dla których istotą dobrej literatury była swobodna gra -?, a dyscyplina myślowa trąciła pedanterią.

RECEPCJA TWÓRCZOŚCI GEORGE ELIOT

xc

W wydanej w roku 1916 w Cambridge nowej historii literatury angielskiej twórczość wiktoriańskiej sawantki omówiono krótko w rozdziale dotyczącym powieści społecznej, podczas gdy np. Thackerayowi poświęcono osobny rozdział. Nawet stulecie urodzin pisarki w roku 1919 nie zdołało wydobyć jej nazwiska z zapomnienia. Odosobniony był głos Virginii Woolf, córki Sir Leslie Stephens, która w szkicu poświęconym powieściom George Eliot wysoko oceniła Middlemarch, stanowiący - jej zdaniem - apogeum owego krytykowanego

drugiego okresu twórczości pisarki. Lata międzywojenne także nie przyniosły żadnej próby rewizji od dawna ustalonych poglądów na jej wkład w rozwój powieści wiktoriańskiej. Dopiero po 1945 znaleźli się ludzie, zrazu nieliczni, którzy inaczej ocenili zamierzenia George Eliot i jej osiągnięcia artystyczne w dziedzinie powieści.

Prace podjęte przez pojedynczych badaczy w Cambridge w krótkim czasie doprowadziły do zmiany spojrzenia na twórczość wiktoriańskiej moralistki. Frank Raymond Leavis w opublikowanym w roku 1948 tomie szkiców *The Great Tradition*, w którym m.in. zawarł nową interpretację *Middlemarch*, odrzucił całkowicie tezę o szkodliwym wpływie filozoficznych zainteresowań pisarki na jej sztukę powieściową. Zaangażował też swój temperament polemiczny w utworzenie nowego obrazu jej późnej twórczości, która - jak dowodził - wywarła znaczny wpływ na następne pokolenie powieściopisarzy w Anglii, w tym na Henry'ego Jamesa i Josepha Conrada. W tym samym roku ukazała się książka Joan Bennett prezentująca w nowym świetle cały dorobek powieściowy George Eliot. W 1. 1954-1955 nakładem Yale University Press ukazała się siedmiotomowa edycja listów pisarki pod redakcją profesora tego uniwersytetu, Gordona Shermana Haighta, który przez dwadzieścia lat nie szczędził trudu, by zebrać całą zachowaną jej korespondencję. Badania tej niewielkiej grupy osób w krótkim czasie przyniosły owoce: gruntownie zmieniła się percepcja roli, jaką George Eliot odegrała w przemianach gatunkowych, które w drugiej połowie ubiegłego wieku zaszły w powieści angielskiej.

SĄDY WSPÓŁCZESNYCH I POTOMNYCH XCI

Trzeba przyznać, że jeśli chodzi o interpretację poszczególnych utworów pisarki, to uległa ona radykalnym zmianom w przypadku *Middlemarch* i Daniela Derondy, a więc utworów późnych. Młyn nad Flossą nie wymagał nowego odczytania, zostały jednak skorygowane liczne twierdzenia szczegółowe dotyczące książki. Wobec tego, iż obecnie wiemy znacznie więcej o osobistym doświadczeniu autorki i o jej przekonaniach, a także wiedzy, zaczęto na tę wczesną powieść patrzeć nie jako na kryptoautobiografię, ale dzieło fikcji literackiej, w którym oczywiście pewne doświadczenia osobiste autorki zostały wykorzystane po odpowiednim przetworzeniu ich przez wyobraźnię.

W miarę rozwoju badań nad twórczością George Eliot zajęto się także szczegółowiej recepcją tej twórczości w Anglii, Ameryce i w krajach Europy Zachodniej.

Po drugiej stronie Atlantyku George Eliot nie była w żadnym okresie swego życia szczególnie poczytna. Pozostawała w tyle nie tylko za Dickensem, którego popularność była tam ogromna i długotrwała, ale nawet za pisarzem drugorzędym, takim jak Charles Kingsley. Jej wczesne powieści, wśród nich *Młyn nad Flossą*, były tam oczywiście wydawane i czytane, ale amerykańska publiczność literacka, w większości nie znająca przecież Anglii, nie była gotowa unosić się nad jej wierną prezentacją tła społecznego czy znakomitym odtworzeniem dialektu, jakim mówią prości ludzie. Sytuacja pogorszyła się jeszcze, gdy zaczęły się ukazywać późne powieści pisarki, których szersze kręgi czytelnicze po prostu nie były w stanie zrozumieć. Nawet Henry James, po ukazaniu się *Middlemarch* jeszcze rezydujący w Ameryce, ale już sposobiący się do kariery powieściopisarza, podsumował lekturę tej powieści z mieszanymi uczuciami i napisał dla amerykańskiego miesięcznika "Galaxy" recenzję z licznymi wprawdzie pochwałami, ale także z wyrazami żalu, że wielka pisarka utraciła prostotę, która cechowała jej wczesne powieści. Owszem, dostrzegł w książce głębię przemyśleń autorki, ale nie oszczędził jej zgryźliwej uwagi, że zbyt często słyhać w *Middlemarch* echa Darwina i Huxleya, a pod koniec umieścił retoryczne pytanie: "Jeśli tak pisze się powieści, jakże

RECEPCJA TWÓRCZOŚCI GEORGE ELIOT XCII

będziemy pisać historię"³⁴. Tak więc osiągnąwszy w Ameryce najwyżej średni sukces w pierwszym okresie twórczości, utraciła tam George Eliot czytelników i uznanie krytyki wcześniej, niż w Anglii.

Europejska recepcja powieści George Eliot. Na kontynencie europejskim czytelnicy dowiedzieli się o pojawieniu nowego talentu powieściopisarskiego w Anglii dzięki rozgłosowi, jaki wywołał Adam Bede w roku 1859. Wspomniano powyżej, że powieść została wkrótce przełożona na język niemiecki, rosyjski, francuski, a także holenderski i węgierski. Młyn nad Flossą miał więc już utorowaną drogę na zagraniczne rynki wydawnicze. Wkrótce też zaczęły powstawać pierwsze tłumaczenia tej powieści. Najwcześniej, bo już w roku 1860 ukazał się w Petersburgu anonimowy przekład rosyjski³⁵. W roku 1868 wyszła nadto w Rosji skrócona wersja powieści przeznaczona dla dzieci i zatytułowana Brat i siostra. W roku 1861, a więc wkrótce po rosyjskiej, ukazała się w Berlinie wersja niemiecka, pióra Juliusza Frese³⁶. W tym samym roku pojawił się przekład holenderski, inna zaś wersja w tym języku wydana została w roku 1870³⁷, co wskazuje na utrzymującą się tam popularność powieści.

Stosunkowo małe zainteresowanie wywołał Młyn nad Flossą we Francji. Nie ukazało się tam żadne tłumaczenie książki. Wersja francuska powstała natomiast w Genewie i była dziełem starego przyjaciela Marian z okresu jej pobytu w Szwajcarii, Francois D'Albert Durade'a, który dokonał również przekładu Adama Bede. Jego tłumaczenie wyszło drukiem w roku 1863³⁸. Było dostępne we

"Ibidem, s. 359.

³⁵Przekład: Mielnica na Flossie, wydany był w trzech tomach jako dodatek do miesięcznika "Oteczestwiennyje zapiski", t. CXXXI-CXXXIII. Nie udało się ustalić, czy wersja opublikowana w r. 1865 jako dwa współprawne tomy jest drugim wydaniem, czy też niezależnym przekładem.

³⁶Wydawcą był Franz Dunker, na karcie tytułowej zaznaczono, że jest to przekład autoryzowany.

³⁷Pierwszą wersję, wydaną w Amsterdamie, przełożył J. van Westrheene, drugą - wydaną w Sneek - P. Bruijn.

³⁸Wersja francuska, autoryzowana przez George Eliot, nosiła tytuł La familie Tulliver, ou la moulin sur la Flosse, miejsce wydania: Genewa i Paryż.

EUROPEJSKA RECEPCJA

XCIII

Francji, ale - jak się wydaje - nie cieszyło się tam poczytnością. W czasopiśmie francuskich ukazały się dość liczne recenzje i omówienia powieści, jednak w większości były one nijakie: ani pochwalne, ani krytyczne i nie mogły chyba przysporzyć pisarce popularności. Z entuzjazmem pisali o niej tylko dwaj publicyści: krytyk Edmond Scherer i tłumacz Shakespeare'a Emil Montegut. "Revue des Deux Mondes" zamieścił nadto obszerny, czterdziestostronicowy streszczenie Młyna nad Flossą, niestety dość liche. Można zresztą wątpić, czy taki skrót, nawet wykonany lepiej, mógł czytelnikom dać pojęcie o artystycznych walorach powieści. Nieznajomość angielskiej pisarki we Francji miała trwać jeszcze przez wiele lat i zaważyło to pewnie na spóźnionej recepcji jej utworów w Polsce. Nie można stwierdzić, jak wiele osób poza Anglią czytało utwory pisarki w oryginale. Nie zachowała się też żadna statystyka dotycząca wielkości nakładów pozycji tłumaczonych w poszczególnych krajach. Recenzje i artykuły krytyczne w czasopiśmie są pośrednim wskaźnikiem popularności pisarza w danym kraju, mogą jednak niekiedy wynikać jedynie z chęci zaprezentowania nowego nazwiska przez grupę entuzjastycznych krytyków lub nawet jednego krytyka.

W Niemczech, gdzie odsetek wykształconych czytelników, będących w stanie poznać utwory George Eliot w oryginale, był spory

I gdzie również przekłady ukazywały się szybko, w okresie jej twórczego dwudziestolecia napisano o niej wiele artykułów i recenzji w szacownych periodykach, m.in. w "Das Magazin für die Literatur des Auslandes"³⁹. Nie były to jednak na ogół wypowiedzi oryginalne, lecz w znacznym stopniu zaczerpnięte z periodyków angielskich. Zainteresowanie jej twórczością było umiarkowane. Pod względem popularności ustępowała znacznie nie tylko Dickensowi, którego admirowano tam jak wszędzie w Europie, ale również Thackerayowi.

Por. J. Wiebel, *George Eliot: The Reception of Her Works and Her Personal Standing during and after Her Lifetime*, Hamburg 1971, dysertacja iqq Orsa (w szczególności Appendix: *George Eliot's German Readers*, s. I "9-216).

XCIV RECEPCJA TWÓRCZOŚCI GEORGE ELIOT

Szanowano ją jednak jako intelektualistkę najwyższej klasy, w dodatku osobę, która swą karierę literacką zaczynała jako tłumaczka dzieł niemieckich i publicystka specjalizująca się w prezentowaniu kultury kraju Goethego. Zainteresowanie nią podtrzymywały jej kontakty z niemieckimi uczonymi i artystami, i wizyty odbywane wraz z Lewesem, także znanym i cenionym jako biograf największego poety niemieckiego. Czytelników interesowały szczegóły z życia pisarki, może niekiedy bardziej niż jej twórczość. Dla wielu była dowodem rosnącej emancypacji kobiet. Uważano ją za kobietę postępową i często podkreślano, że jej sukces nie byłby możliwy w Niemczech.

Utwory wczesne podobały się niemieckim czytelnikom bardziej niż trudne powieści okresu końcowego, co nie budzi zdziwienia. Trudno natomiast byłoby wyjaśnić, dlaczego w tej pierwszej grupie szczególnym faworytem stał się *Silas Marner*. Warto też odnotować, że oprócz tłumaczeń wszystkich powieści, już po śmierci pisarki, w roku 1885, ukazał się przekład poematu *Hiszpańska Cyganka*, co zapewne wiązało się z długo utrzymującym się w Niemczech wysokim prestiżem utworów poetyckich, bardziej niż z walorami samego utworu. Pewne zaskoczenie może też wywołać fakt, że pośmiertna reputacja pisarki utrzymywała się w Niemczech bez większych zmian przez parę dziesiątków lat, podczas gdy w jej własnej ojczyźnie przyszała prawie natychmiast.

Z życzliwym przyjęciem spotkała się też twórczość George Eliot w Rosji, od chwili, gdy ukazał się tam *Adam Bede*, wkrótce po angielskim oryginale. Nie było trudności z odbiorem, co mogło wynikać z tego, że w Rosji czytała powieści głównie elita intelektualna, podczas gdy w Anglii ich adresatem była duża i dość zróżnicowana pod względem wykształcenia klasa średnia, szukająca w lekturze rozrywki, ale przyjmująca też dobrze treści dydaktyczne. Dydaktyzm angielskiej pisarki widocznie nie odstręczał czytelników rosyjskich. Jak sugeruje Miriam H. Berlin, byli oni we własnym kraju przyzwyczajeni do tego, że na literaturze ciąży obowiązek rozwijania

jk

EUROPEJSKA RECEPCJA

XCV

świadomości społecznej⁴⁰. Problemy moralne przyjmowali jako rzecz naturalną w powieści. Zachętę do lektury dzieł pisarki mogła też stanowić utrwalona już wówczas popularność Dickensa, której żaden inny pisarz angielski nigdy nie osiągnął. George Eliot miała szczęście do tłumacza na język rosyjski w przypadku *Adama Bede*, natomiast *Młyn nad Flossą* ukazał się w wersji, którą recenzenci ocenili dość surowo. Przyznawali wprawdzie, że odznacza się dokładnością, ale zwracali uwagę na kanciasty język i sztuczność dialogu, który ucierpiał szczególnie w pierwszej części powieści, gdzie dominują postacie dzieci. Mimo tych braków powieść wzbudziła zainteresowanie, nie pozbawione zresztą akcentów krytycznych. Poeta Michał Michajłowicz pisał w recenzji, która ukazała się w "Sowriemienniku" w 1860 roku, że postawa autorki wobec głównej bohaterki jest przykładem niedobrego kompromisu: ukazana jako dziewczyna wrażliwa i szlachetna, ponosi ona jednak klęskę nie w wyniku despotyzmu i głupoty swego otoczenia, ale dlatego, że narusza normy postępowania, których sama autorka

nie potępia w obawie przed tym społeczeństwem⁴¹. Jest to opinia wnikliwa i w znacznej mierze uzasadniona.

Zarówno ten, jak i inne komentarze powieści dowodzą, że rosyjscy krytycy uważali za niepełną autorską refleksję moralną, ponieważ brakowało jej powiązania z zagadnieniami politycznymi. Zdarzały się jednak i inne opinie o książce. Przykładem może być Iwan Turgieniew, który *Młyn nad Flossą* uważał za najlepszą powieść George Eliot.

Wśród wielkich pisarzy rosyjskich XIX wieku jest jeszcze jedno nazwisko zasługujące na wzmiankę w omówieniu recepcji angielskiej Pisarki: Lew Tołstoj. Nie poznał nigdy Marian Evans osobiście, jak zadomowiony na Zachodzie Turgieniew, ale na półkach jego biblioteki w Jasnej Polanie znajduje się pięć jej najważniejszych powieści, zaś

-H. Berlin, *George Eliot and the Russians* [w:] *George Eliot. A Centenary* -? Attribute Pod red. G.S. Haighta i R.T. Van Arsdela, London and Basingstoke 1982, s. 90-105.

ib s. 97.

RECEPCJA TWÓRCZOŚCI GEORGE ELIOT

XCVI

Sam pisarz wymieniał Adama Bede, *Młyn nad Flossą* i *Middlemarch* jako te, które wywarły na nim wielkie wrażenie.

W ostatnim trzydziestolecu XIX wieku zainteresowanie pisarką w Rosji zmalało, zapewne częściowo wskutek zmian, jakie zachodziły w poglądach na sztukę na progu modernizmu, ale może też po trosze z powodu nasilenia się nastrojów radykalnych w Rosji, które sprawiły, że przywiązanie George Eliot do tradycyjnych wartości oddaliło ją od młodszej generacji czytelników. Nie została jednak całkowicie zapomniana i jeszcze w ostatniej dekadzie pisano o jej wkładzie w rozwój powieści angielskiej.

W bardziej niezwykły sposób przebiegała recepcja twórczości George Eliot we Francji. Jak wspomniano wcześniej, ukazanie się francuskiej wersji *Młyna nad Flossą*, którą poprzedziło wydanie Adama Bede, nie zapewniło autorce uznania krytyki ani popularności u najbliższych sąsiadów. Brak reakcji był zaskakujący i bardzo przykry. Pisarka miała tam przecież przyjaciół i znała wielu intelektualistów, z którymi utrzymywała kontakty. Mimo to we Francji nigdy nie zaistniała sytuacja podobna do tej, jaka ukształtowała się w Niemczech. Jej sukces we własnym kraju i w sporej części Europy odbił się u najbliższych sąsiadów bardzo słabym echem, tak dalece, że czasem dostawała listy z Francji z zapytaniem, czy są tam dostępne jakieś jej utwory w przekładzie. Taki stan rzeczy trwał przez dwadzieścia lat. Jego powodów można się jedynie domyślać.

W rozprawie *George Eliot in France* John Philip Couch wymienia jako najbardziej prawdopodobne dwa powody wzajemnie ze sobą związane. Pierwszy to jej późny debiut. Wypadł on w okresie, kiedy Francja pod panowaniem Napoleona III, przy pełnym rozkwicie mocarstwowych ambicji, niezbyt chętnie sięgała do skarbnicy literatur obcych. Drugi to niechęć do protestantyzmu. Niechęć ta była silniejsza niż przed rokiem 1850 dzięki mocnej pozycji kół klerykalnych. Dodatkowo mogła działać i ta paradoksalna okoliczność, że George Eliot - choć ateistka - przedstawiała w swych powieściach etos protestancki z wyraźną aprobatą narratorską, można więc było i jej

EUROPEJSKA RECEPCJA

XCVII

samej przypisać światopogląd protestancki⁴². To także mogło spowodować rezerwę publicystów ultrakonserwatywnych czasopism.

Parę życzliwszych ocen twórczości pisarki pojawiło się w latach siedemdziesiątych, zwłaszcza na łamach założonego w r. 1871 czasopisma "*Revue Bleue*", które starało się informować swych czytelników o jej najważniejszych osiągnięciach. Rzetelne informacje o niej można też było znaleźć w artykułach dobrych znawców literatury angielskiej, Edmonda

Scherera i Emila Monteguta. Jednakże zasadnicza rewizja ocen jej powieści dokonała się we Francji dopiero po roku 1881, za sprawą Ferdynanda Brunetiere'a.

Brunetiere był wpływowym krytykiem literackim i autorem prac o literaturze współczesnej, a także zagorzałym wrogiem Zoli. Ostro krytykował ówczesną francuską powieść z powodu jej zafascynowania naturalizmem. Nie ograniczając się do krytyki Zoli, zapragnął uzdrowić powieść w swoim kraju, dostarczając jej właściwego wzoru do naśladowania. Za taki wzór uznał powieści George Eliot. W roku 1881 zamieścił rozprawkę o jej twórczości w "Revue Bleue" i przez następne dwadzieścia lat był niezmiernym popularyzatorem tej twórczości we Francji. Omawiał jej utwory i podkreślał, że można w nich znaleźć to, czego brakuje powieści francuskiej: wierną prezentację otaczającej współczesnego człowieka rzeczywistości z równoczesnym propagowaniem zasad etycznych.

Admiracja Brunetiere'a dla angielskiej pisarki wynikała z podobieństwa przekonań. Młodszy od niej o trzydzieści lat, zetknął się później z teorią ewolucji, ale tak samo jak George Eliot dostrzegł jej plikacje dla literatury. Obecnie uważany jest za twórcę kierunku ideologicznego w badaniach literackich, koncepcję Darwina zastosował bowiem do teorii literatury i metodologii badań literackich⁴³. W George Eliot znalazł najwybitniejszą powieściopisarkę, dla której

Couch, George Eliot in France. A French Appraise of George Eliot's Writings 1858-1960, University of North Carolina's Studies in Comparative Literature, nr 41, Chapel Hill 1967, s. V, VI.

por. S. Skwarczyńska, Kierunki w badaniach literackich od romantyzmu do połowy XXw., Warszawa 1984, s. 90.

7 BN H/234

G. Eliot: Młyn nad Flossą

RECEPCJA TWÓRCZOŚCI GEORGE ELIOT

XCVIII

nowa biologia stała się inspiracją twórczą w ostatnich powieściach. Gillian Beer, która gruntownie badała wpływ darwinizmu na nauki społeczne, kulturę i literaturę w Anglii w drugiej połowie XIX wieku, podkreśla, że z jednej strony ta płodna teoria była sama produktem ukształtowanego wcześniej sposobu myślenia, z drugiej zaś jej założenia, wypracowany przez nią system pojęć i język oddziaływały potężnie na wyobraźnię pisarzy i intelektualistów o różnych zainteresowaniach⁴⁴. Darwin zmienił bowiem sam obraz człowieka i charakteru więzi społecznych.

Brunetiere dostrzegł w powieściach George Eliot doskonałą integrację elementów fikcji z ideami ogólnymi, które były mu bliskie. Przedstawiając ją czytelnikom francuskim kładł nacisk nie tylko na zawartość ideową jej powieści, ale również na jej głęboko humanistyczny stosunek do człowieka, kształtujący analizę psychologiczną postaci fikcyjnych. Dzięki jego działalności pisarka zaistniała w świadomości pewnego odłamu francuskiej publiczności literackiej jako bardzo wyraźna indywidualność twórcza, niepodobna do innych powieściopisarzy angielskich. Sięgnięto po zapomniane przekłady jej wczesnych powieści pióra D'Albert-Durade'a, nadto w roku 1881 ukazał się francuski przekład Daniela Derondy, a w 1890 - Middlemarch. Mimo wysiłków Brunetiere'a późne powieści nie spotkały się z dobrą recepcją. Pisarka wzbudziła jednak pewne zainteresowanie, choć zarysowała się i odwrotna reakcja: ostra krytyka jej twórczości przez zwolenników naturalizmu.

Mimo iż po roku 1900 George Eliot stopniowo popadła w zapomnienie, kilkuletnia atmosfera zainteresowania i kontrowersji wydała we Francji owoce: młodsza generacja czytelników sięgnęła po jej utwory i pozostała pod ich wrażeniem. Niektórzy z nich mieli w następnym stuleciu zająć ważne miejsce w powieści i krytyce francuskiej. Najwybitniejsze nazwiska w tej grupie to Marcel Proust, Andre Gide oraz krytycy abbe Henri Bremond i Albert

Thibaudet⁴⁵ Wydaje się, że lektura powieści George Eliot najmocniej oddziaływała na wyobraźnię Prousta. Istnieją dowody, że przeczytał cztery lub pięć G. Beer, *Darwin's Plots: Evolutionary Narrative in Darwin, George and Nineteenth-Century Fiction*, Ark Edition, London 1985 (wyd. I: 1983), cz. 1: *Darwin's Language*, s. 29-76 *passim*.
45 J.P. Co uch, *op. cit.* s. 135.

TWÓRCZOŚĆ GEORGE ELIOT W POLSCE

XCIX

jej powieści. Szczególne wrażenie wywarł na nim Młyn nad Flossą, który czytał wcześniej, w wieku kilkunastu lat, kiedy zaangażowanie emocjonalne wrażliwych jednostek jest często bardzo duże. Echa lektury Młyna nad Flossą w twórczości Prousta omawiane były przez krytyków o zainteresowaniach komparatystycznych; dostrzeżono też pewne zbieżności między drugą powieścią George Eliot a *W poszukiwaniu straconego czasu*⁴⁶.

Wzmianki o George Eliot w periodykach francuskich przewijają się jeszcze nierzadko na początku wieku XX, potem zaś nazwisko jej w tym kraju ulega stopniowo zapomnieniu. Twórczość George Eliot w Polsce. O recepcji pisarstwa George Eliot w naszym kraju niewiele da się powiedzieć. Lata jej rozgłosu w Europie przypadły niestety na okres napięć politycznych, które poprzedziły wybuch powstania styczniowego w Polsce, potem zaś samo powstanie i wreszcie - na dźwiganie się pokonanego narodu z klęski. Następne dziesięciolecie to narodziny i rozwój pozytywizmu i realizmu w literaturze, która musiała staczać ustawiczne batalie z cenzurą. Na zainteresowanie literaturą obcą pozostawał zaledwie wąski margines w czasopiśmie i wydawnictwach. W przekładach mogły się ukazywać jedynie dzieła najwybitniejsze lub twórczość o charakterze rozrywkowym. Zresztą sława George Eliot już wówczas przygasła, stała się bowiem pisarką "filozoficzną", jak ją określali krytycy nawet we własnym kraju.

Dopiero więc w l. 1892-1893 - być może dzięki przejściowemu zainteresowaniu jej twórczością we Francji - ukazał się w spolszczeniu dwutomowy Wybór powieści Jerzego Eliota, nakładem Salomona Lewentala. Tom I stanowił *Adam Bede*, w przekładzie i ze wstępem

Walerii Marrene, tom II - *Sceny z życia duchownych*, przetłumaczone przez Marię Obrębską. Wybór ukazał się w serii Biblioteki Najcelniejszych Utworów Literatury Europejskiej, a więc niejako już pod Pieczęcią pozycji klasycznej.

opóźniona inicjatywa wydawnicza nie przyniosła niestety żadnego

-? anor Fiffisson, Proust, Bergson and George Eliot, "The Modern 1945 2 104114 JP Hli Mli 1

Lano, H son, Proust, Bergson and George Eliot, "The Modern

Fin f "iReview 1945, nr 2, s. 104-114; J.P. Hulin, "Du Moulin sur la iSe a Jean Santeuil, *Etudes Anglaises*, 1953, t. VI, s. 54-55.

RECEPCJA TWÓRCZOŚCI GEORGE ELIOT

pożytku. George Eliot rozminęła się ze swą epoką, był to już bowiem czas narodzin Młodej Polski. Smak literacki przechodził gwałtowną przemianę i młodszych czytelników wczesne utwory wiktoriańskiej sawantki musiały uderzać jako ramotki. W swym studium o recepcji literatury angielskiej w Polsce Wanda Krajewska napisała, że powieściopisarka

nie zdobyła sympatii krytyków. Przychodziła za późno, gdy intelektualizm niewielu miał zwolenników. Kościółkowska wołała "rzewność" Dickensa. Jabłonowski, stawiający ją w

rzędzie najznakomitszych pisarek angielskich i europejskich, próbował jej realizm, który

nazywa "naturalizmem", przeciwstawić naturalizmowi Zoli, ale nie zdołał jej obronić⁴⁷.

Władysław Jabłonowski (1867-1956), publicysta często piszący o pisarzach obcych, studiował w Genewie i w Paryżu. O George Eliot zapewne dowiedział się z francuskich czasopiśmie literackich. Zestawienie jej nazwiska z Zola mogłoby wskazywać, że czytał któryś z artykułów Brunetiere'a. W Polsce nazwisko pisarki wymieniał J.I. Kraszewski, dawała też

wyraz swemu podziwowi dla pisarki Eliza Orzeszkowa, ale nie były to wystarczające podstawy do zapewnienia jej dobrego przyjęcia przez czytelników już pod koniec stulecia. Nie poprawił sytuacji napisany byle jak wstęp do tego wydania. Dominują w nim informacje biograficzne, jest też ogólnikowe stwierdzenie, że George Eliot była przedstawicielką realizmu w powieści. O życiu pisarki wiedzano już wtedy dość dużo dzięki biografii wydanej przez jej męża, Johna Crossa, który posiadał wszystkie jej papiery i korespondencję. Niestety we wstępie Walerii Marrene informacje prawdziwe mieszają się z niedorzecznymi twierdzeniami zaczerpniętymi z jej własnej wyobraźni lub jakiegoś bardzo lichego czasopisma francuskiego, na które się niestety nie powołuje. Tak więc według autorki wstępu, George Eliot w młodości ciągle zmieniała przekonania religijne, "była z kolei baptystką, ewangelistką, metodystką, a zawsze z namiętnością, sobie właściwą, oddawała się całą duszą

47 W. Krajewska, *Recepcja literatury angielskiej w okresie modernizmu (1887-1918)*, Wrocław 1972, s. 135.

Jerzy Eliot, *Wybór powieści*, Biblioteka Najcelniejszych Utworów Literatury Europejskiej, oddział I: Adam Bede, przekł. i wstęp W. Marrene, Warszawa 1890-1892, s. 6.

TWÓRCZOŚĆ GEORGE ELIOT W POLSCE

CI

nowej wierze⁴⁸. Z faktami opinia ta nie ma nic wspólnego, podobnie jak informacja o karierze publicystycznej George Eliot, która jawi się jako seria niepowodzeń, ponieważ - zdaniem Walerii Marrene - krytykiem była ta utalentowana kobieta miernym: "rzadko potrafiła przeniknąć istotę rozbieranego przez siebie autora, brakło jej zmysłu do zrozumienia go w zupełności"⁴⁹. Dalej następują informacje równie bałamutne: pisarka miała rzekomo surowo oceniać utwory Dickensa, podobnie jak Thackeraya, Carlyle'a i Charlotte Bronte. Trudno byłoby stworzyć mniej pociągający wizerunek kobiety i pisarki. Można wątpić, czy lektura tego wstępu kogokolwiek zachęciła do przeczytania powieści.

Jeśli zważyć, że autorka wstępu była zaprzyjaźniona z Orzeszkową i obracała się w kręgach polskich pozytywistów, że nie należała do obozu zwolenników modernizmu, programowo krytycznych wobec powieści realistycznych, musi się przyjąć, że po prostu nie знаła powieści angielskiej sprzed paru dziesiątków lat i bezkrytycznie powtarzała błędne informacje o George Eliot zebrane z przypadkowych źródeł, tworząc w świadomości polskich czytelników wiktoriańskiej pisarki całkowicie fałszywe pojęcie o jej twórczości. Dodajmy do tego niewysoki poziom przekładu, pełnego skrótów i opuszczeń, robionego naprędce, bez znajomości realiów opisywanego świata, a zdamy sobie sprawę, że Adam Bede i Sceny z życia duchownych nie mogły spotkać się wśród polskich czytelników ani ze zrozumieniem, ani z pozytywną oceną. Tak więc jedyna próba zaprezentowania utworów George Eliot w Polsce skończyła się niepowodzeniem.

Przez następne siedemdziesiąt lat nie zdarzyło się u nas żadne inne przedsięwzięcie edytorskie, które miałyby na celu wypełnienie luki. Było to całkiem zrozumiałe. Wszak w krytyce angielskiej także panowała rzadko tylko przerywana zmowa milczenia, która spowodowała praktycznie wyjście dzieł George Eliot z obiegu. Prawda, że okresie bezpośrednio przed I wojną światową i w dziesięcioleciu, które po niej nastąpiło, cała powieść wiktoriańska była zaniedbywana.

RECEPCJA TWÓRCZOŚCI GEORGE ELIOT

CII

Zaważyły na tym szybkie przemiany w poetyce gatunku będące zasługą najwybitniejszych przedstawicieli awangardy, z których najważniejszy był James Joyce, autor *Ulissesa*. Zaważyła też teoria podświadomości Freuda i powstanie psychoanalizy. Tym, którzy obraz rzeczywistości kształtowali opierając się na tej teorii, wiktoriańska dyskretna na temat płci wydawała się wynikiem hipokryzji, a wszechwiedza narratora o postaciach fikcyjnych -

dowodem pretensjonalności. Klucz do konwencji w powieści wiktoriańskiej został zagubiony i miało go odnaleźć dopiero następne pokolenie.

Pierwsze zapowiedzi, że George Eliot może zostać na nowo "odkryta", pojawiły się w dziesięcioleciu poprzedzającym wybuch II wojny światowej⁵⁰. Nim zdążyły stać się inspiracją dla szerszego grona badaczy i krytyków, Europa pogrążyła się w chaosie.

Ostatecznie więc odmienne spojrzenie na dorobek pisarki można dostrzec dopiero w pracach powojennych, a wtedy ostry podział starego kontynentu na Wschód i Zachód uniemożliwił przeniknięcie nowych ocen jej twórczości do Polski. Klasyków powieści angielskiej przekładano wprawdzie u nas w niewielkich ilościach również przed rokiem 1956, ale żaden utwór George Eliot nie znalazł się wśród nich.

Dlatego ważne było wydanie polskiego przekładu Młyna nad Flossą w roku 1960, a więc w setną rocznicę ukazania się powieści w Anglii. Wydanie to zostało wznowione w roku 1982. Do chwili obecnej pozostaje jedyną powieścią dostępną w spolszczeniu, bowiem pozycja Biblioteki Najcenniejszych Utworów z 1. 1891/1892 ma wartość jedynie dla historyków literatury.

⁵⁰Ważną rolę w rewizji ocen odegrał tom szkiców D. Cecila: *Early Victorian Novelists* (London 1934), w którym znalazł się szkic o George Eliot. W r. 1933 rozpoczął pracę nad epokową edycją listów pisarki G.S. Haight. W 1933P. BourThonne wydał w Paryżu studium: *George Eliot: essai de biographie intellectuelle et morale*.

NOTA WYDAWNICZA

CIII

NOTA WYDAWNICZA

Podstawą przedruku jest wydanie: G. Eliot, *Młyn nad Flossą*, przeł. Anna Przedpeńska-Trzeciakowska, wyd. II: Warszawa 1982. Zgodnie z oryginałem angielskim zachowano pisownię tytułów ksiąg i niektórych nazw w tekście dużymi literami. Dla potrzeb naszego wydania tłumaczka dokonała poprawek przekładu.

BIBLIOGRAFIA (Wybór)

Młyn nad Flossą

Wydania angielskie:

The Mill on the Floss, Everyman's Library No 1325, London 1969. *The Mill on the Floss*, ed. by Gordon S. Haight, Clarendon Press, Oxford 1980.

Wydania polskie:

Młyn nad Flossą, przeł. Anna Przedpeńska-Trzeciakowska, wyd. I: Warszawa 1960, wyd. II: Warszawa 1982.

INNE DZIEŁA GEORGE ELIOT

Wydania angielskie: Adam Bede, San Francisco 1948. *Daniel Deronda*, New York 1961.

Essays of George Eliot, pod red. Thomasa Pinneya, New York 1963. Felix Holt. *The Radical*, New York 1970.

Middlemarch. A Study of Provincial Life, Edinburgh, London 1875. *Romola*, London 1965.

Scenes of Clerical Life, London, Edinburgh, Paris [b.d.]. "Silas Marner". "The Lifted Veil".

"Brother Jacob", London 1958.

Wydanie polskie:

Jerzy Eliot, *Wybór powieści*, Biblioteka Najcenniejszych Utworów Literatury Europejskiej, oddział I: Adam Bede, przekł. i wstęp Waleria Marrene; oddział II: *Sceny z życia duchownych*, przeł. M. Obrebska, Warszawa 1891-1892.

I

CV

BIBLIOGRAFIA

BIOGRAFIE I OPRACOWANIA TWÓRCZOŚCI GEORGE ELIOT

Rosemary Ash ton, *George Eliot*, Oxford, New York 1983.
 Joan Bennell, *George Eliot: Her Mind and Art*, Cambridge 1948.
George Eliot's Life as Related in her Letters and Journals, pod red. Johna W. Crossa, Edinburgh 1885.
 Gordon S. Haight, *George Eliot: A Biography*, Oxford, London 1968. Barbara Hardy, *The Novels of George Eliot*, London 1959. R.T. Jones, *George Eliot*, Cambridge 1970. U.C. Knoepfelmacher, *George Eliot's Early Novels: The Limits of Realism*, Berkeley 1968.
 Kenny Marolla, "Adam Bede" as Pastoral, "Genre" 1976, t. IX, nr 1. Graham Martin, "The Mill on the Floss" and the Unreliable Narrator [w:]
George Eliot. Centenary Essays and an Unpublished Fragment, pod red. Anne Smith, London 1980, s. 36-54. K.M. Newton, *George Eliot: Romantic Humanist*, Totowa, New Jersey 1981. Bernard J. Paris, *Experiments in Life: George Eliot's Quest for Values*, Detroit, Michigan 1965.
 FB. Pinion, *A George Eliot Companion*, London and Basingstoke 1981. Ruby V. Redinger, *George Eliot: The Emergent Self*, London 1975. Neil Roberts, *George Eliot. Her Beliefs and Her Art*, Pittsburgh 1975. Jerome Thale, *The Novels of George Eliot*, New York 1959.

OPRACOWANIA OGÓLNE

CVI

Walter Allen, *The English Novel*, Harmondsworth 1958 (Penguin Books). Rosemary Ash ton, *The German Idea. Four English writers and the reception of German thought 1800-1860*, Cambridge, London, New York 1980. Julian Beer, *Darwin's Plots: Evolutionary Narrative in Darwin, George Eliot and Nineteenth Century Fiction*, Ark Edition, London 1985. David Cecil, *Early Victorian Novelists*, London 1970 (wyd. I: 1934). uinevere L. Griest, *A Victorian Leviathan: Mudie's Select Library*, "Nineteenth Century Fiction" 1965, nr 2.

BIBLIOGRAFIA

History of Literature in the English Language, pod red. Arthura Polarda, t. VI: *The Victorians*, Sphere Books, London 1969. Walter E. Houghton, *The Victorian Frame of Mind, 1830-1870*, New Haven, Connecticut 1957.
 Clark G. Kitson, *The Making of Victorian England*, London 1962. Frank Raymond Leavis, *The Great Tradition*, Harmondsworth 1962 (Penguin Books) (wyd. I: 1948).
 David Skilton, *Anthony Trollope and his Contemporaries*, London 1972. Michael Squires, *The Pastoral Novel: Studies in George Eliot, Thomas Hardy and D.H. Lawrence*, Charlottesville 1974. J.A. Sutherland, *Victorian Novelists and Publishers*, London 1976. Raymond Williams, *The English Novel from Dickens to Lawrence*, St. Albans 1974. G.M. Young, *Victorian England, Portrait of an Age*, Oxford 1936.

RECEPCJA GEORGE ELIOT

Miriam H. Berlin, *George Eliot and the Russians* [w:] *George Eliot. A Centenary Tribute*, pod red. Gordona S. Haighta i Rosemary T. Van Arsdel, London and Basingstoke 1982. L.A. Biss on, Proust, Bergson and George Eliot, "The Modern Language Review" 1945, nr 2. John Philip Couch, *George Eliot in France. A French Appraisal of George Eliot's Writings 1858-1960*, University of North Carolina's Studies in

Comparative Literature, nr 41, Chapel Hill 1967.

George Eliot. The Critical Heritage, pod red. Davida Carrolla, London 1971. J.P. Hulin, Du Moulin sur la Flossa" a Jean Santeuil, Etudes Anglaises, 1953, t. VI. Wanda Krajewska, Recepcja literatury angielskiej w Polsce w okresie modernizmu (1887-1918), Wrocław 1972. Jane Wiebe 1, George Eliot: The Reception of Her Works and Her Per sond Standing during and after Her Lifetime, Hamburg 1971.

Młyn nad Flossą

"I w śmierci swojej nie są rozłączeni"

KSIĘGA PIERWSZA

CHŁOPIEC I DZIEWCZYŃKA

ROZDZIAŁ I

POD MŁYNEM DORLCOTE

Po szerokiej równinie, zamknięta w zielonych brzegach, płynie bystrym nurtem ku morzu szeroka w tym miejscu Flossa, a czuły przypyływ wybiega na jej spotkanie i zdusza płynące wody w gwałtownym uścisku. Ten właśnie potężny przypyływ niesie ku miastu St. Ogg's2 czarne okręty ładowne jodłowymi, pachnącymi świeżością deskami, krągłymi worami nasion oleistych czy ciemnym lśnieniem węgla. Między niskim, zalesionym wzgórzem i brzegiem rzeki ukazują się stare, faliste, czerwone dachy i szerokie ściany szczytowe składów portowych zabarwiających wodę delikatną różową barwą w niestałych blaskach lutowego słońca. Na prawo i lewo ciągną się, jak okiem sięgnąć, bujne pastwiska i łąki ciemnej ziemi, gotowej na przyjęcie ziarna szerokolistnych zielonych roślin, lub też zabarwionej już delikatnym seledynowym kolorem młodych zbóż z jesiennego siewu.

Flossa odgrywa ważną rolę przez cały ciąg powieści; pojawia się już w tytule, a następnie w pierwszym zdaniu. Jest również

miejszem ostatniego, dramatycznego wydarzenia, stanowi więc rodzaj klamry spinającej akcję. Za prototyp Flossy uważa się

Trent w północno-wschodniej Anglii. Prawdopodobnie jednak poetycka koncepcja rzeki, personifikowanej w początkowym opisie, skłoniła autorkę do zrezygnowania z użycia nazwy geograficznej i Posłużenia się fikcyjną.

Fikcyjną nazwę nadała autorka również miastu, którego długą historię sugeruje imię legendarnego świętego. Uważa się, że St. Ogg's było w szczególności zewnętrznym wzorowane na niewielkim mieście Gainsborough nad Trentem w hrabstwie Lincoln, które George Eliot odwiedziła planując swą powieść.

Przedstawione tu tło społeczne i obyczaje mieszkańców zostały Jeszcze zaczerpnięte z wczesnych obserwacji autorki, której dzieciństwo i lata dorastania upływały w pobliżu Coventry w hrabstwie Warwick dokładnie w tym samym czasie, kiedy toczy się akcja powieści, tj. w 1829-1838.

6 KSIĘGA PIERWSZA

Jest jeszcze kilka zeszłorocznych stogów, wynurzających się spoza żywopłotów rzędem złotych kopców, a wszystkie żywopłoty poprzecinane są drzewami. Wydaje się, że maszty i rudawe żagle płynących w dali okrętów wyrastają spomiędzy gałęzi rozłożystego jesionu. Tuż pod czerwonymi dachami miasta wpływa do Flossy zasilająca jej wody bystra rzeczka Ripple. Jakaż urocza jest ta rzeczka o ciemnych, mieniących się falach! To jakby żywy mój towarzysz, gdy tak wędruję wzdłuż brzegu i słucham jej niskiego, łagodnego głosu, jak głosu kogoś głuchego i bardzo kochającego. Pamiętam te wierzby, zanurzające długie gałęzie w wodzie. Pamiętam kamienny most.

A oto młyn Dorlcote. Muszę nań popatrzeć i przystanąć chwilę na moście, choć nadciągają groźne chmury i późne już popołudnie. Miły to widok nawet teraz, w bezlistne ostatnie dni

lutego - może chłód i wilgoć dodają czaru dostatniemu, schludnemu domowi, staremu jak te wiązy i kasztany, które go chronią przed północnym wichrem. Woda w rzeczce podchodzi wysoko pod rzadkie łożyny i niemal zalewa trawiaste brzegi łąki przed domem. Gdy spoglądam na ten wezbrany strumień, na żywą trawę, na jasnozielony pył, co wydelikatnia zarysy wielkich pni i gałęzi i prześwituje spod nagich, czerwonych krzewów, wówczas zaczynam wprost kochać wilgoć i zazdrościć białym kaczkom w łożynach, które zanurzają łebki głęboko w wodę, niepomne na dosyć dziwne wrażenie, jakie ten widok sprawić może na suchszym świecie, tam, w górze.

Szum bystrej wody i łoskot młyna ogłuszają sennie, a wszystko to potęguje wrażenie spokoju - jakby wielkie zasłony dźwięku odcięły słuchacza od reszty świata. A teraz znowu rozlega się turkot wielkiego, wyładowanego workami ziarna furgonu wracającego do domu.

Pocciwy furman rozmyśla zapewne nad swoim obiadem, który o tak późnej porze musiał wyschnąć na wiór w piecyku; nie weźmie jednak do ust ani kęsa, zanim nie nakarmi koni - mocnych, uległych, łagodnookich zwierząt, które patrzą nań zza okularów ze spokojną wymówką. Po cóż to groźne strzelanie z bata?! Jakby to było potrzebne!!! Patrzcie, jak naprężają mięśnie ciągnąc wóz pod górę, na most, z energią, którą im daje poczucie bliskości domu. Patrzcie na ogromne, obrośnięte kudłami kopyta, wbijające się w twardą ziemię;

ROZDZIAŁ I

patrzcie na wytrzymałą siłę pochylonych pod ciężkim chomaćem szyj, na mocarne mięskuly napiętych zadów. Przyjemnie byłoby usłyszeć, jak rżą nad ciężko zapracowanym owsem, zobaczyć, jak pochylają spocone, uwolnione już z upręży szyje i zanurzają chciwe chrapy w błotnistym stawie. Są już na moście i szybciej zbiegają w dół, a łuk płóciennej budy ginie mi z oczu na zakręcie za drzewami.

Teraz mogę znowu zwrócić oczy na młyn i patrzeć, jak jego niestrudzone koło wyrzuca kryształowe bryzgi wody. Ta mała dziewczynka również mu się przygląda; nie ruszyła się ze swego miejsca na brzegu, odkąd stanąłem na moście. A dziwaczny biały kundel z brązowym uchem wciąż skacze i szczeka, jakby wygrażał bezskutecznie młyńskiemu kołu; może jest zazdrosny o swoją towarzyszkę zabaw w bobrowym kapturku, którą jakby urzekły te koliste ruchy. Myślę sobie, że już najwyższy czas, by mała poszła do domu; powinien ją tam przecież ściągnąć jasny ogień na kominku: czerwony blask płomienia pobłyskuje pod ciemniejącą szarością nieba. I mnie już czas w drogę, czas zdjąć ręce z zimnego kamienia mostu ...

Ach, naprawdę ręce mi zdrętwiały. Zdrętwiały przyciśnięte do poręczy fotela ... gdy śniłem, że oto stoję na moście przed młynem Dorlcote, takim, jaki był w pewne lutowe popołudnie przed wielu, wielu laty. Nim mnie sen zmorzył, chciałem wam właśnie opowiedzieć, o czym rozmawiali państwo Tulliver siedząc przy jasnym ogniu w bawialni, na lewo z sieni, tego popołudnia, o którym marzyłem Przed chwilą.

Obraz młyna wraz z okolicą zamyka zaskakujące stwierdzenie narratora, że tak oto pojawił się on przed nim w czasie drzemki, jako plastyczna wizja dawno minionej przeszłości. Zastosowanie snu jako metody powrotu do przeszłości jest czymś wyjątkowym w angielskiej powieści realistycznej tego okresu, wywarło ono tu jednak wpływ na ukształtowanie narratora, który ma na początku subiektywny i emocjonalny stosunek do przeszłości. Tak jest później, ilekroć prezentowane są dzieci, a zwłaszcza główna bohaterka, odmienny jest stosunek narratora do świata dorosłych, których przedstawia -? odny obserwator, nierzadko wprowadzający sarkastyczny komentarz. Zdaniem Grahama Martina zmienny stosunek narratora do świata przedstawionego utrudnia interpretację powieści (por. "The Mill on the Floss" and the Unreliable Narrator [w:] George Eliot. Centenary Essays and an Unpublished Fragment, pod red. Anne Smith, London 1980, s. 40-43).

8 BN 11/234 G. Eliot: Młyn nad Flossą

KSIĘGA PIERWSZA ROZDZIAŁ II

PAN TULLIVER Z MŁYNA DORLCOTE OZNAJMIA, JAKĄ POWZIĄŁ DECYZJĘ W SPRAWIE TOMKA

- Idzie mi o to, zrozum - mówił pan Tulliver - idzie mi o to, żeby dać Tomkowi wykształcenie, jak się patrzy, które mu pozwoli zarobić na kawałek chleba. Dlatego właśnie powiedziałem w szkole, że mój syn przestanie tam chodzić od Zwiastowania⁴. Chciałbym go od św. Jana oddać do pierwszorzędnym nauczycieli. Gdybym myślał wyprowadzić go na młynarza czy gospodarza, na pewno by mu wystarczyły te dwa lata, boć przecie więcej mu już wbili do głowy niż mnie. Mój ojciec za całą szkołę dał mi dobrą różgę i pokazał, jak się czyta litery. Ale ja chciałbym, żeby z Tomka był chłopiec wykształcony i żeby nie dał sobie w kaszę dmuchać tym tam jegomościom, co potrafią pięknie gadać czy pisać z zawijasami. Mógłby mi bardzo pomóc przy wszystkich procesach, arbitrażach i tak dalej. Ale ani mi w głowie robić z chłopaka adwokata - nie chciałbym mieć z syna łobuza. Może sobie być inżynierem czy geometrą, czy licytatorem i taksatorem, jak Riley. Wszystko to ładne zawody, przynoszą człowiekowi niezły zarobek, a nie wymagają żadnych wkładów, chyba tylko grubej dewizki do zegarka i kancelaryjnego stołka. Jeden drugiemu równy, a żaden nie gorszy od prawa, wiem to na pewno, bo Riley twardo patrzy w oczy adwokatowi Wakemowi. On się go nie boi!

Pan Tulliver zwracał się do żony, przystojnej blondynki w karbowanym, wachlarzykowatym czepeczku (jakże to już dawno temu owe czepeczki wyszły z mody - pewno niedługo znów zaczniesz się nosić).

⁴Umowy na naukę, służbę itp. zawierane były w Anglii najczęściej na kwartał. Przyjęte zwyczajowo początkowe daty kwartałów to Zwiastowanie (25 marca), św. Jana (24 czerwca), św. Michała (29 września) i wigilia Bożego Narodzenia.

ROZDZIAŁ II

W owym czasie, kiedy pani Tulliver zbliżała się do czterdziestki, uważane były w St. Ogg's za rozkoszną nowość).

- Cóż, mężu, ty najlepiej się znasz na tych sprawach, ja nie mam nic przeciwko temu, co mówisz. Ale może bym tak zarznęła parę kaczek i zaprosiła wujów i ciotki na obiad w przyszłym tygodniu, żebyś posłuchał, co siostra Glegg i siostra Pullet mają do powiedzenia. Jest w kurniku kilka kaczek, które wprost proszą się o zarznięcie.

- Możesz sobie wyrznąć wszystek drób, jaki masz w kurniku, Bessy - oświadczył wyzywająco pan Tulliver - a ja tam nie będę pytał żadnych wujków i ciotków, co mam zrobić z moim chłopakiem.

- Boże święty! - pani Tulliver była wstrząśnięta tą krewką wypowiedzią. - Jakżeż tak można, kochanku! Zawsze mówisz bez szacunku o mojej rodzinie, a siostra Glegg całą winę zrzuca na mnie, choć jestem niewinna jak jagnię. Przecież nigdy bym nie powiedziała, że to nieszczęście dla moich dzieci mieć wujów, którzy na nikogo nie potrzebują się oglądać jak idzie o pieniądze. Ale jeśli Tomek ma zmienić szkołę, chciałabym, żeby pojechał tam, gdzie bym go mogła opruć i obszyć, boć przecie jak go dalej wywieziesz, to można mu równie dobrze dać perkal zamiast płótna; i tak zżółknie po kilku praniach poza domem. A jakby można było posyłać kuferek tam i z powrotem, to bym zawsze dołożyła chłopcu trochę ciasta czy pasztetu, czy jabłek; on już to zje, nie ma obawy, nawet gdyby mu tam nie wydzielali jedzenia. Bogu dzięki, moje dzieci potrafią jeść, jak mało kto!

- No dobrze, dobrze, nie pošlemy go dalej, niż dochodzi wóz bagażowy, jeśli tylko wszystko inne też będzie pasowało - odparł pan Tulliver - ale jeśli nie znajdziemy szkoły dość blisko, nie powinnaś robić wstrętów z tym praniem. To już ci muszę wypomnieć, Bessy, że y jak zobaczysz patyk na drodze, zaraz mówisz, że nie możesz przez ugo przeleźć. Nie dałaś mi nająć dobrego furmana tylko dlatego, że miał myszkę na gębie.

Co znowu, kochanku - zaproponowała pani Tulliver, lekko zdumiona.

- Kiedyż to miałam do kogoś pretensje o myszkę? Nic mi to nie przeszkadza, wprost przeciwnie - przecież mój brat, świec

KSIEGA PIERWSZA

10

Panie nad jego duszą, miał myszkę nad jedną brwią. Ale nie przypominam sobie, żebyś kiedy chciał najać furmana z myszką. Jak przyszedł John Gibbs, toć przecież nie miał na twarzy żadnej myszki, tak samo jak i ty, i bardzo cię namawiałam, żebyś go najał, no więc go najałeś i gdyby nie umarł na zapalenie płuc, pamiętasz, kiedy to płaciliśmy doktorowi Turnbull za wizyty, to by na pewno do dzisiaj u nas furmanił. Może zresztą miał tę myszkę gdzieś, gdzie nie było widać, ale skąd ja mogłam o tym wiedzieć, kochanku?

- Nie, nie, Bessy, wcale mi nie szło o myszkę, miałem na myśli coś innego, ale już mniejsza o to - dziwne, co to wychodzi z takiego gadania! Zastanawiam się teraz tylko nad tym, jak znaleźć odpowiednią szkołę dla Tomka, żeby znowu nie wpadł, tak jak z poprzednią, co to ją nazywali akademią. Nie chcę już mieć do czynienia z żadnymi akademiami⁵ i jak poślę Tomka do szkoły, to nie do akademii, tylko gdzieś, gdzie uczeń nie czyści cały czas butów rodzinie pana nauczyciela i nie obiera kartofli. Trudno wybrać chłopakowi szkołę⁶.

Pan Tulliver przerwał na chwilę i zatopił ręce głęboko w kieszeniach spodni, jakby się spodziewał znaleźć tam jakąś wskazówkę. Widocznie się nie zawiódł, gdyż powiedział nagle: Nazwy "akademii", zresztą już zdyskredytowanej, używały w XIX w. niektóre szkoły prywatne, które swój niski poziom skrywały pod tym pretensjonalnym mianem, sugerującym, że łączą one program szkoły średniej z programem college 'u.

Wybór szkoły dla chłopca był istotnie trudny, nie istniał bowiem w Anglii w owym czasie jednolity system kształcenia ani rządowa kontrola nad szkołami. Działały przestarzałe już szkoły średnie, tzw. grammar schools, zakładane na początku reformacji (po skasowaniu szkół zakonnych) głównie pod patronatem korporacji miejskich, celem nauczania chłopców podstaw łaciny. Były one zobowiązane statutem do realizowania ustalonego przez założycieli programu, bez możliwości jego zmian. Obok nich istniały również szkoły prywatne, znacznie różniące się poziomem oraz tzw. public schools, czyli nieco unowocześnione elitarne szkoły średnie, także oparte na programie przedmiotów klasycznych, ale posiadające internaty i dające chłopcom możliwość uczestniczenia w sportach. Nierzadko powierzano też edukację synów zamożnych rodzin prywatnym nauczycielom, najczęściej pastorom (por. Llewellyn Woodward, *The Age of Reform 1815-1870*, t. XIII *the Oxford History of England*, Oxford 1962, s. 484).

ROZDZIAŁ II

11

- Wiem, co zrobię. Pogadam o tym z Rileyem. Przyjeżdża jutro na arbitraż o tamę.

- Doskonale. Wyjęłam powleczenie na najwygodniejsze łóżko, a Kezia rozwiesiła je przed ogniem. To nie jest moja najlepsza bielizna pościelowa, ale może w niej spać choćby nie wiem kto. Jak już mowa

o naszych najlepszych prześcieradłach z holenderskiego płótna, to mogłabym mieć wyrzuty sumienia, że je kupiłam, gdyby nie to, że wystarczą nam jeszcze na pochówek. Gdybyś miał jutro umrzeć, kochanku, to są gotowe, pięknie wymaglowane i tak pachną lawendą, że z przyjemnością by się je rozesało, leżą w lewym rogu tej dużej dębowej skrzyni z bielizną, co stoi pod ścianą; nikomu zresztą nie dam ich wyjmować - sama się nimi zajmę.

Wymawiając ostatnie słowa pani Tulliver wyciągnęła z kieszeni pęk lśniących kluczy i, wybrawszy jeden, pocierała go między dużym i wskazującym palcem, z łagodnym uśmiechem patrząc w jasny ogień. Gdyby pan Tulliver wykazywał w stosunku do swej małżonki pewne cechy przewrażliwienia, mógłby przypuścić, iż żona wyciągnęła klucz, by lepiej móc sobie wyobrazić chwilę, kiedy to on, pan Tulliver, znajdzie się w stanie

usprawiedliwiającym wyjęcie z kufra najlepszych prześcieradeł z holenderskiego płótna. Na szczęście młynarz był wrażliwy tylko na punkcie swych praw do energii wodnej, a poza tym przyjął był męzowski obyczaj niezbyt pilnego słuchania żony, toteż od ostatniej wzmianki o Rileyu w zamyśleniu przesuwiał dłonią po swych wełnianych skarpetach.

- Wiesz, Bessy, to chyba dobra myśl - odezwał się wreszcie po krótkiej przerwie. - Riley na pewno będzie wiedział o jakiejś szkole; sam przecież dużo się kształcił i ciągle jeździ po świecie na arbitrażu i szacunki. Jutro wieczorem, jak skończymy z interesami, będziemy mieli dość czasu, żeby to obgadać. Chciałbym, żeby Tomek został kimś takim jak Riley, wiesz - żeby potrafił gadać, jak z książki, i znał dużo słów, co to niewiele znaczą, ale żaden sędzia nie może się do nich Przyczepić, no i żeby miał niezgorsze pojęcie o interesach.

- Cóż, kochanku - odparła pani Tulliver. - Nie miałabym nic przeciwko takim naukom, jeśliby szło tylko o to, żeby chłopiec pięknie

KSIĘGA PIERWSZA

12

mówił, znał się na wszystkim, chodził zgarbiony i cesał się do góry. Ale ci mężczyźni z wielkich miast, co potrafią tak pięknie gadać, noszą zwykle fałszywy gors u koszuli, a kiedy taki gors zaczyna wyglądać jak ścierka - zakrywają go serwetką. Wiem, że tak robi Riley. A poza tym, jeśli Tomek wyjedzie i zamieszka w Mudport jak Riley, to będzie miał dom z taką małą kuchnią, że ani się obrócić, nigdy nie zobaczy świeżego jajka na śniadanie i będzie sypiał gdzieś na trzecim albo może i na czwartym piętrze, i spali się, nim zdąży zejść na dół.

- Co też tam! - zaprotestował pan Tulliver. - Wcale nie myślałem, żeby Tomek miał jechać do Mudport; chciałem, żeby sobie założył biuro w St. Ogg's, niedaleko, i żeby mieszkał z nami.

Ale

- podjął po chwili milczenia - boję się tylko, że nasz chłopiec nie bardzo się nadaje na takiego mądrą. Wydaje mi się, że on nie jest specjalnie pojętny. Wrodził się w twoich, Bessy.

- Masz rację - zgodziła się pani Tulliver, przyjmując ostatnią wzmiankę za dobrą monetę. - Tak przepada za słonym rosołem, aż dziw bierze. Zupełnie jak mój brat, a przed nim mój ojciec.

- Ale szkoda - ciągnął pan Tulliver - że to nie dziewczuszka, a chłopak wrodził się w rodzinę matki. Najgorsza rzecz w tym całym krzyżowaniu gatunków, że nigdy sobie nie można z góry wykalkulować, co z tego wyniknie. Nasza mała poszła we mnie; jest dwa razy bystrzejsza od Tomka. Boję się nawet, że jest za bystra jak na babę

- ciągnął młynarz kiwając z powątpiewaniem głową z boku na bok.

- Nic w tym złego, póki jest mała, ale za mądra kobieta, to jak owca z długim ogonem: nie będzie z tego większego zysku.

- Dużo w tym złego, póki jest mała, bo stąd się biorą wszystkie moje kłopoty. Nie wiem, jak ją zmusić, żeby choć przez dwie godziny chodziła w czystym fartuszk. A to mi przypomina - ciągnęła pani Tulliver wstając i podchodząc do okna - że nie wiem, gdzie się teraz podziewa, a już prawie czas na herbatę. No tak, byłam pewna - łązi sobie nad brzegiem jak jaka dzikuska. Zobaczysz, że kiedyś wpadnie do wody.

ROZDZIAŁ II

13

Pani Tulliver mocno zapukała w szybę, kiwnęła ręką i potrząsnęła głową; nim wróciła na swoje krzesło, powtórzyła tę czynność kilkakrotnie.

- Mówisz, kochanku, o bystrości - oświadczyła usadowiwszy się z powrotem na swoim miejscu - a mnie się czasem zdaje, że dziewczyna jest jakby przygłupia. Kiedy ją poślę po coś na górze, to nieraz zapomni, po co poszła, siada na podłodze, w słońcu, splata włosy i śpiewa sobie, jak pomyłona, a ja tymczasem czekam na nią na dole. Tego już nie odziedziczyła, Bogu dzięki, po moich, ani tej czarnej skóry, przez którą wygląda jak Mulatka. Nie lubię nic wymawiać Opatrzności, ale to ciężki krzyż mieć tylko jedną córkę i do tego takiego cudaka.

- Bzdury - oburzył się pan Tulliver. - Dziewczyna jak świeca, a na te czarne ślipia każdy z przyjemnością popatrzy. Coś mi się nie wydaje, żeby była głupsza od innych dzieci - czytać potrafi nie gorzej niż sam pastor.

- Ale włosy jej się nie chcą kręcić, chociaż robię z nimi, co mogę; ona nie cierpi, jak jej zakręcęm papiloty, i ustać nie może, kiedy próbuję ułożyć jej loki rurkami. Ile ja mam z nią roboty!

- To je zetnij, zetnij na krótko - spiesznie podsunął ojciec.

- Jak ty możesz mówić coś podobnego! Taka duża dziewczyna, dziewięć lat, i taka wysoka na swój wiek! Jakżeby ona wyglądała z krótkimi włosami! Jej kuzynka, Lucy, ma całą głowę w lokach i każdy włos na swoim miejscu, ani jeden nie sterczy. To ciężki dopust dla mnie, żeby siostra Deane miała takie ładne dziecko. Pewna jestem, że Lucy więcej ma ze mnie niż moja własna córka. Madziu, Madziu - ciągnęła matka tonem przymilnego utyskiwania, gdy ta nieszczęsna pomyłka natury weszła do izby- na co się zda moje ciągle powtarzanie, byś nie chodziła nad wodę. Wpadniesz kiedyś i utopisz się, a wtedy będziesz żałowała, żeś nie słuchała matki.

Kiedy Madzia zdjęła kapturek, włosy jej okazały się smutnym potwierdzeniem słuszności matczynych zarzutów. Pani Tulliver, hcąc, by jej córka miała kędzierzawą czuprynkę, jak "inne dzieci", ścięła jej włosy nad czołem zbyt krótko, by je można było zasunąć za

14 KSIĘGA PIERWSZA

uszy, a że w godzinę po zdjęciu papilotów po lokach i śladu nie było, Madzia co chwila podrzucała głowę, by strząsnąć ciemne, gęste kosmyki z czarnych, lśniących oczu. Ruchy te upodabniały ją niezmiernie do małego szetlandzkiego kucyka.

- O, mój Boże! Madziu! Jak można tak rzucać kapturek! Bądź grzeczna, zanieś go na górę, wyszczotkuj włosy, włóż czysty fartuszek i, na litość boską, zmień pantofle. A potem wróć tutaj i przynieś swoją zszywanę, jak dobrze wychowana panienka!

- Mamo - zaprotestowała Madzia tonem, w którym brzmiało gwałtowne niezadowolenie - ja nie chcę robić zszywan- ki.

- Co?! Nie chcesz zrobić pięknej, zszywanej kapy na łóżko dla cioci Glegg?

- To głupia robota - odparła Madzia potrząsając grzywą.

- Drzeć materiał na kawałki, żeby go potem zszywać. A poza tym nie chcę nic robić dla cioci Glegg, nie lubię jej.

Wyszła, wlokąc za sobą kapturek za tasiemkę, pan Tulliver zaś roześmiał się hałaśliwie.

- Dziwię ci się, mój drogi, że możesz się z tego śmiać - oświadczyła pani Tulliver nieco bardziej zrzędnie. - Zachęcasz ją do nieposłuszeństwa. A ciotki pomyślą, że to ja ją rozpuszczam.

Pani Tulliver była osobą o tak zwanym pogodnym usposobieniu; będąc dzieckiem nigdy nie płakała, chyba że poczuła głód lub ukłuła się szpilką; od kołyski była zdrowa, dorodna, pulchna i tępawa

- krótko mówiąc najśłodsze, najmilsze dziecko w rodzinie. Ale mleko i słodycz nie najlepiej się konserwują, a skwaśniałe nieco, mogą się ludzkiemu brzuchowi dać we znaki.

Zastanawiałem się często, czy wczesne Madonny Rafaelowskie o jasnych, nieco głupawych twarzach zachowują ten sam niezmacony spokój, kiedy ich silni duchowo i fizycznie chłopcy wyrosną na tyle, by nie mogli już się pokazywać bez ubrania. Przypuszczam, że wówczas Madonny zaczynają na nich gderać, a w miarę jak to gderanie odnosi coraz mniejszy skutek, wydaje mi się, że muszą tetryczeć.

ROZDZIAŁ III

15

ROZDZIAŁ III

PAN RILEY UDZIELA RADY W SPRAWIE SZKOŁY DLA TOMKA

Ten pan w wielkim białym halsztuku i koszuli z koronkowym gorse, popijający w miłym nastroju brandy z wodą ze swoim zacnym przyjacielem Tulliverem, to pan Riley, mężczyzna o woskowej cerze, tłustych dłoniach i sporym, jak na licytatora i taksatora⁷, wykształceniu; ma on też szczere, otwarte serce, które każe mu zachować wielką bonhomie⁹ w stosunku do prostych, wiejskich ludzi o gościnnych obyczajach. O takich znajomych pan Riley mówi łaskawie jako

o ludziach "starej szkoły".

Nastąpiła chwila milczenia. Pan Tulliver, nie bez specjalnego powodu, powstrzymał się od powtórzenia po raz siódmy chłodnej odpowiedzi Rileya, którą ów pan dowiódł, iż bije Dixę o kilka długości; nie stwierdził też po raz siódmy, że Wakem dostał raz wreszcie po nosie, teraz, kiedy sprawa tamy została oddana do arbitrażu, i że nigdy nie byłoby najmniejszych dyskusji na temat wysokości wody, gdyby każdy zechciał pozostać tym, czym jest,

1. gdyby diabeł nie stworzył adwokatów. Pan Tulliver trzymał się na ogół bezpiecznych, tradycyjnych poglądów, ale w paru przypadkach zaufał wyłącznie własnemu rozumowi i doszedł do kilku nader wątpliwych wniosków, między innymi, że szczury, wołki zbożowe i adwokaci zostali stworzeni przez diabła. Nie było, niestety, nikogo, kto by go uświadomił, że jest to wybujały manicheizm⁹, może bowiem

licytator - osoba uprawniona do przeprowadzania licytacji, podająca wyjściową cenę przedmiotów i starająca się za nie uzyskać możliwie najwięcej; taksator - osoba dokonująca oceny wartości czegoś, w tym przypadku przedmiotów wystawionych na licytację. Bonhomie (fr.) - dobroduszość.

Manicheizm był systemem religijno-filozoficznym, wyznawanym w Persji, -?

przeszczepionym następnie do Afryki i Europy; uznawał on za sady bytu - dwa odwiecznie zwalczające się pierwiastki: dobro i zło.

KSIĘGA PIERWSZA

16

wtedy młynarz zrozumiałby swój błąd. Dzisiaj jednak nie miał wątpliwości, że zatriumfował pierwiastek dobra: ta cała sprawa z siłą wodną to bardzo skomplikowana historia, chociaż gdyby na nią patrzeć z jednego tylko punktu widzenia, wydawać by się mogło, że jest prosta i gładka jak sama woda. Ale choćby była nie wiem jak dziwna i skomplikowana - Riley jej sprosta. Pan Tulliver przygotował sobie mocniejszą niż zazwyczaj brandy z wodą i, jak na człowieka, który wyglądał na to, że ma na koncie parę leżących beczynnie setek, zaczął z nierozważną szczerością unosić się nad zawodowymi umiejętnościami gościa.

Tama była jednak zawsze aktualnym tematem; można go przecież było w każdej chwili podjąć w tym samym miejscu i dokładnie w tym samym stanie. A jak wiemy, istniała jeszcze jedna sprawa, co do której pan Tulliver ogromnie potrzebował rady pana Rileya. Dlatego właśnie po ostatnim łyku młynarz umilkł i zaczął w zamyśleniu pocierać kolana. Nie był człowiekiem zdolnym do szybkich zmian tematów. "Osobliwy jest ten świat" - zwykł mawiać. Jak się powozi końmi zbyt ostro, można się rozbić na zakręcie. Pan Riley tymczasem nie okazywał niecierpliwości. Dlaczegoż miałby ją okazywać? Nawet Hotspur¹⁰ byłby pewno cierpliwy, gdyby tak siedział, wsparłszy bambosze o kominek, zażywając tęgie niuchy tabaki i popijając na cudzy koszt brandy z wodą.

- Myślę i myślę ciągle o jednej sprawie - zaczął wreszcie pan Tulliver cichszym niż zazwyczaj głosem, odwracając się i spoglądając przeciągle na swego towarzysza.

- Aha - odparł pan Riley z umiarkowanym zainteresowaniem. Miał ciężkie, woskowe powieki i wysoko sklepione łuki brwi, zawsze nieruchome. Ten zakrzepły wyraz twarzy i zwyczaj zażywania tabaki przed udzieleniem odpowiedzi sprawiał, iż pan Tulliver uważał licytatora za wyrocznie absolutną.

10Hotspur - przezwisko, pod którym był znany Henry Percy (1364-1403) występujący jako jedna z postaci w dramacie Shakespeare'a Król Henryk IV, gdzie jest uosobieniem porywczosci.

ROZDZIAŁ III

17

- To sprawa specjalna - ciągnął. - Chodzi mi o Tomka, mojego syna.

Madzia, która siedziała na niskim stołeczku koło kominka trzymając na kolanach wielką, otwartą księgę, na dźwięk tego imienia wstrząsnęła gęstwą czarnych włosów i szybko podniosła wzrok. Kiedy dziewczynka marzyła nad książką, niewiele było dźwięków zdolnych ją obudzić, lecz imię Tomka działało zawsze jak najostrzejszy gwizdek. Natychmiast wracała do przytomności i spoglądała wokół błyszczącym wzrokiem jak terier wietrzący nieszczęście, gotowa rzucić się na każdego, kto by groził Tomkowi.

- Widzisz pan, chciałbym go oddać do innej szkoły na świętego Jana. Przeszanie chodzić do akademii od Zwiastowania i na kwartał puszcę go luzem, ale potem chcę go posłać do pierwszorzędných nauczycieli, którzy dadzą mu wykształcenie jak się patrzy.

- Cóż - odparł pan Riley. - Dobre wykształcenie to największy atut, jaki może pan mu dać. Co nie znaczy wcale - dodał grzecznie i znacząco - że ktoś nie może być świetnym młynarzem i farmerem, a poza tym człowiekiem bystrym i mądrym, choć nie otrzymał wielkiej pomocy od nauczyciela.

- Rozumie się - przytaknął pan Tulliver mrugając i przekrzywiając nieco głowę - ale w tym właśnie cała rzecz. Nie chcę, żeby z Tomka był młynarz i farmer. Nic w tym dobrego. Jak go na takiego wyprowadzę, to będzie tylko czekał, żeby mi wyciągnąć z rąk młyn i grunta, i będzie ciągle gadał, że już mi czas odpocząć i pomyśleć o tamtym świecie. Nie, za dużo takich rzeczy widywałem. Póki na mnie czas nie przyjdzie, to się w piernaty nie położę. Dam Tomkowi wykształcenie i zaprzęgnę go do jakiejś roboty, żeby sobie sam uścielił gniazdko, zamiast mnie wypychać z mojego. Wystarczy, że je dostanie, jak umrę. Póki mam zęby zdrowe, chcę jeść befsztyki, a nie siekaninę.

Widoczne było, że pan Tulliver tę właśnie możliwość wziął sobie mocno do serca, a roznamietnienie, które przydało jego mowie ognia werwy, nie wygasło jeszcze przez kilka minut i wyrażało się w wyzywającym przekrzywianiu głowy to w tę, to w tamtą stronę rzucanym od czasu do czasu warkliwym pomrukiem: "Nie, nie"!

KSIĘGA PIERWSZA

18

Te gniewne słowa do żywego dotknęły przysłuchującą się bacznie Madzie. Wynikało z nich, że dopuszcza się możliwość, iż Tomek jest zdolny wyrzucić ojca z domu i podłym postępowaniem doprowadzić rodzinę do tragicznego końca. To było nie do zniesienia, toteż Madzia poderwała się ze stołka zapominając o książce, która z hukiem upadła na dywanik przed kominkiem i wcisnąwszy się między ojcowskie kolana, odezwała się głosem pełnym łez i oburzenia:

- Ja wiem na pewno, tatusiu, że Tomek nie będzie nigdy dla ciebie niedobry, nigdy, nigdy ... Pani Tulliver nie było w pokoju, doglądała bowiem przygotowań jakiegoś szczególnie wykwintnego dania, pan Tulliver zaś wzruszył się ogromnie, toteż nikt nie wylał Madzi za książkę, którą tymczasem pan Riley spokojnie podjął i zaczął oglądać. Młynarz śmiał się hałaśliwie, a jego twarzą rozjaśniło ciepłe uczucie, gdy poklepywał po plecach małą córeczkę, potem zaś ujął jej dłonie i trzymał ją tak pomiędzy kolanami.

- Cóż to! Nie można powiedzieć o Tomku nic złego, he?

- zapytał mrugając ku niej, potem zaś, nieco niższym głosem, jakby Madzia nie mogła go słyszeć, zwrócił się do Riley'a. - Wszystko rozumie, co się mówi. Powinieneś pan słyszeć, jak

czyta - z miejsca, jakby to już dawno znała. I ciągle siedzi z książką. Ale to niedobrze, niedobrze ... - dodał smutnie, dławiąc w sobie tę niepotrzebną radość.

- Kobieta nie powinna być za mądra, to się może tylko na złe dla niej obrócić. Powiadam panu- tu znowu radość wyraźnie wzięła górę nad złymi przeczuciami - powiadam panu, że czyta i rozumie wszystko, co stoi w książkach, lepiej niż niejeden dorosły!

Policzki Madzi zaczął pokrywać rumieniec triumfu i podniecenia; pan Riley z pewnością zacznie teraz odczuwać dla niej pewien szacunek, bo jasne było, że dotąd miał ją za nic. Taksator przerzucał kartki książki; trudno było coś wyczytać w tej twarzy o wysoko sklepionych brwiach. Nagle spojrzął na dziewczynkę i rzekł:

- Chodź tutaj i powiedz mi coś o tej książce. Znalazłem w niej parę obrazków, chciałbym wiedzieć, co one znaczą.

ROZDZIAŁ III

19

Policzki Madzi pokrył jeszcze ciemniejszy rumieniec; podeszła bez wahania do łokcia pana Rileya, odrzuciła z oczu czarną grzywę i ujawszy róg książki zaczęła tłumaczyć.

- Powiem panu chętnie, co one znaczą. To straszny obrazek, prawda? Ale nie mogę się powstrzymać i ciągle na niego patrzę. Ta stara kobieta w wodzie to czarownica - wrzucili ją do rzeki, żeby zobaczyć, czy to czarownica, czy nie, i jeśli umie pływać, to jest czarownicą, a jeśli się utopi na śmierć, wie pan, to znaczy, że jest niewinna i wcale nie czarownicą, tylko biedna, stara, głupia kobieta. Ale niech mi pan powie, co jej z tego przyjdzie, jak już będzie nieżywa? Chyba to, myślę, że pójdzie do nieba i Pan Bóg jej jakoś wynagrodzi. A ten straszny kowal, co tak się śmieje, wsparty pod boki ... czy on nie okropny? ... Powiem panu, kto to taki. To diabeł, naprawdę - tu Madzia podniosła nieco głos i mówiła dobitnie - a nie prawdziwy kowal; bo diabeł przybiera postać złych ludzi i chodzi po świecie, i zmusza innych, żeby robili złe rzeczy, i najczęściej przybiera postać złego człowieka, bo, wie pan, jeśliby ludzie zobaczyli, że to diabeł, taki ryczący, to by od niego uciekli, a on nie mógłby ich zmusić, żeby robili, co on chce.

Pan Tulliver przysłuchiwał się temu wykładowi skamieniały ze zdumienia.

- Cóż to za książkę wzięła ta smarkata! - wybuchnął wreszcie.

- To Historia Szatana Daniela Defoe¹¹, może nie najlepsza lektura dla małej dziewczynki - wyjaśnił pan Riley. - Jakże się ona znalazła między pańskimi książkami?

Madzia była spłoszona i nieco urażona.

- To jedna z tych, które kupiłem na wyprzedazy u Partridge'a - wyjaśnił pan Tulliver. -

Wszystkie były jednakowo oprawione,

ładna oprawa, sam pan widzisz, i myślałem, że to bez wyjątku dobre książki. Znalazłem między nimi Jeremy Taylora Pobożne życie

Chodzi tu o wydane w r. 1726 dzieło Daniela Defoe (1660-1731) Political History of the Devil as Well Ancient As Modern {Historia polityczna diabła -? starożytności, jak również

KSIĘGA PIERWSZA

20

i śmierć¹², czytam to często w niedzielę - (młynarz miał poczucie pewnej zażyłości z owym wielkim pisarzem, ponieważ sam nosił imię Jeremy) - a oprócz niej jest jeszcze gromada innych - przeważnie kazania, tak mi się zdaje. A że wszystkie mają takie same okładki, myślałem, że są, jakby to powiedzieć, tego samego gatunku. Ale widać teraz, że nie można sądzić po okładkach. Osobliwy jest ten świat.

- Cóż - zaczął pan Riley górnym, pouczającym tonem, głaszcząc Madzie po głowie - radzę ci odłożyć Historię Szatana i znaleźć sobie jakąś ładniejszą książkę. Nie masz ładniejszych?

- O, mam! - Chęć udowodnienia, iż ma różnorodną lekturę, dodała Madzi sił. - Ja wiem, że to troszkę nieładnie czytać tę książkę, ale lubię w niej obrazki i wymyślam sobie do nich sama różne opowiadania, wie pan. Ale mam jeszcze Bajki¹³ Ezopa i książkę

o kangurach i innych zwierzętach, i Wędrowkę pielgrzymał ...

- Aaaa, to bardzo ładna książka - pochwalił ją pan Riley. - Trudno o lepszą.

- Ale tam też jest dużo o diable - oświadczyła Madzia triumfalnie. - Pokażę panu jego rysunek, kiedy jest we własnej postaci i walczy z Chrześcijaninem.

Skoczyła błyskawicznie w kątek pokoju, włożyła na krzesło, wyciągnęła z malutkiej biblioteczki zniszczony, stary egzemplarz Bunyana

I otworzyła go natychmiast, nie próbując nawet szukać, na właściwym obrazku.

12 Są to właściwie dwie pozycje - Holy Living i Holy Dying - pióra świętego moralisty i teologa Jeremy'ego Taylora (1613-1667), cenionego za piękny styl.

13 Ezop (VI w. p.n.e.) - bajkopisarz grecki. W stworzonej przez niego klasycznej bajce występują jako bohaterowie zwierzęta i przedmioty; zawiera ona zwykle moralną sentencję.

"Autorem Wędrowki pielgrzyma z tego świata do tamtego, do którego jest się przeznaczonym (The Pilgrim's Progress from this world to that which is to come) był John Bunyan (1628-1688). Napisana jako alegoria religijna, książka ta zyskała poczytność dzięki dynamicznej fabule i plastycznym opisom. Była powszechnie czytana jeszcze w XIX w., bardziej od niej poczytna była w Anglii tylko Biblia.

ROZDZIAŁ III

21

- O, tutaj jest - tłumaczyła wracając szybko do pana Rileya. - Tomek pomalował mi go farbami, kiedy był w domu podczas ostatnich wakacji. Ciało całe czarne, wie pan, a oczy czerwone jak ogień, bo ma w środku sam ogień, który wylazi przez oczy.

- Przestań już, przestań - rozkazał stanowczo pan Tulliver, który czuł się dosyć niezręcznie słuchając tych swobodnych uwag o zewnętrznym wyglądzie istoty dostatecznie potężnej, by stwarzać adwokatów. - Zamknij tę książkę i żebym więcej nie słyszał czegoś podobnego. Myślałem już nieraz, że dzieciakowi więcej przyjdzie złego niż dobrego z tego czytania. Idź i poszukaj matki.

Madzia, świadoma niełaski, zamknęła natychmiast książkę, ale, nie mając bynajmniej ochoty szukać matki, załatwiła sprawę kompromisowo, kryjąc się w ciemnym kątku za fotelem ojca i kołysząc swą lalkę, do której, w czasie nieobecności Tomka, odczuwała chwilami napływy czułości. Strojem lalki nie zajmowała się nigdy, lecz na woskowe policzki sypała tyle gorących pocałunków, że wyglądały starczo i chorobliwie.

- Słyszałeś pan kiedy coś podobnego? - zapytał pan Tulliver, gdy Madzia się wycofała. - Jaka szkoda, że to nie chłopak! Ta już dałaby sobie radę z adwokatami, to pewne. Zawsze mnie to zdumiewa

- tu zniżył nieco głos - bo wybrałem sobie jej matkę dlatego, że nie była specjalnie mądra, ale za to ładna, z rodziny słynnej z dobrych gospodyń. Wybrałem ją z kilku siostr, bo była, jakby to powiedzieć, nietęga na umyśle, a ja nie chciałem, żeby mnie kto pouczał przy moim własnym kominku, co jest dobre, a co złe. Ale, widzisz pan, kiedy mężczyzna ma sam trochę oleju we łbie, nie wiadomo, na kogo on Przejdzie, i taka miła, spokojna kobieta może panu rodić głupich chłopaków i mądre dziewczyny, jakby świat całkiem stanął na głowie.

Osobliwe to rzeczy.

Powaga pana Rileya ustąpiła nieco, kiedy otrząsnął się po tegim niuchu tabaki i rzekł:

- Ale pański syn to nie żaden głuptas! Widziałem go tutaj, kiedy byłem ostatnio; robił właśnie jakąś wędkę i całkiem dobrze dawał sobie z tym radę.

KSIĘGA PIERWSZA

22

- Nie można powiedzieć, żeby był głupi. Jak polecą na dwór, to nie ma rzeczy, z jaką by sobie nie dał rady, zdrowego rozumu mu nie brak i potrafi podejść do każdej sprawy jak należy. Ale nie potrafi zręcznie gadać, czyta słabo, nie lubi książek, pisze, jak mi mówią, z błędami, a przy obcych taki jest nieśmiały, że i pary z gęby nie puści, nie to, co ta smarkata. Chcę go

posłać do szkoły, gdzie go nauczą ruszać piórem i językiem i zrobią z niego obrotnego chłopaka. Chcę, żeby mój syn był równy tym wszystkim, którzy mnie na początku bili swoim wykształceniem. Gdyby świat pozostał taki, jakim go Pan Bóg stworzył, to już ja bym wiedział, co robić - najlepszemu dałbym radę; ale wszystko teraz jest tak powykręcane, pozawijane w jakieś słowa bez sensu, że nie przypomina już tego, czym było na początku, a ja coraz częściej nie mogę się połapać, o co chodzi¹⁵. Tak się wszystko zasupłało, że im człowiek uczciwszy, tym bardziej musi sobie łamać głowę.

Pan Tulliver nabrał w usta trunku, przełknął pomału i potrząsnął melancholijnie głową, świadom, iż dowiódł prawdy, że umysł w pełni zdrowy czuje się nieswojo na tym zwariowanym świecie.

- Ma pan zupełną słuszność - stwierdził pan Riley. - Lepiej wydać setkę czy nawet dwie na wykształcenie syna, niż zostawić mu te pieniądze w spadku. Wiem, że sam postąpiłbym w ten sposób, gdybym miał syna, chociaż Bóg mi świadkiem, że nie znalazłbym na to, jak pan, pieniędzy w banku. Mam za to w domu córek pod dostatkiem.

- Słyszałeś pan na pewno o jakiejś odpowiedniej dla Tomka szkole. - Współczucie na wiadomość o braku gotówki w domu pana Rileya nie odwróciło uwagi młynarza od interesującej go sprawy.

Pan Riley zażył tabaki i przez chwilę trzymał rozmówcę w niepewności, pogrążony, jak się zdawało, w głębokim zamyśleniu.

- Wiem o pewnej nadarzającej się okazji, dla kogoś, kto ma na to pieniądze, a pan przecież ma. Żadnemu z moich przyjaciół nie

Nieufny wobec wielu nowych, niezrozumiałych dla niego praw, młynarz ujawnia tu swe pojęcie o świecie oparte na wierze, że sukces można osiągnąć tylko za pomocą zręcznie używanych, wykrętnych słów, które pomagają prawo obejść.

ROZDZIAŁ III

23

radziłbym oddawać syna do regularnej szkoły, jeśli stać by go było na coś więcej. Ale jeśli ktoś chciałby dać synowi naprawdę dobre wykształcenie i wychowanie nie u byle kogo, ale u pierwszorzędnego nauczyciela, który chłopakowi byłby jednocześnie towarzyszem, to znam takiego. Nie każdemu wspominałbym o tym, bo nie każdy mógłby się tam dostać, nawet gdyby się bardzo starał, ale panu o tym powiem, w zaufaniu.

Nieruchomy, badawczy wzrok, jakim pan Tulliver wpatrywał się w proroczą twarz swego przyjaciela, ożywił się nagle.

- No, no, posłuchajmy - poprawił się w fotelu, z zadowoloną miną człowieka, któremu ktoś chce zawierzyć ważne informacje.

- To jegomość, który skończył Oxford ... - zaczął pan Riley znacząco, po czym mocno zacisnął usta i patrzył, jaki efekt wywrze ta niesłychana wiadomość na młynarzu.

- Ach, pastor¹⁶ - odparł pan Tulliver z lekkim powątpiewaniem.

- Tak, człowiek z ukończonymi studiami magisterskimi. Wydaje mi się, że biskup ma o nim bardzo wysokie mniemanie, no tak, przecież to biskup dał mu obecną prebendę.

- Aha - odparł pan Tulliver, dla którego oba te pojęcia, pochodzące z nieznanego mu sfer, były jednakowo niezwykle. - Ale cóż on może mieć wspólnego z Tomkiem, wobec tego?

- Sprawa w tym, że on jest zamiłowany w nauczaniu i pragnie kontynuować studia, a jako duchowny nie ma na to możliwości przy zajęciach duszpasterskich. Chce wobec tego wziąć do siebie jednego

¹⁶Młynarz trafnie wnioskuje, że rekomendowany nauczyciel jest pastorem, odbył bowiem studia uniwersyteckie. Do r. 1836 Oxford i Cambridge były jedynymi uniwersytetami angielskimi (Szkocja posiadała własne, odmiennie zorganizowane szkolnictwo wyższe).

Przez długi czas obydwie ośrodki opierały się reformom; zarządzanie i nauczanie było w nich

całkowicie w rękach duchownych, studenci musieli być wyznania anglikańskiego, podstawą wykształcenia zaś była literatura i historia starożytna oraz filozofia i ewentualnie socjologia. Dlatego studia były głównie przygotowaniem do święceń lub do życia ziedzica dóbr, który nie pracował, zajmował się zaś najwyżej polityką, Polowaniem i podróżami (por. L. W o od w a rd, op. cit., s. 48890).

9 BN II/234 G. Eliot: Młyn nad Flossą

KSIĘGA PIERWSZA

24

lub dwóch chłopców, by właściwie wypełnić swój czas. Chłopcy będą jak w rodzinie, to dla nich wymarzone miejsce, ciągle pod okiem Stellinga.

- Ale czy pan myśli, że będą tam dawać małemu podwójną porcję puddingu? - zapytała pani Tulliver, która właśnie wróciła do pokoju.

- On lubi pudding jak nikt na świecie, a dla chłopca, który rośnie ... okropność pomyśleć, że mu tam będą skąpić!

- A ile on za to policzy? - zapytał pan Tulliver, który czuł instynktownie, że usługi kogoś, kto ma skończone studia magisterskie, będą bardzo kosztowne.

- Cóż, znam pewnego duchownego, który za młodszych uczniów żąda sto pięćdziesiąt funtów, a nie można go nawet porównać ze Stellingiem, tym, o którym mówię. Wiem z dobrych źródeł, że ktoś na bardzo wybitnym stanowisku w Oxfordzie powiedział: "Stelling mógłby zejść ogromnie wysoko, gdyby tylko chciał. Ale on nie dba o uniwersyteckie zaszczyty. To człowiek cichy, a nie żaden krzykacz".

- O, to lepiej, o wiele lepiej - mówił pan Tulliver - ale sto pięćdziesiąt funtów to niebywała cena. Nie myślałem tyle płacić.

- Pozwoli pan sobie powiedzieć, kochany panie, że jak na dobrą edukację to wcale nie jest drogo. Ale Stelling stawia bardzo umiarkowane warunki - to nie jest człowiek chciwy. Pewien jestem, że weźmie pańskiego syna za sto funtów, a nie każdy pastor zgodziłby się na to. Jeśli pan chce, napiszę do niego w pańskiej sprawie.

Pan Tulliver pocierał kolana i w zamyśleniu wpatrywał się w dywan.

- A może to stary kawaler? - podsunęła tymczasem jego żona.

- Ja tam nie mam zaufania do gospodyń. Mój brat, ten, co umarł, miał kiedyś gospodynię, która wyciągnęła mu połowę pierza z najlepszej pierzyny, zapakowała i gdzieś wysłała. A ile płótna ukradła, to nie wiadomo, nazywała się Stott. Serce by mi pękło, gdybyśmy mieli wysyłać Tomka tam, gdzie rządzi gospodyni, a mam nadzieję, że i ty o tym nie myślisz, mój drogi.

- Jeśli o to idzie, może pani być spokojna - wyjaśnił Riley - bo Stelling jest żonaty z przemiałą kobietą. To najlepsza dusza pod

ROZDZIAŁ III

25

słońcem, znam dobrze jej rodzinę. Ma cerę bardzo podobną do pani, wijące się włosy. Pochodzi z dobrej rodziny z Mudport i jeśli idzie o uczniów jej męża, nie każdą ofertę przyjmie. Stelling to nie powszedni człowiek. Bardzo wybredny, jeśli idzie o ludzi, z którymi utrzymuje stosunki. Wydaje mi się jednak, że nie będzie miał zastrzeżeń co do pańskiego syna - chyba nie, przy moich rekomendacjach.

- Nie widzę, co też mógłby mieć przeciwko mojemu chłopcu - w głosie pani Tulliver zabrzmiał ton matczynej urazy. - Ładny chłopak z cerą jak brzoskwinia, aż miło patrzeć.

- Myślę tylko o jednym - odezwał się młynarz po długich oględzinach dywanu, przekrzywiając głowę na bok i spoglądając na pana Rileya. - Czy pastor nie będzie za bardzo uczony na to, żeby zrobić z chłopaka człowieka interesu? Na mój rozum pastorów kształcą w takich sprawach, co to ich człowiek okiem nie dojrzy. A ja nie tego chcę dla Tomka. Chcę,

żeby potrafił liczyć i pisać jak w książce, żeby zawsze się zdążył we wszystkim połapać, rozumiał, o co innym chodzi, i umiał każdą rzecz owinać w takie słowa, żeby się do nich prawnik nie mógł przyczepić. Dobra to rzecz - zakończył pan Tulliver potrząsając głową - móc powiedzieć komuś, co się o nim myśli, i nie płacić za to.

- Och, drogi panie - westchnął Riley - ma pan zupełnie fałszywe mniemanie o duchowieństwie. Najlepsi nauczyciele to duchowni. Ogólnie biorąc, nauczyciele, którzy nie są w duchownym stanie, to nic dobrego ...

- To by się zgadzało, jeśli chodzi o Jacobsa z akademii - przerwał mu pan Tulliver.

- Właśnie, tacy, którym się nie powiodło w innych zawodach, częściej. A duchowny staje się dżentelmenem przez swój zawód kształcenie. Poza tym posiada wiedzę, która będzie dla chłopca właściwym fundamentem i pozwoli mu uczciwie pójść każdą drogą. /elu jest duchownych, zwykłych moli książkowych, ale, niech mi pan rzy, Stelling nie z takich. Ten człowiek ma oczy szeroko otwarte. lech mu pan tylko da maleńkie wskazówki. Mówi pan teraz uczeniu. Powinien pan powiedzieć Stellingowi: "Chcę, żeby mój

9

26 KSIĘGA PIERWSZA

syn był rachmistrzem jak się patrzy". O resztę może się pan nie martwić.

Pan Riley przerwał na chwilę, a pan Tulliver, nieco już przekonany do pedagogicznych zdolności duchowieństwa, powtarzał w myślach swą przemowę do wyimaginowanego pana Stellinga: "Chcę, żeby mój syn był rachmistrzem jak się patrzy".

- Zrozum pan, drogi panie - ciągnął Riley - że człowiek o tak świetnym wykształceniu jak Stelling nie ma kłopotów z żadną gałęzią nauczania. Jeśli stolarz umie obchodzić się z narzędziami, to potrafi zrobić zarówno stołek, jak i okno.

- Co prawda, to prawda - odparł młynarz, teraz już niemal całkiem przekonany, że duchowny to najlepszy pedagog.

- Powiem panu, co dla pana zrobię - zaproponował Riley

- a nie zrobiłbym tego dla byle kogo. Kiedy wrócę do Mudport, wstąpię do teścia Stellinga albo zostawię mu parę słów, że pan chce umieścić syna u jego zięcia. Pewny jestem, że Stelling panu odpisze i przedstawi swoje warunki.

- Ale przecież nam się nie spieszy - zaproponowała pani Tulliver. - Mam nadzieję, mój drogi, że nie wyślesz Tomka do nowej szkoły przed świętym Janem. Do akademii poszedł na Zwiastowanie i sam widzisz, co z tego wyszło dobrego.

- Oj, moja Bessy, na świętego Michała nigdy nie warz piwa ze złego siodu, bo nic dobrego z tego nie wyjdzie - śmiał się młynarz, mrugając do pana Riley, z oczywistą dumą człowieka, który ma żonę hożą i wyraźnie od niego głupszą. - Ale to prawda, nam się nie spieszy, masz w tym swoją rację, Bessy.

- Wydaje mi się, że nie należy zbyt długo zwlekać z tą sprawą

- odparł spokojnie Riley. - Stelling może mieć inne propozycje, a wiem dobrze, że nie weźmie więcej niż dwóch, trzech uczniów. Na pańskim miejscu pogadałbym z nim zaraz. Nie musi pan wysyłać chłopca przed świętym Janem, ale lepiej być ostrożnym i upewnić się, że nikt pana nie ubiegnie.

- Tak, w tym jest trochę racji - przyznał młynarz.

ROZDZIAŁ III

27

- Tatusiu - wtrąciła Madzia, która nie zauważona prześliznęła się znowu do boku ojca i słuchała z rozchylonymi ustami. Lalkę trzymała do góry nogami, przyciskając mocno jej nosek do drewnianego fotela. - Tatusiu, czy Tomek ma jechać gdzieś daleko? Czy będziemy do niego jeździć?

- Nie wiem, moja mała - odparł sucho ojciec. - Zapytaj pana Riley'a, on wie.

Madzia obróciła się szybko i stanawszy przed taksatorem zapytała:

- Jak to daleko?

- O, bardzo daleko - odparł ów dżentelmen, pewien, że jeśli dzieci są grzeczne, trzeba do nich przemawiać w sposób żartobliwy. - Musisz sobie pożyczyć siedmiomilowe buty, jeśli chcesz tam dojść.

- To bzdura - odparła Madzia, wyniośle potrząsając głową i odwracając oczy, w których zabłyśły łzy. Zaczynała nie cierpieć pana Riley'a. Wyraźnie uważał ją za głuptasa, z którym nie trzeba się liczyć.

- Cicho, Madziu, wstydź się zadawać pytania i zawracać panu głowę - skarciła ją matka. - Chodź, siadaj tu na stołeczku i bądź cicho. Ale - dodała czując, że i w niej narodził się niepokój - czy to tak daleko, że nie będę go mogła opruć i obcerować?

- Około piętnastu mil wszystkiego razem - uspokoił ją pan Riley. - Możecie państwo w jeden dzień obrócić tam i na powrót, zupełnie wygodnie. Albo też, Stelling jest miłym, gościnnym człowiekiem, rad was zatrzyma na noc.

- Wydaje mi się, że to za daleko na wożenie mu zmiany pościeli - zauważyła ze smutkiem pani Tulliver.

Podana we właściwym momencie kolacja odsunęła ten problem, uwalniając pana Riley'a od kłopotu szukania jakiegoś rozwiązania lub ompromisu, czego niewątpliwie by się podjął, gdyż pewno zauważyli-
ie, był to człowiek ogromnie uczynny. Doprawdy, wiercie mi, wziął na siebie kłopot rekomendowania Stellinga panu Tulliver bez naj-

KSIĘGA PIERWSZA

28

mniejszych nadziei na jakieś konkretne korzyści, wbrew pewnym delikatnym wzmiankom, które mogły wprowadzić w błąd nazbyt domyślnego obserwatora. Nie ma nic bardziej mylącego niż domyślność, która wpadła na fałszywy trop, zaś domyślność połączona z przekonaniem, że ludzie na ogół mówią i działają z określonych względów i dla określonych korzyści, z pewnością pójdzie na marne w tym pościgu za wyimaginowaną zwierzyną. Chciwość zdolna do intryg i przemyślna wynalazczość na służbie samolubstwa kwitną teraz tylko w świecie dramatopisarzy; wymagają one zbyt wielkiej sprawności umysłowej od naszych bliźnich, by można ich było o to posądzać. Przecież łatwo zatruć życie sąsiadom bez tak ogromnych wysiłków, można to zrobić za pomocą leniwej bierności i leniwej uległości, za pomocą pospolitych kłamstw, mówionych właściwie bez przyczyny, i drobnych oszustw równoważonych drobnymi ekstrawagancjami; za pomocą niezdatnych pochlebstw i niezręcznie improwizowanych insynuacji. Wszyscy, a w każdym razie większość z nas, żyjemy pośród naszych małych spraw, obracamy się w wąskim kręgu najpilniejszych potrzeb i potrafimy tylko chwycić kęsy, by zaspokoić pierwszy głód, rzadko myśląc o siewnym ziarnie na przyszłoroczne zbiory.

Pan Riley był człowiekiem interesu, nieobojętnym na własne korzyści, ale drobne bodźce bardziej go pobudzały do działania niż dalekosiężne zamiary. Nie działał w porozumieniu z Stellingiem, wprost przeciwnie; niewiele wiedział o ukończonych studiach i innych osiągnięciach naukowych pastora, nie tyle w każdym razie, ile powinien wiedzieć, by tak go zachwalać panu Tulliverowi. Pan Riley wierzył jednak, iż pastor jest znakomitym znawcą klasyki, ponieważ tak powiedział Gadsby, a cioteczny brat Gadsby'ego prowadził w Oxfordzie ćwiczenia ze studentami. Opinia kuzyna Gadsby'ego była o wiele rzetelniejszą podstawą do pochlebnego mniemania o pastora niż bezpośrednie obserwacje Riley'a. Chociaż bowiem dżentelmen ten liźnął trochę wiedzy klasycznej w znakomitej Szkole Mudporckiej

I wyobrażał sobie, iż ogólnie biorąc zna łacinę, trudno było mu cokolwiek pojąć z jakiegoś łacińskiego tekstu. Niewątpliwie pozostał mu jeszcze subtelny smak młodzieńczych kontaktów z De senectute

ROZDZIAŁ 111

29

i czwartą księgą Eneidy¹¹, ale nie można już tego było nazwać smakiem klasycyzmu, lecz raczej czymś, co przydawało finezji i siły perswazji jego licytatorskim manierom. Poza tym Stelling skończył Oxford, a oxfordczycy byli zawsze - nie, nie, to absolwenci Cambridge byli zawsze znakomitymi matematykami. Ale człowiek z uniwersyteckim wykształceniem może uczyć wszystkiego, na co mu przyjdzie ochota, a zwłaszcza taki człowiek jak Stelling, który podczas pewnej politycznej uroczystości wygłosił mowę na oficjalnym obiedzie w Mudport i tak dobrze wywiązał się z zadania, iż wszyscy mówili, że ten zięć Timpsona ma głowę na karku. Trudno zresztą przypuścić, by ktoś z mudportczyków, parafian świętej Urszuli, nie skorzystał z okazji przysłużenia się zięciowi Timpsona, Timpson bowiem był jednym z najbardziej użytecznych i wpływowych ludzi w parafii - prowadził wiele interesów, które potrafił powierzyć właściwym rękóm. Pan Riley lubił takich ludzi, bez względu na pieniądze, które, kierując się zdrowym rozsądkiem, mogli przerzucić z kieszeni osób mniej tego wartych do jego własnej. Z zadowoleniem oświadczył Timpsonowi po powrocie do domu: "Zdobyłem dobrego ucznia dla pańskiego zięcia". Timpson miał liczną rodzinę złożoną z samych córek, toteż pan Riley bardzo mu współczuł. Poza tym okolona złotymi lokami twarz Luizy Timpson wyglądała ku niemu zza lamperii ławki kościelnej w każdą niedzielę od piętnastu lat - jasne więc, że jej mąż musi być wychowawcą godnym polecenia. No i pan Riley nie słyszał też o żadnym innym nauczycielu, którego mógłby z jakichś powodów bardziej zachwalać, dlaczego więc nie miał polecić Stellinga? Pan Tulliver, przyjaciel taksatora, prosił go o wyrażenie swego zdania w tej sprawie, a jakże przykro jest oświadczyć w przyjacielskiej rozmowie, że się nie ma żadnego zdania w ogóle. Głupotą zaś byłoby, jeśli się już jakieś zdanie wygłasza, robić to bez przekonania i poczucia głębokiej

¹De senectute (O starości) - jeden z dialogów Cycerona (Marcus Tullius 106-43 p.n.e.), najwybitniejszego mówcy rzymskiego, polityka i pisarza.

Eneida - poemat Wergiliusza (Publius Vergilius Maro, 70-19 p.n.e), największego epika rzymskiego.

KSIĘGA PIERWSZA

30

znajomości przedmiotu. Wypowiadając opinię zaczyna się ją traktować jak swoją własność i oczywiście zaczyna się też ją lubić. Tak więc pan Riley, nie wiedząc z początku, co mógłby złego powiedzieć

o Stellingu, i życząc mu jak najlepiej, jeśli w ogóle mu czegoś życzył, zarekomendował go młynarzowi, a kiedy już raz go zarekomendował, zaczął odczuwać dlań podziw, jako dla człowieka o tak świetnych rekomendacjach, w związku z czym tak się przejął sprawą, że gdyby pan Tulliver nie zgodził się posłać Tomka do pastora, pan Riley uważałby swego przyjaciela "ze starej szkoły" za ostatniego durnia.

Muszę wam powiedzieć, że surowo oceniacie pana Rileya, jeżeli macie mu za złe polecenie ludzi mało mu znanych. Dlaczegoż by trzydzieści lat temu taksator i licytator, który już niemal zapomniał swej szkolnej łaciny, miał okazywać delikatną skrupulatność, jeśli nawet dzisiaj, w następnym, wyższym okresie rozwoju moralności¹⁸, nie zawsze się nią kierują ludzie wykształceni?

A poza tym człowiek, o usposobieniu życzliwym dla świata, nie może się powstrzymać od równie życzliwych działań, a znowu nie zawsze można działać dobrze. Natura wyznacza czasami nieznośnemu pasożytowi kwaterę na zwierzęciu, w stosunku do którego nie ma

nawet złej woli. I co wtedy? Podziwiamy jej troskę o pasożyta. Gdyby pan Riley powstrzymał się i nie zarekomendował pastora nie mając odpowiednich podstaw ku temu, pozbawiłby pana Stellinga płatnego ucznia, co nie byłoby z korzyścią dla wielebnego dżentelmena. Zważcie również, że czystą złudą okazałyby się te miłe, niewinne wizje satysfakcji, płynące na przykład z dobrych stosunków z Timpsonem, z faktu, iż udzieliło się porady, kiedy ktoś o nią prosił, że zaimponowało się temu pocziwemu Tulliverowi, że powiedziało się coś, i to powiedziało z przekonaniem - a wszystko, wraz z innymi, nieokreślenie drobnymi dodatkami, jak ciepły kominiek i brandy z wodą, złożyło się na świadomość pana Rileya w tym właśnie przypadku.

18Narrator kpi tu z powszechnej w drugiej połowie XIX w. wiary w postęp moralności społecznej jako wyniku szerszej dostępności wykształcenia.

ROZDZIAŁ IV

31

ROZDZIAŁ IV

OCZEKIWANIE NA TOMKA

Madzia była bardzo rozczarowana, kiedy nie pozwolono jej pojechać gigiem¹⁹ wraz z ojcem po Tomka do szkoły, pani Tulliver jednak oświadczyła, że ranek jest zbyt mżysty, by mała dziewczynka mogła wychodzić na dwór w najlepszym kapturku. Madzia uparcie obstawała przy zdaniu wprost przeciwnym i właśnie ta niezgodność poglądów sprawiła, że kiedy matka szcztokowała niesforną czarną czuprynkę, Madzia gwałtownie wyrwała się z jej rąk i zanurzyła głowę w stojącej obok misce z wodą, z mściwym postanowieniem, że zniszczy dzisiaj wszelkie nadzieje na loki.

- Madziu! Madziu! - wołała bezsilnie korpulentna pani Tulliver, siedząc ze szcztokami na podółku. - Co z ciebie wyrośnie, jeśli będziesz taka niegrzeczna! Powiem o tym ciotce Glegg i cioci Pullet, jak przyjadą w przyszłym tygodniu, i przestaną cię kochać, zobaczysz! O, mój Boże! Spójrz, miałaś czysty fartuszek, a teraz cały mokry! Ludzie pomyślą, że to dziecko to kara boska za moje grzechy i że musiałam robić jakieś straszne rzeczy!

Nim się te łajania skończyły, Madzia była już poza ich zasięgiem, wdrapując się na strych, pod wysoko sklepionym dachem. Biegając otrząsała się z wody jak skye-terier, który uciekł z kąpieli. Owo poddasze było ulubionym schronieniem Madzi w deszczowe, niezbyt chłodne dni. Tu wyzbywała się złych humorów i gadała głośno do Zawartej przez korniki podłogi, zżartych półek i ciemnych krokwi Uwieszonych pajęczynami, tutaj też trzymała fetysza, na którym mściła się za wszystkie swoje nieszczęścia. Był to korpus wielkiej, drewnianej lalki, która kiedyś wytrzeszczała najokrągłej sze w świecie oczy z najczervenějších w świecie policzków, teraz jednak była

- 8 (ang.) - lekki pojazd dwukołowy o jednym siedzeniu, jednokonny, używany w XIX w. i na początku XX w. głównie w Anglii.

KSIĘGA PIERWSZA

32

całkowicie zdefasonowana, a to przez długą karierę zastępcy w męczarniach. Trzy gwoździe wbite w głowę upamiętniały tyleż kryzysów w okresie dziewięcioletnich ziemskich zmagani Madzi. Ten cudowny sposób zemsty zaczerpnęła Madzia z obrazka w starej Biblii, przedstawiającego Jael, która morduje Sisere²⁰. Ostatni gwóźdź wbity był mocniej niż dwa poprzednie, fetysz bowiem przedstawiał wówczas ciotkę Glegg. Szybko jednak zorientowała się Madzia, że jeśli wbije w głowę zbyt dużo gwoździ, nie będzie mogła sobie wyobrazić, że zadaje lalce straszliwy ból, kiedy wali ową głową o ścianę; nie będzie też mogła jej gładzić i okładać w wyobraźni kataplazmami, kiedy wściekłość minie. Trzeba by się bowiem wzruszyć nawet nad ciotką Glegg, gdyby była tak poraniona i upokorzona i błagała siostrzenicę o łaskę.

Od tego czasu Madzia nie wbijała więcej gwoździ w fetysza, ale wyładowywała swój gniew tłukąc i trąc lalczyną głowę o ostre cegły wielkich kominów, które jak dwa czworokątne słupy wspierały dach. Do tego samego zabrała się i teraz, wlaższy na strych, łkając namiętnie, co wykluczyło świadomość wszelkich innych spraw - nawet pamięć o zmartwieniu, które było przyczyną łez. Wreszcie szloch zaczęły cichnąć, straszliwe uderzenia poczęły tracić na zawziętości, przez żelazną kratę wpadł nagle promień słońca, kładąc się na zżarte przez robactwo półki i Madzia, rzuciwszy w kąt lalkę, podbiegła do okna. Rzeczywiście, zza chmur zaczęło przebłyskiwać słońce. Dźwięki dochodzące z młyna znów wydały się radosne, drzwi od spichrza stały otworem, no i Jap, białobrazowy dziwaczny terier z wywiniętym uchem, biegał i węszył niepewnie, jakby szukał towarzystwa. Niepodobna się było temu oprzeć. Madzia odrzuciła w tył włosy, zbiegła na dół, schwyciła kapturek, nie zakładając go jednak na głowę, zajrzała przez drzwi i przemknąwszy jak strzała korytarzem, by nie spotkać czasem matki, zaczęła wirować po podwórzu jak szalona podśpiewując: "Jap, Jap, Tomek wraca do domu". A Jap tańczył wokół niej i szczekał,

20 Wydarzenie opisane w Księdze Sędziów (IV 17-21), gdzie uciekający z pola bitwy Sisera chroni się w namiocie Jael, która zabija go za pomocą gwoźdźca i młota.

ROZDZIAŁ IV

33

jakby chciał powiedzieć, że jeśli trzeba narobić hałasu, to on jest najodpowiedniejszym do tego psem.

- Hej, hej, panienko! Zakręci się panience w głowie i upadnie panienka w błoto! - wołał Łukasz, starszy młynarz, wysoki barczysty mężczyzna koło czterdziestki, o czarnych oczach i włosach, poproszony jak wszystko tutaj mąką, niby liść dzikiej prymuli.

Madzia przestała wirować i chwiejąc się lekko zawołała:

- Wcale mi się nie kręci w głowie, Łukaszu. Czy mogę iść z tobą do młyna?

Uwielbiała wałęsać się po wielkim, przestronnym młynie i często wychodziła stamtąd z kruczymi włosami tak obsypanymi delikatną bielą, że jej czarne oczy zdawały się błyskać jakimś nowym ogniem. Straszliwy łoskot, nieustanny ruch wielkich kamieni napępiała ją nieokreśloną, rozkoszną grozą, jakby stała w obliczu nieopanowanej siły ... a mąka sypie się i sypie, biały kurz pokrywa wszystko, nawet zwykłe pajęczyny zamienia w czarodziejską koronkę ... wszędzie czuć słodki zapach mąki ... jednym słowem Madzia uważała młyn za osobny świat nie związany z jej codziennym życiem poza domem. Zwłaszcza pająki stwarzały ogromne możliwości dla wyobraźni. Zastanawiała się, czy mają krewnych poza młynem, bo jeśli tak, to w ich stosunkach rodzinnych muszą zachodzić konflikty. Taki tłusty, umączony pająk, przyzwyczajony do zjadania much dobrze obtoczonych w mące, musi przeżywać nieprzyjemne chwile przy kuzynowskim stole, gdzie mucha podana jest au naturel²¹; pani pająkowa zaś odczuwa pewno wstrząs przy spotkaniu z chudą kuzynką. Najbardziej lubiła najwyższe piętro w młynie, gdzie

znajdowały się przegrody na ziarno, a w nich ogromne stosy zboża, po którym potrafiła zjeżdżać w kółko bez przerwy. Zwykle oddawała się tej rozrywce, gadając jednocześnie z Łukaszem, w którego obecności była niezwykle rozmowna, pragnęła bowiem, by miał, podobnie jak ojciec, wysokie mniemanie o jej inteligencji.

Może też dzisiaj czuła, że powinna odzyskać swoją dawną pozycję, o kiedy zjeżdżała ze sterty ziarna, przy której pracował, odezwała się

au naturel (fr.) - tu: przyrządzona bez przypraw.

KSIĘGA PIERWSZA

34

donośnym głosem - inaczej nie można było rozmawiać w młyńskich salonach:

- Zdaje się, Łukaszu, żeś ty nie czytał żadnej innej książki oprócz Biblii, prawda?

- Tak, panienko, a i tej niewiele- odparł Łukasz otwarcie. - Ja tam nie jestem od czytania.

- Ale jakbym ci pożyczyła jedną z moich książek, to co? Żadnej z tych bardzo ładnych nie będziesz mógł przeczytać bez trudności, ale mogę ci dać Podróż Puka po Europie²². Dowiedziałbyś się z niej wszystkiego o ludziach, jacy mieszkają na świecie, a jak nie mógłbyś rozumieć czytanego, to by ci pomogły obrazki - tam są pokazani różni ludzie i ich zwyczaje, i co robią. Są tacy Holendrzy, bardzo grubi i palą cygara, wiesz, i jeden z nich siedzi na beczce.

- Nie, panienko, ja tam nie lubię Holendrów. Nic dobrego nie przyjdzie z uczenia się o takich!

- Ależ to są ludzie, nasi bracia, Łukaszu. Powinniśmy coś wiedzieć o bliźnich.

- Żadni tam bracia, panienko. Wiem, co wiem. Mój dawny pan, a to był łebski człowiek, powiadał zawsze: jeżeli kiedy posieję pszenicę, a nie wymoczę jej najpierw w solonej wodzie, to Holender ze mnie. A to znaczyło, że Holender to głupi, albo coś takiego. Nie, nie chcę zawracać sobie głowy Holendrami. Dostyc na świecie głupich i złodziejów, żebym ich miał jeszcze w książkach szukać.

- No dobrze- odparła Madzia, zawiedziona nieco tym nieoczekiwanym zdedykowanym poglądem Łukasza na Holendrów. - Może spodobałyby ci się Przyroda ożywiona, to nie o Holendrach, rozumie się, ale o słońcach i kangurach, i piźmowcach, i rybach słonecznych, i o takich ptakach, co siadają na ogonach - zapomniałam, jak się nazywają. Są kraje, w których pełno takich zwierząt, zamiast naszych koni i krów, wiesz? Nie chciałbyś się czegoś o nich dowiedzieć, Łukaszu?

²² Puk (Puck lub Pug) - chochlik czy duszek (najbardziej znany jest duszek o tym imieniu ze Snu nocy letniej Shakespeare'a). Tu pewnie chodzi o książkę dla dzieci, której autorstwa nie udało się ustalić.

ROZDZIAŁ IV

35

- Nie, panienko, ja tam muszę mieć oko na mąkę i ziarno. Nie mogę znać się na tyłu rzeczach i jeszcze na własnej robocie. Właśnie dlatego ludzie idą na szubienicę, że się znają na wszystkim, tylko nie na tym, czym mogą na chleb zarobić. A mnie się też wydaje, że w książkach to prawie wszystko kłamstwa, a już na pewno w tych drukowanych papierzyskach, co o nich wrzeszczą na ulicach.

- Jesteś podobny do mojego brata, Łukaszu - odparła Madzia chcąc zmienić temat na przyjemniejszy. - Tomek nie lubi czytać. Tak go okropnie kocham, Łukaszu, bardziej niż wszystkich innych na świecie. Kiedy dorośnie, będę mu prowadziła dom i zawsze będziemy mieszkali razem. Mogę mu powiedzieć wszystko, czego nie wie. Ale wydaje mi się, że Tomek jest mądry, chociaż nie lubi książek. Robi takie cudowne baty i klatki na króliki!

- Ale będzie zły, jak zobaczy, że wszystkie pozdychały - zauważył Łukasz.

- Pozdychały!- krzyknęła Madzia porywając się na nogi ze swej zjeżdżalni na zbożu. - Och, Łukaszu kochany! I ten z obwisłym uchem, i ta łaciata samica, co Tomek wydał na nią wszystkie swoje pieniądze?

- Wszystkie martwe jak krety - stwierdził Łukasz czerpiąc porównanie z widoku zwierzaka przybitego do stajennej ściany.

- Och, Łukaszu kochany! - skarżyła się Madzia załośnię, a wielkie łzy spływały jej po policzkach. - Tomek kazał mi ich pilnować, a ja zapomniałam. Cóż ja pocznę?

- Widzi panienka, one były daleko, w narzędziowni, i nikt nie miał obowiązku ich pilnować. Coś mi się zdaje, że panicz Tomek kazał Je karmić Harry'emu, ale na Harry'ego nie ma co liczyć, to niezguła jakiego świat nie widział. On pamięta tylko o własnym brzuchu ... żeby go kolka spała!

- Och, Łukaszu, Tomek kazał mi pamiętać o królikach i codziennie sprawdzać, ale jak ja mogłam, kiedy one mi wcale do głowy nie rzychodziły! Och, będzie się na mnie gniewał, wiem dobrze, i tak mu

będzie żal królików, i mnie też żal! Och, coż ja pocznę?

KSIEGA PIERWSZA

36

- Niech się panienka nie martwi - pocieszał ją Łukasz. - Paskudne zwierzęta, te króliki z kłapiastymi uszami. Pewno by i tak zdechły, nawet jakby dostawały żarcie. Takie odmienne nigdy się dobrze nie chowają. Pan Bóg nie ma do nich serca. Stworzył królikom uszy, żeby im leżary na grzbiecie, a nie odwrotnie, zwisały jak u psa. Panicz Tomek będzie wiedział, żeby na przyszły raz nie kupować takich cudaków. Niech się panienka nie martwi. Pójdzie panienka ze mną do domu i odwiedzi moją żonę? Idę właśnie.

W zaproszeniu kryła się miła sposobność oderwania od smutków, toteż lzy Madzi powoli wysychały, gdy kroczyła u boku Łukasza do jego przyjemnego domku, który stał pośród grusz i jabłoni na skraju młyńskich gruntów, a któremu dodawał godności przytykający doń chlew. Pani Moggs, żona Łukasza, była osobą zdecydowanie miłą. Gościnnie częstowała dziewczynkę chlebem z melasą; poza tym miała niezliczone dzieła sztuki. Wkrótce Madzia zapomniała o wszystkich smutkach, kiedy, stanąwszy na krzeselku, przyglądała się niepospolitej serii obrazków przedstawiających Syna Marnotrawnego w stroju Sir Charlesa Grandisona²³, z tą tylko różnicą, że, jak można się było spodziewać po człowieku tak wątpliwym moralnie, nie miał jak ów drugi znakomity bohater tyle smaku i siły charakteru, by się pożegnać z peruką. Zdechłe króliki ciążyły jej na duszy w jakiś nieokreślony sposób, odczuwała dzisiaj bowiem głębsze niż zwykle współczucie dla losów grzesznego młodzieńca, zwłaszcza gdy patrzyła na rycinę, na której opierał się słabowicie o drzewo, w rozpiętych bryczesach i z przekrzywioną peruką, a świnię, wyraźnie jakiejś cudzoziemskiej rasy, obrażały go swoim dobrym humorem pałaszując obierzyny.

- Bardzo się cieszę, że ojciec przygarnął go z powrotem, a ty, Łukaszu? - zapytała. - Bo on bardzo żałował i nigdy już tak nie zrobi.

²³ Sir Charles Grandison - wzór cnót męskich, tytułowy bohater powieści Samuela Richardsona (1689- 1761). Przedstawianie Syna Marnotrawnego w stroju z połowy XVIII w. jest anachronizmem wskazującym, że obrazki są sztuką jarmarczną.

ROZDZIAŁ V

37

- E tam, panienko - odparł Łukasz. - Tak mi się zdaje, że z niego to już nic dobrego nie wyrośnie, choćby ojciec nie wiem jak się starał²⁴.

Dla Madzi była to bardzo przykra myśl, toteż dziewczynka gorąco zapragnęła, by dalszy ciąg historii młodego człowieka został był jednak napisany.

rozdział v TOMEK WRACA DO DOMU

Wczesnym popołudniem, w porze, kiedy już można było wyczekiwać odgłosu nadjeżdżającego gigu, jeszcze jedno serce, oprócz Madzinego, trzepotało niepokojem - jeśli bowiem pani Tulliver zdolna była do głębszych uczuć, to ześrodkowała je wszystkie na Tomku. Wreszcie rozległ się szybki, cichy turkot kół i pani Tulliver wyszła przed dom, niepomna na wiatr, co toczył chmury po niebie i nie wyglądał na to, by miał uszanować loki czy tasiemki czepeczka młynarzowej; zapominając o wszystkich porannych utrapieniach, zacna matrona położyła nawet rękę na grzesznej głowie córki.

- Jest, jest mój chłopak kochany! Boże litościwy! Zgubił kołnierzyk na pewno gdzieś po drodze, cała koszula na nie!

Pani Tulliver otworzyła szeroko ramiona, Madzia podskakiwała najpierw na jednej, potem na drugiej nodze, a Tomek tymczasem wysiadł z gigu i po męsku opanowując wzruszenie rzekł:

²⁴ Przypowieść o Synu Marnotrawnym w Ewangelii wg św. Łukasza (XV M"- 32)

przemawia do wyobraźni dziewczynki, która wierzy, że miłość i przebaczenie są nieodzownymi warunkami trwałej poprawy grzesznika. Tymczasem Łukasz - imiennik ewangelisty - wątpi w skuteczność takiego postępowania z grzesznikami: jego postawa jest bliższa surowej tradycji Protestantyzmu angielskiego.

KSIĘGA PIERWSZA

38

- O, Jap! Co to, wyszłyście na dwór?

Mimo to dosyć chętnie pozwolił się całować, choć Madzia dusiła go przy tym okropnie. Szaroniebieskie jego oczy spoglądały tęsknie ku pastewnikowi, jagniętom i rzece, gdzie, jak sobie obiecywał, już jutro rano będzie łowił ryby. Był to jeden z chłopców, jakich spotkać można w Anglii na każdym kroku, a w wieku lat dwunastu czy trzynastu tak do siebie podobnych jak gąsienia: jasne włosy, policzki z róż i mleka, pełne usta, nos i brwi bez wyrazu. W twarzy tej nie można było nic wyczytać, chyba tylko ogólne cechy chłopięctwa. Była to buzia całkowicie różna od Madzinej, którą natura kształtowała i malowała z ogromnym zdecydowaniem. Ale owa natura kryje ogromną przebiegłość pod pozorami otwartości, na które nabierają się prości ludzie, twierdząc, że potrafią ją przejrzeć na wskroś; ona zaś tymczasem przygotowuje po cichu coś całkiem odmiennego od ich zarożumiałych prorocstw. Pod tymi przeciętnymi chłopięcymi buziami, które rzeźbi na kopy, natura ukrywa niektóre ze swych najbardziej surowych, nieugiętych tworów, najbardziej niepodatne na zmiany charakteru. Tak więc ta buńczuczna, ciemnooka rebeliantka może w ostateczności okazać się istotą nieomal bierną w porównaniu z tym różowobiałym młodzikiem o rysach bez wyrazu.

- Madziu - szepnął Tomek poufnie, ciągnąc siostrę w ciemny kącik, kiedy matka poszła przejrzeć zawartość kuferka, a chłopiec rozgrzał się w ciepłej izbie po długiej podróży na zimnie. - Madziu, nie wyobrażasz sobie nawet, co ja mam w kieszeniach - mówiąc to kiwał głową, chcąc przydać swym słowom tajemniczości.

- Nie wiem - szepnęła Madzia - ale takie są wypchane. Czy to marmurki, czy orzechy? - W sercu czuła lekki niepokój. Tomek zawsze mówił, że nie ma sensu bawić się z nią w takie gry, bo z niej straszna niezgraba.

- Marmurki! Skąd! Wymieniłem wszystkie moje marmurki ze smarkaczami w szkole, a orzechy to nic zabawnego, głuptasie, chyba że jeszcze zielone. Ale zobacz ... - wyciągnął kawałek czegoś z prawej kieszeni.

ROZDZIAŁ V

39

- Co to jest? - spytała Madzia szeptem. - Nic nie widzę, tylko kawałek czegoś żółtego ...

- To jest ... nowa ... no, zgadnij, Madziu!

- Och, nie mogę zgadnąć - odparła niecierpliwie dziewczynka.

- Przestań się złościć, bo ci nie powiem - powiedział Tomek stanowczo, chowając z powrotem dłoń.

- Tomku - błagała Madzia ujmując rękę, która mocno tkwiła w kieszeni. - Ja się nie złoszczę! To tylko dlatego, że nie cierpię zgadywać. Proszę cię, bądź kochany!

Dłoń Tomka rozluźniła się powoli.

- No dobrze - powiedział. - To jest nowa żyłka do wędki ... a właściwie dwie, nowe. Jedna dla ciebie, Madziu, dla ciebie na zawsze ... Nie chciałem kupować razem z chłopakami toffi i pierników, żeby zaoszczędzić pieniędzy, a Gibson i Spouncer próbowali mnie za to tłuc. A tu masz haczyki, widzisz? No, idziemy jutro na ryby do Okrągłego Stawu, co? I sama złowisz rybę, Madziu, i założysz robaka, i wszystko. Byczo, co?

W odpowiedzi Madzia zarzuciła bratu ramiona na szyję i bez słów przycisnęła policzek do jego twarzy, on zaś powoli odwinął kawałek linki i po chwili milczenia mówił dalej:

- Prawda, że ze mnie dobry brat? Żeby kupić żyłkę, całą dla ciebie! Jakbym nie chciał, tobym mógł nie kupować.

- Strasznie, strasznie dobry! Tak cię kocham, Tomku. Tomek wsunął linkę do kieszeni i przeglądał po kolei haczyki, po czym odezwał się znowu.

- A chłopcy próbowali mnie nalać za to, że nie ustąpiłem z tymi cukierkami.

- Mój Boże! Chciałabym, żeby w waszej szkole chłopcy się nie bili, Tomku. Czy bardzo cię bolało?

- Bolało? Ależ skąd! - Tomek odłożył teraz haczyki, wyciągnął - kieszeni wielki, składany nóż i otworzywszy największe ostrze

rzyglądał rru się w zamyśleniu, przesuając po nim palcem. Potem lodał: - Podbiłem Spouncerowi oko, tyle miał z tego, że próbował na

10 BN H/234 G. Eliot: Młyn nad Flossą

40 KSIĘGA PIERWSZA

mnie naskakiwać. Nie mam zamiaru kupować z nimi cukierków na spółkę i nikt mnie nie może do tego zmusić.

- Jakiś ty odważny, Tomku! Jak Samson!²⁵ Gdyby wypadł tutaj na mnie ryczący lew, na pewno dałbyś sobie z nim radę, prawda?

- Jakże może wypaść tu na ciebie ryczący lew, ty głupiątko? Lwy są tylko w cyrku.

- No, ale jakbyśmy mieszkali w takim kraju, gdzie są lwy, na przykład w Afryce, gdzie jest okropnie gorąco, tam przecież lwy pożerają ludzi. Mogę ci pokazać w książce, gdzie o tym jest napisane.

- No, to wziąłbym strzelbę i zastrzeliłbym go.

- Ale jakbyś nie miał strzelby? Moglibyśmy wyjść sobie na dwór, rozumiesz, nie myśląc o niczym, tak jak chodzimy na ryby, a tu wielki lew wypada na nas z rykiem i nie możemy przed nim uciec. Co byś wtedy zrobił, Tomku?

Tomek myślał przez chwilę, wreszcie odwrócił się i rzekł pogardliwie:

- Przecież żaden lew tu nie biegnie, więc po co o tym gadać?

- Ale tak przyjemnie wyobrażać sobie, co by to było - tłumaczyła Madzia idąc za nim. - Pomyśl tylko, co byś wtedy zrobił?

- Nie zwracaj mi głowy, Madziu! Taki z ciebie głuptas! Idę obejrzeć moje króliki.

Serce Madzi zaczęło bić ze strachu jak szalone. Nie odważyła się wyznać od razu ponurej prawdy, podreptała więc za Tomkiem na dwór, w ciszy pełnej napięcia, myśląc przez cały czas, jakby też powiedzieć mu o wszystkim tak, żeby za jednym zamachem zmniejszyć zarówno jego smutek, jak i gniew. Madzia bowiem bała się gniewu Tomka nade wszystko - był to gniew całkiem różny od jej złości.

- Tomku - zaczęła bojaźliwie, kiedy wyszli już na dwór. - Ile zapłaciłeś za te króliki?

²⁵ Samson - obdarzony ogromną siłą bohater hebrajski, którego mężne czyny opisane są w Księdze Sędziów (XIII- XVI).

ROZDZIAŁ V

41

- Dwie półko ronówki i sześć pensów²⁶ - odparł natychmiast Tomek.

- Ja, zdaje się, mam dużo więcej w mojej skarbonce na górze. Poproszę mamę, żeby ci je dała.

- A po co? - zapytał. - Nie potrzebuję twoich pieniędzy, głuptasie. Mam ich o wiele więcej niż ty, bo ja jestem chłopcem. Zawsze dostaję na Boże Narodzenie półsuwereny i suwereny, bo ja będę mężczyzną, a ty dostajesz tylko pięcioszylingówki, boś dziewczyna²⁷.

- No tak, ale posłuchaj ... gdyby mama pozwoliła mi wyjąć dwie półkoronówki i jedną sześciopensówkę z mojej skarbonki i włożyć ci do kieszeni, żebyś je wydał, rozumiesz, i kupił za to więcej królików ...

- Więcej królików? Nie potrzeba mi więcej.

- Tak, ale, Tomku, one wszystkie pozdychały! Tomek zatrzymał się gwałtownie i obrócił ku Madzi.

- A więc zapomniałaś je karmić i Harry też? - zapytał, a twarz poczerwieniała mu na chwilę, lecz opanował się szybko. - Już

ja pokażę Harry'emu! Poproszę, żeby go wyrzucili. A ciebie, Madziu, nie kocham! Nie pójdziesz jutro ze mną na ryby!

powiedziałem ci, żebyś codziennie była u królików i żebyś ich pilnowała! - Ruszył znowu naprzód.

- Tak, ale zapomniałam ... co ja na to poradzę! Tak mi przykro, Tomku - szlochała Madzia, a łzy strumieniem płynęły jej po policzkach.

- Jesteś nieznośna - oświadczył Tomek surowo - i bardzo żałuję, że ci kupiłem tę żyłkę. Nie kocham cię.

półkoronówka - moneta o wartości 2,5 szylinga; króliki kosztowały więc szylinga, co było sumą sporą w owym czasie (dla porównania: kilka lat wcześniej tygodniowy zarobek tkacza wynosił zaledwie 8 szylingów, a robotnicy rolni zarabiali jeszcze mniej). Por. C.P. H i 11, British Economic and Social History 1700-1975, London 1977, s. 70.

Suweren - moneta o wartości 20 szylingów. Tomek, jako chłopiec, -? dwukrotność lub czterokrotność sum dawanych siostrze z okazji sw"ąt, urodzin itp.

10

42 KSIĘGA PIERWSZA

- Jakiś ty okrutny, Tomku- łkała Madzia. - Jakbyś ty o czymś zapomniał, to ja bym ci przebaczyła ... Nie przejmowałabym się, żeś coś zrobił ... przebaczyłabym ci i kochałabym cię.

- Tak, bo ty jesteś głupia ... Aleja nigdy o niczym nie zapominam, nigdy.

- Proszę cię, przebacz mi, Tomku! Serce mi pęknie. - Madzia, wstrząsana łkaniem, przywarła do ręki brata i przycisnęła mokry policzek do jego ramienia.

Tomek odtrącił ją i znów przystanął, mówiąc stanowczo:

- Posłuchaj mnie, Madziu. Jestem dobry brat czy nie jestem?

- Jeeesteś - szlochała Madzia, a bródka jej trzęsła się spazmatycznie.

- Czy przez cały ten kwartał nie myślałem o twojej żyłce do wędki? Czy nie oszczędzałem na to pieniędzy i nie odmawiałem kupowania cukierków, i czy Spouncer nie chciał mnie za to stłuc?

- Taaak ... i ja cię okropnie kocham ... Tomku!

- Ale ty jesteś niegodziwa. Podczas zeszłych wakacji zlizowałaś farbę z mojego pudełka na cukierki, a jeszcze przedtem pozwoliłaś, żeby łódka zawlekła gdzieś moją żyłkę i haczyk, chociaż ci kazałem siedzieć i pilnować, i zrobiłaś głową dziurę w latawcu, nie wiadomo dlaczego.

- Ale ja wcale nie chciałam go zepsuć ... to się tak jakoś stało ...

- Nie "jakoś" - oświadczył Tomek. - Mogłaś uważać, co robisz. Jesteś nieznośna i nie pójdziesz ze mną jutro na ryby.

Ogłosivszy ten straszny wyrok, Tomek zostawił Madzie samą i pobiegł do młyna, chcąc się przywitać z Łukaszem i poskarżyć na Harry'ego.

Przez chwilę dziewczynka stała bez ruchu, wstrząsana tylko łkaniem. Potem zawróciła i pobiegła do domu, na poddasze, gdzie siadła na podłodze i złożyła głowę na stoczonej przez korniki półce, zdruzgotana nieszczęściem, jakie na nią spadło. Tomek wrócił do domu, ale cóż z tego; zachował się wobec niej okrutnie. Wcale nie jest szczęśliwa, jak to sobie przed jego przyjazdem wyobrażała. Jeśli Tomek jej nie kocha, to wszystko nie ma sensu! Och, jakież on był

ROZDZIAŁ V

43

niedobry! Chciała mu oddać pieniądze i przeprosiła go przecież! Owszem, bywa czasem niegrzeczna wobec matki, ale nigdy wobec Tomka - nigdy nie chce być wobec niego niegrzeczna.

- On nie ma serca! - szlochała głośno Madzia, nędzną znajdując pociechę w głuchym echu, odbijającym się po pustym długim strychu. Nawet jej na myśl nie przyszło tłuc i torturować fetysza; była zbyt nieszczęśliwa, by się złościć.

O, gorzkie smutki dzieciństwa! Jak bezkresnym wydaje się czas od lata do lata, gdy ból jest czymś nieznanym i nowym, a nadzieja nie rozwinęła jeszcze skrzydeł, by wzbijać się ponad dnie i tygodnie!

Po chwili wydało się Madzi, że przesiedziała na poddaszu wiele godzin i czas już na podwieczorek, że wszyscy piją herbatę i wcale o niej nie myślą. Dobrze, w takim razie ona tu zostanie i zamorzy się głodem. Schowa się za beczką i tak przesiedzi całą noc, i wszyscy będą przerażeni, a Tomek pożałuje swoich słów. Tak to w dumie swego serca rozmyślała Madzia, wsuwając się za beczkę, lecz wkrótce znowu zalała się łzami na myśl, że nikt się nie przejmie jej nieobecnością. A jeśli zejdzie teraz na dół, do Tomka, to czy on jej przebaczy? Może ojciec tam będzie i ujmie się za nią? Ale przecież chciałaby, żeby Tomek przebaczył jej z miłości, a nie dlatego, że mu ojciec każe. Nie, nie zejdzie na dół, jeśli Tomek nie przyjdzie tu po nią. W tym postanowieniu przetrwała pięć ciemnych minut za beczką, ale potem z dumą zaczęła walczyć potrzeba miłości, największa potrzeba Madzinego serca, i wkrótce wyparła wszystko inne. Dziewczynka wypełzła zza beczki w półmrok długiego poddasza, lecz w tej samej chwili usłyszała szybkie kroki na schodach.

Tomek był zbyt pochłonięty rozmową z Łukaszem, łażeniem po -? tu i tam, gdzie mu przyszła ochota, struganiem patyków bez żadnego szczególnego celu, chyba tylko dlatego, że w szkole patyków nie strugał, by myśleć o Madzi i o tym, jak zniosła jego gniew.

Postanowił ją ukarać, a gdy to zrobił, zajął się, jako człowiek praktyczny, innymi sprawami.

Kiedy jednak zawołano go na herbatę,

ojciec zapytał: "A gdzie nasza mała?" - a pani Tulliver w tej samej

prawie chwili zagadnęła: "A gdzie twoja siostra?" - ponieważ jedno

KSIĘGA PIERWSZA

44

i drugie było przekonane, że rodzeństwo spędziło razem popołudnie.

- Nie wiem - odparł Tomek. Nie chciał skarżyć na Madzie, chociaż się na nią gniewał. Tomek Tulliver był honorowym chłopcem.

- Nie bawiła się z tobą przez cały czas? - zdziwił się ojciec. Myślała przecież tylko o twoim powrocie.

- Nie widziałem jej od dwóch godzin- odparł Tomek zabierając się do placka ze śliwkami.

- Boże wielki! Na pewno się utopiła! - zakrzyknęła pani Tulliver porywając się z krzesła i biegnąc do okna. - Jak mogłeś na to pozwolić! - wołała oskarżając, jak przystało zatrwożonej kobiecie, nie wiadomo kogo i nie wiadomo o co.

- Co tam, na pewno się nie utopiła - uspokajał żonę pan Tulliver. - Chyba nie byłeś dla niej niedobry, Tomku?

- Z pewnością nie, tatusiu - odparł chłopak z oburzeniem.

- Na pewno jest w domu.

- Pewno siedzi na strychu - podsunęła pani Tulliver. - Śpiewa i gada do siebie, i ani jej w głowie, że pora na jedzenie.

- Idź i przyprowadź ją, Tomku - rozkazał pan Tulliver dosyć ostro, gdyż czy to bystrość, czy też miłość do córki kazała mu podejrzewać, że chłopiec zrobił jakąś przykrość "smarkatej"- inaczej nigdy by od niego nie odeszła. - I bądź dla niej dobry, bo ci pokażę!

Tomek zawsze okazywał ojcu posłuszeństwo, gdyż pan Tulliver był człowiekiem stanowczym i, jak powiadał, nigdy nie pozwalał wyjmować sobie bata z ręki. Chłopiec jednak wyszedł niechętnie, trzymając w ręku kawałek ciasta ze śliwkami. Nie miał bynajmniej zamiaru zawiesić kary Madzi, uważał bowiem, iż w pełni na nią zasłużyła. Tomek skończył niedawno trzynaste lat i brakowało mu zdecydowanych poglądów w zakresie gramatyki i arytmetyki - uważał je na ogół za kwestie otwarte - na jeden temat jednak miał zdanie całkowicie wyrobione, a mianowicie, że należy karać każdego, kto na to zasługuje. Nic by nie miał przeciwko temu, żeby jego samego ukarano

- oczywiście, jeśli by na to zasłużył, ale jakoś nigdy jeszcze nie zasłużył.

ROZDZIAŁ V

45

W chwili gdy potrzeba miłości zatriumfowała nad Madzią dumą i dziewczynka z zapuchniętymi oczyma i rozwichrzonym włosiem schodziła na dół błagać o litość, usłyszała kroki Tomka. Myślała właśnie, że przecież ojciec przynajmniej pogłodzi ją po głowie i powie: "Nic, nic, moja mała". Wielki to mocarz owo pragnienie miłości, ów głód serca, równie nieustępliwy, jak i ten inny głód, którym natura zmusza nas do przyjęcia jarzma i każe zmieniać oblicze świata.

Poznała jednak kroki Tomka i serce jej zaczęło walić gwałtownie pod wpływem nagle obudzonej nadziei. Chłopiec przystanął tylko u szczytu schodów i powiedział:

- Madziu, masz zejść na dół.

Ale ona skoczyła ku niemu i objęła go za szyję, szlochając:

- Tomku, proszę cię, przebaczonej ... nie mogę tego wytrzymać ... już zawsze będę dobra, nigdy o niczym nie zapomnę. Kochaj mnie, proszę cię, proszę, Tomeczku!

Powściągliwości uczymy się z wiekiem. Pokłóceni unikamy się nawzajem, rozmawiamy ze sobą poprawnie i w ten sposób utrzymujemy stosunki godne i wrogie, wykazując swe nieprzejednanie, ale i cierpiąc przy tym. Zachowaniem naszym nie przypominamy w niczym zwykłej impulsywności zwierząt niższego rzędu i postępujemy pod każdym względem jak członkowie wysoce cywilizowanego społeczeństwa. Madzia i Tomek przypominali młode zwierzątka, dlatego też dziewczynka mogła ocierać się o policzek brata i całować jego ucho w sposób dość przypadkowy i łzawy. W chłopcu zaś pod wpływem Madzińskich pieczyń zabrzmiała serdeczna struna, okazał słabość całkowicie sprzeczną z postanowieniem należytego ukarania siostry i zaczął ją całować, mówiąc:

Nie płacz już, Madzinku, masz kawałek ciasta.

Łkania Madzi zaczęły się uspokajać, wysunęła usta do ciasta, ugryzła kawałek, a potem Tomek ugryzł kawałek, tak tylko, dla towarzystwa, i jedli razem, i pocierali się policzkami, nosami, czołami, w czym upokarzająco przypominali dwa małe, przyjazne kucyki.

46 KSIĘGA PIERWSZA

- Chodź teraz, Madzinku, i wypij herbatę - powiedział wreszcie Tomek, kiedy wszystko zjedli i ciasto można już było znaleźć tylko na dole.

Tak się skończyły smutki tego dnia. Następnego ranka Madzia kroczyła na ryby z wędką w jednym ręku, a małym koszyczkiem w drugim, wążąc ustawicznie w błoto, do czego miała szczególne zdolności. Czarne jej oczy promieniały spod bobrowego kapturka, bo Tomek był dobry dla niej. Poprosiła go jednak, by sam założył jej robaka na haczyk, mimo iż uwierzyła mu całkowicie, kiedy zapewniał, że robak nic nie czuje (w głębi duszy Tomek był zdania, że nawet gdyby robak coś czuł, to i tak nieważne). Chłopiec znał się doskonale na robakach, rybach i tym podobnych sprawach, wiedział też, które ptaki są szkodnikami, jak się otwiera kłódki i z której strony należy umieścić skobel przy furtce. W pojęciu Madzi była to umiejętność nadzwyczajna - o wiele bardziej skomplikowana niż spamiętywanie treści książek. Wyższość Tomka przepełniała ją grozą, był on bowiem jedynym człowiekiem, który kwitował jej wiedzę słowem: "bzdura" i wcale się nie zachwycał jej mądrością. Tomek w rzeczywistości uważał Madzie za głuptasa; wszystkie dziewczyny są głupie, nie potrafią rzucić celnie kamieniem, nie umieją się obchodzić ze scyzorykiem i boją się żab. Mimo to bardzo kochał siostrę: miał zamiar zawsze się nią opiekować, zrobić z niej swą gospodynię i karać ją, kiedy zajdzie potrzeba.

Szli właśnie do Okrągłego Stawu - tego cudownego stawu, który wiele lat temu utworzyła powódź. Nikt nie wiedział, jak jest głęboki. A drugą jego tajemniczą cudownością był okrągły kształt wytyczony wierzbami i wysokimi trzcinnami, tak że dopiero stanąwszy na samym brzegu można było dojrzeć wodę. Tomkowi zawsze się humor poprawiał na widok

ulubionego miejsca, toteż rozmawiał z Madzią przyjaznym szeptem, otwierając drogocenny koszyczek i przygotowując sprzęt rybacki. Zarzucił wędkę i włożył ją siostrze w dłoń. Madzia sądziła, że na jej wędkę może się złapać jakaś mała rybka, a duża na wędkę Tomka. Ale wkrótce zapomniała o rybach i wpatrywała się sennie w lustrzaną wodę, gdy nagle chłopiec odezwał się głośniejszym szeptem:

- Uważaj, uważaj, Madziu! - i ruszył ku niej biegiem, w obawie, by żyłka się nie zerwała.

ROZDZIAŁ V

47

Dziewczynka przestraszyła się myśląc, że znowu zrobiła coś złego, lecz w tym momencie Tomek wyciągnął jej wędkę z wody i po chwili wielki lin wił się na trawie.

- Madzinku, głuptasie, wyrzuć wszystko z koszyka! - wołał chłopiec w podnieceniu.

Madzia nie zdawała sobie sprawy, jak dalece się zasłużyła, wystarczyło jednak, że Tomek nazwał ją Madzinkiem i był z niej zadowolony. Nic nie mogło zmącić jej szczęścia, kiedy w sennej ciszy przysłuchiwała się chłupotliwym dźwiękom wynurzających się ryb i delikatnym szmerom, jakby wierzby, trzciny i woda również wesoło szeptały ze sobą. Wydawało się Madzi, że tak właśnie powinno być w raju: siedzi się nad wodą i nie słyszy się żadnych łajania. Nigdy nie wiedziała, kiedy ryba bierze, póki jej o tym nie powiedział Tomek, ale ogromnie lubiła łowić ryby.

Był to jeden z ich szczęśliwych poranków. Łazili i siedzieli razem nie myśląc ani przez chwilę, że ich życie może się kiedykolwiek zmienić. Wyrosną tylko i przestaną chodzić do szkoły, a wtedy nadejdą takie właśnie wieczne wakacje. Zawsze będą się kochać i mieszkać razem. I nigdy nie zmieni się to wszystko, co ich otacza: młyn i jego nieustanny łoskot, wielki kasztan, pod którym bawili się w domu, ich własna mała rzeczka Ripple, nad którą czuli się jak u siebie i gdzie Tomek zawsze potrafił wypatrzeć szczury wodne, a Madzia zbierała czerwone, pierzaste czubki trzin, a potem zapomniała o nich i porzucała na 'iemni. A przede wszystkim szeroka Flossa, brzegiem której robili już prawdziwe wyprawy, by zobaczyć rwący wiosenny przypływ, straszliwą Wielką Falę, nadpływającą jak zgłodniały potwór, lub żeby obejrzeć Stary Jesion, co to kiedyś jęczał i wzdychał jak człowiek, Tomek był zdania, że ludzie mieszkający w każdym innym zakątku globu są bardzo na tym stratni, Madzia zaś, czytając o Chrześcijance, która "przechodziła przez rzekę, gdzie nie było mostu"²⁸, zawsze -? (Christiana) - główna bohaterka cz. II Wędrowni pielgrzymi Johna Bunyana por przyp u 4g /ERI

KSIĘGA -? I

48

widziała w wyobraźni Flossę, między zielonymi pastwiskami, w pobliżu Starego Jesionu. c Życie Tomka i Madzi zmieniło się jednak, a mimo to nie zawiodła ich wiara, iż myśli i uczucia tych -? ajnych lat zawsze

stanowiąc będą częścią ich samych. Nigdy nie kochalibyśmy tak mocno tego świata, gdybyśmy na nim nie przeżyli dżitf "twa, gdyby to nie był ten świat, na którym co wiosnę wyrastają -? eme kwiaty, jakie zbieraliśmy małymi paluszkami siedząc na trawie i gadając do siebie - te same tarki i głogi z jesiennych żywopło

-? I J świat, gdzie żyją te same gile, które nazywaliśmy "ptaszkami -? VjGe W", bo nie niszczyły naszych cennych upraw. Jakiej nowości oddalibyśmy za tę rozkoszną monotonię, gdzie wszystko jest za i kochane właśnie dlatego, że znane.

Idę dzisiaj, w łagodny majowy dzień, przez las. Jasnopłowe liście dębów to jedyna przesłona pomiędzy -? a błękitnym niebem; u stóp mam pierwiosniki, niebieskooki prnAznik i niskopienny bluszcz. Czy widok gajów palmowych, cudaguch paproci albo wspaniałych kwiatów o szerokich płatkach -? ziivy nie przeJąc tak głębokim delikatnym dreszczem, jak ten rtf- jny obraz? Te swojskie kwiaty, dzwoniące dotąd w uszach ptasie -? kania, niebo

cudownie czyste, łąki i orne pola, każde o własny1" .drębnym charakterze, jaki mu nadał fantazyjny żywopłot - to Jjtko jest macierzystym językiem naszej wyobraźni, językiem, na bą m ciężą subtelne' zagmatwane powiązania, jakie zostawiły za CZn wszystkie uciekające godziny naszego dzieciństwa. Zachwył, o trAwany dziś przez nas na widok słońca padającego na szerokolist"dyVwy, mógłby być tylko mglistym postrzeżeniem umęczonych istot, pby nie ta trawa i słońce sprzed wielu lat, które w nas ciągle żyłł ostrzeżenie nasze przemieniają w miłość.

ROZDZIAŁ VI

49

ROZDZIAŁ VI

PRZYJEŹDŹAJĄ WUJOSTWO

Nadszedł Wielki Tydzień i u pani Tulliver ciasto serowe było lżejsze niż zwykle. "Wiatr zdmuchnąłby je jak piórko" - mawiała służąca Kezia, dumna, iż służy u pani, która umie tak piec. Trudno wybrać lepszy okres i bardziej odpowiednie okoliczności na rodzinne zebrania, nawet gdyby nie istniała potrzeba naradzenia się z siostrą Glegg i siostrą Pullet co do wysłania Tomka do szkoły.

- Wolałabym nie zapraszać tym razem siostry Deane - mówiła pani Tulliver. - Ona jest o wszystko zazdrosna i chciwa jak mało kto, zawsze robi, co może, żeby moje dzieci wydały się ciotkom i wujkom jak najgorsze.

- Zaproś ją- powiedział pan Tulliver. - Zaproś. Już dawno nie gadałem z Deane'em, od pół roku u nas nie byli. A co cię obchodzi jej gadanina, moje dzieci nie potrzebują nikomu nic zawdzięczać.

- Zawsze tak mówisz, mój drogi, ale ja wiem dobrze, że nikt z twojej rodziny nie zostawi im po sobie nawet pięciu funtów. A nie wiemy, ile odłożyły siostry Glegg i Pullet, bo one po cichu odkładają cały procent od swoich kapitałów i koszykowe też; mężowie im wszystko kupują. - Pani Tulliver była kobietą łagodną, ale nawet owca potrafi się postawić, kiedy ma jagnięta.

- Ee - mruknął pan Tulliver. - Trzeba mieć duży bochen chleba, żeby nakarmić gromadę ludzi. Cóż znaczą te ich pieniądze, jeśli muszą starczyć na tylu siostrzeńców i siostrzenic? A twoja siostra eane na pewno nie pozwoli, żeby któraś z nich zapisała wszystkie Pieniądze jednemu, bo po ich śmierci ludzie by mówili, że to wstyd.

T 7 Ja tam nie wiem, na co ona im nie pozwoli - odparła pani liver - ale wystarczy złego, jeśli moje własne dzieci będą się dalej dziwnie zachowywać przy swoich wujach i ciotkach. Jak tylko oni 'jadą, to Madzia jest jeszcze gorsza niż zwykle, a i Tomek, kochane lecko, też ich nie lubi, chociaż chyba u chłopca to bardziej

50 KSIĘGA PIERWSZA

zrozumiałe niż u dziewczyny. A przecież Lucy Deane to takie dobre dziecko, można ją posadzić na stołku i będzie tak siedziała przez godzinę, nawet nie spróbuje zejść. Kocham ją, jak własną, nic na to nie poradzę. I pewna jestem, że więcej ma ze mnie niż z matki, która zawsze była taka blada, jedyna w rodzinie.

- No cóż, jeśli tak lubisz tę małą, to poproś rodziców, żeby ją przywieźli ze sobą. A nie masz zamiaru poprosić wujostwa Moss i kilkorga ich dzieci?

- Och, mój drogi, i tak będzie osiem osób oprócz dzieci, muszę rozsunąć stół o dwie deski i wyciągnąć dodatkową zastawę, a poza tym wiesz tak samo jak ja, że moje siostry i twoja nie pasują do siebie.

- Dobrze, dobrze, jak tam sobie chcesz, Bessy. - Pan Tulliver wziął kapelusz i wyszedł do młyna. Niewiele istniało żon równie uległych jak pani Tulliver, lecz stosunki rodzinne były w tej uległości wyjątkiem. Pochodziła przecież z rodziny Dodsonów, naprawdę bardzo godnej,

może najbardziej albo prawie najbardziej szanowanej w parafii. Zawsze uważano, że panny Dodson mają prawo wysoko nosić głowę, nikt też się nie dziwił, że dwie najstarsze tak dobrze wyszły za mąż - choć nie w najwcześniejszej młodości, bo to nie leżało w zwyczajach rodziny, która miała własne, specjalne sposoby na wszystko: specjalny sposób bielienia płótna, robienia wina porzeczkowego, specjalny sposób peklowania szynki i przechowywania agrestu w butelkach; tak więc każda z córek tego domu musiała zdawać sobie sprawę, iż rodząc się Dodsonówną ma przewagę nad Watsonówną czy Gibsonówną. W rodzinie Dodsonów pogrzeby przygotowywano zawsze szczególnie starannie. Krepy na kapeluszach nigdy nie lśniły niebieskim odcieniem, rękawiczki nigdy nie były popękane w szwach wielkich palców, żałobnikami byli zawsze właściwi ludzie, a niosący całun zawsze byli przepasani szarfami. Kiedy ktoś z rodziny znalazł się w kłopotach lub zachorował, wszyscy natychmiast przyjeżdżali do nieszczęśnika, zazwyczaj naraz, i nigdy nie wahali się powiedzieć mu w oczy niemiłej prawdy, jaką im dyktowały zdrowe uczucia rodzinne. Jeśli cierpiętnik sam był winien swoich kłopotów lub choroby, Dodsonowie nie zwykli tego przed nim ukrywać. Krótko mówiąc,

ROZDZIAŁ VI

51

istniała w tej rodzinie osobliwa tradycja co do sposobów prowadzenia domu i zasad życia społecznego, a jedyną przykrą konsekwencją tego poczucia wyższości było niepodobieństwo aprobowania czy to przypraw kuchennych, czy też postępów rodzin, w których nie rządziły Dodsonowskie tradycje. Kobieta z rodu Dodsonów będąc u "obcych" jadła zawsze suchy chleb popijając herbatą i nie chciała skosztować konfitur, gdyż nie miała zaufania do masła i była przekonana, że konfitury zaczęły z pewnością fermentować, bo za mało w nich cukru lub też za krótko się smażyły. Istnieli Dodsonowie nieco odmienni od głównego pnia rodziny, to było dopuszczalne, ponieważ jednak płynęła w nich ta sama krew, musieli z konieczności być lepsi od innych ludzi. Godne jest również uwagi, że o ile żaden poszczególny Dodson nie był kontent z drugiego Dodsona, każdy był kontent nie tylko z siebie, ale i z wszystkich Dodsonów razem wziętych. Najnędniejszy członek rodziny - obdarzony najłagodniejszym charakterem - często najgorliwiej przestrzega rodzinnych obyczajów i tradycji. Pani Tulliver była Dodsonówną w każdym calu, choć Dodsonówną łagodną, podobnie jak łagodne piwo nazywa się jednak piwem, mimo iż jest bardzo słabe. Chociaż w młodości jęczała niekiedy pod jarzmem starszych sióstr, a i teraz od czasu do czasu wylewała łzy słuchając siostrzanych wymówek, nie była zdolna do wprowadzania zmian w rodzinnych obyczajach. Dziękowała niebiosom za to, że urodziła się w tej rodzinie i że ma jedno dziecko, które się w jej rodzinę wdało, przynajmniej pod względem cery i rysów oraz upodobania do słonych potraw i fasoli, której Tulliverowie nigdy nie lubili.

Pod innymi względami prawdziwy Dodson nie ujawniał się w Tomku; chłopiec był równie daleki od doceniania "swoich", jak

Madzia. Jeśli w porę otrzymał ostrzeżenie o przyjeździe ciotek i wujów, zwykle chował się na cały dzień, z dużym zapasem jedzenia,

które udało mu się wynieść w kieszeniach. Ciotka Glegg wyciągała

z tego bardzo ponure wnioski co do przyszłości chłopca. Madzi było sze bardzo przykro, że Tomek zmykał sam, nie dopuszczając jej do

lemnicy, ale płęć słabą uważa się na ogół w ucieczce za poważne obciążenie.

M

KSIĘGA PIERWSZA

52

W środę, na dzień przed przyjazdem wujostwa po domu rozeszły się tak różnorodne i smakowite zapachy ciasta ze śliwkami i gorących jeszcze galaretek oraz aromaty piekących się mięsów, że niepodobna było zachować ponurej miny: w powietrzu pachniało nadzieją. Madzia z Tomkiem dokonali kilku najazdów na kuchnię i, jak to bywa z napastnikami, ustępowali na pewien czas tylko po otrzymaniu odpowiednio obfitego okupu.

- Tomku - odezwała się Madzia, kiedy usiedli na gałęziach czarnego bzu zajadając ciastka z dżemem. - Zwiejesz jutro?

- Nie - odparł Tomek powoli, skończywszy swoje ciastko i przyglądając się bacznie trzeciemu, które miał podzielić na połowę. - Nie, nie zwieję.

- Dlaczego? Bo Lucy przyjedzie?

- Nie - odparł Tomek. Otworzył szczyrtek i podnosząc nad ciastkiem ostrze przekrzywił głowę w zamyśleniu. (To wcale niełatwe zadanie podzielić nieregularny wielobok na dwie równe części).

- A cóż mnie Lucy obchodzi? Przecież to tylko dziewczyna, nie umie grać w piłkę.

- Więc dlatego, że będzie "pijany tort"? - Madzia wysilała wyobraźnię wpatrując się jednocześnie, pochylona ku Tomkowi, w zawieszony nad ciastkiem nóż.

- Coś ty, tort będzie i jutro dobry. Chodzi o pudding. Wiem, jaki ma być: zawijany z morelami. O rany!

Opuścił nóż na ciastko i przekrajał je na dwoje, lecz wynik jakoś mu nie odpowiadał, bo chłopiec przyglądał się połówkom z powątpiewaniem. Wreszcie powiedział:

- Zamknij oczy, Madziu.

- Po co?

- Niech cię nie obchodzi, po co. Zamknij, jak ci mówię. Madzia usłuchała.

- Teraz którą wybierasz, z prawej czy z lewej ręki?

- Chcę tę, z której wyleciał dżem - odparła Madzia, mając przez cały czas oczy zamknięte, tak jak Tomek kazał.

ROZDZIAŁ VI

53

- Wcale jej nie chcesz, ty głupia. Możesz ją dostać, jeśli ci uczciwie przypadnie, inaczej ci nie dam. Prawa czy lewa, wybieraj. Co to?! - wrzasnął ze złością, gdy Madzia uchyliła powiek. - Zamknij oczy, bo nic nie dostaniesz!

Tak daleko nie sięgała Madzina zdolność do poświęceń, a obawiam się, że mniej jej zależało na tym, by Tomek zjadł dużo dżemu, a więcej by ją lubił za oddanie mu lepszego kawałka. Zamknęła mocno oczy i kiedy Tomek zapytał: "która ręka?", odparła: - "Lewa".

- Wybrałaś - oświadczył chłopiec nieco cierpko.

- Co, ten, z którego wyleciał dżem?

- Nie. Masz, trzymaj - rzekł twardo Tomek zdecydowanym ruchem wręczając jej lepszy kawałek.

- Och, proszę cię, Tomku, weź go sobie. Ja nie chcę, ja wolę tamten, proszę cię, weź!

- Nie wezmę- oświadczył chłopiec prawie ze złością, zaczynając jeść gorszą połówkę.

Widząc, że dalsza walka nie ma sensu, Madzia zaczęła jeść swoją część z pewną ulgą i dużą szybkością. Tomek jednak skończył pierwszy i musiał patrzeć, jak siostra gryzie ostatnie kęsy, a przy tym czuł wyraźnie, że sam by jeszcze zjadł. Madzia nie widziała, że brat na nią patrzy; huśtała się na gałęzi bzu, niepomna na nic, z wyjątkiem niewyraźnego smaku dżemu i mglistej świadomości próżnowania.

- Och, ty żarłoku! - zawołał Tomek, kiedy przełknęła ostatni kęs. Uważał, że zachował się bardzo przyzwoicie i Madzia powinna była to docenić i wynagrodzić mu jego szlachetność. Na początku, oczywiście, nie mógł od niej wziąć ani kawałka, ale człowiek inaczej patrzy na sprawę, kiedy zaczyna ciastko, a inaczej, kiedy już je zjadł.

Madzia pobladła.

Dlaczego nie poprosiłeś mnie, Tomku?

- Bo cię nie chciałem prosić, ty żarłoku. Mogłaś sama o tym Pomyśleć, jak zobaczyłaś, że ci dałem lepszy kawałek.

Ale ja prosiłam, żebyś go zjadł - odparła Madzia urażona.

- Tak, ale ja nie chciałem postępować nieuczciwie, jak Spouncer. On zawsze weźmie lepszy kawałek, jeśli się go nie trzepnie. A jak

54 KSIĘGA PIERWSZA

zamkniesz oczy i wybierzesz lepszy, to on zamienia połówki. Ja tam jestem uczciwy - ale nie żarłok.

Z tą złośliwą aluzją Tomek zeskoczył z gałęzi i okazując Japowi życzliwą uwagę rzucił kamień z okrzykiem "bierz". Pies przyglądał się dotąd pożeraniu smakołyków, a poruszenia jego uszu zdradzały uczucia zaprawione wielką goryczą. Mimo to owo znakomite zwierzę przyjęło zachętę Tomka tak ochoczo, jakby zostało przedtem hojnie uczęstowane przysmakami.

Madzia jednak posiadała wyższość, płynącą ze świadomości nieszczęścia, wyższość, która wyróżnia ludzkie istoty spośród wszystkich innych i stawia je w dumnym oddaleniu od najbardziej melancholijnego szympansa. Dziewczynka siedziała na swojej gałęzi, głęboko przeżywając niezasłużone zarzuty. Oddałaby wszystko na świecie za to, żeby nie zjadła była tego ciastka i zachowała choć trochę dla Tomka. Nie żeby ciastko jej nie smakowało - Madzia miała wyrobione podniebienie - ale sto razy wołałaby wyrzec się tej przyjemności, byleby tylko Tomek nie nazwał jej żarłokiem i nie rozgniewał się na nią. Przecież powiedział, że nie chce, więc zjadła bez zastanowienia - cóż miała robić? Przez dziesięć minut obfite łzy oślepiły ją całkowicie, później jednak uraza zaczęła ustępować, a chęć pogodzenia się z Tomkiem wzięła górę i Madzia zeskoczyła z gałęzi, by szukać brata. Nie było go już w zagrodzie dla bydła koło podwórza; dokąd też mógł pójść z Japem? Dziewczynka pobiegła na wysoki wzgórek, przy wielkim ostrokrzewie, skąd rozciągał się widok daleko, aż ku Flossie. Dostrzegła Tomka, ale serce w niej zamarło, gdy zobaczyła, jak daleką już przebył drogę ku wielkiej rzece i kto, oprócz Japa, z nim idzie - ten nieznośny Bob Jakin, który przerwał właśnie wykonywanie swej oficjalnej, jeśli nie przyrodzonej funkcji płoszenia ptaków. Madzia była głęboko przekonana, że Bob jest bardzo złym chłopcem, choć nie bardzo wiedziała dlaczego; może dlatego, że jego matka była strasznie duża i gruba, i mieszkała w dziwnym okrągłym domku nad rzeką. Kiedy Tomek i Madzia wałęsali się raz koło tego domku, wyskoczył na nich łąciaty pies i szczekał bez ustanku, a potem wyszła matka Boba i wrzeszczała, żeby się nie bali;

ROZDZIAŁ VI

55

starala się przekrzyknąć szczekanie psa, a Madzi wydawało się, że to na nich tak krzyczy, i serce waliło jej ze strachu jak oszalałe. Bardzo było prawdopodobne, jej zdaniem, że w okrągłym domku mieszkają węże na podłodze i nietoperze w sypialni, widziała bowiem kiedyś, jak Bob zdjął czapkę i pokazał w niej Tomkowi małego węża, a kiedy indziej przyniósł całą garść młodych nietoperzy. Wszystko razem wzięwszy, był to niesamowity chłopak - może nawet miał w sobie coś z diabła, sądząc po tej zażyłości z węzami i nietoperzami. Najważniejsze jednak było to, że Tomek, znalazłszy się w towarzystwie Boba, nie zwracał uwagi na Madzie i nie pozwalał jej chodzić z nimi.

Przyznać trzeba, że Tomek bardzo lubił Boba. Jakżeż mogło być inaczej? Wystarczyło, żeby Bob spojrzął na ptasie jajko, a już wiedział, czy to jaskółki, czy sikorki, czy dzwońca. Potrafił wyszukać wszystkie gniazda os i umiał zastawiać różne sidła. Łaził po drzewach jak wiewiórka i posiadał czarodziejską wprost umiejętność wynajdywania jeży i łasic. Odwagał się również na oczywiste wykroczenia, na przykład robił dziury w żywopłocie lub rzucał

kamieniami w owce, albo też zabijał koty, wałęsające się incognito. Jasne więc, że te cechy plebejskiego chłopca, który mimo swojego wyższego wtajemniczenia mógł być traktowany z góry, miały fatalny, nieprzeparty urok dla Tomka, i Madzia wiedziała, że w czasie każdego wakacji przeżywać będzie smutne dni - bo Tomek zniknął gdzieś z Bobem.

Cóż, sprawa była beznadziejna; poszedł. Madzia mogła jedynie usiąść sobie na pociechę na łące czy też łązić wzdłuż żywopłotu i marzyć, żeby wszystko było inaczej, niż jest i przeobrażać swój mały świątek w taki, jakim chciałaby go widzieć.

Życie Madzi pełne było trosk, więc znalazła sobie opium w takiej formie.

A tymczasem Tomek, niepomny na Madzie i bolesne wyrzuty,

Jakimi zranił jej serce, szedł spiesźnie wraz ze spotkanym przypadkowo

Bobem ku sąsiedniej stodole, gdzie odbywała się właśnie wielka

oblawa na szczury. Bob wiedział wszystko o tej sprawie i wyrażał się

o niej z entuzjazmem, który pojąć może każdy, kto nie jest żalonym

Snorantem w przedmiocie łapania szczurów i nie został całkowicie

II BN H/234 G. Eliot: Młyn nad Flossą

KSIĘGA PIERWSZA

56

pozbawiony męskich uczuć. Jak na człowieka posądzanego o stosunki z piekłem, Bob nie wyglądał szczególnie podejrzanie, a nawet można by się dopatrzeć czegoś miłego w tej twarzy o perkatym nosie, okolonej gęstymi, rudymi kędziorami. Spodnie nosił zawsze podwinięte do kolan, by łatwiej brodzić w wodzie, a jeśli założymy, że był cnotliwy, można by go nazwać "cnotą w łachmanach", która, opierając się na autorytecie nawet zgorzkniałych filozofów, uważających wszelkie zasługi zdobne w srebro i złoto za przepłacone - zwykle pozostaje zapoznana (może dlatego, że jest tak rzadkim zjawiskiem).

- Znam jednego, co ma fretki - oznajmił Bob zachrypniętym, cienkim głosem, stąpając ociężale, z niebieskimi oczami utkwionymi w rzekę, jak ziemnowodne stworzenie, które przewiduje możliwość skoczenia w wodę. - Mieszka za Kennel Yard w St. Ogg's. To największy szczurołap na świecie. Ja chyba też zostanę szczurołapem! Kret to nic w porównaniu ze szczurem. Rety! Panicz też powinien mieć fretki. Psy są do niczego. Na przykład ten - ciągnął Bob wskazując z pogardą na Japa. - Nie umie sobie poradzić ze szczurem, sam to widziałem, jak było polowanie w stodole ojca panicza.

Jap, czując w jego głosie druzgocącą pogardę, podwinął ogon i przytulił się do nogi Tomka, ale chłopiec, choć nieco urażony, nie miał na tyle odwagi, by się powstrzymać od potępienia psa, który się tak skompromitował. Tomek był przecież tylko człowiekiem.

- Masz rację - przyznał. - Jap się nie nadaje do polowań. Jak skończę szkołę, to będę miał psy na szczury i na wszystko inne ...

- Powinien panicz hodować fretki - usilnie namawiał go Bob. - Te białe z czerwonymi oczami. Mógłby panicz łapać u siebie szczury i potem wsadzić jednego do klatki z fretką i patrzeć, jak się gryzą. Ja bym tak zrobił, to jeszcze lepsza zabawa niż patrzeć, jak się chłopcy za łby biorą ... chyba że tak jak ci dwaj sprzedawcy ciastek i pomarańcz, co im wszystko wyleciało z koszyków i ciastka się pogniotyły. Ale smakowały jak nie zgniecione - dodał w formie wyjaśnienia po chwili ciszy.

- Tylko widzisz, Bob - zaczął Tomek z zastanowieniem - fretki to wstrętne zwierzęta, okropnie gryzą, nawet jak się ich nie drażni.

ROZDZIAŁ VI

57

- W tym rzecz. Jak się ktoś dobierze do fretki panicza, to ona go tak capnie, że hej!

W tym momencie chłopcy stanęli nagle, zdarzyło się bowiem coś bardzo niezwykłego, a mianowicie w pobliskich sitowiaach rozległ się plusk wody, jakby do rzeki skoczyło jakieś

zwierzątko. Bob był zdecydowany ponieść najdalej idące konsekwencje, gdyby to się nie okazał szczur wodny.

- Hej, trzymaj, Jap, łapaj! - wołał Tomek klaszcząc w dłonie i patrząc na mały ciemny ryjek, płynący jak strzała ku przeciwległemu brzegowi. - Łapaj go, piesku, łapaj!

Jap poruszył uszami i zmarszczył czoło, nie miał jednak zamiaru wskakiwać do wody i próbował, czy nie wystarczy czasem szczekanie.

- Ty tchórze! - wrzasnął Tomek i kopnął go, upokorzony jako sportowiec brakiem ambicji swojego psa. Bob powstrzymał się od jakichkolwiek uwag i szedł dalej, tym razem jednak dla odmiany wołał iść płytkim brzegiem rozlanej rzeki.

- Wcale tak znowu nie wylała - mówił kopiąc wodę w przyjemnym poczuciu własnej zuchwałości. - W zeszłym roku całe łąki były zalane.

- Ale przecież - oponował Tomek, którego umysł skłonny był do różnicowania twierdzeń w rzeczywistości całkowicie zgodnych

\

-? ale przecież kiedyś, kiedy powstał Okrągły Staw, była ogromna powódź, ojciec mi to mówił. Wszystkie owce i krowy potopiły się, a po Polach pływało się łodziami, hen aż tam.

Wcale się nie boję powodzi- mówił Bob. - Nie boję się wody.

To dla mnie to samo, co ziemia. Po prostu bym pływał.

- No tak, ale gdybyś długo nie miał nic do jedzenia? - zapytał

-? Tomek, którego wyobraźnia zaczęła gorączkowo pracować na myśl

okropności. - Kiedy dorosnę, wybuduję wielką łódź, a na niej

-? cały dom, tak jak w Arce Noego, i będę tam trzymał masę rzeczy

króliki i inne zwierzęta. Wszystko będzie przygotowane.

zoba -? .. rozumiesz Jak przyjdzie powódź, to cóż mi z tego? I jak

nalni ZC Pnesz' to ci? wezmę - dodał łaskawie i protekcjo-

n

58 KSIĘGA PIERWSZA

- Ja się tam nie boję - upierał się Bob, któremu głód nie wydawał się czymś szczególnie groźnym. - Ale wleżę na łódź i będę paniczowi zabijał króliki, jak je panicz będzie chciał jeść.

- A ja będę miał półpensówkę i zagramy w orła i reszkę - podsunął Tomek nie zważając na to, że w wieku dojrzałym podobna rozrywka może mieć mniej uroków. - Na początku podzielę się z tobą wszystkim uczciwie i zobaczymy, kto wygra.

- Mam własne pół pensa - oświadczył z dumą Bob wyłaząc z wody i podrzucając monetę w górę. - Orzeł czy reszka?

- Reszka - odparł Tomek, ogarnięty natychmiast żądzą wygranej.

- Orzeł - odparł szybko Bob, chwytając monetę, gdy dotknęła ziemi.

- Nieprawda - oświadczył Tomek głośno i stanowczo. - Oddaj pieniądze, wygrałem je uczciwie.

- Nie dam - odparł Bob chowając monetę głęboko w kieszeni.

- To cię zmuszę, zobaczysz.

- Nie zmusi mnie panicz do niczego!

- Potrafię.

- A juści!

- Ja jestem panicz.

- No i co z tego?

- Ja ci pokażę, co z tego, ty szachraju! - krzyknął Tomek łapiąc Boba za kołnierz i potrząsając.

- Odczep się! - wrzasnął Bob i kopnął napastnika.

W Tomku krew zawrzała. Skoczył na Boba i przewrócił go na ziemię, ale ten wczepił się w przeciwnika jak kot i zbił go również z nóg. Walczyli przez chwilę zaciekle, aż wreszcie Tomek przyparł ramiona Boba do ziemi, pewny już zwycięstwa.

- A teraz powiedz, że mi oddasz pieniądze - mówił z wysiłkiem, starając się opanować siłę ramion przeciwnika.

W tej chwili Jap, który z początku uciekł, wrócił ze szczekaniem na pole bitwy i stwierdził, że nadarza się okazja ugryzienia Boba w gołą nogę nie tylko bezkarnie, ale i z honorem. Bob pod wpływem

ROZDZIAŁ VI

59

niespodziewanego bólu, zamiast rozluźnić chwyt, zebrał się w sobie i z największym wysiłkiem przewrócił Tomka na grzbiet, biorąc górę w walce. Ale Jap, który przedtem nie mógł się rzetelnie dobrać do wroga, wbił teraz zęby w nowe miejsce i nękał nieprzyjaciela, aż ten puścił Tomka i mało nie udusiwszy psa wrzucił go do rzeki. W tej samej jednak chwili Tomek poderwał się na nogi i nim Bob odzyskał równowagę, znów go przewrócił i przygwoździł mu kolanami pierś do ziemi.

- Oddasz teraz pieniądze? - zapytał.

- Bierz sobie - odparł Bob ponuro.

- Nie, ja nie wezmę. Ty mi je dasz.

Bob wyciągnął półpensówkę z kieszeni i rzucił daleko w pole. Tomek puścił nieprzyjaciela i pozwolił mu wstać.

- Tam leży pieniądz - powiedział. - Nie potrzebuję go. Nigdy bym go nie wziął. Ale ty chciałeś oszukiwać, a ja nienawidzę oszustwa. Nie będę już nigdy z tobą chodził - dodał zawracając do domu nie bez lekkiego żalu na myśl o polowaniu na szczury i innych przyjemnościach, które traci wraz z towarzystwem Boba.

- No, to nie bierz! - wrzeszczał tamten. - Będę oszukiwał, jeśli mi się tylko spodoba. Co za przyjemność grać inaczej? Wiem, gdzie jest gniazdo szczygła, ale będę pilnował, żebyś go nie zobaczył! Nadęty indor ... !

Tomek szedł dalej nie odwracając głowy, a za nim biegł Jap, którego zapal do walki ostygł po zimnej kąpieli.

Idź sobie, jak chcesz, idź z tym topielcem. Ja bym nigdy nie trzymał

-? tego psa! - wrzeszczał Bob coraz głośniejszym głosem, czyniąc ostatni wysiłek, podtrzymać wyzwanie. Tomek jednak nie dał się sprowokować i nie

wrócił głowy, toteż głos Boba zaczął teraz drżeć nieco: - Wszystko

dawałem i wszystko ci pokazywałem, i nigdy nie chciałem nic od

- Masz, oddaję ci ten scyzoryk w rogowej oprawie, co go od ciebie

kupiłem. - Tu Bob rzucił scyzoryk najdalej jak mógł za odchodzą-

i wrogiem. Nie przyniosło to jednak skutku, chyba tylko ten, że

zdał sobie nagle sprawę, jak okropnie mu czegoś brak, teraz, kiedy

nie ma już scyzoryka.

60 KSIĘGA PIERWSZA

Stał nieruchomo, póki Tomek nie zniknął za furtką i za żywopłotem. I cóż z tego, że nóż zostanie na ziemi? Tomka to nie zaboli. Duma czy poczucie urazy Boba były niewspółmierne do miłości scyzoryka. Już same palce przesyłały błagalne prądy, by poszedł i chwycił tę znajomą, szorstką rękojeść z koźlęcych rogów, którą tak często obejmowały w kieszeni z czystej miłości. Scyzoryk miał dwa noże, niedawno naostrzone. Jak będzie teraz żył bez niego, on, który zakosztował już lepszej egzystencji? Rzucić w rozpacz kraj, dom i rodzinę - to jeszcze można zrozumieć, ale rzucić scyzoryk - to już przesada. Tak więc Bob poszedł tam, gdzie leżał w błocie jego ukochany nóż, i doznał całkiem nowej radości chwytając go po chwilowej rozłące, otwierając jedno, a potem drugie ostrze i próbując je swoim

zrogowaciałym palcem. Biedny Bob. Brakło mu delikatnego poczucia honoru - rycerskość nie leżała w jego naturze. Niewysoko ceniła ten subtelny smak moralny opinia publiczna z Kennel Yard, gdzie znajdowało się samo centrum świata Boba - założywszy, że w ogóle znała ów smak. Mimo to Bob nie był w całym tego słowa znaczeniu łobuzem i złodziejem, jak to pochoinnie stwierdził Tomek.

Ale, jak już zauważyliście, Tomek był osobistością w typie Radamantysa²⁹; został obdarzony większą niż przeciętny chłopiec porcją poczucia praworządności, która nakazuje tak surowo karać winnych, jak na to zasługują, i która nie ma najmniejszych wątpliwości co do rozmiaru winy. Gdy wrócił do domu, Madzia dostrzegła chmurę na jego twarzy, co przytłumiło jej radość z wcześniejszego powrotu brata. Nie odważyła się doń odezwać, kiedy stał w milczeniu, rzucając drobnymi kamykami w tamę młyńską. To wcale niewesołe zrezygnować z polowania na szczury, kiedy się je postanowiło zobaczyć. Ale gdyby Tomek miał wyrazić najsilniejsze uczucie, jakie go teraz przepełniało, powiedziałaby: zrobiłbym tak i za następnym razem. Tak zapatrywał się w większości wypadków na swe minione uczynki, podczas gdy Madzia zawsze żałowała, że nie postąpiła zupełnie inaczej.

²⁹Radamantys - w mitologii greckiej syn Zeusa i Europy, słynął z mądrości i sprawiedliwości, po śmierci został w podziemiu sędzią zmarłych.

ROZDZIAŁ VII

61

ROZDZIAŁ VII

WKRACZAJĄ WUJOSTWO

Dodsonowie byli bezsprzecznie dorodną rodziną, a pani Glegg wyróżniała się spośród sióstr urodą. Kiedy zasiadła w fotelu młynarzowej, każdy -? zstronny obserwator musiał przyznać, że jak na pięćdziesiąt lat ma świetną twarz i figurę. Tomek i Madzia jednak uważali ciocię Glegg za szczyt ohydy. Prawda to, że strój nie dodawał jej wdzięku, chociaż, jak często podkreślała, niewiele kobiet kupowało rzeczy w tak dobrym gatunku. Nie miała jednak zwyczaju nosić nowych sukien, póki nie wydarła starych. Niech tam sobie inne kobiety oddają najlepsze koronki do każdego prania, ale kiedy ona, pani Glegg, umrze, wszyscy będą mogli stwierdzić, że w prawej szufladzie jej komody w Dropiatym Pokoju leży koronka lepsza od najlepszej, jaką kiedykolwiek kupowała pani Wool z St. Ogg's, chociaż ta nosi koronki, nim jeszcze za nie zapłaci. To samo co do loczków. W szufladach pani Glegg leżały najbardziej lśniące i kędzierzawe loczki, jak również loczki w najróżniejszych stopniach rozsypki³⁰, lecz spoglądanie w powszedni dzień spod błyszczących, dobrze skręconych pukli równałoby się całkowitemu i bardzo przykreemu pomieszaniu pojęć świeckich i kościelnych. Były wypadki, gdy pani Glegg przypinała i wizytę w dzień powszedni jedne ze swoich lepszych loczków, nigdy toak nie na wizytę u siostry, zwłaszcza u Bessy Tulliver, która od ślubu te jej siostrzane uczucia, nosząc własne włosy. A przecież, jak często mówiła pani Glegg do pani Deane, Bessy jest matką rodziny i ma męża, -? się ciągle prawuje, można by się więc spodziewać, że wie, co vVpada. Ale Bessy miała zawsze słaby charakter! -? bywało dopuszczalne w XIX w. noszenie przez kobiety czepków w domu pozwanym matronom ukrywać pod nimi siwiejące włosy i ukazywać się szytym do czepka obramowaniem z loczków nabytych u fryzjera. Pani - ma całą kolekcję takich loczków na różne okazje.

KSIĘGA PIERWSZA

62

Tak więc, nie bez powodu, loczki pani Glegg były dzisiaj bardziej niż zwykle nastroszone - miały bowiem stanowić ostrą i bolesną aluzję do jasnych, gęstych pukli na głowie pani Tulliver, oddzielonych od siebie gładką falą po obu stronach przedziałka. Niejednokrotnie młynarzowa rześzystymi łzami oblewała złośliwość siostry w przedmiocie tych nieprzystojnych matronie kędziarów, szybko jednak przychodziła jej z pomocą świadomość, że bardzo jej z

nimi do twarzy. Tego dnia pani Glegg postanowiła nie zdejmować z głowy budki³¹ w mieszkaniu, rozchylić ją tylko rozwiązawszy wstążki - często postępowała tak na wizytach, jeśli była w nie najlepszym humorze. Nie wiadomo przecież, jakie mogą być przeciągi w obcym domu. Z tej samej przyczyny włożyła krótką, sobolową etolę, która ledwo pokrywała ramiona i w żaden sposób nie mogła się skrzyżować na jej kształtnej piersi. Długą szyję chroniły cheeaux- de- frise z najróżniejszych plisek. Trzeba by się dobrze znać na ówczesnej modzie, by określić, jak bardzo staroświecka była dymnoniebieska jedwabna suknia pani Glegg, lecz konstelacje małych, żółtych kropek oraz unoszący się wokół niej zapach pleśni, który przywodził na myśl wilgotną skrzynię na ubranie, wskazywały, że była już wystarczająco stara, aby stała się z powrotem modna.

Pani Glegg wzięła do ręki wielki złoty zegarek i owinąwszy sobie łańcuszek naokoło palców oświadczyła młynarzowej, która właśnie wróciła z kuchni, że bez względu na to, co mówią zegary i zegarki w cudzych domach, u niej minęło już wpół do pierwszej.

- Nie wiem, co się stało siostrze Pullet - ciągnęła. - Przyjęte było w naszej rodzinie, że wszyscy przyjeżdżamy jednocześnie, a w każdym razie takie były zasady naszego ojca. Nie żeby jedna siostra przez pół godziny musiała czekać na drugą. Ale jeżeli rodzinne zwyczaje

31 budka - kapelusz damski zrobiony z filcu, słomki, pikowanej lub usztywnionej tkaniny, wiązany pod brodą, z okalającym twarz i policzki rondkiem, ozdobionym wstążkami, sztucznymi kwiatami itp. Ten rodzaj kapelusza noszony był w pierwszej połowie XIX w. przez kobiety i dziewczynki, które - jeśli należały do klasy średniej - musiały poza domem zawsze występować w kapeluszu.

ROZDZIAŁ VII

63

mają się zmieniać, to nie przeze mnie - ja nigdy nie zjadę w goście, kiedy inni będą się żegnać. Dziwię się tylko siostrze Deane, ona dotąd bardziej była do mnie podobna. Ale jeśli posłuchasz mojej rady, Bessy, to dasz obiad trochę wcześniej i nie będziesz z nim czekać, bo ci, co się spóźniają, powinni dostać nauczkę.

- Ach, moja kochana, nie ma obawy, przyjadą na czas - tłumaczyła pani Tulliver swym nieco zrzędnym głosem. - Obiad będzie gotów dopiero o wpół do drugiej, ale jeśli ci za długo czekać, to przyniosę kawałek sernika i kieliszek wina.

- No wiesz, Bessy - odparła pani Glegg z gorzkim uśmiechem i ledwie dostrzegalnie potrząsnęła głową. - Można by się spodziewać, że lepiej znasz własną siostrę. Nigdy nie brałam ani kęsa do ust między posiłkami i nie mam zamiaru teraz zaczynać. Nie znoszę tylko podawania obiadu o wpół do drugiej, kiedy można go podać o pierwszej. Nigdy cię w domu tego nie uczono, Bessy.

- Janko droga, a cóż ja na to poradzę? Mój mąż bardzo nie lubi jeść przed drugą, ale przesunęłam obiad na wpół do drugiej ze względu na ciebie.

- Tak, tak, wiem, jak to jest z mężami, oni by wszystko poprzestawiali. Jedliby obiad po podwieczorku, gdyby mieli za żony takie potulne owce, które by im na to pozwalały. Szkoda wielka, Bessy, że nie masz więcej charakteru. Dobrze będzie, jeśli twoje dzieci przez to nie ucierpią. I mam nadzieję, żeś nie zwariowała, żeby wydawać dla nas obiad ponad stan i wyrzucać pieniądze na siostry, które wolałyby jeść zeszlą skórę od chleba, niż popychać cię do upadku i ruiny przez swoje ekstrawagancje. Dziwię się, że nie bierzesz wzoru z siostry Dane, ona ma wiele więcej zdrowego rozsądku. Musisz przecież

chować dwoje dzieci, a tymczasem mąż puszcza twój majątek na

-? esy, a i swój też traci. Powinnaś nam dać gotowaną ćwiartkę, żeby

- ostał rosół do kuchni - oświadczyła pani Glegg z naciskiem i zwykły pudding z łyżką cukru, bez żadnych korzeni. Tak byłoby najstosowniej.

Wspaniałe rysowały się perspektywy na resztę dnia, gdy pani Glegg -? była w takim humorze. Pani Tulliver nigdy się z nią nie kłóciła, chyba

64 KSIĘGA PIERWSZA

że uznamy, iż kaczka, która lekceważąco wystawia nogę z wody, kłóci się z chłopakiem rzucającym w nią kamieniami. Ale kwestia obiadu była czułym punktem i sprawą nienową, toteż pani Tulliver odpowiedziała tak, jak odpowiadała zawsze:

- Mój mąż powiada, że póki go na to stać, póty będzie podejmował rodzinę przyzwoitym obiadem i w swoim własnym domu ma prawo robić to, co mu się podoba.

- Dobrze, Bessy, tylko pamiętaj, że ja nie jestem w stanie zostawić twoim dzieciom tyle oszczędności, żeby je uratować od ruiny. I nie możesz się spodziewać ani pensa z pieniędzy mojego męża, bo i tak będzie dobrze, jeśli ja go przeżyję - on jest z długowiecznej rodziny - a jeśli umrze wcześniej, to da mi tylko dożywocie, a wszystkie swoje pieniądze zapisze własnym krewnym.

W tej chwili rozległ się turkot kół przed domem, co, na szczęście dla pani Tulliver, przerwało rozmowę. Młynarzowa pospieszyła więc, by przywitać panią Pullet - to z pewnością ona, bo najwyraźniej zajechał faetonik³².

Pani Glegg potrząsnęła cierpko głową, miała bowiem o faetonach wyrobione zdanie.

Kiedy jednokonka zatrzymała się przed drzwiami, pani Pullet tonęła we łzach i zapowiadało się, że nim wysiadzie, wyleje jeszcze więcej, bo chociaż jej mąż i pani Tulliver stali gotowi pomóc damie przy wysiadaniu, siedziała dalej, potrząsając smutnie głową i spoglądając w daleką przestrzeń poprzez łyzy.

- Co się stało? - zapytała młynarzowa. Nie miała zbyt bujnej wyobraźni, ale przyszło jej do głowy, że może wielkie toaletowe lustro w najlepszej sypialni pani Pullet zbiło się po raz wtóry.

Zamiast odpowiedzi siostra potrząsnęła tylko głową, wstała powoli i wysiadła z powoziku, sprawdzając badawczym spojrzeniem, czy mąż pilnuje, by coś się nie przygodziło jej pięknej jedwabnej sukni - Pan Pullet był to drobny człowieczek o wielkim nosie, małych ruchliwych oczkach i wąskich wargach. Miał na sobie czarny, świeży i2faeton - lekki, odkryty powóz czterokołowy, zwykle dwuosobowy.

ROZDZIAŁ VII

65

garnitur i biały halsztuk związany okropnie mocno, jakby jego właścicielowi zależało bardziej na wzniosłych zasadach niż zwykłej swobodzie ruchów. Kiedy kroczył koło swej wysokiej, przystojnej żony w bufiastych rękawach, szerokim płaszczu i wielkim, upstrzonym piórami i wstążkami kapeluszu, przypominał małą łódź rybacką, płynącą obok brygu o rozpiętych żaglach.

Modna kobieta pogrążona w rozpacz to wzruszający obraz, a nadto jaskrawy przykład tego, co w uczucia ludzkie wprowadziła wyższa forma cywilizacji. Jak niezliczone stopnie dzieła smutek Hotentota³³ od smutku kobiety w sztywnych, bufiastych rękawach, w kunsztownym kapeluszu z pękami delikatnych wstążek. Oświecone dziecię cywilizacji odrzuca abnegację - tak charakterystyczną dla bólu - i zastępuje ją niezwykle subtelnymi środkami, dostarczając ogromnie interesującego materiału dla analityka. Gdyby pani Pullet, ze złamanym sercem i oczyma oślepienymi łzami, przeszła niepewnym krokiem przez drzwi, mogłaby zgnieść swe sztywne rękawy. Głęboka świadomość tego wytworzyła zespół sił działania, dzięki którym pani Pullet obrała drogę przez sam tych drzwi środek. Stwierdziwszy, że łyzy jej płyną szybkim potokiem, odwiązała wstążki kapelusza i mdlejącym ruchem odrzuciła je do tyłu; wzruszający gest, który nawet w tym mroku rozpacz wskazywał nadzieję na suchszą przyszłość, gdzie wstążki będą mogły wywierać swój urok. Gdy łyzy zaczęły ustawać, pani Pullet, odchyliwszy nieco głowę pod takim kątem, by nie uszkodzić kapelusza, przeżyła ten straszliwy moment, kiedy ból, który sprawiał, że wszystko inne na świecie wydawało się

nużące, sam stał się nużący. Spoglądając w zamyśleniu na swe bransolety, zaczęła układać ich obręcze z tą miłą, wyszukaną niedbałością, która przyniosłaby aszczyt jej umysłowi, gdyby ów cieszył się znowu zdrowiem i spokojem.

Pani Pullet wytarła delikatnie wszystkie framugi drzwi tej co i ona szerokości (w owym okresie kobieta, która nie miała w ramionach

-?

33rj-

cywT mPc.1 - plemię z Afryki Płd., uważane za szczególnie zacofane

66 KSIĘGA PIERWSZA

półtora jarda, wydawała się śmieszna każdemu znawcy mody), po czym napięła mięśnie twarzy, aby wywołać nowe łzy, i tak weszła do pokoju, gdzie siedziała siostra Glegg.

- Spóźniłaś się! Co się stało? - zapytała trochę ostrym tonem pani Glegg, podając siostrze rękę.

Pani Pullet, nim odpowiedziała na pytanie, usiadła, unosząc ostrożnie tył płaszcza.

- Odeszła! - zawołała, używając nieświadomie figury retorycznej.

"A więc tym razem nie lustro" - pomyślała pani Tulliver.

- Umarła przedwczoraj - ciągnęła pani Pullet. - A nogi miała takie grube jak ja cała - dodała z głębokim smutkiem po chwili przerwy. - Odciągali z niej wody bez końca, podobno można było pływać, tak ludzie mówili.

- Wobec tego wielka łaska boska, moja Zosiu, że umarła

- odparła pani Glegg bystro i twardo, jak przystało na umysł z przyrodzenia jasny i zdecydowany. - Ale nie mogę się domyślić, o kim ty mówisz.

- Ach, Boże! - wzdychała pani Pullet potrząsając głową.

- W całej parafii nie było takiego drugiego wypadku wodnej puchliny. To stara pani Sutton z Twentylands.

- Cóż, ani to nasza krewna, ani dobra znajoma, o ile mi wiadomo

- odparła pani Glegg, która zawsze płakała, jak przystało, gdy coś się przydarzyło jej krewnym, ale w innych wypadkach - nigdy.

- Jest naszą znajomą, boć przecie oglądałam jej nogi jak banie ... Stara kobieta, która bez ustanku powiększała swój kapitał i sama nim gospodarowała do ostatniej chwili, i zawsze trzymała pod poduszką klucze. Niewielu jest starych parafian takich jak ona.

- Powiadają, że zażyła całą furmankę lekarstw - stwierdził pan Pullet.

- Ach! - wzdychała pani Pullet. - Ona miała jeszcze inną chorobę przed puchliną i doktorzy nie mogli stwierdzić, co to takiego. A kiedy na ostatnie święta Bożego Narodzenia poszłam ją odwiedzić, powiedziała mi: "Pani Pullet, jak pani będzie miała kiedy wodną

ROZDZIAŁ VII

67

puchlinę, niech pani o mnie pomyśli". Tak powiedziała. - Pani Pullet zaczęła znowu gorzko szlochać. - To jej własne słowa. Mają ją pochować w sobotę i mój mąż proszony jest o udział w pogrzebie.

- Zosiu - przerwała pani Glegg, nie mogąc powstrzymać się od rozsądnych napomnień. - Zosiu, dziwię się, że płaczesz i narażasz zdrowie na szwank przez ludzi, którzy nie są z naszej rodziny. Nigdy tak nie postępował twój ojciec ani ciocia Franciszka, ani nikt, ja w każdym razie o czymś podobnym nie słyszałam. Nie mogłabyś się bardziej martwić na wiadomość, że nagle umarł kuzyn Abbot i nie zostawił testamentu.

Pani Pullet ucichła, wypłakując resztę łez. Zarzut, iż zbyt rozpacza, raczej jej pochlebił, niż ją oburzył. Nie każdy może się zdobyć na takie łzy po sąsiedzie, który mu nic nie zostawił. Pani Pullet jednak poślubiła obywatela ziemskiego i stać ją było na to, by płakać i robić wszystko z największą w parafii godnością.

- Pani Sutton zrobiła jednak testament - rzekł pan Pullet w mglistym przekonaniu, że mówi coś, co usprawiedliwia łzy jego żony. - Nasza parafia jest bardzo bogata, ale powiadają, że nikt nie

ostawił po sobie tylu tysięcy, co pani Sutton. Nie robiła żadnych zapisów, tylko wszystko w całości dała siostrzeńcowi swojego męża.

- Nic jej nie przyszło z tego bogactwa - odparła pani Glegg jeśli nie miała go zostawić komu innemu, jak rodzinie męża.

nutne, kiedy taki jest koniec wszystkich ludzkich starań. Nie żebym a z tych, co nie chcieliby zostawić po śmierci więcej gotówki na oścień, niż ludzie się spodziewali. Ale najgorsze, kiedy pieniądze muszą przejść na inną rodzinę.

- Widzisz, Janko - odparła pani Pullet, która na tyle już ytomniała, że zdjęła woalkę i złożyła ją pieczołowicie - pani

utton zostawiła pieniądze bardzo miłemu człowiekowi. Jest chory na i chodzi spać co dzień o ósmej, sam mi to powiedział zupełnie

-? cie, kiedyśmy wychodzili z kościoła którejś niedzieli. Nosi

-? zajęczą na piersi i trochę sepleni - prawdziwy dżentelmen.

Mówiłam mu, że niewiele jest w roku miesięcy, żeby mnie doktor nie badał - a on na to: "Pani Pullet, jakże ja panią rozumiem". Tak

68 KSIĘGA PIERWSZA

powiedział, własne jego słowa. Ach! - westchnęła pani Pullet, potrząsając głową na myśl, że niewielu jest takich, którzy rozumieją jej przeżycia z czerwoną i białą miksturą, z mocnymi kropelkami w małych butelkach i słabymi kropelkami w dużych butelkach, z pigułkami na wapory za szylinga i lekiem za osiem pensów. - Może bym teraz poszła i zdjęła kapelusz? Czy przyniesione pudło z czepeczkiem? - dodała, zwracając się do męża.

Pan Pullet zapomniał o pudle; był to niewybaczalny błąd, pospieszył więc, gnany wyrzutami sumienia, by go naprawić.

- Zaniosę je na górę, Zosiu - powiedziała pani Tulliver, chcąc wyjść jak najszybciej, bo inaczej pani Glegg zacznie tłumaczyć, co myśli o tym, że Zosia jest pierwszą Dodsonówną, która niszczy sobie zdrowie lekarskami.

Pani Tulliver miała wielką ochotę pójść z siostrą na górę, obejrzeć dokładnie jej czepeczek nim go włoży i porozmawiać o strojach w ogólności. Ta właśnie słabość Bessy wzbudzała litość pani Glegg. Bessy ubierała się ponad stan i była zbyt dumna, by przyodziewać swe dzieci we wszystkie porządne ubrania, jakie wyciągała siostra Glegg ze starożytnych składów swej garderoby. To grzech i hańba kupować tym dzieciom coś więcej nad parę butów. W tym wypadku jednak pani Glegg krzywdziła swą siostrę, pani Tulliver bowiem zrobiła wszystko, co w jej mocy, by nakłonić Madzie do noszenia kapelusika ze słomki oraz farbowanej sukni jedwabnej, przerobionej z ciotczynej. Rezultat musiała jednak ukryć na dnie matczynego serca, gdyż Madzia oświadczyła, że suknia brzydko pachnie farbą, i przy najbliższej okazji, w pierwszą niedzielę, oblała gors sosem z rostbefu, po czym stwierdziwszy, że to przyniosło dobry skutek, zgniotła dokładnie kapelusik razem z zielonymi wstążkami, nadając mu w ten sposób wygląd sera ziołowego przybranego zwiędłą sałatą. Na obronę Madzi muszę tu powiedzieć, iż Tomek śmiał się z tego kapelusika i mówił, że siostra wygląda w nim jak stara Judy z teatru kukielkowego³⁴. Ciotka

Wystawiana w teatrach kukielkowych historia Puncha i Judy to improwizowana "czarna komedia" zapożyczona z Włoch w XVII w. Judy (Judyta) jest w niej ubrana tak, by budzić wesołość widzowi.

ROZDZIAŁ VII

Pullet również ofiarowywała im czasem jakieś rzeczy, były one jednak zawsze ładne i podobały się zarówno Madzi, jak i jej matce. Pani Tulliver lubiła panią Pullet najbardziej ze swych siostr, zresztą z wzajemnością. Pani Pullet jednak bolała nad tym, że Bessy ma takie okropne, dziwaczne dzieci, oczywiście, zawsze zrobi dla nich, co tylko będzie mogła, ale szkoda, że nie są takie grzeczne i ładne jak córka siostry Deane. Madzia i Tomek uważali ze swej strony ciotkę Pullet za całkiem znośną, przede wszystkim dlatego, że nie była ciotką Glegg. Podczas wakacji Tomek nigdy nie chciał jeździć z wizytą do ciotek częściej niż raz. Obaj wujowie dawali mu wtedy kieszonkowe, ale u ciotki Pullet, koło piwnicy, siedziała zawsze masa ropuch, w które można było rzucać kamieniami, wołał więc wizyty u niej. Madzia bała się ropuch, które jej się później śniły, lubiła jednak grającą tabakierkę wuja Pullet. Mimo to ustalono pod nieobecność pani Tulliver, że krew Dodsonów nie daje dobrych wyników w połączeniu z krwią Tullive- rów, że w gruncie rzeczy dzieci biednej Bessy to Tulliverowie, i chociaż Tomek ma cerę Dodsonów, z pewnością będzie tak samo do nich niepodobny, jak jego ojciec. Jeśli zaś chodzi o Madzie, to przecież skóra zdarta z pani Moss, siostry pana Tullivera, grubokościstej kobiety, która wyszła za mąż najgorzej, jak tylko sobie można wyobrazić, i nie miała porcelany, za to miała męża, który z biedą płacił czynsz dzierżawny. Kiedy jednak pani Pullet znalazła się na górze sam na sam z panią Tulliver, uwagi obu dam pod adresem pani Glegg były oczywiście krytyczne; obie zgodnie stwierdziły, że nie wiadomo nigdy, jakie straszdyło zrobi z siebie ich siostra. Owo -? tete a tete zostało zerwane przyjazdem pani Deane z małą Lucy, i pani Tulliver musiała się z niemym bólem przyglądać, jak siostra czesze jasne loki swojej córki. Wprost nie do wiary, żeby pani Deane, najszcuplejsza i najbardziej ziemista z wszystkich Dodsonówien, miała dziecko, które w każdej chwili można by wziąć za dziecko pani Tulliver. A Madzia przy Lucy wydawała się zawsze dwa razy ciemniejsza.

Tak też było i dzisiaj, kiedy Madzia wraz z Tomkiem, ojcem -? Glegg wróciła z ogrodu. Zrzuciła niedbale kapturek

wbiegając z rozwianymi i rozkręconymi lokami skoczyła ku Lucy,

70 KSIĘGA PIERWSZA

która stała u boku matki. Kontrast między kuzynkami był uderzający, a wyrok powierzchownego obserwatora musiał wypaść na niekorzyść Madzi, znawca jednak mógłby w niej dostrzec pewne szczegóły, które zapowiadały na przyszłość coś więcej niż schludną poprawność Lucy. Tak jakby się postawiło obok siebie dzikiego, ciemnego, wyrosniętego szczeniaka i białe kociątko. Lucy wysunęła do pocałunku ładniutkie różane usteczka.

Wszystko w niej było ładne: mała krągła szyja otoczona sznurkiem koralu, mały prosty nosek ani trochę nie zadarty, małe regularne brwi, nieco ciemniejsze niż włosy, orzechowe oczy, które z nieśmiałym zadowoleniem spoglądały na Madzie, wyższą od niej o głowę, choć tylko o rok starszą. Madzia zawsze zachwycała się Lucy. Lubiła ogromnie wyobrazić sobie świat, na którym żyją ludzie nie więksi niż dzieci, a królowa była tam taka właśnie jak Lucy, z małą koroną na głowie i małym berłem ... tylko że to byłaby Madzia, w postaci Lucy.

- Lucy! - wykrzyknęła ucałowawszy kuzynkę. - Pójdiesz ze mną i z Tomkiem, dobrze? Ucałuj ją, Tomku.

Tomek również podszedł do Lucy, nie miał jednak zamiaru jej całować, o nie, podszedł do niej z Madzią, bo to wydawało się jakoś łatwiejsze niż witanie się z ciotkami i wujami. Stał i patrzył tak bez celu przed siebie, zaczerwieniony, speszony, z półśmiechem, typowym dla nieśmiałych chłopców, kiedy są w towarzystwie - jakby znaleźli się na tym świecie przez pomyłkę i zastali go w peszącym dezabilu.

- Witajcie! - zakrzyknęła ciotka Glegg. - Cóż to, czy dzieci, wchodząc do pokoju, nie zauważają swoich wujostwa? Nie tak bywało za moich młodych lat.

- Idźcie i porozmawiajcie z rodziną, moi drodzy - wypychała ich pani Tulliver, smutna i zaniepokojona. Chciała szepnąć Madzi, żeby poszła się przedtem uczesać.

- No, jak się macie? Mam nadzieję, że jesteście grzeczni - ciągnęła ciotka Glegg, wciąż tak samo głośno i z afektacją, ściskając ich dłonie upięścienionymi rękami aż do bólu i obcałowując ich niechętnie nadstawione policzki. - Podnieś no głowę, Tomku, spójrz na mnie. Chłopcy, którzy chodzą do szkoły, powinni trzymać głowę

ROZDZIAŁ VII

71

wysoko. Spójrz na mnie. - Tomek wyraźnie nie znajdował w tym przyjemności i chciał wyciągnąć rękę z jej dłoni. - Zaczesz sobie włosy za uszy, Madziu, i uważaj, bo ci się sukienka zsuwa z ramion.

Ciotka Glegg zawsze mówiła do nich głośno i dobitnie, jakby uważała, że są głusi czy też może raczej głupawi. Sądziła, iż w ten sposób budzi w nich poczucie odpowiedzialności i zbawiennie wpływa na pohamowanie ich złych skłonności. Bessy tak okropnie rozpuszcza dzieci - trzeba, żeby ktoś przypominał im o obowiązkach.

- Moje wy kochanki - mówiła ciotka Pullet współczującym tonem - jak wyrosliście od ostatniego czasu. Mam nadzieję, że nie przerosną swoich sił - dodała spoglądając melancholijnie na młynarzową ponad głowami dzieci. - Mała ma, moim zdaniem, za dużo włosów. Na twoim miejscu, Bessy, trochę bym je wystrzygła i skróciła, to bardzo niezdrowo. Wcale bym się nie dziwiła, gdyby stąd właśnie miała tę ciemną cerę, a jak ty myślisz? - zwróciła się do pani Deane.

- Nie wiem, Zosiu - odparła zapytana, zaciskając usta i spoglądając krytycznie na Madzie.

- O, nie - odparł pan Tulliver - mała jest jak najzdrowsza, nic jej nie dolega. Czerwona pszenica jest równie dobra jak biała, a są tacy, co najbardziej lubią ciemne ziarno. Ale dobrze by było, gdyby jej Bessy krótko przycięła włosy, na gładko.

W piersi Madzi powstało w tej chwili straszliwe postanowienie, lecz powstrzymała się jeszcze chwilę, pragnąc usłyszeć od ciotki Deane, czy puści z nimi Lucy, ciotka Deane bowiem rzadko pozwalała swej córce nawet przyjeżdżać do młyna. Wyszunąwszy wiele powodów do odmowy, pani Deane zwróciła się do samej Lucy.

- Nie chcesz nigdzie chodzić bez swojej mamusi, prawda, Lucy? Tak, mamó - odparła płochliwie dziewczynka, oblewając się ciemnym rumieńcem aż po szyję.

- Doskonale, moja mała. Niech więc zostanie z nami - zwrócił się do żony pan Deane, wielki, ale żwawy mężczyzna w tym typie, jaki spotkać można na wszystkich szczeblach angielskiej drabiny społecznej - czaszka wyłysiała na ciemieniu, rude bokobrody, wypukłe czoło, ogólne wrażenie tężyzny, ale bez śladów ocieężałości. Można spotkać

12 BN H/234 G. Eliot: Młyn nad Flossą

72 KSIĘGA PIERWSZA

arystokratę o takiej powierzchowności, można też spotkać sklepikarza czy robotnika dniówkowego; bystrość jednak, wyzierająca z brązowych oczu pana Deane, mniej była pospolita niż jego wygląd zewnętrzny. Trzymał mocno w ręku srebrną tabakierkę i od czasu do czasu częstował pana Tullivera, który miał tylko posrebrzaną, wobec czego, oczywiście, żartował ustawicznie ze szwagrem, proponując mu wymianę nie tylko tabaki, lecz i tabakierki. Pan Deane otrzymał swoją od głównych udziałowców, którzy ofiarowali mu jednocześnie udział w przedsiębiorstwie, w uznaniu jego zasług jako kierownika. Mieszkańcy St. Ogg's mieli o nim bardzo wysokie mniemanie, a niektórzy byli nawet zdania, że panna Zuzanna Dodson, która, jak w swoim czasie sądzono, zrobiła najgorszą partię z wszystkich siostr, może jeszcze w przyszłości jeździć lepszym zaprzęgiem i mieszkać w piękniejszym domu niż jej siostra, pani Pullet. Daleko mógł zająć człowiek mający udział w wielkiej firmie przemysłowo- armatorskiej Guest i Ska, związanej z koncernem bankowym. A pani Deane,

jak to stwierdzały jej najbliższe przyjaciółki, była dumna i lubiła "mieć". Ona już dopilnuje, by jej mąż nie stał w miejscu.

- Madzu - szepnęła matka przywołując do siebie dziewczynkę, gdy tylko ustalona została sprawa Lucy. - Na litość boską, idź i uczesz się. Prosiłam cię, żebyś tu nie przychodziła, zanim cię Marta nie uczesze, wiesz przecież!

- Tomek, wyjdź ze mną - szepnęła Madzia ciągnąc brata za rękaw. Tomek usłuchał chętnie. - Chodź ze mną na górę - szepnęła, kiedy się znaleźli za drzwiami. - Chcę coś zrobić jeszcze przed obiadem.

- Nie mamy czasu, żeby się jeszcze w coś bawić przed obiadem - oponował Tomek, którego wyobraźnia nie znosiła przypadkowych zmian w planach.

- Zdamy. Chodź, Tomku.

Chłopiec podążył za dziewczynką na górę do pokoju matki, gdzie mała podeszła natychmiast do szuflady i wyciągnęła wielkie nożyczki.

- Po co ci one, Madziu? - W Tomku obudziła się natychmiast ciekawość.

ROZDZIAŁ VII

73

Madzia odpowiedziała na to chwytając jeden z kosmyków na przodzie i obcinając go równo przez środek czoła.

- O rety, Madziu, dostaniesz ty za to! - zawołał Tomek. - Zostaw to już, przestań!

Ciach, zamachnęły się wielkie nożyce, jeszcze nim skończył mówić. Właściwie zabawa była dobra - Madzia będzie śmiesznie wyglądać.

- Masz, Tomku, obetnij je z tyłu - prosiła Madzia, przerażona własnym zuchwalstwem, pragnąc jak najszybciej zakończyć sprawę.

- Wiesz dobrze, że dostaniesz za to. - Tomek krytycznie kiwał głową, biorąc z lekkim wahaniem nożyce w ręce.

- To nic, spiesz się - mówiła Madzia tupiąc nogą. Policzki jej pokrywał ciemny rumieniec.

Te czarne włosy takie były grube - cóż mogło stanowić większą pokusę dla chłopca, który już zakosztował wzbronionej mu przyjemności strzyżenia grzywy kucyka. Mówię to do tych, którzy znają rozkosz zaciskania nożyczek na odpornej gęstwie włosów. Jedno chrząszczące ciachnięcie, a potem następne i następne, i wszystkie włosy z tyłu głowy Madzi upadły ciężko na podłogę, a dziewczynka stanęła ostrzyżona w nierówne zęby, ale w poczuciu lekkości i swobody, jakby wydostała się z gęstego lasu na otwartą równinę.

- O, Madziu! - Tomek skakał wokół niej i poklepywał się po kolanach, pękając ze śmiechu. - O rety, jak ty śmiesznie wyglądasz. Spójrz w lusterko - jak ten wariat, któremu rzucaliśmy skorupki orzechów w szkole.

Madzia poczuła niespodziewane ukłucie w sercu. Przedtem myślała tylko o tym, by się uwolnić od kłopotliwych włosów i związanych z nimi zgryźliwych uwag, a troszeczkę także o triumfie nad matką i ciotkami, jaki jej przyniesie ten zdecydowany postępek. Wcale nie chciała, żeby jej włosy pięknie wyglądały, nie, ona pragnęła tylko, żeby ludzie uważali ją za mądrą dziewczynkę i nie doszukiwali się w niej bez ustanku jakichś wad. Teraz jednak, kiedy Tomek zaczął się z niej śmiać i powiedział, że wygląda jak jakiś wariat, sprawa nabrała zupełnie innego posmaku. Spojrzała w lustro; Tomek wciąż śmiał się i klaskał w dłonie, lecz zaczerwienione policzki Madzi pobladły, a wargi jej poczęły się trząść.

74 KSIĘGA PIERWSZA

- O, Madziu, musisz teraz zejść na obiad! - wołał Tomek.

- Nie śmieję się ze mnie! - krzyknęła z pasją Madzia zalana łzami wściekłości, tupiąc i popychając go z gniewem.

- Uspokój się, złośnico. To po co obcięłaś włosy? Idę na dół, czuję już obiad.

Zbiegł do jadalni zostawiając Madzie z gorzkim przeświadczeniem, że popełniła rzecz nieodwracalną, co jej małe serduszko przeżywało nieledwie każdego dnia. Teraz, kiedy już

czyn został dokonany, dziewczynka zrozumiała jasno, że zrobiła czyste szaleństwo i że będzie musiała wysłuchiwać jeszcze więcej uwag na temat swych włosów i dłużej o nich myśleć. Madzia bowiem rzucała się do czynu pod wpływem namiętnych impulsów, a później zastanawiała się nie tylko nad konsekwencjami, ale i nad tym, co by się stało, gdyby tego nie była uczyniła, bujna zaś wyobraźnia pomagała jej przeżywać wszystkie szczegóły i wyolbrzymiać okoliczności. Tomek nigdy nie robił takich szaleństw, obdarzony cudownym instynktem, który podszeptował mu, co się obróci na jego korzyść, a co na niekorzyść, tak więc, chociaż był bardziej samowolny i uparty niż siostra, matka rzadko mogła go nazwać niegrzecznym. Jeśli jednak Tomek zrobił podobny błąd, bronił go i upierał się przy nim; on "nie żałował". Jeśli zerwał postronek od bicia ojca, bo smagał właśnie bramę - to trudno, nie jego wina - rzemień nie powinien się być okręcić wokół zawiasów. Jeśli Tomek Tulliver smagał bramę, pewien był nie tego, że każdy chłopiec, który smaga bramę, postępuje dobrze, lecz że on, Tomek Tulliver, smagając tę właśnie bramę postępuje dobrze, wobec czego nie będzie swego czynu żałował. Madzia jednak, stojąc we łzach przed lustrem, wiedziała, że nie może zejść na dół na obiad, że nie zniesie surowych spojrzeń i surowych słów ciotek ani śmiechu Tomka i Lucy czy usługującej przy stole Marty, a może ojca i wujów, bo przecież jeśli Tomek śmiał się z niej, to i inni zrobią to samo. A gdyby nie obcięła sobie włosów, to mogłaby teraz siedzieć z Tomkiem i Lucy i jeść pudding z morelowym kremem. Teraz pozostawały jej tylko łzy ... Siadła zrozpaczona i nieszczęśliwa pośród swych czarnych kosmyków,

ROZDZIAŁ VII

75

jak Ajaks pośród zabitych baranów³⁵. Ból ten może się wyda pospolity starym wyjadaczom, którzy muszą myśleć o rachunkach świątecznych, o zmarłych miłościach i zerwanych przyjaźniach, lecz ból Madzi był równie gorzki, a może nawet i bardziej gorzki niż to, co lubimy nazywać dla kontrastu "prawdziwymi troskami życia dojrzałego". "Ach, moje dziecko, gdy dorosniesz, będziesz miała prawdziwe powody do strapień" - takie słowa pociechy słyszeliśmy niemal zawsze w dzieciństwie i później, gdyśmy już osiągnęli wiek dojrzały, powtarzaliśmy je innym dzieciom. Któż z nas w dzieciństwie nie szlochał rozpaczliwie, kiedy znalazłszy się w obcym miejscu stracił nagle z oczu matkę czy niankę? Nie potrafimy jednak uzmysłwić sobie ostrości tego bólu i płakać nad nim tak gorzko, jak płaczemy nad świeżo pozostałymi w pamięci smutkami sprzed pięciu czy dziesięciu lat. Każda bolesna chwila zostawiła w nas swój ślad i wciąż w nas żyje, ale pamięć o niej musiała się nieodwołalnie wtopić w bardziej odporną materię młodości i wieku dojrzałego. Dlatego właśnie spoglądamy teraz na smutki naszych dzieci z uśmiechem niedowierzania w realność ich bólu. Czy istnieje człowiek, który wspominając jakies wypadki z dzieciństwa, pamięta nie tylko to, co zrobił, co mu się stało, co lubił, kiedy nosił jeszcze koszulę w zębach, lecz również umie sobie przypomnieć w sposób najgłębszy i najbardziej wyrazisty uczucia, jakie go przejmowały w latach, kiedy czas od wakacji do wakacji dłużył się tak nieskończenie? Co czuł, kiedy koledzy wykluczyli go z gry, bo źle odbijał piłkę, ot tak, z przekory, albo co czuł, kiedy w dżdżysty dzień wakacyjny nie wiedział, czym się zająć i od beczynności przeszedł do psot, od psot do nieposłuszeństwa, od nieposłuszeństwa do dąsów? Albo gdy matka zdecydowanie odmówiła jego prośbie, by mu uszyć w tym półroczu kurteczkę z połami, chociaż wszyscy koledzy już takie nosili? Gdybyśmy potrafili przypomnieć sobie te gorycze

³⁵Ajaks - postać z mitologii greckiej, występująca także w Iliadzie Homera, syn króla Salaminy, walczył dzielnie pod Troją. Gdy po śmierci Achillesa wspaniałą zbroję poległego wojownika dano w nagrodę za męstwo nie jemu, lecz Odyseuszowi, wpadł w szał i rzucił się z mieczem na stado baranów sądząc, że walczy z Grekami.

dzieciństwa, te mgliste domysły, to widzenie życia na bardzo krótką metę, co pogłębia gorycz

- nie lekceważylibyśmy smutków naszych dzieci.

- Panienko, ma panienka zejść w tej chwili na dół! - wołała Kezia wbiegając do pokoju. -

Ojej! Co panienka zrobiła! W życiu nie widziałam takiego straszidła!

- Przestań, Keziu - zachnęła się gniewnie Madzia. - Wynoś się stąd.

- Ale powiadam, że ma panienka zejść na dół w tej chwili. Mamusia kazała panience -

nalegała Kezia podchodząc do Madzi i starając się podnieść ją z podłogi.

- Idź sobie, Keziu, nie chcę obiadu. - Dziewczynka odepchnęła rękę służącej. - Nie zejdem.

- Dobrzeją nie mam czasu tu stać. Muszę iść i podawać do stołu - odparła Kezia wychodząc.

- Madziu, ty głuptasie! - wołał Tomek zaglądając w dziesięć minut później do pokoju. -

Czemu nie zejdziesz na obiad? Tyle jest pyszności i mama też mówi, żebyś zeszła. Dlaczego płaczesz, ty głupia?

To było potworne. Tomek, taki nieczuły i obojętny! Gdyby to on płakał na podłodze, Madzia płakałaby razem z nim. I na dodatek obiad taki dobry! A ona jest taka głodna! To okropne!

Ale Tomek nie był zupełnie wyzbyty uczuć. Nie miał zamiaru płakać i nie uważał, by

Madziny smutek mógł zniszczyć mu apetyt na deser, podszedł jednak do siostry, przysunął policzek do jej twarzy i zaczął mówić cichym, pocieszającym głosem:

- Nie zejdziesz, Madzinku? Może ci przynieść tutaj trochę puddingu, jak już zjem swój? I budyniu, i coś jeszcze?

- Taaak - jęczała Madzia czując, że życie jest trochę lepsze do zniesienia.

- Dobrze - odparł Tomek idąc do drzwi. Ale odwrócił się jeszcze i powiedział: - Lepiej by jednak było, gdybyś zeszła. Na deser są orzechy i wino porzeczkowe.

Po wyjściu Tomka Madzia przestała płakać i zamyśliła się głęboko. Dobroć brata złagodziła nieco jej ból, a wizja orzechów i wina zaczęła robić swoje.

ROZDZIAŁ VII

77

Powoli wstała z zasypanej włosami podłogi i zeszła na dół. Stała, oparłszy się ramieniem o framugę otwartych drzwi do jadalni, i zajrzała do środka. Zobaczyła Tomka i Lucy, puste krzesło między nimi i porcję budyniu na bocznym stole. Tego było za wiele. Wśliznęła się do środka i skierowała się ku pustemu krzesłu, lecz jeszcze nim usiadła, już pożałowała, że tu przyszła, i zapragnęła znaleźć się z powrotem w pokoju na górze.

Zobaczywszy córkę, pani Tulliver wydała cichy okrzyk; tak ją "skręciło", że upuściła na półmisek łyżkę od sosu, czego wyraźne ślady zaznaczyły się na obrusie. Kezia bowiem nie zdradziła przyczyny, dla której Madzia odmówiła zejścia na dół, nie chcąc, by pani w chwili krajania mięsa musiała przeżywać taki wstrząs. Tak więc młynarzowa nie podejrzewała nic więcej ponad zwykłą przekorę, która będzie karą dla Madzi, ponieważ małej przypadnie połowa obiadu.

Kiedy pani Tulliver krzyknęła, wszystkie oczy zwróciły się w tym samym kierunku co jej.

Uszy i policzki Madzi zaczęły płonąć, kiedy wujaszek Glegg, miły starszy pan o siwych włosach, zawołał:

- Cóż to! Kto to taki? Nie znam tej dziewczynki. Czy to jakaś przybłęda znaleziona na drodze, Keziu?

- Poszła i sama obcięła sobie włosy - zauważył półgłosem pan Tulliver z wielką uciechą. -

Widział kto taką rezolutną dziewczynkę?

- Zrobiłaś z siebie okropne straszidło, moja panno - stwierdził wuj Pullet, a prawdopodobnie żadna jego uwaga nie zrobiła na nikim tak druzgocącego wrażenia.

- Wstyd - oświadczyła ciocia Glegg głośnym i ostrym tonem wymówki. - Mała dziewczynka, która samowolnie obcięła włosy, powinna dostać lanie i chleb z wodą na obiad, a nie przychodzić tutaj i siadać ze swoimi ciotkami i wujami.

"7" Tak, tak! - dodał wujek Glegg, pragnąc obrócić w żart to oświadczenie. - Powinna iść do więzienia, a tam by ją ostrzygli do reszty, na łysą pałę.

Jeszcze bardziej jest teraz podobna do Cyganki - stwierdziła z ubolewaniem ciocia Pullet. - To straszne nieszczęście, Bessy, że

78 KSIĘGA PIERWSZA

mała jest taka ciemna, bo chłopak ma całkiem jasną cerę. Zastanawiam się, czy jej ta śniada skóra nie zaszkodzi w życiu.

- Niedobre dziecko! Łamiesz serce swojej matce - jęknęła pani Tulliver ze łzami w oczach. Madzia słuchała tego chóru wyrzutów i szyderstw. Najpierw zaczerwieniła się ze złości, która natchnęła ją chwilową siłą do walki, toteż Tomek sądził, że nie straci pewności siebie, pokrzepiona widokiem puddingu z kremem, i pod tym wrażeniem szepnął: - Mówiłem ci, Madziu, że dostaniesz. - Chciał, żeby to zabrzmiało życzliwie, Madzia była jednak przekonana, że Tomek cieszy się z jej hańby. W jednej chwili opuściły ją i tak słabe siły, serce jej wezbrało bólem i dziewczynka, podniósłszy się z krzesła, podbiegła do ojca, ukryła twarz w jego ramieniu i zaczęła szlochać.

- Cicho, cicho, mała - uspokajał ojciec, objawszy ją ramieniem. - Nie martw się, miałaś rację, że obcięłaś włosy, jeżeli ci przeszkadzały. Nie płacz już, tatuś jest po twojej stronie. O, balsamiczne słowa serdeczności! Madzia nigdy nie zapomniała ani jednej z tych chwil, kiedy "ojciec stawał po jej stronie". Skrywała je głęboko w sercu i wspominała często w wiele lat później, kiedy mówiono, że jej ojciec bardzo źle chował swoje dzieci.

- Jakżeż twój mąż rozpuszcza tę dziewczynę, Bessy - zwróciła się pani Glegg głośnym szeptem do siostry. - Zupełnie ją zmarnuje, jeśli sama w to nie wejdiesz. Nie tak wychowywał swoje dzieci mój ojciec! Inaczej by wyglądała nasza rodzina, gdyby nam tak pობлаżał!

Wydawało się, że kłopoty rodzinne pani Tulliver osiągnęły w tej chwili ten punkt, w którym się już nic nie odczuwa. Nie zwróciła uwagi na słowa siostry, lecz odrzuciwszy wstążki czepeczka zaczęła w milczącej rezygnacji rozdzielać pudding.

Deser przyniósł Madzi całkowite wyzwolenie, gdyż powiedziano dzieciom, że mogą orzechy i wino zabrać do altanki, bo dzień jest ciepły. Uciekły więc na dwór, pomiędzy okryte pąkami krzaki w ogrodzie, biegnąc równie szybko jak małe zwierzątka, które się wydostały spod piekącej soczewki.

ROZDZIAŁ VII

79

Pani Tulliver nie bez wyrachowania udzieliła tego zezwolenia, teraz bowiem, kiedy obiad się skończył i myśli nie były na niczym skupione, nadeszła odpowiednia chwila, by oznajmić o zamiarach pana Tullivera co do Tomka; lepiej też, żeby Tomek nie znajdował się wówczas w pokoju. Dzieci na ogół słuchały wszystkiego, co się o nich mówiło, bez najmniejszych ograniczeń, jak małe ptaszki, które i tak nic nie rozumieją, choćby nie wiem jak wyciągały szyjki i nasłuchiwały. W tym jednak przypadku pani Tulliver okazała niezwykłą powściągliwość, miała bowiem ostatnio dowód, że Tomek z dużym niezadowoleniem myśli o nauce u duchownego i że uważa to za równoznaczne z nauką u policjanta. W głębi serca młynarzowa chowała żalosne przekonanie, że bez względu na to, co powie siostra Pullet czy siostra Glegg, mąż postąpi tak, jak mu się spodoba, ale jeżeli pomysł okaże się niefortunny, obie te panie nie będą mogły zarzucić Bessy, iż przystała na szaleństwo męża, nie mówiąc rodzinie ani słowa o całej sprawie.

- Mężu - przerwała młynarzowi rozmowę z panem Deane

- myślę, że czas już powiedzieć wujostwu naszych dzieci, jakie masz projekty co do Tomka.

- Dobrze - odparł pan Tulliver dość ostro. - Nie mam zamiaru ukrywać przed nikim, co zamierzam z nim zrobić. Postanowiłem

- dodał zwracając się do pana Glegg i pana Pullet - postanowiłem posłać go do pana Stellinga, pastora z King's Lorton - człowieka, jak słyszałem, ogromnie wykształconego - żeby go nauczył, czego potrzeba.

W towarzystwie rozległ się szmer zdziwienia, taki, jaki często rozlega się w wiejskim kościele, kiedy wierni usłyszą z ambony aluzję ich spraw codziennych. Zebranej rodzinie wydało się równie zdumiewające, że w sprawy domu pana Tullivera wkracza jakiś pastor. Wuj Pullet nie mógłby się bardziej zachmurzyć, gdyby usłyszał, że pan Tulliver posyła Tomka na naukę do Lorda Kanclerza, wuj Pullet należał do tej nie istniejącej już dzisiaj klasy drobnych

właścicieli ziemskich w Anglii, którzy ubierali się w dobre sukna, płacili wysokie podatki, chodzili do kościoła i jadali wystawne obiady w niedziele, nie przypuszczając nawet w snach, że konstytucja

80 KSIĘGA PIERWSZA

brytyjska stanowiąca o Kościele i Państwie ma jakąś określoną genealogię - równie dobrze mogliby o to podejrzewać system słoneczny i gwiazdy na niebie. Smutne to, lecz prawdziwe: pan Pullet wyobrażał sobie niejasno, iż biskup to pewien rodzaj baroneta, który może być albo nie być duchownym³⁶. A ponieważ plebanem w jego parafii był człowiek pochodzący z wielkiej i bogatej rodziny, myślał, że duchowny może się parać nauczaniem, zbyt była mu odległa, by wujaszek był w stanie ją łatwo zaakceptować. Rozumiem, że w dzisiejszych, oświeconych czasach trudno jest wam uwierzyć w ignorancję pana Pullet, ale zastanówcie się, jak niezwykle rezultaty mogą dać, w sprzyjających okolicznościach, ludzkie wrodzone skłonności. A wuj Pullet miał wielką wrodzoną skłonność do ignorancji, był więc pierwszym, który wyraził swe zdumienie.

- A po cóż ty, szwagrze, chcesz go posyłać do pastora?- zapytał mrugając oczyma ze zdumienia i spoglądając na pana Glegg i pana Deane, czy oni pojmują, o co idzie.

- Bo pastory to najlepsi nauczyciele, jak się dowiedziałem - odparł biedny pan Tulliver, który w labiryncie tego dziwnego świata chwycił mocno i skwapliwie każdą rzuconą mu nitkę. - Ja- cobs, ten z akademii, nie jest duchownym i bardzo źle prowadził mojego chłopaka, postanowiłem więc, że jeśli go jeszcze pošlę do szkoły, to go będzie uczył ktoś całkiem inny niż Jacobs. A dowiedziałem się, że Stelling to człowiek, jakiego mi potrzeba. Chcę, żeby mały poszedł do niego od świętego Jana - zakończył stanowczym tonem, postukując w tabakierkę i zażywając tabaki.

³⁶Ignorancja wuja jest częściowo usprawiedliwiona, w Kościele anglikańskim bowiem nominacja na stanowisko biskupa dyktowana była głównie względami politycznymi, choć stanowisko to mógł otrzymać wyłącznie duchowny anglikański. Biskupi zasiadali w Izbie Lordów i odgrywali ważną rolę w życiu politycznym, natomiast stosunkowo mało czasu poświęcali na obowiązki administracyjne i duszpasterskie w diecezji i rzadko wizytowali parafie (por. C. P. Hill, op. cit., s. 214); baronet - najniższy tytuł arystokratyczny, który jest dziedziczny, ale jego posiadacz nie zasiada w Izbie Lordów.

ROZDZIAŁ VII

81

- Będzie szwagier musiał płacić niezłe rachunki co półrocze. Duchowni mają na ogół wyższe wymagania - odparł pan Deane, zażywając tęgi niuch, jak to czynił zawsze, kiedy pragnął zachować pozycję neutralną.

- Ale czy szwagier myśli, że pastor nauczy go poznawać dobre ziarno na oko? - zapytał pan Glegg, który ogromnie lubił swoje dowcipy, a że wycofał się już z interesów, uważał, iż nie tylko mu wolno, ale i przystoi patrzeć na wszystko z żartobliwego punktu widzenia.

- Widzicie, ułożyłem sobie plan co do Tomka - tłumaczył pan Tulliver, milknąc na chwilę po tym oświadczeniu i podnosząc kieliszek.

- Jeśli mi wolno coś powiedzieć, a rzadko mi się na to pozwala - zaczęła pani Glegg tonem gorzkiej wymówki - to chciałabym wiedzieć, co dobrego przyniesie wychowywanie chłopca ponad stan.

- Więc - mówił pan Tulliver, zwracając się nie do pani Glegg, lecz do męskiego grona słuchaczy - jak mówiłem, postanowiłem nie przygotowywać Tomka do mojego zawodu. Dawno mi to po głowie chodziło, ale zdecydowałem się wtedy, kiedy zobaczyłem, jak się ma sprawa z Garnettem i jego synem. Myślę go pchnąć do jakiegoś interesu, gdzie nie potrzebowałby kapitału, i chcę mu dać takie wykształcenie, żeby mógł się równać z prawnikami i innymi tam, a od czasu do czasu poradzić mi w moich sprawach. Pani Glegg z zamkniętymi ustami wydała jakiś przeciągły, gardłowy dźwięk, w którym litość mieszała się z szyderstwem.

- Byłoby o wiele lepiej, gdyby pewni ludzie zostawili adwokatów w spokoju - powiedziała.

- Czy ten pastor prowadzi jakąś szkołę, taką jak szkoła średnia w Market Bewley? - zapytał pan Deane.

- Nie, nic takiego - wyjaśnił młynarz. - On weźmie tylko dwóch czy trzech uczniów i przez to będzie miał dla nich więcej czasu.

- Ach, i w ten sposób szybciej ich wszystkiego nauczy. Kiedy się -? dużo uczniów, niewiele im można w tym samym czasie wbić

82 KSIĘGA PIERWSZA

w głowę - zauważył wuj Pullet czując, że już doszedł do sedna całej skomplikowanej sprawy.

- Ale na pewno będzie chciał za to więcej pieniędzy - stwierdził wuj Glegg.

- Okrągłą setkę rocznie - tłumaczył pan Tulliver, dumny ze śmiałości swego postanowienia. - Ale to, widzicie, jest wkład, wykształcenie Tomka będzie jego kapitałem.

- Tak, w tym coś jest - przyznał pan Glegg. - Cóż, szwagrze, może i masz słuszość: Gdy się pieniądze i ziemię puściło, Wiedza zostaje najcenniejszą siłą.

Widziałem to napisane na oknie w Buxton, pamiętam. A my, ludzie bez wykształcenia, zatrzymamy sobie nasze pieniądze, co, szwagrze Pullet? - Pan Glegg pocierał kolana i wyglądał na ucieszonego.

- Dziwię ci się, mężu! Jak na człowieka w twoim wieku i w twojej sytuacji majątkowej, to doprawdy nie przystoi - stwierdziła jego żona.

- Co mi nie przystoi, pani G.? - zapytał pan Glegg, mrugając wesoło do reszty towarzystwa. - Mój nowy niebieski surdut, który mam na sobie?

- Szkoda, żeś taki niedomyślny. Mówię, że nie przystoi ci żartować, kiedy widzisz, jak twoja rodzina pędzi na złamanie karku ku ruinie.

- Jeśli szwagierka o mnie mówi - przerwał pan Tulliver bardzo poirytowany - to niech się szwagierka o mnie nie kłopotczy. Mogę sam prowadzić swoje sprawy i nie zawracać nimi innym głowy.

- Ale, ale - wtrącił pan Deane zmieniając na szczęście temat

- teraz sobie przypominam, że Wakem chce posłać swojego syna

- wiecie, tego garbusa - do jakiegoś pastora, prawda, Zuziu?

- zwrócił się do żony.

- Nic mi o tym nie wiadomo - odparła pani Deane, znowu mocno sznurując usta. Pani Deane nie była kobietą zdolną brać udział w rozmowie, w której padają pociski.

ROZDZIAŁ VII

83

- Cóż - ciągnął pan Tulliver z jawną bez troską, chcąc, by pani Glegg dostrzegła, że nie zwraca uwagi na jej słowa - jeśli Wakem myśli oddać syna na naukę do pastora, to ja na pewno nie robię źle, że i Tomka do pastora posyłam. Wakem to największy łajdak, jakiego stworzył diabeł, ale dobrze zna się na ludziach. Powiedzcie mi, u jakiego rzeźnika kupuje Wakem, a ja wam powiem, gdzie dostaniecie dobre mięso.

- Ale syn adwokata Wakema to garbus- zauważyła pani Pullet, dla której cała sprawa miała aspekt pogrzebowy. - To oczywiste, że trzeba posyłać go do pastora.
- Tak - dodał pan Glegg, mylnie interpretując uwagę pani Pullet. - Powinien to szwagier wziąć pod uwagę. Syn Wakema nie pójdzie do żadnego zawodu. Wakem zrobi z tego biedaka dżentelmena.
- Mój panie - rzekła pani Glegg tonem, który wskazywał, że jej oburzenie próbuje się wydobyć z sykiem, chociaż ona postanowiła je w sobie zdusić. - Mój panie, zamilczałbyś lepiej. Pan Tulliver nie potrzebuje ani twojej, ani mojej rady. Są na tym świecie ludzie, którzy wszystko wiedzą lepiej.
- Cóż, jeżeli tak jest, to myślę, że o szwagierce mowa - odparł pan Tulliver, w którym znowu zaczął wzbierać gniew.
- Och, ja nic nie mówię - odparła sarkastycznie pani Glegg. - Mnie się nigdy nie pyta o zdanie, toteż chowam je dla siebie.
- Chyba pierwszy raz - stwierdził pan Tulliver. - Jedyna rzecz, jaką szwagierka chętnie daje innym, to swoje rady.
- Jeżeli niechętnie dają, to w każdym razie chętnie pożyczam. Są tacy, którym pożyczalam pieniądze, chociaż może będę jeszcze żałować, że pożyczalam rodzinie.
- Dajcie pokój - uspokajał ich pan Glegg, ale nic nie mogło Powstrzymać młynarza od odpowiedzi.
- Ma szwagierka obligację, o ile dobrze pamiętam, i bierze szwagierka pięć procent, rodzina nie rodzina.
- Janko - błagała pani Tulliver - wypij wino i pozwól, niech ci nałożę trochę bakalii.

KSIĘGA PIERWSZA

84

- Wstyd mi za ciebie, Bessy. - Pani Glegg zachowała się teraz jak kundel, który wykorzystuje sposobność, by zwrócić swą wściekłość na kogoś, kto nie ma kija. - Po co to gadanie o bakaliach?
- Nie bądźże taka kłótniwa, Janko - pani Pullet zaczęła popłakiwać. - Możesz dostać ataku, taka jesteś czerwona na twarzy i to zaraz po obiedzie, a myśmy przecież dopiero co skończyły żałobę, wszystkie jak tu jesteśmy, i już odłożyłyśmy żałobne suknie. To niedobrze tak między siostrami.
- Pewno, że niedobrze! - odparła pani Glegg. - Do pięknych rzeczy doszło! Jedna siostra zaprasza drugą do swojego domu po to, żeby się z nią kłócić i żeby ją obrażać.
- Spokojnie, Janko, spokojnie, bądź rozsądna- prosił pan Glegg. Ale gdy mówił, pan Tulliver, który nie wylał jeszcze wszystkiej swojej złości, wybuchnął znowu:
- A kto chce się kłócić ze szwagierką? To szwagierka nie może zostawić ludzi w spokoju, tylko ciągle im musi dogryzać. Ja nigdy bym się nie kłócił z kobietą, która by się umiała zachować jak należy.
- Jak należy! - zakrzyknęła pani Glegg, dobywając z gardła coraz ostrzejszych tonów. - Lepsi od ciebie, mój panie, co już dawno pomarli, odnosili się do mnie z większym szacunkiem niż ty, choć przecież mam męża, który siedzi tu i patrzy, jak mnie obrażają. Nigdy by do tego nie doszło, gdyby w naszej rodzinie nie znalazły się takie, co wyszły za mąż gorzej, niż im się nadarzało.
- Jeśli o tym mowa - zawołał pan Tulliver - to moja rodzina jest równie dobra jak wasza, a nawet lepsza, bo nie ma w niej takiej przeklętej złośliwej baby!
- Doskonale- rzekła pani Glegg podnosząc się z krzesła. - Ty, mężu, uważasz pewnie za właściwe tkwić tu i słuchać, jak pan Tulliver mi wymyśla, ale ja nie zamierzam pozostać w tym domu ani minuty dłużej. Możesz sobie tu siedzieć i wrócić gigiem - ja pójdę pieszo.
- Mój Boże, mój Boże! - powtarzał pan Glegg melancholijnie, wychodząc za żoną z pokoju.

- Jak mogłeś tak się odezwać! - wołała pani Tulliver do męża ze łzami.

ROZDZIAŁ VII

85

- A niech sobie idzie - odparł młynarz, zbyt rozgorączkowany, by go mogły ostudzić nawet najobfitsze łzy. - Niech sobie idzie, im szybciej, tym lepiej. Nigdy już więcej nie będzie próbowała mną komenderować!

- Zosiu- prosiła nieszczęsna pani Tulliver. - Czy myślisz, że to coś da, jeśli pójdziesz za nią i spróbujesz ją ułagodzić?

- Lepiej nie, lepiej nie - radził pan Deane. - Załatwi to szwagierka kiedy indziej.

- Wobec tego, siostry, może pójdziemy spojrzeć na dzieci? - zaproponowała pani Tulliver ocierając łzy.

Żadna propozycja nie mogła przyjść bardziej w porę. Kiedy kobiety wyszły z pokoju, Tulliver miał wrażenie, że powietrze zostało oczyszczone z natrętnych much. Niewiele było rzeczy, które by mu sprawiały przyjemność większą nad gawędę z panem Deane, a że szwagra pochłaniały interesy, przyjemność ta była dość rzadka. Młynarz uważał go za jednego z najbardziej "wtajemniczonych" ludzi spośród swoich znajomych. Poza tym pan Deane miał bardzo złośliwy język, co stanowiło miłe uzupełnienie podobnych skłonności młynarza, którym nigdy nie umiał dać wyrazu. Teraz, kiedy kobiety wyszły, mogli ciągnąć poważną rozmowę, bez żadnych tam płochych babskich gadań. Mogli wymienić poglądy na temat księcia Wellingtona, którego postępowanie w Sprawie Katolickiej rzuciło całkowicie nowe światło na jego charakter i wyrażać się krytycznie o jego decyzjach w bitwie pod Waterloo³⁷, której nigdy by nie wygrał, gdyby nie stało za

31 Artur Wellesley, pierwszy Książę Wellington (1769-1852) - naczelny dowódca armii angielskiej podczas wojen napoleońskich, zwycięzca spod Waterloo, potem polityk i premier w l. 1828-1830, zrazu przeciwny przyznaniu praw politycznych katolikom irlandzkim, wobec groźby powstania-? przeprowadził przez parlament ustawę na rzecz tych praw w maju -?

Rozmowa młynarza ze szwagrem odbywa się kilka tygodni wcześniej, w atmosferze znacznego podniecenia towarzyszącego temu wydarzeniu. Spółrelacjonowanie rozmowy przez narratora ośmiesza wsteczność i brak wiedzy politycznej obu mężczyzn. Równocześnie zaznaczona jest jednak różnica między nimi: pesymizmowi Tullivera, który nie potrafi dostosować się do zmieniających się około r. 1830 warunków socjoekonomicznych, przeciwstawiony jest optymizm Deane'a, spoglądającego z nadzieją w przyszłość, dzięki sukcesom odnoszonym w interesach.

KSIĘGA PIERWSZA

86

nim tyłu Anglików, nie mówiąc już o -? Bliicherze i Prusakach, którzy, jak to słyszał pan Tulliver od kogoś doskonale obeznanego ze sprawą, przyszli w samą porę. Tu jednak różnili się nieco, pan Deane bowiem nie przywiązywał wielkiej wagi do Prusaków i miał o nich niedobłą opinię, a to ze względu na sposób, w jaki budują statki, i na bardzo niezadowolające transakcje (chodziło o gdańskie piwo). Pogębiony w tej materii pan Tulliver zaczął wyrażać obawy, że kraj już nigdy nie będzie tym, czym był dawniej, lecz pan Deane, związany z firmą, której dochody szły w górę, miał bardziej optymistyczny pogląd na rzeczywistość. Podał też kilka szczegółów obrazujących stan importu, zwłaszcza w zakresie skór i cynku, czym uspokoił nieco wyobraźnię pana Tullivera, kierując ją ku dalszej przyszłości, kiedy to kraj zostanie zdany całkowicie na pastwę papistów i radykałów i nie będzie już w nim miejsca dla uczciwych ludzi.

Wuj Pullet siedział sobie w kąciku i mrugając oczyma słuchał rozmowy o tych skomplikowanych sprawach. Nie znał się na polityce; uważał, że trzeba mieć do tego

wrodzone zdolności, ale z tego, co pojął, wywnioskował, że księżę Wellington nie był znowu nikim nadzwyczajnym.

ROZDZIAŁ VIII

PAN TULLIVER UKAZUJE PIĘTĘ ACHILLESOWĄ³⁸

- Przypuśćmy, że siostra Glegg zechce odebrać swoje pieniądze ... Trudno ci przyjdzie zebrać teraz pięćset funtów - zwrócił się tego wieczoru pani Tulliver do męża, melancholijnie rozpamiętując minione wypadki.

38pięta achillesowa - czyjaś słaba strona (w oryginale użyte jest właśnie to wyrażenie).

ROZDZIAŁ VIII

87

Choć pani Tulliver była już trzynaście lat po ślubie, zachowała całą swoją świeżość z pierwszych lat pożycia małżeńskiego, między innymi zaś niezwykłą łatwość mówienia rzeczy, które doprowadzały męża do wprost przeciwnych wniosków, niż zamierzała mu podsunąć. Niektórzy ludzie potrafią zachować w ten znakomity sposób swą młodość - podobnie jak podstarzała złota rybka, która do końca ulega złudzeniom, że potrafi przepłynąć w linii prostej na drugą stronę otaczającego ją szkła. Pani Tulliver była taką właśnie rozkoszną rybką i choć od trzynastu lat waliła głową w oporną ścianę, robiła to dzisiaj znowu z nie słabnącą ochotą.

Uwaga jej natychmiast ugruntowała pana Tullivera w przekonaniu, że wcale mu nie będzie trudno zebrać pięćset funtów. Kiedy zaś żona zaczęła się uparcie dopytywać, jak on to robi, nie dając zastawu hipotecznego na dom i młyn, bo ludzie dzisiaj nie pchają się z pożyczką bez zabezpieczenia, a przecież mówił, że nigdy nie zaciągnie długu na hipotekę, pan Tulliver, coraz bardziej zdenerwowany, oświadczył, że bez względu na to, czy pani Glegg zechce wycofać swoje pieniądze, czy nie, on je jednak zwróci. Nie ma zamiaru utrzymywać zobowiązań w stosunku do swoich szwagierek. Jak się człowiek wżenił w taką kupę bab, to mógłby tak chylić łeb pod jarzmem bez końca, gdyby chciał. Ale pan Tulliver nie chciał. Wkładając nocny czepeczek, młynarzowa popłakiwała z cicha, szybko jednak zapadła w pokrępiący sen, ukojona myślą, że jutro obgada wszystko z Pulletową, która ją zaprosiła z dziećmi do Garum Firs na herbatę. Nie przypuszczała, by rozmowa ta miała przynieść jakieś rozwiązanie problemu, ale uważała, że minione wypadki nie mogą pozostać nieporuszone pod wpływem wspólnych nad nimi ubolewań.

Mąż jej dłużej walczył z bezsennością, gdyż i on rozmyślał o pewnej wizycie, którą miał odbyć następnego dnia, a jego przewidywania nie były tak kojące i ogólnikowe, jak myśli jego zacnej towarzyszki życia.

Pan Tulliver pod wpływem silnych namiętności postępował bardzo Pospiesznie, co było na pozór niezgodne z jego smutnym przekona-

13 BN H/234 G. Eliot: Młyn nad Flossą

88 KSIĘGA PIERWSZA

niem o skomplikowanej zagadkowości spraw tego świata, o czym pamiętał w chwilach mniejszego rozgorączkowania. Jest jednak dość prawdopodobne, że między tymi dwoma pozornie sprzecznymi zjawiskami istniał bezpośredni związek, zauważyłem bowiem, że jeśli się chce utwierdzić w przekonaniu, iż motek nici jest splątany, najlepiej pociągnąć gwałtownie za pojedynczą nitkę. Ten właśnie pośpiech kazał panu Tulliver wsiąść na konia następnego dnia zaraz po obiedzie (młynarz nie znał, co to niestrawność) i ruszyć do Basset, do pani Moss i jej męża. Postanowiwszy bowiem nieodwołalnie, że odda pani Glegg pożyczone pięćset funtów, przypomniał sobie, że ma Wechsel na trzysta funtów, które pożyczył szwagrowi Moss, i jeśli ów szwagier potrafi spłacić dług w określonym terminie, zmniejszy tym mylnie przekonanie o niewłaściwości śmiałego kroku pana Tullivera, przekonanie, w jakim tkwili ludzie słabego umysłu, którzy chcieli najpierw wiedzieć, jak coś trzeba zrobić, nim nabrali pewności, że to łatwe.

Pan Tulliver bowiem -? znajdował się w sytuacji ani oryginalnej, ani nowej, która, jak wszystko, co powszednie, przynosiła po pewnym czasie skumulowany efekt - a mianowicie, uważano go za człowieka o wiele bardziej majątnego, niż był w rzeczywistości. A że lubimy wierzyć w to, co świat o nas myśli, pan Tulliver patrzył na ludzkie upadki i ruiny z tym samym odległym współczuciem, z jakim szczupły mężczyzna o długiej szyi dowiaduje się o ataku apopleksji, któremu uległ jego rumiany, nalany sąsiad. Często zwykł słuchać miłych dowcipów na temat zamożności człowieka, który prowadzi swój własny młyn i ma kawałek ziemi na dodatek. Oczywiście dowcipy te podtrzymywały w nim przekonanie, że jest człowiekiem o poważnych zasobach. Dodawało to przyjemnego posmaku winu, które wypijał w dni targowe, toteż gdyby nie powtarzająca się systematycznie co pół roku konieczność płacenia odsetek, pan Tulliver chętnie zapomniałby o dwóch tysiącach pożyczki, którą zaciągnął na hipotekę swojej tak bardzo ponętnej nieruchomości. Nie był jednak temu winien, jeden tysiąc bowiem poszedł na spłatę siostry, kiedy wychodziła za mąż; poza tym człowiek, który ma sąsiadów pragnących się z nim proceso-

ROZDZIAŁ VIII

89

wać, nie bardzo może spłacać długi hipoteczne, zwłaszcza jeśli cieszy się dobrą opinią wśród obywateli, a oni proszą go czasem o sto funtów pożyczki i dają zbyt wzniosłe gwarancje, by je można było spisywać na pergaminie. Nasz przyjaciel Tulliver był człowiekiem poczciwym i nie lubił odmawiać nawet własnej siostrze, która nie tylko przyszła na świat - można by powiedzieć - zbyt wcześnie, tak jak to bywa z siostrami, stwarzając w ten sposób konieczność zaciągnięcia długu hipotecznego, ale zmarnowała się zupełnie w małżeństwie, koronując swe błędy ósmym dzieckiem. W tym punkcie pan Tulliver świadom był swojej słabości, ale tłumaczył się przed samym sobą, że Gritty, biedaczka, była wcale ładną dziewczuchą, nim wyszła za tego Mossa; mówił to czasem nawet z lekkim drżeniem w głosie. Tego jednak ranka znajdował się w nastroju właściwszym człowiekowi interesu, jechał bowiem po drogach o wyjeżdżonych głęboko koleinach, przez Basset, parafię tak daleko leżącą od miasteczka targowego i o tak jałowej ziemi, że nie opłacało się prawie wozić tu ziarna i nawozów, a ta jazda wzbudziła w nim należyłą złość na Mossa, człowieka, który nie miał ani pensa kapitału, a do którego zawsze lgnęła zaraza i pomór. Jak mu się pomogło wydobyć z topieli, to się jeszcze zaraz głębiej pograżał. Więcej mu przyjdzie dobrego niż złego, jeśli będzie musiał zebrać te trzy setki. Może zacznie lepiej chodzić koło swych spraw i może nie zrobi w tym roku takiego szaleństwa z wełną, jak w zeszłym. Prawdę mówiąc, pan Tulliver zbyt miękko postępował ze szwagrem; przez dwa lata nie brał od niego procentów i Moss, być może, wyobraża sobie teraz, że nie potrzebuje się kłopotać o zwrot kapitału. Pan Tulliver postanowił jednak nie pomagać dłużej niedołęgom, a jazda po drogach oasset nie osłabia takich postanowień, bo nie dodaje jeźdźcowi -? humoru. Głębokie ślady kopyt końskich, pozostałe tu z błotnistych zimowych dni, sprawiały, że jeździec co pewien czas odczuwał mocny 'strząs, który dobywał zeń ostre i roznamiętniające warknięcie na twórcę adwokatów, który za pośrednictwem swych kopyt czy czegoś tam musiał mieć wpływ na stan owych dróg. Szeroka przestrzeń otwistych pól i rozwalające się ogrodzenia, na które padał wzrok młynarza, ogromnie wzmagaly złość na nieszczęsnego szwagra, choć

13

90 KSIĘGA PIERWSZA

przecież nie były to jeszcze jego grunty³⁹. Ale jeżeli nawet to nie były ugory Mossa, to niczym się od jego ziem nie różniły; całe Basset było takie samo, ot, żebracka parafia, według nie pozbawionej podstaw opinii pana Tullivera. Basset miało ubogą ziemię, ubogie drożyny, ubogiego, nie mieszkającego tu właściciela, ubogiego i nie mieszkającego tu plebana i chyba mniej niż połowę wikarego, również bardzo biednego. Jeśli ktoś, kto wierzy, iż istota ludzka zdolna jest siłą ducha zatriumfować nad warunkami zewnętrznymi, będzie utrzymywał, że

mieszkańcy Basset mimo wszystko mogliby się stać zespołem wybrednych umysłów, to ja nie mam argumentów przeciwko tak teoretycznemu twierdzeniu. Wiem tylko, zupełnie konkretnie, że charakter mieszkańców Basset w pełni odzwierciedlał warunki, w jakich żyli. Grząskie, trawiaste lub gliniaste drogi, które, mogło się zdawać nieprzywykłym oczom, prowadziły do nikąd, może tylko do siebie nawzajem, w rzeczywistości dążyły cierpliwie do odległego gościńca; większość jednak dróg w Basset wiodła w innym kierunku, mianowicie do centrum rozpusty, zwanego dawniej oberżą "Pod Markizem Granby", a teraz przez częstych bywalców nazwanego "Gospodą Dickisona". Obszerną, niską izbę, wysypaną piaskiem, zalegała stęchła woń dymu tytoniowego, złagodzona zapachem zlewek piwa, a pan Dickison, oparty o framugę drzwi, z twarzą smutną i zapryszczoną tak pasował do słonecznego światła, jak ogarek wczorajszej świeczki! Wszystko to, aczkolwiek z pozoru mało pociągające, kusiło fatalnie większość mężczyzn, zwłaszcza w wietrzne popołudnia koło godziny czwartej, kiedy znaleźli się w pobliżu gospody. Jeśli żona gospodarza z Basset chciała dowodnie przekonać kogoś, że mąż jej nie jest człowiekiem żadnym rozrywek, mówiła, że nie wydaje u Dickisona ani szylinga przez cały okrągły rok. Niejednokrotnie powtarzała to pani Moss, kiedy pan Tulliver był skłonny doszukiwać się wad u szwagra, tak na przykład jak dzisiaj. Nic zaś nie mogło gorzej

39 Jak większość farmerów angielskich w tym okresie, szwagier młynarza jest dzierżawcą uprawianej przez siebie ziemi i sytuację jego utrudnia niechęć dziedzica do inwestowania w majątek stosownie do potrzeb.

ROZDZIAŁ VIII

91

wpłynąć na stan ducha młynarza, niż zachowanie się bramy, którą próbował otworzyć pejczem, a która odpowiedziała na to tak, jak zwykły odpowiadać bramy o jednym tylko, dolnym zawiasie: uderzeniem na zgubę goleni, wszystko jedno czy końskich, czy ludzkich. Pan Tulliver chciał właśnie zejść i przeprowadzić konia przez wilgotne, brudne i zapadnięte podwórze, ocienione ponuro wielkimi, do połowy z bali wzniesionymi budynkami, i dojść do długiego szeregu rozwalających się domków mieszkalnych, stojących na wzniesieniu, tymczasem jednak, w samą porę, ukazał się pastuch, który pozwolił mu nie rezygnować z powziętego uprzednio planu i nie schodzić z konia przez cały czas wizyty. Jeśli człowiek chce powiedzieć coś twardo, niech lepiej siedzi w siodle i mówi z góry, spoglądając na wysoki horyzont, wyżej, niż te błagalne oczy. Pani Moss usłyszała stukot kopyt końskich i, kiedy brat podjeżdżał, wybiegła przed kuchnię z twarzą rozjaśnioną zmęczonym uśmiechem. Na rękach trzymała czarnookie dziecko. W rysach pani Moss można się było dopatrzeć śladów podobieństwa do brata, lecz tłusta rączka dziecka, którą przytulała do policzka, podkreślała tylko jego bladeść.

- Jak się cieszę, że przyjechałeś - witała serdecznie młynarza. Nie spodziewałam się dzisiaj ciebie. Jak się miewasz?

- Nieźle, nieźle, siostró ... wcale nieźle - odparł chłodno i powściągliwie, jakby to pytanie było zbytnią śmiałością z jej strony. Poznała od razu, że jest w złym humorze, nigdy nie mówił do niej "siostró", chyba tylko jeśli się złościł lub kiedy byli w towarzystwie. Przyjęła jednak za rzecz zgodną z porządkiem natury, iż biedni muszą być gorzej traktowani. Ta cierpliwa, płodna kobieta o kochającym sercu nie uważała wcale, że wszyscy ludzie są równi.

- Pewno twojego męża nie ma w domu? - zapytał Tulliver po chwili ponurego milczenia, podczas której z budynku wybiegło czworo dzieci, niby kurczęta, których matka znalazła się nagle poza kurnikiem.

- Nie ma go tu, jest tam, na kartoflisku. Synku! Leć na pole, ale szybko, i powiedz ojcu, że wujaszek przyjechał. Zsiądziesz chyba, bracie, i coś przekąsisz?

KSIĘGA PIERWSZA

92

- Nie, nie mogę zejść z konia, muszę zaraz wracać do domu - odparł pan Tulliver patrząc przed siebie.

- A jak się ma bratowa i dzieci? - zapytała pokornie pani Moss nie śmiać nalegać.

- O ... nieźle, nieźle. Tomek od świętego Jana idzie do nowej szkoły - będę miał wielki wydatek. Bardzo mi to nie na rękę, bo miałem duże straty.

- Gdybyś był tak łaskaw i pozwolił dzieciom przyjechać kiedyś do kuzynów! Moi malcy tak już tęsknią do Madzi, jak mało kto. A ja jestem jej chrzestną i tak ją kocham ... Nikt jej nie będzie bardziej dogadzał ... no, pewno, według stawu grobla. Ale wiem, że lubi do nas przyjeżdżać, bo to dobre, kochające dziecko, a jaka ona bystra i mądra!

Gdyby pani Moss była najprzebieglejszą na świecie kobietą, a nie, jak w rzeczywistości, najbardziej prostoduszną, nie mogłaby wymyślić nic lepszego nad pochwałę Madzi, by ułagodzić brata. Rzadko znajdował się ktoś, kto z własnej woli powiedział o małej dobre słowo; pochwała jej cnót pozostawała zwykle ojcu. Ciocia Moss jednak widziała zawsze Madzie w najlepszym świetle, dla Madzi zaś dom ciotki był Alzacją⁴⁰, gdzie dziewczynka znajdowała się poza zasięgiem prawa. U ciotki Moss jakaś szkoda wyrządzona w domu, brudne buciki czy podarta sukienka były najzwyczajszą sprawą. Mimo woli więc oczy pana Tullivera złagodniały, gdy mówił, nie odwracając już wzroku od siostry:

- Tak, tak, ona cię najbardziej kocha z wszystkich ciotek. Wdała się w naszą rodzinę, nic w niej nie znajdziesz z Dodsonów.

- Mój mąż powiada, że ona jest kubek w kubek jak ja kiedyś - stwierdziła pani Moss- chociaż ja nie byłam nigdy taka bystra i nie lubiłam książek. Ale wydaje mi się, że moja Lizzy jest do niej podobna

⁴⁰ Alzacją w żargonie londyńskim nazywano zakątek miasta przy dawnym klasztorze karmelitów, gdzie od średniowiecza aż do r. 1697 - a więc przeszło półtora wieku po kasacji klasztorów w Anglii - przestępcy nie podlegali aresztowaniu.

ROZDZIAŁ VIII

93

- tej też rozumu nie brak. Chodź no tu, Lizzy, kochanie, pokaż się wujkowi. Nie wiem, czy cię pozna, tak wyrosłaś.

Lizzy, siedmioletnia, czarnooka dziewczynka, spoglądała nieśmiało, kiedy matka wypchnęła ją naprzód, gdyż wujek z młyna Dorlcote zawsze przejmował tutejsze dzieci grozą. Miała o tyle mniej od Madzi ognia i wyrazu, że podobieństwo obu dziewczynek mogło mile połechtąć ojcowską próżność pana Tullivera.

- Tak, są trochę podobne - rzekł spoglądając dobrotliwie na małą figurkę w ubrudzonym fartuszk. - Obie wdały się w naszą matkę. Sporo masz tych córek, Gritty - dodał tonem, w którym współczucie mieszało się z wyrzutem.

- Cztery, niech im Pan Bóg da zdrowie - odparła z westchnieniem pani Moss, szesując ręką włosy z czoła dziewczynki. - Tyle samo, co i chłopaków. Każda ma po jednym bracie.

- Tak, ale powinny się wziąć za siebie i same dbać o swoje interesy. - Pan Tulliver czuł, że surowość jego słabnie, i chciał wzmocnić ją nieco tą zdrową uwagą. - Nie powinny myśleć, że ciągle będą braciom ciężarem.

- Pewno, ale mam nadzieję, że bracia będą kochali niebożatka i nie zapomną, że są od jednej matki i ojca; chłopcy nigdy przez to nie zbiednieją - zdobyła się pani Moss na ostatni wysiłek, spieszny i lękliwy, jak dogasający płomień.

Pan Tulliver, trzepnął konia po zadzie, a potem ściągnął wodze i powiedział ze złością: - Stój, hola! - ku niemałemu zdumieniu niewinnego zwierzęcia.

- A im większa rodzina, tym bardziej musi się kochać - ciągnęła dydaktycznie pani Moss, spoglądając na dzieci. Lecz po chwili znów zwróciła się do brata: - A i to samo będzie, mam nadzieję, z twoim

chłopakiem. Zawsze będzie kochał Madzię, chociaż jest ich tylko dwoje, jak i nas było.

Strzała trafiła prosto w serce pana Tullivera. Wyobraźnia jego nie była szczególnie bujna, ale że myśl o córce nigdy go nie opuszczała szybko dostrzegł podobieństwo między stosunkiem swoim i siostry, a stosunkiem Tomka i Madzi. Czy zdarzy się kiedyś, że jego

KSIĘGA PIERWSZA

94

mała pójdzie w świat bez pieniędzy, a Tomek nie okaże jej serca?

- Tak, tak, Gritty - odezwał się, a w głosie jego dźwięczała teraz jakaś miękkość. - Ale ja zawsze robiłem dla ciebie wszystko, co mogłem - dodał, jakby się bronił przed czymś zarzutem.

- Wcale temu, bracie, nie przeczę i zawsze ci jestem wdzięczna

- odparła biedna pani Moss, zbyt umęczona pracą i dziećmi, by jej starczało jeszcze siły na dumę. - Ale jest już ojciec. Cóż tak cię długo nie było?

- Długo? - obraził się zadyszany pan Moss. - Biegłem przez całą drogę. Nie zsiądziesz, szwagrze?

- Owszem, chciałbym pójść z tobą do ogrodu ma małą rozmówkę

- rzekł pan Tulliver myśląc, że może wykaże większą stanowczość, kiedy siostry przy nim nie będzie.

Zsiadł więc z konia i poszedł z panem Moss do ogrodu, ku altance pod cisem, pani Moss zaś stała i patrzyła za nimi w zamyśleniu, poklepując dziecko po plecach.

Wejście mężczyzn do altanki spłoszyło kilka kur, które dotąd dla rozrywki wygrzebywały głębokie dziury w suchej ziemi, a teraz spłoszone uciekły z gładaniem. Pan Tulliver usiadł na ławce i postukując pejczem w ziemię tu i ówdzie, jakby był ciekaw, czy się czasem nie zapadnie, zaczął rozmowę tonem, który zabrzmiał jak warknięcie:

- Widzę, że znów posiałeś pszenicę na tym samym polu i znowu nie podsypałeś nawozu. Nic ci z niej nie przyjdzie w tym roku.

Kiedy pan Moss żenił się z panną Tulliver, uważano go za największego dandysa w Basset, teraz zaś miał co najmniej tygodniowy zarost i przypominał zgnębnego, zubożniałego konia pociągowego. Odpowiedział głosem, w którym cierpliwość mieszała się z utyskiwaniem.

- Biedak robi to, na co go stać. Nawozić ziemię mogą ludzie, którzy mają pieniądze i mogą sobie pozwolić, żeby wsadzić w ziemię połowę zysku, jaki chcą z niej wyciągnąć.

- A ja się zastanawiam, czy to nie tacy mają pieniądze, co pożyczają i nie płacą procentów - rzekł pan Tulliver, który pragnął

ROZDZIAŁ VIII

95

zapoczątkować małą kłótnię, jest to bowiem najlepszy i najnaturalniejszy wstęp do zażądania zwrotu pieniędzy.

- Wiem, że ci zalegam z procentami - odpowiedział pan Moss - ale takiego miałem w zeszłym roku pecha z wełną, a jeszcze do tego żona mi chorowała, więc trudniej nam było niż zwykle.

- Tak - warknął pan Tulliver - są ludzie, którym zawsze trudno, pusty worek nigdy nie stanie prosto.

- Nie wiem, co mi szwagier może zarzucić - rzekł błagalnie pan Moss. - Żaden robotnik dniówkowy nie haruje ciężiej niż ja.

- No i co z tego przyjdzie? - zapytał ostro młynarz. - Co z tego przyjdzie, jeśli się ożeniło nie mając własnego złamanego szeląga, tylko ten żoniny posag na ruszenie gospodarki z miejsca? Od początku się temu sprzeciwiałem, ale ani jedno, ani drugie nie chciało mnie słuchać. Nie mogę już dłużej wykladać pieniędzy, muszę spłacić pięćset funtów pani Glegg i będę miał wielkie wydatki na Tomka - i tak mi zabraknie, nawet jak odbiorę wszystko, co moje. Musicie się rozejrzeć i pomyśleć, jak mi oddać te trzysta funtów.

- Jeśli o to szwagrowi idzie - odparł pan Moss patrząc przed siebie pustym wzrokiem - to lepiej, żeby nas od razu wyprzedali. Gdybym miał spłacić szwagra i pokryć czynsz dzierżawny, musiałbym wyprzedać wszystko nasze bydło, do ostatniej sztuki.

Ubodzy krewni są bardzo denerwujący, co do tego nie ma dwóch zdań; przyszli na ten świat nieproszeni, a poza tym mają na ogół ogromnie dużo wad. Panu Tulliver udało się rozczłochać na szwagra tak, jak tego uprzednio pragnął, mógł więc teraz wstać z ławki i powiedzieć gniewnie:

- Cóż, rób, jak chcesz. Ja nie mogę zarabiać na wszystkich. Muszę pilnować własnych interesów. Nie mogę dłużej pożyczać wam Pieniędzy. Musisz je zdobyć dla mnie jak najszybciej.

Po ostatnich słowach pan Tulliver spiesznie wyszedł z altanki i, nie odwracając się i nie patrząc na szwagra, podszedł do drzwi kuchennych, gdzie najstarszy chłopiec trzymał jego konia. Pani Moss tymczasem czekała, w zdumieniu i przerażeniu, łagodnym od czasu do czasu, gdy dziecko, wydając miłe, gulgotliwe dźwięki, przesuwało

96 KSIĘGA PIERWSZA

paluszkami po zwiędłej matczynej twarzy. Pani Moss miała ośmioro dzieci, ale nigdy nie otrząsnęła się z żalu po zmarłych bliźniętach. Pan Moss uważał jednak, że w ich odejściu można było znaleźć pewną pociechę.

- Nie wejdiesz do środka? - zapytała brata, spoglądając niespokojnie na męża, który wolno szedł ku domowi, podczas gdy pan Tulliver wkładał już nogę w strzemię.

- Nie. Do widzenia - odparł zawracając konia i odjeżdżając. Póki nie znalazł się za bramą i nie ujechał kawałka drogi

po wyjeżdżonych koleinach, trwał zdecydowanie w swym postanowieniu, kiedy jednak znalazł się na zakręcie, który miał skryć mu przed oczyma rozsypujące się budynki gospodarze, uderzyła go nagle pewna myśl. Ściągnął konia i kazał mu stać przez dwie czy trzy minuty, podczas gdy sam kręcił melancholijnie głową, jakby oglądał z kilku stron coś bardzo nieprzyjemnego. Widać było, że po pierwszym etapie spieszych działań pan Tulliver wraca do przekonania, iż ten świat jest bardzo osobliwy. Zawrócił konia i ruszył wolno, wyrażając w głośnym okrzyku najmocniejsze uczucie, jakie go do owego powrotu nakłoniło:

- Biedna mała! Jak umrę, nie będzie miała pewno nikogo oprócz Tomka! - Po czym popędził konia.

Gromada dzieci widząc, że pan Tulliver ponownie wjeżdża na podwórze, zaniósł natychmiast z krzykiem tę niesłychaną wiadomość matce, tak więc, kiedy brat podjechał, pani Moss stała znowu w progu. Płakała, ale kołysała przy tym w ramionach dziecko do snu i kiedy brat spojrział na nią, nie okazywała ostentacyjnie swego bólu, lecz powiedziała tylko:

- Ojciec poszedł z powrotem na pole, jeśli go szukasz.

- Nie, Gritty - odparł łagodnie pan Tulliver. - Nie martw się, tyle ... Poradzę sobie jakoś bez tych pieniędzy ... ale bądź mądra i zaradna, jak tylko możesz.

Na tę niespodziewaną dobroć pani Moss znowu zalała się łzami i nie mogła wymówić ani słowa.

- Już dobrze, cicho ... Moja mała przyjedzie tu do ciebie. Przywiozę ją tutaj i Tomka, nim pójdzie do szkoły. Nie martw się.- - zawsze będę dla ciebie dobrym bratem ...

ROZDZIAŁ IX

97

- Dziękuję ci za te słowa - pani Moss otarła łzy, a potem zwróciła się do Lizzy: - Biegnij i przynieś to malowane jajko dla kuzynki Madzi. - Lizzy pobiegła, a po chwili wróciła z małą paczuszką owiniętą w papier.

- Jest gotowane na twardo i pokolorowane włóczką, bardzo ładnie, specjalnie dla Madzi. Bądź tak dobry i zabierz je ze sobą.

- Dobrze, dobrze - odparł pan Tulliver, chowając ostrożnie jajko w bocznej kieszeni. - Do widzenia.

Tak więc poczciwy młynarz powrócił znowu na drogi Basset, jeszcze intensywniej niż przedtem głowiąc się nad zawiłością tego świata, lecz również w poczuciu, iż uniknął niebezpieczeństwa. Przyszło mu bowiem do głowy, że jego bezwzględność wobec siostry może w jakiś sposób wpłynąć w przyszłości na Tomka i ten zachowa się podobnie w stosunku do Madzi, kiedy nie będzie już ojca, który by stanął po jej stronie. Ludzie prości, tacy jak nasz przyjaciel Tulliver, potrafią uczucia bez skazy odziewać w szaty mylnych pojęć i młynarz w ten właśnie zawiły sposób wytłumaczył sobie, że miłość i niepokój o "małą" obudziły w nim na nowo czułość dla siostry.

ROZDZIAŁ IX

WYJAZD DO GARUM FIRS

Gdy ojciec Madzi wyobrażał sobie, jakie kłopoty mogą na nią spaść w przyszłości, dziewczynka kosztowała tymczasem goryczy dnia dzisiejszego. Dzieciństwo nie zna złych przeczuć, lecz jednocześnie nie może szukać pociechy w pamięci minionych smutków.

Rzecz w tym, że dzień źle się zaczął dla Madzi. Już o jedenastej radosna myśl o przebywaniu z Lucy i wizja popołudniowych odwiedzin w Garum Firs, gdzie usłyszysz grającą tabakierkę wuja Pullet, zmałona została przybyciem fryzjera z St. Ogg's, który bardzo surowo

KSIĘGA PIERWSZA

98

ocenił stan, w jakim znalazł jej włosy. Podnosił obcięte nierówno kosmyki jeden po drugim i mówił: - Proszę spojrzeć, no, no! - tonem, w którym litość mieszała się z niesmakiem, co w pojęciu Madzi równało się wyrażeniu publicznego potępienia. Fryzjer, pan Rappit, miał niezwykle grubo wypomadowane włosy, zaczesane faliście ku górze, jak piramida płomienia z brązu w jakiejś monumentalnej urnie. Wydawał się Madzi w tej chwili najbardziej przerażającym człowiekiem spośród wszystkich jej współczesnych i miała zamiar do końca życia pilnie unikać ulicy, na której mieszkał w St. Ogg's. Ponadto, jako że przygotowania do wizyty były zawsze w rodzinie Dodsonów sprawą poważną, przykazano Marcie, by posprzątała pokój pani Tulliver o godzinę wcześniej niż zwykle, tak aby nie odwlekać do ostatniej chwili wyjmowania odświętnych sukien z szaf. Tego rodzaju niedbalstwo zdarza się czasem w rodzinach mniej zdyscyplinowanych, gdzie nie zwija się nigdy wstążek od kapeluszy, gdzie niewiele albo i żadnych zgoła rzeczy nie owija się w srebrny papier i gdzie uważa się za sprawę normalną i nie wywołującą najmniejszego wstrząsu, iż po niedzielne ubranie można łatwo sięgnąć.

O godzinie dwunastej pani Tulliver miała już na sobie strój wizytowy, a na nim pokrowiec z brązowego holenderskiego płótna, jakby była krzesłem wyściełanym aksamitem, któremu grożą muchy. Madzia marszczyła się i kręciła ramionami, bo drapał ją niezwykle szorstki staniczek, matka zaś napominała ją ciągle: "Nie ruszaj ramionami, Madziu, kochanie, tak się tym strasznie oszpecasz". Policzki Tomka świeciły dziś bardziej niż zwykle przez kontrast z najlepszym niebieskim ubrankiem, które nosił z należytym spokojem, osiągnąwszy po krótkiej utarczce z matką to, co było dlań najważniejszą sprawą w toalecie - mianowicie zgodę na przeniesienie do niebieskiego ubranka zawartości kieszeni codziennych spodni. Lucy zaś była ładna i schludna, jak i wczoraj; nigdy nic złego nie przydarzało się jej sukienkom, nigdy też nie czuła się w nich nieswojo, toteż patrzyła ze zdziwieniem i współczuciem na odęte wargi Madzi i jej dziwne ruchy pod tym nieznośnym staniczkiem. Z pewnością Madzia byłaby go zdarła, gdyby nie powstrzymywała jej od tego

ROZDZIAŁ IX

99

pamięć upokarzającej historii z włosami. Wobec tego zadowolili się narzekaniem i wierceniem oraz złym humorem przy budowaniu domków z kart, czym pozwolono im się zajmować do obiadu, uważając, że jest to odpowiednia zabawa dla małych dzieci w odświętnych ubrankach. Tomek potrafił budować całe piramidy z kart, Madzia zaś nie znosiła kładzenia dachu - tak zwykle bywało ze wszystkim, do czego się zabierała. Tomek wyciągnął z tego wniosek, że dziewczynki nie potrafią w ogóle nic zrobić. Okazało się jednak, że Lucy ma niezwykle zdolności do budownictwa: tak lekko trzymała karty i tak się delikatnie poruszała, że chłopiec podziwiał łaskawie jej domki na równi ze swoimi, o tyle zresztą chętniej, że dziewczynka zwróciła się do niego z prośbą o naukę. Madzia również podziwiałaby bez złości domki Lucy i dałaby sobie spokój z własnymi nieudanymi budowlami, gdyby staniczek nie doprowadzał jej do szału i gdyby Tomek nie śmiał się bezlitośnie, kiedy jej domki się przewracały, nazywając przy tym siostrę "głuptasem".

- Nie śmieję się ze mnie, Tomku - wybuchnęła gniewnie. - Nie jestem głupia. Wiem masę rzeczy, o których ty nie masz pojęcia.

- Och, co pani mówi, moja panno Gorączkowska! Nigdy nie byłem takim złośliwym jak ty - cóż to za miny! Spójrz, czy Lucy robi coś podobnego? Wolę ją od ciebie i chciałbym, żeby to ona była moją siostrą.

- To głupie i okrutne życzenie - odparła Madzia porywając się z podłogi, gdzie siedziała, i przewracając wspaniałą pagodę Tomka. Zrobiła to nieumyślnie, lecz wszystkie okoliczności świadczyły przeciwko niej; chłopiec pobladł z gniewu, lecz nie zareagował ani słowem. Chętnie by ją uderzył, ale wiedział, że tylko tchórze biją dziewczynki, -? Tomek Tulliver nigdy w życiu nie postąpił jak tchórz.

Madzia stała tak, w popłochu i trwodze, a Tomek podniósł się z podłogi i błądy odszedł od ruin zburzonej pagody. Lucy milczała i spoglądała przed siebie jak kociak, który przestał toczyć kłębek włóczki.

Tomku - odezwała się wreszcie Madzia, postępując parę kroków ku bratu. - Nie chciałam jej przewrócić, naprawdę nie chciałam.

100 KSIĘGA PIERWSZA

Tomek nie zwrócił na nią uwagi i wyciągnąwszy z kieszeni kilka ziarenek suchego grochu zaczął pstrykać nimi w okno - z początku niepewnie, potem z coraz wyraźniejszym zamiarem trafienia w zgrzybiałą muchę, co bezczelnie wygrzewała się w słońcu wbrew prawom natury, która wysłała wobec tego Tomka i groch na zgubę nędznej istoty.

Tak więc dzień źle się zaczął dla Madzi. Chłód Tomka zatruwał jej radość spaceru na świeżym powietrzu i w słońcu. Chłopiec pokazywał Lucy jeszcze nie ukończone ptasie gniazda, nie dbając o to, czy Madzia je widziała, i odzierał z kory witki wierzbowe dla siebie i dla Lucy, nie proponując ani jednej Madzi. Lucy zapytała: - Madziu, nie chciałabyś różgi? - Tomek jednak okazał się kompletnie głuchy.

Lecz kiedy zbliżyli się do Garum Firs, paw, który w najodpowiedniejszej chwili rozłożył ogon siedząc na ogrodzeniu podwórza, wystarczył, by odwrócić napewien czas uwagę od osobistych smutków. A to był dopiero początek wszystkich cudowności Garum Firs. Całe gospodarstwo było tu niezwykle: lilipucie drogiate kurki z fantazyjnymi czubkami na głowach, kury fryzyskie, którym pióra rosły inaczej niż u wszystkich ptaków, perliczki, co tak śmiesznie skrzeczały i biegnąc gubiły cętkowane piórka, gołębie i oswojona sroka. Ach, nie, jeszcze koza i cudny pręgowany pies, półmastyf- półbuldog, wielki jak lew. A naokoło białe ogrodzenie, białe furtki i lśniące, rozmaitych kształtów kurki na pogodę, i alejki ogrodowe wykładane płytkami w piękne wzory - wszystko w Garum Firs było niepowszednie, toteż wydawało się Tomkowi, że niezwykley rozmiar ropuch to po prostu skutek ogólnej niepowszedniości, jaka charakteryzuje posiadłość wuja Pulleta, właściciela uprawianej przez niego ziemi. Jasne, że ropuchy, które płacą czynsz dzierżawny, muszą być

chudsze. Dom był również niepowszedni: front miał lekko cofnięty, dwa skrzydła zakończone wieżyczkami strzelniczymi, a wszystko razem pokryte lśniącą białymi stiukami.

Wuj Pullet zobaczył przez okno zbliżające się towarzystwo i pospieszył zdjąć łańcuch i odsunąć zasuwę z drzwi frontowych, zabezpieczonych zawsze jak drzwi fortecy, a to z obawy przed włóczęgami,

ROZDZIAŁ IX

101

którzy mogliby się dowiedzieć o szklanej gablocie z wypchanymi ptakami, stojącej w hallu, i spróbować dostać się do środka, by wynieść owe skarby na głowach. Ciotka Pullet ukazała się również w drzwiach i gdy tylko siostra znalazła się w zasięgu jej głosu, zawołała: - Na litość boską, Bessy, zatrzymaj dzieci, niech nie wchodzi na schody. Sally przyniesie zaraz starą wycieraczkę i ścierkę do kurzu, żeby sobie wytarły buty.

Wycieraczki przed drzwiami pani Pullet z całą pewnością nie służyły do wycierania obuwia; nawet żelazny drapak do błota miał swego zastępcę. Tomek buntował się szczególnie przeciwko wycieraniu butów, uważał bowiem, że jest w tym coś poniżającego dla mężczyzny. Uznał to za pierwszą przykrość z wielu, jakie będzie musiał znieść na wizycie u ciotki Pullet, gdzie kazano mu kiedyś siedzieć z butami owiniętymi ścierką - fakt, który nakazuje skorygować pochopny wniosek, że wizyta w Garum Firs to wielka przyjemność dla młodego człowieka lubiącego zwierzęta, a raczej lubiącego rzucać w nie kamieniami.

Następną przykrość musiały znieść już tylko jego towarzyszkę, a mianowicie wejście po wyfroterowanych dębowych schodach, z których dywan został zwinięty i złożony w zapasowej sypialni. Pokonanie tych lśniących stopni mogło w czasach barbarzyństwa stanowić próbę na sądach bożych, z której tylko najczystsza cnota zdolna była wyjść z całymi rękami i nogami. Pani Glegg zawsze wytykała ostro siostrze ową słabość, jaką były jej lśniące schody, pani Tulliver jednak nie zdobyła się na żadne komentarze, tylko w duchu podziękowała Bogu, gdy ona sama i dzieci znalazły się bezpieczne na górnym podeście.

- Pani Gray przysłała mi nowy kapelusz, Bessy - oznajmiła z powagą pani Pullet, podczas gdy jej siostra poprawiała czepek.

- Doprawdy? - zainteresowała się młynarzowa. - I ładny?

- Straszny się robi bałagan w szafie, jak się wyciąga rzeczy po to tylko, żeby je zaraz chować

- odparła pani Pullet wyjmując pęk kluczy z kieszeni i spoglądając na nie z powagą - ale szkoda byłoby,

102 KSIĘGA PIERWSZA

gdybyś stąd wyjechała nie obejrzawszy go wprzódy. Nigdy nie wiadomo, co się może wydarzyć.

Pani Pullet potrząsnęła wolno głową wypowiadając tę poważną uwagę i zdecydowała się wreszcie na wybór jednego klucza.

- Boję się, że ci to sprawi duży kłopot, ale tak bym chciała zobaczyć, jakiego kształtu zrobiła główkę.

Pani Pullet z ponurą miną podniosła się z krzesła i otworzyła drzwi jasnej, kilkudrzwiowej garderoby, w której, jak można by pochopnie sądzić, przechowywała zapewne swój nowy kapelusz. Nic podobnego. Jedynie bardzo powierzchowna znajomość dodsonowskich obyczajów mogłaby skłonić kogoś do takiego przypuszczenia. W tej szafie bowiem pani Pullet szukała czegoś bardzo małego, co można było ukryć między warstwami bielizny pościelowej - a mianowicie kluczyka.

- Musisz pójść ze mną do najlepszej sypialni - oświadczyła.

- Czy dzieci mogą iść z nami? - zapytała młynarzowa widząc, że Madzia i Lucy mają na to ochotę.

- Cóż - zastanawiała się chwilę jej siostra - może to i bezpieczniej, bo jak tu zostaną, to będą wszystkiego dotykać.

Ruszyły więc całą procesją czystym, śliskim korytarzem, gdzie przez półksiężycowy szczyt okna, zasłoniętego w dolnej części okiennicami, wpadało nagle światło wprowadzające tu nastrój powagi- Ciotka Pullet zatrzymała się i otworzyła drzwi do jeszcze bardziej dostojnego pomieszczenia: był to ciemny pokój, gdzie przedostające się z trudem światło słoneczne ukazywało ciała martwych mebli w białych całunach. Wszystko, czego nie okrywały całuny, stało do góry nogami. Lucy chwyciła sukienkę Madzi, a ta czuła, jak serce jej bije gwałtownie.

Ciotka Pullet uchyliła nieco okiennicę, a potem ze smutną powagą, całkowicie harmonizującą z pogrzebowym nastrojem pokoju, otworzyła szafę. Wokół rozszedł się cudowny zapach różanych płatków, dzięki czemu przyjemnie było patrzeć, jak ciotka odwija jeden arkusz srebrnego papieru po drugim: kapelusz, wyjęty wreszcie na światło dzienne, przyniósł Madzi zawód, oczekiwała czegoś bardziej niesamo-

ROZDZIAŁ IX

103

witego. Na młynarzowej zrobił jednak ogromne wrażenie. Przez kilka chwil oglądała go ze wszystkich stron, po czym oświadczyła z przejęciem: - Nigdy już nie powiem słowa przeciwko pełnym główkom. Było to ustępstwo ogromne, co pani Pullet w pełni doceniła; poczuła też, że siostrze coś się za to należy.

- Chciałabyś zobaczyć, jak wygląda na głowie? - zapytała smutno. - Otworzę okiennicę nieco szerzej.

- Jeśli nie masz nic przeciwko temu, żeby zdjąć czepek- odparła pani Tulliver.

Pani Pullet zdjęła czepek ukazując jedwabny brązowy skalp ze sterczącymi cypelkami loków, jaki zwykle nosiły dojrzałe i mądre kobiety w owych czasach, po czym włożywszy nowy kapelusz obracała się wokół, jak manekin u sukiennika, aby pani Tulliver nie uroniła nic z tego widoku.

- Czasem mi się zdaje, że z prawej strony jest za dużo kokardek, a co ty sądzisz, Bessy?

Pani Tulliver, przekrzywiwszy nieco głowę, przyglądała się z powagą wskazanej części kapelusza. - Myślę, że najlepiej zostawić go tak, jak jest - stwierdziła. - Potem będziesz żałować, żeś coś przy nim ruszała. - To prawda - odparła pani Pullet zdejmując kapelusz i spoglądając nań z zastanowieniem.

- Ile ci za niego policzyła? - zapytała młynarzowa, myśląc intensywnie, jakby tu zrobić choćby nędzną imitację tego chef d'oeuvre⁴¹ z małego kawałka jedwabiu, jaki jej został w domu.

Pani Pullet zacisnęła usta, pokręciła głową, po czym szepnęła: Płacił za to mój mąż. Powiada, że mam mieć najlepszy kapelusz w kościele w Gamm, a te gorsze niech sobie nosi, kto chce. Zaczęła powoli porządkować ozdoby, przygotowując kapelusz do schowania w szafie, a myśli jej widocznie weszły na ponure tory, gdyż Potrząsnęła głową.

- Ach - odezwała się wreszcie. - Któż to wie! Może już nigdy w życiu nie włożę go po raz wtóry?

41 chef- d'oeuvre (fr.) - arcydzieło.

14 BN 11/234 G. Eliot: Młyn nad Flossą

104 KSIĘGA PIERWSZA

- Nie mów tak - oponowała pani Tulliver. - Mam nadzieję, że będziesz się dobrze czuła tego lata.

- Tak, ale może się przydarzyć śmierć w rodzinie, jak to się stało zaraz, kiedy kupiłam sobie zieloną atlasową budkę. Może umrzeć kuzyn Abbot, a trudno sobie wyobrazić, byśmy mogły nosić po nim żałobę krócej niż pół roku.

- Doprawdy, to byłby pech - pani Tulliver natychmiast wyobraziła sobie taką niefortunną śmierć. Żadna przyjemność nosić kapelusz drugi rok z rzędu, zwłaszcza teraz, kiedy tak się zmieniają kształty główek - co rok coś nowego.

- Tak to bywa na tym świecie - odparła pani Pullet, wkładając kapelusz do szafy i zamykając ją na klucz. Póki nie wyszły z ponurej sypialni i nie znalazły się z powrotem w jej pokoju, zachowała milczenie, podkreślane jeszcze potrząsaniem głową. Potem zaczęła płakać. - Bessy - szlochała - jeśli już nigdy, do mojej śmierci, nie zobaczysz na oczy tego kapelusza, pamiętaj, że ci go dzisiaj pokazywałam!

Pani Tulliver wiedziała, że teraz powinna się wzruszyć, ale łzy nie przychodziły jej na zawołanie - cóż, była mocną, zdrową kobietą - nie umiała płakać tak często jak jej siostra i nierzadko, w czasie pogrzebów, bolała nad tym brakiem. Robiąc ogromny wysiłek, by wycisnąć łzy z oczu, wykrzywiła dziwnie twarz. Madzia przyglądała się temu z uwagą i doszła do wniosku, że z kapeluszem cioci Pullet wiąże się jakaś przykra tajemnica, a dorośli uważają, iż dziewczynka jest za młoda, by to mogła pojąć. Myślała też z oburzeniem, że oczywiście zrozumiałaby wszystko, gdyby ją tylko dopuszczono do sekretu.

Kiedy znalazły się na dole, wujaszek Pullet zauważył, z pewną dozą bystrości, że jego żona zapewne pokazywała siostrze kapelusz, inaczej nigdy by tak długo nie zabawiły na górze. Tomkowi dłużyło się ogromnie, gdyż siedział skrepowany na brzeжку sofy, naprzeciw wuja Pullet, który patrzył nań mrugając powiekami i zwracał się doń od czasu do czasu per "młody człowieku".

ROZDZIAŁ IX

105

- Cóż, młody człowieku, czegoż cię uczą w szkole? - Było to obowiązkowe pytanie wuja Pullet, po którym Tomek w zmieszaniu pocierał policzki dłońmi i mówił: - Nie wiem. - Siedzenie sam na sam z wujkiem tak go peszyło, że Tomek nie patrzył nawet na sztychy wiszące na ścianach ani na pułapki na muchy czy też piękne wazony - nie widział nic oprócz getrów wuja. Nie można zresztą powiedzieć, by chłopiec był przytłoczony wyższością umysłową pana Pulleta; nie, prawdę mówiąc, doszedł nawet do wniosku, że nigdy w życiu nie zostanie właścicielem ziemskim - bo nie chce być takim bezmyślnym nudziarzem jak wuj Pullet i takim zniewieściałym piecuchem. Onieśmienie chłopca nie jest nigdy świadectwem jego szacunku, a jeśli go traktować z poufałą swobodą w przekonaniu, że jest przytłoczony dojrzałością i mądrością interlokutora - na pewno uzna go za niespełna rozumu. Jedyną pociechą, jaka mi przychodzi do głowy, jest to, że chłopcy greccy zapewne myśleli podobnie o Arystotelesie⁴². Dopiero kiedy opanujesz krnąbrnego wierzchowca, obijesz woźnicę czy też weźmiesz strzelbę do ręki - dopiero wtedy te nieśmiałe młokosy uznają cię za człowieka godnego podziwu i zazdrości. W każdym razie pewien jestem uczuć Tomka Tullivera w tym względzie. W bardzo wczesnych latach, kiedy jeszcze jego ciepłą czapeczkę okalała wypustka tasiemki, często zaglądał przez sztachety bramy i małym paluszkiem robił groźne gesty, wymyślając nieartykułowanie owcom i próbując zasiać ziarno strachu w zdumionych owczych umysłach. Tak więc od wczesnych lat wykazywał już pragnienie władzy nad zwierzętami niższego rzędu, zarówno dzikimi, jak i oswojonymi, wliczając w to chrabąszcze, psy sąsiadów i małe siostry - co przez wszystkie stulecia stanowiło obiecującą cechę istot naszego gatunku. A że pan Pullet nigdy nie jeździł na roslym koniu, nie miał w sobie ani cienia krwiożerczości, a broń palną, zdolną wystrzelić przypadkiem i bez niczyjej woli, uważał za rzecz wręcz niebezpieczną - Tomek miał konkretne powody, by w poufnej rozmowie z kolegą

Arystoteles (384-322 p.n.e.) - jeden z największych filozofów i najwszechstronniejszych uczonych starożytności.

106 KSIĘGA PIERWSZA

nazwać wuja cymbałem, nie zapominając przy tym dodać, że jest bardzo bogaty.

Jedyną pociechą w tym -? tete a tete był fakt, że wujaszek zawsze miał w kieszeniach pastylki i drosy miętowe, a kiedy następowała chwila milczenia w rozmowie, wypełniał ją propozycją wspólnej słodkiej pociechy.

- Lubisz miętówki, młody człowieku? - Na to potrzebne było tylko milczące przytaknięcie, bo pytaniu towarzyszyły cukierki wyciągnięte jednocześnie z kieszeni.

Gdy pojawiły się dziewczynki, wuj Pullet znalazł inną pociechę, w postaci małych słodkich ciasteczek, których zapas trzymał pod kluczem na własny użytek w dżdżyste dni. W chwili jednak, gdy trójka dzieci dostała do rąk kuszący przysmak, ciocia Pullet kazała im powstrzymać się od jedzenia, póki nie zostanie przyniesiona taca z talerzykami, bo inaczej zakruszą całą podłogę. Lucy nie przejęła się tym zbytnio - ciastko było takie ładne, że szkoda je zjadać, ale Tomek wyczekał chwili, kiedy starsi zajęci byli rozmową, w dwóch kęsach wpakował ciastko do ust i zjadł je ukradkiem. Madzia, zafascynowana jak zwykle sztychem przedstawiającym Ulissesa i Nauzykaę, który wujaszek kupił jako "ładny obrazek z Biblii³, upuściła ciastko i rozdeptała je nieostrożnym ruchem, co spowodowało ogromne zdenerwowanie cioci Pullet. Dziewczynka przekonana, że popadła w niełaskę, ze smutkiem pożegnała się z myślą usłyszenia grającej tabakierki, przyszło jej jednak do głowy, że Lucy, jako faworytka wszystkich, może się odważyć na prośbę o muzykę. Szepnęła więc kuzynce, a ta, zawsze chętna do zrobienia wszystkiego, o co ją proszono, podeszła cichutko do wuja i kręcąc palcami koraliki, zapłoniona po szyję, prosiła: - Wujku, zagraj nam coś.

Lucy była głęboko przekonana, że grająca tabakierka wydobywa z siebie piękne melodie tylko za sprawą wyjątkowych umiejętności

43 Ulisses (łac. forma greckiego imienia Odyseusz) i Nauzykaa - postaci z mitów greckich i z Odysei Homera. Błędne uznanie ich przez wuja Pullet za postaci biblijne ilustruje ograniczenia jego wiedzy oraz gotowość do wypowiedzania się w różnych sprawach.

ROZDZIAŁ IX

107

wuja Pullet, a i większość sąsiadów z Gamm była tego samego zdania. Przecież nie kto inny jak wuj Pullet kupił tę tabakierkę i on tylko wiedział, jak się ją nakreca i jaka melodia będzie na początku. Jednym słowem posiadanie tego niezwykłego instrumentu stanowiło jasny dowód, że umysł pana Pulleta nie jest tak całkowicie jałowy, jak by można przypuścić. Kiedy go proszono, by wykazał swe muzyczne umiejętności, wuj Pullet nigdy nie umniejszał ich waloru zbyt szybką zgodą. Odpowiadał zwykle: - No, zobaczymy, zobaczymy - powstrzymując się od okazywania oznak uległości, póki nie upłynął odpowiedni czas. Wuj Pullet miał z góry ułożony program na wszystkie wielkie okazje towarzyskie, co chroniło go od męczącego zamętu w głowie i kłopotliwości dokonywania wyboru.

Może ta właśnie niepewność powiększyła radość Madzi, kiedy rozległy się czarodziejskie dźwięki. Po raz pierwszy zapomniała

o ciąży jej trosce - gniewie Tomka, i kiedy zabrzmiało: "Ciszej, ty wdzięczny chórze szczebiotów", twarz jej rozjaśniła się szczęściem

i dziewczynka siedziała bez ruchu, ręce złożony na kolanach. Widok ten krzepił serce matki, stanowił bowiem dowód, że Madzia, mimo swej ciemnej cery, może czasami wyglądać ładnie. Kiedy jednak ucichły zakłete dźwięki, dziewczynka porwała się z krzesła i podbiegłszy do Tomka zarzuciła mu ręce na szyję wołając: - Och, Tomku, jakie to było piękne!

Zanim uznacie, że nowy przypływ gniewu Tomka na Madzie za tę nieproszoną i niezrozumiałą dla niego czułość jest dowodem dziwnej oschłości chłopca, pozwólcie sobie powiedzieć, że trzymał on w ręku kieliszek wina porzeczkowego, z którego wylał połowę, szarpnięty przez siostrę. Musiałby być niezwykłym ślamazarą, gdyby nie powiedział ze

złością: - Patrz, cożeś zrobiła! - zwłaszcza że jego oburzenie zostało usankcjonowane ogólnym potępieniem Madzi.

- Czemu nie możesz usiedzieć spokojnie, dziewczyno!! - rzędziła matka.

- Dziewczynki, które się tak zachowują, nie mogą do mnie Przychodzić! - oświadczyła ciocia Pullet.

- Ach, co za niegrzeczna panienka! - zawołał wuj Pullet.

108 KSIĘGA PIERWSZA

Biedna Madzia usiadła z powrotem; muzyka pierzchła z jej duszy, a zamiast niej powróciło tam siedem małych demonów.

Ponieważ pani Tulliver nie przewidywała nic oprócz nieszczęść, jeśli dzieci pozostaną w domu, zaproponowała przy najbliższej sposobności, by teraz, kiedy już odpoczęły po spacerze, wyszły się pobawić na dworze. Ciocia Pullet zgodziła się na propozycję, zapowiadając przy tym bardzo surowo, by nie schodziły z alejek w ogrodzie, a gdyby chciały zobaczyć, jak się karmi drób, to niech nie podchodzą blisko, tylko staną przy podeście do dosiadanania konia. Te obostrzenia obowiązywały, odkąd Tomek gonił pawia, łudząc się, że ptak zgubi ze strachu choć jedno ze swych piór.

Myśli pani Tulliver odbiegły na pewien czas od kłótni z panią Glegg, a to za sprawą modniarki i matczynych kłopotów, teraz jednak, kiedy na zagadnienie kapelusza zaczęła już patrzeć z perspektywy, a dzieci wyszły do ogrodu, wczorajsze zmartwienia odżyły.

- Kamieniem leży mi na sercu - rozpoczęła - to wczorajsze wyjście siostry Glegg z mojego domu. Przecież nie chciałam jej obrazić!

- Ach - odparła pani Pullet. - Nigdy nie wiadomo, co Jance przyjdzie do głowy. Nie mówiłabym o tym nikomu spoza rodziny - chyba że doktorowi Turnbull, ale moim zdaniem Janka za bardzo sobie skąpi. Nieraz to powtarzam mężowi, on dobrze o tym wie.

- W zeszły poniedziałek będzie tydzień, jak to powiedziała, zaraz jakeśmy wrócili od nich z herbaty - zaczął wuj Pullet gładząc kolano i przykrywając je chustką do nosa, jak to miał w zwyczaju, kiedy zaczynała go interesować rozmowa.

- Z pewnością wtedy, bo ty lepiej ode mnie pamiętasz, kiedy co powiedziałam. On ma wspaniałą pamięć - ciągnęła pani Pullet, spoglądając z powagą na siostrę. - Nie wiem, jakbym sobie poradziła, gdyby go tknęła apopleksja, bo on zawsze pamięta, kiedy mam brać lekarstwa - a biorę teraz trzy rozmaite.

- Masz "pigułki jak przedtem" co drugi wieczór i nowe krople o jedenastej i czwartej, i mieszkankę rozgrzewającą "kiedy przyjdzie ochota" - popisывał się pan Pullet, przy czym znaki przestankowe w tej wypowiedzi ustalała znajdująca się na jego języku pastylka.

ROZDZIAŁ IX

109

- Ach, może by i było lepiej, gdyby Janka poszła czasem do doktora, zamiast żuć rabarbar turecki, kiedy jej coś dolega - zamyśliła się młynarzowa, dla której, oczywiście, sprawy medycyny skojarzyły się natychmiast z siostrą Glegg.

- Strach pomyśleć - mówiła pani Pullet, podnosząc ręce i opuszczając je bezwładnie na kolana - że niektórzy ludzie tak lekkomyślnie podchodzą do swego zdrowia. Jakby Opatrzności na złość, bo po cóż są lekarze, jeśli nie po to, żeby ich wzywać. To nawet nieładnie nigdy nie prosić doktora o wizytę, jeśli kogo stać na to. Nieraz to mówiłam Jance. Wstyd mi, że nasi znajomi o tym wiedzą.

- Cóż, my tam nie mamy się czego wstydzić - rzekł pan Pullet.

- Teraz, kiedy pani Sutton umarła, doktor Turnbull nie ma lepszej pacjentki od ciebie w całej parafii.

- Mój mąż trzyma wszystkie moje butelki po lekarstwach, wiesz, Bessy? Nie pozwala sprzedać ani jednej. Powiada, że po mojej śmierci ludzie powinni je zobaczyć. Zajmują już dwie długie półki w składziku, ale - tu zaczęła popłakiwać z cicha - dobrze będzie, jeśli

zapełnią trzecią. Mogę umrzeć, nim opróżnię tuzin tych ostatnich butelek. Pudełka po kapsułkach są w schowku w moim pokoju - zapamiętaj to sobie, Bessy, ale po pigułkach nic nie zostało, chyba rachunki.

- Nie mów o śmierci, siostró - napominała ją pani Tulliver.

- Gdybyś umarła, nikt już nie stałby pomiędzy mną i siostrą Glegg. A przecież nikt, oprócz ciebie, nie pogodzi jej z moim mężem, bo siostra Deane nigdy nie stanie po mojej stronie, a nawet gdyby stała, trudno się spodziewać, żeby mówiła jak ktoś, kto ma własny majątek.

- Tak, ale sama wiesz, Bessy, że twój mąż to trudny człowiek - mówiła dobrodusznie pani Pullet, gotowa spożytkować swoje

przygnębienie równie dobrze na sprawy siostry, co własne. - Nigdy nie zachowywał się w stosunku do naszej rodziny tak, jak powinien, i dzieci wdały się w niego - chłopiec jest taki psotny i ucieka od swoich wujostwa, a dziewczynka czarna i nieokrzesana. Nie masz szczęścia, Bessy, i bardzo mi cię żal. Zawsze byłaś moją najulubieńszą siostrą i Zawsze miałyśmy podobne gusta.

KSIĘGA PIERWSZA

110

- Wiem, że mój mąż jest prędko i potrafi z tej prędkości powiedzieć, co nie trzeba - pani Tulliver otarła łzę z kącika oka - ale też wiem dobrze, że zawsze, odkąd wzięliśmy ślub, rad witał moją rodzinę w swoim domu.

- Nie chcę cię przecież martwić, Bessy - rzekła pani Pullet ze współczuciem - myślę, że i bez tego masz dość kłopotów. Twój mąż ma przecież na głowie tę biedną siostrę i jej dzieci i tak lubi się procesować, powiadają ludzie. Nie wierzę, żeby ci cokolwiek zostawił po śmierci.

Oczywiście nie powiedziałabym tego nikomu spoza rodziny.

Ten obraz sytuacji materialnej nie dodał ducha pani Tulliver. Wyobraźnia jej była mało pobudliwa, ale młynarzowa nie mogła się oprzeć myśli, że musi być w trudnym położeniu, jeżeli, jak się okazuje, ludzie tak sądzą.

- Nic na to nie poradzę - odparła i popychana strachem, by w przyszłości, jeśli się nieszczęście wydarzy, nie uznano czasem, że sama była temu winna, dokonała wszechstronnego przeglądu swego dotychczasowego postępowania. - Żadna kobieta nie upracuje się tak jak ja dla swoich dzieci. Podczas ostatnich porządków przed Zwiastowaniem, kiedy się zdjęło wszystkie materace, harowałam jak dwie dziewczyny razem wzięte, a ostatnie moje bżowe wino udało się jak rzadko! Zawsze je podaję razem z sherry, chociaż Gleggowa powiedziałaby, że jestem rozrzutna. Lubię mieć suknie porządne i nie chodzić po domu jak strach na wróble, a jeśli mowa o plotkach i robieniu ludziom na złość, nikt w parafii nie może na mnie złego słowa powiedzieć, bo ja niczyjej krzywdy nie chcę. I nikt nigdy nie straci, jak mi przyśle wieprzową zapiekankę, bo moją zapiekankę można postawić koło najlepszej w całej okolicy, a bieliznę pościelową mam w takim porządku, że jutro mogłabym umrzeć i się nie powstydzic. Czegóż można więcej żądać od kobiety?

- Ale widzisz, Bessy, niewiele ci z tego przyjdzie - odparła pani Pullet, przekrzywiając nieco głowę i wpatrując się poważnie i nieruchomo w siostrę - jeżeli mąż i tak roztrwoni wszystkie twoje pieniądze.

ROZDZIAŁ IX

111

Chyba że przyjemniej ci będzie podczas wyprzedaży, kiedy obcy ludzie kupując twoje meble zastaną je porządnie oczyszczone. A twoja pościel z nazwiskiem panięńskim może się cała rozejść po świecie. Wielki byłby to cios dla naszej rodziny - pani Pullet wolno pokręciła głową.

- Ale co ja mam począć? - pytała pani Tulliver. - Mój mąż nikogo nie chce słuchać. Nawet jakbym poszła do pastora i nauczyła się od niego na pamięć, co mam powiedzieć mojemu, żeby było dobrze, to i tak nic z tego nie przyjdzie. A poza tym nie udaję nawet, że rozumiem

się na obracaniu pieniędzmi, procentach i tak dalej. Nigdy nie znałam się na interesach tak, jak siostra Glegg.

- Cóż, w tym jesteście podobne, Bessy - odparła pani Pullet - i myślę, że Janka lepiej by zrobiła, gdyby częściej przecierała to swoje wielkie stojące lustro - tyle na nim było plam w zeszłym tygodniu - zamiast dyktować ludziom, którzy mają większe dochody niż ona, co powinni robić ze swymi pieniędzmi. Ale my z Janką nigdy się nie zgadzałyśmy - ona lubi paski, a ja kropki. Ty też lubisz kropki, Bessy, w tym zawsze byłyśmy zgodne.

- Tak, Zosiu, pamiętam, miałyśmy kiedyś taki sam materiał: niebieski w białe kropki, mam jeszcze tego trochę w kołdrze; i bardzo bym ci była wdzięczna, gdybyś pojechała do Janki i przekonała ją, żeby się pogodziła z moim mężem. Byłaś zawsze taka dobra dla mnie.

- Ale słuszniej by było, gdyby twój mąż sam do niej poszedł i powiedział, że żałuje tych ostrych słów. Jeśli od niej pożyczył pieniądze, to powinien przeprosić - tłumaczyła pani Pullet, która, chociaż stała po stronie siostry, nie zapomniała przecież o zasadach o tym, co się należy ludziom posiadającym własny kapitał.

- Nie ma o czym mówić - odparła biedna młynarzowa, prawie -? jednie. - Mój mąż nigdy się nie upokorzy, nawet jakbym go o to błagała, klęcząc gołymi kolanami na żwirze.

- Cóż, nie możesz się spodziewać, żebym namówiła Jankę, aby go prosiła o przebaczenie. Ona jest taka prędką! Dobrze, jeśli jej przez to

KSIĘGA PIERWSZA

112

rozumu nie odejmie, chociaż nie było jeszcze w naszej rodzinie nikogo, kto by poszedł do szpitala dla wariatów.

- Nie myślę o tym, żeby ona miała go przeproszać, ale żeby po prostu zapomniała o wszystkim i nie żądała zwrotu pieniędzy. To nie jest wiele, jak na prośbę siostry. Czas wszystko naprawi, mój mąż zapomni o tamtym i znowu będą żyć w zgodzie.

Jak widzicie, pani Tulliver nie była przekonana o nieodwołalności mężowskiej decyzji w sprawie spłaty pięciuset funtów. Nie mogła w to uwierzyć.

- Dobrze, Bessy - rzekła pani Pullet żalobnym tonem. - Nie chcę przykładąć ręki do twojej ruiny i nie odmówię ci pomocy, jeśli coś mogę zrobić. Nie chcę, żeby się rozniosło po ludziach, że mamy kłótnie w rodzinie. Powiem Jance o tym. I nie mam nic przeciwko pojechaniu do niej choćby jutro, jeżeli mój mąż też nie będzie miał nic przeciwko temu. Co ty na to, mój drogi?

- Proszę bardzo - odparł pan Pullet, obojętny, jaki obrót przyniesie kłótnia, byle tylko Tulliver nie prosił go o pieniądze. Pan Pullet okazywał niezwykłą wrażliwość w przedmiocie lokaty swojego kapitału i uważał, że można być pewnym pieniędzy tylko wtedy, jeśli się je wsadziło w ziemię.

Nastąpiła krótka dyskusja na temat tego, czy nie byłoby lepiej, gdyby pani Tulliver towarzyszyła im u pani Glegg, po czym pani Pullet zauważyła, że czas już na herbatę, i odwróciła się, by wyjąć z szuflady delikatną serwetkę adamaszkową, którą przypinała sobie na sukni jako coś w rodzaju fartuszka. I rzeczywiście, wkrótce drzwi się otwarły, lecz Sally, zamiast wnieść tacę z zastawą do herbaty, wprowadziła do pokoju coś tak okropnego, że obie panie krzyknęły jednym głosem, a wuj Pullet połknął z wrażenia swoją pastylkę - po raz piąty w życiu, jak to później stwierdził.

ROZDZIAŁ X

113

ROZDZIAŁ X

MADZIA ZACHOWUJE SIĘ GORZEJ, NIŻ PRZEWIDYWAŁA

Prerażającym stworzeniem, które zaznaczyło epokę w życiu wujaszka Pullet, był nie kto inny jak mała Lucy, z twarzą błagającą o litość, przemoczona i ubłocona od stóp do

czubka czepeczka, wyciągająca przed siebie drobne, upaprane dłonie. Aby wytłumaczyć, w jaki sposób ta niezwykła postać mogła się znaleźć w saloniku wujostwa Pullet, musimy powrócić do chwili, kiedy dzieci poszły się bawić na dwór, a małe demony, które wczesnym rankiem ośwładnęły Madziną duszą, powróciły tam wzmocnione po chwilowej nieobecności. Wszystkie niemiłe wspomnienia tego ranka żywo zarysowały się przed nią, kiedy Tomek, niechętny wobec siostry po jej niedawnym wybryku, przez który stracił tyle porzeczkowego wina, zawołał: - Hej, Lucy, chodź ze mną! - i ruszył w stronę miejsca, gdzie zwykle siedziały ropuchy, jakby Madzia w ogóle nie istniała, wobec czego dziewczynka wlokła się za nimi w pewnym oddaleniu, jak mała Meduza, której odcięto węże⁴⁴. Lucy, oczywiście, bardzo była rada z łaskawego zainteresowania Tomka i z wielkim zaciekawieniem patrzyła, jak chłopiec łachocze kawałkiem sznurka jakąś tłustą ropuchę, bezpiecznie od niego oddzieloną żelazną siatką. Mimo to pragnęła, aby Madzia również mogła na to popatrzeć, zwłaszcza że z pewnością znalazłaby jakieś imię dla ropuchy i opowiedziała jej historię. Lucy bardzo lubiła i przyjmowała prawie na serio opowiadania Madzi o żywych stworzeniach, które napotykali przypadkowo

jak to Pani Chrabąszczowa miała właśnie pranie w domu i jedno dzieci wpadło jej do kociołka z gorącą bielizną i dlatego matka

legnie teraz po doktora. Tomek głęboko pogardzał owymi Madziny-

Meduza - postać z mitologii greckiej, najgroźniejsza z trzech sióstr wjorg, on o przerażającym wyglądzie, przedstawianych z węzami zamiast -?

114 KSIĘGA PIERWSZA

mi bzdurami i natychmiast zadeptywał owada, co było przesadnym, lecz łatwym sposobem udowodnienia nierealności jej opowiadań. Lucy jednak za żadne skarby nie chciała przestać wierzyć, że coś w tym jest, a w każdym razie uważała opowiadania za bardzo miłe bajki. I teraz pragnęła usłyszeć historię tej korpulentnej ropuchy, a że z natury była serdeczna, podbiegła do Madzi wołając: - Taką mamy śmieszna, wielką ropuchę, Madziu! Chodź ją obejrzeć!

Madzia odwróciła się bez słowa, zła i zmarszczona. Lucy była współodpowiedzialna za gniew Tomka, jak długo chłopiec wołał ją od siostry. Przed chwilą Madzia sądziła, że nigdy nie mogłaby się gniewać na ładną, małą Lucy, tak jak nie mogłaby się zachować okrutnie wobec białej małej myszki, ale Tomek był dotąd obojętny wobec Lucy i tylko Madzia okazywała jej zainteresowanie i serdeczność. Teraz jednak przyszło jej do głowy, że przyjemnie byłoby doprowadzić Lucy do płaczu - uderzyć ją albo uszczypnąć, zwłaszcza gdyby to mogło sprawić przykrość Tomkowi, którego nie warto było bić, nawet gdyby się odważyła, gdyż wcale się tym nie przejmował. A przecież, gdyby Lucy tu nie było, z pewnością szybciej pogodziłby się z siostrą.

Łachotanie tłustej, niezbyt na to wrażliwej ropuchy jest przyjemnością, która nie może człowieka długo zajmować, Tomek zaczął się więc rozglądać za jakimś innym sposobem przepędzenia czasu. Nie miał wielkiego wyboru w tym schludnym ogrodzie, gdzie nie wolno było schodzić z pięknie utrzymanych alejek. Jediną przyjemnością, jaką dają takie zakazy, jest przyjemność łamania ich, zaczął więc myśleć o buntowniczej wyprawie nad leżący za ogrodem staw, długi na cały zagon.

- Lucy- tu kiwnął znacząco głową i zaczął zwijać sznurek - jak myślisz, co ja chcę zrobić?

- No? - spytała Lucy ciekawie.

- Pójdę nad staw i popatrzę na szczupaka. Możesz iść ze mną, jak chcesz - odparł młody sułtan.

- Och, Tomku, nie boisz się? Ciocia mówiła, że nie wolno nam wychodzić z ogrodu.

- Co tam. Wyjdę z tamtej strony. Nikt nas nie zobaczy. A zresztą, co mnie obchodzi, że zobaczy. Najwyżej ucieknę z domu.

ROZDZIAŁ X

- Ale ja nie umiałabym uciec - odparła Lucy, która jeszcze nigdy w życiu nie była wystawiona na tak silną pokusę.

- Och, nie przejmuj się, na ciebie nie będą się gniewać - odparł Tomek. - Powiedz, że ja cię tam zaprowadziłem.

Tomek ruszył naprzód, a Lucy dreptała u jego boku, przepełniona płochliwą i rzadką radością, jaką daje świadomość nieposłuszeństwa, podniecona również wzmianką o czymś tak niebywałym, jak szczupak, chociaż nie bardzo wiedziała, czy to ryba, czy ptak. Kiedy Madzia zobaczyła, jak wychodzą z ogrodu, nie mogła się opanować i ruszyła za nimi. Złość i zazdrość na równi z miłością nie lubią tracić z oczu przedmiotów zainteresowania, toteż dziewczynka za żadne skarby nie chciała dopuścić, by Tomek i Lucy zrobili albo zobaczyli coś, o czym ona nie będzie wiedziała. Tak więc szła kilkanaście kroków za nimi. Tomek nie widział siostry, gdyż zajęty był pilnym obserwowaniem wody i szukaniem szczupaka, tego niezmiernie interesującego potwora, który, jak fama głosiła, był bardzo stary, bardzo duży i miał niespożyty apetyt. Szczupak, jak przystało na znakomitość, nie pokazał się, choć na niego czekano, ale Tomek dostrzegł jakieś gwałtowne poruszenie w wodzie, co pociągnęło go do miejsca na samym brzegu stawu.

- Hej, Lucy - odezwał się głośnym szeptem - chodź tutaj! Uważaj! Idź po trawie, nie tam, gdzie chodziły krowy! - dodał, wskazując na półwysep suchej trawy, a po obu jego stronach rozdeptane błoto. Tomek miał dziewczyny w pogardzie i uważał, że nie potrafią się poruszać wśród błota.

Lucy podeszła ostrożnie, tak jak jej kazał, i pochyliwszy się spoglądała na coś, co wyglądało jak złota strzała śmigająca poprzez wodę. Tomek wyjaśnił jej, że to wąż wodny, i dziewczynka dostrzegła Wreszcie zygzakowate ruchy jego ciała; dziwiła się bardzo, że węże umieją pływać. Madzia podchodziła coraz bliżej - przecież ona też musi zobaczyć węża - choć gorzko jej było na myśl, że Tomka nic nie obchodzi, czy coś widziała, czy nie.

Wreszcie, kiedy już była tuż tuż rzy Lucy, Tomek odwrócił się do siostry (wiedział, że się zbliża, ale nie reagował, póki nie musiał).

116 KSIĘGA PIERWSZA

- Wynoś się stąd, Madziu! Nie wystarczy miejsca dla ciebie na trawie. Nikt cię tu nie prosił.

- W sercu Madzi wrzały w tej chwili namiętności, zdolne doprowadzić do tragedii, jeśliby tragedie były powodowane namiętnościami jedynie. Tej najważniejszej jednak, -? xi ueyeooc;45, która cechowała namiętność, zbrakło w czynie, i Madzia wyciągnąwszy brązową rączkę zdolna była tylko pchnąć gwałtownie biedną, białoróżową Lucy w rozbabrane przez krowy błoto.

Tomek nie wytrzymał i, biegnąc Lucy z pomocą, trzepnął siostrę dwa razy po ramieniu. Lucy leżała, płacząc bezradnie. Madzia cofnęła się parę kroków i, stanąwszy u podnóża drzewa, spoglądała na swą ofiarę bez najmniejszych wyrzutów sumienia. Zwykle zaczynała żałować prawie natychmiast po jakimś gwałtownym uczynku, teraz jednak Lucy i Tomek tak bardzo jej dokuczali, że cieszyła się, iż mogła im zepsuć przyjemność - cieszyłaby się, gdyby mogła zrobić przykrość wszystkim na świecie. Czego miała żałować? Tomek i tak długo jej nie przebaczał, bez względu na to, jak bardzo żałowała.

- Powiem o tym matce, moja panno - oświadczył chłopiec głośno i dobitnie, gdy Lucy wstała i mogła już ruszyć do domu. Nie miał zwyczaju skarżyć, ale w tym wypadku Madzia powinna być jak naj surowiej ukarana - tego wymagała sprawiedliwość⁴⁶. Nie znaczy to, by Tomek umiał tym abstrakcyjnym słowem określić swoje przekonanie. Nigdy nie mówił o "sprawiedliwości" i nie miał pojęcia, że jego pragnienie ukarania Madzi można tak nazwać.

Lucy była zbyt przejęta swoim nieszczęściem - zniszczyła przecież najlepszą sukienkę, a poza tym było jej zimno i mokro - by zastanawiać się nad jego przyczyną, zupełnie zresztą dla niej tajemniczą. Nie była w stanie odgadnąć, co takiego zrobiła, że się Madzia na nią rozgniewała,

uważała jednak, że kuzyneczka jest niedobra i niegrzeczna, toteż zamiast prosić wielkodusznie Tomka, by "nie mówił", pobiegła z nim

Ali megedos (gr.) - pewna wielkość.

46 Kolejne podkreślenie przez narratora skłonności Tomka do surowego osądzania innych i starania o to, by ponieśli karę.

ROZDZIAŁ X

117

plącząc żałośnie, a winowajczyni usiadła na korzeniach drzewa i spoglądała za nimi wzrokiem małej Meduzy.

- Sally - zaczął Tomek, kiedy dobiegli do drzwi kuchni, a Sally stanęła jak wryta ze zdumienia, trzymając w ustach kawałek chleba z masłem, a w ręce widelec do grzanek. - Sally powiedz mamusi, że Madzia wepchnęła Lucy w błoto.

- Ale na litość boską, gdzie znaleźliście takie błoto! - wołała gniewnie Sally, pochylając się, by obejrzeć corpus delicti⁴¹.

Wyobraźnia Tomka nie była ani tak szybka, ani obrotna, by przewidzieć to pytanie wśród innych konsekwencji wypadku, ale kiedy je usłyszał, wiedział już, do czego ono prowadzi, wiedział też, że Madzia nie będzie uważana za jedyną sprawczynię zła. Spokojnie usunął się spod drzwi kuchennych, pozostawiając Sally przyjemność odgadnięcia odpowiedzi, co żywe umysły wolą zwykle od gotowych informacji.

Jak już wiemy, Sally podprowadziła bezzwłocznie Lucy do drzwi saloniku, gdyż wpuszczenie istoty tak brudnej do domu w Gamm Firs było odpowiedzialnością zbyt ciężką, by ją brać na sumienie jednej tylko osoby.

- Wielki Boże! - zawołała wreszcie pani Pullet, gdyż dotąd mogła wydobyć z siebie tylko jakiś nieartykułowany pisk. - Trzymaj ją w drzwiach, Sally, nie pozwalaj jej za nic zejść z ceraty.

- Musiała upaść w jakieś straszne błoto. - Pani Tulliver podeszła do Lucy, by sprawdzić rozmiary szkód w sukience, za którą czuła się odpowiedzialna wobec siostry Deane.

- Proszę pani, to pani Madzia ją popchnęła - wyjaśniła Sally. - Panicz Tomek był tutaj i tak mówił, a myślę, że musieli chodzić nad staw, bo tylko tam mogli wleźć w takie błoto.

- Masz, Bessy, o tym właśnie mówiłam przed chwilą - wyjaśnia - a tonem proroczego smutku pani Pullet. - Takie są twoje dzieci.

Nigdy nie wiadomo, co im do głowy strzeli.

corpus delicti (łac.) - dowód rzeczowy świadczący o przestępstwie.

118 KSIĘGA PIERWSZA

Pani Tulliver milczała; jakaż nieszczęsna z niej matka! Jak zwykle, tak i teraz oblegały ją myśli, że ludzie będą sądzić, iż musiała popełnić straszny grzech, by zasłużyć na taki dopust.

Pani Pullet zaczęła dawać Sally skomplikowane wskazówki, pragnąc uchronić swoje dobra od poważnych szkód podczas usuwania błota. Kucharka miała przynieść herbatę, a dwoje niegrzecznych dzieci miało w sromocie wypić ją w kuchni. Pani Tulliver, przypuszczając, że są gdzieś w pobliżu, poszła do nich z przemową, ale dopiero po dłuższych poszukiwaniach znalazła Tomka, który z zatwardziałe beztroską miną opierał się o białe ogrodzenie wybiegu dla drobiu i przerzuciwszy sznurek do wewnątrz zagrody próbował rozjątrzyć indyka.

- Tomku, nieznośny chłopcze! Gdzie jest Madzia? - zaczęła pani Tulliver zrozpaczonym głosem.

- Nie wiem - odparł chłopiec. Chęć ukarania Madzi, jak tego wymagała sprawiedliwość, osłabła nieco od chwili, kiedy chłopiec zrozumiał, że nie może tego dokonać nie oczerniając jednocześnie siebie - i to zupełnie bezpodstawnie.

- A gdzież ją zostawił? - zapytała matka rozglądając się wokół.

- Siedziała pod drzewem, koło stawu - odpowiedział Tomek, obojętny wyraźnie na wszystko prócz indyka i sznurka.

- Masz iść i w tej chwili ją przyprowadzić, ty wstrętny chłopaku!

i skąd ci do głowy przyszło, żeby chodzić nad staw i ciągnąć siostrę w takie błoto?

Wiesz dobrze, że na pewno zrobi coś złego, jeśli tylko będzie miała okazję.

Tak to już było, że jeśli pani Tulliver oskarżała o coś Tomka, wiązała zazwyczaj jego przestępstwo z osobą Madzi.

Myśl, że córka siedzi sama nad stawem, obudziła w pani Tulliver jej zwykłe obawy, weszła więc na stopień, by się uspokoić widokiem nieszczęsnego dziecka. Tomek tymczasem ruszył

- niezbyt szybkim krokiem - po siostrę.

- Tak te moje dzieci ciągną do wody - powiedziała głośno młynarzowa, nie zastanawiając się nawet, że wokół nikogo nie ma. - Na pewno się kiedyś utopią na śmierć. Wolałabym, żeby rzeka była o wiele dalej.

ROZDZIAŁ X

119

Lecz kiedy stwierdziła, że w oddali nie widać Madzi i że Tomek wraca sam od stawu, ten krążący ciągle strach owładnął ją ze szczeniem i młynarzowa pobiegła pędem na spotkanie syna.

- Madzi nie ma nad stawem, mamó - powiedział Tomek. - Musiała gdzieś pójść.

Możecie sobie wyobrazić, w jakim strachu szukano Madzi i z jakim trudem przekonywano matkę, że dziewczynka nie leży na dnie stawu. Pani Pullet zauważyła, że gdyby dziecko żyło, to mogłoby skończyć jeszcze gorzej - nigdy nic nie wiadomo. Pan Pullet wytrącony z równowagi i przybity burzliwym obrotem spraw - herbata się spóźniła i drób się płoszył tą bieganiną wszystkich tam i z powrotem - wziął swój szpadel jako najodpowiedniejsze narzędzie poszukiwań i sięgnął po klucz, by otworzyć wybieg dla gęsi, jako najbardziej prawdopodobne miejsce, w którym schroniła się Madzia.

Po chwili Tomek podsunął myśl, że Madzia poszła do domu (nie uważał za konieczne powiedzieć, że on sam tak by postąpił w podobnych okolicznościach), a myśl ta została podchwycona natychmiast i ogromnie pocieszyła matkę.

- Na litość boską, siostró, każ założyć konie i zawieź mnie do domu - może ją znajdziemy po drodze. Lucy nie może iść w tej brudnej sukience - dodała, spoglądając na niewinną ofiarę, opatuloną w szale i siedzącą z bosymi nogami na sofie.

Ciocia Pullet bardzo chętnie zgodziła się na to rozwiązanie, obiecywało bowiem najszybszy powrót posiadłości do porządku i spokoju, toteż w niedługim czasie pani Tulliver siedziała już w -? faetonie, wyteżając niespokojnie wzrok przed siebie. Nad wszystkim górowało w jej duszy pytanie: "Co powie ojciec, jeśli Madzia zginęła?"

15 BN N/234 G. Eliot: Młyn nad Flossą

120 KSIĘGA PIERWSZA

ROZDZIAŁ XI

MADZIA STARA SIĘ UCIEC PRZED WŁASNYM CIENIEM

Zamiary Madzi były, jak zwykle, o wiele śmielsze, niż to sobie wyobrażał Tomek. Po odejściu brata i Lucy dziewczynka wcale nie miała zamiaru wracać do domu. O nie!

Postanowiła zrobić coś zupełnie innego. Ucieknie do Cyganów, a Tomek nie zobaczy jej już nigdy w życiu. Pomysł ten dawno już się zrodził w Madzinej głowie. Często słyszała, że jest podobna do Cyganki i taka jakaś dzika, toteż w przystępach rozpaczy widziała jedyny sposób uniknięcia hańby i jedyne właściwe wyjście w ucieczce do Cyganów i zamieszkanie w małym brązowym namiocie na łąkach gromadzkich. Sądziła, że Cyganie przyjmą ją chętnie i będą ogromnie szanować ze względu na jej o tyle wyższe wykształcenie. Wspomniała kiedyś o tym Tomkowi i zaproponowała, by pomalował sobie twarz na brązowo i żeby uciekli razem, Tomek jednak z pogardą odrzucił projekt, twierdząc, że Cyganie to złodzieje i nie mają co

jeść, jeżdżą najwyżej wózkami zaprzężonymi w osła. Dzisiaj jednak nieszczęścia dziewczynki doszły do szczytu, a jedyną ucieczką od nich widziała w cygaństwie. Wstała więc z korzeni drzewa, w przekonaniu, że oto nadszedł wielki przełom w jej życiu. Pobiegła stąd prosto aż na Błonia -? Dunlow, gdzie z pewnością są Cyganie, i ani okrutny Tomek, ani reszta rodziny, która ustawicznie ma do niej pretensje, nie zobaczą jej już nigdy. Biegając pomyślała o ojcu i o tym, że się z nim rozstaje, ale pocieszyła się postanowieniem, iż pošle mu w tajemnicy list przez małego Cygana, który nie wyda jej miejsca zamieszkania, ale zawiadomi tylko pana Tullivera, że Madzia ma się dobrze, jest szczęśliwa i wciąż go bardzo kocha.

Biegła, póki jej nie zabrakło tchu, po czym zatrzymała się na chwilę. Było to w momencie, gdy Tomek znalazł się po raz drugi nad stawem, lecz oddzielały ją już od niego trzy drugie pola. Znajdowała się na skraju ścieżki prowadzącej do gościńca. Stała zdyszana myśląc, że

ROZDZIAŁ XI

121

ucieczka nie jest wcale taka przyjemna, póki się nie dobiegnie do gromadzkich gruntów, gdzie mieszkają Cyganie. Postanowienie jej jednak pozostało nieodwołalne. Wyszła przez furtkę na ścieżkę, nie bardzo wiedząc, dokąd ona prowadzi, bo nie tą drogą chodzili zawsze z młyna Dorlcote do Garum Firs; czuła się przez to bezpieczniej, bo wiedziała, że tu jej nie będą szukać. Wkrótce jednak spostrzegła z lekkim strachem, że z przeciwnej strony zbliża się dwóch mężczyzn. Nie myślała przedtem o możliwości spotkania obcych, zbytnio bowiem bała się pogoni bliskich. Groźni nieznajomi okazali się dwoma obdartusami o czerwonych twarzach, z których jeden niósł węzełek na kijku przerzuconym przez ramię. Podczas gdy dziewczynka drżała z przerażenia, że skrzyczą ją za ucieczkę, ten z węzełkiem zatrzymał się i jęklawym przymilnym tonem zapytał, czy nie może dać biedakowi miedziaka? Madzia miała w kieszeni sześć pensów - podarunek wuja Glegg - które wyciągnęła natychmiast i podała z grzecznym uśmiechem w nadziei, że ta hojność zdobędzie jej życzliwą uprzejmość nieznajomego. - To wszystko, co mam - tłumaczyła. - Dziękuję, panienczko - odparł mężczyzna, bynajmniej nie z taką wdzięcznością i szacunkiem, jakich się spodziewała, a nawet zauważyła, że uśmiechnął się i mrugnął do swego towarzysza. Ruszyła spieszenie dalej, ale zdawała sobie sprawę, że tamci dwaj stoją ciągle i zapewne spoglądają za nią, usłyszała też, jak się głośno śmieją. Przyszło jej nagle do głowy, że oni pewno wzięli ją za wariatkę. Tomek mówił przecież, kiedy obcięła włosy, że wygląda jak wariatka; zbytnio ją te słowa zabolowały, by mogła o nich szybko zapomnieć. Poza tym nie miała zarękawka, tylko pelerynkę i kapturek, jasne więc, że nie mogła wywołać korzystnego wrażenia na przechodniach. Postanowiła wobec tego zejść w pole, ale nie po tej stronie ścieżki, z której przyszła, bo to może być jeszcze pole wuja Pullet. Skrzyła w pierwszą nie zamkniętą furtkę i zaczęła wędrować wzdłuż żywopłotów, w cudownym poczuciu samotności po ostatnim upokarzającym spotkaniu. Była przyzwyczajona do wałęsania się samotnie po polach i poruszała się tu śmieiej niż a gościńcu. Czasem musiała przełazić przez wysokie wrota, ale to był mały kłopot. Szybko oddalała się od Garum Firs. Niedługo zapewne

15

120 KSIĘGA PIERWSZA

ROZDZIAŁ XI

MADZIA STARA SIĘ UCIEC PRZED WŁASNYM CIENIEM

Zamiary Madzi były, jak zwykle, o wiele śmielsze, niż to sobie wyobrażał Tomek. Po odejściu brata i Lucy dziewczynka wcale nie miała zamiaru wracać do domu. O nie! Postanowiła zrobić coś zupełnie innego. Ucieknie do Cyganów, a Tomek nie zobaczy jej już nigdy w życiu. Pomysł ten dawno już się zrodził w Madzinej głowie. Często słyszała, że jest podobna do Cyganki i taka jakaś dzika, toteż w przystępach rozpaczy widziała jedyny sposób uniknięcia hańby i jedyne właściwe wyjście w ucieczce do Cyganów i zamieszkanie w małym brązowym namiocie na łąkach gromadzkich. Sądziła, że Cyganie przyjmą ją chętnie i będą

ogromnie szanować ze względu na jej o tyle wyższe wykształcenie. Wspomniała kiedyś o tym Tomkowi i zaproponowała, by pomalował sobie twarz na brązowo i żeby uciekli razem, Tomek jednak z pogardą odrzucił projekt, twierdząc, że Cyganie to złodzieje i nie mają co jeść, jeżdżą najwyżej wózkami zaprzężonymi w osła. Dzisiaj jednak nieszczęścia dziewczynki doszły do szczytu, a jedyną ucieczką od nich widziała w cygaństwie. Wstała więc z korzeni drzewa, w przekonaniu, że oto nadszedł wielki przełom w jej życiu. Pobiegnie stąd prosto aż na Błonia Dunlow, gdzie z pewnością są Cyganie, i ani okrutny Tomek, ani reszta rodziny, która ustawicznie ma do niej pretensje, nie zobaczą jej już nigdy. Biegając pomyślała o ojcu i o tym, że się z nim rozstaje, ale pocieszyła się postanowieniem, iż pošle mu w tajemnicy list przez małego Cygana, który nie wyda jej miejsca zamieszkania, ale zawiadomi tylko pana Tullivera, że Madzia ma się dobrze, jest szczęśliwa i wciąż go bardzo kocha.

Biegła, póki jej nie zabrakło tchu, po czym zatrzymała się na chwilę. Było to w momencie, gdy Tomek znalazł się po raz drugi nad stawem, lecz oddzielały ją już od niego trzy długie pola. Znajdowała się na skraju ścieżki prowadzącej do gościńca. Stała zdyszana myśląc, że

ROZDZIAŁ XI

121

I

ucieczka nie jest wcale taka przyjemna, póki się nie dobiegnie do gromadzkich gruntów, gdzie mieszkają Cyganie. Postanowienie jej jednak pozostało nieodwołalne. Wyszła przez furtkę na ścieżkę, nie bardzo wiedząc, dokąd ona prowadzi, bo nie tą drogą chodzili zawsze z młyna Dorlcote do Gamm Firs; czuła się przez to bezpieczniej, bo wiedziała, że tu jej nie będą szukać. Wkrótce jednak spostrzegła z lekkim strachem, że z przeciwnej strony zbliża się dwóch mężczyzn. Nie myślała przedtem o możliwości spotkania obcych, zbytnio bowiem bała się pogoni bliskich. Groźni nieznajomi okazali się dwoma obdartusami o czerwonych twarzach, z których jeden niósł węzełek na kiju przerzuconym przez ramię. Podczas gdy dziewczynka drżała z przerażenia, że skrzyczą ją za ucieczkę, ten z węzełkiem zatrzymał się i jęklawie przymilnym tonem zapytał, czy nie może dać biedakowi miedziaka? Madzia miała w kieszeni sześć pensów - podarunek wuja Glegg - które wyciągnęła natychmiast i podała z grzecznym uśmiechem w nadziei, że ta hojność zdobędzie jej życzliwą uprzejmość nieznajomego. - To wszystko, co mam - tłumaczyła. - Dziękuję, panienczko - odparł mężczyzna, bynajmniej nie z taką wdzięcznością i szacunkiem, jakich się spodziewała, a nawet zauważyła, że uśmiechnął się i mrugnął do swego towarzysza. Ruszyła spieszenie dalej, ale zdawała sobie sprawę, że tamci dwaj stoją ciągle i zapewne spoglądają za nią, usłyszała też, jak się głośno śmieją. Przyszło jej nagle do głowy, że oni pewno wzięli ją za wariatkę. Tomek mówił przecież, kiedy obcięła włosy, że wygląda jak wariatka; zbytnio ją te słowa zabolowały, by mogła o nich szybko zapomnieć. Poza tym nie miała zarekawka, tylko pelerynkę i kapturek, jasne więc, że nie mogła wywołać korzystnego wrażenia na przechodniach. Postanowiła wobec tego zejść w pole, ale nie po tej stronie ścieżki, z której przyszła, bo to może być jeszcze pole wuja Pullet. Skręciła w pierwszą nie zamkniętą turtkę i zaczęła wędrować wzdłuż żywopłotów, w cudownym poczuciu samotności po ostatnim upokarzającym spotkaniu. Była przyzwyczajona do wałęsania się samotnie po polach i poruszała się tu śmieiej niż na gościńcu. Czasem musiała przelazić przez wysokie wrota, ale to był mały kłopot. Szybko oddalała się od Garum Firs. Niedługo zapewne

KSIĘGA PIERWSZA

122

zobaczy Błonie Dunlow albo jakieś inne grunta gromadzkie, bo słyszała, jak ojciec kiedyś mówił, że gruntów gromadzkich nie trzeba nigdy długo szukać. Chciałaby, żeby to się okazało prawdą, bo czuła już zmęczenie i głód, a nie ma mowy o chlebie z masłem póki nie znajdzie Cyganów. Dzień był jeszcze w pełni, bo ciocia Pullet zachowała obyczaj rodziny Dodsonów i piła herbatę wcześniej, o wpół do piątej według słońca, a o piątej według zegara

kuchennego, tak więc, chociaż Madzia wędrowała już od godziny, nad polami nie zbierały się jeszcze cienie, które by jej przypominały o nadchodzącej nocy. Ze zdumieniem stwierdziła, że choć tak długo maszeruje, wciąż nie widzi gromadzkich gruntów. Dotychczas znajdowała się w bogatej parafii Garum, gdzie wiele było pastwisk, zobaczyła więc w polu tylko jednego farmera i to daleko. Z pewnych względów dobrze się składało, farmer zbyt jest bowiem nieoświecony, by mógł zrozumieć stosowność jej wyprawy na Błonia Dunlow. Chciałaby jednak spotkać kogoś, kto wskazałby jej drogę, nie zagadując przy tym o jej sprawy prywatne. Wreszcie skończyły się zielone pola i Madzia stanęła, spoglądając między drągami wrót na ścieżkę, obrzeżoną po obu stronach szerokim pasem trawy. Nigdy jeszcze nie widziała takiej szerokiej ścieżki i nie wiedząc czemu pomyślała, że gromadzkie grunta nie mogą leżeć daleko. Może dodał jej otuchy widok osiołka z kłodą u nogi pasącego się na trawiastym skraju ścieżki, widziała bowiem kiedyś, jadąc gigiem z ojcem przez Błonia, małego osiołka z tak okropną zawadą u nogi. Prześliznęła się między drągami wrót i ze świeżym zapalem ruszyła dalej, choć zaczęła się teraz bać, czy nie zobaczy czasem widma Apollyona⁴, zbójcy z pistoletem, mrugającego karła o ustach od ucha do ucha, odzianego w żółte szaty i innych, najprzeróżniejszych strachów. W biednej Madzi bowiem mieszkały razem bojaźliwość związana z bujną wyobraźnią- i śmiałość płynąca z niepohamowanej impulsywności. Rzuciła się w wielką przygodę - poszukiwała niezna-

48 Apollyon - "szatan plugawy" ze skrzydłami smoka, z którym Chrześcijanin (Christian), bohater Wędrowki pielgrzymy stacza dramatyczną walkę w drodze do królestwa niebieskiego. Por. przyp. 14, 28.

ROZDZIAŁ XI

123

nych krewniaków, Cyganów- a oto teraz znalazła się na obcej drodze i bała się nawet zerknąć w bok, żeby nie zobaczyć czasem diabelskiego kowala w skórzanym fartuchu, wspartego pod boki i szczerzącego ku niej zęby. Serce uwięzło jej w krtani, gdy zobaczyła koło wzgórza dwie małe, bosc nogi, sterczące stopami ku ścieżce - wyglądały przerażająco i niesamowicie - niby jakiś piekielny grzyb. Była w pierwszej chwili zbyt przerażona, by dostrzec kupę łachmanów i ciemną, kudłatą głowę, przyczepione do tych nóg. Był to śpiący chłopiec. Dziewczynka przemknęła szybko obok niego, na palcach, żeby się nie obudził; nie pomyślała nawet, że to może być jej przyjaciel Cygan, który według wszelkiego prawdopodobieństwa zachowałby się wobec niej niezwykle uprzejmie. A tak właśnie było - za następnym zakrętem Madzia zobaczyła mały, półokrągły, czarny namiot i unoszący się przed nim niebieski dym; tu miała znaleźć schronienie przed trującymi oszczerstwami, jakie prześladowały ją w cywilizowanym życiu. Zobaczyła też wysoką kobietę stojącą przy słupie dymu - to z pewnością mat-ka- Cyganka, która zaopatruje wszystkich w herbatę i inne towary kolonialne. Madzia sama dziwiła się, że nie odczuwa większego zachwyty. Ale to trochę zaskakujące znaleźć Cyganów przy drodze, a nie na gruntach gromadzkich. Odczuwała nawet rozczarowanie, bo te tajemnicze, bezkresne błonia, gdzie znajdowały się wyrobiska piaskowe, w których można się było chować, zawsze stanowiły w jej wyobraźni składową część życia Cyganów. Szła jednak dalej, pocieszając się myślą, Cyganie, według wszelkiego prawdopodobieństwa, nie wiedzą nic o wariatach, nie ma więc obawy, by popełnili błąd, biorąc ją za "głupią". Jasne, że zwrócili już na nią uwagę, bo wysoka osoba, która, jak się okazało, była młodą kobietą z dzieckiem w ramionach, wyszła jej wolno na spotkanie. Madzia spojrzała z lekkim strachem w tę obcą twarz, lecz uspokoiła się, stwierdzając, że ciotka Pullet i inni mieli słuszność nazywając ją Cyganką - ta obca twarz bowiem o lśniących, ciemnych oczach i długich włosach przypominała rzeczywiście buzię, którą Madzia widywała w lusterku, zanim obcięła włosy.

- Dokąd idziesz, panienczko? - zapytała Cyganka z przymilną uniżonością.

I

KSIEGA PIERWSZA

124

To było rozkoszne! Tego właśnie Madzia oczekiwała. Cyganie zauważyli od razu, że jest małą damą, i mieli zamiar odpowiednio ją traktować.

- Nie idę nigdzie - powiedziała, jakby powtarzała coś, czego uczyła się we śnie. - Przyszłam, żeby zostać z wami.

- To dobrze. Chodź do nas. Jaka śliczna mała panienka- mówiła kobieta, ujmując Madzie za rękę. Dziewczynce podobała się bardzo, ale wolałaby, żeby Cyganka nie była taka brudna. Przy ogniu siedziała spora gromadka. Na ziemi stara Cyganka obejmowała rękoma kolana i od czasu do czasu mieszała szpikulcem w okrągłym kociołku, z którego rozchodziła się wonna para. Dwoje małych, kudłatych dzieci, wspartych na łokciach, jak dwa małe sfinksy wyciągnęło się na ziemi. Łagodny osiołek pochylał łeb nad wysoką dziewczyną, która leżąc na plecach drapała go po nosie i karmiła wspaniałym, kradzionym sianem. Ukośne promienie słoneczne oświetlały łagodnie całą grupkę; wszystko to, zdaniem Madzi, było ładne i sprawiało miłe wrażenie; miała tylko nadzieję, że niedługo wniosą filiżanki do herbaty. Przyjemnie będzie, kiedy nauczy Cyganów używać miednicy i zainteresuje ich książkami. Trochę się tylko spieszyła, kiedy młoda kobieta zaczęła coś mówić do starej w niezrozumiałym języku, gdy tymczasem dziewczyna, ta, co karmiła osła, usiadła i wpatrywała się w Madzie bez słowa powitania. Wreszcie odezwała się stara:

- Cóż to, śliczna panienczko, chcesz zostać z nami? Usiądź, prosimy cię pięknie, i opowiedz nam, skąd jesteś.

Wszystko, jak w książce. Bardzo podobało się Madzi, że ją nazywają śliczną panienczką i traktują tak unieźlenie. Usiadła i tłumaczyła:

- Uciekłam z domu, bo jestem nieszczęśliwa i pragnę zostać Cyganką. Jeśli chcecie, zamieszkać z wami i nauczę was wielu rzeczy-

- Mądra, mała panienczka - odezwała się młoda kobieta z dzieckiem, siadając koło Madzi i pozwalając malcowi raczkować po ziemi. I jaki piękny kapturek i suknia - dodała zdejmując kapturek

ROZDZIAŁ XI

125

Madzi i oglądając go badawczo. Mówiła coś przy tym w nieznanym języku do starej kobiety. Wysoka dziewczyna wyrwała jej kapturek z ręki i włożyła na głowę, tyłem do przodu, krzywiąc się w uśmiechu. Madzia postanowiła jednak nie wykazywać słabości i nie okazać przewrażliwienia na temat nakrycia głowy.

- Nie chcę go nosić - oświadczyła. - Wolę taką czerwoną chustkę jak twoja. - Tu spojrzała na siedzącą obok Cygankę. - Do wczoraj miałam długie włosy, ale je obciąłam. Myślę, że niedługo odrosną - dodała w formie wyjaśnienia, sądziła bowiem, że Cyganie zdecydowanie wolą długie włosy. Madzia zapomniała w tej chwili nawet o głodzie, chcąc zdobyć sobie cygańską przychylność.

- Śliczna mała panienczka ... i na pewno bogata - mówiła starucha. - Czy mieszkasz w bardzo pięknym domu?

- Tak, mój dom jest ładny i bardzo lubię rzekę, gdzie łowimy ryby, ale często bywam nieszczęśliwa. Szkoda, że nie przyniosłam moich książek, tylko że wybiegłam w takim pośpiechu, rozumiecie. Ale mogę wam powiedzieć prawie wszystko, co w nich napisane. Tyle razy je czytałam - na pewno bardzo was to zajmie. Mogę wam też powiedzieć wiele z geografii, to znaczy nauki o świecie, na którym żyjemy - to bardzo ciekawe i przydatne. Czy słyszeliście kiedy

O Kolumbie?

Oczy Madzi zaczęły błyszczeć, a policzki pokrył rumieniec - oto już zaczyna uczyć Cyganów i zdobywa wielki na nich wpływ. Cyganie byli natomiast ogromnie zdumieni jej słowami,

choć uwagę ich w równym stopniu przyciągała zawartość Madzinych kieszeni, które dziewczyna z prawej strony niepostrzeżenie opróżniła.

- Czy tam mieszkasz, śliczna panienczko? - zapytała starucha, słysząc słowo "Kolumb".

- Ach, nie - odparła Madzia z pewnym współczuciem. - Kolumb to był taki nadzwyczajny człowiek, który odkrył połowę świata

i zakuli go w kajdany, i obchodzili się z nim bardzo źle, rozumiecie, to jest w moich

Pierwszych krokach w geografii. Ale może za długie,

byłabym zdążyła opowiedzieć przed herbatą ... Tak bardzo chcę się napić herbaty.

126 KSIĘGA PIERWSZA

Ostatnie słowa wymknęły się Madzi wbrew woli i zabrzmiały już nie pouczająco i górnio, ale wręcz jękliwie.]

- Biedna śliczna panienka, przecież ona jest głodna - zawołała młoda kobieta. - Dajcie jej coś zimnego do zjedzenia. Pewno panienka przeszła kawał drogi? Gdzie jest dom panienki?

- To młyn Dorlcote, daleko stąd - odparła Madzia. - Mój ojciec to pan Tulliver, tylko nie możemy mu powiedzieć, gdzie jestem, bo mnie zabierze z powrotem. Gdzie mieszka królowa Cyganów?

- Co to? Młoda panienka chce do niej iść? - zapytała kobieta. Przez cały czas wysoka dziewczyna wpatrywała się uporczywie w Madzie, uśmiechając się krzywo. Miała zdecydowanie nieprzyjemne maniery.

- Nie - odparła Madzia. - Myślałam tylko, że jeżeli to nie jest bardzo dobra królowa, to może ucieszyć się, kiedy ona umrze i trzeba będzie wybrać drugą. Ja byłabym bardzo dobrą królową i łaskawą dla wszystkich.

- Ma tu panienka coś dobrego - odezwała się starucha, podając Madzi kromkę suchego chleba i kawałek zimnego bekonu, które wyjęła z sakwy z resztkami.

- Dziękuję - odparła Madzia spoglądając na jedzenie, lecz nie wyciągając po nie ręki - ale czy nie moglibyście mi dać zamiast tego trochę chleba z masłem i herbaty? Nie lubię bekonu.

- Nie mamy ani herbaty, ani masła - odparła starucha spoglądając na nią spode łba, jakby już się jej znudziło to przymilanie.

- Och, wystarczy mi chleb z melasą - odparła Madzia.

- Nie ma melasy - rzekła starucha ze złością; potem nastąpiła ostra wymiana zdań między obydwoma Cygankami w nieznanym Madzi języku, podczas gdy jeden z małych sfinksów porwał chleb z bekonem i zaczął go pożerać. W tej chwili młoda dziewczyna, która przedtem odeszła parę kroków, wróciła i powiedziała coś, co wywołało elektryzujące wrażenie.

Starucha zapomniała o głodzie Madzi i z nowym zapałem wsadziła szpikulec w kociołek, młodsza zaś wpełzła pod namiot i wyciągnęła stamtąd kilka misek i łyżek. Madzia drżała, lekko; bała się, że jej łzy napłyną do oczu. Wtem wysoka dziewczyna

ROZDZIAŁ XI

127

krzyknęła ostro i natychmiast przybiegł chłopiec, którego Madzia minęła, gdy spał. Był to ordynarny łobuziak, mniej więcej w wieku Tomka. Spojrzał na dziewczynkę, po czym znowu nastąpiła dłuższa, niezrozumiała dla niej wymiana zdań. Madzia czuła się okropnie samotnie i bała się, że zaraz zacznie płakać. Cyganie nie zwracali na nią najmniejszej uwagi; była taka bezbronna pomiędzy nimi. Lecz napływające do oczu łzy powstrzymał strach, gdy dziewczynka zobaczyła dwóch zbliżających się mężczyzn, których widok wywołał takie podniecenie. Starszy niósł na ramieniu tobołek; cisnął go teraz na ziemię i zwrócił się do kobiet głośnym, ordynarnym tonem, na co odpowiedziały mu trzy zuchwałe, terkotliwe głosy. Czarny kundel podbiegł ze szczekaniem do Madzi, budząc w niej dreszcz strachu, który wzrósł jeszcze, gdy młodszy mężczyzna zaczął kłać, odpędzać psa i bić go wielkim, trzymanym w rękę kijem.

Madzia zrozumiała, iż jest zupełnie niemożliwe, by została królową tych ludzi lub chociażby przekazała im swą pożyteczną i zajmującą wiedzę.

Zdawało się teraz, że obaj mężczyźni pytają o nią, bo przyglądali się jej, a rozmowa nabrała bardziej pokojowych tonów, co dowodziło z jednej strony - ciekawości, z drugiej zaś - możliwości jej zaspokojenia. Wreszcie młoda kobieta odezwała się swym poprzednim, unizonym i przymilnym tonem:

- Ta śliczna panienczka przyszła zamieszkać z nami. Nie radzi jesteście?

- Bardzo radzi - odparł młodszy mężczyzna spoglądając na srebrny naporstek Madzi i inne drobiazgi, wyciągnięte z jej kieszeni. Zwrócił wszystko młodej kobiecie, oprócz naporstka, powiedział coś przy tym, a ona natychmiast włożyła drobiazgi z powrotem do kieszeni Iziewczynki. Mężczyźni tymczasem usadowili się wygodnie i przypuścili szturm do kociołka, który zdjęto z ognia, a zawartość - duszone mięso z kartoflami - wyrzucono na żółtą miskę.

Madzia powoli dochodziła do wniosku, że Tomek miał jednak

-? rację mówiąc o Cyganach - to z pewnością złodzieje, chyba że ten Mężczyzna ma zamiar oddać jej kiedyś naporstek. Chętnie by mu go

128 KSIĘGA PIERWSZA

dała, bo nie była przywiązana do tego drobiazgu, jednak myśli, że znajduje się między złodziejami, przeważała nad pociechą, że oto znów zaczęli odnosić się do niej z szacunkiem. Wszyscy złodzieje z wyjątkiem Robin Hooda⁴⁹ to źli ludzie. Kobiety zauważyły, że mała jest przestraszona.

- Nie mamy co dać jeść naszej małej panienczce - zaczęła starucha przymilnym głosem. - A ona taka głodna, nasza śliczna panienczka.

- Masz tu, kochaneczko, spróbuj troszkę - rzekła młodsza, wręczając Madzi na brązowym talerzu trochę potrawy z kociołka i żelazną łyżkę. Dziewczynka, pamiętając, że starucha gniewała się, kiedy nie chciała jeść chleba i bekonu, nie ośmieliła się odmówić teraz, choć strach odebrał jej cały apetyt. Gdyby tak tatuś przejeżdżał tędy gigiem i zabrał ją ze sobą! Albo choćby Wyrwidąb, albo Waligóra, albo święty Jerzy, co na półpensówkach zabija smoka, żeby ktoś z nich akurat tędy przejeżdżał! Serce jednak zamarło w niej na myśl, że nikt nigdy nie oglądał tych bohaterów w okolicy St. Ogg's - o żadnych cudach tu nie słyszano. Jak widzicie, Madzi Tulliver daleko było do dobrze ułożonej, wykształconej panienci, jaką musi być w naszych czasach ośmio- czy dziewięcioletnia dziewczynka. Chodziła zaledwie rok do szkoły w St. Ogg's⁵⁰ i miała tak niewiele książek, że niekiedy czytywała słownik. Tak więc, lustrując jej młodociany umysł, moglibyście się natknąć w pewnych dziedzinach na zaskakującą niewiedzę lub też na nieoczekiwane wiadomości. Madzia mogłaby was poinformować o istnieniu

⁴⁹ Robin Hood - legendarny rycerz, który - uchodząc przed prawem w średniowieczu - schronił się wraz z wiernymi towarzyszami w lasach północnej Anglii, gdzie łupił bogaczy, a obdarowywał biednych. Jest bohaterem cyklu ballad ludowych.

⁵⁰ Ta jedyna ogólnikowa wzmianka o szkole Madzi pozwala się domyślać, że posyłano ją - podobnie jak Mary Anne Evans - do skromnej miejscowej szkółki, prowadzonej zwykle przez starszą kobietę (stąd nazwa dame's school), która uczyła czytania, pisanie i rachunków za niewielką opłatą (również szkoły podstawowe nie były w tym okresie obowiązkowe ani bezpłatne).

ROZDZIAŁ XI

129

takiego słowa, jak "poligamia", znała również "poliglotów", z czego wywnioskowała, że "poli" znaczy "wiele". Nie wiedziała jednak, że Cyganie nie zaopatrują się w towary kolonialne, a jej pojęcia były zazwyczaj najdziwniejszą mieszaniną dużej bystrości i sennych wyobrażeń.

W ciągu ostatnich pięciu minut jej pogląd na Cyganów uległ gwałtownej zmianie. Najpierw uważała ich za ludzi szacownych, których łatwo nakłoni do nauki, teraz jednak zaczęła przypuszczać, że chcą ją zabić, jak się tylko ściemni, pokrajać i gotować w kawałkach. Zaświtało jej także w głowie podejrzenie, że ten mężczyzna o okrutnym wzroku to pewno diabeł, który w każdej chwili może zrzucić swe tak oczywiste przebranie i zmienić się albo w roześmianego kowala, albo w potwora o ognistych ślepiach i smoczych skrzydłach. Czowała, że nie przełknie ani kęsa, a jednak najbardziej się bała urazić Cyganów, zdradzając swą nieprzychylną o nich opinię; zastanawiała się więc z przejęciem i wnikliwością, jakiej nie zdołałby dorównać żaden teolog, czy jeśli to jest rzeczywiście diabeł, to wie, co ona myśli w tej chwili.

- Co? Nie pachnie panience? - zapytała młoda kobieta, widząc że Madzia nie wzięła do ust ani kęsa. - Spróbuj trochę! No!

- Nie, dziękuję - odparła Madzia przywołując na pomoc wszystkie siły i robiąc rozpaczliwe starania, by się uśmiechnąć przyjaźnie.

- Boję się, że nie mam czasu ... ściemnia się ... Chyba już muszę iść do domu ... przyjdę tu kiedy indziej i wtedy przywiozę wam koszyk z ciastkami z dżemem i różne rzeczy.

Rzucając tę zwodniczą myśl, Madzia wstała z żarliwą nadzieją w sercu, że Apollyon jest łatwowierny, lecz nadzieja ta prysła, kiedy starucha zawołała: - Hola, hola, śliczna panienczko. Zawieziemy cię bezpiecznie do domu, jak tylko zjemy wieczerzę. Pojedziesz do domu jak dama.

Madzia usiadła więc nie bardzo wierząc w tę obietnicę, choć obaczyła, że wysoka dziewczyna wstaje, zakłada uzdę osiołkowi i zarzuca mu na grzbiet jakieś worki.

I

130 KSIĘGA PIERWSZA

- A teraz, panienczko - odezwał się młody mężczyzna podnosząc się i podprowadzając osła - powiedz nam, gdzie mieszkasz, jak się nazywa to miejsce.

- W młynie Dorlcote - odpowiedziała ochotczo Madzia. - Mój ojciec to pan Tulliver ... on tam mieszka.

- Co, w tym wielkim młynie kawałek drogi od St. Ogg's?

- Tak - odparła Madzia. - Czy to daleko? Wydaje mi się, że poszłabym tam chętnie piechotą.

- Nie, nie, zaraz się ściemni, trzeba się spieszyć. A na osiołku będzie ci bardzo wygodnie, zobaczysz.

Mówiąc to uniósł Madzie i posadził ją na osła. Ulżyło jej, że nie ten stary będzie ją odprowadzał, ale wciąż jeszcze nie wierzyła, że naprawdę jedzie do domu.

- Masz tu swój śliczny kapturek - powiedziała młoda kobieta, wkładając Madzi na głowę wzgardzoną przez chwilę, a teraz chętnie widzianą część stroju. - I powiesz, że byliśmy dla ciebie dobrzy, prawda? I że nazywaliśmy cię śliczną panienczką?

- O tak, bardzo dziękuję, bardzo wam jestem wdzięczna. Ale chciałabym, żeby pani też ze mną poszła. - Wydawało jej się, że nie może być nic gorszego jak samotna podróż z jednym z tych okropnych mężczyzn. Chyba byłoby raźniej, gdyby ją zamordowano w większym gronie.

- Ach, ja ci się najbardziej podobam, prawda? - odparła kobieta. - Ale nie mogę iść z tobą, nie nadażyłabym.

Okazało się teraz, że mężczyzna również będzie jechał na osła, trzymając Madzie przed sobą, a ona, podobnie jak osiołek, nie mogła zaprotestować przeciwko takiemu obrotowi sprawy, chociaż żaden koszmar senny nie wydawał jej się nigdy tak przerażający. Kobieta poklepała ją po ramieniu i powiedziała "do widzenia", a osiołek, otrzymany od mężczyzny zdecydowaną wskazówkę za pomocą kija, ruszył szybkim krokiem w kierunku, skąd Madzia przyszła godzinę temu. Wysoka dziewczyna i mały łobuziak, również uzbrojeni w kije, byli łaskawi eskortować ich pierwsze sto jardów, pokrzykując i okładając osiołka.

ROZDZIAŁ XI

131

Nawet Leonora podczas swej nadprzyrodzonej podróży z duchem kochanka o północy nie była tak przerażona, jak biedna Madzia podczas tej całkiem ziemskiej podróży na krótkonogim osiołku, z Cyganem, który chciał zarobić pół korony. Czerwone światło zachodzącego słońca miało, w jej pojęciu, jakąś złowrobną wymowę, a na pewno nie bez związku z tym był przerażający ryk drugiego osiołka, z kłodą u nogi. Dwa niskie domki pod strzechą - jedyne, jakie minęli po drodze - pogłębiły jeszcze posępne wrażenie: były prawie bez okien, a drzwi miały zamknięte - bardzo możliwe, że mieszkały w nich czarownice, więc Madzia odetchnęła z ulgą, kiedy osiołek minął je bez zatrzymania.

Wreszcie, o radości! Ta najdłuższa w świecie droga skończyła się, dochodząc do szerokiego gościńca, którym właśnie przejeżdżał jakiś powóz. A na zakręcie był drogowskaz - z pewnością widziała go już kiedyś: "Do St. Ogg's - 2 mile". A więc Cygan naprawdę miał zamiar odwieźć ją do domu - chyba to jednak dobry człowiek i może sprawiła mu przykrość, nie chcąc z nim jechać sam na sam. Dziewczynka upewniała się w tym przekonaniu, w miarę jak poznawała wiodącą do domu drogę, i myślała teraz, jak by tu rozpocząć rozmowę z urażonym Cyganem i nie tylko ułagodzić jego uczucia, ale i zatrzeć wrażenie własnego tchórzostwa. Wtem, kiedy dojechali do skrzyżowania dróg, Madzia zobaczyła zbliżającego się jeźdźca na koniu z białą strzałką.

- Och, niech pan się zatrzyma! - zawołała. - Mój tatuś jedzie! Tatusiu! Tatusiu!

Nagła radość była niemal bolesna i kiedy ojciec zrównał się z nimi, Madzia płakała. Pan Tulliver zdumiał się niezmiernie, wracał bowiem okrężną drogą z Basset i jeszcze nie był w domu.

- Cóż to wszystko znaczy? - zapytał wstrzymując konia, podczas gdy Madzia ześliznęła się z osła i podbiegła do ojcowskiego strzemienia.

Leonora - tytułowa bohaterka ballady niemieckiego poety Gotfryda Augusta Burgera (1747-1794), porwana przez ducha swego zmarłego narzeczonego dla odbycia zaślubin u jego grobu. U Burgera bohaterka ma na imię Lenore; autorka zmieniła pisownię, powtórzyła zmianę tłumaczka.

KSIĘGA PIERWSZA

132

- Zdaje mi się, wielmożny panie, że młoda panienska zgubiła drogę - tłumaczył Cygan.

Przyszła do naszego namiotu na tamtym końcu drogi do Dunlow, więc ją odwiozłem, kiedy powiedziała, gdzie mieszka. To długa droga, a jeszcze człowiek cały dzień był na nogach.

- Tak, tatusiu, on był taki dobry, że mnie tutaj przywiózł - wołała Madzia. - Bardzo uprzejmy, zacny człowiek.

- Masz tu, pocziwcze - pan Tulliver wyciągnął z kieszeni pięć szylingów. - To najlepsza robota, jaką zrobiłeś w życiu. Nie mogę sobie pozwolić na utratę tej dziewczuszki. Posadź ją tutaj, przede mną.

- No, Madziu, jak to było, powiedz? - pytał, kiedy jechali drogą, a córka położyła mu głowę na piersi i szlochała cicho. - Jak to się stało, że zawędrowałaś tak daleko i zgubiłaś drogę?

- Tatusiu - szlochała Madzia. - Uciekłam, bo taka byłam nieszczęśliwa. Tomek się na mnie złościł. Nie mogłam tego znieść!

- Et, co tam - uspokajał ją ojciec. - Jak można nawet myśleć o uciekaniu od tatusia. Co on by zrobił bez swojej małej dziewczuszki?

- Już nigdy tego nie zrobię, tatusiu ... nigdy!

Tego wieczoru, po przyjeździe do domu, pan Tulliver wydał bardzo kategoryczne rozporządzenie, a rezultat był niesłychany, bo Madzia nigdy nie usłyszała ani od matki, ani od Tomka jednego słowa szyderstwa czy wyrzutu za szaleństwo, jakim była jej ucieczka do

Cyganów. Trochę ją nawet przeraziło to niezwykle zachowanie rodziny i chwilami myślała, że może postąpiła zbyt strasznie, by w ogóle można było o tym mówić.

ROZDZIAŁ XII

PAŃSTWO GLEGG U SIEBIE

Jeśli chcemy zobaczyć państwa Glegg w ich domu, musimy wejść do St. Ogg's, tego czcigodnego miasta o dachach pokrytych czerwoną, falistą dachówką i przysadzistych budynkach nadbrzeżnych, gdzie

ROZDZIAŁ XII

133

czarne okręty wyładowują towary przywiezione z dalekiej północy, a w zamian za to wywożą cenne produkty z głębi wyspy - dobrze wyrobione sery i miękkie owcze runo, które z pewnością znają moi wykształceni czytelnicy z najlepszych sielanek klasycznych.

Jest to jedno z tych starych, bardzo starych miast, które wydają się kontynuacją i wykwitaniem natury, podobnie jak gniazda rajskiego ptaka czy kręte chodniki białych mrówek; miasto, na którym, jak na tysiącletnim drzewie, znać ślady długiego rozwoju i historii; miasto, które powstało i żyje na tym samym obszarze między rzeką a niskim pagórkiem od czasów, kiedy legiony rzymskie odwróciły się od niego, opuszczając obóz na stoku wzgórza, a długowłosi królowie morza, płynący w górę rzeki, wpatrywali się chciwym, dzikim wzrokiem w żyzną ziemię. Jest to miasto "za pan brat z wiekami". Przesuwa się tu czasami cień bohaterskiego króla saksońskiego, który wspomina wypadki z czasów swej młodości i miłości, i napotyka jeszcze bardziej ponury cień straszego duńskiego poganina, przebitego pośród własnych wojowników mieczem niewidzialnego mściciela. Cień Duńczyka wstaje w jesienne wieczory jak biała mgła sponad kurhanu na wzgórzu i zawisa nad podwórcem starego dworzyszca nad rzeką, w miejscu owego zadziwiającego morderstwa, dokonanego, nim jeszcze stary dwór został zbudowany. To Normanowie zaczęli wznosić tę wspaniałą budowlę, która, jak całe miasto, mówi o myślach i o dziełach niezliczonych pokoleń; jest ona już tak stara, że z pełnym miłości wyrozumieniem spoglądamy teraz na dysharmonię poszczególnych jej elementów i cieszymy się, że ci, co budowali kamienne wykusze, i ci, co wznosili gotycką fasadę i wieżę z pięknej drobnej cegły z ozdobami w kształcie listków koniczyny, a okna i strzelnice obmurowali kamieniami, nie zburzyli świętokradczo starożytnego korpusu budowli z wielką, do połowy z drzewa wzniesioną izbą biesiadną krytą dębowym dachem.

Ale może starszy nawet od tego starego dworzyszca jest skrawek muru, stanowiący teraz część dzwonnicy parafialnego kościoła. Mówią, że jest to pozostałość po starej kaplicy wzniesionej ku czci

134 KSIĘGA PIERWSZA

świętego Ogga⁵², patrona tego starożytnego miasteczka. Mam manuskrypty historii tego świętego w kilku wersjach. Skłaniam się ku najkrótszej, ponieważ jeżeli nawet nie jest całkiem prawdziwa, zawiera prawdopodobnie najmniej kłamstwa.

"Ogg, syn Beorla - powiada mój prywatny hagiograf - był przewoźnikiem i na swe nędzne utrzymanie zarabiał przewożąc ludzi przez rzekę Flossę. I stało się pewnego dnia, kiedy dęły mocarne wiatry, że nad brzegiem rzeki siadła kobieta z dzieckiem na ręku i jęczała. A ubrana była w łachmany i twarz miała starą i zniszczoną, i błagała, by ją przewieziono na drugą stronę rzeki. A ludzie, którzy tam byli, pytali ją i mówili: - Po cóż chcesz jechać przez rzekę? Poczekaj do rana, a na noc schroń się tutaj; to będzie postępek rozumny, a nie szalony. - Ale ona dalej prosiła i płakała. A Ogg, syn Beorla, wstał i powiedział: - Przewiozę cię przez rzekę. Wystarczy mi, że tego pragnie twoje serce. - I przewiózł ją. I stało się, kiedy wyszła na brzeg, że łachmany jej przemieniły się w suknie najczystszej bieli, a twarz rozjaśniła się i wypiękniała cudownie; i otoczyła ją aureola, a od całej postaci bił blask jak od księżyca w najjaśniejszej kwadrze. I powiedziała niewiasta: - Oggu, synu Beorla, błogosławiony jesteś, boś nie pytał i nie swarzył się z potrzebą serca, ale przejęła cię litość i pomogłeś mi nie

mieszkając. I od dnia dzisiejszego, ktokolwiek wstąpi w łódź twoją, niech nie obawia się burzy, a kiedykolwiek popłynie ona na ratunek, wybawi od śmierci ludzi i bydła. - I kiedy przychodziły powodzie, wielu zostało uratowanych dzięki temu błogosławieństwu, zesłanemu na łódź. Lecz gdy umarł Ogg, syn Beorla, i dusza jego pożegnała się z ciałem, patrzcie oto! łódź zwolniła się z cum i na fali odpływu spłynęła z wielką prędkością do oceanu, a nikt jej więcej nie oglądał. Ale później, w czasie powodzi, wielu ludzi widziało, gdy zmrok opadał na ziemię, jak Ogg, syn Beorla, płynął swą łodzią po szeroko rozlanych wodach, a na dziobie jej siedziała Paniienka

52 Brak wzmianki o św. Oggu w autorytatywnym siedemnastotomowym dziele *The Lives of Saints* Sabina Baring- Goulda (1834-1924). Przytoczony tu fragment legendy o nim jest fikcyjny i został prawdopodobnie wprowadzony jako jedna z licznych zapowiedzi końcowej powodzi.

ROZDZIAŁ XII

135

Najświętsza, rozsyłając wokół blaski, jak księżyc w najjaśniejszej kwadrze, wiosłarze zaś nabierali serca w gęstniejących mrokach i z nową siłą chwyтали za wiosła".

Legenda ta, jak widać, mówi iż w najodleglejszych czasach zdarzały się tu powodzie, które, jeśli nawet nie powodowały śmierci ludzi, niosły zagładę bezbronnemu bydłu i jak zaraza zmiatały wszystkie mniejsze stworzenia z powierzchni ziemi. Ale miasto przeżywało rzeczy jeszcze gorsze niż powódź - nieszczęścia wojny domowej, kiedy to przez długi czas było polem bitewnym, na którym najpierw purytanie dziękowali Bogu za krew lojalistów, a później lojaliści dziękowali Bogu za krew purytanów⁵³. Wielu uczciwych obywateli straciło majątek w owych czasach, nie chcąc narazić się na utratę spokoju sumienia, i w nędzy wyszło z rodzinnego miasta. Są jeszcze na pewno domy, które porzucili z bólem, domy o dziwacznych szczytach wyglądające na rzekę, stłoczone teraz między nowszymi budynkami nadbrzeżnymi, domy, wśród których wiją się dziwne, kręte przejścia, wyprowadzające przechodnia na błotnisty brzeg, ustawicznie zalewany wzbierającą falą przyprływu. Ceglane domy mają dostawy wygląd; w czasach pani Glegg nie było jeszcze tej nowoczesnej, rażącej elegancji, żadnych tam tafli szklanych w oknach wystawowych, żadnych stiuków na fasadach ani innych zbędnych faramuszków usiłujących nadać staremu, pięknemu, czerwonemu miastu nowomodny wygląd. Wystawy sklepowe były małe i skromne, gdyż żony i córki farmerów, które przychodziły po sprawunki w dni targowe, i tak nie porzuciłyby sklepów, do których od dawna przywykły, sprzedawcy zaś nie mieli towarów dla obcych, przypadkowych Przechodniów, których więcej na oczy nie zobaczą. Ach, nawet czasy pani Glegg wydają się teraz takie odległe; oddzielają nas zmiany, które wydłużają lata. Wojna i odgłosy wojny wymarły w ludzkiej pamięci, a Jeśli jakiś farmer w tabaczkowym surducie pomyśli o niej, wy-

Mowa tu o rewolucji purytańskiej i wojnie domowej 1642-1649, zakończonej straceniem Karola I i przejściem na jedenaście lat rządów przez parlament, a następnie przez Olivera Cromwella jako Lorda Protektora.

16 BN n/234 G. Eliot: Młyn nad Flossą

136 KSIĘGA PIERWSZA

trząsając w dzień targowy ziarno z woreczka z próbkami i rozmawiając na zatłoczonym targowisku- to jak o sprawie należącej do minionego złotego wieku, kiedy to ceny stały wysoko. Jasne, że skończyły się bezpowrotnie czasy, w których mogły tu przypląć na wodach szerokiej rzeki nieproszone okręty⁵⁴; Rosja była teraz jedynie dostawcą siemienia lnianego⁵⁵-im więcej go przyśle, tym lepiej - miewa dla wielkich, obracających się w pionie kamieni młyńskich, z ramionami jak kosy, które kręciły się, gniotąc ziarno z rykiem, jakby w nich mieszkwały dusze potępione. Trzy najgorsze zła, jakich zdaniem mieszkańców St. Ogg's obawiać się powinna ludzkość, to: katolicy, nieurodzaj i tajemnicze wahanie koniunktury, bo

większych powodzi nie było w ostatnich latach. Wyobrażenia mieszkańców miasta nie sięgała daleko ani w przód, ani wstecz. Miasto odziedziczyło swą historię i nie myślało o niej, nie umiało dojrzeć błakających się po ulicach duchów. Od czasów, kiedy widywano na szerokich wodach świętego Ogga, jego łódź i Najświętszą Panię na dziobie, tyle wspomnień odeszło w przeszłość i zniknęło powoli jak pagórki w dali. A czasy obecne podobne były równej płaszczyźnie, na której ludzie przestają wierzyć w wulkany i trzęsienia ziemi, pewni, że jutro będzie takie samo jak dzisiaj, a olbrzymie siły, co wstrząsnęły kiedyś ziemią, zostały na zawsze uspięne. Minęły dni, kiedy wiara przeorywała ludzi do głębi, minęły też dni, kiedy ludzie ją zmieniali. Obawiano się katolików dlatego, że chcieli przejąć w swoje ręce władzę i majątki, i palić ludzi żywcem, a nie dlatego, że uczciwy parafianin przy zdrowych zmysłach mógłby uwierzyć w papieża⁵⁶. Pewien leciwy

54 Prawdopodobnie chodzi tu o okręty francuskie; od r. 1793 aż do upadku Napoleona Anglia czuła się bowiem zagrożona inwazją z kontynentu.

55 Rosja wcześniej była również dostawcą pszenicy, której jednakże w czasie wojen napoleońskich zaczęto uprawiać znacznie więcej i w r. 1815 zakazano całkowicie jej importu, by uniknąć zbyt wielkiej obniżki cen i w ten sposób ochronić interesy wielkich właścicieli ziemskich.

56 Nienawiść do katolików, stale podejrzewanych o przygotowywanie spisku mającego obalić protestantyzm, w XIX w. miała już tylko charakter obsesji, byli oni bowiem zbyt nieliczni, by stanowić groźbę dla państwa i Kościoła anglikańskiego.

ROZDZIAŁ XII

137

człowiek pamiętał jeszcze głęboki wstrząs, jaki przeżył tłum prostych ludzi, kiedy na targu bydła kazał John Wesley⁵⁷. Ale od dłuższego już czasu nikt nie oczekiwał od kaznodziei, by wstrząsał ludzką duszą. Czasem wybuchały namiętności na kazalnicach dysydenckich, gdy szło o chrzest niemowląt, lecz był to jedyny objaw gorliwości religijnej, niezgodny z duchem tych trzeźwych czasów, w których ludzie skończyli ze zmianami. Protestantyzm okrzepł w spokoju, niepomyślny na schizmy i nie dbający o nowe dusze. Dysydenci dziedziczyli wyznanie wraz z lepszymi ławkami kościelnymi i znajomościami handlowymi; anglikanie odnosili się do sekt dysydenckich z pogardą i zdziwieniem, uważając je za zwariowany obyczaj, który przyjął się na ogół tylko w rodzinach kupców korzennych i kramarzy, choć zdarzał się niekiedy i w zamożnym handlu hurtowym. Razem jednak z Kwestią Katolicką⁵⁸ nadszedł lekki wiew polemicznych wiatrów, który zburzył spokój. Sędziwy pleban jął się odwoływać do historii i podnosił wątpliwości, a pan Spray, duchowny Niezależny⁵⁹, zaczął wygłaszać kazania polityczne, w których ogromnie subtelnie zaznaczał różnicę między swą żarliwą wiarą w to, że katolicy mają prawo do głosowania, i równie żarliwą wiarą w ich wieczne potępienie. Większość jednak słuchaczy pana Spraya nie potrafiła się połapać w tych subtelnościach i wielu staroświeckich dysydentów miało mu za złe, że "trzyma z katolikami", a inni uważali po prostu, że nie powinien się wtrącać do

John Wesley (1703-1791) - twórca sekty metodystów, która od swego legalizowania w r. 1784 ożywiła znacznie religijność najuboższych warstw, zwłaszcza zamieszkałych w nowo powstałych miastach przemysłowych, gdzie

z braku kościołów nie były one objęte pracą duszpasterską Kościoła anglikańskiego.

Kwestia Katolicka - zamiar przyznania katolikom irlandzkim prawa wybierania w swoich okręgach posłów do parlamentu angielskiego podzielił opinię publiczną wiosną 1829 (por. przyp. 37).

Duchowny Niezależny - kapłan w kościele kongregacjonalistów, sekty protestanckiej niezależnej od Kościoła anglikańskiego. W sekcie tej wszystkie

-? ważne decyzje podejmowane były przez samych parafian. Podobnie jak

-? ucy, członkowie sekt protestanckich nie posiadali zasadniczo praw

politycznych (por. C.P. H i 11, op. cit., s. 212), stąd zapewne ich zainteresowanie sprawą i poparcie dla przyznania Irlandczykom prawa do głosowania.

16

138 KSIĘGA PIERWSZA

polityki. W St. Ogg's nie szanowano zbyt instynktu społecznego, a każdy, kto się zajmował polityką, budził podejrzliwość, był niebezpieczny; na ogół tacy ludzie nie mieli swojej własności do doglądania

- chyba że niewielką - a jeśli już prowadzili jakieś interesy, musiała nad nimi wisieć groźba niewypłacalności.

Tak, ogólnie biorąc, wyglądał stan rzeczy w St. Ogg's za czasów pani Glegg, dokładnie w tym okresie historii jej rodziny, w którym dama ta pokłóciła się z panem Tulliverem. Były to czasy, kiedy ignorancja stanowiła o wiele mniejszą przeszkodę niż dzisiaj, bo przyjmowana była z honorami w najlepszym towarzystwie bez potrzeby oblekania się w wyszukane szaty wiedzy; czasy, kiedy nie było tanich wydawnictw periodycznych i kiedy lekarzowi wiejskiemu nie przyszłoby do głowy zapytać pacjentkę, czy lubi książki, wiedział bowiem z góry, że woli plotki; czasy, kiedy kobiety w bogatych jedwabnych szatach nosiły wielkie kieszenie, a w nich kość baranią, która miała je chronić przed kurczami. Pani Glegg nosiła taką kość, odziedziczoną po babce wraz z suknią z brokatu, która postawiona na podłodze, stała sztywno jak zbroja. Wraz z suknią pani Glegg odziedziczyła również laseczkę ze srebrną gałką, rodzina Dodsonów bowiem była już od wielu pokoleń rodziną wielce szacowną.

Pani Glegg miała w swoim pięknym domu w St. Ogg's dwa saloniki

- od frontu i od tyłu, posiadała więc dwa punkty widzenia, z których mogła obserwować słabości innych i pogłębiać swą wdzięczność dla Opatrzności za własną wyjątkową siłę ducha. Z okien frontowych wyglądała na ulicę Tofton, prowadzącą na peryferie miasta, i stwierdzała wzrastającą tendencję do "włóczenia się" kobiet, żon ludzi, którzy nie wycofali się jeszcze z interesów. Zauważyła również zwyczaj noszenia włóczkowych bawełnianych pończoch, co otwierało smutne perspektywy dla przyszłych pokoleń⁶⁰. Z okien, wychodzących na

⁶⁰ Niechęć pani Glegg do bawełnianych pończoch miała prawdopodobnie podwójne źródło: był to niedawno wprowadzony wyrób fabryczny, który w jej pojęciu zachęcał kobiety do lenistwa, nadto - w odróżnieniu od wełny

- powstawał z importowanego surowca, który w czasach jej młodości był kosztowny z racji blokady portów angielskich przez siły Napoleona.

ROZDZIAŁ XII

139

tyły domu, mogła spoglądać na ładny ogród i sad ciągnący się aż do rzeki, i na to, że pan Glegg znowu marnuje czas na "te kwiaty i jarzyny". Pan Glegg bowiem, wycofawszy się z czynnego udziału w handlu wełną, by odpoczywać przez resztę życia, doszedł do wniosku, że to ostatecznie zajęcie jest o wiele bardziej męczące od poprzedniego, wobec czego zaprzęgnął się amatorsko do ciężkich robót dla rozrywki i odpoczywał zwykle przy pracy, jaką musiałoby wykonać dwóch zawodowych ogrodników. Oszczędność na wynagrodzeniu ogrodników sprawiła zapewne, że pani Glegg przez palce patrzyła na to szaleństwo, jeśli założymy, że kobieta przy zdrowych zmysłach zdolna jest choćby udawać szacunek dla koników męża.

Wiadomo jednak, że podobna uległość małżeńska jest cechą jedynie słabszych przedstawicielek płci żeńskiej, które nieczęsto zdają sobie sprawę z ogromu odpowiedzialności, jaka ciąży na zonie, prawowitym kacie mężowskich radości, tak rzadko rozsądnych i godnych pochwały.

Pan Glegg ze swej strony również miał dwojakie możliwości zajęcia umysłu, a każda z nich, według wszelkiego prawdopodobieństwa, była niewyczerpana. Przede wszystkim więc był zdumiony i zaskoczony własnymi odkryciami z dziedziny przyrody, stwierdziwszy, że na

jego kawałku ziemi w ogrodzie żyją cudowne liszki, ślimaki i owady, które, o ile mu wiadomo, nigdy dotychczas nie zainteresowały żadnego badacza. Stwierdził również wyraźną zależność między tymi zjawiskami zoologicznymi a wielkimi współczesnymi im wydarzeniami - na przykład, że przed pożarem w York na liściach róży pojawiły się tajemnicze spiralne ślady, jak również ogromna ilość ślimaków, nad czym wprawdzie długo się zastanawiał, aż wreszcie jak olśnienie przyszła mu do głowy smutna myśl o pożarze katedry. (Pan Glegg odznaczał się Ogromną energią umysłu, która, odsunięta od handlu wełną, musiała znaleźć sobie inne ujście). Drugim tematem jego rozważań była kobieca przekora", której znakomity przykład stanowiła pani Glegg.

Była to istota stworzona - w sensie genealogicznym - z zebra mężczyzny i dzięki temu otaczana najwyższym szacunkiem bez

żadnych wysiłków z jej strony ustawicznie sprzeciwiała się najuprzej-

40 KSIĘGA PIERWSZA

miejszym propozycjom, a nawet najdalej idącym ustępstwom - była to absolutna tajemnica w układzie wszechrzeczy, do której pan Glegg niejednokrotnie szukał klucza w pierwszych rozdziałach Księgi Rodzaju⁶¹. Pan Glegg wybrał najstarszą pannę Dodson jako wdzięczne i miłe uosobienie roztropności i gospodarności, a że był z typu ludzi, którzy umieją zdobyć i utrzymać pieniądze, liczył na wielką harmonię w swym małżeństwie. Lecz może się zdarzyć w tej dziwnej mieszance, jaką jest charakter kobiety, że chociaż składniki wybrano znakomite, całości czegoś nie dostaje. Wspaniałe, systematyczne skąpstwo może być podlane zaprawą, która całkowicie psuje jego smak. Pan Glegg był człowiekiem skąpym w miłym tego słowa znaczeniu; sąsiedzi powiadali o nim, że "pilnuje swego", co zwykle oznacza, że osoba, o której mowa, jest sympatycznym sknerą. Jeśliby ktoś powiedział, że lubi skórki od sera, pan Glegg nie zapomniałby zbierać ich dla owego amatora z dobrodusznym zadowoleniem, że zaspokaja czyjeś gusta, lubił też pieścić wszystkie zwierzęta, które nie wymagały kosztownego żywienia. Nie było w nim szarlatanerii ani hipokryzji. Oczy napełniłyby mu się najszczerzszymi łzami na widok wyprzedaży wdowich mebli, wyprzedaży, którą mógłby powstrzymać pięciofuntowym banknotem ze swojej kieszeni. Ale podarowanie pięciu funtów osobie "z dołów" wydawałoby mu się bardziej rozrzutnością niż miłosierdziem, które w jego pojęciu wyrażało się w drobnych datkach, a nie w ratowaniu kogoś z nieszczęścia. Pan Glegg lubił oszczędzać cudze pieniądze tak samo jak swoje. Jeździłby okrężnymi drogami, by uniknąć wydatku na rogatek z własnej kieszeni, tak samo jak w wypadku, gdyby ktoś inny płacił za jego podróż. Z niezmiernym zapałem próbował namówić znajomych, by używali zamiast czernidła taniej jego namiastki. Ten niewzruszony zwyczaj oszczędzania, jako cel sam w sobie, był w poprzednim pokoleniu cechą przedsiębiorczych ludzi interesu, którzy majątki swe robili tak wolno, jak pies gończy idzie po tropie lisa. Zwyczaj ten tworzył z nich "rasę" niemal niespotykaną w dzisiejszych czasach prędkiego zdobywania majątku, gdzie rozrzutność

⁶¹ Księga Rodzaju (tj. Stworzenia) - pierwsza księga Starego Testamentu.

ROZDZIAŁ XII

141

jedzie prawie na karku potrzeby i braku. W dawnych czasach rzadko zdobywało się "niezależność" bez odrobiny sknerstwa jako niezbędnego warunku; moglibyście je spotkać w każdym prowincjonalnym okręgu, w połączeniu z tak różnorodnymi charakterami, jak różnorodne są owoce, z których można zrobić kwas. Prawdziwy Harpagon⁶² to zwykle człowiek wyróżniający się i wyjątkowy, odwrotnie niż poczciwy płatnik podatków, który, raz sobie odmawiając z rzeczywistej konieczności, zachował później, nawet po odejściu od czynnej pracy, w wygodnym życiu, kiedy już miał skrzynki z winem i pnącza owocowe na ścianach domu - zwyczaj patrzenia na życie jako na umiejętność tak zręcznego przejadania

swego kapitału, aby nie powstał w nim widoczny wyłom. Ludzie ci wyzbyliby się nowo opodatkowanego luksusu równie szybko w wypadku, gdyby mieli pięćset funtów czystego rocznego dochodu, jak wówczas, gdyby mieli pięćset funtów całego kapitału. Pan Glegg należał właśnie do tego typu ludzi, których ministrowie finansów uważają za ograniczonych. Wiedząc to wszystko, lepiej będziecie mogli pojąć, dlaczego nie zachwiało się jego przekonanie, że ożenił się bardzo stosownie, mimo zbyt piekących przypraw, jakie natura dodała do cnót najstarszej panny Dodson. Człowiek o miłym usposobieniu, który widzi, że żona zgadza się z nim co do podstawowej zasady życiowej, łatwo potrafi sobie wytłumaczyć, że żadna inna kobieta nie odpowiadałaby mu w takim stopniu, i bez poczucia wrogości odbywa z żoną codziennie kłótnie i drobne sprzeczki. Pan Glegg był człowiekiem skłonny do refleksji, a kiedy porzucił wełnę, rozmyślał z pewną dozą zdziwienia nad szczególną konstytucją umysłu kobiecego, który miał możliwość obserwować w swym życiu domowym. A mimo to sposób prowadzenia domu przez panią Glegg stawiał za wzór wszystkim kobietom: wydawało mu się godną politowania niestarannością, jeśli inne kobiety nie zwijały swych serwetek równie dokładnie i w skupieniu jak Harpagon - główna postać w Skąpcu, jednej z najślawniejszych komedii Moliera (właśc. Jean- Baptiste Poquelin, 1622-1673). Harpagon jest uosobieniem skąpstwa.

142 KSIĘGA PIERWSZA /

pani Glegg, jeśli ich ciasta miały mniej twardą konsystencję, a powidła śliwkowe mniej czcigodną gęstość niż powidła jego żony. Nawet specyficzna mieszanina zapachu wiktuałów i lekarstw w prywatnym kredensie pani Glegg wydawała mu się jedynym właściwym zapachem kredensu. Wcale nie jestem pewien, czy gdyby się przez tydzień nie kłócili, pan Glegg nie zatęskniłby za małą sprzeczką, nie wątpię zaś, że przy żonie ustępliwej i łagodnej myśli jego stałyby się w porównaniu z obecnymi czcze i wyzbyte tajemniczości. Niezawodną dobroć pana Glegg można poznać chociażby po tym, że bardziej go bolało, gdy żona kłóciła się z obcymi - choćby ze służącą Dolly - niż kiedy gderała na niego; a jej kłótnia z panem Tulliverem tak go ogromnie przygnębiła, iż gdy następnego ranka spacerował po ogrodzie przed śniadaniem, niemal nie odczuwał przyjemności na widok wczesnej kapusty. Mimo to poszedł na śniadanie z nadzieją w sercu, że teraz, kiedy pani Glegg "wyspała się i zastanowiła", może zmięknie na tyle, by zdołało w niej zatriumfować zwykłe i mocne poczucie godności rodzinnej. Zawsze się pyszniła tym, że w rodzinie Dodsonów nie istniały nigdy te śmiertelne, zawzięte kłótnie, jakimi się kompromitowały inne rodziny; że żaden z Dodsonów nie został nigdy "wydziedziczony" i żaden z kuzynów Dodsonów również nie został wydziedziczony, bo i po cóż zresztą? Nie mieli kuzynów, którzy by nie posiadali lokat pieniężnych albo w najgorszym przypadku własnych domów.

Jedna chmura wieczorna zawsze zniknęła z czoła pani Glegg, gdy matrona zasiadała do śniadania - a mianowicie fryzowane loczki; podczas bowiem porannych zajęć gospodarskich byłoby zwykłą ekstrawagancją wkładać je do zagniatania twardego ciasta. Wymagała ich natomiast przyzwoitość o godzinie wpół do jedenastej - do tego czasu pani Glegg mogła je oszczędzać bez wiedzy okolicznego towarzystwa. Ale nieobecność jednej chmury bardziej uwypuklała dzisiaj tę, która pozostała - surową zmarszczkę na czole. Zauważywszy to, pan Glegg, zasiadając do swych płatków na mleku, co było oszczędnym sposobem zaspokajania porannego głodu, postanowił przezornie zostawić zapoczątkowanie rozmowy żonie, ponieważ to-

ROZDZIAŁ XII

143

war tak delikatny jak temperament kobiety może ucierpieć przy lada dotknięciu. Ludzie, którzy lubią własną złość, mają doskonały sposób zachowywania jej w dobrym stanie, mianowicie nakładają sobie pewne ograniczenia. Taka właśnie była metoda pani Glegg:

zrobiła sobie tego ranka słabszą niż zwykle herbatę i nie chciała wziąć masła. Fatalnie się złożyło, że wyraźna ochota do kłótni, zdolna wykorzystać każdą okazję, nie spotkała się z najmniejszą uwagą pana Glegg, którą mogłaby spożytkować. Ale powolutku okazało się, że i milczenie może się do tego nadać, pan Glegg bowiem usłyszał, jak żona zwraca się do niego tonem typowym dla ślubnej małżonki.

- No, mój drogi, pięknie mi zapłaciłeś za te wszystkie lata, kiedy ci byłam żoną - i to jaką żoną! Jeśli miałam być traktowana w ten sposób, to lepiej, żebym się o tym dowiedziała, nim jeszcze umarł mój biedny ojciec, a wtedy, gdybym chciała założyć dom, poszłabym gdzie indziej - jak mnie o to proszono.

Pan Glegg przestał jeść płatki i podniósł wzrok - nie w osłupieniu, ale z tym spokojnym, zwyczajnym zdumieniem, z jakim spoglądamy na wieczną tajemnicę.

- Ależ, pani G., co ja znowu zrobiłem takiego?

- Co zrobiłeś? Znowu? Wstyd mi za ciebie, mój drogi.

Nie znajdując stosownej odpowiedzi, pan Glegg wrócił do swych płatków.

- Są mężowie - ciągnęła pani Glegg po chwili przerwy - którzy wiedzą, co im przystoi, nie sprzymierzają się z pierwszym lepszym przeciwko własnej żonie. Może się mylę, a ty masz rację i potrafisz mnie o tym przekonać. Ale zawsze mi mówiono, że mąż powinien stać przy swojej żonie, a nie cieszyć się i zacierać ręce, kiedy ją inni obrażają.

- Jakżeż ty możesz tak mówić - zawołał pan Glegg, nawet z pewnym przejęciem, bo chociaż był człowiekiem dobrodusznym, jednak nie tak pokornego serca jak Mojżesz. - Kiedyż to się tak cieszyłem i zacierałem ręce?

- Można postępować gorzej, niż obraza Kogoś wprost, mój drogi. Wolałabym, żebyś mi powiedział w twarz, że mnie masz za nic,

-? żebyś się zachowywał tak, jakby wszyscy mieli rację, tylko nie ja,

144 KSIĘGA PIERWSZA

i przychodził na śniadanie rano, kiedy ja oka nie zmrzyłam całą noc, i patrzył tu na mnie spode łba, jakbym już nic nie znaczyła.

- Spode łba? - zapytał pan Glegg z gniewną żartobliwością. - Jesteś jak ten pijak, co myśli, że wszyscy wypili za dużo, tylko nie on.

- Nie ponizaj się mówiąc do mnie w ten ordynarny sposób, mój drogi! Stajesz się marnym człowiekiem, chociaż tego nie dostrzegasz - odparła pani Glegg tonem wybuchowego współczucia. - Człowiek twojej pozycji powinien dawać innym przykład i mówić bardziej do rzeczy.

- Tak, ale czy ty będziesz słuchała czegoś, co ma sens? - odparował ostro pan Glegg. - Nie mogę powiedzieć nic bardziej rozsądnego niż to, co już ci powiedziałem wczoraj wieczorem - że nie masz racji, jeśli chcesz przez głupią sprzeczkę wycofać pieniądze, które mogą leżeć bezpiecznie tam, gdzieś je złożyła. Miałem nadzieję, że zmienisz zdanie do dzisiejszego ranka. Ale jeśli chcesz pieniądze wycofać, nie rób tego teraz, w pośpiechu, bo jeszcze bardziej skłócisz rodzinę, tylko poczekaj, aż ci się nadarzy jakaś przyzwoita hipoteka. Teraz musiałabyś wziąć adwokata, żeby ci jaką wyszukał, i miałabyś wydatków co niemiara. Pani Glegg pomyślała, że istotnie coś w tym jest, ale potrząsnęła głową i wydała nieartykułowany jakiś wykrzyknik, aby zaznaczyć, że jej milczenie jest tylko zawieszeniem broni, a nie zawarciem pokoju. I rzeczywiście, wkrótce znowu wszczęła kroki wojenne.

- Będę ci wdzięczny za filiżankę herbaty, pani G. - odezwał się mąż widząc, że połowica nie zamierza mu, jak zwykle, kiedy skończył płatki, podać filiżanki herbaty. Podniosła dzbanek i lekko potrząsnąwszy głową powiedziała:

- Cieszę się słysząc, że będziesz mi wdzięczny, mój drogi- Niewiele otrzymałam od ludzi podziękowań za to, co zrobiłam na tym świecie, chociaż w twojej rodzinie, mój drogi, nie ma kobiety, która by się mogła ze mną równać, i na łożu śmierci powiem to samo. Ale zawsze

byłam uprzejma wobec twojej rodziny, muszą mi to przyznać, chociaż nie są mi równi i nikt mnie nie zmusi, żebym to powiedziała.

ROZDZIAŁ XII

145

- Nie wyszukuj lepiej wad w mojej rodzinie, dopóki nie przestaniesz kłócić się ze swoją własną, pani G. - odparł pan Glegg z pełnym złości sarkazmem. - Poproszę cię o dzbanek z mlekiem.

- Wszystko to kłamstwo, każde słowo, jakie tu usłyszałam - odparła pani, szczerze racząc go płynem, jakby chciała powiedzieć, że jeżeli mąż prosi o mleko, to już ona mu pokaże! - Wiesz dobrze, że to kłamstwo. Ja nie jestem z tych, co się kłóca z własną rodziną. Ty - owszem, wiem o tym dobrze.

- No więc, jak nazwiesz to, co było wczoraj, kiedy wyleciałaś wściekła z domu siostry?

- Nie kłóciłam się z moją siostrą, mój drogi, i kłamstwem jest tak twierdzić. Pan Tulliver nie jest moim krewnym, a poza tym to on się ze mną kłócił i wyrzucił mnie z domu. Ale ty wolałbyś pewno, żebym została i żeby mi wymyślali, mój drogi. Może się zmartwiłeś, żeś nie usłyszał więcej przekleństw i ordynarnych słów rzucanych na twoją żonę. Ale pozwól sobie powiedzieć, że to ty powinieneś się wstydzić, nie ja.

- Czy ktokolwiek w parafii słyszał coś podobnego? - zawołał pan Glegg rozgrzewając się nieco. - Kobieta, która ma na wszystko, której pozwolono zatrzymać posag, tak jakby dostała zapis, która ma nowe obicia gigu, i to jakie kosztowne! ... i tak zabezpieczona na wypadek mojej śmierci, jak sobie nawet nie wyobraża ... Żeby mi tu gryzła i warczała jak wściekły pies! W głowie się nie mieści, żeby Bóg Wszechmogący stworzył taką kobietę. - (Ostatnie słowa wypowiedziane były tonem rozpaczki i wzburzenia. Pan Glegg odsunął od siebie filiżankę i uderzył w stół obydwoma pięściami).

- Cóż, mój drogi, jeśli tak myślisz, to lepiej, że się o tym dowiedziałam - odparła pani Glegg, podnosząc serwetkę i zwijając ją w ogromnym podnieceniu. - Ale jeśli mówisz, że jestem zabezpieczona ponad moje spodziewanie, to pozwól sobie powiedzieć, że mam prawo spodziewać się tylu rzeczy, ilu mi tu brak. A jeśli chodzi o to, że jestem jak wściekły pies, dobrze będzie, jeśli cała parafia nie powie, że hańba, jak ty mnie traktujesz, bo tego już nie zniosę i znosić nie będę.

146 KSIĘGA PIERWSZA

W tym miejscu głos pani Glegg zabrzmiał nieco ławo i dama, nie mogąc wyrzec słowa, gwałtownie i ostro zadzwoniła.

- Sally - powiedziała wreszcie nieco zdławionym głosem, wstając z krzesła - napal w kominku na górze i zapuść rolety. Może będziesz łaskaw, mężu, powiedzieć, co chcesz na obiad. Ja proszę o kleik.

Pani Glegg podeszła do małej biblioteczki w drugim końcu pokoju i wyjęła stamtąd Wieczny odpoczynek świętych Baxtera⁶³, który zabrała ze sobą na górę. Książka ta leżała przed nią otwarta podczas specjalnych okazji - w dżdżyste ranki niedzielne albo kiedy pani Glegg dowiedziała się o śmierci w rodzinie, albo, jak w tym wypadku, kiedy jej małżeńska kłótnia była o oktawę wyższa niż zwykle⁶⁴.

Ale wraz z Wiecznym odpoczynkiem pani Glegg niosła na górę coś jeszcze, co razem z książką i kleikiem mogło mieć wpływ na stopniowe uspokojenie wzburzonych uczuć i umożliwić jej egzystencję aż do chwili podania herbaty na dole. Była to po części sugestia pana Glegg, że powinna zostawić pięćset funtów tam, gdzie je umieściła, póki się nie nadarzy okazja korzystnej lokaty⁶⁵, a po części jego nawiasowa uwaga, że dobrze ją zabezpieczył na wypadek swojej śmierci. Pan

⁶³Richard Baxter (1615-1691) - był teologiem presbiteriańskim, tj. reprezentował odłam protestantyzmu występujący w Szkocji i w Anglii, który odznaczał się surowością etyczną,

nadto nie uznawał władzy biskupiej, a zarządzanie gminą kościelną powierzał wybieranej w parafii radzie starszych. Dzieło czytane przez panią Glegg (*The Saint's Everlasting Rest*, 1650) było jednym z wielu, jakie wydał.

Prezentacja sceny małżeńskiej w domu państwa Glegg oraz powrotu do harmonii w końcowej części rozdziału uważana jest za jedną z najzabawniejszych scen w wiktoriańskiej powieści obyczajowej i jeden z bardziej udanych epizodów satyrycznych w twórczości George Eliot. 65 W Anglii istniały banki od końca XVII w. i udzielały kredytów, były to jednak pożyczki krótkoterminowe, przyznawane głównie przemysłowcom, którzy obracali pieniędzmi szybko. Pożyczki długoterminowe pochodziły najczęściej od osób prywatnych, które - posiadając niekiedy znaczne oszczędności - szukały możliwości ulokowania ich korzystnie bez nadmiernego ryzyka. W tej sytuacji pani Glegg miałaby na pewno trudności ze znalezieniem w małym mieście właściwego pożyczkobiorcy.

ROZDZIAŁ XII

147

Glegg, jak wszyscy mężczyźni jego typu, nie lubił mówić o swoim testamencie, a pani Glegg w chwilach przygnębienia miewała złe przeczucia, że jej mąż - podobnie jak niektórzy, o jakich słyszała

- żywi nędzne zamiary powiększenia jej wdowiego smutku przez nader skromny zapis, w którym to przypadku, jak mocno postanowiła, nie zasłoni sobie twarzy welonem i nie będzie płakała więcej niż się należy przy pochówku drugiego męża. Jeśli jednak rzeczywiście okazał jej serce w testamencie, to z rozczuleniem będzie myślała o biedaku po jego śmierci, i nawet jego szaleństwo z kwiatami i ogrodem, i upór co do ślimaków przyprawi ją o wzruszenie, kiedy przyjdzie jego kres. Były to pocieszające i pojednawcze myśli o przyszłości - przeżyje pana Glegg i będzie go wysławiać jako człowieka, który miał swoje słabostki, ale który w stosunku do niej, mimo gromady ubogich krewnych, zachował się jak należy; częściej będzie otrzymywała procenty, będzie utykała pieniądze po przeróżnych skrytkach, udaremniając zamiary najsprytniejszych złodziei (bo zdaniem pani Glegg banki i kasy pancerne niweczyły przyjemność posiadania - równie dobrze mogłaby się karmić jedzeniem w kapsułkach), wreszcie wszyscy

- jej własna rodzina i całe sąsiedztwo - będą ją szanowali tak, jak może oczekiwać jedynie kobieta, której przeszła i obecna godność zawiera się w pojęciu "bogatej wdowy". Tak więc, kiedy panu Glegg powrócił dobry humor po wygracowaniu ścieżek i kiedy zacny człowiek wzruszył się, widząc puste krzesło żony i robótkę zwiniętą w kącie, poszedł do pani Glegg na górę i oznajmił jej, że właśnie dzwonili w kościele biednemu panu Morton, pani Glegg odpowiedziała wielkodusznie, jakby wcale nie była obrażona: - Cóż, został po nim do objęcia wcale dobry interes.

Baxter leżał otwarty już co najmniej od ośmiu godzin, bo zbliżała się piąta, a jeśli ludzie często się kłóca, to ich kłótnie z konieczności nie mogą się przeciągać poza pewne godziny. Tego wieczora państwo Glegg rozmawiali wcale przyjaźnie o państwie Tulliver. Pan Glegg poszedł na najdalsze ustępstwa przyznając, że Tulliver, biedak, jest w gorącej wodzie kąpany, i wcale niewykluczone, że doprowadzi się do ruiny, pani Glegg zaś, robiąc i ze swojej strony

148 KSIĘGA PIERWSZA

ustępstwo, oświadczyła, że poniżyłaby się, zwracając uwagę na zachowanie takiego człowieka, i że ze względu na siostrę zostawi mu jeszcze te pięćset funtów na pewien czas, bo gdyby je pożyczyła na hipotekę, dostałaby tylko cztery procent.

ROZDZIAŁ XIII

PAN TULLIVER JESZCZE BARDZIEJ WIKŁA MOTEK ŻYCIA

Z uwagi na zmianę poglądów pani Glegg, siostra jej, pani Pullet, zdumiewająco łatwo wykonała następnego dnia swoje zadanie pośrednika między stronami. Pani Glegg ofuknęła ją dosyć ostro za to, że chce pouczać starszą siostrę, jak powinna postępować w sprawach

rodziny. Szczególnie uraziła ją uwaga pani Pullet, że mogłaby wywołać fatalne wrażenie, dając sąsiadom podstawę do gadania, iż w ich rodzinie są kłótnie. Jeśli imię rodziny może ucieść jedynie przez panią Glegg, to niech pani Pullet śpi spokojnie.

- Nie można chyba przypuścić - oświadczyła pani Glegg, kończąc tym samym sprawę - że pojedę do młyna, nim Bessy przyjdzie do mnie, albo że pójdę i upadnę przed Tulliverem na kolana i będę go błagała o przebaczenie za to, że mu robię łaskę. Nie gniewam się jednak na nich i jeśli Tulliver będzie uprzejmy dla mnie, to i ja mu odpłacę tym samym. Nikt nie ma prawa pouczać mnie, jak się powinnam zachowywać.

Ponieważ okazało się, że nie potrzeba wstawiać się za Tulliverami, pani Pullet otrząsnęła się z niepokoju o szwagra i powróciła do strapień, jakie ściągnął na nią wczoraj potomek tej nieszczęsnej rodziny. Pani Glegg usłyszała więc szczegółowe sprawozdanie, które znakomita pamięć pana Pullet uzupełniła kilkoma pozycjami. Pani Pullet użalała się nad biedną Bessy i jej niedolą z tymi dziećmi, wysunęła przy tym nie sformułowany ściślej projekt, żeby płacić za

ROZDZIAŁ XIII

149

wysłanie Madzi na jakąś odległą pensję, która co prawda nie wybieli jej ciemnej cery, ale może zmniejszy inne przywary dziewczynki. Ciotka Glegg oskarżała Bessy o słabość i wzywała na świadków wszystkich, którzy dożyją czasów, kiedy to dzieci Tulliverów wyjdą na nicponi, że ona, pani Glegg, dawno to przepowiadała; zauważyła przy tym, że sama się dziwi, jak dokładnie sprawdzają się jej przepowiednie.

- Wobec tego mogę pójść i powiedzieć Bessy, że się nie gniewasz i że wszystko będzie jak dawniej?- pytała pani Pullet przed odjazdem.

- Możesz, Zosiu - odparła pani Glegg. - Możesz to powiedzieć Tulliverowi i Bessy również. Nie mam zamiaru zachowywać się niewłaściwie dlatego, że inni zachowali się niewłaściwie względem mnie. Wiem, że ja, jako najstarsza, powinnam zawsze dawać przykład, i tak też czynię. Nikt mi nie zaprzeczy, jeśli będzie mówić prawdę.

Wyobrażacie sobie teraz, wiedząc, jaką satysfakcję sprawiała pani Glegg własna wielkoduszność, co się działo, kiedy tego samego jeszcze wieczoru po wyjeździe pani Pullet otrzymała od pana Tullivera krótki list z prośbą, by się nie kłopotowała o swoje pięćset funtów, gdyż zostaną jej zwrócone w przeciągu miesiąca, razem z procentami liczonymi do dnia wypłaty. Poza tym pan Tulliver bynajmniej nie chciał zachować się wobec niej niegrzecznie i zawsze chętnie powita ją w swym domu, kiedy tylko przyjdzie jej ochota przyjechać, ale nie chce od niej żadnych łask ani dla siebie, ani dla swoich dzieci.

Katastrofę przyspieszyła pani Tulliver swą nieodpartą wiarą, że te same przyczyny mogą w różnym czasie powodować różne skutki. Często przecież stwierdzała, że pan Tulliver robił coś tylko dlatego, iż ludzie mówili, że tego nie potrafi, lub wyrażali mu współczucie z powodu suponowanej nieumiejętności, albo też w jakikolwiek inny sposób urazili jego ambicję; mimo to wydawało jej się teraz, że jeśli mu powie przy herbacie, iż siostra Pullet poszła załatwić wszystko z siostrą Glegg i ułagodzić ją, tak by nie potrzebował myśleć o spłaceniu pieniędzy, to może przy stole zrobi się pogodny nastrój. Pan Tulliver wciąż trwał w postanowieniu, że zwróci szwagierce pieniądze, lecz usłyszawszy słowa żony postanowił natychmiast napisać do pani I list, nie pozostawiający najmniejszych wątpliwości. Żeby pani

150 KSIĘGA PIERWSZA

Pullet chodziła prosić i błagać w jego imieniu! Też! Pan Tulliver niechętnie pisał listy i uważał, że związek między słowem mówionym a pisanym, nazywany krótko pisownią, jest jedną z najbardziej zdumiewających rzeczy na tym zagadkowym świecie. Mimo to, jak każdy list pisany w gorączce, tak i ten został napisany w krótszym niż zazwyczaj czasie, a jeśli pisownia różniła się od tej, jaką stosowała pani Glegg - no to cóż. I młynarz, i jego szwagierka należeli do pokolenia, w którym pisownia była sprawą osobistego na nią poglądu.

Pod wpływem tego listu pani Glegg nie zmieniła testamentu i nie wydziedziczyła dzieci Tulliverów z szóstej i siódmej części tysiąca funtów, miała bowiem zasady. Nikt nie będzie mógł powiedzieć po jej śmierci, że nie rozdzieliła uczciwie pieniędzy pomiędzy krewnych. W sprawach testamentów wartości osobiste poszczególnych członków rodziny ustępowały wobec wielkiego, podstawowego faktu wspólnoty krwi, a rozdzielanie majątku pod wpływem kaprysu, robienie zapisów nie w bezpośrednim stosunku do stopnia pokrewieństwa, byłoby zapowiedzią hańby i zatruloby jej całe życie. Taka istniała zasada w rodzinie Dodsonów, jedna z form poczucia honoru i prawości, które były dumną tradycją podobnych im rodzin, tradycją, stanowiącą istotę naszej prowincjonalnej społeczności.

Chociaż więc list nie zachwiał zasad pani Glegg, utrudnił bardzo naprawę stosunków rodzinnych, jeśli zaś idzie o zmiany, jakie wywołał w jej opinii o panu Tulliver- od tej pory prosiła, by rozumiano, że nie ma o nim nic do powiedzenia. Widocznie upadł jej zdaniem zbyt nisko, by mogła o nim myśleć chociaż przez chwilę. Dopiero z początkiem sierpnia, ostatniego wieczora przed wyjazdem Tomka do szkoły⁶⁶, pani Glegg złożyła siostrze wizytę, nie wychodząc przez cały czas z gigu i okazując swe niezadowolenie tym, że powstrzymywała się od

⁶⁶ Data wyjazdu Tomka do pastora Stellinga to oczywisty błąd autorki. Wcześniej dwukrotnie (początek rozdz. II i rozdz. VII) pojawia się informacja, że Tomek rozpocznie edukację od św. Jana i nie ma nigdzie wzmianki o przesunięciu terminu wyjazdu, zwłaszcza że byłoby to sprzeczne z przyjętym w umowach podziałem na kwartały. Można więc sądzić, że Tomek wyjechał nie na początku sierpnia, ale o kilka tygodni wcześniej.

ROZDZIAŁ XIII

151

wszelkich rad i uwag, gdyż, jak powiedziała pani Deane, "Bessy musi ponosić konsekwencje posiadania takiego męża, chociaż bardzo mi jej żal", a pani Deane przyznała, że Bessy jest godna pożałowania.

Tego wieczora Tomek powiedział do Madzi: "Wiesz, ciocia Glegg znowu zaczyna do nas przyjeżdżać. Cieszę się, że jadę do szkoły. Teraz tobie będzie się obrywać".

Madzia tak się martwiła perspektywą wyjazdu brata, że jego żartobliwość sprawiła jej wielką przykrość i dziewczynka tego wieczora zasnęła z płaczem.

Spieszna decyzja pana Tullivera pociągnęła za sobą jeszcze pilniejszą konieczność znalezienia odpowiedniej osoby, która pożyczylaby mu pięćset funtów na weksel. - Jedno pewne, nie będzie to klient Wakema - mówił sobie młynarz. A jednak po upływie dwóch tygodni stało się inaczej, nie dlatego, że pan Tulliver nie miał silnej woli, ale że zmusiły go do tego okoliczności. Klient Wakema okazał się jedynym odpowiednim wierzycielem, jakiego można było znaleźć. Nad panem Tulliverem ciążyło przeznaczenie tak samo jak nad Edypem⁶⁷ i mógł się w tym wypadku tłumaczyć jak Edyp, że czyn ten raczej został na nim wymuszony, niż popełniony przez niego.

Edyp (mit. gr.) - miał wg przepowiedni zabić swego ojca i poślubić własną matkę. Porzucony jako niemowlę w górach, został uratowany przez pasterza, a gdy dorósł, nieświadomy swego pochodzenia spełnił kolejne elementy wróżby.

17 BN H/234 O. Eliot: Młyn nad Flossą

KSIĘGA DRUGA

CZASY SZKOLNE

ROZDZIAŁ I

PIERWSZE PÓLROCZE TOMKA

Przez pierwszy kwartał spędzony w King's Lorton pod znakomitą opieką wielbego Waltera Stellinga Tomek cierpiał dotkliwie. W akademii pana Jacobsa życie nie wydawało mu się trudnym problemem: miał wielu kolegów do wspólnych zabaw, a że celował w sportach - zwłaszcza w bitkach - zyskał sobie wśród nich pierwszą pozycję, która, jego zdaniem, łączyła

się nierozzerwalnie z osobą Tomka Tullivera. Sam pan Jacobs, popularnie zwany Starym Okularnikiem, ponieważ nosił okulary, nie przejmował uczniów grozą. A skoro cechą takich starych zatabaczonych hipokrytów jest pisanie jak na miedziorycie, otaczanie podpisu zawijasami, świetna znajomość pisowni i deklamowanie "Imię moje jest Norwal" i bez zająknięcia - Tomek był nawet zadowolony, że nie zagraża mu tak pospolita uczoność. Nie miał zamiaru zostać zatabaczonym nauczycielem, chciał być człowiekiem zamożnym, jak ojciec, który kiedyś, za młodu, jeździł na polowania na świetnej karej klaczy - trudno sobie wyobrazić lepszą wierzchówkę; Tomek setki razy słuchał opisu jej zalet. On również miał zamiar polować i być człowiekiem przez wszystkich poważanym. Dorosłych nikt nie pyta o gramatykę i pisownię. Kiedy dorośnie, będzie całą gębą panem i będzie robił to, na co mu przyjdzie ochota. Trudno mu więc było pogodzić się z myślą, że jego okres szkolny Norwal - prześladowany przez nieprzyjaciół szlachetny bohater romantycznej tragedii Douglas, pióra Johna Home (1722-1808), pomniejszego pisarza szkockiego. Wystawiona po raz pierwszy w r. 1756, osiągnęła natychmiastowy sukces, któremu nie dorównały późniejsze dramaty autora.

156 KSIĘGA DRUGA

zostaje przedłużony i że nie będą go przyuczać do ojcowskiego zawodu, który uważał zawsze za wyjątkowo miły, boć przecież ojciec nie robił nic, tylko galopował na koniu, wydawał rozporządzenia i jeździł na targ. Tomek wyobrażał sobie, że pastor będzie z nim przerabiał Biblię i pewnie mu każe uczyć się Ewangelii i Epistoły na niedzielę, a także i Kolekty. Nie mając jednak szczegółowych wiadomości o tym, jak wygląda nauka u pastora, nie sądził, by się całkiem różniła od nauki u pana Jacobsa, w związku z czym, chcąc się zabezpieczyć na wypadek, gdyby tam znalazł odpowiednich kolegów, zabrał ze sobą małe pudełko żabek do strzelania. Nie mogą służyć do niczego specjalnego, powinny jednak obudzić w nieznanym chłopcu szacunek dla kogoś, kto się zna na strzelaniu. Tak więc, chociaż biedny Tomek bardzo wyraźnie widział iluzoryczność Madzinych marzeń, miał i własne złudne nadzieje, które bliższa znajomość z King's Lorton okrutnie rozwiązała.

Już po dwóch tygodniach Tomek stwierdził, iż życie jest bardzo trudne, kiedy je komplikują nie tylko gramatyka łacińska, ale i nowe zasady wymowy, i kiedy to wszystko przesłania mu jeszcze gruba mgła nieśmiałości. Tomek, jak to już zauważyliście, nie był wyjątkiem wśród chłopców, i zawsze odczuwał skrepowanie przy obcych, teraz jednak tak mu było trudno wydusić z siebie choć jedno słowo w odpowiedzi panu czy pani Stelling, że bał się nawet zapytać przy stole, czy może dołożyć sobie trochę puddingu. Jeśli zaś chodzi o żabki, niemal już postanowił z goryczą w sercu, że wrzuci je do pobliskiego stawu, nie tylko bowiem stwierdził, że jest jedynym uczniem pana Stellinga, ale w dodatku zaczął się sceptycznie odnosić do strzelania jako takiego i wydawało mu się, że jego pogląd na życie został zachwiany. Pan Stelling bowiem nisko sobie cenił broń i konie, co do tego nie było wątpliwości, a mimo to Tomek nie mógł pogardzać nim, tak jak pogardzał Starym Okularnikiem. Jeśli pastor miał w sobie coś z -? pozera, wykrycie tej cechy przekraczało umiejętności chłopca. Tylko dzięki szerokiej możliwości porównań najmędrsi ludzie dorośli umiemy rozróżnić odgłos toczących się beczek od niebiańskich gromów.

ROZDZIAŁ I

157

Pan Stelling był mężczyzną słusznego wzrostu, szerokim w barach; nie przekroczył jeszcze trzydziestki. Miał lniane, szpeceniaste włosy i wielkie jasnoszare oczy, zawsze szeroko otwarte. Mówił dźwięcznym basem i zachowywał się z nieco wyzywającą pewnością siebie, graniczącą z -? czelnością. Zaczął karierę z dużym rozmachem i pragnął zdobywać sobie jak największe uznanie bliźnich. Wielebny Walter Stelling nie należał do tych, którzy zamierzają pozostawać całe życie w szeregach niższego duchowieństwa. Z prawdziwie brytyjskim uporem postanowił się wybić. Przede wszystkim jako nauczyciel, bo w szkołach średnich

były doskonale posady nauczycielskie, a pan Stelling chciał taką posadę otrzymać. Poza tym jako kaznodzieja, zawsze bowiem pragnął wygłaszać niepowседневne kazania, tak aby kościół pękał od wielbicieli jego słowa, zjeżdżających z sąsiednich parafii. Zawsze też chciał wywołać sensację, ilekroć przyszło mu zastępować w innym kościele duchownego o mniejszych talentach. Wybrał sobie sposób mówienia kazań, a nie czytania ich z kartki, co w wiejskich parafiach, takich jak King's Lorton, uważane było niemal za cud. Jak ogromne wrażenie robiły wyjątki z Massillona i Bourdaloue², które wygłaszał z pamięci najgłębszym swoim basem! Ponieważ zaś i własne, słabe w porównaniu z tamtymi nawoływania głosił w ten sam donośny i efektowny sposób, wielu słuchaczy uważało je za równie celne. Doktryny pana Stellinga nie miały źródła w jakiejś określonej szkole; jeśli było w nich coś szczególnego, to może lekkie zabarwienie ewangelicyzmem³, bo to właśnie weszło podówczas

2 Jean Baptiste Massillon (1663-1742) i Louis Bourdaloue (1632-1704) - sławni kaznodzieje na dworze króla francuskiego Ludwika XIV.

ewangelicyzm - ruch mający na celu odnowę Kościoła anglikańskiego. Wraz z formalnym utworzeniem w Anglii ugrupowania metodystów wkrótce po śmierci założyciela, Johna Wesleya (zob. ks. I, przyp. 57), rzesze ubogich znalazły dla siebie religię przemawiającą do uczuć. Wkrótce potem klasy średnie i wyższe, krytycznie oceniające stan Kościoła anglikańskiego, stworzyły własny ruch mający na celu odrodzenie wiary i etyki chrześcijańskiej - ewangelicyzm. Ruch głosił potrzebę poprawy moralnej jednostki, miał też program reform społecznych: popierał starania o wydanie zakazu handlu niewolnikami, zabiegał o poprawę warunków pracy w przemyśle, pomoc bezdomnym itp.

158 KSIĘGA DRUGA

w modę w diecezji, do której należało King's Lorton. Krótko mówiąc, pan Stelling był człowiekiem, który chciał się wybić w swoim zawodzie, i to wybić się dzięki własnym zasługom, nie miał bowiem żadnych koneksji, prócz tych, jakie obiecywać może problematyczne pokrewieństwo z wielkim adwokatem, który nie został jeszcze Lordem Kanclerzem. Duchowny z tak śmiałymi zamierzeniami oczywiście zadłuży się trochę stawiając pierwsze kroki, trudno bowiem przypuścić, żeby żył na tym samym nędznym poziomie, co człowiek, który do końca życia chce pozostać biednym wikarym. Tak więc, kiedy te kilkaset funtów, które pan Timpson im dał na załóżek fortuny córki, nie wystarczyło na zakup pięknych mebli, zapasu win, wspaniałego fortepianu i założenie ogrodu kwiatowego, trzeba było konsekwentnie albo zdobyć to wszystko za pomocą innych środków, albo wyrzec się owych przyjemności, przy czym ostatnie rozwiązanie byłoby bezsensowną zwłoką w zbieraniu plonów przyszłego sukcesu, niewątpliwego przecież. Pan Stelling był szeroki w barach i bardzo pewny siebie, przekonany, iż wszystkiemu sprostą; stanie się sławny wstrząsając sumieniami słuchaczy, wyda po pewnym czasie jakąś sztukę grecką i wymyśli kilka nowych jej interpretacji. Nie dokonał jeszcze wyboru sztuki, ożenił się bowiem dopiero przed dwoma laty i cały wolny czas poświęcał na okazywanie uwagi swej małżonce. Mówił jednak owej wspaniałej kobiecie, co zamierza zrobić pewnego dnia, a ona pokładała w nim wielkie nadzieje, gdyż był człowiekiem, który się na tych sprawach rozumiał. Wstępem jednak do przyszłych sukcesów byłoby osiągnięcie dobrych wyników z Tomkiem Tulliverem w ciągu pierwszego półrocza, gdyż szczególnym zbiegiem okoliczności odbywały się właśnie wstępne rozmowy w sprawie drugiego ucznia z tej okolicy, a decyzja wypadłaby pomyślnie dla pana Stellinga, gdyby młody Tulliver

Równocześnie jego zwolennicy wymagali od wiernych samodyscypliny, regularnej obecności w kościele, czytania Biblii, rezygnowania z rozrywek w niedzielę itp. Pan Stelling nie miał żarliwości duchowej, która mogłaby go do tego ruchu zbliżyć, ale dostrzegał zapewne korzyści, jakie mógł wyciągnąć z naśladowania nowego stylu pracy duszpasterskiej.

ROZDZIAŁ I

- nieokrzesane chłopaczysko, jak zwierzył się pastor małżonce
 - gdyby więc młody Tulliver wykazał się dużymi postępami w krótkim czasie. Z tego właśnie powodu pastor był bardzo wymagający wobec Tomka jeśli idzie o lekcje uważając, że jest on typem chłopca, którego zdolności nigdy się nie rozwiną pod wpływem gramatyki łacińskiej, jeśli się go nie będzie ostro trzymać. Nie znaczy to wcale, żeby pan Stelling był człowiekiem szorstkim czy niedobrym - wprost przeciwnie, dowcipkował z Tomkiem przy stole, poprawiał jego prowincjonalizmy i zachowanie w żartobliwy sposób. Biedny chłopiec jednak jeszcze bardziej się peszył tą podwójną nowością, nigdy bowiem w życiu nie słyszał takich żartów, jak żarty pana Stellinga, i po raz pierwszy miał przykrą świadomość, że ciągle coś robi w sposób niewłaściwy. Kiedy pan Stelling zwrócił się do niego widząc, że wniesiono półmisek rostbefu: "No, Tulliver, czy wolałbyś odmienić ten rostbef na kartofle, czy odmieniać słówka łacińskie?"⁴- Tomek, dla którego kalambur był ciężkim orzechem do zgryzienia nawet w chwilach przytomności umysłu, wpadł w taką panikę i tak się speszył, że wszystko przysłoniła mu mgła - wszystko oprócz jednej myśli, że wolałby nie mieć nic wspólnego z łaciną. Odpowiedział więc oczywiście "rostbef, na co rozległ się głośny wybuch śmiechu i usiłowano mu dla żartu zabrać talerz, z czego wywnioskował, że w jakiś przedziwny sposób poprosił o zamianę rostbefu na kartofle i zrobił z siebie idiotę. Łatwiej byłoby mu to wszystko przyjąć za rzecz naturalną, gdyby widział koło siebie jakiegoś kolegę, który z uśmiechem na ustach znosiłby te same przykre zabiegi.

Posyłając syna jako jedyne go ucznia do pastora, rodzice mogą zapewnić chłopcu jedną z dwóch niezmiernie kosztownych form

"wychowania": pierwsza, to radowanie się całkowitym brakiem zainteresowania wielebnego dżentelmena, druga, to znoszenie jego niepodzielnego zainteresowania.

Pan Tulliver płacił wysoką sumę za ten drugi

Odmienić rostbef na kartofle - w oryginale jest tu niemożliwa do przełożenia -? : znaczeniami czasownika decline, który raz znaczy: odmawiać, raz zaś: odmieniać przez przypadki.

160 KSIĘGA DRUGA

przywilej podczas pierwszych tygodni pobytu swego syna w King's Lorton.

Czcigodny ten młynarz i słodownik zostawił chłopca i wracał do domu ogromnie z siebie zadowolony. W dobrej chwili przyszło mu do głowy zapytać pana Rileya o radę w sprawie wychowawcy dla Tomka. Pan Stelling miał oczy szeroko otwarte i tak prosto i rzeczowo odpowiadał na każdą powolną i zawiłą uwagę pana Tullivera: "Rozumiem, kochany panie, rozumiem", "Oczywiście, oczywiście!", "Chce pan, aby pański syn sam potrafił do czegoś dojść w życiu"- że młynarz był zachwycony, widząc, iż ma do czynienia z pastorem, którego wiedza mogła być praktycznie stosowana do powszednich spraw tego świata. Wydawało się panu Tulliverowi, że - wyjąwszy tylko adwokata Wylde'a, którego przemówienie słyszał na ostatniej sesji sądowej - wielebny pan Stelling jest najbystrzejszym człowiekiem, jakiego spotkał w życiu, zresztą podobnym trochę do pana Wylde'a - ma ten sam zwyczaj wkładania dużych palców w pachy kamizelki. Pan Tulliver nie był jedynym, który brał czelność za bystrość - większość ludzi świeckich uważała pana Stellinga za człowieka inteligentnego i obdarzonego niepospolitymi zdolnościami. Tylko koledzy ze stanu duchownego uważali, że jest on nieco tępawy. Opowiedział panu Tulliverowi parę historyjek o Swingu⁵ i podpalaczach stogów oraz poprosił o radę w kwestii karmienia świń w sposób tak świecki i rozumny, wysławiając się tak gładko i potoczyscie, że młynarz pomyślał, iż tego właśnie, a nie czego innego chciał dla Tomka. Nie miał wątpliwości, że ten znakomity człowiek zna każdą dziedzinę wiedzy i wie doskonale, czego się Tomek powinien nauczyć, żeby mógł zmierzyć się z każdym adwokatem, jak równy z równym - bo tego z kolei biedny pan Tulliver

nie wiedział i dlatego zdany był wyłącznie na własne siły przy wyciąganiu swych daleko idących

5 kapitan Swing - domniemany przywódca robotników rolnych i drobnych dzierżawców, wśród których w 1. 183(- 1831 przeszła fala buntów. Kierowali oni wówczas podpisywane tym nazwiskiem listy do najbardziej bezwzględnych wyzyskiwaczy, grożąc zniszczeniem ich pól i maszyn.

ROZDZIAŁ I

161

wniosków. Nie śmiejcie się z niego, znałem bowiem ludzi o wiele bardziej wykształconych, którzy wyciągali równie daleko idące wnioski i wcale nie mądrzejsze.

Pani Tulliver stwierdziła, że poglądy pani Stelling w sprawie częstego wietrzenia pościeli i nawrotów głodu u dorastającego chłopca są całkowicie zgodne z jej zdaniem, ponadto że chociaż pastorowa jest bardzo młoda i spodziewa się dopiero drugiego dziecka, ma prawie takie same doświadczenia jak młynarzowa, jeśli idzie o postępowanie i charakter nianiek na miesięcznej pensji. Kiedy więc jechali do domu, młynarzowa powiedziała mężowi, jak bardzo się cieszy, że mogła zostawić Tomka kobiecie, która mimo młodego wieku sprawia wrażenie osoby o rozsądnym macierzyńskim usposobieniu, i bardzo uprzejmie prosiła ją o rady w wielu sprawach.

- Musi im się dobrze powodzić - zauważyła - bo wszystko w domu jest ładne, a suknia z -? mory6, ta, co ją miała na sobie, musiała kosztować niezłe pieniądze. Siostra Pullet ma podobną.

- Cóż - odparł młynarz - przypuszczam, że ciągną dochody nie tylko z parafii. Może jej ojciec coś im daje. Z Tomka będzie miał jeszcze jedną setkę, a niewiele przy tym kłopotu, bo sam mi mówił, że nauczanie przychodzi mu bez wysiłku, całkiem naturalnie. Nie do wiary - dodał przechylając głowę i w zamyśleniu łechcąc bok koński.

Może właśnie dlatego, że nauczanie było dla pana Stellinga rzeczą naturalną, zabrał się do niego stosując jedną tylko metodę, niezależnie od okoliczności, co jest typowe dla postępowania zwierząt, kształconych bezpośrednio przez naturę. Czarujący przyrodnik, pan Broderip, powiada nam, że jego rozkoszny bóbr buduje tamę w pokoju, na trzecim piętrze w Londynie, z równym zapalem, z jakim wykonywałyby ją na jeziorze czy rzece w północnej Kanadzie. Zadaniem Binny'ego było budować - brak wody czy też możliwości posiadania potomstwa były okolicznościami, za które on nie ponosił winy. Ten sam nieomylny instykt kazał panu Stellingowi przy pomocy jednej jedynej metody

-? Mofa - kosztowna tkanina jedwabna, jednobarwna, mieniąca się, z?sto używana na suknie wieczorowe.

162 KSIĘGA DRUGA

wbijając zasady Gramatyki Etońskiej i Euklidesa⁷ w głowę Tomka Tullivera. Uważał, że jest to najsolidniejsza podstawa wiedzy - wszystkie inne sposoby to zwykła szarlataneria, której skutkiem może być jedynie dyletanctwo. Wychodząc z tego niewzruszonego założenia, człowiek może spoglądać ze współczującym uśmiechem na zróżnicowaną czy też specjalistyczną wiedzę, jaką posiadli ludzie niewłaściwie kształceni. Mówcie, co chcecie, ale to niemożliwe, by podobni ludzie mogli formułować zdrowe poglądy. W tym przekonaniu nie utwierdzały pana Stellinga jego głębokie i rzetelne wiadomości - jak to czasem bywa z wychowawcami - jeżeli zaś chodzi o jego poglądy na Euklidesa, nikt nie mógłby czuć do niego mniej osobistej sympatii. Daleki był panu Stellingowi jakikolwiek porywczy entuzjazm, czy to religijny, czy intelektualny, z drugiej strony nie sądził po cichu, że wszystko to zwyczajny humbug⁸. Uważał religię za rzecz wspaniałą, Arystotelesa za wielki autorytet, dziekanie i prebendy⁹ za instytucje ogromnie użyteczne, Wielką Brytanię za opatrnościowe przedmurze protestantyzmu, zaś wiarę w niewidzialne - za podporę ludzi, dotkniętych nieszczęściem. Wierzył w to wszystko, jak szwajcarski hotelarz wierzy w piękno otaczającej

go przyrody i w radość, jaką ono przyniesie gościom o artystycznych upodobaniach. W ten sam sposób pan Stelling wierzył w swoją metodę nauczania. Nie miał żadnych wątpliwości, że wyświadcza małemu Tulliverowi największą przysługę. Oczywiście, że kiedy młynarz mówił o -? "jeografii" i "rachunkach" tak nieśmiało i niejasno, pan Stelling rozwiął jego niepokój zapewnieniem, że wie, o co chodzi, jak to bowiem możliwe, by ten pocziwiec

7 Gramatyka Etońska (An Introduction to the Latin Tongue) - używana powszechnie jeszcze w XVIII w. nie tylko w Eton, ale w wielu innych szkołach angielskich; Euklides z Aleksandrii (ok. 330-275 p.n.e.) sławny matematyk, którego największym dziełem są Elementy geometrii.

8 humbug - sprawa oszukańczo rozreklamowana.

9 dziekania - stanowisko pastora sprawującego zwierzchnictwo nad kilkoma parafiami;
prebenda - suma wypłacana z dochodu katedry duchownemu zajmującemu w niej stanowisko i współdziałającemu w zarządzaniu diecezją.

ROZDZIAŁ I

163

miał własne rozumne zdanie w sprawie nauczania? Obowiązkiem pastora było uczyć chłopca w jedyny słuszny sposób - prawdę mówiąc nie znał innego, gdyż nie marnował czasu na rzeczy nie leżące w granicach normy.

Szybko doszedł do wniosku, że biedny Tomek jest chłopcem z gruntu głupim, bo choć ciężką pracą wbił sobie w głowę odmianę poszczególnych słów, nie mieściły mu się w żaden sposób pojęcia tak abstrakcyjne, jak zależność między przypadkami i końcówkami, co mogłoby mu umożliwić rozpoznanie genetivu czy dativu¹⁰. To wydawało się pastorowi czymś gorszym niż przeciętna głupota - podejrzewał upór lub co najmniej obojętność i robił chłopcu gorzkie wymówki za brak pilności. "Nie ciekawi cię zupełnie to, co robisz, mój panie" - mówił pan Stelling, a zarzut był boleśnie prawdziwy. Rozróżnienie pointera od setera nie sprawiało Tomkowi najmniejszej trudności¹¹, kiedy się raz dowiedział, na czym polega różnica, a jego zdolności postrzegania wcale nie były nikłe. Wydaje mi się, że dorównywały zdolnościom pastora, chłopiec bowiem umiał określić bezbłędnie, nie odwracając głowy, ile koni galopuje za nim, potrafił rzucić kamieniem dokładnie w sam środek określonej zmarszczki wody, potrafił zgadnąć z dokładnością co do ułamka, ile długości jego kija potrzeba, aby przemierzyć boisko, i bez użycia linijki umiał rysować na swej tabliczce regularne kwadraty. Pan Stelling jednak nie zwracał na te umiejętności uwagi, stwierdził tylko, że zdolności Tomka zawiodły w obliczu abstrakcji, której straszliwe symbole widniały na kartach Gramatyki Etońskiej, i że chłopiec dochodzi do stanu graniczącego z kretynstwem, kiedy przyjdzie mu dowieść, że dane dwa trójkąty są równe - choć przecie z punktu widzi, że na pewno są równe. Pan Stelling wyciągnął więc wniosek, że umysł Tomka opiera

Rozpoznanie genetivu czy dativu - rozpoznanie dopełniacza czy celownika.

pointer, seter - niezbyt od siebie różne rasy psów myśliwskich używanych do polowań na ptactwo wodne. To zainteresowanie Tomka i następne wskazują, że posiada on inteligencję praktyczną, nieprzydatną w zdobywaniu atrakcyjnej wiedzy, uważanej za konieczną w obowiązującym wówczas modelu kształcenia synów klasy średniej.

164 KSIĘGA DRUGA

się etymologii i dowodowi geometrycznemu, z czego wynika, że należy go koniecznie przeorać i zabronować przy pomocy tych właśnie narzędzi. Pastor zwykł powiadać metaforycznie, że klasyka i geometria wytwarzają kulturę umysłu, która przygotowuje go pod przyszły siew. Nie mówię nic przeciwko teorii pana Stellinga. Jeśli wszystkie umysły ludzkie mają być karmione tą samą stawą, to metoda ta jest równie dobra jak każda inna. Wiem tylko, że okazała się dla Tomka Tullivera tak niewłaściwa, jak gdyby dawano mu ogromne ilości sera jako lekarstwo na chorobę żołądkową, która nie pozwala mu sera trawić. Zdumiewające, jak różne można otrzymać wyniki, zmieniając metaforę. Wystarczy raz tylko

nazwać mózg żołądkiem intelektualnym, a już genialna koncepcja klasyki i geometrii jako pługów i bron nie rozwiązuje niczego. Pozostaje jeszcze możliwość naśladowania wielkich autorytetów: może nazwać umysł białą kartą papieru albo lustrem - w którym to wypadku wiedza o procesach trawiennych na nic się nie przyda. Z pewnością nazwanie wielbłąda okrętem pustyni było znakomitym pomysłem, nie na wiele jednak się zda przy ujeżdżaniu tego pożytecznego zwierzęcia. O, Arystotelesie! Gdybyś miał możliwość stać się "najbardziej współczesnym" zamiast "największym ze starożytnych", czy nie pomieszałbyś swych pochwał dla mowy metaforycznej, jako dowodu inteligencji, z żalami, że inteligencja tak rzadko błyska w mowie bez metafor - że tak rzadko potrafimy określić, czym rzecz jest, nie powiadając przy tym, iż jest czymś innym! Tomek Tulliver, którego mowa nigdy nie była kwiecista, nie używał metafor dla określenia, co myśli o naturze łaciny. Nigdy nie nazywał jej narzędziem tortur i dopiero, kiedy był już trochę zaawansowany w drugim półroczu i w Delectusie¹², doszedł do tego, że nazwał ją nudziarstwem i parszystwem. Tymczasem jednak, stojąc wobec żądania, by uczył się odmiany czasowników i przypadków łacińskich, tyle wiedział o przyczynie swoich cierpień, co niewinny szczur uwięziony między rozszczepionymi konarami jesionu, by wyleczyć

¹² Delectus - wybór tekstów łacińskich do tłumaczenia na język ojczysty ucznia.

ROZDZIAŁ I

165

bydło od chromania. W dzisiejszych czasach ludziom wykształconym zapewne nie chce się wierzyć, że dwunastoletni chłopiec, nie należący w pełnym tego słowa znaczeniu do "mas", które, według dzisiejszych pojęć, miały monopol na ciemnotę, że taki chłopiec mógł nie wiedzieć, skąd się wzięła na świecie łacina - tak jednak miała się rzecz z Tomkiem. Dużo zajęłoby czasu, by go całkowicie przekonać, że istnieli kiedyś ludzie, co kupowali i sprzedawali owce i woły, i załatwiali wszelkie codzienne sprawy posługując się tym językiem, a jeszcze trudniej byłoby mu wytłumaczyć, dlaczego każą mu się tego języka uczyć, jeśli wszelkie jego związki z tamtymi sprawami są tak bardzo odległe. Wiadomości, jakie zdobył Tomek u pana Jacobsa na temat Rzymian, były - w zakresie, w jakim je otrzymał - prawidłowe, lecz ograniczały się do faktu, że Rzymianie istnieli w Nowym Testamencie. Pan Stelling nie miał zamiaru osłabiać i wyjaławiać umysłu swego ucznia wyjaśnieniami i uproszczeniami czy też zmniejszać krzepiących wpływów etymologii, mieszając je z powierzchownymi i błahymi informacjami, jakich się udziela dziewczynom.

Dziwnie to zabrzmiało, ale pod wpływem surowego traktowania Tomek bardziej niż kiedykolwiek w życiu zniewieściał. Było w nim sporo dumy, której dotychczas nieźle się powodziło, pogardzała bowiem Starym Okularnikiem i miała poczucie swoich niezaprzeczonych praw - teraz jednak ta sama duma otrzymywała tylko ciosy i szturchańce. Tomek był wystarczająco bystry, by zdać sobie sprawę, że standard życia pastora jest inny i w oczach świata na pewno wyższy od poziomu życia ludzi, wśród których się wychowywał, i że teraz, w zetknięciu z pastorem i jego domem, on, Tomek Tulliver, wydaje się głupi i nieokrzesany. Nie było to dla niego bez znaczenia, a urażona ambicja gasiła chłopięce samozadowolenie i wsączała na jego miejsce coś w rodzaju dziewczęcego przewrażliwienia. Tomek miał charakter twardy, żeby nie powiedzieć: uparty, lecz w naturze jego nie było brutalnej, buntowniczej porywczowości i nierozwagi. Górowały tam zwykle ludzkie uczucia i gdyby mu przyszło do głowy, że do wykazania swej bystrości podczas lekcji i zdobycia pochwały pana Stellinga Pomogłoby stanie bardzo długo na jednej nodze lub też łagodne

166 KSIĘGA DRUGA

walenie głową o ścianę, czy też coś innego w tym guście, z pewnością jąłby się tego sposobu. Tomek nie słyszał nigdy, żeby podobne środki rozjaśniały umysł czy też wzmacniały pamięć do słówek, a nie był skłonny do stawiania hipotez czy eksperymentowania. Przyszło mu kiedyś do głowy, że może, gdyby się pomodlił, to otrzymałby jakąś pomoc, ale pacierze, jakie

odmawiał codziennie, były wyuczonymi na pamięć formułkami, a on bał się nowości i wprowadzania oryginalnych ustępów zawierających prośbę, dla której nie miał żadnego wzoru. Pewnego dnia jednak, kiedy pomylił się pięć razy w wyjątkach z trzeciej koniugacji, a pan Stelling, przekonany, że jest to dowód nieuwagi chłopca, nie może bowiem być aż tak głupi, napomniął go ostro, mówiąc, że jeżeli nie wykorzysta obecnej wspaniałej okazji nauczania się wyjątków, będzie tego w przyszłości żałował- wówczas Tomek, bardziej niż zwykle nieszczęśliwy, postanowił chwycić się ostatniej deski ratunku. Tego wieczora, pomodliwszy się jak zwykle za rodziców i za "małą siostrzyczkę" (zaczął modlić się za Madzie, kiedy była jeszcze niemowlęciem), i o to, by zawsze mógł zachować przykazania Boże, dodał tym samym cichym szeptem: - I proszę Cię, spraw, żebym zawsze pamiętał łacinę. - Tu zatrzymał się chwilę i zastanawiał, jak by się pomodlić o Euklidesa - czy, żeby mógł zrozumieć, o co w nim chodzi, czy, żeby się dowiedzieć, w jakim stanie umysłu człowiek się do Euklidesa nadaje. Wreszcie dodał: - I spraw, żeby pan Stelling powiedział, że nie będę już przerabiał Euklidesa. Amen.

Następnego dnia przeszedł przez swoje wyjątki bez błędu, co zachęciło go do zachowania tego dodatku do pacierza i złagodziło sceptycyzm, jaki mógłby wynikać z faktu, że pastor w dalszym ciągu kazał mu studiować Euklidesa. Lecz wiara Tomka załamała się, kiedy nie otrzymał najmniejszej pomocy przy czasownikach nieregularnych. Prawdopodobnie rozpacz, jaką w nim budziły dziwactwa czasu terażniejszego, nie była godna interwencji niebieskiej, ponieważ jednak czas terażniejszy był punktem szczytowym kłopotów chłopca - cóż mogło mu przyjść z modlenia się dalej? Doszedł do tego wniosku podczas jednego z długich nudnych wieczorów, gdy siedział

ROZDZIAŁ I

167

w pokoju szkolnym i przygotowywał lekcje na jutro. Oczy powlekały mu się mgłą nad stronicą - mimo że chłopiec nie znosił płaczu i bardzo się go wstydził. Nawet o Spouncerze, z którym się bił i kłócił, myślał teraz z pewnym wzruszeniem. W jego towarzystwie znowu czułby się swobodnie, znowu miałby poczucie wyższości. A młyn, a rzeka ... i Jap nastawia uszy, gotów na najmniejsze skinienie, i czeka, kiedy Tomek powie "hop" - wszystko to stało mu przed oczyma jak w wielkiej gorączce, podczas gdy palce bawiły się bezmyślnie w kieszeni wielkim scyzorykiem, owiniętym w sznurek od bata, i innymi relikami przeszłości. Jak już powiedziałem, Tomek nigdy jeszcze w życiu nie przypominał tak bardzo dziewczynki, zaś w epoce czasowników nieregularnych upadł jeszcze niżej na skutek nowych środków, jakie zastosowano, by rozwijać jego umysł w czasie wolnym od zajęć. Pani Stelling urodziła właśnie drugie dziecko, a ponieważ nic nie może zbawienniej wpłynąć na chłopca niż świadomość, że jest użyteczny, pastorowa uważała, że wyświadcza Tomkowi przysługę kazać mu pilnować Laury, małego cherubinka, podczas gdy niańka zajmowała się niemowlęciem. Cóż może być przyjemniejsze dla Tomka nad spacer z Laurą na dworze w najśnieczniejsze godziny jesienne, będzie wówczas czuł, że plebania Lorton jest jego domem, a on - członkiem rodziny. Ponieważ Laura, mały cherubinek, nie była jeszcze najlepszym piechurem, zawiązywano jej wstążkę wokół pasa i za tę wstążkę Tomek prowadził dziewczynkę jak małego psa, ale tylko przez parę minut, kiedy miała ochotę iść sama; ponieważ jednak zdarzało się to rzadko, chłopiec przez większość czasu nosił to cudowne dziecko na rękach naokoło ogrodu, tak by nie schodzić z oczu pastorowej, wyglądającej przez okno. Jeśli ktoś uważa, że pastorowa wykorzystywała, a nawet krzywdziła Tomka, proszę zważyć, że niektóre cnoty kobiece z trudem dają się ze sobą pogodzić, a nawet są czasami wprost sprzeczne. Jeśli żona ubogiego wikarego potrafi - mimo wszelkich trudności - ubrać się wyjątkowo dobrze i nosić fryzurę, która wymaga, by niańka od czasu do czasu wykonywała czynności pokojówki, kiedy ponadto jej przyjęcia i salo-

ny dowodzą starań o elegancję i doskonałość umeblowania, co
18 BN H/234 G. Eliot: Młyn nad Flossą
168 KSIĘGA DRUGA

świadczy, jakby się zwykłej kobiecie mogło zdawać, o dużych dochodach - trudno się spodziewać, by dama taka wynajmowała drugą niańkę czy też sama ją zastępowała. Pan Stelling rozumiał to wszystko - zdawał sobie sprawę, że żona jego czyni cuda, i był z niej dumny. Jasne, że noszenie ciężkiego dziecka mogło źle wpłynąć na postawę młodego Tullivera, ale przecież chodzi na długie spacery ze swoim wychowawcą, a poza tym w przyszłym roku znajdzie się dla niego nauczyciela musztry. Wśród środków, które miały zapewnić pastorowi pomyślność większą niż to jest udziałem ogółu, zaginęło pragnienie, by zostać panem we własnym domu. Bo i jak? Ożenił się z "najlepszą kobietą pod słońcem" - zgodnie ze stwierdzeniem pana Rileya, który znał jasne loki i wesoły sposób bycia pastorowej jeszcze z jej lat panieńskich i dzięki tej znajomości gotów był zawsze świadczyć, że jeżeli istnieją jakiegokolwiek nieporozumienia w jej domu teraz po ślubie, muszą one być wyłącznie winą pastora.

Gdyby Tomek miał gorszy charakter, z pewnością znienawidziłby Laurę, małego cherubinka, ale był na to za dobry. Zbyt wiele miał w naturze cech, które z wiekiem przeradzają się w męskość i opiekuńczą litość w stosunku do słabszych. Boję się jednak, że nienawidził pastorowej i zachował wieczną niechęć do jasnoblond loczków i grubych warkoczy, które kojarzyły mu się z wyniosłym obejściem oraz częstym odwoływaniem się do cudzych "obowiązków". Ale nie mógł poradzić na to, że bawił się z małą Laurą i lubił sprawiać jej przyjemność - poświęcił jej nawet swoje żabki, przestał już bowiem wierzyć, by mogły posłużyć kiedykolwiek większej jakiejś sprawie. Myślał, że nieduży ogień i huk zachwyci dziewczynkę, lecz ściągnął na siebie wyrzuty pani Stelling za to, że uczy dziecko bawić się ogniem- Laura była czymś w rodzaju towarzysza zabaw. Och, jak bardzo Tomek tęsknił do takiego towarzysza! W głębi duszy marzył, by mieć tu Madzie, i prawie gotów był wzruszać się jej strasznym zapominalstwem, chociaż w domu uważał, iż robi siostrze wielką łaskę pozwalając jej biec koło siebie, kiedy szedł na jakąś wyprawę.

Nim się skończyło to straszne półrocze, Madzia przyjechała naprawdę. Pani Stelling zaprosiła ją w sposób dość ogólnikowy, by

ROZDZIAŁ I

169

przyjechała kiedyś i posiedziała z bratem, dlatego też pan Tulliver, jadąc w końcu października do Kings's Lorton, zabrał ze sobą córkę, świadomą, że udaje się w daleką podróż i zaczyna oglądać świat. Była to pierwsza wizyta pana Tullivera u Tomka, bo chłopak musi się nauczyć, że nie można za dużo myśleć o domu.

- No, synu - zaczął młynarz, kiedy pastor wyszedł z pokoju, by zawiadomić żonę o przyjeździe gości, a Madzia mogła wyczuwać Tomka do woli. - Wyglądasz doskonale. Dobrze ci robi szkoła.

Tomek pragnął sprawiać wrażenie chorego.

- Nie czuję się dobrze, ojczy - odparł. - Czy mógłby tatuś poprosić pana Stellinga, żeby nie kazał mi przerabiać Euklidesa? Wydaje mi się, że mnie od tego zęby bołą.

(Ból zębów był jedyną chorobą, na jaką Tomek kiedykolwiek cierpiał).

- Euklidesa? A cóż to jest, mój chłopczy? - zapytał młynarz.

- Och, nie wiem dobrze, definicje i aksjomaty, i trójkąty, i inne rzeczy. To jest taka książka, którą muszę wkuć na pamięć, a nie ma w niej najmniejszego sensu.

- Co też ty mówisz - ofuknął go pan Tulliver. - Tak nie wolno. Musisz się uczyć tego, co ci każe nauczyciel. On wie, czego ci trzeba.

- A teraz ja ci pomogę, Tomku - pocieszyła go Madzia nieco protekcyjnym tonem. - Przyjechałam, aby zostać z tobą dłużej, jeżeli mnie pani Stelling zaprosi. Przywiozłam ze sobą mój kuferek i fartuszki, prawda, tatusiu?

Ty chcesz mi pomóc, głuptasie? - zawołał Tomek uradowany jej oświadczeniem, myśląc z przyjemnością, jak upokorzy dziewczynę, gdy pokaże jej jedną stronicę Euklidesa. - Chciałbym zobaczyć, jak odrabiasz chociaż jedną z moich lekcji. Przecież ja się uczę i łaciny. Dziewczynki nie uczą się niczego takiego. Za głupie są na to.

- Wiem doskonale, co to jest łacina - odpowiedziała Madzia Mała. - Łacina to język. W słowniku są łacińskie słowa. Na przykład bonus znaczy podarunek.

170 KSIĘGA DRUGA

- A właśnie, że się mylisz, panienko! - zawołał Tomek, zdumiony w głębi duszy. - Wydaje ci się, żeś taka mądra! Ale bonus znaczy przypadkowo "dobry" - bonus, bona, bonum.

- To wcale nie powód, żeby nie znaczył również "podarunek"

- odparła Madzia odważnie. - Może mieć kilka znaczeń. Na przykład droga - może być taka, co prowadzi do miasta, a może być także: droga mama.

- Świetnie, moja mała! - zawołał młynarz ze śmiechem, podczas gdy Tomek, zdeglustowany mądrością Madzi, cieszył się w duszy ogromnie, że siostra z nim zostaje. Jak przejrzy dokładnie jego książki, to przestanie być taka pewna siebie.

Pani Stelling zapraszając usilnie Madzie wymieniła tydzień jako okres pobytu, pastor jednak wziął ją między kolana i dopytywał się, gdzie też ukradła swoje czarne oczy, po czym nalegał, by została co najmniej dwa tygodnie. Pan Stelling niezwykle podobał się Madzi, młynarz zaś był zadowolony, że zostawia swoją dziewczuszkę tam, gdzie będzie mogła okazać swą mądrość ludziom, którzy to ocenią. Tak więc postanowiono, że powróci do domu dopiero po upływie dwóch tygodni.

- Chodź teraz ze mną do biblioteki, Madziu - powiedział Tomek, kiedy młynarz odjechał. - Po co tak trzęsiesz głową, głuptasie? - Chociaż włosy Madzi otrzymały teraz nowe prawa i były zaczesane gładko za uszy, dziewczynce ciągle się zdawało, że musi je strząsać z oczu. - Wyglądasz jak stuknięta.

- Co ja na to poradzę! - zawołała niecierpliwie. - Nie dręcz mnie, Tomku. Och, jakie książki! - krzyknęła zobaczywszy w pokoju szkolnym półki z książkami. - Jak ja bym chciała mieć tyle książek.

- No i co, nie mogłabyś ich czytać! - zawołał Tomek z triumfem.

- To wszystko łacina.

- Nie, nie wszystko - oponowała Madzia. - Widzę tu na grzbiecie ... Zmierzch i upadek cesarstwa rzymskiego™.

13 Zmierzch i upadek cesarstwa rzymskiego {The Decline and Fall of the Roman Empire) - wielotomowe dzieło Edwarda Gibbona wydane w 1-1776-1788 i uważane za największe dzieło historyczne w literaturze angielskiej.

ROZDZIAŁ I

171

- No i co to znaczy? Widzisz, nie rozumiesz - triumfował chłopiec.

- Ale mogłabym się bardzo szybko dowiedzieć - odparła Madzia pogardliwie.

- W jaki sposób?

- Zajrzałabym do środka i zobaczyłabym, o czym to jest.

- Lepiej tego nie rób - rzekł Tomek widząc, że siostra sięga na półkę. - Pan Stelling nikomu nie pozwala ruszać tych książek bez jego wiedzy. Dostałbym za to!

- No, to dobrze, zobaczymy wobec tego twoje książki, wszystkie - odparła Madzia i odwróciwszy się zarzuciła Tomkowi ręce na szyję i małym, gładkim noskiem pocierała jego policzek.

Tomek w głębi serca cieszył się ogromnie, że ma przy sobie kochaną, starą Madzie, z którą może gadać i przed którą może się puszyć, więc ujął ją w pasie i razem zaczęli podskakiwać wokół dużego bibliotecznego stołu. Skakali coraz żywiej i gwałtowniej, aż włosy wysunęły się Madzi zza uszu i fruwały wokół głowy, jak u żywego stracha na wróble. Ale koła zataczane wokół stołu stawały się coraz bardziej gwałtowne, aż wreszcie dzieci zahaczyły o pastorski pulpit, a ten runął na podłogę wraz z leżącymi na nim ciężkimi słownikami. Na szczęście działo się to na parterze, a biblioteka mieściła się w jednopiętrowym skrzydle dobudowanym do domu, tak że upadek nie rozniósł się przerażającym echem po całym budynku. Tomek stał jednak przez kilka minut przerażony i osłupiały, bojąc się, że za chwilę wejdzie pan albo pani Stelling.

- Och, Madziu - odezwał się wreszcie podnosząc pulpit - musimy zachowywać się tutaj bardzo cicho, wiesz? Jak coś połamiemy, to już pani Stelling dopilnuje, żebyśmy wołali peccavi!

- Co to znaczy?

- To po łacinie znaczy "dobre wymyślanie" - odpowiedział Tomek nie bez pewnej dumy ze swojej wiedzy.

- Czy ona jest bardzo zła?

14 peccań (łac.) - zgrzeszyłem.

KSIĘGA DRUGA

172

- Jeszcze jak! - odparł Tomek podkreślając to skinieniem głowy.

- Myślę, że wszystkie kobiety są gorsze od mężczyzn - ciągnęła Madzia. - Ciocia Glegg jest o wiele gorsza od wuja Glegg, a mama łaje mnie o tyle częściej niż tatuś!

- Cóż, ty sama będziesz kiedyś kobietą, więc lepiej nic nie mów.

- Aleja będę mądrą kobietą - rzekła Madzia potrząsając głową.

- O, na pewno! I obrzydliwym zarozumialcem. Nikt cię nie będzie lubił!

- Ale ty nie powinieneś myśleć o mnie jak inni, Tomku. To by było bardzo brzydko z twojej strony, bo ja przecież pozostanę twoją siostrą.

- Tak, ale jeżeli będziesz wstrętna i nieznośna, to cię nie będę lubił.

- Nie, Tomku, nie. Nie będę okropna. Będę zawsze bardzo dobra dla ciebie, dobra dla wszystkich. Będziesz mnie kochał.

- Och, co się przejmujesz! Chodź; już czas, żebym zaczął odrabiać lekcje. Zobacz, co ja tu mam do roboty - odparł Tomek, ciągnąc za sobą Madzie i pokazując jej swoje twierdzenia geometryczne, podczas gdy dziewczynka zaczesywała sobie włosy za uszy, gotowa udowodnić, że jest zdolna pomóc mu przy Euklidesie. Zaczęła czytać, dufna we własne siły, lecz wkrótce twarz jej powlókł rumieniec zdumienia i złości. To nieuniknione - musi się przyznać do swych niedostatków umysłowych - a Madzia nie lubiła upokorzeń.

- To bzdura - oświadczyła. - Bzdura i okropieństwo. Po cóż się tym w ogóle zajmować?

- Widzisz, panienko- zawołał Tomek zabierając książkę i kiwając nad siostrą głową. -

Widzisz, nie jesteś taka mądra, jak ci się zdawało.

- Ee - Madzia wydeła usta - z pewnością zrozumiałabym wszystko, gdybym się uczyła tego, co było przedtem, tak jak ty.

- Nie mogłabyś zrozumieć, panno Mądralińska, bo jak wiesz, co było przedtem, to ci tylko trudniej: musisz wiedzieć, jak brzmi definicja trzecia i jaki jest aksjomat piąty. Ale idź już stąd, muszę się wziąć do roboty. Masz tu gramatykę łacińską, zobacz, co z tego zrozumiesz.

ROZDZIAŁ I

173

Po udreće z matematyką Madzia znalazła ukojenie w gramatyce łacińskiej. Zachwycała się nowymi słowami i szybko odkryła, że na końcu książki znajduje się klucz angielski, który pozwoli jej dowiedzieć się wiele o łacinie bardzo małym kosztem. Postanowiła opuścić

zasady składni, bo uwagę jej przykuwały przede wszystkim przykłady. Te tajemnicze zdania wyrwane z nieznanymi kontekstów jak dziwaczne rogi zwierzęce czy liście egzotycznych roślin, przywiezione z dalekich krain - otwierały szerokie pole jej wyobraźni, a były o tyle bardziej fascynujące, że przemawiały specjalnym językiem, którego ona może się przecież nauczyć! To naprawdę ogromnie interesujące, ta gramatyka łacińska. Tomek powiedział, że dziewczyny nie mogą się jej nauczyć, a Madzia była dumna, że ją to ciekawi. Największą uciechę sprawiały jej najkrótsze przykłady: Mors omnibus est communis¹⁵ - może to i banalne, ale tak się chciała nauczyć łaciny. Szczęśliwy pan, któremu wszyscy wieszowali syna "obdarzonego takim usposobieniem", pozwalał na przyjemne domysły, toteż Madzia pograżona była całkowicie w "gęstym lesie, przez który nie przedostawało się światło gwiazd", kiedy Tomek zawołał:

- Daj mi teraz gramatykę, Madzinku!

- Och, Tomku, jakaż to śliczna książka! - zawołała dziewczynka zeskakując z szerokiego fotela, by ją wręczyć bratu. - O tyle ładniejsza od słownika. Mogłabym bardzo szybko nauczyć się łaciny. Wcale nie wydaje mi się trudna.

- Wiem, co robiłaś - odparł Tomek. - Czytałaś angielskie tłumaczenie na końcu. Każdy osioł to potrafi.

Tomek sięgnął po książkę i otworzył ją z miną człowieka zdecydowanego i bardzo zajętego, jakby chciał powiedzieć, że ma do odrobienia lekcje, których żaden osioł nie jest w stanie zrozumieć. Madzia, urażona nieco, odwróciła się ku półkom z książkami i zabawiła się odgadywaniem tytułów.

W pewnej chwili zawołał ją brat.

- Chodź no tu, Madzinku, i sprawdź, czy potrafię to powtórzyć.

15 (łac.) - śmierć wszystkim jest wspólna.

174 KSIĘGA DRUGA

Stań przy tamtym końcu stołu, gdzie zawsze siedzi pan Stelling, jak mnie przesłuchuje.

Madzia posłuchała i wzięła otwartą książkę.

- Od czego zaczynasz, Tomku?

- Od Appellativ arborum¹⁶, bo zawsze powtarzam to, czego się uczyłem przez cały tydzień. Przez trzy linijki Tomek przebrnął bez kłopotów, a Madzia zapomniała o obowiązku podpowiadania, zastanawiając się właśnie, co może znaczyć słowo: mas¹⁷, które powtarzało się dwukrotnie, kiedy brat jej utknął na dobre na: Sunt etiam volucrum¹⁸ ...

- Nie podpowiadaj mi, Madziu ... Sunt etiam volucrum ... sunt etiam volucrum ... ut ostrea, cetus¹⁹ ...

- Nie - Madzia otworzyła buzię i potrząsnęła głową.

- Sunt etiam olucrum - powtórzył Tomek bardzo wolno, jakby miał nadzieję, że następne słowa szybciej nadejdą, jeśli im w ten wyraźny sposób da znać, że na nie czeka.

- C, e, u - odpowiedziała Madzia zniecierpliwiona.

- Wiem ... nic nie mów ... Ceu passer, hirundo; Ferarum²⁰ ... - Tomek ujął ołówek i zrobił kilka mocnych kropek na okładce książki - ... ferarum ...

- Ojeju, Tomku, jak ci nie idzie! - zawołała Madzia. - Ut ...

- Ut, ostrea ...

- Nie, nie, ut tigris²¹ ...

- O, tak, teraz wiem, to było tigris, vulpes. Zapomniałem: ut tigris, ulpes; et piscium²².

Jakając się i powtarzając, Tomek przebrnął jakoś przez parę następnych linijek.

16 od Appellativa arborum" - od nazw drzew.

17 mas (łac.) - samiec.

18 (łac.) - są także z ptaków.

19 ut ostrea, cetus (łac.) - jak ślimaki, wieloryb.

20 (łac.) - takie jak wróbel, jaskółka; z dzikich ...

21 ut tigris (łac.) - jak tygrys.

22 (łac.) - jak tygrys, lis; i z ryb.

ROZDZIAŁ I

175

- Dosyć - powiedział. - Tego, co jest dalej, miałem się nauczyć na jutro. Daj mi książkę na chwilę.

Po cichym przepowiadaniu lekcji, wspomaganym biciem pięścią w stół, Tomek zwrócił książkę siostrze.

- Mascula nomina in a23 ... - zaczął.

- Nie, Tomku, to nie jest po tamtym. Zaczynaj od: Nomen non crescens genitivo2 ...

- Crescens genitivo!" - zawołał Tomek drwiąco, nauczył się bowiem tego opuszczonego kawałka na wczorajszą lekcję, a młody człowiek nie potrzebuje szerokiej czy dogłębnej znajomości łaciny, żeby odczuć żalną nedorzecznosc złego iloczasu. - Crescens genitivo". Jaka z ciebie idiotka, Madziu.

- Nie masz się czego śmiać, Tomku, boś ty w ogóle tego nie pamiętał. Pewna jestem, że tak się to wymawia - zresztą skąd mogłam wiedzieć?

- Ee tam, mówiłem ci, że dziewczyny nie mogą się uczyć łaciny. To jest tak: Nomen non crescens genitivo.

- Świetnie - odparła Madzia odymając wargi. - Mogę i tak powiedzieć, równie dobrze jak ty. I nie zwracasz uwagi na znaki przestankowe. Powinieneś zatrzymać się dwa razy dłużej na średniku niż na przecinku, a ty zatrzymujesz się najdłużej tam, gdzie w ogóle nie ma żadnego znaku.

- Nie gadaj już. Muszę jechać dalej25.

Wkrótce poproszono ich, by resztę wieczoru spędzili w saloniku, a Madzia tak bardzo ożywiła się przy panu Stellingu, który, a była tego pewna, zachwycił się jej mądrością, że Tomek zdumiał się i przeraził

(łac.) - rzeczowniki męskie na a.

nomen non crescens genitivo (łac.) - rzeczownik bez końcówki w dopełniaczu. Madzia popełnia tu błąd wymawiając crescens i genitivo zamiast crescens i genitivo.

25 Scena przygotowania do lekcji jest okazją, by pokazać, jak mechaniczny i zabijający wszelkie zainteresowanie jest stosowany tu sposób nauczania łaciny. Polega on na wkuwaniu na pamięć dużych ilości słówek: nazw ptaków, drzew, dzikich zwierząt itp., nie pojawiających się w żadnym kontekście.

KSIĘGA DRUGA

176

zuchwalstwem siostry. Nagle przycichła, kiedy pastor wspomniał

o jakiejś małej dziewczynce, która, jak słyszał, uciekła kiedyś do Cyganów.

- Cóż to musiała być za cudaczna dziewczynka - pani Stelling chciała zażartować, ale żartowanie z jej domniemanej cudaczności nie przypadło bynajmniej Madzi do gustu.

Obawiała się, że pan Stelling nie ma jednak o niej wysokiego mniemania, i kładła się do łóżka w niedobrym nastroju. Czuła, że pastorowa krytycznie patrzy na jej włosy, bo spadają do tyłu prosto, a nie w lokach.

Mimo wszystko dwa tygodnie spędzone z Tomkiem były dla niej szczęśliwym okresem.

Pozwolono jej siedzieć w bibliotece podczas lekcji brata, kiedy to czytała, co jej się nawinęło pod rękę; zabrnęła daleko w przykładach z gramatyki łacińskiej. Astronom, który nienawidził kobiet jako takich, był tematem tak zdumiewających jej rozważań, że dziewczynka zapytała pewnego dnia pana Stellinga, czy wszyscy astronomowie nienawidzą kobiet, czy tylko ten jeden. Uprzedzając jednak jego odpowiedź, sama to próbowała wytłumaczyć:

- Myślę, że chyba wszyscy, bo przecież pan wie, że oni siedzą w takich wysokich wieżach, a jakby tam przychodziły kobiety, toby mogły gadać i przeszkadzać im w patrzeniu na gwiazdy.

Pan Stelling ogromnie lubił jej szczebiot i żyli w najlepszej zgodzie. Madzia oświadczyła Tomkowi, że chciałaby tu zostać w szkole, tak jak

1 on, i uczyć się tego samego, co on. Była pewna, że poradziłaby sobie z Euklidesem, bo zaglądała do niego jeszcze raz i wie, co to znaczy A B C: to są po prostu nazwy linii.

- Jestem pewny, że nie zrozumiałabyś z tego ani słowa - odparł Tomek - i zaraz zapytam o to pana Stellinga.

- Proszę bardzo - rzekła zrozumiła mała gąska. - Sama się go zapytam.

- Proszę pana - zwróciła się tego samego wieczora do pastora, kiedy siedzieli w saloniku - czy mogłabym nauczyć się Euklidesa i tego, co Tomek przerabia na lekcjach, gdyby pan uczył mnie zamiast niego?

- Nie mogłabyś - odrzekł Tomek z oburzeniem. - Dziewczynki nie mogą zrozumieć Euklidesa, prawda, proszę pana?

ROZDZIAŁ I

177

- Potrafią uszczknąć odrobinę z każdej dziedziny wiedzy, tak mi się zdaje. Mają ogromny dar zdobywania powierzchownych wiadomości, ale nie potrafią się w nie wgłębić. Są bystre i płytkie.

Zachwycony tym wyrokiem Tomek pokiwał zwycięsko głową Madzi zza krzesła pastora. Jeśli zaś chodzi o dziewczynkę, trudno byłoby ją bardziej zmartwić. Taka była dumna, że ją nazywali bystrą przez całe krótkie jej życie, a teraz się okazuje, że ta bystrość jest piętnem niższości. Lepiej już być takim niezgułą jak Tomek.

- Ha, ha, ha, panienko! - śmiał się z niej brat, kiedy znaleźli się sam na sam. - Widzisz, że bystrość to nic takiego nadzwyczajnego. W nic się nie potrafisz wgłębić, widzisz!

A Madzia była tak przygnębiona tym strasznym wyrokiem, że nie mogła się nawet zdobyć na odpowiedź.

Ale kiedy to malutkie, płytkie a bystre stworzenie uwięzione zostało gigiem, powożonym przez Łukasza, a biblioteka opustoszała, chłopiec zateśknił boleśnie za siostrą. Doprawdy, odkąd przyjechała, był bardziej pojętny i lepiej dawał sobie radę z lekcjami. Pytała tyle razy pana Stellinga o Cesarstwo Rzymskie, o to, czy naprawdę istniał kiedyś człowiek, który powiedział po łacinie: "nie dam za to złamanego szeląga ani zgniłego orzecha", czy też tylko zostało to na łacinę przełożone, że do umysłu chłopca dotarło wreszcie mętne przekonanie, iż naprawdę żyli kiedyś na ziemi ludzie szczęśliwi, którzy znali łacinę, nie ucząc się jej za pomocą Gramatyki Etońskiej. Ta wielka myśl stanowiła w tym półroczu istotny dodatek do jego osiągnięć, na które złożyła się skrócona historia Żydów.

Lecz to ponure półrocze skończyło się wreszcie. Jakże szczęśliwy był Tomek patrząc na ostatnie żółte liście trzepoczące w ostrych podmuchach wiatru. Ciemne popołudnia i pierwszy śnieg grudniowy wydawały mu się o wiele weselsze niż sierpniowe słońce. Aby upewnić się gruntownie co do tego, że mijają dni, które zbliżają go ku domowi, wetknął głęboko w kącie ogrodu dwadzieścia jeden kijów, kiedy jeszcze trzy tygodnie dzieliły go od świąt, i wyciągał po jednym każdego dnia, rzucając go potem z takim rozmachem i pasją, że kij mógłby wpaść do przedpiekła, gdyby takie długie podróże leżały w naturze kijów.

178 KSIĘGA DRUGA

Ale warto było zapłacić nawet wysoką cenę gramatyki łacińskiej za szczęście zobaczenia jasnego światła w oknie domowego saloniku, kiedy gig przejeżdżał bezszelestnie po zasypanym śniegiem moście. Szczęście, kiedy z zimna na zewnątrz przechodziło się do ciepłego wnętrza domu, do uśmiechów i pocałunków przy tym starym kominku, gdzie wzory dywaniku, krata przed paleniskiem i szczypce do węgla były archetypami²⁶, których krytykować nie sposób, tak jak nie sposób krytykować stałości czy rozległości materii. Nigdzie nie czujemy się tak swobodnie jak w otoczeniu, w którym przyszliśmy na świat, gdzie przywiązaliśmy się do przedmiotów, zanim poznaliśmy trud wyboru, i gdzie świat

zewnątrzny wydawał nam się tylko przedłużeniem naszej osobowości - przyjmowaliśmy go i kochali tak, jak przyjmowaliśmy świadomość własnego istnienia i własnego ciała. Jak powszednio, jak może nawet brzydko wyglądałyby wystawione na licytację meble z naszego dzieciństwa - wzgardziłyby nimi współczesne gusta, bardziej już wyrobione. Czy ta pogoń za doskonałością w naszym otoczeniu nie jest podstawową cechą, odróżniającą człowieka od barbarzyńcy lub też, by definicja była całkowicie ścisła, odróżniającą Brytyjczyka od cudzoziemskiego barbarzyńcy? Ale Bóg jeden wie, dokąd mogłaby ta pogoń zaprowadzić, gdyby nie przywiązanie, które znalazło na nas sposób okręcając się niczą wokół tych starych, ostatnich przecież sprzętów; gdyby przedmioty naszej miłości i czci nie zapuściły głębokich, niewzruszalnych korzeni w naszą pamięć. Fakt, że zachwycamy się bardziej krzakiem czarnego bzu, zwisającego nad gęstwą listowia żywopłotu, niż widokiem najpiękniejszego klematis czy fuksji²⁷ na tle miękkiej falistej murawy - ten fakt jest niewytłumaczalny i niezrozumiały dla ogrodnika- hodowcy i wszystkich umysłów ścisłych i precyzyjnych, wolnych od słabości jakiegokolwiek przywiązania nie opartego na dowodnej wyższości gatunku.

26 archetyp - pierwowzór.

27 klematis, fuksja - pięknie kwitnące rośliny ogrodowe skonstrastowane tu są z pospolitym krzewem, który może się wydawać piękniejszy od nich dzięki skojarzeniom z dzieciństwa.

ROZDZIAŁ II

179

A nie ma innej przyczyny dla wyboru krzaka bzu niż ta, że porusza on jakieś struny mojej pamięci - że nie jest nowością, przemawiającą do mnie dzięki obecnym moim upodobaniom do koloru i formy, lecz starym towarzyszem, który wplótł się w moje radości, kiedy te radości były jeszcze żywe²⁸.

ROZDZIAŁ II

ŚWIĘTA BOŻEGO NARODZENIA

Kochane, stare, siwowłose i rumiane święta wykonały tego roku swój obowiązek najpiękniej, jak umiały, i rozesłały bogate dary ciepła i barw, podkreślając jeszcze kontrast śniegiem i mrozem.

Śnieg leżał na pastwisku i nad brzegiem rzeki, pofałdowany delikatniej niż członki noworodka i tworzył przepiękne okapy na każdym spadzistym dachu, pogłębiając kolor ciemnoczerwonych, ostrych szczytów. Przygniatał gałęzie jodeł i drzew lauowych i zsuwał się z nich z ostrym szmerem. Nierówne pole rzepy pokryte było bielą, a owce wyglądały na nim jak ciemne plamy. Niesiony podmuchami wiatru śnieg zasypywał furtki; tu i tam zlekceważony czworonóg stał jak skamieniały "w nieodpartym smutku"²⁹; ani słońca, ani cienia, bo i niebo całe było jedną spokojną jasną chmurą; ani dźwięku nigdzie, ani ruchu, tylko ciemna rzeka płynęła i jęczała, jak niestrudzona

28 Częstym tematem refleksji narratora jest rola wczesnych przeżyć w powstawaniu nowych wyobrażeń o świecie. Stale podkreślana jest ciągłość życia psychicznego na długo przed wprowadzeniem przez psychologię pojęcia "strumienia świadomości".

29 W łagodnym klimacie angielskim, gdzie śnieg zwykle leży krótko, a silne mrozy występują niezmiernie rzadko, zwierzęta przebywają również w zimie nie w zabudowaniach, a na ogrodzonym polu. Ich pokarm stanowi wtedy pozostawiona tam rzepa uzupełniana rozrzuconym sianem.

180 KSIĘGA DRUGA

żałość. Ale Boże Narodzenie śmiało się, kładąc na świat zewnątrzny to pozornie okrutne zaklęcie, chciało bowiem zapalić wnętrza domów świeżym blaskiem, wydobyć z nich bogactwo barw i podkreślić cudowność zapachów jądła. Chciało zgotować ludziom miłe więzienie, które by pogłębiło pospolitą zyczliwość bliźnich, i sprawić, by blask znajomych ludzkich twarzy witano równie radośnie, jak schowane w chmurach słońce. Dobroć jego nie

obejmowała bezdomnych, nie obejmowała mieszkań, gdzie na kominku ledwie tlił się ogień, gdzie nie unosiła się smakowita woń jedzenia, gdzie z twarzy ludzkich wycierał nie blask, lecz ołowiane, puste spojrzenie beznadziejnej nędzy. Ale stare, piękne święta miały jak najlepsze zamiary, a jeśli nawet nie posiadały tajemnicy, jak równo dzielić błogosławieństwa między ludzi, to tylko dlatego, że ojciec Czas, z niedocieczonej jakiejś przyczyny, wciąż ukrywa ten sekret w swym wielkim, wolno bijącym sercu.

A jednak mimo świeżych zachwyków Tomka nad swoim domem, dzień Bożego Narodzenia nie był tak radosny, jak w poprzednich latach. Tak się przynajmniej chłopcu zdawało. Na ostrokrzewie było tyle samo co zawsze czerwonych jagód i Tomek z Madzią ubrali wszystkie okna, gzymsy i ramy obrazów równie ładnie jak zwykle, wplatając gęste czerwone grona w gałęzie bluszczu, osypane czarnymi jagodami. Po północy rozległy się pod oknami śpiewy - Madzi wydawało się zawsze, że to śpiewy niebiańskie, chociaż Tomek utrzymywał pogardliwie, że to stary Patch, urzędnik parafialny, i reszta chóru kościelnego. Drżała z przejęcia, gdy kolęda wpływała w jej sny, a obraz ludzi w barchanowych okryciach wypierała zawsze wizja aniołów spoczywających na rozdartej chmurze. Północne śpiewy, jak zwykle, wnosiły następny poranek ponad poziom zwykłych, powszednich dni; w porze śniadania z kuchni rozchodził się zapach gorących grzanek i piwa; ulubiona antyfona, zielone gałęzie i krótkie kazanie, wszystko to nadawało nabożeństwu właściwy, odświętny charakter. Ciotka i wujek Mossowie wraz z siedmiorgiem swoich dzieci³⁰ wyglądali jak tyleż odbić jasnego ognia na kominku bawialni,

³⁰ Wcześniej (ks. I, rozdz. VIII) pani Moss mówi, że mają ośmioro dzieci.

ROZDZIAŁ II

181

kiedy wszyscy powrócili z nabożeństwa otrząsnąwszy z tupotem śnieg z nóg. Pudding śliwkowy, jak zawsze idealnie okrągły, został wniesiony w otoce symbolicznych niebieskich płomieni, jakby go bohatercko wyrwano z piekielnego ognia, gdzie został wrzucony przez purytanów cierpiących na niestrawność³¹. Deser był równie wspaniały jak zawsze - złote pomarańcze, brązowe orzechy, krystaliczna jasność i ciemność galaretki z jabłek i powidła śliwkowe. Pod tym względem święta były takie jak zawsze, odkąd Tomek sięgał pamięcią, a jeśli wyróżniły się czymkolwiek, to chyba tylko lepszą jazdą na łyżwach i zabawą w śnieżki. Święta były wesołe, lecz nastrój pana Tullivera daleki od wesołości. Młynarz był gniewny i zaczepny, toteż Tomek, który w kłótniach zawsze brał stronę ojca i uważał, że kto inny zawinił, teraz poznawał nieco smak uczuć gnębiących Madzie, gdy ojciec perorował coraz głośniej i gniewniej, przez co spóźniał się deser. Uwagę, którą Tomek mógłby skupić na orzechach i winie, rozpraszała świadomość, że mają na tym świecie podłych wrogów i że życie człowieka dojrzałego musi w dużym stopniu składać się z kłótni. Tomek zaś nie lubił kłótni, chyba że te, którym szybko kładzie kres uczciwa walka na pięści z przeciwnikiem pozwalającym się stłuc. Gniewne słowa ojca nie szły mu w smak, lecz ani się nad tą reakcją nie zastanawiał, ani nie dopuszczał myśli, że ojciec mógłby być winny.

Wcieleniem zła, które wzbudzało teraz zdecydowany opór młynarza, był pan Pivart, właściciel gruntów położonych w górze Ripple³²;

³¹ pudding śliwkowy (plum pudding) - to nazwa myląca, chodzi bowiem o przysmak świąteczny z mąki, cukru, tłuszczu, dużej ilości rodzyneków, skórki pomarańczowej itp., gotowany długo na parze w płótnie rozpiętym na garnku z wrzącą wodą. Powstały w ten sposób rodzaj płaskiej babki, nasączonej potem koniakiem, rumem itp., można przed podaniem zapalić.

³² Pivart pojawia się zawsze tylko w rozmowach młynarza z rodziną, nigdy zaś jako bezpośrednio przedstawiona, nawet epizodycznie, postać. Z informacji podanych o nim dalej można wnosić, że reprezentuje on nowy typ farmera: -? rzutkiego człowieka traktującego ziemię wyłącznie jako środek produkcji. Inwestuje więc pieniądze w meliorację i oczekuje

stosownych zysków, podczas gdy dla Tullivera zarówno ziemia, jak i młyn są dziedzictwem rodzinnym i warunkują jedyny model egzystencji, jaki uważa za możliwy, i jaki w jego rodzinie ukształtował się od pokoleń.

182 KSIĘGA DRUGA

nawadniał on swoje ziemie niesłychaną ilością wody, co było albo będzie, albo powinno być (z tej prostej przyczyny, że woda jest wodą) naruszeniem prawa pana Tullivera do słusznego udziału w sile wodnej. Dix, właściciel młyna nad rzeczką, był w porównaniu z Pivartem nędznym pomocnikiem szatana. Dix został przyprowadzony arbitrażem do rozsądku i rady Wakerna nie zaprowadziły go daleko, o nie! Pan Tulliver uważał, że jeśli idzie o prawo, to Dix się w ogóle nie liczy. Wskutek oburzenia na Pivarta pogarda dla wywiezionego w pole przeciwnika, takiego jak Dix, przybrała pozór przyjacielskiego przywiązania. Dzisiaj młynarz nie miał, oprócz pana Mossa, męskich słuchaczy, ten zaś nie znał się zupełnie na, jak to mówił, "młyńskich sprawach" i mógł tylko zgadzać się z argumentami szwagra a priori³² z powodu powiązań rodzinnych i zobowiązań pieniężnych. Pan Tulliver nie mówił jednak z daremnym zamiarem przekonania słuchaczy - mówił, żeby sobie ulżyć, podczas gdy poczciwy pan Moss robił najwyższe wysiłki, by zachować oczy otwarte i nie zasnąć, do czego skłaniał go wyborny obiad i ogromne zmęczenie. Pani Moss żywiej reagowała na sprawę, jako że interesowało ją wszystko, co miało związek z bratem. Słuchała więc i wtrącała się tak często, jak pozwalały jej na to matczyne obowiązki.

- Pivart to chyba ktoś nowy w tych stronach, prawda? - pytała.

- Nie miał tu ziemi za życia ojca ani przed moim ślubem.

- Nowy? Pewno, że nowy - odparł pan Tulliver z przekąsem.

- Młyn Dorlcote był w naszej rodzinie ze sto lat i ho, ho, a nikt nigdy nie słyszał, żeby się jakiś Pivart wtrącał do rzeki. Przyjechał i kupił farmę Bincome'a, tak od ręki, nim się kto zdążył obejrzeć. Ale ja mu pokażę, szelmie! - dodał podnosząc szklanekę w poczuciu, że sprecyzował dokładnie swe postanowienie.

- Mam nadzieję, bracie, że nie będziesz się musiał z nikim procesować? - zapytała z niepokojem pani Moss.

- Nie wiem, co ja będę musiał, ale wiem, do czego go zmuszę, z wszystkimi jego groblami i nawadnianiami, jeżeli tylko jest prawo,

33 a priori (łac.) - uprzedzając fakty, z góry.

ROZDZIAŁ II

183

które przyznaje rację temu, kto ją ma. Wiem dobrze, kto za tym wszystkim siedzi - Wakem pogania go i podszczuwa. Wiem, Wakem mu powiedział, że prawo go wybroni, ale nie jeden Wakem zna się na prawie. Trzeba dobrego łajdaka, żeby sobie dał z nim radę, ale jest taki, co zna więcej prawniczych sztuczek; inaczej jak by Wakem przegrał sprawę Brumleya?

Pan Tulliver był człowiekiem uczciwym i dumnym ze swej uczciwości, uważał jednak, że przy pomocy prawa można osiągnąć sprawiedliwość tylko wtedy, jeśli się weźmie mocniejszego łobuza do walki ze słabszym. Prawo - to coś w rodzaju walki kogutów, w której obrażona uczciwość powinna zdobyć ptaka o większej odwadze i mocniejszych pazurach.

- Gore nie jest głupi, niech mi tego nikt nie mówi - odezwał się nagle wyzywającym tonem, jakby biedna Gritty podawała zdolności adwokata w wątpliwość - ale, widzicie, nie jest tak dobrze obznajomiony z prawem jak Wakem. A woda to rzecz bardzo szczególna - widłami jej nie nabierzesz. Dlatego właśnie diabeł i adwokaci łamią sobie na niej zęby. Sprawa jest oczywista, jak na nią spojrzeć po prostu - wiadomo, co jest słuszne, a co nie. Rzeka to rzeka i jak się ma młyn, trzeba mieć wodę, żeby młyn szedł; nikt mi nie powie, że nawadnianie i te inne bzdury Pivarta nie zatrzymają mi koła. Wiem, co się wodzie należy, lepiej niż on. Co mi tam gadają inżynierowie! Ja mówię, co każe zdrowy rozsądek - że groble Pivarta to moja

krzywda. Ale jeśli tak wygląda ich inżynieria, to przyuczę do niej powolutku Tomka i zobaczymy, czy on tam nie wynajdzie czegoś rozumniejszego niż oni. Słyszac o nowych projektach tyczącich jego przyszłości, Tomek rozejrzał się z pewnym niepokojem, bezmyślnie chowając grzechotkę, którą zabawiał małą pannę Moss, na co ona, jak dziecko, które niezwykle jasno wie, czego chce, odpowiedziała natychmiast przeraźliwym krzykiem i nawet zwrot grzechotki nie mógł jej ułagodzić, w pojęciu małej bowiem pierwotny grzech, jakim było zabranie grzechotki, bynajmniej nie został zmasany. Pani Moss pospiesznie wyniosła córkę do drugiego pokoju, tłumacząc przy tym pani Tulliver, która jej towarzyszyła, że drogie dziecko ma powody do płaczu

'9 BN H/234 G. Eliot: Młyn nad Flossą

184 KSIĘGA DRUGA

- a jeśli się uważa, że grzechotka była przyczyną jego rozpacz, to się źle uważa. Kiedy ów całkowicie usprawiedliwiony wrzask ucichł, pani Moss spojrziała na bratową i powiedziała:
- Bardzo się martwię, że mój brat tak sobie bierze do serca tę wodę.
- To zwyczaj twojego brata, moja droga. Nie słyszałam o takich rzeczach przed ślubem - odparła pani Tulliver, jakby z przyganą. Rozmawiając z panią Moss o mężu, młynarzowa zawsze mówiła "twój brat", jeżeli jego postępowanie nie było wyłącznie przedmiotem zachwytu. Pocziwa pani Tulliver, która się nigdy w życiu nie rozzłościła, miała jednak w naturze odrobinę skłonności do gniewu, boć przecież była Dodsonówną, a przy tym kobietą. Zawsze była w pozycji obronnej wobec własnych sióstr, ale nawet jako najśłabsza Dodsonówna musiała, rzecz jasna, odczuwać swą wyższość nad siostrą męża, która nie tylko była biedna i potrafiła "być ciężarem" swemu bratu, ale też odznaczała się dobroduszną uległością kobiety zacnej, nieporządnej, płodnej, o wielkim sercu, gdzie znajdowało się dość uczucia dla męża, wielu dzieci oraz dalszej rodziny bez względu na jej liczbę.
- Modłę się i ufam, że nie pójdzie z tym do sądu - rzekła pani Moss - bo wtedy końca nie będzie sprawie. I nie zawsze słuszość wygrywa. Ten pan Pivart to człowiek bogaty, jak mi się zdaje, a bogaci mają sposoby, żeby zdobyć, co chcą.
- Jeśli o to idzie - odparła pani Tulliver przyglądając suknie
- wiem, co to bogactwo, boć na nie patrzę we własnej rodzinie; moje siostry mają mężów, których stać na płacenie za żonine fantazje. A ja czasem myślę, że zwariuję, jak słyszę te rozmowy o sądach i nawadnianiu. I jeszcze moje siostry mówią, że ja temu winna, bo nie wiedzą, co znaczy wyjść za takiego człowieka, jak twój brat - skąd mogą wiedzieć? Siostra Pullet od rana do nocy robi wszystko wedle swojej woli.
- Ee ... - odparła pani Moss. - Nie kochałabym chyba męża, co nie miałby własnego rozumu i musiałby się radzić mojego. Łatwiej robić, co się mężowi podoba, niż samej myśleć, jak zrobić lepiej.

ROZDZIAŁ II

185

- Jeśli mowa o robieniu tego, co się mężowi podoba - odparła pani Tulliver, naśladowując nędznie siostrę Glegg - to myślę, że twój brat musiałby długo szukać, nim znalazłby żonę, która tak jak ja pozwoliłaby mu we wszystkim stawiać na swoim. Teraz nie mówi o niczym innym, jak tylko o prawie i nawadnianiu, od rana, odkąd wyjdziemy z pościeli, aż do wieczora, kiedy kładziemy się spać. Nigdy się z nim nie sprzeczam. Mówię tylko: "Dobrze, mężu, rób, jak chcesz, ale na wszystko cię proszę - nie idź do sądu".
Jak już mogliśmy stwierdzić, pani Tulliver miała pewien wpływ na męża. Każda kobieta ma wpływ na męża. Zawsze może go nakłonić, żeby zrobił to, czego ona chce, albo coś wręcz odwrotnego. Wśród różnorodnych impulsów, które mogły pchnąć pana Tullivera do sądu, ustawiczne błagania żony miały niewątpliwie swoją wagę. Można je nawet przyrównać do tego przysłowiowego piórka, na którego korzyść czy niekorzyść należy zapisać złamanie wielbłądziego grzbietu³. Mówiąc jednak bezstronnie, wina leży chyba w wadze poprzednich

piórek, które wystawiły wielbłądzi grzbiet na ryzyko tak wielkie, że każdy następny niewinny ciężar musiał nieść tragiczne skutki. Nie znaczy to, by ciche błagania pani Tulliver miały wagę tego decydującego piórka dzięki indywidualnej sile osobowości młynarzowej, zawsze jednak, kiedy nie całkiem przyznawała rację mężowi, ten dostrzegał w niej natychmiast przedstawicielkę rodziny Dodsonów. Pan Tulliver pragnął nade wszystko pokazać Dodsonom, że nie będą nim rządzić, czy też - ściśle mówiąc - że Tulliver, mężczyzna, to coś więcej niż cztery Dodsonówny razem wzięte, nawet jeżeli jedna z nich nosi nazwisko Glegg. Lecz nawet osobiste namowy przedstawicielki rodu Dodsonów, by młynarz nie chodził do sądu, nie zdołały zachęcić go do tego tak skutecznie, jak sama myśl o Wakemie, podsycana częstymi spotkaniami-

(złamanie wielbłądziego grzbietu - aluzja do angielskiego przysłowia mówiącego, iż ostatnie dodane do ładunku żdźbło czy piórko - jakkolwiek lekkie - łamie grzbiet wielbłąda. Inaczej mówiąc: drobnostka może sprawić, że Przebierze się miara i nastąpi katastrofa.

19

KSIĘGA DRUGA

186

mi z tym nader sprytnym adwokatem w dni targowe. Według najpewniejszych informacji młynarza Wakem (mówiąc metaforycznie) krył się na dnie nawadniań Pivarta. Wakem próbował namówić Dixę, by się postawił i szedł do sądu o tamę. Z całą pewnością przez Wakema pan Tulliver przegrał sprawę o swoje prawa do drogi i mostu, i w ten sposób przejazd przez jego grunta został otwarty każdemu włóczędze, który woli korzystać z okazji i niszczyć własność prywatną, niż, jak uczciwy człowiek, iść sobie gościńcem. Każdy adwokat jest większym czy mniejszym łajdakiem, ale łajdactwo Wakema było szczególnie drażniące i stanowiło przeciwieństwo takiego pojęcia prawa, jakie wynikało logicznie z poglądów i interesów pana Tullivera. Do tego dołączała się jeszcze dodatkowa gorycz, gdyż urażony młynarz, pożyczając ostatnie pięćset funtów, zmuszony był powierzyć pewien mały interes kancelarii Wakema. Gładki, z nosem jak haczyk, zimny jak lód, zawsze pewny zwycięstwa! Niepokojące, że mecenas Gore tak mało go przypomina - łysy mężczyzna o krągłych rysach, łagodnym obejściu i tłustych dłoniach. Stawiać takiego koguta przeciwko Wakemowi to ryzyko. Gore był przebiegły i nie grzeszył wrażliwością sumienia - lecz fakt, że ktoś umie wytrzeszczać oczy, nie świadczy, że potrafi przebić wzrokiem kamienny mur. Choć więc pan Tulliver był pewny swojego twierdzenia, że woda jest wodą, i płynącego stąd wniosku, że Pivart nie ma żadnych legalnych podstaw w tej sprawie z nawadnianiem, niepokoiła go jednak myśl, że Wakem zdolny jest wysunąć więcej argumentów prawnych przeciwko temu niezaprzeczalnemu (rozumnie biorąc) wnioskowi, niż Gore w jego obronie. Ale gdyby już zaczęli się prawować, to może udałoby się panu Tulliver pozyskać adwokata Wyldę'a dla swojej sprawy, zamiast mieć tego podziwu godnego krzykacza przeciwko sobie. Nadzieja, że zobaczy, jak świadek Wakema poci się i peszy, tak jak się kiedyś peszył świadek pana Tullivera, była bardzo nęcąca, zważywszy że młynarz szczególnie lubował się w widoku karzącej dłoni sprawiedliwości.

Pan Tulliver często przemyślał nad tymi osobliwymi sprawami jadąc na siwym koniu - kręcił głową to w lewo, to w prawo, gdy szale wahały się to na tę, to na tamtą stronę. Wynik tych rozmyślań był

ROZDZIAŁ II

187

niejasny, potrzebne były jeszcze gorące dysputy i rozważania w domu i wśród przyjaciół. Na początku młynarz opowiadał o sprawie licznym znajomym, aby utwierdzić się w swoich przekonaniach - to, oczywiście, musiało zabrać nieco czasu. Tak więc w pierwszych dniach lutego³⁵, kiedy Tomek miał wracać do szkoły, nie można już było znaleźć ani nowych szczegółów w opowiadaniu ojca o sprawie przeciwko Pivartowi, ani też dowiedzieć się

konkretnie, jakie kroki zamierza podjąć przeciwko człowiekowi, który pochopnie podaje w wątpliwość zasadę, że woda jest wodą. Powtarzanie, tak jak wcieranie, rodzi czasem gorączkę zamiast postępu, a gorączka młynarza rosła. Jeżeli nie było żadnych nowych dowodów w sprawie, to już to samo stanowi dowód, że Pivart z Wakemem idą ręką w rękę.

- Tatusiu - odezwał się Tomek pewnego wieczoru, pod koniec wakacji - wujaszek Glegg powiada, że adwokat Wakem chce posłać swojego syna do pastora Stellinga. Mówiło się, że ma go wysłać do Francji, ale to nieprawda. Tatuś nie będzie chciał, żebym chodził do szkoły z synem Wakema, prawda?

- Wcale mi to nie przeszkadza, chłopcze - odparł młynarz.

- Tylko nie naucz się od niego niczego złego! Ten chłopak to biedny kaleka, a sądząc z twarzy, wrodził się w matkę. Na moje oko

- niewiele ma z ojca. Znaczy to, że Wakem wysoko ceni pastora, jeśli posyła do niego swojego syna, a Wakem potrafi odróżnić mąkę od otrębów.

W głębi duszy pan Tulliver był nawet dumny z tego, że jego syn będzie odnosił te same korzyści, co syn Wakema, chłopiec jednak odczuwał pewien niepokój. Sprawa wyglądałaby o wiele jaśniej, gdyby syn adwokata nie był kaleką. Tomek mógłby wtedy rzucić się nań z pięściami bez najmniejszych wahań, jak człowiek, którego pchają do czynu wysoce moralne pobudki.

pierwszych dniach lutego - to oczywista pomyłka autorki: po Bożym narodzeniu Tomek podejmował naukę na początku stycznia.

188 KSIĘGA DRUGA

ROZDZIAŁ III

NOWY KOLEGA

Tomek powrócił do szkoły w zimny, dżdżysty dzień styczniowy³⁶ - właściwa pogoda na rozpoczęcie tak ciężkiego okresu życia. Ponurych ciemności nie rozjaśniałby najmniejszy promyk radosnych nadziei, gdyby chłopiec nie miał w kieszeni paczuski lizaków i niewielkiej laleczki holenderskiej dla małej Laury. Z zadowoleniem myślał, jak Laura będzie wyciągać buzię i ręce po kawałki lizaka; by uprzyjemnić sobie jeszcze bardziej te miłe wyobrażenia, wyjął paczuszkę z kieszeni, zrobił w niej dziurkę i odgryzł mały kawałek. Podziałało to nań tak kojąco, gdy siedział ukryty pod pachnącą wilgocią budą gigu, że kilkakrotnie powtórzył w drodze tę czynność.

- Jakże się cieszę, Tulliver, że cię znów widzę - przywitał go serdecznie pan Stelling. - Zdejmij okrycie i posiedź sobie do obiadu w bibliotece. Znajdziesz tam ogień na kominku i nowego kolegę.

Tomek, rozbierając się i ściągając z szyi wełniany szalik, poczuł nieprzyjemny dreszcz.

Widział Filipa Wakema w St. Ogg's, ale zawsze odwracał szybko wzrok w inną stronę.

Nawet gdyby Filip nie był synem złego człowieka, Tomek nie chciałby mieć kolegi- kaleki. A poza tym nie widział możliwości, by syn złego człowieka mógł być bardzo dobry. Jego własny ojciec był człowiekiem przyzwoitym. Tomek rzuciłby się z pięściami na każdego, kto by temu zaprzeczył. Tak więc pełen zakłopotania i niechęci szedł za panem Stellingiem do biblioteki.

- Podaj rękę nowemu koledze - rzekł pastor wchodząc do pokoju. - Oto Filip Wakem.

Zostawię was - sami się ze sobą

³⁶ dżdżysty dzień styczniowy - czas wyjazdu chłopca tu wskazany poprawnie. Drugie półrocze Tomka u pastora zaczyna się w styczniu 1830 r., od rozpoczęcia się akcji powieści w lutym 1829 upłynął więc prawie rok.

ROZDZIAŁ III

189

zapoznacie. Musicie się chyba trochę znać, przecież mieszkacie niemal w sąsiedztwie.

Tomek czuł się niezręcznie i głupio; Filip wstał i spoglądał nań bojaźliwie. Tomek wcale nie miał zamiaru podchodzić i wyciągać ręki, a nie mógł przecież zbyć go lakonicznym: "Jak się masz"- skoro znali się tak krótko.

Pastor roztropnie odwrócił się od nich i wyszedł; chłopięca nieśmiałość może prysnąć tylko pod nieobecność starszych.

Filip zaś był jednocześnie zbyt dumny i zbyt speszony, by pierwszy podejść do kolegi.

Myślał, a raczej wyczuwał, że jego widok nie jest Tomkowi przyjemny. Prawie wszyscy ludzie nie lubili nań patrzeć, a poza tym jego kalectwo bardziej rzucało się w oczy, kiedy chodził. Tak więc stali bez słowa, nie podając sobie rąk. Tomek podszedł do kominka i zaczął grzać się przy ogniu, rzucając od czasu do czasu ukradkowe spojrzenia na Filipa, ten zaś, nie zwracając na nic uwagi, rysował na kawałku rozłożonego papieru najpierw jeden szkic, potem drugi. Usiadł przedtem, a teraz rysując przemyślał, co by też powiedzieć Tomkowi; starał się przełamać w sobie niechęć do zrobienia pierwszego kroku.

Tomek coraz częściej i dłużej spoglądał na twarz Filipa, gdyż patrząc na nią nie widział garbu, a poza tym ta twarz nie była nieprzyjemna - tylko taka, zdawało się Tomkowi, stara. Zastanawiał się, o ile lat może być Filip od niego starszy. Anatom - lub też nawet tylko fizjonomista³⁷ - stwierdziłby na pierwszy rzut oka, że kalectwo Filipa nie jest wrodzone, lecz powstało na skutek jakiegoś wypadku we wczesnym dzieciństwie, trudno jednak przypuszczać, by Tomek coś wiedział o takich różnicach; dla niego Filip był po prostu garbusem. Wyobrażał sobie niejasno, że kalectwo Wakemowego syna musi mieć coś wspólnego z szelmostwem adwokata, o którym to szelmostwie ojciec często mówił z werwą i przekonaniem. Chłopiec czuł też - choć nie przyznawał się do tego w pełni - strach przed kalekim kolegą,

fizjonomista - osoba umiejająca trafnie określać charakter człowieka na podstawie obserwacji rysów jego twarzy.

190 KSIĘGA DRUGA

istotą prawdopodobnie skorą do złości, która, nie mogąc z nikim mierzyć się na siły, ma przemyślane sposoby wyrządzania krzywdy podstępem. W sąsiedztwie akademii pana Jacobsa mieszkał garbaty krawiec, uważany ogólnie za postać bardzo niesympatyczną. Chłopcy o większym wyrobieniu społecznym wykrzykiwali za nim przezwiska, których powodem była oczywiście tylko ułomność moralna kaleki. Widzimy więc, że Tomek miał konkretne podstawy do swoich podejrzeń. Lecz trudno było wyobrazić sobie twarz mniej podobną do ohydneho oblicza krawca niż melancholijna buzia Filipa. Otaczały ją falujące, ciemne włosy, kręcące się na końcach jak u dziewczynki

- rzecz, zdaniem Tomka, doprawdy godna współczucia. Ten Wakem to jakieś blade, nędzne stworzenie - widać od razu, że nie będzie się można z nim bawić w żadną przyzwoitą grę. Ale można mu pozazdrościć sposobu, w jaki trzyma ołówek; najwyraźniej rysuje jedną rzecz po drugiej bez najmniejszego wysiłku. Cóż on tam rysuje? Tomek już się ogrzał przy kominku i zapragnął jakiejś zmiany. Na pewno lepiej mieć za kolegę złośliwego garbusa, niż patrzeć przez okno biblioteki, jak pada deszcz, i w samotności kopać listwę podłogi. Codziennie będzie się teraz coś działo, jakaś kłótnia albo co ... "

- w tym momencie Tomek doszedł do wniosku, że powinien właściwie dać Filipowi do zrozumienia, by lepiej nie próbował na nim swych chytrych sztuczek. Wstał nagle i podszedłszy do nowego kolegi spojrzał na rozłożony papier.

- Ale przecież to osioł, objuczony kosztami ... i spaniel ... i kuropatwy w zbożu! - wykrzyknął, a zdumienie i zachwyt rozwiązały mu język. - O rety! Chciałbym tak rysować! Mam się uczyć rysunku w tym półroczu - ale nie wiem, czy będę potrafił rysować psy i osły!

- Och, możesz je rysować bez nauki - odparł Filip. - Ja się nigdy nie uczyłem rysunku.

- Nigdy się nie uczyłeś? - Tomek był kompletnie oszołomiony. - Jak ja rysuję psy, konie czy inne zwierzęta, to mi nigdy nie wychodzą głowy i nogi, a przecież dobrze wiem, jak powinny

wyglądać. Umieć utrafić domy i różne kominy - takie, co idą występami przy domu od ziemi aż do góry, i okna w dachu, i inne rzeczy. Ale na pewno

I

ROZDZIAŁ III

191

potrafiłbym rysować psy i konie, gdybym częściej próbował - dodał, bo przyszło mu nagle do głowy, iż Filip mógłby mylnie wnioskować, że on, Tomek, ujawniając zbyt otwarcie swoje niedostatki, od razu się poddaje.

- O, tak - powiedział Filip. - To bardzo łatwe. Musisz tylko dobrze się przyjrzeć danej rzeczy, a potem rysować ją i rysować. Co ci nie wyjdzie za pierwszym razem, to wyjdzie za drugim.

- Ale czy ty się niczego nie uczyłeś? - zapytał zdumiony Tomek, któremu zaświtało nagle w głowie podejrzenie, iż garbate plecy Filipa mogą być źródłem niezwykłych umiejętności. - Myślałem, że od dawna uczysz się w szkole.

- Owszem - odparł z uśmiechem Filip. - Uczyłem się łaciny, greki i matematyki - no i pisania, i takich rzeczy.

- Ale chyba nie lubisz łaciny, co? - Tomek zniżył poufnie głos.

- Tak sobie. Właściwie nic mnie ona nie obchodzi.

- Pewno nie doszedłeś jeszcze do: "Præpria quæ maribus" - Tomek mówiąc to kiwał głową, jakby chciał powiedzieć: "Spróbuj tego kawałka. Łatwo ci gadać, póki tego nie robiłeś".

Dobrze zapowiadająca się głupota tego świetnie zbudowanego, ruchliwego chłopaka sprawiła Filipowi zaprawioną goryczą przyjemność. Uprzejmość jednak, płynąca zarówno z wielkiej wrażliwości chłopca, jak i jego ugodowych nastrojów kazała mu stłumić śmiech.

- Skończyłem z gramatyką - odparł spokojnie. - Już się jej nie uczę.

- To nie będziesz miał tych samych lekcji, co i ja? - Tomek był wyraźnie rozczarowany.

- Nie, ale myślę, że będę ci mógł pomóc. Zrobię to z przyjemnością, jeśli tylko będę potrafił. Tomek nie odpowiedział: "dziękuję", przejęty myślą, że syn Wakema wcale nie wygląda na takiego złośliwca, jak się należało spodziewać.

Słuchaj - odezwał się nagle. - Czy ty kochasz swojego ojca?

propria quæ maribus (łac.) - tych, które są właściwe dla mórz.

192 KSIĘGA DRUGA

- Tak - odparł Filip czerwieniąc się mocno. - A ty nie kochasz swojego?

- O, tak ... Chciałem tylko wiedzieć. - Teraz, kiedy zobaczył czerwonego i zmieszanego

Filipa, Tomek zawstydził się nagle. Miał ogromne trudności w ustaleniu swojego stosunku do syna adwokata Wakema i przyszło mu do głowy, że wszystko byłoby o wiele mniej skomplikowane, gdyby Filip nie lubił swojego ojca.

- Będziesz się teraz uczył rysunku? - Tomek próbował zmienić temat rozmowy.

- Nie. Mój ojciec chce, żebym cały czas poświęcił na inne przedmioty.

- Co? Na łacinę i Euklidesa? Na takie lekcje?

- Tak - odpowiedział Filip, który dawno już odłożył ołówek i oparł głowę na rękę, podczas gdy jego kolega pochylał się w przód, wsparty na łokciach, i z rosnącym uwielbieniem patrzył na psa i osła.

- I ty się nie martwisz? - zapytał z ogromną ciekawością.

- Nie. Chcę wiedzieć to, co wiedzą wszyscy inni. Tego, co lubię, uczę się szybko.

- Nie rozumiem, po co się ludzie uczą łaciny - perorował Tomek. - To nie ma sensu.

- Łacina jest częścią wykształcenia dżentelmena³⁹ - odpowiedział Filip. - Wszyscy dżentelmeni uczą się tego samego.

- Co?! Myślisz, że sir John Crake, Wielki Łowczy⁴⁰, zna łacinę? - zdumiał się Tomek, który często pragnął być podobnym do sir Johna Crake'a.

³⁹ W XIX w. mianem dżentelmena określano niekoniecznie kogoś legitymującego się szlacheckim urodzeniem, lecz tego, kto nie potrzebował wykonywać pracy zarobkowej czy

zajmować się interesami, żył dostatnio, miał wykwintne maniery i otrzymał edukację w zakresie literatury (zwłaszcza starożytnej) i sztuk pięknych.

40 Oksfordzki Dictionary of National Biography nie zawiera hasła: Sir John Crake, nie udało się też znaleźć żadnej informacji gdzie indziej o Wielkim Łowczym.

ROZDZIAŁ III

193

- Uczył się jej, kiedy był chłopcem, na pewno - odparł Filip. - Ale myślę, że później zapomniał.

- Och, to i ja potrafię - odparł Tomek, który wcale nie chciał się wydać dowcipnym, wprost przeciwnie: był głęboko zadowolony, że pod tym względem może się całkowicie upodobnić do sir Johna Crakea. - Ale w szkole musisz ją pamiętać, bo inaczej każą ci wkuwać okropnie dużo linijek z Wyboru wierszy. Wiesz, pan Stelling jest bardzo wymagający. Każe ci powtarzać z dziesięć razy, jeśli powiesz nam zamiast iam ... jednej litery nie przepuści, powiadam ci ...

- To nic. - Filip nie mógł już dłużej stłumić śmiechu. - Mam doskonałą pamięć. A poza tym bardzo lubię niektóre lekcje. Lubię historię grecką i wszystko o Grecji. Chciałbym być Grekiem i pokonać Persów, a potem wrócić do domu i pisać tragedie, albo być mędrce i żeby mnie wszyscy słuchali, jak Sokratesa, a na koniec umrzeć wspaniałą śmiercią⁴². - (Łatwo możecie zauważyć, że Filip nie był wolny od chęci zaimponowania swoją wyższością umysłową temu krzepkiemu barbarzyńcy).

- A co, Grecy lubili się bić? - zainteresował się Tomek, widząc otwierającą się przed nim perspektywę. - Czy w historii greckiej jest coś takiego jak Dawid, Goliat albo Samson?⁴³ To są jedyne kawałki z historii żydowskiej, które mi się podobają.

- Och, są bardzo piękne opowiadania o Grekach, o najdawniejszych bohaterach, takich, co zabijali dzikie zwierzęta, jak Samson. A w Odysei - to taki bardzo piękny poemat - występuje olbrzym

"nam" zamiast "iam" - te prawie identyczne dla Tomka wyrazy łacińskie różnią się znaczeniem: nam - bowiem, iam - już.

Sokrates (469-399 p.n.e.) - wielki filozof grecki, bezkompromisowo -? prawdy, oskarżony o bezbożność i skazany na śmierć. Dawid- wątłej budowy młodzieniec żydowski, pokonał Goliata, olbrzyma w armii filistyńskiej (/ Księga Samuela, XVII); Samson - waleczny lelczyk ogromnej siły, wzięty do niewoli podstępem, zginął zabijając wielu swych prześladowców (Księga Sędziów, XVI).

KSIĘGA DRUGA

194

jeszcze wspanialszy od Goliata, nazywa się Polifem⁴⁴. Miał tylko jedno oko na środku czoła, a Ulisses, taki mały, ale bardzo mądry i przebiegły, rozpałił do czerwoności pień sosny i wbił mu w to jedyne oko, a tamten ryczał jak tysiąc byków.

- Och, jak klawo - Tomek porwał się od stołu i tupnął najpierw jedną, potem drugą nogą. - Słuchaj, czy możesz mi opowiedzieć te wszystkie historie? Boja się nie będę uczył greki, wiesz ... A może będę? - dodał i przestał tupać w nagłym przerażeniu, że ta możliwość mu grozi. - Czy każdy dżentelmen uczy się greki? ... Jak myślisz, czy pan Stelling każe mi się za to brać?

- Nie, myślę, że nie. Prawie na pewno nie. Ale możesz przeczytać te opowiadania nie znając greki. Mam je po angielsku.

- Och, nie lubię czytać. Wolałbym, żebyś mi je sam opowiedział. Ale wiesz, tylko te, gdzie się biją. Moja siostra, Madzia, zawsze się pcha, żeby mi coś opowiadać, ale to takie głupie historie. Dziewczynki innych nie znają. Znasz dużo opowiadań o wojnach?

- O, tak - odparł Filip. - Masę. Nie tylko o greckich. Mogę ci opowiedzieć o Ryszardzie Lwie Serce, o Saladynie, o Williamie Wallace i Robercie Bruce, i Jakubie Douglasie⁴⁵ - bez końca.

44 Odyseja - poemat epicki Homera, zawiera opartą na elementach baśniowych historię tułaczki Odyseusza wracającego spod Troi do rodzinnej Itaki. Jeden z epizodów (ks. IX, w. 106 i n.) opowiada o walce z cyklopem Polifemem, jednookim olbrzymem, który pożarł kilku towarzyszy Odyseusza, a następnie został przez niego oślepiony, co reszcie umożliwiło ucieczkę.

45 Filip wymienia bohaterskich rycerzy, których prawdopodobnie znał raczej z lektury powieści Waltera Scotta i innych popularnych twórców niż z historii: Ryszard I Lwie Serce (król Anglii 1189- 1199) - występuje w dwóch powieściach Scotta: Talizman i foanhoe; Saladyń (Salah Ad- Din, 1138-1193) - sułtan Egiptu (od 1171), Syrii, Nubii i Jemenu, zdobywca Jerozolimy (1187), występuje w Talizmanie; Sir William Wallace (1270-1305) - szkocki bohater narodowy z okresu walk z Anglikami o niezależność Szkocji. W r. 1297 po zwycięstwie pod Stirling obwołany protektorem, wyswobodził całą Szkocję. Stracony w Londynie jako zdrajca; Robert I Bruce (1274-1329) - bohater walk o niezależność Szkocji, którą w r. 1314 (zob. przyp. 48) wyzwolił od dominacji angielskiej; Sir James (tj. Jakub) Douglas (1286-1330) - Szkot, który pustoszył północną Anglię, występuje w jednej z nowel Scotta.

ROZDZIAŁ III

195

- Jesteś starszy ode mnie, prawda? - spytał Tomek.

- A ile ty masz lat? Ja mam piętnaście.

- Zacząłem czternasty⁴⁶. Ale dawałem sobie radę ze wszystkimi chłopakami od Jacobsa, byłem tam, nim mnie tu przysłali. Najlepiej gram w piłkę i najlepiej się wspinam. I chciałbym, żeby pan Stelling pozwolił nam łowić ryby. Pokazałbym ci, jak to się robi. Bo chyba łowisz ryby, nie? Do tego trzeba tylko stać spokojnie albo siedzieć, wiesz?

Teraz z kolei Tomek próbował przechylić szalę na swoją stronę. Niech sobie ten garbus nie wyobraża, że znajomość wojennych opowiadań stawia go na równi z żyjącym i walecznym bohaterem, jakim jest Tomek Tulliver. Filip, po tych aluzjach do jego ułomności fizycznej, zaczął się wycofywać i odparł prawie zrzędnie:

- Nie znoszę wędkarstwa. Ludzie wyglądają jak idioci, kiedy tak siedzą i gapią się godzinami w wędkę ... albo zarzucają ją i zarzucają, i figę łapią.

- Nie powiedziałbyś, że wyglądają jak idioci, gdybyś zobaczył, jak wyciągają na brzeg wielkiego szczupaka - upierał się Tomek, który nigdy w życiu nie złowił dużej sztuki", lecz którego wyobraźnia starała się dorównać oburzeniu i oddać sprawiedliwość wędkarstwu.

Jasne, że syn Wakema ma przykre cechy charakteru i należy go trzymać na dystans. Na szczęście dla atmosfery tego pierwszego spotkania rozległo się wołanie na obiad i Filip nie mógł dalej wypowiadać fałszywych poglądów na temat wędkarstwa. Ale Tomek powiedział sobie w duchu, że tylko tego się można było spodziewać po garbusie.

. Ta informacja o wieku Tomka sprzeczna jest z wcześniejszym stwierdzeniem narratora (ks. I, rozdz. V), że chłopiec "skończył niedawno trzynaście - Było to w marcu 1829, obecnie jest styczeń 1830, Tomek ma więc czternaście lat, lub prawie tyle.

196 KSIĘGA DRUGA

ROZDZIAŁ IV

KIELKUJĄCA MYŚL

Nawet po kilku tygodniach wspólnie przeżytych w szkole stosunek Tomka do Filipa cechowała owa zmienność uczuć i nastrojów, jakie zaznaczyły się od razu w ich pierwszej rozmowie. Tomek nie mógł otrząsnąć się z wrażenia, że Filip, jako syn "łajdaka", jest jego naturalnym wrogiem, a poza tym nie mógł wykorzenić ze szczętem odrazy do kalectwa kolegi. Był chłopcem, który trzymał się zawsze swych pierwszych wrażeń, tak jak to bywa u istot, u których zwykle postrzeganie góruje nad myślą i uczuciem; obraz zewnętrzny pozostaje dla nich niewzruszenie taki, jaki się wydał na pierwszy rzut oka. A jednak trudno

było nie lubić towarzystwa Filipa, kiedy mu humor dopisywał; chłopiec potrafił pomóc w łacińskich ćwiczeniach, które dla Tomka nie różniły się niczym od łamigłówek, rozwiązywanych jedynie dzięki ślepemu szczęściu. A Filip umiał w dodatku opowiadać cudowne wojenne historie, na przykład o Halu z Wynd⁴⁷ i innych ulubionych bohaterach Tomka, wokół których "trup słał się gęsto". Tomek nie miał zbyt wysokiego mniemania o Saladynie, który zakrzywioną szablą potrafił w okamgnieniu rozciąć poduszkę na dwoje; na co komu rozcinanie poduszki? Bardzo to było głupie opowiadanie i Tomek nie chciał go nawet słyszeć po raz wtóry. Lecz kiedy pod Bannockburn⁴⁸ Robert Bruce na wronym koniku podniósł stojąc w strzemionach swój wierny topór wojenny i jednym uderzeniem rozplątał szyszak jakiegoś śmiałego rycerza - o, wtedy Tomek, w porywie zachwyty, rozplątałby pogrzebaczem orzech kokosowy, gdyby go miał pod ręką. Filip potrafił, będąc w lepszym nastroju, doprowadzić Tomka do szczytu zapamiętania, zwielokrotniał w swych

47 Nie udało się ustalić, gdzie występuje Hal z Wynd.
48 Bannockburn - w Szkocji, pole wielkiej bitwy, w której Robert Bruce w r. 1314 pokonał angielskiego króla, Edwarda II.

ROZDZIAŁ IV

197

opowiadaniach szczęk oręża i szał walki artylerią określić i porównać, które miał zawsze na podorędziu. Ale nie zawsze był w dobrym humorze czy lepszym nastroju. Odrobina zrędnego przewrażliwienia, które ujawnił mimo woli przy pierwszym spotkaniu, była symptomem nawracającej ciągle dolegliwości psychicznej, na którą składały się po części skłonność do irytacji, po części zgorzknienie, płynące ze świadomości kalectwa. W chwilach takiego rozdrażnienia widział w każdym spojrzeniu obraźliwe współczucie lub też źle ukrywany wstręt. W najlepszym wypadku mogło to być spojrzenie obojętne, a dla Filipa obojętność znaczyła to samo, co dla dziecka z południa - chłodne powietrze północnej wiosny. Kiedy chłopcy wychodzili razem z domu, niezręczna opiekuńczość biednego Tomka budziła czasem w Filipie niemal wściekłość na kolegę, który miał przecież najlepsze chęci. Oczy, spokojne zwykle i smutne, nagle zapalały się ogniem wcale nie żartobliwym. Nic więc dziwnego, że Tomek zachował swoje podejrzenia w stosunku do garbusa!

Lecz łączyła ich Filipowa umiejętność rysowania, którą kaleka zdobył sam, bez niczyjej pomocy. Ku rozczarowaniu Tomka nowy nauczyciel rysunku nie kazał mu rysować psów ani osłów, lecz strumyczki i sielskie mostki albo ruiny, wszystko to delikatne, zamazane czarnym ołówkiem, co miało dowodzić, że natura, jeśli już w ogóle ma być jakaś, skłania się raczej ku aksamitności. Ponieważ zaś Tomek nie potrafił jeszcze dostrzec malowniczości krajobrazu, trudno się dziwić, iż uważał dzieła pana Goodricha za mało interesujący rodzaj sztuki. Spotkawszy pana Rileya w Mudport, pan Tulliver narzekał, iż Tomek nie uczy się rysunku, młynarz bowiem żywił nieokreślone pragnienia, by Tomek w tych swoich przyszłych pracach musiał rysować jakieś plany i mapy. Na to uprzejmy doradca zaproponował, by chłopiec brał lekcje rysunku. Niechże pan Tulliver nie wzdraga się i zapłaci dodatkowo za rysunek. Niechże Tomek dobrze opanuje tę sztukę, a wówczas będzie potrafił posłużyć się ołówkiem w każdym celu. Postanowiono więc, że chłopiec będzie brał lekcje rysunku. Kogóż mógłby zaś wybrać pan Stelling, jak nie pana Goodricha, uważanego ogólnie za kwiat nauczycielstwa rysunku

198 KSIĘGA DRUGA

w promieniu co najmniej dwunastu mil od King's Lorton? Tym sposobem Tomek nauczył się wspaniale ostrzyć ołówki oraz przenosić z "szerokim uogólnieniem" widoki na papier, co uważał jednak za rzecz niezwykle nudną - prawdopodobnie na skutek swego pospolitego upodobania do szczegółów.

Pamiętajcie, że wszystko to działo się w owych mrocznych wiekach, kiedy nie istniały szkoły rysunku, kiedy nauczyciele nie byli jeszcze uosobieniem nieskazitelnej prawości, a

duchowieństwo zespołem ludzi o szerokich poglądach i zróżnicowanej kulturze⁴⁹. W tych to mniej szczerze przez los obdarzonych czasach nie był wcale bajką fakt, iż - zapewne wskutek błędu logicznego, który Fortuna, ze względu na swoją płeć i ślepotę, szczególnie często popełnia⁵⁰ - wielu duchownych, nie tylko pastor Stelling, miało również wąskie horyzonty i duże potrzeby oraz dochody proporcjonalne nie do potrzeb, lecz do horyzontów, z którymi dochody na pewno nie mają bezpośredniego związku. Tak więc panowie ci musieli rozwiązać problem: jak zmienić proporcję pomiędzy potrzebami a dochodem. Trudno było zmniejszyć potrzeby, wydawało się więc, że prościej będzie podniesienie zysków. Jeden był na to sposób: ponieważ wszystkie plebejskie zajęcia, w których ludzie obowiązani są dawać rzetelną pracę za niską płacę, nie były duchownym dozwolone, musieli, nie z własnej winy, zabrać się do nierzetelnej pracy za wysoką płacę. A poza tym czy można oczekiwać, by pan Stelling znał trudności i subtelności zawodu nauczycielskiego? To tak, jakby się ktoś spodziewał, iż zwierzę obdarzone umiejętnością kucia dziur w skale może posiadać szerokie wiadomości z dziedziny wiedzy kopalnej. Pana Stellinga przyuczono od wczesnej młodości do wykuwania dziur w linii prostej; innych zaś umiejętności nie miał na zbyciu. Lecz Tomkowi poszczęściło się o wiele

49 Ironiczna aluzja narratora do powszechnej od połowy XIX w. naiwnej wiary w stały postęp moralności społecznej.

50 Fortuna - bogini rzymska kierująca losami ludzi, w sztuce przedstawiana z zawiązanymi oczyma.

ROZDZIAŁ IV

199

bardziej niż jego licznym rówieśnikom, oddawanym przez ojców duchownym na wychowanie, a po dłuższym czasie wracającym z kompletną pustką w głowie. W owych odległych latach wykształcenie było niemal kwestią szczęścia - czy raczej nieszczęścia. Stan umysłu, w którym bierzecie do ręki kij bilardowy lub pudełko z kośćmi do gry, jest stanem trzeźwej pewności w porównaniu z tym, co panowało w umysłach staroświeckich ojców, takich jak pan Tulliver, kiedy wybierali dla swych synów szkołę lub wychowawcę. Byli to wspaniali ludzie, którzy przez całe życie musieli przenosić wyrazy na papier stosując własne zasady ortografii od przypadku do przypadku, a mimo to rozwijali i prowadzili zyskowne interesy i dorabiali się dostatecznych pieniędzy, by zapewnić swym synom lepszy od własnego start w życiu. Tacy to ludzie musieli z konieczności zdawać się na ślepy traf, zarówno jeśli chodzi o sumienie, jak i o kompetencje nauczyciela, którego cyrkularz⁵¹ wpadł im przypadkiem w ręce. A przecież obiecywał on o wiele więcej, niż śmieliby prosić, łącznie ze zwrotem sztuców i prześcieradeł. Mieli szczęście, jeżeli jakiś ich znajomy sukiennik w przyływie ambicji nie wychował swego syna na duchownego, a ten, mając lat dwadzieścia cztery, nie zakończył studenckich hulanków nierozważnym małżeństwem. W takim przypadku niewinni ojcowie, mając w stosunku do swych pociech jak najlepsze zamiary, unikali oddania dzieci w opiekę synowi sukiennika tylko wówczas, jeśli sami byli przypadkiem członkami rady jakiejś szkoły, nie znającej jeszcze państwowych inspektorów. Tam to dwaj czy trzej chłopcy mogli mieć wyłącznie dla siebie przestronny budynek oraz bezzębego, głuchego i ślepego nauczyciela, którego uczona nijakość oraz roztargnienie zostały oddane na ich usługi za cenę trzystu funtów

51 cyrkularz - tu: druczek reklamowy, zawierający informacje dla rodziców i opiekunów chłopców w wieku szkolnym o programach i warunkach nauczania w jakiejś konkretnej szkole, pragnącej tą drogą pozyskać nowych uczniów.

20 BN 11/234 G. Eliot: Młyn nad Flossą

KSIĘGA DRUGA

200

od głowy⁵². Niewątpliwie, kiedy nauczyciel ów rozpoczynał karierę, był dojrzałym pedagogiem, lecz po każdej dojrzałości przychodzi na tej ziemi następne stadium, mniej cenione na rynku.

Tak więc można powiedzieć, że Tomek miał szczęście w porównaniu z wieloma swoimi angielskimi rówieśnikami, którzy musieli przedzierać się przez życie zasobni w okruchy mniej lub bardziej istotnych wiadomości oraz w ogromną ilość całkiem nieistotnej ignorancji. Pan Stelling był barczystym i zdrowym mężczyzną; nosił się z pańska i miał przekonanie, że dorastający chłopiec musi jeść odpowiednią ilość befsztyków. Jego poczciwość sprawiła, że miło mu było, gdy Tomek dobrze wyglądał i oddawał sprawiedliwość obiadowi. Nie był to człowiek szczególnie wrażliwy w sprawach sumienia, nie był też przeświadczony, że do codziennych obowiązków należy Bóg wie co, -? nie miał dostatecznych kwalifikacji na tak odpowiedzialne stanowisko, ale dżentelmeni bez kwalifikacji muszą żyć, jeśli zaś chcą żyć przyzwoicie, a nie mają własnego majątku - muszą się związać z rządem lub szkolnictwem. Poza tym winę ponosiła właściwie umysłowość Tomka i fakt, że jego talenty nie znajdowały pożytki w tego rodzaju wiedzy, jaką mógł go karmić pan Stelling. Chłopak, który urodził się z niedostateczną umiejętnością pojmowania symboli i oderwanych pojęć, musi cierpieć za tę wrodzoną ułomność, tak jakby się urodził z jedną nogą krótszą⁵³. Metoda wychowawcza, uświęcona

52 Opisane tu z niewielką przesadą warunki dotyczą starych szkół średnich, tzw. grammar schools (zob. ks. I, przyp. 6). Wiele z nich podupadło wskutek niewystarczającego lub źle zabezpieczonego majątku, a ponieważ powstały z inicjatywy społecznej i działały najczęściej pod opieką korporacji miejskich, zreformowanie ich nie było sprawą prostą. Egzystowały więc często jeszcze w w. XIX jako instytucje anachroniczne, z jednym zgrzybiałym nauczycielem i kilkoma zaledwie uczniami, nie istniał bowiem żaden ogólnopństwowy organ sprawujący nadzór nad całym szkolnictwem. Dopiero w r. 1840, na mocy aktu parlamentu, sądy otrzymały uprawnienia do zmiany postanowień założycieli i wprowadzenia nowszych przedmiotów nauczania do programów tych szkół (por. L. Woodward, op. cit., s. 484).

ROZDZIAŁ IV

201

długoletnią praktyką naszych czcigodnych przodków, nie polegała bynajmniej na tym, by ustępować wobec wyjątkowej tępoty ucznia. Pastor Stelling był przekonany, że chłopak tak niezdolny do pojmowania symboli i oderwanych pojęć musi być równie niezdolny do rozumienia czegokolwiek innego. Czcigodni nasi przodkowie stosowali pomysłowy przyrząd zwany śrubą i zwykli ją dokręcać na palcach delikwenta, aby wydobyć w ten sposób z niego potwierdzenie nieistniejących faktów. Należało zresztą powiedzieć uprzednio, iż zdaniem ich fakty te rzeczywiście miały miejsce; w takiej sytuacji cóż mieli robić, jak nie dokręcać śruby? Pastor Stelling, podobnie, miał pewność, że chłopak o najmniejszych nawet zdolnościach może się nauczyć tego, czego nauczyć się powinien; jeżeli zaś idzie mu to opornie - należy przykręcić śrubę. Trzeba jeszcze bardziej surowo pilnować jego ćwiczeń, a stronica Wergiliusza powinna być mu karą oraz zachętą i podniętą dla zbyt słabych inklinacji ku łacińskim wierszom.

Mimo to w drugim półroczu śruba rozluźniła się nieco. Edukacja Filipa była mocno zaawansowana, chłopiec zaś tak bystry, że pastor dzięki zdolnościom kaleki, który wymagał niewielkiej pomocy, mógł zyskać uznanie o wiele łatwiej, niż przewyciężając tępotę Tomka, co było zajęciem trudnym i męczącym. Barczyści i ambitni mężczyźni potrafią rozczarować swych przyjaciół i przegrać bitwę o podbój świata. Może dlatego, że wielkie osiągnięcia wymagają - oprócz niezwyklej żądzy wysokich nagród - innych jeszcze niezwyklej kwalifikacji. Prawdopodobnie przyczyną niepowodzeń owych krzep-
Sformułowana tu krytyka systemu kształcenia uderza zwięzłością i traf-

nością. Szkolnictwo było często przedmiotem ataków w powieści wiktoriańskiej, ale krytykowano je zwykle za wadliwą praktykę (np. za znęcanie się nad dziećmi w różny sposób), nie zaś za same założenia. Tu natomiast pojawia się podstawowy zarzut, iż szkoła nie uwzględnia różnorodności zainteresowań i predyspozycji uczniów, zmuszając wszystkich jednakowo do opanowania -? liczby "symboli i oderwanych pojęć". Przedstawienie ułomności systemu edukacyjnego jest sprawą bardzo ważną w ks. II.

200

KSIĘGA DRUGA

kich mężczyzn jest fakt, że ich divinae particulum aurae przeszkadza przy wzlotach zbyt solidny apetyt. Była w każdym razie jakaś przyczyna, dla której pastor odwlekał wykonanie wielu swoich wzniosłych zamierzeń; nie rozpoczynał w wolnych chwilach opracowania sztuki greckiej ani żadnego innego uczonego dzieła, lecz zamykając się na klucz w gabinecie z mocnym postanowieniem w duszy ... zasiadał do powieści Teodora Hooka⁵⁵. Stopniowo pozwolono Tomkowi na mniej gorliwe wkuwanie zadanych lekcji, a on, mając Filipa do pomocy, potrafił sprawić wrażenie, iż w nie określony bliżej sposób przykłada się do nauki, pastor zaś nie zadawał mu krzyżowych pytań, które musiałyby zdradzić, iż w sprawach nauki Tomek zachował całkowitą neutralność. W zmienionych warunkach szkoła wydawała mu się całkiem znośna, brnął więc przez nią zupełnie zadowolony, zbierając wiadomości bez ładunku i składu, zwykle w chwilach, gdy nikt go kształcić nie zamierzał. To, co nazywano jego edukacją, było po prostu ćwiczeniami w czytaniu, pisaniu i literowaniu, prowadzonymi ze skomplikowaną pomocą niezrozumiałych pojęć, a skutecznymi dzięki niepowodzeniu starań, by chłopiec wkuwał wszystko mechanicznie na pamięć.

Ale mimo to Tomek odniósł widoczne korzyści, może dlatego, że nie był abstrakcyjnym stworzeniem, które żyje po to tylko, by stanowić dowód, ile zła może przynieść niewłaściwa edukacja, lecz chłopcem z krwi i kości, który umie stawić czoło okolicznościom.

W jego sposobie noszenia się, na przykład, zaszła wielka zmiana na lepsze. W pewnej mierze była to zasługa pana Poultera, nauczyciela wiejskiego, który brał kiedyś udział w kampanii hiszpańskiej⁵⁶, a te-

54 (łac.) - częstoczce boskiego natchnienia.

55 Theodore Edward Hook (1788-1841) - popularny autor niewyszukanych powieści komicznych, które szybko popadły w zapomnienie.

56 kampania hiszpańska (1808-1814) - była dla Anglii ważną częścią wojen napoleońskich. Zajawszy Portugalię za utrzymywanie kontaktów handlowych z Anglią i osadziwszy na tronie hiszpańskim swego brata Józefa, spowodował Napoleon bunt znacznej części ludności obydwu krajów, co wykorzystał mianowany tam dowódcą wojsk angielskich Artur Wellesley,

ROZDZIAŁ IV

203

raz zajmował się musztrowaniem Tomka, co obu sprawiało wielką przyjemność. Bywalcy gospody "Pod Czarnym Łabędziem" wiedzieli, iż pan Poulter napelniał niegdyś strachem serca żołnierzy francuskich; dziś jednak nie wyglądał groźnie. Wprost przeciwnie, był już trochę zasuszony; a rankiem nawet trząsł się - nie ze starości, ale ze strachu przed niezwykłą przemysłnością chłopców z King's Lorton. Nic też, oprócz dzinu⁵⁷, nie pozwalało mu stawić im czoła z jaką taką mocą. Mimo wszystko nosił się po żołniersku, sztywno, ubranie miał zawsze pedantycznie oczyszczone, spodnie mocno naciągnięte strzemiączkami. Kiedy przychodził do Tomka po południu, w środy i soboty, był zwykle podniecony dzinem i wspomnieniami, co razem wzięwszy, wprowadzało go w niezwykle ożywiony nastrój - jakby leciwy koń kawaleryjski postyszał dźwięki bębna. Lekcje musztry przedłużane były opowieściami wojennymi, które o wiele bardziej zajmowały Tomka niż Filipowe historie z Iliady, w Iliadzie bowiem nie strzelano z armat, a poza tym chłopiec z dużym niesmakiem

dowiedział się, że Hektor i Achilles⁵⁸ prawdopodobnie nigdy nie istnieli. Ale księżę Wellington żył naprawdę, a Bony umarł tak niedawno⁵⁹, że zarzut mityczności w stosunku do opowiadań pana Poultera o kampanii hiszpańskiej byłby bezpodstawny. Pan Poulter - jak się dowiedział Tomek - odegrał ważną rolę pod Talayerą⁶⁰, a niebywały postrach, późniejszy księżę Wellington (zob. ks. I, przyp. 37). Stworzył on na terenie Portugalii przyczółek dla swej armii, a oswobodziwszy po zwycięskiej bitwie pod Talayerą (1809) prawie całe terytorium Portugalii, wyparł następnie wojska Napoleona z południowej Hiszpanii, aby w r. 1813 zająć także północną część tego kraju i przekroczywszy Pireneje zdobył w r. 1814 Bordeaux, co przyspieszyło upadek cesarza francuskiego po katastrofalnej wyprawie na Moskwę.

dżin - najtańszy z mocnych napojów alkoholowych w Anglii, w XIX w. popularny wśród ludzi z niższych klas.

Hektor i Achilles - bohaterowie wojny trojańskiej i ważne postacie w poemacie epickim Homera.

Bony - poufały sposób nazywania w Anglii Napoleona Bonaparte (który -?)

80 Talavera - zob. przyp. 56.

KSIĘGA DRUGA

204

jaki jego oddział piechoty wzbudził w nieprzyjacielu, był w wielkiej mierze zasługą tego dżentelmena. Czasem, kiedy pamięć bardziej mu się ożywiła, wspominał nawet, że księżę Wellington, w absolutnym zaufaniu, by nie wzniecać niczyjej zazdrości, wyraził swe uznanie dla tego dzielnego żołnierza, Poultera. Nawet chirurg, który udzielał mu pomocy w szpitalu, gdzie pan Poulter został przewieziony po postrzale, był pod wrażeniem znakomitej jakości ciała swego pacjenta. Żadne inne ciało na świecie nie zagoiłoby się w tak szybkim czasie. Gdy jednak chodziło o kwestie mniej osobiste, związane z ważną kampanią wojenną, w której pan Poulter brał udział, bohater okazywał większą powściągliwość i starał się tylko nie potwierdzać wagą swego autorytetu jakichś nieścisłych wiadomości z historii wojny. Przedmiotem specjalnego, cichego współczucia był dla niego każdy, kto udawał, że wie cokolwiek o oblężeniu Badajosu⁶¹. Niechby ten pyskacz został powalony na ziemię przy pierwszym ataku, niechby go stratowali, tak żeby mu dech zaparło - jak panu Poulter - wtedy dopiero mógłby gadać o oblężeniu Badajosu! Od czasu do czasu Tomek denerwował niechcący pana Poultera, zapytując go o sprawy wojenne, które nie weszły w zakres doświadczeń dzielnego żołnierza.

- Prawda, proszę pana, że generał Wolfe⁶² to był wielki wojak? - Tomek był przekonany, że wszyscy bohaterowie wojenni, uczczeni na szyldach gospod i zajazdów, brali udział w walkach z Bonym.

- Nic podobnego - prychnął z pogardą pan Poulter. - Nic podobnego ... Ba- czność! - rzucił rozkaz ostrym tonem, który wprawiał Tomka w zachwyt; czuł się wtedy jak cały regiment w jednej osobie.

- Nie, nie ... - ciągnął pan Poulter przy najbliższej przerwie w musztrze. - Niech mi nikt nie opowiada o generale Wolfe. Umarł po prostu z ran - i tyle. Na mój gust, to niewiele. Każdy inny umarłby

⁶¹ Twierdza Badajoz (lub Badajos) zamykała oddziałom Wellingtona drogę do Hiszpanii od strony Portugalii; po długim oblężeniu została zdobyta przez Anglików, w kwietniu 1812, kosztem wielkich strat w ludziach.

⁶² James Wolfe (1727-1759) - odegrał ważną rolę w wojnie angielsko-francuskiej w Kanadzie, gdzie zmarł od odniesionych ran.

ROZDZIAŁ IV

205

z takich ran, jak moje. Dla takiego, jak generał Wolfe, nawet jedna z moich ran okazałaby się śmiertelna.

- Proszę pana - mówił Tomek przy każdej wzmiance o pałaszu.

- Tak bym chciał, żeby pan przyniósł swój pałasz i ćwiczył nim tutaj!

Przez dłuższy czas pan Poulter potrząsał tylko znacząco głową na tę prośbę i uśmiechał się wyniośle tak, jak pewno uśmiechnął się Jowisz, gdy Semele wypowiedziała swe zbyt śmiałe żądanie⁶³. Pewnego jednak popołudnia, kiedy ulewny deszcz zatrzymał niespodzianie pana Poultera o dwadzieścia minut dłużej "Pod Czarnym Łabędziem"

- dzielny wojak przyniósł wreszcie pałasz, ot, tak, żeby Tomek mógł nań popatrzeć.

- Naprawdę, proszę pana, to jest ten sam pałasz, którym pan walczył we wszystkich bitwach?

- zapytał Tomek obejmując dłonią rękojeść. - Czy ściał pan nim kiedy głowę Francuzowi?

- Głowę? Ściałbym nawet trzy, gdyby mu wyrastały z karku.

- Ale miał pan oprócz tego karabin i bagnet, co? Ja to bym wołał karabin i bagnet, bo można najpierw zastrzelić wroga, a potem go przebić. Pafff! Buch! - Odpowiednimi gestami Tomek obrazował podwójną przyjemność pociągnięcia cyngła, a potem pchnięcia bagnetem.

- Tak, ale nie ma jak pałasz, kiedy przyjdzie do walki wręcz

- pan Poulter uniesiony bezwiednie entuzjazmem Tomka wyciągnął pałasz tak nagle, że chłopiec odskoczył żywo do tyłu.

- Proszę pana! - zawołał zdając sobie niejasno sprawę, że nie przeszedł próby, jak na Anglika przystało - niech mi pan pozwoli zawołać Filipa, jeżeli pan będzie teraz robił ćwiczenia. On by tak chciał popatrzeć!!!

- Ten garbus?! - zawołał pan Poulter z pogardą. - I co z tego Przyjdzie, że będzie patrzył?

Semele - postać mitologiczna, matka Dionizosa, którego ojcem był Jowisz. Z namowy Hery poprosiła ona Jowisza, by ukazał się jej w całym Majestacie gromowładcy, a gdy życzenie jej zostało spełnione - spłonęła, gdyż nie mogła znieść boskiego blasku.

206 KSIĘGA DRUGA

- On dużo wie o wojnach - zawołał Tomek. - Wie, jak strzelali z łuków i jak walczono toporami wojennymi ...

- No, to niech przyjdzie. Pokażę mu coś trochę innego niż jego łuki i strzały - pan Poulter zakaszłał i wyprostował się, robiąc dłonią parę wstępnych ruchów.

Tomek skoczył po Filipa, który spędzał wolne popołudnie w salonie przy fortepianie, przeglądając nuty i podśpiewując jakieś melodie. Był niewymownie szczęśliwy, gdy tak siedział na wysokim stołku jak bezkształtny tłumok, z głową odrzuconą do tyłu i oczyma wpatrzonymi w przeciwny gzyms; z szeroko otwartych warg płynęły z całą siłą improwizowane sylaby do fascynującej go melodii Arnego.

- Chodź, Filip! - Tomek wpadł do pokoju jak burza. - Przestań ryczeć te swoje "la, la, la".

Chodź i zobacz, jak stary Poulter, nauczyciel musztry, wprawia się pałaszem w wozowni!

Nawet gdyby w grę nie wchodził pan Poulter, nauczyciel musztry, zgrzyt, jakim było wejście Tomka, i dysonans jego głosu wdzierającego się w melodię drżącą w duszy i ciele Filipa, wystarczyłyby, żeby wyprowadzić kalekę z równowagi. Tomek wiedział doskonale, że Filip nie znosi nawet wzmianki o lekcjach musztry. Chwycił się pomysłu sprowadzenia Filipa, by pan Poulter nie pomyślał, iż on, Tomek, uskoczył przed pałaszem ze strachu. Tomek nigdy nie postąpiłby tak nierozważnie, gdyby go nie pchnęła do tego własna duma.

Filip zadrżał wyraźnie, urywając śpiew. Potem, czerwony na twarzy, rzekł z gwałtowną złością.

- Wynoś się stąd, ty tępy durniu! Przestań mi tu wrzeszczeć! Nadajesz się do rozmowy najwyżej z roboczym koniem!

Nie był to pierwszy wypadek, kiedy Filip rozzłościł się na kolegę, lecz po raz pierwszy jego słowny pocisk tak dobrze został przez Tomka zrozumiany.

- Potrafię rozmawiać z lepszymi od ciebie, ty tchórzliwy kucyku - odpalił natychmiast. -
Wiesz, że cię nie uderzę, bo jesteś jak dziewczucha! Ale ja jestem synem przyzwoitego
człowieka, a twój ojciec to łobuz - wszyscy tak mówią!

ROZDZIAŁ IV

207

Tomek wypadł z pokoju trzaskając drzwiami, niepomny w gniewie na niebezpieczeństwo -
trzaśnięcie drzwiami w obrębie słuchu pastora było winą, którą mogło zmazać nie mniej
niż dwadzieścia linijek Wergiliusza. I rzeczywiście, pastora wyszła ze swego pokoju
zdumiona, najpierw hałasem, a potem zamilknięciem Filipowej muzyki. Znalazła go,
siedzącego bezradnie na stołeczku, zalanego gorzkimi łzami:

- Co się stało, Wakem? Skąd ten hałas! Kto trzasnął drzwiami? Filip podniósł wzrok i szybko
otał łzy: - To Tulliver tu

przyszedł ... chciał, żebyśmy z nim wyszedł na dwór.

- A czemu ty się martwisz? - zapytała pastora. Z dwóch uczniów męża Filip nie był jej
bliższy. Mniej miała mu do zawdzięczenia niż Tomkowi, który w wielu wypadkach okazywał
się użyteczny. Lecz ojciec Filipa płacił więcej niż pan Tulliver, pastora pragnęła więc, aby
chłopiec uważał, że okazuje mu daleko idące względy. Jednak Filip odpowiadał na wszelkie
jej próby zbliżenia tak, jak pieszczony ślimak przyjmuje zachętę do wyjścia ze skorupy.
Pastora nie była kobietą czułą i kochającą. Należała do tego typu dam, które noszą dobrze
skrojone spódnice, a pytając kogoś, jak mu się wiedzie, są jednocześnie zaabsorbowane
poprawianiem sukni i przyglądaniem loków. Dowodzi to niewątpliwie ogromnych talentów
towarzyskich, nie dowodzi jednak talentu miłości - a nic innego nie mogło przebić pancerza
rezerwy Filipa.

- Znowu wrócił mi ból głowy i dlatego zachowuję się jak histeryk - odpowiedział.

Rzeczywiście, taki wypadek miał kiedyś miejsce, a Filip ucieszył się, że wspomnienie owej
migreny spadło mu teraz jak z nieba. Musiał się zgodzić na wodę kolońską i następnie nie
zgodzić na kreozot, ale to przyszło mu łatwo.

Tymczasem Tomek, który po raz pierwszy wbił w serce Filipa zatrutą strzałę, powrócił do
wozowni, gdzie pan Poulter z nieruchomym, surowym spojrzeniem marnował wspaniałe
ćwiczenia pałaszem 'rzed audytorium może nawet i bystrych, ale nie doceniających rzeczy
szczerów. Ale pan Poulter wystarczał sam sobie za cały oddział

208 KSIĘGA DRUGA

wojska, to znaczy podziwiał samego siebie bardziej, niżby to mogła czynić cała armia
widzów. Nie zauważył nawet powrotu Tomka, tak był zajęty cięciami i pchnięciami -
poważnym: raz, dwa, trzy, cztery. Tomek zaś podziwiał go z jak największej odległości, gdyż
przestraszył się nieco zobaczywszy nieruchomy wzrok pana Poultera i jego zgłodniały pałasz,
który jakby łaknął czegoś więcej prócz powietrza do cięcia. Dopiero gdy pan Poulter przerwał
i otarł spocone czoło, Tomek odczuł cały urok ćwiczeń pałaszem i zapragnął, by zostały
powtórzone.

- Proszę pana - odezwał się, kiedy broń powędrowała wreszcie do pochwy. - Tak bym chciał,
żeby mi pan pożyczył na trochę ten pałasz.

- O, nie, młodzieńcze - pan Poulter zdecydowanie potrząsnął głową. - Mógłbyś wyrządzić
sobie straszną krzywdę.

- Ale nie, na pewno nie! Będę uważał i na pewno się nie skaleczę. Nie wyciągałbym go często
z pochwy, ale mógłbym nim ćwiczyć!

- Nie, nie, powiadam ci, że nic z tego - odparł pan Poulter szykując się do odejścia. - Co też
by na to powiedział pan Stelling?

- Och, niech pan się zgodzi! Dam panu moje pięć szylingów, jeżeli pożyczysz mi go pan na tydzień. Niech pan spojrzysz! - Tomek wyciągnął z kieszeni okrągłą, srebrną, tak bardzo kuszącą monetę. Smarkacz wykalkulował sobie wszystko, jak nie przymierzając filozof.
- No - odparł pan Poulter poważniejąc jeszcze bardziej. - Ale musisz go schować, rozumiesz?
- Tak, oczywiście, schowam go pod łóżkiem - odparł żywo chłopiec - albo na dnie mojego dużego kufra.
- No, to pokaż, czy potrafisz go wyciągnąć z pochwy i nie skaleczyć się przy tym.
Gdy Tomek kilkakrotnie dowiódł tej umiejętności, pan Poulter doszedł do wniosku, że wykazał jak najdalej idącą sumienność i oświadczył:
- Biorę od ciebie tę koronę, abym mógł mieć całkowitą pewność, że nie zrobisz sobie krzywdy pałaszem.

ROZDZIAŁ IV

209

- Na pewno nie zrobię, proszę pana! - zawołał Tomek zachwycony, wręczając mu pięcioszylingówkę i chwytając pałasz, który, jak pomyślał, mógłby być przecież trochę lżejszy.
- A jak cię pan Stelling złapie, kiedy go będziesz wnosił do domu?
- zapytał pan Poulter, chowając chwilowo pieniądze w kieszeni, chociaż w głowie zrodziła mu się ta nowa wątpliwość.
- W sobotę po południu siedzi zawsze w swoim gabinecie na górze. - Tomek nie lubił robić nic ukradkiem, ale jeżeli sprawa na to zasługiwała, nie wahał się użyć podstępów. Tak więc, z triumfem mieszanym z lękiem- lękiem, iż może spotkać pastora lub pastorkową
- zaniósł pałasz do sypialni, gdzie po chwili namysłu ukrył go w schowku za wiszącymi ubraniami. Tego wieczora zasnął z myślą, jaką niespodziankę zrobi Madzi - przywiąże go sobie u pasa na czerwonym szaliku i wzmówi w nią, że to jego własny pałasz i że idzie do wojska. Tylko Madzia jest na tyle głupia, by mu uwierzyć, i tylko Madzi można powierzyć taką tajemnicę. A Madzia miała naprawdę przyjechać w przyszłym tygodniu w odwiedziny do Tomka przed wyjazdem z Lucy na pensję.
Jeśli sądzisz, czytelniku, że trzynastoletni chłopiec⁶⁴ nie może być do tego stopnia dziecinny, musisz być człowiekiem niepospolicie mądrym i choć jesteś cywilem, co wymaga od ciebie bardziej dobrotliwego niż groźnego wyglądu, nigdy, odkąd ci się wąsy sypnęły, nie przybierałeś żołnierskiej postawy i nie marszczyłeś się groźnie przed lustrem. Wątpliwe, czy istniałoby dzisiaj nasze wojsko, gdyby nie było w kraju pacyfistów, którzy lubią udawać żołnierzy. Wojna, jak i każde inne przedstawienie dramatyczne, musiałaby prawdopodobnie zniknąć z tego świata z powodu braku "publiczności".
Wcześniejsza informacja na temat wieku Tomka (ks. I, rozdz. V) pozwala sądzić, że obecnie chłopiec ma już czternaście lat.

210 KSIĘGA DRUGA

ROZDZIAŁ V

DRUGA WIZYTA MADZI

Po tym wydarzeniu niełatwo było naprawić stosunki pomiędzy obydwojema chłopcami, którzy przez pewien czas odzywali się do siebie tylko wtedy to było nieodzowne. Wrodzona, krańcowa odmienność ich temperamentów sprawiała, że niechęć łatwo się mogła przerodzić w nienawiść. Wydało się nawet, że proces ten zaczął się już u Filipa. Nie był złośliwy z natury, lecz ogromna wrażliwość czyniła go szczególnie skłonny do silnej niechęci. Wół, na przykład - możemy to stwierdzić, opierając się na autorytecie wielkiego klasyka - wół, atakując, nie zwykł używać zębów, Tomek zaś był wspaniałym młodym wołkiem, który ruszał na wszystko, co mu się wydawało podejrzanym, z istic wołową zręcznością. W tym wypadku trafił przypadkiem w najczulsze miejsce nieprzyjaciela i sprawił mu ból tak dotkliwy, jakby z największą precyzją, w zapiekłym gniewie obmyślał sposób zemsty. Nie

rozumiał, dlaczego nie mogą zakończyć tej kłótni tak, jak wielu poprzednich, zachowując się, jakby się nic nie stało. Chociaż nigdy jeszcze nie powiedział Filipowi, iż ma ojca łobuza, myśl o tym tak często wpływała na uczucia, jakie go łączyły z tym niby to kolegą, którego nie mógł ani lubić, ani nie lubić, że proste wypowiedzenie ich na głos nie mogło dlań stanowić, tak jak dla Filipa, przełomu we wzajemnych stosunkach. Miał przecież prawo tak powiedzieć, kiedy Filip podniósł na niego głos i zaczął go wyzywać. Stwierdziwszy, że jego pierwsze kroki ku zgodzie nie zostały dostrzeżone, znowu zaczął się niechętnie odnosić do Filipa, postanawiając nigdy się już doń nie zwracać ani w sprawie rysunków, ani ćwiczeń. Byli wobec siebie uprzejmi na tyle, na ile to było potrzebne, by pastor nie zauważył stanu wojny, gdyż z pewnością starałby się jak najspieszniej położyć kres takim nonsensom. Ale Madzia, po przyjeździe, nie mogła się powstrzymać, by nie zerkać z coraz to większym zainteresowaniem w stronę nowego kolegi,

ROZDZIAŁ V

211

choć był synem tego okropnego Wakema, na którego tak się ojciec gniewał. Przyjechała w środku zajęć szkolnych i musiała posiedzieć cichutko podczas gdy Filip kończył lekcję z pastorem. Już kilka tygodni temu Tomek napomknął jej w liście, że Filip potrafi opowiadać bez końca, i to nie jakieś tam bajdury, jak ona. Teraz na podstawie własnych obserwacji dziewczynka doszła do wniosku, że chłopiec musi być bardzo mądry. Miała nadzieję, że i on uznają za mądrą, kiedy z nią trochę porozmawia. Poza tym Madzia była zawsze ogromnie czuła wobec wszelkich kalekich istot. Wolała jagnięta o krzywo osadzonych główkach, bo wydawało jej się, że silne i zdrowe jagnięta nie dbają tak o pieszczoty, a lubiła, by jej serdeczności były doceniane. Kochała Tomka gorąco, ale często pragnęła, by brat bardziej dbał o jej miłość.

- Wydaje mi się, że ten Filip Wakem to miły chłopiec - zaczęła, kiedy wyszli razem z biblioteki, by posiedzieć do obiadu w ogrodzie.

- Przecież nie wybierał sobie ojca. Czytałam o wielu złych ludziach, którzy mieli dobrych synów, tak samo jak i o dobrych rodzicach, którzy mieli złe dzieci. A jeżeli Filip jest dobry, to musimy tym bardziej mu współczuć, bo jego ojciec to zły człowiek. Ty przecież lubisz Filipa, prawda?

- To dziwny chłopak - odparł Tomek krótko - a mnie specjalnie niechętny, bo powiedziałem mu, że jego ojciec to łobuz. Miałem prawo mu tak powiedzieć, bo pierwszy zaczął mnie przezywać

- a poza tym to prawda. Ale zaczekaj tu chwilę, Madzinku, bo muszę coś zrobić na górze.

- Nie mogę iść z tobą? - W tym pierwszym dniu spotkania Madzia gotowa była całować ślady stóp Tomka.

- Nie, to jest coś, o czym ci powiem później, ale jeszcze nie teraz odparł Tomek skacząc ku schodom.

Po południu chłopcy zasiedli nad książkami w bibliotece i odrabiali lekcje na dzień następny, by zdobyć wolny wieczór i uczcić w ten sposób przyjazd Madzi. Tomek siedział nad gramatyką łacińską

i bezgłośnie poruszał wargami, jak sumienny, ale i niecierpliwy katolik powtarzający ojczenaszki. W przeciwnym kącie pokoju Filip siedział zatopiony w dwóch grubych tomach. Sprawiał wrażenie zadowolone-

212 KSIĘGA DRUGA

go i zaciekawionego swoją lekturą, co wzmogło jeszcze zainteresowanie Madzi; wcale nie wyglądał na ucznia, który odrabia lekcje. Usiadła na niskim stołeczku, pod kątem prostym do obu chłopców, spoglądając bacznie to na jednego, to na drugiego. Filip, podnosząc przypadkiem wzrok znad książki ku kominkowi, zobaczył wpatrzoną w siebie parę pytających, czarnych oczu. "Ta siostra Tullivera to wcale miłe stworzonko - pomyślał. -

Całkiem niepodobna do brata". Och, on także chciałby mieć siostrę. Zastanawiał się, dlaczego ciemne oczy Madzi przywodzą mu na pamięć opowieści o księżniczkach, zaklętych w zwierzęta ... Mnie się wydaje, że po prostu oczy jej pełne były niezaspokojonej inteligencji i niezaspokojonego błagalnego uczucia.

- No, Madzinku - oświadczył wreszcie Tomek zamykając książki i odkładając je na bok z energią i zdecydowaniem mistrza w sztuce kończenia pracy. - Skończyłem lekcje. Chodź ze mną na górę.

- Co to będzie? - zapytała Madzia za drzwiami, gdyż ogarnęła ją lekka podejrzliwość na wspomnienie poprzedniej wizyty Tomka na górze. - Chyba nie chcesz mi zrobić jakiegoś kawału, co?

- O, nie - odparł Tomek przymilnie. - To jest coś, co ci się będzie strasznie, ale to strasznie podobało.

Otoczył jej szyję ramieniem, a ona ujęła go wpół i tak złączeni poszli na górę.

- Ale pamiętaj, Madzinku, że nie wolno ci nikomu o tym pisać, bobym dostał z pięćdziesiąt linijek.

- Czy to jest żywe? - zapytała Madzia, gdyż wyobraźnia podsunęła jej nagle myśl, że Tomek po kryjomu chowa łasicę.

- Nie powiem ci - odparł. - Idź teraz tam, w kącie, i zakryj oczy, kiedy ja to będę wyciągał - dodał zamykając drzwi na klucz.

- Powiem ci, kiedy masz się odwrócić. Tylko pamiętaj, nie wolno ci wrzeszczeć.

- Ale jak mnie przestraszysz, to wrzasknę - Madzia zaczęła nagle traktować sprawę poważnie.

- Nie przestraszę cię, ty głupia. Idź i zakryj oczy. Tylko pamiętaj

- nie wolno podglądać!

ROZDZIAŁ V

213

- Pewno, że nie będę podglądać - odparła Madzia z pogardą i jako osoba honorowa wpakowała głowę w poduszkę.

Tomek jednak, nim podszedł do alkowy, rozejrzał się naprzód ostrożnie, a potem wszedł do środka i przymknął drzwiczki za sobą. Madzi zbędne były nawet zasady moralne, by oczy trzymała zamknięte, pozycja bowiem tak świetnie nadająca się do marzeń kazała jej szybko zapomnieć, gdzie się znajduje. Myśli jej krążyły wokół biednego kaleki, który wydawał się taki mądry ... Nagle Tomek zawołał:

- Możesz już patrzeć, Madzinku!

Tylko długie rozważania i przygotowany zespół efektów umożliwiły Tomkowi pojawienie się w tak niezwyklej postaci przed Madzią, która podniosła właśnie głowę z poduszki. Ponieważ nie zadowalał go pacyfistyczny wygląd własnej twarzy, na której lniane brwi znaczyły się niewyraźnie, a słodkie, szaroniebieskie oczy i okrągłe różowe policzki nie chciały za nic w świecie przybrać groźnego wyglądu, choćby nie wiadomo jak marszczył się przed lustrem (Filip opowiadał mu kiedyś o człowieku, którego zmarszczki na czole układały się w podkowę, i Tomek ze wszystkich zmarszczkowych sił starał się marszczyć w podkowę) - chwycił się niezawodnego środka: okropnego, palonego korka. Namalował sobie czarne brwi, które stykały się groźnie nad nosem, a do tego mniej już dokładnie uczernił policzki.

Płócienną swą czapkę owiązał czerwoną chustką, by ją upodobnić do turbanu, a czerwonym szalikiem przepasał się przez piersi jak szarfą. Ta ilość czerwieni w połączeniu ze straszliwą zmarszczką na czole i zdecydowanym uchwytem pałasza, którego czubek dotykał ziemi - wszystko to razem powinno wystarczyć, by każdy wyobraził sobie choć w przybliżeniu, jak dzikie i krwiożercze jest usposobienie Tomka.

Przez chwilę Madzia spoglądała nań w zdumieniu, a chłopiec całym sercem cieszył się tym widokiem. W następnej jednak minucie dziewczynka roześmiała się, klasnęła w dłonie i zawołała:

214 KSIĘGA DRUGA

- Och, Tomku, wyglądasz zupełnie jak Sinobrody65 na przedstawieniu!!!

Wyraźnie pałasz nie zrobił na niej należytego wrażenia - był przecież schowany w pochwie. Madzia z tą swoją bezmyślnością musi zobaczyć coś o wiele straszliwszego, żeby się przerazić. Tomek przygotował się więc do ostatecznego pociągnięcia. Marszcząc się z podwójnym wysiłkiem (choć może nie z podwójnym efektem) wyciągnął (ostrożnie) pałasz z pochwy i wymierzył w Madzie.

- Och, Tomku, błagam cię, przestań! - zawołała dziewczynka z tłumionym strachem, kryjąc się przed bratem w przeciwległym kącie. - Będę wrzeszczała! Na pewno! Och, przestań! Po co ja wchodziłam tu na górę!

Kąciki ust Tomka wykazywały ochotę do pełnego politowania uśmiechu, stłumił go jednak szybko, jako rzecz niegodną wielkiego wojaka. Ostrożnie, żeby nie robić hałasu, położył pochwę na podłodze i oświadczył z powagą:

- Ja jestem księżę Wellington! Naprzód marsz! - i ruszył uginając lekko prawą nogę, z pałaszem wciąż wymierzonym w Madzie, która, ze łzami w oczach, trzęsąc się ze strachu, wlaźła na łóżko - gdyż była to jedyna możliwość zwiększenia odległości między nią a bratem. Szczęśliwy, że ma widza podziwiającego jego żołnierskie wyczyny, chociaż tym widzem była tylko Madzia, Tomek w dalszym ciągu wyęczał wszystkie siły na takie pchnięcia i cięcia, jakich należałoby oczekiwać po księciu Wellingtonie.

- Tomku, ja tego nie zniosę! Będę wrzeszczała! - zawołała Madzia przy pierwszych cięciach pałasza. - Skaleczysz się! Obetniesz sobie głowę!

- Raz, dwa - liczył energicznie Tomek, chociaż przy "dwóch" dłoń mu lekko zadrżała. "Trzy" przyszło jakoś wolniej i wraz z dźwiękiem słów pałasz osunął się, a Madzia krzyknęła głośno. Broń

65 Sinobrody - postać okrutnego zabójcy swych kolejnych żon, występująca w opowieściach i baśniach mających wiele różnych wersji, m.in. w adaptacji dramatycznej.

ROZDZIAŁ VI

215

upadła ostrzem na stopę Tomka, a w chwilę później chłopiec upadł również. Madzia krzycząc ciągle, skoczyła z łóżka, a jednocześnie na schodach rozległ się tupot nóg. Pierwszy wpadł pastor, który siedział w gabinecie na górze. Znalazł obydwójce dzieci na podłodze. Tomek zemdlał, a Madzia potrząsała go za kołnierz, z nieprzytomnym wyrazem w oczach, krzycząc przez cały czas. Biedactwo myślało, że chłopiec nie żyje, a jednak trzęsła nim, jakby go to miało przywrócić do życia. W następnej chwili szlochała z radości, bo Tomek otworzył oczy. Nie mogła się jeszcze martwić zranioną nogą - wydawało jej się, że wszystka radość na świecie zawiera się w tym, iż Tomek żyje.

ROZDZIAŁ VI

SCENA MIŁOSNA

Biedny Tomek znosił bohatersko ostry ból i zdecydowany był nie mówić o panu Poulter nic ponad to, co konieczne. Pięcioszylingówka pozostała tajemnicą nawet dla Madzi. Ale w sercu chłopca krył się straszny lęk - lęk tak ogromny, że Tomek bał się zadać pytania, na które mógłby usłyszeć nieszczęsne: "tak". Nie śmiał zapytać ani lekarza, ani pastora: "Czyja będę kulał, proszę pana?" Zaciskał zęby i nie krzyczał, ale kiedy skończono opatrunek i chłopiec został sam, z siostrą przy boku, dzieci płakały wspólnie, złożywszy razem głowy na poduszce. Tomek widział już siebie poruszającego się o kulach, jak syn kołodzieja. Madzia, nie odgadując przyczyny jego troski, szlochała dla towarzystwa. Ani lekarzowi, ani pastorowi nie przyszło nawet do głowy, że Tomek może mieć podobne obawy i żaden z nich nie uspokoił chłopca, Filip jednak czekał, póki lekarz nie wyjdzie, i zastąpił pastorowi drogę, by zadać mu to właśnie pytanie, którego wypowiedzieć nie śmiał Tomek. o

21 BN H/234 G. Eliot: Młyn nad Flossą

KSIĘGA DRUGA

216

- Bardzo pana przepraszam, ale czy doktor Askern mówił, że Tulliver będzie kulawy?
- Och, nie, nic podobnego - odparł pastor. - Nie na zawsze, tylko teraz, przez pewien czas.
- A czy on to powiedział Tulliverowi?
- Nie. Nic mu o tym nie mówiono.
- To czy mogę iść i powiedzieć mu, proszę pana?
- Tak, oczywiście, Teraz, kiedyś mnie zapytał, myślę, że może biedak się tym martwi. Idź do niego do sypialni, ale zachowuj się jeszcze bardzo cicho.

Kiedy Filip usłyszał o wypadku, pomyślał zaraz: "Czy Tulliver okuleje? To byłoby straszne dla niego" - i w ten sposób niewybaczalna wina Tomka zmyta została litością. Nie byli już teraz wrogami w pojęciu Filipa, lecz złączył ich wspólny nurt bólu i smutku ułomności. Filip nie zastanawiał się wiele nad samym nieszczęściem ani nad wpływem, jaki ono mieć będzie na dalsze losy Tomka, lecz wyobrażał sobie doskonale, co chłopiec może w tej chwili czuć. Filip przeżył dotychczas zaledwie czternaście lat⁶⁶, ale przez niemal cały ten czas towarzyszyło mu poczucie nieodwracalnie ciężkiego losu.

- Wiesz, Tulliver! Doktor Askern powiedział, że niedługo będziesz zupełnie zdrow. - Filip nieśmiało podszedł na palcach do Tomkowego łóżka. - Właśnie pytałem pana Stellinga i on mówi, że kiedy wyzdrowiejesz, będziesz chodził tak jak dawniej.

Tomek podniósł wzrok, a nagła radość zatamowała mu oddech w piersi; potem odetchnął z ulgą i spojrzał szaroniebieskimi oczyma prosto w oczy Filipa. Nie robił tego od dwóch tygodni albo i dłużej. Dla Madzi zaś wzmianka o możliwości, która jej przedtem nie przysłała do głowy, była nowym powodem do rozpacz. Myśl, że Tomek mógłby zostać kaleką, przesłoniła zaprzeczenie tej możliwości i Madzia przywarła do brata, znowu zalewając się łzami.

⁶⁶ W czasie pierwszego spotkania z Tomkiem Filip mówi, że ma piętnaście lat (rozdz. III).

ROZDZIAŁ VI

217

- Nie bądź głuptas, Madzinku - odezwał się serdecznie Tomek czując, jak wzbiera w nim przypływ odwagi. - Niedługo będę zdrow.
- Do widzenia, Tulliver - Filip wyciągnął do kolegi małą, delikatną rękę, którą Tomek ujął natychmiast w swą o wiele twardszą dłoń.
- Słuchaj, poproś pana Stellinga, żeby ci pozwolił przychodzić tu i siedzieć ze mną, dopóki nie wstanę, co, Wakem? I opowiesz mi o Robercie Bruce, dobra?

Po tej rozmowie Filip spędzał z rodzeństwem cały swój wolny czas. Tomek, jak i dawniej, tak i teraz lubił opowiadania wojenne, ale mocno podkreślał fakt, że ci wielcy wojownicy, co to cudów męstwa dokazywali i wychodzili zawsze cało z opresji, mieli wspaniałe broje, które zakrywały ich od stóp do głów, a to, jak twierdził, sprowadzało walkę do niemal błahostki. Gdyby miał żelazny but na stopie, to by się nie był skaleczył. Z wielkim zainteresowaniem przysłuchiwał się nowej opowieści Filipa o człowieku, który miał zranioną stopę i tak strasznie krzyczał z bólu, że przyjaciele nie mogli tego wytrzymać i wysadzili go na wyspie bezludnej, zostawiając mu tylko kilka cudownie zatrutych strzał, żeby mógł coś upolować do jedzenia.

- Ja wcale nie krzyczałem, wiesz? - mówił Tomek. - A założę się, że nie byłem lżej ranny. Tylko tchórze wrzeszczą.

Madzia jednak uważała, że wrzask jest dopuszczalny, jeśli coś boli, ludzie zaś, którzy nie mogą tego znieść, są po prostu okrutni. Pragnęła się dowiedzieć, czy Filoktet⁶⁷ miał siostrę i dlaczego ona nie wysiadła również na bezludnej wyspie, by opiekować się bratem.

Pewnego dnia, wkrótce po tym opowiadaniu, Filip z Madzią

siedzieli razem w bibliotece, podczas gdy Tomkowi zakładano opatrunek. Filip zagłębiony był w lekturze, a Madzia kręciła się zcelowo po pokoju, nie próbując się nawet czymś zająć, boć przecież zaraz miała wracać na górę. W pewnej chwili podeszła do stołu i nachyliła się nad Filipem, chcąc zobaczyć, co też on robi takiego Filoktet - jeden z greckich bohaterów wojny trojańskiej, po ukąszeniu Kulał i długo cierpiał z powodu nie zagojonej rany.

218 KSIĘGA DRUGA

- byli już teraz starymi przyjaciółmi i czuli się ze sobą zupełnie swobodnie.

- O czym to czytasz po grecku? - zapytała. - To wiersze, wiem dobrze, bo linijki są takie krótkie.

- To o Filoktecie, o tym kulawym człowieku, o którym opowiadałem wam wczoraj - odparł opierając głowę na rękę i spoglądając na Madzie, wcale nie rozgniewany, że mu przerywa. Dziewczynka w dalszym ciągu pochylała się nad stołem, wsparta na łokciach i zamyślona jak zwykle. Nóżki jej poruszały się pod stołem, czarne zaś oczy coraz bardziej nieruchomo wpatrywały się w próżnię, jakby całkiem zapomniała o Filipie i jego książce.

- Madziu - zapytał chłopiec po chwili, wciąż patrząc na nią, wsparty na dłoni - czy myślisz, że gdybyś miała takiego brata jak ja, to kochałabyś go równie mocno, jak Tomka?

Madzia drgnęła lekko, rozbudzona z marzeń i zapytała: "Co?"

- O tak! Więcej! - odparła bez namysłu. - Nie, nie więcej, bo chyba nie mogłabym kochać cię bardziej niż Tomka. Ale tak by mi cię było żal ... tak żal!!!

Filip poczerwieniał. W jego słowach kryło się pytanie, czy dziewczynka kochałaby go pomimo kalectwa; a mimo to, kiedy Madzia odpowiedziała mu wprost, odczuł tę litość jak smagnięcie bicia. Choć Madzia była młodziutka, poczuła, że zrobiła błąd. Dotychczas instynkt podszeptował jej, że należy się zachowywać tak, jakby nie zauważała kalectwa chłopca. Nakazywała jej to wrodzona delikatność oraz własne doświadczenie z czasów, kiedy była przedmiotem rodzinnej krytyki. Najbardziej wyrafinowane wychowanie nie mogłoby dokazać więcej.

- Ty jesteś taki mądry, Filipie, i potrafisz grać i śpiewać- dodała szybko. - Chciałabym, żebyś był moim bratem. Bardzo cię lubię- Zostawałbyś ze mną w domu, kiedy Tomek by wyjeżdżał, i nauczyłbyś mnie wszystkiego, prawda? Greki i wszystkiego.

- Ależ ty sama niedługo wyjeżdżasz i idziesz do szkoły. Zapomnisz o mnie i przestaniesz mnie lubić. A potem zobaczę cię, kiedy już będziesz dorosłą panną, a ty ledwo na mnie spojrzysz.

ROZDZIAŁ VI

219

- Och, na pewno cię nie zapomnę - - Madzia z powagą potrząsnęła głową. - Nigdy nikogo nie zapominam i myślę o wszystkich, kiedy jestem od nich z dala. Myślę o biedaczku Japie - ma taką narośl na gardle i Łukasz powiada, że zdechnie. Ale nie mów tego czasem Tomkowi, bo się strasznie zmartwi. Nigdy nie widziałeś Japa. To taki śmieszny piesek. Nikt go specjalnie nie lubi oprócz Tomka i mnie.

- Czy lubisz mnie tak samo jak Japa, Madziu? - zapytał Filip uśmiechając się nieco smutnie.

- Myślę, że tak - odparła dziewczynka ze śmiechem.

- Ja cię bardzo lubię, Madziu. Nigdy cię nie zapomnę. Kiedy będę nieszczęśliwy, zawsze będę myślał o tobie i będę pragnął mieć siostrzyczkę z czarnymi oczami - takimi jak twoje.

- Dlaczego podobają ci się moje oczy? - zapytała Madzia, bardzo uradowana. Nikt nigdy, oprócz ojca, nie wyrażał się pochlebnie o jej oczach.

- Nie wiem - odparł chłopiec. - Są takie inne. Wydaje się, że chcą mówić- mówić dobrze, łagodnie. Nie bardzo lubię, jak ludzie mi się przyglądają, ale przyjemnie mi, jak ty patrzysz na mnie, Madziu.

- Wiesz, chyba ty mnie bardziej lubisz niż Tomek - zauważyła Madzia trochę z żalem. A potem zastanawiając się, jak by tu przekonać Filipa, że może go bardzo lubić mimo kalectwa, zawołała:

- Czy chcesz, żebym cię pocałowała, tak jak Tomka? Zrobię to, jeśli chcesz.

O tak, bardzo. Nikt mnie nigdy nie całuje. Madzia objęła go za szyję i ucałowała z wielką powagą.

- Zawsze cię będę pamiętała i zawsze cię ucałuję, jak się spotkamy, choćby to było nie wiadomo kiedy. Ale teraz pójdę, bo wydaje mi się, że doktor Askern skończył opatrunek Tomka.

Kiedy ojciec przyjechał po raz drugi, Madzia zwróciła się do niego:

- Tatusiu, Filip Wakem jest taki dobry dla Tomka. To taki mądry chłopiec. Bardzo, bardzo go kocham. I ty go też kochasz,

Tomku prawda? Przyznaj się, że kochasz? - dodała prosząco, -? spojrział na ojca i poczerwieniał z lekka: - Kiedy skończę -? przestanę się z nim przyjaźnić. Ale teraz, kiedy miałem tę nogę

KSIĘGA DRUGA

220

chorą, dogadaliśmy się jakoś i on nauczył mnie grać w warcaby, i ja wygrywam.

- No cóż - odparł młynarz. - Jeśli on jest dobry dla ciebie, to nie ma co, musisz być w nagrodę dobry dla niego. Jak Kuba Bogu, tak Bóg Kubie. To biedny garbus i podobny do matki nieboszczki. Ale nie wchodzi tam z nim w zbyt wielką komitywę - ma przecież w żyłach krew ojca. Niedaleko pada jabłko od jabłoni.

Krańcowo różne usposobienia chłopców sprawiły to, czego uwagi młynarza pewno by nie dokonały. Mimo przyływu sympatii Filipa oraz uznania, jakie miał dla niego Tomek w okresie swej choroby, chłopcy nigdy nie zostali bliskimi przyjaciółmi. Po wyjeździe Madzi, kiedy Tomek zaczął lepiej chodzić, serdeczność, wzniecona współczuciem i wdzięcznością, poczęła stopniowo przygasać, a chłopcy powoli wracali na dawne pozycje. Filip często bywał zrzędnym i wzgardliwym, a bardziej subtelne i przyjazne uczucia Tomka powoli zamierały, na ich zaś miejsce wróciła dawna niechęć i podejrzliwość wobec tego dziwadła, garbusa i syna łobuza. Chłopcy czy mężczyźni, którzy mają się zjednoczyć w ogniu chwilowego uczucia, muszą być stworzeni z metali zdolnych do stworzenia stopu - inaczej rozdzielią się nieuchronnie, gdy ogień zgaśnie.

ROZDZIAŁ VII

PRZEJŚCIE ŻŁOTYCH WRÓT

Tak więc Tomek doszedł gładko w King's Lorton do piątego półrocza⁶⁸ i skończył szesnasty rok życia, podczas gdy Madzia rosła w strasznym, zdaniem ciotek, tempie na pensji panny Firniss w starym

⁶⁸ Rozpoczęcie przez Tomka piątego półrocza u pastora oznacza, że jest właśnie lato 1831.

ROZDZIAŁ VII

221

mieście Laceham nad Flossą, mając u swego boku kuzynkę Lucy. Początkowo zawsze przesyłała w listach pozdrowienia dla Filipa i często o niego pytała; Tomek odpowiadał jej na to krótkimi wiadomościami, jak to bolą go zęby, jak pomaga wybudować w ogrodzie składzik na torf i tak dalej. Poczuli ukłucie w sercu, gdy brat powiedział jej w czasie świąt, że Filip znowu zachowuje się dziwacznie i często bywa zły; wiedziała, że nie są już dobrymi przyjaciółmi. Kiedy zaś przypomniała bratu, że powinien zawsze kochać Filipa za dobroć okazaną mu w chorobie, Tomek odpowiedział: "To nie moja wina; ja mu tam nic nie robię". Nie widywała prawie Filipa w ciągu całego okresu szkolnego; na wakacje letnie wyjeżdżał zwykle nad morze, w czasie świąt Bożego Narodzenia mogła go tylko spotykać - i to bardzo rzadko - na ulicach St. Ogg's. Pamiętała wówczas, że obiecała pocałować go przy następnym

spotkaniu, lecz jako młoda dama, studiująca na pensji⁶⁹, wiedziała już, że taka forma powitania jest absolutnie wykluczona i że Filip wcale jej nie oczekuje. Była to próżna obietnica, podobnie jak tyle innych słodkich, złudnych obietnic naszego dzieciństwa; próżna jak obietnice złożone w raju, zanim dokonał się podział czasu na pory roku, w raju, gdzie kwiaty gwiazdzone rosły tuż obok dojrzewających brzoskwiń - gdyż takich obietnic nie sposób wypełnić po przejściu Złotych Wrót.

Kiedy jednak ojciec przystąpił do z dawna zapowiadanego procesu, a Wakem, jako przedstawiciel jednocześnie Pivarta i Mefistofelesa⁷⁰,

Jest rzeczą dość szczególną, że edukację Tomka autorka przedstawiła bardzo dokładnie, natomiast o pobycie Madzi na pensji wspomniała jedynie -? nawiasowo. Akcja w ks. II toczy się w całości w domu pastora Stellinga, gdzie dziewczynka jest tylko gościem. Na charakterystykę Madzi w tej księdze składają się jedynie epizody, w których występuje wraz z bratem lub z Filipem.

Razem tworzą teraz trójkąt ważny dla dalszego rozwoju ich osobowości i samej -?

Mefistofeles - imię szatana, które pojawiło się w pierwszej wersji Fausta w r. 1587 w nieco innej pisowni: Mephostophiles. W XIX w.

Goethe rozślawił postać dramatu poetycki Faust Johanna Wolfganga -?

KSIĘGA DRUGA

222

stał przeciwko niemu, nawet Madzia przyznała ze smutkiem, że mało jest prawdopodobne, by kiedykolwiek jeszcze mogła ich łączyć z Filipem bliska zażyłość. Młynarz zżymał się na samo imię Wakema, a powiedział - sama to słyszała - że jeśli ten garbus odziedziczy nieprawe zyski swego ojca, to zostanie przeklęty. "Trzymaj się od niego jak najdalej w szkole, chłopcze" - powiedział do Tomka; a rozkaz ten o tyle był łatwy do wykonania, że pan Stelling miał w tym okresie jeszcze dwóch uczniów więcej. Chociaż pastor nie robił kariery z błyskawiczną szybkością, jak tego oczekiwali wielbiciele jego miódopłynnej wymowy o donośnych brzmieniach, jednak dobrobyt jego rósł na tyle, by skłaniać go do zwiększania wydatków w stałej dysproporcji do dochodów.

Jeżeli zaś chodzi o edukację Tomka, robiła monotonne, mechaniczne postępy; umysł jego pracował w powolnym, zdławionym tempie, pośród niezrozumiałych lub nieciekawych pojęć. Lecz za każdym razem, kiedy chłopiec przyjeżdżał na wakacje, przywoził ze sobą coraz to większe rysunki krajobrazu o miękkich zarysach, pomalowane farbami wodnymi w żywym, zielonym kolorze, zeszyty pękające od zadań i ćwiczeń, gdzie pismo było coraz piękniejsze, jako że skupił na nim całą swą uwagę. Za każdym razem przywoził też ze sobą książkę lub kilka książek, które dowodziły, jak bardzo się posunął w historii, doktrynie chrześcijańskiej i literaturze łacińskiej, lecz książki nie były jedynym jego osiągnięciem. Uszy i język Tomka przywykły do wielu słów i zwrotów, które uważa się za świadectwa wykształcenia; chociaż nigdy nie przykładał się do żadnej ze swych lekcji, mimo to lekcje owe zostawiły po sobie jakieś mgliste, fragmentaryczne, bezużyteczne pojęcia. Pan Tulliver, widząc oznaki wykształcenia, stojącego poza jego możliwościami oceny, uważał, iż z nauką Tomka prawdopodobnie jest wszystko w porządku; zauważył co prawda, że nie było rysowania map i nie tyle "rachunków", ile potrzeba - nie złożył jednak pastorowi formalnych zastrzeżeń.

Osobliwa to sprawa, nauczanie; gdyby zabrał Tomka od pastora, gdzie znalazłby dla niego lepsze miejsce?

Od chwili, kiedy po raz pierwszy zobaczyliśmy Tomka wracającego ze szkoły pana Jacobsa, do czasu, kiedy zaczął swój ostatni kwartał

ROZDZIAŁ VII

223

w King's Lorton, w chłopcu zaszły ogromne zmiany. Był to teraz wysoki młodzik umiejący się godnie zachować; odrobina nieśmiałości, jaką wykazywał w rozmowie, była tylko

przyjemnym świadectwem skromności przemieszanej z dumą. Nosił surduty i sztywne kołnierzyki; pilnie badał miejsce nad górną wargą i codziennie spoglądał na dziewczynę brzytwę, którą kupił sobie w czasie ostatnich wakacji. Podczas jesienno-kwartalnego Filip opuścił już szkołę; musiał ze względu na zdrowie spędzić zimę na południu. Zmiana ta wzmogła jeszcze w Tomku owo niespokojne, radosne uczucie, które rodzi się zwykle w ostatnich miesiącach przed opuszczeniem szkoły. Miał też nadzieję, że w tym kwartale zakończy się proces ojca; stwarzało to jeszcze przyjemniejsze widoki na pobyt w domu - Tomek bowiem, który swoje poglądy na sprawę formował na podstawie rozmów z ojcem, nie miał wątpliwości, że Pivart przegra.

Od kilku tygodni nie miał wiadomości z domu - nie dziwiło go to, gdyż ani matka, ani ojciec nie byli skorzy do manifestowania swych uczuć w zbędnych listach. Ogromnie był więc zaskoczony pewnego ranka, w ciemny, zimny dzień pod koniec listopada, kiedy w chwilę po wejściu o dziewiątej do biblioteki dowiedział się, że siostra czeka w salonie. Zawiadomiła go o tym pastorkowa, która przyszła po niego do biblioteki i zaprowadziła do salonu, gdzie zostawiła rodzeństwo samo. I Madzia bardzo wyrosła, a wrażenie to powiększały włosy splecione w warkocze i upięte w koronę; wzrostem dorównywała prawie Tomkowi, choć miała tylko trzynaście lat. W tej chwili zaś wyglądała na starszą od brata. Zrzuciła budkę i zsunęła ciężkie warkocze z czoła, jakby nie mogło udźwignąć tak wielkiego ciężaru. Młoda jej twarz wydawała się dziwnie zmęczona, kiedy niespokojnie zwróciła oczy ku drzwiom. Gdy Tomek wszedł, podeszła do niego bez słowa, objęła za szyję i ucałowała poważnie. Przyzwyczajony był do jej -? różnych nastrojów, toteż nie przestraszyła go niezwykła powaga tego Powitania.

- Jak to się stało, że przyjechałaś tak wcześnie i w taki zimny ranek, Madziu? Przyjechałaś gigiem? - zapytał, gdy skierowała się ku sofie i pociągnęła go, by usiadł obok.

224 KSIĘGA DRUGA

- Nie, pocztowymi końmi. Od rogatek przyszedłam piechotą.

- Ale dlaczego nie jesteś w szkole? Wakacje jeszcze się nie zaczęły?

- Tatusz chciał, żebym przyjechała do domu - odparła Madzia, a wargi jej zdrząły lekko. - Wróciłam do domu trzy czy cztery dni temu.

- Czy tatuś źle się czuje? - zapytał Tomek z pewnym niepokojem.

- Trochę. Jest bardzo nieszczęśliwy, Tomku. Proces się skończył. Przyjechałam, żeby ci to powiedzieć, bo myślałam, że lepiej będzie, jak się o tym dowiesz, nim wrócisz do domu, a nie chciałam ci tego pisać w liście.

- Chyba tatuś nie przegrał?! - spieszenie zawołał chłopiec zeskakując z sofy i stając przed Madzią z rękami wsuniętymi gwałtownie w kieszenie.

- Tak, Tomku kochany - odpowiedziała drżąco Madzia, podnosząc ku niemu buzię.

Przez chwilę Tomek milczał, wpatrując się nieruchomo w podłogę. Potem powiedział:

- Wobec tego ojciec będzie musiał zapłacić bardzo dużo pieniędzy?

- Tak - odpowiedziała Madzia słabo.

- Cóż, nic na to nie poradzimy - dzielnie odparł chłopiec, nie przekładając jeszcze pojęcia straty dużych pieniędzy na stratę rzeczy konkretnych. - Ale ojciec jest na pewno bardzo zgnębiony - dodał spoglądając na Madzie i myśląc, że ta zmieniona twarzyczka to przecież tylko rezultat dziecinnego przeżywania sprawy.

- Tak - głos Madzi znów zabrzmiał słabo. Potem, przynaglona świadomością, że Tomek nic złego nie przeczuwa, powiedziała głośno i gwałtownie, jakby nie mogła tych słów powstrzymać: - Tomku! Będzie musiał oddać młyn i ziemię, i wszystko; nic mu nie zostanie. Z oczu Tomka strzelił jeden jedyny błysk zdumienia. Potem chłopiec pobladł i zdrzął. Bez słowa usiadł z powrotem na kanapce spoglądając niepewnie w przeciwległe okno.

ROZDZIAŁ VII

Tomek nigdy jeszcze nie bał się o przyszłość. Ojciec jeździł zawsze na dobrym koniu, prowadził dostatni dom i miał pogodną minę człowieka pewnego siebie i niezależnego majątkowo. Nigdy nie przyszło mu do głowy, że jego ojciec może "zbankrutować"; był to rodzaj nieszczęścia, o którym zawsze mówiło się jak o wielkiej hańbie, a hańba była pojęciem, które trudno mu było powiązać z osobą kogoś z rodziny, a już najmniej z osobą ojca. Dumne poczucie rodzinnej godności było częścią składową atmosfery, w jakiej Tomek się urodził i został wychowany. Wiedział, że byli w St. Ogg's ludzie, którzy odgrywali bogaczy, a kieszenie mieli puste, i słyszał, jak jego znajomi wyrażali się o tych ludziach z pogardą i potępieniem. Wierzył - a wiara ta od lat weszła mu w krew i nie wymagała żadnych konkretnych dowodów - wierzył, iż ojciec jego, gdyby mu na to przyszła ochota, mógłby sypnąć pieniędzmi, ponieważ zaś edukacja u pana Stellinga wyrobiła w nim bardziej kosztowne upodobania, często marzył, że gdy dorośnie, będzie zadawał szyku, będzie miał konia, psy i siodło, i w ogóle wszystko, co powinien posiadać elegancki, młody człowiek. Pokaże, że nie jest gorszy od swych rówieśników z St. Ogg's, którzy mogli się uważać za stojących

o stopień wyżej towarzysko, ponieważ ich ojcowie byli ludźmi wolnych zawodów lub też posiadali wielkie olejarnie. Przepowiednie ciotek i wujów i ich kiwanie głowami nigdy nie robiły na nim najmniejszego wrażenia, najwyżej doprowadzały do wniosku, że ciotki i wujowie są bardzo nieprzyjemni; odkąd mógł sięgnąć pamięcią, zawsze dopatrywali się we wszystkim błędów. Ojciec był od nich mądrzejszy.

Choć górną wargę Tomka pokrywał już puszek, wszystkie dotychczasowe myśli i marzenia chłopca były wciąż, tyle że w innej formie, odbiciem tych samych chłopięcych snów, jakie śnił trzy lata temu. Obudził się teraz z nagłym wstrząsem.

To blade, drżące milczenie brata przerażało Madzie. Miała mu jeszcze coś do powiedzenia - coś gorszego. Wreszcie zarzuciła mu ręce na szyję i zaczęła z tłumionym łkaniem:

Tomku, Tomku drogi, nie martw się tak okropnie ... spróbuj ... Postaraj się znieść to jakoś!

226 KSIĘGA DRUGA

Tomek biernie podsunął policzek, który obsypała błagalnymi pocałunkami; w oczach jego zebrala się wilgoć, którą szybko otarł dłonią. Ten ruch jakby go rozbudził, bo otrząsnął się i powiedział:

- Pojadę z tobą do domu, Madziu. Czy tatuś mówił, że mam przyjechać?

- Nie, tatuś nie mówił. - Troska o uczucia brata pomogła jej opanować własne przejęcie. Cóż by on zrobił, gdyby powiedziała mu wszystko? - Ale mamusia chce, żebyś wrócił ... biedna mamusia, tak strasznie płacze! Och, Tomku, tak okropnie jest w domu!!!

Wargi Madzi pobladły; zaczęła się trząść prawie tak, jak Tomek przed chwilą. Dwa biedne stworzenia przytuliły się mocniej do siebie; drżeli - jedno z nie skryzalizowanego strachu, drugie na myśl o straszliwej rzeczywistości. Madzia zaczęła znowu głosem, który niewiele różnił się od szeptu:

- I ... i ... biedny tatuś ...

Nie potrafiła tego wymówić. Lecz Tomek nie mógł znieść niepewności. Obawy jego zaczęły się przekształcać w niejasną myśl o więzieniu, do którego trzeba iść za długi.

- Gdzie jest ojciec? - zapytał niecierpliwie. - Powiedz mi, Madziu!

- Jest w domu. - Madzi łatwiej było odpowiedzieć na to pytanie.

- Ale- dodała po chwili przerwy- jak nie ten sam ... Spadł z konia ... Odtąd nie poznaje nikogo prócz mnie ... Jakby zmysły postradał ... Och, tatusiu, tatusiu! ...

Z ostatnimi słowami Madzia wybuchnęła łkaniem, tym gwałtowniejszym, że tak mocno je przedtem powstrzymywała. Tomek czuł w sercu ucisk, który nie pozwalał na łyzy; chłopiec nie widział nieszczęścia, jakie na nich spadło, tak jasno jak Madzia, która była w domu - czuł tylko miazdzący ciężar tego, co mu się wydawało ostateczną katastrofą. Prawie konwulsyjnie zacisnął ramiona wokół szlochającej siostry

- twarz jego była jednak surowa, bez łez - oczy puste, jakby ścieżkę przed nim zasłoniła nagle czarna kurtyna chmur.

Madzia opanowała się nagle; jakaś myśl podziałała na nią niby gwałtowny dźwięk.

ROZDZIAŁ VII

227

- Trzeba jechać, Tomku ... nie możemy tak siedzieć ... tatuś mnie potrzebuje. Musimy być przy rogatce o dziesiątej, żeby zdążyć na dylizans. - Mówiła to spieszenie i ze zdecydowaniem, wycierając oczy i wstając, by włożyć kapturek.

Tomek wstał natychmiast, poruszony jej słowami.

- Poczekaj chwilę, Madziu. Muszę pomówić z panem Stellingiem, a potem możemy jechać. Przypuszczał, że będzie musiał iść do biblioteki, gdzie siedzieli wszyscy uczniowie, spotkał jednak pastora w pół drogi. Ten dowiedział się już od żony, że Madzia, pytając o brata, sprawiała wrażenie ogromnie zatroskanej, szedł więc do nich, by zapytać, co się stało, i wyrazić im współczucie. Chciał właśnie wejść, gdyż sądził, że rodzeństwo wystarczająco już długo pozostawało samo.

- Proszę pana, muszę jechać do domu - zaczął natychmiast Tomek widząc pastora na korytarzu. - Muszę wracać zaraz z siostrą. Ojciec mój przegrał proces ... stracił cały majątek i jest ciężko chory.

Pan Stelling zareagował na to jak człowiek o dobrym sercu; myśl, że prawdopodobnie straci pieniądze, nie wpłynęła na niego w najmniejszym stopniu, kiedy z głębokim współczuciem patrzył na brata i siostrę, dla których lata młodzieńcze zaczęły się jednocześnie z troskami⁷¹. Kiedy się dowiedział, w jaki sposób Madzia tu przyjechała i jak szybko chce wrócić do domu, przyspieszał tylko wyjazd dzieci szepnąwszy coś pastorowej, która przyszła za nim, a teraz natychmiast opuściła pokój.

Tomek i Madzia stali już na ganku, gotowi do odejścia, kiedy pani Elling przyniosła mały koszyczek, który wcisnęła Madzi do ręki, mówiąc: - Nie zapomnij, kochanie, zjeść coś po drodze. - Serce Madzi wezbrało wdzięcznością dla tej kobiety, której nigdy nie lubiła; icałowała ją w milczeniu. Była to u biednego dziecka pierwsza oznaka nowego rodzaju wrażliwości, która jest darem strapienia- wrażliwoś-

-? tu bezinteresowność pastora łagodzi ukazane wcześniej rysy

-? tej postaci: wygodnictwo i karierowiczostwo, które można uznać za właściwości ukształtowane społecznie.

KSIĘGA DRUGA

228

ci na drobne dowody ludzkiego serca, wynoszone do rzędu serdecznych więzów, tak jak u wycieńczonych ludzi wpośród gór lodowych sama obecność towarzyszy porusza najgłębsze źródła uczucia.

Pastor położył rękę na ramieniu Tomka. - Niech cię Bóg błogosławi, chłopcze - powiedział. - Daj mi znać, co się z tobą dzieje. - Potem ścisnął Madziną rączkę, ale nie słyhać było pożegnań. Jakże często Tomek wyobrażał sobie radosny dzień, kiedy to będzie opuszczał szkołę "na dobre". A teraz lata szkolne wydawały mu się wakacjami, które dobiegły kresu. Dwie drobne, młodzieńcze postacie wkrótce ledwo były widoczne na odległym gościńcu - a potem znikły za wystającym żywopłotem.

Weszli razem ręką w rękę w nowe życie, pełne strapiień; nigdy już nie ujrzą słonecznego światła wolnego od cieni przeszłych trosk. Weszli pomiędzy cierniste gąszcz, a Złote Wrota dzieciństwa zamknęły się za nimi na zawsze.

KSIĘGA TRZECIA

UPADEK

231

ROZDZIAŁ I

CO SIĘ STAŁO W DOMU

Każdy, kto był świadkiem, jak pan Tulliver dowiedział się, że przegrał proces i że Pivart z Wakemem zwyciężyli, każdy, powiadam, kto był tego przypadkowym świadkiem, musiał pomyśleć, że jak na takiego krewkiego, pewnego siebie człowieka, młynarz zniósł cios wyjątkowo dobrze. Sam zresztą również tak sądził; postanowił pokazać, że jeżeli Wakem czy ktokolwiek inny uważa go za złamanego, to będzie musiał stwierdzić, że się pomylił. Nie mógł nie zdawać sobie sprawy, że koszta tego długiego procesu przeważą wartość jego majątku, ale wydawało mu się, że ma wiele możliwości uniknięcia najgorszych konsekwencji, a przede wszystkim pozorów życiowego bankructwa. Cały jego upór i zadzierzystość, którym nagle położono tamę, znalazły sobie nowe ujście w tworzeniu projektów wydobywania się z trudności i pozostania, mimo wszystko, panem Tulliver z młyna Dorlcote. Tyle pomysłów tłoczyło mu się w głowie - nic dziwnego więc, że twarz miał zaczerwienioną, kiedy wychodził po rozmowie ze swym adwokatem, panem Gore, i wsiadał na konia, by wrócić z Lindum do domu. Jest przecież Furley, który ma list zastawny na hipotekę ziemi - rozsądny chłop, wie, w czym jego interes, i na pewno nie tylko z radością kupi ziemię, razem z młynem, domem i zabudowaniami, ale zgodzi się na to, by ją pan Tulliver wydzierżawił. Z pewnością da równie chętnie trochę pieniędzy a conto; spłaci się je z dużym procentem z dochodów młyńskich, które mu będą przekazywane, pan Tulliver zatrzyma sobie tylko tyle, ile mu potrzeba na utrzymanie własne i rodziny. Któż by odrzucił tak korzystną możli-

22 BN H/234 G. Eliot: Młyn nad Flossą

232 KSIĘGA TRZECIA

wość lokaty? Na pewno nie pan Furley, bo młynarz zdecydował już, że pan Furley skwapliwie przyjmie jego propozycję; są jeszcze mężczyźni, którym przegrany proces nie zamącą umysłu i którzy zdolni są znaleźć we własnych pragnieniach lub interesach motyw do działania dla innych ludzi. Nie ma najmniejszych wątpliwości (tak myślał młynarz), Furley zrobi to, co najwłaściwsze, a jeśli zrobi - cóż, nic się znowu wtedy tak bardzo nie zmieni. Pan Tulliver wraz z rodziną będą musieli żyć skromniej i na niższej stopie, ale tylko tak długo, jak długo dochody z młyna nie spłacą tego, co Furley dał a conto. To zaś może się stać, kiedy pan Tulliver będzie jeszcze w pełni sił i zdrowia. Jasne więc, że koszty procesu mogą zostać spłacone bez konieczności opuszczenia starego domu i wyjścia na bankruta wobec ludzi. Z pewnością jest to trudny moment w jego interesach. A jeszcze to -? żyro weksła biednego Rileya, który umarł nagle w kwietniu i zostawił przyjacielowi na karku spłatę dwustu pięćdziesięciu funtów długu¹, fakt ten sprawił, że konto bankowe pana Tullivera stało się o wiele mniej przyjemną lekturą, niżby sobie tego człowiek życzył w okresie Bożego Narodzenia. Cóż robić! Nigdy nie był małodusznym skąpcem, który odmawia pomocy towarzyszkowi wędrowki po tym osobliwym świecie. Natomiast istotnie niepokojące było to, że przed kilku miesiącami wierzyciel, który pożyczył mu pięćset funtów na spłatę pani Glegg, zaczął się niepokoić

o swoje pieniądze (podszczyty oczywiście przez Wakema), a wówczas pan Tulliver, wciąż pewien wygranej w procesie, a przekonany jednocześnie, że zdobycie tej sumy przed zapadnięciem upragnionego wyroku będzie dlań ogromnie trudne, zgodził się nieopatrznie, by wierzyciel zabezpieczył sobie ową pożyczkę na meblach i innych ruchomościach dłużnika. "Wszystko jedno" - mówił sobie. I tak niedługo spłaci pieniądze, a takie zabezpieczenie nie jest groźniejsze niż

¹ Początek rozdziału wypełnia informacja o sytuacji majątkowej młynarza, która doprowadzi do istotnych zmian w położeniu rodziny. Aby uniknąć zbędnych szczegółów, relacja narratorska zostaje wkrótce zastąpiona dłuższym fragmentem mowy pozornie zależnej, która obrazuje tok myślenia Tullivera i charakterystyczną dla młynarza metodę działania: próbę ukrycia powagi sytuacji przed sobą samym.

ROZDZIAŁ I

inne. Teraz jednak konsekwencje wystawienia owego dokumentu ukazały mu się w zupełnie innym świetle i młynarz przypomniał sobie, że wkrótce meble mogą pójść na licytację, jeżeli dług nie zostanie spłacony. Dwa miesiące temu oświadczyłyby dumnie, że nigdy nie będzie nic zawdzięczał rodzinie swojej żony; teraz jednak powiedział sobie równie dumnie, że jest słuszne i naturalne, aby Bessy poszła do Pulletów i wyjaśniła im, jak się rzeczy mają. Nie pozwolą przecież na wyprzedaż mebli Bessy - zresztą mogą one stanowić zabezpieczenie i dla Pulleta, jeśli wyłoży pieniądze. Żadna to z jego strony łaska ani prezent. Pan Tulliver nigdy by nie prosił tego niezguły o nic dla siebie, Bessy jednak może go prosić, jeśli zechce.

Dumnym, upartym ludziom najłatwiej przychodzi zmienić stanowisko i nagle zaprzeczyć samym sobie: nic nie jest dla nich trudniejsze od akceptacji faktu, że zostali całkowicie zwyciężeni i muszą zaczynać życie od nowa. A zauważyliście na pewno, że choć pan Tulliver nie był niczym więcej jak zasobnym młynarzem i słodownikiem, był równie dumny i uparty, jak dostojnik, u którego podobne cechy mogłyby stać się tematem znakomitej, słynnej na cały świat tragedii; taki, co to w królewskich szatach ukazuje się na scenie i dodaje wzniosłości najnudniejszej kronice. Duma i upór młynarzy i innych niepozornych ludzi, których codziennie mijacie niepostrzeżenie na drogach - też rodzi tragedie; skryte, nie opłakane, przechodzą z pokolenia na pokolenie nie pozostawiając po sobie kronik, tragedie powodowane na przykład konfliktem młodych dusz, żądnych radości, dla których los stał się nagle niełaskawy, dom posepny, gdzie ranek przestał przynosić obietnice, gdzie nieoczekiwane rozczarowanie zmęczonych ozgoryczonych rodziców zaczęło ciążyć na dzieciach jak wilgotna, gęsta mgła, w której wszelkie życie musi ulec zahamowaniu. lub też taka tragedia, jaką jest powolna czy gwałtowna śmierć, wywołana zdławioną, odepchniętą namiętnością, chociaż może to być śmierć, po której przychodzi tylko pogrzeb na koszt parafii. Istnieją pewne zwierzęta, dla których niezmiennosc pozycji jest podstawowym warunkiem życia - po jednym załamaniu nie mogą już nigdy się podnieść, są też istoty ludzkie, dla których górowanie nad innymi jest podstawowym

234 KSIĘGA TRZECIA

wym warunkiem życia; mogą znosić upokorzenie tak długo, jak długo potrafią nie przyjmować go do wiadomości i we własnym pojęciu dalej być górą.

Dojeżdżając do St. Ogg's pan Tulliver wciąż jeszcze był górą w swoim własnym mniemaniu. Musiał przejechać przez miasto w drodze powrotnej do domu. Cóż mu jednak podszeptało, kiedy zobaczył dyliżans z Laceham wjeżdżający do miasta, żeby pojechać za nim do remizy i poprosić tam kancelistę o napisanie listu z żądaniem, by Madzia zaraz, następnego dnia, przyjechała do domu? Młynarzowi zbyt się ręka trzęsła z podniecenia, żeby mógł pisać sam; kazał oddać list pocztylionowi, a ten miał go doręczyć rano na pensji panny Firmiss. Czuł przemożne pragnienie - którego nie mógł sobie zupełnie wytłumaczyć - aby Madzia znalazła się przy nim jak najszybciej - musi przyjechać jutrzejszym dyliżansem.

Kiedy wrócił do domu, nie przyznał się żonie do żadnych kłopotów i zwymyślał ją za wybuch rozpaczony na wiadomość o przegraniu procesu; zapewniał ją też ze złością, że nie ma powodów do zmartwienia. Nie powiedział jej nic tego wieczora o zabezpieczeniu długu na meblach ani o konieczności zwrócenia się o pomoc do pani Pullet, dotychczas bowiem nie wiedziała o istnieniu groźnego dokumentu; konieczność zrobienia inwentarza ruchomości wytłumaczył jej w swoim czasie sprawą testamentu. Posiadanie żony stojącej wyraźnie niżej intelektualnie od męża łączy się, jak wszelkie wysokie przywileje, z pewnymi niedogodnościami oraz, między innymi, z częstą koniecznością stosowania drobnych podstępów.

Następnego dnia po południu młynarz znów siadł na konia i pojechał do biura pana Gore w St. Ogg's. Gore miał się rano widzieć z Furleyem i wy badać jego intencje w związku ze sprawami pana Tullivera. Młynarz jednak nie ujechał pół drogi, kiedy spotkał kancelistę

adwokata jadącego do młyna z listem. Nieprzewidziane jakieś sprawy nie pozwoliły panu Gore czekać na pana Tullivera w kancelarii, zgodnie z umową będzie tam jednak jutro o jedenastej, tymczasem zaś przesyła listownie pewne ważne wiadomości.

ROZDZIAŁ I

235

- Dobrze - odparł młynarz biorąc list, lecz go nie otwierając. - Powiedz pan panu Gore, że przyjadę do niego jutro o jedenastej rano. - Z tymi słowy zawrócił konia.

Kancelista, uderzony rozgorączkowanym spojrzeniem młynarza, spoglądał przez chwilę za odjeżdżającym, ale potem zawrócił. Przeczytanie listu nie było dla pana Tullivera sprawą kilku chwil; bardzo powoli przyjmował wiadomości przekazywane za pomocą pisma ręcznego czy drukowanego, włożył więc list do kieszeni postanawiając otworzyć go w domu, w fotelu. Ale przyszło mu nagle do głowy, że w liście może być coś, o czym pani Tulliver nie powinna wiedzieć, a jeżeli, to lepiej trzymać go od niej z daleka. Ściągnął konia, wyjął list i przeczytał. Był krótki: pan Gore na podstawie poufnej, lecz autorytatywnej wypowiedzi upewnił się, że Furley miał ostatnio dużo kłopotów finansowych i rozstał się z posiadanymi obligacjami, między innymi z listem zastawnym na hipotekę ziemi pana Tullivera, który odstąpił - Wakemowi.

W pół godziny później woźnica z młyna znalazł pana Tullivera przy drodze; był nieprzytomny, siwy wierzchowiec obwachiwał go z niepokojem, obok zaś leżał otwarty list. Kiedy Madzia, posłuszna żądaniu ojca, przyjechała tego wieczora do domu, młynarz nie był już nieprzytomny. Mniej więcej na godzinę przed jej powrotem odzyskał zmysły i rozglądając się wokół niepewnym, pustym spojrzeniem, mruzczał coś o "liście" i wciąż niecierpliwie do tego wracał. Na żądanie pana Turnbulla, medyka, przyniesiono list Gore'a i położono na łóżku. Wydawało się, że poprzednia niecierpliwosć zmniejszyła się nieco. Chory leżał przez chwilę z oczyma wlepionymi w list, jakby chciał przy jego pomocy powiązać i uporządkować własne myśli. Nagle przyszedł nowy przypływ pamięci, zmywając poprzednie wspomnienie; chory odwrócił oczy od listu, spojrzał na drzwi, patrzył na nie przez chwilę z niepokojem, jakby usiłując dojrzeć coś, na co oczy jego były zbyt słabe, i powiedział:

- Dziewuszka.

Od czasu do czasu powtarzał niecierpliwie to słowo; zdawać by się mogło, że jest nieświadom niczego poza tą jedną pilną potrzebą. Niczym nie okazywał, iż poznaje żonę czy innych, toteż biedna pani

KSIĘGA TRZECIA

236

Tulliver, której niewielkie zdolności rozumowania zostały niemal całkowicie sparaliżowane nagłym splotem nieszczęść, chodziła do bramy i z powrotem, by sprawdzić, czy dyliżans z Laceham nie nadjeżdża, choć było na to jeszcze za wcześnie.

Konie jednak zajęchały wreszcie i przywiozły biedne, zaniepokojone dziewczątka - już nie "małą", chyba że w czułych wspomnieniach ojca.

- Mamo, mamó, co się stało? - pytała Madzia drżącymi wargami, gdy matka wybiegła ku niej z płaczem. Nie przypuszczała, że ojciec jest chory, gdyż z remizy dyliżansów w St. Ogg's dostała list przez niego dyktowany.

Lecz na spotkanie jej wyszedł doktor Turnbull; lekarz jest zawsze błogosławieństwem w strapionym domu i Madzia podbiegła do starego przyjaciela, którego pamiętała od najdawniejszych czasów. Patrzyła na niego pytającym, przerażonym wzrokiem.

- Nie przerażaj się zbyt, moja droga - rzekł ujmując jej rękę.

- Ojciec twój miał nagły atak i nie odzyskał jeszcze całkiem pamięci. Ale pytał o ciebie i twój widok dobrze mu zrobi. Zachowuj się jak najciszej; zdejmij płaszcz i chodź ze mną na górę. Madzia posłuchała go z tym strasznym biciem serca, które sprawia, że całe istnienie wydaje się jakimś bolesnym pulsowaniem. Nawet spokój, z jakim mówił do niej lekarz, przeraził

dziewczynkę, gdyż pobudził jej wrażliwą wyobraźnię. Kiedy wchodziła, oczy ojca zwrócone wciąż były z niepokojem na drzwi. Spojrzała w te dziwne, smutne, bezradne oczy, które daremnie jej tu szukały. Z nagłym przebłyskiem energii pan Tulliver podniósł się z poduszek - Madzia rzuciła się ku niemu i objęła go, obsypując nieprzytomnymi pocałunkami.

Biedne dziecko! Wcześnie przyszło jej poznać jeden z tych szczytowych momentów w życiu, kiedy wszystko, o czym śniliśmy i w czym znajdowaliśmy radość, wszystko, czego się obawiamy, czy co cierpimy

- wszystko to znika z naszej świadomości jako rzecz bez znaczenia i ginie jak niewarte wzmianki wspomnienie w przyływie zwykłej, prymitywnej miłości, która łączy nas z istotami najbliższymi w chwili ich bezradności czy bólu.

ROZDZIAŁ I

237

Lecz ten przebłysk poznania stanowił zbyt wielki wysiłek dla osłabionego młynarza. Znow zesztywniał i pogrążył się w nieświadomości; trwała ona wiele godzin, a przerywana była tylko krótkimi nawrotami przytomności, w czasie których przyjmował biernie wszystko, co mu dawano, i czerpał jakieś dziecięce zadowolenie z obecności Madzi - zadowolenie, jakie odczuwa dziecko, kiedy wraca na łono opiekunki.

Pani Tulliver posłała po swoje siostry; jaki się podniósł na dole lament i wyrzekania!

Zarówno ciotki jak i wujowie stwierdzili, że ruina Bessy i jej rodziny jest tak kompletna, jak to przepowiadali, i rodzina wspólnie uznała, że to kara boska zesłana na pana Tullivera - kara, wobec której zbytnia serdeczność z ich strony byłaby bezbożnością. Madzia jednak niewiele z tego słyszała, nie odchodziła bowiem od łóżka ojca; siedziała przy nim cały prawie czas i trzymała jego rękę w swojej. Pani Tulliver pragnęła, żeby Tomek wrócił do domu i, zdawałoby się, więcej myślała o chłopcu niż o mężu - ciotki i wujowie wyrazili jednak sprzeciw. Niech lepiej Tomek siedzi w szkole, przecież pan Turnbull powiedział, że nie ma zagrożenia życia. Jednak pod wieczór drugiego dnia, kiedy Madzia bardziej już przywykła do okresów nieświadomości ojca i wyczekiwania na jego powrót do przytomności, ją też zaczęła nękać myśl o bracie. Kiedy więc zobaczyła, jak matka siedzi w nocy i płacząc mówi: " ... Mój biedny chłopiec ... przecież on powinien wrócić do domu!" - powiedziała:

- Niech mi mamusia pozwoli pojechać i powiedzieć mu wszystko. Wyjadę jutro rano, jeżeli tatuś mnie nie pozna i nie będzie potrzebował. Ciężko byłoby Tomkowi, gdyby miał tu przyjechać o niczym nie uprzedzony.

I, jak już wiemy, Madzia wyjechała następnego ranka. Jadąc dyliżansem do domu, brat i siostra wymieniali ze sobą smutne, urywane szeptki.

- Mówią, Tomku, że pan Wakem wziął hipotekę czy coś tam ;o na ziemię - tłumaczyła Madzia. - Mówią, że właśnie list z tą wiadomością był przyczyną choroby ojca.

KSIĘGA TRZECIA

238

- Jestem pewien, że ten pies przez cały czas przemyślał tylko, jak zrujnować ojca! - zawołał Tomek przeskakując od mglistych wrażeń do konkretnych wniosków. - Jeszcze mi za to zapłaci, jak dorosnę. Pamiętaj, żebyś mi nigdy w życiu nie odezwała się do Filipa!

- Och, Tomku! - zawołała Madzia tonem łagodnego wyrzutu; nie miała wówczas ochoty na dyskusję, a jeszcze mniej na denerwowanie Tomka swoim sprzeciwem.

ROZDZIAŁ II

BOŻYSZCZA PANI TULLIYER, CZYLI BÓSTWA DOMOWE

Kiedy Tomek i Madzia wysiedli z dyliżansu, minęło pięć godzin od wyjazdu dziewczynki z domu; ze strachem myślała, że może ojciec zauważył jej nieobecność i na próżno pytał o swoją dziewczynkę. Możliwość innych zmian nie przyszła jej do głowy.

Spiesznie przeszła zwirowaną ścieżką do drzwi i stanęła w nich pierwsza, zatrzymał ją jednak i zdumiał dziwny zapach tytoniu. Drzwi do bawialni były uchylone - stamtąd właśnie

dochodził ten zapach. Dziwne; czyżby ktoś z gości palił w takiej chwili? Może matka tam siedzi? Jeśli tak, trzeba jej powiedzieć, że Tomek przyjechał. Zdumiona i zaskoczona Madzia już miała otworzyć drzwi, kiedy nadszedł Tomek i razem zajrzeli do bawialni. Siedział tam jakiś ordynarny, niechlujny mężczyzna - twarz jego Tomek skądś sobie niewyraźnie przypominał - rozparty w fotelu ojca; palił, a obok niego stał dzbanek i szklanka. Wyjaśnienie przeleciało Tomkowi błyskawicą przez głowę. "Egzekutor2 w domu" i "wyprzedaż" - te słowa słyszał często, nawet jako 2 egzekutor - urzędnik stosujący środki przymusu w celu ściągnięcia różnych należności. Tu chodzi o koszty sądowe oraz sumy zgłoszone jako należne wierzycielom z tytułu udzielonych przez nich wcześniej pożyczek czy świadczeń.

ROZDZIAŁ II

239

mały chłopiec, a były one częścią hańby i niedoli, jaką jest ruina, utrata wszystkich pieniędzy - przejście do stanu biednych ludzi pracujących. Właściwie to oczywiste, że tak się stało, skoro ojciec stracił cały majątek - chłopiec nie przypuszczał, by mogły istnieć inne przyczyny tego nieszczęścia niż przegrany proces. Lecz bezpośrednie świadectwo hańby było dla Tomka cięższym przeżyciem niż najgorsze przewidywania. Zdawało mu się, że prawdziwe kłopoty teraz się dopiero zaczęły; było to jak dotknięcie obolałego nerwu w porównaniu z poprzednim tępym bólem.

- Dzień dobry - odezwał się człowiek wyjmując fajkę z ust, z niezdarną, zakłopotaną grzecznością. Te dwie młode, zaskoczone twarze trochę go speszyły.

Tomek jednak odwrócił się szybko bez słowa - widok był mu zbyt nienawistny. Ale Madzia nie rozumiała, kim był obcy. Szła za Tomkiem szepcząc: "Kto to może być? O co chodzi?" Potem, w przyplwywie nagłego, nieokreślonego strachu, iż może obcy ma coś wspólnego ze zmianą, jaka zaszła u ojca, popędziła jak strzała na górę. Przed drzwiami zatrzymała się, zdjęła budkę i weszła na palcach. Było tu cicho. Ojciec leżał nieruchomo, nieświadom niczego; oczy miał zamknięte, jak wówczas, gdy wyjeżdżała. W pokoju była służąca, lecz matki nie zastali.

- Gdzie mamusia? - szepnęła Madzia. Służąca nie wiedziała. Dziewczynka wyszła z pokoju.

- Tatuś leży spokojnie - powiedziała do Tomka. - Chodźmy poszukać matki. Nie wiem, gdzie ona jest.

Młynarzowej nie było na dole ani w żadnej sypialni. Dzieciom pozostał jeszcze do przeszukania jeden pokój na górze, tak zwany składzik, w którym matka trzymała bieliznę i wszelkie cenne "najlepiej e rzeczy", które się rozpakowywało i znosiło na dół tylko od największego święta. Tomek, który szedł przodem, kiedy wracali korytarzem, otworzył drzwi i zawołał natychmiast: "Mamo!"

Pani Tulliver siedziała pomiędzy swymi nagromadzonymi skarbow. Jedna ze skrzyń z bielizną stała otwarta; srebrny dzbanek do herbaty wyjęty był z papierów, a najlepsza porcelana stała na

240 KSIĘGA TRZECIA

zamkniętej skrzyni z pościelą. Na półkach leżały rzędem łyżki, różny i warzających. Biedna kobieta siedziała potrząsając głową i płacząc gorzko nad znakiem "Elżbieta Dodson", wyhaftowanym w rogu jakiejś trzymanej na kolanach serwety.

Na głos Tomka upuściła płótna i porwała się na nogi.

- Och, mój synku, mój synku! - szlochała obejmując go za szyję. - Pomyśleć, że dożyliśmy tego dnia ... Jesteśmy zrujnowani! Wszystko nam wyprzedadzą! ... Pomyśl tylko, że też twój ojciec mógł się ze mną ożenić i do tego mnie doprowadzić! Nic już nie mamy ... Jak żebracy ... Pójdziemy do przytułku.

Ucałowała go, potem usiadła znowu, wzięła na kolana inny złożony obrus i uchyliwszy kawałek oglądała wzór, a dzieci tymczasem stały w niemej rozpaczy, a w głowach ich szumiały tylko dwa słowa: "żebracy" i "przytułek".

- I pomyśleć, że sama to wszystko przedłam - zaczęła znowu, podnosząc po kolei sztuki bielizny i oglądając je z przejęciem o tyle dziwniejszym i budzącym większą litość, że ta tęga, jasnowłosa kobieta zawsze była tak bierna i spokojna. Jeżeli irytowała się kiedy, to na bardzo krótko. - ... Job Haxey tkął je i przyniósł sam na plecach do domu, jeszcze pamiętam, jak stanął w drzwiach; ani mi wtedy było w głowie wychodzić za waszego ojca! A wzór sama wybrałam - i tak są pięknie wybielone! Poznaczyłam je, jak na świecie nie widziano - trzeba by ciąć płótno, żeby wypruć znaki, to specjalny ścieg. I wszystko ma być wyprzedane, pójdzie w obce ręce! ... Może je potną nożami i zniszczą jeszcze przed moją śmiercią! Nie dostaniesz nigdy ani jednego z nich, synku - mówiła spoglądając na Tomka oczyma pełnymi łez - a dla ciebie były przeznaczone. Chciałam, żebyś ty dostał wszystkie w ten wzór. Madzia mogła wziąć te w dużą kostkę

- one gorzej wyglądają, jak się na nich ustawi nakrycia ... Tomek był poruszony do żywego, ale w następnej już chwili

opanowała go złość. Twarz jego poczerwieniała, kiedy mówił:

- Ale czy wujostwo pozwoli na wyprzedz tych rzeczy, mamó? Czy oni o tym wiedzą? Przecież nie pozwolą na sprzedaż twojej bielizny stołowej. Czy posłałaś po nich?

ROZDZIAŁ II

241

- Tak, kiedy przyjechali egzekutorzy, wysłałam natychmiast Łukasza, i ciocia Pullet była już tutaj ... och, mój Boże, jak ona płakała, mówiła, że twój ojciec zhańbił moją rodzinę i teraz wszyscy w całym hrabstwie języki sobie na nas strzepią, i że kupi dla siebie te obrusy w cętki, bo ich zawsze miała za mało, i że nie pójdą w obce ręce, ale ona ma tyle obrusów w kostkę, więcej niż trzeba (w tym miejscu pani Tulliver zaczęła układać obrusy w skrzyni, wyglądając automatycznym ruchem fałdy). I wujaszek Glegg też był i powiedział, że trzeba co nieco wykupić, żebyśmy mieli na czym spać, ale dopiero musi pomówić z ciotką ... I zjeżdżają się wszyscy na naradę ... Aleja wiem, że nikt z nich nie weźmie mojej porcelany - dodała odwracając się ku filiżankom i spodkom - ... bo wszyscy krzywili na nią nosy, kiedy ją kupowałam; nie podobała im się ta mała złota gałązka, co tak leci przez wzór między kwiatami. Ale nikt z nich nie ma lepszej porcelany, nawet ciotka Pullet, a ja ją kupiłam za własne pieniądze, za oszczędności, co je zbierałam od szesnastego roku życia ... i ten srebrny dzbanek do herbaty też - twój ojciec za niego nie płacił. I pomyśleć, że się ożenił ze mną i do tego mnie przywiódł!

Pani Tulliver znowu wybuchnęła płaczem i przez chwilę szlochała z chusteczką przy oczach, wreszcie odłożyła ją i ciągnęła potępiającym tonem, wciąż jeszcze we łzach, jakby ją kto zmuszał do mówienia, nim zdoła się opanować:

- A powtarzałam mu przecież: "Rób, co chcesz, ale nie chodź po sądach". Co ja więcej mogłam uczynić? Musiałam siedzieć z założony- nii rękami i patrzeć, jak się trwoni moje pieniądze i to, co powinno

-rzejść na moje dzieci! Nigdy nie dostaniesz ani pensa, synku, nigdy, ale to nie twojej matki wina! ...

Wyciągnęła do Tomka rękę spoglądając na niego bezradnie

! Założnie dziecinnymi niebieskimi oczyma. Biedny chłopiec podszedł

1 ucałował ją, a ona przytuliła się do niego całym ciałem. Po raz

ierwszy w życiu Tomek poczuł żal do ojca. Wrodzona skłonność do

rzucania na kogoś winy nigdy jeszcze nie skierowała się przeciw ojcu,

o po prostu zwykł myśleć o nim dobrze, ponieważ był ojcem Tomka

ulhvera, teraz jednak, pod wpływem żalów matki, obrała inny

242 KSIĘGA TRZECIA

kierunek i z oburzeniem chłopca na Wakema zaczęło się mieszać inne jeszcze oburzenie. Może ojciec mógł zapobiec temu straszemu upadkowi i temu, że wszyscy strzępią sobie na nich języki i mówią o nich z pogardą. Nikt jednak nie będzie mówił długo z pogardą o Tomku Tulliver. Jego wrodzona siła i tężyzna zaczęły dawać o sobie znać pod wpływem niechęci do ciotek i świadomości, że musi się zachowywać jak mężczyzna i opiekun matki.

- Nie martw się, mamó - powiedział serdecznie. - Niedługo już będę mógł zarabiać. Dostanę jakąś posesję.

- Niech ci Bóg błogosławi, synku - pani Tulliver była trochę uspokojona. Potem, rozglądając się, dodała smutno: - Ale nie byłoby mi tak ciężko, gdybym mogła zatrzymać te rzeczy z moim nazwiskiem.

Madzia patrzyła na nich, a gniew w niej wzbierał. Niedomówienia

I zarzuty pod adresem jej ojca - ojca, który leży tam pogrążony w śmierci za życia - zmiotły całe jej współczucie dla łez o obrusy i porcelanę. Do gniewu za te pretensje doszła jeszcze egoistyczna wściekłość za to, że Tomek w milczącym porozumieniu z matką wykluczał siostrę z kręgu dotkniętych wspólnym nieszczęściem. Stałe lekceważenie ze strony matki było jej już niemal obojętne, ale każda, choćby bierna oznaka takiego lekceważenia ze strony Tomka bolała ją dotkliwie. Biedna Madzia z całą pewnością nie była ulepiona wyłącznie z wyzbytých egoizmu uczuć i wiele żądała dla siebie od tych, których kochała nade wszystko.

Wybuchnęła teraz wzburzonym, prawie gwałtownym tonem:

- Jak możesz tak mówić, mamusi! Jakbyś dbała tylko o to, na czym jest twoje nazwisko, a nie o to, na czym jest również nazwisko tatusia! Jak można przejmować się czymś innym niż ojcem! Tomku, ty powinieneś mnie poprzeć, nie powinieneś pozwalać na krytykowanie tatusia!

Madzia, zdławiona bólem i gniewem, wyszła z pokoju i zajęła stare miejsce na łóżku ojca. Serce jej rwało się ku niemu mocniej niż zwykle - na myśl, że ludzie będą go obwiniać. Madzia nienawidziła krytyki. Całe życie była krytykowana i nic jej z tego nie przyszło, oprócz napadów złości. Ojciec zawsze jej bronił i usprawiedliwiał ją, a serdecz-

ROZDZIAŁ III 243

ne wspomnienie tej czułości było w niej siłą, z której pomocą potrafiłaby dla niego wszystko znieść i zrobić.

Wybuch Madzi zdumiał Tomka. Tłumaczyć jemu i matce, co jest słuszne! Powinna zrozumieć, że nie czas na takie wyzywające zachowanie. Poszedł jednak zaraz do pokoju ojca, a widok, jaki tam ujrzał, wzruszył go do głębi i zmył wrażenia ostatniej godziny. Zobaczywszy, jak bardzo brat jest poruszony, Madzia podeszła do niego i objęła za szyję, kiedy usiadł przy łóżku - i tak dwoje dzieci zapomniało o wszystkim, z wyjątkiem tego, że mają jednego ojca i jeden smutek.

ROZDZIAŁ III

RADA RODZINNA

Następnego dnia o godzinie jedenastej ciotki i wujowie zebrali się na naradę. W dużej bawialni zapalono na kominku, a biedaczka młynarowa, w niejasnym przekonaniu, że to wielka okazja, coś takiego jak pogrzeb, odwinęła pompony od sznurków do dzwonek i rozpięła zasłony, układając je w piękne fałdy - potem zaś rozejrzała się wokół i smutnie potrząsając głową spoglądała na lśniące blaty i nogi stołowe, którym nawet siostra Pullet nie mogła zarzucić braku połysku.

Nie spodziewano się pana Deane - wyjechał gdzieś w interesach - pani Deane jednak zjawiła się punktualnie w zgrabnym, nowym gigu z budą, powożonym przez stangreta w liberii, co, zdaniem niektórych jej przyjaciółek w St. Ogg's, rzucało określone światło na ewne cechy charakteru tej damy. Pan Deane równie szybko szedł

w górę jak pan Tulliver w dół; w domu pani Deane bielizna i zastawa stołowa Dodsonów zaczynały teraz zajmować niższe miejsce, pozycję podrzędną w stosunku do ładniejszych rzeczy, zakupionych w ostatnich latach. Zmiana ta wywołała chwilowe ochłodzenie siostrzanych stosunków z panią Glegg; ta ostatnia uważała, że Zuzia zaczyna

244 KSIĘGA TRZECIA

postępować "jak i reszta" i wkrótce duch Dodsonów zaginie u wszystkich z wyjątkiem jej i, da Bóg, bratanków noszących nazwisko Dodson w dalekim Wolds. Mniej się, oczywiście, dostrzega wad u ludzi, którzy znajdują się w pewnej odległości, niż u tych, których mamy bezpośrednio na oczach; zbyteczne wydają się dociekania, dlatego Homer nazywa Etiopów "nieskazitelnymi", jeśli weźmie się pod uwagę odległe położenie geograficzne Etiopii oraz fakt, jak mało Grecy mieli z nimi wspólnego.

Pani Deane przyjechała pierwsza. Kiedy zasiadła w dużej ba wialni, pani Tulliver wyszła do niej, a ładną jej twarz wykrzywił grymas, niemal jakby przedtem płakała. Młynarzowa nie była kobietą skłoną do łez, chyba w momentach, kiedy możliwość utraty mebli rysowała się specjalnie wyraźnie; uważała jednak, że całkowity spokój nie przystoi w dzisiejszych okolicznościach.

- Och, cóż to za świat, moja droga! - zawołała wchodząc. - Co za nieszczęście! Mój Boże! Pani Deane, kobieta o wąskich wargach, wygłaszała przy specjalnych okazjach krótkie, dobrze przemyślane mowy, które później powtarzała mężowi pytając, czy nie sądzi, że były bardzo stosowne.

- Tak, Bessy - powiedziała z rozmysłem - świat nasz jest zmienny i nie wiemy dzisiaj, co się może stać jutro. Ale trzeba być przygotowanym na wszystko i jeżeli nieszczęście jest nam zesłane, pamiętajmy, że nie zostało zesłane bez przyczyny. Bardzo ci współczuję jako twoja siostra i jeżeli doktor zapisze twemu mężowi galaretkę, mam nadzieję, że mnie o tym powiadomisz; przyślę ją chętnie. Słuszne jest, żeby w czasie choroby był odpowiednio dogładany.

- Dziękuję, Zuziu - odparła pani Tulliver nieco słabym głosem, zdejmując rękę z chudej dłoni siostry. - Jak dotąd nie było jeszcze mowy o galaretkie. - A po chwili dodała: - Na górze mam tuzin rżniętych słoików do galaretki ... nigdy już więcej nie będę jej do nich wlewała!

Kiedy wymawiała ostatnie słowa, głos jej jakby się trochę załamał, lecz w tej chwili uwagę młynarzowej zwrócił turkot kół. Przyjechali państwo Glegg, a zaraz za nimi państwo Pullet.

ROZDZIAŁ III

245

Pani Pullet weszła zapłakana, co zawsze było jej metodą zwiezłego wyrażania poglądów na życie, a co, w tym szczególnym wypadku, wyrażało pogląd na konkretną sprawę.

Pani Glegg miała na sobie najściślej skręcone loczki i suknię, która sprawiała wrażenie zmartwychwstałej niedawno z niezwykle ciasnej trumny; strój ten został wybrany z najmoralniej szych pobudek i chęci wpojenia w Bessy i dzieci uczucia głębokiej pokory.

- Pani G., może usiądziesz bliżej kominka?- zapytał jej mąż, nie chcąc zajmować wygodniejszego miejsca, nie zaproponowawszy go wprzódki żonie.

- Widzisz przecież, że już tutaj usiadłam, mój drogi - odparła ta niezwykła dama. - Możesz się sam smażyć przy kominku, jeśli masz ochotę.

- Jak chcesz - odparł pan Glegg dobroduszenie, siadając. - A jak się ma ten biedak na górze?

- Doktor Turnbull znalazł go dziś rano o wiele lepiej - odparła młynarzowa. - Był jakby przytomniejszy i mówił do mnie; ale dotąd nie poznał Tomka - patrzy na chłopca, jakby to był obcy, chociaż powiedział coś raz o Tomku i o kucyku. Doktor powiada, że pamięć mu się bardzo cofnęła i nie poznaje Tomka, bo myśli o nim jak o malcu. Och, Boże, Boże!

- Pewno woda dostała mu się do mózgu - oświadczyła ciotka Pullet odwracając się, bo właśnie z melancholijną miną poprawiała czepeczek przed stojącym lustrem. - Dobrze jeśli jeszcze kiedy wstanie, a nawet jeśli wstanie, to na pewno będzie tak zdziecinniały, jak ten biedak, pan Carr. Karmili go łyżką, jakby miał

rzy lata. Nie mógł ruszyć ręką ani nogą - ale jemu to kupili fotel na kołkach i wzięli kogoś, kto go woził, a na to nie będzie cię stać, moja Bessy.

- Siostró - odpowiedziała pani Glegg surowo - o ile wiem, zebraliśmy się tutaj dziś rano, żeby się naradzić, jak postąpić wobec tej nanby, co spadła na rodzinę, a nie gadać o obcym człowieku, który nie jest jednym z nas. Pan Carr nie należał do naszej rodziny ani też nie był z nami w żaden sposób spowinowacony, o ile dobrze pamiętam.

246 KSIĘGA TRZECIA

- Janko - odparła pani Pullet prosząco, naciągając znowu rękawiczki i z podnieceniem wygładzając je na palcach - jeśli chcesz powiedzieć coś niemiłego o panu Carr, to proszę cię, nie mów tego w mojej obecności. Ja wiem, jaki on był - dodała z westchnieniem.

- Miał taki krótki oddech, że z trzeciego pokoju mogłaś go słyszeć.

- Zosiu! - z oburzeniem i niesmakiem zawołała pani Glegg.

- Wciąż mówisz o ludzkich dolegliwościach! To nieprzyzwoite!³ Powtarzam jeszcze raz to, co powiedziałam przed chwilą, że nie przyjechałam tu, żeby rozprawiać, czy znajomi mają krótki oddech, czy długi! Jeżeli nie zebraliśmy się tu wszyscy po to, żeby wysłuchać, co każdy robi, by uchronić siostrę i jej dzieci od łaski parafii, to ja wracam. Trzeba się za to wspólnie zabrać. Chyba nie przypuszczacie, że ja zrobię wszystko?

- Ale, Janko - odparła pani Pullet - wcale nie widzę, żebyś ty się tak pchała z tym robieniem. O ile wiem, jesteś tu pierwszy raz, odkąd wiadomo, że egzekutor przyjechał do domu; a ja byłam tu wczoraj, żeby spojrzeć na bieliznę i tuzet Bessy, i powiedziałam jej, że kupię ten komplet w cętki. Nie mogłam powiedzieć więcej, bo jeśli idzie

o dzbanek do herbaty, którego ona nie chce wydać z rodziny, to chyba każdy zrozumie, że nic mi po dwóch srebrnych dzbankach, nawet gdyby on nie miał prostego dzióbka - ale ten adamaszek w cętki zawsze bardzo lubiałam.

- Żeby można było tak zrobić, żeby mój dzbanek od herbaty

1 porcelana, i najlepsze solniczki, i pieprzniczki nie poszły na sprzedaż

- odezwała się błagalnym głosem biedna młynarzowa. - I szczypcę do cukru, pierwsze rzeczy, jakie kupiłam.

- Widzi szwagierka, temu się nie da zaradzić - tłumaczył pan Glegg. - Jeśli ktoś z rodziny będzie je chciał kupić, to może, ale każda rzecz musi iść pod młotek.

³ Powszechna była już wówczas w Anglii praktyka zachowywania milczenia na temat ludzkich dolegliwości i unikania opisów objawów fizjologicznych- W epoce wiktoriańskiej fizjologia była tematem

zakazanym w rozmowach, choroby zaś były zbyt bliską jej dziedziną.

ROZDZIAŁ III

247

- I trudno się spodziewać- dodał wuj Pullet z niezwykłą u niego niezależnością myśli - żeby rodzina szwagierki miała zapłacić za rzeczy więcej, niż to, co inni będą chcieli dać. Na licytacji wszystko może pójść za psi grosz.

- Och, Boże, Boże! - zawołała młynarzowa. - Pomyśleć tylko, że tak sprzedadzą moją porcelanę, a kupiłam ją już po ślubie, tak jak i wy waszą, Janko i Zosiu, i wiem, że nie lubiłyście mojej przez tę gałązkę, ale dla mnie ona była taka ładna; i ani jedna sztuka nie jest stłuczona, bo sama zawsze zmywałam, a na filiżankach są tulipaniki - i róże - przyjemność popatrzeć. Żadna z was by nie chciała, żeby jej porcelana poszła za psi grosz i żeby ją inni tłukli, chociaż twoja jest taka bezbarwna, Janko - biała i poślóbiona, a kosztowała dużo mniej

niż moja. I pieprzniczki - wiesz, Zuziu, ty na pewno chciałabyś je mieć, słyszałam, jak kiedyś mówiłaś, że ci się podobają.

- Nie mam nic przeciwko temu, żeby kupić trochę najlepszych rzeczy - odparła pani Deane nieco wyniośle. - Dodatkowe rzeczy zawsze się przydadzą w naszym domu.

- Najlepsze rzeczy! - wykrzyknęła pani Glegg tonem, który rozsadzała surowość nagromadzona przez długie milczenie. - Cierpliwość mnie opuszcza, jak słyszę, że mówicie tu o najlepszych rzeczach,

O kupowaniu tego i tamtego, o srebrze i porcelanie. Musisz wreszcie zrozumieć, Bessy, i nie myśleć o srebrze i porcelanie, ale o tym, czy dostaniesz choćby łóżko z materacem, żebyś się miała na czym położyć, kołdrę do przykrycia i stołek, żebyś miała na czym siedzieć.

I musisz pamiętać, że jeśli je dostaniesz, to tylko dlatego, że twoi bliscy ci je kupili, bo od nich zależy we wszystkim; twój mąż jest chory, niezdalny do niczego, i nie ma złamanego szełęga przy duszy. Mówię

tylko dla twojego dobra, bo powinnaś zrozumieć, na co zesłał i jaką hańbę twój mąż ściągnął na naszą rodzinę; musisz teraz o każdą rzecz prosić i być pokornego serca.

Pani Glegg przerwała, bo występowanie z taką werwą dla cudzego

3bra jest samo w sobie wyczerpujące. Pani Tulliver przywykła do dominacji siostry Janki w stosunkach rodzinnych; od najmłodszych lat

23 BN H/234 G. Eliot: Młyn nad Flossą

248 KSIĘGA TRZECIA

znosiła cierpliwie jarzmo nałożone jej przez starszą siostrę. Odezwała się więc teraz błagalnie:

- Przecież ja nikogo o nic nie proszę, Janko, tylko żeby kupili to, co im przypadnie do serca, takie rzeczy, które przyjemnie mieć w domu, żeby nie poszły w obce ręce na zmarnowanie. Nigdy nie prosiłam ani słowem, żeby mieli coś kupować dla mnie i moich dzieci, chociaż sama przedłam ten len, a kiedy się Tomek urodził, to zaraz na początku, jeszcze jak leżał w kołysce, myślałam, że wszystkie te rzeczy, co je kupiłam za własne pieniądze i tak koło nich chodziłam, że one będą dla niego. Ale ani słowem was nie prosiłam, żebyście na mnie wydawały swoje pieniądze. Nie wiem, co mój mąż robił dla swojej siostry, i pewno lepiej byłoby dzisiaj dla nas, gdyby jej nie pożyczał pieniędzy albo przynajmniej upomniał się potem o nie.

- No, no - łagodnie wtrącił pan Glegg - nie trzeba widzieć wszystkiego aż tak czarno. Co się stało, to się nie odstanie. Znajdziemy wszyscy jakiś sposób, żeby kupić szwagierce to, co potrzeba. Oczywiście, jak żona mówiła, muszą to być rzeczy zwykłe, codziennej potrzeby. Nie można myśleć o tym, co niekonieczne. Stół, kilka krzeseł, statki kuchenne, porządne łóżko i takie rzeczy. Co tam, sam jeszcze pamiętam dni, kiedy nie wiedziałem, czy będę spał na kupie worków, czy na podłodze. Trzymamy naokoło siebie dużo niepotrzebnych rzeczy tylko dlatego, że mamy pieniądze na zbyciu.

- Mój drogi - przerwała mu żona - może będziesz tak uprzejmy i pozwolisz mi mówić, zamiast wyjmować mi słowa z ust. Co to ja chciałam powiedzieć? Aha, Bessy, ładnie ci mówić, żeś nas nie prosiła o nic dla siebie. Pozwól mi powiedzieć, żeś nas powinna prosić. A skądże ty weźmiesz pieniądze na życie, jeśli ci twoja rodzina nie pomoże? Musiałabyś iść na łaskę parafii. Powinnaś o tym wiedzieć i pamiętać, a nas prosić pokornie, żebyśmy zrobili dla ciebie, co możemy, zamiast tu się puszyć i gadać, żeś nas nigdy o nic nie prosiła!

- Mówiła szwagierka o Mossach i o tym, co Tulliver dla nich robił- wtrącił wuj Pullet, który, jeśli szło o wyłożenie gotówki, stawał się nagle ogromnie pomysłowy. - Oni, zdaje się, blisko z wami żyją-

ROZDZIAŁ III

Powinni również, jak i my wszyscy, coś pomóc; a jeżeli Tulliver pożyczał im pieniądze, trzeba ich przymusić, żeby teraz oddali.

- A właśnie - przytaknęła pani Deane. - Sama o tym myślałam. Jak to się stało, że państwo Moss nie przyjechali spotkać się z nami? Powinni przecież tu być i zrobić, co do nich należy.
- Ach, Boże! - zawołała młynarzowa. - Ja ich wcale nie zawiadaniałam o chorobie mojego męża - oni mieszkają tak daleko, na samym krańcu Basset, i nigdy o niczym nie wiedzą, chyba że pan Moss pojedzie na targ. Nawet o nich nie pomyślałam! Ale może Madzia po nich posłała - ona tak zawsze lubiła ciotkę Moss.

- A dlaczego nie ma tu twoich dzieci, Bessy? - zapytała pani Pullet słysząc wzmiankę o Madzi. - Powinny wysłuchać, co ich ciotki i wujowie mają do powiedzenia. A Madzia - przecież to ja w połowie opłacam jej pensję, powinna więcej myśleć o cioci Pullet niż o cioci Moss. Mogę umrzeć nagle, zaraz po powrocie do domu. Nic nigdy nie wiadomo.

- Gdyby się postąpiło po mojemu - dodała pani Glegg - dzieci byłyby w tym pokoju od początku. Czas, żeby się dowiedziały, od kogo się mogą spodziewać pomocy, i czas, żeby im ktoś powiedział, czym teraz są i do jakiej doszły biedy, i wytłumaczył, co muszą cierpieć przez ojca.

- To pójdę po nie- zgodziła się z rezygnacją pani Tulliver. Była teraz zupełnie zmiażdżona, a o swoich skarbach w komórce myślała już tylko z najgłębszą rozpaczą.

Poszła na górę zawołać Madzie i Tomka, którzy siedzieli w pokoju ojca, i już miała wracać na dół, kiedy na widok drzwi prowadzących do składziku nowa myśl zaświtała jej w głowie.

Weszła do środka, a dzieciom kazała zejść na dół samym.

Kiedy brat z siostrą wchodzili do pokoju, ciotki i wujowie toczyli gorącą dysputę. Dzieci wchodziły niechętnie, z oporem; choć bowiem praktyczna przemyślność Tomka, pobudzona wczorajszymi przeżyciami, kazała mu przygotować projekt, który zamierzał przedstawić jednej z ciotek lub jednemu wujowi, chłopiec wcale nie był życzliwie obec nich usposobiony; bał się spotkania z nimi wszystkimi naraz,

23

KSIĘGA TRZECIA

250

tak jak obawiałby się dużej dozy jakiegoś skoncentrowanego lekarstwa, które można jako tako znieść w małych dawkach. Jeśli zaś chodzi

o Madzie, była tego ranka szczególnie przygnębiona; o trzeciej nad ranem zawołano ją do ojca, a że położyła się późno, ogarniało ją teraz dziwne, senne zmęczenie, które przychodzi zawsze po czuwaniu nad chorym podczas chłodnych godzin wczesnego świtania, kiedy to życie, rodzące się na zewnątrz, w świetle dziennym, wydaje się bez znaczenia, jest tylko krawędzią godzin spędzonych w mroczny pokoju. Wejście dzieci przerwało rozmowę. Odbyli melancholijną i milczącą ceremonię ściskania wszystkich rąk, po czym wujek Pullet, gdy Tomek zbliżył się do niego, zaczął:

- Właśnieśmy mówili, młodzieńcze, że przydałoby nam się twoje pióro i atrament. Pewno znakomicie piszesz po tak długich naukach, co?

- No, no - wtrącił wuj Glegg z łagodną naganą w głosie

- musimy teraz zobaczyć, co też dobrego przyszło z tych twoich nauk, w które twój ojciec włożył tyle pieniędzy.

Gdy się pieniądze i ziemię puściło, Wiedza zostaje najcenniejszą siłą.

Przyszedł czas, mój chłopcze, żeby sprawdzić, co dobrego przyniosła twoja edukacja.

Zobaczmy, czy potrafisz lepiej dać sobie radę niż ja, bo ja to tam żadnych szkół za sobą nie miałem i bez nich robiłem majątek. Tylko że ja na początku obywałem się byle czym, starczała mi miska kaszy i skórka chleba z kawałkiem sera. A to będzie dla ciebie trudniejsze, młodzieńcze, boś przyzwyczał się do dobrego życia

1 dobrych szkół.

- Musi się do tego wziąć - przerwała ciotka Glegg energicznie

- czy to dla niego trudne, czy nie. Nie potrzebuje się zastanawiać, co jest trudne, tylko musi dobrze zrozumieć, że rodzina nie będzie płacić za jego lenistwo i luksusy; musi wypić piwo, które mu ojciec nawarzył, i pogodzić się z biedą i ciężką pracą. I musi być pokorny, i wdzięczny ciotkom i wujom za to, co robią dla jego rodziców, którzy zostaliby wyrzuceni na ulicę i musieli iść do przytułku, gdyby im rodzina nie

ROZDZIAŁ III

251

pomogła. Tak samo jego siostra - dodała pani Glegg spoglądając surowo na Madzie, która usiadła na sofie koło ciotki Deane, przyciągnięta tam myślą, że przecież to matka Lucy - musi się ugiąć i być pokorna, i pracowita. Bo już nie będzie miała służących na wysługi - niech to sobie zapamięta. Musi pracować w domu i kochać, i szanować swoje ciocie, które tyle dla niej - zrobiły i oszczędzały pieniądze, żeby je później zapisać swoim siostrzeńcom i siostrzenicom.

Tomek wciąż stał przy stole pośrodku zebranych. Twarz poczerwieniała mu wyraźnie i wcale nie wyglądał na pokornego, ale chciał właśnie powiedzieć tonem pełnym szacunku coś, co sobie przedtem obmyślił, gdy drzwi się otwały i weszła młynarzowa.

Biedaczka niosła małą tacę, na której ustawiła swój srebrny dzbanek do herbaty, jedną filiżankę ze spodkiem, pieprzniczkę i solniczkę oraz szczypce do cukru.

- Zobacz - zwróciła się do pani Deane stawiając tacę na stole

- myślałam, że jak jeszcze raz spojrzysz na ten dzbanek - tak dawno go nie widziałas - to może bardziej ci się spodoba; świetnie parzy się w nim herbatę ... i jest do niego podstawka, i wszystko. Mogłabyś go używać na co dzień albo odłożyć dla Lucy, kiedy ona zajmie się gospodarstwem. Tak bardzo nie miałabym chęci, żeby go kupili "Pod Złotego Lwa" - łzy napływały do oczu biedaczki, a serce jej wzbierało tólem. - Mój dzbanek do herbaty, który kupiłam, jak wyszłam za mąż! I pomyśleć, że go porysują i będą stawiać przed podróżnymi obcymi, a na nim jest mój monogram, o, spójrzcie tutaj, E.D.

- i każdy go będzie oglądał!

Qj oj - ciotka Pullet z głębokim smutkiem potrząsnęła głową.

Straszne pomyśleć, że twoje panięskie inicjały będą chodzić po ludziach. Nigdy tego nie było w naszej rodzinie. Wielkie dotknęło cię szczęście, Bessy. Ale powiedz mi, co przyjdzie z kupowania Jbanka, jeśli zostają jeszcze obrusy i łyżki, i tyle rzeczy, które pójdą na ytacJC, a na wielu z nich jest całe twoje nazwisko ... i jeśli w dodatku on ma ten prosty dziobek?

, Hańby rodzinnej - wtrąciła ciotka Glegg - nie zmyje się uPowaniem dzbanków. Hańbą było, że jedna z rodziny wyszła za mąż

252 KSIĘGA TRZECIA

za człowieka, który ją przywiódł do nędzy. Hańbą, że mają ich wyprzedać. Nie możemy tego utrzymać w tajemnicy przed ludźmi.

Madzia porwała się z sofy słysząc te słowa o ojcu, ale Tomek spostrzegł jej ruch i zaczerwienione policzki w sam czas, by nie dopuścić jej do głosu.

- Spokój, Madziu - rzekł rozkazującym tonem odpychając ją na bok. Jak na piętnastoletniego chłopca, był to niepospolity dowód samoopanowania i zmysłu praktycznego, bo kiedy ciotka Glegg przestała mówić, on sam zaczął spokojnym i pełnym szacunku tonem, choć głos drżał mu lekko, gdyż słowa matki ogromnie go przejęły:

- Wobec tego, ciociu - tu spojrzął pani Glegg prosto w oczy - jeżeli uważa ciocia, że wyprzedaż u nas będzie hańbą dla rodziny, czy nie lepiej byłoby do niej nie dopuścić? I jeżeli ciocia i ciotka Pullet - tu spojrzął na tę drugą - myślą zostawić w zapisie jakieś pieniądze mnie i Madzi, to czy nie lepiej dać je teraz i spłacić dług, za który zostaniemy wyprzedani, i oszczędzić matce rozstania z jej rzeczami?

Przez kilka chwil panowała cisza, bo wszyscy, nie wyłączając Madzi, zdumieni byli nagłą męskością tonu chłopca. Pierwszy odezwał się wujek Glegg:

- No, no, młodzieńcze! Pokazuje się, że już coś niecoś pojmujesz. Ale musisz pamiętać o procencie. Twoje ciotki dostają od swoich kapitałów pięć procent, które tracą, jeśli ci dadzą pieniądze z góry. O tym nie pomyślałeś.

- Mógłbym pracować i spłacać to co roku - odparł szybko Tomek. - Zrobiłbym wszystko, żeby oszczędzić matce rozstania z jej rzeczami.

- Brawo! - zawołał wujek Glegg z podziwem. Bardziej to było basowanie Tomkowi niż uznanie realności jego propozycji. Miał jednak nieszczęście spowodować tym irytację żony. Jak na piętnastoletniego chłopca - informacja niezgodna z wcześniejszym stwierdzeniem narratora (ks. II, początek rozdz. VII), że chłopiec "skończył szesnasty rok życia".

ROZDZIAŁ III

253

- Tak, mój drogi - rzekła z gniewnym sarkazmem. - Jakie to przyjemne zajęcie wydawać moje pieniądze, te, co to udawałeś, że mi je zostawiasz do dyspozycji. I to moje pieniądze, od mojego własnego ojca, a nie twoje. Oszczędzałam je, dokładałam do nich sama i prawie co rok odkładałam więcej! I te pieniądze mają iść na cudze meble i zachęcać do ekstrawagancji i życia w luksusie ludzi, którzy nie mają z czego żyć? I mam zmienić testament czy też zrobić kodycył i zostawić po śmierci dwieście czy trzysta funtów mniej? Ja, co zawsze postępowałam słusznie i rozsądnie - najstarsza w rodzinie? Mam strwonić moje pieniądze? Mam je zmarnotrawić na tych, co mieli takie same możliwości jak ja, tylko byli szaleni i rozrzutni! Ty, siostrze - zwróciła się do pani Pullet - ty możesz robić, co chcesz, możesz pozwalać, żeby cię mąż rabował z pieniędzy, które ci raz dał, ale nie ja!

- A cóż to za gorączka, Janko! - zaniepokoiła się pani Pullet. - Krew ci na pewno poszła do głowy i trzeba ci będzie stawiać bańki. Bardzo mi żal Bessy i jej dzieci, ciągle myślę o nich w te okropne noce, bo bardzo źle sypiam po ostatnim lekarstwie; ale jeżeli ty nie wyjdiesz mi na pół drogi, to nie mam po co myśleć, jak im pomóc.

- Trzeba się jeszcze nad jednym zastanowić - rzekł pan Glegg. - Nie ma po co spłacać tego długu i zatrzymywać mebli, kiedy pozostają długi sądowe, które zabiorą wszystko, co się dostanie za ziemię i inwentarz, do ostatniego szylinga, i jeszcze to nie starczy. Tak mi powiedział adwokat Gore. Musimy zachować nasze pieniądze, żeby utrzymać tego biedaka, który nie może jeszcze ani jeść, ani pić, i nie wydawać je na meble. Taka jesteś szybka, Janko, jakbym nie wiedział, co jest rozsądne, a co nie.

No, to mów rozsądnie - odparła żona powoli, głośno obitnie, pochylając znacząco ku niemu głowę.

Podczas tej rozmowy mina wydłużyła się Tomkowi, a wargi zaczęły mu drżeć; postanowił jednak, że się nie załamie. Będzie się

ioowywał jak mężczyzna. Madzia, przeciwnie, po chwilowym nwyecie nad mową brata, przeszła w nastrój wrzącego oburzenia.

atka stała tuż przy boku Tomka; od chwili gdy zaczął mówić,

254 KSIĘGA TRZECIA

przywarła do jego ramienia. Madzia porwała się nagle i wysunęła przed nich z oczyma błyszczącymi jak u młodej lwicy.

- Więc po coście tu przyszli! - wybuchnęła. - Po co tu gadacie, wtrącacie się w nasze sprawy i urągacie nam, jeśli wcale nie chcecie pomóc mojej biednej matce! Waszej rodzonej siostrze! Nie macie serca dla niej, kiedy znalazła się w biedzie. Nic nie chcecie poświęcić, żeby zmniejszyć jej ból, chociaż na pewno nie pożałowalibyście tego nigdy! Jeśli tak, to zostawcie nas w spokoju i nie przychodźcie tu wytykać błędów mojego tatusia! On był lepszy niż wy wszyscy ... on był dobry ... on by wam pomógł, gdybyście się znaleźli w nieszczęściu! Tomek

i ja nie chcemy waszych pieniędzy, nigdy ich nie weźmiemy, jeśli wy nie chcecie pomóc naszej matce! Wolimy ich nie brać, obejdziemy się bez was!

Rzuciwszy to wyzwanie ciotkom i wujom, Madzia stanęła w milczeniu, a jej wielkie ciemne oczy patrzyły na nich wyzywająco, jakby dziewczynka gotowa była ponieść wszelkie konsekwencje.

Pani Tulliver skamieniała z przerażenia - w tym szalonym wybuchu było coś groźnego - nie wiedziała, jak po takich słowach życie może się toczyć dalej. Tomek był zły: co przyjdzie z podobnego gadania? Ciotki na chwilę zaniemówiły ze zdumienia. Wreszcie wydało im się, że wobec tak niesłychanego szaleństwa właściwszy będzie komentarz niż jakakolwiek odpowiedź.

- Nie będziesz miała końca kłopotów z tym dzieckiem, Bessy - zaczęła pani Pullet. - Jeśli chodzi o śmiałość i niewdzięczność, to ona bije wszystkich. To straszne. Lepiej, żebym nie była płaciła za to jej uczenie, bo jest gorsza niż przedtem.

- To właśnie zawsze mówiłam - dodała pani Glegg. - Innych może ona zdziwiła, ale nie mnie. Powtarzałam i powtarzani już od lat. Pamiętajcie moje słowa: z tego dziecka nic dobrego nie wyrośnie, nie ma w niej nic z naszej rodziny. A jeśli idzie o jej wykształcenie, to ja nigdy o nim dobrze nie myślałam. Miałam powody, kiedy mówiłam, że ja ani pensa na to nie dam.

- No - odezwał się pan Glegg - nie marnujmy już więcej czasu na gadanie, tylko zabierzmy się do sprawy. Tomek, weź no pióro i atrament ...

ROZDZIAŁ III

255

Podczas gdy pan Glegg mówił, za oknem ukazała się wysoka ciemna postać spiesząca ku drzwiom.

- O, to pani Moss - rzekła pani Tulliver. - Więc jednak zła wiadomość musiała do niej dotrzeć. - Z tymi słowy poszła otworzyć drzwi, a Madzia ochoczo pospieszyła za nią.

- Szczęśliwie się składa - oświadczyła pani Glegg. - Może się dołączyć do listy rzeczy, które trzeba kupić. Powinna dołożyć swoje, boć przecież to jej rodzony brat.

Pani Moss zbyt była wzburzona, by opierać się młynarzowej, kiedy ta wciągnęła ją do bawialni automatycznie, nie zastanawiając się, że wprowadzenie biedaczki pomiędzy tyle osób w pierwszym bolesnym momencie po przyjeździe nie będzie dla niej miłe. Wysoka, zniszczona, ciemnowłosa kobieta stanowiła wyraźny kontrast z siostrami Dodson, kiedy tak weszła w skromnej sukni, w szalu i czepeczku włożonym w pośpiechu i niedbale, z nieprzytomnym wyrazem w oczach, jak człowiek, który głęboko cierpi. Madzia przywarła do ramienia ciotki i zdawało się, że pani Moss nie zauważa nikogo prócz niej i Tomka - podeszła i ujęła jego rękę.

- Dzieci moje kochane - wybuchnęła - nie możecie o mnie dobrze myśleć. Niedobra ze mnie ciotka, co wszystko bierze, a nic nie daje. Jak się czuje mój biedny brat?

- Doktor Turnbull mówi, że idzie ku lepszemu - odparła Madzia. - Siądź tutaj, ciociu Gritty, i nie martw się.

- Och, dziecko drogie, czuję się, jakby mnie rozdierali na dwoje - pani Moss pozwoliła Madzi podprowadzić się do sofy, lecz zdawało się, że ciągle nie zauważa obecności pozostałych. - Mamy trzysta funtów mego brata, a on ich potrzebuje i wy wszyscy potrzebujecie, biedaki, ale musielibyśmy wszystko wyprzedać ... i te moje nieszczęsne dzieci! ... Ośmioro ich jest, a najmłodsze to jeszcze i mówić dobrze nie wnie! Czuję się jak złodziej! Ale naprawdę, do głowy mi nie przyszło, że mój brat ...

Łzy nie pozwoliły mówić dalej biedaczce.

Trzysta funtów! O, Boże! O, Boże! - zawołała pani Tulliver, ra mówiąc, że jej mąż robił "jakieś rzeczy" dla swojej siostry, nie

KSIĘGA TRZECIA

256

miała na myśli żadnej konkretnej sumy i tylko, jak to żona, zła była za to, że jej w nic nie wtajemniczają.

- A cóż to za szaleństwo! - wykrzyknęła pani Glegg. - Człowiek obarczony rodziną! Nie miał prawa pożyczać swoich pieniędzy! I to na pewno, gdybyśmy rzecz sprawdzili - bez zabezpieczenia.

Głos pani Glegg zwrócił uwagę pani Moss. Podniósłszy wzrok odparła:

- Tak, było zabezpieczenie, mąż dał na to dokument. Żadne z nas nie myślało okradać dzieci mego brata. My nie tacy! I chcieliśmy oddać pieniądze, kiedy tylko będzie nam trochę lżej.

- Tak, ale teraz- wtrącił łagodnie pan Glegg - czy pani mąż nie ma żadnego sposobu, żeby zdobyć pieniądze? Widzi pani, to byłby majątek prawie dla tych ludzi, może mogłoby się obejść bez bankructwa Tullivera⁵. Mąż pani ma bydło, chyba słuszne jest, żeby je na ten cel sprzedał. Nie mówię, żeby mi nie było pani żal, pani Moss.

- Och, proszę pana, nie wie pan, jak mojemu się nie wiedzie z bydłem. U nas na farmie brak bydła, ciągle go za mało, jak dawno nie było ... I sprzedaliśmy całą pszenicę, i zalegamy z czynszem ... ale chcielibyśmy zrobić, co się należy, i ja pracowałabym po nocach, jeśliby co z tego przyszło ... ale te moje biedne dzieci! ... czworo to jeszcze takie maleństwa! ...

- Nie płacz, ciociu, nie martw się - szeptała Madzia trzymając ją za rękę.

- Czy mój mąż dał wam te pieniądze za jednym razem?- zapytała młynarzowa wciąż pograżona w rozważaniach nad tym, co się tu działo bez jej wiedzy.

⁵ mogłoby się obejść bez bankructwa - technicznie bankructwo oznaczało ogłoszoną sądownie upadłość z równoczesnym stwierdzeniem częściowej lub całkowitej niewypłacalności firmy. Gdy majątek człowieka zmuszonego sądownie do spłaty należności wystarczał na ich pokrycie, nie był on bankrutem, nawet jeśli tracił środki produkcji, przy pomocy których dotąd zarabiał na utrzymanie - młyn, fabrykę, ziemię itp. Tu to drugie rozwiązanie równające się wyjściu na zero, uważane jest za honorowe.

ROZDZIAŁ III

257

- Nie, w dwóch ratach - odparła pani Moss wycierając oczy i czyniąc wysiłki, by powstrzymać łzy. - Ostatni raz to było po mojej chorobie, takiej ciężkiej, cztery lata temu, kiedy wszystko nam tak źle poszło. Wtedy mąż wystawił nowy papier. Z tymi moimi chorobami i wiecznym pechem, zawsze byłam innym kamieniem u szyi.

- Tak, pani Moss - odezwała się pani Glegg zdecydowanym tonem. - Rodzina pani nie ma szczęścia, tym więcej należy żałować mojej siostry.

- Ruszyłam wozem zaraz, jak usłyszałam, co się stało - odparła pani Moss spoglądając na panią Tulliver. - Nigdy bym tak długo nie zwlekała, gdybyście mnie zawiadomili. I wcale nie myślę o sobie zamiast o moim bracie, ale mi te pieniądze tak siedziały w głowie, że musiałam o nich powiedzieć. I ja, i mój mąż chcemy postąpić jak należy, proszę pana - dodała spoglądając na pana Glegg. - Znajdziemy jakiś sposób i spłacimy nasz dług, niech się co chce dzieje, jeżeli to jest wszystko, na co mój brat może teraz liczyć. Kłopoty to dla nas chleb powszedni i nie spodziewamy się niczego innego. Tylko na myśl

o dzieciach czuję, jakby mnie coś rozdzierało.

- Trzeba pomyśleć i o tym, moja pani - mówił pan Glegg - o czym muszę panią ostrzec, mianowicie: jeżeli Tullivera ogłoszą bankrutem, a on ma u siebie weksel pani męża na trzysta funtów, to

i tak będzie pani musiała zwrócić te pieniądze. Syndycy⁶ upomną się o to u pani.

- Mój Boże, mój Boże - jęczała młynarzowa myśląc o bankrucie, a nie o pani Moss i jej związku ze sprawą. Biedna pani Moss

słuchała drżąca i pokorna, a Madzia ze zdumieniem i rozpalą spoglądała na Tomka, chcąc sprawdzić, czy przynajmniej rat rozumie nowe nieszczęście i czy się martwi o biedną ciocię Moss. Tomek sprawiał wrażenie zamyślonego tylko; wpatrywał się w obrus.

n"Jyyk - zarządca majątku niewypłacalnego dłużnika, upłynniający pod ozorem sądu masę majątku i zaspokajający wierzycieli w zakresie, na jaki Pozwalają wpływające sumy.

258 KSIĘGA TRZECIA

- A jeśli nie ogłoszą bankructwa - ciągnął pan Glegg - to, jak powiedziałem, trzysta funtów będzie dla niego, biedaka, sporym majątkiem. Nie mamy jeszcze pewności, ale jeżeli podniesie się kiedykolwiek z pościeli, to może być częściowo bezwładny. Bardzo mi przykro, że to dla pani taka trudność, ale, moim zdaniem, patrząc na sprawę z jednej strony, słusznie pani robi, zbierając pieniądze, a patrząc z innej - i tak będzie pani musiała je zapłacić. Niech pani

O mnie źle nie myśli za to, że mówię prawdę.

- Wujku - Tomek przerwał nagle swoje rozmyślenia nad obrusem. - Wydaje mi się, że to nie będzie w porządku, jeśli ciocia Moss odda pieniądze wbrew woli ojca, prawda?

Przez chwilę pan Glegg miał bardzo zdumioną minę, potem rzekł:

- Cóż, chyba nie, Tomku, ale wtedy musiałby zniszczyć weksel, rozumiesz? Trzeba poszukać weksła. Dlaczego myślisz, że to byłoby przeciwne woli ojca?

- Pamiętam - Tomek zaczerwienił się, lecz usiłował mówić pewnie, mimo dzieciennego drżenia w głosie - pamiętam dobrze, że jednego wieczoru, nim jeszcze poszedłem do pana Stellinga, ojciec powiedział mi, kiedy siedzieliśmy razem przy kominku, a nikogo prócz nas nie było w pokoju ...

Tomek zawahał się chwilę, po czym ciągnął dalej:

- Powiedział mi coś o Madzi, a potem dodał: Zawsze byłem dobry dla mojej siostry, chociaż wyszła za męża wbrew mojej woli.

I pożyczyłem Mossowi pieniądze, ale nigdy nie będę go nękał żądając zwrotu, wolę raczej stracić te pieniądze. Moje dzieci nie powinny się martwić, że będą przez to biedniejsze". A teraz, kiedy ojciec jest chory i nie może powiedzieć, co myśli - ja nie chciałbym zrobić niczego, co byłoby sprzeczne z jego wolą.

- No dobrze, chłopcze - odparł wujaszek Glegg, bo jego poczciwe serce skłaniało się ku życzeniu Tomka, lecz jednocześnie nie potrafił tak szybko wyzbyć się wrodzonego wstrętu do podobnych szaleństw, jak niszczenie gwarancji lub też wyrzucanie czegoś, co mogłoby tak istotnie zmienić czyjąś sytuację majątkową - ale musielibyśmy zniszczyć weksel, rozumiesz, żeby się ustrzec

ROZDZIAŁ III

259

przed tym, co się może stać, jeżeli twojego ojca ogłoszoną bankrutem ...

- Mój drogi - przerwała mu ostro żona - zastanów się, co ty mówisz. Ogromnie się angażujesz w cudze sprawy. Jeśli powiesz coś zbyt pochopnie, pamiętaj, że to nie moja wina.

- Nigdy w życiu o czymś podobnym nie słyszałem - stwierdził wujaszek Pullet, spieszenie łykając pastylkę, by w ten sposób dać wyraz swemu zdumieniu. - Niszczyć weksel! Wydaje mi się, że każdy mógłby nasłać za to na nas policję.

- No dobrze - zaczęła młynarzowa - ale jeżeli weksel wart jest tyle pieniędzy, to dlaczego nie możemy go sprzedać i uratować moich rzeczy? Nie powinniśmy mieszać się do sprawy wujostwa Moss, Tomku, jeżeli przypuszczasz, że tatuś będzie się na nas gniewał, jak przyjdzie do zdrowia.

Pani Tulliver, która nigdy nie zajmowała się zagadnieniami rozliczeń finansowych, teraz wyteżęła umysł, chcąc znaleźć jakieś oryginalne rozwiązanie.

- Co też tam! Wy, kobiety, nie rozumiecie się na tych sprawach - mówił wujaszek Glegg. - Nie ma innego sposobu na zabezpieczenie sprawy państwa Moss, jak zniszczenie weksła.

- Wobec tego ufam, że wujek mi w tym pomoże - rzekł Tomek poważnie. - Jeśli ojciec nie wydobrzeje, byłoby mi ogromnie przykro na myśl, że coś się stało nie podług jego woli, choć

mogłem temu zapobiec. A wiem na pewno, że chciał, bym zapamiętał, co mi mówił tamtego wieczora. Muszę postępować według woli ojca w sprawach Jego majątku.

Nawet pani Glegg nie mogła się powstrzymać i nie pochwalić chłopca. Czowała, że przemawia przez niego z pewnością krew Dodso- ow, chociaż, gdyby jego ojciec był Dodsonem, nigdy by się tak

lenczo nie wyzbywał pieniędzy. Madzia rzuciłaby się z pewnością

ikowi na szyję, gdyby nie przeszkodziła jej w tym pani Moss, która stała i ujawszy chłopca za rękę powiedziała łamiącym się głosem: - Nigdy nie zbiedniejesz przez to, chłopcze kochany, jeżeli jest

na niebie. A jeśli twojemu ojcu potrzebne będą te pieniądze, to ja

KSIĘGA TRZECIA

260

i Moss spłacimy je tak, jakbyście mieli zabezpieczenie. Postąpimy tak, jak z nami postąpiono. Bo jeśli moje dzieci nie mają szczęścia w życiu, to mają przynajmniej uczciwych rodziców.

- Myślę - zaczął pan Glegg, który po słowach Tomka pograżył się w rozważaniach - że nawet założywszy, iż twój ojciec zbankrutował, nie postępujemy nieuczciwie wobec wierzycieli.

Przemyślałem sprawę gruntownie, bo sam byłem wierzycielem i widziałem niejedno oszustwo. Jeśli on chciał dać twoim wujostwu pieniądze, jeszcze nim się wpakował w tę przykrą historię sądową, to tak samo, jakby już wtedy sam zniszczył weksel - bo zdecydował się zubożyć o tę sumę. Ale jest jeszcze wiele innych rzeczy, które należy rozważyć, młodzieńcze - dodał spoglądając ostrzegawczo na Tomka - kiedy się zabierasz do spraw pieniężnych. Możesz zabierać jednemu człowiekowi obiad, żeby drugiemu dać śniadanie.

Tego pewno nie rozumiesz?

- Owszem, rozumiem - odparł Tomek stanowczo. - Wiem, że jeżeli jestem winien pieniądze jednej osobie, to nie mam prawa dawać ich drugiej. Ale jeżeli mój ojciec postanowił dać cioci te pieniądze, nim jeszcze znalazł się w długach, to miał do tego prawo.

- Doskonale, młodzieńcze! Nie przypuszczałem, żeś taki bystry! - zawołał wujaszek Glegg szczerze. - Ale może twój ojciec rzeczywiście zniszczył weksel? Chodźmy zobaczyć, czy go nie znajdziemy w skrzyni.

- To w pokoju tatusia. Chodźmy i my, ciociu Gritty - szepnęła Madzia.

RODZI AŁ IV

NIKNĄCY PROMIENI

Nawet pomiędzy paroksyzmami zeszywnienia, które pojawiały się u młynarza co pewien czas, odkąd znaleziono go po upadku z konia, pan Tulliver leżał zwykle w stanie tak całkowitej apatii, że wchodzono

ROZDZIAŁ IV

261

i wychodzono z jego pokoju bez zachowywania specjalnych ostrożności. Tego ranka młynarz cały czas leżał spokojnie z zamkniętymi oczami, Madzia powiedziała więc ciotce, iż trudno się spodziewać, by ojciec zdał sobie sprawę z ich obecności.

Weszły bardzo cicho; pani Moss usiadła w głowach łóżka, a Madzia zajęła swoje zwykłe miejsca na pościeli i położyła dłoń na ręce ojca. Najmniejsza zmiana na twarzy chorego nie wskazywała, że zauważył przybyłe.

Pan Glegg i Tomek weszli również na palcach i zajęli się dobieraniem właściwego klucza od starej dębowej skrzyni z pęku kluczy, który Tomek wziął z biurka ojca. Udało im się otworzyć skrzynię - stała w nogach posłania młynarza - i uchyliwszy po cichu wieko, podeprzeć je żelazną wsporą.

- Patrz, jest cynowe pudełko - szepnął pan Glegg. - Najpewniej tam mógł schować taką małą rzecz jak weksel. Wyjmij je, Tomku, a ja wyciągnę jeszcze te dokumenty - to pewno są dowody własności domu i młyna - i zobaczę, co tam jest pod nimi.

Pan Glegg wyciągnął pergaminy i na szczęście cofnął się nieco, kiedy żelazna wspora wysunęła się i ciężkie wieko opadło z łoskotem, który głośnym echem odbił się po całym domu.

Może było w tym dźwięku coś więcej niż mocna wibracja i może to właśnie wywołało gwałtowną zmianę w stanie chorego i na pewien czas całkowicie strząsnęło z niego bezwład porażenia. Skrzynia należała do ojca pana Tullivera i do ojca jego ojca, a otwieranie jej było zawsze uroczystością. Wszystkie znane nam przedmioty, nawet zwykła zasuwa okienna czy specjalna klamka u drzwi, wydają dźwięki, które są dla ias znajomym głosem - głosem, który będzie przejmował dreszczem i budził nas, jeśli zwykły dotykać jakichś głęboko ukrytych strun, chwili, kiedy oczy wszystkich obecnych skierowały się ku choremu, ;n poderwał się na łóżku i spojrzał na skrzynię, na pergaminy w ręku tna Glegg, na Tomka, który trzymał w ręku cynową puszkę a spojrzenie miał zupełnie przytomne.

Co chcecie zrobić z tymi papierami? - zapytał zwykłym Olni tonem, ostrym i pytającym, co zawsze świadczyło o iry-

KSIĘGA TRZECIA

262

tacji. - Chodź no tutaj, Tomek. Co ty tam robisz? Czego szukasz w skrzyni?

Tomek posłuchał, niepewny i przejęty - ojciec poznawał go po raz pierwszy. Lecz młynarz, zamiast mówić dalej do syna, patrzył z rosnącą podejrzliwością na pana Glegg i dokumenty.

- Więc co się stało? - zapytał ostro. - Czego ruszacie moje papiery? Czy Wakem już wszystko zagarnia? ... Dlaczego nie mówicie, coście tu robili? - dodał niecierpliwie, kiedy pan Glegg, nim zaczął się tłumaczyć, podszedł do nóg posłania.

- Nic, przyjacielu - odparł pan Glegg uspokajająco. - Nikt jeszcze nic nie zagarnia.

Przyszliśmy tu tylko zobaczyć, co jest w skrzyni. Szwagier był chory i musieliśmy troszkę zająć się interesami szwagra. Ale miejmy nadzieję, że wkrótce szwagier wyzdrowieje i sam będzie wszystkiego doglądał.

Pan Tulliver rozejrzał się wokół w zamyśleniu - spojrzał na Tomka, na pana Glegg, na Madzie; wtem uświadomił sobie nagle, że ktoś siedzi przy jego wezgiłowiu - odwrócił się gwałtownie i zobaczył siostrę.

- O, Gritty - odezwał się nieco smutnym, serdecznym tonem, którym zwykły był do niej mówić. - Co, i ty tu jesteś? Jak też dałaś radę zostawić dzieci same?

- Och, braciszku! - zawołała pani Moss, zbyt impulsywna, by zważać na słowa. - Dziękuję Bogu, że tu przyszedłam i zobaczyłam, jak wróciłeś do przytomności. Myślałam, że już nigdy nikogo z nas nie poznasz!

- Co? Sparaliżowało mnie? - zapytał niespokojnie młynarz spoglądając na szwagra.

- Spadłeś z konia, przyjacielu, trochę cię to wstrząsnęło i tyle, po mojemu - odparł pan Glegg.

- Szybko z tego wyjdiesz, miejmy nadzieję.

Młynarz utkwiał wzrok w pościeli i przez kilka chwil milczał. Twarz jego przysłonił nowy cień. Spojrzał po raz pierwszy na Madzi? i cichszym już głosem powiedział: - Więc dostałaś mój list, dziewczuszko?

ROZDZIAŁ IV

263

- Tak, tatusiu - odparła całując go serdecznie. Miała niejasne wrażenie, że ojciec wrócił do niej z za grobu i że ona teraz dopiero może wypełnić swe najgorętsze pragnienie: okazać mu, jak bardzo go kocha.

- Gdzie matka? - zapytał tak pochłonięty myślami, że przyjmował jej pocałunki biernie, jak spokojne zwierzę.

- Mama jest na dole, z ciotkami, tatusiu. Czy mam ją sprowadzić?
- Tak, tak, biedna Bessy. - Oczy jego zwróciły się ku Tomkowi, gdy Madzia wyszła z pokoju.
- Musisz się nimi opiekować, jeśli umrę, chłopcze. Ciężko ci będzie, wiem. Ale musisz pilnować i spłacić wszystkich. I pamiętaj, włożyłem w interes pięćdziesiąt funtów Łukasza, dał mi je kiedyś i nie ma nawet dokumentu na dowód. Musisz jego spłacić przede wszystkim. Wujek Glegg bezwolnie potrząsnął głową i wyglądał na jeszcze bardziej przejętego. Tomek jednak powiedział mocnym głosem:
- Tak jest, tatusiu. A czy nie masz weksla na trzysta funtów wystawionego przez wujka Moss? Przyszliśmy po to właśnie. Co sobie życzysz w związku z tym, ojczu?
- Aaa, dobrze, żeś o tym pomyślał, synku. Nigdy nie chciałem naciskać o ten dług, bo mi chodziło o ciotkę. Nie martw się, że ci te pieniądze przepadną, jeśli oni nie mogą ich oddać - a myślę, że nie mogą. Weksel jest w tym pudełku, pamiętaj. Zawsze chciałem być ludzki dla ciebie, Gritty - zwrócił się do siostry - ale wiesz, takeś mnie zezłościła, kiedyś się pchała za tego Mossa.

W tej właśnie chwili wróciła Madzia z matką, ogromnie przejętą wiadomością, że mąż przyszedł do siebie.

- Bessy - odezwał się, gdy żona go całowała - przebacz mi, żeś zbiedniała ponad własne wyobrażenie. Ale to wina prawa, nie moja
dodał ze złością. - To wina łotrów. Tomek, zapamiętaj to sobie: jeżeli ci się kiedy nadarzy okazja, odpłacisz Wakemowi, Jak tego nie robisz, to jesteś nicpoń, a nie syn. Możesz go obić szpicrutą, ale on wtedy naśle na ciebie prawo - a prawo jest po to, żeby chronić łotrów. Pan Tulliver podniecał się coraz bardziej, a niepokojący rumieniec wypłynął mu na twarz. Pan Glegg chciał powiedzieć coś uspokajające-

24 BN H/234 G. Eliot: Młyn nad Flossą

KSIĘGA TRZECIA

264

go, lecz przeszkodził mu młynarz, który znowu zaczął mówić do żony. - Oni coś wymyślą, żeby wszystko zapłacić, Bessy, i zostawić ci twoje rzeczy; i siostry ci jakoś pomogą ... i Tomek dorośnie ... chociaż czym on ma być, tego nie wiem ... robiłem, co mogłem ... edukowałem go ... i dziewczuszka, ona wyjdzie za mąż ... ale co tam gadać ... Wyczerpał się leczniczy skutek mocnego dźwięku i przy ostatnich słowach biedny młynarz opadł znów na poduszki, sztywny i nieprzytomny. Choć był to powrót do poprzedniego stanu, wszyscy mieli wrażenie, że chory umarł; nie tylko dlatego, że ta sztywność tak kontrastowała z niedawnym powrotem do przytomności, lecz i dlatego, że to, co mówił, odnosiło się jakby do bliskiej śmierci. Ale nie dane było biedakowi zaznać szybkiego końca - miało to być powolne schodzenie między gęstniejące mroki.

Posłano po doktora Turnbulla. Kiedy dowiedział się, co zaszło, oświadczył, że ten przebłysk przytomności, mimo iż chwilowy, jest dobrą oznaką i dowodzi, że nie zaszły nieodwracalne zmiany, które musiałyby wykluczyć możliwość całkowitego powrotu do zdrowia.

Sparaliżowany biedak, zbierając rozproszone nitki przeszłości, zapomniał o zabezpieczeniu długu, wystawionym na meble. Błysk świadomości oświecił tylko to, co najważniejsze, i młynarz pograżył się w niepamięci, poznawszy zaledwie połowę swej hańby.

Tomek jednak był teraz pewien dwóch rzeczy: że weksel wujka Moss musi być zniszczony i że Łukaszowi trzeba oddać dług, jeżeli nie w inny sposób, to z własnych Tomkowych i Madzinych pieniędzy, które mieli złożone w kasie oszczędności. Widzicie sami, że w pewnych przedmiotach Tomek wykazywał bystrość większą niż w subtelnych konstrukcjach klasycznych czy też w zależnościach dowodu matematycznego.

ROZDZIAŁ V

ROZDZIAŁ V

TOMEK ZABIERA SIĘ DO DZIEŁA

Następnego dnia o dziesiątej rano Tomek szedł do St. Ogg's, by zobaczyć się z wujkiem Deane, który, jak powiedziała ciotka, miał poprzedniego wieczoru wrócić do domu. Tomek doszedł do wniosku, że najwłaściwszą osobą, która może mu poradzić, jak znaleźć jakieś zajęcie, będzie właśnie wujek Deane. Ten brał się do wielkich interesów, nie miał tak wąskich horyzontów jak wujaszek Glegg, a kariera, jaką zrobił, była na skalę odpowiadającą ambicjom chłopca. Ranek był ciemny, chłodny i mglisty, zapowiadający deszcz - w podobne ranki nawet ludzie szczęśliwi szukają ucieczki we własnych nadziejach. A Tomek był bardzo nieszczęśliwy; z całą wrażliwością natury dumnej odczuwał upokorzenie i zdawał sobie sprawę z czekającej go niedoli. Z niewzruszonym posłuszeństwem wobec woli ojca mieszało się oburzenie na niego, które nieszczęściu nadawało trudniejszy do zniesienia pozór krzywdy. Jeżeli takie są konsekwencje odwoływania się do sądu, to doprawdy, ojciec zawinił, a wujostwo mieli rację. Choć Tomek uważał, że ciotki powinny zrobić coś więcej dla matki, nie miał jak Madzia pretensji o to, że nie okazały się ani szczególnie serdeczne, ani hojne. Było to typowe dla niego. Nic nie nakazywało chłopcu oczekiwać tego, czego w swoim pojęciu nie mógł słusznie wymagać. Czemużby ludzie mieli garściami oddawać leniędzy tym, co nie potrafili zadbać o własny majątek? W twardości -tek widział pewną rację, tym bardziej, że był pewien, iż on nigdy nie isłuży na tak słuszną surowość. Ciężki to los, że przez ojcowską :zwagę znalazł się w tak trudnej sytuacji życiowej, ale nie będzie orzekał i obwinał ludzi za to, że mu nie usłali ścieżki kwiatami. ikogo nie prosi o pomoc, chce tylko, żeby mu dali pracę i zapłacili za - Biedny Tomek również miał nadzieje, w których szukał schronie- j1 przed chłodnym, wilgotnym więzieniem mgły grudniowej - jakby -aatkowym składnikiem domowych trosk. W wieku lat szesnastu

24

266 KSIĘGA TRZECIA

nawet człowiek bardzo rzeczowy nie może być wolny od złudzeń i odrobiny zarozumiałstwa, a Tomek szkicując w wyobraźni swoją przyszłość nie miał innego przewodnika prócz niezachwianej wiary w siebie. Wiedział, że zarówno pan Glegg, jak i pan Deane byli kiedyś bardzo biedni. Nie zamierzał ciułać powoli pieniędzy, by się wreszcie dorobić skromnego mająteczku, jak wujaszek Glegg; on wolał się upodobnić do wuja Deane - dostać posadę w jakimś dużym przedsiębiorstwie i szybko iść naprzód. Przez ostatnie trzy lata rzadko widywał wujka Deane - drogi obu rodzin rozchodziły się coraz bardziej - lecz właśnie dlatego pokładał większe nadzieje w rozmowie, do której się teraz szykował. Pewien był, że wujek Glegg nigdy nie poparłby śmielszych projektów, miał mgliste wrażenie, że wujek Deane rozporządza wielkimi jakimiś możliwościami. Słyszał, jak ojciec kiedyś dawno opowiadał, iż Deane stał się tak cenionym pracownikiem firmy Guest i Ska, że mu zaproponowano udział w przedsiębiorstwie⁷; do tego właśnie dojdzie i on - tak sobie Tomek postanowił. Myśl, że przez całe życie pozostanie człowiekiem biednym i traktowanym z góry, była dla niego nie do przyjęcia. Nie! Zarobi na matkę i siostrę i doprowadzi do tego, że każdy będzie o nim mówił jak

O człowieku z wielkim charakterem. Tak to przeskakiwał lata, a w pośpiechu, do którego popychał go jasno określony cel i zdecydowane pragnienie, zapomniał, że lata składają się z powolnie płynących dni, godzin i minut.

W chwili, kiedy przechodził przez kamienny most nad Flossą

1 wkraczał do St. Ogg's, myślał już, że jak będzie dostatecznie bogaty, to odkupi ojcowski młyn i ziemię, przebuduje trochę dom i tam zamieszka. Wolał go od każdego nowego, eleganckiego budynku. I będzie mógł trzymać tyle psów i koni, ile zechce.

Znajdował się w tym właśnie punkcie rozważań i szedł ulicą mocnym, szybkim krokiem, kiedy nagle zatrzymał go ktoś, kto podszedł doń niepostrzeżenie i zagadnął prostackim, znajomym głosem:

7 Wiadomości Tomka o karierze wuja Deane zgodne są z informacją narratora podaną w ks. I (rozdz. VII).

ROZDZIAŁ V

267

- O, panicz Tomek. Jak się dziś czuje ojciec panicza? - Był to właściciel zajazdu w St. Ogg's, jeden z klientów ojca.

Pytanie zadane w tym właśnie momencie nie w smak poszło Tomkowi, odpowiedział jednak grzecznie:

- Jeszcze jest bardzo chory. Dziękuję za pamięć.

- Cóż, młody człowieku, ciężko ci teraz będzie, kiedy ojciec przegrał ten proces - rzekł oberżysta z lekko zmaconym piwem przekonaniem, że mówi dobrodusznie.

Tomek poczerwieniał i ruszył dalej; nawet najgrzeczniejszą, najbardziej delikatną aluzję do swojej obecnej sytuacji odczułby jak dotknięcie rany.

- To syn Tullivera- zwrócił się oberżysta do kupca korzennego, który stał obok na progu.

- Tak mi się zdawało- odparł kupiec- że znam te rysy. Poszedł w rodzinę matki, ona była z domu Dodson. Chłopak jak świeca. Do czego go przyuczylili?

- Do zadzierania nosa na ojcowskich klientów, zadawania szyku i niczego więcej, tak mi się zdaje.

Tomek, przeniesiony nagle ze swych snów o przyszłych osiągnięciach do twardej rzeczywistości dnia dzisiejszego, tym szybciej pospieszył do biur handlowych Guesta i Ski, gdzie spodziewał się znaleźć wuja. Był to jednak jeden z tych dni, które pan Deane spędzał w banku, czym poinformował Tomka oficjalista⁸, pełen pogardy dla niewiedzy przybysza: w czwartki przed południem nie można zastać pana Deane na ulicy River.

Kiedy Tomek przez kancelistę bankowego przesłał wujowi wiadomość o swoim przyjsciu, natychmiast poproszono go do prywatnego oinetu, gdzie pan Deane sprawdzał rachunki.

Podniósł głowę, gdy chłopiec wszedł, wyciągnął doń rękę i spytał:

.. Co tam, Tomku? Nic nowego w domu, mam nadzieję? Jak ojciec?

oficjalista urzędnik.

268 KSIĘGA TRZECIA

- Dziękuję, wujku, prawie bez zmian - odparł chłopiec czując jak ogarnia go zdenerwowanie. Chciałbym jednak pomówić z wujem, jeśli wuj będzie miał dla mnie chwilę czasu.

- Siadaj, siadaj. - Pan Deane zagłębił się z powrotem w swoich rachunkach razem z jakimś wyższym urzędnikiem bankowym. Trwało to pół godziny, aż Tomek zaczął się zastanawiać, czy będzie tak musiał siedzieć, dopóki nie zamkną banku. Spokojna monotonna praca tych dwóch gładkich, zamożnych ludzi interesu wcale, jak się zdawało, nie zmierzała do końca.

Czy wujek da mu posadę w banku? To byłaby bardzo nudna, prozaiczna robota, taka pisanina bez końca w takt głośnego tykania zegara. Wolałby w inny sposób dorobić się majątku.

Nareszcie jakaś zmiana! Wuj wziął pióro i napisał na końcu coś z zakreślasem.

- Niech pan jeszcze zajdzie do Torry'ego, panie Spence - powiedział pan Deane, a zegar ścichł nagle i przestał być taki powolny.

- No, chłopcze - zaczął wujek, kiedy zostali sami, zmieniając nieco w krześle pozycję swego potężnego ciała i wyjmując tabakierkę

- o co chodzi?

Pan Deane wiedział już od żony, co zaszło poprzedniego dnia, i przypuszczał, że Tomek chce go prosić o jakąś pomoc, by zapobiec wyprzedzący.

- Wuj, mam nadzieję, wybaczy, że zabieram mu czas - rzekł Tomek czerwieniąc się, lecz choć głos mu drżał, brzmiała w nim jednak nuta dumy i ambicji. - Uważałem jednak, że wujek jest najwłaściwszą osobą, która może mi poradzić, co mam robić.

- - Oo - powiedział pan Deane, zatrzymując w pół drogi swą szczyptę tabaki i spoglądając na Tomka z nagłą uwagą. - Słuchani, słucham.

- Chciałbym dostać posadę i móc zarobić trochę pieniędzy

- wyjaśnił Tomek, zawsze daleki od owijania sprawy w bawełnę.

- Posadę? - zdumiał się pan Deane i zażył swą szczyptę tabaki, pracowicie oddając sprawiedliwość każdej dziurce od nosa. Tomek pomyślał, że zażywanie tabaki to strasznie denerwujący obyczaj.

ROZDZIAŁ V

269

- A ile ty masz lat, chłopcze? - zapytał wuj, znowu rozpierając się w krześle.

- Szesnaście ... To znaczy siedemnasty - odparł Tomek z nadzieją, że wuj zauważy, ile włosów rośnie mu już na brodzie.

- Niech sobie przypomnę, twój ojciec miał, zdaje się, zamiar zrobić z ciebie inżyniera, tak?

- Ale z tego mógłbym mieć pieniądze dopiero w dalekiej przyszłości, prawda, wujku?

- Tak; tylko, mój drogi, kiedy ludzie mają zaledwie szesnaście lat, to za żadną pracę nie mogą dostać dużo pieniędzy. Ale byłeś dobrze kształcony - pewno umiesz nie byle jak rachować, co? Znasz się na prowadzeniu ksiąg?

- Nie - odparł Tomek słabym głosem. - Doszedłem do Reguły Trzech. Ale pan Stelling mówił, że bardzo ładnie piszę. To jest moje pismo - tu chłopiec położył na stole kopię spisu, który zrobił wczoraj.

- To pięknie, pięknie, ale, widzisz, najładniejsze pismo na świecie nie da ci nic ponad stanowisko kopisty⁹, jeżeli nie znasz się na prowadzeniu ksiąg i rachunkowości. A kopista to lichy zarobek. Ale powiedz mi, czegoś ty się uczył w szkole?

Pan Deane nigdy się nie zajmował metodami nauczania i nie miał jasnego wyobrażenia, co się robi w drogich szkołach.

- Uczyliśmy się łaciny - po każdym przedmiocie Tomek otrzymywał się na chwilę, jakby przeglądał książki na ławce

polnej, by wspomóc swą pamięć - dużo łaciny, a w ostatnim

roku przygotowywałem wypracowania, w jednym tygodniu z łaciny,

' następnym z angielskiego; historię Grecji i Rzymu, i Euklidesa;

1 zacząłem algebrę, ale ją potem zostawiłem; i co tydzień mieliś-

' jeden dzień na arytmetykę. Poza tym brałem lekcje rysunku;

jeszcze były w ostatnim półroczu inne książki, które się albo czytało,

tów opista pracownik zajmujący się w kancelarii przepisywaniem dokumen-

270 KSIĘGA TRZECIA

albo się z nich uczyło: Poezja angielska i Horae Paulinae, i Retoryka Blaira¹⁰.

Pan Deane po raz wtóry stuknął w swą tabakierkę i zacisnął usta; odniósł takie wrażenie, jak wielu godnych szacunku ludzi, co czytając nowy cennik dowiadują się nagle, ile zaimportowano nowych produktów, o których istnieniu nie mieli dotychczas pojęcia. Jako przezorny człowiek interesu nie chciał zbyt spieszenie wyrażać sądu o surowcu, na którym nie znał się jeszcze, przypuszczał jednak, że gdyby ten surowiec był coś wart, musiałby o nim

wiedzieć człowiek, który zaszedł w życiu tak wysoko jak on. O łacinie miał opinię ustaloną: był zdania, że w wypadku następnej wojny, ponieważ ludzie nie pudrują już sobie włosów, należałoby nałożyć podatek na łacinę jako na luksus, za którym uganiają się wyższe klasy, całkowicie bezużyteczny w armatorskich przedsięwzięciach. Ale te Horae Paulinae mogą być czymś mniej neutralnym. Wszystko razem wzięwszy, lista nabytej wiedzy trochę go zniechęciła do Tomka.

- No cóż - odezwał się wreszcie zimnym, drwiącym tonem - przez trzy lata zajmowałeś się tymi przedmiotami, musisz być w nich nie byle jak mocny. Czy nie lepiej, żebyś poszedł drogą, na której ci się one przydadzą?

Tomek poczerwieniał i wybuchnął ze zdwojoną siłą:

- Ja, wujku, nie chciałbym szukać takiego zajęcia. Nie lubię łaciny i tych wszystkich przedmiotów. Nie wiem, do czego mi się mogą przydać - chyba żeby poszedł na młodszego nauczyciela do szkoły, a na to za mało jeszcze umiem. Poza tym wolałbym chyba tłuc kamienie na drodze. Ja nie chcę być taki! Chcę wejść do jakiegoś

10 Horae Paulinae (łac: Godziny paulińskie) - książka ta nie figuruje w katalogu The British Library ani w Bibliotece Kongresu. Kontekst wskazuje, że był to podręcznik lub antologia; Retoryka (Lectures on Rhetoric and Belles Lettres, 1782 - Wykłady o retoryce i literaturze pięknej), której autorem był szkocki profesor teologii, retoryki i literatury Hugh Blair (1718-1800), służyła do nauczania pięknej wymowy wielu pokoleń uczniów. Znano ją również poza Anglią, czytawali ją jeszcze nasi Filomaci (tę informację zawdzięczam pro'- Zofii Sinkowej).

ROZDZIAŁ V

271

interesu, w którym mógłbym iść naprzód, do jakiegoś prawdziwego, męskiego przedsięwzięcia, gdzie miałbym swoje obowiązki i mógłbym zdobywać sobie zaufanie za moją pracę. I chcę zarabiać na matkę i siostrę.

- O, mój chłopcze - zawołał pan Deane chcąc przyciąć skrzydła młodzieńczym nadziejom, co dla korpulentnego i zamożnego człowieka w wieku lat pięćdziesięciu nie jest wcale trudne - łatwiej to powiedzieć, niż wykonać, łatwiej powiedzieć, niż wykonać.

- Ale czy wujek nie doszedł do swojej obecnej pozycji w ten sposób? - zapytał chłopiec, którego już trochę gniewało, że wuj nie chce spojrzeć na sprawę z jego punktu widzenia. - To znaczy, czy wujek nie szedł w górę od stanowiska do stanowiska dzięki swoim zdolnościom i dobremu sprawowaniu?

- Tak, chłopcze - pan Deane rozparł się w krześle, chętnie podejmując rozpamiętywanie własnej kariery. - Ale powiem ci, jak ja szedłem naprzód. Nie siadałem okrakiem na kiju i nie wyobrażałem sobie, że jak na nim posiedzę dostatecznie długo, to mi się zamieni w konia. Nie! Miałem oczy i uszy otwarte, mój panie, nie szanowałem zbytnio swojego grzbietu, a interesy mojego pracodawcy były moimi interesami. Tylko dzięki temu, że uważałem dobrze na to, co się dzieje w fabryce, wykryłem, w jaki sposób marnuje się pięćset funtów rocznie, które można by zaoszczędzić. A jak zaczynałem, mój panie, to miałem nie większe wykształcenie niż chłopak z przytułku. Ale szybko spostrzegłem, że daleko nie zajadę, póki nie opanuję rachun-

ow, i uczyłem się ich między godzinami pracy, po skończeniu ładunku. Spójrz no tutaj - pan Deane otworzył księgę i wskazał jedną stronę - pismo mam przyzwoite, a rachowaniem w pamięci ażdemu dorównam; do wszystkiego doszedłem ciężką pracą i płaciłem za lekcje z moich własnych zarobków - st ?miast obiadu czy ojacji. I docierałem do sedna każdej rzeczy, z jaką się zetknąłem 'interesie, i wyciągałem doświadczenia z mojej roboty, i długo się zniej nad nimi zastanawiałem. Nie jestem przecież mechanikiem, 'dynie udawałem, że jestem, ale wymyśliłem kilka głupstewek, które

fcjanikom nigdy do głowy nie przyszły, a dzięki tym głupstwom

272 ' KSIĘGA TRZECIA

wyszła nam niezła różnica w dochodach. I nie ma artykułu ładowanego czy wyładowywanego na naszej przystani, na którym bym się nie znał. Jeśli mi dawali stanowiska, to dlatego, że się na nie dzięki własnej pracy nadawałem. Jak chcesz się wśliznąć przez okrągłą dziurę, to się musisz zwinąć w kulę - ot, co, młody człowieku!

Stuknął znów w tabakierkę. Temat poniósł pana Deane do tego stopnia, że całkiem zapomniał, jaki związek ma ten retrospektywny przegląd własnych dziejów z jego słuchaczem. Nieraz już znajdował okazję mówienia tego samego i nie bardzo zdawał sobie teraz sprawę, że nie stoi przed nim kieliszek portweinu.

- Właśnie, wujku - odparł Tomek z lekkim wyrzutem w głosie

- właśnie to chciałbym robić. Czy ja nie mógłbym pójść tą samą drogą?

- Tą samą drogą? - pan Deane przyglądał się chłopcu ze spokojną rozważą. - Trzeba by jeszcze do tego dodać dwa czy trzy pytania, młody człowieku. Zależy to przede wszystkim od tego, z jakiej gliny jesteś ulepiony i czy przeszedłeś odpowiednią szkołę. Ale powiem ci coś. Ten biedak, twój ojciec, złą obrał drogę dając ci takie wykształcenie. Nie była to moja sprawa, więc się nie wtrącałem, ale stało się tak, jak myślałem. Dostałeś edukację odpowiednią dla naszego pana Guesta, który przez całe życie nie będzie miał nic innego do roboty, jak tylko podpisywać czeki, a w głowie może mieć równie dobrze łacinę, jak i co innego.

- Ale wujku - zaproponował poważnie Tomek - nie rozumiem, dlaczego łacina ma być mi przeszkodą w interesach. Szybko ją zapomnę, nic mnie ona nie obchodzi. Musiałem odrabiać lekcje w szkole, ale zawsze myślałem, że później nic mi z tego nie przyjdzie

- naprawdę, były mi zupełnie obojętne.

- Wszystko to bardzo pięknie - odparł pan Deane - ale nie zmienia ani na jotę tego, co chciałem powiedzieć. Łacina i te wszystkie nonsensy szybko ci z głowy wywietrzeją, ale cóż ty wtedy będziesz wart? Poza tym, wybieliło ci to rączki i odebrało siłę mięśniom. I co ty umiesz? Po pierwsze nic nie wiesz o prowadzeniu ksiąg, a rachujesz gorzej niż zwykły sklepikarz. Będziesz musiał zaczynać od samego

ROZDZIAŁ V

273

dolu drabiny, jeśli chcesz dojść do czegoś w życiu - pozwól, niech ci to powiem. Nic ci nie przyjdzie z zapominania tej edukacji, za którą płacił twój ojciec, jeśli sam się nie zaczniesz kształcić na inny sposób.

Tomek mocno zagryzł wargi; czuł wzbierające mu pod powiekami łzy, a wolałby umrzeć, niż się tu rozplakać.

- Chcesz, żebym ci pomógł znaleźć zajęcie - ciągnął pan Deane. - Cóż, nic w tym złego nie widzę. Chciałbym coś dla ciebie zrobić. Ale wy, młodzi, myślicie dzisiaj, że powinniście zaczynać od dobrego życia i lekkiej pracy; nie myślicie nawet, że najpierw się leci na piechotę, a dopiero potem wsiada na konia. Musisz pamiętać, czym jesteś: szesnastoletnim chłopakiem, nie przyuczonym do niczego. Takich jak ty można liczyć na kopy, jak kamienie przy drodze, co to nigdzie nie mają swojego miejsca. Cóż, mógłbyś terminować w jakimś zawodzie - u aptekarza czy drogisty może ... tam twoja łacina mogłaby ci się przydać.

Tomek chciał coś powiedzieć, ale pan Deane podniósł rękę i mówił dalej:

- Czekaj. Posłuchaj, co ci mam do powiedzenia. Nie chcesz iść do terminu - wiem, wiem, chcesz szybciej robić karierę i nie masz zamiaru stać za kontuarem. Ale jeśli zostaniesz kopistą, to będziesz musiał stać za pulpitem i cały dzień wpatrywać się w papier i atrament; nie ma tu dużych widoków i przy końcu roku będziesz równie mądry, jak byłeś na początku. Świat nie składa się z pióra, papieru i atramentu, a jeśli chcesz ten świat zdobywać, młody człowieku, to musisz wiedzieć, z czego on jest ulepiony. Myślę, że najlepszym miejscem dla

ciebie byłoby zajęcie na przystani albo w składach, gdzie nauczyłybyś ę rozróżniać rzeczy węchem - ale pewien jestem, że tego byś nie chciał. Musiałbyś znosić deszcz i chłód i byle cham mógłby cię poszturchiwać. Na to jesteś zbyt delikatny paniczyk, co?

Pan Deane przerwał i spojrział ostro na chłopca, który staczał 5 sobą jakąś walkę wewnętrzną, nim zdołał wreszcie powiedzieć:

. Wolałbym robić to, wuju, co przy końcu okaże się dla mnie najkorzystniejsze. Zniósłbym każdą przykrość.

Doskonale, żebyś tylko potrafił wytrwać. Musisz pamiętać, że e starczy chwycić sznur w garść, trzeba go jeszcze ciągnąć. Wy,

274 KSIĘGA TRZECIA

chłopcy, co to macie albo głowy, albo kieszenie puste, robicie zawsze ten sam błąd: uważacie, że lepszy jest taki start w życiu, kiedy możecie nosić czysty surdut i przed dziewczuchami sklepowymi udawać wielkich panów. Nie tak zaczynałem, mój chłopcze. Kiedy ja miałem szesnaście lat, moja kurta śmierdziała smołą i nie bałem się brudzić rączek. Dlatego teraz mogę sobie pozwolić na płótno pierwszej klasy i siadam za stołem z dyrektorami największych firm w St. Ogg's.

Wuj Deane stuknął w swą tabakierkę; kiedy wyprostował w krześle ramiona, wydawało się, że kamizelka i złoty łańcuszek za chwilę na nim pękną.

- Czy wie wujek o jakimś wolnym miejscu, na które mógłbym się nadać? Chciałbym się od razu wziąć do pracy - mówił Tomek z lekkim drżeniem w głosie.

- Wolnego, wolnego, nie tak spieszno! Musisz dobrze sobie zapamiętać, że jeśli ci dam miejsce, na które jesteś jeszcze za młody, a dam ci je dlatego, że jesteś przypadkowo moim siostrzeńcem, to będę za ciebie odpowiedzialny. I nie ma innego powodu jak ten, że jesteś moim siostrzeńcem; w przyszłości dopiero zobaczymy, czy się nadajesz do czego, czy nie.

- Mam nadzieję, że nigdy nie będzie się wujek za mnie wstydził - odparł Tomek, którego tak zabolala przykra prawda, iż ktoś nie ma podstaw, by mu ufać, jak zabolalaby każdego chłopca na jego miejscu. - Zbyt droga mi jest własna dobra sława.

- Dobrze powiedziane, chłopcze, dobrze powiedziane. Takiego trzeba mieć ducha. Nigdy nie odmówię pomocy nikomu, kto chce dowieść, co potrafi. Mam teraz oko na pewnego chłopaka, dwadzieścia dwa lata. Zrobię dla niego, co będę mógł - tego energia rozsadza. Aie on, widzisz, wykorzystuje czas, jak może - doskonały kalkulator, raz dwa obliczy ci każdą pojemność kubiczną, a kilka dni temu podsunął mi nowe możliwości zbytu na szwedzki garbnik, znakomicie się zna na towarze ten chłopak.

- Chyba powinienem się zabrać do nauki prowadzenia ksiąg co, wujku? - zapytał Tomek chcąc dowieść swej gotowości do pracy.

ROZDZIAŁ V

275

- Tak, tak, na pewno na tym nie stracisz. Ale ... och, Spence, już pan wrócił. No, Tomku, tymczasem nie ma już o czym gadać, a ja muszę się brać do roboty. Do widzenia. Ukłony dla matki.

Pan Deane wyciągnął rękę, chcąc przyjacielskim gestem odprawić chłopca, a ten nie miał już odwagi zadać jeszcze jednego pytania, zwłaszcza w obecności pana Spence. Wyszedł więc znowu na wilgotne zimne powietrze. Musiał jeszcze zajść do wujka Glegg w sprawie pieniędzy w kasie oszczędności, a kiedy wreszcie znalazł się znowu na ulicy, mgła zgęstniała i o parę kroków nic już nie było widać. Szedł znowu ulicą River i stanął jak wryty na dwa jardy przed szybą sklepową, z której wielkimi literami krzyczały słowa: "Młyn Dorlco- te", umieszczone tu, jakby specjalnie po to, by się na niego wyszczerzać. Był to katalog pozycji do wyprzedaży mającej się odbyć w przyszłym tygodniu - jeszcze jeden powód do jak najszybszej ucieczki z miasta.

Biedny Tomek nie snuł już w drodze powrotnej planów na daleką przyszłość, czuł tylko, że chwila obecna jest bardzo trudna. Wydawało mu się, że wujek Deane skrzywdził go nie okazując mu zaufania, nie dostrzegając od razu, że on się należycie wywiąże z obowiązków; bo tego ostatniego Tomek był pewny jak słońca na niebie. Jak widać on, Tomasz Tulliver, może być uważany za nic zgoła i po raz pierwszy poczuł skurcz serca na myśl, że jest kompletnym ignorantem i niewiele umie. Któż to taki ten pozazdrośczeni godny młody człowiek, który potrafił w oka mgnieniu obliczyć każdą pojemność kubiczną i podsuwać jakieś propozycje dotyczące szwedzkiego garbnika? Szwedzki garbus Tomek przywykł dobrze myśleć o sobie, chociaż ponosił czasem ski w dowodach geometrycznych i chociaż tłumaczył: nunc Mas promite vires jako "teraz promotuj tych mężów"¹¹, lecz w tej chwili wierdził nagle, że musi być gorszy od innych, ponieważ mniej od nich e- Z tym szwedzkim garbnikiem musi się łączyć cała masa adomości, które, gdyby je tylko miał, mogłyby mu ogromnie pomóc icf1 nTc illas Proste vires (łac.) Jest całkowicie błędny. teraz wyślij owe siły. Przekład Tomka

276 KSIĘGA TRZECIA

w karierze życiowej. O ileż łatwiej byłoby zadawać szyku na rączym koniu i w nowym siodle!

Dwie godziny temu, idąc do St. Ogg's, Tomek widział przed sobą daleką przyszłość jak kuszącą łachę gładkiej plaży w dali, od której go oddzielał pas ostrych kamyków. Sam wówczas stał jeszcze na trawiastej wydmie, lecz zdawało mu się, że szybko przejdzie kamienisty odcinek. Teraz pod nogami czuł twardy żwir, ciągnący się o wiele dalej, niż mu się przedtem zdawało, a łacha piasku skurczyła się w wąziutką wstążkę.

- Co powiedział wujaszek Deane, Tomku? - zapytała Madzia biorąc go pod ramię, gdy chłopiec z ponurą miną ogrzewał się przy ogniu w kuchni. - Czy obiecał ci jakieś zajęcie? - Nie, tego nie mówił. Nic właściwie mi nie obiecał. Wątpił, zdaje mi się, żebym mógł dostać jakąś dobrą posadę. Jestem na to za młody.

- Ale czy był miły?

- Miły? A co to ma do rzeczy? Nic by mnie nie obchodziło, czy był miły, czy nie, gdyby mi tylko dał jakieś zajęcie. Z tym wszystkim tylko kłopot i zawracanie głowy - przez tak długi czas siedziałem w szkole i uczyłem się łaciny i innych bzdur ... na nic mi one teraz. Wujek mówi, że muszę się zabrać do nauki prowadzenia ksiąg i kalkulacji. Zdaje się, że uważa mnie za niedołęgę.

Usta chłopca wykrzywiły się boleśnie; wpatrywał się w ogień.

- Jaka to szkoda, że nie mieliśmy profesora Sampsona - zawołała Madzia, która musiała łączyć nieco wesołości ze smutkiem. - Gdyby mnie nauczył prowadzenia ksiąg metodą podwójnej bu- chalterii, włoskim sposobem, tak jak uczył Lucy Bertram, to mogłabym nauczyć teraz ciebie, Tomku.

- Ty! Też coś! Ciągłe przyjmujesz taki pouczający ton, Madziu!

- Ale, Tomku, ja tylko żartowałam - odparła dziewczynka przytulając policzek do jego rękawa.

- Wciąż to samo - Tomek zmarszczył czoło, jak zwykle, kiedy miał zamiar okazać należną jej surowość. - Zawsze się wywyższasz nade mnie i nad innych. Już nieraz chciałem o tym z tobą pomówić. Nie powinnaś była tak się odezwać do wujków i ciotek - powinnaś mnie

ROZDZIAŁ V

277

zostawić opiekę nad matką i tobą, a nie pchać się sama. Wydaje ci się, że wszystko wiesz lepiej od innych, a prawie zawsze nie masz racji. Ja jestem bardziej od ciebie powołany od wydawania sądów.

Biedny Tomek! Przed chwilą wrócił usłyszawszy nauki, przed chwilą kazano mu odczuć własną niższość: jego zadzierzysta, pewna siebie natura musiała to sobie odbić. Oto przypadek, gdzie można dowodnie zaznaczyć swoją wyższość. Wargi Madzi zadrżały, policzki pokryły się rumieńcem, a gorycz walczyła w niej z miłością, podziwem i jakby czcią dla charakteru Tomka; o tyle był od niej mocniejszy i lepszy. Nie odpowiedziała od razu; gniewne słowa chciały znaleźć ujście, lecz stłumiła je szybko i powiedziała wreszcie: - Często ci się zdaje, że jestem zarozumiała, Tomku, kiedy ja mam na myśli zupełnie co innego niż to, czego ty się w moich słowach dopatrujesz. Nigdy nie chciałam wywyższać się nad ciebie, wiem, że wczoraj zachowałeś się lepiej niż ja. Ale jesteś zawsze taki ostry dla mnie.

Przy ostatnich słowach gorycz powróciła nową falą.

- Nie, nie jestem ostry - odparł Tomek surowo i z przekonaniem. - Jestem dobry dla ciebie i zawsze będę. Zawsze będę się tobą opiekował. Ale musisz się liczyć z tym, co mówię. Weszła właśnie matka i Madzia szybko wysliznęła się z kuchni, aby na górze dać folę łzom, które napływały jej do oczu. Były to bardzo gorzkie łzy. Wszyscy na świecie byli wobec niej chłodni i surowi. Nigdzie nie znajdowała pobłażania i ciepła, o których marzyła, kiedy w myślach przeobrażała świat. Ludzie z książek zawsze byli mili i serdeczni i cieszyli się, jeśli mogli kogoś uszczęśliwić, a dobroć ich nie Polegała na tym, by wytykać bliskim ich błędy. Madzia czuła, że ten nie książkowy świat nie jest światem szczęśliwym: ludzie zachowują się na nim najlepiej w stosunku do tych, do których nie udają miłości, którzy są im obcy. A jeżeli na świecie nie ma miłości, to czegoż Madzia może na nim szukać? Niczego, oprócz biedy i ustawicznych utyskiwań matki i może dziecinnej, przejmującej do głębi bezradności ojca. Żadna jznadziejność nie jest tak smutna jak beznadziejność wczesnej łodości, kiedy w duszy są tylko pragnienia, a nie ma w niej jeszcze ani

KSIĘGA TRZECIA

278

odległych wspomnień, ani dodatkowego życia w postaci życia innych. A przecież my, którzy się temu przyglądamy, niewiele sobie robimy z tej przedwczesnej rozpacz - jakby nasza wizja przyszłości rzuciła ślepemu cierpiętnikowi światło na dzień dzisiejszy.

Madzia siedziała z oczyma zaczerwienionymi od łez; ciężkie warkocze odrzuciła do tyłu na brązową sukienkę i z łóżka, na którym leżał ojciec, spoglądała na ponure ściany tego smutnego pokoju, co stał się ośrodkiem jej świata. Było to w tej chwili stworzenie pełne namiętej tęsknoty za wszystkim, co piękne i radosne; pragnące wszelakiej wiedzy; uszy jej z natężeniem starały się pochwycić muzykę snów, która zamarła i już nie wróci nigdy. Ślepo, nieświadomie pragnęła czegoś, co połączy w jedno cudowne doznania owego tajemniczego życia i pozwoli jej duszy zamieszkać pośród nich.

Trudno się dziwić, że przy takiej różnicy zewnętrznego i wewnętrznego świata zetknięcie obu musiało być bolesne.

ROZDZIAŁ VI

KTÓRY STARA SIĘ ZWALCZYĆ POWSZECHNY PRZESĄD, JAKOBY SCYZORYK BYŁ NIEWŁAŚCIWYM PREZENTEM

W ciemny grudniowy czas wyprzedaż sprzętów domowych przeciągnęła się aż do następnego popołudnia. Podczas krytycznych godzin, kiedy odgłosy licytacji dochodziły do pokoju chorego, ten leżał jak martwy na łóżku, a w chwilowych przeblyskach świadomości okazywał zdenerwowanie, którego bezpośrednim skutkiem był nawrót zeszywnienia i utrata przytomności. Doktor Turnbull zdecydował, że mniej będzie niebezpieczne, jeśli młynarz pozostanie we własnym łóżku, niż jeśli go mieli przenosić do chałupy Łukasza, co poczciwiec zaproponował młynarzowej uważając, iż byłoby źle, gdyby pana miały obudzić odgłosy licytacji. Pani Tulliver z dziećmi siedziała

ROZDZIAŁ VI

uwięziona w cichym pokoju, patrząc na ogromną postać powaloną na pościeli i trzęsła się z przerażenia, żeby czasem na bladej twarzy nie ukazał się nagle wyraz świadczący, iż chory zrozumiał dźwięki, które wpadały w ich własne uszy z upartą, bolesną regularnością. Wreszcie jednak skończył się okres przykrych pewności i wytężonego napięcia. Ucichł ostry dźwięk głosu, prawie równie metalicznego, jak następujące po nim uderzenie młotka, zamarły odgłosy kroków na ścieżce. Jasna twarz młynarzowej przez ostatnie trzydzieści godzin postarzała się o dziesięć lat. Wszystkie siły umysłu poświęciła biedaczka na odgadywanie, które to z jej najlepszych rzeczy idą właśnie pod ten straszny młotek; serce jej drżało na myśl, że najpierw jedna, potem druga pójdą, by zostać publicznie zidentyfikowane pod zmienawidzonym "Złotym Lwem" - a ona przez cały ten czas musi tu siedzieć i najmniejszym ruchem nie okazać wewnętrznego wzburzenia. Takie przeżycia zostawiają bruzdy na krągłych policzkach i poszerzają białe pasma włosów, które kiedyś sprawiały wrażenie kapanych w słońcu. Lecz już o trzeciej godzinie zaczęła na dole sprzątać Kezia, służąca o dobrym sercu i niecierpliwym usposobieniu, która wszystkich, co przyszli na wyprzedaż, uważała za swych osobistych wrogów, a błoto, jakie tu przynieśli na butach, za szczególnie nikczemne błoto. Szorowała i pucowała dodając sobie energii pomrukami na ludzi, "co to przychodzą kupować cudze rzeczy" i nic sobie nie robią z tego, że drapią blaty mahoniowych stołów, nad którymi porządniejsi od nich ludzie musieli cierpieć ubytek energii. Nie szorowała wszystkiego w zapamiętaniu, bo będzie jeszcze więcej tego samego wstrętnego Wota: przyniosą je ludzie, którzy przyjdą po zakupione rzeczy

- postanowiła jednak doprowadzić bawialnię, gdzie siedziała "ta świnią z fajką, egzekutor", do przyzwoitego, choć skromnego wyglądu, jaki dać może czystość i te parę sprzętów wykupionych z powrotem dla rodziny. "Pani i dzieci będą tutaj piły herbatę dziś wieczór" zdecydowała Kezia. Właśnie zbliżała się pora herbaty - było bowiem między piątą szóstą - kiedy dziewczyna poszła na górę i powiedziała, że ktoś chce się widzieć z paniczem. Ow ktoś czekał w kuchni i w pierwszej chwili,

25 BN 11/234 G. Eliot: Młyn nad Flossą

280 KSIĘGA TRZECIA

przy słabym blasku ognia i świecy, Tomek odniósł wrażenie, że nie zna tej nieco krępej, lecz ruchliwej postaci. Był to młodzieniec może dwa lata starszy od Tomka; spoglądał nań niebieskimi oczyma w otocze piegów, i pociągał rude kędziory z wyraźnym zamiarem okazania głębokiego szacunku. Niski kapelusz z nieprzemakalnego płótna i jakieś lśniąca ślady brudu na ubraniu, jakby okruchy tabliczek do pisania, wskazywały na to, że zawód przybysza musi mieć związek z łodziami - to jednak w niczym nie wspomogło pamięci Tomka.

- Nisko się kłaniam, paniczu - powiedział ten z rudymi kędziorami, a uśmiech jego przedarł się przez nałożoną maskę melancholii.

- Nie poznaje mnie chyba panicz - ciągnął, widząc że Tomek spogląda nań pytająco. - Chciałbym, jeśli łaska, porozmawiać chwilę z paniczem sam na sam.

- W bawialni rozpalłam na kominku - powiedziała Kezia, która nie miała zamiaru opuścić kuchni w krytycznej chwili robienia grzanek.

- Proszę tędy. - Tomek ruszył do bawialni zastanawiając się w duchu, czy ten młody człowiek nie pracuje czasem w porcie, przy składach Guesta i Ski, myśli chłopca bowiem wciąż kierowały się ku temu właśnie miejscu; przecież wuj Deane mógł w każdej chwili przysłać kogoś z wiadomością, że jest wolna posada.

Jasny płomień na kominku był tu całym światłem; można w nim było dojrzeć kilka krzesel, biurko, podłogę odartą z dywanu i jeden jedyny stół - nie, niejeden; w kącie stał jeszcze drugi, a na nim leżała wielka Biblia i parę innych książek. Pierwszym wrażeniem Tomka była ta obca mu pustka - dopiero potem przypomniał sobie o gościu i spojrział w twarz, również

oświetloną płomieniem. Przybyły rzucił na niego nieco nieśmiało pytające spojrzenie i odezwał się obcym głosem:

- Co, nie pamięta panicz Boba? Tego, co mu panicz dał scyzoryk- Jednocześnie wyjął mocno już sfatygowany scyzoryk i jako dowód nieodparty otworzył największe ostrze.

- O, Bob Jakin - powiedział Tomek bez specjalnego entuzjazmu, bo z lekkim wstydem myślał o wczesnej zażyłości, jaką symbolizo"

ROZDZIAŁ VI

281

wał scyzoryk, i wcale nie był pewny, czy motywy, dla których Bob powoływał się na ten dawny prezent, są godne pochwały i uznania.

- O tak, Bob Jakin, ale chyba sam Bob wystarczy, jeżeli więcej Bobów nie latało z paniczem za wiewiórkami tego dnia, kiedy gruchnąłem z samego czubka drzewa i dobrze sobie wtedy tyłek stłukłem - ale wiewiórkę złapałem, drapała jak nieszczęście. A to małe ostrze jest złamane, ale nie chciałem wstawiać nowego, boby mnie mogli oszukać i wymienić mi nóż na inny, a takiego noża nie ma w całej Anglii, i tak mi się już ułożył do ręki. Nikt mi jeszcze nigdy nic nie dał

- wszystko sam musiałem zdobyć własnym rozumem - tylko panicz jeden. Chyba żeby mówić o Billu Fawks, co mi dał szczeniaka teriera, zamiast go utopić, a i tak musiałem mu dobrze nakłaść po gębie, zanim mi go oddał.

Bob gadał jak najęty, ostrym, nieco cienkim głosem i zaskakująco nagle zakończył tę długą przemowę, otarłszy przy końcu ostrze scyzoryka o rękaw ruchem pełnym przywiązania.

- No, Bob - odezwał się Tomek nieco wyniosłym tonem, bo chociaż stare wspomnienia usposobiły go do gościa przyjaźnie - w pewnych granicach, oczywiście - to jednak z całego okresu znajomości z Bobem najwyraźniej pamiętał przyczynę kłótni, po której się rozstali - czy mogę ci w czymś pomóc?

Nie, paniczu, nie - odparł Bob zamykając scyzoryk z przykłaskiem i kładąc go do kieszeni, gdzie jakby szukał ręką jeszcze czegoś innego - nie przyszedłem po nic teraz, kiedy, jak ludziska mówią, mój Pan, com dla niego płoszył ptaki i co mnie trochę bijał dla śmiechu, kiedy mnie złapał na podjadaniu rzepy, ten mój pan, jak powiadają, kiedy już nie podniesie głowy z posłania. Nie przychodziłbym teraz do panicza prosić o scyzoryk, boć przecież już mi panicz kiedyś dał jeden. Lk mi ktoś podbije jedno oko, to go nie proszę, żeby mi podbił drugie, lllm mu nie odpłacę, a na pewno dobry uczynek wart jest tyle, co zły. y już nie będę z powrotem mały, a panicz był smarkaczem, Tego najbardziej lubiłem, kiedy sam byłem smarkaty, chociaż mnie inicz stłukł i nie chciał na mnie więcej patrzeć. Dicka Brumby, na "ad, to mogłem lać, ile chciałem, ale o rany, człowiek się męczy

282 KSIĘGA TRZECIA

tym biciem, jak wie, że i tak nie wytłumaczy takiemu, gdzie ma się patrzeć. Widziałem chłopaków, co mogli stać i gapić się na drzewo, aż im oczy wylaziły z gęby, zanim zauważyli, że ptasi ogon to nie liść. Żadna to robota z takim niedojdą - ale panicz to był zawsze bystry w rzucaniu i mogłem być pewny, że panicz zdąży trafić kijem szczura czy łasicę, kiedy ja przetrząsam krzaki.

Bob wyciągnął z kieszeni brudny płócienny worek i pewno by jeszcze coś mówił, gdyby Madzia nie weszła właśnie do pokoju i nie spojrzała na niego ze zdumieniem i ciekawością, na co on znowu zaczął targać rude kosmyki chcąc okazać należny panience szacunek. W następnej chwili dziewczynka zdała sobie sprawę ze zmian, jakie zaszły w pokoju, i to całkowicie przysłoniło świadomość obecności Boba. Wzrok jej natychmiast odwrócił się od

niego i powędrował ku miejscu, gdzie wisiała półka z książkami; widniała tam teraz jedynie podłużna, nie spłowiła plama, a pod nią - mały stolik z Biblią i paroma książkami.

- Och, Tomku! - zawołała dziewczynka załamując dłonie. - Gdzie są książki? Zdawało mi się, że wujek Glegg mówił, iż je kupi. Prawda, że mówił? Czy to są wszystkie, jakie nam pozostały?

- Chyba tak - odparł Tomek z rozpaczliwą obojętnością.

- Czemu mieliby kupować dużo książek, jeśli kupili tak niewiele mebli?

- Och, Tomku - oczy Madzi napelniły się łzami, kiedy podbiegła do stolika, by sprawdzić, które książki zostały uratowane. - Nasza kochana Wędrowka pielgrzymka, gdzie sam kolorowałeś obrazki i ten rysunek pielgrzymka w opończy¹², wyglądał zupełnie jak żółw, och, Boże, Boże - Madzia tłumiała szloch przeglądając nieliczne książki.

- Myślałam, że nigdy, do śmierci, nie rozstaniemy się z nimi ... a teraz wszystko od nas odchodzi ... przy końcu życia nie będziemy mieli nic z tego, cośmy mieli na początku! ...

¹² opończa - obszerny płaszcz bez rękawów, z kapturem, noszony w XIV- XVIII w. jako strój podróżny.

ROZDZIAŁ VI

283

Madzia odwróciła się od stołu i rzuciła się na krzesło, a wielkie łzy, wzbierające pod powiekami, zasłoniły jej postać Boba, który wpatrywał się w nią uporczywie, jak nieme, inteligentne zwierzę, które więcej potrafi dostrzec niż zrozumieć.

- Widzę, Bob - powiedział Tomek zdając sobie sprawę, że problem książek przyszedł bardzo nie w porę- widzę, żeś nas odwiedził dlatego, że jesteśmy w kłopotach. To bardzo ładnie z twojej strony.

- Powiem paniczowi, jak to jest - oświadczył Bob zaczynając rozwiązywać płócienny woreczek. - Widzi panicz, te dwa lata to ja pływałem na łódce, żeby zarobić na kawałek chleba, no a jak mi czasu starczyło, to doglądałem pieca w fabryce Torry'ego. Ale dwa tygodnie temu poszczęściło mi się - zawsze sobie myślałem, że ja to już mam szczęście, bo za każdym razem jak zastawiłem sidła, to mi się w nie coś złapało- ale to nie były sidła, tylko pożar w fabryce Torry'ego, a ja go zagasiłem, a jakbym nie zgasił, to ogień przerzuciłby się na olej, no i pan dał mi dziesięć suwerenów - sam mi je dał w zeszłym tygodniu. I powiedział najpierw jeszcze, że jestem chłopak z głową, ale to ja już sam wiedziałem, a potem wyciągnął te dziesięć suwerenów, a to już było coś nowego. Tu one są, jednego tylko brak - w tym miejscu Bob wysypał zawartość woreczka na stół.

- A kiedy mi je dał, to mi w głowie szumiało jak w garnku z rosółem. Jakem sobie pomyślał, do czego ja się teraz nie wezmę! Bo myślałem sobie o kilku robotach - łódź mnie już doszczętnie zmęczyła, a dni mi się na niej tak dłużą jak świńskie kiszki. Więc najpierw pomyślałem, że kupię łasice i psy, i będę szczurołapem, a potem pomyślałem, że jednak będę czymś więcej, bo lepszego życia to

niewiele znam, a co to jest łapanie szczurów, to już dobrze wiem. No i w końcu zdecydowałem, że zostanę wędrowym handlarzem, bo taki

o człowiek światowy; mógłbym nosić w moim kramie co lżejsze

- zy, no i w takiej robocie to człowiek ma przynajmniej pożytek

z języka w gębie, a nie ze szczurów czy łodzi. Chodziłbym sobie po

tym kraju, jak długi i szeroki, i namawiałbym kobiety, żeby

powwały, bo gadać to ja umiem, i jadałbym w zajazdach gorące

obiady. Boże, co by to było za życie!

KSIĘGA TRZECIA

284

Bob przerwał i po chwili powiedział z wyzywającym zdecydowaniem, jakby stanowczo odwracał się plecami do tego rajskiego obrazu.

- Ale wcale mi tego nie żal - ani trochę. Rozmieniłem jednego suwerena i kupiłem matce gęs na obiad, i kupiłem niebieską welwetową kamizelkę i fokową czapkę - bo jak miałem być kramarzem, to już kramarzem całą gębą. Ale wcale mi tego nie żal - ani trochę. Mam głowę na karku, a nie rzepe, i może mi się niedługo nadarzy zgasić inny pożar. Ja to mam szczęście. Więc będę bardzo wdzięczny, jak panicz weźmie te dziewięć suwerenów i jakoś się nimi podeprze, jeśli to prawda, że pan zbankrutował. One pewno nie wystarczą na wszystko, ale mogą pomóc.

Tomek był tak głęboko wzruszony, że zapomniał o swojej dumie i podejrzliwości.

- Porządny jesteś chłop - powiedział czerwieniąc się lekko, a głos jego drżał trochę, co nawet Tomkowej surowości i dumie dodawało pewnego uroku - i już cię nigdy nie zapomnę, chociaż cię dzisiaj nie poznałem. Ale nie mogę wziąć tych dziewięciu suwerenów.

Zabierałbym to, co jest dla ciebie fortuną, a sobie i tak niewiele bym pomógł.

- Naprawdę, paniczu? - zapytał Bob z żalem. - Tylko niech panicz tak nie mówi dlatego, że mnie są one potrzebne. Nie jestem biedak. Moja matka wcale nieźle zarabia zbieraniem pierza i różnych rzeczy, a nawet jeśli je tylko chleb i wodę, to i tak wszystko jej idzie w tłuszcz. Ja mam szczęście, paniczu, a panicz to chyba nie, w każdym razie nie pan starszy, więc mógłby panicz wziąć trochę z mojego szczęścia i nic by się nikomu nie stało. Jednego dnia znalazłem w rzece całą szynkę - musiała wypaść z którejś z tych duńskich łodzi, co mają takie okrągłe rufy, na pewno tak było. No, paniczu, niech panicz jeszcze się zastanowi, na pamięć starej przyjaźni, bo inaczej będę myślał, że panicz ma do mnie jakiś żal.

Bob posunął suwereny nieco naprzód, lecz nim Tomek zdążył powiedzieć, Madzia zacisnęła rękę i patrząc na Boba z miną winowajczynie powiedziała:

- Tak mi przykro, Bob. Nigdy nie myślałam, że jesteś taki dobry. Ty ... ty jesteś najlepszy człowiek na świecie.

ROZDZIAŁ VI

285

Bob nie zdawał sobie dotąd sprawy, że Madzia miała o nim krzywdzącą, złą opinię, za co dokonywała teraz wewnętrznego aktu skruchy, przyjął więc z uśmiechem jej piękną pochwałę - zwłaszcza że pochodziła z ust dziewczyny, która, jak poinformował matkę tego wieczora, "miała takie dziwne oczy, że aż człowiekowi nijako".

- Naprawdę, Bob, nie mogę ich wziąć - tłumaczył Tomek - ale nie myśl, że odmawiając mnie cenię twoją dobroć. Nie chcę brać nic od nikogo, ale chcę na siebie zapracować. A te suwereny niewiele mi pomogą - naprawdę - nawet gdybym je wziął. Pozwól, że ci zamiast tego uścisknę rękę.

Tomek wyciągnął swą różową dłoń, a Bob nie zwlekając wysunął swą twardą, brudną łapę. - Pozwól mi włożyć z powrotem pieniądze do woreczka - mówiła Madzia - i przyjdź do nas, kiedy już kupisz swój towar.

- To tak, jakbym tu przyszedł udawać i pokazywać moje pieniądze - mówił Bob z niezadowolaniem, gdy Madzia wręczyła mu jego woreczek - tylko po to, żeby je zaraz zabierać. Ja to nieraz trochę oszukuję, wie panicz, ale nie w ten sposób; tylko jak widzę wielkiego łotra albo wielkiego nudziarza, to lubię takiemu w głowie zakręcić.

- Tylko nie rób żadnych sztuczek, Bob - napomniał go Tomek bo cię jeszcze ześlą w końcu.

- Nie mnie, paniczu, nie mnie - odparł Bob z wesołą pewnością siebie. - Nie ma jeszcze kary na pchły za to, że gryzą. Jakbym głupiego nie wyprowadził czasem w pole, to by nigdy nie zmądrzał. Ale niech panicz weźmie jednego suwerena i kupi coś sobie i panience, jakąś pamiątkę - tak jak mój scyzoryk.

Mówiąc to Bob położył na stole suwerena i rezerwowo zacisnął swój worek. Tomek odsunął złoto i powiedział: - Naprawdę, Bob, iziękuję serdecznie, ale nie mogę tego wziąć - a Madzia ujmując pieniądze w paluszki wyciągnęła go do Boba i powiedziała bardziej

Przekonywająco:

- Nie teraz, może innym razem. Jeżeli kiedykolwiek Tomek czy nioj ojciec będą potrzebowali pomocy, której ty będziesz mógł dzielić, to ci o tym powiemy, prawda, Tomasz? Przecież o to ci chodzi,

KSIĘGA TRZECIA

286

chcesz, żebyśmy zawsze polegali na tobie jak na przyjacielu, do którego można się zwrócić, tak?

- Tak, panienko, i dziękuję - odparł chłopak niechętnie biorąc pieniądze - tego własne chciałem, wszystko podług woli panienki. I dobranoc panience, życzę szczęścia, paniczu, i dziękuję, że mi panicz rękę ścisnął, chociaż nie chciał panicz wziąć pieniędzy.

Wejście Kezi, która ze złym spojrzeniem zapytała, czy może przynieść herbatę już teraz, czy też grzanki mają stwardnieć na kamień, przerwało w porę potok wymowy Boba i przyspieszyło jego pozegnalny ukłon.

ROZDZIAŁ VII

JAK KURA CHWYTA SIĘ PODSTĘPÓW

Dni płynęły, a pan Tulliver, przynajmniej w oczach lekarza, sprawiał wrażenie coraz mocniejszego; powoli wracał do normalnego stanu. Uchwyt paralizu jakby zelżał, a umysł czynił gwałtowne wysiłki, by się wyzwolić z odrętwienia - tak jakby jakieś żywe stworzenie próbowało wydobyć się spod wielkiej zasy pyłnej i posuwało się z trudem, zasypując co chwila świeżo zrobiony otwór.

Dla tych, którzy czuwali przy łóżku, czas dłużyłby się w nieskończoność, gdyby go odmierzała tylko wątpliwa i daleka nadzieja, która w tej izbie była jego miernikiem; lecz strach, zbliżający się wielkimi krokami, skracał ich godziny i sprawiał, że noce przychodziły zbyt szybko. Pan Tulliver bardzo powoli wracał do zdrowia, a tymczasem w losach jego miały zajść najbardziej dotkliwe zmiany. Taksatorzy wykonali pracę tak, jak ją wykonuje szanujący się rusznikarz¹³, sumiennie przygotowując muszkiet, który odpowiednio skierowany przez dzielne ramię przetnie nie kilku żywotów. Zajęcie, opis i oszaco-

13 rusznikarz - rzemieślnik zajmujący się wyrobem i naprawą ręcznej broni palnej.

ROZDZIAŁ VII

287

wanie, obwieszczenie licytacji - wszystko to są prawne kartacze¹⁴ lub też kule armatnie, które nigdy nie zrania pojedynczego człowieka, lecz burzą szeroko wokół miejsca, na które upadną. Wszystko jest tak współzależne w naszym życiu, że ludzie muszą cierpieć za cudze winy; tak szeroko rozchodzi się ludzki ból, że nawet sprawiedliwość musi mieć swe ofiary i nie można sobie wyobrazić kary, która by nie przekroczyła zakreślonego jej kręgu i nie wywołała niezасłużonego cierpienia.

Na początku drugiego tygodnia stycznia wywieszono ogłoszenia zawiadamiające o wyprzedazy, z nakazu sądowego, bydła i innego inwentarza pana Tullivera, a następnie młyna i ziemi, o zwykłej popołudniowej godzinie w gospodzie "Pod Żłotym Lwem". Sam młynarz, nieświadom, że czas płynie, wyobrażał sobie, że znajduje się w pierwszym stadium nieszczęścia i że można będzie jeszcze pomyśleć

o jakichś środkach zaradczych; często w przyływach świadomości mówił niejasno i beładnie o planach, które wprowadzi w czyn, kiedy już "stanie na nogach". Młynarzowa z dziećmi miała pewną nadzieję na wyjście, które pozwoliłoby panu Tulliverowi pozostać na starym miejscu i nie szukać nowego zajęcia i sposobu życia. Nakłoniono mianowicie wujaszka Deane, by zainteresował się sprawą na tym etapie wypadków. Przyznał, że nie byłoby dla Guesta i Ski złym interesem kupno młyna Dorlcote i prowadzenie tego dobrego przecież przedsięwzięcia, którego zyski można by jeszcze powiększyć zakładając dodatkowo

parowe źródło siły. W takim przypadku pan Tulliver mógłby pozostać na stanowisku kierownika młyna. Pan Deane nie iowił jednak nic w sposób decydujący; Wakem trzymał przecież list stawny na ziemię i mogło mu przyjść do głowy, że dobrze by było 'osić ofertę na całość, a potem podbić cenę ostrożnej firmie Guest

I ka, która nie prowadziła przecież interesów z pozycji sentymentu, ani Deane uważał za stosowne powiedzieć coś na ten temat pani uver, kiedy przyjechał do młyna przejrzeć księgi w towarzystwie Gl a młynarzowa zauważyła, iż Guest i Ska powinni wziąć

kartacz - pocisk armatni wypełniony żelaznymi kulkami.

I

KSIĘGA TRZECIA

288

pod uwagę, że i ojciec, i dziad pana Tullivera prowadzili młyn na długo przed tym, nim komukolwiek do głowy przyszło zakładanie olejarni Guesta i Ski. Pan Deane wyraził w odpowiedzi wątpliwość, czy ten właśnie związek pomiędzy dwoma obiektami określa ich wartość z punktu widzenia lokaty pieniędzy. Jeśli chodzi o wujaszka Glegg, sprawy te nie mieściły się w jego głowie; pocziwiec serdecznie współczuł rodzinie Tulliverów, lecz pieniądze miał ulokowane na pewnych hipotekach i nie mógł ryzykować - to byłoby nie w porządku wobec własnej rodziny. Postanowił jednak, że młynarz otrzyma od niego kilka nowych kamizelek flanelowych, których on sam wyrzekł się na rzecz bardziej elastycznych udogodnień, oraz że będzie kupował młynarzowej od czasu do czasu funt herbaty. Uczynna jego natura już z góry rozkoszowała się myślą o podróży, kiedy to będzie wioził herbatę i zobaczy, z jakim zadowoleniem szwagierka dowiaduje się, że to najlepszy ciemny gatunek. W każdym razie wiadomo było, że pan Deane jest dobrze do rodziny Tulliverów usposobiony. Pewnego dnia przywiózł ze sobą Lucy, która przyjechała właśnie na święta Bożego Narodzenia ze szkoły. Wśród łez i pocałunków mała, jasna, anielska buzia przytuliła się do ciemniejszego Madzinego policzka. Piękne, smukłe córki mają swój ciepły kącik w sercach wielu szacownych współników wielu szacownych firm - może więc niespokojne, pełne współczucia pytania Lucy o biednych kuzynów natchnęły wuja Deane energią, dzięki której szybciej znalazł tymczasowe miejsce dla Tomka w składach i pomógł mu brać wieczorne lekcje prowadzenia ksiąg i kalkulacji.

Mogłoby to podnieść trochę chłopca na duchu i pokrzepić jego nadzieje, gdyby jednocześnie nie spadł na niego cios, którego od dawna się obawiał: ojciec okazał się jednak bankrutem - a przynajmniej wierzyciele musieli wziąć mniej, niż im się należało, co dla Tomka, nie obznajmionego z tego rodzaju problemami, równało się bankructwu. A więc nie tylko będą mówić, że ojciec stracił majątek, ale że "zawiódł ludzi" - co w pojęciu chłopca było czymś najpotworniejszym. Kiedy bowiem zaspokojone zostały żądania pozwanego co do kosztów sądowych, pozostał przyjacielski rachunek pana Gore,

ROZDZIAŁ VII

289

niedobór pieniędzy w banku oraz inne jeszcze długi, wobec których aktywa¹⁵ kurczyły się w wyraźnej dysproporcji do pasywów¹⁶: "nie więcej jak dziesięć do dwunastu szylingów na funta" - przepowiedział ze zdecydowaniem pan Deane, zaciskając usta. Słowa te spłynęły na Tomka jak wrzątek, pozostawiając po sobie stały, ostry ból. "W"r Rozpaczliwie potrzebował czegoś, co dodałoby mu ducha w tej przykrej nowej sytuacji. Zbyt gwałtownie został przeniesiony z wygodnej, udywanianej ennuil l godzin szkolnych u pastora i pracowitego, a płonnego budowania zamków na lodzie w ostatnim półroczu

- w towarzystwo worków, skór i hałaśliwych mężczyzn toczących obok ogromne ciężary. Ten pierwszy krok do wielkiej kariery był sprawą zimną, hałaśliwą i brudną; nie można było wrócić do domu na herbatę, bo wieczorem szło się do jednorekiego, starszego oficjalisty na lekcję, która odbywała się w pokoju przesiąkniętym zapachem złego tytoniu. Białoróżowa twarz Tomka bywała już zwykle bardzo blada, gdy chłopiec po powrocie zdejmował w domu kapelusz i, zgłodniały, zabierał się do kolacji. Nic dziwnego, że kiedy matka lub Madzia odzywały się do niego - był trochę zły.

Przez cały ten czas pani Tulliver rozważała myśl, dzięki której ona, a nie kto inny, zapobiegnie temu, czego się wszyscy obawiali najbar-

ziej, i nie pozwoli, by Wakem zgłosił ofertę na młyn. Wyobraźcie

;obie najbardziej szacowną i miłą kwokę, która na skutek monstualnego wybryku natury oddaje się rozważaniom i wymyślaniu sposo-

ow, jak też wpłynąć na chłopca, aby jej nie skreślił szyi lub też nie wysłał jej albo kurcząt na targ. Trudno sobie wyobrazić inny skutek, jak głośnie gdakanie i trzepotanie skrzydłami.

Widząc, że źle się dzieje,

aktywa - wszystkie nieruchomości, towary, należności itp., którymi aysponuje jednostka gospodarująca.

pasywa - długi i zobowiązania jednostki gospodarującej; w przypadku 'narza aktywa, tj. dom wraz z urządzeniem, młyn, ziemia i bydło nie mogły sc sum wystarczających na pokrycie kosztów sądowych i długów. Było więc bankructwo nawet w sensie technicznym. ennui (fr.) - nuda.

KSIĘGA TRZECIA

290

młynarzowa doszła do wniosku, że zachowywała się dotychczas zbyt biernie, że powinna się trochę zająć interesami i od czasu do czasu podjąć jakąś decyzję, co może wyjść tylko z pożytkiem dla niej i całej rodziny. Nikt nie pomyślał o pójściu do Wakema i o pogadaniu z nim o młynie - a przecież, zastanawiała się młynarzowa, byłby to najprostszy sposób zapewnienia sprawie właściwego rozwiązania. Oczywiście, nie miałyby sensu, żeby tam szedł pan Tulliver - nawet gdyby mógł i chciał to zrobić - bo przecież on "poszedł do sądu przeciwko Wakemowi" i lżył go, jak mógł, przez ostatnie dziesięć lat; zawsze to możliwe, że Wakem ma do niego o to urazę. Teraz, kiedy pani Tulliver doszła do wniosku, że jej mąż bez powodu doprowadził ją do obecnej biedy, skłonna była sądzić, że jego opinia o Wakemie również była bezpodstawna. Co prawda, Wakem "naślał im egzekutorów do domu i zlicytował", ale, jak przypuszczała, zrobił to, by zadowolić tego człowieka, co to pożyczyl panu Tulliver pieniądze, boć przecież prawnik niejednemu musi się przypodobać, a trudno, żeby stawiał pana Tullivera, który poszedł przeciwko niemu do sądu, ponad wszystkich innych. Wakem może być całkiem rozsądnym człowiekiem - dlaczego nie? Ożenił się panną Clint, a młynarzowa nie słyszała wtedy o nim nic złego; tego lata, kiedy się dowiedziała o ich małżeństwie, nosiła niebieski satynowy spencerek i ani jej był w głowie pan Tulliver. Z pewnością w stosunku do niej, o której wiedział, że była z domu Dodson, może mieć wyłącznie dobre intencje, zwłaszcza kiedy się dowie i zda sobie sprawę, że ona ze swej strony nigdy nie chciała iść do sądu i naprawdę bardziej jest teraz skłonna uznać za słuszne poglądy pana Wakema na różne tematy, niż przyznać rację własnemu mężowi. I jeśliby adwokat zobaczył taką, jak ona, czcigodną damę, skłonną powiedzieć mu dobre słowo, to czemu nie miałby wysłuchać jej argumentów? Ona wyłoży mu całą sprawę jasno, jak nikt dotąd. A on przecież nie pójdzie i nie złoży oferty na młyn, żeby zrobić na złość jej, niewinnej kobiecie, która, wcale to nie jest wykluczone, tańczyła z nim w młodości na zabawie we dworze pana Darleigh r- bo przecież na takich tańcach często tańczyła z młodymi ludźmi, ktt/rych nazwisk zapomniała później ze szczętem.

Całą tę argumentację młynarzowa ukrywała na dnie serca, bo kiedy napomknęła pewnego dnia słówkiem szwagrom Deane i Glegg, że może sama pójść i porozmawiać z Wakemem, odpowiedzieli jej na to: "Nie, nie" i "Co też szwagierka", i "Niech szwagierka zostawi Wakema", tonem ludzi, którzy nie mają najmniejszego zamiaru wysłuchać bezstronnie wszystkich szczegółów jej projektu. Jeszcze bardziej bała się wspomnieć o tym planie dzieciom, bo one "zawsze są przeciwne temu, co powie matka", a zauważyła, że Tomek jest prawie tak samo zawzięty na Wakema, jak młynarz. Niezwykła koncentracja myśli natchnęła ją niezwykłą zręcznością i determinacją. Na dzień czy dwa przed licytacją "Pod Złotym Lwem", kiedy już nie było czasu do stracenia, pani Tulliver podstępem przeprowadziła swój plan. Był przecież problem marynat - młynarzowa miała wielki zapas marynat i przecierów pomidorowych, które z pewnością zakupi pan Hyndmarsh, kupiec, jeżeli tylko ona sama osobiście omówi z nim transakcję. Wobec tego rano pójdzie razem z Tomkiem do St. Ogg's. Kiedy syn doradził jej, żeby dała tymczasem spokój piklom, bo nie chciał, żeby pokazywała się teraz w mieście, była tak urażona jego negatywnym stosunkiem do marynat - a przecież robiła je według rodzinnych przepisów odziedziczonych po babce, która umarła, kiedy jego matka była małą dziewczynką - że ustąpił wreszcie i poszli razem. Pani Tulliver skręciła w ulicę Danish, gdzie pan Hyndmarsh miał swój sklep, niedaleko kancelarii pana Wakema. Adwokat nie przyszedł jeszcze; może pani Tulliver usiądzie przy kominku w jego gabinecie i poczeka? Niedługo musiała czekać, bo wszedł punktualnie, marszcząc brwi i rzucając lustrujące spojrzenie na ? postawną jasnowłosą kobietą, która wstała i ukloniła mu się szacunkiem. Pan Wakem był wysokim mężczyzną o orlim nosie gęstych, stalowosiwych włosach. Nigdy dotąd nie widzieliście zcze pana Wakema i pewno się zastanawiacie, czy to doprawdy niepowszedni łajdak i tak zręczny i zagorzały przeciwnik taki

:crwych ludzi w ogóle, a pana Tullivera w szczególe, jak o tym viadczył wizerunek czy portret istniejący, jak wiemy, w umyśle mynarza.

292 KSIĘGA TRZECIA

Jasne jest, że porywczy młynarz skłonny był uważać każdy przypadkowy strzał, który go musnął, za zamach na swoje życie, i potrafił się ogromnie zaplątać na tym świecie pełnym zagadek, co, z uwagi na jego pewność co do własnej nieomyłności, stwarzało konieczność hipotezy, że istnieje jakaś bardzo obrotna ajencja diabelska, która młynarskie niepowodzenia tłumaczy. Można jednak przyjąć, że adwokat tyle zawinił w stosunku do pana Tullivera, ile jakaś pomysłowa maszyna, systematycznie wykonująca swą pracę, zawiniła w stosunku do nierozważnego człowieka, który zbyt blisko się do niej zbliżył, zahaczył ręką o jakieś koło zębate i został, nagle i nieoczekiwanie, przerobiony na pasztet.

Doprawdy trudno rozstrzygnąć tę kwestię po jednym tylko spojrzeniu na adwokata: kontury i światła ludzkiej twarzy są jak inne symbole - nie zawsze można je odczytać nie posiadając do nich klucza. Z pierwszego rzutu oka na orli nos pana Wakema, który tak drażnił pana Tullivera, nie można było wyciągnąć więcej wniosków co do łotrostwa adwokata, niż z kształtu sztywnego kołnierzyka przy jego koszuli, chociaż i on razem z nosem mógłby stanowić odpowiedni dowód obciążający i potępiający, gdyby łotrostwo Wakema stało się rzeczą pewną.

- Pani Tulliver, o ile się nie mylę? - zapytał Wakem.

- Tak, proszę pana. Z domu Dodson.

- Proszę, niech pani siada. Ma pani do mnie interes?

- Tak, proszę pana - teraz, znalazłszy się w obecności tego strasznego człowieka, młynarzowa przeraziła się własną odwagą; stwierdziła też, że nie ułożyła sobie uprzednio, jak całą

rozmowę zacznie. Pan Wakem wsadził kciuki w kieszonki od kamizelki i w milczeniu spoglądał na młynarzowa.

- Myślę, proszę pana - zaczęła wreszcie - myślę, że pan nie wyobraża sobie, jakobym ja miała do pana żal o to, że mój przegrał proces i że nam nasłali egzekutorów, i wyprzedali mi bieliznę stołową - mój Boże, mój Boże ... bo mnie na taką nie wychowywali. Pan na pewno pamięta mojego ojca - on się bardzo przyjaźnił z panem Darleigh, obywatelem ziemskim, a my zawsze chodziliśmy tam na tańce, my, panny Dodsonówny - na nikogo się ludzie tak nie patrzyli

ROZDZIAŁ VII

293

jak na nas - i mieli rację, bo nas było cztery, a pan pewno wie, że pani Glegg i pani Deane to moje siostry. I ani przed ślubem, ani długi czas po ślubie nie wiedziałam, co to znaczy iść do sądu, stracić majątek i zostać zlicytowaną za życia. I nie jestem winna temu, że nie miałam szczęścia wychodząc za kogoś spoza rodziny i wchodząc do takiej, która ma inne zasady. A żeby mnie namówili do obmawiania pana, tak jak inni pana obmawiają, to już jest nieprawda i nikt mi tego nie może zarzucić.

Pani Tulliver lekko potrząsnęła głową i spoglądała na brzeżek swojej chusteczki.

- Nie mam najmniejszych wątpliwości co do prawdy słów pani - odparł pan Wakem z chłodną uprzejmością. - Ale chciała mnie

pani o coś zapytać.

- Owszem, proszę pana. Sama do siebie to mówiłam, że pan musi jednak mieć trochę serca, a jeśli idzie o mojego męża, co już dwa miesiące leży jak nie ten sam - nie żebym go broniła za to, że taki był uparty z tym drenowaniem - ale naprawdę są gorsi od niego, bo on nigdy nikogo nie oszukał ani na szylinga, ani na pensa, w każdym razie nie umyślnie, a co do tego, że taki jest zapalony do prawowania się, to ;o ja mogłam poradzić? Kiedy dostał list, że pan ma hipotekę na

ziemię, to tak go powaliło, jakby całkiem umarł. Ale jestem pewna, że Pan się zachowa przyzwoicie, nie inaczej.

- Nie rozumiem, co to wszystko znaczy - stwierdził pan Wakem dosyć ostro. - O co pani chce mnie prosić?

- Niech pan będzie tak dobry - odparła nieco spieszniej pani Lilliver, trochę spłoszona - niech pan będzie tak dobry i nie kupuje nfyndy i ziemi - ziemia to zresztą mniej ważne, tylko że mój mąż oszaleje chyba, jak się dowie, że pan ją ma.

Jakaś nowa zupełnie myśl błysnęła na twarzy adwokata.

Kto powiedział pani, że ja chcę kupić młyn? - zapytał. - Cóż, proszę pana, przecież sobie tego nie wymyśliłam - nigdy t mi to samej do głowy nie przyszło, bo mój mąż, który coś powi- o prawie wiedzieć, mówił, że adwokaci się nie rwą do żadnego pna ani dornów, ani ziemi, bo zawsze to sobie w inny sposób zdobędą.

294 KSIĘGA TRZECIA

A ja myślałam, że tak samo będzie z panem, i nigdy nie mówiłam, że pan zrobi inaczej.

- No dobrze, dobrze, ale kto pani to mówił? - pytał Wakem otwierając biurko i przesuwał jakieś rzeczy; pogwizdywał przy tym cicho, prawie niedosłyszalnie.

- Pan Glegg i pan Deane, proszę pana, którzy się wszystkim zajmują. Szwagier Deane myśli, że może firma Guest i Ska kupi młyn i pozwoli go prowadzić mojemu mężowi, jeżeli pan nie da swojej oferty i nie podbije ceny. A dla mojego męża to by było tak dużo, gdyby mógł zostać, gdzie jest, i zarobić na życie, bo ten młyn był za jego ojca i wybudował go jego dziadek. Z początku, zaraz po ślubie, to nie lubiłam tego hałasu, bo w naszej rodzinie nie było młynów - nie w rodzinie Dodsonów! - a gdybym wiedziała, że młyn ma tyle wspólnego z

sądami, to nie byłabym pierwszą Dodsonówną, która wyszła za mąż za młynarza. Ale weszłam w to ślepa na wszystko, na drenowanie i resztę.

- Co? Guest i Ska kupiliby młyn i płaciliby pensję mężowi pani?

- Tak, proszę pana, to straszne - tu biedna pani Tulliver uroniła łezkę - straszne pomyśleć, że mój mąż będzie na pensji. Ale byłoby wtedy trochę jak dawniej, gdybyśmy mogli zostać we młynie i nie przenosić się nigdzie. Niech pan tylko pomyśli ... gdyby pan zgłosił ofertę i kupił młyn, to mój mąż mógłby mieć jeszcze gorszy atak paraliżu niż poprzednio i nigdy nie wstać z łóżka, a teraz zaczyna się już podnosić.

- No a cóż, gdybym to ja kupił młyn i pozwolił pani mężowi pracować jako mojemu zarządcy? - zapytał Wakem.

- Och, proszę pana, na to on się nigdy nie zgodzi, choćby ten młyn tu stanął i sam go o to prosił. Pana nazwisko to dla mojego męża trucizna, jak nigdy dotąd. Według niego pan go chciał doprowadzić do ruiny przez cały czas, od początku, kiedy pan go zaskarżył o tę drogę przez łąkę, to już osiem lat temu; od tego czasu on tak zawsze myślał, chociaż ja mu mówiłam, że nie ma racji ...

- To uparty pyskacz i dureń - wybuchnął pan Wakem zapominając się zupełnie.

ROZDZIAŁ VII

295

- Och, Boże - zawołała młynarzowa, przerażona, że rezultat jej starań jest zupełnie inny, niż sobie wyobrażała. - Nie chciałabym panu przeczyć, ale bardzo możliwe, że on przez tę chorobę zmienił zdanie - przecież zapomniał o tylu rzeczach, o których przedtem gadał! A gdyby umarł, to nie byłoby panu przyjemnie mieć nieboszczyka na sumieniu. I mówią, że jak młyn Dorlcote zmieni właściciela, to będzie nieszczęście- cała woda może wyciec, a wtedy ... nie życzę panu nic złego, bo jeszcze zapomniałam powiedzieć, że pański ślub pamiętam, jakby to było wczoraj - pana żona była Clint z domu, wiem dobrze - a mój chłopak, taki miły, ładny, chłopak prosty jak świeca, nie ma takiego drugiego - chodził do szkoły z pana synem ...

Pan Wakem wstał, otworzył drzwi i zawołał jednego ze swych kancelistów.

- Niech pani wybaczy, że jej przerwę, ale mam teraz bardzo ważną sprawę do załatwienia, a zdaje mi się, że już wyczerpaliśmy temat.

- Ale żeby pan miał to w pamięci - prosiła młynarzowa wstając - i nie stawał przeciwko mnie i moim dzieciom. Wcale nie mówię, że

mój mąż miał rację, ale jest już ukarany, a są gorsi od niego, bo jego wina to tylko to, że dawał pieniądze innym. Nie zrobił nikomu krzywdy, tylko sobie i swojej rodzinie ... tym większa to szkoda ... a ja chodzę codziennie i patrzę na moje puste półki i rozmyślam sobie tam, w składziku, gdzie zawsze stały moje rzeczy.

Tak, tak, będę to miał w pamięci - spiesznie zapewniał ją adwokat spoglądając ku otwartym drzwiom.

- I proszę, niech pan nikomu nie mówi, że przychodziłam : panem rozmawiać, bo mój syn będzie się na mnie gniewał, że się tak

zachowuję, wiem o tym dobrze, a i tak mam kłopot z tym, że własne dzieci mnie łaja. Głos biedaczki drżał lekko i nie mogła nawet odpowiedzieć na "do rdzenia" adwokata - skłoniła się tylko i wyszła w milczeniu.

- Kiedy ma być sprzedany młyn Dorlcote? Gdzie jest ogłoszenie? - zapytał adwokat kancelistę, kiedy znaleźli się sami.

- W przyszły piątek, w piątek o szóstej.

26 BN H/234 G. Eliot. Młyn nad Flossą

296 KSIĘGA TRZECIA

- To wobec tego skocz do pana Winshipa, licytatora, i sprawdź, czy jest w domu. Mam do niego sprawę - niech tu do mnie przyjdzie.

Pan Wakem, wchodząc rano do biura, nie miał najmniejszego zamiaru kupować młyna Dorlcote, teraz jednak podjął decyzję: pani Tulliver podsunęła mu kilka przekonujących argumentów - Wa- kemowi zaś nie brakło bystrości. Był to jeden z tych ludzi, którzy potrafią działać szybko, ale i z rozważą, gdyż motywy ich działania są stałe, nie potrzeba więc godzić sprzecznych ze sobą celów.

Jeśliby ktoś przypuszczał, że adwokat żywił taką samą nienawiść w stosunku do pana Tullivera, jak młynarz do niego, musiałby uważać, że szczupak i płotka mogą spoglądać na siebie z tego samego punktu widzenia. Płotce oczywiście wstrętna jest szczupacza metoda zdobywania pożywienia, szczupak zaś nawet o najbardziej oburzonej płotce nie myśli zapewne nic ponad to, że jest ona smacznym kąskiem; mógłby czuć do niej mocną i osobistą urazę wówczas tylko, gdyby się nią zadławił. Gdyby młynarz kiedykolwiek wyrządził był adwokatowi jakąś poważną szkodę lub też pokrzyżował mu plany, Wakem nie odmówiłby mu swej specjalnej uwagi i uczyniłby go przedmiotem swojej nienawiści i mściwości. Jeśli jednak młynarz podczas obiadu w dniu targowym nazywał adwokata łobuzem, żaden z klientów Wakema nie wycofywał przez to od niego swej sprawy. Jeżeli zaś w obecności Wakema jakiś dowcipny hodowca bydła, podniecony nadarzającą się sposobnością i alkoholem, starał się dopiec mu aluzjami do testamentów starszych pań, adwokat zachowywał zimną krew, doskonale zdając sobie sprawę, że większość ludzi majątnych, obecnych przy tym zajściu, całkowicie zadowala się faktem, że "Wakem to Wakem", a mianowicie człowiek, który dobrze wie, gdzie stanąć, aby przejść suchą nogą przez najbardziej błotniste odcinki praktyki adwokackiej. Człowiek, który dorobił się dużego majątku, pięknego, ocienionego drzewami domu w Tofton i z pewnością najlepszej piwniczki w okolicach St. Ogg's, mógł się nie liczyć z opinią publiczną. I wcale nie jestem pewny, czy nawet uczciwy pan Tulliver, który był zdania, iż prawo, ogólnie biorąc, to nic innego jak arena walki kogutów, czy nawet ten uczciwy pan Tulliver, gdyby sytuacja

ROZDZIAŁ VII

297

była odwrotna, nie uznałby absolutnej słuszności twierdzenia, że "Wakem to Wakem", słyszałem bowiem od osób odczytanych w historii, że ludzkość nie zwykła wydawać małoszkowatych sądów o postępowaniu wielkich zwycięzców, jeżeli zwyciężyli oni po właściwej stronie. Tak więc Tulliver nie mógł być przeszkodą dla Wakema, wręcz przeciwnie, był tym biedakiem, którego adwokat kilkakrotnie zwyciężył - ot, paliwoda, co to zawsze podsunie człowiekowi sposób przeciwko samemu sobie. Te kilka sztuczek, których adwokat użył w procesie, wcale mu nie ciążyło na sumieniu; czemuż więc miałby nienawidzić niefortunnego oskarżyciela? Tego godnego politowania, wściekłego byka uwikłanego w oka sieci.

A jednak do wielu anomalii, do jakich skłonna jest natura ludzka, moraliści nigdy nie zaliczali zbytnej zyczliwości wobec ludzi, którzy nas otwarcie lżą. Wybrany kandydat Żółtych w mieście Old Topping nie czuje może konsekwentnej, rozumowej nienawiści w stosunku do Niebieskiego redaktora, który krzepi swych czytelników grzmiącą krytyką Żółtych¹⁸, co sprzedają swój kraj i są zakałą życia obywateli. Prawdopodobnie jednak nie byłoby mu przykro, gdyby prawo i odpowiednia sposobność pozwoliły mu kopnąć owego Niebieskiego redaktora i zostawić mu ślady w kolorze nieco intensywniejszym od jego ulubionej barwy. Ludzie, którym się powiodło, pozwalają sobie od czasu do czasu na drobną zemstę, tak jak pozwalają sobie na rozrywkę, jeśli im się akurat nadarza, i nie zawadza w interesach. takie małe, beznamętne zemsty mają czasem poważne skutki, vorzą szeroki wachlarz satysfakcjonujących utrapień; zamykanie

ipowiednim ludziom drogi do stanowisk i oczernianie ich w przypadkowych rozmowach. Poza tym, jakże nam pochlebia i jakże nas koi . }uczi' którzy zachowywali się wobec nas obraźliwie (co było oczywiście bez znaczenia), a teraz, bez szczególnych wysiłków z naszej strony / j Niebiescy - członkowie partii politycznych, posługujących jednak1' - P. a.m byty one różne w różnych częściach kraju, najczęściej niebieski był kolorem konserwatystów, żółtego zaś używali liberał-

KSIĘGA TRZECIA

298

strony, zbiednieli i zostali upokorzeni. Wydaje nam się, że to Opatrzność albo inna jakaś pani tego świata podjęła się odpłaty w naszym imieniu. Doprawdy, dzięki przychylnemu układowi spraw, naszym wrogom jakoś się nie wiedzie.

Otóż adwokat nie był całkowicie wolny od takiej ubocznej mściwości wobec nieuprzejmego młynarza, teraz zaś, kiedy pani Tulliver podsunęła mu nową myśl, doszedł do wniosku, że przyjemnie będzie zrobić to właśnie, co dla młynarza okaże się śmiertelną udręką; będzie to przyjemność wieloraka, bo nie złoży się na nią złośliwość, lecz satysfakcja, wynikająca z zadowolenia z samego siebie. Widok upokorzonego wroga sprawia przyjemność, ale to nic w porównaniu z radością wysokiego gatunku, jaką przynosi widok wroga upokorzonego naszą łaskawością lub ustępstwami poczynionymi na jego rzecz. To jest zemsta, która dochodzi do rzędu cnót, a o cnoty adwokat należycie dbał. Miał kiedyś przyjemność oddania jednego ze swych starych nieprzyjaciół do przytułku, na którego odbudowę dał dużą kwotę; teraz oto nadarza się sposobność zabezpieczenia egzystencji drugiego przez uczynienie go swoim sługą. Takie rzeczy są dopełnieniem bogactwa i dostarczają elementów miłego samozadowolenia, o jakich nie śniłoby się nikomu, kto prowadzi krótkowzroczną politykę opartą na zapalczącej mściwości i zadaje sobie ogromne trudy, by ją zaspokoić bezpośrednim ciosem. A Tulliver z tym ostrym ozorem, stępionym świadomością zaciągniętego zobowiązania, będzie o wiele lepszym sługą niż jakiś przypadkowy, nisko czapkujący za posadą. Tulliver znany był ze swej dumnej ucziwości, a Wakem był za bystry, by nie wierzyć w ucziwość. Zwykł obserwować ludzi, miast sądzić ich wedle wypowiedzianych przez nich maksym; doskonale zdawał sobie sprawę, że nie wszyscy są mu podobni. Poza tym miał zamiar sam bardzo pilnie doglądać ziemi i młyna: lubił te praktyczne, wiejskie sprawy. Niezależnie jednak od dobroczynnej zemsty na młynarzu istniały poważne argumenty za kupnem młyna Dorlcote. Był świetną lokatą - nadto Guest i Ska mieli zamiar złożyć na niego ofertę. Pan Guest i pan Wakem byli w stosunkach przyjaznych, adwokat zaś lubił górować nieco nad armatorem i fabrykantem, który

ROZDZIAŁ VII

299

zarówno w mieście, jak przy stole bywał nieco zbyt głośny. Pan Wakem bowiem był nie tylko człowiekiem interesu, lecz człowiekiem uważanym za sympatycznego w górnych sferach St. Ogg's; potrafił wesoło gawędzić przy winie, zajmował się trochę ziemią z amatorstwa i z pewnością był znakomitym mężem i ojcem; w kościele siadywał zawsze pod najładniejszym pomnikiem, wzniesionym dla uczczenia pamięci żony. Inny mężczyzna w jego warunkach ożeniłby się po raz wtóry, lecz on, jak mówiono, bardziej był serdeczny dla swego kalekiego syna niż większość ludzi dla swych najurodzawszych dzieci. Pan Wakem miał innych synów oprócz Filipa, lecz w stosunku do pozostałych postępował z żelazną ojcowską surowością, a utrzymywał ich na poziomie odpowiednio niższym od własnego¹⁹. Tu właśnie krył się najistotniejszy powód kupna młyna Dorlcote. Gdy pani Tulliver mówiła, bystry adwokat dostrzegł, oprócz innych okoliczności, fakt, że ten młyn może za kilka lat dać mu sposobność doskonałego urządzenia ulubionego chłopca, którego miał zamiar wprowadzić w życie.

Oto obraz umysłu, na który pani Tulliver postanowiła wpłynąć, w czym jej się nie powiodło. Fakt ten możemy zilustrować uwagą pewnego wielkiego filozofa, mianowicie, że rybacy, którzy łowią ryby na sztuczną muchę, nie potrafią nadać jej odpowiednio atrakcyjnego wyglądu, ponieważ nie znają indywidualnych upodobań ryb.

Intonacja, że Wakem ma innych synów oprócz Filipa nie zostaje nigdzie potwierdzona, z różnych aluzji do sytuacji adwokata można natomiast ująć raczej wniosek, że Filip jest jedynakiem.

300

KSIĘGA TRZECIA

ROZDZIAŁ VIII

ŚWIT NA RUINACH

W mroźny, rześki dzień styczniowy pan Tulliver zszedł po raz pierwszy na dół; widząc jasne promienie słońca, padające na gałęzie kasztanów i dachy naprzeciw okna, oświadczył stanowczo, że dłużej nie da się wchodzić. Wydawało mu się, że w tym świetle słonecznym wszędzie będzie mu raźniej niż w sypialni. Młynarz nie wiedział, że dom jest ogołocony, a potok słonecznego światła będzie dlań tylko natrętem, wskazującym z okrutną radością puste miejsca i ślady po dobrze znanych przedmiotach. Panu Tulliver wydawało się, że otrzymał list od pana Gore wczoraj dopiero; usiłowano mu wytłumaczyć, że od tego czasu minęło już wiele tygodni i wiele się wydarzyło, ale nawracające zaćmienia pamięci zmywały te wyjaśnienia i nawet doktor Turnbull stracił nadzieję, że zdoła przygotować chorego na spotkanie rzeczywistości uzmysławiając mu zmianę sytuacji. Mógł sobie zdać z niej sprawę powoli, wskutek nowych doświadczeń, a nie słów, które okazywały się słabsze od wrażeń pozostawionych przez dawne przeżycia. Dzieci i młynarzowa z drżeniem przyjęły decyzję zejścia na dół. Pani Tulliver zażądała, by Tomek nie szedł o zwykłej godzinie do St. Ogg's, lecz poczekał i sprowadził ojca na dół; chłopiec przystał, choć lękał się tej smutnej sceny. W sercach wszystkich trojga było teraz jeszcze większe przygnębienie, młyn bowiem nie został zakupiony przez firmę Guest i Ska - zarówno młyn, jak i ziemię kupił na licytacji Wakem, który sam przyjechał na miejsce i w obecności pana Deane, pana Glegg i pani Tulliver oświadczył, że gotów jest zaangażować pana Tullivera jako kierownika całości, jeżeli wyzdrowieje. Propozycja ta była tematem długich narad rodzinnych. Wujowie i ciotki niemal jednomyślnie uznali, że nie można odrzucić tej oferty, jeżeli na przeszkodzie stoją tylko sentymenty pana Tullivera,

20 Jest to początek roku 1832.

ROZDZIAŁ VIII

301

które uważali za całkowicie bezpodstawne i dziecinne; ich zdaniem była to skierowana przeciwko Wakemowi złość i nienawiść, które młynarz powinien właściwie obrócić przeciwko samemu sobie za swoją kłótniowość oraz szczególnie jej wyraz, jakim było zwrócenie się do sądu. Oto nadarza się panu Tulliver możliwość zarobienia na żonę i córkę bez uciekania się do pomocy krewnych żony, możliwość uniknięcia jawnej, skrajnej biedy, która sprawia, że szanujący się człowiek spotykając podupadłego członka rodziny na ulicy znajduje się w bardzo kłopotliwej sytuacji. Pan Tulliver, zdaniem pani Glegg, musi wreszcie zrozumieć, kiedy wróci do normalnego stanu, że nigdy dla niego dość pokory, bo przyszło, co przepowiadała zawsze widząc jego zuchwalstwo wobec ludzi, "którzy mu byli najlepszymi przyjaciółmi w potrzebie". Panowie Glegg i Deane mieli poglądy na tę sprawę mniej surowe, lecz i oni uważali, iż Tulliver dość już narobił kłopotów przez swój upór i zapalczywość i teraz, kiedy mu ktoś proponuje zarobek, powinien o tym wszystkim zapomnieć. Wakem zachował się w całej sprawie przyzwoicie - on nie ma pretensji do Tullivera. Tomek był

przeciwny rozważaniu tej propozycji; nie chciał, żeby ojciec pracował dla Wakema; uważał, że będzie to wyglądało na brak dumy i godności. Matka jednak rozpacziała najbardziej nad tym, że przecież nie ma najmniejszych nadziei, by pan Tulliver "przestał myśleć, co myśli o panu Wakem" czy żeby wysłuchał głosu rozsądku - nie, nic z tego, będą musieli wszyscy zamieszkać w chlewie, żeby zrobić na złość Wakemowi, który złożył im propozycję, "że nikt nie mógł uczciwiej", doprawdy, w umyśle pani Tulliver panował tak straszny zamęt pod wpływem nieogarniętego nieszczęścia, od którego odwoływała się leustannie pytając: "Mój Boże, co ja takiego zrobiłam, żeby zasłużyć 1 ;os.Sorszy niż mają inne kobiety" - że Madzia zaczęła podejrzewać, iż biedna matka traci rozum.

- Tomku - zwróciła się do brata, kiedy byli we dwójkę sami - nim ojciec zejdzie na dół, musimy jeszcze spróbować wytłumaczyć ./cnoć trochę, co się stało. Ale matkę trzeba usunąć. Powie coś dzie nieszczęście. Niech Kezia ściągnie ją na dół i zajmie czymś przy Kucnni

KSIĘGA TRZECIA

302

Kezia stanęła na wysokości zadania. Oświadczyła, iż pozostanie, dopóki jej pan nie wróci do zdrowia, "pensja nie pensja". Znalazła sobie jednak pewną rekompensatę, w tym mianowicie, że silną ręką kierowała swoją panią, łajac ją za to, że "rozpacza jak nie wiadomo co", chodzi przez okragły dzień w jednym i tym samym czepku i wygląda na doszczętnie zlaną. Wszystko razem biorąc- ów okres kłopotów był dla Kezi czymś w rodzaju Saturnalii - mogła łajac swych pracodawców swobodnie i bez konsekwencji²¹. W tym szczególnym wypadku trzeba było przynieść do domu suszącą się bieliznę - Kezia pragnęła się dowiedzieć, czy jedna para rąk wystarczy na całą robotę w domu i poza domem; zauważyła też, że jej zdaniem dobrze by pani Tulliver zrobiło, gdyby tak włożyła coś na głowę i odetchnęła trochę świeżym powietrzem wykonując przy tym coś pożytecznego. Biedna pani Tulliver zesłała pokornie na dół; wysłuchiwanie rozkazów służącej było resztką jej gospodarskich przywilejów, wkrótce bowiem nie będzie miała nawet służącej, która by ją mogła łajac. Pan Tulliver odpoczywał chwilę w fotelu po wysiłku, jaki sprawiło mu ubieranie. Madzia i Tomek siedzieli przy nim, kiedy wszedł Łukasz pytając, czy może pomóc panu zejść na dół.

- Chodźże tu, Łukaszu, poczekaj chwilę. Usiądź - powiedział młynarz wskazując laską na krzesło i spoglądając na Łukasza uporczywie, jak często patrzą rekonwalescenci na tych, którzy ich doglądali; przypominają w tym dziecko rozglądające się za niańką. Łukasz bowiem stale czuwał nad swoim panem w nocy.

- Jak tam woda, Łukaszu? - zapytał młynarz. - Dix nie zatkał się znowu, co?

- Nie, proszę pana, wszystko jest dobrze.

- Tak myślałem; nie będzie mu do tego spieszno, teraz kiedy Riley go uspokoił. Właśnie to powiedziałem wczoraj Rileyowi.- - Mówiłem ...

²¹ Saturnalia - doroczne święto obchodzone w Rzymie ku czci Saturna; było ono świętem pojednania i równości. Niewolnicy zasiadali wtedy do stołu wraz z panami, którzy im usługiwali.

ROZDZIAŁ VIII

303

Pan Tulliver pochylił się ku przodowi, łokcie oparł na poręczach fotela i wpatrywał się w podłogę, jakby czegoś tam szukał - walczył z mgłą zacierającą obrazy, tak jak człowiek walczy z ogarniającą go sennością. Madzia z niemą rozpaczą spojrzała na Tomka - świadomość ojca daleka była od terażniejszości, która za chwilę wmiesza się w te majaki. Tomek miał ochotę uciec stąd, popychany niecierpliwością płynącą z bólu, która stanowi jedną z różnic pomiędzy chłopakiem i dziewczyną, mężczyzną i kobietą.

- Tatusiu - powiedziała Madzia kładąc rękę na dłoni ojca - nie pamiętasz, że pan Riley nie żyje?

- Nie żyje? - ostro zapytał młynarz spoglądając na córkę dziwnym badawczym wzrokiem.

- Tak, umarł na apopleksję prawie rok temu. Pamiętam, jak mówiłeś, tatusiu, że musisz coś za niego zapłacić. Zostawił też swoje córki w biedzie - jedna z nich jest pomocnicą nauczycielki na pensji panny Firniss, gdzie ja byłam, pamiętasz?

- Tak? - rzekł ojciec z powątpiewaniem, wciąż jeszcze patrząc w jej twarz. Natychmiast jednak, kiedy Tomek zaczął mówić, odwrócił się ku niemu z tym samym pytającym spojrzeniem, jakby był nieco zdziwiony obecnością tych dwojga młodych. Za każdym razem, kiedy myśli jego wracały w daleką przeszłość, twarze jego dzieci zapadały w niepamięć - bo nie były to twarze chłopczyka i małej dziewczuszki, które należały do owej przeszłości.

- Dużo już czasu upłynęło od sporu tatusia z Dixem - tłumaczył lomek. - Pamiętam, jak tatuś mówił o tym trzy lata temu, zanim zedłem do szkoły do pana Stellinga. Byłem przez trzy lata w szkole²², pamięta tatuś?

Pan Tulliver przechylił się znowu do tyłu; przestał teraz patrzeć na tak dziecinnie, gdyż natłok nowych myśli zamknął przystęp zewnętrznym wrażeniom.

od <JJy ata w szkok - to informacja nieścista; naprawdę Tomek był tam od czerwca 1829 do listopada 1831.

304 KSIĘGA TRZECIA

- Tak, tak ... - powiedział po dłuższej chwili - zapłaciłem za to grube pieniądze ...

Postanowiłem, że mój syn dostanie dobrą edukację - ja tam żadnej nie miałem i zawsze mi tego brakowało. Niepotrzebny mu będzie inny majątek, prócz tego jednego, powiadam ... jeżeliby Wakem miał być znowu górą ...

Myśl o Wakemie wywołała nowe skojarzenia. Po chwili ciszy młynarz zaczął spoglądać na surdut, który miał na sobie, i szukać czegoś w bocznej kieszeni. Potem zwrócił się do Tomka i dawnym, ostrym głosem zapytał:

- Gdzie położyli list Gore'a?

List był pod ręką, w szufladzie, bo chory dawniej często o niego pytał.

- Czy tatuś wie, co jest w tym liście? - zapytał Tomek podając papier ojcu.

- Wiem dobrze - odpowiedział młynarz nieco gniewnie. - I co z tego? Jeżeli Furley nie może wziąć młyna i ziemi, to weźmie kto inny. Na świecie jest dużo ludzi, nie jeden Furley. Sprawa się przedłuża ... ja źle się czułem ... idź no, Łukasz, i powiedz, żeby założyli konia do gigu: mogą doskonale jechać do miasta, Gore na mnie czeka.

- Nie, tatusiu kochany! - wykrzyknęła Madzia błagalnie.

- Od tamtych wypadków wiele już czasu upłynęło. Był tatuś chory przez długie tygodnie ... ponad dwa miesiące ... wszystko się zmieniło.

Zdumionym spojrzeniem obrzucał pan Tulliver całą trójkę po kolei; myśl, że wiele się wydarzyło, a on o tym nie wie, nawiedzała go czasem przelotnie, lecz w tej chwili była dla niego całkowitą nowością.

- Tak, tatusiu - odpowiedział na jego spojrzenie Tomek.

- Póki tatuś całkiem nie wydobrzeje, nie potrzebuje się kłopotać o interesy: wszystko zostało tymczasowo ustalone w sprawie młyna, ziemi i długów.

- Co zostało ustalone? - zapytał ojciec gniewnie.

- Niech się pan tak bardzo nie przejmuje - wtrącił się Łukasz.

- Jakby pan mógł, toby wszystkich popłacił, mówiłem to paniczowi, mówiłem, że jakby pan mógł, toby wszystkich popłacił.

ROZDZIAŁ VIII

305

Pocciwy Łukasz, jak się zdarza u ciężko pracujących, pogodzonych z losem ludzi, którzy całe życie spędzili na służbie, wrósł w ten dom głęboko, z korzeniami, toteż upadek pana był dla niego osobistą tragedią. Na swój prosty sposób czuł, że musi powiedzieć coś, co będzie świadectwem jego udziału w rodzinnym bólu, a te słowa miał od dawna na języku, powtarzał

je bowiem nieraz Tomkowi odmawiając przyjęcia pięćdziesięciu funtów z pieniędzy dzieci. Te właśnie słowa najboleśniej przykuły uwagę zdumionego młynarza.

- Spłacić wszystkich?- zapytał poruszony gwałtownie; twarz oblał mu rumieniec, a oczy zabłysły. - Co ... co ... czy mnie ogłosili bankrutem?

- Och, tatusiu, tatusiu! - zawołała Madzia, która uważała, że to straszne słowo jest najwłaściwszym odpowiednikiem rzeczywistości.

- Tatusiu, musisz to znieść ... bo my cię kochamy ... my, twoje dzieci, zawsze będziemy cię kochać. Tomek ich spłaci wszystkich, mówi, że spłaci, jak tylko dorośnie.

Czuła, że ojciec zaczyna się trząść - a i głos mu drżał, kiedy odezwał się po chwili:

- Tak, moja dziewczusko, ale ja nie będę żył po raz drugi.

- Ale może tatuś dożyje chwili, kiedy zobaczy, że spłaciłem wszystkich - Tomek mówił z dużym wysiłkiem.

- Cóż, mój chłopcze - pan Tulliver wolno potrząsał głową - co się raz stłukło, to już całe nie będzie; ty ich spłacisz, nie ja. - A potem spoglądając na syna dodał: - Masz dopiero szesnaście lat ... nierówna to dla ciebie walka ... ale nie możesz zrzucić winy na swego ojca. Za dużo było łajdactwa na jego siły. Dałem ci dobre wykształcenie łatwiej ci będzie zaczynać.

Ostatnie słowa wymówił niewyraźnie, jakby go coś dławiło za gardło; rumieniec, który tak przeraził dzieci, gdyż zwykle bywał oznaką powracającego paraliżu, ustąpił teraz i twarz młynarza była biała i drżąca. Tomek milczał; wciąż jeszcze walczył z chęcią ucieczki, 'jciec siedział spokojnie kilka chwil, lecz myśli jego nie rozpierchnęły się tym razem.

- Więc mnie wyprzedali? - zapytał spokojnie, jakby chciał po Prostu wiedzieć, co się stało.

306 KSIĘGA TRZECIA

- Wszystko jest sprzedane, tatusiu, ale o młynie i o ziemi nic jeszcze nie wiemy - odparł Tomek pragnąc uniknąć wszelkich pytań prowadzących do odpowiedzi, że kupcem jest Wakem.

- Nie dziw się, tatusiu, jak zobaczysz, że pokój jest bardzo ogołocoony na dole- mówiła Madzia. - Ale został twój fotel i biurko.

- Chodźmy na dół, pomóż mi, Łukaszu. Pójdę i wszystko obejrzę. - Pan Tulliver wsparł się na swej lasce, drugą rękę wyciągając do Łukasza.

- Oj, panie - mówił Łukasz podając młynarzowi ramię - jak pan wszystko obejrzy, to i lżej panu będzie. Przywyknie pan do tego. Tak powiada moja matka, co ma krótki oddech - mówi, że już się z nim zżyła, chociaż na początku rady sobie dać nie mogła.

Madzia pobiegła przodem zobaczyć, czy wszystko jest przygotowane w posępnej bawialni, gdzie ogień, przyćmiony mroźnym słońcem, wydawał się jakby jeszcze jednym świadectwem panującego tu ubóstwa. Odsunęła fotel ojcowski i przesunęła stół, by chory łatwiej mógł przejść: stanęła potem i z bijącym sercem czekała, aż wejdzie i rozejrzy się po raz pierwszy. Tomek wyprzedził ojca, niosąc podnózek, i stanął koło Madzi przy kominku. Z nich dwojga serce chłopca przeszywał ostrzejszy ból, bo Madzi, mimo dużej wrażliwości, wydawało się, że przez to cierpienie więcej ma teraz w sercu miejsca na miłość, a namiętna jej natura znajdowała w tym bólu pożywkę. Prawdziwy chłopak nie odczuwa nic podobnego - wolałby zabić nemejskiego lwa²³ czy dokonać wielu bohaterskich czynów, niż znosić ciągle odwoływanie się do swej litości, ponieważ dokonało się zło, którego zwyciężyć nie jest w stanie.

Pan Tulliver zatrzymał się w progu, wsparty na ramieniu Łukasza, i rozglądał się po pustych kątach - dla niego pełnych cieni przedmiotów, które odeszły - codziennych towarzyszy jego życia. Wydawało się, że odzyskuje władze umysłowe, znajdując oparcie w tym namacalnym dowodzie wszystkiego, co zaszło.

²³ nemejski lew (mit. gr.) - groźny, odporny na strzały łuku i ciosy czugą lew w dolinie Nemei, którego zadusił Herakles.

ROZDZIAŁ VIII

307

- Tak - mówił powoli, ruszając ku fotelowi - wyprzedali mnie ... wyprzedali ...

Potem usiadł, odłożył laskę, a kiedy Łukasz wyszedł z pokoju, rozejrzał się wokół.

- Zostawili wielką Biblię. Wszystko tam w niej jest ... kiedy się urodziłem i ożeniłem²⁴ ... przynieś mi ją, Tomku.

Położono przed nim Biblię otwartą na pierwszej, białej karcie. Kiedy młynarz czytał, wolno przesuając wzrok od słowa do słowa, pani Tulliver weszła do pokoju i stanęła w milczącym zdumieniu, widząc męża już na dole, a przed nim ogromną Biblię.

- Tak - mówił patrząc na miejsce, które wskazywał palcem - mojamatka nazywała się z domu Margaret Beaton ... umarła, kiedy miała czterdzieści siedem lat ... w tej rodzinie nie żyli długo ... a myśmy w nią się wdali - Gritty i ja ... niedługo już pójdziemy na ostatni spoczynek.

Zatrzymał się nad notatką o urodzinach i ślubie siostry, jakby mu to podsunęło jakąś nową myśl. Nagle spojrzął na Tomka i zapytał ostrym, przerażonym głosem:

- Nie szarpali chyba Mossów o te pieniądze, co im pożyczyłem?

- Nie, ojcie - odparł Tomek. - Weksel został spalony. Pan Tulliver znowu spojrzął na stronicę i po chwili powiedział:

- Ach ... Elżbieta Dodson ... osiemnaście lat mija od naszego ślubu.

Będzie osiemnaście na Zwiastowanie²⁵ - powiedziała pani

podchodząc do niego i patrząc na stronicę. Mąż spojrzął poważnie w jej twarz.

Na pierwszej, nie zadrukowanej karcie rodzinnej Biblii, pozostawianej fwykłe najstarszemu synowi, wpisywano w rodzinach anglikańskich informacje o ślubach, narodzinach i zgonach członków rodziny.

. osiemnaście na Zwiastowanie - jedna z wielu nieścisłości autorki w dzie- zinie dat. W ks. I (początek rozdz. VIII) jest informacja, że młynarzowa jest |CŻna od trzynastu lat. Był wtedy kwiecień 1829, obecnie zaś styczeń 1832, I l"Verowie są więc małżeństwem od około szesnastu lat. Upływ czasu jest na ogół zaznaczany w powieści nieprecyzyjnie.

308 KSIĘGA TRZECIA

- Biedna Bessy, jakież z ciebie była ładna dziewczucha! Wszyscy to mówili ... nieraz później myślałem, że mało kto tak dobrze się trzyma jak ty. Aleś się teraz postarzała ... nie miej do mnie żalu ... chciałem dla ciebie jak najlepiej ... przysięgaliśmy sobie na dobre i na złe czasy.

- Ale nigdy nie myślałam, że będą aż tak złe - mówiła pani Tulliver patrząc nań tym dziwnym, spłoszonym, nowym u niej spojrzeniem - i mój biedny ojciec mnie wydawał²⁶ ... i żeby tak nagle do tego dojść ...

- Mamusiu - zawołała Madzia - nie mów tak!

- O, wiem, że nie pozwolicie mówić waszej biednej matce, tak było przez całe życie ... wasz ojciec nigdy nie zwracał uwagi na moje słowa ... nic by nie przyszło, gdybym go nawet na kolanach o coś błagała ... i teraz też na nic by się to zdało ...

- Nie mów tak, Bessy - odezwał się młynarz, którego duma w tych pierwszych chwilach upokorzenia ustąpiła wobec poczucia pewnej słuszności słów żony. - Jeżeli jest jeszcze coś, czym mógłbym ci to wszystko wynagrodzić, to ci nie odmówię.

- No więc, moglibyśmy tu zostać i zarobić na życie, i ja mogłabym się pokazywać między siostrami ... przecież byłam ci dobrą żoną i nie sprzeciwiałam się nigdy, jak tydzień długi, co chciałeś, to robiłeś ... wszyscy tak mówią ... i tak byłoby najlepiej, tylko że ty jesteś taki zawzięty na tego Wakema.

- Mamo - przerwał jej ostro Tomek - teraz nie czas o tym mówić.

- Niech mówi - rzekł pan Tulliver. - Powiedz, czego chcesz, Bessy.

- No, teraz, kiedy młyn i ziemia należą do Wakema i on trzyma wszystko w swoich rękach, co ci przyjdzie z tego, że się przeciwko niemu zawęczmiesz? A on chce, żebyś tutaj został, i powiada, najprzy- zwoiciej jak można, że możesz zarządzać wszystkim i dostaniesz za to

26 ojciec mnie wydawał - aluzja do ceremonii ślubu w kościele anglikańskim, gdzie pannę młodą prowadzi do ołtarza ojciec i tam oddaje J3 czekającemu już panu młodemu.

ROZDZIAŁ IX

309

trzydzieści szylingów tygodniowo i konia do jazdy na targ. A gdzie my mamy głowy położyć? ... Musimy iść do jakiejś chałupy wiejskiej ... ja i moje dzieci! Żeby do tego dojść! ... A wszystko dlatego, żeś się zawział przeciwko innym i nie można cię było od tego odmówić! Pan Tulliver osunął się w fotel, drżąc cały.

- Możesz ze mną robić, co chcesz, Bessy - powiedział cicho. - Ja cię doprowadziłem do biedy ... ten świat nie dla takich jak ja ... bankrut ze mnie ... nie ma już teraz po co podnosić się z łóżka.

- Tatusiu - odezwał się Tomek - ja nie zgadzam się z mamą i z wujami i nie uważam, że tatuś powinien ulec i pracować dla Wakema. Zarabiam teraz funta tygodniowo, a tatuś, jak wydobrzeje, może sobie czegoś innego poszukać.

- Nie mów już nic, synu, nie mów nic; mam dość na dzisiaj. Chodź no, pocałuj mnie, Bessy, nie miejmy żalów do siebie. Nigdy już nie będziemy młodzi ... ten świat to dla mnie za dużo.

ROZDZIAŁ IX

NOWA POZYCJA W REJESTRZE RODZINNYM

Po pierwszym momencie rezygnacji i uległości nastąpił w sercu młynarza okres gwałtownej walki; stopniowy powrót sił fizycznych Pociągał za sobą rosnącą zdolność obejmowania jednym rzutem oka skomplikowanej rzeczywistości, w jakiej się znalazł. Człowiek słaby łatwo pozwala się spętać; powaleni chorobą jesteśmy przekonani, że wypełnimy przyrzeczenia, które, po powrocie dawnych sił, natychmiast łamiemy. Były okresy, kiedy biedak uważał, iż dotrzymanie obietnicy danej Bessy przechodzi ludzkie siły; przyrzekł, że spełni jej prośbę, nie wiedząc, o co go żona poprosi, mogła równie dobrze chcieć, żeby dźwigał na plecach całe tony. Lecz istniały inne względy Przemawiające na rzecz młynarzowej, oprócz świadomości, że małżeń-

KSIĘGA TRZECIA

310

stwo przyniosło jej tyle zgryzot - a mianowicie możliwość spłacenia wierzycielom pozostałej części długu. Oczywiście rodzina musiałaby żyć bardzo oszczędnie i zacisnąć pasa. Poza tym niełatwo byłoby mu znaleźć inną odpowiednią pracę. Wiódł dotychczas życie łatwe, wiele rozkazując, niewiele pracując i nie potrafiłby poprowadzić żadnego innego interesu.

Prawdopodobnie musiałby się najać do pracy jako robotnik, a Bessy byłaby zmuszona przyjmować pomoc od swych sióstr - ta myśl bolała go podwójnie teraz, kiedy tamci pozwolili na wyprzedaż wszystkich najcenniejszych rzeczy jego żony, prawdopodobnie w tym celu, aby ją nastawić przeciwko niemu, pokazując dowodnie, do czego ją przywiódł. Wysłuchiwał ich napomnień i pouczeń, kiedy przychodzili mu tłumaczyć, co powinien zrobić przez wzgląd na biedną Bessy, lecz odwracał od nich wzrok, a kiedy stali do niego tyłem, rzucał na nich ukradkiem ostre spojrzenia. Tylko strach, że mógłby potrzebować ich pomocy, sprawiał, że to, co doradzali, wydawało mu się lepsze.

Najsilniejszym jednak argumentem za wypełnieniem obietnicy była miłość młynarza do tych starych kątów, po których biegał będąc małym chłopcem, tak jak później Tomek. Od wielu pokoleń w młynie zamieszkiwali Tulliverowie, a sam młynarz często siadywał na stołeczku w zimowe wieczory i słuchał, jak ojciec opowiada o drewnianym młynie, który stał na tym miejscu, dopóki go nie zniszczyły ostatnie wielkie powodzie, tak że dziadek musiał go rozebrać i zbudować nowy. Kiedy młynarz zaczął samodzielnie chodzić i oglądać stare przedmioty, poczuł, że to mocne przywiązanie do sędziwego domu jest jakby częścią składową jego własnego życia, częścią jego samego. Nie mógł sobie wyobrazić siebie mieszkającego w jakimkolwiek innym miejscu, a nie tutaj, gdzie znał skrzyp każdej furtki,

każdych drzwi i gdzie kształt i kolor każdego dachu i każdego zacieku, każdego urwistego pagórka wydawał mu się najpiękniejszy na świecie, gdyż tą barwą karmiły się jego rozwijające się zmysły. Nasze uczone zamięłowania do włóczęgi nie pozwalają nam wylegiwać się pod żywopłotami, lecz pędzą do krajów tropikalnych i każą czuć się jak w domu wśród palni i fikusów. Takie zamięłowania, karmione książkami podróżniczym

ROZDZIAŁ IX

311

sięgające wyobraźnią gdzieś, aż po rzekę Zambezi, nie mogą pozwolić człowiekowi na wyobrazenie sobie choćby w przybliżeniu tego, co taki staroświecki jegomość jak pan Tulliver mógł czuć do swego starego domu²⁷, w którym skupiały się wszystkie jego wspomnienia i gdzie życie wydawało mu się znanym narzędziem o wygładzonej rączce, na której palce zaciskają się z radosną łatwością. A teraz właśnie obracał się pośród najdawniejszych wspomnień, które zawsze napływają nową falą podczas biernych godzin rekonwalescencji.

- Wiesz, Łukaszu - odezwał się pewnego dnia spoglądając na bramę do sadu - pamiętam dzień, w którym sadzono te jabłonie. Ojciec ogromnie lubił sadzić: wóz pełen młodych drzew to była dla niego zabawa. A ja stałem zwykle przy nim na zimnie, bo chodziłem za ojcem wszędzie jak pies.

Potem obrócił się i wsparty o słup bramy spojrzął na budynki stojące naprzeciw.

- Stary młyn będzie chyba za mną tęsknił, Łukaszu. Mówią, że woda się gniewa, jak młyn zmienia właściciela - słyszałem to nieraz od ojca. Nie wiadomo, może i jest w tym co prawdy, bo osobliwy jest ten świat, a Lucyfer macza w tym palce ... za dużo dla mnie tego wszystkiego.

- Oj, proszę pana - odparł Łukasz z kojącym współczuciem a co powiedzieć o rdzy pszenicy, o pożarach stogów, ile ja się tego napatrzyłem w życiu. Często to i śmiesznie wygląda: na przykład tłuszcz od szynki z naszej ostatniej świni tak się burzy jak masło: zostają same zgręzy.

- Wydaje się, jakby to było wczoraj - ciągnął pan Tulliver - kiedy mój ojciec zabrał się do sadownictwa. Pamiętam dzień, kiedy

7 Narrator wielokrotnie podkreśla dystans między czasem akcji a czasem irracji, wskazując na zmiany w stylu życia i poglądach ludzkich. Tu Pokładem zmian jest stosunek do podróży w Anglii. W ciągu trzydziestolecia ?- 0-- 1860 podróże upowszechniły się ogromnie: krajowe - dzięki utworzeniu sieci linii kolejowych (pierwsza, łącząca Liverpool i Manchester, otwarta ostała w roku 1830), zamorskie - ze względu na dynamiczny wzrost liczby Kolonii oraz ich intensywnej eksploatacji ekonomicznej.

27 BN H/234 G. Eliot: Młyn nad Flossą

ukończyli budowę słodowni. Rozumiałem, że musi to być wielka jakaś rzecz, bo mieliśmy pudding śliwkowy tego dnia i odświętne jedzenie. Powiedziałem wtedy do matki ... piękna to była kobieta, miała czarne oczy, nasza dziewczuszka będzie kubek w kubek taka sama - tu pan Tulliver wsadził kij między kolana i, aby jeszcze bardziej smakować opowiadanie, wyciągnął z kieszeni tabakierkę. Mówił urywkami, jakby opowiadanie przerywała mu co chwila wizja przeszłości. - Byłem wtedy mały, nie dorastałem matce do kolan. Ona bardzo nas kochała, Gritty i mnie - no, więc powiedziałem jej: "Mamo, czy co dzień będziemy jedli pudding śliwkowy dzięki tej słodowni?" Powtarzała mi to potem aż do śmierci. Młoda z niej była jeszcze kobieta, kiedy umierała. Już ze czterdzieści lat z hakiem, odkąd wykończyli budowę słodowni, a nie było dnia, żebym się na nią nie popatrzył, od razu z samego rana, w każdą pogodę, jak rok długi. Na nowym miejscu to ja stracę głowę. Będę się czuł, jakbym drogę zgubił. Trudna to sprawa; z której strony nie patrzeć i tak chomąto będzie mi kark obcierać, ale jednak pociągnie się łatwiej ten ciężar po starej drodze niż po nowej.

- Tak, tak, panie - przytaknął Łukasz. - Lepiej by panu było tutaj niż na jakimś nowym miejscu. Ja to nie lubię nowych miejsc
- wszystko tam jest zawsze nieporęczne: wozy mają koła osadzone wąsko, aż dziwno, przełazy w ogrodzeniach są całkiem inne, a niektórzy, tam, bliżej źródeł Flossy, to pieką placki z owsa. Niedobra to rzecz ruszać się ze swych stron.
- Ale myślę, Łukaszu, że będą chcieli pozbyć się Bena i żebyś ty z parobkiem dał radę całej robocie - no i ja musiałbym trochę pomóc we młynie. Ciężej ci będzie.
- Nie szkodzi, panie - odparł Łukasz. - Co mi tam! Byłem przy panu dwadzieścia lat. Taki kawał czasu nie przeleci na gwizdnięcie. Drzewa pan też nie zmusi, żeby szybciej rosło - trzeba czekać, aż Bog Wszechmogący lata ześle. Nie lubię nowego jądła i nowych twarzy
- nigdy nie wiadomo, czy one człowiekowi nie zaszkodzą.

Po tej rozmowie spacer zakończył się w milczeniu, Łukasz bowiem tak dokumentnie wypowiedział, co myśli, że wyczerpał całkowicie

ROZDZIAŁ IX

313

swoje możliwości konwersacyjne. Pan Tulliver zaś po owych wspomnieniach pogrążył się w bolesnych rozważaniach, którą ze stojących przed nim przykrych możliwości powinien wybrać. Madzia zauważyła, że tego dnia przy herbacie błędził myślami gdzieś bardzo daleko, a potem siedział pochylony do przodu w fotelu wpatrzony w podłogę i poruszał wargami, potrząsając od czasu do czasu głową. Po chwili spojrział twardo na żonę, która siedziała naprzeciw niego z robótką, a Madzia, pochylona nad swoim szyciem, była pewna, że w umyśle ojca rozgrywa się jakiś dramat. Nagle młynarz ujął pogrzebacz i gwałtownie rozbił leżący kawał węgla.

- Wielkie nieba! A o czymże ty myślisz! - zawołała zdumiona młynarzowa podnosząc wzrok.
- To marnotrawstwo rozbijać węgiel, zwłaszcza że niewiele już mamy dużych kawałków, a nie wiem, skąd weźmiemy więcej.
- Wydaje mi się, że gorzej się dzisiaj czujesz, tatusiu, prawda? - zapytała Madzia. - Taki jesteś niespokojny.

- Dlaczego Tomka jeszcze nie ma? - zapytał niecierpliwie młynarz.

- Co? Czyżby już był czas na niego? Muszę iść i przygotować mu kolację - pani Tulliver odłożyła robótkę i wyszła z pokoju.

- Jest prawie pół do dziewiątej - powiedział młynarz. - Niedługo wróci. Idź, idź, przynieś mi dużą Biblię i otwórz ją na pierwszej stronie, tam gdzie wszystko jest zapisane. I przynieś pióro i atrament.

Madzia usłuchała ze zdziwieniem, ojciec jednak nie dawał jej żadnych dalszych rozkazów i czekał tylko, nasłuchując kroków Tomka na zwirowie, wyraźnie zdenerwowany szumem wiatru, który właśnie się porwał i huczał, głusząc wszelkie inne dźwięki. W oczach młynarza płonęło jakieś dziwne światło, które przeraziło Madzie teraz i ona zapragnęła, by Tomek już wrócił.

- O, jest- powiedział z lekkim podnieceniem pan Tulliver, kiedy reszcie rozległo się pukanie.

Madzia wstała, by otworzyć drzwi, lecz

matka wyszła spieszenie z kuchni, mówiąc:

- Poczekaj, Madziu, ja sama otworzę.

27

KSIĘGA TRZECIA

314

Pani Tulliver zaczęła się odrobinę lękać swego syna, lecz była zazdrosna o każdą przysługę, jaką mu wyświadczał ktoś inny.

- Kolacja gotowa w kuchni, synku - mówiła, kiedy zdejmował płaszcz i kapelusz. - Możesz ją zjeść sam, jeśli chcesz. Nie będę się do ciebie odzywała.

- Zdaje mi się, że tatuś chce się zobaczyć z Tomkiem - wtrąciła Madzia. - Musisz pójść najpierw do bawialni.

Tomek wszedł, a na jego twarzy malował się wyraz smutku, jaki zawsze na niej gościł wieczorem; wzrok jego padł natychmiast na otwartą Biblię i kałamarz. Ze zdumieniem i niepokojem spojrzął na ojca, który mówił:

- Chodź, chodź, późno wróciłeś. Jesteś mi potrzebny.

- Czy coś się stało, tatusiu? - zapytał Tomek.

- Siadajcie, siadajcie wszyscy - rozkazał pan Tulliver stanowczo. - A ty, synu, siadaj tutaj. Chcę, żebyś mi coś zapisał w Biblii.

Usiedli wszyscy troje, spoglądając na ojca. Ten zaczął mówić powoli patrząc najpierw na żonę:

- Zdecydowałem się, Bessy, i dotrzymam słowa, które ci dałem. W tym samym grobie będziemy leżeli i żadne z nas nie może mieć do drugiego żalu. Zostanę na dawnym miejscu i będę służył Wakemowi ... służył mu jak człowiek uczciwy. Są tylko uczciwi Tulliverowie, zapamiętaj to sobie, synu - tu głos jego zabrzmiał mocniej. - Mogą mi zarzucać, że splącam długi w ratach, ale to nie z mojej winy, ale dlatego, że lotry są na tym świecie. Za dużo ich na mnie było i musiałem im ulec. Włożę głowę w jarzmo, bo możesz słusznie powiedzieć, że cię doprowadziłem do biedy, Bessy, i będę służył Wakemowi jak człowiek uczciwy i jakby on nie był lotrem. Jestem człowiek uczciwy, chociaż już nigdy nie będę mógł nosić wysoko głowy - jak drzewo złamane ... jak drzewo złamane.

Przerwał i spojrzął na ziemię. A potem podniósł nagle głowę i powiedział głośniejszym i dobitniejszym tonem:

- Ale mu nie przebaczę! Wiem, co powiadają, że on nigdy nie chciał mojej krzywdy - tak właśnie Lucyfer pomaga łajdakom - krył się na dnie każdej sprawy - ale on jest pan całą gębą - znam to

ROZDZIAŁ IX

315

wszystko, znam. Nie powinienem był iść do sądu, powiadają. Ale czyja to sprawka, że nie było arbitrażu i nie mogłem dojść sprawiedliwości? To dla niego fraszka, wiem dobrze. On jest jeden z tych wielkich panów, co to się dorabiają na biedniejszych ludziach, a kiedy ich doprowadzą do nędzy, to im potem okazują miłosierdzie. Nie przebaczę mu. Chciałbym, aby spadła na niego hańba takiej kary, żeby go własny syn pragnął zapomnieć. Chciałbym, żeby zrobił coś, za co by go skazali na ciężkie roboty. Ale on nic takiego nie zrobi- to za wielki łobuz, żeby się dał złapać! I pamiętaj, Tomek: ty mu też nigdy nie przebaczysz, jeżeli naprawdę chcesz być moim synem. Może nadejdzie czas, kiedy mu jeszcze zapłacisz - ja tego nie zdążę zrobić za mojego życia, kładę swoją głowę w jarzmo. A teraz pisz, pisz to w Biblii.

- Co ty mówisz, tatusiu - Madzia przypadła mu do kolan, blada i drżąca. - To grzech przeklinać i chować nienawiść.

- Żaden grzech, powiadam - odparł ojciec zaciekle. - Grzech, że łajdakom powodzi się na tym świecie. To diabelska sprawka. Rób, jak ci mówię, synu. Pisz.

- Co mam pisać? - zapytał Tomek z ponurą uległością.

- Pisz, że twój ojciec, Edward Tulliver, zgadza się pracować pod Janem Wakemem, człowiekiem, który doprowadził go do ruiny. Zgadza się, bo obiecał swej żonie, że wynagrodzi jej, jak tylko będzie mógł, wszystkie zgryzoty, i dlatego, że chciał umrzeć na starych śmieciach, tam gdzie się sam urodził i gdzie urodził się jego ojciec. To wszystko ułóż, żeby było porządnie napisane - rozumiesz - i potem napisz, że ja nie przebaczam Wakemowi tego, co zrobił, i choć będę mu służył uczciwie, życzę mu wszystkiego, co najgorsze. Napisz to.

Panowało głuche milczenie, kiedy pióro Tomka posuwało się po papierze. Młynarzowa miała wystraszoną minę, a Madzia trzęsła się jak liść.

- Przeczytaj, co napisałeś - powiedział młynarz. Tomek czytał głośno i powoli.
Edward Tulliver - niezgodne z informacją wcześniejszą (ks. I, rozdz. III), " młynarz ma na imię Jeremy.

KSIĘGA TRZECIA

316

- A teraz napisz, napisz, że nie zapomnisz, co Wakem zrobił twojemu ojcu, i że jak tylko będziesz mógł, to mu odpłacisz. I podpisz się: Tomasz Tulliver.
- Och, nie, tatusiu! Tatusiu kochany! - wołała Madzia, a strach dławił ją za gardło. - Nie powinienś zmuszać Tomka, żeby to pisał.
- Uspokój się, Madziu - powiedział chłopiec. - Ja to napiszę.

KSIĘGA CZWARTA

DOLINA UPOKORZENIA

ROZDZIAŁ I

ODMIANA PROTESTANTYZMU NIE ZNANA BOSSUETOWI I

Podróżując wzdłuż Rodanu w letni dzień odnieśliście może wrażenie, że nawet słońce posepnieje, gdy patrzy na te ruiny wiosek wytyczających brzeg wzdłuż niektórych odcinków rzeki; mówią nam one, jak szybko musiała kiedyś wezbrać woda, niby gniewny, siejący zniszczenie bóg, który zmiotł bezsilne nieszczęsne pokolenia, a mieszkania ich obrócił w ruinę. Zapewne wrażenie, jakie odnosicie patrząc na posępne resztki zwykłych domów, które w najlepszym swym okresie były tylko symbolem nędznego życia i należą w każdym szczególe do naszej pospolitej epoki, dziwnie kontrastuje z tym, co odczuwacie na widok ruin znad zamczonego Renu², tak harmonijnie skruszonych i wrośniętych w zielone i skaliste zbocza, jak kosówki w górach³; nawet w dniu, w którym te zamki zostały wzniesione, musiały się wtapiać w otoczenie, jakby je budowały ręce ludzi z ziemi

Jacques- Benigne Bossuet (1627-1704) - sławny teolog i kaznodzieja na irze Ludwika XIV francuskiego, autor m.in. opublikowanego w roku 1688 aela omawiającego odmiany protestantyzmu (*Variations des Eglises protes-*
. Amerykański badacz powieści sugeruje, że obrazy romantycznego Renu ozaicznego Rodanu są nie tylko symbolami dwu różnych sposobów życia, e tez dodatkowym wskazaniem, że Flossa użyta jest w powieści jako szeroka metafora ludzkiej egzystencji i jako archetyp (Avrom Fl e i s h m a n, *The rictions of Autobiographical Fiction*, "Genre" 1976, t. IX, s. 80).

KSIĘGA CZWARTA

320

zrodzonych, co odziedziczyli po potężnym rodzicu subtelne wyczucie formy. Cóż to były za romantyczne czasy! Choć owi baronowie- roz- bójnicy byli w pewnym sensie ponurymi zapijaczonymi wielkoludami, mieli jednak w sobie wielkość dzikich zwierząt - przypominali odyńce o kłach, co rwą i szarpia, a nie jakieś tam domowe chrząkacze; przedstawiali siły demoniczne, stojące wiecznie w sprzeczności z pięknem, cnotą i wszelaką delikatnością życia - na obrazach kontrastowali świetnie z wędrownymi bardami, księżniczkami o miękkich ustach, pustelnikami i lękliwymi Izraelitami. Były to czasy barw, kiedy promienie słoneczne padały na lśniącą stal i trzepoczące chorągwie, czasy przygód i zaciekłych walk - więcej - czasy żywej sztuki religijnej i religijnych uniesień; czyż bowiem nie budowano wówczas katedr i czyż wielcy władcy nie opuszczali swych zachodnich pałaców, by umrzeć pod twierdzami niewiernych na świętym Wschodzie?⁴ Dlatego właśnie te zamki nad Renem przejmują mnie tchnieniem poezji; należą do wielkiego okresu historycznego i przed moimi oczyma rysują obraz epoki. A te kanciaste szkielety wiosek nad Rodanem, o martwej barwie i

pustych oczodołach, nasuwają mi przygnębiającą myśl, że ludzkie życie - a przynajmniej wielka jego część - to ograniczona, ohydna, przyziemna egzystencja, której nawet nieszczęście nie uszlachetni, lecz, przeciwnie, ukaże w całej nagiej pospolitości jej założeń; i mam okrutną pewność, że istnienia, których te ruiny są śladem, przedstawiają tylko ułamek ogólnej liczby anonimowych istot, której pójda w taką samą niepamięć, w jaką poszły pokolenia mrówek i bobrów.

Może odnieśliście takie właśnie przygnębiające wrażenia obserwując staroświeckie życie rodzinne nad brzegami Flossy, życie, którego nawet nieszczęście nie może dźwignąć nad poziom tragikomedii- Nędzne- mówicie sobie - jest owo życie Tulliverów i Dodsonów, nie rozjaśnione żadnymi wzniosłymi zasadami, żadną wizją romantyczną, żadną czynną, pełną samowyrzeczenia wiarą, życie, którego nie

4 Aluzja do wojen krzyżowych XI- XIII w., które miały na celu wyzwolenie Ziemi Świętej z rąk Arabów.

ROZDZIAŁ I

321

porusza dzika, niepoahamowana namiętność, tworząca mroczne cienie nieszczęścia i zbrodni; życie, w którym nie ma zwykłej, surowej prostoty nędzy, tej ciężkiej, uległej, źle płatnej pracy, tego dziecięcego odczytywania pisma natury, które życiu chłopu przydaje poetyczności. Tu są tylko konwencjonalne pojęcia i zwyczaje, bez żadnych upiększeń, bez blasku - z pewnością najbardziej prozaiczny rodzaj życia: duma i godność w niemodnym gigu, światowość bez wyszukanych przystawek. Przyglądając się tym ludziom z bliska, nawet kiedy żelazna ręka nieszczęścia zerwała ich nie podawane nigdy w wątpliwość związki ze światem, niewiele się tam można dopatrzeć śladów religii, a jeszcze mniej - wyraźnie chrześcijańskiej wiary. Nawet jeśli okazują wiarę w rzeczy niewidzialne, robią to w sposób pogański; zasady moralne, choć surowo przestrzegane, nie są niczym więcej jak zwyczajem przekazywanym z pokolenia na pokolenie. Nie moglibyście żyć pośród takich ludzi - dławi was brak, choćby w dalekiej perspektywie, widoku rzeczy wielkich, pięknych czy szlachetnych; denerwują was ci nudni ludzie, tak jakby stanowili jakiś gatunek będący w dysharmonii z ziemią, na której żyją - z tą żyzną równiną, przez którą po wszystkie czasy będzie płynąć wielka rzeka, łącząca drobne tętno życia starej angielskiej mieściny z uderzeniami potężnego serca świata. Płomienny przesąd, który biczem chłoszcze własnych bogów lub własny grzbiet, bardziej by odpowiadał tajemniczości ludzkich losów, niż stan umysłowy tych mrówkom podobnych Dodsonów i Tulliverów.

Zgadzam się, że ograniczoność tych ludzi wprost przytłacza; lecz konieczne jest, żebyśmy ją odczuli, jeżeli chcemy zrozumieć, jaki miała wpływ na losy Madzi i Tomka - jaki miała wpływ w ciągu wielu pokoleń na młode istoty, które w naturalnym dążeniu naprzód wyrastały ponad poziom umysłowy poprzedniego pokolenia, a mimo

był z nim najmocniej zespolone sercem. Cierpienia, czy to

jstoty, które [...] wyrastały ponad poziom umysłowy poprzedniego poko- zaskakujące twierdzenie narratora, gdyż wcześniej wielokrotnie o-

Kreślane były mizerne rezultaty kształcenia Tomka.

KSIĘGA CZWARTA

322

męczennika, czy to ofiary, które nierozłącznie towarzyszą postępowi ludzkości, można znaleźć pod taką postacią wszędzie, w każdym mieście, przy niezliczonych skromnych kominkach i nie powinno nas szokować podobne zestawienie zjawisk małych i wielkich; czyż bowiem nie mówi nam nauka, że człowiek czyni największe wysiłki po to właśnie, by ustalić związek, jaki łączy rzeczy najmniejsze z największymi? O ile wiem, w naukach

przyrodniczych nic nie jest błahostką dla badacza, który ma rozległą wizję związków zachodzących między zjawiskami, któremu każdy pojedynczy przedmiot nasuwa myśl o ogromnej liczbie uwarunkowań. Z pewnością tak samo ma się z obserwacją ludzkiego życia.

Pojęcia religijne i moralne Dodsonów i Tulliverów były pewno zbyt specyficzne, by można było do nich dojść metodą dedukcji, od prostego stwierdzenia, że obie rodziny stanowiły część składową protestanckiej ludności Wielkiej Brytanii. W ich teorii życia tkwiło zdrowe ziarno, boć musi ono tkwić we wszystkich teoriach, na których wychowały się i rozkwitły przyzwoite i zamożne rodziny, niewielką jednak można tam było znaleźć domieszkę teologii. Jeżeli w panińskich czasach siostr Dodson Biblia łatwiej się otwierała w tych, a nie w innych miejscach, to tylko dzięki zasuszonym tam płątkom tulipanów, które siostry wkładały, dokonując bezstronnie wyboru między stronicami, nie kierowane żadnymi specjalnymi względami historycznymi, uczuciowymi czy też doktrynalnymi. Religia ich była prosta, niemal półpogańska, lecz nie doszukałbyś się w niej herezji - jeżeli herezja oznacza naprawdę możliwość wyboru - bo owe panny nie wiedziały wcale, że są inne religie, chyba jakieś sekciarskie, które zdarzały się w różnych rodzinach, jak astma. Od kogóż mogłyby się tego dowiedzieć? Proboszcz ich zacnej wiejskiej parafii nie zdradzał zacięcia polemicznego, za to doskonale grał w wista i dla ładnej parafianki zawsze miał żarcik na podorędziu. Religia Dodsonów to poprostu cześć dla wszystkiego, co szacowne i tradycyjne: trzeba być ochrzczonym, bo inaczej nie pogrzebią człowieka na cmentarzu, i trzeba przyjąć przed śmiercią sakramenty, jako zabezpieczenie przed dość mgliście rozumianymi niebezpieczeństwami. Lecz równie jest

ROZDZIAŁ I

323

konieczne, aby właściwi ludzie nieśli końce całunu i żeby szynka na stypę była dobrze zapeklowana oraz żeby po zmarłym został testament nie do obalenia. Nikt nie zarzucił Dodsonom, że zapomnieli o czymś, co przystoi lub co należy do wiecznego porządku rzeczy, jasno wytyczonego praktyką najzamożniejszych parafian czy też tradycjami rodzinnymi, o czymś takim, jak: posłuszeństwo rodzicom, wierność wobec rodziny, pracowitość, niewzruszona uczciwość, oszczędność, dokładne czyszczenie drewnianych i cynowych naczyń, gromadzenie monet, które prawdopodobnie zostaną wycofane z obiegu, produkowanie pierwszorzędných towarów na targ i przedkładanie nad wszystko inne tego, co robione w domu. Dodsonowie byli rasą bardzo dumną, a ich duma polegała na tym, że wszystkie próby oskarżenia ich

o odstępstwo od wyznaczonych przez tradycję obowiązków czy zasad przyzwoitości musiałyby się okazać płonne. Zdrowa ta, pod wieloma względami, duma, identyfikuje bowiem honor z prawością, rzetelnością w pracy i wiernością wobec przyjętych zasad; wielu członków społeczeństwa zawdzięcza cenne cechy swego charakteru matkom z rodzaju Dodsonów, które robiły dobre sery i kasze, bo robienie złych uważałyby za hańbę. Mottem Dodsonów nie było nigdy: "bądź biedny

i uczciwy". Jeszcze mniej im odpowiadały pozory bogactwa przy faktycznej biedzie; godłem rodziny było: "bądź bogaty i uczciwy", i nie

lko bogaty, ale bogatszy, niż to się innym zdaje. Życ w szacunku licie właściwych żałobników na swym pogrzebie - oto osiągnięty cel istnienia; nie zostałaby on jednak w pełni osiągnięty, gdyby przy czytaniu testamentu okazało się ku zgrozie sąsiadów, że byłeś albo edniejszy, niż myśleli, albo pieniądze zapisałeś kierując się kaprysem, i biorąc pod uwagę stopni pokrewieństwa. Krewnym zawsze trzeba dać, co im się należy. Należy im się czasem surowe napomnienie, h nie przynoszą chluby rodzinie, ale mimo to nie odbiera im się

et najmniejszego z należnych im udziałów w rodzinnych sprzącz-
h do butów i innych majątnościach. Wybitną cechą charakteru
|dsonów stanowiła ich autentyczność: zarówno grzechy, jak i cnoty
y pewnymi stadiami dumnego, uczciwego egoizmu, który żywił
Ręczną niechęć do wszystkiego, co przeciwiało się jego znaczeniu
324 KSIĘGA CZWARTA

i interesom. Dla uciążliwych krewnych było się szczerze twardym w mowie, lecz nigdy by się
ich nie opuściło czy zapomniało o nich- nie pozwoliłoby się im głodować, żądałoby się tylko,
by jedli chleb rodzinny zaprawiony goryczą.

Ten sam rodzaj tradycyjnej wiary płynął w żyłach Tulliverów, ale płynął we krwi bogatszej,
w której mieszały się elementy szczodrej nierozwagi, gorącego uczucia i zapalczowości.
Dziadek pana Tullivera mawiał często, że jest potomkiem niejakiego Ralfa Tullivera,
człowieka niezwykle mądrego, który doszedł do ruiny. Bardzo jest prawdopodobne, że ów
mądry Ralf lubił dobrze żyć, jeździł na ostrych koniach i miał o wszystkim własne zdanie. A
znowu nikt nigdy nie słyszał o Dodsonie, który doszedł do ruiny; to nie leżało w zwyczajach
rodzinnych.

Pozna wszy poglądy, w jakich wychowywano Dodsonów i Tullive- rów w chwalebnych
czasach Pitta i wysokich cen⁶, możecie łatwo wywnioskować - bo znacie już społeczeństwo
St. Ogg's - że i w późniejszych latach nie podlegali wpływow, które mogłyby dokonać w nich
jakichś zmian. Wciąż było możliwe, nawet w tym późniejszym okresie kaznodziejskiej akcji
anty katolickiej, by ludzie zachowali wiele pogańskich pojęć i mimo to uważali się za
dobrych członków Kościoła; tak więc trudno nam się dziwić, że choć pan Tulliver regularnie
uczęszczał na nabożeństwa, zapisał swą chęć zemsty na nie zadrukowanej karcie Biblii. Nie
można też powiedzieć nic złego o proboszczu uroczej wiejskiej parafii, do której należał młyn
Dorcote - był to człowiek z doskonałej rodziny, nienaganny stary kawaler o wytwornych
upodobaniach - miał stopień naukowy i był członkiem jednego z kolegów uniwersyteckich.
Pan Tulliver odnosił

⁶ Chodzi tu o Williama Pitta Młodszeo (1759- 1806), premiera w 1-1783-1801 oraz 1804-
1806. Aby pokryć wysokie wydatki państwowe w okresie wojen napoleońskich, wprowadził
w r. 1799 podatek od dochodu osobistego przewyższającego sześćdziesiąt funtów rocznie.
Oprócz tego od początku stulecia wysoko opodatkowane były liczne artykuły przemysłowe-
piwo, wino, kakao, papier, świece, szkło, gazety i wiele innych towarów, c0 doprowadziło do
znacznego wzrostu cen.

ROZDZIAŁ II

325

się do proboszcza z należnym szacunkiem, jak do wszystkiego, co było częścią składową
kościół, uważał jednak, że kościół to jedna rzecz, a rozsądek - druga, i nikt nie będzie go
pouczał, co to jest ów rozsądek. Pewne ziarna, które muszą sobie znajdować możliwości
rozwoju w niepomyślnych okolicznościach, zostają przez naturę obdarzone przyrządem
podobnym do szeregu haczyków, pozwalającym przyczepiać się do niegościnnych
powierzchni. Ziarno duchowe, rzucone na pana Tullivera, z całą pewnością nie posiadało
podobnych zabezpieczeń i pofrunęło dalej z wiatrem, ponieważ nie miało ani jednego
haczyka.

ROZDZIAŁ II

CIERNIE KŁUJĄ POSZARPANE GNIAZDO

We wzburzeniu, które towarzyszy pierwszemu wstrząsowi wywołanemu nieszczęściem, jest
coś, co nas podtrzymuje; podobnie i ostry)1 może być często bodźcem do pewnego
podniecenia, które daje "zejściową siłę. Dopiero później, w powolnym nurcie zmienionego
cia, kiedy ból już szczerstwieje i pozbawiony zostanie emocjonalnego napięcia, które pomaga
nam go znieść, kiedy dni płyną posępne, fcznadziejne, podobne do siebie jak krople wody, a

nieszczęście staje C ponurą codziennością - dopiero wtedy grozi rozpacz, dopiero 5dy czujemy napierający głód ducha i wyteżamy oczy i uszy chcąc znać nie znaną dotąd tajemnicę istnienia, która naszej cierpliwiej rwałości da posmak satysfakcji wewnętrznej. Najcięższy dla Madzi okres przyszedł kiedy miała zaledwie trzyna- lat. Rozwijała się wcześniej, jak zwykle dziewczynki; wcześniej też -wiadczyła, co to jest konflikt pomiędzy impulsywnością wewnątrz- i zewnętrzną rzeczywistością - doświadczenie takie jest udziałem dej natury namiętnej i obdarzonej dużą wyobraźnią. Wszystkie jej

KSIEGA CZWARTA
326

lata, od chwili kiedy to wbijała gwoździe w drewnianego fetysza między zżartymi przez korniki półkami na poddaszu, wypełnione były tak intensywnym życiem w potrójnym świetle Konkretu, Książek i Snów na Jawie, że Madzia na swój wiek była dziwnie dorosła pod każdym względem, z jednym wyjątkiem - brakowało jej zupełnie owej rozwagi i opanowania, dzięki którym Tomek osiągnął męskość już wtedy, kiedy intelektualnie był jeszcze dzieckiem. A teraz los jej jakby zawisnął nieruchomo pośród smutku i monotonii, co jeszcze bardziej skłaniało ją do ucieczki w życie wewnętrzne. Ojciec znów zajmował się młynem; sprawy zostały ostatecznie ułożone i pan Tulliver pracował jako zarządca młyna Wakema. Tomek wychodził codziennie rano i wracał wieczorem, a w krótkich chwilach spędzanych w domu stawał się coraz bardziej milczący; cóż bowiem było do powiedzenia? Dni płynęły jeden podobny do drugiego, a zainteresowania życiowe Tomka, niemal wszystkie zwarzone i zniszczone, ograniczały się i skupiały na jednym - na ambitnym stawianiu oporu nieszczęściu. Denerwowały go dziwactwa ojca i matki, kiedy nie osłaniała ich upiększająca zasłona łatwego, dostatniego życia, gdyż Tomek miał oczy bystre i prozaiczne, nie zwykle okrywać się mgłą uczucia czy złudzeń. Zdawało się, że biedaczka pani Tulliver nigdy już nie wróci do siebie - do spokojnego zabiegania wokół spraw domowych; jakżeby to było możliwe? Przedmioty, koło których obracały się z zadowoleniem jej myśli - zniknęły. Odebrano jej nagle wszystkie drobne nadzieje, plany i projekty, wszystkie troski o jej skarby, dzięki którym świat był dla niej zrozumiały od ćwierć wieku, kiedy to zrobiła swój pierwszy zakup: szczypcę do cukru. Stała teraz wpatrując się ze zdumieniem w pustkę własnego życia. Dlaczego właśnie jej zdarzyło się to, co się nie zdarza innym kobietom? - Oto pytanie, na które nie miała odpowiedzi, a którym wyrażała dręczącą ją bez ustanku myśl o różnicy między przeszłością a terażniejszością. Przykro było patrzeć, jak ta urodziwa kobieta chudnie i marnieje nękana zarówno fizycznym, jak i psychicznym niepokojem, który często, kiedy skończyła robotę, kazał jej chodzić po pustym domu, az przestraszona Madzia szła jej szukać, sprowadzała na dół i tłumaczyła,

ROZDZIAŁ II

327

że Tomek się gniewa widząc, iż matka niszczy zdrowie, nigdy nie usiadzie i nie odpocznie! Ale w tej bezradnej słabości była pokorna, pełna oddania miłość matczyna, która wzruszała Madzie i napełniała czułością dla biednej młynarzowej, mimo drobnych i dokuczliwych kłopotów, jakie sprawiał jej zły stan psychiczny. Nie pozwalała Madzi wykonywać żadnej cięższej pracy, która by brudziła ręce, i odsuwała ją zrzędząc, kiedy dziewczynka próbowała pomóc matce przy oczyszczaniu i skrobaniu paleniska. "Zostaw to, kochaneczko- mówiła. - Ręce ci od tego stwardnieją. To robota dla twojej matki. Ja za to nie mogę szyć- wzrok mi ostatnio nie dopisuje". W dalszym ciągu szcztokowała i pielęgnowała troskliwie włosy Madzi, do których się jakoś przekonała, bo chociaż nie chciały się kręcić, były jednak długie i gęste. Madzia nie była jej oczkiem w głowie i na pewno pani Tulliver wolałaby mieć córkę zupełnie inną - lecz jej kobiece serce, tak boleśnie dotknięte w małych osobistych pragnieniach, pojęło, iż nadzieja na przyszłość spoczywa w tej młodziutkiej istocie, i matka ieszyła się, że niszcząc własne ręce oszczędza rączki, w których jest o tyle więcej życia7.

Nieustanne żalosne zdumienie matki mniej było dla Madzi bolesne niż posepne, milczące przygnębienie ojca. Przez cały czas, kiedy leżał sparaliżowany i wydawało się, że zostanie na zawsze dziecinnie

ezradny, kiedy częściowo tylko świadom był swojego nieszczęścia, Madzia odczuwała przyływ współczucia i miłości, silny niby natchnienie; ta nowa siła pozwoliłaby jej znosić dla ojca najcięższe życie.

eraz jednak w miejsce dziecinnej bezradności przyszło u ojca jakieś liczące skupienie, które stanowiło dziwny kontrast z dawną niepoh- owaną wymownością i wybornym humorem.

Przeciągało się to

dnia na dzień, z tygodnia na tydzień - posepnych oczu nigdy nie

jaśniała radość i życie. Dla młodych jest coś okrutnie niezrozumia- o w niezmiennej ponurości ludzi starszych lub średnich wiekiem,

torym życie przyniosło rozczarowanie czy gorycz; na ich twarzach

d chwili utraty majątku przez Tulliverów zmienia się stosunek narratora Postaci młynarzowej, która jest traktowana z wyrozumiałością.

28 "N n/234 G. Eliot: Młyn nad Flossą

KSIĘGA CZWARTA

328

uśmiech jest gościem tak rzadkim, że nie zauważają go nawet smutne bruzdy na czole i wokół ust, ucieka więc szybko, widząc, że nikt go tu nie wita. "Dlaczego też oni nigdy się nie rozjaśnia, nie rozwesela! - myśli giętka młodość. - Przecież tak łatwo by to im przyszło, gdyby tylko zechcieli". I coraz częściej te ołowiane gęste chmury rodzą zniecierpliwienie nawet w synowskim przywiązaniu, które w chwilach oczywistego nieszczęścia przemienia się w czułość i współczucie.

Pan Tulliver nie był nigdy poza domem: spiesznie wracał z targu, odrzucał wszelkie zaproszenia, by został i pogawędził z ludźmi, do których zachodził w interesach. Nie tak bywało dawniej. Nie mógł pogodzić się ze swym losem- nie było chwili, w której nie odczuwałby swego upokorzenia. W zachowaniu każdego człowieka, czy to uprzejmego, czy też chłodnego, doszukiwał się zawsze jakichś aluzji do odmiany swojego losu. Nawet dnie, kiedy przybywał Wakem, by objechać pola i omówić bieżące sprawy, nie były dla niego tak ciężkie jak dni targowe, kiedy spotykał swoich wierzycieli, którzy zgodzili się na ratalną spłatę długów⁸. Wszystkie myśli i wysiłki młynarza skupiały się teraz na tym, by oszczędzać na ich spłatę. Wiedziony tym pragnieniem, podporządkowującym sobie wszystkie inne, ten człowiek nieco rozrzutny, który nienawidził jakichkolwiek ograniczeń, nie ograniczał nikogo w swoim domu, przemieniał się powoli w zapamiętałego skąpca. Pani Tulliver nigdy nie dość oszczędzała, aby go zadowolić, zarówno w jedzeniu, jak zużyciu opału: młynarz brał do ust tylko jedzenie w najgorszym gatunku. Tomek całkowicie podzielał pragnienia ojca i równie gorąco dążył do spłacenia wierzycieli, choć przygnębiała go i odpychała ponura mina młynarza i posepek domu. Biedny chłopiec przyniósł swój zarobek za pierwszy kwartał z cudownym poczuciem dokonanego osiągnięcia i dał pieniądze ojcu, by schował je w cynowym pudełku. To cynowe pudełko zawierające

⁸ Wierzyciele "zgodzili się na ratalną spłatę długów", w przeciwnym razie mogli bowiem uzyskać najwyżej nieco ponad połowę swej należności. Nic zyskiwali więc nic w przypadku ogłoszenia młynarza bankrutem, że zaś mie" zaufanie do jego uczciwości i gotowości regulowania reszty długów w przyszłości, przystali na spłaty ratalne.

ROZDZIAŁ II

329

niewielkie sumy było jedynym przedmiotem, na widok którego w oczach pana Tullivera budziło się nikłe zadowolenie - słabe i przelotne, szybko bowiem przepędzała je myśl, że minie wiele lat - więcej może niż dane mu będzie żyć - nim te skape oszczędności pozwolą

pozbyć się nienawistnej zmory zadłużenia. Brak przeszło pięciuset funtów z narastającym procentem wydawał się dziurą niemal bez dna⁹, zwłaszcza że na jej zapelnienie mieli tylko pozostałości z trzydziestu szylingów tygodniowo oraz problematyczne oszczędności Tomka. W tej sprawie panowała całkowita jednomyślność wśród czterech tak całkiem różnych istot zebranych wokół zamierającego ognia z patyków - taniego źródła ciepła, przy którym grzali się przed pójściem do łóżka. W krwi pani Tulliver, krwi Dodsonów, płynęła dumna uczciwość; młynarzową wychowano w przekonaniu, że pozbawienie ludzi ich własnych pieniędzy - co jest tylko innym określeniem zadłużenia - równa się pręgiarzowi moralnemu. Szaleństwem byłoby w Jej pojęciu opieranie się woli męża, który chciał "zrobić to, co trzeba", i odzyskać dobre imię. Miała też dziwne, mgliste wyobrażenia, że kiedy wierzyciele zostaną spłaceni, to ona odzyska zastawę i bieliznę. Od najmłodszych lat tłumaczono jej, że dopóki ludzie winni są komuś pieniądze, których nie mogą zwrócić, dopóty nie mają prawa nazywać żadnej rzeczy swoją własnością. Szemrała trochę, kiedy pan Tulliver stanowczo sprzeciwił się przyjmowaniu jakichkolwiek pieniędzy od państwa Moss, lecz jego żądania w sprawie oszczędności tomowych spełniała tak posłusznie, że odmawiała sobie nawet takich tanich luksusów jak kuchenne przyprawy; jedynym odstępstwem były "rzemycane czasem do kuchni wiktuały, z których Tomek miał później lePszą niż zwykle kolację.

Te ciasne poglądy na długi, jakie miała staroświecka rodzina ulliverów, wywołują pewno uśmiech na twarzach wielu czytelników dwadzieścia procent wynoszących zwykle pięć procent, dług wzrastał ponad sto funtów rocznie, młynarz zaś zarabiał półtora funta tygodniowo - "Sledemdziesiąt osiem funtów rocznie, z czego musiał nadto utrzymywać ię i rodzinę. Widoki na spłacenie długu były więc odległe.

28

KSIĘGA CZWARTA

330

dzisiaj, kiedy to mamy nowoczesne teorie handlowe i filozoficzne, według których wszystko się samo wyrównuje bez najmniejszego wysiłku z naszej strony. Na fakt, że mój kontrahent zbiedniał przede mną, należy patrzeć przez pryzmat innego niezbitego faktu, a mianowicie, że cudzy kontrahent zarobił na swojej transakcji; ponieważ zaś na świecie muszą istnieć długi, czystym egoizmem jest pragnąć, aby te długi zaciągał kto inny, a nie my. Ja jednak opowiadam tutaj historie ludzi bardzo prostych, którzy nie mieli nigdy żadnych światłych wątpliwości co do swojej prawości i honoru.

Mimo tej ponurej melancholii i coraz większej koncentracji pragnień, młynarz zachował dawne uczucie w stosunku do "dziewuszki". Jej obecność była mu niezbędna, choć nie wystarczała, by go rozweselić. Jak dawniej, tak i teraz szukał jej wzrokiem koło siebie, ale słodkie źródło ojcowskiej miłości zaprawione zostało goryczą, jak zresztą wszystko. Kiedy wieczorem Madzia kończyła pracę, siadała zwykle na małym stołeczku przy ojcu i przytulała policzek do jego kolan. Jakże wtedy pragnęła, by ją pogłaskał po głowie lub okazał w jakiś sposób, że kojąca mu jest świadomość uczucia córki. Nie miała jednak odzewu na swoją czułość ani od ojca, ani od Tomka - od swoich dwóch bożyszczy. Tomek, podczas krótkich chwil spędzanych w domu, był zmęczony i roztargniony; ojca zaś gnębiła gorzka myśl, że dziewczynka rośnie, że zmienia się w kobietę; jakżeż ona da sobie radę w życiu? Niewielkie będzie miała szansę na dobre małżeństwo, teraz, kiedy tak nisko upadli. A wzdragał się na samą myśl, że Madzia może biednie wyjść za mąż, tak jak jej ciocia Gritty; o, przewróciłby się w grobie, gdyby tak ją zniszczyły dzieci i praca, jak Mossową. Kiedy ludzie o niewielkiej kulturze umysłowej ograniczeni do wąskiego zakresu własnych doświadczeń czują na sobie ustawicznie ciężar nieszczęścia, ich wewnętrzne życie zmienia się często w zamknięty krąg smutnych i gorzkich myśli; te same słowa, te same sceny przychodzą in1 na pamięć, ten sam

nastrój im towarzyszy - a pod koniec roku są tacy sami, jacy byli na początku, niby maszyny nastawione na powtarzającą się serię ruchów.

Nieliczni goście przerywali jednostajność ich dni. Wujostwo

ROZDZIAŁ III

331

składali teraz bardzo krótkie wizyty: nie mogli oczywiście zostawać na posiłkach. Pan Tulliver milczał zawzięcie, co jakby wzmacniało głuchy rezonans odartego z dywanów pokoju, w którym rozmawiały ciotki, i wprowadzało przykre napięcie; wszystko to jeszcze bardziej zniechęcało obie strony do tych rodzinnych wizyt, toteż każdy się starał, aby były jak najrzadsze. Jeśli zaś idzie o innych znajomych, to cóż - wiadomo, że ludzi w złej doli otacza chłód i wszyscy unikają ich jak zimnego pokoju; gospodarze, którzy nie mają mebli i nie mogą dać poczęstunku, ludzie, którzy przestali się w ogóle liczyć, są sami w sobie zaprzeczeniem - i to dość kłopotliwym - powodów, dla których chciałoby się z nimi zobaczyć, czy tematów, na które można by z nimi pogadać. W tych odległych dniach, w cywilizowanym społeczeństwie chrześcijańskim naszego kraju, rodziny, które upadły poniżej swego poprzedniego poziomu, żyły w ponurym odosobnieniu, chyba że należały do jakiejś sekty, która zachowuje nieco braterskiego ciepła dzięki temu, że chroni w swych ścianach święty ogień.

ROZDZIAŁ III GŁOS Z PRZESZŁOŚCI

Pewnego popołudnia, kiedy kasztany już zaczynały kwitnąć¹⁰,

Jadzia wystawiła sobie krzesło przed drzwi frontowe i usiadła

2 książką na kolanach. Wzrok jej błędził ponad kartkami książki, ale

le Cieszył się słonecznym światłem, które przenikało z prawej strony

(rzez zasłonę jaśminów na ganku i rzucało liściaste cienie na jej blade,

ągłe policzki; jakby wypatrywał czegoś, czego nie ukazywały

Promienie słoneczne. Był to dzień gorszy od innych: ojciec, po wizycie

3j kasztany już zaczynały kwitnąć- przypuszczalnie jest to wiosna roku A około pół roku po przegranym procesie.

KSIĘGA CZWARTA

332

Wakema, miał napad złości i wychłostał, za drobne jakieś przewinienie, chłopaka służącego we młynie. Już raz, po swojej chorobie, miał podobny atak, kiedy wysmagał biczem konia, a scena ta na zawsze zostawiła strach w duszy Madzi. Dręczyła ją myśl, że pewnego dnia ojciec może zbić matkę, jeśli w niedobrym momencie powie coś niemądrego. Lękała się strasznie, by ojciec nie dodał do swych wszystkich nieszczęść jakiegoś okropnego, nieodwołalnie haniebnego uczynku. Podarta szkolna książka Tomka, którą trzymała na kolanach, nie zdołała jej natchnąć siłą potrzebną do pokonania owego lęku i oczy dziewczynki napelniały się wciąż łzami, gdy tak patrzyła nieprzytomnie, nie widząc ani kasztanów, ani bardziej odległego horyzontu, lecz tylko przyszłe rodzinne niedole.

Nagle wyrwał ją z zamyślenia odgłos otwieranej furtki i czyjeś kroki na żwirze: To nie Tomek nadchodził, ale mężczyzna w fokowej czapce i niebieskiej welwetowej kamizeli, niosący na plecach jakiś toból. Tuż za mężczyzną postępował cętkowany bullterier z bardzo wyzywającą mordą.

- O, Bob, to ty? - poderwała się z krzesła Madzia poznając go z radością, bo hojności Boba nie przysłoniły w jej pamięci cudze dobre uczynki. - Tak się cieszę, że cię widzę.

- Dziękuję, panienko - Bob uniósł czapy i ukazał zachwyconą gębę, lecz natychmiast, chcąc otrząsnąć się z zakłopotania, spojrział w dół na psa i powiedział oburzonym tonem: - Pódziesz ty, do stu piorunów!

- Mój brat nie wrócił jeszcze, Bob - tłumaczyła Madzia. - W dzień jest zawsze w St. Ogg's.

- Rozumiem, panienko - odparł Bob. - Bardzo bym chciał zobaczyć panicza ... ale ja właściwie to nie po to przyszedłem ... niech no panienka spojrzy. Składał na progu toból, a na nim kilka książek przewiązanych sznurkiem. Wyraźnie jednak na co innego chciał zwrócić uwagę Madzi, mianowicie na węzełek w czerwonej chustce trzymany pod pachą-

- Niech no panienka spojrzy - powtórzył kładąc zawiniątko na tobole i rozwijając chustkę. -

Chyba panienka nie pomyśli, że sobie za

ROZDZIAŁ III

333

dużo pozwałam, ale natknąłem się na te książki i przyszło mi do głowy, że może trochę zastąpią panience tamte, co przepadły - bo słyszałem, jak panienka mówiła o obrazkach, a co do obrazków to - o, proszę.

W rozwijanej chustce ukazał się podstarzały egzemplarz Pamiątki, sześć czy siedem numerów "Galerii Portretów" w royal octavo¹¹; zaś dobitna prośba o zwrócenie uwagi odnosiła się do portretu Jerzego IV w całym majestacie jego spłaszczonyj czaszki i ogromnego halsztuka¹².

- Tu są najrozmaitsi panowie- mówił Bob, z pewnym podnieceniem przewracając kartki - z różnymi nosami ... a niektórzy to łysi, niektórzy w perukach ... to panowie z Parlamentu, tak mi się zdaje. A tutaj - dodał otwierając Pamiątkę - tu są panie dla panienki, jedne z lokami, inne na gładko, jedne się śmieją i przekrzywiają głowy, inne jakby miały płakać - niech panienka spojrzy - siedzą na ziemi, poubierane niczym te damy, co się je widuje, jak wysiadają z karet, kiedy jest bal w Starym Dworze. O rety! Co też noszą te fagasy, co się do nich zalecają! Siedziałem i patrzałem na ten obrazek wczoraj wieczór, póki zegar nie wybił dwunastej - naprawdę - aż w końcu oni zaczęli patrzeć na mnie tak, jakby mnie mogli zrozumieć, gdybym o nich zagadał. Ojej! Ja bym tam nie wiedział, co do nich mówić. Bardziej to pasuje do panienki; a kramarz od książek mówił, że to jest towar pierwsza klasa, powiadał, że trudno o lepsze obrazki.

- A ty kupiłeś je dla mnie, Bob? - zapytał Madzia do głębi poruszona tą prostą dobrocią.- Jakiś ty dobry, jakiś ty bardzo dobry! Ale boję się, że wydałeś na nie dużo pieniędzy.

- Co tam! - odparł Bob. - Dałbym trzy razy tyle, żeby tylko te siazki mogły chociaż trochę zastąpić panience tamte, sprzedane. Bo

mgdy nie zapomnę, jak panienka wtedy wyglądała, jak się panienka rasznie o nie wtedy martwiła - tak mi się to w głowę wbiło, jakby mi

f royol octavo (ang., łac.) - królewska ósemka, najczęściej używany

-ormat książki.

Jerzy IV - król Anglii w l. 1820-1830, już wcześniej, jako regent, dujący władzę w zastępstwie chorego umysłowo ojca, powodował liczne dale, był otyły i miał słabość do błazeńskich ubiorów, stąd ironiczna uwaga

" Je8o "majestacie".

KSIĘGA CZWARTA

334

ciągle przed oczyma wisiał taki obraz na ścianie. A kiedy zobaczyłem w kramie te książki i tę damę, co ma oczy trochę takie jak panienka, kiedy się panienka martwi - proszę mi wybaczyć śmiałość - to pomyślałem, że sobie pozwolę i kupię je panience, a potem kupiłem jeszcze tę z panami, do pary, a potem - tu Bob podniósł związane sznurkiem książki - potem pomyślałem, że może panienka chciałaby i trochę druku, więc je kupiłem na własny wybór; są całe zadrukowane, więc myślałem, że nie szkodzi, jak je wezmę z tymi lepszymi książkami. I mam nadzieję, że panienka mi nie odmówi i nie powie, że ich nie chce, jak panicz Tomek z suwerenami.

- Och, nie, Bob - odparła Madzia. - Bardzo ci jestem wdzięczna, żeś o mnie pomyślał i że taki jesteś dobry dla mnie i dla Tomka. Chyba nikt nigdy nie okazał mi tyle serca. Nie mam wielu przyjaciół, którzy by o mnie dbali.

- Niech panienka trzyma sobie psa ... pies to lepszy przyjaciel niż niejeden chrześcijanin - radził Bob składając znowu na ziemi swój tobół, który podniósł był uprzednio z wyraźnym zamiarem ucieczki - ogromnie go bowiem peszyła rozmowa z młodą panienką, taką jak Madzia, chociaż zwykł mawiać o sobie, "że nigdy nie zapomni języka w gębie", kiedy raz zacznie mówić. - Nie mogę dać panience Mumpsa, bo jemu by serce pękło, jakby się miał ze mną rozstać. No, Mumps, co ty na to, łobuzie? - (Mumps odmówił bardziej wyczerpującej odpowiedzi, prócz jednego potakującego kiwnięcia ogonem). Ale ja zdobędę panience szczeniaka, i to ładnego.

- Dziękuję ci, Bob, ale nie. Mamy psa podwórzowego, a ja nie mogę trzymać własnego psa.

- O, to szkoda ... bo właśnie nadarzałyby się szczeniak ... jeżeli panienka nie miałyby nic przeciwko temu, że on nie bardzo rasowy- jego matka gra w przedstawieniach Puncha ... mądra suka jak rzadko więcej rozumu w jej szczeknięciu niż w ludzkim gadaniu od rana do wieczora. Jest taki jeden, co sprzedaje garnki ... nie ma biedniejszego z wędrownych zawodów ... no i on powiada: "Toby to przecie kundlica, co w niej jest do patrzenia?" Aleja mu na to: "A ty co jesteś, jak nie kundel? Nie widać po tobie, żeby twoja matka i ojciec to byli

ROZDZIAŁ III

335

jakieś arystokraty". Nie żebym sam nie lubił rasy, ale nie znoszę, jak się jeden kundys krzywi na drugiego. Do widzenia, panienko! - zakończył gwałtownie Bob i znowu podniósł tobół, poczuwszy widocznie, że jego język poczyna sobie całkiem swawolnie.

- Może przyjdiesz kiedy do nas wieczorem, żeby się spotkać z moim bratem, dobrze? - zapytała Madzia.

- Tak, dziękuję panience, kiedy indziej. Niech mu się panienka ode mnie pokłoni. To ładny chłop, pięknie wyrósł. Wyciągnął się w górę jak się patrzy - a ja nie bardzo.

Tobół znowu leżał na schodach - bo coś tam było nie w porządku z kijem.

- Ale nie nazywasz chyba Mumpsa kundlem? - zapytała Madzia przeczuwając, że każde zainteresowanie psem sprawi przyjemność właścicielowi.

- Nie, panienko, skądżeby też - odparł Bob z wyrozumiałym uśmiechem. - Nigdzie nad Flossą nie znajdzie panienka tak pięknego mieszańca, a przecież zjeździłem tę rzekę na łodzi aż do nudności. Cóż, nawet państwo zatrzymują się, aby na niego spojrzeć, ale panienka nie zobaczy, żeby Mumps się często na nich oglądał - on pilnuje tylko własnych spraw.

Wyraz pyska Mumpsa, który zdawał się łaskawie tolerować zbyt dużą ilość otaczających go przedmiotów, wyraźnie potwierdzał tę wysoką ocenę.

Wygląda na ostrego psa - powiedziała Madzia. - Czy Pozwoli się pogłaskać?

- O, na pewno, dziękuję panience. Mumps zna się na towarzyst- On nie z tych psów, co to się polakomią na byle co. Złodziej mu

dziej pachnie niż kiełbasa. Gadam z nim przecież godzinami, jak dę po odludnych okolicach, i jeśli zrobię gdzieś jakiś kawał, to wsze mu mówię. Mumps zna wszystkie moje tajemnice. Ten pies wie tystko o moim szerokim kciuku, słowo daję.

O twoim szerokim kciuku? Co to znaczy, Bob? - zapytała

KSIĘGA CZWARTA

336

- Ot, co znaczy, panienko - odparł spiesznie chłopak pokazując dowód rzeczowy: niezwykle szeroki kciuk, czyli to, co różni człowieka od małpy. - Widzi panienka, bardzo mi się to przydaje przy mierzeniu flaneli. Noszę flanelę, bo mi tak nie ciąży na grzbiecie, no i całkiem

się opląca, jak tego dowodzi mój szeroki kciuk. Przykładam kciuk do końca miary i obcinam materiał z tej strony palca; wszystkie baby nabierają się na to.

- Ale, Bob- Madzia mówiła bardzo poważnie- przecież to jest oszukaństwo. Przykro mi, że to od ciebie słyszę.

- Naprawdę? - zapytał Bob z żalem. - To przepraszam, że powiedziałem. Ale tak się przyzwyczaiłem mówić do Mumpsy, a jemu trochę oszukanstwa wcale nie szkodzi, jeśli idzie o te stare skapiradła, co się targują i targują; chciałyby kupić tę flanelę za darmo i nie zastanowią się nawet, czyja zarobię na swój obiad. Nigdy nie oszukuję ludzi, co nie chcą oszukać mnie, panienko, ja jestem uczciwy chłop. Tylko, że muszę mieć trochę zabawy, a teraz jak już nie chodzę z łasiczkami, to mogę wyprowadzać w pole tylko te sknery. Do widzenia, panienko.

- Do widzenia, Bob. Dziękuję ci bardzo za te książki. I przyjdź do nas jeszcze zobaczyć się z Tomkiem.

- Dobrze, panienko - Bob zeszedł po kilku schodach, a potem obracając się dodał: - Zostawię już tę zabawę z kciukiem jeżeli panienska ma przez to o mnie złe mniemanie ... ale prawdę mówiąc to będzie wielka szkoda. Nie wymyślę już takiej dobrej sztuczki. I co mi przyjdzie za pożytek z takiego szerokiego kciuka? Równie dobrze mógłby być wąski.

Madzia, wyniesiona w ten sposób na piedestał kierującej życiem Boba Madonny, roześmiała się mimo woli, na co niebieskie oczy jej wielbiiciela rozjaśniły się również i chłopiec, dotknąwszy czapki, pomaszerował pod dobrymi auspicjami swoją drogą.

Czasy rycerskości nie minęły, mimo że Burkę opląkał je w swej wzniosłej mowie¹³; żyją jeszcze w tym pokornym uwielbieniu, jakie

¹³ w swej wzniosłej mowie - nie chodzi tu o rzeczywistą mowę (w oryginale użyte jest słowo dirge - tren, pieśń żałobna, co także jest przenośnią), lecz

ROZDZIAŁ III

337

wielu młodzieńców i mężczyzn dojrzałych żywi dla kobiet, których nawet w swych snach nie śmia dotknąć - chyba że ich małego palca czy skraju sukni. Bob, z węzełkiem na plecach, żywił dla czarnookiego dziewczęcia tak pełne szacunku uwielbienie, jakby był rycerzem w zbroi, który głośno woła jej imię, spinając konia do boju.

Błysk rozbawienia szybko pierzchnął z twarzy Madzi, a wracająca chmura wydała się jeszcze ciemniejsza przez kontrast z poprzednim uśmiechem. Dziewczynka była zbyt przygnębiona, by mieć ochotę na wyjaśnianie, skąd się wzięły książki, zaniósła je więc do swojej sypialni i położyła, a sama usiadła na jedynym swoim stołeczku, nie obejrzawszy nawet prezentów. Oparła policzek o ramę okiennej i rozmyślała, o ile weselszy jest los Boba- lekkoducha od jej losu.

Poczucie osamotnienia i braku choćby iskielki radości pogłębiło się u Madzi z nadchodzącą żywiłowo wiosną. Nad każdym jej ulubionym zakątkiem na dworze wokół domu, który jakby wspólnie z rodzicami chował ją i żywił, ciążył teraz smutek domowy; stare kąty nie uśmiechały się już do słońca. Każde dawne przywiązanie, wszystko, czym się dawniej zachwycała, było teraz dla biedaczki jak piekąca rana. Skończyła się już dla niej muzyka - nie było fortepianu, harmonijnych głosów, cudownych strun, z których płynęły namiętne wołania uwieczonych tam duchów, przejmując jej ciało dziwnym dreszczem. Po czasach szkolnych nie pozostało nic prócz małego zbioru szkolnych książek. Przeglądała je wszystkie z rozpaczliwym czuciem, że je zna i że nie znajdzie w nich pocieszenia. Nawet w szkole marzyła o książkach, w których byłoby coś więcej; wszystko, czego się tam uczyła, wyglądało jak końce jakichś długich nici, które się zaraz

tekst prozatorski Edmunda Burke'a (1729- 1797), męża stanu, utalen- fanego mówcy i autora pism politycznych, który w r. 1790 opublikował Ktat Reflections on the Revolution in France (Uwagi o rewolucji francuskiej). ednym z często cytowanych fragmentów traktatu wzrusza

się Burkę losem ni, Antoniny, o której pisze: "Sądziłem, że dziesięć tysięcy szabel zostanie cniast dobyte z pochew, by pomścić choćby jedno spojrzenie grożące jej ?a83-Ale wiek rycerskości przeminął". (Przekł. A.S. na podstawie wyjątku Oxford Book of English Prose, Oxford 1925, s. 467.)

v-

KSIĘGA CZWARTA

338

urywały. A teraz, bez nieokreślonego uroku szkolnego współzawodnictwa, Telemak1 nie miał dla niej wartości, tak samo jak trudne, suche pytania z doktryny chrześcijańskiej - nie mogła się w nich doszukać smaku, nie dodawały jej siły. Czasem zdawało się Madzi, że zadowolilyby ją pochłaniające czas i uwagę fantazje: gdyby tak miała wszystkie powieści Scotta i poezję Byronals, może zaznałaby dzięki nim tyle radości, że mniej dotkliwie odczuwałaby terażniejszość. A jednak ... nie tego potrzebowała. Zawsze potrafiła sobie stwarzać w wyobraźni własne, odrębne światy - lecz dzisiaj takie światy nie przynosiły jej ukojenia. Chciała znaleźć jakieś wyjaśnienie tej trudnej otaczającej ją rzeczywistości: nieszczęśliwego ojca, siedzącego przy posepnym śniadaniu, dziecinniej, oszołomionej matki, drobnych pospolitych zajęć, które wypełniały godziny, lub gorszej jeszcze pustki męczącego bezradosnego odpoczynku. Potrzebowała czulej, jawnie okazywanej miłości, a miała okrutną świadomość, że jej uczucia i myśli nic nie obchodzą Tomka i że przestali już być towarzyszami zabaw; pozbawiono ją wszystkiego, co miłe, a co przyniosło jej o wiele większą radość niż innym. Pragnęła znaleźć klucz, który pozwoliłby jej to zrozumieć, bo takie zrozumienie pomogłoby jej może znieść ciosy, które spadały na jej młode serce. Wydawało jej się, że zdolna byłaby osiągnąć tajemnicę życia, gdyby ją byli uczyli "prawdziwej wiedzy i mądrości, takiej, jaką posiadli wielcy ludzie". Gdyby chociaż miała książki, żeby się sama mogła nauczyć tego, co ci wielcy ludzie wiedzieli. Święci i męczennicy nigdy nie pociągali Madzi tak, jak mędrscy i poeci. Niewiele wiedziała o męczennikach i świętych, a ze swych nauk

14 Telemak - w oryginale pisownia francuska: Telemaque. Jest to skrót tytułu romansu dydaktycznego Przygody Telemaka (Aventures de Telemaque# 1699), napisanego piękną prozą przez Francois de Salignac de La Motne Fenelona (1651-1715), arcybiskupa Cambrai, wychowawcę księcia Burgund1 (wnuka Ludwika XIV) ku zbudowaniu jego ucznia. , i

15 Walter Scott (1771-1852) - autor licznych powieści historycznych, W wówczas najpopularniejszym powieściopisarzem w Europie, podobnie ja zmarły wcześniej Lord Byron (1788-1824) był najpoczytniejszym i najczęściej naśladowanym poetą.

ROZDZIAŁ III

339

wyciągnęła ogólny wniosek, że byli oni chwilowym środkiem zaradczym przeciwko rozprzestrzenianiu się katolicyzmu i wszyscy umarli na Smithfield16.

Kiedyś, myśląc o tym wszystkim, Madzia uświadomiła sobie, że zapomniała zupełnie o książkach szkolnych Tomka, które zostały przecież odesłane do domu w jego kuferku. Okazało się jednak, że ilość ich w niewytłumaczalny sposób zmalała do kilku starych, najbardziej zniszczonych egzemplarzy. Były tam: słownik łaciński i gramatyka, Delectus, porwany Eutropius17, bardzo zniszczony Wergiliusz, Logika Aldricha18 i ten nieszczęsny Euklides. Łacina, Euklides i logika z pewnością będą stanowić duży krok naprzód ku wiedzy męskiej - tej mądrości, która sprawia, że mężczyźni są zadowoleni z życia, a nawet się nim cieszą. Trudno zresztą powiedzieć, czy w owej tęsknocie za wiedzą nie było żadnych domieszek: od czasu do czasu na pustyni, jaką stanowiła przyszłość, rysował się przed oczyma dziewczynki jakiś obraz; widziała, jak składają jej hołdy za zdumiewające osiągnięcia. Tak więc głód duszy i złudne schlebienie samej sobie doprowadziły do tego, że biedaczka zaczęła obdłubywać niezwykle grubą skórkę owocu z drzewa mądrości, zapelniając

wolne chwile łaciną, geometrią i formułami sylogizmów. Od czasu do czasu przeżywała moment triumfu, iedy okazywało się, że jej własny rozum potrafi sprostać tym jakże leskim naukom. Przez tydzień czy dwa uporczywie posuwała się naprzód, chociaż niekiedy serce w niej upadało, tak jakby się była wybrała sama w niebezpieczną podróż do Ziemi Obiecanej po ezdrożach, bez kropli wody. Narzucając sobie surową regułę brała asem Aldricha na pola, a później kierowała wzrok z książki ku ebu, gdzie trzepotał skowronek, lub też ku trzcinom i krzakom nad eką, skąd podrywało się ptactwo do niespokojnego, zygzakowatego Madzia wiedziała coś jedynie o tych męczennikach angielskich, którzy jako katolicy - zginęli w okresie rządów Henryka VIII, tj. w okresie acniania się protestantyzmu jako religii państwowej. Smithfield było ejscem poza murami Londynu, gdzie w w. XVI palono na stosie heretyków. 18 ZtroPus Flovius (IV. w) - autor zarysu historii rzymskiej. Nie udało się znaleźć informacji o Logice Aldricha.

KSIĘGA CZWARTA

340

lotu - patrzyła na to wszystko z przeświadczeniem, że związek między Aldrichem i tym żyjącym światem jest chyba niezmiernie odległy. Z biegiem czasu pogłębiało się zniechęcenie, a niecierpliwe serce coraz bardziej wyprzedzało pilny umysł. Jakoś tak się działo, że kiedy siedziała przy oknie z książką, zaczynała wpatrywać się niewidzącym wzrokiem w światło słoneczne na dworze - potem oczy jej napełniały się łzami, a czasem, kiedy matki nie było w pokoju, nauka kończyła się szlochem. Madzia buntowała się przeciwko swemu losowi, upadała pod ciężarem samotności i czasem nawet miewała napady nienawiści i gniewu na ojca i matkę, którzy byli tacy inni, niżby ona chciała, na Tomka, który ją krytykował i który widział jej myśli i uczucia zawsze w krzywym zwierciadle, buchały z niej one jak strumień lawy i przerażały ją, bo sądziła, że niewiele brakuje, by stała się demonem. Wówczas próbowała zająć myśli planami szalonej, romantycznej ucieczki z domu w poszukiwaniu czegoś nie tak nędznego i posepnego: pójdzie do jakiegoś wielkiego człowieka - może do Waltera Scotta - i powie mu, jaka jest biedna i jaka mądra, a on z pewnością coś dla niej zrobi. Ale gdy tak marzyła, wchodził na przykład do pokoju ojciec, by tu spędzić wieczór, i zdumiony, że dziewczynka siedzi bez ruchu i nawet go nie zauważa, mówił gderliwie: "No i co? Czy sam mam sobie przynosić pantofle?" Głos ten przeszywał Madzie jak miecz: oprócz jej własnych smutków były przecież jeszcze inne, a ona chciała odwrócić się i zapomnieć o nich.

Widok radosnej, piegowatej twarzy Boba skierował tego popołudnia smutek Mądzi w innym kierunku. Myślała sobie, że po prostu część jej życiowych trudności wypływa stąd, iż złożono jej na ramiona ciężar większych pragnień niż innym - że musi znieść tę ogromną, beznadziejną tęsknotę za czymś nieokreślonym i nieznanym, lecz niewątpliwie największym i najlepszym na świecie. Marzyła, żeby mogła byc podobna do Boba, z tym jego nieuctwem, dzięki któremu łatwiej może znaleźć zadowolenie, albo do Tomka, który ma zajęcie i może na nirfl skupić wszystkie swe wysiłki i nie zwracać uwagi na nic poza tym- Biedne dziecko! Kiedy tak opierała głowę o framugę okienną, coraz mocniej zaciskając dłonie, nóżką stukając o ziemię, czuła się tak

ROZDZIAŁ III

341

samotna w swych troskach, jakby była jedyną dziewczynką w ówczesnym cywilizowanym świecie, która wyszła ze szkoły nie przygotowana wewnętrznie do nieuniknionych walk; jedyną, która poznała tylko strzępki i skrawki słabej literatury i fałszowanej historii z całego przypadającego na nią dziedzictwa ciężko zdobytych skarbów myśli ludzkiej, które liczne pokolenia z ogromnym trudem zebrały dla rodzaju ludzkiego; jedyną, która otrzymała niepotrzebne wiadomości o Saksonach i innych królach, stanowiących wątpliwy dla niej przykład - lecz nie uzyskała niestety żadnej wiedzy o nieodmiennych prawach rządzących nią

samą i światem wokół niej, prawach, które będąc wykładnikiem zwyczajów - stają się moralnością, a rozwijając uczucia pokory i zależności - stają się religią. Czuła się tak samotna w swych troskach, jakby prócz niej samej wszystkie inne dziewczynki były chowane przez ludzi doświadczonych, pomnych czasów własnej młodości, kiedy pragnienia były gorące, a impulsy mocne.

Wreszcie wzrok Madzi osunął się na książki, leżące na parapecie okiennym; zapomniała prawie o swoich marzeniach przewracając obojętnie kartki "Galerii Portretów", szybko jednak odsunęła ją, by przejrzeć niewielką gromadką książek związanych sznurkiem. Uroki "Spektatora"¹⁹, Rasselas²⁰, Ekonomia życia ludzkiego²¹, Listy Grzegorza²² - wiedziała, jaką treść będzie mogła w nich znaleźć. Rok chrześcijański²³ - to wyglądało na zbiór hymnów, odłożyła więc

Uroki "Spektatora" - wybór esejów drukowanych pierwotnie w moralno- obyczajowym czasopiśmie "The Spectator", które wychodziło w 1.

- 1712. Było redagowane przez dwóch wybitnych eseistów: Richarda Steele'a i Josepha Addisona, przyczyniło się do rozwoju prasy w Anglii, a także ukształtowania się powieści obyczajowej.

Rasselas (1759) - powiastka filozoficzna pióra Samuela Johnsona. tytułowy bohater, książę Abisynii, wyrusza w towarzystwie starego filozofa w Poszukiwaniu szczęścia.

22 Ekonomia życia ludzkiego - nie udało się ustalić autora. , - Qn Listy Grzegorza - zbiór listów Grzegorza Wielkiego, papieża w 1.

lok chrześcijański (The Christian Year) - tomik poezji Johna Keble'a - 1866), duchownego anglikańskiego, znanego kaznodziei i profesora w Oxfordzie.

342 KSIĘGA CZWARTA

książkę; ale Tomasz a Kempis²⁴ Często natrafiała w swojej lekturze na to imię, poczuła więc znane każdemu zadowolenie, iż będzie teraz mogła kojarzyć pewne pojęcia z imieniem, które plątało się dotychczas samotnie w jej pamięci. Wzięła więc małą, starą, zniszczoną książkę z pewną ciekawością; miała w wielu miejscach zagięte rogi, a czyjaś ręka, teraz na zawsze znieruchomiała, zaznaczyła niektóre ustępy wyraźną, lecz trochę spłowiałą już kreską atramentu. Madzia odwracała kartkę po kartce i czytała, co wskazywała nieruchoma już dłoń ... "Wiedz, że miłość siebie samego więcej ci szkodzi aniżeli jakakolwiek rzecz na świecie ... Jeśli szukasz tego lub owego i chciałbyś być tam lub ówdzie dla swojej dogodności i dla sprzyjania upodobaniu twojemu, nigdy nie doznasz pokoju ani nie będziesz wolny od frasunku: ponieważ w każdej rzeczy ukrywa się jakiś niedostatek i w każdym miejscu jakaś przeciwność ... Na prawo i na lewo, w górze i na dole, zewnątrz i wewnątrz, wszędzie krzyż znajdziesz: i wszędzie potrzeba ci być cierpliwym, jeśli chcesz mieć pokój wewnętrzny i dosłużyć się wiekuiestej korony ... Jeśli do tego szczytu dojść pragniesz, trzeba zacząć mężnie; przyłóż siekiere do korzenia, abyś wyrwał i zniszczył skrytą i nieporządną skłonność ku sobie samemu i ku wszelkiemu osobistemu i zmysłowemu dobru. Od tej wady, iż człowiek zbyt nieporządnie kocha sam siebie, zależy prawie to wszystko, co zwyciężyć i wykorzenieć potrzeba: tę więc wadę, to główne zło zwyciężywszy i podbiwszy, nastanie w duszy pokój wielki i ciągła pogoda ... Mało cierpisz w porównaniu z tymi, którzy tak wiele wycierpieli, tak silnie byli kuszeni, tak ciężko trapieni, tak wielolicznie miotani i doświadczani. Trzeba więc innych cięższe cierpienia sobie na myśl przywodzić, ażeby swoje najmniejsze lżej znosić. A jeżeli cierpienia twoje nie zdają ci się najmniejsze, uważ, czy temu nie jest winna niecierpliwość twoja? ... Błogosławione uszy, czujne na poszept

24 św. Tomasz a Kempis (właśc. Thomas Himmerlein czy Hamnterken. 1380-1471) - urodzony w pobliżu Kolonii, mnich augustianin, autor dzieł mistycznych, z których najbardziej znane i tłumaczone na wiele języków jest O naśladowaniu Chrystusa.

ROZDZIAŁ III

Bożego tchnienia, a głuche na podszepty i gwary tego świata! Błogosławione jeszcze raz uszy, które nie głosu zewnątrz brzmiącego, lecz prawdy wewnątrz uczącej słuchają! ... " Dziwny dreszcz grozy przejął Madzie, gdy to czytała, jakby ją w głębi nocy obudziła jakaś poważna melodia, mówiąca o istotach, których dusze są żywe, podczas gdy jej spoczywa w odrętwieniu. Czytała dalej, od jednej zbrązowiałej kreski do drugiej, gdzie wskazywała nieruchoma już dłoń; dziewczynka ledwo sobie uprzytomniała, że czyta - raczej wydawało jej się, że słucha, a cichy głos mówił:

"Czegóż tu wokoło siebie upatrujesz, kiedy nie tu miejsce twojego spoczynienia? Mieszkanie twoje powinno być w niebie; a na wszystkie ziemskie rzeczy jeno jako w przechodzie spoglądać mamy. Wszystko przemija, a i ty przeminiesz. Patrz, abyś się nie przywiązał bardzo do żadnej rzeczy z obawy, abyś się nie stał jej niewolnikiem i przez nią nie zginął ... Choćby człowiek dał wszystką majątność swoją, jeszcze to niczym jest. I gdyby odbył wielką pokutę, i to mało. I gdyby posiadał wszelką naukę, jeszcze mu daleko. I gdyby miał wielką cnotę i pobożność bardzo żarliwą, jeszcze mu wiele braknie; to jest braknie mu tej jednej rzeczy, która mu jest najpotrzebniejsza. A któraż to jest? Otóż, ażeby, opuściwszy wszystko, siebie opuścił i z siebie samego zupełnie się wyzuł, nic zgoła nie zachowując z miłości samego siebie ... Mówiłem ci tylekroć i teraz znowu powtarzam: zrzeknij się samego łebie, oddaj mi się zupełnie, a wielkiego wewnętrznego pokoju używać będziesz ... Wtedy znikną wszystkie marne złudzenia, wszystkie złośliwe niepokoje i wszystkie zbyteczne zabiegi. Wtedy także ustąpi zbytnia oojaźń i nieporządna miłość zgaśnie"²⁵.

Madzia odetchnęła głęboko i odrzuciła ciężkie włosy do tyłu, tak jakby chciała wyraźniej zobaczyć niespodzianą wizję. A więc tutaj jest tajemnica życia, która pozwoli jej wyrzec się wszystkich innych tajemnic. Oto wzniosłe szczyty, które zdobyć można bez pomocy

rf Tu i dalej cytaty z II i III księgi [Thomas a Kempis], O naśla-

wamu Jezusa Chrystusa, ksiąg czworo, z łacińskiego przetłumaczył X.A.J.

Is. Aleksander Jelowicki], nowe wydanie, Berlin [1841]. (Przyp. tłumaczki.)

29 BN II/234 G. Eliot: Młyn nad Flossą

KSIĘGA CZWARTA

344

z zewnątrz - oto wiedza głęboka i siła, i zwycięstwo; wszystko to jest do osiągnięcia środkami, jakimi rozporządza jej dusza, w której najwyższy nauczyciel czeka, aby go wysłuchała. Błysnęło jej w głowie nagłe rozwiązanie problemu: źródłem wszystkich nieszczęść jej młodego życia jest to, że dążyła sercem tylko do własnych uciech, jakby to był problem najważniejszy na świecie; po raz pierwszy ujrzała możliwość zmiany pozycji, z jakiej patrzyła na realizację własnych pragnień - nie będzie spoglądała na świat mając przede wszystkim siebie na uwadze, lecz własną osobę widzieć będzie jako drobną, mało ważną cząstkę boską ręką wiedzionej całości. Czytała i czytała starą książkę, pochłaniając rozmowy z niewidocznym nauczycielem, wzorem cierpienia, źródłem wszelkiej siły. Potem ją odwołali i znowu wróciła do książki, i czytała, póki słońce nie skryło się za wierzby.

Popędzała ją niecierpliwa zawsze wyobraźnia, której nigdy nie wystarczała chwila obecna.

Dziewczynka siedziała w gęstniejącym mroku, kreśląc plany samoupokorzenia i całkowitego poświęcenia; w zapale dokonanego odkrycia wyrzeczenie wydawało się jej bramą do tego zadowolenia, którego od tak dawna daremnie pragnęła. Nie odkryła jeszcze - jakże to mogła odkryć, będąc tak młodą? - najgłębszej prawdy wyznał starego zakonnika, że wyrzeczenie pozostaje cierpieniem, tylko cierpieniem znoszonym z ochotą. Madzia wciąż spragniona była szczęścia, a teraz ogarnęła ją ekstaza, bo znalazła do niego klucz. Nic nie wiedziała o doktrynach i systemach - o mistycyzmie i kwietyzmie; ten głos z dalekiego średniowiecza mówił do niej wprost o wierze i o przeżyciach ludzkiej duszy i dotarł do Madzi jako bezsporne przesłanie.

Przypuszczam, że dlatego właśnie książki, za które płacimy szesc pensów na straganie, działają po dziś dzień cuda, zmieniając gorycz w miód, podczas gdy najnowsze drogie kazania i traktaty nie potrafią dokonać w nas żadnych przemian. Książkę tę napisała ręka ponaglona sercem; jest to kronika samotnego, skrytego cierpienia, walki, wiary i zwycięstwa - książka nie pisana bynajmniej na atlasowych poduszkach, by prawieć o bólu tym, co skrwawioną stopą idą po kamieniach- Dlatego też zostaje po wieczne czasy świadectwem ludzkich pragnień

ROZDZIAŁ III

345

i ukojeń: głos naszego brata, który wieki temu czuł, cierpiał i dokonywał wyrzeczeń - w klasztorze zapewne, w szorstkim, wełnianym habicie i z tonsurą na głowie. Jak często musiano tam śpiewać! Były też pewno długie posty, mówiono inaczej niż dzisiaj - lecz działa się to pod tym samym milczącym, odległym niebem, wśród tych samych namiętnych pragnień, tych samych dążeń, tych samych upadków i tego samego utrudzenia. Opisując historię rodzin nie należących do wyższych sfer, łatwo się wpada w pewien patos, co nie jest przyjęte w dobrym towarzystwie, gdzie zasady i poglądy są nie tylko niezwykle umiarkowane, lecz po prostu przyjęte przez wszystkich z góry, a do rozmowy należy wybierać tylko te tematy, które można traktować z lekką i wdzięczną ironią. Ale trzeba też wziąć pod uwagę, że dobre towarzystwo ma swoje czerwone wino, swoje pluszowe dywany, zaproszenia na obiady na sześć tygodni naprzód, operę i bajeczne sale balowe; zajeżdża swoją nudę na rasowych koniach, próżnuje w klubach, ma swoje osiągnięcia naukowe, dokonane przez Faradaya²⁶, oraz religijne - przez wyższe duchowieństwo, które spotkać można w najlepszych domach: jakżeby rięć dobre towarzystwo mogło mieć czas i zapotrzebowanie na wiarę - zy patos? Lecz dobre towarzystwo kołyszące się na pajęczych nitkach ikatnej ironii jest czymś bardzo kosztownym: wymaga ono ni mniej, więcej tylko tego, by wielki i prężny naród zamknął się w ogłuszają- ch, cuchnących fabrykach, gniótl się w kopalniach, zalewał się tem przy piecach, tłukł, walił kilofem, tkał wdychając mniej czy dziej szkodliwe wyziewy kwasu węglowego - lub też, by się ten ród rozproszył po pastwiskach, po samotnych domach i chatach na niastych czy kredowych ziemiach, posępnych w dni deszczowe. ie tego wielkiego narodu opiera się w całości na patosie, patosie , która każe ludziom wykonywać czynności niezbędne dla uenia dobrego towarzystwa i delikatnej ironii. Ludzie ci przeżywają ittd JffelFaraday (1791-1867) - wybitny fizyk brytyjski, odkrył zjawisko n u jektromagnetycznej. W połowie XIX w., gdy był już sławny, modne yo cnodzeme na jego odczyty publiczne.

29

KSIĘGA CZWARTA

346

ciężkie lata w chłodzie, pośród domowego zgiełku, którego nie tłumią długie korytarze ani dywany. W takich warunkach wiele spomiędzy miliardów dusz nie należących do dobrego towarzystwa ma absolutną potrzebę patosu wiary: nawet osoby nie zajmujące się spekulacją myślową przyznają, że tak przykre życie wymaga jakichś środków zaradczych. Podobnie zajmujecie się wnętrzościami waszego materaca, jeśli coś was uwiera w łóżku, a zarówno pierzyna, jak i doskonale francuskie sprężyny są bez zarzutu. Niektórzy pokładają patetyczną wiarę w alkoholu i szukają ekstazy czy też podpory życiowej w dżinie, reszta jednak potrzebuje czegoś, co dobre towarzystwo nazywa "entuzjazmem", czegoś, co daje cel nie załączając do niego wysokiej ceny, co daje cierpliwość i jest pokarmem ludzkiej miłości, kiedy ciało zdrętwieje od zmęczenia w samotności i opuszczeniu. Coś, oczywista, co leży poza naszymi osobistymi pragnieniami, co zawiera rezygnację z nas samych i czynną miłość do tego, co nie jest nami. Od czasu do czasu ten rodzaj entuzjazmu zostaje wypowiedany dalekosiężnym głosem, płynącym z doświadczeń wynikłych z najgłębszej potrzeby. I właśnie

przez to, że znalazła się w kręgu dalekobrzmiącego dźwięku takiego głosu, Madzia, mająca twarz małej dziewczynki, dotknięta nieopisanym smutkiem, zdobyła siły i nadzieję, które podtrzymały ją w latach samotności; stworzyła sobie wiarę sama, bez pomocy uznanych autorytetów i wyznaczonych przewodników - nie było ich bowiem pod ręką, a wiary potrzebowała pilnie. Znać już dobrze Madzie, więc nie zdziwi was fakt, że nawet do swego samowyrzeczenia domieszała nieco przesady i uporu, trochę dumy i zapalczywości; osobiste jej życie wciąż pozostawało dla niej dramatem; wymagała od siebie odegrania roli z fantazją. I tak doszło do tego, że nierzadko zapominała o pokorze będąc nieumiarkowaną w działaniu: często odważała się na zbyt śmiałe loty i spadała, nurzając swoje biedne, nie opierzone jeszcze skrzydełka w błocie. Nie tylko postanowiła, na przykład, zarabiać najprostszym szyciem, aby dołożyć się w jakiś sposób do funduszu w cynowej puszcze, ale w porywie samoumartwie- nia poszła prosić o pracę wprost do sklepu płóciennika w St. Ogg s zamiast zdobyć to samo w sposób bardziej określony i niejawni-

ROZDZIAŁ III

347

W wyrzutach, jakimi zasypał ją za to brat, dostrzegała tylko niechęć i niemal szykanę. "Nie chcę, żeby moja siostra robiła takie rzeczy - powiedział chłopiec. - Ja już dopilnuję, aby długi zostały splacone, nie potrzeba, żebyś ty się w ten sposób poniżała". Oczywiście, była w tych słowach i czułość, i odwaga, połączona z większą znajomością tego świata oraz pewnością siebie, Madzia jednak znalazła w nich tylko plewy, nie dostrzegając ziaren złota, przyjęła więc naganę Tomka jako jeszcze jeden swój krzyż. Podczas długich nocnych rozmyślań doszła do wniosku, że Tomek jest bardzo dla niej niedobry; dla niej, która go zawsze tak kochała. Potem usiłowała zadowolić się tym, że nie jest dla niej dobry, i postanowiła niczego więcej nie żądać. Tę drogę wybieramy wszyscy, kiedy postanawiamy wyrzec się swego egoizmu: wolimy ścieżkę męczeństwa i cierpiętnictwa, na której rosną gałęzie palmowe - od strome go gościńca tolerancji, rzetelnych ocen i szukania winy w sobie samym: na tej drodze nie rosną liściaste symbole zaszczytów, które by można zerwać i spleść w wieniec. Pomarszczone owoce drzewa wiedzy - stare książki: Wergiliusz, Euklides i Aldrich - poszły w ką. Madzia zaniechała próżnych ambicji podzielania myśli mędrców. W pierwszym porywie zapału odrzuciła książki z czymś w rodzaju triumfu, że oto nie potrzebuje ich pomocy - jest ponad to; gdyby stanowiły jej własność, spaliłaby je wierząc, że nigdy nie będzie tego żałować. Czytała chciwie i bez ustanku książki: Biblię, Tomasza a Kempis i Rok chrześcijański (nie narzucany już teraz jako "zbiór hymnów"); napelniały one jej umysł C1gfym strumieniem zapamiętanych urywków; zbyt pilnie uczyła się atrzeć na naturę i życie w świetle nowej wiary, by potrzebowała dla tego umysłu jakiegokolwiek innej pożywki. Siedziała tak i pracowała rliwie igłą, zszywając koszule czy też robiąc inne skomplikowane egi, mylnie zwane "prostymi"- w każdym razie nie były one proste Madzi, w której dłoniach rękawy, mankiety i innego rodzaju części rderoby miały niezwykłą zdolność do przyszywania się na lewą ronę w momentach rozproszenia uwagi.

Madzia, pochylona pilnie nad szyciem, stanowiła miły widok dla dych oczu. Nowe, wewnętrzne życie, mimo wulkanicznych wybu-

KSIĘGA CZWARTA

348

chów więzionych namiętności, wzyerało z jej twarzy jak delikatne, miękkie, mieniające się światło; przydawało uroku wiośnianej postaci i dojrzewającym dziewczęcym kolorom i

kształtom. Matka przyjmowała tę zmianę ze zdumieniem, zaskoczyło ją, że Madzia mogła "tak dobrze wyrosnąć"; zadziwiające, że to oporne zwykle dziecko stało się takie uległe, takie obce wszelkiej samowoli. Często podnosząc wzrok znad robótki Madzia spotykała utkwione w siebie oczy matki; czekały na długie, młodzieńcze spojrzenie - jakby starsze matczyne ciało otrzymywało w tym spojrzeniu potrzebne mu ciepło. Młynarzowa zaczęła lubić swą wysoką, ciemną córkę, jedyny teraz w tym domu obiekt, na którym mogła skupić swoją troskę i dumę. Mimo ascetycznego pragnienia Madzi, by nie nosić żadnych ozdób, trzeba było ustąpić matce i zgodzić się, by gęste czarne włosy zostały upięte w diadem na czubku głowy, według żalostnej mody tych staroświeckich czasów.

- Pozwól, niechże i twoja matka ma trochę przyjemności - mówiła pani Tulliver.- Dość miałam kiedyś kłopotów z twoimi włosami.

Tak więc Madzia, rada ze wszystkiego, co mogło matce sprawić przyjemność i rozjaśnić długi, spędzany wspólnie dzień, zgodziła się na tę płochą ozdobę i nosiła nad starą sukienką królewską swą główkę - uparczywie jednak odmawiając spojrzenia w lustro. Pani Tulliver lubiła zwracać uwagę męża na włosy Madzi i inne jej nieoczekiwane cnoty, on jednak odpowiadał szorstko:

- Od dawna wiedziałem, co z niej wyrośnie - nic to nowego dla mnie. Szkoda tylko, że nie jest z pospolitej gliny- zostanie w życiu sama, powiadam ci. Nie znajdzie się nikt odpowiedni dla niej do żeniaczki.

I tak wdzięki umysłu i ciała Madzi stawały się pokarmem jego smutku. Młynarz siedział cierpliwie, kiedy byli sami we dwójkę, a ona mu czytała lub też mówiła coś nieśmiało o nieszczęściu, które się obraca w błogosławieństwo. Brał to wszystko za dowód jej dobroci, która nieszczęście czyniła mu sroższe, bo przekreślało Madzine szansę życiowe. Człowiek ogarnięty przemożnym pragnieniem osiągnięcia celu i nie zaspokojoną żądzą zemsty nie może się zdobyć na inne uczucia; pan Tulliver nie potrzebował pocieszenia duchowego - " chciał otrząsnąć z siebie hańbę zadłużenia i pragnął się zemścić.

KSIĘGA PIĄTA ZIARNA I PLEWY

ROZDZIAŁ I CZERWONA DOLINA

Bawialnia, w której zwykle siadywała rodzina, była długa i miała po jednym oknie w obu krótszych ścianach: z pierwszego można było wyglądać na pastwiska i wzdłuż Ripple aż ku brzegom Flossy, z drugiego na podwórze młyńskie. Siedząc kiedyś z robótką przy drugim oknie, Madzia zobaczyła nagle, że na podwórze wjeżdża pan Wakem, jak zwykle na swym piękny karym koniu - lecz nie, jak zwykle, sam. Ktoś mu towarzyszył - jakaś postać w płaszczu na rasowym kucu. Nim Madzia zdała sobie sprawę, że to Filip wrócił, byli już pod oknem, a chłopiec uchylał przed nią kapelusza. Pan Tulliver dostrzegłszy ten gest kątem oka, spojrział ostro na oboje młodych.

Madzia spiesznie odeszła od okna i poszła z robótką na górę. Pan Wakem wchodził czasem do domu, by przejrzeć księgi rachunkowe, Madzia czuła, że spotkanie z Filipem w obecności obydwu ojców ubawione będzie całej przyjemności. Może zobaczy go kiedyś, kiedy Izie mogła po prostu uścisnąć mu dłoń i powiedzieć, że pamięta jego joroc dla Tomka i wszystko, co jej mówił o dawnych czasach pamięta, chociaż nie mogą być już nigdy przyjaciółmi. Widok Filipa e poruszył Madzi, choć zachowała w stosunku do niego swoją zięciną wdzięczność i współczucie i pamiętała, jaki był mądry. Merwszych tygodniach swego osamotnienia przywoływała bezu- e przed oczy jego postać pośród postaci innych ludzi, którzy

I" jej serce w życiu, i często pragnęła, aby mógł być jej bratem
czycielem, jak to sobie wyobrażali we wspólnych rozmowach.
z wszystkie takie pragnienia zostały wyrwane z jej serca wraz

KSIĘGA PIĄTA

352

z innymi marzeniami, mającymi posmak osobistego zadowolenia; pomyślała też, że to życie
gdzieś daleko mogło zmienić Filipa - może stał się bardzo światowy i może go wcale nie
obchodzi, czy ona się do niego teraz odezwie. A jednak w twarzy jego dostrzegła
zdumiewająco mało zmian - była to tylko większa, bardziej męska kopia bladej chłopięcej
buzi o drobnych rysach, szarych oczach i młodzieńczo falujących kasztanowatych włosach.
Pozostało dawne kalectwo, które wzbudzało dawne współczucie. Po drugich rozmyślaniach
Madzia doszła do wniosku, że właściwie powinna była mieć ochotę odezwać się do niego.
Może jest smutny, jak dawniej, i może przyjemniej by mu było, gdyby nań spojrzęła
życzliwie. Zastanawiała się, czy pamięta, jak podobały mu się dawniej jej oczy; na tę myśl
Madzia zerknęła ku kwadratowemu lusterku, które zostało skazane na wiszenie twarzą do
ściany, i już prawie wstała z krzesła, by po nie sięgnąć - powstrzymała się jednak i chwyciła
robótkę, starając się stłumić wzbierające pragnienie i zmusić pamięć do przywołania
urywków hymnów, póki nie zobaczyła, jak Filip z ojcem wracają drogą. Teraz mogła już
zejść na dół.

Był późny czerwiec i Madzia chętnie poszłaby na dłuższy niż zwykle spacer - jedyną
przyjemność, na jaką sobie pozwalała; tego jednak dnia i następnego była tak zajęta
terminową robotą, że nie wyszła nawet za furtkę, a chcąc zaczerpnąć świeżego powietrza
usiadła z robotą na dworze. Zwykle, jeśli nie musiała iść do St. Ogg's, udawała się na swoje
ulubione miejsce, które znajdowało się za czymś, co nazywano Pagórką - było to
nieznaczne wzniesienie gruntu, porośnięte drzewami, a leżące wzdłuż drogi, przebiegającej koło
bramy młyna Dorlcote. Nieznaczne, mówię, bo wzniesienie to było wysokości zwykłego
nasypu; czasami jednak natura ze zwykłego nasypu czymś srodek prowadzący ku
nieuchronnemu przeznaczeniu i dlatego proszę, byście sobie wyobrazili ten wysoki nasyp
porośnięty drzewami tworzącymi na przestrzeni ćwierć mili nierówną ścianę po lewej stronie
młyna Dorlcote; dalej ciągną się sielskie pola zamknięte pomrukiem Ripple. W miejscu,
gdzie linia wzniesienia opada znów do poprzedniego poziomu, skręca w bok ścieżka
prowadząca na tyły owego nasypu 11-

ROZDZIAŁ I

353

Pełno na tym terenie zagłębień i kurhanów, będących pozostałością po czynnym tu niegdyś
kamieniołomie. Tak dawno już zakończono jego eksploatację, że wzgórza i doły porośły
cierniami i drzewami, a gdzieś tam ściełają się splotki trawy, skubanej przez kilka owiec.
To miejsce, zwane Czerwoną Doliną, przejmowało w dzieciństwie Madzie grozę i trzeba było
całej jej wiary w odwagę Tomka, by się zgodziła na wycieczkę tutaj, gdzie, jak to sobie
wyobrażała, w każdej dziurze mogli się kryć rozbójnicy i dzikie zwierzęta. Teraz jednak
miejsce to miało dla dziewczęcia specjalny urok, jaki każdy nierówny teren, ukształtowana
foremnie skała czy wądół ma dla oczu przywykłych do płaszczyzn. Lubiła siadywać - latem
zwłaszcza - w trawiastym zagłębieniu, w cieniu rozłożystego jesionu pochylającego się ku
niej z urwiska i słuchać bzykania owadów, niby malusieńkich dzwoneczków na sukni Ciszy,
czy też patrzeć, jak promienie słoneczne przeszywają dalekie krzewy, jakby chciały złapać i
sprowadzić do domu wagarujący błękit nieba z dzikich hiacyntów. W tych dniach czerwca
dzikie róże powinny również rozkwitać w pełni - był to dodatkowy powód, dla którego
Madzia chciała pójść do Czerwonej Doliny, a nie gdzie indziej, pierwszego dnia, kiedy tylko
będzie mogła spacerować do woli. Przyjemność ta była tak droga jej sercu, że Madzi w zapale
umartwiania przychodziło czasem do głowy, iż powinna sobie odmawiać częstych spacerów.

Możecie zobaczyć ją teraz, jak mija ulubiony zakręt i idzie wąską dróżką poprzez kępę szkockich jodeł; wysoka postać w starej sukni oluru lawendy, który przebija spod czarnego, odziedziczonego po kimś jedwabnego szala, przypominającego siatkę o wielkich oczkach, lecz, kiedy jest pewna, że nikt jej nie widzi, zdejmując kapelusik i przewiązuje go przez ramię. Każdy by przypuścił, że ma ponad swoje pięćdziesiąt lat - może dlatego, że spojrzenie jej jest smutne i zrezygnowane i niczego już nie szuka niespokojnie, a może dlatego, że jej postać, zeroka w ramionach, ma już młode kobiece kształty. Młodość i zdrowie dobrze zniosły narzucone przez nią samą i przez życie i trudności, a noce, które spędziła w pokucie na twardej podłodze, nie stawiły widocznych śladów; oczy są błyszczące, policzki ciemne,

KSIĘGA PIĄTA

354

jędrne, zaokrąglone, wargi czerwone i pełne. Jej śniada cera i diadem kruczonych włosów koronujący wysoką postać sprawiają, że wydaje się jakby krewną tych wspaniałych szkockich jodeł, na które spogląda z dołu z wielkim przywiązaniem. Lecz patrząc na nią odczuwamy pewien niepokój - boimy się, że połączone tu zostały sprzeczne elementy, które grożą gwałtownym spięciem - jakby coś w niej było tłumione. Wyraz ten często widzimy na starszych twarzach kryjących się pod nieozdobionym tasiemką czepeczkiem; nie pasuje on wcale do opornej młodości, która błysnie pewno za chwilę w gwałtownym, pełnym pasji spojrzeniu i wniwecz obróci cały ten spokój, podobnie jak zalany ogień błyska powtórnie płomieniem, kiedy wszystko wydaje się nam już bezpieczne.

Lecz Madzia była w tej chwili spokojna. Niespiesznie radowała się świeżym powietrzem, patrząc w górę na stare jodły i myśląc, iż te kikuty połamanych gałęzi to skutki minionych burz, które tyle tylko dokazały, że rude konary wyżej jeszcze unoszą się teraz w powietrze. Lecz kiedy jej oczy zwrócone były ku górze, zdała sobie sprawę, że na zarośniętej ścieżce, w promieniach zachodzącego słońca porusza się przed nią jakiś cień. Spojrzała więc w dół i spłoszona ujrzała Filipa Wakema, który najpierw uniósł kapelusz, a potem, oblewając się rumieńcem, podszedł i wyciągnął dłoń. Madzia również zaczerwieniła się ze zdumienia, lecz zdumienie szybko przeszło w radość. Dziewczyna wyciągnęła rękę i spojrzała w dół na zniekształconą postać szczerymi oczyma, pełnymi teraz wspomnień dziecięcych uczuć, wspomnień, które trwale wryły się w jej pamięć. Pierwsza zaczęła mówić.

- Przestraszyłeś mnie - uśmiechnęła się lekko. - Nigdy tu nikogo nie spotykam. Jak to się stało, że tu przyszedłeś? Czy chciałeś spotkać się ze mną?

Trudno nie zauważyć, że Madzia w tej chwili znów czuła się dzieckiem.

- Tak - odparł Filip, wciąż jeszcze zakłopotany. - Bardzo cię chciałem zobaczyć. Długo siedziałem wczoraj na wzniesieniu koło twojego domu i patrzyłem, czy wyjdiesz, ale nie wychodziłaś. Dzisiaj

ROZDZIAŁ I

355

znowu czekałem, a kiedy zobaczyłem, którądy idziesz, starałem się nie tracić cię z oczu i zszedłem z nasypu, tędy, od tyłu. Mam nadzieję, że się na mnie nie gniewasz?

- Nie - odparła Madzia prosto i z powagą, idąc dalej, jakby chciała, by Filip jej towarzyszył. - Bardzo się cieszę, żeś tu przyszedł, bo chciałam znaleźć sposobność rozmowy z tobą. Nie zapomniałam, jaki byłeś dobry dla Tomka, wtedy, dawno temu, no i dla mnie też

- nie byłam tylko pewna, czy ty nas równie dobrze pamiętasz. Od tej pory mieliśmy z Tomkiem wiele kłopotów. Przypuszczam, że przez to właśnie człowiek więcej myśli o czasach, kiedy jeszcze tych kłopotów nie było.

- Nigdy nie uwierzę, że myślałaś o mnie tak często, jak ja o tobie

- powiedział nieśmiało Filip. - Wiesz, kiedy byłem daleko, narysowałem cię, taką jaka byłaś tego ranka w pokoju szkolnym, kiedy powiedziałaś, że mnie nie zapomnisz.

Filip wyjął z kieszeni i otworzył duże puzderko do miniatur. Madzia ujrzała siebie, pochyloną nad stołem; czarne włosy zwisały jej za uszami. Patrzyła w przestrzeń dziwnymi, marzącymi oczyma. Był to szkic malowany farbami wodnymi; jako portret miał zdecydowaną wartość artystyczną.

- Ojej! - roześmiała się Madzia zarumieniona z radości- jakaż se mnie była cudaczna dziewczynka. Pamiętam się doskonale w tym uczesaniu i w tej różowej sukience. Naprawdę byłam podobna do Cyganki. Chyba wciąż jestem podobna- dodała po krótkiej przerwie.

- Czy jestem taka, jak sobie mnie wyobrażałeś?

Słowa te mogły brzmieć jak kokieteria, lecz jasne, proste spojrzenie dawało nie było spojrzeniem kokietki. Naprawdę miała nadzieję, że lupowi będzie się podobała jej dzisiejsza buzia, wynikało to jednak z Przypływu dawnej radości, jaką w niej zawsze budziło ludzkie uznanie i serdeczność. Filip wytrzymał jej spojrzenie i przez długą - nwidę patrzył na nią w milczeniu, a potem powiedział spokojnie:

- Nie, Madziu.

Rozjaśniona twarzyczka dziewczyny spochmurniała nieco, a wargi -częły lekko drżeć.

Powieki przysłoniły trochę oczy, lecz nie odwróci-

KSIĘGA PIĄTA

356

ła głowy, a Filip patrzył na nią przez cały czas. Potem powiedział z wolna:

- Jesteś o wiele piękniejsza, niż sobie wyobrażałem.

- Naprawdę? - Radość wypłynęła ciemnym rumieńcem na buzię Madzi. Odwróciła twarz od chłopca i w milczeniu spoglądała przed siebie, jakby oswajała się z tą nową myślą.

Dziewczęta na ogół w stroju widzą główne źródło próżności, toteż Madzia powstrzymując się od spoglądania w lusterko myślała przede wszystkim o zaprzestaniu interesowania się własnym ubiorem, nie zaś o zaprzestaniu przyglądania się własnej twarzy. Nie przyszło jej do głowy, że zdolna jest zrobić na kimkolwiek wrażenie, kiedy porównywała się z eleganckimi, bogatymi, młodymi damami. Mogłoby się zdawać, że to milczenie sprawia Filipowi przyjemność. Szedł przy niej, spoglądając na jej twarz, jakby ten widok wystarczał mu za wszystko inne, za wszelkie pragnienia. Wyszli z kępy jodeł w zieloną dolinkę, otoczoną amfiteatralnie blad różowymi dzikimi różami. Światło było tu mocniejsze i rumieniec na policzkach Madzi przybladł. Stała spokojnie w dolince i spoglądając na Filipa powiedziała smutnym, poważnym głosem:

- Chciałabym, żebyśmy mogli być przyjaciółmi - to znaczy, żeby to mogło być dobre i słuszne. Ale to są próby, którym jestem poddawana bezustannie: nie wolno mi zachować nic z tego, co kochałam, kiedy byłam mała. Poszły wszystkie stare książki - i Tomek się zmienił, i mój ojciec. To jest jak śmierć. Muszę się rozstać ze wszystkim, co mi było drogie w dzieciństwie. I muszę rozstać się z tobą, nigdy już nie będziemy mogli nawet zwrócić na siebie uwagi. Dlatego chciałam pomówić z tobą. Chciałam ci powiedzieć, że ani Tomek, ani ja nie możemy postępować w tych sprawach tak, jakbyśmy chcieli, i jeśli się będę zachowywała, jakbym o tobie zapomniała, to nie będzie to ani zawiść, ani pycha ... ani ... ani żadne złe uczucie.

Madzia mówiła łagodnie i coraz bardziej żałośnie, a oczy jej zaczęły napęlniać się łzami. Na twarzy Filipa coraz mocniej zarysowywał się wyraz bólu, co bardziej go upodobało do chłopca z dawnych lat i sprawiało, że kalectwo budziło jej żywsze współczucie.

ROZDZIAŁ I

357

- Wiem, rozumiem, o co ci chodzi - powiedział głosem, który osłabiało zniechęcenie. - I wiem dobrze, jakie siły z obu stron chcą nas rozdzielić. Ale to nie jest słuszne, Madziu - nie gniewaj się, że nazywam cię Madzią, ale zawsze tak cię nazywałem w myślach - niesłusznie jest poświęcać wszystko dla cudzych, bezrozumnych uczuć. Wiele poświęciłbym dla mojego ojca, ale nie poświęciłbym przyjaźni czy ... czy jakiegoś przywiązania, chcąc być posłuszny jego życzeniu, którego nie uważałbym za uzasadnione.

- Nie wiem - zamyśliła się Madzia. - Często, kiedy byłem zła i rozgoryczona, wyobrażałam sobie, że nie jest konieczne wyrzekanie się wszystkiego, i tak ciągnąłem swój wywód, aż wydawało mi się, że mogę w ten sposób odepchnąć wszelkie obowiązki. Ale z takich myśli nie wynikało nigdy nic dobrego - one były złe, Filipie. Wiem, że cokolwiek zrobię, zawsze dojdę w końcu do przekonania, że lepiej by mi było obejść się bez wszystkiego niż przydawać życiu ojca goryczy.

- Ale jeśli spotkamy się od czasu do czasu, czy to będzie dla niego goryczą?- zapytał Filip. Chciał dodać coś jeszcze, ale się powstrzymał.

- O, na pewno by mu się to nie podobało. Nie pytaj dlaczego, nie pytaj - mówiła Madzia z rozpaczą. - Ojciec mój przeżywa pewne rzeczy bardzo mocno. Jest bardzo nieszczęśliwy.

- Ja też - odparł gwałtownie Filip. - Ja też jestem nieszczęśliwy.

- Dlaczego? - spytała Madzia łagodnie. - W każdym razie ... nie powinnam pytać, ale bardzo, bardzo mi przykro ...

Filip odwrócił się i ruszył dalej, jakby brak mu było cierpliwości c tu dłużej. Wyszli z dolinki i szli w milczeniu pośród drzew krzewów. Po ostatnich słowach Filipa Madzia nie miała serca nalegać, by się natychmiast rozstali.

- Jestem o wiele szczęśliwsza - powiedziała wreszcie nieśmiało od kiedy przestałam myśleć o tym, co łatwe i przyjemne, i przestała się martwić, że nie mogę mieć tego, co chcę. Nasze życie jest z góry

m pisane - jakaż to ulga dla myśli, kiedy porzucamy pragnienia - ałą wolę skupiamy na tym jedynie, by nieść nasz ciężar i robić to, co nam zostało do zrobienia przeznaczone.

KSIĘGA PIĄTA

358

- Ależ ja nie mogę wyrzec się pragnień - odparł niecierpliwie chłopiec. - Wydaje mi się, że póki jeszcze jesteśmy żywi, nie możemy porzucić tęsknot i pragnień. Jeśli uważamy jakieś rzeczy za piękne i dobre, to musimy ich łaknąć. Jakże możemy, póki uczucia nasze są żywe, zaznać kiedykolwiek zadowolenia, nie zaspokoiwszy naszych pragnień? Zachwycam się pięknymi obrazami - chciałbym umieć je malować. Próbuję i próbuję, i wciąż nie mogę stworzyć tego, co chcę. To mnie boli i zawsze będzie bolało, dopóki nie stępią się moje władze umysłowe, tak jak stępią się wzrok na starość. Jest wiele jeszcze rzeczy, za którymi tęsknię ... - Filip zawahał się chwilę i mówił dalej: - te, które są dane innym mężczyznom, a mnie odmówione na zawsze. W moim życiu nie będzie nic wielkiego ani pięknego - wolałbym się być nie urodzić.

- Och! - zawołała Madzia. - Nie chcę, żebyś tak myślał.

- Lecz serce jej zaczęło bić do wtóru goryczy Filipa.

- A więc dobrze- powiedział odwracając się szybko i patrząc na nią prosząco szarymi oczyma.

- Pogodzę się z życiem, jeśli pozwolisz mi widywać się od czasu do czasu. - Potem,

zdławiony lękiem wyzierającym z jej twarzy, odwrócił się i powiedział już spokojniej:

- Nie mam przyjaciela, któremu mógłbym się zwierzyć. Nikogo, kto by o mnie pomyślał;

gdybym tylko mógł cię niekiedy widywać, gdybyś pozwoliła mi porozmawiać czasem,

gdybyś mi okazała, że ci na mnie zależy - że w sercu zawsze możemy być przyjaciółmi i

pomagać sobie nawzajem- wtedy może potrafiłbym nawet zacząć się cieszyć życiem-

- Ale jakże ja cię mogę widywać, Filipie- głos Madzi załamywał się. (Czyżby naprawdę mogła mu pomóc? Trudno będzie pożegnać się z nim dzisiaj, by już się nigdy więcej do niego

nie odezwać. Oto nowy problem, który odmieni jej dni - o ileż łatwiej było wyrzec się zainteresowania, kiedy nie istniało).

- Wystarczy, jeżeli pozwolisz mi widywać się czasem ... spacerować tu z tobą ... nawet gdyby to miało być dwa czy trzy razy w miesiącu- To nie umniejsza niczyjego szczęścia, a moje życie osłodzi. Poza tyń

- ciągnął Filip z przemyślnością, jaką zrodzić może tylko raiiosc w wieku dwudziestu jeden lat - jeżeli między naszymi bliskimi istniejej

ROZDZIAŁ I

359

wrogość, tym bardziej powinniśmy próbować ją uśmierzyć naszą przyjaźnią - to znaczy, myślę, że przez nasz wpływ na obie strony możemy doprowadzić do zaleczenia ran zadanych w przeszłości, jeżeli dowiem się o nich wszystkiego. Boja nie wierzę, żeby mój ojciec żywił wrogość w sercu. Wydaje mi się, że dał dowód czegoś wręcz przeciwnego.

Madzia wolno potrząsnęła głową i milczała, pogrążona w rozterce. Skłonna była uznać, że spotkanie od czasu do czasu z Filipem i zachowanie z nim więzów przyjaźni byłoby czymś nie tylko niewinnym, ale i dobrym. A może mogłaby mu dopomóc w znalezieniu tego samego ukojenia, jakie ona znalazła. Głos, który to podszeptował, brzmiał w uszach Madzi jak słodka muzyka: lecz przeciwko niemu podnosiło się natarczywe, monotonne ostrzeżenie wypowiedzane innym głosem, którego zwykła słuchać: ostrzeżenie, że takie spotkania wymagać będą sekretności - to znaczy czegoś, czego odkrycia będzie się bała - niemal czegoś, co jeśli zostanie ujawnione, wywoła gniew

1 ból; że zgoda na dwulicowość będzie duchowo niszcząca. Lecz muzyka wzbierała znowu jak dźwięk dzwonów niesiony daleko w podmuchach wiatru, tłumacząc jej, że wszystko zło leży w cudzych błędach i słabościach i że daremne poświęcenie dla jednego człowieka

oże być krzywdą drugiego. Okrucieństwem byłoby odsunąć się od Filipa z powodu czyjejś bezpodstawnej nienawiści do jego ojca - od jednego Filipa, od którego inni odsuwają się, bo jest kaleką. Nie przyszło jej do głowy, że Filip może ją kochać lub też, że jej spotkania z nim mogą być z tego powodu niewłaściwe - a Filip spostrzegł to poczuł ból, chociaż dzięki temu łatwiej mogła przystać na jego prośbę.

2 goryczą stwierdził, że Madzia jest w stosunku do niego prawie tak iamo bezpośrednia i szczerą, jak w czasach dzieciństwa.

- Nie mogę powiedzieć ani tak, ani nie - rzekła wreszcie dwracając się i idąc ku ścieżce, którą przysła. - Muszę się istanowić, by nie podjąć niewłaściwej decyzji. Muszę szukać

- Czy wobec tego mogę tu przyjść ... jutro ... albo pojutrze ... czy w Przyszłym tygodniu?

30 BN II/234 G. Ehot: Młyn nad Flossą

KSIĘGA PIĄTA

360

- Chyba lepiej napiszę do ciebie - głos Madzi znowu brzmiał niepewnie. - Od czasu do czasu muszę być w mieście, mogę wtedy zostawić list na poczcie.

- Och, nie - zaprotestował szybko Filip. - Tak nie będzie dobrze. Mój ojciec może zobaczyć list i ... on na pewno nie jest wrogo do was nastawiony, ale różnimy się w poglądach: on przykładą dużą wagę do majątku i pozycji. Proszę cię, pozwól mi przyjść tutaj jeszcze raz. Powiedz mi, kiedy. A jeśli nie możesz powiedzieć, będę tu zaglądał, kiedy mi tylko się uda, póki cię nie spotkam.

- Tak chyba musi być - odparło dziewczę - bo nie umiem powiedzieć z całą pewnością, w który akurat wieczór będę mogła tu przyjść.

Odroczenie decyzji przyniosło Madzi wielką ulgę. Mogła się teraz cieszyć jego towarzystwem, postanowiła bowiem, że jeszcze tu chwilę zostanie - za następnym spotkaniem będzie musiała zadać mu ból mówiąc o swoim postanowieniu.

- Nie mogę przestać myśleć - odezwała się z uśmiechem po chwili milczenia - jakie to dziwne, że się spotkaliśmy i rozmawiamy ze sobą tak, jakbyśmy dopiero wczoraj rozstali się w Lorton. A jednak obydwójce musieliśmy bardzo się zmienić przez te pięć lat ... to już chyba pięć lat! Co sprawiło, że myślałeś, iż będę tą samą Madzią? Wcale nie byłam pewna, że ty będziesz taki sam. Wiem, że jesteś bardzo mądry, bo musiałeś się wiele nauczyć, i wiele dowiedzieć! Nie sądziłam, że jeszcze ci będzie na mnie zależało.

- Nie miałem nigdy najmniejszych wątpliwości, że bez względu na to, kiedy cię zobaczę, ty będziesz taka sama - odparł Filip. - To znaczy taka sama w tym wszystkim, co sprawiło, że lubiłem cię bardziej od innych. Nie chcę tego tłumaczyć. Nie sądzę, aby kiedykolwiek dało się wyjaśnić choć jedno z najsilniejszych wrażeń, jakie

I to już chyba pięć lat - dopiero tu, a nie na początku rozdziału, wskazany jest upływ czasu, który ma za zadanie powiedzieć jedynie, że dzieci wkroczyły już w wiek dorosły. Pięcioletni przedział czasu oznacza, że obecnie jest 1o 1835. Filip i Madzia poznali się w czasie drugiego półrocza Tomka u pastora, y- w r. 1830.

ROZDZIAŁ I

361

odnieść może natura ludzka. Nie możemy wykryć ani procesu, w jaki do nich dochodzi, ani sposobu, w jaki one na nas oddziałują. Największy z malarzy raz tylko namalował tajemnicze boskie Dziecię

- nie mógł wytłumaczyć, w jaki sposób to zrobił, ani my nie możemy wyjaśnić, dlaczego to dziecko jest dla nas boskie. Myślę, że w naturze ludzkiej jest jeszcze obfitość rzeczy, których rozum nasz nie może zinwentaryzować. Pewne melodie na przykład wywierają na mnie dziwne wrażenie - za każdym razem, kiedy je słyszę, zmienia się na pewien czas moja postawa duchowa, a gdyby to wrażenie mogło trwać, może byłbym zdolny do bohaterstwa.

- Och, rozumiem to, co mówisz o muzyce. Ja czuję zupełnie to samo

- Madzia po dawnemu, impulsywnie złożyła ręce. - W każdym razie - dodała smutniejszym już głosem- czułam tak dawniej, kiedy mogłam słuchać muzyki. Teraz słyszę ją tylko, gdy grają organy w kościele.

- I tęsknisz za muzyką, Madziu? - Filip patrzył na nią ze współczuciem pełnym miłości. - Niewiele cię w życiu otacza piękna. Czy masz jakie książki? Tak je lubiłaś, kiedy byłaś mała. Weszli z powrotem w dolinę obrośniętą dzikimi różami i zatrzymali się oboje oczarowani bajkowym światłem wieczornym odbijającym od bladoróżowych pęków kwiecia.

- Nie, dałam pokój książkom - odpowiedziała spokojnie Ma- a" OProcz bardzo, bardzo nielicznych.

Filip wyciągnął z kieszeni mały tomik i patrząc na jego grzbiet powiedział:

Ach, to jest drugi tom ... szkoda, bo może chciałabyś wziąć ją ze sobą do domu. Włożyłem ją do kieszeni, bo robię studia do pewnej sceny, którą chcę rysować.

viadzia również spojrzała na grzbiet książki i dostrzegła tytuł; aawne wrażenia ożyły z wszechwładną siłą.

jf. T, Pirat2 - powiedziała biorąc książkę z rąk Filipa - zaczęłam ją ys. Doczytałam do miejsca, gdzie Minna idzie na spacer z Cre-dach'w'

Powieść Waltera Scotta, której akcja toczy się na Szetlan-

KSIĘGA PIĄTA

362

landem, i nigdy nie mogłam jej skończyć. Wyobrażałam sobie, co było dalej i wymyślałam różne zakończenia³, ale wszystkie były smutne. Nie mogłam wymyślić szczęśliwego zakończenia do takiego początku. Biedna Minna! Ciekawam, jaki jest prawdziwy koniec? Długo nie mogłam przestać myśleć o Wyspach Szetlandzkich - czułam, jak wiatr dmie ku mnie ze wzburzonego morza.

Madzia mówiła gwałtownie, a oczy jej błyszczały.

- Weź ze sobą ten tom, Madziu - prosił Filip patrząc na nią z zachwytem. - Nie potrzebuję go teraz. Zamiast tego narysuję cię pomiędzy jodłami szkockimi pośród skośnych cieni.

Madzia nie słyszała z tego ani słowa pochłonięta czytaniem stronicy, na której właśnie otworzyła. Nagle zamknęła książkę i zwróciła ją Filipowi odrzucając głowę do tyłu, jakby napływającym obrazom mówiła: "precz".

- Zatrzymaj ją, Madziu - prosił Filip. - Sprawi ci przyjemność.

- Nie, dziękuję - Madzia odsunęła ręką książkę i ruszyła dalej. - Przez nią zacznę znowu kochać ten świat, tak jak to było dawniej, znowu będę marzyła, żeby zobaczyć i nauczyć się wielu rzeczy, znowu będę tęskniła do pełni życia.

- Ale przecież nie zawsze ograniczać cię będzie dzień dzisiejszy. Czemu chcesz zagłodzić swój umysł? To jakiś wąski ascetyzm - nie chcę, byś w nim trwała, Madziu. Poezja, sztuka i wiedza to rzeczy czyste i święte.

- Ale nie dla mnie ... nie dla mnie - mówiła Madzia przyspieszając kroku. - Bo ja chciałabym zbyt wiele. Muszę czekać, moje życie nie może trwać długo.

- Nie uciekaj ode mnie bez pożegnania, Madziu - prosił Filip gdy znaleźli się przy kępie jodeł, a ona wciąż szła przed siebie bez słowa. - Nie powinienem iść dalej, prawda?

3 wymyślałam różne zakończenia - w powieści miłość Minny i Cleveland kończy się rozstaniem: może to być zapowiedzią, że los rozdzieli równie Madzie i Filipa.

ROZDZIAŁ I

363

Och, zapomniałam. Do widzenia - powiedziała Madzia stając

i wyciągając doń rękę. Poczuła napływ serdeczności dla Filipa; stali przez chwilę w milczeniu, ściskając sobie dłonie, aż wreszcie dziewczyna, cofając rękę, powiedziała:

- Wdzięczna ci jestem, żeś o mnie myślał przez te wszystkie lata. To cudowne mieć ludzi, którzy nas kochają. Jakże to niezwykle i piękne, że Pan Bóg tak stworzył twoje serce, byś mógł dbać o dziwną małą dziewczynkę, którą znałeś parę tygodni zaledwie! Pamiętam, jak ci powiedziałam, że chyba lubisz mnie więcej niż Tomek.

- Och, Madziu- powiedział Filip z gniewem prawie- nigdy nie będziesz mnie kochała tak bardzo, jak swego brata.

- Pewno nie - przyznała Madzia po prostu - ale widzisz, pierwsze moje wspomnienie w życiu, to jak stałam nad brzegiem Flossy, a Tomek trzymał mnie za rękę. Wszystko, co było przedtem, jest dla mnie ciemnością. Ale nigdy cię nie zapomnę, chociaż musimy trzymać się z daleka.

- Nie mów tak, Madziu - prosił Filip. - Jeśli przez pięć lat zachowałem w pamięci tę małą dziewczynkę, to czyż nic mi się za to od niej nie należy? Nie możesz tak całkiem zniknąć z mego życia.

- Tak, gdybym była wolna - odpowiedziała Madzia - ale nie jestem, muszę się podporządkować innym. - Wahała się przez chwilę,

otem dodała: - I chciałam ci jeszcze powiedzieć, żebyś, kiedy tkasz swojego brata, kłaniał mu się tylko. Powiedział mi kiedyś, że e odezwie się więcej do ciebie, a on dotrzymuje słowa ... Ojej, słońce już zaszło. Do widzenia - jeszcze raz podała mu rękę.

- Będę tu przychodził, jak tylko będę mógł, póki cię znowu nie spotkam. Miejże i dla mnie trochę uczucia, tak jak dla innych.

Ależ mam! - zawołała Madzia odchodząc spieszenie i niknąc szybko z oczu za ostatnim drzewem; mimo to Filip patrzył za nią augo, jakby ją ciągle widział.

Madzia szła do domu, a w duszy jej rodził się konflikt. Filip rocił do domu, gdzie wspominał to spotkanie i łudził się nadzieją. no go nie winić surowo. Był o cztery czy pięć lat starszy od , a pełna świadomość tego, co do niej czuje, powinna mu kazać

KSIEGA PIĄTA

przewidywać, jaki charakter, w oczach osoby trzeciej, będą miały ich przyszłe spotkania. Nie przypuszczajcie jednak, że zdolny był do prymitywnego egoizmu, czy też, że mógłby nakłaniać ją do spotkań, gdyby sobie uprzednio nie wmówił, iż chce wnieść trochę szczęścia w Madzine życie - i że to jest dlań ważniejsze niż wszystkie osobiste pragnienia. Może jej okazać współczucie, może jej być pomocny. Swoim zachowaniem nie dawała mu najmniejszych nadziei na miłość; nic ponad słodką, dziewczęcą czułość, którą okazała mu, gdy miała dwanaście lat. Może ona go nigdy nie pokocha - może żadna kobieta nie jest w stanie go pokochać? No cóż, jakoś to zniesie. Będzie miał przynajmniej szczęście oglądania jej, przebywania w jej obecności. Chwytał się rozpaczliwie myśli, że ona mogłaby go jednak pokochać - może rozwinęłoby się w niej uczucie, gdyby jego osoba łączyła się w jej oczach z opiekuńczą czułością, na którą natura Madzi jest na pewno szczególnie wrażliwa. Jeżeli jakakolwiek kobieta zdolna jest go kochać, to na pewno kobietą tą jest Madzia: takie w niej bogactwo uczuć, a nikt się nie upomina o nie. A poza tym - jaka szkoda, by taki umysł wędznął w najświeższej wiosnie życia, jak młode drzewo wędnie z braku miejsca i słońca w lesie, w którym dano mu się rozwijać. Czyż nie mógłby temu zapobiec i wyperswadować jej ten pomysł wyrzekania się wszystkiego? Będzie jej aniołem opiekuńczym; zrobi dla niej wszystko - z wyjątkiem tego, by miał jej nie oglądać.

ROZDZIAŁ II

CIOCIA GLEGG POZNAJE SZEROKOŚĆ KCIUKA BOBA

Podczas gdy walki Madzi toczyły się niemal wyłącznie w jej własnej duszy - dwie armie cieniów pasowały się ze sobą, a powalone cienie ustawicznie powracały na plac boju - Tomek w bardziej hałaśliwej

ROZDZIAŁ II

365

i brudnej walce zmagął się z konkretniej szymi przeciwnościami i odnosił bardziej określone zwycięstwa. Tak to już jest od czasów Hekuby i Hektora⁴, Poskromiciela Rumaków; wewnątrz bram kobiety z rozwianym włosiem i wzniesionymi rękoma ofiarowywały modlitwy i z dala nasłuchiwały odgłosów zmagania ludzkości, wypełniając wspomnieniami i niepokojem długie, puste dni⁵; na zewnątrz bram mężczyźni w zaciętym boju z siłami ludzkimi i boskimi topili wspomnienia w zapale walki, nie czując strachu, a nawet ran w ogniu bitwy. Wiecie już dosyć o Tomku, by nie przepowiadać mu niepowodzenia w czymś, czego rzetelnie pragnął; raczej postawicie na niego, mimo że nie miał wielkich osiągnięć w naukach klasycznych. Lecz Tomek nigdy nie pragnął sukcesu na tym polu; jeśli zaś idzie o osiągnięcia w dziedzinie głupoty, nie mając wpychanie komuś w głowę wiadomości, do których nie czuje najmniejszego zainteresowania. Obecnie wolę Tomka wspomagało i wrodzone poczucie uczciwości, i duma, i smutki rodzinne, i ambicje osobiste; to wszystko stało się jedną siłą koncentrującą wysiłki i przewyciężającą zniechęcenie. Wujaszek Deane pilnie obserwował chłopca i wkrótce zaczął wiązać z nim pewne nadzieje, a nawet był dumny, że wprowadził do firmy siostrzeńca, który, jak się okazuje, jest doskonałym materiałem na handlowca. Po pewnym czasie Tomek stwierdził, iż znalezienie mu na początek miejsca w składach było dowodem prawdziwej życzliwości, bo wkrótce wuj zaczął napomykać, iż kiedyś, być może, firma da Tomkowi dowód zaufania i będzie go wysyłać w pewnych okresach w podróż, celem

Hekuba - - matka Hektora, bohatera trojańskiego dowodzącego wojskiem ' zastępstwie sędziwego króla Priama. Przywołanie jego imienia jest tu dość skakujące, nawet jeśli pojawia się w żartobliwej uwadze narratora, ponieważ Poległ on w walce, Tomek zaś przedstawiony jest na tym etapie jako człowiek stworzony do sukcesów.

długie, puste dni - jeden z nielicznych komentarzy o różnicy ról Kłtecznych kobiet i mężczyzn, i o narzuconej kobietom bierności. Emancypacja kobiet jako zagadnienie społeczne nie pojawia się w tej powieści nawet Marginesowo.

KSIĘGA PIĄTA

366

dokonania zakupu różnych pospolitych towarów, których nazwami nie będę tu obrażał wykwintnych uszu czytelnika. Mając to prawdopodobnie na myśli, pan Deane zapraszał Tomka do siebie na godzinkę, kiedy wypadło mu pić w samotności wino, i podczas tej godzinki robił siostrzeńcowi wykład o towarach będących przedmiotem eksportu i importu, a czasem poruszał tematy o mniej konkretnej przydatności, mianowicie mówił o korzyściach, jakie czerpią kupcy z St. Ogg's z tego, że ich towary przypływają tu zarówno na ich własnych, jak i cudzoziemskich statkach; pan Deane, jako armator, musiał oczywiście, kiedy go wino i rozmowa rozgrzały, dorzucić kilka takich uwag. W drugim już roku podniesiono płacę Tomkowi, wszystkie jednak pieniądze, prócz tych, które przeznaczał na zakup ubrania i opłatę obiadów, wędrowały w domu do puszek cynowej. Stronił też od towarzystwa, by nie być zmuszonym do wydatków wbrew woli. Tomek nie był stworzony na nudnego Terminatora Handlowego, wręcz przeciwnie, miał wielką ochotę na przyjemności - chciałby być Poskromicielem Rumaków i Wybitną Osobistością w oczach sąsiadów, chciałby podejmować i obdarowywać innych z rozsądną szczodrością; chciałby, żeby go uważano za jednego z najwytworniejszych młodzieńców w okolicy. O, tak, postanowił do tego dojść wcześniej czy później, lecz spryt i zmysł praktyczny mówiły mu, iż osiągnie cel, jeżeli dzisiaj będzie się od niego trzymał z daleka i wszystkiego sobie odmawiał. Musi minąć jeszcze wiele kamieni milowych, a jednym z pierwszych była spłata długów ojca. Zdecydowawszy się na to, siedł prosto nie zbaczając z raz obranej drogi, z wyrazem ponurej surowości, jaki często można dostrzec w twarzach młodych ludzi, zbyt wcześnie zdanych wyłącznie na własne siły⁶. Tomek był rzetelnie oddany łączącej go z ojcem wspólnej sprawie, gdyż nakazywała mu to duma rodzinna, i jako syn postanowił być nienaganny, ale rosnące doświadczenie kazało mu w duszy potępić ojca za jego dotychczasowe popędliwe, nierozważne postęпки. Usposobienia obu mężczyzn były

⁶ Utrzymywanie, że Tomek zdany jest wyłącznie na własne siły, zawiera pewien element przesady, korzysta on bowiem w karierze zawodowej z poparcia wuja.

ROZDZIAŁ II

367

odmienne i podczas nielicznych godzin, jakie Tomek spędzał w domu, twarzy jego nie rozjaśniała radość. Madzie przejmował mieszaniną czci i lęku, którą zwalczała jako coś niesprawiedliwego - czego nie tłumaczyła jej świadomość istnienia szerszych horyzontów i głębszych motywów postępowania brata - nic jednak nie przychodziło z tej walki. Człowiek, który jest w zgodzie z samym sobą, który wykonuje postawione sobie zadanie i tłumi każdy przeciwstawny odruch, który nie marzy o niczym prócz tego, co na pewno osiągalne - czerpie siłę z własnych wyrzeczeń.

Możecie sobie wyobrazić, że malejące podobieństwo pomiędzy Tomkiem a ojcem ogromnie pomogło chłopcu pojednać się z ciotkami i wujami po kądzieli. Zaczęto rozprawiać w rodzinie, z różną dozą przekonania, o dobrych wróżbach i pochlebnych opiniach, jakie wyrażał pan Deane rozmawiając z panem Glegg o umiejętnościach handlowych Tomka. Okazało się, że chłopiec zdolny jest przynosić rodzinie chlubę, nie ściągając na nią przy tym kłopotów ani wydatków. Pani Pullet zawsze uważała, iż byłoby dziwne, gdyby piękna, czysta dodsonowska cera Tomka nie okazała się niezbitym dowodem, że chłopiec wyjdzie na ludzi, zaś takie jego błędy młodości, jak zagonienie

wa na śmierć i ogólny brak szacunku dla ciotek - to tylko rezultat ropli krwi Tulliverów, z której z pewnością już wyrósł. Pan Glegg ił dla chłopca ostrożną sympatię, odkąd tak bystro i rozumnie tchował się podczas wyprzedaży domu, a teraz jego serdeczność rosła do tego stopnia, iż postanowił czynem dopomóc siostrzeńcowi zarobieniu kariery - kiedyś, kiedy nadarzy się po temu odpowied- i niekosztowna okazja. Ciotka Glegg jednak oświadczyła, że nie kła gadać na wiatr, jak inni; że ci, co najmniej mówią, najprędzej ką swoje słowa w czyny i że jak przyjdzie odpowiednia chwila, się, kto potrafi nie tylko obracać językiem, ale i coś zrobić. Po - zących rozważaniach podczas ssania kilku pastylek, wujaszek doszedł wreszcie do wniosku, że jeśli młody człowiek dobrze się Powiada, lepiej się do jego spraw nie wtrącać.

ymczasem Tomek nie wykazywał najmniejszej ochoty, by pole- a czyichkolwiek siłach prócz własnych. Oczywiście, był wrażliwy

KSIĘGA PIĄTA

368

na wszelkie przejawy ludzkiego uznania i przyjemność sprawiały mu przyjazne spojrzenia wujka Glegg, który wstępował czasem do niego do firmy z zaproszeniem na obiad, na co chłopiec odpowiadał odmownie, tłumacząc, że nie wie, czy będzie mógł przyjść punktualnie. Lecz mniej więcej przed rokiem zdarzyło się coś, co skłoniło Tomka do wystawienia życzliwości wujaszka Glegg na próbę.

Pewnego wieczoru, kiedy Tomek wracał do domu, zastał czekającego nań na moście Boba Jakina, który zwykle po powrocie ze swych wypraw odwiedzał Tomka i Madzie. Tym razem chciał z nim porozmawiać sam na sam. Otóż pozwala sobie zapytać panicza Tomka, czy myślał kiedy o zrobieniu pieniędzy handlując trochę na własną rękę? Handlować? Ale jak - Tomek bardzo chciałby się dowiedzieć. Ano cóż - wysłać trochę towaru do zagranicznych portów. Bob ma jednego przyjaciela, który właśnie zaoferował się, że pohandluje trochę w jego imieniu towarami z Laceham; ten przyjaciel gotów jest służyć paniczowi na tych samych warunkach. Tomek od razu się zainteresował i poprosił o szczegóły, zastanawiając się, dlaczego nie przyszło mu to wcześniej do głowy. Tak się ucieszył możliwością spekulacji handlowej, dzięki której będzie mógł zamienić powolny proces dodawania w mnożenie, że postanowił od razu powiedzieć ojcu o całej sprawie i namówić go, by zgodził się przeznaczyć pewną część oszczędności z cynowej puszką na zakup niewielkiej partii towaru. Wolałby nie naradzać się z ojcem, ale właśnie włożył był do puszkę pieniądze za ostatni kwartał, a żadnych innych możliwości nie miał. Tam znajdowały się wszystkie ich oszczędności - pan Tulliver bowiem nie chciał oddawać pieniędzy na procent, bojąc się, że mu przepadną. Odkąd spekulował na zbożu i stracił, był spokojny tylko wtedy, kiedy pieniądze miał pod ręką. Tego wieczoru, kiedy siedzieli razem przy kominku, Tomek zaczął ostrożnie opowiadać ojcu o całej sprawie. Pan Tulliver słuchał pochylony w fotelu, sceptycznie patrząc na syna. W pierwszej chwili chciał mu z miejsca odmówić, ale do pragnień Tomka odnosił się z dużym szacunkiem, a odkąd zaczął uważać się za "pechowego" ojca zrezygnował nieco z apodyktycznych uporów pana i władcy. Wj3

ROZDZIAŁ II

369

z kieszeni klucze od biurka, wybrał klucz od wielkiej skrzyni i zniósł na dół cynową puszkę - powoli, jakby chciał opóźnić chwilę bolesnej rozłąki. Potem usiadł przy stole i otworzył puszkę małym kluczykiem; nosił go zawsze w kieszeni kamizelki, a gdy miał wolną rękę, przytrzymał go palcem. Otóż i one - ciemne banknoty i błyszczące suwereny. Przeliczył je na stole - tylko sto szesnaście funtów w dwa lata, przy takim oszczędnym życiu!

- Więc ile chcesz? - zapytał, jakby te słowa paliły mu wargi.
- Powiedzmy, że zacznę z trzydziestoma sześcioma funtami, ojczu.
Pan Tulliver oddzielił tę sumę od reszty i nakrywając ją dłonią powiedział:
- To tyle, ile mogę zaoszczędzić z moich zarobków przez rok.
- Tak, ojczu. Powolna to robota: odkładanie oszczędności z tych niewielkich pieniędzy, jakie nam płacą za naszą pracę. A w ten sposób możemy je podwoić.
- Tak, chłopczu - odparł ojciec wciąż trzymając rękę na pieniądzach - ale też możesz je stracić. Możesz stracić rok mojego życia, a nie zostało mi ich wiele.
Tomek milczał.
- A wiesz, że nie oddałem tej pierwszej setki na spłatę rat, bo chciałem zobaczyć wszystkie pieniądze razem, kiedy je widzę, jestem Pewny, że są. Ty chcesz zawierzyć szczęściu, ale wiedz, że ono obróci się przeciwko mnie, jak tu stoję. Szczęście ma Lucyfer w swoich łapach - a jeśli stracę jeden rok, nigdy go już nie dogonię - śmierć mnie prześcignie.
Głos młynarza zadrzał; Tomek siedział przez kilka chwil w milczeniu - mu potem zaś powiedział:
- Dam pokój temu projektowi, ojczu, jeśli tak bardzo jesteś mu przeciwny.
Nie chcąc jednak wyrzekać się go całkowicie, chłopiec postanowił rosić wuja Glegg o zaryzykowanie dwudziestu funtów z warunkiem, że otrzyma pięć procent zysku. Doprawdy, nie była to wielka sba. Tak więc, kiedy następnego dnia Bob zaszedł na przystań, by

KSIĘGA PIĄTA

370

dowiedzieć się o decyzji Tomka, chłopiec zaproponował, by poszli razem do wujaszka Glegg i pogadali o sprawie. Tomka nie opuściła dotychczas nieśmiała duma i liczył, że wymowność Boba uwolni go od zakłopotania.

O milej godzinie - dochodziła właśnie czwarta - w gorący sierpniowy dzień pan Glegg liczył oczywiście owoce na drzewie pod murem, chcąc się upewnić, że ogólna ich liczba nie zmieniła się od wczoraj. W tym właśnie momencie wszedł Tomek w dość dziwnym, zdaniem pana Glegg, towarzystwie: człowieka z węzełkiem na plecach - Bob gotował się bowiem do nowej wyprawy - oraz wielkiego cętkowanego bullteriera, który wkroczył powolnym, kołyszącym się krokiem i spoglądał spod powiek wzrokiem kwaśno obojętnym, pod czym mogły się jednak kryć zdecydowanie wrogie zamiary. Okulary, które były panu Glegg pomocą przy liczeniu owoców, sprawiły, iż te podejrzone szczegóły ujrzał w przerażającej ostrości.

- Hej, hej, trzymaj no tego psa! - krzyknął wyrrywając kij z ziemi i zasłaniając się nim jak tarczą, kiedy goście znajdowali się od niego o trzy jardy.

- Pódziesz, Mumps - Bob zaprawił swe słowa kopniakiem. - On jest spokojny jak baranek! - Mumps potwierdził to spostrzeżenie chrapliwym warknięciem, cofając się za nogi swego pana.

- Co to wszystko znaczy, Tomku? - zapytał pan Glegg. - Może przynosisz jakieś wiadomości o tych łajdakach, co mi wycinają drzewa? - Jeżeli Bob przyszedł w charakterze "informacji", to pan Glegg gotów był się pogodzić nawet z pewną niecodziennością tych odwiedzin.

- Nie, wujku - odparł Tomek. - Przyszedłem pomówić z wujem o pewnym moim niewielkim interesie.

- No dobrze, ale co ma z tym wspólnego ten pies? - zapytał starszy pan mięknąc.

- To mój pies, proszę pana - chętnie wyjaśnił Bob. - I to ja właśnie chciałem paniczka Tomka namówić na ten interes, bo paniczek Tomek to mój przyjaciel, od czasów kiedy obaj nosiliśmy jeszcze koszule w zębach. Pierwsze moje zajęcie w życiu to płoszenie ptaków

ROZDZIAŁ II

371

u starszego pana. A teraz, jak mi się jaka okazja nadarzy, to zawsze bym chciał, żeby i paniczowi coś się z tego urwało. To hańba i wstyd, żeby, jak ma okazję zarobić trochę pieniędzy na wysyłce towarów, dziesięć do dwunastu procent na czysto po opłaceniu frachtu i komisowego, żeby nie mógł tej okazji podłapać, bo mu brak pieniędzy. A do tego towar z Laceham - o rety! Przecież to jakby specjalnie robione dla ludzi, co chcą trochę pohandlować - lekkie i miejsca nie zajmuje - dwadzieścia funtów można tak zapakować, że paczki nie widać. To jest taki towar, co się głupim podoba, więc myślę, że nie brak będzie kupców. Chcę sam pójść do Laceham i kupić go i dla panicza, i dla siebie od razu. Mamy ładunkowego na jednym statku, on by to zabrał. Znam go dobrze, solidny człowiek, jego rodzina mieszka tu w mieście. Salt się nazywa i ma dobrze we łbie. Jak mi pan nie wierzy, niech pan ze mną do niego pójdzie.

Wujaszek Glegg stał z otwartymi ze zdumienia ustami. Myśli jego ledwie nadały za tym potokiem wymowy. Spojrzał na Boba najpierw sponad okularów, potem poprzez nie, potem znowu ponad nimi, Tomek zaś, nie wiedząc, co sądzić o wyrazie twarzy wuja, pożałował nagle, że przyprowadził tutaj ze sobą tego niezwykłego Aarona czy rzecznika⁷. Gadanina Boba wydała mu się jeszcze bardziej nie na miejscu teraz, w obecności osoby trzeciej.

- Wyglądasz na mądralę - rzekł wreszcie wujaszek.

- Prawdę pan mówi - Bob przechylił na bok głowę. - Zdaje mi się, że moja głowa to cała chodzi w środku, jak stary ser, bo tyle w niej pomysłów, jeden lepszy od drugiego. Jakbym nie miał Mumpsa do rozmowy, toby mi się łeb tak rozdał, aż bym się przefiknął. Pewno to dlatego, że nie chodziłem dużo do szkoły. O to mam żal do matki. "Powinnaś mnie więcej posyłać do szkoły - powiadam - wtedy bym mógł czytać w książkach jak nic i głowę bym miał pustą i chłodną". Rety, ona to ma teraz dobrze, ta moja staruszka, je pieczone mięso z kartoflami, kiedy tylko zechce. Boja dzisiaj zarabiam kupę pieniędzy

Aaron - postać biblijna: miał dar wymowy i przemawiał do Izraelitów zamiast Mojżesza {Księga Wyjścia, IV).

KSIĘGA PIĄTA

372

- muszę wziąć żonę, żeby je za mnie wydawała. Ale żona to kłopot

- i może by jej Mumps nie lubił.

Odkąd wujaszek Glegg porzucił interesy, uważał się za człowieka skorego do żartów, uznał więc teraz, że Bob jest całkiem zabawny. Ale miał jeszcze jedną krytyczną uwagę i dlatego nie pozwalał sobie na uśmiech.

- Właśnie - powiedział. - Można by pomyśleć, że nie wiesz, na co wydawać pieniądze, inaczej nie trzymałbyś takiego wielkiego psa, co musi zjeść więcej niż dwóch chrześcijan. To wstyd, wstyd - mówił to jednak bardziej z żalem niż złością i dodał szybko: - No, ale rad bym usłyszeć coś więcej o tym interesie, Tomku. Widzę, że chciałbyś małą sumkę, aby zarobić trochę na handlu. Ale gdzie twój zarobek? Nie wydajesz przecież wszystkiego, co?

- Nie, wujku - odparł chłopiec, a rumieniec zalał mu policzki.

- Ale ojciec nie chce ryzykować, a ja nie będę go do tego namawiał. Gdybym mógł zdobyć ze dwadzieścia czy trzydzieści funtów na początek, mógłbym płacić od nich pięć procent i powoli uskładać kapitał, a później obracać już własnymi pieniędzmi.

- Tak ... tak ... - wuj wyraźnie pochwalał tę myśl - to nie jest zły plan i nie powiem, żebym cię miał od niego odmawiać. Ale chyba lepiej byłoby, żebym zobaczył tego Salta, o którym mówisz. A poza tym ... twój przyjaciel chce kupić dla ciebie towary. Jeżeli trzeba ci dać pieniądze do ręki - tu przezorny pan spojrzawszy sponad okularów na Boba - to chyba znajdziesz kogoś, kto by za ciebie poręczył, co?

- Nie uważam, żeby to było konieczne, wujku - wtrącił Tomek.

- To znaczy ... dla mnie to nie byłoby konieczne, bo dobrze znam Boba. Może jednak słusznie będzie, żeby wujek otrzymał jakieś poręczenie.

- Dostajesz chyba procent od tej transakcji, co? - spytał pan Glegg patrząc na Boba.
- Nie, proszę pana - odparł Bob z pewnym oburzeniem w głosie - nie myślę zrywać jabłek dla panicza po to, żeby je samemu nadgryzać. Więcej mam przyjemności z kawałów, jakie robię ludziom.

ROZDZIAŁ II

373

- Słusznie byłoby, żebyś otrzymał mały procent - odparł pan Glegg. - Nie mam dobrego mniemania o transakcjach, które ludzie robią za darmo. Zawsze to źle wygląda.
- No więc - odparł Bob w lot pojmując, co się za tym kryje - powiem panu, co z tego mam: wszystko to razem biorąc napędza mi pieniądze do kieszeni. Większy ze mnie kupiec, jeśli robię większy interes. To mi z tego przyjdzie. Nie jestem w ciemię bity!
- Mężu, mężu! - rozległ się ostry głos z otwartego okna bawialni. - Przyjdiesz wreszcie na herbatę, czy może będziesz tak stał i gadał z handlarzem, aż cię wreszcie zamordują w jasny dzień?
- Zamordują? - zdumiał się pan Glegg. - O czymże ta kobieta mówi? Przyszedł tutaj twój siostrzeniec, Tomek, w interesie.
- Zamordują, nie inaczej. A czy to dawno temu jakiś wędrowny handlarz zamordował w odludnym miejscu młodą kobietę, ukradł jej napastrzek i wrzucił ciało do rowu?
- Ach, nie, nie - uspokajał ją pan Glegg. - Myślisz pewnie o tym człowieku bez nóg, co jechał dwukółką?
- To zupełnie to samo, mój drogi, tylko że ty lubisz we wszystkim się ze mną spierać, a jeśli mój siostrzeniec przyszedł w interesie, to wypadałoby, żebyś go przyprowadził do domu i pozwolił jego ciotce usłyszeć wszystko, zamiast szeptać z nim po kątach, jakbyście coś knuli.
- Dobrze, dobrze, już idziemy - odparł wuj.
- Nie masz po co tu stać- zwróciła się owa zacna dama do Boba donośnym tonem, który miał świadczyć o moralnym, a nie fizycznym ystansie, jaki ich dzieli. - Nie potrzebujemy niczego. Nie kupuję nic i Wedronnych sprzedawców. Nie zapomnij zamknąć za sobą furtki.
- Poczekaj, nie tak szybko - zaproponował pan Glegg. - Nie kończyłem jeszcze z tym młodzieńcem. Chodź no, Tomku - dodał wchodząc przez drzwi ogrodowe do bawialni.
Mój drogi - oświadczyła pani Glegg złowróżbnym tonem jeśli masz zamiar na moich oczach wpuszczać tego człowieka i jego a na mój dywan, to bądź tak dobry i uprzedź mnie o tym. Żona ma Prawo o to prosić, mam nadzieję.

KSIĘGA PIĄTA

374

- Niech się paniusia nie boi - uspokoił ją Bob dotykając czapki. Zorientował się natychmiast, że pani Glegg jest zwierzyną wartą zachodu i z radością wyglądał rozpoczęcia łowów. - Zostaniemy sobie tu, na ścieżce, Mumps i ja. Mumps zna się na towarzystwie jak nikt! Musiałbym na niego z godzinę gwizdać, zanimby skoczył na taką prawdziwą damę, jak pani. To rzadka rzecz, jak on potrafi odróżnić urodziwą niewiastę od brzydkiej, a zwłaszcza lubi damy o pięknych kształtach. Rety! - mówił składając tobolek na ścieżce - jakże to szkoda, że taka pani nie kupuje u wędrownego sprzedawcy, tylko chodzi do tych nowomodnych sklepów, gdzie siedzi kilku pięknie ubranych panów w sztywnych kołnierzykach, co ich kłują w brody - wyglądają jak butelki z cudacznymi korkami - i wszyscy chcą na jednym kawałku perkalu zarobić sobie na obiad. Wiadoma rzecz, że musi pani u nich zapłacić trzy razy więcej niż u wędrownego sprzedawcy, u którego kupuje się zwyczajnie, bez sztuczek, który nie płaci podatków, który nie potrzebuje się aż dławić od kłamstwa, póki ono w końcu nie wyjdzie na wierzch, czy on chce, czy nie chce. Ale pani to już sama wie, co jest lepsze. Głowę bym dał, że paniusia potrafi przejrzeć tych ekspedientów.

- Tak mi się zdaje, a i wędrownych sprzedawców też - odparła pani Glegg, chcąc dowieść, że pochlebstwa Boba nie zrobiły na niej wrażenia. Pan Glegg stał nieco z tyłu, ręce włożywszy do kieszeni; nogi rozstawił szeroko, mrugał i uśmiechał się w mężowskim "zachwycie na myśl, że może jednak komuś uda się przechytrzyć jego żonę.

- Ej, paniusiu - mówił Bob. - Musiała paniusia mieć do czynienia z niejednym wędrownym sprzedawcą, kiedy paniusia była młodą panienką, a wielmożny pan nie miał jeszcze szczęścia spojrzeć na paniusię. Wiem, gdzie paniusia mieszkała, nieraz widywałem ten dom - niedaleko dziedzica Darleigha, kamienny dom ze schodami-

- Tak, ze schodami - pani Glegg nalewała herbatę. - Więc wiesz coś o mojej rodzinie ... Może jesteś krewnym tego handlarza, co to miał zeza i przynosił płótna irlandzkie?

- No, widzi paniusia! - zawołał Bob wykrętnie. - Nie mówię- łem? Pamięta paniusia, że najlepsze kupna w życiu robiła u sprzedaw-

ROZDZIAŁ II

375

ców, takich jak ja? Widzi paniusia, nawet zezowaty sprzedawca lepszy od takiego ze sklepu, co ma oczy na swoim miejscu. Żebym to ja miał szczęście zachodzić do tego kamiennego domu, z tym tutaj moim tobołkiem - tu pochylił się i grzmotnął wymownie pięścią w tłumok - i żeby ładne panny wychodziły na kamienne schody, to rozwiązywanie worka byłoby samą przyjemnością. Teraz to sprzedawca zachodzi jedynie do biedniejszych domów, a do bogatszych chyba po to tylko, żeby coś sprzedać służącym. Nędzne to czasy, słowo dają. Cóż, niech paniusia popatrzy na te obecne perkale, jak one wyglądały, kiedy je paniusia nosiła. Przecież nie włożyłaby paniusia na siebie czegoś takiego, nawet mowy nie ma. Paniusia jakby coś kupiła, to tylko pierwszej klasy, co by trwało tak długo, jak paniusi uroda.

- Tak, coś lepszego niż ty masz w worku. Nosisz pewno samą lichotę- odparła pani Glegg z triumfalnym przekonaniem, że nikt nie może być sprytniejszy od niej. - Mężu drogi, czy masz zamiar usiąść wreszcie do herbaty? Tomku, tu jest twoja filizanka.

- Prawdę paniusia mówi- zgodził się Bob. - Mój towar nie dla takich dam. Minęły już te czasy. Ja noszę towar za psie pieniądze. Trochę materiałów ze skazami, które można wyciąć albo ich nie znać w noszeniu, ale to nie dla bogaczy, co płacą grube pieniądze za sam wygląd towaru. Ja nie taki, co by się ośmielił otworzyć swój worek przed paniusią, o nie! Zuchwały ze mnie chłopak, jak paniusia mówi, bo dzisiejsze czasy robią z człowieka zuchwalca - ale nie aż taki, o nie!

No, a co ty tam masz w tym swoim worku? Pewno różne kolorowe fatałaszkę, szale i tym podobne?

- Różne rzeczy, paniusiu, różne rzeczy. - Bob grzmotnął w swój Czełek. - Ale nie mówmy już o tym, jeśli paniusia pozwoli, rzyszedłem tu w interesie panicza Tomka i nie będę zajmował czasu

własnymi sprawami.

- A jakiz to jest interes, proszę, tak skrzętnie przede mną urywany? - zapytała pani Glegg, która, rozrywana podwójną ekawością, siusiała jedną jej część zostawić na później.

Pewien projekt naszego siostrzeńca - odparł dobrodusznie a Glegg. - i wcale nie taki zły, moim zdaniem. Mały projekt

31 BN 11/234 G. Eliot: Młyn nad Flossą

KSIĘGA PIĄTA

376

zrobienia pieniędzy: właściwy projekt dla młodego człowieka, który musi dojść do majątku, co Janko?

- Mam tylko nadzieję, że ten projekt nie wymaga, by wszystko zostało załatwione przez rodzinę Tomka, bo tak w dzisiejszych czasach wyglądają projekty młodych ludzi. I co ma

wspólnego wędrownego handlarza z tym, co się dzieje w naszej rodzinie? Czy nie możesz sam za siebie mówić, Tomku, i wytłumaczyć wszystkiego ciotce, jak siostrzeńcowi przystało?

- To jest Bob Jakin, ciociu - tłumaczył Tomek opanowując złość, jaka wzbierała w nim zawsze na dźwięk głosu ciotki Glegg.

- Znam go od małego dziecka. To bardzo dobry chłopak i zawsze chętny do zrobienia mi przysługi ... Ma też pewne doświadczenie w wysyłaniu towarów za granicę - niewielkich ładunków, które są zupełnie prywatną transakcją. Bob myśli, że ja mógłbym zacząć zarabiać w ten sam sposób i dojść do niewielkich pieniędzy. Można dzięki temu dostać duży procent od włożonego kapitału.

- Duży procent? - żywo zapytała ciocia Glegg. - Cóż ty nazywasz dużym procentem?

- Bob powiada, że dziesięć do dwunastu procent, po spłaceniu wszystkich kosztów.

- To dlaczego ja nie wiem o takich możliwościach, mój drogi?

- pani Glegg zwróciła się do męża zgrzytliwym, pełnym wyrzutu tonem. - Zawsze mi mówiłeś, że nie można dostać więcej jak pięć procent.

- Ee, bzdury, moja ty poczciwości. Przecież nie zabierzesz się do handlu. Nie możesz dostać więcej niż pięć procent z zabezpieczeniem.

- Ale jeżeli paniusia chce zaryzykować, to mogę paniusi pomóc w obrocie jakimś niewielkim kapitałem - zaproponował Bob.

- Zresztą ryzyka żadnego to w tym nie ma. Ale jeśli paniusia zechce pożyczyć paniczowi trochę pieniędzy, to on paniusi zapłaci sześć czy siedem procent, a i sam przy tym trochę zarobi. Jak się ma takie dobre serce jak paniusia, to większą przyjemność sprawia zarobek, w którym i siostrzeniec ma swój udział.

ROZDZIAŁ II

377

- I co ty na to, pani G.? - zapytał wujaszek. - Muszę się jeszcze rozeznąć nieco w tej sprawie i myślę, że chyba dam mu trochę gotówki, ot tak, na przynętę, żeby przyciągnąć więcej - będzie mi oczywiście płacił procent. Jeżeli ty masz jaką zbyteczną sumkę, leżącą niepotrzebnie w pończosze, albo ...

- Wiesz, mój drogi, że to już przechodzi wszelkie wyobrazenie! Niedługo będziesz dawał informacje wszystkim włóczęgom, żeby tu mogli przyjść i mnie obrabować.

- No dobrze, dobrze ... chciałem powiedzieć, że możesz, jeśli chcesz, dołożyć do tego, co ja dam, ze dwadzieścia funtów. Ja już się postaram, żeby ich razem było pięćdziesiąt. Wcale niezła przynęta, co, Tomku?

- Nie liczysz chyba na mnie, mój drogi - odparła ciotka. - Nie wątpię, że potrafiłbyś nie wiadomo co zrobić z moimi pieniędzmi.

- No, więc dobrze - uciął krótko pan Glegg - obejdziesz się wobec tego bez nich. Pójdę z tobą zobaczyć tego Salta- zwrócił się do Boba.

- A teraz, widzę, chcesz wykręcić kota ogonem i w ogóle nie dopuścić mnie do interesów mojego siostrzeńca. Wcale nie powiedziałam, że nie wyłożę pieniędzy - niekoniecznie od razu dwadzieścia funtów, które ty jesteś gotów za mnie obiecać. On jeszcze kiedyś zrozumie, że ciotka miała rację nie ryzykując pieniędzy, które zbiera dla niego, póki nie ma pewności, że te pieniądze nie przepadną.

O, to całkiem przyjemne ryzyko - zauważył pan Glegg mrugając niedyskretnie do Tomka, który nie mógł opanować uśmiechu. Bob jednak powstrzymał wybuch urażonej damy.

Oj, paniusiu- zawołał z uwielbieniem- paniusia to się zna na czy! Bardzo słusznie paniusia mówi. Jak paniusia zobaczy, że szło nam pierwsze uderzenie, to dołączy się do nas z ładną jakąś aką. Jak to dobrze mieć taką rodzinę! Ja musiałem własnym Przemysłem zdobyć te pieniądze "na przynętę", jak je pan nazywa. Lsięc suwerenów - za zgaszenie ognia w fabryce Torry'ego, no i tak

powoli rosło, aż mam teraz trzydzieści funtów odłożonych, no matkę dobrze urządziłem. Zarabiałbym nawet więcej, ale taki już KSIĘGA PIĄTA

378

jestem miękki dla kobiet - nie mogę im odmówić taniego kupna. Na tym worku, na przykład - tu grzmotnął żywo węzełek - każdy inny sprzedawca zarobiłby ładny kawał gotówki. A ja! ... Ja to sprzedaję prawie za tyle, za ile kupiłem.

- Masz może trochę dobrej siatki? - zapytała wyniosłym tonem pani Glegg wstając od stolika i składając serwetkę.

- Ej, paniusiu, nie taką, żeby warto było paniusi na nią patrzeć. Wolałbym jej paniusi nie pokazywać, to byłaby dla paniusi hańba i obraza.

- No, no, pokażże mi ją - wciąż tym samym wyniosłym tonem mówiła pani Glegg. - Jeśli to są towary ze skazami, bardzo możliwe, że będą w lepszym gatunku.

- Nie, paniusiu, ja wiem, gdzie moje miejsce - odparł Bob podnosząc węzełek i zarzucając na ramię. - Nie będę pokazywał takiej jak paniusia damie całej nędzy mojego zawodu. Kramarze upadli dzisiaj ... serce by paniusie bolało na widok tej różnicy. Jestem do usług szanownego pana, kiedy szanowny pan będzie chciał iść do Salta.

- Na wszystko przyjdzie czas - odparł pan Glegg wyraźnie nie chcąc przerywać tej rozmowy.

- Potrzebny jesteś teraz na przystani, Tomku?

- Nie, wujku, zostawiłem Stowe'a w zastępstwie.

- Chodź no tu, rozwiąż swój worek i pokaż, co tam masz - rozkazała pani Glegg przysuwając krzesło do okna i sadowiąc się z godnością.

- Niech mnie paniusia o to nie prosi - mówił Bob błagalnie.

- Nie gadaj, tylko rób, co mówię - ostro odparła dama.

- Oj, nie mam do tego chęci, paniusiu - mówił Bob składając powoli swój węzełek na schodkach i rozwiązując go niechętnymi palcami. - Ale co paniusia każe, to zrobię - (W przerwach, pomiędzy jednym zdaniem a drugim, pracowite rozsypywanie sznurków). - Nie o to idzie, żeby paniusia ode mnie cokolwiek kupiła -- Przykro by mi tylko było ... bo niechże paniusia pomyśli o tych biednych kobietach, co siedzą po wioskach i nie ruszą się na sto jardów

ROZDZIAŁ II

379

od domu ... żal, żeby ktoś wykupił im taki okazyjny towar ... Dla nich ja z moim tobołkiem jestem jak wiejska zabawa ... a nigdy nie zdobędę dla nich takich towarów, jak mam dzisiaj. Zresztą nie mam czasu, bo idę przecież do Laceham. Niech no paniusia popatrzy - tu Bob zaczął znowu mówić szybko, wyciągając czerwoną wełnianą chustkę z wyszytym w rogu wianuszkami - dziewczynie, jak taką rzecz zobaczy, ślina z gęby leci, a to tylko za dwa szylingi. Dlaczego? Dlatego, że na tym gładkim rogu jest mały ślad po molach. Rety, mole i pleśń zesłała Opatrzność, żeby ładne kobietki, co nie mają dużo pieniędzy, mogły parę rzeczy kupić taniej. Gdyby nie mole, chustki poszłyby dla bogatszych, pięknych dam, jak paniusia, po pięć szylingów sztuka, ani ćwierć pensa mniej. I cóż te mole robią? Ano uskubią w jednej chwili trzy szylingi z ceny i zwykły handlarz jak ja może zanieść taką chustkę do biednych dziewczyn pod strzechy, żeby im trochę życie rozjaśnić. Na taką chustkę to tak się patrzy jak na ogień!

Bob podziwiał ją na długość ręki, lecz pani Glegg powiedziała ostro:

- O tej porze roku nikomu ogień nie jest potrzebny. Odłóż no te kolory i pokaż mi swoje siatki ... jeżeli masz.

- Widzi paniusia, wiedziałem, jak to będzie. Wiedziałem, że oglądanie takiej lichoty, jak mój towar, nie wyjdzie paniusi na zdrowie. Tu jest kawałek muślinu we wzory - no i po co paniusi

go oglądać? Tak samo, jakby paniusia patrzyła na jądło biedaków - tylko by paniusia przez to straciła apetyt. W środku tej sztuki jest jeden jard, dzie się wzór nie odbił - taki muślin mogłaby nosić księżniczka vikotoria8, ale - tu Bob odrzucił materiał za siebie, na trawę, jaby icąc oszczędzić tego widoku oczom pani Glegg - kupi go żona handlarza w Fibb's End. Tak, tam go sprzedam, całość za dziesięć yhngów - dziesięć jardów, razem z tym felearnym. Trzeba by za zapłacić w sklepie ze dwadzieścia pięć szylingów - ani pensa księżniczka Wiktorja - przyszła królowa Wiktorja (w 1. 1837-1901), tu PJfwdopodobnie jest rok 1835 - jeszcze następczyni tronu. Królem od r. był jej stryj, William IV. Zmarł w r. 1837 nie pozostawiając potomstwa.

KSIĘGA PIĄTA

380

mniej. Ale już o tym nie będę mówił, paniusiu - co dla paniusi znaczy kawałek takiego muślinu? Stać paniusię, żeby zapłacić trzy razy tyle za dwa razy gorszą rzecz. Mówiła paniusia o siatkach: mam tutaj taki kawałek, co się paniusia może z niego pośmiać ...

- Daj no mi ten muślin - przerwała mu pani Glegg. - To stare złoto, bardzo lubię ten kolor.

- Ale towar ze skazą! - błagalnie i z niesmakiem zawołał Bob. - Nic pani z tego nie zrobi, paniusiu, odda pani kucharce, wiem, że tak będzie, a szkoda, bo w tym muślinie kucharka będzie wyglądała jak dama ... to nie przystoi służącej.

- Weź no ten materiał i pokaż mi, jak go mierzysz - rozkazała pani Glegg.

Bob usłuchał z ostentacyjną niechęcią.

- Niech paniusia zobaczy, ile tu jest ponad miarę - pokazywał jej dodatkowe pół jarda, podczas gdy pani Glegg pilnie badała kawałek ze skazą, odchylając do tyłu głowę, by stwierdzić, jak dalece wada będzie widoczna z odległości.

- Dam ci za to sześć szylingów - oświadczyła rzucając muślin z miną osoby, która stawia ultimatum.

- A nie mówiłem, że nie wyjdzie paniusi na zdrowie oglądanie mojego worka? Widzę przecież, że na ten towar ze skazami to aż się paniusi wnętrzości przewracają - mówił Bob zwijając spiesznie muślin i wyraźnie zabierając się do zawiązywania tobołka. -

Przyzwyczajona była paniusia w tym kamiennym domu do innego towaru u wędrownych handlarzy. Mój zawód zeszedł na psy, powiadam paniusi: ja noszę towary dla prostych ludzi. Pani Pepper da mi za ten muślin dziesięć szylingów i będzie żałować, że nie chciałem od niej więcej. Dopiero w noszeniu widać, jaki to dobry materiał - trzyma kolor, póki się włókno nie rozejdzie w praniu, a ja wtedy nie będę już młodzikiem, paniusiu.

- No, więc siedem szylingów - oświadczyła pani Glegg.

- Niech paniusia da temu spokój - prosił Bob. - Tu jest kawałek siatki, niech paniusia na nią spojrzy, nim zawiążę worek. Widzi paniusia, do czego mój zawód doszedł: w kropki i gałązki,

ROZDZIAŁ II

381

piękna siatka, tylko pożółkła. Leżała schowana i nabrała nie takiego koloru jak trzeba. Nigdy nie mógłbym jej kupić, gdyby nie była żółtawa. Rety, ile to ja się musiałem nauczyć, żeby umieć poznać wartość takich towarów; jak zacząłem chodzić, to byłem głupi jak baran; siatka i perkal to było dla mnie wszystko jedno. Myślałem, że najdroższe jest to, co najgrubsze. Okropnie mnie nabierali, bo ja jestem uczciwy chłop, paniusiu, żadnych tam sztuczek nie robię. Mogę tylko powiedzieć, że mój nos to mój nos, i dalej nie wyjdę, bobym się zaraz pogubił. Za ten kawałek siatki zapłaciłem pięć szylingów i osiem pensów; jakbym powiedział co innego, tobym paniusi zełgał. I chcę za to pięć szylingów i osiem pensów - ani pensa więcej - bo to jest towar dla kobiet, a ja lubię dogodzić kobietkom. Pięć i osiem za sześć jardów - to jakby się płaciło za sam kurz na tej siatce.

- Mogę wziąć tego trzy jardy - oświadczyła pani Glegg.
- Ale jest sześć wszystkiego razem - tłumaczył Bob. - Naprawdę, paniusiu, po co paniusia czas na to traci, może paniusia iść jutro do sklepu i dostać ten sam wzór, tylko wybielony. Będzie trzy razy droższy. Ale co to jest dla takiej damy! - podkreślił te słowa, wiążąc mocny węzeł na swym worku.
- Poczekaj no, wyjmij jeszcze ten muślin. Masz tu za niego osiem szylingów.
- Paniusia żartuje - Bob podniósł ku niej roześmianą twarz. - Od razu, jak tylko podszedłem do okna, widziałem, że paniusia lubi żarty.
No, wyjmij mi ten muślin - powiedziała stanowczo.
- Ale jeśli go oddam paniusi za dziesięć szylingów, będzie paniusia tak dobra i nikomu o tym nie powie? Stałbym się pośmiewiskiem całego miasta, a jakby się koledzy o tym dowiedzieli, toby mnie gwizdali. Muszę udawać, że wziąłem więcej, niż było po prawdzie, by powiedzieli, że przygłupi. Dobrze, że paniusia nie chce kupić !J siatki, boym stracił dwie najlepsze rzeczy dla pani Pepper z Fibb's TM, a ona jest doskonałą klientką.
- Daj mi jeszcze tę siatkę - pani Glegg zataęskniła za tanimi ropkami i gałązkami, teraz, kiedy już zniknęły w worku.

KSIĘGA PIĄTA

382

- Tego nie mogę paniusi zabronić - odparł Bob wyjmując towar. - No, niech paniusia zobaczy, jaki to wzór! Prawdziwa siatka z Laceham. To jest właśnie towar, który radzę wysłać paniczowi Tomkowi. Dobra rzecz dla każdego, kto ma trochę kapitału, towar z Laceham rozmnoży mu gotówkę, że świat czegoś podobnego nie widział. Jakbym ja był damą i miał trochę pieniędzy! ... Znam jedną, co wsadziła trzydzieści funtów w te towary ... ona ma sztuczną nogę, ale za to głowę nie od parady ... Ta nie da się nabrać, szkoda gadać, wszystko najpierw zbada dokumentnie, nim się do czegoś weźmie! No i ona właśnie dała trzydzieści funtów jednemu młodemu sukiennikowi, a on kupił za to towary z Laceham i dał jednemu ładunkowemu, nie mojemu znajomemu (nie Saltowi), a ona wzięła swoje osiem procent od pierwszego razu - teraz, to jej nie można powstrzymać, chce każdym okrętem wysłać swój towar, żeby się dorobić, jak Żyd. Buck się nazywa, nie mieszka w naszym mieście. A teraz, paniusiu, może mi paniusia da tę siatkę ...
- Masz tu piętnaście szylingów za jedno i drugie - powiedziała pani Glegg. - Ale to haniebna cena.

- Nie powie paniusia tego za pięć lat, jak się paniusia będzie na kolanach modliła w kościele. Robię paniusi prezent z tego towaru, słowo daję. Te osiem pensów, to jakby kto brzytwą obciął mój zarobek. No, proszę pana - tu Bob zarzucił na ramię swój ciężar - jeśli pan tak dobry, to chciałbym teraz pójść i dopilnować tego interesu panicza Tomka. Oj, żebym to ja miał jeszcze dwadzieścia funtów do wyłożenia z własnej kieszeni - wiedziałbym, co z nimi zrobić- nie potrzebowałbym sobie przedtem przepowiadać katechizmu.

- Zaczekaj, mój drogi - zwróciła się pani Glegg do męża, widząc, że ten bierze kapelusz. - Nie pozwolisz mi nigdy dojść do słowa. Pójdiesz teraz, załatwisz wszystko, a potem wrócisz i powiesz mi, że już za późno na mój wkład. Jakbym nie była rodzoną ciotką mojego siostrzeńca i głową jego rodziny po kądzieli, i jakbym nie odkładała dla niego gwinei pełnej wagi, żeby wiedział, kogo ma szanować, jak mnie złożą do trumny.

ROZDZIAŁ II

383

- No dobrze, pani G., powiedzże, o co ci chodzi? - spiesznie spytał wujaszek.
- Żądam, aby nic nie było zrobione bez mojej wiedzy. Wcale nie mówię, że nie zaryzykuję dwudziestu funtów, jeśli się dowiesz, że interes jest bezpieczny i przyzwoity. A jeśli to zrobię, Tomku
- zakończyła pani Glegg zwracając się z godną miną do siostrzeńca

- mam nadzieję, że będziesz o tym zawsze pamiętał i dziękował Opatrzności za taką ciotkę. Oczywiście, zapłacisz mi procenty - nie pochwalam dawania. W naszej rodzinie nikt nigdy darowizny nie oczekiwał.

- Dziękuję, ciociu - odparł Tomek dumnie. - Wolę wziąć te pieniądze jako pożyczkę.

- Dobrze, dobrze, przemawia przez ciebie duch Dodsonów - odparła pani Glegg wstając, by sięgnąć po robótkę, co miało znaczyć, że każda uwaga, jaka padnie po tych słowach, będzie rażąco przyziemna.

Znaleźli Salta, człowieka, co "miał niezwykle dobrze we łbie", w obłoku dymu tytoniowego w oberży "Pod Kotwicą". Pan Glegg przepytał się o wszystko, a odpowiedzi zadowolily go na tyle, że obiecał pożyczyć ową "przynętę", do której ciocia Glegg dołożyła dwadzieścia funtów. Tak oto wyglądał skromny początek, który doprowadził do czegoś, co mogłoby was skądinąd zdziwić- mianowicie Tomek gromadził kapitał bez wiedzy ojca. Kapitał ten w niedługim czasie mógł uzupełnić powolnie narastające oszczędności całkowicie pokryć deficyt. Kiedy Tomek raz poznał tę możliwość, postanowił wykorzystać ją, ile się da, i nie stracił najmniejszej azji, by zdobywać informacje i rozszerzać zakres interesów. Do ichowania sprawy w tajemnicy przed ojcem popychała go dziwna iszanina sprzecznych uczuć, które często sprawiają, że zarówno ci, torzy coś gania, jak i ci, co to samo chwalą, mają rację. Po pierwsze lek nie lubił zwierzeń, co się niekiedy zdarza w stosunkach izinnych; tego rodzaju niechęć psuje najświętsze związki naszego cia. Po drugie - chciał zrobić ojcu wielką i radosną niespodziankę. ! zdawał sobie sprawy, że lepiej byłoby złagodzić okres czekania

KSIĘGA PIĄTA

384

nową nadzieją i nie dopuścić do wstrząsu, jaki wywoła nagłe uniesienie radości.

W chwili, kiedy Madzia po raz pierwszy spotkała Filipa, Tomek miał już blisko sto pięćdziesiąt funtów własnego kapitału. Kiedy zaś jego siostra spacerowała z Filipem w wieczornym świetle po Czerwonej Dolinie, Tomek, w tym samym wieczornym świetle, jechał do Laceham, dumny, że jest to jego pierwsza wyprawa w interesach firmy Guest i Ska, rozważając w myśli najrozmaitsze możliwości, dzięki którym pod koniec przyszłego roku podwoi swój kapitał, zrzuci piętno zadłużenia z nazwiska ojca i może - bo będzie miał już wtedy dwadzieścia jeden lat - zdobędzie nowe możliwości w pracy, zostanie zaangażowany na innym, wyższym stanowisku. Czyż na to nie zasługuje? Pewien był, że tak.

ROZDZIAŁ III

SZALE SIĘ WAŻĄ

Powiedziałem, że kiedy Madzia wracała tego wieczoru do domu z Czerwonej Doliny, konflikt w jej duszy właśnie się rozpoczął. Zorientowaliście się na pewno, na czym konflikt zrodzony w czasie jej spotkania z Filipem polegał. Zobaczyła nagle furtkę w skalnej ścianie, zamykającej tak szczelnie dolinę upokorzenia, że można było oglądać tylko odległe, niezgłębione niebo. Teraz niektóre z nawiedzających pamięć ziemskich rozkoszy znalazły się w jej zasięgu. Może mieć książki, rozmowy, ludzką serdeczność - może słyszeć wieści ze świata - bo Madzia nie przestała jeszcze być świadoma swego wygnania- Będzie to również dobry uczynek wobec tego biedaka Filipa - prze' cięz to jasne, że nie jest szczęśliwy. Może nadarza się akurat sposobność popracowania nad własnym umysłem, aby stał się godniej" szy zaszczytnej służby - może szlachetniejsze, najpełniejsze poświęcę-

ROZDZIAŁ III

385

nie musi być połączone z osiągnięciem pewnego szczybla wiedzy? Czy naprawdę musi żyć ciągle w tej całkowitej rezygnacji, w tym więzieniu? Przecież jej przyjaźń z Filipem jest tak niewinna, tak dobra. A wszystko, co przeciwstawia się tej przyjaźni, jest takie niemądre - takie niechrześcijańskie. Lecz uporczywie, surowe ostrzeżenie powtarzało się ciągle - mówiło jej, że zgadzając się na sekretne spotkania, przekreśla prostotę i jasność swego życia, a odrzucając zasadę wyrzeczenia daje się zwodniczo kierować niepohamowanym pragnieniem. Kiedy w następnym tygodniu pozwoliła sobie na wieczorny spacer do Czerwonej Doliny, wydawało jej się, że zebrała w sobie dość siły i będzie posłuszna ostrzeżeniu. Lecz chociaż postanowiła, że to spotkanie będzie serdecznym pożegnaniem z Filipem, jakże wyglądała tego wieczornego spaceru pośród spokojnych, dropiatych cieni, z dala od wszystkiego co szorstkie i niemiłe; jakże wyglądała tych czułych, pełnych podziwu spojrzeń, tego poczucia koleżeństwa, które, zrodzone z dziecięcych wspomnień, zabarwi ich mądrzejsze, bardziej dojrzałe rozmowy; jakże pragnęła się przekonać, że Filip przykładą wagę do wszystkiego, co ona powie, a o co nie dba nikt inny. Takie spotkanie trudno jej będzie zakończyć, wiedząc, że już się nie powtórzy. A jednak Madzia powiedziała to, co chciała powiedzieć; była przy tym zdecydowana i smutna.

- Podjęłam decyzję. Powinniśmy się rozstać. Powinniśmy nie uciec ze sobą nic wspólnego, prócz wspomnień. Nie mogę cię widywać inaczej niż w ukryciu - poczekaj, wiem, co chcesz powiedzieć - że to jest nasza wina, że to niesłuszne uczucia innych każą nam się ukrywać. Ie wszelka skrytość jest zła, bez względu na jej przyczyny. Czuję, że to jest niedobre dla mnie ... dla nas obojga. A jeśli wyda się nasza yemnica, nic nie pozostanie prócz rozpacz - i straszliwego gniewu. Iziemy się musieli rozstać mimo wszystko, a ponieważ przyzwyczajamy się do naszych spotkań, tym ciężiej nam to przyjdzie. Twarz Filipa poczerwieniała i przez chwilę odmalowała się na niej ecydowana woła oparcia się tej decyzji. Opanował się jednak i rzekł

2 Pozornym spokojem:

Dobrze, Madziu. Jeśli musimy się rozstać, zapomnijmy o tym La Pół godziny, porozmawiajmy jeszcze trochę - po raz ostatni.

KSIĘGA PIĄTA

386

Wziął ją za rękę, a Madzia nie widziała powodu, by cofnąć swą dłoń. Spokój jego upewnił ją jeszcze bardziej, że zadała mu wielki ból - chciała więc pokazać, jak niechętnie to czyni. Szli w milczeniu, trzymając się za ręce.

- Usiądźmy w tej dolince - zaproponował Filip - gdzieśmy ostatnio razem stali. Spójrz, ziemia jest usłana polnymi różami, cała w opałowych płatkach.

Usiedli u stóp chylącego się jesionu.

- Zacząłem rysować twój portret wśród szkockich jodeł - powiedział Filip. - Musisz mi wobec tego pozwolić przyjrzeć się trochę twojej twarzy, póki jesteś ... mam już jej nie zobaczyć.

Odwróć głowę, proszę, w tę stronę.

Powiedział to błagalnym tonem i Madzi trudno było odmówić. Wspaniała twarz - jak twarz bogini, która rada jest z czci - pochylała się w dół ku zwróconej w jej stronę bladej buzi o drobnych rysach.

- Będę ci więc pozować do drugiego portretu - odparła z uśmiechem. - Czy będzie większy niż tamten?

- O, tak, o wiele większy. To portret olejny. Będziesz wyglądała jak wysoka hamadriada⁹, ciemna, mocna i szlachetna, która właśnie wyszła z jodły, w porze gdy gałęzie kładą wieczorne cienie na trawie.

- Myślisz, zdaje się, więcej teraz o malarstwie niż o czymkolwiek innym, tak?

- Może i tak - odparł Filip z lekkim smutkiem - ale o zbyt wielu rzeczach myślę. Sieję rozmaite ziarno i żadne nie przynosi mi obfitych plonów. Moim przekleństwem są wielorakie

zainteresowania i brak określonych, ukierunkowanych zdolności. Zajmuję się malarstwem i muzyką, literaturą klasyczną, średniowieczną i współczesną. Podfruwam tu i tam, ale w żadnym kierunku nie mogę rozwinąć skrzydeł.

- Ale to jednak szczęście mieć tak różnorakie upodobania, cieszyć się tyloma pięknymi rzeczami i móc po nie sięgać - mówiła Madzia w zamyśleniu. - Jednokierunkowe zdolności wydawały mi się zawsze czymś w rodzaju uczonej głupoty. Taki przecież jest gołąb

pocztowy-

9 hamadriada (mit. gr.) - nimfa, opiekunka drzewa.

ROZDZIAŁ III

387

- Różnorodność upodobań mogłaby dać mi szczęście, gdybym był jak inni mężczyźni - odparł gorzko Filip. - Mógłbym wówczas osiągnąć siłę i znaczenie dzięki zwykłej przeciętności, tak jak oni. Miałbym przynajmniej te poślednie satysfakcje, które pozwalają człowiekowi obywać się bez wielkich sukcesów. Mógłbym wtedy uważać, iż towarzystwo w St. Ogg's jest całkiem miłe. Lecz nic nie sprawi, by życie warte było dla mnie bólu, jaki za nie płacę - nic prócz jakichś umiejętności, które wyniosą mnie ponad martwy poziom prowincjonalnego bytowania. Jest jeszcze jedna rzecz: namiętność może być równie wiele warta jak talent. Madzia nie dosłyszała ostatniego zdania: walczyła z wrażeniem, że słowa Filipa znowu obudziły nurtujące ją dawniej niezadowolone z życia.

- Rozumiem, co chcesz przez to powiedzieć, chociaż wiem o tyle mniej niż ty, Filipie.

Myślałam zawsze, że nie zniosę życia, jeżeli będzie co dzień wyglądało tak samo, jeżeli będę musiała robić zawsze rzeczy bez znaczenia i nigdy nie poznam czegoś wielkiego. Ale myślę, Filipie,

L jesteście tylko jak dzieci, którymi opiekuje się ktoś o wiele mądrzejszy. Czy nie słuszniej jest wyrzec się wszystkiego całkowicie, bez względu na to, co nam zostanie odmówione? Przez ostatnie dwa czy trzy lata znajdowałam w tym wielkie ukojenie, nawet radość, gdy potrafiłam poskromić własne pragnienia.

Tak, Madziu - rzekł gwałtownie Filip - i zamykasz się

w wąskim, samooszukańczym fanatyzmie, który jest tylko ucieczką torego nie można uśmierzyć ... którego nie masz nadziei uśmierzyć.

ghipianie się nie jest rezygnacją, a przecież pozostawianie w niewiedzy ogłupianie się, to zamykanie wrót, za którymi mogłabyś zobaczyć oznaczone życie innych ludzi. Ja nie jestem rezygnowany: nie wiem, czy ujeje tak długie życie, by się w nim można nauczyć rezygnacji.

Ty też

Jjteś rezygnowana ... ty się tylko starasz ogłupić!

Wargi Madzi zadrżały- czuła, że w tym, co mówi Filip, jest ziarno twdy, a jednak miała jakąś głęboką świadomość, że przez sam fakt

KSIĘGA PIĄTA

388

bezpośredniego odniesienia ich do jej postępowania - te słowa stały się po prostu fałszem.

Dwojakiemu wrażeniu odpowiadało dwojakim pobudkom mówcy. Filip doprawdy wierzył w to, co powiedział, ale mówił gwałtownie, bo widział we własnych słowach argument przeciwko postanowieniu sprzecznemu z jego pragnieniami. Lecz buzia Madzi, tak dziecinna pod łzami spływającymi z jej oczu, poruszyła w nim serdeczniejsze, mniej egoistyczne uczucia. Ujął Madzie za rękę i powiedział łagodnie:

- Nie myślmy o tym przez te krótkie pół godziny. Cieszymy się, że jesteśmy razem ... pozostaniemy przyjaciółmi, mimo rozłąki ... Zawsze będziemy myśleć jedno o drugim.

Chętnie będę żył tak długo, jak i ty, myśląc, że może przyjdzie chwila, kiedy będę ... kiedy pozwolisz, bym ci jakoś pomógł ...

- Jaki byłby z ciebie miły, kochany brat, Filipie - uśmiechnęła się Madzia przez łzy. - Tyle byś robił naokoło mnie szumu i tak byś się cieszył moją dla ciebie miłością, że nawet mnie by to zadowoliło. Kochałbyś mnie dostatecznie mocno, by móc ze mną wytrzymać, i przebaczyłbyś mi wszystko. Zawsze marzyłam, aby Tomek był właśnie taki. Nigdy nie wystarczało mi trochę czegoś. Dlatego właśnie lepiej, żebym się obywała bez żadnych ziemskich radości w ogóle ... Nigdy mi nie było dość muzyki ... Zawsze chciałam, żeby jeszcze więcej instrumentów grało razem ... Pragnęłam, by głosy były pełniejsze i głębsze. Czy śpiewasz jeszcze, Filipie? - dodała nagle, jakby zgubiła wątek.

- Tak - odparł. - Prawie co dzień. Ale mam bardzo mierny głos, tak jak i wszystkie inne zdolności.

- Och, zaśpiewaj mi coś, chociaż jedną piosenkę. Mogę jej jeszcze posłuchać, nim pójdę, coś, co śpiewałeś w Lorton w sobotnie popołudnia, kiedy mieliśmy salon dla siebie, a ja nakrywałam głowę fartuszkami, żeby lepiej słuchać.

- Wiem - odparł Filip, a Madzia zakryła twarz rękoma, gdy on zaśpiewał sotto voce 10 oczach jej igra miłość, a potem powiedział - 10 sotto voce (wł., muz.) - półgłosem, z cicha.

ROZDZIAŁ III

389

- To ta pieśń, prawda?

- Och, nie mogę tu siedzieć - poderwała się Madzia na nogi. - Będzie mnie to potem prześladować. Chodźmy, Filipie. Muszę wracać.

Zaczęła iść, więc rad nierad wstał i ruszył za nią.

- Madziu - odezwał się tonem wyrzutu - nie upieraj się przy tym rozmyślnym, bezsensownym wyrzeczeniu. Złość mnie bierze, gdy patrzę, jak ograniczasz w ten sposób i krępujesz własną naturę. Taka byłaś pełna życia jako dziecko. Myślałem, że wyrośnie z ciebie wspaniała kobieta - pełna dowcipu, z cudowną wyobraźnią. Dotąd to jeszcze wygląda czasem z twojej twarzy, a chcesz zapuścić na nią zasłonę nudnego spokoju.

- Czemu mówisz do mnie z taką goryczą, Filipie?

- Bo widzę z góry, że to się dobrze nie skończy. Nie będziesz mogła znosić w nieskończoność tej samoudręki.

- Wiem, że zostanie mi dana siła - odparła Madzia drżąc.

- Nie, Madziu. Nikomu nie daje się siły do tego, co jest sprzeczne z naturą. Szukanie bezpieczeństwa w rezygnacji to zwykle tchórzostwo. Żaden charakter nie może w ten sposób okrzepnąć. Pewnego dnia zostaniesz rzucona w świat, a wtedy opanują cię, jak dziki jakiś głód, wszystkie racjonalne pragnienia twojej natury, których teraz nie chcesz zaspokoić. Madzia wzdrygnęła się i stanęła patrząc na Filipa z przerażeniem w twarzy.

- Jak śmiesz podważać w ten sposób moje postanowienie? Jesteś Jak kusiciel!

- Nie, Madziu, nie jestem kusicielem, ale miłość obdarza intuicją, 1 Intuicja podsuwa czasami złe przecucia. Słuchaj mnie, Madziu,

3ZWÓ1, żebym ci przynosił książki, pozwól mi widywać się czasem, zwól mi być twoim bratem i nauczycielem, jak to powiedziałaś N Lorton. Mniejsze będzie zło, jeśli się zobaczymy od czasu do czasu, 12 to powolne samobójstwo.

Madzia nie mogła wymówić słowa. Potrząsnęła głową i szła dalej liczeniu, aż doszli do skrajnej kępy jodeł. Wyciągnęła wtedy rękę na znak pożegnania.

390 KSIĘGA PIĄTA

- Czy wobec tego wypędzasz mnie stąd na zawsze? Przecież mogę tu przyjść czasem na spacer. Jeśli spotkam cię przypadkiem, nie będzie w tym żadnego skrywania.

Dopiero chwila, w której nasze postanowienie ma się stać nieodwołalne, kiedy straszne żelazne wrota już, już mają się za nami zatrzaskać - dopiero ta chwila jest próbą naszych sił.

Wtedy, po godzinach logicznego rozumowania i powzięciu mocnego postanowienia,

chwytamy się pierwszego lepszego sofizmu, który przekreśla nasze długie walki i przynosi nam klęskę, umiłowaną bardziej niż zwycięstwo.

Na słowa Filipa serce skoczyło w Madzi, a przez twarz jej przemknął niewidoczny prawie spazm, który towarzyszy uczuciu ulgi. Filip zauważył to i rozstali się w milczeniu.

Zbyt dokładnie orientował się w sytuacji, by nie czuć przelotnego strachu, czy aby nie wkracza zbyt śmiało i być może egoistycznie w sprawy sumienia Madzi. Lecz nie - wytłumaczył sobie, że cele jego nie są samolubne. Niewielką miał nadzieję, by Madzia kiedykolwiek odpłaciła mu tym samym mocnym uczuciem, jakie on dla niej żywi; lecz lepiej będzie ze względu na jej przyszłość, jeżeli znikną te małosłowne ograniczenia narzucone przez rodzinę, jeżeli obecne jej życie nie będzie poświęceniem tylko, jeśli Madzia będzie miała możliwość zdobycia kultury - możliwość wymiany myśli z kimś, kto umysłowością przewyższa prostacki poziom jej najbliższego otoczenia, na które jest skazana. Jeśli poszukamy odpowiednio dalekich konsekwencji naszych czynów, zawsze znajdziemy, w najrozmaitszych ich zestawieniach, jakiś punkt, który nasze czyny usprawiedliwi: przyjmując na przykład punkt widzenia Opatrzności, która sama o konsekwencjach stanowi, albo filozofa, który je śledzi, zawsze stwierdzimy, iż możemy w całkowitym spokoju ducha wybrać to, co w danej chwili jest dla nas najprzyjemniejsze. W ten sposób właśnie usprawiedliwiał Filip swe subtelne starania, by przezwyciężyć szczerą niechęć Madzi do działania w ukryciu, które do jej własnej duszy musiało wprowadzić fałsz, a jej najbliższym i najpierwszym według praw natury mogło przynieść nowe strapienia. Ale był w nim nadmiar uczucia, który niejako uniezależnił go od tych usprawiedliwiających

ROZDZIAŁ III

391

argumentów. Filip marzył o widywaniu Madzi, chciał się stać częścią jej istnienia, ale kryła się w tych marzeniach dzika impulsywność nakazująca mu chwytać nadarzające się szczęście, impulsywność, która rodzi się wtedy, gdy w życiu dominuje ból, płynący zarówno z konstytucji umysłowej, jak i fizycznej. Filip otrzymał od losu mniej niż przeciętny mężczyzna: nie można go było nawet zaliczyć do najprzeciętniej szych; trzeba go było z litości wyłączać spośród innych i wykluczać z tego wszystkiego, co dla innych było sprawą najzwyczajszą. Nawet dla Madzi był wyjątkiem: jasne, że nigdy jej do głowy nie przyszło, by mógł zostać jej wybranym.

Nie sądzcie Filipa zbyt surowo. Ludziom szpetnym i kalekim szczególnie potrzebne są niezwykle cnoty; bez tego może im być bardzo ciężko w życiu, ale teoria, że niezwykle cnoty wynikają bezpośrednio z ułomności fizycznej, tak jak gęsta sierść zwierząt jest skutkiem zimnego klimatu, wydaje się chyba nieco naciągnięta. Wiele się mówi o pokusach piękna, ale wydaje mi się, że tyle one mają wspólnego z pokusami brzydoty, co pokusa obżarstwa podczas uczyty i przy zróżnicowanych rozkoszach dla oka, ucha i podniebienia ma wspólnego z pokusami, jakie niesie rozpacz głodu. Czyż Wieża Głodu jest symbolem najwyższej próby tego, co w nas ludzkie?

Filip nigdy nie zaznał tej matczynej miłości, która większą falą garnia kalekie dziecko, bo ono jej bardziej potrzebuje, która daje

óceku o tyle więcej czułości, o ile mniej ma ono szans na zwycięstwo

w grze życia. Świadomość ojcowskiego uczucia i pobłażania przyćmio-

była jeszcze mocniejszą świadomością ojcowskich wad. Filip

dsunięty zupełnie od praktycznego życia, a z natury po kobiecemu wrażliwy, miał w sobie

nico tej kobiecej uporczywej odrazy do

szystkiego, co światowe, do rozmyślnego szukania zmysłowych

Jiech. Jedyne jego mocne naturalne przywiązanie - przywiązanie ;yna do ojca - było dlań

jednocześnie źródłem cierpienia. Pewnie

usi być coś chorobliwego w człowieku, który został w negatywny

sób wyłączony z tego, co normalne; a ta chorobliwość trwa, póki
zdąży zatriumfować w nim dobra siła - rzadko to się jednak
zdarza w wieku dwudziestu dwóch lat. Ta siła - i to wielka

32 BN H/234 G. Eliot: Młyn nad Flossą

KSIĘGA PIĄTA

392

- mieszkała w Filipie, lecz nawet słońce wydaje się słabe, gdy na nie patrzymy poprzez
poranne mgły.

ROZDZIAŁ IV

DRUGA SCENA MIŁOSNA

W początkach kwietnia 11, w rok prawie po tym problematycznym rozstaniu, którego byliście
świadkami, możecie, jeśli macie ochotę, zobaczyć znowu Madzie schodzącą do Czerwonej
Doliny poprzez kępę szkockich jodeł. Jest dzisiaj wczesne popołudnie, a nie wieczór, i ostre
ukłucia wiosennego powietrza każą Madzi mocno okutać się wielkim szalem i iść dość
spiesznie. Rozgląda się jednak, jak zwykle, by objąć wzrokiem owe ukochane drzewa. Wzrok
ma zaciekawiony i żywszy niż w czerwcu poprzedniego roku, a na ustach błąka się uśmiech,
jakby jakieś żartobliwe słowa czekały na odpowiedniego słuchacza. Na słuchacza nie trzeba
było długo czekać.

- Weź swoją Korynnę 12 - Madzia wyciągnęła książkę spod szala. - Miałaś rację mówiąc, że nie
mi z niej dobrego nie przyjdzie, ale nie miałaś racji myśląc, że będę chciała być do niej
podobna.

- Czy wobec tego nie chciałabyś być dziesiątą Muzą? 13 - spytał Filip spoglądając w górę ku
jej twarzy, tak jak się patrzy na pierwszą

11 w początkach kwietnia - zdanie przesuwają czas akcji prawie o rok, który prawdopodobnie
upłynął bez ważniejszych wydarzeń: obecnie jest chyba rok 1836.

12 Korynna, czyli Wiochy (Corinne ou L'Italie, 1807) - powieść pisarki francuskiej, zwykle
nazywanej Panią de Stael (właśc. Louise Germaine de Stael-Holstein, 1766-1817),
przedstawiająca idealne wyobrażenie romantycznej i namiętnej miłości, a także konflikt
pragnień sławy i tęsknoty za uczuciem.

13 chciałabyś być dziesiątą Muzą? (mit. gr.) - Muzy to dziewięć córek Zeusa i Mnemozyny,
które opiekowały się sztukami pięknymi i naukami.

ROZDZIAŁ IV

393

szczelinę w chmurach, która jest dla nas obietnicą ponownego ujrzania jasnego nieba.

- Wcale a wcale - odparła Madzia z uśmiechem. - Muza to nieszczęsna bogini; zawsze musi
nosić ze sobą jakieś papyrusy czy instrumenty muzyczne. Gdybym miała nosić harfę w tym
klimacie, to potrzebny byłby mi na nią zielony pokrowiec z białym ... i z pewnością zostawiłabym
ją gdzieś przez roztargnienie.

- A więc tak jak i ja nie lubisz Korynny?

- Nie skończyłam tej powieści. Kiedy doszłam do jasnowłosej młodej damy czytającej w
parku, zamknęłam książkę i postanowiłam nie czytać dalej. Przeczulałam, że ta bladolica
dziewczyna odbierze Korynnie jej miłość i unieszczęśliwi ją. Postanowiłam nie czytać więcej
książek, w których blondynki zgarniają całe szczęście dla siebie. Nie chcę się do nich
uprzedzać. Gdybyś mógł mi dać książkę, w której triumfuje brunetka, przywróciłbyś mi
równowagę ducha. Chciałabym zemścić się za Rebekę, Flore Maclvor, Minnę 14 i wszystkie
nieszczęśliwe brunetki. Jeśli jesteś moim wychowawcą, powinieneś chronić mój umysł od
uprzedzeń ... zawsze walczysz z uprzedzeniami.

- Cóż, może zemścisz się sama za wszystkie brunetki i odbijesz ielbiciela swojej kuzynce,
Lucy. Pewien przystojny młody człowiek

y u jej stóp. Zabłyśnij tylko przed nim, a twoja mała jasnowłosa kuzynka zgaśnie jak świeczka przy pochodni.

- Filip, to nieładnie, żebyś odnosił moje głupie uwagi do zywistości! - zawołała Madzia, dotknięta. - Nawet gdybym była

k podła i chciała być jej rywalką, jakżebym mogła w tych swoich rych sukienkach i przy moim braku ogłady konkurować z kochaną,

ttlą, czarującą Lucy, która tyle umie i jest dziesięć razy ładniejsza ode

ue- Poza tym nigdy nie chodzę do cioci Deane, jeżeli tam ktoś jest.

;y jest ogromnie dobra i bardzo mnie kocha, i dlatego przychodzi

l aJ do mnie, i prosi, żebym i ja ją czasem odwiedziła.

anŁebu/a Flora Minna - bohaterki trzech powieści Waltera Scotta: Waverley i Pirat.

Wszystkie były brunetkami i nie dane im było zaznać

32

KSIĘGA PIĄTA

394

- Madziu - Filip był zdumiony - to niepodobne do ciebie brać żarty na serio. Musiałaś chodzić dzisiaj rano do St. Ogg's i złapać tam bakcyła nudy.

- Już dobrze- odparła Madzia z uśmiechem. - Jeśli to miał być dowcip, to ci się nie udało.

Myślałam, że to miała być porządna nauczka. Sądziłam, iż chcesz mi przypomnieć, że jestem próżna i pragnę być najbardziej uwielbiana. Ale jestem zazdrosna o te jasnowłose kobiety nie dlatego, że sama jestem ciemna, tylko dlatego, że zawsze najbardziej mnie obchodzą nieszczęśliwi ludzie. Wolałabym blondynkę, gdyby ona została porzucona. Zawsze jestem po stronie odtrąconych kochanków w książkach.

- Wobec tego nie miałabyś serca sama odrzucić czyjejs miłości, Madziu? - zapytał Filip czerwieniąc się lekko.

- Nie wiem - odparła Madzia z wahaniem. Potem dodała uśmiechając się szeroko: - Myślę, że chyba mogłabym, gdyby ten mężczyzna był bardzo zarozumiały. A gdyby potem okazał skrucę, sama też bym złagodniała.

- Zastanawiałem się często, Madziu - mówił Filip z pewnym wysiłkiem - czy nie ma ziarnka prawdy w tym, że prędzej mogłabyś pokochać człowieka, którego inne kobiety, według wszelkiego prawdopodobieństwa, kochać nie będą.

- To by zależało od tego, dlaczego nie jest im miły - odparła Madzia ze śmiechem. - Mógłby być bardzo nieprzyjemny. Mógłby spoglądać na mnie przez rmonokl robiąc okropne miny, jak młody Torry. Myślę, że inne kobiety też tego nie lubią, aleja nigdy nie czułam litości dla młodego Torry'ego. Nigdy nie współczuję zarozumiałcom, bo wydaje mi się, że z nich wprost tryska samozadowolenie.

- Ale załóżmy, Madziu, załóżmy, że jest człowiek wcale nie zarozumiały ... który wie, że nie ma powodu do zarozumiałstwa ... który od dziecka znosił ciężar niepospolitego jakiegoś cierpienia ... i dla którego ty jesteś jak słońce ... który cię kocha, uwielbia tak bardzo, że wystarcza mu do szczęścia, jeśli mu pozwalasz widywać się w rzadkich chwilach.-

Filip przerwał, bo przeszył go strach, że to wyznanie położyć może kres tym właśnie chwilom szczęścia - te same obawy kazały mu

ROZDZIAŁ IV

395

milczeć przez długie miesiące. Jakiś błysk świadomości powiedział mu, że chyba oszalał, by to wszystko mówić. Zachowanie Madzi tego ranka było równie swobodne i obojętne jak zwykle.

Lecz dziewczyna nie wyglądała teraz na obojętną. Uderzona niezwykłym wzruszeniem w głosie Filipa, odwróciła głowę i patrzyła na niego, odkąd zaczął mówić. W twarzy jej zaszła wielka zmiana - pokrył ją rumieniec, a rysy ściągnął drobny skurcz, taki, jaki dostrzegamy u

ludzi, gdy usłyszą wiadomość, która zmienia wszystkie ich dotychczasowe pojęcia o przeszłości. Nie powiedziała ani słowa; podeszła do zwałonego pnia i usiadła na nim, jakby nie miała już siły na najmniejszy ruch. Trzęsła się cała.

- Madziu - Filip był coraz bardziej przerażony każdą chwilą milczenia - głupi byłem, że ci to powiedziałem ... zapomnij o tym. Wystarczy mi, jeśli wszystko będzie tak, jak było.

Rozpacz, jaka brzmiała w jego głosie, zmusiła Madzie do mówienia.

- Taka jestem zdumiona, Filipie ... nigdy mi to do głowy nie przyszło. - Wysięk, by wymówić te słowa, wywołał łzy w jej oczach.

- Czy będziesz mnie za to nienawidziła, Madziu? - pytał gwałtownie Filip. - Czy uważasz, że ze mnie zarozumiały głupiec?

- Och, Filipie! - zawołała Madzia. - Jak możesz tak myśleć! tbym nie była wdzięczna za każdą miłość. Ale ... ale ja nigdy nie

Łysiałam, że ty mógłbyś mnie kochać. To wydawało się tak dalekie ... jak sen ... jak coś, co może istnieć w wyobraźni tylko ... że jakiś mężczyzna będzie mnie kochał.

- Więc możesz znieść myśl o tym, abym ja był twoim wybranym? zapytał Filip siadając obok niej i ujmując jej rękę w uniesieniu

radości i nagłej nadziei. - Czy kochasz mnie?

Madzia przybladła trochę. Niełatwo było odpowiedzieć na to zpośrednie pytanie. Lecz wzrok jej spotkał oczy Filipa, które były ej chwili aksamitne i piękne od błagalnej miłości. Mówiła z waha-

Uem ale czule, dziewczęco i prosto:

K k aje s?ze chyba nikogo nie mogłabym kochać bardziej. cham cię za wszystko. - Przerwała na chwilę, a potem dodała:

396 KSIĘGA PIĄTA

- Ale lepiej, żebyśmy o tym nie mówili więcej, prawda, Filipie? Wiesz, że nie moglibyśmy być nawet przyjaciółmi, gdyby dowiedziano się

o naszej przyjaźni. Zawsze miałam wrażenie, że źle postępuję przystając na spotkania z tobą, chociaż z tylu względów były dla mnie tak cenne. Teraz zaś znowu ogarnia mnie lęk, że to też doprowadzi do złego.

- Lecz nic się złego nie stało, Madziu! Pomyśl, gdyby ten strach przeważył poprzednio, to przeżyłabyś tylko jeszcze jeden nudny rok w odrętwieniu, zamiast odżyć w dawnej swojej postaci.

Madzia potrząsnęła głową. - Tak, miłe były te nasze wspólne rozmowy, książki i to poczucie, że jest na co czekać; że pójdę na spacer

I będę mogła ci powiedzieć o wszystkich myślach, które mi przyszły do głowy, kiedy byłam z dala od ciebie. Ale napelnia mnie to również niepokojem. Zmusza do częstszego myślenia o świecie i znowu rodzą się niecierpliwe myśli ... nuży mnie dom ... a potem czuję serdeczny ból, że mogłam kiedykolwiek być znużona w towarzystwie własnego ojca i matki. Myślę, że ten stan, który nazywasz odrętwieniem, byłby lepszy ... lepszy dla mnie ... bo odrętwiałyby wszystkie moje samolubne pragnienia.

Filip powstał znowu i niecierpliwie chodził tam i z powrotem.

- Nie, Madziu, jak ci mówiłem, niewłaściwie pojmujesz zwycięstwo nad samą sobą. To, co ty nazywasz zwyciężeniem samej siebie

- a rozumiesz przez to zamknięcie oczu i uszu na wszystko z wyjątkiem jednego rodzaju wrażeń - to przy takiej, jak twoja, naturze jest tylko kultywowaniem monomanii.

Mówił z pewnym zdenerwowaniem, ale zaraz usiadł przy niej znowu i ujął jej dłoń.

- Nie myśl teraz o tym, co było dawniej. Myśl tylko o naszej miłości. Jeśli naprawdę serce twoje skłania się ku mnie, wszystkie trudności zostaną przezwyciężone we właściwym czasie ... musimy tylko czekać. Ja potrafię żyć nadzieją. Spójrz na mnie, Madziu. Powiedz mi raz

jeszcze, że to możliwe, byś mnie kochała. Nie spoglądaj w bok na to rozszczerzone drzewo - to zła wróżba.

Obróciła na niego swe czarne oczy ze smutnym uśmiechem.

ROZDZIAŁ IV

397

- No, Madziu, powiedz mi jedno dobre słowo. Naprawdę, lepsza byłaś dla mnie w Lorton.

Spytałaś, czy chciałbym żebyś mnie pocałowała - pamiętasz? - i obiecałaś, że mnie pocałujesz, jak się znowu spotkamy. Nie dotrzymałaś obietnicy.

Wspomnienie tych dziecięcych czasów przyniosło Madzi słodką jakąś ulgę. Chwila obecna mniej wydawała jej się teraz dziwna. Pocałowała go prawie tak samo prosto i spokojnie jak wtedy, kiedy miała dwanaście lat. Oczy Filipa rozbłysły szczęściem, lecz następne jego słowa pełne były rozczarowania.

- Nie wyglądasz na szczęśliwą, Madziu. Zmuszasz się do powiedzenia, że mnie kochasz ... zmuszasz się z litości.

- Nie, Filipie - Madzia potrząsnęła głową po dziecinnemu, jak dawniej. - Mówię ci prawdę. To wszystko jest dla mnie nowe i dziwne, ale nie wydaje mi się, bym mogła kogoś kochać tak mocno, jak ciebie. Chciałabym zawsze mieszkać z tobą - uczynić cię szczęśliwym. Zawsze byłam przy tobie szczęśliwa. Ale jest jedna rzecz, której nie uczynię dla ciebie: nigdy nie zrobię nic, co by zraniło mojego ojca. Nigdy mnie o to nie proś.

- Nie, Madziu, nie będę prosił o nic, zniosę wszystko, będę przez następny rok czekał na twój pocałunek, jeśli mi tylko zostawisz pierwsze miejsce w swoim sercu.

- No - uśmiechnęła się Madzia - nie każe ci czekać aż tak długo. Lecz, gdy podniosła się z pnia, dodała poważniejąc: - Ale co na to powie twój ojciec, Filipie? Och, to przecież niemożliwe, byśmy mogli być czymś innym jak dwojgiem przyjaciół ... bratem i siostrą w sekrecie, tak jak dotąd. Porzućmy myśli o wszystkim innym.

- Nie, Madziu, ja nigdy nie porzucę myśli o tobie ... chyba że mnie zwodzisz ... chyba że kochasz mnie tylko jak brata. Powiedz mi prawdę.

jak wtedy, kiedy miała dwanaście lat - informacja sprzeczna ze wszys- un, co kolejno zostało wyjawione o wieku Madzi (ks. I, koniec rozdz. II; ks. rozdz. VII). Według tamtych stwierdzeń, poznając Filipa Madzia miała nie WI?cej niż jedenaście lat.

398 KSIĘGA PIĄTA

- Kocham cię, Filipie. Czy była kiedykolwiek dla mnie większa radość niż twoje towarzystwo? Zawsze, od czasu dzieciństwa ... kiedy Tomek był jeszcze dla mnie dobry. A twój umysł jest dla mnie jakby oddzielnym światem, potrafisz mi powiedzieć wszystko, czego chcę się dowiedzieć. Wydaje mi się, że nigdy nie mogłabym być zmęczona twoim towarzystwem.

Szli, trzymając się za ręce, patrząc na siebie. Madzia spieszyła się bardzo, bo czuła, że już czas najwyższy wracać. Lecz świadomość zbliżającej się rozłąki sprawiała, że dziewczyna pragnęła nie zostawiać Filipa z jakimś przykrym wrażeniem. Był to jeden z tych niebezpiecznych momentów, kiedy mowa nasza jest jednocześnie szczerą i zwodniczą, kiedy uczucie, wznosząc się wysoko ponad swój zwykły poziom, zostawia znaki powodzi, znaki, których już nigdy nie osiągnie.

Stanęli, by się pożegnać pomiędzy jodłami.

- Więc życie moje pełne będzie nadziei, Madziu ... I mimo wszystko będę jednak szczęśliwszy od innych mężczyzn. Należymy do siebie - na zawsze - czy jesteśmy razem, czy osobno.

- Tak, Filipie, nie chciałabym się z tobą rozstawać. Chciałabym sprawić, żebyś był szczęśliwy.

- Czekam na coś jeszcze, zastanawiam się, czy to kiedykolwiek przyjdzie.

Madzia uśmiechnęła się, choć łzy lśniły na jej policzkach, a potem pochyliła wyniosłą swą główkę, by pocałować bladą twarz, pełną błagalnej, nieśmiałej miłości, jak twarz kobiety. Przeżyła wtedy chwilę prawdziwego szczęścia, chwilę wiary, że jeśli nawet kryje się poświęcenie w tej miłości, to jest ona przez to o tyle bogatsza i lepsza.

Odwróciła się spieszenie i ruszyła do domu czując, że w ciągu godziny, przed którą szła tą drogą, zaczęła się w jej życiu nowa era. Trzeba z wolna położyć kres mglistym tkaninom marzeń, a wszelkie nici uczuć i myśli wpleść w wątek konkretnego, codziennego życia.

ROZDZIAŁ V

399

ROZDZIAŁ V

ROZSZCZEPIONE DRZEWO

Nasze tajemnice rzadko zostają wykryte w sposób, który nam podsuwał strach. Strach każe nam wyobrazić sobie okropne, dramatyczne sceny, które wciąż stają nam przed oczyma, pomimo najbardziej logicznych argumentów, którymi staramy się je odeprzeć. Przez cały ostatni rok Madzia, nosząc w sercu ciężar tajemnicy, wyobrażała sobie, że zostanie zdemaskowana, kiedy ojciec albo Tomek spotka ją niespodziewanie na spacerze z Filipem w Czerwonej Dolinie. Wiedziała, że nie jest to najbardziej prawdopodobny wypadek, lecz ta właśnie scena najakuratniej wyrażała jej wewnętrzne obawy. Mało ważne, nie związane ze sprawą wzmianki, uzależnione od pozornie błahych zbiegów okoliczności i nieprzewidywanych nastrojów, są ulubioną metodą Faktu, lecz nie mogą stanowić podstawy do działania wyobraźni.

Osobą, której Madzia z pewnością najmniej się obawiała w tym względzie, była ciocia Pullet. Nie mieszkała w St. Ogg's i nie dznaczała się ani szczególną bystrością, ani złośliwością - byłoby więc co najmniej dziwne, gdyby obawy Madzi skupiły się na tej właśnie tce, a nie na ciotce Glegg. Lecz pierwszym ogniwem łańcucha szczęścia - drogą, po której przebiegła błyskawica - był właśnie ie kto inny, jak ciotka Pullet. Nie mieszkała co prawda w St. Ogg's, z droga do Garum Firs wiodła koło Czerwonej Doliny, po zeciwniej stronie niż ta, od której wchodziła Madzia. Następnym dniem po ostatnim spotkaniu z Filipem była niedziela, o dnia wujaszek Pullet musiał się ukazać w kościele St. Ogg's na kapeluszu i żałobną szarfą, a pani Pullet skorzystała z tej i, by zjeść obiad z siostrą Glegg i wypić herbatę z biedną siostrą liver. Niedziela była jedynym dniem tygodnia, w którym Tomka zna było zastać w domu po południu - a dziś miał humor lepszy ' zwykle w ostatnich czasach, co uwidoczniło się w niezwykle wesołej

KSIĘGA PIĄTA

400

i otwartej rozmowie z ojcem oraz w zaproszeniu Madzi: "Chodź, Madzinku, chodź i ty" - kiedy wychodził z matką do ogrodu, by obejrzeć rozkwitające pąki wiśni. Był bardziej z Madzi zadowolony, odkąd porzuciła swoje dziwactwa i ascezę - nawet zaczynał być z niej trochę dumny: kilka osób stwierdziło w jego obecności, że jego siostra to bardzo piękna dziewczyna. Dzisiaj twarz jej jaśniała niezwykłym blaskiem, płynącym w rzeczywistości z wewnętrznego podniecenia, w którym tyle samo było bólu i wątpliwości, co i zadowolenia; można je było brać za wyraz szczęścia.

- Doskonale wyglądasz, moja duszko- zauważyła ciocia Pullet, smutnie potrząsając głową, kiedy zasiedli wokół stolika do herbaty. - Nigdy nie przypuszczałam, Bessy, że twoja córka tak ładnie wyrośnie. Tylko musisz, Madziu, nosić kolor różowy. W tych niebieskich rzeczach, które ci daje ciocia Glegg, wyglądasz zawsze jak dziki hiacynt. Janka nigdy nie miała gustu. Czemu nie nosisz tej sukienki, co ci ją dałam?

- Ona jest taka ładna i wytworna, ciociu. Wydaje mi się, że jest dla mnie za strojna ... W każdym razie w porównaniu z tymi dodatkami, które mam do niej.

- Nie wypadaloby ci jej nosic, gdyby ludzie nie wiedzieli, ze dostalas ja od tych, ktorych bylo na nia stac, a teraz juz przestali jej uzywac. Przeciez to jasne jak slonce na niebie, ze musze swoim siostrzenicom dawac od czasu do czasu te rzeczy, ktore kupuje z roku na rok i nigdy nie zdaze zedrzeć. Lucy nie ma sensu nic dawac, bo ona dostaje wszystko w najlepszym gatunku; siostra Deane moze wysoko glowe nosic, chociaz, biedaczka, okropnie pozolkla ostatnio i nie wieffl, czy ja ta watroba w koncu do grobu nie wpedzi. To wlasnie powiedzial dzisiaj na zalobnym kazaniu ten nowy pleban, doktor Kenn.

- Jaki to swietny kaznodzieja, prawda, Zosiu? - mowila mlyna" rzowa.

- A Lucy miala taki piekny kołnierzyk od swieta! - ciagnea zamyslona pani Pullet utkwivszy wzrok w jedno miejsce. - ie powiem, zebym nie miala rownie ladnego, ale tylko miedzy najlepszy mi rzeczami.

ROZDZIAŁ V

401

- Powiadaja o pannie Lucy, ze ona to jak dzwon w St. Ogg's. Bardzo dziwne - zauwazył wujaszek Pullet, ktorego tajemnice etymologii przytlaczaly niekiedy swym ciężarem16.

- Ee tam- zachnal sie zazdrosny o Madzie mlynarz- przecie to chuchro, ledwo od ziemi odrasta. Ale coz, piekna suknia, to i twarz piekna. Nie moge sie tam niczego dopatrzyc w tych drobnych kobietkach - glupio wygladaja przy roslym chlopie, jedno do drugiego nie pasuje. Kiedy ja sobie wybieralem zone, to ja wybralem odpowiedniego wzrostu, ani za duza, ani za mala.

Biedna jego zona o zwiędlej juz urodzie usmiechnela sie z zadowoleniem.

- Ale nie wszyscy mezczyzni sa rośli- oponowal wujaszek Pullet nie bez myśli o wlasnej osobie. - Chlopak moze byc calkiem przystojny, choc nie ma szezci stóp, jak nasz panicz Tomasz.

- Co tu gadać o duzych czy malych chlopakach! Laska boska, ze maja plecy proste - oswiadczyla ciocia Pullet. - Ten na przyklad pokraczny syn adwokata Wakema ... widzialam go dzisiaj w kościele. Mój Boze! Pomyśleć tylko, jaki ten chlopak bedzie mial majatek! A powiadaja, ze jest cudak jakis i samotnik, nie lubi towarzystwa.

Vcale bym sie nie zdziwila, jakby calkiem zgłupial. Nigdy nie mozemy przejechać droga, zeby nie zobaczyć, jak wyłazi z krzaków i głogów w Czerwonej Dolinie.

To szerokie uogolnienie, pod ktorym krył sie fakt, ze ciocia Pullet dziala Filipa dwukrotnie na wspomnianym miejscu, zrobilo o tyle wieksze wrazenie na Madzi, ze Tomek siedzial naprzeciwko niej, a ona tarala sie wszelkimi silami zachowac obojetny wyraz twarzy. Na samo C Filipa zaczerwienila sie, potem rumieniec zaczal pogłębiać sie

z bardziej, az wreszcie, kiedy ciotka wspomniala o Czerwonej olinie, Madzia uznala, ze tajemnica jej zostala juz odkryta; biedacz-

Woryginale jest tu niemozliwa do przełozenia gra słów: dziewczynę !ywają belle - piekność (zapozyczenie z francuskiego), zaś majacy ograni- ie słownictwo pan Pullet bierze slowo za identycznie wymawiane beli (ang.) dzwon, dlatego nazwanie to nie ma dla niego sensu.

KSIĘGA PIĄTA

402

ka nie mogla nawet wziac lyzeczki do reki, bo wszyscy musieliby zauwazyć, ze reka jej sie trzesie. Splotla mocno dlonie pod stołem i siedziala tak, bojac sie nawet rozejrzeć. Na szczescie ojciec siedzial po tej samej, co i ona, stronie stołu, za wujaszkiem Pullet, i nie mógł widzieć jej twarzy, chyba zeby sie mocno wychylil. Ulge przyniosl jej dopiero głos matki, ktora zmienila temat rozmowy; mlynarzowa zawsze ogarnialo przerazenie, kiedy ktos wymienil nazwisko Wakema w obecności jej meza. Powoli Madzia odzyskala panowanie na tyle, by podnieść wzrok - spojrzala na Tomka, lecz on natychmiast odwrócił glowe. Tego dnia szla spac zastanawiając sie, czy jej zmieszanie obudzilo podejrzenia brata. Moze nie - moze

myślał, że przestraszyła się tylko, kiedy ciotka wspomniała nazwisko Wakema przy ojcu: tak przynajmniej rozumiała to matka. Dla jej ojca Wakem był jak objawiająca się w szpetnych wyrzutach choroba, której istnienie musiał znosić, lecz złościł się, gdy ją dostrzegali inni. Madzia sądziła, iż nikogo nie zdziwi jej nadmierna wrażliwość pod tym względem. Brat jej jednak był zbyt bystry, by się zadowolić tym wytłumaczeniem: zauważył wyraźnie, że w ogromnym zmieszaniu Madzi było coś, co nie miało nic wspólnego z niepokojem o ojca. Próbował przypomnieć sobie jakieś szczegóły, które pomogłyby mu sformułować podejrzenia, lecz pamiętał tylko, że matka niedawno łajała Madzie za to, że chodzi po Czerwonej Dolinie, gdy jest mokro na dworze, i przynosi do domu pantofle całe w rudym błocie. Tomek jednak, który zachował swój dawny wstręt do kalectwa Filipa, wzdrażał się przed przypuszczeniem, iż jego siostra może czuć coś więcej niż przyjazne zainteresowanie do tego nieszczęśnika, tak odmiennego od zwykłych, normalnych mężczyzn. Tomek był istotą obdarzoną przesadną niechęcią do wszystkiego, co wyjątkowe. Miłość kobiety do kaleki budziłaby w nim wstręt! - a już miłość siostry byłaby nie do zniesienia. Bez względu na to jednak, jakiego rodzaju są jej stosunki z Filipem, trzeba im natychmiast położyć kres: Madzia przeciwstawia się najmocniejszym uczuciom ojca i wyraźnym rozkazom brata, poza tym kompromituje się tymi sekretnymi schadzками. Następnego dnia Tomek wyszedł z domu baczny i czujny, a w takim nastroju

ROZDZIAŁ V

403

najzwyklejsze wypadki zmieniają się w brzemiennie następstwami zbiegi okoliczności. Tego popołudnia Tomek stał na nabrzeżu omawiając z Bobem Jakinem możliwość zawinięcia do St. Ogg's w ciągu najbliższych kilku dni kapitalnego statku "Adelaida", co mogło mieć skutki o wielkim dla nich znaczeniu.

- O - zauważył Bob, przypadkiem spoglądając na pola po przeciwnej stronie rzeki - idzie ten garbaty młody Wakem. Poznam zawsze jego i jego cień, choćby nie wiem jak byli daleko. Ciągle go widuję po tamtej stronie rzeki.

Przez głowę Tomka przebiegła nowa myśl. - Muszę iść, Bob - powiedział. - Mam jeszcze coś do zrobienia. - Pobiegł do składów, gdzie zostawił kartkę z prośbą, by ktoś go zastąpił, ma bowiem pilną sprawę do załatwienia w domu.

Szybkim krokiem najkrótszą drogą doszedł do furtki i zatrzymał się chcąc ją powoli otworzyć i wejść do domu z pozornym spokojem, gdy Madzia stanęła na progu, w budce na głowie, z narzuconym szalem. Przypuszczenia jego zostały potwierdzone, czekał więc na nią przy furtce.

- Tomek, dlaczego wróciłeś tak wcześniej? Czy coś się stało? - głos Madzi był niski i drżący.

- Przyszedłem, by pójść z tobą do Czerwonej Doliny i spotkać się ; Filipem Wakemem - odparł Tomek, a zmarszczka pośrodku czoła, która nigdy stamtąd nie zniknęła, pogłębiła się teraz.

Madzia stała bezbronna - blada i zlodowaciała. A więc Tomek w jakiś sposób dowiedział się o wszystkim. Wreszcie powiedziała: - Ja nie idę - i zawróciła do domu.

- Owszem, idziesz, ale chcę z tobą najpierw porozmawiać. Gdzie Jest ojciec?

- Wyjechał konno.

- A matka?

- No podwórzu chyba, w kurniku.

- - Mogę wejść, tak żeby mnie nie zobaczyli?

Weszli razem do domu, a Tomek kierując się do bawialni rozkazał:

KSIĘGA PIĄTA

404

- Chodź tutaj.

Usłuchała, a on zamknął za nią drzwi.

- Teraz, Madziu, powiedz mi natychmiast wszystko, co zaszło między tobą a Filipem Wakemem.

- Czy tatuś wie o tym? - zapytała Madzia, wciąż drżąca.

- Nie - odparł Tomek z gniewem. - Ale dowie się, jeżeli będziesz mnie usiłowała dalej zwodzić.

- Nie chcę cię zwodzić - odparła Madzia czerwieniąc się z oburzenia, że użyto w stosunku do niej tego słowa.

- Wobec tego powiedz mi całą prawdę.

- Może ją już znasz.

- Mniejsza o to, co wiem i czego nie wiem. Powiedz mi dokładnie, co się stało, bo inaczej ojciec dowie się o wszystkim.

- Powiem więc, ze względu na ojca.

- Pięknie to głosić swoje przywiązanie do ojca, kiedy się zlekceważyło jego najmocniejsze uczucia.

- Ty nigdy nie robisz nic złego? - spytała Madzia wyzywająco.

- Nie, jeśli rozumiem, że to coś jest złe - rzekł Tomek z dumą i powagą. - Nie chcę jednak od ciebie nic więcej oprócz jednego: mów mi, co zaszło między tobą a Filipem Wakemem. Kiedy spotkałaś go po raz pierwszy w Czerwonej Dolinie?

- Rok temu - odpowiedziała Madzia spokojnie. Surowość Tomka budziła w niej pewną zuchwałość i zacierała poczucie winy. - Nie potrzebujesz zadawać mi więcej pytań. Przez rok byliśmy przyjaciółmi. Spotykaliśmy się i chodzili razem na spacer. Filip pożyczał mi książki.

- Czy to wszystko? - zapytał Tomek patrząc jej prosto w oczy i marszcząc brwi.

Madzia zawahała się chwilę - potem, postanawiając, że nie da więcej bratu podstaw do zarzucenia jej fałszu, powiedziała wyniośle:

- Nie, nie wszystko. W sobotę powiedział mi, że mnie kocha. Nie myślałam o tym przedtem. Zawsze uważałam go tylko za starego przyjaciela.

- A ty okazałaś mu przychyłność? - zapytał z odrazą.

ROZDZIAŁ V

405

- Powiedziałam mu, że go też Kocham.

Przez kilka chwil Tomek w milczeniu wpatrywał się w podłogę, marszcząc czoło, rękę wsunawszy w kieszenie. Wreszcie podniósł głowę i powiedział chłodno:

- A więc, Madziu, masz przed sobą dwa wyjścia: albo przysięgniesz mi uroczyście, z ręką na Biblii, że nigdy w życiu nie spotkasz się z Filipem Wakemem i nie przemówisz do niego słowa w prywatnej rozmowie, albo tego nie zrobisz, a ja powiem o wszystkim ojcu¹⁷. Wtedy, w tym właśnie miesiącu, kiedy dzięki moim wysiłkom tatuś może być znowu szczęśliwy, zadasz mu wielki cios, bo dowie się, że jesteś nieposłuszną i fałszywą córką, która poświęca swoje dobre imię dla potajemnych schadzek z synem człowieka, który przyłożył rękę do ruiny jej ojca. Wybieraj - zakończył Tomek zimno i zdecydowanie, podchodząc do wielkiej Biblii, wyciągając ją i otwierając na nie zadrukowanej stronie, gdzie znajdowały się zapiski rodzinne.

Była to dla Madzi straszna alternatywa.

- Tomku - zaczęła błagalnie, zapominając o dumie - nie żądaj tego ode mnie. Obiecuję ci, że porzucę wszelkie spotkania z Filipem, jeśli pozwolisz mi zobaczyć go raz jeszcze lub choćby napisać do niego i wszystko wytłumaczyć ... Zerwę tę znajomość na tak długo, jak długo gdzie mogła sprawiać ból ojcu ... Ja i dla Filipa żywię uczucie. On jest nieszczęśliwy.

- Nie życzę sobie słuchać tutaj o twoich uczuciach. Powiedziałem wyraźnie, o co mi chodzi: wybieraj - i wybieraj szybko, póki matka nie przyjdzie.

- Przecież jeśli ci dam słowo, to będzie dla mnie równie obowiązujące, jakbym ci przysięgała na Biblię. Nie potrzebuję przysięg, by dotrzymać obietnicy.

- Rób to, czego żądam, Madziu. Nie mogę ci ufać. Nie ma tobie nic stałości. Połóż rękę na Biblii, tak jak mówię, i powiedz:

Ultimatum Tomka to szczególnie bezwzględna ingerencja w sprawy aowe siostrv. ws7vstkie jego ujawnione później oozvtvne cechv ni goime oezwzgięana ingerencja w sp we siostry, wszystkie jego ujawnione później pozytywne cechy nie są C7 :ani? zatrzeć zrobionego tu złego wrażenia i tak też oceniało Tomka wielu ytelników współczesnych George Eliot.

KSIĘGA PIĄTA

406

"Wyrzekam się wszelkich prywatnych rozmów i przestawiania z Filipem Wakemem od dzisiaj na zawsze". Powiedz to, bo inaczej ściągniesz hańbę na nas wszystkich i sprawisz ojcu cierpienie. I cóż przyjdzie z tego, że robię największe wysiłki i nie myślę o niczym innym, tylko o spłaceniu długów ojca, jeśli ty doprowadzisz go do szału i zapamiętania w gniewie właśnie wtedy, kiedy mógłby być wolny od trosk i znowu chodzić z podniesionym czołem.

- Och, Tomku, czy naprawdę długi zostaną wkrótce spłacone? - zawołała Madzia składając ręce w nagłym przyływie radości, która niespodziewanie zabłysła ponad jej nieszczęściem.

- Jeżeli wszystko pójdzie zgodnie z moimi przewidywaniami. Ale - dodał Tomek, a głos jego dygotał z oburzenia - kiedy ja wyteżam głowę i pracuję, żeby ojciec przed śmiercią mógł zaznać jeszcze trochę spokoju, kiedy ja pracuję na szacunek dla naszej rodziny, ty robisz wszystko, co możesz, by zniszczyć jedno i drugie.

Madzia poczuła nagły przyływ skruchy; na chwilę przestała się w duchu buntować przeciwko temu, co uważała za okrutne i nierozumne, a winiąc samą siebie usprawiedliwiła brata.

- Tomku - powiedziała cicho - zrobiłam źle ... ale taka byłam samotna ... i tak mi było żal Filipa. I myślę, że nienawiść i mściwość to grzech.

- Bzdura - oświadczył Tomek. - Nie mogłaś wątpić, co ci nakazuje obowiązek. Nie mów już nic, tylko złóż obietnicę, tak jak powiedziałem.

- Muszę raz jeszcze pomówić z Filipem.

- Pójdiesz teraz ze mną i pomówisz z nim.

- Daję ci słowo, że nie będę się z nim spotykać ani pisać do niego bez twojej wiedzy. To tylko powiem. Mogę położyć rękę na Biblii, jeśli chcesz.

- A więc powiedz to.

Madzia położyła rękę na zapisanej stronie i powtórzyła swe słowa. Tomek zamknął księgę.

- Teraz chodźmy - powiedział.

Przez całą drogę do Czerwonej Doliny nie odezwali się do siebie ani razu. Madzia przeżywała już z góry to, co za chwilę będzie przeżywa

ROZDZIAŁ V

407

Filip; bała się ostrych słów, jakie padną z ust Tomka; wiedziała jednak, że daremny jest wszelki opór. Tomek był teraz panem jej sumienia i obaw; bólem przejmowała ją dowodna prawdziwość słów, jakimi określił jej postępowanie, a jednocześnie buntowała się przeciwko nim całą duszą, bo były przecież niepełne, a przez to niesłuszne. On tymczasem czuł, że całe jego oburzenie skierowuje się przeciwko Filipowi. Nie zdawał sobie sprawy, ile zadawnionej chłopięcej niechęci i zwykłej dumy, i zapalczywości kryje się w gorzkich i surowych słowach, które miały mu posłużyć w wypełnieniu obowiązku syna i brata. Tomek nie zwykł wnikać głęboko w pobudki, jakie nim kierowały, tak jak nie zwykł wnikać w inne sprawy,

równie nieokreślone. Był całkowicie pewny, że zarówno jego pobudki, jak i czyny muszą być dobre - inaczej nie miałyby z nimi nic wspólnego.

Madzia miała jeszcze nadzieję, że coś po raz pierwszy przeszkodzi Filipowi przyjść do Doliny. Wtedy wszystko mogłoby się odwrócić - może Tomek pozwoliłby jej napisać do Filipa. Kiedy wchodzili pomiędzy szkockie jodły, serce jej biło podwójnie gwałtownie. To ostatni moment niepewności - myślała. Filip zawsze wychodził jej na spotkanie tu gdzieś niedaleko. Minęli jednak zieloną, otwartą łączkę i weszli na wąską krzaczastą ścieżkę wzdłuż usypiska. Jeszcze jeden zakręt - i Tomek i Filip stanęli nagle oko w oko w odległości jarda. Zapanowała chwila milczenia - Filip rzucił na Madzie pytające spojrzenie. Zobaczył odpowiedź w jej twarzy, w bladych rozchylonych wargach i pełnym strachu napięciu, które wyglądało z jej wielkich oczu. W wyobraźni, która zawsze szaleńczo wyprzedzała rozgrywające się wypadki, widziała już, jak jej wysoki brat chwyta słabe ciało Filipa, kruszy je i depce.

Czy nazywasz takie postępowanie godnym mężczyzny i dżentelmena, mój panie? - zwrócił się do niego Tomek z surową pogardą, [y oczy Filipa zwróciły się znowu ku niemu. Co chcesz przez to powiedzieć? - zapytał Filip wyniośle. - Powiedzieć? Odsuń się ode mnie, bym się nie porwał na ciebie, i wytłumaczę, co chcę powiedzieć. Otóż to, że wykorzystując ;Wiedzę i brak rozsądku młodej dziewczyny namówiłeś ją na

33 BN H/234 G. Eliot: Młyn nad Flossą

KSIĘGA PIĄTA

408

sekretnie spotkania. Żeś się ośmielił lekceważyć dobre imię rodziny - dobre i uczciwe imię.

- Temu przeczę - przerwał mu Filip gwałtownie. - Nie mógłbym nigdy lekceważyć czegoś, co dotyczy szczęścia twojej siostry. Droższa mi ona jest niż tobie. Bardziej ją szanuję, niż ty ją kiedykolwiek szanowałeś. Życie oddałbym dla niej.

- Nie gadaj żadnych wzniosłych bzdur! Czy chcesz udawać, żeś nie wiedział, że to dla niej hańba spotykać się tutaj z tobą tydzień w tydzień? Czy chcesz udawać, że miałeś prawo wyznać jej miłość, nawet gdybyś był odpowiednim mężem dla niej, skoro wiesz, że ani twój, ani jej ojciec nie zgodzą się na wasze małżeństwo? I ty ... ty próbujesz wkraść się w uczucia ładnej dziewczyny, która nie ma jeszcze osiemnastu lat i przez nieszczęścia ojca straciła wszelką styczność ze światem? Takie jest to twoje koślawe pojęcie o honorze! Ja to nazywam podłością ... nazywam to wykorzystywaniem okoliczności, by zdobyć to, co za dobre dla ciebie ... do czego nigdy byś nie doszedł uczciwą drogą.

- Wielki to dowód męskości mówić do mnie w ten sposób

- powiedział z goryczą Filip, a jego wątła postać drżała ze wzburzenia. - Olbrzymy od niepamiętnych czasów mają prawo do głupoty i bezczelnej obelżywości. Niezdolny jesteś zrozumieć, co czuję do twojej siostry. Czuję do niej tak wiele, że gotów bym pragnąć przyjaźni nawet z tobą!

- Przykro by mi było, gdybym rozumiał twoje uczucia - odparł Tomek z palącą wzdrgadą. - Życzę sobie natomiast, byś ty mnie zrozumiał, mianowicie to, że będę pilnował mojej siostry i jeżeli ośmielisz się próbować do niej zbliżyć czy pisać, czy też w jakikolwiek sposób wpływać na nią, nie uchroni cię to twoje małe nieszczęsne ciało, które ci powinno wbić trochę skromności w głowę - Stłukę cię, wystawię na publiczne pośmiewisko. Któż się nie będzie śmiał na samą myśl, że ty próbowałeś się zalecać do pięknej dziewczyny!

- Tomku ... nie zniosę tego ... nie mogę słuchać dłużej! - wybuchnęła Madzia zdławionym głosem.

ROZDZIAŁ V

409

Zaczekaj, Madziu - Filip mówił z wielkim wysiłkiem. Potem spojrzał na Tomka. - przyciągnąłeś tutaj swoją siostrę, aby musiała patrzeć, gdy ty mi będziesz wymyślał i groził. To, oczywiście, wydawało ci się właściwą metodą zdobycia nade mną przewagi. Ale mylisz się. Niechże mówi twoja siostra. Jeśli ona powie, że musi się ze mną rozstać, będę powolny jej życzeniu we wszystkim.

- To przez wzgląd na ojca - mówiła Madzia błagalnie. - Tomek groził, że mu powie, a ojciec by tego nie zniósł. Przrzekłam, przysięgam uroczyście, że bez wiedzy mojego brata nie będziemy utrzymywać ze sobą kontaktu.

- To wystarczy, Madziu. Ja się nie zmienię, pragnę jednak, byś się uważała za całkowicie wolną. Ale wierz mi, pamiętaj, że szukam dobra we wszystkim, co ciebie dotyczy.

- O tak! - zawołał Tomek rozwścieczony postawą Filipa. - Teraz to gadasz o szukaniu dobra we wszystkim, co jej dotyczy. Czy dotąd też go szukałeś?

- Owszem ... i może nawet podejmując ryzyko. Chciałem jednak, y miała przyjaciela na całe życie, który by ją otaczał czułością i który byłby dla niej bardziej sprawiedliwy niż prymitywny i ograniczony brat, zawsze przez nią hojnie darzony uczuciem.

- Tak, ja się jej przysłużę w inny sposób i powiem ci, w jaki: ichronię ją od tego, by okryła ojca hańbą i okazała mu nieposłuszeńst-

- Nie pozwolę, by się przez ciebie zmarnowała, by się stała ludzkim osmiewiskiem, by z niej szydzili tacy jak twój ojciec, bo nie jest Jowiednia dla jego syna. Wiesz aż za dobrze, jaką to miłość i sprawiedliwość jej szykowałeś. Na mnie nie robią wrażenia piękne owa. ja wiem co znaczą czyny. Chodź, Madziu!

Chwycił siostrę za przegub prawej ręki, a ona wyciągnęła lewą. 3 uściśnął ją mocno i rzuciwszy na dziewczynę jedno gorące spojrzenie, odszedł.

Kilka chwil Tomek i Madzia szli w milczeniu. Brat ciągle trzymał ją 0 za przegub, jakby wyciągał winowajczynię z miejsca zbrodni.

ie Madzia gwałtownym ruchem wyrwała rękę, a jej - długo hamowane zdenerwowanie wybuchnęło wreszci

dławione do- wreszcie w słowach:

KSIĘGA PIĄTA

410

- Nie myśl tylko, że przyznaję ci rację czy też, że ulegam twojej woli. Pogardzam uczuciami, jakie okazałeś w rozmowie z Filipem. Brzydę się tymi obraźliwymi, niegodnymi mężczyzny aluzjami do jego kalectwa. Całe życie wytykałeś błędy innym

- zawsze byłeś pewny, że sam masz słuszość: wszystko dlatego, że jesteś zbyt ograniczony, by zrozumieć, że może być coś lepszego niż twoje postępowanie i twoje własne małostkowe dążenia.

- Oczywiście - odparł chłodno Tomek. - Nie uważam, żeby twoje postępowanie i twoje dążenia były lepsze od moich. Jeżeli i ty, i Filip Wakem postępowaliście słusznie, to dlaczego wstyd ci było przyznać się do tego? Odpowiedz. Wiem, do czego chciałem doprowadzić moim postępowaniem, i osiągnąłem swój cel: a powiedz, proszę, co dobrego przyniosło twoje postępowanie tobie czy komukolwiek innemu?

- Nie chcę się bronić - Madzia wciąż mówiła gwałtownie.

- Wiem, że nie miałam racji, często, ciągle. Ale mimo to postępowałam niekiedy źle tylko dlatego, że byłam pod wpływem uczuć, których ty nie znasz, a lepiej by było, gdybyś znał. Jeślibyś ty kiedyś zawinił, gdybyś zrobił coś bardzo, bardzo złego, martwiłabym się, że musisz cierpieć, nie chciałabym, by na twoją głowę sypały się kary. Lecz ty zawsze cieszyłeś się z moich kar, ty zawsze byłeś dla mnie twardy i okrutny. Nawet kiedy byłam mała i kochałam cię bardziej niż wszystkich innych na świecie, ty pozwalałeś, żebym szła z płaczem do łóżka, bez twojego przebaczenia. Nie było w tobie litości ani poczucia własnych braków i własnych grzechów. Bo niewyrozumiałość jest grzechem, ona nie przystoi śmiertelnikowi - i chrześcijaninowi. Jesteś faryzeuszem¹⁸ i tyle. Dziękujesz Bogu za własne cnoty ... uważasz je za tak wielkie, że ci mogą wszystko zapewnić i zdobyć. Nie masz najmniejszego wyobrażenia o uczuciach, przy których blask twoich cnot zgasłby jak świeca.

¹⁸ Jesteś faryzeuszem - te krytyczne słowa są częścią wypowiedzi Ma i nie zostają poparte autorytetem narratora.

ROZDZIAŁ V

411

- Świetnie - odparł Tomek z zimną pogardą. Jeżeli twoje uczucia są o tyle lepsze od moich, to chciałbym, byś tego dowiodła w inny sposób, nie postępkami, które mogły nas wszystkich pohańbić, nie jakimś śmiesznym przerzucaniem się z jednej skrajności w drugą. Powiedz no, czym dowiodłaś tej miłości, o której tyle mówisz, czy to w stosunku do mnie, czy do ojca? Nieposłuszeństwem i oszustwem. Ja w inny sposób okazuję swoje uczucia.

- Bo ty jesteś mężczyzną, Tomku, ty masz siłę i jesteś zdolny czegoś dokonać.

- Więc, jeśli sama nie potrafisz nic zrobić, to się podporządkuj tym, którzy potrafią.

- Owszem, podporządkuję się temu, co czuję i uważam za słuszne. Mogę być uległa nawet wobec nierozsądku ojca, ale nie ulegnę wobec twojego nierozsądku. Szczycisz się swymi cnotami, jakby one nadały ci prawo do okrucieństwa i niemęskich czynów, jak dzisiaj. Nie myśl tylko, że wyrzekam się Filipa Wakema, chcąc być tobie oshiszną. Jego kalectwo, z którego drwiłeś, sprawia, że więcej i serdeczniej będę o nim myślała.

- Doskonale, taki jest twój pogląd na te sprawy- odparł Tomek jeszcze chłodniej niż przedtem. - Nie potrzebujesz mówić więcej, by tu dowieść, jak wielka dzieli nas przepaść. Postarajmy się pamiętać o tym w przyszłości i milczeć.

Tomek wrócił do St. Ogg's, by spotkać się z wujem Deane i przyjąć ikazówki co do podróży, w którą miał ruszyć następnego ranka. Madzia poszła do swego pokoju, by w gorzkich łzach wypłakać swoje oburzenie, którego Tomek nie był w stanie zrozumieć. Wtedy, kiedy minął pierwszy wybuch dławionego gniewu, wróciła wspomnieniami do tego spokojnego okresu, nim radość, która przyla się dzisiejszym bólem, zmąciła czystość i prostotę jej życia. Żyła w owych czasach, że odniosła wielkie zwycięstwo i zdobyła miejsce w jasnych wysokościach, ponad pokusami i konfliktami go świata. I oto jest znowu na dole pośród zawziętej walki własnych i zych namiętności. A więc życie nie jest tak krótkie i spokój wieczny nie jest tak bliski, jak to sobie wymarzyła dwa lata temu.

KSIEGA PIĄTA

412

Wiele jeszcze przed nią walk- może i wiele upadków. Gdyby czuła, że ani cząstka słuszności nie jest po jej stronie, natomiast wszystko po stronie brata, może szybciej zdobyłaby znowu spokój wewnętrzny, lecz coś, co sama Madzia uważała za słuszne oburzenie, osłabiało jej skruchę i chęć podporządkowania się bratu. Serce jej krwawiło na myśl o Filipie:

przypominała sobie ustawicznie wszystkie obelgi, jakimi został obrzucony, a tak dobrze wiedziała, co musiał czuć! Sprawiało jej to ostry, prawie fizyczny ból; tupiała wtedy nogami i zaciskała z całej siły palce jednej ręki na drugiej.

Dlaczegoż to jednak od czasu do czasu doświadczała jakiegoś mglistego poczucia ulgi na myśl o tym wymuszonym rozstaniu z Filipem? Pewno dlatego, że świadomość zerwania z wszelką skrytością była miła bez względu na cenę.

ROZDZIAŁ VI

CIEŻKO ZAPRACOWANY TRIUMF

W trzy tygodnie później, w porze, kiedy młyn Dorlcote wyglądał najładniej - kwitły wielkie kasztany, a trawa była bujna i pełna stokroci - Tomek Tulliver wrócił do domu wcześniej niż zwykle, a przechodząc przez most patrzył z ogromnym, głębokim przywiązaniem na stateczny dom z czerwonej cegły, który na zewnątrz zawsze wydawał się pogodny i zapraszający, chociaż wewnątrz pokoje mogły być puste, a serce smutne. W szaroniebieskich oczach Tomka błyska jakieś miłe światło, gdy patrzy na okna domu; zmarszczka na jego czole nigdy nie znika, lecz wcale mu z nią ładnie, zdaje się dowodzie siły woli, w której może nie być szorstkości, kiedy oczy i usta nabiorą łagodnego wyrazu. Mocne jego kroki są coraz szybsze, a kąciki ust walczą z zaciskającymi się wargami, które nie dopuszczają uśmiechu.

ROZDZIAŁ VI

413

Oczy zebranych w bawialni nie były skierowane na most w tej właśnie chwili i wszyscy siedzieli w milczeniu, na nic nie wyczekując

pan Tulliver w swoim fotelu, zmęczony długą konną jazdą, rozmyślał patrząc znużonym wzrokiem przeważnie na Madzie. Dziewczyna siedziała pochylona nad szyciem, matka zaś przygotowywała herbatę.

Wszyscy ze zdumieniem podnieśli głowy usłyszawszy znajome kroki.

- Cóż to? Co się stało, Tomek? - pytał się młynarz. - Jesteś trochę wcześniej niż zwykle.

- Och, nie miałem już nic do roboty, więc przyszedłem. Dzień dobry, mamó.

Tomek podszedł do matki i pocałował ją, co było oznaką niezwykłego humoru. Przez ostatnie trzy tygodnie między nim a Madzią nie padło niemal ani jedno słowo, nie zamienili nawet spojrzenia, lecz zwykła mrukliwość chłopca w domu sprawiła, że rodzice tego nie zauważyli.

- Ojciec - odezwał się Tomek, kiedy skończyli pić herbatę - czy wiesz dokładnie, ile jest w cynowej puszcze?

- Zaledwie sto dziewięćdziesiąt trzy funty - odparł młynarz. - Ostatnio mniej przyniosłeś, ale młodzi ludzie lubią robić ze swoimi pieniędzmi, co im się podoba. Chociaż mnie na to nie pozwalali, póki nie doszedłem do pełnoletności - mówił z nieśmiałą dezaprobatą.

Jest ojciec zupełnie pewny, że tyle właśnie mamy? - zapytał Tomek. - Chciałbym prosić, żeby się ojciec pofatygował i zniósł na ioł tę puszkę. Wydaje mi się, że tam jest inna suma.

Jakżebyś mógł się pomylić? - zapytał ostro młynarz. - Liczyłem je nieraz, ale mogę je przynieść, jeśli mi nie chcesz wierzyć.

Wyjmowanie cynowej puszeki i przeliczanie jej zawartości było w ponurym życiu pana Tullivera pewnym wydarzeniem.

- Niech mama nie wychodzi z pokoju - poprosił Tomek widząc, że matka chce wyjść, gdy ojciec poszedł na górę.

- Czy Madzia też nie może wyjść? Bo ktoś musi wynieść zastawę do herbaty.

KSIEGA PIĄTA

414

- Jak sobie chce - odparł Tomek obojętnie.

Te słowa zabolowały Madzie. Serce jej zaczęło bić mocno w nagłym przekonaniu, że Tomek powie ojcu, iż długi mogą być spłacone! I pozwala, żeby jej nie było, kiedy obwieści taką

nowinę! Odniosła jednak tacę i natychmiast wróciła. W takiej chwili nie mogło w niej przeważać poczucie własnej krzywdy.

Tomek usiadł obok ojca przy rogu stołu, na którym postawiono i otwarto cynową puszkę. Padające na nich czerwone wieczorne światło podkreślało zmęczenie i gorzki smutek w ciemnych oczach ojca i tłumioną radość na twarzy jasnowłosego syna. Matka i Madzia usiadły przy drugim końcu stołu, jedna spokojna i cierpliwa jak zwykle, druga z pulsującą nadzieją.

Pan Tulliver przeliczył pieniądze układając je w kolejności na stole, a potem, spoglądając ostro na Tomka, powiedział:

- No widzisz! Widzisz, że miałem rację.

Umilkł, spoglądając na pieniądze z goryczą i przygnębieniem.

- Brak nam przeszło trzystu funtów. Dobry kawał czasu upłynie, nim je zdążę zaoszczędzić.

Ciężka to była strata te czterdzieści dwa funty na zbożu. Ten świat to dla mnie za dużo!

Cztery lata mi zbiegły¹⁹ na zebranie tych pieniędzy ... Nie myślę, żebym jeszcze drugie cztery chodził po tej ziemi ... Muszę tobie zawierzyć tę spłatę - ciągnął drżącym głosem - jeśli będziesz dalej obstawał przy tym samym po dojsciu do pełnoletnia ... Ale pewno pochowasz mnie najpierw.

Podniósł oczy na syna, jakby natrętnie prosił go o jakieś zapewnienie.

- Nie, ojciec - odparł Tomek energicznie i ze zdecydowaniem, chociaż i w jego głosie dosłyszeć można było drzenie- dożyjesz chwili, w której twoje długi zostaną spłacone.

Zapłacisz je sam, swoją własną ręką.

W głosie jego było coś więcej niż nadzieja czy energia. Zdawało się, że przez twarz młynarza przebiegł prąd elektryczny. Ojciec utkwu

dodatkowe potwierdzenie, że akcja tej księgi toczy

19 cztery lata mi zbiegły się w r. 1836.

ROZDZIAŁ VI

415

w synu żywe, pytające spojrzenie, a Madzia, nie mogąc się opanować, rzuciła się ku ojcu i uklękła obok. Tomek milczał chwilę, po czym mówił dalej:

- Dość dawno temu wujaszek Glegg pożyczył mi trochę pieniędzy na handel, a mnie się powiodło. Mam trzysta dwadzieścia funtów w banku.

Gdy tylko wymówił te słowa, ręce matki owinęły mu się wokół szyi, i biedaczka mówiła, płacząc:

- Mój chłopcze, mój chłopcze! Wiedziałam, że ty już wszystko naprawisz, jak tylko dorośniesz.

Lecz ojciec milczał; napływ wzruszenia odjął mu mowę. I Tomek, i Madzia przerazili się, czy ten radosny wstrząs nie przyniesie fatalnych skutków. Lecz przyszła wreszcie błogosławiona ulga we łzach. Szerokie piersi drgnęły, mięśnie twarzy rozluźniły się i siwy mężczyzna wybuchnął głośnym szlochem. Powoli łkanie ucichło i młynarz usiadł chwytnąjąc oddech. Spojrzał wreszcie na żonę i powiedział spokojnie:

- Bessy, chodź no tutaj, musisz mnie teraz pocałować. Chłopiec ci wszystko wynagrodził. Może zaznasz jeszcze trochę dostatku.

Kiedy go ucałowała, a on chwilę potrzymał jej dłoń, myśli jego Powędrowały znów do pieniędzy.

- Wolałbym, żebyś mi przyniósł gotówkę do obejrzenia - mó-

iotykając palcami suwerenów na stole. - Byłbym wtedy pewniejszy.

- Zobaczysz je ojciec jutro - tłumaczył Tomek. - Wujaszek ie umówił wszystkich wierzycieli na jutro "Pod Złotym Lwem" na

tkanie i zamówił dla nich obiad na godzinę drugą. Będzie tam on

1 wujek Glegg. Było ogłoszenie w "Posłańcu", w sobotę.

A więc Wakem już wie - oczy pana Tullwera rozbłysły afałnym ogniem. - Ach - mówił przeciągle i gardłowo, wyjmując abakierkę, jedyny luksus, na jaki sobie jeszcze pozwalał, i stukając t z cieniem dawnej buty. - Wyjdę teraz spod jego obcasa ...
Iz będę musiał wyjść i ze starego młyna. Myślałem, że dam radę aJ umrzeć ... ale nie dam. Czy mamy w domu coś do wypicia, Bessy?

KSIĘGA PIĄTA

416

- Owszem - odparła młynarzowa wyciągając bardzo przerzedzony pęk kluczy - jest trochę brandy, którą przyniosła mi ostatnio siostra Deane, gdy chorowałam.

- Przynieś ją, przynieś, trochę się czuję słaby.

- Tomasz, mój chłopcze - mówił mocniejszym już głosem, gdy napił się brandy z wodą - musisz do nich mieć mowę. Powiem im, że to ty zdobyłeś większą część pieniędzy. Zobaczą, że jednak jestem uczciwy i że mam uczciwego syna. Ach, jakby Wakem chciał mieć takiego syna jak ja - pięknego chłopaka jak świeca, zamiast tego biednego połamańca! Powiedzie ci się w życiu, mój chłopcze, może nawet dożyjesz dnia, kiedy Wakem i jego syn będą od ciebie trochę niżej. Bardzo możliwe, że cię dopuszczą do spółki, tak jak kiedyś twojego wuja Deane ... Jesteś na prostej drodze do tego. Wtedy już nic nie stanie ci na przeszkodzie do bogactwa ... A jeśli kiedy dojdiesz do pieniędzy, pamiętaj: odbierz stary młyn.

Pan Tulliver rozparł się głęboko w krzesło: dusza jego, w której tak długo nie mieszkało nic prócz gorzkiego niezadowolenia i złych przeczuć, nagle, dzięki czarnoksięstwu szczęścia, napelniła się obrazami radosnej przyszłości. Lecz jakiś delikatny głos nie pozwalał mu dojrzeć samego siebie na tych obrazach.

- Podaj mi rękę, chłopcze - powiedział nagle, wyciągając dłoń. - Wielka to rzecz, jak człowiek może być dumny ze swego syna. Ja zagnałem tego szczęścia.

Nigdy nie przeżył Tomek chwili tak cudownej, jak ta, a i Madzia musiała zapomnieć o swoich urazach. Tomek był dobry. W słodkiej pokorze, która przejmuje nas w chwilach autentycznego podziwu i wdzięczności, czuła, że błędy, które on musiał jej wybaczyć, nigdy nie zostały okupione tak, jak jego winy. Nie czuła zazdrości tego wieczoru, kiedy po raz pierwszy zesła na drugi plan w sercu ojca.

Wiele było jeszcze gadania, nim wszyscy poszli do łóżek. Pao Tulliver chciał się oczywiście dowiedzieć wszystkich szczegółów hano- lowych perypetii Tomka i słuchał z rosnącym zaciekawieniem i zachwytem. Musiał usłyszeć, co kto mówił przy każdej okazji, a jeśli to możliwe, co kto myślał. Udział Boba Jakina w całej sprawie wywoła

ROZDZIAŁ VII

417

szczególny wybuch sympatii dla przebojowego sprytu tego niezwykłego wędrownego sprzedawcy. Przypomniane zostały młodzieńcze dzieje Boba, przynajmniej to, co było wiadome panu Tulliverowi, i wszyscy doszli do wniosku, że chłopiec od początku zdumiewająco dobrze się zapowiadał, co jest typowe dla wszelkich wspomnień o dzieciństwie wielkich ludzi.

Dobrze się stało, że zaciekawienie opowiadaniem mogło nieco przytłumić mgliste, lecz mocne poczucie triumfu nad Wakemem; radość młynarza mogłaby popłynąć tym kanałem z niebezpieczną siłą. Nawet teraz to uczucie od czasu do czasu niemal całkowicie go opanowywało, objawiając się w nagłych, nie związanych z opowiadaniem Tomka okrzykach. Tego wieczoru pan Tulliver długo nie mógł zasnąć, a kiedy sen przyszedł wreszcie, przyniósł wiele majaków. O pół do szóstej rano, kiedy pani Tulliver wstawała, przestraszyła się widząc, jak mąż ze zduszonym okrzykiem siada na łóżku i nieprzytomnym wzrokiem rozgląda się po ścianach pokoju.

- Co się stało? - zapytała młynarzowa.

Patrzył wciąż na nią zdumionym wzrokiem; wreszcie powiedział:

- Nic ... Śniło mi się ... czy krzyczałem? ... Śniło mi się, że go ucapił wreszcie.

ROZDZIAŁ VII

DZIEŃ OBRACHUNKU

pan Tulliver był człowiekiem z natury wstrzemięźliwym w picciu lubił wychylić kieliszek i nie stronił od niego, lecz nigdy nie ekraczał miary. Natura obdarzyła go porywczym,

hotspurowskim

KSIĘGA PIĄTA

418

temperamentem²⁰, który potrafił dojść do wrzenia bez pomocy ognistego płynu; wystarczyło mu wrodzonej popędliwości na każdą okazję. Prośba jego o brandy z wodą wskazywała tylko, że zbyt nagła radość była groźnym wstrząsem dla ciała wycieńczonego czterema latami posępką i nienawykłego do ciężkiego życia. Lecz gdy minął pierwszy moment słabości, zdawało się, że rosnące podniecenie dodaje sił młynarzowi. Następnego dnia, kiedy usiadł do stołu z wierzycielami, oczy miał błyszczące, a policzki zaróżowione z przejęcia, że oto znowu będzie człowiekiem otoczonym szacunkiem. Wyglądał jak dumny, pewny siebie, dawny Tulliver o gorącym sercu i gorącym usposobieniu. Nie przypuściłby, że to możliwe nikt, kto widział go tydzień temu, jadącego konno, ze zwieszoną głową - jak zwykle - od czterech lat, odkąd zwała się nań świadomość klęski i zadłużenia - a na każdego, kto mu się natrętnie wpychał przed oczy, rzucał szybkie, niechętnie spojrzenia. Teraz wygłosił mowę i prawił z dawną werwą i pewnością siebie o swych uczciwych zasadach, napomknął

o łajdakach i o losie, który zawsze był mu nieprzychylny, a nad którym zatriumfował dzięki ciężkiej pracy i pomocy syna - zakończył zaś opowieścią, jak Tomek zdobył większą część potrzebnych pieniędzy. Lecz irytację i wrogie poczucie triumfu przygasiła na chwilę ojcowska duma i radość, bo, kiedy wzniesiono zdrowie Tomka, a wujaszek Deane powiedział przy okazji parę słów pochwalnych o charakterze

i postępowaniu siostrzeńca, chłopiec wstał i wygłosił jedyną w swoim życiu mowę. Trudno o krótszą: podziękował panom za zaszczyt, jaki mu uczynili. Był szczęśliwy, że mógł pomóc ojcu dowieść jego prawości i odzyskać uczciwe nazwisko, a ze swojej strony ma nadzieję, że nigdy tego dzieła nie przekreśli i nazwiska nie zhańbi. Brawa, jakie po tym nastąpiły, były tak głośne, a Tomek wyglądał tak godnie i jednocześnie taki był zgrabny i prosty jak świeca, że pan Tulliver tonem wyjaśnienia informował swych przyjaciół na prawo i lewo, iż wydał grube pieniądze na edukację syna.

hotspurowski temperament - zob. ks. I, przyp. 10.

ROZDZIAŁ VII

419

O piątej godzinie towarzystwo rozeszło się całkowicie trzeźwe. Tomek pozostał w St. Ogg's, miał bowiem jeszcze coś do załatwienia, a pan Tulliver wsiadł na konia, by wrócić do domu i opowiedzieć o tym pamiętnym wydarzeniu oraz wszystkim, co zostało powiedziane, "biednej Bessy i dziewczusce". Podniecenie jego nie było spowodowane doskonałym jadem i napitkiem, lecz mocnym winem triumfalnej radości. Nie wybierał dzisiaj bocznych uliczek, lecz jechał wolno, z podniesioną głową i jasnym wejrzeniem główną ulicą przez cały czas aż do mostu. Dlaczego nie spotkał przypadkiem Wakema? Złość, że się tak akurat złożyło, zaczęła w nim wzbierać coraz bardziej. Może Wakem wyjechał dzisiaj z miasta specjalnie po to, by nic nie słyszeć i nie oglądać tego chlubnego aktu, który na pewno byłby mu niemiły. Gdyby Wakem go spotkał, pan Tulliver spojrzałby mu prosto w oczy i może by opuściła na chwilę łotra ta jego chłodna, wyniosła beczelność. Wkrótce dowie się, że uczciwy człowiek nie będzie mu dłużej służył i użyczał swego przyzwoitego imienia do zapełniania kieszeni już i tak pełnych nieuczciwych zysków. Może szczęście zaczyna się odwracać? Może diabeł nie zawsze trzyma w pazurach najlepsze karty?

Podniecając się coraz bardziej, pan Tulliver zbliżał się do młyna Jorlcote. Był już wystarczająco blisko, by dojrzeć dobrze znaną ostać wyjeżdżającą z bramy na pięknym, karym koniu. Spotkali się o pięćdziesiąt jardów od bramy, między nasypem a wielkimi kasztanami i wiązami.

- Tulliver - zaczął gwałtownie Wakem tonem bardziej niż Wykle wyniosłym. - Cóż wy robicie za błazeństwa, żeby na tym polu skraju zostawić tak zbryloną ziemię! Mówiłem wam co z tego 7niknie, ale tacy jak wy nigdy nie nauczą się uprawiać roli według jakiejś metody.

- Tak?! - zawołał Tulliver, w którym natychmiast zawrzało to weź sobie do gospodarowania kogoś, kto cię będzie prosił o naukę.

- Piliście chyba? - Wakem naprawdę sądził, że taka jest rzyczyna zaczerwienionej twarzy i błyszczących oczu młynarza.

KSIĘGA PIĄTA

420

- Nie, nie piłem. Nie potrzebuję picia, by się zdecydować, że dłużej nie będę służył pod łajdakiem.

- Doskonale. Możecie wobec tego opuścić moje grunta jutro. A teraz milcz, zuchwalcze, i daj mi przejechać! - (Tulliver ustawił konia w poprzek drogi, zamykając Wakemowi przejście).

- Nie, nie dam ci przejechać! - zawołał Tulliver, nieprzytomny z wściekłości. - Najpierw ci powiem, co o tobie myślę. Jesteś za wielki łajdak, żeby cię warto było wieszać ... jesteś ...

- Puszczaj, chamie, bo po tobie przejadę.

Pan Tulliver spiął konia ostrogami i podniósłszy szpicrutę ruszył naprzód. Koń Wakema stanął dęba i cofając się chwiejnie zrzucił jeźdźca z siodła bokiem na ziemię. Wakem miał na tyle przytomności umysłu, by natychmiast puścić wodze, a koń postąpił jeszcze parę kroków do tyłu i stanął, jeździec mógł więc podnieść się i dotrzeć wierzchowca bez gorszych skutków niż wstrząs i kilka sińców. Lecz nim zdążył się podnieść, Tulliver również zeskoczył z konia. Na widok od dawna znienawidzonego, zwycięskiego wroga, który leżał teraz, zdany na jego łaskę, młynarza ogarnął szal triumfalnej mściwości, dając mu jakąś nadludzką ruchliwość i siłę. Rzucił się na Wakema, który starał się dźwignąć na nogi, przytrzymał go za lewe ramię dotykające jeszcze ziemi i okładał zaciekle po plecach szpicrutą. Wakem wołał o pomoc, lecz pomoc nie nadchodziła. Wtem rozległ się krzyk kobiecy, potem wołanie: - Ojczy, ojczy! - Nagle Wakem poczuł, że coś powstrzymało rękę Tullivera, bo smaganie ustało, a uchwyt na jego ramieniu zelżał.

- Wynos się, ty! - krzyknął ze złością Tulliver. Lecz nie mówił tego do Wakema. Adwokat podniósł się wolno, a odwróciwszy głowę zobaczył, że ręce Tullivera powstrzymywała dziewczyna - a raczej strach, by jej nie uderzyć - która wczepiła się w ojca z całą młodzieńczą siłą.

- Łukaszu, mam, przyjdźcie pomóc panu Wakemowi! - wołała Madzia słysząc wreszcie upragnione kroki.

- Posadź mnie na tego niższego konia - powiedział Wakem do Łukasza - może go jakoś dosięgnę, chociaż niech to diabli, ramię mam chyba wywichnięte.

ROZDZIAŁ VII

421

Z pewnym trudem wsadzono Wakema na konia Tullivera. Odwrócił się wtedy do młynarza i powiedział z wściekłością: - Pożałujesz tego, mój panie. Twoja córka jest świadkiem, żeś na mnie napadł.

- I co z tego! - zawołał młynarz chrapliwym, wściekłym głosem. - Idź, pokaż ludziom swoje plecy i powiedz, że cię obiliśmy. Powiedz, że wyrównałem trochę rachunków na tym świecie.

- Jedź ze mną do domu na moim koniu - rozkazał Wakem Łukaszowi. - Promem w Tofton, nie przez miasto.

- Tatusiu, chodź do domu - błagała Madzia. Potem widząc, że Wakem odjechał i że nie ma już mowy o żadnym biciu, rozluźniła uścisk i wybuchnęła histerycznie łkaniem, podczas gdy biedna pani Tulliver stała w milczeniu, drżąc z przerażenia. Wtem Madzia zdała sobie sprawę, że chociaż puściła ojca, on chwyta jej ręce i coraz mocniej opiera się na niej. Zdumienie uciszyło jej płacz.

- Czuję się ... słabo ... - powiedział. - Pomóż mi wejść, Bessy. W głowie mi się kręci ... i boli ...

Powoli wszedł do domu podpierany przez żonę i córkę, i zwałił się na swój fotel. Niemal fioletowy rumieniec ustąpił teraz miejsca bladeści. Ręce młynarza były zimne.

- Chyba lepiej posłać po doktora - powiedziała młynarzowa. Wydawało się, że jest zbyt słaby i obolały, by to usłyszeć, ale gdy

na mówiła do Madzi: - Idź i poślij kogoś po doktora - spojrział na nią przytomnie i powiedział:

- Doktor? Nie ... nie doktor. To tylko gbwa. Pomóż mi się położyć do łóżka.

Smutny to był koniec dnia, który zaświtał dla nich wszystkich jako szatek lepszych czasów.

Lecz mieszane ziarno musi przynieść Mszany plon.

Tomek wrócił w pół godziny później. Przyprował ze sobą Boba kina, który przyszedł pogratulować "panu starszemu" nie bez ttej zrozumiałej dumy, boć i on miał przecie swój udział w odmiafortuny panicza Tomka, ten zaś sądził, że nic nie sprawi ojcu szej przyjemności niż zakończenie dnia na rozmowie z Bobem.

obecnej sytuacji jednak Tomek mógł spędzić wieczór tylko na nurych rozważaniach, jakie będą smutne konsekwencje tego szalo-

KSIĘGA PIĄTA

422

nego wybuchu długo skrywanej ojcowskiej nienawiści. Kiedy usłyszał przykrą wiadomość, usiadł w milczeniu. Nie miał ani nastroju, ani ochoty opowiadać matce i siostrze o obiedzie, zresztą nawet ich to teraz nie obchodziło. Widocznie nic ich życia tak dziwnie została spleciona, że nie mogli zaznać radości bez smutku jednocześnie. Z rozpaczą myślał, że jego najszlachetniejsze wysiłki zawsze muszą iść na marne wskutek cudzych błędów. Madzia przeżywała wciąż na nowo straszną chwilę, kiedy to rzuciła się, by powstrzymać rękę ojca - napelniały ją też mgliste, okropne przeczucia tego, co ich jeszcze czeka. Nikt z całej trójki nie miał specjalnych obaw co do stanu zdrowia pana Tullivera; nic nie wskazywało na możliwość powtórzenia się poprzedniego groźnego ataku. Wydawało się, że obecne złe samopoczucie to tylko skutek gwałtownych wzruszeń i wysiłku oraz wielu godzin niezwykłego podniecenia. Odpoczynek pewno wróci mu zdrowie.

Tomek zasnął szybko, zmęczony dniem pełnym wrażeń. Wydawało mu się, że położył się przed chwilą, kiedy zobaczył w szarym świetle ranka matkę, stojącą przy jego łóżku.

- Wstawaj, chłopcze, natychmiast. Posłałam po doktora, a ojciec chce, żebyś przyszedł zaraz do niego z Madzią.

- Czy jest gorzej, mamó?

- Całą noc chorował, ale tylko na głowę, i nie mówił, że jest gorzej, aż nagle powiedział: "Bessy, przyprowadź dzieci. Powiedz, niech się spieszą".

W chłodnym, szarym świetle Madzia i Tomek ubrali się spieszenie i niemal jednocześnie stanęli u drzwi ojca. On czekał na nich z wyrazem bólu na twarzy, lecz w oczach jego była ostra czujność i przytomność. Pani Tulliver stała u nóg posłania, przerażona i drżąc; po nieprzespanej nocy wyglądała na starą i zmęczoną kobietę. Madzia pierwsza znalazła się przy łóżku, lecz oczy ojca skierowały się ku Tomkowi, który podszedł i stanął przy siostrze. ,

- Tomek, chłopcze ... przyszło wreszcie na mnie i już się nie po niosę ... Ten świat to dla mnie za dużo ... Ale ty zrobiłeś, co mogłeś, ze y się wszystko wyrównało. Podaj mi rękę jeszcze raz, nim od was odej

ROZDZIAŁ VII

423

Ojciec i syn podali sobie dłonie i przez chwilę spoglądali na siebie. Potem odezwał się chłopiec, starając się mówić mocnym głosem:

- Czy masz jakieś życzenia, ojczu ... które mógłbym wypełnić, kiedy ...

- Tak, chłopcze ... Staraj się odebrać stary młyn.

- Tak, ojczu.

- I matka ... staraj się wynagrodzić jej, jak tylko będziesz mógł, to, że nie miałem szczęścia ...

I dziewczuszka ...

Ojciec zwrócił oczy ku Madzi z jeszcze żywszym spojrzeniem, a ona, czując, że jej serce pęka, padła na kolana, by znaleźć się bliżej tej kochanej, zniszczonej wiekiem twarzy, która zawsze przez tyle lat była przy niej jako symbol najwyższej miłości i najcięższej próby.

- Musisz dbać o nią, Tomku ... Nie martw się, dziewczuszko ... Przyjdzie ktoś, kto cię będzie kochał i brał twoją stronę ... Musisz być dla niej dobry, chłopcze. Ja byłem dobry dla mojej siostry. Chodź no, Bessy ... Starczy ci jakoś na murowany grób, Tomku, żebyśmy mogli leżeć razem z twoją matką.

Odwrócił od nich wzrok, kiedy to mówił, i przez kilka minut leżał w milczeniu, a oni stali, spoglądając na niego, bojąc się ruszyć. Światło denne jaśniało coraz mocniej; mogli teraz dostrzec, że na twarzy jego iera się jakaś ociężałość, a męła zasnuwa mu oczy. Wreszcie spojrzął na Tomka i rzekł:

- I na mnie przyszła kolej ... obiliśmy go. Stało się ... po spr-

:dliwości. Nie chciałem nigdy inaczej, tylko po sprawiedliwości.

- Ale, tatusiu, tatusiu drogi - niewymowny niepokój górował az nad bólem Madzi - przebaczasz mu, prawda? Przebaczasz mu

teraz na zawsze.

Nie odwrócił ku niej oczu, lecz odparł:

. Nie, moja dziewczuszko, nie przebaczam mu ... Cóż z przebacze- ma. Nie mogę kochać łotra

...

nos jego stał się ochrypty, lecz młynarz chciał powiedzieć coś se i wciąż poruszał ustami, daremnie usiłując przemówić. Wresz- u" słowa utorowały sobie drogę:

34 BN H/234 G. Eliot: Młyn nad Flossą

KSIĘGA PIĄTA

424

- Czy Bóg przebacza łotrom? ... ale jeśli tak, to nie będzie dla mnie surowy ...

Ręce jego poruszały się niespokojnie, jakby chciał zrzucić jakiś przygniatający go ciężar.

Kilka razy usłyszeli urywane słowa:

- Ten świat ... za wiele dla mnie ... uczciwy człowiek ... zagadka ... Wkrótce słowa zmieniły się w pomruk, oczy przestały dostrzegać

kształty; potem zapanowała ostateczna cisza.

Ale nie śmierć. Przez godzinę lub dłużej pierś podnosiła się ciężko i ostry, głośny oddech stopniowo słabł, a na czole zbierała się zimna rosa.

Wreszcie zapanował całkowity spokój i prostą, nieoswieconą duszę biednego Tullivera na zawsze przestała nękać bolesna zagadka świata.

Nadeszła pomoc: przyszedł Łukasz z żoną i doktor Turnbull, zbyt późno, by powiedzieć co innego niż: "Umarł".

Tomek i Madzia zeszli razem na dół do pokoju, gdzie fotel ojca stał pusty. Oczy ich zwróciły się jednocześnie ku temu samemu miejscu, a Madzia powiedziała:

- Tomku, przebac mi, kochajmy się zawsze, zawsze! - Objęli się ramionami i płakali razem.

34

KSIĘGA SZÓSTA

WIELKIE KUSZENIE

ROZDZIAŁ I

DUET W RAJU

Ten elegancko umeblowany salon z otwartym pianinem i z pięknym widokiem na ogród opadający ku brzegom Flossy i na składzik z łódkami - to salon pana Deane. Ta zgrabniutka, w żalobną suknię odziana młoda dama, o jasnych lokach opadających na kolorowy haft, przy którym pracowicie poruszają się jej paluszki, to oczywiście Lucy Deane. Wytworny młodzieniec, wychylający się z fotela, by poruszać nożyczkami przed krótko podciętą brodą spaniela, który leży u stóp młodej damy - to nie kto inny jak pan Stefan Guest¹, a jego pierścion brylantowy, różane perfumy oraz nonszalanckie rozleniwienie o godzinie dwunastej w południe są wdzięcznym i wonnym rezultatem siadania największej olejarni i najruchliwszej przystani w St. Ogg's². - ała ta historia z nożyczkami pozornie wydaje się błaha, lecz wy postrzegacie natychmiast, że ma ona pewien cel, który sprawia, że staje [C godna tego młodego człowieka o dużej głowie i długich rękach nogach. Lucy bowiem potrzebuje nożyczek i musi, choćby nie miała o zupełnie chęci, odrzucić do tyłu swoje loki, unieść łagodne, echowe oczy, uśmiechnąć się żartobliwie do twarzy, która znajduje teraz prawie na poziomie jej kolan, i wyciągając małą jak muszla, rozową dłoń, powiedzieć: Do /" (ang) - gość. Jedyne nazwisko mówiące, co określa być może "awę Stefana Guest jako bywalca salonów.

osobie Stefana łatwo można rozpoznać stereotyp nuworysza, LSnia zastrzeżenia wielu czytelników do tej właśnie postaci.

co

KSIĘGA SZÓSTA

428

- Poproszę moje nożyczki, jeżeli możesz wyrzec się wielkiej przyjemności dokuczania mojej biednej Minny.

Okazuje się, że wstrętne nożyczki wsunęły się zbyt głęboko za kostki palców i Herkules bezradnie wyciąga schwytaną w pułapkę dłoń.

- A niech te nożyczki ... Żle mi się nasunęły na palce. Proszę, ściągnij mi je z ręki.

- Ściągnij je sarn drugą ręką - odpowiada figlarnie panna Lucy.

- Och, musiałbym to zrobić lewą. Nie jestem mańkutem. Lucy śmieje się i delikatnie ściąga nożyczki małymi paluszkami,

co oczywiście skłania pana Stefana do powtórzenia wszystkiego da capo³. Czeką teraz na uwolnienie od nożyczek chcąc je natychmiast zabrać.

- O, nie - Lucy wsunęła nożyczki za pasek - nie dostaniesz już moich nożyczek, i tak niemal je zepsułeś. No, nie drażnij znowu Minny. Usiądź porządnie i zachowuj się przyzwoicie, to powiem ci wielką nowinę.

- Jakaż to nowina? - zapytał Stefan rzucając się głęboko w fotel i przewieszając rękę przez oparcie. Mógłby tak pozować do portretu, z którego spoglądałby na nas ognistym, lecz i trochę sceptycznym wzrokiem spod mocno zarysowanych, równych brwi dwudziestopięcioletni młodzieniec o dość uderzającej powierzchowności, kwadratowym czole i krótko przyszyżonych, kasztanowatych włosach, prostych, lecz lekko falujących na końcach, jak gruby snop żyta. - Czy to bardzo ważna wiadomość?

- Tak, bardzo. Zgadnij.

- Masz zamiar zmienić dietę Minny i dawać jej trzy biszkopty maczane w jednej deserowej łyżeczce śmietanki dziennie.

- Nie zgadłeś.

- No więc pastor Kenn wygłosił kazanie przeciwko bufiastym rękawom, a wy, kobiety, wysłałyście do niego petycję, tłumacząc mu: "Trudna to nauka - któż taką zniesie?"

3 da capo (wł., muz.) - od początku.

ROZDZIAŁ I

429

- Wstydzilibyś się! - zawołała Lucy sznurując poważnie usta.

Nie dowodzi to bystrości, żeś nie odgadł mojej nowiny, bo ona jest związana z czymś, o czym ci niedawno mówiłam.

- Ale mówiłaś mi niedawno o tylu rzeczach! Czy w swojej kobiecej bezwzględności wymagasz, bym wiedział natychmiast, o co chodzi, tylko dlatego, że jest to jedna z wielu rzeczy, o których mówiłaś?

- Wiem, że uważasz mnie za głuptasa.

- Uważam cię za osobę absolutnie czarującą.

- A głupota jest częścią mojego uroku?

- Tego nie powiedziałem.

- Ale wiem, że lubisz, by kobiety nie miały własnego zdania. Zdradził cię Filip Wakem ... powiedział to kiedyś, kiedy ciebie nie było.

- Och, wiem, że Filip ma w tej sprawie zdecydowane poglądy i wygłasza je z wręcz osobistym zaangażowaniem. Myślę, że musi być zakochany i tęsknić za nieznaną damą, jakąś egzaltowaną Beatrycze, którą poznał za granicą.

- Ale, ale - Lucy przerwała robotę - właśnie mi przyszło do głowy, że nie dowiedziałam się wcale, czy moja kuzynka Madzia nie będzie przeciwna spotkaniom z Filipem, tak jak jej brat. Tomek nie wejdzie do pokoju, w którym jest Fil, jeśli wie, że go tam spotka. Może z Madzią będzie to samo i nie będziemy mogli śpiewać na głosy?

- Co? Twoja kuzynka przyjeżdża i będzie z tobą mieszkać? - zawołał Stefan z wyrazem lekkiego niepokoju.

- Tak, to jest właśnie nowina, o której zapomniałeś. Rzuca ę, którą zajmowała, biedaczka, przez prawie dwa lata po śmierci i przyjeżdża do mnie na miesiąc czy dwa - na wiele miesięcy, nadzieję.

r krótkiej relacji o wydarzeniach na początku ks. VI narrator nie podaje, że 183ft io PTM8.1111?06 czasu akcji o dwa lata (prawdopodobnie jest teraz rok '1) lecz ta informacja jako nawiasowa pojawia się w wypowiedzi Lucy, Wane do Stefana. Nie jest to metoda ogólnie przyjęta w powieści nanskiej, gdzie ramy czasowe były - w większości wypadków - precyzowane przez narratora.

KSIĘGA SZÓSTA

430

- I ja mam się cieszyć z tej wiadomości?

- O, wcale nie - odparła Lucy z lekką urazą. - Ja się cieszę, ale to, oczywiście, nie jest powód do twojej radości. Nie ma na świecie dziewczyny, którą kochałabym tak mocno jak Madzie.

- I po jej przyjeździe będziecie zapewne nierozdzielne. Nie ma dla mnie nadziei na tete a tete⁵ z tobą, chyba że jej znajdziesz wielbiciela, który będzie z nią od czasu do czasu odłączał. Co jest źródłem tej niechęci do Filipa? Może on byłby wybawieniem?

- To kłótnia rodzinna z ojcem Filipa. Zaczęta, zdaje się, w bardzo przykrych okolicznościach. Nigdy tego nie mogłam dobrze zrozumieć ani też nie dowiedziałam się wszystkiego. Mój wujaszek Tulliver nie miał szczęścia i stracił cały swój majątek, a wydaje mi się, że uważał, iż pan Wakem był za to w jakiś sposób odpowiedzialny. Pan Wakem kupił młyn Dorlcote, stary dom, w którym wujaszek zawsze mieszkał. Musisz chyba pamiętać wujaszka Tullivera?

- Nie - odparł Stefan z obojętnością, w której kryło się nieco lekceważenia. - Słyszałem często to nazwisko i chyba znałem go z widzenia, ale nie łączyłem twarzy z tym nazwiskiem. Znam połowę twarzy i nazwisk w sąsiedztwie i nigdy nie wiem, co z czym skleić.

- To był człowiek o bardzo poręczym usposobieniu. Pamiętani, kiedy byłam mała i jeździłam w odwiedziny do moich kuzynów, to wujaszek budził we mnie lęk, bo mówił tak, jakby się gniewał. Tatuś mi opowiadał, że tego właśnie dnia, w którym wujaszek umarł, doszło do strasznej kłótni między nim a panem Wakemem, ale to zatuszowano. Wtedy, kiedy ty byłeś w Londynie. Tatuś mówił, że wujaszek pod wieloma względami nie miał racji: stał się po prostu bardzo zgorzkniały. Ale dla Tomka i Madzi wszystkie te wspomnienia są oczywiście strasznie przykre. Mieli tyle, tyle kłopotów! Sześć lat temu Madzia uczyła się ze mną na pensji, a kiedy zaczęły się nieszczęścia ojca, zabrano ją stamtąd i myślę, że od tego czasu nie zaznała żadnej radości. Po śmierci wujaszka wzięła jakąś ponurą pracę w szkole, bo postanowiła być niezależna i nie mieszkać z cicią Pullet, ja zaś nie mogłam jej

5 tete a tete (fr.) - sam na sam, we dwoje.

ROZDZIAŁ I

431

wtedy zaprosić, bo mamusia kochana tak ciężko chorowała i było nam tak smutno. Dlatego właśnie chcę, żeby Madzia teraz do mnie przyjechała i miała długie, długie wakacje.

- Bardzo to z twojej strony urocze i anielskie - oświadczył Stefan spoglądając na nią z uśmiechem uwielbienia. - Tym bardziej, jeśli ta panna ma talenta konwersacyjne swojej mamy.

- Biedna cioteczka! Jakiś ty okrutny, żeby się z niej naśmiewać! Tak mi przecież ogromnie pomaga. Cudownie prowadzi dom, o wiele lepiej niż ktoś obcy, i była mi wielką pomocą podczas choroby mamusi.

- Tak, lecz jeśli mówimy o towarzystwie, wolałoby się, żeby ją zastępowały ciastka śmietankowe i wiśnie w lukrze jej roboty. Dreszcz mnie przejmuje na myśl, że jej córka zawsze tu będzie siedziała, zamiast wysyłać równie apetycznych pełnomocników. Tłusta, milcząca blondynka o okrągłych niebieskich oczach, nieustannie w nas wlepionych.

- O, tak! - zawołała Lucy śmiejąc się psotnie i klaszcząc w ręce. - Wypisz, wymaluj, kuzynka Madzia. Musisz ją znać?

- Nie, nigdy jej nie widziałem, zgaduję tylko, jak musi wyglądać rka pani Tulliver. Jeśli do tego wypłoszy Filipa, naszego jedyne go tenora, to będzie dodatkowy kłopot.

- Mam nadzieję, że do tego nie dojdzie. Chyba poproszę cię, s zaszedł do Filipa i powiedział mu, że Madzia jutro przyjeżdża.

jest świadom niechęci Tomka i zawsze trzyma się od niego z daleka, zumie więc, jeśli mu powiesz, że proszę, by nie przychodził, póki do mego nie napiszę.

p. " Myślę, że lepiej będzie, jeśli dasz mi dla niego jakiś miły liścik.

lest taki wrażliwy, że najmniejsza drobnostka może go wypłoszyć -rzecież ściągnęliśmy go tutaj z takim trudem. Nigdy go nie mogę rnc, by przyszedł do naszego domu, zdaje mi się, że nie lubi moich Tylko twoja czarodziejska ręka potrafi ugłaskać jego nastroszo-uc piórka.

ifan ujął małą rączkę, która wysuwała się właśnie do stołu,

o dotknął jej ustami. Mała Lucy była bardzo dumna i szczęśliwa.

J owali się w tym stadium zalotów, które jest najpiękniejszym

K.SIĘGA SZÓSTA

432

okresem rozkwitu uczuć, kiedy obydwójce pewni są nawzajem swojej miłości, lecz nie zaręczyli się jeszcze oficjalnie; wszystko jest tylko przecuciem, a najbardziej pospolite

słowo, najdrobniejszy gest wy- subtelnia się w radosny dreszcz, delikatny i cudowny jak podmuch jaśminowego zapachu. Otwartość zaręczyn stępia cienkie ostrze wrażliwości: jest jak jaśmin ofiarowany w wielkim bukietcie.

- Ale to doprawdy dziwne, żeś potrafił tak celnie odgadnąć wygląd i obejście Madzi - powiedziała przebiegła Lucy wstając, by przejść do biureczka. - Przecież mogła być podobna do swojego brata, a Tomek nie ma okrągłych oczu, no i trudno powiedzieć, żeby wlepił wzrok w kogokolwiek.

- On jest chyba podobny do ojca: wygląda na dumnego jak diabli. Ale nie sądzę, żeby brylował w towarzystwie.

- Lubię Tomka. Dał mi Minny, kiedy straciłam Lola, i tatuś też go bardzo lubi. Powiada, że Tomek ma niewzruszone zasady. Przecież to dzięki niemu jego ojciec zdołał spłacić swoje długi przed śmiercią.

- Ach, tak, coś mi się obilo o uszy. Słyszałem, jak twój i mój ojciec mówili o tym niedawno po obiedzie, podczas jednej z tych nie kończących się rozmów o interesach. Mają zamiar coś tam zrobić dla młodego Tullivera: uratował ich od dużych strat wracając do domu w jakiś cudowny sposób, jak Turpin⁶, żeby im przywieźć wiadomość o zawieszeniu wypłat w jakimś banku czy coś takiego. Ale byłem wtedy trochę senny.

Stefan wstał i leniwym krokiem podszedł do pianina podśpiewując falsetem Wdzięczną towarzyszkę i przeglądając nuty Stworzenia świata¹ rozłożone na podstawce.

- Chodź i zaśpiewaj to - poprosił widząc, że Lucy wstaje.

⁶ Richard Turpin (1706-1739) - był rozbójnikiem napadającym na nych na drogach. Schwytany i powieszony w północnej Anglii, stał się legendarną postacią: podziwiano jego odwagę i szybkość działania. W wyp?w dzi Stefana o Tomku pobrzmiwa ta sama nuta ironicznego lekceważeni z jakim ten młody człowiek mówi również o pani Tulliver i Madzi, nim ją Po?

⁷ Stworzenie świata (Die Schbpfung) - oratorium Franza Josefa (1732-1809), kompozytora austriackiego wysoko cenionego w Anglii-

ROZDZIAŁ I

433

- Co? Wdzięczną towarzyszkę! To chyba nie na twój głos.

- Nic nie szkodzi, za to wspaniale odpowiada mojemu nastrojowi, a to, jak by ci Filip powiedział, jest podstawowym warunkiem dobrego śpiewu. Zauważyłem, że tego zdania są na ogół mężczyźni obdarzeni miernym głosem.

- Niedawno Filip zaczął okropnie krytykować Stworzenie świata - mówiła Lucy siadając do pianina. - Mówił, że jest w tym lukrowana błogość i pochlebny fałsz, jakby utwór został napisany na uroczystość urodzin wielkiego księcia niemieckiego.

- Och, też pomysły! Filip to upadły, zgorzkniały Adam. A my jesteśmy Adamem i Ewą w raju, przed upadkiem. No, proszę, teraz recitativo⁸ ze względu na morał. Ty będziesz śpiewała o obowiązkach kobiety: / z posłuszeństwa płynnie nie szczęście i duma.

- Och, nie będę szanowała Adama, który tak opóźnia tempo jak ty - śmiała się Lucy zaczynając duet.

Jedynie zaloty, nie wstrząsane wątpliwościami czy obawami, to zaloty, w których kochankowie mogą razem śpiewać. Poczucie wzajemnego dopasowania, płynące z faktu, że dwie głębokie niskie uty akurat we właściwym momencie spełniają oczekiwanie srebrnego 3ranu; z pełnej zgodności zniżających się tercji i kwint, z ułożonego góry miłosnego pościgu fugi - ta świadomość, według wszelkiego prawdopodobieństwa, może stłumić całkowicie chęć mniej namiętnego porozumienia. Kontralt wcale nie będzie chciał prawić nauczek Jowi, tenor nie będzie przeczuwał kłopotliwych braków tematu do anowy podczas wieczoru, spędzanego z uroczym sopranem. Zwła- za na prowincji, gdzie w owych zamierzchłych

czasach muzyka była kością, ludzie kochający muzykę nie mogli nie zakochać się w niej. Nawet sprawom politycznym groziło w podobnych okolicznościach zejście w cień - i skrzypce, wiernie zmurszałym okręgom Dorczym, musiały ulec pokusie i bratać się, wbrew zasadom, z cecitativo- (w- ' muz) - śpiew zbliżony do deklamacji, stos ' Oratonach i innych formach wokalnie- instrumentalnych.

stosowany w ope-
KSIĘGA SZÓSTA
434

z reformatorską wiolonczelą⁹. W podobnym wypadku słowiczy sopran i głęboki bas, śpiewając:

Przy tobie rozkosz zawsze nowa, Przy tobie szczęście wiecznie trwa ...
tym bardziej wierzyli w to, co śpiewali - że to śpiewali.

- A teraz wspaniała pieśń Rafaela - prosiła Lucy, kiedy skończyli duet. - Twoje "wielkie zwierzęta" to prawdziwa doskonałość.

- Brzmi to jak komplement - oświadczył Stefan spoglądając na zegarek. - Na Boga, prawie wpół do drugiej. No dobrze, zaśpiewam jeszcze to.

Z cudowną łatwością Stefan dobywał głębokie tony imitujące stąpanie wielkich zwierząt, lecz gdy śpiewak ma dwoje słuchaczy, reakcje mogą być różne. Właścicielka psa była zachwycona, lecz Minny, natychmiast, kiedy śpiew się rozpoczął, schowała się drżąc w swoim koszyku, a gdy rozległy się grzmiące tony, okazała swój stosunek do tej muzyki w sposób jednoznaczny: wyskoczyła z koszyka i uciekła pod najdalszą etażerkę. Było to dla małego psa najważniejsze miejsce do oczekiwania końca świata.

- Adieu, wdzięczna towarzyszko - żegnał się Stefan zapinając surdut, gdy skończył śpiewać, i z nieco protekcyjnym uwielbieniem uśmiechnął się z wyżyn swojego wzrostu do małej damy siedzącej przy pianinie. - Moje szczęście nie trwa wiecznie, bo muszę pędzić do domu. Obiecałem, że będę na obiedzie.

- Wobec tego nie zobaczysz się z Filipem? Ale to nic nie szkodzi, napisałam mu wszystko w liściku.

- Jutro będziesz na pewno zajęta swoją kuzynką?

⁹ reformatorska wiolonczela - żartobliwa aluzja do reformy parlamentarnej z r. 1832, która zmieniła granice okręgów wyborczych i liczbę mandatów poselskich przyznanych każdemu z nich w związku z uprzemysłowieniem wyludnianiem się wsi i wyrastaniem wielkich miast. Wywiązała się wtedy oś walka polityczna między obrońcami praw opustoszałych wsi ("zrnuśziTfflj okręgów wyborczych") do własnej reprezentacji w parlamencie a zwolennikami reformy.

ROZDZIAŁ I

435

- Tak, urządzamy małą uroczystość rodzinną. Tomek, mój kuzyn, przyjdzie do nas na obiad i biedna cioteczka będzie miała po raz pierwszy swoje dzieci razem. Będzie strasznie miło.

Ciągle o tym myślę.

- Ale mogę przyjść pojutrze?

- O, tak, przyjdź, żebym cię mogła przedstawić Madzi, chociaż trudno sobie wyobrazić, że jej nie znasz, tak świetnie ją opisałeś.

- A więc do widzenia.

Lekki uścisk rąk, krótkie spojrzenie w oczy ... Nieraz po takim pożegnaniu mała dama zostawała z rumieńcem na policzkach i uśmiechem na ustach, który nie ustępował nawet wtedy, gdy drzwi zamknęły się za wychodzącym; lubiła wówczas chodzić tam i z powrotem po pokoju, zamiast zająć się spokojnie swym haftem czy też inną rozsądną i kształcącą robotką. Taka była reakcja Lucy, a mam nadzieję, że nie będziecie uważali za dowód jej próżności, górującej nad subtelniejszymi odruchami, gdy powiem, iż spoglądała w wiszące

nad kominkiem lustro za każdym razem, kiedy koło niego przechodziła. Chęć stwierdzenia, iż człowiek przez kilka ostatnich godzin nie wyglądał jak strach na wróble, może nie mieć innych źródeł jak chwalebna życzliwość dla liźnich. Lucy zaś miała tyle życzliwości dla bliźnich, że gotów jestem 'owiedzieć, iż nawet jej drobne, egoistyczne pragnienia były nią zesycone. A są przecież ludzie, znani wam nawet, których wątłutka czliwość dla współbraci ma wyraźny i dość nieprzyjemny posmak jizmu. Nawet teraz, gdy Lucy chodzi po pokoju, a jej dziewczęce serduszko drży triumfalnie na myśl, że jest kochana przez osobę, która w jej małym światku zajmuje najważniejsze miejsce, nawet teraz zecie dostrzec w jej orzechowych oczach mieszkającą tam stale romienną, słoneczną dobroć, w której zatracają się zupełnie te łośwe i nieszkodliwe błyski osobistej próżności. Jeśli zaś jest częśliwa na myśl o swym wybranym, to dlatego, że wspomnienie mm spleta się z wszystkimi dobrymi uczuciami i czynami, którymi cy zapełnia swoje spokojne dni. Nawet teraz jej myśli biegną co Vlla innym torem, przez co wydaje nam się, że przepelniają ją ocześnie dwojakie uczucia i wrażenia; od Stefana myśl jej wybiega u Przygotowaniom, jakich nie dokończyła jeszcze w pokoju Madzi.

KSIĘGA SZÓSTA

436

Madzia będzie przyjmowana jak najdostojniejszy gość, nie, nawet lepiej, bo będzie miała w swojej sypialni najładniejsze sztychy i rysunki Lucy, a na stole najpiękniejszy bukiet wiosennych kwiatów. Ucieszy się - ona tak lubi ładne rzeczy. A biedna ciocia Tulliver, z którą nikt się nie liczy! Jakże się ona zdziwi i ucieszy, kiedy dostanie czepeczek w najlepszym gatunku i kiedy zostanie wzniesiony toast na jej cześć - w tej sprawie trzeba jeszcze wieczorem umówić się z ojcem. Jasne więc, że nie powinna sobie pozwalać na dłuższe dumania o swojej szczęśliwej miłości. Z tą myślą skierowała się ku drzwiom, ale nagle stanęła.

- Co się stało, Minny? - Pochyliła się, słysząc skowyt małego czworonoga, i uniosła jedwabistą główkę do swego różowego policzka. - Myślałaś, że pójde bez ciebie? Chodź, odwiedzimy Sindbada.

Sindbad był to kasztanek Lucy, którego zawsze karmiła z ręki, kiedy biegał po okólniku. Ogromnie lubiła karmić zależne od człowieka istoty i znała upodobania wszystkich zwierząt w domu. Rozkoszowała się cichym szmerem ziarna rozłupywanego dziobkami kanarków i cichymi zadowolonymi odgłosami skubania pewnych zwierząt, które, aby Lucy nie wydała się zbyt prymitywna, nazwę tutaj "pospolitymi gryzoniami".

Czy więc Stefan Guest nie miał racji, kiedy powziął ostateczną decyzję, że ta szczupła osiemnastoletnia panna będzie odpowiednią dlań żoną? Małżeństwa z taką dziewczyną mężczyzna na ogół nie żałuje. Jest kochająca i dbała o inne kobiety, nie składa judaszowskiecił pocałunków wypatrując przy tym z radością defektów u osób tej samej płci - wprost przeciwnie, potrafi odczuć lub dostrzec ukryte smutki i zmartwienia innych kobiet i zgotować im radość drobnymi, długo obmyślanymi przyjemnościami. Może jednak głównym przedmiotem jego uwielbienia nie były te właśnie, tak rzadkie jej zalety - może pochwalał swój własny wybór przede wszystkim dlatego, że nic w niej nie wydawało mu się uderzająco nieprzeciętne. Mężczyzna lubi, żeby jego żona była ładna; tak, Lucy była ładna, ale znowu nie oszałamiają' co ładna. Mężczyzna lubi, by jego żona była wykształcona, łagodna, czuła i niegłupia - wszystkie te cechy posiadała Lucy. Stefan nie

ROZDZIAŁ II

437

zdziwił się wcale, kiedy stwierdził, że jest w niej zakochany, i wiedział, że zrobił doskonały wybór stawiając Lucy wyżej od panny Leyburn, córki posła z ich okręgu, chociaż Lucy była tylko córką drobnego udziałowca firmy ojca. Musiał wywołać i przewyciężyć lekką niechęć i rozczarowanie swego ojca i sióstr. Ta okoliczność wielu młodym ludziom daje miłe

poczucie własnej ważności. Stefan zdawał sobie sprawę, że ma dość rozsądku i wystarczającą niezależność finansową, by wybrać sobie żonę, która da mu szczęście, i nie musi brać pod uwagę żadnych innych względów. Miał zamiar wybrać Lucy: to takie małe kochanie; ten właśnie rodzaj kobiet zawsze uwielbiał.

ROZDZIAŁ II

PIERWSZE WRAŻENIA

- Jest okropnie mądry, Madziu - mówiła Lucy. Klęczała na inalm stołeczku u stóp czarnowłosej panny, którą usadowiła w wielkim fotelu pokrytym czerwonym aksamitem.
- Bardzo mnie będzie trudno zadowolić - odparła Madzia uśmiechem, unosząc jeden z długich loków Lucy tak, by przeświecało zezeń słońce. - Młody człowiek, który wyobraża sobie, że jest dzień Lucy, powinien być poddany bardzo ostrej krytyce.
- Właściwie to on jest o wiele dla mnie za dobry. Czasem, kiedy nie ma, mówię sobie, że to przecież niemożliwe, żeby on mnie chał. Ale kiedy jest ze mną, trudno mi w to wątpić, chociaż nie losłabym, żeby ktokolwiek inny oprócz ciebie, Madziu, znał te moje

- Wobec tego porzucisz go, jeśli wydam sąd ujemny, bo przecież jesteście zaręczeni - powiedziała Madzia z żartobliwą powagą.

Och, wołałabym się w ogóle nie zaręczać. Jak ludzie się j to zaraz myślą o ślubie - odparła Lucy, zbyt skupiona na

KSIĘGA SZÓSTA

438

jednym temacie, by dostrzec żartobliwość Madzi.- Chciałabym, żeby jak najdłużej było tak, jak jest. Czasem prawie się boję, że Stefan powie, iż rozmawiał z tatusiem. A tatuś powiedział mi wczoraj coś, z czego wnoszę, że on i pan Guest oczekują tego. I siostry Stefana są teraz dla mnie takie uprzejme. Zdaje się, że z początku nie podobało im się, że Stefan okazuje mi względy - zresztą to było naturalne. To naprawdę jakoś nie pasuje, żebym ja mieszkała kiedykolwiek w takim wielkim domu jak Park House - przecież ja jestem takie małe nic.

- Ale nie wymaga się od ludzi, by ich wzrost był proporcjonalny do wielkości domu, w którym mieszkają, jak wzrost ślimaków

- roześmiała się Madzia. - Czy siostry pana Guesta to olbrzymki?

- Och, nie, i wcale nieładne ... to znaczy ... nie bardzo ładne

- Lucy czuła się niemal jak winowajczyni po tej bezlitosnej uwadze.

- Ale on jest ... w każdym razie wszyscy tak mówią ... że jest bardzo przystojny.

- Chociaż ty nie podzielasz ich zdania?

- Och, nie wiem - Lucy zaczerwieniła się aż po uszy. - Nie powinnam mówić o nim z góry za dobrze, może potem się rozczarujesz. Ale przygotowałam mu cudowną niespodziankę; jakżeż ja się będę z niego śmiała! Nie powiem, co to takiego.

Lucy wstała ze stołeczka i odeszła parę kroków, przekrzywiając na bok główkę, jakby usadziła Madzie do pozowania i oceniała teraz ogólny efekt.

- Wstań na chwilę, Madziu.

- Czegóż jeszcze sobie życzysz? - zapytała Madzia uśmiechając się słabo. Wstała z fotela i spoglądała z góry na małą eteryczną kuzyneczkę, której figurka ginęła całkowicie pod nieskazitelnym1 fałdami jedwabiu i krepy.

Przez chwilę Lucy rozważała coś w milczeniu.

- Nie wiem, dzięki jakim magicznym sztuczkom - odezwała się wreszcie - wyglądasz tak dobrze w starej odzieży, chociaż teraz ju naprawdę musisz dostać nową sukienkę. Ale wiesz, wczoraj wieczorem starałam się wyobrazić sobie ciebie w modnej sukni i rób, co chcesz, a ciągle wracała jako najstosowniejsza ta stara wyciągnięta welenK - Zastanawiam się, czy Maria Antonina nie wyglądała dostojni J

ROZDZIAŁ II

wówczas, gdy miała suknię cerowaną na łokciach¹⁰. A znowu gdybym ja włożyła na siebie coś starego, to nikt by na mnie nie zwrócił uwagi, byłabym jak zwykły łachman.

- Och, najzwyklejszy - odparła Madzia z udaną powagą. - Można by cię wymieść z pokoju z pajęczynami i kurzem z dywanów, a potem znalazłabyś się pod paleniskiem, jak Kopciuszek. Czy mogę już usiąść?

- Teraz możesz - roześmiała się Lucy. Potem jednak z powagą i namysłem odpięła swą wielką dżetową broszkę. - Ale musimy się zamienić na broszki, Madziu, ten mały motyl wygląda na tobie idiotycznie.

- Lecz czy to nie zamąci uroku mojej harmonijnej nędzy? - zapytała Madzia siadając ulegle, podczas gdy Lucy uklękła znowu

i odpinała wzgardzonego motylka. - Chciałabym, żeby moja mama była twojego zdania, bo wczoraj wieczór martwiła się, że to moja najlepsza sukienka. Musiałam oszczędzać, żeby opłacić trochę lekcji. Nigdy nie dostanę lepszej posady, jeżeli nie będę więcej umiała. Madzia westchnęła lekko.

- Proszę cię, bez tej smutnej miny - Lucy przypinała wielką szkę pod piękną szyją Madzi.- Zapominasz, że zostawiłaś ponury

pokój szkolny i nie musisz naprawiać sukienek uczennic.

- Tak - odparła Madzia. - Dzieje się ze mną to samo, co, jak ;, stanie się z biednym, nieszczęsnym białym niedźwiedziem,

fórego oglądałam na przedstawieniu. Tak ogłupieje od tego odwracanie w przód i w tył na wąskiej przestrzeni, że nie przestałby tego ić, nawet gdyby go wypuścili. Człowiek przyzwyczajają się do ładomości nieszczęścia - to złe przyzwyczajenie.

- Ale ja ci narzucę taką dyscyplinę przyjemności, że zapomnisz tamtym złym

przyzwyczajeniu - odparła Lucy, w zamyśleniu znając w kołnierzyk motylka i spoglądając z oddaniem w oczy

Madzi

aria Antonina (1755-1793) - żona Ludwika XVI, królowa Francji. W r. Więziona przez Trybunał Konstytucyjny rewolucji, stracona na gilotynie. v ur- Ks. IV, przyp. 13.)

iBN 11/234 G.Eliot:MłwnnaHPW,

440 KSIĘGA SZÓSTA

- Ach, ty kochana dziewczyno! - wybuchnęła Madzia z uwielbieniem i miłością. - Tak się cieszysz szczęściem innych, że mogłabyś się obyć bez własnego. Chciałabym być podobna do ciebie.

- Nigdy mnie los w ten sposób nie doświadczył. Zawsze byłam taka szczęśliwa. Nie wiem, czy potrafiłabym znieść wielkie nieszczęście. Przeżyłam tylko jedno - śmierć mamy. To ciebie los ciężko doświadczył, moja Madziu, a mimo to wiem, że masz tyle samo życzliwości dla ludzi, co ja!

- Nie, Lucy- Madzia wolno potrząsnęła głową. - Nie cieszę się tak jak ty szczęściem innych, bo musiałabym bardziej być wtedy zadowolona. Współczuję ludziom, jeśli cierpią, nie przypuszczam, żebym mogła kogoś unieszczęśliwić, a jednak często nie znoszę siebie samej, bo nieraz drażni mnie widok cudzego szczęścia. Myślę, że im jestem starsza, tym się staję gorsza, bardziej samolubna. To okropne.

- Madziu - powiedziała Lucy z wyrzutem - nie wierzę w ani jedno twoje słowo. Wszystko to są ponure jakieś wymysły, po prostu dlatego, że musi cię przygnębiać jednostajne, ciężkie życie.

- No więc dobrze, może i tak jest - Madzia jasnym uśmiechem przepędziła chmury ze swej twarzy i rzuciła się głęboko w fotel. - Może to skutek szkolnego jedzenia - wodnisty pudding z ryżu zaprawiony Pinnockiem¹¹. Miejmy nadzieję, że położą temu kres desery mamusi i ten czarujący Geoffrey Crayon.

11 William Pinnock był autorem podręcznika historii i geografii starożytnej Grecji dla młodszych klas (A Catechism of the History of Greece; its Geographical, Biographical and Classical, recommended to the attention of every young person, as a Knowledge of that celebrated country in its ancient state, London 1812) w tytule oznacza, że podręcznik był napisany w formie pytań i odpowiedzi i przeznaczony do uczenia się na pamięć. Próbując wytłumaczyć własną gorycz, Madzia mówi półzartem o niesmacznym jedzeniu na pełnym i przymusowym czytaniu tego typu podręczników dla pensjonarek.

ROZDZIAŁ II

441

Madzia wzięła leżące obok na stole Szkice 12.

- Czy mogę się pokazać z tą broszeczką? - zapytała Lucy podchodząc do lustra nad kominkiem, by sprawdzić ogólne wrażenie.

- Och, nie, pan Guest musiałby wyjść z pokoju, gdyby cię z nią zobaczył. Proszę cię, pośpiesz się i przypnij inną.

Lucy wybiegła z pokoju, a Madzia nie skorzystała z okazji, by otworzyć książkę, która zsunęła się jej na kolana; dziewczyna zwróciła wzrok ku oknu, za którym promienie słońca padały na gęste kępy wiosennych kwiatów i długi żywopłot laurowy ... a dalej ciągnęła się srebrna wstęga kochanej, starej Flossy, która z tej odległości sprawiała wrażenie śpiącej w świąteczny poranek. Przez otwarte okno wpadał świeży zapach z ogrodu, a rozśpiewane ptaki trzepotały w powietrzu. A mimo to oczy Madzi zaczęły napełniać się łzami. Stary, znajomy widok budził w niej wspomnienia tak bolesne, iż poprzedniego dnia radowała się przywróconą matce wygodą i życzliwością brata tylko tak, jak się człowiek cieszy z dobrych wiadomości o dalekich rzyjaciolach, a nie szczęściem, w którym sam bierze udział. Wspomnienia i wyobrażenia wyostrzyły w niej świadomość własnej biedy byt mocno, by mogła rozkoszować się tym, co jej ofiarowano na lę tylko. Bardzo możliwe, myślała, że przyszłość jej będzie jeszcze szersza niż przeszłość, bo po latach spokojnego samowyrzeczenia zbudziły się znowu pragnienia i tęsknoty. Coraz trudniej przychodziło losić smutne dni nie lubianej pracy i coraz natrętniej przed jej oczyma suwały się obrazy barwnego, pełnego wrażeń życia, za którym niła rozpaczliwie. Obudził ją dźwięk otwieranych drzwi; szybko 1

oczy i poczęła przewracać kartki książki.

shinot Crayon - pseudonim amerykańskiego pisarza- humorysty Wa-

Szki 12, Irvinga (1783-1859), bardzo wówczas poczytnego w Europie;

1/2 Sketch Book of Geoffrey Crayon, Gent., 1819- 1820) - tom

1/2 o Łowcach Irvinga. Była to najpopularniejsza pozycja w jego

1/2. Za pośrednictwem wersji francuskiej spolszczył Szkice Jan Czeczot

1/2 - 1/2 moralności i literatury albo postrzeżenia względem obyczajów,

1/2 i literatury Anglików i Amerykanów (Wilno 1830).

35

KSIĘGA SZÓSTA

442

- Wiem, Madziu, że jest coś, czemu nie oprzesz się nawet w najbardziej posępnym nastroju - mówiła Lucy już od progu. - To muzyka. Chcę ci z niej zrobić hulaszczą ucztę. Chciałabym, żebyś znowu zaczęła grać: robiłaś to przecież o wiele lepiej ode mnie, kiedy byliśmy w Laceham.

- Śmiałybyś się widząc, jak grałam w nieskończoność różne bzdurki dla dzieci, kiedy miałam ćwiczenia z dziewczynkami - mówiła Madzia. - Chciałam choćby dotknąć tych kochanych

klawiszy. Ale nie wiem, czy potrafiłabym dziś zagrać coś trudniejszego niż Żegnajcie, troski!

- Pamiętam, w jaką szaloną radość wpadałaś, kiedy przychodzili wędrowni śpiewacy -

mówiła Lucy zabierając się do swojego haftu. - Moglibyśmy śpiewać wszystkie te stare

pieśni, które tak bardzo lubiłaś, gdybym tylko wiedziała, że do pewnych spraw podchodzisz inaczej niż Tomek.

- Zdawało mi się, że trudno być czegoś bardziej pewną - odparła Madzia ze śmiechem.
- Powinam była powiedzieć: jednej szczególnej sprawy. Bo jeśli masz na nią taki sam pogląd jak Tomek, będzie nam brakowało naszego trzeciego głosu. St. Ogg's jest bardzo ubogie w muzycznych mężczyzn. Właściwie są tylko Stefan i Filip Wakem, którzy znają się na muzyce na tyle, by móc śpiewać solowe partie.

Wymawiając ostatnie zdanie Lucy spojrzała znad swej robótki i zobaczyła, że Madzia mieni się na twarzy.

- Czy boli cię wspomnienie tego nazwiska? Jeśli tak, nie wynue" nię go więcej. Wiem, że Tomek, jeśli może, stara się nie spotykać z Filipem.

- Mam w tej sprawie zupełnie inne zdanie niż Tomek - odparła Madzia wstając i podchodząc do okna, jakby chciała obejrzeć rozpościerający się za nim widok. - Zawsze lubiłam Filipa Wakema, odkąd przyjechałam jako mała dziewczynka do Lorton. Taki by dobry, kiedy Tomek zranił sobie nogę.

- Och, tak się cieszę! - zawołała Lucy. - Wobec tego nie będziesz przeciwna jego wizytom od czasu do czasu. Będziemy mog

ROZDZIAŁ II

443

śpiewać z nim o wiele więcej utworów niż bez niego. Bardzo lubię biedaka, tylko chciałabym, żeby nie był taki chorobliwie przewrażliwiony na temat swojego kalectwa. Wydaje mi się, że właśnie przez to kalectwo jest taki smutny i czasem zgorzkniały. Rzeczywiście, litość czasem bierze, jak się patrzy na to biedne, garbate ciało i bladą twarz wśród wysokich, mocnych ludzi.

- Ale, Lucy ... - Madzia starała się przerwać ten potok szczebiotu.

- Och, dzwonek. To pewno Stefan! - ciągnęła Lucy nie zauważywszy nawet, że Madzia próbuje coś powiedzieć. - On jest największym przyjacielem Filipa. Za takie rzeczy najbardziej go podziwiam.

Za późno już było, by Madzia mogła mówić. Drzwi salonu otworzyły się, a Minny zaczęła warczeć z cicha na wysokiego mężczyznę, który podszedł do Lucy i ujął jej rękę z uprzejmym i czułym jednocześnie spojrzeniem, a ton, jakim ją zagadnął o zdrowie, wskazywał, że nie zdaje sobie sprawy, iż w pokoju jest jeszcze ktoś trzeci.

- Pozwól, że cię przedstawię mojej kuzynce, pannie Tulliver - mówiła Lucy, z szatańską uciechą zwracając się ku Madzi, która

właśnie zbliżała się od dalszego okna. - To jest pan Stefan Guest. Przez chwilę Stefan nie mógł ukryć zdumienia na widok tej rainookiej nimfy z diademem kruczych włosów. W następnej chwili idzia po raz pierwszy w życiu uczuła, że został jej oddany hołd

postaci mocnego rumieńca i bardzo niskiego ukłonu od osoby, stosunku do której sama czuła nieśmiałość. To nowe przeżycie było jej wcale miłe - tak miłe, że prawie zmazało poprzednie, wywołane

teniem Filipa. Oczy jej zabłysły nowym blaskiem, a policzki oblał lieniec, w czym było jej zresztą do twarzy. Usiadła. "- Przypuszczam, że zauważyłaś ładzące podobieństwo do portre- jaki rysowałaś przedwczoraj - śmiała się triumfalnie Lucy. uszyło ją zmieszanie Stefana: zwykle on bywał górą.

Pani sprytna kuzyneczka oszukała mnie podstępnie - mówił an siadając koło Lucy i pochyłając się, by droczyć się z Minny; ladał przy tym na Madzie ukradkiem. - Powiedziała, że ma pani jasne włosy i niebieskie oczy.

KSIĘGA SZÓSTA

444

- Nie, to ty tak powiedziałeś - poprawiła go Lucy. - Ja tylko powstrzymałam się od uwag, nie chcąc niszczyć twej wiary we własne zdolności przewidywania.

- Pragnąłbym zawsze myśleć się w ten sposób - odparł Stefan

- i zobaczyć, że rzeczywistość jest o tyle piękniejsza niż moje wyobrażenia.

- Znalazł się pan na poziomie, jakiego wymagały okoliczności

- stwierdziła Madzia - i powiedział to, co powinien przy tej okazji.

Rzuciła mu spojrzenie nieco wyzywające; jasne, że musiał uprzednio rysować jej karykaturalny portret. Lucy mówiła, że on jest skłonny do drwin, a Madzia uzupełniła to jeszcze natychmiast: "i do zarozumiałstwa".

"Ma diablika, i to nie byle jakiego" - taka była pierwsza myśl Stefana. Następna, kiedy Madzia pochyliła się nad robótką: "Chciałbym, żeby jeszcze raz na mnie spojrzała". Potem odpowiedział:

- Wydaje mi się, że każdy komplement może od czasu do czasu zawierać prawdę. Czasem człowiek jest istotnie wdzięczny, kiedy mówi "dziękuję". Nawet mu przykro, że musi używać tego samego słowa, za pomocą którego na całym świecie odmawia się niemiłemu zaproszeniu na obiad. Czy jest pani tego zdania?

- Nie - odparła Madzia patrząc na niego wprost, jak to zawsze czyniła. - Zwykle słowa używane w wielkich chwilach robią większe wrażenie, bo od razu się czuje, że ich znaczenie jest szczególne, jak stara chorągiew czy zwykle ubranie powieszony w świętym jakimś miejscu.

- Wobec tego mój komplement powinien wiele mówić - odparł Stefan, nie bardzo zdając sobie sprawę ze swych słów, gdy Madzia nań patrzyła - zważywszy, iż słowa tak nie dorastały do okazji.

- Żaden komplement nie może wiele mówić, chyba że jest wyrazem obojętności - odparła Madzia czerwieniąc się nieco.

Lucy była przerażona. Stefan i Madzia chyba nie będą się lubić. Zawsze się obawiała, by Madzia nie wydała się zbyt dziwna i mądra temu wymagającemu panu.

ROZDZIAŁ II

445

- Ależ Madziu - przerwała - zawsze udawałaś, że lubisz być podziwiana, a teraz jesteś zła, chyba dlatego, że ktoś ośmielił ci się to okazać.

- Nic podobnego - powiedziała Madzia. - Aż nadto lubię świadomość, że jestem podziwiana, lecz komplementy nic dają mi nigdy tego wrażenia.

- Wobec tego nigdy już nie powiem pani komplementu - obiecał Stefan.

- Dziękuję panu. To będzie dowód szacunku.

Biedna Madzia! Tak była nieprzywykła do towarzystwa, że nie potrafiła niczego brać zwyczajnie, a słowa jej nigdy w życiu nie płynęły tylko z warg. Musi się teraz wydawać śmieszna bardziej wyrobionym damom, bo zbyt mocno przeżywa najbłahsze nawet zdarzenia. Lecz nawet ona była teraz świadoma pewnej śmieszności całego zajścia. Prawda, że miała teoretyczne zastrzeżenia do komplementów i powiedziała kiedyś ze złością Filipowi, że nie rozumie, dlaczego trzeba pleść kobietom, że są piękne, a starym mężczyznom - że są czcigodni. Mimo to na pewno nierozsądnie było tak się irytować zwykłym komplementem, i to wypowiedzianym przez obcego, czy przejmować się, że z niej żartował, kiedy jej jeszcze nie znał. Toteż po chwili Madziabiło się wstyd. Nie przyszło jej do głowy, że złość była skutkiem tikiem miłego uprzedniego przeżycia; podobnie dzieje się wtedy, 'dy czujemy rozgrzewające nas rozkoszne ciepło i nagle, przypadłem, spada na nas kropla zimnej wody; odczuwamy ją jak smagnięcie bicia.

Stefan był zbyt dobrze wychowany, by nie zdać sobie sprawy, że ta zmowa mogła dziewczynę wprawić w zakłopotanie, toteż natychmiast przeszedł na tematy obojętne pytając Lucy, czy nie wie, kiedy

pędzie się bazar¹³, gdyż dopiero po nim będzie mógł ewentualnie azar - - tu: jednorazowa wyprzedaż ofiarowanych na jakiś cel dobroczynnych m'otów użytkowych i ozdobnych drobiazgów, w większości wykona- Przez P.atne współdziałające w realizacji tego celu. Dzień bazaru był też okazją do towarzyskich spotkań.

KSIĘGA SZÓSTA

446

zobaczyć, jak obdarza swym spojrzeniem przedmioty bardziej wdzięczne niż te kwiaty z sukna, które wykwitają teraz spod jej palców.

- Gdzieś w przyszłym miesiącu - odparła Lucy. - Ale twoje siostry robią o tyle więcej niż ja! Będą miały o wiele większe stoisko.

- No tak, ale one pracują nad swoimi wyrobami u siebie w saloniku, gdzie ja im nie przeszkadzam. Widzę, że pani nie uległa modnej pokusie robótek ręcznych - zwrócił się do Madzi widząc, że robi jakiś zwykły obrąbek.

- Nie - odpowiedziała Madzia. - Nie potrafię uszyć nic bardziej skomplikowanego czy eleganckiego niż koszula.

- Twój zwykły ścieg jest tak śliczny - oponowała Lucy - że chyba poproszę cię o parę drobiazgów, które wystawię jako robótki ręczne. Zupełna to dla mnie tajemnica to twoje śliczne szycie - przecież nigdy w dawnych czasach nie lubiłaś tego rodzaju zajęć.

- Mogę ci łatwo wytłumaczyć tę tajemnicę - Madzia spokojnie podniosła głowę. - Zwykle szycie było dla mnie jedynym źródłem zarobku, musiałam więc jąć się tej roboty i wykonywać ją dobrze.

Chociaż Lucy była prosta i dobra, zaczerwieniła się jednak lekko. Nie chciała właściwie, żeby Stefan o tym wiedział ... Madzia nie powinna była tego mówić. Może w tym wyznaniu było trochę dumy: dumy biedy, która nie ma zamiaru wstydzić się samej siebie. Lecz gdyby Madzia była królową kokietek, nie mogłaby wymyślić lepszego sposobu, by w oczach Stefana dodać pikanterii swej urodzie. Nie przypuszczam, by bieda i zwykły ścieg wywołały same w sobie ten efekt, ale w połączeniu z urodą Madzi sprawiły, że teraz, jeszcze bardziej niż na początku, stała się niepodobna do innych kobiet.

- Ale umiem robić na drutach - ciągnęła Madzia. - Może to się przyda na twój bazar.

- Och, oczywiście. Jutro zaprzęgnę cię do pracy nad czerwoną włóczką. Twoja siostra jest osobą godną zazdrości - Lucy znowu zwróciła się do Stefana. - Żeby mieć taki talent do modelowania- Robi cudowne popiersie pastora Kenna, zupełnie z pamięci.

ROZDZIAŁ II

447

- A czy to trudne? Byle tylko nie zapomniała umieścić oczu blisko siebie, a kącików ust szeroko, i wszyscy w St. Ogg's powiedzą, że to łudzająca podobizna.

- Bardzo to nieładnie z twojej strony - Lucy wyglądała na urażoną. - Nie myślałam, że będziesz się wyrażał bez szacunku o pastorze Kenn.

- Mówiłem bez szacunku o pastorze Kenn? Wielkie nieba! Nie potrzebuję chyba mieć szacunku do jego karykaturalnego popiersia. Uważam pastora Kenn za jednego z najwspanialszych ludzi na świecie. Nie poczytuję mu za zbyt wielką zasługę tych wysokich świec, które postawił na ołtarzu do komunii świętej i nie chciałbym psuć sobie humoru wstawianiem każdego ranka o świcie na pacierze¹⁴. Ale to jest jedyny człowiek, znany mi osobiście, który w moim pojęciu ma w sobie coś z prawdziwego apostoła. Człowiek, który dostaje osiemset funtów rocznie¹⁵, a zadowala się sosnowymi meblami i gotowaną wołowiną, bo oddaje innym dwie trzecie swoich dochodów! Jak wspaniale postąpił biorąc do siebie tego małego biedaka, Grattana, óry zastrzelił przez przypadek własną matkę! Poświęca

mu więcej, niżby się na to zdobył ktoś obarczony mniejszymi obowiąz-

Z uwag Stefana można wnosić, że pastor Kenn jest jednym z intelektu-

ow związanych z ruchem odnowy anglikanizmu, tzw. Ruchem Oxfordzkim

Jxford Movement), zapoczątkowanym w r. 1833 przez kilku wybitnych townych, profesorów Oxfordu. Ruch ten nawiązywał do tradycji wprowadzenia rytuału i więcej liturgii chrześcijańskiej, zarzuconej w XVII w. pozostałości związków z Rzymem. Do tego odnosi się zapewne uwaga o "wysokich świecach", które w polskim przekładzie pastor "postawił na stole komunijnym" ("on the communion table"). Konieczne jest tu wyjaśnienie, że w Kościele anglikańskim ołtarz został usunięty w r. 1549 (pastor wędrował odtąd modłami wiernych z ambony), a jego miejsce zajął stół kamienny, na którym zwykle znajdował się tylko krzyż; świeczniki ze świecami dodane przez pastora Kenna, świadczą o jego próbie ożywienia liturgii z okresu przed reformacją.

W tym czasie - była to na owe czasy suma bardzo znaczna, w wielu parafiach bowiem proboszcz otrzymywał od stu do dwustu funtów rocznie, a w niektórych - darowały się też kościoły, w których warunki były jeszcze skromniejsze.

KSIĘGA SZÓSTA

448

Widzę, że zabiera go ze sobą wszędzie.

- Jakże to piękne - Madzia przysłuchiwała się temu z żywą uwagą, a robótka osunęła się jej na kolana. - W życiu nie słyszałam czegoś podobnego.

- A tego rodzaju uczynki Kenna budzą o tyle większy podziw - ciągnął Stefan - że jest na ogół surowy i chłodny. Nie ma w nim nic lukrowanego i sentymentalnego.

- Moim zdaniem to zupełny ideał! - zawołała Lucy z wdzięcznym entuzjazmem.

- Nie, tu się z tobą nie zgadzam - Stefan potrząsnął głową z drwiącą powagą.

- Powiedz, proszę, jaką w nim widzisz wadę?

- Jest anglikaninem.

- To chyba właściwe poglądy, o ile mi wiadomo - odparła Lucy z powagą.

- Tak wyglądają sprawy w teorii - mówił Stefan - ale nie z parlamentarnego punktu widzenia.

Poróżnił dysydentów z anglika - namiar, a przyszły poseł, taki jak ja, którego usług kraj potrzebuje ogromnie, musi to uznać za rzecz niekorzystną, jeśli ma zamiar ubiegać się o zaszczyt reprezentowania St. Ogg's w Parlamencie.

- Naprawdę myślisz o tym? - Oczy Lucy rozbłysły dumą i radością, a zainteresowanie anglikanizmem natychmiast poszło w kąty.

- Zdecydowanie, natychmiast, kiedy poczucie obowiązków obywatelskich i podagra każą ustąpić staremu panu Leyburn. Ojciec się uparł w tym względzie, a sama rozumiesz, że takie zalety jak moje tu Stefan wyprostował się i z żartobliwym uwielbieniem przeciągnął szerokimi dłońmi po włosach - takie zalety jak moje pociągają, za

Poróżnił dysydentów z anglikanami - było to prawdopodobnie wprowadzenie przez Kenna rytuału chrześcijańskiego w swym koście obrażało surowe pojęcia niektórych sekt protestanckich, niechętnych wszykiemu, co wyglądało na zapożyczenie z Rzymu.

ROZDZIAŁ II

449

sobą wielką odpowiedzialność. Czy nie jest pani tego zdania, panno Tulliver?

- Oczywiście - odparła Madzia śmiejąc się, lecz nie podnosząc oczu. - Taka łatwość wysłowienia i pewność siebie nie powinny się marnować jedynie w prywatnych rozmowach.

- Och, widzę, że pani potrafi przejrzeć ludzi - mówił Stefan. - Od razu dostrzegła pani, że jestem gadatliwy i arogancki. Ludzie powierzchowni nie zauważają tego, prawdopodobnie dzięki moim manierom.

- "Nie patrzy na mnie, kiedy mówię o sobie - myślał, podczas gdy słuchaczki śmiały się serdecznie. - Muszę zmienić temat".

Czy Lucy ma zamiar przyjść na zebranie Klubu Książki w przyszłym tygodniu? Takie było następne pytanie. Potem zalecił jej, by wzięła Życie Cowpera Southeya¹⁷, chyba że ma zamiar zająć się filozofią i straszyć damy St. Ogg's głosując za jednym z Traktatów Bridgewater'skich¹⁸. Oczywiście Lucy pragnęła się dowiedzieć, co to za przerażająco mądre książki. Przyjemnie zaś jest kształcić umysły dam prawiąc im do woli o sprawach, o których nic a nic nie wiedzą. Stefan ryłował rozprawiając o Traktacie Bucklanda¹⁹, który właśnie był czytał. Zobaczył w nagrodę, jak Madzia opuszcza powoli robótkę kolana, ze szczętem pochłonięta cudowną opowieścią geologiczną; rzy na niego, pochylona, ze złożonymi rękami, głucha na wszystko ..Southey (1774-1843) - niezmiernie płodny poeta romantyczny, 13 oficjalny poeta dworu królewskiego. Prócz poematów pozostawił też biografie. Wspomniana tu biografia poety XVIII wieku, Williama era, jego pióra, ukazała się w l. 1833-1837 wraz z pełnym wydaniem -8ou?W zmarfego, była więc właśnie nowością.

r. 1829 Francis Henry Egerton, Earl of Bridgewater, pozostawił osiem y funtów na nagrody dla autorów kolejnych dzieł "o potędze, mądrości i boskiej przejawiającej się w przyrodzie". Tak powstały Traktaty Kerskie (Bridgewater Treatises), wydane w ośmiu tomach w l.

i H Buckland(1784-1856) - jeden z autorów Traktatów Bridgewa- , był geologiem i teologiem, a także pierwszym wykładowcą mineralogii

KSIĘGA SZÓSTA

450

inne, jakby był starym zatabaczonym profesorem, a ona gołowąsym alumnem. Urzekało go to jasne, szerokie wejrzenie i w pierwszych chwilach zapominał spoglądać od czasu do czasu na Lucy, ale ona, kochane dziecko, cieszyła się tylko, że Madzia widzi, jaki Stefan jest mądry, no i że mimo wszystko chyba się jednak polubią.

- Przyniosę pani tę książkę, dobrze? - zapytał Stefan czując, że strumień jego wspomnień zaczyna wysychać. - Jest w niej dużo ilustracji, które na pewno obejrzy pani z przyjemnością.

- Och, dziękuję - Madzia ocknęła się nagle i zalała rumieńcem biorąc znowu robótkę do ręki.

- Nie, nie - oponowała Lucy. - Zabraniam ci wciągać Madzie w książki. Nigdy jej od nich nie oderwę, a chcę, żeby się tu rozkoszowała lenistwem, pływała łódką, gadała, jeździła konno i powozem - takiego odpoczynku potrzebuje.

- A propos - tu Stefan spojrział na zegarek. - Może wyjdziemy teraz i popłyniemy trochę łódką po rzece? Odpływ zniesie nas do Tofton, a wrócić możemy piechotą.

Madzia z zachwytem przyjęła propozycję, bo od lat już nie była na rzece. Kiedy poszła włożyć kapelusik, Lucy została, by wydać rozporządzenie służącej i wykorzystwała okazję, by powiedzieć Stefanowi, że Madzia nie ma nic przeciwko spotkaniu z Filipem, tak więc niepotrzebnie wysłała mu przedwczoraj tę karwę. Ale jutro napisze do niego list z zaproszeniem.

- Zajdę do niego jutro i przyprowadzę go tutaj wieczorem, dobrze? Moje siostry będą ci chciały złożyć wizytę, kiedy im powiem, że przyjechała do ciebie kuzynka, tak więc jutro przed południem muszę im zostawić wolne pole. n

- Och, tak, przyprowadź go, proszę. I polubisz Madzie, prawda- - dodała Lucy błagalnie. -

Czy to nie kochane, szlachetne stworzenie?

- Za duża - uśmiechnął się Stefan ze swej wysokości - i troc za bardzo ognista. Nie mój typ. Panowie, widzicie, skłonni są zwierzać się damom, że maj niepochlebną opinię o ich pięknych siostrzyczach. Stąd właśnie

ROZDZIAŁ II

wiele kobiet dowiaduje się ze zdumieniem, że w gruncie rzeczy są odrażające dla mężczyzn, którzy z całym samozaparciem wyznają im swoją płomienną miłość. A trudno byłoby znaleźć coś bardziej charakterystycznego dla Lucy niż fakt, że jednocześnie uwierzyła Stefanowi bez zastrzeżeń i postanowiła, że Madzia nie dowie się tego, co powiedział. Lecz wy, kierując się większą niż słowa logiką, domyśliliście się na pewno, iż Stefan w wyniku tej niepochlebnej o Madzi opinii będzie szedł do składziku na łódki przewidując, wspomagany żywą wyobraźnią, iż w konsekwencji jego miłego projektu Madzia będzie musiała podać mu rękę co najmniej dwukrotnie. Nadto zaś był świadom, że mężczyzna, który pragnie, by panie na niego patrzyły, ma doskonałą po temu pozycję, kiedy wiezie je łódką. Cóż więc się stało? Czyżby zakochał się od pierwszego wejrzenia w tej niezwykłej córce pani Tulliver? Z pewnością nie. Takie rzeczy nie zdarzają się w życiu. Poza tym, był już przecież zakochany i prawie aręczony z najmiłszym stworzeniem pod słońcem - a Stefan nie był łowikiem zdolnym się ośmieszać w jakikolwiek sposób. Ale kiedy łowiek ma dwadzieścia pięć lat i nie jest przecież z żelaza, trudno mu zostać zupełnie obojętnym wobec ładnej dziewczyny. Podziwianie ętkości i radość z jej widoku to rzecz najzupełniej naturalna ugroźna, przynajmniej w takich jak obecnie warunkach. I dopraw- tej dziewczynie jest coś piekielnie interesującego- te jej kłopoty, eda! Przyjemnie patrzeć na przyjaźń między dwiema kuzyneczka- Na ogół Stefan - sam to przyznawał - nie lubił kobiet o jakichś - zwykłych cechach charakteru, ale tutaj ta niecodziennosc była coby wyższego rzędu. Założywszy zaś, że z taką kobietą nie trzeba się - no cóż - będzie pewna odmiana w życiu towarzyskim, ladzia nie spełniła nadziei Stefana i przez pierwszy kwadrans nie rżała na niego: oczy jej chłoneły widok starych brzegów, tak jej znanych. Czula się taka samotna - rozłączyli ją z Filipem, iyni człowiekiem, który kochał ją zawsze z takim oddaniem, l pragnęła być kochaną. Lecz przyciągnął teraz jej uwagę y rytm wiosel i pomyślała sobie, że chciałaby się nauczyć lować łodzią. To wyrwało ją z marzeń i zapytała, czy może

452 KSIĘGA SZÓSTA

spróbować wiosła. Okazało się, że to wymaga intensywnej nauki, ona zaś była ambitna.

Wysiłek zaróżowił jej policzki- i postanowiła lekcję brać na wesoło.

- - Będę zadowolona dopiero wtedy, kiedy nauczę się posługiwać dwoma wiosłami i będę wiozła Lucy i pana - mówiła żywo, wychodząc z łodzi.

Jak wiemy, Madzia potrafiła zapomnieć o tym, co robi, i wybrała na tę uwagę nieodpowiedni moment - noga jej się pośliznęła; na szczęście pan Stefan Guest trzymał pannę za rękę i podparł mocnym ramieniem.

- Nie skaleczyła się pani, mam nadzieję?- zapytał pochylając się ku niej niespokojnie. Jak to przyjemnie czuć taką miłą, wdzięczną opiekę kogoś o tyle wyższego i mocniejszego! Madzia nigdy jeszcze nie doświadczyła tego uczucia.

Kiedy wrócili do domu, zastali tam wujostwo Pullet, którzy siedzieli w salonie z panią Tulliver. Stefan uciekł szybko, prosząc o pozwolenie przyjścia wieczorem.

- I przynieś, proszę, ten tom Purcella²⁰, który zabrałeś - prosiła Lucy. - Chciałabym, żeby Madzia usłyszała te pieśni, które najładniej śpiewasz.

Ciocia Pullet, nabrawszy pewności, że Madzia będzie zapraszana razem z Lucy, może nawet do Park House, przeraziła się nędznym stanem jej garderoby, która w wielkim świecie St.

Ogg's przyniesie wstyd rodzinie. Była to sprawa wymagająca szybkiej i praktycznej interwencji. Nastąpiła narada, co będzie najodpowiedniejsze spośród zbytecznych rzeczy w garderobie pani Pullet, w której to naradzie zarówno Lucy, jak i pani Tulliver brały żywy udział. Doprawdy, Madzia musi jak najszybciej dostać suknię wieczorową, a przecież jes tego samego wzrostu, co ciocia Pullet.

- Ale o tyle ode mnie szersza w ramionach ... to fatalnie- mówiła ciocia - bo mogłaby włożyć tę moją piękną czarną brokatową suknię

20 Henry Purcell (1658-1695) - jeden z największych angielskich, o uznanej już za życia randze, pochowany w Westminster

ROZDZIAŁ II

453

bez najmniejszych przeróbek. Jej ramiona przechodzą wszelkie wyobrażenia - dodała z zalem pani Pullet unosząc krągłe, jędrne ramię Madzi. - Nigdy nie wciśnie na siebie moich rękawów.

- Och, ciociu, to nic nie szkodzi. Niech nam ciocia przyśle tę suknię - mówiła Lucy. - Myślę, że Madzia nie powinna nosić długich rękawów, a mam masę czarnej koronki do przybrania. Jej ramiona będą ślicznie wyglądać.

- Madzia ma bardzo kształtne ramiona - mówiła młynarzowa. - Ja miałam takie same, tylko że nie takie ciemne. Wolałabym, żeby odziedziczyła cerę po naszej rodzinie.

- Nonsens, cioteczko - oponowała Lucy gładząc jej ramię - ciocia się zupełnie na tym nie zna. Każdy malarz uznałby, że Madzia ma piękny kolor skóry.

- Być może, być może - mówiła pani Tulliver ulegle. - Ty wiesz lepiej niż ja. Tylko, kiedy ja byłam młoda, nie uchodziło w przyzwoitych domach mieć takiej cery.

- Ma szwagierka rację - wtrącił pan Pullet, który ssał pastylki z zainteresowaniem przysłuchiwał się rozmowie pań. - Chociaż była ika piosenka o Dziewczynie ciemnej jak orzech²¹. Zdaje się, że ona była przyglupia, ta dziewczyna - tak, głupia Kasia - ale nie pamiętam dokładnie.

- Ojej! - Madzia śmiała się, trochę zniecierpliwiona. - Tak się Kończy sprawa i z moją śniadą skórą, jeżeli zawsze będzie się tyle o niej mówiło.

anooi Zlewczyzna ciemna jak orzech {The Nut- Brown Maid) - tytułowa postać rumowego poematu z XV w., sławiącego wierność kobiety. Poemat i6 się wśród blld bh bik Th P' g poematu z XV w., sławiącego wierność kobiety. Poemat onuhri.6 się wśród ballad zebranych przez biskupa Thomasa Percy'ego, LuouKowaných w r. 1765 jako Reliaques of Ancient English Poetry (Skarby Poezji angielskiej). -

KSIĘGA SZÓSTA ROZDZIAŁ III

ZWIERZENIA

454

Tego wieczoru, kiedy Madzia wróciła do sypialni, nie miała wcale ochoty iść do łóżka. Postawiła świecę na pierwszym z brzegu stoliku i zaczęła spacerować po swoim obszernym pokoju. Mocne jej, rytmiczne i dosyć szybkie kroki wskazywały, że spacer ten jest jakimś instynktownym wyładowaniem silnych emocji. Oczy jej i policzki płonęły jak w gorączce; głowę odrzuciła do tyłu, ręce splotła dłońmi na zewnątrz, a napięcie mięśni wskazywało, jak bardzo jest pochłonięta myślami.

Czyżby zaszło coś niezwykłego?

Przecież wszystko, co się stało, uznalibyście na pewno za wydarzenia małej wagi. Słyszała piękną muzykę w wykonaniu pięknego basu - lecz pieśni śpiewane były po amatorsku, jak to bywa na prowincji, a znawca na pewno zgłosiłby wiele zastrzeżeń co do ich wykonania. Miała też świadomość, iż spoglądano na nią często, raczej ukradkiem, spod wyraźnie zaznaczonych brwi, a spojrzenie to wywierało, jakby od śpiewu zapożyczone, przejmujące wrażenie. To wszystko przeszłoby niepostrzeżenie u bardzo wykształconej młodej damy o zrównoważonym usposobieniu, która miałaby takie atuty, jak majątek, wychowanie i obycie towarzyskie. Lecz gdyby Madzia była taką młodą damą, nie wiedzielibyście prawdopodobnie nic o niej: w życiu jej zaszłoby tak niewiele zmian, że nie byłoby o czym pisać, bowiem najszcześniejsze kobiety, jak najszcześniejsze narody - nie mają historii.

Chłonna, wrażliwa natura biednej Madzi, przebywającej do niedawna w trzeciorzędnej szkole, gdzie życie toczyło się hałaśliwie w kółko tym samym torem, sprawiła, że te,

wydawałoby się, błahe wypadki pobudziły i zelektryzowały jej wyobraźnię w sposób, który dla samego dziewczęcia pozostawał tajemnicą. Wcale zresztą nie myślała o panu Stefanie Guest i nie rozpamiętywała jego pełnych podziwu spojrzeń lecz czuła, że gdzieś nie bardzo daleko istnieje świat młodości, i

ROZDZIAŁ III

455

i rozkoszy, utkany z mglistych, pomieszanych obrazów wszystkich wierszy i romansów, jakie kiedykolwiek czytała czy też jakie tworzyła w swoich sennych marzeniach. Kilkakrotnie myśli jej wracały do czasów, kiedy karmiła się wyrzeczeniem, kiedy miała wrażenie, że wszelkie tęsknoty i niepokoje zostały zdławione - lecz teraz zdawało się, że tamten okres minął bezpowrotnie, a ona wzdraga się na samą myśl o nim. Ani modlitwy, ani walki wewnętrzne nie przywrócą jej tego negatywnego spokoju. Walka jej życia nie zakończy się tak szybko i prosto, całkowitym wyrzeczeniem w samej wiosnie życia. Muzyka pulsowała w niej jeszcze - muzyka Purcella, fantastyczna, pełna dzikiej namiętności, i Madzia nie mogła trwać we wspomnieniach swej samotnej, surowej przeszłości. Znajdowała się znowu w jasnym, czarodziejskim świecie wyobraźni, kiedy rozległo się ciche pukanie do drzwi. Była to oczywiście jej mała kuzyneczka, która weszła w szerokim, białym szlafrocuku.

- Ach, Madziu, ty nieznośna, jeszcze się nie zaczęłaś rozbierać?

- Lucy była zdumiona. - Postanowiłam nie przychodzić tutaj i nie rozmawiać z tobą, bo myślałam, że jesteś pewno zmęczona. A tu, -sę, siedzisz sobie, jakbyś się szykowała na bal. No, wkładaj szlafroczek i rozpleć warkocze.

- Cóż, ty też nie jesteś całkiem gotowa do snu - Madzia sięgnęła oko po różowy, bawełniany szlafroczek, spoglądając na jasnobrązowe włosy Lucy zszczotkowane w niedbałych lokach do tyłu.

- Och, już mi niewiele pozostało. Usiądę sobie tutaj i pogadam bą, póki się nie przekonam, że naprawdę idziesz do łóżka.

Jadzia wstała i zaczęła rozplatać długie, czarne warkocze na tle swojej bawełny szlafroka, a Lucy usiadła przy toalecie i spoglądała kuzynkę oczyma pełnymi przywiązania, głowę przekrzywiając 5" jak mały ładny spaniel. Jeżeli wydaje się wam niemożliwe, by w iobnej sytuacji młode panny zaczęły wzajemne zwierzenia, to zcie, proszę, iż życie ludzkie pełne jest niespodzianek.

Przyjemnie ci było słuchać dzisiaj muzyki, prawda, Madziu?

Och, to właśnie rozprasza moją senność. Wydaje mi się, że nie loym już żadnych ziemskich pragnień, gdybym mogła często

36 BN H/234 G.Eliot: Młyn nad Flossą

KSIĘGA SZÓSTA

456

słuchać muzyki. Ona wlewa mi siłę w członki i myśli do głowy. Kiedy przepelnia mnie muzyka, życie, zdałoby się, idzie bez najmniejszego wysiłku. Kiedy jej nie słyszę, czuję zawsze leżący na ramionach ciężar.

- A Stefan ma wspaniały głos, prawda?

- No cóż, żadna z nas nie jest po temu odpowiednim sędzią

- Madzia usiadła i ze śmiechem odrzuciła do tyłu swoje długie włosy.

- Ty nie jesteś bezstronna, a dla mnie każda katarynka brzmi cudownie.

- Ale powiedz mi, co o nim myślisz. Powiedz mi wszystko: i dobre, i złe.

- Och, wydaje mi się, że powinnaś jednak nauczyć go trochę pokory. Wielbiciel nie powinien być taki pewny siebie, taki swobodny. Powinien trochę drżeć ze strachu.

- Co też ty mówisz, Madziu! Jakby ktoś mógł drzeć przede mną! Jak z tego widzę, uważasz, że jest zarozumiały. Ale nie czujesz do niego niechęci, prawda?

- Niechęci? Nie. Czy myślisz, że tylu widuję uroczych ludzi, iż trudno mnie zadowolić? A poza tym, jakbym mogła być niechętna komuś, kto ma cię uczynić szczęśliwą, moja ty kochana - tu Madzia uszczypnęła Lucy w policzek ozdobiony małym dołeczkiem.

- Jutro wieczorem będziemy mogli więcej śpiewać - mówiła Lucy, rozpromieniona - bo Stefan przyprowdzi ze sobą Filipa Wakema.

- Och, Lucy, ja go nie mogę spotkać - Madzia aż pobladła.

- W każdym razie nie mogę się z nim spotkać bez zgody Tomka.

- Więc z Tomka taki tyran? - Lucy była zdziwiona. - Wobec tego niech to spadnie na mnie. Powiedz mu, że to moja wina.

- Ale, Lucy - głos Madzi drżał - ja obiecałam Tomkowi- przysięgłam mu uroczyście ... przed śmiercią tatusia ... obiecałam mu że bez jego wiedzy i zgody nie będę mówiła z Filipem. I boję się, że jeże i poruszę ten temat w rozmowie z Tomkiem, to ... się znowu pokłóciniy;

- W życiu nie słyszałam czegoś tak dziwnego i niemądrego. C- 0 złego mógł zrobić biedny Filip? Czy mogę porozmawiać o ty z Tomkiem?

ROZDZIAŁ III

457

- Och, nie, proszę cię, nie! Pójdę do niego jutro rano i powiem mu, że chcesz, by Filip tu przyszedł. Już dawno chciałam prosić go o zwolnienie mnie z tej obietnicy, ale brakło mi odwagi. Przez chwilę siedziały obie w milczeniu, aż wreszcie Lucy rzekła:

- Madziu, masz jakieś tajemnice przede mną, a ja przecież nic przed tobą nie skrywam. Madzia siedziała zamyślona, nie patrząc na Lucy. Potem odwróciła się ku niej. - Chciałabym ci powiedzieć o Filipie, ale, Lucy, przed nikim nie możesz się z tym zdradzić ... zwłaszcza przed Filipem i panem Stefanem Guest.

Opowiadanie trwało długo, bo Madzia nigdy jeszcze nie zaznała ulgi takiego wyznania: nigdy dotąd nie mówiła Lucy o swoich najgłębszych przeżyciach. Teraz słodka twarzyczka, pochylona ku niej z współczującym zainteresowaniem, i rączka, ściskająca jej dłoń, zachęcała ją do zwierzeń. Co do dwóch tylko zdarzeń Madzia zachowała powściągliwość. Nie powiedziała wszystkiego o największym przewinieniu Tomka, które dotąd ją piekło: o obelgach, jakimi obrzucił Filipa. Wspomnienie tych słów wciąż napępniało ją gniewem

I nie mogła znieść, by zarówno ze względu na Tomka, jak i na Filipa 'kolwiek się o tym dowiedział. Nie mogła też się przemóc i opowiedzieć Lucy, jak wyglądało ostatnie spotkanie ojca z Wakemem, ciał w jej przekonaniu wzniosło ono jeszcze jedną barierę pomiędzy nią a Filipem. Powiedziała tylko, że Tomek ma słuszność, iż nie istnieją najmniejsze nadzieje na jej miłość i małżeństwo z Filipem, a to ze względu na stosunki obu rodzin. Jasne przecież, że Filipa nigdy by się na to małżeństwo nie zgodził.

Ot, widzisz, taka jest moja historia - zakończyła Madzia Pchając się przez łzy. - Widzisz, że jestem jak sir Andrew Guecheek²². Byłam kiedyś uwielbiana.

Andrew Guecheek (w niektórych polskich wersjach: sir Andrzej róli(T ,i78hipkowaty szlachcic w komedii Shakespeare'a Wieczór Trzech bvł kłZA™ Ni8ht or what You Will). On to właśnie mówi o sobie z dumą, że y Kledys uwielbiany.

KSIEGA SZÓSTA

458

- Teraz rozumiem, skąd znasz Szekspira i wszystko, i jak to się stało, że tyle się nauczyłaś po wyjściu ze szkoły. Dotychczas wydawało mi się to czarodziejstwem ... jednym z objawów twojej niezwykłości. - Rozmyślała nad czymś przez chwilę, spuściwszy oczy, a potem spojrzała na Madzie i dodała: - To bardzo piękne, że kochasz Filipa. Nigdy nie przypuszczałam, że może zaznać takiego szczęścia. I moim zdaniem nie powinnaś przestawać o nim myśleć. Oczywiście są teraz przeciwności, ale może znikną z czasem.

Madzia potrząsnęła głową.

- Ależ tak - upierała się Lucy. - Nie mogę myśleć inaczej. Jest w tym coś romantycznego ... coś tak niezwykłego ... jak we wszystkim, co ciebie tyczy, Madziu. A Filip będzie cię uwielbiał jak mąż z bajki. Och, postaram się być mądra i wymyślę w tym swoim małym rozumku jakiś spisek, który wszystkich przyprowadzi do rozsądku, tak żebyś mogła wyjść za Filipa, kiedy ja będę wychodzić za ... kogoś innego. Czyż nie piękny koniec wszystkich kłopotów mojej biednej Madzi?

Madzia próbowała się uśmiechnąć, ale przeszedł ją dreszcz, jakby nagle poczuła zimno.

- Och, kochana, zmarłaś! - zawołała Lucy. - Musisz iść do łóżka ... i ja też. Boję się pomyśleć, która to godzina.

Ucałowały się i Lucy wyszła, wysłuchawszy zwierzeń, które wywarły duży wpływ na wszystkie jej późniejsze wrażenia. Madzia była w pełni uczciwa - uczciwość leżała w jej usposobieniu; dziewczyna nie potrafiła postępować inaczej. Ale zwierzenia, nawet jeśli szczerze, mogą mylić czasami.

ROZDZIAŁ IV ROZDZIAŁ IV

BRAT I SIOSTRA

459

Madzia musiała iść do Tomka w południe, kiedy brat wracał na obiad, inaczej bowiem nie zastałaby go w domu. Nie mieszkał u całkiem obcych mu ludzi. Nasz przyjaciel, Bob Jakin, za cichą zgodą Mumpsa, sprawił sobie osiem miesięcy temu nie tylko żonę, ale i jeden z tych niezwykłych starych domów poprzecinanych najdziwniejszymi korytarzami, stojący tuż nad rzeką, gdzie, jak mówił, jego matka i żona nie będą miały czasu na głupstwa, ponieważ wypełnią go wynajmowaniem dwóch spacerowych łódek (w łódki te Bob zainwestował część swoich oszczędności) i doglądaniem lokatora małej bawialni i wolnej sypialni. W takiej sytuacji cóż mogło być lepsze dla wszystkich zainteresowanych, pomijając względy sanitarne, niż żeby tym lokatorem był panicz Tomasz?

Drzwi otworzyła Madzi żona Boba. Była to malutka kobietka, Przypominająca lalkę holenderską. W porównaniu z matką Boba,

óra stała dalej, wypełniając swoją osobą cały korytarz, młoda pani ikin wyglądała jak jedna z postaci ludzkich, które rzeźbiarz zwykle

awia obok wielkich jakichś posągów, by podkreślić ich rozmiary.

ła kobietka ukloniła się i od pierwszej chwili patrzyła ze czcią na Jadzię, lecz pytanie "Czy mój brat jest w domu?", wypowiedziane

uśmiechem przez gościa, sprawiło, że odwróciła się w nagłym Podnieceniu i zawołała:

- Mamo, mam, zawołaj Boba! To panna Madzia! Niech no

uenka wejdzie, proszę, proszę! - ciągnęła otwierając drzwi do

koju i przyciskając się mocno do muru, by zostawić przybyłej jak najwięcej miejsca.

smutne ogarnęły Madzie wspomnienia, gdy przestąpiła próg małej

Wialni, stanowiącej teraz to, co biedny Tomek mógł nazywać n@m" - słowem, które wiele lat temu oznaczało dlań określoną

? kochanych, starych przedmiotów. Ale nie wszystko było dla niej

KSIEGA SZÓSTA

obce w tym nowym pokoju: pierwszą rzeczą, na którą padł jej wzrok, była wielka, stara Biblia; ten widok nie pomógł rozproszyć wspomnień Madzi. Stała tak bez słowa.

- Gdyby panienka zaszczyliła nas i usiadła - mówiła pani Jakin wycierając fartuszkciem lśniące od czystości krzesło, a potem podnosząc w zakłopotaniu do buzi róg tego samego fartuszka i patrząc na Madzie z niedowierzaniem.

- Bob pewno jest w domu? - ocknęła się Madzia i uśmiechnęła do wstydlivej holenderskiej laleczki.

- Tak, panienko, ale myślę, że się myje i przebiera. Pójdę zobaczyć. - I pani Jakin zniknęła. Wróciła jednak szybko w nowym przyplwywie odwagi postępując parę kroków za swoim mężem, który już od progu pokazywał w uśmiechu piękne białe zęby i błyszczące niebieskie oczy, kłaniając się z szacunkiem.

- Dzień dobry, Bob. - Madzia podeszła do niego wyciągając rękę. - Już dawno chciałam złożyć wizytę twojej żonie i przyjdę kiedy indziej specjalnie w tym celu, jeżeli mi pozwoli. Ale dzisiaj musiałam przyjść, żeby porozmawiać z moim bratem.

- Będzie tu niedługo, panienko. Świetnie sobie radzi panicz Tomek. Zobaczy panienka, że on jeszcze będzie tu jeden z pierwszych.

- Bez względu na to, do czego dojdzie, zawsze będzie ci winien wdzięczność. Powiedział to sam wczoraj zaledwie, kiedy mówił o tobie.

- Och, panienko, taki to on już jest. A dla mnie to jeszcze więcej znaczy, bo panicz Tomek nie lubi gadać na wiatr, jak ja. Rety! Ja to jestem jakby kto butelkę przechylił: jak raz zacznę, nie mogę przestać. Ale panienka wygląda dobrze, jak rzadko. No i co ty na to, Prissy- - tu Bob odwrócił się do żony. - Czy nie prawda, każde słowo, jakie mówiłem? Chociaż niewiele jest rzeczy, których nie potrafiłbyś przechwalić tym swoim ozorem.

Mały nosek pani Jakin zwrócił się, w ślad za jej wzrokiem, czołobitnie ku Madzi, lecz teraz młoda mężatka zdobyła się już na uśmiech, ukłon i słowa: - Tak chciałam panienkę zobaczyć, jak chyba

ROZDZIAŁ IV

461

nic w życiu, bo mój to gadał o panience jak głupi, cały czas, nawet jak się zaczął do mnie zalecać.

- No dobrze, dobrze - Bob miał trochę niewyraźną minę. - Idź no i dopilnuj kartofli, bo inaczej panicz Tomek będzie musiał na nie czekać.

- A czy Mumps zaprzyjaźnił się z panią Jakin? - spytała ze śmiechem Madzia. - Pamiętam, jak mówiłeś, że nie w smak mu pójdzie twój ożenek.

- Ech, panienko - wyszczerzył zęby Bob - całkiem na to przystał, kiedy zobaczył, jaka ona mała. Zwykle udaje, że jej nie widzi albo uważa, że ona jest jeszcze niedorośła. Ale jeśli chodzi o panicza Tomka - tu Bob ściszył głos i mówił bardzo poważnie - on jest taki w sobie zamknięty jak ślimak, ale ja mam głowę na karku i teraz, jak przestałem kramarzyć i chwilowo nic nie robię, to nie wiem, co z tą głową począć, bo przecież muszę się czymś zająć, no i zaczynam myśleć, co też inni robią tu, w domu. I martwię się, że panicz Tomek wieczorami siedzi taki ponury, brwi marszczy i patrzy w ogień. Taki młody, piękny chłopak jak on powinien być trochę żywszy. Moja mówi, że czasem, jak wejdzie, to panicz jej wcale nie widzi, tylko siedzi zaszepiony i patrzy się w ogień, jakby tam pilnował jakichś robotników.

- Za dużo myśli o interesach - podsunęła Madzia.

Z Tak - Bob jeszcze bardziej ściszył głos - ale panienka zypuszcza, że to tylko to? On jest zamknięty, panicz Tomek, ale ja mam swój rozum i w zeszłym roku przed świętami Bożego Narodzenia tak mi się widzi, że znalazłem u niego to słabe miejsce. Chodziło

takiego czarnego spaniela, bardzo rasowego psa, a panicz tyle się imęczył, żeby go dostać. Ale od tego czasu coś go naszło i jeszcze rzziej niż przedtem się zaciął, chociaż przecież tak mu szczęście tyją. Chciałem to panience powiedzieć, bo myślałem, że może teraz, panienka przyjechała, to go panienka z tego wyciągnie. Za bardzo jest sam i nieczęsto przestaje z ludźmi.

- Obawiam się, że niewielki mam na niego wpływ - mówiła dzia bardzo poruszona przypuszczeniami Boba. Miłosne kłopoty aka były dla niej czymś całkiem nowym. Biedny chłopiec i w dodat-

462 KSIĘGA SZÓSTA

ku zakochany akurat w Lucy! Ale to może tylko wymysły pracowitej głowy Boba. Pies ofiarowany Lucy w prezencie jest przecież tylko dowodem kuzynowskiego przywiązania i wdzięczności²³. W tej chwili jednak Bob powiedział: - Idzie panicz Tomek - i rozległ się skrzyp otwieranych drzwi frontowych.

- Nie mamy wiele czasu, Tomku- zaczęła Madzia natychmiast, gdy Bob wyszedł z pokoju. - Muszę ci powiedzieć, z czym tutaj przyszedłam, bo przecież zaraz będziesz jadł obiad.

Tomek stał plecami do kominka, Madzia zaś siedziała naprzeciwko. Zauważył, że była niepewna, i przeczuł, o czym będzie rozmowa. Zapytał więc głosem chłodniejszym i ostrzejszym: - O co ci chodzi?

Jego ton obudził w Madzi ducha oporu i dlatego wypowiedziała swą prośbę inaczej, niż sobie uprzednio przygotowała. Wstała z krzesła i spoglądając bratu prosto w oczy powiedziała:

- Chcę, żebyś mnie zwolnił z obietnicy tyczącej Filipa Wakema. A obiecałam ci, że nie zobaczę go bez twojej wiedzy. Przyszedłam ci powiedzieć, że chcę go zobaczyć.

- Doskonale - odparł Tomek jeszcze chłodniej.

Lecz Madzia, jeszcze nim skończyła mówić tym zimnym i wyzywającym tonem, poczuła wyrzuty sumienia i strach przed chłodem brata.

- Nie ze względu na siebie, Tomku drogi. Nie gniewaj się. Nie prosiłabym cię o to, tylko, że widzisz, Filip przyjaźni się z Lucy i ona chce, żeby przyszedł. Zaprosiła go na dzisiaj wieczór, a ja powiedziałam jej, że nie mogę widzieć się z nim bez twojej zgody. Zobaczę go tylko w obecności innych. Już nigdy nie będzie między nami żadnym tajemnic.

Tomek nie patrzył na Madzie, lecz mocniej niż zwykle marszczył brwi. Potem odwrócił się ku niej i powiedział powoli i dobitnie:

"Madzia odrzuca domysły Boba, że brat jej jest zakochany w Lucy, uważa go bowiem za realiste, świadomego swego braku szans na pozyskanie jej -? t i w pełni kontrolującego swe uczucia. Zastosowana tu mowa pozornie żale wskazuje na subiektywny charakter jej sądu, którego narrator nie wspier

ROZDZIAŁ IV

463

- Znasz moje poglądy na tę sprawę, Madziu. Nie potrzebuję ci powtarzać niczego, co powiedziałem rok temu. Póki ojciec żył, musiałem robić wszystko, aby nie dopuścić, byś zhańbiła jego, tak zresztą jak siebie i nas wszystkich. Lecz teraz pozostawiam wybór tobie. Chcesz być niezależna: powiedziałaś mi to po śmierci ojca. Mój pogląd na sprawę pozostaje nie zmieniony. Jeżeli myślisz o Filipie Wakemie jak o konkurencie, musisz wyrzec się mnie.

- Nie pragnę tego, Tomku, w każdym razie nie teraz: widzę, do jakich prowadziłoby to nieszczęść. Ale wyjadę wkrótce na nową posadę i chciałabym, póki tu jestem, być z nim w przyjaznych stosunkach. Lucy tego pragnie.

Surowość ustąpiła nieco z twarzy Tomka.

- Nie mam nic przeciwko temu, byś się z nim spotykała od czasu do czasu w domu wujka ... nie chcę, żebyś sprawiała tym kłopot. Ale nie ufam ci, Madziu. Ty jesteś do wszystkiego zdolna.

Były to okrutne słowa. Usta Madzi zaczęły drżeć.

- Dlaczego powiedziałaś tak, Tomku? To boli. Czy nie robiłam

-? skarg wszystkiego, co było w mej mocy? I czy nie dotrymałam

"wa, kiedy ... kiedy ... Życie nie ułożyło mi się szczęśliwiej, niż tobie ...

Zmuszono ją do tej dziecinnej reakcji - łzy napływały jej do oczu.

- dy nie była rozgniewana, reakcje jej zależały od ostrych lub

rch słów, tak jak reakcje stokroci zależą od słońca lub chmur.

otrzeba miłości zawsze brała w niej górę, tak jak dawniej na

- au, zżartym przez korniki. Dobroć brata odezwała się zaraz na to

vanie, ale dobroć Tomka mogła się wyrazić tylko po Tomkowe-

Położył jej delikatnie rękę na ramieniu i powiedział tonem

zgodnego pedagoga:

Posłuchaj mnie, Madziu. Powiem ci, o co mi chodzi. Zawsze się

fzucasz z jednej ostateczności w drugą: brak ci rozsądku i opano-

Mimo to uważasz, że masz zawsze rację, i nie pozwalasz, by ci

'ny dawał wskazówki. Nie chciałem, byś szła na posadę, wiesz

Ciocia Pullet gotowa była dać ci porządny dom, gdzie żyłabyś

oicie wśród własnej rodziny, póki ja nie stworzyłbym domu dla

dla matki. Tego właśnie chciałem. Chciałem, żeby moja siostra

KSIĘGA SZOSTA

464

była damą, a ja zawsze opiekowałbym się nią, tak jak tego ojciec pragnął, póki nie wyszłabyś

dobrze za męża. Ale ty nigdy nie chcesz się ze mną zgodzić, nigdy mi nie ustąpisz. A

mogłabyś mieć dość rozumu, by widzieć, że brat, który porusza się między ludźmi, musi

oczywista wiedzieć lepiej, co jest właściwe i odpowiednie dla jego siostry ... lepiej niż ty.

Uważasz, że ja nie jestem dobry, ale moja dobroć może się kierować tylko tym, co uważam za dobre dla ciebie.

- Tak ... wiem ... Tomku kochany - mówiła Madzia ciągle jeszcze szlochając, lecz starając się

powstrzymać łzy. - Wiem, że wiele byś dla mnie zrobił, wiem, że pracujesz i nie szczędzisz

sił. Wdzięczna ci za to jestem. Ale, naprawdę, nie możesz we wszystkim decydować za mnie,

bo usposobienia nasze są różne. Nie wiesz zupełnie, że te same rzeczy robią inne wrażenie na mnie niż na tobie.

- Tak, wiem, wiem aż za dobrze! Wiem, jak całkowicie różnią się nasze uczucia w tym, co się

wiąże ze sprawami naszej rodziny i twojej własnej godności, godności młodej kobiety -

przecież przyzwalałaś na sekretne umizgi Filipa Wakema. Jeżeliby nawet nie było mi to

wstrętne z innych względów, to sprzeciwiłbym się, żeby imię mojej siostry łączono choć

przez chwilę z imieniem tego młodego człowieka. Przecież jego ojciec nienawidzi nawet

myśli o nas i wzgardziłby tobą na pewno. Wierzyłbym każdej innej osobie prócz ciebie, że

wypadki, jakich była świadkiem przed śmiercią naszego ojca, nie pozwoliłyby jej już nigdy

myśleć o Filipie Wakemie jako o konkurencie. Ale ciebie nie jestem pewien; nigdy nie jestem

pewien niczego, co ma z tobą związek. Raz znajdujesz zadowolenie w jakimś perwersyjnym

samowyrzeczniu, a za następnym razem nie masz dość siły, by się oprzeć czemuś, co, jak

wiesz, jest złe.

W słowach Tomka kryła się jakaś straszliwa, bolesna prawda - a właściwie twarda pokrywa

prawdy, którą widzą ludzie te wyobraźni i litości. Madzia zawsze drętwiała z bólu słysząc ten

osą z ust brata - buntowała się przeciwko niemu, a jednocześnie by upokorzona. Tomek jakby

ukazywał jej w lustrze wszystkie słabości i szaleństwa - jakby przepowiadał jej proroczym głosem wszystkie przyszłe upadki - a mimo to przez cały czas i ona go sądziła: ow

st

w

ROZDZIAŁ IV

465

sobie, że jest ograniczony i niesprawiedliwy, że nie zaznał tych wewnętrznych pragnień²⁴, które zwykle były źródłem jej błędów czy słabości i czyniły jej życie kompletną zagadką dla niego.

Nie odpowiedziała mu natychmiast- zbyt wiele uczuć przepełniało jej serce. Siedziała tak, wsparłszy rękę o stół. Nie ma sensu tłumaczyć Tomkowi, jak mu jest bliska. Zawsze ją odpychał. Wrażenia, wywołane jego słowami, splątały się jeszcze bardziej, gdy zrobił wzmiankę o ostatnim spotkaniu ojca z Wakemem - to bolesne, posępne wspomnienie przesłoniło po chwili wszystkie jej obecne zmartwienia. Nie. Nie myśli o tych wypadkach z płochą obojętnością i Tomek nie może jej o to oskarżać. Spojrzała na niego poważnym, smutnym wzrokiem.

- Nie mogę sprawić, byś lepiej o mnie myślał, Tomku, nie mogę tego sprawić słowami. Ale twoje uczucia nie są mi tak obce, jak ci się wydaje. Widzę równie jasno jak ty, że ze względu na stosunek ojca Filipa do nas, nie ze względu na inne sprawy, byłoby niemądre ... tyłoby źle, gdybyśmy żywili nadzieje na nasze małżeństwo, toteż przestałam myśleć o nim jako o moim wybranym ... Mówię ci prawdę nie masz prawa mi nie wierzyć. Dotrzymałam danej ci obietnicy, a ty !gdy nie znalazłeś we mnie fałszu. Nie tylko nie będę szukać, ale będę arannie unikać wszystkiego, co by mogło moje stosunki uczynić yoikolwiek innym, niż spokojną przyjaźnią z Filipem Wakemem. resz uważać, że nie potrafię dotrzymywać postanowień, ale 'e możesz gardzić mną za te przewiny, których jeszcze nie popełniłam.

- Dobrze już, Madziu - Tomek zmieknął trochę. - Nie będę esadzał. Biorąc wszystko pod uwagę myślę, że możesz się spotykać

?r llipem Wakemem, jeżeli Lucy chce, żeby on przychodził do domu. ;rzę w to, co mówisz - w każdym razie wiem, że ty sama w to

2ą

e zcznał [...] wewnętrznych pragnień - także domysł; i tu brak bowiem umarza narratorskiego. Wskazuje to na odchodzenie od ogólnie akcepto- | w połowie XIX w. konwencji i ewolucję w kierunku powieści

466 KSIĘGA SZÓSTA

wierzysz. Mogę cię tylko przestrzec. Chcę być dla ciebie tak dobrym bratem, jak mi na to pozwolisz.

W głosie Tomka, kiedy wymawiał ostatnie słowa, słyhać było lekkie drżenie, a uczucie Madzi, zawsze gotowe owładnąć nią całkowicie, i teraz powróciło nagłą falą, tak jak dawno temu w dzieciństwie, kiedy to jedli wspólnie jedno ciastko jak sakrament pojednania. Wstała i położyła rękę na ramieniu brata.

- Wiem, że chcesz być dobry, Tomku. Wiem, że wiele musisz ścierpieć i że wiele dokonałeś. Chciałabym być ci pociechą, a nie utrapieniem. Ale nie myślisz, że jestem już do szczętu zła, prawda?

Tomek uśmiechnął się do proszącej buzi - uśmiech jego, choć rzadko gościł na tej twarzy, był bardzo miły, bo z szarych oczu potrafiła wyrzeć czułość mimo zmarszczki na czole.

- Nie, Madziu.

- I mogę jeszcze okazać się lepsza, niż ci się zdaje!

- Mam nadzieję.

- I mogę przyjść kiedyś i zrobić ci herbatę, i zobaczyć tę malutką żonę Boba jeszcze raz?

- Tak, ale teraz uciekaj, bo już nie mam czasu - tu Tomek spojrział na zegarek.
- Nawet na to, żeby mnie pocałować? Tomek pochylił się, by pocałować siostrę.
- Proszę bardzo. Bądź grzeczną dziewczynką. Muszę jeszcze dużo spraw dzisiaj przemyśleć. Po południu będę miał długą naradę z wujaszkiem Deane.
- A przyjdiesz jutro do cioci Glegg? Zjemy wcześniej obiad, żeby pójść do niej na herbatę. Musisz przyjść. Lucy kazała ci to powiedzieć.
- Też! Mam masę roboty! - odparł Tomek pociągając gwałtownie za dzwonek i urywając sznurek.

- Boję się ciebie ... uciekam - Madzia wycofała się ze śmiechem, zaś Tomek, z męską filozofią, rzucił urwany sznurek w najdalszy Ką pokoju - nie bardzo jednak odległy; drobne ludzkie doświadczenie,

ROZDZIAŁ V 467

które, pochlebiam sobie, znajdzie oddźwięk wspomnień w sercach wielu ludzi majątnych czy szacownych, co kiedyś znajdowali się u progu swej kariery i żywili bardzo duże nadzieje w bardzo małych mieszkaniach.

rozdział v W KTÓRYM OKAZUJE SIĘ, ŻE TOMEK DOKONAŁ DZIEŁA

- A teraz, kiedy już ustaliliśmy wszystko, co dotyczy interesu w Newcastle²⁵ - mówił do Tomka pan Deane, kiedy siedzieli razem w jego prywatnym gabinecie w banku - pozostało nam jeszcze coś,

O czym chcę z tobą pomówić. Ponieważ w zakonconym Newcastle idziesz miał przez następne kilka tygodni ciężką robotę, chciałbym, żebyś się mógł podtrzymać na duchu jakimiś przyjemniejszymi nadziejami na przyszłość. Tomek wyczekiwał następnych słów z mniejszym zdenerwowaniem niż podczas poprzedniej rozmowy w tym pokoju, a wujaszek wyjął tabakierkę i uraczył każdą dziurkę od nosa, z rozmysłem

I bezstronnie.

- Widzisz, Tomku - podjął wreszcie pan Deane rozpierając się krzesło - świat idzie teraz naprzód szybciej niż za moich młodych lat. Cóż, mój drogi, czterdzieści lat temu, gdy byłem takim samym jak Ty

pracowitym młodzikiem, człowiek spodziewał się, że lepszą część życia przyjdzie mu przeciągnąć w hołoblach, zanim sam dostanie bat do ręki. Ręczne warsztaty tkackie pracowały wolno, a i gusty nie leniały się tak często. Świąteczne ubranie wystarczało mi na sześć at- Wszystko było na mniejszą skalę - to znaczy, jeśli chodzi o kosza.

Newcastle - główne miasto hrabstwa Northumberland w pñ. Anglii rcu starego okręgu górniczego.

KSIĘGA SZÓSTA

468

Para, widzisz, mój drogi, dokonała tych wszystkich zmian; każde kółko kręci się teraz dwa razy szybciej, a razem z nim i koło Fortuny, jak to powiedział pan Stefan Guest na przyjęciu w rocznicę założenia firmy (niebawem, jak on umie utrafić akurat w sedno, zważywszy, że się w ogóle nie zna na interesach). Ja tam nie widzę w tych zmianach nic złego, jak inni. Handel, mój chłopcze, otwiera ludziom oczy. Jeżeli ilość mieszkańców tej ziemi ma się powiększać, a przecież się powiększa, to świat musi wyteżać rozum i łapać się najrozmaitszych wynalazków. Ja zrobiłem, co do mnie należało, jako zwykły człowiek interesu. Ktoś kiedyś powiedział, że wspaniała to rzecz sprawić, by tam, gdzie dawniej rósł jeden kłos zboża, wyrosły dwa, ale piękna to również rzecz rozszerzać wymianę towarów i przynosić ziarna zboża do ust tych, co cierpią głód. A tym się właśnie zajmuje nasze przedsiębiorstwo: uważam, że jest to najzaszczytniejsze zajęcie dla człowieka.

Tomek widział już, że sprawa, o której miał mówić wujaszek, nie jest paląca, pan Deane bowiem był człowiekiem zbyt bystrym i praktycznym, by pozwolić, aby jego wspomnienia

czy tabaka opóźniały tempo rozwoju handlu. W gruncie rzeczy do uszu Tomka od miesiąca czy dwóch dochodziły wzmianki, które pozwalały mu się domyślać, iż usłyszy pewne korzystne propozycje. Kiedy wujaszek rozpoczął swą przemowę, Tomek wyciągnął nogi, rękę wsunął w kieszenie i przygotowywał się na przydługi wstęp, który miał udowodnić, iż pan Deane doszedł do tego, czym jest, dzięki własnym cnotom i może powiedzieć ogólnie wszystkim młodym ludziom, że jeśli do niczego nie doszli, to na skutek braku podobnych cnót. Tak więc był dość zdziwiony, kiedy wujaszek zadał mu pytanie wprost:

- Powiedz no mi ... To już będzie chyba siedem lat²⁶, odkąd zwróciłeś się do mnie o pracę, tak?

na

26 to już będzie chyba siedem lat - jeśli przyjąć, że jest teraz maj 1838 co wskazuje wiele uwag (choć są i stwierdzenia sugerujące krótszy upływ czas od bankructwa młynarza późną jesienią 1831), to do pełnych siedmiu brakuje tylko pół roku.

ROZDZIAŁ V

469

- Tak, wujku. Mam teraz dwadzieścia trzy lata.

- Ach, ale lepiej tego nie mówić - wyglądasz na wiele starszego, a wiek liczy się w interesie. Doskonale pamiętam, jak tu przyszedłeś do mnie; robiłeś wrażenie zucha i dlatego właśnie postanowiłem ci pomóc. Przyjemnie mi powiedziec teraz, iż się nie pomyliłem. Nieczęsto zresztą daję się zwieść. Oczywiście nie miałem wielkiej ochoty protegować własnego siostrzeńca, ale z przyjemnością mogę powiedzieć, że nie zrobiłeś mi zawodu; i jeślibym miał syna, nie martwiłbym się, gdyby był do ciebie podobny.

Pan Deane stuknął w tabakierkę i otworzył ją znowu, powtarzając z pewną serdecznością w głosie: - Nie, nie martwiłbym się, gdyby był do ciebie podobny.

- Rad jestem, że nie zawiodłem zaufania wuja. Robiłem, co mogłem - odparł Tomek, jak zwykle z dumą i pewną wyniosłością.

- Tak, Tomku, nie zawiodłeś mojego zaufania. Nie mówię tu o twoim zachowaniu jako syna, chociaż i to ma wpływ na mój sąd tobie. Lecz będąc udziałowcem naszej firmy muszę podkreślić te

ilety, które wykazałeś jako człowiek interesu. Nasze przedsiębiorstwo jest doskonałym interesem - wspaniałym interesem - i nie ma owołów, dla których nie miałyby się rozwijać dalej. Wzrasta nasz kapitał i rozszerza się nasz rynek, lecz istnieje jeszcze jedna rzecz onieczna dla powodzenia każdego przedsięwzięcia, czy to dużego, ty małego, a tym są ludzie, którzy by je poprowadzili, ludzie właściwych zasadach; nie jacyś tam błyskotliwi postrzeleńcy, lecz 2, na których można polegać. I pan Guest, i ja rozumiemy to 5brze. Trzy lata temu dopuściliśmy Gella do interesu ... daliśmy mu ział w fabryce oleju. Dlaczego? Dlatego, że Gell jest człowiekiem, którego usługi warte są nagrody. Zawsze tak będzie, mój chłopcze, było ze mną. Lecz chociaż Gell jest niemal o dziesięć lat starszy od !?f.' strue.k inne względy przeważające na twoją korzyść.

Jedy pan Deane zaczął mówić dalej, Tomek odczuł lekkie serwowanie: wiedział, że musi teraz powiedziec coś, co może będzie towi nie w smak, po prostu dlatego, że jest nową propozycją, a nie stacją tej, której chłopiec oczekiwał.

KSIĘGA SZÓSTA

470

- Jest rzeczą logiczną - ciągnął pan Deane, skończywszy nową szczyptę tabaki - że przemawia za tobą fakt, iż jesteś moim siostrzeńcem, nie zaprzeczam jednak, że nawet gdybyś nie był moim krewnym, zachowanie twoje w sprawie banku Pelleya skłoniłoby pana Guesta i mnie do wyrażenia ci w jakiś sposób uznania za to, coś zrobił. Zaś biorąc pod uwagę twoje sprawowanie i zdolności do interesów, postanowiliśmy dać ci udział w przedsiębiorstwie, udział, który w miarę upływu lat będziemy chętnie powiększać. Uważamy, iż jest to ze

wszech miar właściwsze niż podnoszenie twojej płacy. Doda ci to powagi i znaczenia i przygotuje cię lepiej do tego, byś ujmował mi po trochu ciężaru z ramion. Jestem jeszcze, Bogu niech będą dzięki, zdalny do ciężkiej pracy, ale starzeję się, nie ma co gadać. Powiedziałem panu Guestowi, że pomówię z tobą na ten temat, a jak wrócisz z północnej wyprawy, omówimy szczegóły. Jak na dwadzieścia trzy lata, trzeba powiedzieć, że szybko idziesz naprzód, ale trzeba także przyznać, że zasługujesz na to.

- Bardzo jestem wdzięczny panu Guest i wujowi. Oczywiście, czuję, że największą wdzięczność winienem wujowi, który pierwszy przyjął mnie do przedsiębiorstwa i od tego czasu wiele mi poświęcił czasu i trudów.

Tomek mówił z lekkim drżeniem w głosie, potem przerwał.

- Tak, tak - zgodził się pan Deane. - Nie szczędzę wysiłków, kiedy widzę, że coś mogą przynieść. Napracowałem się nad Gellem - inaczej nie byłby tym, czym jest.

- Istnieje pewna sprawa, o której chciałem powiedzieć wujowi. Nigdy dotąd o niej nie mówiłem. Jeśli wujek pamięta, w okresie, kiedy majątek mego ojca miał być sprzedany, firma nosiła się z myślą kupienia młyna. Wiem, że wujek uważał to za bardzo dobrą inwestycję, zwłaszcza gdyby się zastosowało siłę parową.

- Tak, tak. Ale Wakem nas ubiegł, uparł się przy tym. Ten człowiek lubi przeprowadzać swoją wolę, bez względu na innych.

- Może i nie ma po co mówić teraz o tym- ciągnął Tomek a chciałem, żeby wujaszek znał mój pogląd na sprawę młyna. Ogromni

ROZDZIAŁ V

471

mi na nim zależy. Ostatnią wolą ojca było, bym odebrał młyn, jeśli zdołam; był w naszej rodzinie od pięciu pokoleń. Przyrzekłem to ojcu, a poza tym ja sam jestem bardzo do niego przywiązany. Żaden dom nie będzie mi nigdy tak miły. I jeżeliby kupno młyna dla firmy odpowiadało zamysłom wujka, ja miałbym większe możliwości spełnienia życzenia mego ojca. Nie mówiłbym wujkowi o tej sprawie, gdyby wujek nie był tak dobry i nie powiedział, że moje usługi mają pewną wartość. A ja wyrzekłbym się o wiele większych możliwości życiowych, by móc odzyskać młyn - to znaczy, by go mieć w swoich rękach i powoli odpracowywać jego wartość.

Pan Deane słuchał go uważnie, a teraz zamyślił się głęboko.

- Rozumiem, rozumiem - rzekł po chwili. - Rzecz byłaby możliwa, gdyby istniała nadzieja, iż Wakem zechce się z młynem rozstać. Ale ja tej nadziei nie widzę. Obsadził tam młodego Jetsome, a kupując młyn miał po temu swoje powody.

- To próżniak, ten młody Jetsome - odparł Tomek. - Powiadają, że zaczął pić i na psy sprowadza cały interes. Mówił mi to Łukasz, nasz stary młynarz. Powiada, że tam nie zostanie, jeśli się coś nie zmieni. Myślałem, że jeśli tak stoją sprawy, może Wakem będzie bardziej skłonny rozstać się z młynem. Łukasz mówi, że Wakem jest bardzo rozdrażniony tym stanem rzeczy.

- Dobrze, pomyślę o tym. Muszę zasięgnąć wiadomości o spra- ' i omówić ją z panem Guestem. Ale, widzisz, to byłoby zabieranie

? do nowej branży; trzeba by tam ciebie oddać, zamiast trzymać tu, gdzie jesteś, o co nam chodziło.

- Mógłbym się zajmować nie tylko młynem, kiedy się wszystko ISC1 w ruch jak należy. Chcę mieć jak najwięcej roboty. Nie zależy mi specjalnie na niczym innym.

Takie słowa w ustach dwudziestotrzyletniego chłopca musiały obrznieć smutno, nawet w uszach wuja Deane, tak bardzo kochającego interes.

- Też! Co ty tam mówisz! Jeśli tak dalej pójdzie, to niedługo się żenisz i będzie ci zależało na żonie. Ale co tu gadać zawczasu

37 BN H/234 G. Eliot: Młyn nad Flossą

472 KSIĘGA SZÓSTA

O młynie! Obiecuję ci, w każdym razie, że nie zapomnę o sprawie, a jak wrócisz, porozmawiamy o niej raz jeszcze. Idę teraz na obiad. Przyjdź do nas jutro rano na śniadanie i pożegnaj się przed wyjazdem z matką i siostrą.

ROZDZIAŁ VI

ILUSTRUJĄCY PRAWO przyciąGANIA

Jasne jest dla was, że Madzia znalazła się obecnie w sytuacji życiowej, która przez wszystkich ludzi rozsądnych musi być uważana za wielką szansę. Dziewczyna o uderzającej urodzie weszła w śmietankę towarzystwa St. Ogg's, mając tę przewagę nad innymi paniami, że była większości nie znana, a wdzięki jej podkreślały tak skromne stroje, jak to sobie mogliście wyobrazić po niespokojnej rozmowie Lucy z cicią Pullet. Na pierwszym wieczorku u Lucy młody Torry napinał z całych sił mięśnie twarzy, by "ta ciemnonoka dziewczyna tam w kącie" oglądała go w całej krasie nowego monokla. Wiele zaś młodych dam wróciło do domu postanawiając sprawić sobie suknie z krótkimi rękawami z czarną koronką i upinać włosy w wysoki diadem na czubku głowy. "Ta kuzyneczka panny Deane doskonale się prezentowała". I doprawdy biedna Madzia, obarczona świadomością smutnej przeszłości i nie najlepszymi przeczuciami na przyszłość, była na prostej drodze do tego, by stać się przedmiotem pewnej zazdrości - tematem rozmów w nowo założonej sali bilardowej i pomiędzy ładnymi przyjaciółkami, co to nie mają przed sobą tajemnic, jesh chodzi o dodatki do sukni. Panny Guest - których stosunki z innymi rodzinami St. Ogg's cechowała pewna protekcyjność i które były uważane za wzór wykwintu - dostrzegły jednak pewne braki w wychowaniu Madzi. Nie miała zwyczaju zgadzać się natychmiast z każdą opinią przyjętą w dobrym towarzystwie i mówiła, że nie wie czy te opinie są słuszne, czy nie, co nadawało jej pozory gaucherie

27 gaucherie (fr.) - niezgrabność, niezręczność.

ROZDZIAŁ VI

473

i hamowało gładki tok rozmowy; pozostaje jednak faktem, który można dodatkowo interpretować, że damy nie ustosunkowują się na ogół gorzej do nowej znajomej dlatego, że okazuje cechy niższości. A Madzia była tak całkowicie pozbawiona kokieterii, mającej, według tradycyjnych poglądów, doprowadzać mężczyzn do szału, że zdobywała sobie kobiece współczucie, gdyż ta jej uroda taka była nieskuteczna. Niewiele otrzymała, biedaczka, darów od losu i trzeba przyznać, brak jej wszelkich pretensji; jej dość impulsywne i nierówne zachowanie jest z pewnością skutkiem warunków - samotne i biedne przypadło jej życie w udziale. Dziwić się tylko trzeba, że nie ma w niej nic wulgarności, zważywszy, jaka jest reszta rodziny Lucy; na wzmiankę o tym obie panny Guest zawsze się wzdrygały. Nieprzyjemnie było myśleć o związkach, jakie narzuci małżeństwo brata, z takimi ludźmi jak państwo Glegg czy Pullet. Ale jak Stefan raz się przy czymś uprze, to sprawa skończona, a przecież do samej Lucy nie może być żadnych obiekcji - każdy musi ją lubić. Na pewno pragnie gorąco, by panny Guest miło się zachowały w stosunku do uzynki, którą tak kocha, Stefan zaś narobiłby zaraz strasznego rzyku, gdyby tylko okazały się nie dość uprzejme. W tych okolicznościach nie zabrakło więc zaproszenia do Park House; zaś co do nich, panna Deane była zbyt popularna i ceniona w towarzystwie St. ?'s, by ktoś w najmniejszej mierze zaniedbał okazania jej należnych atencji.

Tak więc Madzia zakosztowała po raz pierwszy radości życia dej damy i dowiedziała się, co to znaczy wstawać rano i zastana- ; się, czy będzie robić to, czy coś innego, bez najmniejszej

czności wyboru. Tyle miała nowych przeżyć, tyle swobody, tak ozrywek: bogactwo muzyki, powolne spacerunki wśród delikatni, płynących z ogrodu wiosennych zapachów. Wszystko to, po tylu tacyli latach, musiało jej uderzyć do głowy. Już w pierwszych dniach rzadziej ją nachodziły przykre wspomnienia i przecucia. | w chwili obecnej było bardzo miłe - co do tego nie miała Uwosci; coraz przyjemniej było przebierać się wieczorem i czuć, że 11? jedną z tych pięknych wiosennych istot. Wszędzie też czekały na

KSIĘGA SZÓSTA

474

nią oczy pełne podziwu: nie była już tą lekceważoną, łajaną dziewczyną, na którą nie zwraca się uwagi, a od której ciągle się uwagi wymaga. Przyjemnie też było, gdy Stefan i Lucy wybierali się na konną przejażdżkę, siedzieć sobie samej przy pianinie i stwierdzać, że pozostało jeszcze z wzajemnego dopasowania palców i klawiszy coś, co odżyło teraz, jak serdeczne więzy pokrewieństwa, których rozłąka nie zdołała zniszczyć. Wybierała melodie słyszane poprzedniego wieczora i powtarzała je wielokrotnie, dopóki nie przekonała się, że może je zagrać tak, by ich wymowa stała się dla niej bardziej namiętna i brzemienna w treści. Rozkosz sprawiała Madzi zwykła harmonia oktawy i dziewczyna częściej brała nuty z ćwiczeniami niż utwory muzyczne, aby mocniej odczuwać w oderwaniu bardziej prymitywny smak interwałów. Nie był to ten rodzaj przeżywania muzyki, który dowodziłby specjalnego talentu; fakt, że muzyka budziła w niej najwyższe wzruszenie, był jednym z wielu dowodów jej wrodzonej namiętnej uczuciowości, która sprawiała, że cnoty i wady Madzi stapały się w jedno, że jej miłość przybierała czasem formę niecierpliwego żądania - jednocześnie zaś nie pozwalała, by jej próżność przybierała formę kobiecej kokieterii i przebiegłości, przeciwnie, nadawała jej poezję ambicji. Lecz znacie Madzie już od dawna i powinniście tu słyszeć jej historię, a nie charakterystykę, bo historii nie da się przepowiedzieć z najpełniejszej wiedzy o charakterze. Tragedia naszego życia bowiem nie ma źródła jedynie w nas samych. "Charakter - powiada Novalis²⁸ w jednym ze swych nasuwających wątpliwości aforyzmów - charakter to przeznaczenie". Ale nie całe przeznaczenie. Hamlet, książę Danii, był filozoficzny i chwiejny - i oto w rezultacie mamy tragedię. Ale gdyby ojciec jego dożył pięknego wieku, wujaszek zaś umarł wczesną śmiercią, Hamlet prawdopodobnie ożeniłby się z Ofelią i przeszedł przez życie z opinią zdrowego na umyśle, bez względu na monologi i posępne ironizowania na temat pięknej córki Poloniusza, nie mówiąc już o jawnej nieuprzejmości wobec teścia.

znany

²⁸ Novalis (Friedrich Leopold von Hardenberg, 1772-1801) wczesnoromantyczny niemiecki poeta i powieściopisarz.

ROZDZIAŁ VI

475

Tak więc przeznaczenie Madzi jest jeszcze okryte tajemnicą; musimy czekać, aż się pokaże jak bieg nie oznaczonej na mapie rzeki: wiemy tylko, iż rzeka jest głęboka i rwąca i że wszystkie rzeki biegną do tego samego ostatecznego celu²⁹. Oszołomiona nowymi i miłymi wrażeniami Madzia coraz rzadziej snuła dawne, wsparte sugestywną wyobraźnią domysły na temat swych przyszłych losów. Osłabł też jej niepokój o pierwsze spotkanie z Filipem: może, nieświadomie zupełnie, przestała się martwić, że spotkanie to się odwleka.

Filip bowiem nie przyszedł tego wieczora, kiedy go oczekiwali, a pan Stefan Guest przyniósł wiadomość, że młody człowiek wyjechał nad morze - prawdopodobnie na plener. Nie było jednak pewne, kiedy Filip wróci. Bardzo to podobne do niego, wyjeżdżał tak, nie zawiadomiwszy nikogo ani słowem. Wrócił na dwunasty dzień dopiero i zastał w domu oba liściki Lucy: wyjechał bowiem przed przyjazdem Madzi.

Może trzeba by mieć znowu dziewiętnaście lat, by zdobyć całą pewność, jakie uczucia przejmowały Madzie w ciągu tych

wunastu dni - jak bardzo wydłużyły ten okres nowe dla niej
życia i zmienne stany ducha. Pierwsze dni znajomości zawsze są
a nas ważne i w pamięci naszej więcej zabierają miejsca niż dłuższe,
zniejsze okresy, w których mniej się mieści odkryć i nowych wrażeń.
- zas tych dziesięciu dni niewiele było godzin, kiedy pan Stefan
est nie siedział obok Lucy, nie stał koło niej przy fortepianie czy też
)wzruszył jej w wycieczkach na świeżym powietrzu; jego atencje
ej wyraźnie były gorliwsze, czego zresztą można się było
lewać. Lucy była bardzo szczęśliwa, szczęśliwsza niż dawniej, bo
zjazd Madzi towarzystwo Stefana stało się o wiele bardziej
Psujące i zabawne. Toczyli czasem żartobliwe, czasem poważne
ISJe, w których zarówno Stefan jak i Madzia dowodzili swojej
Sencji, ku podziwowi łagodnej Lucy, siedzącej cicho w kątku.

biegną do tego samego [...] celu - rzeka jako przenośnia i pozwala wprowadzić aluzję do
mającej nastąpić tragedii.

KSIĘGA SZOSTA

476

Nieraz myślała sobie, jakim wspaniałym kwartetem mogliby przejść przez życie, gdyby
Madzia poślubiła Filipa. Czy widział kto kiedy, żeby dziewczyna w obecności trzeciej osoby
bardziej cieszyła się towarzystwem swego ukochanego? Żeby nie czuła najmniejszej
zazdrości, kiedy jej wielbiciel w rozmowie zwraca się ciągle do owej trzeciej osoby? Lecz nie
było to dziwne u dziewczyny o spokojnym sercu, która wierzyła głęboko, że zna uczucia
obojga jej towarzyszy, i nieskłonna była zwątpić w tę wiarę bez konkretnych po temu
powodów. Poza tym, przecież to koło niej siadał Stefan, jej podawał ramię, do niej się
odwoływał jako do tej, która się na pewno z nim zgodzi. Co dzień spotykała się z tą samą
serdeczną uprzejmością, tym samym zgadywaniem w lot najdrobniejszych jej pragnień i tą
samą troską, by je natychmiast zaspokoić. Czy doprawdy taką samą? Wydawało się Lucy, że
z większą; trudno się też dziwić, że uszło jej uwagi prawdziwe tego znaczenie. Stefan w ten
delikatny sposób głużył wyrzuty sumienia - robił to zresztą nieświadomie. Atencje
okazywane Madzi były w porównaniu z tym nikłe; nawet powstał między nimi pewien
dystans, który nie pozwalał na okazanie po raz drugi tej odrobiny galanterii, z jaką Stefan
zachował się wobec niej pierwszego dnia na łódce. Jeżeli przychodził, kiedy nie było Lucy
lub też jeżeli Lucy zostawiała ich samych, nigdy nie odzywali się do siebie. Stefan udawał, że
przegląda nuty, Madzia zaś pilnie pochylała głowę nad robótką. Obydwoje byli po czubki
palców świadomi wzajemnej obecności. Sprawiało im to ból prawie. A jednak i jedno, i
drugie pragnęło, by następnego dnia powtórzyło się to samo. Żadne nie zastanawiało się nad
tym ani nawet nie pytało w duchu: Do czego to wszystko zmierza?" Madzia czuła tylko, że w
życiu jej zachodzi jakaś wielka zmiana, i tak była pochłonięta bezpośrednim jej
przeżywaniem, że nie miała już sił, by ją precyzować i analizować. Stefan świadomi odpychał
wszelkie takie pytania i nie przyznawał się przed so samym, że odczuwa cokolwiek, co
mogłoby mieć decydujący wpływ jego postępowanie. Kiedy zaś Lucy wchodziła do pokoju,
znów y swobodni. Madzia potrafiła przekomarzać się ze Stefanem i sm z niego, on zaś mógł
jej rekomendować przykład najbardziej uroc

ROZDZIAŁ VI

477

bohaterki powieściowej, panny Zofii Western³⁰, która miała "ogromny szacunek dla
męskiego rozsądku". Madzia zdolna była wtedy patrzeć na Stefana - czego z takich czy
innych przyczyn unikała, gdy byli sami - a on zdobywał się nawet na prośbę, by mu
akompaniowała, ponieważ rączki Lucy zajęte są robótkami na bazar. Wytykał też jej, że
przyspiesza tempo, co z pewnością było piętą achillesową Madzi.

Pewnego dnia - było to w dzień powrotu Filipa - Lucy niespodziewanie umówiła się, iż pójdzie wieczorem do pani Kenn, której słabowite zdrowie i groźba poważnej choroby, mianowicie zapalenia oskrzeli, kazały zrezygnować z wszelkich funkcji na nadchodzącym bazarze i przekazać je kilku paniom - między innymi i Lucy. Spotkanie zostało umówione w obecności Stefana; słyszał, jak Lucy obiecuje zjeść wcześniej obiad i zejść o szóstej wieczorem do panny Torry, która przyszła z prośbą od pani Kenn.

- Jeszcze jeden wzniosły pożytek z tego idiotycznego bazaru - wybuchnął Stefan natychmiast, gdy panna Torry wyszła z pokoju.

Żeby odciągać młode panny od domowego ogniska i kazać im patrzeć, jak ludzie trwonią pieniądze na podstawki pod czajniki i haftowane sakiewki. Chciałbym wiedzieć, czy właściwym zadaniem sbit nie jest doprowadzanie do tego, by mąż siedział w domu, z domu wychodził? Jeśli tak dalej pójdzie, znikną wszelkie towarzyskie.

- To nie pójdzie o wiele dalej - śmiała się Lucy - bo bazar odbędzie się od tego poniedziałku za tydzień.

- Dzięki Bogu - odparł Stefan. - Sam Kenn powiedział iawno, że nie podoba mu się ten pomysł, w którym próżność staje miłosierdzie. Lecz tak jak społeczeństwo brytyjskie nie jest na tyle ządne, by zgodzić się na bezpośrednie opodatkowanie, tak i St.

; o Zofia Western

Tom i o Western - główna postać kobieca z Toma Jonesa (The History of Jones, a Foundling, 1749 - Historia życia Toma Jonesa, czyli dzieje zutka) Henry'ego Fieldinga (1707-1754).

Powieść obfituje w ironiczne Ozenia i tak też należy odczytać zdanie o szacunku Zofii dla męskiego

KSIĘGA SZÓSTA

478

Ogg's nie ma dość siły przekonań, by zbudować i wyposażyć szkołę bez uciekania się do pomocy jakichś szaleństw.

- Naprawdę tak powiedział? - zapytała mała Lucy otwierając szeroko i niespokojnie orzechowe oczy. - Nigdy nie słyszałam, by mówił coś podobnego. Myślałam, że pochwała to, co robimy.

- Na pewno pochwała to, co ty robisz- Stefan uśmiechnął się do niej czule. - Twój pomysł wychodzenia dzisiaj wieczór jest wstrętny, przyznaję, lecz wiem, że pod nim kryją się dobre intencje.

- Och, masz o mnie zbyt dobre mniemanie - Lucy potrząsnęła główką i zarumieniła się uroczo. Na tym rozmowa się skończyła, lecz milcząco przyjęto za pewnik, iż Stefan nie przyjdzie wieczorem i na podstawie tego milczącego porozumienia młody człowiek przedłużył przedobiednią wizytę, żegnając się dopiero po czwartej.

Wkrótce po obiedzie Madzia usiadła sama w salonie, z Minny na kolanach. Wuja zostawiła, by skończył swój kieliszek wina i zdrzemnął się trochę, matkę zaś, by robiła coś pośredniego pomiędzy kiwaniem głową a robótką na drutach, któremu to zajęciu, jeśli nie było gości, oddawała się zawsze w jadalni aż do herbaty. Madzia pochylała się i pieściła małe jedwabiste zwierzątko, by je pocieszyć pod nieobecność pani, kiedy usłyszała odgłos kroków na żwirze, a podniósłszy głowę zobaczyła pana Stefana Guest, który szedł przez ogród, od strony rzeki. Bardzo to było niezwykle zobaczyć go tak szybko po obiedzie. Zawsze narzekał, że w Park House późno jada się obiad. A jednak zjawił się tutaj w ciemnym ubraniu - najwyraźniej był już w domu i musiał wrócić łódką. Madzia czuła, że policzki jej płoną, a serce bije mocno; nic dziwnego, że się zdenerwowała, bo nie przywykła przyjmować wizyt sama. Zobaczył, jak spojrziała w otwarte na ogród drzwi, i uniósł kapelusza, podchodząc, by wejść tędy, zamiast głównym wejściem. Zacerwienił się również i wyglądał tak głupio, jak wyglądać może

młody człowiek obdarzony dowcipem i pewnością siebie- Trzymał w ręku zwinięte w rulon nuty i odezwał się, jakby i111" pro wizo wał niepewnie.

- Dziwi się pani, że przyszedłem znowu. Powinienem panią przeprosić za tę niespodziankę, ale musiałem wrócić jeszcze do miasta

ROZDZIAŁ VI

479

i wziąłem służącego, by mnie przywiózł, pomyślałem więc, że może podrzucę nuty z Dziewczęcia z Artois³¹ dla kuzynki pani. Zapomniałem o nich dzisiaj rano. Czy może je pani oddać Lucy?

- Tak - odparła Madzia, która wstała uprzednio zmieszana, z Minny na rękę, a teraz, nie wiedząc, co robić, usiadła znowu.

Stefan położył kapelusz i nuty, które stoczyły się na podłogę, i usiadł na krześle obok. Nigdy tego nie robił i zarówno on, jak Madzia świadomi byli, iż to całkiem nowa sytuacja.

- Ach, ty rozpuszczony pieśczochu! - Stefan pochylił się, by pociągnąć długie, kędzierzawe uszy, które przewieszały się przez ramię Madzi. Nie była to uwaga wyznaczająca kierunek konwersacji, a że mówca nie rozwinął jej szerzej, rozmowa musiała utknąć na martwym punkcie. Stefanowi wydawało się, że głaszcze łebek Minny we śnie; musi wykonywać ten ruch, a jednocześnie dziwić się, że to robi. Sprawilo mu to jednak przyjemność: pragnął tylko zdobyć się na odwagę i zwrócić wzrok na Madzie ... i żeby ona też spojrzała na niego. Żeby mógł raz popatrzeć długo w te głębokie, dziwne oczy - potem będzie już zadowolony i bardzo rozsądny. Wydawało mu się, że to pragnienie jednego długiego spojrzenia Madzi opanowało go niby jakaś mania prześladowcza. Przez cały czas łamał głowę jak by to obić, żeby takie spojrzenie otrzymać, ot, tak, przypadkiem, bez zwracania szczególnej uwagi i bez późniejszego zakłopotania. Jeśli zaś chodzi o Madzie, myśli jej były nieokreślone i czuła tylko, że obecność Stefana zawisła nad nią niby jakiś ptak o szerokich skrzydłach lecący w ciemności - nie mogła bowiem podnieść wzroku i widziała tylko czarne, falujące futro Minny.

Lecz musiało się to kiedyś skończyć - może nawet skończyło się rdzo szybko, a wydłużało się tylko w ich wyobraźni, jak jednominu- e sny. Stefan wyprostował się wreszcie i usiadł bokiem na krześle, rzuciwszy przez poręcz jedną rękę i spoglądając na Madzie. Cóż Powinien teraz powiedzieć?

If. Pziewczę z Artois - wystawiona w r. 1836 opera Michaela Williama lfe a, dziś mało znana.

KSIĘGA SZÓSTA

480

- Będziemy mieli chyba piękny zachód słońca ... Czy nie wyszłaby pani go obejrzeć?

- Nie wiem - odparła Madzia. Potem zebrawszy odwagę podniosła wzrok i spoglądając w okno, dodała: - Jeżeli nie będę grała w karty z wujaszkiem.

Chwila milczenia, w której Minny znowu jest głaskana, lecz ma dość inteligencji, by nie odczuwać wdzięczności - nawet cicho powarkuje.

- Czy lubi pani przesiadywać sama?

Na twarzy Madzi pojawił się nieco łobuzerski wyraz. Spoglądając przelotnie na Stefana, spytała: - Czy byłoby grzecznie, gdybym odpowiedziała: tak?

- Pytanie jak na intruza było niebezpieczne - odparł Stefan zachwycony tym spojrzeniem, postanawiając doczekać się drugiego.

- Ale będzie pani miała jeszcze przeszło pół godziny samotności po moim wyjściu - dodał wyjmując zegarek. - Wiem, że pan Deane nigdy nie przychodzi przed wpół do ósmej.

Znowu chwila milczenia. Madzia patrzy uporczywie w okno; wreszcie z dużym wysiłkiem odwraca głowę i, spoglądając na grzbiet Minny, mówi:

- Szkoda, że Lucy musiała wyjść. Przepadło nam dzisiaj muzykowanie.

- Jutro będziemy mieli nowy głos - odparł Stefan. - Czy może pani powiedzieć kuzynce, że Filip Wakem wrócił? Widziałem go w drodze do domu.

Madzia drgnęła lekko. Niewidoczny prawie dreszcz przeszedł ją od stóp do głów. Lecz imię Filipa przywołało inne obrazy i złamało wiszące nad nią zakłęcie. Wstała z nagłym zdecydowaniem i kładąc Minny na poduszce podeszła, by wziąć stojący w kącie duży koszyczek do robótek Lucy. Stefan był zły i rozczarowany. Pewno nazwisko Wakema tak niespodziewanie wymienione sprawiło Madzi przykrość

- przypomniał sobie, co opowiadała mu Lucy o kłótni rodzinnej. Nie ma sensu zostawać tu dłużej. Madzia usadowiła się ze swą robotką przy stoliczku: minę miała chłodną i wyniosłą, a on - on zrobił z siebie

ROZDZIAŁ VI

481

durnia tą wizytą. Jasne, że człowiek musi się wydać śmieszny i nieprzyjemny, kiedy tak przychodzi bez żadnej przyczyny, niepotrzebnie. Przecież dla Madzi musi być jasne, że zjadł spiesznie obiad we własnym pokoju, aby jak najszybciej ruszyć z powrotem i zastać ją samą.

Jak na dwudziestopięcioletniego, dobrze ułożonego młodzieńca, nie pozbawionego prawniczego wykształcenia - trochę to dziecinne. Lecz historia świadczy, że nie jest to nieprawdopodobne.

W tej właśnie chwili kłębek włóczki spadł z kolan Madzi, która wstała, by go podnieść. Stefan poskoczył również i podniósł włóczkę, a wręczając ją Madzi spojrzał na nią udręczonym żalonym spojrzeniem, które oczom jego nadało całkiem nowy wyraz.

- Do widzenia - powiedział tonem, w którym było to samo żalosne błaganie, co w oczach. Nie ośmielił się wyciągnąć ręki, żegnając się wepchnął sobie dłonie w kieszenie surduta. Madzia pomyślała, że chyba zachowała się nieuprzejmie.

- Może pan zostanie? - zapytała nieśmiało, nie odwracając od niego oczu, aby znowu nie wydać się źle wychowaną.

- Nie, dziękuję. - Stefan wpatrywał się wciąż w te pół urzeczone,

KSIĘGA SZÓSTA

482

Jest dla większości kobiet coś dziwnie urzekającego w tym zaofiarowanym im mocnym ramieniu; nie potrzeba im w tym momencie fizycznej pomocy, lecz świadomość tej pomocy - świadomość czyjejś siły, która została im oddana do dyspozycji - stanowi spełnienie ustawicznego pragnienia ich wyobraźni. Z tego to powodu, czy może innego, Madzia ujęła podane jej ramię. I szli razem naokoło wielkiego trawnika pod spływającymi gałęziami drzew, w tym samym sennym odrętwieniu, w jakim znajdowali się piętnaście minut temu, z tą różnicą, że Stefan otrzymał był przecież spojrzenie, o którym marzył, a nie widać było najmniejszych oznak powracającego rozsądku. Przez mgłę w umyśle Madzi przedzierały się myśli: jakżeż mogłam się tu znaleźć? Dlaczego wyszłam z domu? Nie padło ani jedno słowo - gdyby rozmawiali, nie byłoby tak mocno świadomi wzajemnej swej obecności.

- Niech pani uważa na ten schodek - odezwał się wreszcie Stefan.

- Och, wróć już! - zawołała Madzia dostrzegając ratunek w tym schodku. - Dobranoc.

Szybko wysunęła rękę i pędem zawróciła do domu. Nie zastanowiła się wcale, że ten gwałtowny postępek będzie jeszcze jednym kłopotliwym wspomnieniem minionej półgodziny. Nie starczało jej na to myśli. Rzuciła się w niski fotel i wybuchnęła płaczem.

- Och, Filipie, Filipie chciałabym być z tobą znowu w Czerwonej Dolinie ... taki tam spokój.

Stefan spoglądał za nią przez chwilę, a potem wrócił do łódki i wkrótce znalazł się na przystani. Wieczór spędził w sali bilardowej, paląc jedno cygaro po drugim i przegrywając wszystkie po kolei prawa do pchnięć kulą. Nie wyszedł jednak. Postanowił nie myśleć, nie

przyznawać się przed sobą do żadnych wyraźniejszych wspomnień niż te, jakie nasuwała mu bezustanna świadomość obecności Madzi. Spoglądał na nią, a ona wspierała się na jego ramieniu.

Przyszła jednak chwila, kiedy trzeba było powrócić do domu w chłodnym świetle gwiazd, a razem z tym konieczność przeklinania własnego zaślepienia i gorzkie postanowienie, że nigdy już sobie nie

ROZDZIAŁ VII

483

zawierzy i nie zostanie sam na sam z Madzią. Wszystko to szaleństwo: jest przecież zakochany, najgłębiej przywiązany do Lucy i zaręczony - zaręczony w sposób, który powinien być wiążący dla człowieka honoru. Ach, oby nigdy nie był zobaczył Madzi Tulliver, która wpędziła go w taką gorączkę! Będzie rozkoszną, dziwną, trudną i uwielbianą żoną dla jakiegoś mężczyzny, ale on sam nigdy by jej nie wybrał. Czy ona czuje to samo co on? Miał nadzieję, że - nie. Nie powinien był tam jechać. W przyszłości bardziej będzie się trzymał na wodzy. Będzie nieprzyjemny dla niej - może się z nią pokłóci. Pokłóci? Czy można się kłócić z istotą o takich oczach? - wyzywających i błagalnych, odmawiających i tkliwych, wyniosłych i proszących, pełnych cudownych sprzeczności. Warto by zobaczyć takie stworzenie uległe miłością - miłością dla innego.

Ten wewnętrzny monolog zakończył się stłumionym przekleństwem i Stefan, rzuciwszy niedopałek ostatniego cygara i wsunąwszy ręce w kieszenie, pomaszerował wolniejszym już krokiem pomiędzy krzewami. Nie przyniosło mu to jednak uspokojenia.

ROZDZIAŁ VII

FILIP POWRACA

Następnego ranka pogoda była dżdżysta. W taki poranek panowie z sąsiedztwa, pozbawieni określonych zajęć, zwykli składać swoim pięknym znajomym nie kończące się wizyty. Można jeszcze jakoś przejść czy przejechać konno do swej bogdanki w deszcz, który z pewnością zaraz przybierze na sile, a jednocześnie przecież kiedyś tam ustanie, nic więc prócz otwartej kłótni nie jest w stanie skrócić wizyty, ukryta zaś niechęć z całą pewnością na to nie wystarczy. A jeżeli w dodatku się zdarzy, że ludzie są zakochani - cóż może być w Anglii piękniejszego jak deszczowe poranki. Angielskie słońce

KSIĘGA SZÓSTA

484

zawsze jest zawodne, kapelusz nie jest rzeczą pewną, siadanie zaś na trawie grozi katarem. Na deszczu jednak można polegać. Galopuje się w strugach wody pod peleryną i wkrótce już się jest na ulubionym miejscu; troszkę wyżej lub troszkę niżej od tego, na którym siedzi twoja bogdanka (co, zdaniem metafizyków, wychodzi na jedno - dlatego właśnie kobiety uwielbia się, patrząc jednocześnie na nie z góry), z przyjemnym przeświadczeniem, iż żadna dama nie przyjdzie teraz z wizytą.

- Jestem pewna, że Stefan zjawi się wcześniej dziś przed południem - oświadczyła Lucy. - Zawsze przychodzi wcześniej, kiedy deszcz pada.

Madzia nie odpowiedziała. Zła była na Stefana; przychodziło jej do głowy, że powinna go nie lubić, i gdyby nie padało, poszłaby do cioci Glegg z samego rana, by uniknąć z nim spotkania. Musi teraz wymyślić jakiś pretekst, żeby pozostać z matką i nie iść do salonu. Stefan jednak nie przyszedł wcześniej - wyprzedził go natomiast inny gość - bliższy sąsiad. Wchodząc do pokoju Filip zamierzał tylko skłonić się Madzi, sądząc, że ich znajomość jest tajemnicą, której zdradzić nie powinien. Kiedy jednak wyszła ku niemu, wyciągając rękę, zgadł natychmiast, że Lucy została dopuszczona do sekretu. Oboje wzruszyli się bardzo, choć Filip przygotowywał się na tę chwilę przez wiele godzin. Lecz jak wszyscy ludzie, którzy przeszli przez życie nie licząc wiele na współczucie innych, rzadko tracił panowanie nad sobą i całą wrażliwością dumy nie pozwalał sobie na widoczną oznakę wzruszenia. Wszystko, co

świadczyło u Filipa o wewnętrznym, gwałtownie przeżywanym dramacie, to nieco większa bladość, lekkie drżenie nozdrzy, gdy mówił, i głos nastrojony na trochę wyższy ton; dla obcego byłyby to oznaki chłodu i obojętności. Lecz Madzia, która miała niewiele więcej możliwości ukrywania swych uczuć niż gdyby była utkana ze strun muzycznych, czuła, ujmując bez słowa rękę Filipa, że łzy napływają jej do oczu. Nie były to łzy smutku, lecz takie, jakie wylewają kobiety i dzieci, kiedy znalazły opiekę i mogą już obrócić się i spojrzeć na grożące przed chwilą niebezpieczeństwo. Filip bowiem, który tak niedawno łączył się w pojęciu Madzi z obawą

ROZDZIAŁ VII

485

słusznego gniewu Tomka, teraz, przez ten krótki okres, stał się dla niej jakby zewnętrznym głosem sumienia, do którego mogła się uciekać po radę i siły. Miała dla Filipa spokojne, serdeczne uczucie, zakorzenione głęboko w dzieciństwie, miała wspomnienia długich, cichych rozmów, które łańcuchem kolejnych wrażeń utwierdziły w niej pierwsze instynktowne skłonności. Przy tym fakt, iż ku Filipowi wybiegała przede wszystkim jej litość i kobiece oddanie, a nie próżność czy inne egoistyczne odruchy, sprawiał, że stał się teraz dla niej jakby sanktuarium, gdzie mogła szukać schronienia przed kuszeniem, któremu musi przeciwstawić wszystko, co w niej najlepsze; kuszeniem, które do jej serca wprowadzić musi straszliwą rozterkę, a na zewnątrz ściągnie nieszczęście. Ten nowy aspekt stosunków z Filipem odsunął wszelki niepokój i skrupuły, które odczuwałaby w innym wypadku - obawę, iż przekroczy granicę, jaką nakreślił jej Tomek. Wyciągnęła więc rękę do Filipa i nie miała najmniejszych wyrzutów sumienia, gdy czuła wzbierające w oczach łzy. Lucy tak właśnie wyobrażała sobie tę scenę, a dobre jej serduszko radowało się teraz na myśl, że oto połączyła Filipa i Madzie. Mimo jednak całego swojego szacunku dla Filipa nie mogła się oprzeć wrażeniu, iż kuzyn Tomek miał pewne podstawy, by go raziło fizyczne niedopasowanie tych dwojga - ten prozaiczny kuzyn Tomek, który nie lubił poezji i bajek. Lecz zaczęła zaraz mówić, aby nie czuli skrępowania.

- Pięknie to i szlachetnie - odezwała się swoim cienkim głosikiem, przypominającym rozmowny świergot małych ptaszków - że przyszedł pan do nas zaraz po przyjeździe. Wobec tego wybaczę panu jego niewczesną ucieczkę, bez uprzedniego zawiadomienia przyjaciół. Proszę, niechże pan siada - tu wskazała miejsce, gdzie mogło mu być najwygodniej - a zostanie pan potraktowany miłosierdzie.

- Nigdy nie będzie pani dobrym władcą - mówił Filip siadając - bo nikt nigdy nie uwierzy w surowość pani. Wiedząc, że znajdują u pani pobłażanie, ludzie będą tym łatwiej popełniać wykroczenia.

Lucy zaprzeczyła mu żartobliwie, ale Filip tego nie dosłyszał, był bowiem zwrócony do Madzi, a ona spoglądała nań otwarcie i serdecz-

KSIĘGA SZÓSTA

486

nie, jak się patrzy na przyjaciela po długiej rozłące. Jakże straszne było ich rozstanie! Zdawało się Filipowi, że było to zaledwie wczoraj. Widział minione wypadki tak ostro - pamiętał tak intensywnie i szczegółowo, z takim przejęciem przywoływał w pamięci wszystko, co zostało wyrażone słowami i wzrokiem podczas ich ostatniego spotkania, że teraz z zazdrością i podejrzliwością, które nieuchronnie wiążą się z mocnym uczuciem u ludzi nie ufających własnym siłom, wyobrażał sobie, iż dostrzega już w spojrzeniu i zachowaniu Madzi dowody zmiany. Sam fakt, że bał się ich i niemal spodziewał, wystarczał, by Filip uznał je za istniejące, ponieważ nie miał dowodu, iż jest inaczej.

- Mam cudowne wakacje - mówiła Madzia. - Lucy jest czarodziejską wróżką, w okamgnieniu zmieniła mnie z popychadła w księżniczkę. Leniuchuję całymi dniami, a ona odgaduje moje pragnienia, zanim ja sama zdam sobie z nich sprawę.

- Jestem pewien, że jest szczęśliwa mając tu panią przy sobie - odparł Filip. - Lepsza jest pani przecież od całej tej menażerii ulubieńców. I wygląda pani doskonale, zmiana dobrze pani zrobiła.

Przez chwilę jeszcze trwała taka sztuczna rozmowa, aż wreszcie Lucy, chcąc temu położyć kres, zakrzyknęła, wybornie udając przerażenie, iż zapomniała o czymś, i wybiegła z pokoju.

Madzia i Filip pochyliłi się natychmiast i jeszcze raz uścisnęli sobie dłonie z uczuciem smutnego zadowolenia, jak przyjaciele, którzy spotykają się, pamiętając niedawny ból.

- Powiedziałam bratu, że chcę zobaczyć się z tobą, Filipie, i prosiłam go, żeby mnie zwolnił z obietnicy, a on się zgodził.

Madzia w swej popędliwości pragnęła od razu powiedzieć Filipowi, jakie stosunki mogą ich łączyć - powstrzymała się jednak. To, co się wydarzyło po wyznaniu przez niego miłości, było tak przykre, że nie chciała pierwsza o tym wspominać. Miała wrażenie, że wyrządza krzywdę Filipowi wymieniając choćby imię swojego brata - brata, który go tak obraził. Lecz Filip myśli miał zajęte wyłącznie jej osobą i w tej chwili nie obchodziło go nic innego.

ROZDZIAŁ VII

487

- Więc możemy być wreszcie przyjaciółmi? Nic nam już nie stoi na przeszkodzie?

- A twój tatuś nie będzie miał zastrzeżeń? - Madzia wysunęła swą rękę z dłoni Filipa.

- Nie wyrzeknę się ciebie dla nikogo, chyba że sama będziesz tego chciała - odparł Filip czerwieniąc się lekko. - Są pewne punkty, w których zawsze będę się sprzeciwiał memu ojcu. To właśnie jeden z nich.

- Więc nic nie stoi na drodze naszej przyjaźni, Filipie. Możemy się widywać i rozmawiać ze sobą, póki tu jestem. Niedługo znowu wyjadę. Chcę objąć wkrótce nową posadę.

- Czy to jest konieczne, Madziu?

- Tak, nie mogę zostać tu długo. Trudniej mi przez to będzie dostosować się do życia, które wreszcie muszę rozpocząć. Nie mogę być od nikogo zależna, nie mogę mieszkać z moim bratem, chociaż jest dla mnie bardzo dobry. Chciałby mnie utrzymywać, lecz tego bym nie zniosła.

Przez chwilę Filip milczał, po czym odezwał się tym wysokim, słabym głosem, który był u niego oznaką tłumionego wzruszenia.

- Czy nie ma innego wyjścia, Madziu? Czy pozwalasz sobie myśleć jedynie o życiu z dala od wszystkich, którzy cię kochają?

- Tak, Filipie - odpowiedziała patrząc na niego błagalnie, jakby prosiła, by uwierzył, że tak musi postąpić. - Przynajmniej teraz. Nie wiem, co mogą przynieść następne lata. Ale zaczynam myśleć, że nigdy mi nie przyjdzie wiele szczęścia z kochania, zawsze się z nim miesza tyle bólu. Pragnęłabym sobie stworzyć jakiś świat niezależny od uczuć, taki jak mają mężczyźni.

- A więc wracasz do swoich starych pomysłów w nowej formie, Madziu. Tych, które zawsze zwalczałem - mówił Filip z lekką nutą goryczy. - Wyszukujesz sobie pewien rodzaj wyrzeczenia, które ma być ucieczką od bólu. Powiadam ci raz jeszcze, że nie ma podobnej ucieczki, chyba że będziesz zadawać gwałt czy też okaleczać swoją własną naturę. Cóż by się stało ze mną, gdybym próbował uciec od bólu? Jedyńm dla mnie opium byłaby pogarda i cynizm. Chyba,

38 BN H/234 G. Eliot: Młyn nad Flossą

KSIĘGA SZÓSTA

488

żebym wpadł w jakieś szalone zarozumiałstwo i wyobrażał sobie, iż jestem ulubieńcem Niebios, ponieważ nie jestem ulubieńcem ludzi.

W miarę jak mówił, rosła jego gorycz; słowa te były widać nie tylko odpowiedzią Madzi, lecz wyrazem jakiegoś gwałtownego uczucia. W tej chwili przejmował go ból. Duma i delikatność

powstrzymywały go od najmniejszej wzmianki o miłości - o miłości, którą sobie wzajem przyrzekli. To byłoby przypominaniem Madzi o obietnicy - miałyby posmak podłego przymusu. Nie mógł jej powiedzieć, że on sam się nie zmienił, bo i to również miałyby w sobie coś z próby. Na miłości Filipa do Madzi, bardziej niż na innych doświadczeniach, zaważyła jego przesadna świadomość swojej odmienności. Uważał, że Madzia, jak wszyscy, widzi w nim przede wszystkim to, co go różni od innych ludzi.

Madzia jednak poczuła wyrzuty sumienia.

- Tak, Filipie - powiedziała z dziecinną skruchą, jak dawniej, kiedy odpowiadała na jego łajania. - Wiem, że masz rację. Za wiele myślę o własnych uczuciach, a za mało o cudzych ... za mało o twoich. Powinam mieć cię zawsze, byś mógł mnie uczyć i wytykać moje błędy. Tyle rzeczy, które mi zwykleś mówić, okazało się prawdą!

Madzia siedziała wsparta na łokciu, głowę złożywszy na dłoni, i spoglądała na Filipa ze skruchą i serdecznym przywiązaniem, on zaś patrzył na nią z wyrazem, który wydawał jej się coraz bardziej znaczący - jakby jej wyrzucał coś ... co miało miejsce ... coś specjalnego. Czyżby myśli Filipa obracały się wokół tego, o czym ona teraz myśli? Wokół czegoś o wielbiciele Lucy? Na samo to przypuszczenie dreszcz przeszedł Madzie; jej sytuacja i wszystko, ku czemu zmierzały wydarzenia wczoraj szego wieczoru, zarysowało się przed nią ostrzej i wyraziściej. Zdjęła rękę ze stołu, zmuszona do zmiany pozycji zwykłym, fizycznym "bólom serca, który towarzyszy czasem nagleniu wewnętrznemu wstrząsowi.

- O co chodzi, Madziu? Czy coś się stało? - zapytał Filip z ogromną trwogą. Wyobraźnia jego była aż nazbyt skora do podsuwania mu wizji czegoś, co im obojgu zagraża.

- Nie ... nic - Madzia opanowała się z wysiłkiem. Ta straszna myśl nie może przyjść Filipowi do głowy. Ona sama zdusi ją w sobie.

ROZDZIAŁ VII

489

Nic - powtórzyła - chyba tylko w moich myślach. Mówiłeś mi, że jeszcze zobaczą, jakie będą skutki mojego wygłodzonego, jak je nazwałeś, życia, i zobaczyłam rzeczywiście. Zbyt chciwie cieszę się muzyką i wszystkimi luksusami, teraz, kiedy zostały mi dane.

Podjęła znowu robótkę i zaczęła szyć pilnie, a Filip przyglądał się jej niepewny w gruncie rzeczy, czy Madzia myślała tylko i jedynie o niesprecyzowanych problemach. Co prawda typowe było dla niej robienie sobie jakichś nieokreślonych wyrzutów. Wkrótce jednak rozległ się dobrze znany dźwięk dzwonka, który donośnym echem rozniósł się po domu.

- Cóż to za głośny sposób oznajmiania swojego przyjścia.

- Madzia była opanowana, chociaż serce jej zatrzepotało lekko.

- Gdzie też podziewa się Lucy?

Lucy nie pozostała głucha na dźwięk dzwonka i po chwili wystarczającej na kilka czułych, lecz niespiesznych pytań, sama wprowadziła Stefana.

- Witaj, stary przyjacielu - mówił Stefan, serdecznie ściskając dłoń Filipa, a Madzi kłaniając się tylko w przejściu. - Jakże się cieszę, że znów jesteś z nami. Wolałbym tylko, byś się nie zachowywał jak jaskółka rezydująca na poddaszu i nie wyjeżdżał bezustannie, nawet służbie nie zostawiając wiadomości. Już chyba po raz dwudziesty drapię się po tych niezliczonych schodkach do twojej pracowni malarskiej, bo służba mówi mi, że jesteś w domu, no i, oczywiście, nie znajduję tam nikogo. Takie wypadki zaprawiają przyjaźń goryczą.

- Tak niewiele odwiedza mnie osób, że wydawało mi się zbyteczne zostawianie wiadomości o moich wyjazdach i przyjazdach. - Filip czuł się w tej chwili trochę przytłoczony obecnością przystojnego, mocnego Stefana i jego silnym głosem.

Jak się pani dzisiaj czuje, panno Madziu? - zwrócił się do niej Stefan ze sztywną uprzejmością i podał jej rękę z miną człowieka, który wypełnia obowiązek towarzyski.

Madzia podała mu czubki palców i odpowiedziała: - Dziękuję, obrze - tonem wyniosłej obojętności. Filip obserwował ich bacznie, 'z Lucy przywykła już do zmian w ich zachowaniu; przyjmowała je

38

KSIĘGA SZÓSTA

490

z przykrością za wyraz ich wzajemnej wrodzonej antypatii, tłumionej niekiedy wysiłkami dobrej woli. "Madzia nie jest typem kobiety, którą by Stefan polubił, a ją złości w nim coś, co ona bierze za zarozumiałość" - tak tłumaczyła sobie tę sprawę szczerą, bezpośrednią Lucy.

Lecz natychmiast po tym sztucznym powitaniu i Stefan, i Madzia poczuli się oboje dotknięci wzajemnym chłodem. Stefan wypytyjąc Filipa o ostatnią wyprawę plenerową myślał jeszcze intensywniej o Madzi, ponieważ nie dawała się wciągnąć do rozmowy, a zawsze było inaczej. "Madzia i Filip nie wyglądają na szczęśliwych

- myślała Lucy. - To pierwsze spotkanie jakoś ich zasmuciło".

- Wydaje mi się, że my wszyscy, którzy nie galopowaliśmy konno

- powiedziała do Stefana - nasiąkliśmy wilgocią. Posłuchajmy wobec tego trochę muzyki.

Musimy wykorzystać to, że mamy razem ciebie i Filipa. Zaśpiewajcie nam duet z

Masaniella³². Madzia go jeszcze nie słyszała, a na pewno jej się spodoba.

- No więc, zaczynajmy - Stefan podszedł do pianina i podał ton swym głębokim, miłym dla ucha basem.

- Panie Filipie - prosiła Lucy - niech pan weźmie na siebie również akompaniament, to będę mogła zżyć. Czy ma pan ochotę grać?- dodała z miłym, pytającym spojrzeniem, bojąc się, jak zwykle, że to, co zaproponowała, może być komuś niemiłe - lecz bardzo pragnęła skończyć haft.

Filip rozjaśnił się na tę propozycję, bo nie ma chyba uczucia, z wyjątkiem uczucia najwyższego strachu czy smutku, któremu nie przynosiłaby ulgi muzyka - i dzięki któremu człowiek nie potrafiłby jeszcze piękniej grać czy śpiewać! Filipa zaś rozpierały tłumione uczucia, tak złożone, jak złożone musi być każde trio czy kwartet, które ma wyrazić jednocześnie miłość, zazdrość, rezygnację i najdzikszą podejrzliwość.

- Z przyjemnością - odparł siadając przy fortepianie. - To tak, jakby można było uzupełnić własne niedoskonałe życie i stać się

³² Masaniello czyli rybak neapolitański - opera, której twórcą był kompozytor francuski pochodzenia włoskiego Michel- Henri Carafa (1787-1872).

ROZDZIAŁ VII

491

trzema osobami naraz: śpiewać, zmuszać fortepian do śpiewu i jednocześnie słuchać jednego i drugiego - albo też śpiewać i malować.

- Można ci pozazdrościć. Ja nie potrafię nic robić rękoma - mówił Stefan. - Zdarza się to, moim zdaniem, niezwykle często u ludzi o wielkich talentach administracyjnych. Walory umysłu mają skłonność do wysuwania się u mnie na pierwszy plan, nie zauważyła pani tego, panno Tulliver?

Powrócił przez pomyłkę do swego dawnego obyczaju żartobliwego odwoływania się do opinii Madzi, dziewczyna zaś nie mogła powstrzymać ani napływającego na policzki rumieńca, ani dowcipnej odpowiedzi.

- Owszem, zauważyłam u pana skłonność do wysuwania się na pierwszy plan - odparła z uśmiechem, a Filip miał serdeczną nadzieję, iż ta skłonność wyda się jej niemiła.

- Prosimy teraz o muzykę! - zawołała Lucy. - Później będziemy rozmawiać o naszych cechach charakteru.

Madzia zawsze bezskutecznie usiłowała pracować, kiedy rozlegały się tony muzyki. Dzisiaj starała się o to mocniej niż kiedykolwiek, bo świadomość, iż Stefan wie, jak ona lubi jego śpiew, budziła w niej już nie tylko żartobliwy opór. Wiedziała też, że ma zwyczaj stawać przy fortepianie tak, by mógł dobrze ją widzieć. Próżne starania! Wkrótce robótka osunęła się jej na kolana i Madzia zapomniała o swym postanowieniu, przejęta niezdecydowanymi uczuciami, jakie wywołał w niej porywający duet - uczuciami, które dawały jej zarazem siłę i słabość: silniejsza była jej radość, lecz słabszy był jej opór. Kiedy melodia przeszła w minor, Madzia prawie poderwała się z krzesła, tak nią wstrząsnęła ta nagła zmiana. Biedna Madzia! Jak pięknie wyglądały gdy nieubłagana, potężna muzyka grała na strunach jej duszy! Ozna było dostrzec, jak przez całe ciało dziewczyny przechodził dwójdo dostrzegalne drżenie, gdy pochylała się do przodu, zaciskając ręce, jakby się chciała uspokoić. Oczy jej rozszerzały się i rozbłyskiwały z dziecinnym wyrazem zdumienia i zachwytu, który zawsze wypływał z jej twarzy w najszcześniejszych momentach życia. Lucy, która siedziała zwykle przy fortepianie, kiedy Madzia miała taką minę, teraz

KSIĘGA SZÓSTA

492

nie mogła się oprzeć i cichutko podszedłszy do ciemnowłosej kuzynki ucałowała ją. Filip również spoglądał na Madzie, odwracając się od czasu do czasu od otwartych nut, i myślał, że nigdy jeszcze nie widział jej pod tak silnym wrażeniem.

- Jeszcze, jeszcze! - woła Lucy, kiedy skończył się bis. - Jeszcze coś żywego. Madzia zawsze powiada, że lubi, jak muzyka wprost grzmi.

- Wobec tego zaśpiewajmy Chodźmy już w drogę³³ - mówił Stefan. - Bardzo to odpowiednie w taką deszczową pogodę. Ale czy jesteś gotowa porzucić swoje najświętsze obowiązki i zaśpiewać z nami?

- O, tak - odpowiedziała Lucy ze śmiechem. - Może tylko wynajdziesz Operę żebracza³⁴: W dużej szafce są nuty. Jest w ciemnej oprawie.

- Znakomita wskazówka - mrucał Stefan podchodząc do szafki - zważywszy, że jest tutaj ze dwadzieścia tomów w takiej samej ciemnej oprawie.

- Och, panie Filipie, niech nam pan coś zagra tymczasem - prosiła Lucy widząc, że jego palce błądzą po klawiaturze. - W jaką pan przeszedł teraz melodię? To coś ładnego, czego nie znam.

- Nie zna pani tego? - zapytał Filip grając teraz wyraźniej melodię. - To z Somnambulika³⁵: Ah, perche non posso odiarti³⁶. Nie znam całej opery, ale wydaje mi się, że tutaj tenor mówi heroinie, że będzie ją zawsze kochał, chociaż ona może o nim zapomnieć. Słyszała kiedyś pani, jak śpiewałem to po angielsku: Kocham cię wciąż.

³³ Chodźmy już w drogę - nie udało się ustalić autorstwa pieśni.

³⁴ Opera żebracza (The Beggar's Opera) - wystawiana dotąd opera buffo Johna Gaya (1685-1732), poety i dramaturga angielskiego, niezmiennie popularna od prapremiery w 1728 r.

³⁵ Somnambulik - człowiek wykonujący we śnie różne czynności. Tu: tytuł sentymentalnej opery Vincenzo Belliniego (1801-1835), którego najbardziej znaną operą jest Norma.

³⁶ Ah, perche non posso odiarti (wł.) - ach, czemuż nie mogę cię niena- widzieć.

ROZDZIAŁ VII

493

Nieprzypadkowo Filip przeszedł do tej pieśni, która mogła pośrednio powiedzieć Madzi to, do wymówienia czego on sam nie mógł się zmusić. Słuchała uważnie jego słów, a kiedy zaczął śpiewać, zrozumiała żalną skargę muzyki. Błagalny głos tenora nie odznaczał się niczym nadzwyczajnym, lecz nie było to nowością dla Madzi; słyszała go przecież czasami, jak śpiewał przyciszonym głosem, wśród trawą porośniętych zagłębień i ścieżek i popod schyłym jesionem w Czerwonej Dolinie. W słowach tych krył się jakby wyrzut - czyżby

naprawdę? Pragnęła teraz, żeby była wyraźniej go zapewniła, iż tylko dlatego nie chce budzić nadziei na ich wzajemną miłość, że uniemożliwiają to okoliczności, a tych nic zmienić nie może. Pieśń ta nie przejmowała jej dreszczem, lecz wzruszała; budziła wyraźne wspomnienia i myśli, a w miejsce przejęcia i wzburzenia przynosiła spokojny żal.

- Tak to jest z wami, tenorami - odezwał się Stefan, który z nutami w ręku czekał, aż Filip skończy. - Demoralizujecie płeć piękną, swiergocąc jej o swej sentymentalnej miłości i wierności bez względu na to, jak podle wam za to płaci. Dopiero, kiedy wasze głowy podano by na półmisku, jak głowę tego średniowiecznego tenora czy trubadura, przestalibyście wyśpiewywać tę swoją absolutną rezygnację - JC - Muszę dostarczyć wszystkim jakiegoś antidotum, póki panna Deane nie będzie gotowa oderwać się wreszcie od swych szpulek. Głos Stefana zahuczał z zuchwałą energią:

Czyliż umrzeć mam z rozpaczy, Bo ona spojrzeć nie raczy?³⁷

i sprawił, że cały pokój ożywił teraz nowy nastrój. Lucy, zawsze dumna z tego, co robił Stefan, podeszła śmiejąc się do fortepianu i patrzyła na fliłodego człowieka z uwielbieniem, a Madzia, choć była oporna

nastrojowi piosenki, i śpiewakowi, uległa niewidocznemu działaniu 1 se pieśni - porwała ją fala, której opierać się nie była w stanie. Lecz postanawiając ze złością, że się z tym nie zdradzi, chwyciła

obótkę i z uporem znaczyła ściegi w złych miejscach i kłuła sobie

Te dwa wersy pochodzą ze sławnej pieśni Postanowienie kochanka (The <over's Resolutiori) poety angielskiego George'a Wither'a (1588-1667).

KSIĘGA SZÓSTA

494

palce, nie podnosząc głowy i nie bacząc, co się w pokoju dzieje, póki trzy głosy nie złączyły się w pieśni: Chodźmy już w drogę.

Obawiam się, że Madzia odczułaby lekką, cichą satysfakcję, gdyby wiedziała, jak bardzo jest nią zajęty ten zuchwały, zawadiacki Stefan; jak szybko przerzuca się od postanowienia, że będzie ją traktował z ostentacyjną obojętnością - do dręczącego pragnienia, by otrzymać od niej jakiś znak sympatii - zamienić z nią przyciszonym głosem słowo czy spojrzenie. Wkrótce nadarzyła się po temu sposobność, kiedy przeszli do pieśni z Burzy³⁸. Madzia chciała oprzeć nogi i przeszła przez pokój, by przynieść sobie stołeczek. Stefan, który w tej chwili nie śpiewał, a obserwował ją przez cały czas, zgadł jej życzenie, rzucił się po podnózek i przyniósł go, patrząc przy tym na nią tak błagalnym wzrokiem, że nie sposób było nie odpowiedzieć na to wdzięcznym spojrzeniem. A potem - kiedy stołeczek jest ustawiany ostrożnie przez bardzo pewną siebie osobę - nie jakąś tam pewną siebie osobę, lecz właśnie tę jedną - przez człowieka, który nagle staje się pokorny i nieśmiały i zwleka jeszcze, pochylony, by spytać, czy jej tutaj nie wieje pomiędzy kominkiem a oknem i czy pozwoli mu przysunąć stoliczek do robótek - te rzeczy wywołują w kobiecych oczach odrobinę żywej i bardzo zdradzieckiej czułości, zwłaszcza jeżeli dziewczyna wcześniej musiała brać od życia lekcje w bardzo pospolitym języku. Madzia nieczęsto przeżywała takie momenty - wprost przeciwnie, stanowiły dla niej całkowitą nowość, a przecież mieszkało w niej nie zaspokojone pragnienie hołdu. Ten łagodny i marzący ton zmusił ją, by spojrzała w pochyloną ku sobie twarz i powiedziała: "Nie, dziękuję". Nic zaś nie mogło sprawić, by ta wymiana spojrzeń nie była dla obydwójga równie cudowna, jak poprzedniego wieczoru.

Ze strony Stefana był to zwykły akt uprzejmości i cała sprawa nie mogła trwać dłużej niż dwie minuty, toteż Lucy, która właśnie

³⁸ Burza (The Tempest) - ostatni z dramatów Shakespeare'a, prawdopodobnie wystawiony po raz pierwszy w r. 1611. Zawiera wiele pięknych liryków, do których napisano muzykę.

ROZDZIAŁ VII

495

śpiewała, prawie nie zwróciła na to uwagi, Filip jednak, przejęty mglistymi obawami, które łatwo znajdują uzasadnienie w przypadkowym nawet zdarzeniu, zauważył tę nagłą usłużność Stefana i zmianę na twarzy Madzi, na której wyraźnie odbił się ten sam blask, co na twarzy młodego człowieka. Dostrzegł w tym tak wyraźny kontrast z poprzednimi, sztucznymi nieco oznakami obojętności, że natychmiast przypisał całej sprawie przykre znaczenie. Głos śpiewającego znów Stefana grał mu teraz na nerwach, jakby waliły o siebie kawałki blachy; miał wielką ochotę zmusić fortepian, by odpowiedział na ten śpiew dysharmonijnym krzykiem. W rzeczywistości nie miał żadnej konkretnej podstawy, by podejrzewać, że między Stefanem a Madzią istnieje jakieś uczucie - tak mu tłumaczył rozum i Filip zapragnął natychmiast wracać do domu, by chłodno przemyśleć swoje fałszywe wyobrażenia i upewnić się, że są bezpodstawne. Ale pragnął jednocześnie zostać tak długo, jak długo zostanie Stefan - zawsze siedzieć tu wtedy, kiedy Stefan będzie koło Madzi. Biednemu Filipowi wydawało się oczywiste, więcej nawet, nieuniknione, że każdy, kto się do Madzi zbliży, zaraz się w niej zakocha. Lecz nie przyniosłoby jej szczęścia, gdyby w jakimś omamieniu pokochała Stefana. Na tę myśl Filip zaczął śmieiej myśleć o swej miłości; może nie jest tak całkiem niegodna Madzi. W nawale ogłuszających myśli zaczął grać bardzo fałszywie, " Lucy spojrzęła na niego ze zdziwieniem; wreszcie weszła pani Tulliver wzywając ich na obiad, co było doskonałym pretekstem do szybkiego przerwania śpiewu.

- Ach, pan Filip! - zawołał pan Deane, kiedy weszli do jadalni. - Dawno pana nie widziałem. Ojciec zdaje się wyjechał, prawda? Byłem

u niego niedawno w kancelarii i powiedziano mi, że nie ma go w mieście.

- Wyjeżdżał do Mudport w interesach na kilka dni - odparł Filip - ale już wrócił.

- Nie minął mu jeszcze ten bzik gospodarowania?

- Chyba nie - odparł Filip, trochę zdziwiony tym nagłym zainteresowaniem zajęciami ojca.

- Bo - ciągnął pan Deane - ma przecież jakąś ziemię i po tej, 1 Po tamtej stronie rzeki, co?

KSIĘGA SZÓSTA

496

- Tak, ma.

- Cóż - tu pan Deane nałożył sobie zapiekanki z gołębia - chyba już doszedł do wniosku, że gospodarka to ciężki krzyż i kosztowny konik, co? Nigdy nie miałem żadnych tam bzików, nigdy sobie na to nie pozwalałem. A najgorsze upodobania to takie, z których ludzie myślą wyciągnąć pieniądze. Wyrzucają wtedy gotówkę jak ziarno z worka.

Lucy była trochę speszona tą nieuzasadnioną krytyką wydatków pana Wakema. Lecz na tym się skończyło i przez resztę obiadu pan Deane był wyjątkowo milczący i zamyślony. Lucy zazwyczaj pilnie baczyła na słowa ojca, a że miała powody, wzmocnione ostatnio, do interesowania się również sprawami Wakema, ogromnie była ciekawa, co skłoniło ojca do tych pytań. Widząc, że zamilkł, nabrała pewności, że za tym wszystkim coś się kryje.

To właśnie mając na myśli uciekła się do swego zwykłego podstępu, kiedy chciała wyprosić coś u ojca czy też zapytać go o szczególnie ważną sprawę. Wymyśliła jakiś powód, dla którego ciocia Tulliver musiała po obiedzie wyjść ze stołowego, i usadowiła się na małym stołeczku u kolan ojca. W takich chwilach pan Deane stwierdzał, że kosztuje jednej z największych rozkoszy, jakie mogły mu zdobyć jego cnoty - mimo iż Lucy, nie chcąc mieć włosów pudrowanych tabaką, zaczynała rozmowę od odbierania ojcu tabakierę.

- Nie będzie teraz tatuś spał, prawda? - zapytała przynosząc stołeczek i rozchylając duże palce ojca, które zaciskały się na tabakierce.

- Jeszcze nie - odparł pan Deane spoglądając na znajdującą się w karafce nagrodę za cnoty. -

Ale czego ty chcesz ode mnie? - dodał szczypiąc serdecznie córkę w policzek z dołeczkiem. - Wyciągnąć rękę z kieszeni jeszcze kilka suwerenów na twój bazar?

- Nie. Dzisiaj nie przyszedłem w tak niskich celach. Chciałabym porozmawiać, a nie zebrać. Chciałabym, żeby mi tatuś powiedział, dlaczego pytał Filipa Wakema o gospodarstwo jego

ojca. Takie mi się to wydawało dziwne, bo tatuś nigdy o to nie pyta. I dlaczego by miał się tatuś martwić, że pan Wakem marnuje pieniądze na swoje dziwactwa?

497

ROZDZIAŁ VII

- To ma coś wspólnego z interesami - pan Deane machnął ręką, jakby chciał w ten sposób odpędzić natrętne pytania dotyczące jego tajemnicy.

- Ale przecież zawsze tata mówi, że pan Wakem wychował Filipa jak dziewczynkę. Skąd tatusiowi przyszło do głowy, że on może coś wiedzieć o interesach? Te obcesowe pytania tak dziwnie zabrzmiały. Filip na pewno też tak sądzi!

- Bzdury, moja mała - pan Deane próbował usprawiedliwić swoje zachowanie, robiąc bowiem karierę czynił pewne wysiłki celem zdobycia poloni. - Mam wiadomości, że młyn i ferma Wakema po tamtej stronie rzeki, młyn Dorlcote, wiesz, wujaszka Tullivera - nie idą tak dobrze jak dawniej. Chciałem się dowiedzieć od twego przyjaciela Filipa, czy jego ojciec nie ma czasem dość gospodarki na roli.

- Ale dlaczego? Czy tatuś kupiłby ten młyn, gdyby pan Wakem chciał się go pozbyć? - Oczywiście Lucy rozbłyśły. - Och, niech mi tatuś powie wszystko ... o, dostanie tatuś swoją tabakierkę, jak mi powie. Bo Madzia mi mówiła, że oni marzą, żeby Tomek kiedyś odzyskał młyn.

Jednym z ostatnich życzeń jego ojca było, żeby Tomek się starał wrócić do młyna.

- Cicho, kotku - uspokajał ją pan Deane korzystając z odzyskanej tabakiery. Nie wolno o tym mówić, słyszysz? Niewiele jest szans, żeby odzyskali młyn czy też żeby go ktokolwiek inny wyciągnął z rąk Wakema. A w dodatku gdyby wiedział, że my kupujemy młyn chcąc pomóc Tulliverom do niego wrócić, tym bardziej nie chciałby go sprzedać. To oczywiste, po wszystkim, co się stało. Przedtem zachowywał się wobec Tullivera całkiem przyzwoicie, lecz trudno płacić śliwkami w cukrze za chłostę szpicrutą.

- Tatusiu - zaczęła Lucy z poważną miną. - Czy zaufa mi tatuś? Nie może mnie tatuś pytać o powody, dla których to mówię, ale tam bardzo poważne powody. I jestem rozważna, naprawdę.

- No, słucham.

- Więc, myślę, że gdyby tatuś pozwolił mi zawierzyć tę tajemnicę Filipowi, powiedzieć mu, że tatuś chce kupić młyn i dlaczego ... że moi

KSIĘGA SZÓSTA

498

kuzyni tego pragną ... myślę, że Filip pomógłby w tej sprawie. Wiem, że pragnąłby pomóc.

- Nie pojmuję, dlaczego, moja mała - odparł pan Deane zdumiony. - Dlaczegoż by miało mu na tym zależeć? - potem, spoglądając badawczo na córkę, dodał: - Chyba nie myślisz, że biedak się w tobie kocha, a ty możesz go do wszystkiego zmusić. - (Pan Deane był zupełnie pewny uczuć swej córki).

- Nie, tatusiu, jemu na mnie nie zależy, nawet mniej niż mnie na nim. Ale mam podstawy, żeby być całkiem pewną tego, co mówię. Niech tatuś nie pyta. A jeśli tatuś zgadnie, niech mi tego nie mówi. Tylko niech mi tatuś pozwoli zrobić to, co uważam za stosowne w tej sprawie. Lucy wstała ze stołeczka, by usadowić się na ojcowskich kolanach, i poparła ostatnią prośbę całusem.

- Czy jesteś pewna, że z tego nie wyniknie nic złego? - zapytał patrząc na nią z zachwytem.

- Tak, tatusiu, zupełnie pewna. Bardzo jestem mądra. Odziedziczyłam po tatusiu zdolności do interesów. Przecież podziwiał tatuś moją książkę z rachunkami, kiedy ją tatusiowi pokazywałam.

- No dobrze, jeśli ten młodzik potrafi nie puścić pary z ust, to nic się złego nie stanie. Prawdę mówiąc, nie myślę, żeby w ogóle były duże szanse na całą sprawę. No, a teraz daj mi spać.

ROZDZIAŁ VIII WAKEM W NOWYM ŚWIETLE

Nie minęły trzy dni od rozmowy, którą słyszeliśmy przed chwilą a już udało się Lucy pomówić w cztery oczy z Filipem, PoC nieobecność Madzi, która poszła odwiedzić ciocię Glegg. Dzień i noc Filip rozmyślał niespokojnie o wszystkim, co mu Lucy powiedziała, az

ROZDZIAŁ VIII

499

wreszcie zdecydował się na pewien sposób postępowania. Wydawało mu się, że widzi możliwość ustawienia się w nowej pozycji w stosunku do Madzi i usunięcia przynajmniej jednej stojącej między nimi przeszkody. Układał plan i rozważał każde posunięcie z gorączkowym napięciem gracza w szachy w pierwszym okresie zapału do gry; zdumiony był swymi nowo odkrytymi talentami taktycznymi. Plan jego był śmiały i przemyślany w każdym calu. Znalazłszy chwilę, kiedy ojciec nie mając nic pilniejszego do roboty przeglądał gazetę, podszedł do niego z tyłu i położył mu rękę na ramieniu.

- Nie chciałbyś, ojczu, przejść do mego sanktuarium i spojrzeć na moje nowe szkice? Rozłożyłem je właśnie w pracowni.

- Nogi mi za bardzo zeszytniały w kolanach, jak na twoje schody - odparł Wakem odkładając gazetę i spoglądając dobrotliwie na syna. - Ale chodźmy.

- Udała ci się ta pracownia, prawda, Fil? Świetne jest to światło z góry. - Od tego zdania zaczynał zawsze wchodząc do pracowni Filipa. Lubił przypominać i sobie, i synowi, że te wszystkie udogodnienia są rezultatem jego ojcowskiej hojności. Był dobrym ojcem. Gdyby Emilia wstała z grobu, nie miałaby mu nic do zarzucenia.

- Proszę, proszę - mówił wsadzając na nos binokle i usadawia- ja.c się tak, by objąć całość spojrzeniem. - Urządziłeś nie lada wystawę. Słowo daję, nie uważam, żeby twoje obrazy miały być gorsze d prac tego londyńskiego malarza, jakże to on się nazywa? No, ten, co Leyburn tyle zapłacił za jego malowidło.

Filip potrząsnął głową z uśmiechem. Usiadł na swym stołku wzięwszy ołówek stawiał jakieś grube kreski, by opanować zdenerwowanie. Patrzył, jak ojciec wstaje i wolnym krokiem idzie dookoła po- Loju, życzliwie zatrzymując się przy niektórych obrazkach dłużej, niż- y tego wymagało jego upodobanie do pejzażu. Wreszcie stanął przed ojakiem, na którym umieszczone były dwa obrazy - jeden o wiele Większy od drugiego. Mniejszy znajdował się w skórzanej oprawie. A co tu masz! - zawołał Wakem zdumiony tym nagłym j od pejzażu do portretu. - Myślałem, żeś zarzucił portret, są te osoby?

KSIĘGA SZÓSTA

500

- To jedna i ta sama osoba - odparł Filip spieszenie, lecz chłodno

- w różnym wieku.

- A cóż to za osoba? - zapytał Wakem z wzrastającą podejrzliwością, wpatrując się bystro w większy portret.

- Panna Tulliver. Pierwszy przypomina ją z okresu, kiedy odwiedziła swego brata w szkole w King's Lorton. Drugi to nie najlepsza jej podobizna z czasów, kiedy wróciłem z zagranicy. Wakem odwrócił się z wściekłością. Twarz mu poczerwieniała i binokle spadły z nosa; patrzył na syna tak dzikim spojrzeniem, że można by sądzić, iż gotów jest zrzucić tego zuchwałego słabeusza ze stołka. Usiadł jednak gwałtownie w fotelu i wpychając ręce w kieszenie, wciąż spoglądał gniewnie na syna. Filip nie patrzył na ojca, lecz siedział spokojnie z wzrokiem utkwionym w czubek ołówka.

- Czy chcesz przez to powiedzieć, że podtrzymywałeś znajomość z nią po powrocie z zagranicy? - zapytał wreszcie, na próżno starając się, jak każdy rozgniewany człowiek, który nie może uderzyć, by słowa i ton jego wypowiedzi miały siłę ciosu.

- Tak, .widywałem ją często przez cały rok przed śmiercią jej ojca. Spotykaliśmy się w tych zaroślach zwanych Czerwoną Doliną, koło młyna Dorlcote. Kocham ją bardzo. Nigdy nie pokocham żadnej innej. Nie przestawałem o niej myśleć, odkąd była małą dziewczynką.

- Mów dalej, mój panie. I korespondowałeś z nią przez cały ten czas?

- Nie. Powiedziałem jej, że ją kocham, dopiero przed naszym rozstaniem, a ona obiecała bratu, że nie będzie się ze mną spotykać ani pisać do mnie. Nie jestem pewien, czy mnie kocha i czy zgodziłaby się wyjść za mnie za męża. Ale gdyby się zgodziła, gdyby mnie na tyle kochała, ożeniłbym się z nią.

- I to jest twoja zapłata za wszystko, co ci dałem, za całą moją hojność?- pytał Wakem blednąc i zaczynając się trząść we wściekłym poczuciu, że jest zupełnie bezradny wobec spokojnej zuchwałości Filipa i jego zdecydowania.

- Nie, ojciec - odparł Filip spoglądając na niego po raz pierwszy-

- Nie uważam, żeby to była zapłata. Byłeś dla mnie zawsze hojnym

ROZDZIAŁ VIII

501

ojcem, lecz przypuszczam, że robiłeś to po to, bym mógł zaznać tyle szczęścia, ile to możliwe przy mojej nieszczęsnej ułomności. Nie myślałem, byś to, co dajesz, uważał za mój dług, który powinienem spłacać poświęcając wszystkie nadzieje na osiągnięcie szczęścia, aby zadowolić twoje uczucia, których nigdy nie będę podzielał.

- A mnie się wydawało, że w podobnym wypadku każdy syn podzielałby uczucia swojego ojca - odparł Wakem z goryczą.

- Ojciec tej dziewczyny był nieokrzesanym, szalonym prostakiem. Niewiele brakowało, a byłby mnie zamordował. Całe miasto wie o tym. A brat to taki sam zuchwalec, tyle że mniejszy szaleniec. Powiadasz, że zabronił jej widywać się z tobą ... Jak nie będziesz się pilnował, to ci wszystkie kości połamie, żebyś był jeszcze szczęśliwszy. Ale wygląda mi na to, żeś się zdecydował: musiałeś się oczywiście liczyć z konsekwencjami. Jesteś, rzecz jasna, panem swojej woli. Jak chcesz, możesz się ożenić z tą dziewczyną choćby jutro. Masz dwadzieścia pięć lat³⁹, możesz iść swoją drogą, a ja swoją. Nie potrzebujemy mieć ze sobą nic więcej wspólnego.

Wakem wstał i skierował się ku drzwiom, lecz coś powstrzymało go jednak i zamiast wyjść z pokoju, zaczął chodzić tam i z powrotem. Filip zwlekał z odpowiedzią, lecz gdy zaczął mówić, głos jego był spokojnie dobitny i jasny.

- Nie, nie mogę ożenić się z panną Tulliver, choćby się ona godziła, jeżelibym miał utrzymywać ją tylko z własnych pieniędzy.

e otrzymałem żadnego zawodowego wykształcenia. Nie mogę ofiarować jej ubóstwa razem z kalectwem.

J- Ach! Wyszło szydło z worka! Dlatego tak się mnie trzymasz

- mówił Wakem wciąż jeszcze z goryczą; zabolowały go ostatnie słowa hpa: zbudziły uczucie, które mieszkało w nim od dwudziestu pięciu lat. Znowu siadł ciężko na krześle.

39

m ' isrxSZ dwadzieścia pięć lat - stwierdzenie nieściśle; jest prawdopodobnie 38, Tomek i Filip zaś poznali się na początku roku 1830 i wtedy ten drugi powiedział, że ma piętnaście lat.

KSIĘGA SZÓSTA

502

- Spodziewałem się tego - odparł Filip. - Wiem, że podobne scysje często mają miejsce pomiędzy ojcem a synem. Gdybym był normalnym mężczyzną, odpowiedziałbym na twoje gniewne słowa jeszcze gniewniejszymi. Moglibyśmy się rozstać: ja ożeniłbym się z kobietą, którą kocham, i miałbym wszelkie szansę na osiągnięcie takiego samego szczęścia, jak inni. Ale jeżeli przyjemność ci sprawi unicestwienie celu twoich tak licznych wysiłków, masz przewagę nad większością ojców: możesz pozbawić mnie jedynej rzeczy, dla której warto mi żyć.

Filip przerwał w tym miejscu, ale ojciec milczał.

- Wiesz sam najlepiej, jaką ci to przyniesie satysfakcję, oprócz tej, że zaspokoileś śmieszna mściwość, godną dzikusa.

- Śmieszna mściwość?! - wybuchnął Wakem. - Cóż ty sobie myślisz! Żeby człowiek zniósł baty od chama i jeszcze go za to kochał? A poza tym jest ten zimny, dumny syn, diabelski pomiot, który powiedział mi coś, czego nie zapomnę, kiedy przejmowaliśmy młyn. Nie znam chyba lepszego celu do strzału, żeby tylko nie szkoda mi było kuli.

- Nie myślałem o twojej odrazie do nich - odparł Filip, który miał powody, by sympatyzować w pewnym stopniu z poglądami ojca na temat Tomka - choć nienawiść to zbyt marne uczucie, byś ty miał je żywić. Chodziło mi o to, że obejmujesz swą niechęcią bezbronną dziewczynę, która ma za dużo rozumu i serca, by podzielać ich ograniczone uprzedzenia. Ona nigdy nie brała udziału w rodzinnych kłótniach.

- I cóż z tego? Nie pytamy, co kobieta robi, ale do jakiej rodziny należy. Przecież to dla ciebie upokarzające myśleć o żeniaczkę z córką Tullivera.

Po raz pierwszy w czasie tej rozmowy Filip stracił nieco panowanie nad sobą i poczerwieniał z gniewu.

- Panna Tulliver - oświadczył dobitnie i gorzko - ma takie atrybuty społeczne, jakie tylko pospolity szaleniec może przypisywać klasie mieszczańskiej. Jest kobietą o wielkiej wrodzonej kulturze, a jej krewni, bez względu na to, jaki jest ich zawód, są ludźmi szanowanymi

ROZDZIAŁ VIII

503

za nieskazitelną uczciwość i honor. Przypuszczam, że całe St. Ogg's będzie uważało, iż jest ona osobą nie tylko mi równą, lecz stojącą wyżej.

Wakem rzucił na syna gwałtowne, pytające spojrzenie, lecz ten nie patrzył na niego, tylko ciągnął dalej, jakby z pewną skruchą, uzupełniając ostatnie słowa:

- Znajdź w całym mieście jedną osobę, która ci nie powie, że szkoda takiej pięknej kobiety dla takiego połamańca jak ja.

- Co za bzdura! - wybuchnął Wakem wstając znowu w przyływie obrażonej dumy, zarówno ojcowskiej, jak i osobistej. - Do licha! To byłaby dla niej wspaniała partia! Jak dziewczyna, która jest naprawdę przywiązana do mężczyzny, może brać pod uwagę jego przypadkowe kalectwo.

- Lecz dziewczyny nie przywiązują się na ogół do takich mężczyzn - odparł Filip.

- No więc - odparł Wakem dość brutalnie, starając się powrócić do poprzedniej postawy - jeśli ona cię nie kocha, to mogłeś oszczędzić sobie kłopotu rozmowy ze mną. I mogłeś oszczędzić mi kłopotu odmawiania ci zgody na to, co i tak nie miało się stać.

Podszedł do drzwi i nie oglądając się, zatrzasnął je za sobą.

Filip nie stracił mimo wszystko nadziei, że z czasem urobi ojca według swojej woli; sprzeczka ta jednak targnęła jego nerwami, delikatnymi jak u kobiety. Postanowił nie schodzić na obiad - nie był w stanie spotkać się dzisiaj ponownie z ojcem. Wakem miał zwyczaj, jeżeli nie przyjmował akurat gości w domu, wychodzić wieczorem, często nawet o wpół do ósmej, a że było właśnie późne popołudnie, Filip zamknął swój pokój i poszedł na daleką przechadzkę postanawiając nie wrócić, póki ojciec nie wyjdzie. Wsiadł do łódki i popłynął w dół rzeki do ulubionej wioski, gdzie zjadł obiad i zwlekał, aż zrobiło się odpowiednio późno, by wracać. Nigdy dotąd nie miał z ojcem kłótni, bał się więc, że ten spór, niedawno przecież rozpoczęty, potrwa wiele tygodni. Ile się może wydarzyć przez ten czas? Nie pozwolił sobie na sprecyzowanie tego mimowolnego pytania. Gdyby jednak został uznany za ubiegającego się oficjalnie o rękę Madzi, nie żywiłby tylu

39 BN 11/234 G. Eliot: Młyn nad Flossą

KSIĘGA SZÓSTA

504

nieokreślonych obaw. Wrócił do pracowni i rzucił się w fotel zmęczony, patrząc nieprzytomnym wzrokiem na zgromadzone wokół rysunki skał i kamieni, aż zapadł w krótką drzemkę i śnił, że widzi Madzie, zsuwającą się w dół lśniącego, zielonego, błotnistej łożyska wodospadu, a on patrzy na to bezradnie, gdy wreszcie obudził go jakiś straszny łoskot⁴⁰.

Był to dźwięk otwieranych drzwi; od chwili gdy zasnął, nie mogło minąć więcej niż parę minut, bo wieczorne światło nie ściemniało jeszcze. Do pokoju wszedł ojciec, a gdy Filip chciał mu ustąpić miejsca, powiedział:

- Siedź, siedź. Wolę sobie pochodzić.

Raz czy dwa przeszedł się po pokoju, a potem stanął przed Filipem i z rękoma w kieszeniach zaczął mówić, jakby poprzednia rozmowa wcale nie została przerwana.

- Ale ta dziewczyna chyba coś do ciebie czuje, Fil, bo przecież nie spotykałaby się z tobą w ten sposób.

Serce Filipa zaczęło bić gwałtownie, a przez twarz przebiegł mu rumieniec, jak promień.

Niełatwo mu było dobyć głosu.

- Lubiała mnie w King's Lorton, jeszcze kiedy była małą dziewczynką, bo przesiadywałem dużo z jej bratem, gdy zranił sobie nogę. Pamiętała o tym i przez długi czas myślała o mnie jak o przyjacielu. Kiedy mnie spotkała, nie widziała we mnie wielbiciela.

- No, ale przecież powiedziałeś jej w końcu, że ją kochasz. Co ci na to odpowiedziała? - zapytał Wakem, znowu zaczynając wędrówkę.

- Powiedziała wtedy, że mnie kocha.

- No, więc czego jeszcze chcesz, u licha? Czy to jaka zwodnica?

- Była wtedy bardzo młoda - mówił z wahaniem Filip. - - Boję się, że nie zdawała sobie sprawy z tego, co czuje. Myślę, że wiele mogła zmienić nasza rozłąka i ciągła świadomość, że wypadki zawsze będą nas rozdzielać.

⁴⁰ Sen jest tu zapowiedzią tragicznego losu Madzi, podobnie jak wcześniej (rozdz. VI) wypowiedź narratora na jej temat.

ROZDZIAŁ VIII

505

- Ale jest teraz przecież w mieście. Widziałem ją w kościele. Czy nie rozmawiałeś z nią po powrocie?

- Tak, u pana Deane. Ale z wielu powodów nie mogłem powtórzyć moich oświadczeń. Jedną przeszkodą zostanie usunięta, jeśli ty, ojczu, wyrazisz swoją zgodę ... jeśli zechcesz myśleć o niej jak

O swej synowej.

Wakem milczał chwilę, stojąc przed portretem Madzi.

- Ale to nie ten typ kobiety, co twoja matka, Fil - odezwał się wreszcie. - Widziałem ją w kościele, jest jeszcze ładniejsza niż tu ... diabelnie piękne oczy i świetna figura. Ale niebezpieczna trochę

I niesforna, co?

- Jest bardzo czuła i serdeczna ... taka prosta, bez cienia kokieterii czy sztuczności, jak inne.

- Tak? - powiedział Wakem. Potem obrócił się do syna. - Ale twoja matka sprawiała wrażenie łagodniejszej: miała takie faliste orzechowe włosy i szare oczy, jak ty. Nie możesz jej dobrze pamiętać. Że też, u licha, nie mam jej podobizny.

- I nie cieszyłbyś się, ojczu, gdybym ja mógł mieć takie samo szczęście jak ty ... szczęście, które byłoby mi osłodą życia? Żadne więzy nie będą nigdy dla ciebie tak mocne jak te, które się zawiązały dwadzieścia osiem lat temu, kiedy poślubiłeś moją matkę - i od tego czasu tylko je zacieśniałeś.

- Ach, Fil, ty jeden znasz mnie od najlepszej strony - mówił Wakem wyciągając do syna rękę.
- Musimy się trzymać razem, jeśli tylko można. A teraz powiedz, co mam robić? Zejdź ze mną na dół. Czy mam iść i złożyć wizytę tej czarnookiej pannie?

Tak padła przeszkoda. Filip mógł teraz swobodnie omówić z ojcem swoje kontakty z rodziną Tulliverów - mógł powiedzieć, jak bardzo Pragną wrócić do młyna i ziemi, i o tym, że pierwszym krokiem, by im w tym dopomóc, będzie odstąpienie ich majątku firmie Guest i Ska. Mógł teraz nalegać i naciskać ojca, a ten ustępował chętniej, niż to sobie Filip uprzednio wyobrażał.

- Nie żal mi młyna - mówił Wakem, trochę jednak ze złością. Miałem z nim ostatnio piekielne kłopoty. Niech mi zapłacą za

39

KSIĘGA SZÓSTA

506

wprowadzone udoskonalenia i tyle. Ale o jedną rzecz nie możesz mnie nawet prosić. Nie będę rozmawiał o sprawie z młodym Tulliverem. Jeśli masz zamiar go przełknąć ze względu na siostrę, to proszę bardzo, ale ja nie znam przyprawy, która by mi pozwoliła go strawić.

Wyobraźcie sobie teraz sami, w jak radosnym nastroju udał się następnego dnia Filip do pana Deane, aby powiedzieć, że pan Wakem gotów jest rozpocząć rozmowy, oraz jaką triumfalną minę miała Lucy, kiedy zapytywała ojca, co sądzi o jej zdolnościach do interesów. Pan Deane był zaskoczony i podejrzewał, że "coś się tam knuje" pomiędzy młodymi ludźmi, brakło mu jednak klucza do rozwiązania zagadki. Lecz dla ludzi pokroju pana Deane wszystko, co się dzieje między młodymi, jest tak odległe od zwykłego, codziennego życia wśród interesów, jak to, co się dzieje pomiędzy motylami czy ptakami - chyba że się okaże fatalne dla interesów. W tym wypadku okazało się bardzo korzystne.

ROZDZIAŁ IX

DOBROCZYNNOŚĆ W PEŁNEJ GALI

Kulminacyjnym punktem w karierze Madzi jako faworytki towarzystwa St. Ogg's był z pewnością dzień bazaru. Jej szlachetna, piękna postać, przystrojona w biały, powiewny muślin, który, jak przypuszczam, pochodził ze składów garderoby cioci Pullet, wyróżniała się prostotą i wytwornością pomiędzy bardziej strojnymi i przeciętnymi damami naokoło. Nie zdajemy sobie chyba sprawy, jak wiele jest sztuczności w naszym zachowaniu w towarzystwie, dopóki nie zobaczymy osoby, która jest jednocześnie i piękna, i prosta; jeśli prostota nie jest połączona z pięknem, nazywamy ją dziwactwem. Panny Guest za dobrze były wychowane, by przybierać sztuczne pozy czy mówić tonem afektowanym, a więc wulgarnym i pretensjonalnym, lecz teraz,

ROZDZIAŁ IX

507

kiedy siedziały przy stoisku sąsiadującym ze stoiskiem panny Tulliver, każdy musiał zauważyć, że starsza panna Guest zbyt wysoko zadziera brodę, a panna Laura porusza się i mówi obliczając z góry wrażenie, jakie zrobi na innych.

Całe wytworne St. Ogg's i okolica zebrały się dziś tutaj; warto było przyjechać nawet z daleka, by zobaczyć piękny stary dwór o widocznym belkowaniu dachu, rzeźbionych dębowych krokwiach i wielkich, składanych dębowych odrzwiach. Światło padało z wysoka na rozłożoną w dole barwną wystawę. Osobliwa to była sala - ściany miała pomalowane w szerokie, spłowiałe już pasy; tu i tam można było na nich wypatrzeć jakieś najeżone, długopyskie zwierzę heraldyczne, podtrzymujące tarcze herbowe wielkiego rodu, do którego należał niegdyś ów dwór, dziś zwany ratuszem. W jednym jej końcu, pod wyciętym w górnej części ściany wielkim łukiem znajdowała się dębowa galeryjka dla orkiestry, za nią zaś otwierała się sala, w której ustawiono cieplarniane kwiaty oraz stoiska z napojami

chłodzącymi. Trudno sobie wymarzyć lepszy zakątek dla panów, którzy chcieliby wyrwać się na trochę z tłoku i spędzić tu parę chwil swobodnie, mając zarazem dogodny punkt do obserwacji wszystkiego, co się działo na dole. Doprawdy, uderzająca była stosowność tego starego budynku o wdzięcznego współczesnego celu, dzięki któremu dobroczynność przybierała wytworne szaty i, wykorzystując ludzką próżność, łątała kiury w miejskim budżecie. Niemal każdy, kto tu wchodził, kilkakrot- e dzielił się z innymi tym spostrzeżeniem. Koło wielkiego łuku nad rkiestrą znajdowało się okno o kolorowych szybkach w dużym ykuszu kamiennym. Była to jedna z czcigodnych niekonsekwencji rchitektury starego dworu. Tuż przy tym wykuszu umieściła Lucy swoje stoisko, aby móc wygodniej rozłożyć duże, proste artykuły, tóre przejęła od pani Kenn. Madzia uprosiła ją, by mogła zająć otwartą część stoiska, bez kontuaru, i sprzedawać raczej rzeczy istorowej, a nie jakieś makatki z koralików czy inne wypracowane obiagi, na których się nie znała. Lecz okazało się wkrótce, że ajdujące się wśród jej towarów szlafroki męskie zwracały uwagę i wywoływały powszechne zainteresowanie; tyle słyszała kłopotliwych

KSIĘGA SZÓSTA

508

pytań, jak też są wykończone i jakie mają zalety, i tyle osób postanowiło je przymierzyć, że wokół miejsca, gdzie stała, zaczęło się robić rojno. Panie, które sprzedawały własne wyroby i nie chciały brać szlafroków do sprzedaży, stwierdziły natychmiast, że owo upodobanie do towarów, które można dostać u każdego krawca, dowodzi tylko frywolności i złego gustu mężczyzn. Bardzo możliwe, że fakt, iż osoba Madzi skupiała na sobie tak niepowszednią uwagę na tym publicznym zgromadzeniu, rzucił mocne i nieomyłne światło na jej późniejsze postępowanie w oczach wielu osób, obecnych na bazarze. Nie jest, oczywista, do pomyślenia, by w niebiańskich sercach miłosiernych dam mógł się zalęgnąć gniew na wzgardzoną piękność, ale błędy ludzi niegdyś otoczonych uwielbieniem widać o wiele ostrzej przez kontrast; ponadto uwaga, jaką Madzia na sobie skupiała, pozwoliła dostrzec w niej po raz pierwszy pewne cechy, które, jak się w przyszłości okazało, wiele tłumaczyły. W prostym, otwartym spojrzeniu panny Tulliver było coś wyzywającego, a w stylu jej urody coś nieokreślenie wulgarnego, to zaś, zdaniem zebranych pań, stawiało ją o wiele niżej od jej kuzynki, panny Deane, damy z St. Ogg's bowiem wyrzekły się już całkowicie ewentualnych pretensji do sympatii pana Stefana Guesta.

Mała, kochana Lucy była dzisiaj w cudownym humorze. Tak się cieszyła zwycięstwem odniesionym w sprawie młyna i serdecznymi projektami, jakie snuła dla dobra Filipa i Madzi, że widząc, jakie kuzynka ma powodzenie, czuła tylko radość. Prawda, że sama wyglądała uroczo, a Stefan nadskakiwał jej bardziej niż zwykle, tu, w obecności wszystkich; wykupywał zazdrośnie drobiazgi, które, jak wiedział, robiła własnymi rękoma, i wesoło pomagał jej namawiać kupujących mężczyzn na kobiece bzdurki. Zdjął kapelusz i przystroił głowę czerwonym fezem haftowanym przez Lucy; niektórzy, bardziej powierzchowni obserwatorzy, skłonni byli w tym widzieć nie tyle komplement dla Lucy, co dowód błazeństwa. "Guest to straszny błazen - zauważył młody Torry - ale cóż, jest powszechnie faworyzowany. Każde wariactwo uchodzi mu płazem. Gdyby się tak kto inny zachowywał, wszyscy by zakrzyknęli, że robi z siebie durnia"

ROZDZIAŁ IX

509

Stefan nie kupił u Madzi nic, zupełnie nic, aż wreszcie Lucy odezwała się do niego niespokojnym szeptem:

- Popatrzże, wszystkie Madzine robótki z włóczki pójdą, a ty nic nie kupiłeś. Takie ma tam śliczne, miękkie, ciepłe ochraniacze na przeguby ... Idź, kup je.

- Och, nie - odparł Stefan. - Musiały być robione dla ludzi o wielkiej wyobraźni, takich, co to czują chłód w ciepły dzień, jak dziś, na myśl o mroźnym Kaukazie. Wiesz przecież, że ze mnie racjonalista. Musisz namówić Filipa, żeby je kupił. Ale dlaczego Filip nie przyszedł?

- On nigdy nie lubił tłumu. A prosiłam, żeby przyszedł. Powiedział, że kupi te moje towary, które inni odrzucają. Ale teraz idź i kup coś u Madzi.

- Nie, nie mogę ... zobacz, ma klienta. Właśnie podchodzi do niej stary Wakem.

Lucy zerknęła z niepokojem na Madzie, by zobaczyć, jak po owym ostatnim smutnej pamięci spotkaniu zniesie pierwsze widzenie z człowiekiem, do którego musi żywić tak dziwną mieszaninę uczuć. Z przyjemnością zauważyła jednak, iż Wakem był taktowny i zaczął od razu rozmowę o bazarze oraz sprzedawanych towarach, sprawiając wrażenie zainteresowanego kupnem. Uśmiechał się też dobrotliwie do dziewczyny i nie zmuszał jej do rozmowy, jakby zauważył, że była blada i drżąca.

- Spójrz, Wakem jest wyjątkowo miły dla twojej kuzynki - szepnęła Stefan do Lucy. - Czy to czysta wielkoduszność? Mówiłaś

o jakiejś kłótni rodzinnej.

- Och, mam nadzieję, że ta rana zostanie wkrótce zaleczona - odparła Lucy znacząco i niedyskretnie, tak bardzo była uradowana. Lecz Stefan nie zwrócił na to uwagi, a gdy podeszła klientka, wstał

i przesunął się ku Madzinej części stoiska trzymając jakieś drobiazgi w rękę i czekając w pewnej odległości, póki Wakem, który wyjął teraz sakiewkę, nie zakończy kupna.

- Syn mój przyszedł tu ze mną - słyszał słowa Wakema - ale zniknął mi gdzieś w innej części sali i mnie zostawił te dobroczynne

KSIĘGA SZÓSTA

510

grzeczności. Mam nadzieję, że wyłaje go pani za tak niegodziwe postępowanie.

Odpowiedziała mu uśmiechem i ukłonem, bez słowa, a on odwrócił się i dostrzegając Stefana, skłonił mu się lekko. Madzia, widząc że Stefan stoi obok, zajęła się pilnie obliczaniem pieniędzy i nie podnosiła oczu. Cieszyła się bardzo, że przez cały dzień siedział tylko przy Lucy i nie zbliżał się do niej. Ranek zaczęli od obojętnego przywitania, zadowoleni, że są z dala od siebie, tak jak chory, który nareszcie dał sobie radę bez opium, chociaż wielokrotnie uprzednio łamał postanowienie zerwania z nałogiem. Podczas ostatnich paru dni zaczęli już nawet godzić się ze swoją słabością uważając, że i tak wkrótce los ich rozdzieli, a więc mogą choć w części zaprzestać wewnętrznej walki.

Stefan posuwał się krok za krokiem, jakby go coś ciągnęło wbrew woli, aż wreszcie obszedł stoisko naokoło i stanął, niemal ukryty za fałdami materii. Madzia w dalszym ciągu liczyła pieniądze, póki nie usłyszała nagle głębokiego, łagodnego głosu:

- Czy pani nie zmęczona? Niech pani pozwoli, że jej coś przyniosę. Trochę owoców albo galaretki ... Czy mogę?

Te niespodziewane słowa wstrząsnęły nią, jakby nagle przypadkowo usłyszała koło siebie przejmujący dźwięk harfy.

- Och, nie, dziękuję panu - odparła słabo i rzuciła mu krótkie spojrzenie spod współprzymkniętych powiek.

- Taka pani blada - Stefan mówił jeszcze bardziej błagalnie. - Na pewno pani zmęczona. Muszę być nieposłuszny i jednak coś przynieść.

- Nie, proszę ... Nie mogłabym nic przelknąć.

- Czy gniewa się pani na mnie? Cóż ja zrobiłem? Proszę, niech pani na mnie spojrzę.

- Niech pan stąd idzie, błagam - prosiła Madzia i spojrzawszy nań bezradnie odwróciła zaraz wzrok ku górze, w stronę przeciwległego kąta przy galerii dla orkiestry, prawie całkiem zakrytego fałdami spłowiałej zielonej zasłony. Natychmiast po wypowiedzeniu tej prośby

przeraziła się na myśl, że brzmi ona jak przyznanie się do winy. Stefan odwrócił się i podążając za wzrokiem dziewczyny zobaczył, że w tym

ROZDZIAŁ IX

511

półzakrytym kącie siedzi Filip Wakem, tak by mógł widzieć przede wszystkim miejsce, w którym znajduje się Madzia. Nowa zupełnie myśl zaświtała w głowie Stefana, a gdy skojarzył ją z tym, co zauważył w zachowaniu starego Wakema, i z odpowiedzią Lucy, kiedy jej na to zachowanie zwrócił uwagę, doszedł do wniosku, że między Filipem i Madzią istniało już coś dawniej, nie tylko ta dziecinna przyjaźń,

O której słyszał. Kilka równoczesnych impulsów kazało mu natychmiast wyjść z sali i udać się po schodach do herbaciarni. Tam podszedł do Filipa od tyłu, usiadł za nim i położył mu rękę na ramieniu.

- Robisz studia do portretu, Fil - zapytał - czy do szkicu tego okna z wykuszem? Na Boga! Wspaniale wygląda z tego ciemnego kąta

I z tą odcinającą go zasłoną!

- Robię studia nad wyrazem twarzy - odparł krótko Filip.

- Czyjej? Panny Tulliver? Dzisiaj jest, zdaje się, w usposobieniu zajadle posepnym, zubożała księżniczka za kontuarem sklepowym. Jej kuzynka wysłała mnie, bym uprzejmie zaoferował się przynieść coś dla ochłody, lecz ona burknęła na mnie tylko, jak zwykle. Mamy chyba do siebie jakąś wrodzoną antypatię: rzadko mam zaszczyt zdobyć jej uznanie.

- Jaki z ciebie hipokryta - Filip zaczerwienił się z gniewu.

- Czy dlatego, że doświadczenie powinno mi mówić, iż się na ogół podobam? Owszem, przyznaję, że tak w zasadzie jest, lecz w tym wypadku napotykam na jakiś opór.

- Idę już - oświadczył Filip wstając nagle.

- Ja też ... odetchnąć trochę świeżym powietrzem. Zaczynam się tu dusić. Wystarczająco już chyba długo wypełniałem obowiązki wasala.

Obaj przyjaciele bez słowa zeszli razem po schodach. Filip przez drzwi wyjściowe wyszedł na dziedziniec, lecz Stefan, mówiąc: - Och, Przypomniało mi się, że jeszcze tu muszę zajść - przeszedł korytarzem i otworzył drzwi do jakiegoś pokoju w przeciwnym końcu budynku, gdzie została urządzona miejska biblioteka. Pokój był pusty, a to właśnie jest potrzebne, kiedy mężczyzna chce cisnąć czapkę na stół, rzucić się w krzesło i patrzeć w wysoką ceglana ścianę z taką

KSIĘGA SZÓSTA

512

zmarszczką na czole, jaka byłaby w sam raz odpowiednia, gdyby Stefan zabijał "olbrzyma Pytona"⁴¹. Postępowanie wynikające z konfliktu moralnego tak bardzo przypomina czasem występki, że ktoś, kto by wydawał sąd na podstawie porównywania uczynków jedynie, nie zauważyłby żadnej różnicy. Lecz dla was jasne jest, mam nadzieję, że Stefan nie był hipokrytą, że nie był zdolny do rozmyślnej, podwójnej gry, prowadzonej dla samolubnych celów. A jednak jego przeczucie się od pobłażania swojemu uczuciu do starannego jego skrywania mogło być argumentem na poparcie oskarżenia Filipa.

Madzia tymczasem siedziała przy swoim stoisku drżąca i zlodowaciała, a w oczach czuła ból, jak zawsze, kiedy człowiek uporczywie stara się powstrzymać łzy. Czy jej życie zawsze będzie takie? Czy zawsze będzie miała powody do wewnętrznej walki? Słyszac naokoło gwar pomieszanych, niewyraźnych głosów, pragnęła, by i jej myśli mogły popłynąć tym łatwym bełkotliwym strumieniem. Właśnie w tej chwili pastor Kenn, który zjawił się w ratuszu i szedł środkowym przejściem między stoiskami, ręce założywszy do tyłu, obejmując całość wzrokiem, spojrzął po raz pierwszy na Madzie; uderzył go wyraz bólu na tej pięknej twarzy. Siedziała spokojnie, bo klienci przerzedzili się już o tej późnej, popołudniowej godzinie: panowie przychodzili na ogół wcześniej i stoisko Madzi wyglądało teraz trochę pusto. To

opuszczone stoisko i zboląły wyraz twarzy zamyślanej dziewczyny tworzyły jeszcze silniejszy kontrast z resztą sali, pełną wesołych, ożywionych, zaaferowanych pań. Pastor był zaintrygowany. Już dawno zwrócił uwagę na twarz Madzi - była w kościele dość niepowszednią nowością; kiedyś, podczas krótkiej wizyty u pana Deane, został jej przedstawiony, zamienił z nią jednakże tylko kilka słów. Podszedł teraz do niej, a Madzia zauważywszy, że ktoś się zbliża, otrząsnęła się z zamyślenia, chcąc przytomnie spojrzeć na nadchodzącego i zacząć z nim rozmowę. Poczula jakby dziecinną, instynktowną ulgę i odprężenie, kiedy stwierdziła, że spoglądają na nią oczy pastora Kenna. Był to mężczyzna w średnim wieku, o dość przeciętnych

41 Pyton (mit. gr.) - wąż potwór, którego zabił Apollo, bóg słońca i światła-

ROZDZIAŁ IX

513

rysach; z twarzy jego wyglądała poważna, mądra dobroć, świadcząca, że jest człowiekiem, który dopłynął do bezpiecznego, stałego brzegu, lecz z litością patrzy na tych, co jeszcze walcą z falami, i dodaje im otuchy. Wydało się Madzi, że w tym spojrzeniu zawarta jest obietnica, i pamiętała je długo. Ludzie w średnim wieku, którzy mają najsilniejsze przeżycia za sobą, lecz potrafią jeszcze niemal namiętnie przeżywać wspomnienia, a nie tylko je rozpamiętywać, są naturalnymi duszpasterzami, bo życie wyćwiczyło ich i wyświęciło, aby byli ucieczką i ratunkiem dla tych, co wcześniej upadli i stali się ofiarami własnej rozpaczki. Większość z nas w jakiejś chwili powitałaby takiego urodzonego duszpasterza bez względu na to, czy byłby w stroju cywilnym, czy w szatach duchownych; niestety, musieliśmy pisać się pod górę i walczyć z wszystkimi trudnościami swych dziewiętnastu lat bez takiej pomocy, podobnie jak Madzia.

- Obawiam się, że te zajęcia okazały się dla pani bardzo męczące - powiedział pastor Kenn.

- Owszem, trochę - odparła Madzia prosto, bo nie zwykła przeczyć z rozkosznym uśmiechem temu, co było oczywistym faktem.

- Ale mogę powiedzieć żonie, że szybko sprzedała pani jej wyroby - dodał. - Będzie bardzo wdzięczna.

- Och, przecież to nie moja zasługa. Panowie przychodzili po szlafroki i haftowane kamizelki, każda inna z pań sprzedawałaby o wiele więcej, ja nie wiedziałam zupełnie, jak mam to zachwalać.

Pastor uśmiechnął się.

- Mam nadzieję, że będzie pani teraz moją stałą parafianką. Dotychczas przebywała pani z dala od nas.

- Pracowałam jako nauczycielka w szkole i wkrótce pójdę na lrną, podobną posadę.

- Tak? Miałam nadzieję, że zostanie pani wśród krewnych, a wszyscy zdaje się, mieszkają tu, w okolicy.

- Och, ja muszę wyjechać - odparła Madzia spoglądając na pastora poważnie i z takim zaufaniem, jakby w tych trzech słowach opowiedziała mu całą swoją historię. Był to moment milczącego Wzajemnego zrozumienia; zdarzają się one czasem nawet ludziom,

KSIĘGA SZÓSTA

514

którzy poznali się przypadkowo - w podróży albo podczas odpoczynku przy drodze. Zawsze jest możliwe, że otrzyma się od obcego słowo czy spojrzenie, które utrwali w nas poczucie wspólnoty i braterstwa.

Słuchem i wzrokiem pochwyił pastor głębszą wymowę tego zwierzenia Madzi.

- Rozumiem - odparł. - Pani uważa, że powinna wyjechać. Lecz mam nadzieję, że to nie przeszkodzi nam spotkać się kiedyś jeszcze raz ... nie przeszkodzi mi poznać pani bliżej.

Jestem zawsze na pani usługi.

Wyciągnął do niej rękę i dobrotliwie uściśnął jej dłoń.

"Gryzie się czymś, biedne dziecko - myślał. - Wygląda jakby się miała okazać:

Duszą, którą natura pcha do górnych lotów, Cierpienie zaś spycha do ziemi⁴².

Ale w tych pięknych oczach jest coś zupełnie uczciwego".

Na pewno do licznych niedoskonałości Madzi można było zaliczyć jej nadmierne gustowanie w ludzkim uwielbieniu i uznawaniu jej wyższości; nic się nie zmieniło od czasów, kiedy to pouczała Cyganów, chcąc zdobyć sobie wśród nich pozycję królowej. Dziwne więc może się wydać, że Madzia nie czuła uniesienia radości w dniu, w którym otrzymała w hołdzie tak wiele spojrzeń i uśmiechów oraz ogromną satysfakcję, kiedy zaprowadzono ją przed wielkie lustro Lucy, gdzie zobaczyła wysoką piękność ukoronowaną czarnymi jak noc, puszystymi włosami. Uśmiechnęła się wtedy do siebie i na chwilę zapomniała o wszystkim, świadoma tylko własnej urody. Gdyby mogła dłużej trwać w tym stanie, zdecydowałaby się na to, by mieć Stefana Guesta u swych stóp, a wraz z nim życie pełne luksusów, codzienne kadzidło bliskiego i odległego uwielbienia oraz do dyspozycji wszystko, co może ofiarować kultura. Lecz było w niej coś mocniejszego niż próżność - żarliwość uczuć, żywa, głęboka pamięć wczesnych trudów i narzuconej sobie dyscypliny oraz tych, co już wcześniej otrzymali prawo do

⁴² Nie udało się zlokalizować cytatu.

ROZDZIAŁ IX

515

jej miłości i współczucia. I tak próżność odeszła w cień i zmieszała się niepostrzeżenie z głębokim nurtem w duszy Madzi, który osiągnął dzisiaj największą siłę w wyniku zarówno ostatnich wydarzeń, jak i ponaglących wewnętrznych bodźców.

Filip nie powiedział Madzi, że runęła jedna dzieląca ich przeszkoda, a mianowicie niechęć jego ojca - bał się mówić jej o tym. Wyjawiał jednak wszystko Lucy, z nadzieją, że kiedy Madzia się dowie, może da mu jakiś znak; może powie, że jest szczęśliwa, bo oto znaleźli się nagle bliżej siebie. Zbyt wiele najrozmaitszych uczuć ogarnęło Madzie, by mogła powiedzieć cokolwiek, kiedy Lucy rozjaśniona radością jak cherubin Correggia⁴³ oznajmiła z triumfem nowiny. Trudno się było jej dziwić, że Madzia rozplakała się z radości na myśl, iż życzenie ojca zostanie spełnione i Tomek, w nagrodę za swe ciężkie trudy, dostanie z powrotem młyn. Przez następne dni ostatnie przygotowania do bazaru pochłonęły Lucy całkowicie i kuzynki nie rozmawiały o najistotniejszych dla nich sprawach. Filip przychodził niejednokrotnie z wizytą, ale Madzia ani razu nie została z nim sam na sam - i w ten sposób pozwolono jej bez przeszkód staczać wewnętrzną walkę.

Lecz wreszcie bazar się skończył i kuzynki zostały same w domu.

- Nie możesz jechać pojutrze do cioci Moss, Madziu- odezwała się Lucy. - Napisz do niej karteczkę i wyjaśnij, że odkładasz przyjazd na moją prośbę, a ja wyślę służącego, żeby list zawiózł. Na pewno się nie pogniewa, a ty będziesz miała później wiele czasu. Nie chcę, żebyś właśnie teraz wyjeżdżała.

- Muszę to jednak zrobić, kochanie. Za nic na świecie nie zrezygnuję z pobytu u cioci Gritty. A niewiele mam już czasu, bo wyjeżdżam na nową posadę dwudziestego piątego czerwca.

- Madziu! - zawołała Lucy blednąc ze zdumienia.

- Nie mówiłam ci o tym, kochanie - tłumaczyła Madzia opanowując się z wielkim wysiłkiem - bo taka byłaś zajęta. Napisałam niedawno do naszej starej przełożonej, panny Firniss, z prośbą, by

⁴³ Antonio Allegri Correggio (1494-1534) - wielki malarz włoski, którego Uważniejsze dzieła znajdują się w Parmie.

KSIĘGA SZÓSTA

516

mnie zawiadomiła, jeżeli się nadarzy jakaś praca. Kilka dni temu dostałam od niej list, w którym pisze, że mogę wziąć trzy jej uczennice, sieroty, nad morze na wakacje. Będzie to próba, czy okażę się odpowiednią dla jej potrzeb nauczycielką. Odpisałam wczoraj, że przyjmuję propozycję.

Lucy czuła się tak urażona, że nie mogła dobrać głosu.

- Madziu - odezwała się wreszcie - jak mogłaś być taka niedobra ... żeby mi nic nie powiedzieć ... żeby zrobić taki krok! ... a teraz! - zawahała się chwilę, a potem dodała: - A Filip? Myślałam, że wszystko tak się pięknie ułoży! O, Madziu, dlaczego? Porzuć tę myśl ... pozwól, niech ja tam napiszę! Przecież nic teraz między Filipem i tobą nie stoi na przeszkodzie.

- Owszem - odparła słabo Madzia. - Uczucie Tomka. Powiedział mi, że muszę wybrać jego albo Filipa. I wiem, że się nie zmieni ... w każdym razie nieprędko ... Może coś się w końcu stanie, co go ułagodzi.

- Aleja z nim porozmawiam: wraca przecież w tym tygodniu. Ta dobra nowina o młynie na pewno go życzliwie usposobi. I powiem mu wszystko o Filipie. Tomek zawsze mi ustępował, myślę, że nie będzie się upierał.

- Ale ja muszę jechać - mówiła Madzia z rozpaczą w głosie. - Muszę przeczekać pewien czas. Nie nalegaj, bym pozostała, Lucy.

Przez kilka minut Lucy milczała, patrząc przed siebie w zamyśleniu. Wreszcie uklękła przy Madzi i spoglądając w jej twarz z powagą i niepokojem powiedziała:

- Madziu, czy to dlatego, że nie kochasz Filipa na tyle, by wyjść za niego za męża? Powiedz ... zaufaj mi ...

Przez chwilę Madzia w milczeniu trzymała rękę Lucy. Własne jej dłonie były zupełnie zimne. Kiedy jednak zaczęła mówić, głos miała wyraźny i jasny:

- Tak, Lucy, wyszłabym za niego za męża. Myślę, że moje życie byłoby najszczęśliwsze ... i najwspanialsze, gdybym dała szczęście Filipowi. On pierwszy mnie pokochał. Nikt na świecie nie mógłby dla mnie być tym, czym on. Ale nie mogę na całe życie zerwać z bra-
ROZDZIAŁ X

517

tem. Muszę wyjechać i czekać. Proszę cię, nie mów o tym ze mną więcej.

Lucy posłuchała ze zdumieniem i bólem.

- Dobrze, Madziu - powiedziała. - W każdym razie pójdziesz jutro na tańce do Park House i zakosztujesz trochę wesela i muzyki, nim wyjedziesz składać te nudne, obowiązkowe wizyty. O! Jest już cioteczka i herbata.

rozdział x WYDAJE SIĘ, ŻE ZAKLĘCIE PRYSŁO

Wspaniale wygląda amfilada pokoi w Park House w powodzi światła i kwiatów, rozjaśniona blaskiem urody szesnastu par, wraz z rodzicami i opiekunami. Centrum tych wspaniałości stanowił wielki salon, gdzie odbywały się tańce, których rytm wyznaczał fortepian. salonu przechodziło się do biblioteki, w której zebrały się przyrtach bardziej dojrzałe znakomitości w czepeczkach; z drugiej rony łączył się z zaciszną bawialnią i przylegającą do niej małą ranżerią, gdzie można było znaleźć odpoczynek i ochłodę. Lucy stała uznana za królową uroczystości - po raz pierwszy dzisiaj rzuciła żalobną czerń i odziała szczupłą swą figurkę w sutą białą knie z krepy. Był to jeden z wieczorków, kiedy panny Guest ecydowały się łaskawie nie zapraszać z arystokracji nikogo, kto "y wyżej od górnych sfer St. Ogg's, i rozszerzyły do najdalszych nie liczbę zaproszonych gości, wciągając na nią nazwiska bardziej kadzonych przedstawicieli handlu i wolnych zawodów.

Z początku Madzia nie chciała tańczyć tłumacząc się, że zapomnia-
szystkich figur - ile to już czasu minęło, odkąd tańczyła w szkole!
owolona była z tej wymówki, bo trudno się bawić, kiedy w sercu
utno. Lecz wreszcie muzyka zaczęła rozgrzewać jej młode nogi

KSIĘGA SZÓSTA

518

i Madzia nabrała ochoty do tańca - mimo że nie kto inny tylko ten okropny młody Torry
podszedł do niej po raz drugi, próbując ją wreszcie namówić. Uprzedziła go, że tańczy tylko
kontredansa, lecz on oczywiście chętnie zgodził się poczekać na to szczęście, zapewniając ją -
co miało być komplementem- że to "piekielnie głupio", iż Madzia nie zna kroków walca, bo
tak by chciał powalcować z nią właśnie. Powtarzał to kilkakrotnie. Wreszcie przyszła pora na
ten miły staroświecki taniec, wolny od wszelkiej próżności, a za to bardzo wesoły, i Madzia
zapomniała o swych kłopotach, ciesząc się jak dziecko tym niemal prymitywnym rytmem,
który rozwiewał całą sztuczność etykiety. Była pełna miłosiernych uczuć w stosunku do
młodego Torry'ego, którego ręka unosiła ją i podtrzymywała w tańcu; oczy jej i policzki
pały ogniem młodej radości, co zawsze rozbłyśnie, jeśli się znajdzie choćby najslabszy
podmucha, zdolny go rozniecić. Jej prosta czarna suknia z kawałkami czarnej koronki
wyglądała jak ciemna oprawa klejnotu.

Stefan nie prosił jej do tańca - nie wyświadczył jej jeszcze najmniejszej grzeczności poza
zdawkowymi uprzejmościami. Od wczoraj na obraz Madzi wryty trwale w jego
świadomości zaczął się nakładać jak plama obraz Filipa Wakema. Między nią i Filipem
istniało uczucie - w każdym razie uczucie takie żywił Filip, a ona uważała, że ma wobec
niego zobowiązania. "A więc - mówił sobie Stefan - jest jeszcze jedna więź honoru, która
nakazuje oprzeć się pokusie, grożącej tak nieustannie i napierającej z tak obezwładniającą
siłą". Mówił to sobie, a jednak kilka razy uczuł, jak rośnie w nim dziki opór, a później
abominacja do tego natrętnego obrazu Filipa; niewiele brakowało, by pod jej wpływem Stefan
rzucił się ku Madzi i żądał jej dla siebie. A mimo to dotrzymał tego wieczoru postanowienia:
nie podchodził do Madzi, prawie nie patrzył na nią i z wesołą miną nadskakiwał Lucy. Lecz
w tej chwili oczy jego pożerały Madzie- miał wielką ochotę kopniakiem odsunąć od niej
młodego Torry'ego i zająć jego miejsce. Potem pragnął, by taniec już się skończył, a on
pozbył się swojej partnerki. Myśl, że sam mógłby zatańczyć z Madzią i tak długo

ROZDZIAŁ X

519

trzymać jej rękę w swojej, zawładnęła nim całkowicie. Ale nawet i teraz ręce ich stykały się
w tańcu - stykały się wciąż, póki nie ucichła muzyka, chociaż byli od siebie tak daleko.
Stefan nie bardzo wiedział, co się wokół niego działo i w jaki sposób przeszedł automatycznie
przez wszystkie obowiązkowe grzeczności po skończeniu tańca; wreszcie uwolnił się i
zobaczył, że Madzia siedzi sama w odległym kącie pokoju. Podeszedł ku niej okrążając pary
ustawiające się teraz do walca, a kiedy Madzia zdała sobie sprawę, że jej właśnie szuka,
uczwała, mimo poprzednich myśli, rosnącą w sercu radość. Z oczu jej i policzków wciąż
jeszcze promieniowało dziecinne zadowolenie z tańca - cała jej osoba pragnęła wesela i
tkliwości: nawet nadchodzący ból nie wydawał się tak bardzo gorzki - gotowa była przyjąć go
jako składową część życia, bo życie w tej chwili było przejmującą, rozdzwonioną
świadomością czegoś, co stało ponad radością czy bólem. Przez ten jeden ostatni wieczór
może oddychać szeroko, bez ograniczeń, grzejąc się ciepłem chwili obecnej, bez żrących,
zimnych myśli o przeszłości i przyszłości.

- Będą znowu tańczyć walca - mówił Stefan pochylając się ku niej, a w spojrzeniu jego i
głosie była pokorna czułość, którą stwarzają dla siebie młode sny letnie, kiedy powietrze w
lasach napęlniają niskie, miłosne pienia ptaków. Taki głos i spojrzenia wnoszą powiew poezji
do pokoju, w którym aż duszno jest od jarzącego się gazu i zapamiętałych flirtów.

- Będą znowu tańczyć walca. W głowie może się nam zakręcić od patrzenia, a i gorąco tu bardzo. Może przejdziemy się trochę?

Ujął jej rękę, wsunął pod swe ramię i tak przeszli do bawialni, gdzie stoły zasłane były rycinami dla urozmaicenia czasu gościom, którzy bynajmniej nie chcieli ich oglądać. Nie było tu w tej chwili nikogo. Przeszli dalej do oranżerii.

- Jak nieprawdziwe wyglądają drzewa i kwiaty wśród sztucznego światła - mówiła Madzia cichym głosem. - Wydaje się, że rosną w jakimś zaczarowanym kraju i nigdy nie zwiędną. Łatwo sobie wyobrazić, że są wykonane z drogich kamieni.

0 BN II/234 G. Eliot: Młyn nad Flossą

KSIĘGA SZÓSTA

520

Mówiąc to spoglądała na rząd pelargonii, lecz Stefan nie odpowiadał. Patrzył na nią - a czyż pewien wielki poeta nie złączył w jedno dźwięku i światła, nazywając ciemność niemą, a światło wymownym? Było coś dziwnie mocnego w długim spojrzeniu Stefana, bo twarz Madzi obróciła się ku niemu, ku górze, powoli, jak kwiat za wschodzącym światłem. I szli dalej niepewnie, nie wiedząc, że idą, nie czując nic, tylko te długie, poważne wzajemne spojrzenia, uroczyste, jak wszystko, co cechuje głębokie namiętności ludzkie. Krążąca nad nimi myśl, że muszą się wyrzec siebie nawzajem, sprawiła, że ta chwila milczącego wyznania była jeszcze intensywniejsza i bardziej porywająca.

Ale doszli wreszcie do końca oranżerii i musieli zawrócić. Zmiana ruchu ocuciła Madzie, która zaczerwieniła się mocno, odwróciła głowę i wysunęła rękę spod ramienia Stefana podchodząc do kwiatów, by je powąchać. Stefan stał nieruchomy, wciąż bardzo blady.

- Och, czy mogłabym poprosić o tę różę? - zapytała Madzia robiąc wielki wysiłek, by coś powiedzieć i przytłumić palącą świadomość dokonanego wyznania. - Ja wprost szaleję za różami - tak je lubię zrywać i wąchać, aż w końcu nie zostaje im już nic zapachu.

Stefan milczał: nie mógł złożyć jednego zdania. Madzia uniosła nieco rękę ku wielkiej w półrozwiniętej róży, która tak jej się spodobała. Któż nie odczuł piękna kobiecego ramienia? Jak nieskończone obietnice czułości leżą w tym dołeczku na łokciu i licznych łagodnych zgięciach, aż do delikatnego przegubu o drobnych, prawie niedostrzegalnych wyżłobieniach na jędrnej, miękkiej skórze. Dwa tysiące lat temu ramię kobiece poruszyło serce wielkiego rzeźbiarza, który wyrzeźbił jego podobiznę⁴⁴ w Partenonie⁴⁴; ramię to wciąż jeszcze nas wzrusza, kiedy

⁴⁴ Mowa tu o ramieniu posągu Ateny Partenos dłuta Fidiasza (500-432 p.n.e.), największego rzeźbiarza greckiego. Porównanie ramienia Madzi do tej rzeźby i wielokrotne podkreślanie jej mocnej i harmonijnie zbudowanej sylwetki jest sprzeczne z angielskim ideałem kobiecej piękności z ok. 1840 roku, który uosabia Lucy. Ideał ten prawdopodobnie ukształtował się w związku z popularnością młodej królowej Wiktorii, odznaczającej się wyjątkowo małym wzrostem.

521

ROZDZIAŁ X

obejmuje miłośnie zniszczony przez wieki marmur bezgłowego korpusu. Takie właśnie ramię miała Madzia - z ciepłym odcieniem życia. Szał jakiś ogarnął Stefana, rzucił się ku tej ręce i chwytając ją za przegub, obsypał ramię pocałunkami.

Lecz w następnej chwili Madzia wyrwała mu się i spojrzała nań jak zraniona bogini wojny, drżąc z gniewu i upokorzenia.

- Jak pan śmie! - mówiła wstrząśniętym do głębi, przytłumionym głosem. - Jakież dałam panu prawo do tego, by mnie obrażać?

Odeszła spiesznie do przyległego pokoju; rzuciła się na sofę drżąc i dysząc ciężko. Strasznie została ukarana za swój grzech, za to, że pozwoliła sobie na chwilę szczęścia, które było zdradą wobec Lucy, zdradą wobec Filipa i wszystkiego, co w niej samej dobre. To przelotne szczęście rażone zostało zarazą - trądem. Stefan lżej traktował ją niż Lucy. On zaś opierał się o ścianę oranżerii, rozrywany szalonymi, sprzecznymi uczuciami - miłością, gniewem i rozpaczą - rozpaczą, bo nie potrafił się opanować. Rozpaczą, bo obraził Madzie.

To ostatnie uczucie przesłoniło wszystkie inne: jedynym bodźcem była teraz chęć znalezienia się przy niej i wyblaganie przebaczenia. Nie roinęło kilka minut, nim dziewczyna usiadła, kiedy stanął przed nią w pokorze. Lecz w Madzi nie wygasł jeszcze gorzki gniew.

- Proszę mnie zostawić samą - powiedziała ostro i wyniośle - i w przyszłości proszę się do mnie nie zbliżać.

Stefan odszedł i zaczął chodzić tam i z powrotem po drugim krańcu Pokoju. Lecz powoli zrozumiał, że musi niestety wracać na salę taneczną. Niedługo przebywali poza nią - walc jeszcze się nie skończył, gdy Stefan wrócił.

Madzia również zjawiła się wkrótce na sali. Obudziła się w niej teraz cała duma; ta straszna słabość, która doprowadziła do tego, że jej godność została tak mocno zraniona, okazała się w rezultacie lekarstwem. Wszystkie myśli i pokusy, jakie nachodziły ją przez ostatni miesiąc, zostaną zamurowane w nigdy nie odwiedzanej Przegrodzie pamięci. Nic jej już teraz nie kusi. Droga obowiązku ?dzie łatwa i prosta, a wszystkie dawne, jasne cele zaczną jej znowu

KSIĘGA SZÓSTA

522

przyswiecać. Kiedy wróciła na salę, oczy jej błyszczały ciągle podnieceniem, lecz miała dumne poczucie, że panuje nad sobą i nie dopuści do żadnych nowych wzruszeń. Nie chciała już tańczyć, ale rozmawiała chętnie i spokojnie z każdym, kto do niej podchodził. A kiedy wróciły tego wieczora do domu, pocałowała Lucy z lekkim sercem, niemal rada z tego okropnego przeżycia, dzięki któremu nie będzie się już obawiać, iż jakieś jej słowo czy spojrzenie okaże się zdradą wobec tej łagodnej, nie podejrzewającej niczego siostry.

Następnego ranka Madzia nie wyjechała do Basset tak wcześnie, jak myślała. Matka miała jej towarzyszyć w powozie, a pani Tulliver nie potrafiła szybko uporać się z obowiązkami domowymi. Tak więc Madzia, która przygotowała się spiesznie do wyjazdu, czekała, gotowa już, w ogrodzie. Lucy była w domu, zajęta pakowaniem prezentów z bazaru dla młodych latorośli z Basset. Kiedy rozległ się głośny dzwonek przy drzwiach, Madzia przeraziła się, czy Lucy nie przyprowadzi jej tu czasem Stefana - była bowiem pewna, że to Stefan.

Tymczasem gość sam wszedł do ogrodu i usiadł koło niej w ogrodowym krześle. Nie był to Stefan.

- Możemy stąd dojrzeć czubki szkockich jodeł, Madziu - odezwał się Filip.

W milczeniu ujęli się za ręce, lecz dzisiaj Madzia patrzyła na niego ze swym dawnym dziecinnym, serdecznym uśmiechem, bardziej podobnym do tamtych uśmiechów niż ostatnio. Poczł przyplływ odwagi.

- Tak - odpowiedziała. - Często patrzę na nie i pragnę ujrzeć znowu promienie zachodzącego słońca na ich gałęziach. Lecz szłam tamtą drogą tylko raz: na cmentarz, z moją matką.

- Ja byłem tam ... chodzę tam ... ciągle - odparł Filip. - Mogę żyć tylko przeszłością, niczym więcej.

Żywe wspomnienie i żywe współczucie kazało Madzi ująć dłoń Filipa. Tak często chodzili trzymając się za ręce.

- Pamiętam wszystkie miejsca - mówiła - gdzie opowiadałeś mi tyle rzeczy ... różne piękne opowiadania, zupełnie dla mnie nowe.

ROZDZIAŁ X

523

- Wrócisz tam niedługo, prawda, Madziu? - zapytał Filip nieśmiało. - Młyn wkrótce będzie znowu domem twojego brata.

- Tak, ale ja w nim nie zamieszkałam - odpowiedziała Madzia.

- Słuchać będę tylko o tym szczęściu. Wyjeżdżam. Lucy pewno mówiła ci o tym?

- A więc przyszłość nigdy nie połączy się z przeszłością, Madziu? Ta księga została zamknięta?

Szare oczy, które tak często patrzyły na nią z błagalnym uwielbieniem, spoglądały teraz w napięciu z ostatnim błyskiem nadziei. Madzia zwróciła na niego swe proste, szczere wejrzenie.

- Ta księga nigdy nie zostanie zamknięta, Filipie - odpowiedziała z powagą i smutkiem. - Nie chcę takiej przyszłości, która kazałaby mi zerwać z przeszłością. Ale najmocniejsze więzy łączą mnie z moim bratem. Nie zrobię z własnej woli nic, co by mnie skazywało na rozłąkę z nim.

- Czy to jest jedyny powód, dla którego musimy być rozdzieleni na zawsze? - zapytał Filip z desperackim postanowieniem, że zdobędzie wreszcie jasną odpowiedź.

- Jedyny powód - odpowiedziała Madzia ze spokojną pewnością. Wierzyła w to. W tej chwili wydawało się jej, że zaklęty kielich został rzucony o ziemię. Podniecenie, które było reakcją na czyn Stefana i pozwoliło jej dumnie zapanować nad sobą, nie ustąpiło i Madzia spoglądała w przyszłość w poczuciu spokojnie dokonanego wyboru.

Siedzieli tak trzymając się za ręce, nie patrząc na siebie, bez słowa; dla Madzi bliższe były i żywsze wspomnienia ich miłości i rozstania niż chwila obecna; widziała teraz Filipa w Czerwonej Dolinie.

Filip czuł, że ta odpowiedź powinna uszczęśliwić go całkowicie

- Madzia była szczerą i można w niej było czytać jak w otwartej księdze. Dlaczego więc nie był w pełni szczęśliwy? Zazdrość nie zadowolił się niczym prócz wszechwiedzy, która zdolna jest rozświetlić najskrytsze zakamarki serca.

KSIĘGA SZÓSTA

524

ROZDZIAŁ XI

NA ŚCIEŻCE

Od czterech już dni była Madzia u ciotki Moss, dodając w zamglonych troską oczach dobrej kobiecie niezwyklej jasności wczesnemu czerwcowemu słońcu i dokonując przełomu w życiu swych dużych i małych kuzynków, którzy karbowali w pamięci jej słowa i czyny, jakby widzieli w niej przemijające uosobienie absolutnej mądrości i piękna.

Stała teraz przy podjeździe z ciotką i gromadą kuzynów, karmiąc kury. Była to pora zwykle spokojna w gospodarstwie - przed wieczornym udojem. Wielkie, rozsypujące się budynki wokół zapadniętego podwórza wyglądały równie ponuro i rozpaczliwie jak dawniej, lecz ponad starym murem ogrodowym krzewy różane zaczynały przerzucać pędy, a zszarzałe drzewo i stare cegły stojącego nieco wyżej domu przywodziły na myśl śpiącego starca, wygrzewającego się w południowym świetle słonecznym; harmonizowało to z tą spokojną chwilą. Madzia z budką przewieszoną przez ramię uśmiechała się do stadka pierzastych malutkich kurcząt, kiedy ciotka zawołała:

- Na litość boską! Któż to jest ten pan, co podjeżdża pod bramę? Był to mężczyzna na wielkim, roslym kasztanie. Zad i szyję konia

pokrywały ciemne plamy - świadectwo ostrej jazdy. Madzia czuła, że w głowie jej się kręci, a serce wali jak szalone - jakby nagle poderwał się do życia zaciekły jakiś wróg, który dotąd udawał tylko umarłego.

- Któż to jest, kochanko? - zapytała ciotka poznając z miny Madzi, że zna przybysza.

- To pan Stefan Guest - odparła dziewczyna słabym głosem. - Lucy jest jego ... to jest jej bardzo dobry znajomy.

Stefan był już blisko, zeskoczył teraz z konia i zdjął kapelusz zbliżając się do pań.

- Potrzyмай konia, Willy - zwróciła się pani Moss do dwunastoletniego synka.

ROZDZIAŁ XI

525

- Nie, dziękuję - odparł Stefan przytrzymując konia, który niecierpliwie potrząsał łbem. - Muszę wracać natychmiast. Mam przekazać pewną wiadomość pannie Tulliver, wiadomość ściśle prywatną. Czy mogę ośmielić się i prosić panią, by przeszła ze mną parę kroków? Był wymęczony i zdenerwowany, jak człowiek, który ani w łożu, ani przy stole nie może zaznać uspokojenia, dręczony bezustanną troską czy smutkiem. Mówił gwałtownie, jakby polecenie było zbyt naglące, by miał się jeszcze martwić, co sobie pomyśli pani Moss o jego wizycie i prośbie. Zaczęła ciocia Gritty, trochę nieswoja w obecności tego wyniosłego pana, zastanawiała się w głębi duszy, czy zrobi dobrze, czy źle, jeśli poprosi jeszcze raz, by zostawił konia i wszedł do domu, kiedy Madzia rozumiejąc niezręczność sytuacji, niezdolna powiedzieć słowa, włożyła budkę na głowę i ruszyła w kierunku bramy.

Stefan zawrócił również; szedł koło niej, prowadząc konia.

W milczeniu ruszyli ścieżką i przeszli kilka jardów. Wówczas Madzia, która patrzyła przez cały czas prosto przed siebie, zawróciła, mówiąc wyniosłe i niechętnie:

- Nie mam po co iść dalej. Prawdopodobnie uważa pan, że to delikatne i uczciwe zmuszać mnie, bym wychodziła tu z panem. A może chciał mnie pan jeszcze raz obrazić, zmuszając w ten sposób do rozmowy.

- Oczywiście, gniewa się pani na mnie za ten przyjazd - odparł Stefan z goryczą. -

Oczywiście, nie ma najmniejszego znaczenia, jak bardzo mężczyzna cierpi ... Panią obchodzi tylko jej kobieca godność i nic więcej.

Madzia drgnęła lekko, jakby doznała słabego wstrząsu elektrycznego.

- Nie dość, że się znalazłem w tej matni, że oszalałem z miłości do ciebie, że opieram się najmocniejszemu uczuciu, jakie odczuwać może mężczyzna, bo chcę dochować wiary innym zobowiązaniom, a ty jeszcze traktujesz mnie jak gruboskórnego brutala, który chciałby cię Umyślnie obrazić. Gdybym mógł być powolny własnym pragnieniom,

KSIĘGA SZÓSTA

526

błagałbym cię, byś wzięła moją rękę, majątek, całe moje życie i zrobiła z tym, co tylko zechcesz! Wiem, że przekroczyłem granice tego, co dozwolone, i że nie mam na to usprawiedliwienia! Nienawidzę się za to, co zrobiłem. Ale pożałowałem natychmiast! ... i żałuję ciągle. Nie możesz mi odmówić przebaczenia; człowiek, co kocha całą duszą, tak jak ja ciebie, może ulec na chwilę uczuciu; ale ty wiesz ... musisz w to wierzyć ... że najwyższy ból, jaki mogę przeżywać, to świadomość, że zadałem ból tobie ... i że oddałbym świat cały, aby móc to odrobić!

Madzia nie śmiała przemówić - nie śmiała odwrócić głowy. Pierzchła gdzieś siła płynąca z urazy i wargi dziewczęcia trzęsły się teraz wyraźnie. Nie była zdolna wyrzec słów serdecznego przebaczenia, jakie zawisły na jej wargach w odpowiedzi na to pytanie.

Byli już z powrotem blisko bramy i Madzia stanęła, drżąc cała:

- Nie wolno panu tego mówić ... nie wolno mi tego słuchać! - mówiła patrząc z rozpaczą w ziemię, gdy Stefan stanął przed nią, nie chcąc dopuścić, by podeszła bliżej bramy. - Żał mi, bardzo żał, że pan musi cierpieć ... ale nic nie przyjdzie ze słów.

- Owszem, przyjdzie - zaprzeczył gwałtownie. - Przyjdzie, jeżeli zaczniesz mnie traktować z litością i pobłażaniem, zamiast krzywdzić tak strasznie w swoich myślach. Mogłbym znieść wszystko spokojniej, gdybym wiedział, że nie traktujesz mnie jak bezczelnego zuchwalca.

Spójrz na mnie, zobacz: jestem jak opętany. Robię dziennie trzydzieści mil konno, by uciec od myśli o tobie.

Madzia nie mogła - nie śmiała podnieść oczu. Widziała już tę udręczoną twarz.

Odpowiedziała jednak łagodnie:

- Nie myślę o panu źle!

- Więc spójrz na mnie, najdroższa - mówił Stefan głębokim czułym tonem błagania. - Nie odchodź jeszcze ode mnie. Daj mi chwilę szczęścia ... Spraw, bym czuł, że mi przebaczyłaś.

- Tak, przebaczam panu - odparła Madzia wstrząśnięta tym głosem i jeszcze bardziej przerażona samą sobą. - Ale proszę, niech mi pan pozwoli wrócić! Niech pan już idzie, proszę!

Wielka łza spłynęła spod jej spuszczonej powiek.

ROZDZIAŁ XI

527

- Nie mogę iść od ciebie ... nie mogę cię zostawić - odparł Stefan z jeszcze bardziej namiętnym błaganiem w głosie. - Wrócę tu znowu, jeżeli odeślesz mnie taka chłodna ... nie odpowiadam za siebie. Ale wystarczy mi, jeśli pójdziesz ze mną kawałek. Widzisz chyba jasno jak na dłoni, że twój gniew odwodzi mnie tylko od zmysłów.

Madzia zawróciła. Lecz Tankred, kasztanek Stefana, zaczął tak ogniście protestować przeciwko ciągłym zmianom kierunku, że młodzieniec widząc, jak mały Willy Moss zagłąda przez bramę, zawołał:

- Hej, chodź no tu i potrzyмай mi konia pięć minut!

- Och, nie - zaprotestowała Madzia spieszenie. - Ciocia pomyśli, że to takie dziwne.

- Nic nie szkodzi - odparł niecierpliwie Stefan - tu nie znają ludzi z St. Ogg's. Oprawdaj go przez pięć minut - dodał, gdy Willy podszedł do nich, potem zaś obrócił się ku Madzi i ruszyli. Teraz musiała już iść razem z nim.

' - Weź moje ramię - prosił Stefan, a ona ujęła go pod rękę. Zdawało jej się przez cały czas, że spada gdzieś w dół, w sennym koszmarze.

- Nie ma końca temu nieszczęściu - zaczęła, starając się słowami rozbić ten nastrój. - To szalone ... podłe ... pozwolić sobie na słowo czy spojrzenie, którego Lucy ... którego inni nie mogliby zobaczyć. Niech pan pomyśli o Lucy!

- Myślę o niej ... niech ją Bóg błogosławi. Gdybym nie myślał ... - Stefan położył dłoń na ręce Madzi, spoczywającej na jego ramieniu, i oboje czuli, że trudno im mówić.

- Mam też inne zobowiązania - rzekła wreszcie Madzia z rozpaczliwym wysiłkiem - nawet gdyby Lucy nie istniała.

- Jesteś zaręczona z Filipem Wakemem - spieszenie powiedział Stefan. - Czy tak?

- Uważam się za zaręczoną z nim ... nie myślę o wyjściu za nikogo innego ...

Stefan milczał znowu, aż wreszcie zesłi ze słońca i skręcili w boczną ścieżkę, osłoniętą i porośłą trawą. Wtedy wybuchnął gwałtownie:

KSIĘGA SZÓSTA

528

- To sprzeczne z naturą ... to straszne! Madziu, gdybyś kochała mnie tak, jak ja ciebie kocham, nie zważalibyśmy na nic, byle tylko móc należeć do siebie. Zerwalibyśmy wszystkie fałszywe, w ślepotę podjęte zobowiązania i wzięlibyśmy ślub.

- Prędzej umrę, niż dam się zwieść temu kuszeniu - odparła Madzia powoli, głęboko i wyraźnie, a cała siła wewnętrzna, zgromadzona w ciągu trudnych lat, przysła jej teraz z pomocą w potrzebie. Dziewczyna mówiąc to wysunęła rękę spod jego ramienia.

- A więc mi powiedz, że nie dbasz o mnie - zwrócił się do niej niemal gwałtownie. - Powiedz mi, że bardziej kochasz innego.

Przez myśl Madzi przemknęło, że nadarza się sposobność zakończenia tej widomej walki - może powiedzieć Stefanowi, że oddała Filipowi swoje serce. Ale wargi nie chciały wymówić tych słów i Madzia milczała.

- Jeśli mnie kochasz, najdroższa - mówił łagodnie Stefan, ujmując jej rękę i wsuwając znowu pod swoje ramię - to lepiej będzie, słuszniej będzie, jeżeli się pobierzemy. Nie możemy zapobiec cierpieniu, jakie nasza miłość wywoła. Ale przecież nie szukaliśmy jej: ta miłość jest naturalna. Wzięła mnie we władanie mimo wszystkich wysiłków, jakie robiłem, by się jej oprzeć. Bóg świadkiem, że z całych sił starałem się dochować wierności mym cichym zaręczynom, a tylko pogorszyłem sprawę. Lepiej by było, gdybym uległ od razu.

Madzia milczała. Gdyby te słowa były prawdą! Gdyby była ich pewna i nie potrzebowała dłużej szarpać się i walczyć z tym prądem łagodnym a jednocześnie mocnym, jak strumień w lecie.

- Powiedz "tak", najdroższa - Stefan pochylił się i spoglądał w jej twarz. - Cóż nas może obchodzić cały świat, będziemy należeć do siebie? .

Czuła jego oddech na swojej twarzy, usta tak blisko jej ust, a w jego miłości dla niej czaiło się coś przerażającego.

Wargi i powieki Madzi drżały: otworzyła oczy i patrzyła na niego przez chwilę, jak piękne dzikie zwierzę, płochliwe i dalekie pod pieszczotliwym dotknięciem; nagle zawróciła w kierunku domu.

ROZDZIAŁ XI

529

- I przecież - Stefan mówił dalej niecierpliwie, jakby starał się przełamać nie tylko jej, ale i własny opór - nie zrywam żadnych konkretnych zaręczyn. Gdyby Lucy przestała mnie kochać i oddała

serce komu innemu, nie uważałbym, że mam prawo do pretensji. Jeśli ty również jesteś nieformalnie zaręczona z Filipem, to obydwójecie jesteście wolni.

- Sam w to nie wierzysz ... - wcale tak w gruncie rzeczy nie myślisz - odparła Madzia z powagą. - Myślisz to samo, co ja: że jawne więzy to uczucia i nadzieje, jakie wznicieliśmy w sercach innych. Inaczej można by złamać wszystkie przyrzeczenia nie chronione zewnętrznym prawem. Nie istniałoby wtedy coś takiego jak wierność.

Stefan milczał. Nie mógł obstawać przy swoim - zbyt głęboko, podczas ostatnich zmagania z samym sobą, utwierdziło się w jego duszy wprost przeciwne przeświadczenie. Wkrótce jednak znalazł nowy argument.

- Te obietnice nie mogą zostać spełnione - nalegał gwałtownie. Są sprzeczne z naturą.

Możemy tylko udawać, że innym oddajemy

woje serca. To także jest złe, z tego może wypłynąć nieszczęście i dla nich, nie tylko dla nas.

Madziu, musisz to przecież rozumieć ... rozumiesz na pewno!

Wpatrywał się bystro w jej twarz szukając najmniejszej oznaki

liwości: jego duża, mocna, delikatna ręka trzymała jej dłoń.

Madzia milczała chwilę z oczyma wbitymi w ziemię; potem wciągnęła

i oddech i odparła, spoglądając na niego z powagą i smutkiem:

To trudne ... życie jest bardzo trudne! Czasem wydaje mi się, że

najlepiej dać posłuch najmocniejszym naszym uczuciom, lecz te

uczucia ustawicznie krzyżują się z więzami, jakie powstały w dawniej-

szym naszym życiu i uzależniły od nas innych, których możemy

niezauważalnie zranić. Gdyby życie było łatwe i proste jak w raju

- glibyśmy zawsze być pewni, że pierwszy jest ten, dla kogo ... to

życie gdyby życie nie stwarzało nam obowiązków, które rodzą się

z miłością, miłość byłaby znakiem, że dwoje ludzi powinno do

siebie należeć. Rozumiem jednak, czuję, że jest inaczej: są rzeczy,

KSIEGA SZÓSTA

530

których się musimy wyrzec w życiu, niektórzy z nas muszą zrezygnować z miłości. Wiele jest spraw trudnych i ciemnych dla mnie, ale jedno widzę jasno, że nie wolno mi, że nie mogę zdobywać mego szczęścia kosztem cudzego. Miłość jest uczuciem naturalnym, lecz z pewnością litość, wierność i pamięć są też naturalne. I będą we mnie żyły i zemszczą się, jeśli ich nie posłucham. Prześladowałyby mnie cierpienia, których byłam przyczyną. Nasza miłość byłaby zatruta. Nie nalegaj, pomóż mi - pomóż mi właśnie dlatego, że cię kocham!

Madzia, w miarę jak mówiła, poważniała coraz bardziej, policzki jej zaróżowiały się, a oczy pełne były błagalnej miłości. Jakaś szlachetna struna w duszy Stefana odpowiedziała na tę prośbę, lecz jednocześnie - jakżeż mogło być inaczej? - ta błagająca piękność zdobyła nad nim nową władzę.

- Najdroższa - mówił szeptem prawie, a ręce jego objęły ją ukradkiem - zrobię ... zniosę wszystko, co zechcesz. Ale pocałuj mnie raz ... jeden, ostatni raz ... przed rozstaniem. Jeden, ostatni pocałunek - a potem długie spojrzenie, wreszcie Madzia powiedziała drżąco: - Puść mnie ... chodźmy z powrotem ... szybko.

Ruszyła spieszenie. Nie powiedzieli już ani jednego słowa. Kiedy zbliżyli się do chłopca trzymającego konia, Stefan stanął i skinął na niego, Madzia zaś weszła w bramę. Pani Moss stała sama w drzwiach starego ganku; z serca płynąca przezorność kazała jej zapędzić wszystkie dzieci do domu. Może to i radosne, że Madzia ma tak bogatego i przystojnego wielbiciela, będzie jednak na pewno speszona wchodząc do domu - a przecież może to być również smutne. Bez względu na to, czy radosne, czy smutne, pani Moss sama z niepokojem czekała na Madzie. Wyrazista twarz dziewczęcia mówiła jasno, że jeżeli to radość, to bardzo emocjonująca i dość wątpliwa.

- Usiądź tu na chwilę, kochanko - pani Moss pociągnęła Madzie na ganek i usiadła koło niej na ławce; w domu dziewczyna nie znajdzie samotności.

ROZDZIAŁ XII

531

- Och, ciociu Gritty, taka jestem nieszczęśliwa! Lepiej żebym umarła, kiedy miałam piętnaście lat. Tak się wtedy było łatwo wszystkiego wyrzekać, a teraz tak trudno! Biedne dziecko zarzuciło ramiona na szyję ciotki i zaniosło się długim, głębokim łkaniem.

ROZDZIAŁ XII PRZYJĘCIE RODZINNE

Madzia wyjechała od zacnej cioci Gritty w końcu tygodnia i zgodnie z umową pojechała do Gamm Firs, złożyć wizytę cioci Pullet. Tymczasem zaszły nieoczekiwane wydarzenia i w Garum miał się odbyć zjazd rodzinny, aby omówić i uczcić odmianę w losach Tulliverów, która, być może, rozproszy ostatecznie cień ich przewin i jak pierwsze promienie słońca po zaćmieniu sprawi, że pogrążone dotychczas w mroku cnoty zaczną świecić pełnią blasku. Jak przyjemnie pomyśleć, że nowy gabinet ministrów rozpoczynający urzędowanie nie jest jedynym zespołem ludzi, który przeżywa okres uznania i przesadnych zachwytów. U wielu czcigodnych rodzin w tym kraju krewni, którzy stali się ponownie wypłacalni, spotykają się z równie serdecznym uznaniem, a jeśli weźmiemy pod uwagę, że jest to reakcja nie wymuszona i nie będąca logicznym następstwem podobnego uznania w przeszłości, możemy zacząć ludzi się radosną nadzieją, że kiedyś znajdziemy się niepostrzeżenie w raju na ziemi, gdzie jadowite węże przestaną gryźć, a wilki będą pokazywać zęby wyłącznie w łagodnych zamiarach.

Lucy przyjechała odpowiednio wcześniej, by zdążyć jeszcze przed ciocią Glegg, chciała bowiem swobodnie omówić z Madzią cudowne nowiny.

- Wydaje się - mówiła Lucy z rozkoszną mądrą minką - że Wszystko, nawet niepowodzenia innych (biedaków!), składa się na to,

KSIEGA SZÓSTA

by kochana ciocia Tulliver, kuzynek Tomek i nieznośna Madzia, żeby się tylko tak nie opierała, byli tak szczęśliwi, jak im się to należy po wszystkich strapieniach. Pomyśleć tylko, że tego dnia, kiedy Tomek wrócił z Newcastle, nieszczęsny młody Jetsome, którego pan Wakem umieścił we młynie, spadł po pijanemu z konia i leży teraz w St. Ogg's, w groźnym stanie, tak że Wakem oświadczył, iż nowy nabywca może się natychmiast wprowadzać. Ogromnie to przykre ze względu na tego młodego człowieka, ale wydawać by się mogło, że nieszczęście wydarzyło się akurat teraz, a nie kiedy indziej, po to, by kuzyn Tomek mógł szybciej otrzymać odpowiednią nagrodę za swoje wzorowe postępowanie; papa ma o nim taką wspaniałą opinię! Ciocia Tulliver musi oczywiście wracać teraz do młyna i prowadzić Tomkowi dom. Wielka to będzie strata dla Lucy i trudno jej przyjdzie dać sobie radę, ale pomyśleć tylko, że kochana cioteczka wróci do swojego starego domu i powoli zostanie znów otoczona dobrobytem!

Jeśli chodzi o to ostatnie, Lucy miała różne chytre plany i po odbyciu z Madzią niebezpiecznej przeprawy po lśniących schodach do ładnej bawialni, gdzie nawet promienie słoneczne wydawały się czystsze niż gdzie indziej, skierowała swój atak tam, gdzie by go skierowali wszyscy wielcy taktycy: w najsłabsze miejsce przeciwnika.

- Cioteczko - zaczęła siadając na sofie i pieszczotliwie poprawiając rozwiane wstążki ciotczynego czepeczka. - Tak bym chciała, żeby się ciocia zdecydowała, którą bieliznę stołową i pościelową i jakie inne rzeczy da ciocia Tomkowi na gospodarstwo. Zawsze była ciocia taka hojna, zawsze ofiarowuje ciocia takie ładne prezenty: a jeśli ciocia da przykład, to ciocia Glegg pójdzie w jej ślady.

- Tego nie będzie w stanie zrobić, moja duszko - odparła z niezwykłą u niej żywością pani Pullet - bo powiadam ci, że ona nie ma takich płócien jak moje, więc w moje ślady iść nie może. Nigdy nie miała gustu, choćby nie wiem ile wydawała pieniędzy. Cała jej bielizna stołowa to wielkie kostki albo jakieś zwierzęta, jelenie i lisy. Żadnych kropeczek, żadnych rombów. Ale to niedobrze rozdawać swoją bieliznę stołową i pościelową przed śmiercią. Nigdy by mi to do głowy nie przyszło, Bessy - ciągnęła pani Pullet potrząsając głową i patrząc

ROZDZIAŁ XII

na siostrę - kiedy wybierałam z tobą te podwójne romby, z pierwszego lnu, jakiśmy w życiu przędły ... a Bóg jeden wie, gdzie twój się teraz podziewa.

- Cóż mogłam na to poradzić, moja droga - tłumaczyła się młynarzowa, która zwykła uważać, że wszelkie zarzuty są do niej kierowane. - Nie z mojej to się stało woli, boć przecież nie leżałabym całymi nocami bez snu myśląc, że moje najlepsze bielone płótna są rozwłócone po całej okolicy.

- Niech szwagierka weźmie miętówkę - zaproponował wuja- szek Pullet w przekonaniu, że proponuje pociechę zdrową i taną, i że zachęca do niej własnym przykładem.

- Ale, cioteczko - tłumaczyła Lucy - ciocia ma tyle pięknych płócien! Gdyby ciocia miała córki, to i tak musiałyby ciocia rozdzielić swoją bieliznę, kiedy one wychodziłyby za mąż.

- No cóż, nie mówię, że tego nie zrobię - odparła ciocia - bo teraz, kiedy Tomkowi tak się poszczęściło, jego bliscy powinni o nim pomyśleć i pomóc mu, to oczywiste. Jest ten komplet stołowy, co go kupiłam na twojej wyprzedaży, Bessy, z dobrego serca go kupiłam, z niczego innego, bo leży dotąd nie ruszany w skrzyni. Ale nie mam zamiaru dawać Madzi nic więcej z moich indyjskich muślinów ani innych rzeczy, jeżeli znowu pójdzie na służbę, chociaż mogłaby zostać tu ze mną i szyć za mnie, jeżeli brat nie potrzebuje jej u siebie.

Wyrażeniem "iść na służbę" określali Dodsonowie pozycję nauczycielki czy guwernantki, toteż powrót Madzi do służebnego stanu, zwłaszcza teraz, kiedy nadarzały się o wiele bardziej

nęcające możliwości, był dla całej rodziny, nie tylko dla Lucy, tematem bardzo drażliwym. Kiedy Madzia jako niezdarny podłotek nosiła włosy spuszczone na plecy i tak się podejrzenie zapowiadała, była najbardziej niepożądaną siostrzenicą; teraz jednak mogła być jednocześnie ozdobą i pomocą. Rozważano tę sprawę w obecności wujostwa Glegg nad herbatą i racuszkami.

- Co tam, co tam - wujaszek Glegg dobrodusznie poklepywał Madzie po plecach. - Cóż to za głupstwa! Nie mów nam tylko, że chcesz znowu przyjąć jakąś nową posadę. Też pomysły! Musiałaś

KSIĘGA SZÓSTA

534

przecież zdobyć sobie wielu adoratorów na bazarze. Żaden ci nie odpowiada? No, jak tam było?

- Mój drogi - zaczęła jego żona, przydając do surowego tonu dodatkowy odcień uprzejmości, który zawsze towarzyszył sztywniej- szym loczkom - wybacz mi, proszę, lecz jak na człowieka w twoim wieku zbyt lekce sobie ważysz wszystko. Moja siostrzenica nie powinna podejmować decyzji wyjazdu bez naradzenia się z nami, ze względu na szacunek i obowiązek wobec ciotek i reszty rodziny, która jest dla niej taka dobra, a nie ze względu na jakichś tam adoratorów, jeżeli mam już użyć tego słowa, chociaż w naszej rodzinie nigdy go nie słyszałam.

- Patrzcie no! A jak to one nas nazywały, jakeśmy się koło nich kręcili, co, szwagrze? Wtedy to im nasza adoracja była całkiem słodka - tu pan Glegg mrugnął wesoło do pana Pullet, a ten, na wzmiankę

O słodczy, dosypał sobie jeszcze trochę cukru.

- Mężu- powiedziała pani G. - Jeżeli chcesz być niedelikatny, uprzedź mnie o tym, proszę.

- Daj spokój, Janko, twój mąż tylko żartuje - wtrąciła pani Pullet. - Niechże sobie żartuje, póki ma siły i zdrowie. Temu biednemu panu Tilt usta się całkiem wykrzywiły na jedną stronę

I nawet jakby chciał, to się nie może śmiać.

- Poproszę cię wobec tego o ciastko, mężu - powiedziała pani G. - jeżeli wolno mi przerwać twoje żarty. Chociaż nie wiem, czy inni dopatrywaliby się żartu w tym, że siostrzenica lekceważy najstarszą siostrę swojej matki, głowę rodziny. Przychodzi do niej tylko na krótkie odwiedziny przez cały czas, kiedy jest w mieście, a potem bez jej wiedzy postanawia, że wyjedzie, nic mi nie mówi, mnie, która odkładam dla niej moje czepki do przybrania, mnie, com zawsze tak równo dzieliła moje pieniądze.

- Ale, siostrzo - wtrąciła niespokojnie pani Tulliver - jestem pewna, że Madzia wcale nie myślała wyjechać nie posiedziawszy wprzód u ciebie przez pewien czas, tak jak u innych. Co nie znaczy, że chciałabym, żeby ona wyjeżdżała, całkiem przeciwnie. Nie mnie za to winić. Mówiłam i mówiłam, nie wiem ile razy: "Moja kochana, nie

ROZDZIAŁ XII

535

masz potrzeby jechać". Ale przecież zostało jej jeszcze dziesięć dni czy dwa tygodnie, nim będzie gotowa do wyjazdu - może przez ten czas zamieszkać u ciebie, a ja będę tu zachodzić, jak tylko znajdę chwilę, i Lucy tak samo.

- Bessy - odparła pani Glegg - gdybyś się zastanowiła, wiedziałabyś, że teraz, na sam koniec, nie warto powlekać i rozbierać łóżka i robić sobie kłopotów, kiedy nasz dom jest o piętnaście minut od siostry Deane. Może przychodzić do mnie z samego rana i wracać późnym wieczorem, i być wdzięczną, że ma taką dobrą ciotkę, co mieszka blisko, do której może sobie przychodzić. Wiem, że ja w jej wieku byłabym za to wdzięczna.

- Ee, Janko - wtrąciła pani Pullet - dobrze by zrobiło twoim łóżkom, żeby ktoś się w nich przespał. W tym pokoju tapetowanym w pasy czuć stęchlizną, a okna są zapleśniałe ze szczętem. Słowo daję, myślałam, że mnie zatka na śmierć, jak tam ostatnim razem weszłam.
- O, jest już Tomek - klasnęła Lucy w ręce. - Przyjechał na Sindbadzie, tak jak go prosiłam. Bałam się już, że nie dotrzyma obietnicy.

Kiedy Tomek wszedł, Madzia poskoczyła go ucałować, widziała go bowiem po raz pierwszy, odkąd zaświtała mu nadzieja na powrót do młyna. Wzięła teraz brata za rękę i posadziła koło siebie. Zawsze pragnęła, by jej stosunków z Tomkiem nie przesłaniała najmniejsza chmurka, a korzenie tego pragnienia sięgały głębiej niż późniejsze zmiany. Uśmiechnął się do niej dobrotliwie i powiedział:

- Dzień dobry, Madzinku! Jak się ma ciocia Gritty?

- Witam, witam - wujaszek Glegg wyciągnął do niego rękę. - No cóż, okazuje się, że wielki z ciebie człowiek i ze wszystkim dajesz sobie radę. Szczęście uśmiechnęło się do ciebie o wiele wcześniej niż do innych, ale życzę ci jak najlepiej. Pewien jestem, że kiedyś odzyskasz młyn na dobre. Ty się nie zatrzymasz w połowie drogi pod górę!

- Mam tylko nadzieję, że nie zapomni, iż zawdzięcza to wszystko rodzinie swojej matki - wtrąciła pani Glegg. - Ładnie by wyglądał, gdyby nie miał po kim odziedziczyć usposobienia. W naszej rodzinie

1 BN 11/234 G. Eliot: Młyn nad Flossą

KSIĘGA SZÓSTA

536

nie słyszało się nigdy o bankructwach, procesach czy marnotrawstwie, ani o żadnym tam umieraniu bez testamentów ...

- Ani o nagłych śmierciach - dodała ciocia Pullet. - Zawsze się zdążyło wezwać doktora. Ale Tomek ma cerę Dodsonów, od początku to mówiłam. Nie wiem, co ty zamierzasz zrobić, Janko, aleja chcę mu dać, oprócz prześcieradeł, jeden z moich największych trzech obrusów, ten prawie największy. Nie mówię, że zrobię coś więcej, ale to zrobię na pewno i gdybym miała umrzeć jutro, pamiętaj o tym, mężu. Chociaż pomyłają ci się klucze i zapomnisz, że w mojej garderobie na trzeciej półce po lewej stronie, za czepeczkami nocnymi z szerokimi wiązaniami, nie za tymi wąskimi w zakładeczki, jest klucz od szuflady w Niebieskim Pokoju, gdzie leży klucz od Niebieskiego Schowka. Na pewno się pomylisz, a ja nawet tego nie zobaczę. Masz świetną pamięć, jeśli idzie o moje pigułki i dozowanie, świetną, nie ma co mówić: zawsze ci to powtarzam, ale z kluczami nie możesz sobie poradzić! - Ponura wizja zamieszania, jakie nastąpi po jej zgonie, poruszyła panią Pullet.

- Za daleko zaszłaś z tym zamykaniem, Zosiu - pani Glegg mówiła o tym szaleństwie z pewnym niesmakiem. - Przekraczasz granice przezorności, jakie zostały przyjęte w naszej rodzinie. Nikt mi nie może powiedzieć, że ja nie zamykam, ale robię to w granicach rozsądku. Jeśli zaś idzie o bieliznę, to zastanowię się, co by się mogło przydać mojemu siostrzeńcowi. Mam bieliznę pościelową, która nigdy nie była bielona, a jest lepsza niż holenderskie płótna. Wierzę, że jak będzie w niej leżał, to pomyśli o ciotce.

Tomek podziękował pani Glegg, lecz uchylił się od obietnicy rozpamiętywania w nocy jej cnót, pan Glegg zaś zmienił zaraz temat zapytując, jakie ma zamiary pan Deane co do zastosowania pary.

Prosząc Tomka, by przyjechał na Sindbadzie, Lucy miała ukryte zamysły. Kiedy mieli jechać do domu, okazało się, że służący ma wracać konno, a kuzyn Tomek odwiezie matkę i Lucy.

- Będzie ciocia musiała siedzieć sama - oświadczyła sprytnie młoda osóbką - bo ja chcę usiąść koło Tomka. Mam mu wiele do powiedzenia.

ROZDZIAŁ XII

537

Przejęta serdeczną troską o Madzie, Lucy nie mogła zrozumieć, dlaczego by miała odkładać na później rozmowę z Tomkiem. Przecież teraz, przeżywając tak wielką radość z nieoczekiwanego spełnienia pragnień i powrotu do młyna, musi być bardziej miękki i ustepliwy. Natura Lucy nie pozwalała jej zrozumieć kuzyna, toteż ze zdumieniem i przykrością zauważyła nieprzyjemną zmianę na jego twarzy, kiedy mu opowiedziała, jak Filip wpłynął na decyzję swego ojca. Przypuszczała, że wyjawienie tych nowin będzie niesłychanie przebiegłym pociągnięciem, które natychmiast zwróci ku Filipowi serce Tomka; poza tym zaś będzie dowodem, że stary Wakem gotów jest przyjąć Madzie z wszelkimi honorami należnymi synowej. Czegóż więc jeszcze brak prócz tego, by kochany Tomek, który zawsze tak mile się uśmiechał patrząc na swoją kuzyneczkę, zrobił ten całkowity zwrot, powiedział coś innego niż mówił dotąd i oświadczył, że jeśli idzie o niego, jest zachwycony, iż wszystkie stare krzywdy idą w zapomnienie, a Madzia może wyjść za Filipa z wszystkimi należnymi jej względami. W pojęciu kuzyneczki Lucy nie istniało nic łatwiejszego.

Lecz u ludzi o wyraźnie zarysowanych dodatnich i ujemnych cechach charakteru, składających się na surowość, jak: siła woli, świadomość słuszności celów, uboga wyobraźnia i intelekt, ogromne samoopanowanie i skłonność do despotyzmu - u takich ludzi uprzedzenia są naturalnym pokarmem dla tych skłonności, które nie znajdują pożywki w złożonej, fragmentarycznej, nasuwającej wątpliwości wiedzy, nazywanej prawdą. Niechby to było uprzedzenie odziedziczone po kimś w spadku, złapane z powietrza, przejęte z Pogłosek, pochwycone wzrokiem - bez względu na to, skąd rzyszło, ludzie tacy dadzą mu w swych umysłach mieszkanie. Jest to 'OS, przy czym można bohatersko i mocno obstawać, coś, co zapełnia brak własnych sądów, coś, co można narzucić innym w powadze własnej racji: jest to jednocześnie maczuga i buława. Każde uprzedze- Pk które odpowiada tym warunkom, jest słuszne samo przez się. Dobry, prawy Tomek Tulliver należał do tej właśnie kategorii ludzi, krytyczny stosunek do błędów ojca nie przeszkodził mu przejąć ojcowskich uprzedzeń. Były to uprzedzenia przeciwko człowiekowi,

41

KSIĘGA SZÓSTA

538

który nie miał ani żelaznych zasad, ani żelaznej dyscypliny, uprzedzenia podsycane przez zranioną dumę rodzinną i osobiste rozczarowania. Dołączyły się do tego inne jeszcze uczucia sprawiając, że Tomek z goryczą i wstrętem odniósł się do Filipa i projektu Madzinego z nim małżeństwa. "Oczywiście, Madzia robi, co będzie chciała. Oświadczyła, że chce być niezależna. Jeśli zaś chodzi o niego, to uważa, że jego obowiązek wobec pamięci ojca i wszystkie męskie uczucia nie pozwolą mu zgodzić się nigdy na żadne związki z Wakemami". Tak więc z gorliwego pośrednictwa Lucy wynikło to tylko, że Tomek zaczął przypuszczać, iż przewrotne postanowienie Madzi wyjazdu na posadę przemieni się teraz, jak to zwykle jej postanowienia, w coś równie przewrotnego, lecz zupełnie innego - w małżeństwo z Filipem Wakemem.

ROZDZIAŁ XIII

PORWANI NURTEM45

Po niecałym tygodniu Madzia wróciła do St. Ogg's. Pozornie nic się nie zmieniło w jej sytuacji, odkąd stąd wyjechała. Łatwo jej teraz było spędzać przedpołudnia z dala od Lucy, gdyż obiecała cioci Glegg, że będzie do niej przychodzić, no i, rzecz oczywista, musiała więcej niż dawniej przebywać z matką w ciągu ostatnich tygodni, zwłaszcza że trzeba było pomyśleć o przygotowaniach do nowego gospodarstwa Tomka. Jeśli jednak idzie o wieczory, Lucy nie chciała słyszeć o żadnych wymówkach. Madzia musi wracać od cioci Glegg przed kolacją, "bo inaczej nie będę cię w ogóle miała" - mówiła, odąwszy płaczliwie wargi, czemu nie można się było

45 porwani nurtem - tłumaczka wybrała tę wersję, zamiast "porwani odpływem", gdyż użyte tu angielskie słowo tide oznacza zarówno przypyływ, jak i odpływ. Tytuł sam w sobie nie precyzuje więc kierunku przejażdżki łodzią- Dopiero w dalszych częściach rozdziału, gdy pojawiają się dodatkowe informacje, można wnioskować, że chodzi o odpływ i że Stefan i Madzia płyną w dół rzeki.

ROZDZIAŁ XIII

539

oprzeć. A pan Stefan Guest z niewiadomych przyczyn zaczął coraz częściej zostawać na kolacji u państwa Deane, zamiast, jak dawniej, tego unikać. Z początku postanawiał sobie rano, że nie zostanie na kolacji, ani nie będzie składał wieczorem wizyt, póki Madzia nie wyjedzie. Ułożył sobie nawet, że uda się w podróż teraz, w czerwcu, przy dobrej pogodzie: wystarczającym pretekstem mogły być bóle głowy, którymi tłumaczył swoją mrukliwość i otepienie⁴⁶. Lecz nie wyjechał, a czwartego dnia rano nie powziął jeszcze ostatecznej decyzji co do wieczornych wizyt; widział w nich tylko moment, kiedy jeszcze raz zobaczy Madzie, kiedy będzie mógł skraść jeszcze jeden dotyk, jedno spojrzenie. Czemu nie? Nie mieli nawzajem nic do ukrywania przed sobą: wiedzieli, wyznali swą miłość i wyrzekli się siebie nawzajem. Mają się rozstać. Rozdziela ich honor i sumienie. Tak zdecydowała Madzia wypowiadając słowa płynące z samej głębi duszy. Lecz przecież mogą jeszcze rzucić sobie przeciągłe spojrzenie nad przepaścią, zanim się odwrócą, by już nigdy na siebie nie spojrzeć, póki to dziwne światło nie wypali się na zawsze w ich oczach.

Przez cały ten czas Madzia poruszała się spokojnie, jak we śnie; tak bardzo kontrastowało to z jej zwykłą żywością i entuzjazmem, że Lucy musiałyby się zastanowić nad przyczyną zmiany, gdyby nie uważała, L trudna sytuacja Madzi między własnym bratem a Filipem oraz zbliżające się własnowolne, trudne do zniesienia wygnanie są wystarczającym powodem nawet do głębokiego przygnębienia. Lecz pod tym sennym otepieniem toczyła się taka walka wewnętrzna⁴⁷, jakiej Madzia nie przeczuwała i nie zaznała nigdy w całym swoim pełnym zmaganiach życia. Wydawało się jej, że najstraszniejsze złe moce czyhały

46 mrukliwość i otepienie - to stan, w jakim od tego momentu znajdować się będzie wielokrotnie Stefan, u Madzi zaś narrator będzie podkreślał także powracający stan odrętwienia, półsnu, niemożności sformułowania jasnej - ceny sytuacji. Ma to prawdopodobnie stanowić częściowe usprawiedliwienie zachowania się obojga przez wskazanie na ważną rolę motywacji podświadomej.

""pod tym [...] otepieniem toczyła się [...] walka wewnętrzna- ostrość tej walki u dziewczyny wskazana jest nie tylko jako rezultat jej miłości do Stefana, ale i komplikacji wynikającej z sytuacji obojga.

KSIĘGA SZÓSTA

540

dotąd w ukryciu i teraz wychynęły uzbrojone, ohydne, potężne. Chwilami myślała, że bierze w niej górę okrutny egoizm: dlaczego to nie Lucy, dlaczego nie Filip ma cierpieć? Ona musiała cierpieć przez wiele lat, a któż się kiedykolwiek wyrzekł czegoś dla niej? A kiedy w jej zasięgu znalazło się coś, co było równoznaczne z pełnią istnienia: miłość, bogactwo, swoboda, elegancja - wszystko, czego pragnęła jej natura, dlaczegóż miałaby porzucić to dla kogo innego, dla kogoś, kto może mniej tego potrzebuje? Lecz w tym kłębowisku namiętnych uczuć odzywały się stare głosy, coraz silniej dając znać o sobie, aż wreszcie, co pewien czas, zdawało się, że wszystko się uspokaja. Czy to życie, które ją kusi, to ta właśnie wyśniona pełnia życia? Będą w niej przecież żyły wspomnienia dawnych zmaganiach - głębokie współczucie dla cudzego bólu, które towarzyszyło jej przez wszystkie lata miłości i niedostatku - niebiańskie przeczucia czegoś wyższego niż zwykle, osobiste zadowolenie, przeczucia czegoś, co uświęca życie. Może równie dobrze przypuszczać, że przyjemność jej

spawi spacer, na którym porani sobie nogi, jak radość z życia, które zaczyna łamać wiarę i dławiając uczucie litości - to, co stanowiło dotąd najlepszą część jej duszy. A jeżeli ból jest dla niej tak trudny do zniesienia, jaki będzie dla innych? Boże, strzeż, bym im nie zadała cierpienia - daj mi siłę, bym je mogła znieść!" W jaki sposób mogła popaść w te zmagania z pokusą, od których - jak dawniej sądziła - była równie daleka, jak od rozmyślnej zbrodni? W której to nienawistnej chwili uświadomiła sobie uczucie, będące zaprzeczeniem szczerości, przywiązania i wdzięczności, i dlaczego nie odtrąciła go ze wstrętem i obrzydzeniem? A jednak, jeśli to dziwne, słodkie, obezwładniające uczucie nie wzięło ... nie weźmie nad nią góry, jeżeli ma pozostać tylko jej cierpieniem ... tu myśli Madzi zgodne były z myślami Stefana: mogą przecież przed ostatecznym rozstaniem kraść jeszcze chwile milczących wyznań. Bo czyż to nie jest również i jego cierpienie? Widziała to codziennie - widziała ten chorobliwy wyraz zmęczenia, z jakim, jeśli nie musiał się zdobywać na wysiłek, zapadał w obojętność wobec wszystkiego, prócz możliwości patrzenia na nią. Czyż mogła nie odpowiedzieć choć od czasu do czasu na błagalne spojrzenie, które, czuła to przecież, szło za nią jak szept miłości i bólu? Odpowiadała na

ROZDZIAŁ XIII

541

nie coraz częściej, aż wreszcie wieczór składał się dla nich obojga z chwil wzajemnych spojrzeń; myśleli o tym spojrzeniu, póki nie przyszło, a kiedy przyszło, nie myśleli o niczym więcej. Oprócz tego, jedno tylko zajmowało Stefana - śpiew. Mógł w ten sposób mówić do Madzi. Może nie uświadamiał sobie, że popycha go do tego tajemne pragnienie - sprzeczne z wszystkimi postanowieniami - aby jeszcze mocniej zawładnąć dziewczyną. Zważcie sami, co mówicie, i zobaczcie, jak często wasze słowa są powodowane mniej wam świadomymi przyczynami, wtedy zrozumiecie tę sprzeczność w Stefanie.

Filip Wakem był rzadszym gościem, przychodził jednak od czasu do czasu wieczorami. Pewnego dnia, kiedy wszyscy siedzieli na trawniku tuż przed zachodem słońca, Lucy powiedziała:

- Teraz, kiedy Madzia odbyła już zapowiedzianą ilość wizyt u cioci Glegg, myślę, że będziemy jeździli łódką codziennie, aż do jej wyjazdu. Przez te męczące wizyty pozbawiona była połowy wypraw, a przecież lubi pływanie po rzece bardziej niż wszystko inne. Prawda, Madziu?

- Mam nadzieję, że chciała pani powiedzieć, iż woli łódkę nad wszystkie inne środki lokomocji - odparł Filip śmiejąc się do Madzi, przechylonej do tyłu w ogrodowym krześle - inaczej mogłaby sprzedać duszę temu duchowi przewoźnika, który straszy na Flossie, tylko po to, by zawsze unosić się z prądem.

- Czy chciałby pan zostać jej przewoźnikiem? - zapytała Lucy. Bo jeśli tak, mógłby pan pojechać z nami i wziąć wiosło. Gdyby

Flossa była spokojnym jeziorem a nie rzeką, mogłybyśmy uniezależnić się od panów, bo Madzia wspaniale wiosłuje. Tak jednak jak jest, musimy prosić o usługę rycerzy i dworzan, którzy jakoś nie bardzo się do tego kwapią.

Spojrzała z żartobliwym wyrzutem na Stefana, który chodził bez celu tam i z powrotem, podśpiewując cichym falsetem:

Pragnienie, co ogarnia duszę Prosi o boski napój⁴⁸.

Nie zwrócił na to uwagi i nie zbliżył się do nich. Podczas ostatnich Filipa często trzymał się na uboczu.

KSIĘGA SZÓSTA

542

- Nie znać po tobie ochoty do wiosłowania - powiedziała Lucy, kiedy wreszcie podszedł i usiadł koło niej na ławce. - Czyżbyś nie lubił już pływać?

- Och, nie cierpię, jak jest dużo osób w łodzi - odpowiedział prawie ze złością. - Pojadę, kiedy nie będziesz miała nikogo innego.

Lucy zaczerwieniła się z obawy, że Filip może się poczuć dotknięty. Tego rodzaju odezwanie było u Stefana nowością, ale on najwyraźniej źle się ostatnio czuje. Filip zaczerwienił się również, nie tyle z urazy, co pod wpływem mglistego podejrzenia, że ponury nastrój Stefana ma coś wspólnego z Madzią, która wstała z krzesła, gdy zaczął mówić, i podeszła do laurowego żywopłotu, by spojrzeć na słońce spływające na rzekę.

- Ponieważ panna Deane nie wiedziała, że zapraszając mnie wyklucza innych - powiedział Filip - nie pozostaje mi nic innego, jak zrezygnować.

- Nie, nie zrezygnuje pan - odparła Lucy bardzo strapiona. - Szczególnie pragnę jutro pańskiego towarzystwa. O wpół do jedenastej odpływ będzie nam sprzyjał: świetna pora na parę godzin wiosłowania do Luckreth i na spacer z powrotem, nim zrobi się upał. Jak możesz oponować przeciwko czterem osobom w łódce? - zwróciła się do Stefana.

- Nie oponuję przeciw osobom, ale przeciwko liczbie - odrzekł Stefan, który przyszedł już do siebie i trochę się zawstydził swej niegrzeczności. - Gdybym głosował za czwórka, chciałbym oczywiście z tobą płynąć, Fil. Ale nie będziemy dzielić przyjemności eskortowania dam: zrobimy to po kolei. Ja pojadę następnego dnia.

Ten wypadek zwrócił uwagę Filipa i kazał mu ze wzmożony

48 Fragment znanego liryku Bena Jonsona (1572?- 1637) To Celia (Vo Sili). W przekładzie Jerzego S. Sity ten fragment (poszerzony do czterech wersów, ponieważ dwa nie zawierają pełnego sensu) brzmi tak:

Pragnienie duszę moją rani

Lecz choćby mi bogowie

Nektar dawali za twój trunek

Mój wzrok niech ci odpowie

{Poeci języka angielskiego, wybór i oprac. H. Krzeczkowski, J.S. Sito, - Żuławski, Warszawa 1969, t. I).

ROZDZIAŁ XIII

543

czujnością obserwować Stefana i Madzie. Kiedy weszli do domu, zaproponowano śpiew, a że pani Tulliver i pan Deane zajęci byli grą w karty, Madzia usiadła sama przy stoliku, na którym jak zwykle leżały książki i robótki. Nie zajęła się jednak niczym: zatopiona w myślach słuchała muzyki. Stefan tymczasem wybrał duet i nalegał, by zaśpiewali go Lucy i Filip; robił to już nieraz, ale dzisiaj Filip doszukiwał się podwójnego znaczenia w każdym słowie i spojrzeniu przyjaciela - obserwował go też bacznie, zagniewany jednocześnie na samego siebie za tę natrętą podejrzliwość. Czyż bowiem Madzia nie powiedziała mu wyraźnie, że nie powinien mieć żadnych wątpliwości, jeśli o nią chodzi? A przecież Madzia to prawda chodząca - nie można nie wierzyć jej słowom czy spojrzeniu rzuconemu wtedy, podczas rozmowy w ogrodzie. Stefan mógł być głęboko pod jej urokiem (to zupełnie oczywiste), lecz Filip czuł niesmak do siebie za to, że stara się jak intruz dociec smutnych sekretów przyjaciela. A jednak patrzył. Stefan odszedł od fortepianu i kręcąc się bez celu zbliżył się wreszcie do stolika, przy którym siedziała Madzia; zaczął bezmyślnie przeglądać gazety. Potem usiadł tyłem do fortepianu podnosząc wysoko gazetę i przyczesując ręką włosy, jakby był bardzo zajęty jakimiś miejscowymi wiadomościami w "Kurierze z Laceham". W rzeczywistości patrzył na Madzie, która nie zauważyła jego obecności. Przy Filipie potrafiła zawsze mocniej trwać w swoim oporze - każdy z nas potrafi bardziej panować nad swymi słowami, kiedy znajduje się w miejscu, które uważa za święte. Wreszcie jednak usłyszała słowo "najdroższa" wypowiedziane delikatnym tonem bolesnej prośby, jak skarga chorego, który prosi o coś, co powinien być dostać bez proszenia. Nie słyszała tego słowa od tamtych chwil na ścieżce w Basset, kiedy wypłynęło

ono z ust Stefana tak nieświadomie, jak nieartykułowane jakieś wołanie. Filip nie usłyszał tego, gdyż stał po drugiej stronie fortepianu, lecz widział, jak Madzia drgnęła i zaczerwieniła się, podniosła na chwilę oczy na Stefana, lecz natychmiast przeniosła wzrok pełen obawy na niego samego. Nie zauważyła, że Filip ją obserwuje, lecz skurcz wstydu na myśl, że ukrywa coś przed nim, sprawił, że wstała z krzesła i podeszła do matki, aby przyglądać się grze.

II

KSIĘGA SZÓSTA

544

Filip szybko poszedł do domu, a w duszy jego straszliwe wątpliwości mieszały się z okropną pewnością. Nie mógł już dłużej opierać się przekonaniu, że między Stefanem i Madzią istnieje jakieś porozumienie; przez pół nocy pewna trudność doprowadzała niemal do szaleństwa jego delikatne, przewrażliwione nerwy - nie mógł mianowicie znaleźć wytłumaczenia, które mogłoby pogodzić to, co zauważył, ze słowami i czynami Madzi. Kiedy wreszcie potrzeba całkowitego zaufania Madzi znowu, jak zwykle, wzięła górę nad wszystkim innym, niedaleki był od wyobrażenia sobie prawdy: ona walczy, sama skazuje się na wygnanie - oto klucz do wszystkiego, co zauważył od chwili powrotu. Lecz były i inne ewentualności, o których nie można było zapominać. Wyobrażenia Filipa powoli odtworzyła obraz sytuacji: Stefan był w niej zakochany do szaleństwa, musiał jej o tym powiedzieć, ona odrzuciła go i spieszenie postanowiła wyjechać. Ale czy on się jej wyrzeknie, widząc - Filip czuł to z miażdżącą serce pewnością - że Madzia jest nieomal bezbronna przez swoje do niego uczucie?

Kiedy przyszedł ranek, Filip czuł się tak źle, że nie mógł nawet myśleć o dotrzymaniu obietnicy i jechaniu łódką na spacer. W ogromnym podnieceniu nie zdołał podjąć żadnej decyzji, tylko przerzucał się od jednych sprzecznych postanowień do drugich. Najpierw zdecydował, że musi odbyć z Madzią rozmowę i prosić, by mu zaufała - potem znów czuł niesmak na myśl o podobnym wtrąceniu się w jej sprawy. Czyż nie narzucał się Madzi przez cały czas? Dawno temu z młodzieńczą naiwnością wypowiedziała pewne słowa - przecież może go teraz zniechęcić za to, że te słowa ciążyą jej stale jak kajdany. I czy ma jakiegokolwiek prawo prosić, by mu wyjawiała uczucie, które wyraźnie chce przed nim ukryć? Nie może pozwolić sobie na widzenie się z nią, póki nie zdobędzie pewności, że do czynu popycha go wyłącznie troska o nią, a nie żadne egoistyczne pobudki. Napisał do Stefana krótki liścik i posłał przez służącego, mówiąc że źle się czuje i nie może przyjść na umówione spotkanie do panny Deane. Czy Stefan może przeprosić panie w jego imieniu i zająć dzisiaj jego miejsce?

Lucy przyszedł do głowy świetny pomysł - była teraz nawet

ROZDZIAŁ XIII

545

zadowolona, że Stefan wymówił się od przejażdżki. Okazało się, że ojciec jedzie o dziesiątej do Lindum, a właśnie w Lindum Lucy musi poczynić pewne zakupy i nie może tego w żadnym wypadku odkładać na inną okazję. Ciocia Tulliver również musi jechać, bo niektóre zakupy jej właśnie dotyczą.

- Ale i tak nie stracisz swojej przejażdżki - tłumaczyła Madzi, kiedy wyszły ze stołowego i wchodziły razem na schody. - Filip będzie tu o wpół do jedenastej, a ranek jest prześliczny. Tylko mi nie mów ani słowa, moja ty boleściwa! Cóż przyjdzie z tego, że jestem dobrą wróżką, jeżeli nie chcesz korzystać z wszystkich cudów, których dla ciebie dokonuję. Nie myśl o tym okropnym Tomku, możesz go przez chwilę nie słuchać.

Madzia niedługo trwała w uporze. Nawet cieszyła się z tego projektu - może jeśli znów pobędzie sam na sam z Filipem, nabierze nieco spokoju i siły; przypomni sobie dawne chwile, tamto spokojniejsze życie, gdzie nawet zmagania były odpoczynkiem w porównaniu z

dzisiejszym codziennym kłębowiskiem myśli. Przygotowała się do przejażdżki i o wpół do jedenastej czekała w salonie.

Dzwonek przy drzwiach rozległ się punktualnie, a Madzia rozmyślała ze smutnym, serdecznym zadowoleniem, jaką będzie miał Filip niespodziankę, kiedy okaże się, że mają być sami; wtem usłyszała dochodzące z hallu szybkie, mocne kroki, z pewnością nie kroki Filipa; drzwi otwarły się i wszedł Stefan Guest.

W pierwszej chwili oboje byli zbyt poruszeni, by mówić: Stefan bowiem dowiedział się od służby, że nikogo prócz Madzi nie ma. Madzia poderwała się, lecz w następnej chwili usiadła z powrotem, a serce jej biło gwałtownie. Stefan rzucił czapkę i rękawiczki i usiadł przy niej. Sądziła, że Filip zaraz przyjdzie, więc z wielkim Wysiłkiem - bo drżała wyraźnie - wstała, by się przesiąść na dalsze krzesło.

- On nie przyjdzie - powiedział cicho Stefan - ja mam jechać zamiast niego.

- Och, nie możemy jechać. - Madzia osunęła się w krzesło. - Lucy nie przypuszczała ... będzie jej przykro. Dlaczego Filip nie przyszedł?

KSIĘGA SZÓSTA

546

- Źle się czuje. Prosił mnie, żebym przyszedł zamiast niego.

- Lucy pojechała do Lindum. - Madzia szybko zdejmowała kapelusz drżącymi palcami. - Nie możemy jechać.

- Doskonale - odparł marząco Stefan patrząc na nią, zwiesiwszy ramię przez oparcie krzesła. - Wobec tego zostaniemy tutaj.

Patrzył w głębokie, głębokie oczy - dalekie i tajemnicze jak czerń opromieniona światłem gwiazd, a mimo to tak bliskie i pełne nieśmiałego kochania. Madzia siedziała bez ruchu - może chwilę, może kilka minut - aż ustało bezradne drżenie i na policzki jej wypłynął gorący rumieniec.

- Służący czeka, wziął poduszki - odezwała się. - Czy może pan wyjść i powiedzieć mu ...

- Co mam mu powiedzieć? - odparł Stefan szeptem prawie. Patrzył teraz na jej wargi.

Madzia nie odpowiedziała.

- Chodźmy - szepnęła błagalnie Stefan wstając i podnosząc ją za rękę. - Niedługo zabawimy razem.

I wyszli. Madzia czuła, że jest prowadzona w dół, przez ogród, wśród róż, że silne opiekuńcze ramię pomaga jej przy wsiadaniu do łódki, że układa jej pod nogami poduszki, nakrywa kolana płaszczem, otwiera za nią parasolkę (o której zupełnie zapomniała) - a wszystko to czyni jakaś silniejsza osobowość, która nią kieruje bez żadnego udziału jej woli, jakby drugie "ja" zrodzone pod gwałtownym wpływem silnego środka pobudzającego. Nie c/uła nic - pamięć przestała istnieć.

Szybko ślizgali się po powierzchni. Stefan wiosłował, a pomagał mu odpływ przyspieszający bieg wód ku morzu. Minęli drzewa i domy Tofton, płynąc dalej między cichymi słonecznymi polami i łąkami, pełnymi radości życia, która nie wyrzucała im ich własnego uniesienia.

Oddech młodego, nie zmęczonego jeszcze dnia, cudowne, rytmiczne zanurzenia wiosła, urwana piosenka przelatującego ptaka, dochodząca ich uszu od czasu do czasu, jak kropla z przelewającego się, wypełnionego po brzegi kielicha ich radości, słodka samotność dwóch świadomości zlanych w jedno poważnym długim spojrzeniem, którego nie potrzeba było odwracać - o czymże innym mogli jeszcze myśleć podczas

ROZDZIAŁ XIII

547

pierwszej godziny. Z ust Stefana padało czasami ciche, przytłumione, umęczone słowo miłości, kiedy tak wiosłował wolno, prawie automatycznie - prócz tego nie mówili nic, bo czymże mogły być słowa, jak nie furtką dla myśli? Ale nie było miejsca dla myśli w tych zaczarowanych oparach, które ich otoczyły, myśl należała do przeszłości i przyszłości,

znajdujących się na zewnątrz tej mgławicy⁴⁰. Madzia nie bardzo widziała brzegi, między którymi płynęli, i nie rozpoznawała wiosek; wiedziała, że jest ich kilka przed Luckreth, gdzie zatrzymywali się zwykle i zostawiali łódź. Zawsze bywała skłonna do odrywania się myślą od rzeczywistości i potrafiła nie zwracać uwagi na znaki wytyczające drogę.

Wreszcie jednak Stefan, który wiosłował coraz wolniej i wolniej, odłożył wiosła, założył ręce i popatrzył na wodę, jakby się chciał przekonać, czy łódka szybko płynie bez jego pomocy.

Ta nagła zmiana rozbudziła Madzie. Rozejrzała się po szerokich, rozległych polach, po bliskich brzegach i stwierdziła, że zupełnie ich nie zna. Przejął ją okropny strach.

- Och, czy przejechaliśmy Luckreth, gdzie mieliśmy się zatrzymać? - zawołała oglądając się, by sprawdzić, czy nie dojrzy wioski. Ale żadnych budynków nie było widać. Zwróciła więc znowu na Stefana zrozpaczone, przerażone spojrzenie.

Lecz on w dalszym ciągu patrzył w wodę i odpowiedział jej dziwnym, marzącym głosem:

- Tak ... dawno mineliśmy.

- Och, co ja zrobię?! - wołała Madzia w panicznym lęku. - Tak strasznie długo będziemy wracać ... i Lucy ... o, Boże!

Złożyła ręce i wybuchnęła szlochaniem, jak przerażone dziecko: myślała tylko o spotkaniu z Lucy, o jej bolesnym zdumieniu, o niepewności ... może nawet o wymówkach!

⁴⁹ w tych zaczarowanych oparach - sugestia, że Stefan i Madzia poddają się nastrojowi ucieczki porzucając racjonalne myślenie o powstałej sytuacji. Dwukrotnie użyta jest metafora mgły (w oryginale powtórzone słowo haze, co przekładzie raz jest oddane przez "opary", drugi raz przez "mgławicę").

II

KSIĘGA SZÓSTA

548

Stefan przesiadł się do niej i łagodnie zdjął z jej twarzy splecione dłonie.

- Madziu - powiedział głębokim, powolnym, zdecydowanym tonem - nie wracajmy wcale do domu ... póki nikt nie będzie mógł nas rozłączyć ... póki nie weźmiemy ślubu.

Niezwykły u niego ton, zdumiewające słowa ściszyły szlochania Madzi. Siedziała spokojnie, zastanawiając się. Czyżby Stefan dostrzegł jakąś możliwość, która wszystko zmieni i przekreśli okropną rzeczywistość?

- Pomyśl, Madziu, że wszystko się stało bez naszego udziału - wbrew naszym wysiłkom. Nie myśleliśmy wcale, żeby jeszcze kiedy zostać sam na sam ... wszystko się stało za sprawą innych. Spójrz, jak nurt odpływu niesie nas dalej, daleko od sprzecznych z naszą naturą więzów, które chcieliśmy jeszcze bardziej zacieśnić, lecz na próżno. Ten nurt zanieś nas do Torby, tam możemy wysiąść, wziąć jakiś powóz i popędzić do Yorku, a stamtąd do Szkocji: i nie zatrzymać się ani na chwilę, póki nie będziemy ze sobą złączeni tak, że tylko śmierć będzie nas mogła rozłączyć⁵⁰. To jedyna słuszna droga, kochana moja, jedyny sposób wyzwolenia z tych strasznych uwikłań. Wszystko się złożyło, by nam to udowodnić. Nic nie knuliśmy, nie zamierzaliśmy tego sami.

Stefan mówił z głębokim błaganiem i powagą w głosie. Madzia słuchała przechodząc od gwałtownego zdumienia do tęsknoty, aby uwierzyć, że odpływ naprawdę zrobił za nich wszystko i że można teraz płynąć z jego wartkim, cichym prądem i nie walczyć dłużej. Lecz przeciw temu wkradającemu się uczuciu stanął groźny cień dawnych myśli. Straszliwe przerażenie, że właśnie teraz zbliża się wreszcie moment zgubnego zamroczenia, poderwało w niej wszystkie siły do gniewnego oporu przeciwko Stefanowi.

sopóki nie będziemy ze sobą złączeni - propozycja Stefana, by oboje udali się do Szkocji celem wzięcia natychmiast ślubu, jest uzasadniona. Według prawa szkockiego oświadczenie kandydatów do stanu małżeńskiego w obecności świadków, iż chcą zawrzeć związek, stanowiło legalizację tego związku- Pewna modyfikacja tego prawa nastąpiła w r. 1856.

ROZDZIAŁ XIII

- Proszę mnie puścić! - zawołała gwałtownie, rzucając mu pełne oburzenia spojrzenie i starając się wyswobodzić ręce. - Chciał mnie pan pozbawić możliwości wyboru. Wiedział pan, że płyniemy za daleko ... ośmielił się pan wykorzystać moją nieuwagę. Czy tak postępuje mężczyzna?

Dotknięty tym wyrzutem do żywego, puścił jej dłonie, wrócił na poprzednie miejsce i założył ręce, w rozpaczę uświadamiając sobie, jak ogromne trudności unaocznily mu słowa Madzi. Jeśli ona nie zgodzi się jechać dalej, będzie musiał przeklinać samego siebie za to, że postawił ją w tak trudnej sytuacji. Lecz wyrzut jej był nie do zniesienia: przekonanie Madzi, że zachował się wobec niej niegodnie, będzie chyba jeszcze gorsze od rozstania z nią. Wreszcie przemówił tonem stłumionego gniewu:

- Zauważyłem, że minęliśmy Luckreth dopiero wówczas, kiedy dojechaliśmy do następnej wioski. Wtedy przyszło mi do głowy, żeby jechać dalej. Nie mogę się usprawiedliwić ... powinienem być ci to powiedzieć. To wystarczy, żebyś mnie znienawidziła, jeśli nie kochasz mnie na tyle, by ci wszystko inne było obojętne, tak jak mnie. Czy mam zatrzymać łódź i pomóc ci wysiąść tutaj? Powiem Lucy, że oszalałem ... i że ty mnie nienawidzisz ... wtedy uwolnisz się ode mnie na zawsze. Nikt nie może cię winić za to, że zachowałem się w stosunku do ciebie niewybaczalnie.

Madzia siedziała jak sparaliżowana; łatwiej było oprzeć się jego prośbie niż tej wizji, którą wywołał przed chwilą - on będzie cierpiał, podczas gdy ona zostanie uniewinniona. Łatwiej odwrócić się od czułego spojrzenia niż od wzroku pełnego gniewnej rozpacz, która jakby stawiała ją w egoistycznym odosobnieniu. W tym stanie uczuć, jaki w niej wywołał, zaczęła uważać wszystko, co dręczyło jej sumienie, za zwykle samolubstwo. Gniew oburzenia przygasł w jej oczach i Madzia zaczęła patrzeć na Stefana nieśmiałym, strapionym spojrzeniem. Ona robi mu wyrzuty, że ją przywiódł do ciężkiej przewiny ona, która sama jest taka słaba!

- I ty sądzisz, że mogłabym nie myśleć o tym, co będzie z tobą - odparła, a w słowach jej brzmiał teraz inny wyrzut: wyrzut miłości,

550 KSIĘGA SZÓSTA

która prosi o więcej zaufania. Ta kapitulacja na myśl o cierpieniach Stefana była bardziej zgubna od innych ustępstw, bo płynęła z uznania cudzych praw, tylko że poprzednia świadomość cudzych praw stanowiła podstawę oporu Madzi.

Wyczuł w jej głosie i spojrzeniu, że ustępuje - niebo otwierało się przed nim znowu. Usiadł przy niej i ujął jej rękę, opierając łokieć o rufę i nie mówiąc ani słowa. Bał się powiedzieć cokolwiek, bał się poruszyć, by nie wywołać nowych wyrzutów czy oporu Madzi. Życie całe zależało od jej zgody - wszystko inne to tylko beznadziejna, poplątana, odejmująca siły rozpacz. Płynęli tak, trwając w tym milczeniu jak w zacisznej przystani, obawiając się, aby ich uczucia znowu się nie rozdzieliły - aż wreszcie zdali sobie sprawę, że zbierają się chmury i że niewielki, ożywczy wiatr przybiera na sile, zmieniając zupełnie oblicze dnia.

- Chłodno ci będzie, Madziu, w tej cienkiej sukni. Pozwól, zarzucę ci płaszcz na ramiona. Podnieś się na chwilę, najdroższa.

Madzia posłuchała. Niewymowny jakiś czar krył się w tym, że jej mówią, co ma robić, że kto inny za nią decyduje. Usiadła znowu okryta płaszczem, a Stefan zabrał się teraz spieszenie do wiosła, bo muszą jak najszybciej dopłynąć do Torby. Madzia nie bardzo była świadoma, czy podjęła decyzję słowem albo czynem; ustępstwo jest mniej świadome niż opór; myśli częściowo zasypiają, jakby naszą własną osobowość zastąpiła inna. Wszystko naokoło zdawało się skłaniać Madzie do cichego ustępstwa: ta senna podróż łódką, trwająca już cztery godziny i bardzo wyczerpująca, wywołana zmęczeniem niechęć wobec trudności, jakie stwarza wyjście z łódki w niewiadomej odległości od domu i wielomilowy spacer - wszystko to razem wzięte skłaniało Madzie do całkowitego poddania się temu mocnemu, tajemniczemu

czarowi, który sprawił, że ostateczne rozstanie ze Stefanem wydawało się śmiercią wszystkiej radości, a myśl o zadaniu mu cierpienia - początkiem tortur, przed którymi cofała się jej wola. A przy tym ta szczęśliwość, że oto jest razem z nim, wystarczała, by pochłonąć całą jej odrętwiałą energię.

T

ROZDZIAŁ XIII

551

W pewnej chwili Stefan zauważył płynący za nimi statek. Z rannym odpływem wyprzedziło ich kilka statków, między innymi jeden parowiec, jadący do Mudport, lecz podczas ostatniej godziny nie widzieli ani jednego. Przyglądał mu się z coraz baczniejszą uwagą, jakby nowa myśl przyszła mu do głowy, potem spojrzał z wahaniem na Madzie.

- Madziu, najdroższa - odezwał się w końcu. - Ten statek idzie na pewno do Mudport czy innego miasta na północy, a więc w odpowiednim dla nas kierunku. Najlepiej będzie, jeśli się przesiądziemy. Jesteś zmęczona ... i wkrótce może padać ... ciężko nam będzie dojechać tą łódką do Torby. To tylko statek handlowy, ale myślę, że znajdziesz na nim jaką taką wygodę. Weźmiemy poduszki z łodzi. Naprawdę tak będzie najlepiej. Zabiorą nas na pewno chętnie - mam przy sobie dużo pieniędzy, dobrze im zapłacę.

Na tę propozycję serce Madzi zaczęło bić mocno, w nowym przypiływie lęku - lecz milczała; jedna droga wydawała się równie trudna jak druga.

Stefan krzyknął w kierunku statku. Był to statek holenderski i płynął do Mudport - tak wyjaśnił angielski oficer. Jeśli ten wiatr się utrzyma, zawiną do Mudport za niecałe dwa dni.

- Wyjechaliśmy zbyt daleko łodzią- mówił Stefan. - Chciałem dojechać do Torby, obawiam się jednak, że pogoda się zmieni, a ta dama - moja żona - będzie wyczerpana zmęczeniem i głodem. Zabierzcie nas, dobrze? I holujcie łódź. Zapłacę wam sownie.

Madzia czuła się teraz naprawdę słabo i trzęsła się z przerażenia. Wprowadzono ją na pokład, gdzie stała się przedmiotem kontemplacji zachwyconych Holendrów. Oficer obawiał się, że pani nie będzie zadowolona ze statku, nie mieli bowiem żadnych wygod dla takich nieprzewidzianych pasażerów - ani jednej pojedynczej kabiny, większej niż staroświecka ławka kościelna. Mieli jednak holenderską czystość, która pozwoliła znieść wszystkie niewygody. Szybko zrobiono Madzi posłanie na rufie z poduszek zabranych z łodzi. Przede wszystkim jednak musiała się przejść kilka razy po pokładzie wsparta

li podtrzymywana silnym ramieniem Stefana. Potem przyszła kolej na 42 BN 11/234 G. Eliot:

Młyn nad Flossą

KSIĘGA SZÓSTA

552

jedzenie i spokojny odpoczynek na poduszkach ze świadomością, że żadne nowe postanowienia nie mogą być powzięte tego dnia. Wszystko musi poczekać do jutra. Stefan siedział przy niej, trzymając ją za rękę. Mogli ze sobą rozmawiać tylko szeptem i wymieniać niekiedy spojrzenia, bo dopiero dłuższy czas przygasił ciekawość pięciu marynarzy i przeniósł tych dwoje pięknych nieznajomych w sferę pośledniejszego zainteresowania, właściwą, w żeglarskim pojęciu, wszystkiemu, co znajduje się bliżej niż horyzont. Stefan był zwycięsko szczęśliwy. Wszystkie inne myśli i troski odsunięte zostały w nieokreśloną dal wobec pewności, że Madzia musi być jego. Krok został już uczyniony: dręczyły go wyrzuty sumienia, walczył zaciekle z opanowującym go uczuciem, wahał się, lecz nie mógł żałować. Szeptał jej urywanymi zdaniami o swym szczęściu ... swym uwielbieniu ... czułości ... o tym, że ich wspólne życie będzie rajem ... że jej obecność uwzniośli każdy zwykły dzień ... że zaspokojenie najdrobniejszych jej życzeń droższe mu jest niż wszystko inne na świecie ... że dla niej wszystko przyjdzie mu łatwo ... wszystko prócz rozstania; a teraz nie rozstaną się już nigdy, będzie należał do niej zawsze i wszystko, co jego, będzie jej - jeżeli coś nie należy do

niej, to i dla niego nie ma wartości. Takie słowa wymawiane cichym, załamującym się głosem, tym głosem, który pierwszy zbudził młodą namiętność, małe robią wrażenie na ludziach doświadczonych i bardzo podobnym rzeczom dalekich. Były one natomiast bardzo bliskie biednej Madzi - jak nektar tuż przy ustach spragnionych; a więc jest, a więc musi być dla śmiertelników tu, na ziemi, życie, które nie wydaje się ani ciężkie, ani zimne, w którym miłość nie równa się samopoświęceniu. Miłosne słowa Stefana rysowały w jej wyobraźni żywiej niż kiedykolwiek obraz takiego życia, a ten obraz na pewien czas przesłonił wszelką rzeczywistość - z wyjątkiem powracających promieni słonecznych, które przebijały się i padały na wodę, choć zbliżał się wieczór, i mieszały się z promieniami obiecanej szczęśliwości - z wyjątkiem ręki, która ścisnęła jej dłoń, i głosu, co do niej przemawiał, i oczu, co patrzyły na nią z poważną niewysłowioną miłością.

Deszcz nie miał jednak spaść; chmury zwinęły się na horyzoncie

ROZDZIAŁ XIV

553

tworząc wielki purpurowy wał i długie purpurowe wyspy w tym czarodziejskim kraju, który ukazuje się nam, gdy słońce zachodzi - w kraju, którego strzeże gwiazda wieczorna. Madzia miała noc spędzić na rufie; lepsze to było niż schodzenie na dół. Nakryli ją wszystkim, co mieli najcieplejszego na statku. Było jeszcze wcześniej, kiedy całodzienne zmęczenie przyniosło senną tęsknotę za całkowitym wypoczynkiem i Madzia położyła głowę patrząc na słaby, niknący rumieniec na zachodzie, gdzie jedna złota lampa jaśniała coraz większym blaskiem. Potem spojrzała w górę, na Stefana, który wciąż siedział przy niej pochylony, bo wspierał się ramieniem o burtę statku. Poza tymi cudownymi wizjami ostatnich godzin, które przelewały się nad nią jak miękki strumień i czyniły ją całkowicie bezwolną, była mglista świadomość, że to wszystko jest tylko chwilowe i że jutro musi przynieść ze sobą dawne życie pełne walki; że istnieją myśli, które się jeszcze zemszczą za to zepchnięcie ich w niepamięć. Lecz teraz wszystko było zamglone - ten miękki strumień wciąż płynął ponad nią, kołysząc ją do snu, a cudowne wizje rozpląwały się i niknęły jak ta czarodziejska napowietrzna kraina na zachodzie.

ROZDZIAŁ XIV

PRZEBUDZENIE

Kiedy Madzia zasnęła, Stefan, również zmęczony długim wiosłowaniem, do którego nie był przyzwyczajony, oraz silnymi przeżyciami ostatnich dwunastu godzin, zbyt jednak podniecony, by spać, przechadzał się po pokładzie do północy, paląc cygara, nie dostrzegając ciemnej wody - prawie nie zdając sobie sprawy, że świecą gwiazdy - żył tylko przyszłością - bliską i daleką. Wreszcie zmęczenie wzięło

42

KSIĘGA SZÓSTA

554

górną nad niepokojem i Stefan owinał się w kawał żaglowego płótna na pokładzie, u stóp Madzi.

Ona zasnęła przed dziewiątą i spała sześć godzin, nim jeszcze pojawił się pierwszy brzask letniego świtu. Zbudziła się z tych żywych snów, które są pograniczem naszego głębszego spoczynku. Była w łodzi, na szerokiej wodzie, razem ze Stefanem; nagle w gęstniejącym mroku pojawiło się coś, jakby gwiazda, co rosło i rosło, aż zobaczyli, że Matka Boska to Lucy, a przewoźnik to Filip - nie, nie Filip, ale brat Madzi, który minął ich nawet na nią nie spojrzawszy; wstała, by wyciągnąć ramiona i wołać za nim, ale w tym momencie łódka się wywróciła i zaczęli tonąć, aż wreszcie, w jakimś skurczu przerażenia wydało się jej, że się obudziła; stwierdziła, że jest znowu małą dziewczynką i siedzi w bawialni w wieczornym zmierzchu, a Tomek naprawdę wcale się nie gniewa. Po uldze, jaką jej przyniosło te senne przebudzenie, przyszło prawdziwe przebudzenie - usłyszała plusk wody pod statkiem,

odgłosy kroków na pokładzie, zobaczyła to straszne, wygwieżdżone niebo. Przez chwilę była zupełnie oszołomiona, zanim umysł jej zdołał się wyswobodzić ze splątanych pajęczyn snów, lecz wkrótce świadomość okropnej prawdy spadła na nią całym ciężarem. Nie było teraz przy niej Stefana: była sama z własnymi wspomnieniami i własnym strachem. Wyrządzona została straszna krzywda, która hańbą okryje całe jej życie; wniosła cierpienie w życie innych - w życie, które wiarą i miłością związane było z jej własnym. Uczucie powstałe przed paroma tygodniami pchnęło ją do grzechu, przed którym natura jej najbardziej się wzdragała: do złamania wiary i do okrutnego samolubstwa. Zerwała więzy, które nadawały znaczenie obowiązkom, i uczyniła z siebie banitę, któremu jedynym przewodnikiem były własne nieobliczalne namiętności. I dokąd to ją zawiedzie! Dokąd ją już zawiodło? Mówiła, że prędzej umrze, niż da się zwieść tym kuszeniom. Czuła tak i teraz - teraz, kiedy przysłyły konsekwencje jej uległości, nim jeszcze zło dokonało się ostatecznie. Ten był przynajmniej skutek wszystkich lat dążenia do celów najwyższych i najlepszych, że dusza jej, choć zwiedziona na manowce, oszukana, zamknięta w pułapce, nie mogła się własnowolnie pogodzić z podłym

ROZDZIAŁ XIV

555

wyborem. Jakież to był wybór? O, Boże - nie wybrała radości, lecz świadome okrucieństwo i bezwzględność: czyż bowiem będzie mogła zapomnieć kiedykolwiek Lucy i Filipa, ich zrujnowaną wiarę i nadzieję? Życie jej ze Stefanem nie może być uświęcone: zawsze będzie musiała grzeznąć i błędzić popychana nieokreślonymi impulsami straciła bowiem klucz do życia - klucz, który w odległych latach był jej najcenniejszą własnością. Wyrzekła się wtedy wszelkich rozkoszy, zanim je jeszcze poznała, zanim znalazły się w jej zasięgu. Miał rację Filip mówiąc, że ona nie ma pojęcia o prawdziwym wyrzeczeniu: wyobrażała sobie, że to jakieś spokojne uniesienie. Teraz poznała je w rzeczywistości - smutną, cierpliwą, miłującą siłę, w której kryła się tajemnica życia - i zrozumiała, że w wyrzeczeniu muszą zawsze tkwić ciernie. Gdyby mogła zmienić to nieodwracalne wczoraj na cichy, wewnętrzny, trwały ból, choćby nie wiem jak długi, pochylałaby się pod tym krzyżem z poczuciem ulgi.

Świt już się zbliżał i na wschodzie niebo poczęło różowieć, gdy przeszłość znów wzięła Madzie we władanie, zamykając się wokół niej coraz szczelniej w ostatnim, rozpaczliwym momencie, kiedy ocalenie było jeszcze możliwe. Mogła teraz dojrzeć Stefana, który spał na pokładzie, a ten widok przejął ją wielkim bólem i polały się od dawna powstrzymywane łzy. Największą goryczą rozstania - myślą, która była cała jakby ostrym wewnętrznym krzykiem o pomoc - była świadomość cierpienia, jakie będzie musiała zadać jemu. Lecz ponad wszystkim górował lęk, by ona sama czasem się nie cofnęła, obawa, by jej sumienie nie odrętwiało znowu i nie obudziło się wtedy dopiero, kiedy już będzie za późno. Za późno! Już za późno, aby nie stać się

I przyczyną nieszczęścia, za późno na wszystko, prócz ucieczki przed czymś najpodlejszym: zakosztowaniem szczęścia, które wyrosło z udręki złamanych serc. Słońce zaczęło już wschodzić i Madzia usiadła na posłaniu z poczuciem, że zaczyna się dla niej dzień walki. Oczy miała jeszcze mokre od łez - zarzuciła szal na głowę i siedziała, patrząc na wynurzające się powoli słońce. Coś obudziło Stefana - wstał ze swojego twardego łoża i usiadł przy Madzi.

Zostrzone niepokojem

KSIĘGA SZÓSTA

556

i miłością zmysły wyczuły od pierwszego spojrzenia coś, co przejęło go niepokojem. Miał instynktowny lęk przed Madzi oporem, którego nie byłby w stanie przezwyciężyć. Był niemile świadom, że wczoraj nie dał jej w pełni wolnego wyboru, a zbyt wiele w nim było wrodzonej uczciwości, by nie czuł, że gdyby nie zgodziła się jechać dalej, postępowanie jego należałoby uznać za haniebne, a Madzia miałaby prawo robić mu wyrzuty.

Lecz Madzia wcale nie uważała, by miała do tego prawo - zbyt dobrze zdawała sobie sprawę z własnej nieszczęsnej słabości i zbyt wielką przejmowała ją tkliwość na myśl, że będzie musiała zranić go tak głęboko. Gdy usiadł obok, pozwoliła mu ująć swą dłoń i uśmiechnęła się do niego, lecz smutny był to uśmiech. Nie zada mu bólu teraz

- powie mu wszystko dopiero wtedy, gdy zbliży się chwila rozstania. Wypili więc razem kawę, przechadzali się po pokładzie i słuchali

- oboje z lękiem w duszy - zapewnień kapitana, że o piątej będą w Mudport. U Stefana jednak był to nieokreślony lęk - nadchodzące godziny na pewno go rozwieją, u Madzi zaś zdecydowane postanowienie, które po cichu starała się w sobie utwierdzać. Przez cały ranek Stefan martwił się głośno, że Madzia musi znosić tyle zmęczenia i niewygód, mówił, że już niedługo zejda na ląd, że dalszą podróż odbędzie inaczej, że odpocznie w powozie - pragnąc, aby go te przewidywania przekonały, iż wszystko odbędzie się tak, jak to sobie ułożył. Przez długi czas Madzia zapewniała go, że doskonale wypoczęła w nocy, że wcale nie szkodzi jej ta jazda statkiem - przecież to nie jest przejażdżka na pełnym morzu, niemal tak samo tu przyjemnie, jak w łodzi na Flossie. Lecz ukryte postanowienie zawsze zdradzi się w oczach, toteż w miarę jak godziny płynęły, Stefan odczuwał coraz większy niepokój, bo zdawał sobie sprawę, że Madzia straciła poprzednią bierność. Pragnął, lecz nie śmiał, mówić o ich ślubie - o tym, gdzie później pojedą i w jaki sposób zawiadomi o wszystkim ojca i innych. Chciał się upewnić, że ona milcząco przystaje na jego projekty. Lecz za każdym razem, gdy patrzył na nią, ogarniał go większy lęk, bo widział spokojny, świeży smutek w jej oczach. Chwile milczenia stawały się coraz dłuższe.

ROZDZIAŁ XIV

557

. - Już widać Mudport - odezwał się wreszcie Stefan. - Teraz, najdroższa- zwrócił się do niej z błagalnym spojrzeniem- skończyła się najbardziej dla ciebie męcząca część podróży. Na łodzi możemy poruszać się szybciej. Za półtorej godziny będziemy już razem w powozie, a to wyda ci się odpoczynkiem po tej jeździe.

Madzia zrozumiała, że nadeszła chwila, kiedy trzeba powiedzieć prawdę - nie powinna przystawać na jego słowa milczeniem. Powiedziała tak jak i on cicho, lecz zdecydowanie:

- Nie będziemy razem, musimy się rozstać. Krew uderzyła Stefanowi do twarzy.

- Nie rozstaniemy się. Prędzej umrę.

A więc stało się to, czego się obawiał - nadchodziła chwila walki. Żadne z nich jednak nie ośmieliło się powiedzieć słowa, póki nie spuszczone łodzi i nie przybili do brzegu. Tu znowu weszli w tłum gapiów i pasażerów, czekających na odjazd parowca do St. Ogg's. Kiedy Stefan prowadził ją spieszenie, wspartą na jego ramieniu, Madzi wydało się niejasno, że od tłumy ktoś się odrywa i zmierza ku niej, jakby chciał do niej przemówić. Lecz wyprowadzono ją szybko - nie obchodziło jej zresztą nic, prócz zbliżającej się chwili próby.

Tragarz zaprowadził ich do najbliższej gospody i zajazdu dyliżansów. Kiedy przechodzili przez podwórze, Stefan kazał zaprzęgać konie do karetki. Madzia nie zwróciła na to uwagi, powiedziała tylko: - Powiedz, żeby nas zaprowadzili gdzieś, gdzie będziemy mogli usiąść.

Weszli, lecz Madzia nie usiadła, a kiedy Stefan, z wyrazem rozpaczliwego zdecydowania na twarzy, chciał zadzwonić na służbę, powiedziała mocnym głosem:

- Ja nie pojedę, musimy się rozstać.

- Madziu! - zawołał, odwracając się ku niej, tonem człowieka, dla którego rozpoczynają się tortury - czy ty chcesz mnie zabić? I cóż teraz przyjdzie z naszego rozstania? Wszystko już się dokonało.

- Nie, nie wszystko się dokonało - odparła Madzia. - Stało się już wiele, za wiele, żebyśmy mogli to kiedykolwiek odrobić. Ale nie Postąpię ani kroku dalej. Nie próbuj mnie przekonywać. Wczoraj nie byłam zdolna do decyzji.

KSIEGA SZÓSTA

Cóż miał robić? Bał się zbliżyć do niej - gniew jej mógł rozgorzeć, stwarzając nową przeszkodę między nimi. Przemierzał izbę tam i z powrotem, nieszczęsny, nieprzytomny.

- Madziu - powiedział wreszcie, stając przed nią, błagalnym, umęczonym głosem - miej litość nade mną ... posłuchaj mnie ... wybac mi to, co zrobiłem wczoraj. Będę ci teraz posłuszny, nie zrobię nic bez całkowitej twojej zgody. Ale nie marnuj na zawsze naszego życia niepotrzebnym uporem, który nikomu nic dobrego nie przyniesie, który może tylko wywołać nowe nieszczęścia. Usiądź najdroższa, poczekaj, zastanów się, co ty chcesz zrobić! Nie traktuj mnie tak, jakbyś mi nie mogła ufać.

Wybrał najlepszy sposób przemówienia do niej, lecz Madzia zdecydowała się nieodwołalnie na ból rozstania. Postanowiła cierpieć.

- Nie możemy czekać - odpowiedziała cichym, lecz wyraźnym głosem. - Musimy się rozstać natychmiast.

- Nie możemy się rozstać, Madziu. - Stefan mówił teraz gwałtowniej. - Ja tego nie zniosę.

Cóż ci przyjdzie z tego, że mi zadasz tę ranę? Grom, jakikolwiek był, już uderzył. Co komu pomoże, że doprowadzisz mnie do obłędu?

- Nawet dla ciebie nie będę rozpoczynać przyszłości od rozmyślnej zgody na to, co się stać nie powinno. To, co ci powiedziałam w Basset, jest moim przekonaniem i teraz: wolałabym umrzeć, niż dać się zwieść tej pokusie. Lepiej by było, gdybyśmy się byli wtedy rozstali na zawsze. Lecz musimy się rozstać teraz.

- Nie rozstaniemy się! - wybuchnął Stefan, instynktownie zasłaniając sobą drzwi, niepomny tego, co powiedział przed chwilą zaledwie. - Ja tego nie zniosę. Doprowadzisz mnie do obłędu ... przestanę panować nad sobą!

Madzia zadrżała. Wiedziała, że do rozstania nie dojdzie od razu. Musi powoli odwołać się do lepszego "ja" Stefana, musi się przygotować do zadania trudniejszego niż błyskawiczna ucieczka, w chwili podjęcia decyzji. Usiadła. Stefan przyglądał się jej z wyrazem rozpaczony, który jak ponure światło wypełnił mu na twarz. Potem odszedł powoli od drzwi, usiadł przy niej i chwycił za rękę. Serce jego biło jak

ROZDZIAŁ XIV

u spłoszonego ptaka, lecz ten jawny opór pomógł jej tylko. Czuła, że jej determinacja rośnie.

- Pamiętasz, coś myślał tydzień temu - zaczęła z błagalną powagą. - Pamiętasz, cośmy oboje myśleli: że należymy do innych i musimy przewyciężyć wszelkie uczucie, które każe nam sprzeniewierzyć się tamtemu. Nie dotrzyaliśmy naszych postanowień - lecz zło nie stało się przez to dobrem.

- A jednak coś się zmieniło - przerwał Stefan. - Dowiedliśmy, że dotrzymanie naszych postanowień jest niemożliwe. Dowiedliśmy, że uczucie, które nas ku sobie przyciągało, jest zbyt silne, byśmy je mogli przewyciężyć; że prawo natury podporządkuje sobie każde inne prawo i że nie jest możliwe nic, czemu się ono sprzeciwia.

- Nie, tak nie jest, jestem pewna, że nie masz racji. Staralam się to przemyśleć wiele, wiele razy i wiem, że gdybyśmy się zgodzili na to, co mówisz, dawalibyśmy tym samym wolną rękę wszelkiej zdradzie i okrucieństwu ... usprawiedliwialibyśmy łamanie najświętszych więzów, jakie istnieją na tej ziemi. Jeżeli nie zobowiązuje nas przeszłość, to na czym polega nasz obowiązek? Nie istniałyby prawa, tylko chwilowe skłonności.

- Lecz istnieją zobowiązania, których nie można dochować przy pomocy silnej woli jedynie - Stefan porwał się na nogi i zaczął znowu przemierzać pokój. - Cóż to jest formalna wierność? Czyż mogliby nam być wdzięczni za coś tak pustego, jak stałość bez miłości?

Madzia nie odpowiedziała od razu. Toczyła walkę nie tylko wewnętrzną, ale i zewnętrzną.

Wreszcie powiedziała z namiętnym przekonaniem słowa wymierzone zarówno przeciw sobie samej, jak i przeciwko niemu.

- To wydaje się słuszne w pierwszej chwili, lecz gdy patrzę głębiej, wiem, że tak nie jest. Wierność i stałość są czymś więcej niż spełnieniem tego, co dla nas najprzyjemniejsze i najłatwiejsze. Oznaczają wyrzeczenie się wszystkiego, co sprzeczne z zaufaniem, jakie mają do nas inni, Wszystkiego, co może przynieść nieszczęście tym, których uzależnił od nas bieg naszego życia. Gdybyśmy ... gdybym ja była lepsza, szlachetniejsza, te ich prawa żywiej stałyby mi przed oczyma - czułabym je

KSIĘGA SZÓSTA

560

w sercu tak bezustannie, jak teraz w chwilach, kiedy budzi się moje sumienie, i to inne uczucie nie powstałoby nigdy we mnie ... zdławiłabym je natychmiast ... modliłabym się o pomoc tak gorliwie ... uciekłabym od niego, jak się ucieka od straszliwego niebezpieczeństwa. Nie widzę wytłumaczenia dla siebie - żadnego. Nie zawiodłabym nigdy wiary Lucy i Filipa, jak to zrobiłam, gdybym nie była słaba, samolubna i nieuczciwa, zdolna myśleć o ich bólu, nie cierpiąc sama jednocześnie, boć przecież takie cierpienie zniweczyłoby pokusę. Och, cóż teraz przeżywa Lucy? Wierzyła mi ... kochała mnie ... była dla mnie taka dobra. Pomyśl o niej! ...

Gdy wymawiała ostatnie słowa, głos jej się załamywał.

- Nie mogę o niej myśleć - odparł Stefan, tupiąc mocno, jakby go przeszył nagły ból. - Nie mogę myśleć o nikim prócz ciebie, Madziu. Żądasz niemożliwości od mężczyzny. I ja tak kiedyś sądziłem, ale teraz nie mogę do tego wrócić. I jakież pożytek z twojego myślenia o tym - oprócz mojej udreki? Nie możesz ich teraz uchronić od cierpienia, możesz tylko oderwać się ode mnie i odebrać memu życiu wszelką wartość. I nawet gdybyśmy mogli wrócić oboje i dopełnić naszych zobowiązań - gdyby to jeszcze wydawało się możliwe - byłoby wstrętne, potworne, pomyśleć, że zostałabyś żoną Filipa ... żoną człowieka, którego nie kochasz. Oboje uratowaliśmy się od błędu.

Twarz Madzi oblał ciemny rumieniec, nie mogła odpowiedzieć. Stefan dostrzegł to. Usiadł znowu, wziął jej rękę i spoglądał na dziewczynę z namiętnym błaganiem.

- Madziu! Najdroższa! Jeśli mnie kochasz, jesteś moja. Któż może mieć tak wielkie prawo do ciebie jak ja? Życie moje zależy od twojego uczucia. Nie ma nic w naszej przeszłości, co mogłoby przekreślić nasze wzajemne prawo do siebie. Po raz pierwszy w życiu każde z nas kocha całym sercem i duszą.

Madzia milczała dalej, spoglądając w podłogę. W sercu Stefana zabłysła nowa nadzieja - zwycięży jednak. Lecz ona podniosła oczy i spojrzała na niego z bolesnym żalem, lecz nieustępliwie.

- Nie, Stefanie, nie: całym moim sercem i duszą - powiedziała cicho, lecz stanowczo. - Nigdy nie przystałam na to w pełni. Są we

ROZDZIAŁ XIV

561

mnie wspomnienia i uczucia, i tęsknoty za doskonałą dobrocią; mają na mnie wielki wpływ; będą wracały i jątrzyły mnie, będą moim wyrzutem. Nie mogłabym żyć w pokoju, jeśli bym między sobą i Bogiem rzuciła cień dobrowolnego grzechu. Jestem przyczyną cudzego cierpienia ... wiem ... czuję to, lecz nigdy nie przystałam na to rozmyślnie. Nigdy nie powiedziałam: "Oni będą cierpieć, abym ja się mogła radować". Nigdy nie chciałam wyjść za mąż za ciebie; gdybyś zdobył moją zgodę wykorzystując chwilową przewagę moich uczuć do ciebie, nie mógłbyś mieć mojej całej duszy. Gdybym się mogła obudzić przed dniem wczorajszym, wybrałabym wierność wobec spokojnego przywiązania i życie bez radości, jaką daje miłość.

Stefan puścił jej dłonie, wstał niecierpliwie i opanowując gniew chodził tam i z powrotem po pokoju.

- Wielki Boże! - wybuchnął wreszcie.- Jakaż to licha rzecz miłość kobiety w porównaniu z miłością mężczyzny. Ja mógłbym dla ciebie popełnić zbrodnię, a ty możesz deliberować i podejmować taką decyzję! Nie kochasz mnie: gdybyś miała dla mnie dziesiątą część tego uczucia, co ja dla ciebie, nie mogłabyś ani przez chwilę pomyśleć, by mnie poświęcić. Ale cóż dla ciebie znaczy, że odbierasz mi szczęście mojego życia?

Madzia zacisnęła konwulsyjnie palce złożonych na kolanach rąk. Ogromny lęk wisiał nad nią, jakby miejsce, na którym stała, oświetlane było tylko wielkimi zygzakami błyskawic, po których musi znowu /ciągać ręce i macać drogę w ciemności.

- Nie, ja ciebie nie poświęcam ... nie mogłabym cię poświęcić zaczęła mówić, gdy odzyskała mowę - lecz nie wierzę, by

szczęściem było dla ciebie to, co uważam ... co obydwójce uważamy za krzywdę wyrządzoną innym. Nie możemy wybierać szczęścia ani dla siebie, ani dla innych, nie wiemy, gdzie go szukać. Możemy tylko zdecydować, czy będziemy pobłażać sobie teraz, w chwili obecnej, czy też wyrzekniemy się wszystkiego, aby dać posłuch świętemu głosowi w naszych sercach, aby dochować wiary tym zasadom, które uświęcają nasze życie. Wiem, że to trudny obowiązek i że uchylałam się od niego niejedną raz, ale czuję, że jeśli mu się na zawsze sprzeciwię, będę lusiała bez światła iść przez ciemności życia.

KSIĘGA SZÓSTA

562

- Ależ, Madziu - Stefan znowu usiadł koło niej - czyżbyś naprawdę nie wiedziała, że to, co się stało wczoraj, zmieniło całkowicie stan rzeczy? Jakież to zaślepienie, jakie uparte uprzedzenie każe ci na to zamykać oczy? Za późno już, żeby mówić, co moglibyśmy zrobić lub też co powinniśmy byli zrobić. Przyjmując najgorszy nawet punkt widzenia na to, cośmy zrobili, fakt jest już faktem i od niego trzeba wychodzić. Nasza sytuacja jest dzisiaj inna, droga słuszności nie jest tym, czym była. Musimy przyjąć to, cośmy zrobili i od tego punktu zaczynać na nowo. A gdybyśmy wzięli wczoraj ślub? To przecież prawie to samo. Skutek dla innych byłby ten sam. Tylko my odczulibyśmy różnicę - dodał gorzko - bo może byś zrozumiała, że jesteś związana ze mną silniej niż z innymi.

Madzia zaczerwieniła się i milczała. Stefanowi zdawało się znowu, że zaczyna brać górę - właściwie nie wierzył, że mógłby nie zwyciężyć ostatecznie. Są możliwości, przed którymi zbytnio się wzdragamy, abyśmy się mogli ich obawiać.

- Najdroższa - mówił najgłębszym, najczulszym tonem, obejmując ją ramieniem- jesteś już moja ... świat tak sądzi ... nakłada to na nas obowiązki; za parę godzin będziesz moją żoną, a ci, co mieli przedtem prawo do nas, ustąpią, zobaczą, że była siła, która stanęła w poprzek ich praw.

Madzia otworzyła szeroko oczy i rzuciła jedno, pełne przerażenia spojrzenie na tę twarz tak blisko niej, przedtem poderwała się z miejsca, znowu pobladła.

- Nie mogę tego zrobić - mówiła głosem śmiertelnej udręki. - Nie prosz mnie ... nie namawiaj ... Nie mogę cię dłużej przekonywać ... nie wiem, co jest mądre, ale moje serce nie pozwoli mi tego uczynić. Widzę, czuję teraz ich ból, jakby mi go wypalili ogniem w mózgu.

Cierpiałam i nikt nie miał nade mną litości, a teraz ja sama sprawiam innym cierpienie. Nigdy mnie ta świadomość nie opuści, miłość twoją zaprawi goryczą. Filip też jest mi drogi, na inny sposób. Pamiętam wszystko, cośmy sobie mówili, wiem, że myślał o mnie jako o jedynej nadziei swego życia. Został mi dany, abym życie jego uczyniła mniej ciężkim, a ja go opuściłam. A Lucy: oszukałam ją, ją, która mi wierzyła

ROZDZIAŁ XIV

563

bardziej niż wszyscy inni. Nie mogę cię poślubić, nie mogę brać czegoś, co powstało z ich nieszczęścia. Nie taka siła powinna nami rządzić, nie nasze wzajemne uczucie. Oderwałabym się od wszystkiego, przez co moje dawne życie jest mi drogie i święte. Nie mogę zaczynać

nowego życia i zapomnieć o tamtym; muszę wrócić do niego, muszę się go trzymać, bo inaczej wszystko mi się usunie spod nóg.

- Boże wielki! Madziu! - zawołał Stefan wstając również i chwytając ją za ramię - ty bredzisz! Jakże możesz wrócić nie biorąc ze mną ślubu! Nie wiesz, co powiedzą ludzie, najdroższa. Nie zdajesz sobie sprawy, jak rzeczy stoją.

- Tak, zdaję. Ale oni mi uwierzą. Wyznam im wszystko. Lucy mi uwierzy ... ona ci przebaczy i ... och, coś przecież dobrego przyjdzie z trzymania się uczciwej drogi. Stefanie, kochany, kochany, pozwól mi iść, nie każ mi cierpieć jeszcze większych wyrzutów! Ja nigdy nie przystałam na to całą duszą ... nie przystaję i teraz.

Stefan puścił jej ramię i opadł na krzesło, półprzytomny z gniewu i rozpacz. Milczał przez chwilę, nie patrząc na nią, a ona spoglądała nań z miłością, przerażona nagłą w nim odmianą. Wreszcie Stefan powiedział, wciąż nie patrząc w jej stronę:

- Więc idź ... zostaw mnie ... nie dręcz mnie dłużej ... nie mogę tego wytrzymać.

Pochyliła się ku niemu bezwolnie i wyciągnęła rękę, by dotknąć jego dłoni. Ale on cofnął się jak przed rozpalonym żelazem.

- Zostaw mnie - powtórzył.

Madzia nie była świadoma, że rozstrzygnęła sprawę, kiedy odwracała się od tej udręczonej twarzy i wychodziła z pokoju; jakby wykonywała automatyczną czynność, która była spełnieniem zapomnianego już postanowienia. Cóż było dalej? Schodziła gdzieś ze schodów, jak we śnie ... potem flizy chodnika ... zaprzężona karetka stoi i czeka ... potem ulica ... zakręt w następną ulicę, gdzie stał dylizans, do którego wsiadali pasażerowie ... błyskająca nagle myśl, że ten dylizans zabierze ją stąd daleko ... może w kierunku domu. Lecz o nic jeszcze nie była w stanie pytać - wsiadła tylko do pojazdu.

KSIĘGA SZÓSTA

564

Dom ... gdzie jest matka i brat ... Filip ... Lucy ... miejsce jej trosk i prób - do tego portu dążyły jej myśli - sanktuarium, gdzie złożone zostały święte relikwie ... gdzie będzie bezpieczna od upadku. Myśl o Stefanie była jak straszny, pulsujący ból, który, jak to się często dzieje, pobudzał pracę umysłu. Lecz wśród jej myśli nie znalazła się refleksja, co ludzie pomyślą czy powiedzą o jej postępowaniu. Miłość, żal i pełne wyrzutów cierpienie nie zostawiały na to miejsca.

Dylizans zawiózł ją do Yorku, a więc jeszcze dalej od domu, lecz dowiedziała się o tym dopiero wówczas, gdy stanęła o północy na miejscu. Nic nie szkodzi, może się przespać i wrócić do domu następnego dnia. Miała w kieszeni portmonetkę, a w niej wszystkie pieniądze - jeden banknot i suwerek. Nosila je w kieszeni przez zapomnienie, od zakupów, które robiła przedwczoraj.

Czy naprawdę leżała w tej ponurej sypialni w starej gospodzie zdecydowana niezłomnie na drogę pokutnego poświęcenia? Wielkie walki życiowe nie są takie łatwe; wielkie problemy życia nie są takie jasne. W ciemnościach tej nocy widziała twarz Stefana zwróconą ku niej w namiętnym, pełnym wyrzutu cierpieniu - wciąż przeżywała na nowo rozkosz przebywania z nim, dzięki której życie było łatwym żeglowaniem i trwaniem. Miłość, której się wyrzekła, wracała teraz z okrutnym urokiem - Madzia czuła, że znowu otwiera ramiona na jej przyjęcie; a wtedy ona odsuwa się, blednie i znika, pozostawiając po sobie konający dźwięk - głęboki, przejmujący głos, który mówi: "Odeszła, odeszła na zawsze".

KSIĘGA SIÓDMA OCALENIE

i

i III /

ROZDZIAŁ I

POWRÓT DO MŁYNA

Między godziną czwartą a piątą po południu piątego dnia od chwili, w której Madzia i Stefan opuścili St. Ogg's, Tomek Tulliver stał na zwirowanej ścieżce przed starym domem koło młyna Dorlcote. Był teraz panem tutaj; spełnił życzenie umierającego ojca i długoletnim spokojnym samozaparciem oraz wyczerpaną pracą zdobył sobie u ludzi większy chyba szacunek niż to było dumnym udziałem Dodsonów i Tulliverów.

Lecz na twarzy Tomka, gdy tak stał w upalnym, spokojnym słońcu w letnie popołudnie, nie znać było radości ani triumfu. Usta wykrzywione miał goryczą, zmarszczka na czole była głębsza i większa. Nasunął mocniej kapelusz na oczy, by je osłonić przed słońcem, i zaczął spacerować tam i z powrotem po ścieżce, ręce wsunawszy głęboko w kieszenie. Nie miał żadnych wiadomości o siostrze, odkąd Bob Jakin wrócił parowcem z Mudport i położył kres wszystkim nieprawdopodobnym domysłom o wypadku na rzece, mówiąc, że widział, jak wysiadła ze statku na ląd razem z panem Stefanem Guest. Czy następna wiadomość będzie o jej ślubie? Czy o czym? Pewno o tym, że nie wyszła za mąż; Tomek spodziewał się najgorszego - nie śmierci, lecz hańby.

Kiedy szedł, twarzą zwrócony do młyńskiej rzeki a tyłem do bramy wyjazdowej, zbliżyła się do niej wysoka ciemnooka osoba, którą dobrze znamy, i zatrzymała się, by nań spojrzeć, a serce waliło jej w piersi jak szalone. Brat jej był człowiekiem, którego od najwcześniejszego dzieciństwa do chwili obecnej najbardziej się bała; tego rodzaju

43 BN H/234 G. Eliot: Młyn nad Flossą

KSIĘGA SIÓDMA

568

strach ma zwykle źródło w miłości do człowieka, który jest nieubłagany, nieugięty, niezmienny, którego rozumowania nie możemy nigdy przyjąć, a jednocześnie nie możemy znieść, by ten człowiek się od nas odsunął. Przejmował teraz Madzie dawny lęk, lecz postanowiła nieodwołalnie wrócić do swego brata, widząc u niego swoje naturalne schronienie. Tak głęboko była upokorzona rozpamiętując swoją słabość, tak bardzo bolała nad krzywdą, jaką wyrządziła innym, że niemal pragnęła doświadczyć surowości wyrzutów Tomka, poddać się cierpliwie i w milczeniu jego ostrej krytyce, przeciwko której buntowała się tak często, a która teraz wydawała jej się w pełni zasłużona. Czyż nie okazała się najsłabszą z najsłabszych? Potrzebowała ogromnie pomocy z zewnątrz, aby jej wysiłki mogły być bardziej owocne, pomocy, jaką jej przyniesie pełna skruchy spowiedź i obecność tych, których słowa i spojrzenia będą jej mówić to samo, co sumienie.

Jeden dzień zatrzymał Madzie w łóżku gospody w Yorku straszny ból głowy, który był prawdopodobnie skutkiem silnego napięcia nerwowego w ciągu poprzedniego dnia i nocy. Dotąd jeszcze na jej czole i w oczach krył się wyraz fizycznego cierpienia. Cała postać

- suknia dawno nie zmieniana - mówiła o zmęczeniu i udęce. Madzia odsunęła skobel furtki i weszła powoli. Tomek nie usłyszał tego; stał tuż przy huczącej tamie. W pewnej chwili odwrócił się i podniósłszy wzrok zobaczył postać, której wygląd i opuszczenie zdawały się potwierdzać jego najgorsze przeczucia. Zatrzymał się, blady, drżący ze wstrętu i oburzenia. Madzia zatrzymała się również - parę kroków przed nim. Na jego twarzy wyczytała nienawiść - czuła ją wszystkimi włóknami ciała. Musiała jednak mówić.

- Tomku - zaczęła słabo - wróciłam do ciebie ... wróciłam do domu ... by szukać tu schronienia ... by ci powiedzieć wszystko.

- Nie ma u mnie domu dla ciebie - odparł z gniewem.

- Zhańbiłaś nas wszystkich. Zhańbiłaś nazwisko mojego ojca. Stałaś się przekleństwem swych przyjaciół. Byłaś podła ... oszustka. Nic nie

I

ROZDZIAŁ I

569

jest w stanie powstrzymać cię od złego. Umywam ręce od ciebie na zawsze. Jesteś dla mnie obca.

Na próg wyszła teraz matka. Stała jak sparaliżowana, wstrząśnięta i widokiem Madzi, i słowami Tomka.

- Tomku - podjęła Madzia z większą odwagą. - Chyba nie zawiniłam tak bardzo, jak myślisz. Nigdy nie chciałam dać folgi swoim uczuciom. Walczyłam z nimi. Zbyt daleko popłynęłam łodzią, by wrócić we wtorek. Wróciłam, kiedy tylko mogłam.

- Nie mogę ci już wierzyć - odparł Tomek przechodząc powoli od pierwszego rozdygotanego podniecenia do chłodnej nieugiętości.

- Utrzymywałaś potajemne stosunki ze Stefanem Guest, tak jak dawniej z innymi. Przyjechał spotkać się z tobą u cioci Moss, chodziłaś z nim sama po polach. Żadna przyzwoita dziewczyna nie pozwoliłaby sobie na takie spacerunki z ukochanym swej kuzynki, gdybyś postępowała inaczej, wszystko to nigdy by się nie stało. Mieszkańcy Luckreth widzieli, jak przejeżdżałaś ... minęłaś również wiele innych wiossek. Użyłaś Filipa Wakema za parawanik wobec kuzynki Lucy, najlepszej twojej przyjaciółki. Idź i zobacz, jak jej się odpłaciłaś! Jest chora - odjęło jej mowę. Matka nie może do niej podejść, żeby jej nie przypominać o tobie! Madzia stała jak ogłuszona - zbyt wielki przygniatał ją ból, żeby mogła dojrzeć różnicę między swoją prawdziwą winą a oskarżeniem brata; jeszcze mniej, by się mogła bronić.

- Tomku - mówiła zaciskając w wysiłku ręce pod płaszczykiem.

- Cokolwiek zrobiłam, żałuję tego gorzko. Chcę to naprawić. Zniosę wszystko. Chcę, by mnie powstrzymano od powtórnego zła.

- A coż cię może powstrzymać? - zapytał Tomek z okrutną goryczą. - Nie religia, nie twoje wrodzone poczucie wdzięczności czy honoru. A on ... on zasługuje na to, żeby mu w łeb strzelić i gdyby nie ... Ale ty jesteś dziesięć razy gorsza. Brzydzę się twoim charakterem i twoim postępowaniem. Walczyłaś ze swoim uczuciem, powiadasz. Tak! Ja też musiałem walczyć z moim uczuciem, ale ja je zwyciężyłem. Miałem cięższe życie niż ty, ale znalazłem pocieszenie w spełnianiu moich obowiązków. Nie mogę aprobować takiego charakteru, jak

43

KSIĘGA SIÓDMA

570

twój. Świat dowie się, że znam różnicę między dobrem a złem. Jeśli będziesz w potrzebie, zawiadom matkę, a dam ci na utrzymanie. Ale nie wejdiesz pod mój dach. Wystarczy, że muszę znosić myśl o twojej hańbie, twój widok jest mi wstrętny.

Madzia odwracała się powoli z rozpaczą w sercu. Lecz miłość biednej, zastraszonej matki doszła teraz do głosu, mocniejsza niż strach.

- Moje dziecko! Pójdę z tobą. Masz przecież matkę.

Och, jakim słodkim ukojeniem był jej uścisk dla Madzi, ugodzonej w samo serce. Odrobina zwykłej ludzkiej litości, która się nas nie zaparła, bardziej jest pomocna niż wszela mądrość. Tomek odwrócił się i wszedł do domu.

- Wejdz, dziecko - szepnęła pani Tulliver. - Pozwoli ci zostać i spać w moim łóżku. Nie odmówi mi, jeśli go poproszę.

- Nie, mamu - odparła Madzia cicho, jakby z jękiem. - Ja tu nigdy nie wejdę!

- To poczekaj na mnie. Ogarnę się tylko i pójdę z tobą. Kiedy matka ukazała się ubrana do wyjścia, Tomek wyszedł na korytarz i wetknął jej pieniądze w rękę.

- Mój dom jest twoim domem, mamu, zawsze. Przyjdiesz i powiesz mi, czego ci potrzeba. Wrócisz do mnie.

Biedna pani Tulliver wzięła pieniądze, zbyt przestraszona, by odpowiedzieć. Jasny był dla niej tylko głos macierzyńskiego instynktu, który kazał jej iść za nieszczęsnym dzieckiem.

Madzia czekała za furką - wzięła matkę za rękę i chwilę szły tak w milczeniu.

- Mamo - powiedziała wreszcie - pójdziemy do chaty Łukasza. Łukasz mnie przyjmie. Był dla mnie taki dobry, kiedy byłam mała.

Ija tu nigdy nie wejść - scena ta przywodzi na myśl komentarz małej Madzi o Synu Marnotrawnym (ks. I, koniec rozdz. IV), którego jest odwróceniem. Tomek odtrącający siostrę jest wyrazicielem postawy etycznej właściwej jego religii i klasie, postawy pozbawionej miłości i zdolności wybaczenia.

ROZDZIAŁ I

571

- Nie będzie miał teraz dla nas miejsca, moja droga, jego żona ma tyle dzieci. Nie wiem zupełnie, dokąd iść, chyba że do którejś z ciotek, ale się boję- mówiła biedaczka, której umysł odmówił posłuszeństwa w tym trudnym momencie.

Madzia milczała; potem powiedziała:

- Chodźmy do Boba Jakina, mamo, jego żona będzie miała dla nas pokój, jeśli nie wzięła innego lokatora.

Ruszyły więc w drogę do St. Ogg's - do starego domu nad rzeką.

Boba zastały w domu we własnej osobie. Ciężko mu było na sercu i nie mogła go rozweselić nawet radość i duma płynąca z posiadania dwumiesięcznego dziecka, jednego z najżywszych w tym wieku dzieci, jakie kiedykolwiek narodziły się królom wędrownym sprzedawców.

Może nie uzmysłowiłby sobie w pełni dwuznaczności sytuacji Madzi, kiedy ukazała mu się w Mudport z panem Stefanem Guest, gdyby nie zobaczył, jakie wrażenie zrobiło na Tomku jego opowiadanie. Od tego czasu opis okoliczności, które i tak nadały jej ucieczce jak najgorszy charakter, przedostał się poza kręgi wytwornego towarzystwa St. Ogg's i stał się przedmiotem pospolitych rozmów między stajennymi i posługaczami. Tak więc, kiedy Bob otworzył drzwi i zobaczył za nimi Madzie, nieszczęsną i zmęczoną, nie potrzebował zadawać żadnych pytań, oprócz jednego, które śmiał zadać tylko sobie samemu: gdzie jest pan Stefan Guest? Jeśli chodzi o Boba, to miał nadzieję, że ów pan znajduje się w najgorętszej części pomieszczenia istniejącego ponoć na tamtym świecie dla dżentelmenów, którzy nisko upadli.

Pokoje były wolne; obie panie Jakin, zarówno większa jak i mniejsza, otrzymały rozkaz, by wszystko jak najwygodniej urządzić dla "starszej pani i panienki"- ach, że też jeszcze "panienki". Sprytny Bob był okrutnie zdumiony, jak do tego wszystkiego mogło dojść, ja pan Stefan Guest mógł odejść od niej, czy też pozwolić jej odejść niego, kiedy miał przecież możliwość zatrzymania jej przy sobie. Milczał jednak i nie pozwalał żonie pytać o nic; nie pokazywał się w pokoju, aby to nie wyglądało na narzucanie się i wtykanie nosa w cudze sprawy. Zachował w stosunku do czarnookiej Madzi ten sam rycerski stosunek, jak w czasach, kiedy to zrobił jej pamiętny prezent z książek.

;

KSIĘGA SIÓDMA

572

Ale po kilku dniach pani Tulliver poszła do młyna na parę godzin, aby dojrzeć gospodarstwa Tomka. Madzia bardzo o to prosiła, bo po pierwszym wybuchu wzruszenia, które przyszło, gdy przestała istnieć konieczność działania, czuła mniejszą potrzebę obecności matki. Woląла nawet zostać sama ze swoim smutkiem. Lecz po chwili, gdy tak siedziała w starej bawialni, której okna wyglądały na rzekę, do drzwi rozległo się stukanie. Odwróciła się mówiąc "proszę" i ujrzała Boba, który wszedł z niemowlęciem na ręku, a Mumpsem przy piętach.

- Wyjdziemy stąd, jeśli przeszkadzamy pani - oświadczył Bob.

- Nie przeszkadzacie - odparła Madzia cicho, żałując, że się nie potrafi uśmiechnąć.

Bob zamknął drzwi, podszedł i stanął przed nią.

- Widzi panienska, jakie my mamy małe? Chciałem, żeby je panienska zobaczyła i wzięła na ręce, jeśli panienska jest taka dobra. Bo myśmy sobie pozwolili nazwać ją po panience i chciałbym, żeby panienska trochę na nią popatrzyła.

Madzia nie mogła dobrać głosu, lecz wyciągnęła ręce, by wziąć maleństwo, zaś Mumps obwąchał ją niespokojnie, chcąc się upewnić, że wszystko jest w porządku. Serce Madzi wezbrało wzruszeniem, bo wiedziała, że Bob w ten sposób okazuje jej swoje współczucie i szacunek.

- Usiądź, Bob - przemówiła wreszcie, a on usiadł w milczeniu, stwierdzając, że język znowu nie chce mu być posłuszny, choć tym razem na inny sposób, bo odmawia wypowiedzenia tego, co on sam pragnąłby powiedzieć.

- Bob - odezwała się Madzia po chwili spoglądając na niemowlę i trzymając je mocno, jakby się bała, że może jej się wymknąć z rąk i pamięci. - Chciałam cię prosić o pewną przysługę.

- Niech panienska tak nie mówi. - Bob chwycił skórę na szyi Mumps. - Jeżeli mogę coś dla panienki zrobić, to tak, jakbym dostał dniówkę.

- Chciałabym, żebyś poszedł do pastora Kenna, powiedział, że chcesz z nim pomówić, zawiadomił go, że tu jestem i byłabym bardzo

ROZDZIAŁ I

573

wdzięczna, gdyby przyszedł do mnie, póki mamusi nie ma. Ona wróci dopiero wieczorem.

- Oj, panienko, poleciałbym zaraz, ale nie da rady, bo żona pastora umarła: jutro ma być pogrzeb, umarła tego dnia, kiedy wróciłem z Mudport. Jeszcze większa szkoda, że właśnie teraz jej się zmarło, jeżeli go panienska potrzebuje. Teraz to ja się do niego nawet nie zbliżam.

- Och, tak - odparła Madzia. - Musimy poczekać ... parę dni pewno ... kiedy usłyszysz, że on już odwiedza parafian. Ale może będzie chciał wyjechać gdzieś daleko z miasta - dodała z nowym przyływem rozpacz.

- On nie taki - odpowiedział Bob. - On nie wyjedzie. On nie jest z tych delikatnych, co to jada się leczyć i płakać, jak im żona umrze, on ma co innego do roboty². Porządnie pilnuje tej parafii i ostro ją trzyma. Ochrzczył nam małą i przyszedł do mnie w niedzielę, żeby się dowiedzieć, dlaczego mnie nie widział w kościele. Ale mu wytłumaczyłem, że trzy czwarte dnia byłem w podróży, a poza tym tak nawykłem do stania i chodzenia, że nie potrafię długo usiedzieć. "Boże - powiadam - handlarzowi wystarczy rzadziej chodzić do kościoła - powiadam - mocniej mu on smakuje, więc po co ma się przejadać?" Oj, panienko, jaka ta mała u panienki spokojna. Jakby panienkę znała ... a trochę to zna, słowo daję ... jakby ptaki mogły nie znać poranka.

² Chwalący tu pastora za samodyscyplinę Bob Jakin, jako małomiasteczkowy proletariusz jest typem wielokrotnie przeciwstawianym drobnomieszczan- kim postaciom w powieści przez swój spryt, uczuciowość i brak rygoryzmu w sprawach etycznych. Jest on też udaną postacią komiczną, która swój komizm zawdzięcza głównie twórczemu posługiwaniu się językiem. Być może ta właściwość postaci podsunęła znanemu wówczas pisarzowi Edwardowi Bulwer- Lyttonowi (1803-1873) jedną z jego niewielu łagodnie krytycznych wypowiedzi o powieści, którą skądinąd wysoko cenił. Napisał o niej mianowicie: "Jedyna rzecz, jaką chciałbym tu skrytykować, to odrobina nieuświadomionego naśladownictwa Dickensa; tyle akurat, ile tak fascynujący i popularny geniusz musi spowodować u ludzi trochę młodszych od niego i sięgających po wzory swych postaci do tych samych klas społecznych" (George Eliot. *The Critical Heritage*, op. cit., s. 120).

KSIĘGA SIÓDMA

574

Wyraźnie język Boba rozluźnił nieco krępujące go więzy i nawet groziła obawa, że poniesie go dalej, niż trzeba. Lecz tematy, w których chciałby zasięgnąć informacji, były śliskie i

trudne, a język Boba wolał prostą ścieżkę miast nie przetartej drogi. Bob rozumiał to i milczał, rozważając w myślach wszelkie ewentualne formy, w jakich mógłby postawić pytanie. Wreszcie odezwał się jeszcze bardziej nieśmiałym głosem:

- Czy mi panienka pozwoli zapytać o coś? Madzia przestraszyła się trochę, ale odparła:

- Tak, Bob, jeśli pytanie dotyczy mnie, a nie kogo innego.

- No więc, panienko: czy panienka ma do kogoś żal?

- Nie, do nikogo - odparła patrząc na niego pytająco. - Czemu

o to pytasz?

- O, Boże - odparł Bob, mocniej niż dotychczas szczypiąc Mumpsa w szyję - chciałbym, żeby panienka miała żal do kogo

I powiedziała mi, ja bym mu spuścił baty, aż by na oczy nie mógł patrzeć, słowo daję ... a potem niechby sędzia robił ze mną, co by chciał.

- Och, Bob - odparła Madzia uśmiechając się słabo - jaki z ciebie dobry przyjaciel! Ale ja nie chciałabym karać nikogo, nawet gdyby mi ktoś wyrządził krzywdę ... zbyt często sama krzywdziłam innych ...

Ten pogląd był zagadką dla Boba i jeszcze większą mgłą okrył wszystko, co mogło się wydarzyć między Stefanem a Madzia. Dalsze pytania byłyby jednak natręctwem, nawet gdyby je postawił w odpowiedniej formie - poza tym musiał odnieść dziecko czekającej na nie matce.

- Czy panienka nie chciałaby Mumpsa do towarzystwa? - zapytał odbierając od niej niemowlę. - To taki dobry kompan, jak rzadko ... wszystko wie i nic go to nie obchodzi. Jak mu powiem, to będzie tu leżał i pilnował panienki, całkiem spokojnie, jak pilnował mojego tobołka. Niech mi panienka pozwoli zostawić go tutaj na trochę - on się do panienki przywiąże. Dobra to rzecz mieć takie nieme zwierzę, co człowieka lubi. Będzie się panienki trzymał, a nie będzie gadał.

ROZDZIAŁ II

575

- Och, tak, zostaw go tutaj - odparła Madzia. - Myślę, że miło ii będzie mieć w Mumpsie przyjaciela.

- Mumps, leżec tutaj - Bob wskazał mu miejsce przed Madzią i ani się rusz, póki ci nie każą. Mumps położył się natychmiast i nie okazał niepokoju, kiedy jego in zamknął za sobą drzwi.

ROZDZIAŁ II

ST. OGG'S WYDAJE WYROK

Po St. Ogg's szybko rozeszła się wiadomość, że panna Tulliver wróciła. A więc nie uciekła po to, by wziąć ślub z panem Stefanem Guest - przynajmniej pan Stefan Guest nie ożenił się z nią, co wychodzi na jedno, jeśli idzie o jej winę. Sądzymy ludzi po skutkach ich ostępków - jakżeby inaczej? - nie znając procesu, który do tych kutek doprowadził. Gdyby panna Tulliver po wspaniałej kilkumie- ięcznej podróży wróciła jako pani Stefanowa Guest, wraz z poślubną rawą oraz wszelkimi przywilejami należnymi najmniej nawet rpragnionej żonie jedyne go syna, opinia publiczna, która zarówno w St. Ogg's, jak i gdzie indziej zawsze wie, co myśleć, wydałaby sąd stosowny do tych skutków. W takich wypadkach opinia publiczna jest zawsze rodzaju żeńskiego - nie jest to świat, ale "żona" świata. Otóż ta opinia stwierdziłaby natychmiast, że dwoje przystojnych młodych ludzi- młodzieniec z najlepszej chyba rodziny w St. Ogg's- znalazło się w fałszywej sytuacji, która naprowadziła ich na drogę, mówiąc naj oględniej dość niefortunną, co przyniosło wiele bólu i rozczarowań, zwłaszcza tej miłutkiej, młodej osobce, pannie Deane. Pan Stefan Guest z pewnością zachował się niewłaściwie - ale tak to już bywa - młodzi ludzie często zakochują się niespodzianie i szaleńczo. A co do pani Stefanowej Guest trzeba przyznać, że nie powinna była

KSIEGA SIÓDMA

przyjmować ze strony ukochanego swojej kuzynki najmniejszych nawet awansów (wiecie, powiadali, że ona była faktycznie zaręczona z młodym Wakemem, stary Wakem sam o tym kiedyś wspominał), ale przecież była tak młoda - "i garbaty, wie pani, a młody Guest taki wspaniały mężczyzna - mówią, że ją po prostu uwielbia (prawdę mówiąc, to nie może trwać długo) i uciekł z nią łodzią wbrew jej woli

- no i cóż ona mogła zrobić? Przecież trudno pomyśleć, żeby wróciła

- nikt by do niej nie chciał ust otworzyć ... i jak jej do twarzy w tej żółtej satynce! Zdaje się, że fałdy na przodzie zaczynają być modne, ona ma kilka sukien tego kroju. Mówią, że on wszystko jej kupuje, uważa, iż nic nie jest dla niej dość piękne. Biedna panna Deane! Rzeczywiście, godna jest współczucia - no, ale nie byli przecież formalnie zaręczeni, a morskie powietrze na pewno dobrze jej zrobi. A poza tym, jeśli młody Guest czuł do niej tylko tyle, to lepiej, że za niego nie wyszła. Cóż za wspaniałą partię zrobiła panna Tulliver - jak w bajce! Przecież młody Guest będzie kandydował w tym okręgu przy następnych wyborach. Nie ma dzisiaj jak handel! Ten młody Wakem podobno mało nie zwariował, ale on zawsze był jakiś dziwny. Wyjechał teraz za granicę, żeby zejść im z drogi - cóż lepszego mógł taki kaleka zrobić? Panna Unit powiada, że nigdy nie złoży wizyty młodym państwu Guest. Co za bzdura! Udaje, że jest lepsza niż inni! Życie towarzyskie przestałoby istnieć, gdybyśmy w ten sposób wtrącali się w cudze prywatne sprawy - a religia nas poucza, abyśmy innych nie sądzili! Ja wierzę głęboko, że po prostu panna Unit nie dostała ich bilecików".

Lecz jak wiemy, w tym wypadku skutki czynów dwojga młodych ludzi nie mogły sprawić, by doszukiwano się w ich przeszłości okoliczności łagodzących. Madzia wróciła bez wyprawy i bez męża - wróciła jak sponiewierany wyrzutek społeczny, do czego, wiadomo, prowadzą błędy. Zaś "żona" świata z tym cudownym instynktem, jakim została obdarzona celem zachowywania instytucji Towarzystwa, stwierdziła od razu, że postępowanie panny Tulliver było w najwyższym stopniu naganne. Czy można wyobrazić sobie coś ohydniejszego? Dziewczyna, która tyle zawdzięcza swoim krewnym, której matka tyle otrzymała

ROZDZIAŁ II

dowodów serca od Deane'ów! Chytrze sobie zaplanowała, że odbije kuzynce młodego człowieka - kuzynce, która była dla niej jak siostra! Odbić uczucia? Nie, to słowo nie pasuje do panny Tulliver - właściwiej będzie powiedzieć, że do tego czynu pchnęła ją niegodna kobiety czelność i nieokiełznane namiętności. Zawsze było w niej coś wzbudzającego nieufność. Ta jej bliska znajomość z młodym Wakemem, która, jak powiadają, trwała od lat, wygląda podejrzenie, a właściwie nie podejrzenie, lecz ohydnie. Dziewczyna o takich skłonnościach! Dla "żony" świata nawet w fizjonomii panny Tulliver było coś, w czym wyrafinowany instynkt wyczuwał zapowiedź zła. Jeśli zaś idzie o młodego pana Stefana Guesta, to należy mu właściwie współczuć; nie można w takim wypadku zbyt ostro sądzić dwudziestopięcioletniego młodego człowieka - praktycznie biorąc był zdany na łaskę tej wyrachowanej, bezczelnej dziewczyny. Jasne, że uległ wbrew samemu sobie; przecież ją natychmiast odepchnął, jak tylko mógł! Właściwie fakt, że tak się szybko rozstali, fatalnie o niej świadczy. Co prawda on napisał list, biorąc całą winę na siebie

- opowiedział wszystko bardzo romantycznie, tak, żeby się mogło wydawać, iż ona jest niewinna - jasne, że musiał tak postąpić. Lecz nic nie zwiedzie wyrafinowanego instynktu "żony" świata. Łaska Boska, bo cóż by się stało z Towarzystwem? Przecież rodzony brat wyrzucił ją za drzwi - z pewnością musiał swoje wiedzieć, jeśli tak postąpił. Bardzo porządny i przyzwoity młody człowiek, pan Tomasz Tulliver; niewykluczone, że jeszcze zrobi karierę. Oczywiście hańba siostry to ciężki cios dla niego. Miejmy nadzieję, że ona stąd wyjedzi - do Ameryki czy gdzie tam - i oczyści powietrze w St. Ogg's zarazy, jaką jest jej obecność tak groźna dla wszystkich córek w mieście! Nic jej już dobrego nie spotka. Trzeba mieć tylko

nadzieję, że pożałuje swych grzechów i Bóg się nad nią zlituje. Troska o sprawę Towarzystwa nie spoczywa przecież na Jego barkach, lecz na barkach "żony" świata.

Wystarczyły dwa tygodnie, aby instynktowne wyczucie zmieniło się w całkowitą pewność. Minał tydzień, nim przyszedł list od Stefana, w którym podawał ojcu fakty, dodając, że jedzie za granicę do

KSIĘGA SIÓDMA

578

Holandii - zwrócił się po pieniądze do agenta w Mudport - teraz niezdolny jest podjąć jakiegokolwiek decyzji.

Przez cały ten czas Madzia przejęta była tak okropnym niepokojem, że nie stawało jej myśli na zastanawianie się, jaki punkt widzenia na jej postępowanie przyjęło Towarzystwo St. Ogg's. Lęk o Stefana ...

O Lucy ... o Filipa mieszał się w jej sercu w jakimś zaciekłym, rozszałym kłębowisku z miłością, żalem i wyrzutami sumienia. Jeśliby w ogóle myślała o niesprawiedliwości, o tym, że zostanie odepchnięta, uważałaby, że najgorsze już się stało: odkąd usłyszała słowa, które padły z ust jej brata, nic już nie mogło tak jej dotknąć, nic nie mogło być tak nieznośną męką. Poprzez niepokój o kochanych

I skrzywdzonych te słowa przewijały się nieustannie jak straszne ukłucia bólu, które nawet do rajskich rozkoszy wniosłyby rozpacz i lęk. Na myśl jej nie przyszło, że może jeszcze kiedyś być szczęśliwa - wydawało jej się, że każde włókno jej ciała zbyt jest przeniknięte cierpieniem, by mogło kiedykolwiek zareagować na jakiś inny bodziec. Życie rozciągało się przed nią jak jeden wielki akt skruchy, a jeśli marzyła o czymkolwiek na przyszłość, to tylko o czymś, co ją uchroni od ponownego upadku. Własna słabość straszyla ją wizjami przerażających możliwości - i spokój Madzi zależał wyłącznie od pewności schronienia. Nie brakło jej jednak i czysto praktycznych zamiarów - zbyt mocna była w jej krwi chęć zachowania niezależności, by zapomniała, że musi zarobić na chleb; ponieważ zaś inne projekty były niepewne, postanowiła wrócić do zwykłego szycia i w ten sposób zapracować na mieszkanie i utrzymanie u Boba. Chciała później nakłonić matkę do powrotu do młyna i Tomka. Ona przecież w taki czy inny sposób utrzyma się w St. Ogg's. Może pastor Kenn pomoże jej i doradzi? Pamiętała jego pożegnalne słowa na bazarze. Pamiętała ufność, jaką w niej wzbudził podczas tej rozmowy, i czekała z utęsknieniem na sposobną chwilę, w której będzie mogła zawierzyć mu wszystko. Matka codziennie zachodziła do pana Deane, by się dowiedzieć o zdrowie Lucy. Wiadomości zawsze były smutne - nic nie może jej wyrwać z bezsilnego odrętwienia, w jakie zapadła po pierwszym

ROZDZIAŁ II

579

wstrząsie. Lecz o Filipie pani Tulliver nie mogła się niczego dowiedzieć - rzecz jasna, nikt ze spotkanych osób nie rozmawiał z nią o tym, co dotyczyło jej córki. Wreszcie zebrała całą odwagę i poszła do siostry Glegg, która oczywiście wiedziała o wszystkim i nawet, pod nieobecność pani Tulliver, odwiedziła Tomka we młynie. On jednak nie mówił, co zaszło podczas tej wizyty.

Natychmiast po wyjściu matki Madzia ubrała się do wyjścia. Postanowiła iść na plebanie i poprosić o widzenie z pastorem; był pogrążony w wielkim smutku, ale w takiej chwili cudzy smutek nie będzie dla niego zgrzytem. Po raz pierwszy od powrotu do miasta wychodziła z domu, lecz tak była przejęta celem swego wyjścia, że nie pomyślała nawet, jak przykro jej będzie spotykać ludzi po drodze i widzieć wlepione w siebie oczy. Lecz gdy tylko wyszła z wąskich uliczek, przez które trzeba się było przeciskać wychodząc z domu Boba, uświadomiła sobie, że przechodnie rzucają na nią dziwne jakieś spojrzenia - nerwowo przyspieszyła kroku i szła nie patrząc w prawo czy lewo. Nagle stanęła twarzą w twarz z panią i panną Turnbull, dobrymi znajomymi rodziny Tulliverów, obie jednak spojrzały na nią

dziwnie i odwróciły się bez słowa. Ta ostra reakcja zabolą Madzie, zbyt wielkie miała jednak poczucie własnej winy, by ją uważać za niesłuszną. "Nic dziwnego, że nie chcą ze mną mówić- myślała- tak bardzo lubią Lucy". Po chwili jednak musiała minąć grupę panów, którzy stali w drzwiach sali bilardowej - tu już musiała zauważyć, że młody Torry wysunął się ku niej z monoklem w oku i kłaniając się tak nonszalancko i poufale, jakby pozdrawiał znajomą szynkarkę. Madzia była zbyt dumna, by nie odczuć tego upokorzenia mimo bólu - i po raz pierwszy zrozumiała, że oprócz zarzutów, iż zawiodła zaufanie Lucy, będą na nią rzucone jeszcze inne oszczerstwa. Była już teraz jednak koło plebanii: tu może znajdzie nie tylko karę. Każdy głos może karać, każdy zuchwały, okrutny, najbardziej grubiański ulicznik może karę wymierzyć, lecz pomoc i litość to rzeczy rzadsze - i trzeba ludzi sprawiedliwych, aby je świadczyć.

Natychmiast, kiedy powiedziała swoje nazwisko, wprowadzono ją do gabinetu, gdzie pastor siedział wśród stosów książek, które mało go

KSIĘGA SIÓDMA

580

teraz ciekawiły, przytulając policzek do główki najmłodszego swojego dziecka - trzyletniej dziewczynki. Odesłał zaraz małą ze służącą, a kiedy drzwi się za nimi zamknęły, powiedział przysuwając Madzi krzesło:

- Wybierałem się do pani, cieszę się, że mnie pani uprzedziła. Madzia spojrzała mu w oczy prosto jak dziecko, tak jak na bazarze.

- Chciałam powiedzieć panu wszystko - lecz tu oczy jej wypełniły się łzami i całe tłumione dotychczas zdenerwowanie po upokarzającym spacerze wybuchnęło we łzach. Przez chwilę nie mogła wydobyć z siebie słowa.

- Proszę mi wszystko powiedzieć - w mocnym, poważnym głosie pastora brzmiała spokojna dobroć. - Niech pani myśli o mnie jak o człowieku, któremu duże doświadczenie pozwoli może pomóc pani.

Madzia opowiedziała mu całą historię swej walki, która stała się początkiem długiego smutku i bólu - mówiła najpierw urywanym głosem, z pewnym wysiłkiem; potem już łatwiej, bo razem z wyznaniem przyszło poczucie ulgi. Poprzedniego zaledwie dnia pastor Kenn zaznajomił się z treścią listu Stefana i uwierzył weń natychmiast, nie potrzebując nawet potwierdzenia Madzi. Bezwolna skarga w jej słowach: "Och, ja muszę wyjechać" - była dla niego dowodem, że dziewczyna przeżywa jakiś konflikt.

Madzia zatrzymała się najdłużej nad tymi uczuciami, które kazały jej wrócić do matki i brata, które kazały być wierną wszystkim wspomnieniom przeszłości. Kiedy skończyła, pastor milczał chwilę; musiał rozważyć pewną trudność. Wstał i spacerował przed kominkiem. Wreszcie usiadł i spojrzał na Madzie.

- Pani spieszne dążenie, by znaleźć się wśród najbliższych, by pozostać tam, gdzie powstały wszystkie najmocniejsze pani związki, jest słuszne. Na takie dążenie Kościół, jeśli idzie o pierwotne jego zasady i porządek, odpowiada otwierając ramiona grzesznikowi, strzegąc swych dzieci aż do końca, nie porzucając ich nigdy, chyba że są ostatecznie potępione. A Kościół powinien być przedstawicielem uczuć wszystkich ludzi, każda zaś parafia - rodziną złączoną

ROZDZIAŁ II

581

w braterstwie chrześcijańskim, pod przewodnictwem ojca duchownego. Lecz te zasady porządku i chrześcijańskiego braterstwa bardzo się teraz rozluźniły: trudno nawet powiedzieć, że istnieją w świadomości społecznej. Pozostały tylko w formie częściowej i pełnej sprzeczności w małych społecznościach schizmatycznych. Gdyby nie podtrzymywała mnie głęboka wiara, że Kościół musi w pełni odzyskać siłę tych podstawowych zasad, które są przecież dostosowane do ludzkich potrzeb, często upadałbym na duchu widząc, jak bardzo

brak moim owieczkom poczucia wspólnej odpowiedzialności i braterstwa. Tymczasem wszystko, zdawałoby się, dąży do rozluźnienia więzów, do zastąpienia samowolą wierności wobec tych zobowiązań, które korzeniami sięgają w przeszłość. Sumienie i serce słuszną wskazały pani drogę, a mówię to po to, by rozumiała pani, czego bym pani życzył, co bym radził, gdybym opierał się na własnych uczuciach i poglądach, nie bacząc na nieprzychylnie okoliczności.

Pastor Kenn przerwał na chwilę. W jego zachowaniu nie było nic z wylewnej dobrotliwości, z poważnego spojrzenia i głosu wiał nawet pewien chłód. Gdyby Madzia nie wiedziała, że jego dobra wola jest wprost proporcjonalna do okazywanej powściągliwości, mogłaby się zrazić i przestraszyć. Słuchała jednak pilnie, pewna, że słowa jego przyniosą jej konkretną pomoc.

Pastor mówił dalej:

- Brak doświadczenia nie pozwala pani przewidzieć w pełni, jak bardzo niesprawiedliwe powstaną wyobrażenia o pani postępowaniu. Wyobrażenia, których konsekwencje będą miały niezmiernie przykry charakter, pomimo świadectwa przeczącego wszystkiemu.

- Och, wiem ... zaczynam rozumieć - Madzia nie mogła się powstrzymać, by nie powiedzieć tych słów świadczących o niedawnym okropnym przeżyciu. - Wiem, że mnie będą obrażać. Będą myśleli, że jestem gorsza niż w rzeczywistości.

- Nie wie pani może - pastor mówił to z odcieniem bardziej osobistej litości - że przyszedł list, który powinien zadowolić każdego, kto zna panią choć trochę, list, który mówi, że wybrała pani trudną i stromą ścieżkę powrotu do tego, co słuszne, w chwili, kiedy ten powrót był najbardziej trudny.

KSIĘGA SIÓDMA

582

- Och ... gdzież on jest?! - zawołała biedaczka, zarumieniona i drżąca. Nie byłaby zdolna ukryć swego wzruszenia w niczyjej obecności.

- Wyjechał za granicę; napisał ojcu o wszystkim, co się stało. Uniewinnił panią całkowicie. Mam nadzieję, że ten list będzie miał zbawienny wpływ na kuzynkę pani.

Pastor zaczekał chwilę, aż się Madzia uspokoi, po czym mówił dalej:

- List ten, jak powiedziałem, winien nie dopuścić do powstania jakichkolwiek fałszywych wyobrażeń o postępowaniu pani. Lecz muszę pani powiedzieć, że nie tylko doświadczenia całego życia, lecz i obserwacje z ostatnich trzech dni każą mi się obawiać, iż nie ma świadectwa, które mogłoby uchronić panią od przykrych skutków fałszywych podejrzeń. Ludzie, którzy sami najmniej są zdolni do tak rzetelnej walki, jaką pani odbyła ostatnio, pierwsi odsuną się od pani ... ponieważ nie uwierzą w pani walkę. Obawiam się, że pani życie tutaj obfitować będzie nie tylko w cierpienia, lecz i w trudności. Z tych przyczyn, i tylko z tych przyczyn, proszę, by się pani zastanowiła, czy nie lepiej będzie wziąć pracę gdzieś z dala od tych miejsc, tak, jak to pani uprzednio zamierzała. Natychmiast zrobię wszystko, aby pani taką posadę znaleźć.

- Och, gdybym mogła chociaż na trochę tu zostać - mówiła Madzia. - Nie mam odwagi rozpoczynać nowego życia. Brak by mi było jakiejś podpory. Czułabym się jak samotny wędrowiec odcięty od przeszłości. Napisałam już do pani, która proponowała mi posadę, dziękując za nią. Jeśli zostanę tutaj, to może zdołam zadośćuczynić za moje winy wobec Lucy i innych. Mogłabym ich przekonać, że bardzo żałuję. A poza tym - dodała z dawnym, dumnym błyskiem w oczach - nie wyjadę dlatego, że ludzie opowiadają o mnie kłamstwa. Będą musieli je odwołać. Nie wyjadę teraz, choćbym nawet musiała kiedyś wyjechać ze względu na wolę ... innych.

- Dobrze - odparł pastor po chwili namysłu. - Jeśli taka jest pani decyzja, proszę mi wierzyć, że użyję całego wpływu, jakim rozporządzam dzięki mojej pozycji. Jestem obowiązany pomóc pani

ROZDZIAŁ II 583 i i wspierać ją, chociażby ze względu na moje obowiązki duszpasterskie. [Dodam jeszcze, że osobiście zależy mi na pani wewnętrznym spokoju i powodzeniu. - Potrzeba mi jedynie jakiegoś zajęcia, które pozwoli mi zarobić na życie i zdobyć niezależność. Nie mam wielkich potrzeb. Mogę mieszkać dalej tam, gdzie teraz. - Muszę się dobrze nad tym zastanowić - odparł pastor. - W ciągu kilku dni upewnię się co do opinii, jaka w tej sprawie panuje. Przyjdę do pani. Będę zawsze o pani pamiętał. Po wyjściu Madzi pastor stał zamyślony - ręce założył z tym, a wzrok utkwiał w dywanie w przykrym poczuciu niepewności, świadom, jak trudna jest sytuacja. Ton listu Stefana, który sam czytał, oraz istniejące związki pomiędzy zainteresowanymi osobami utwierdziły go w przekonaniu, że najmniejszym złem będzie ostateczne zawarcie małżeństwa przez Madzie i Stefana. Ponieważ w żadnym innym wypadku nie mogli jednocześnie przebywać w St. Ogg's, chyba że dopiero po wielu latach rozłąki, pozostawanie Madzi w tym mieście łączyło się z nieprzewidywanymi trudnościami. Jednocześnie z całym zrozumieniem człowieka, któremu nieobce są walki duchowe i który przez wiele lat wiernie służył swoim współpracownikom, pojmował stan serca i sumienia Madzi; zgoda na małżeństwo byłaby dla niej w tej chwili świętokradztwem. Nie wolno mieszać się w sprawy jej sumienia ill - zasady, którymi się kierowała³, są lepszym przewodnikiem niż deliberacje nad konsekwencjami jej decyzji. Doświadczenie mówiło mu, że każda ingerencja jest zbyt problematyczna, by się na nią pochopnie decydować. Nie wiadomo, co przyniesie rada, jakiej mógłby udzielić - czy to namowa, by próbowała odbudować swoje stosunki z Lucy i Filipem, czy też, by uległa nowemu uczuciu. A w tych ciemnościach tym trudniej było dostrzec drogę, że na każdym kroku czyhało zło. 1

³ zasady, którymi się kierowała - to zasady, które intuicyjnie czerpie jednostka ze swej łączności z Bogiem i które w anglikanizmie ceniono najwyżej. Przekonanie to pastor Kenn reprezentuje jako idealny przedstawiciel Kościoła anglikańskiego. 44 BN 11/234 G. Eliot: Młyn nad Flossą

KSIĘGA SIÓDMA

584

Wielki problem zmiennych związków między namiętnością i poczuciem obowiązku jest niejasny dla każdego, kto jest zdolny go dostrzec. Nie możemy w podobnych przypadkach używać tego samego klucza chcąc odpowiedzieć na pytanie: gdzie jest moment, w którym człowiek upada poniżej swych możliwości wyrzeczenia (i to wyrzeczenia, przynoszącego jeszcze jakiś pożytek), a kiedy pozostaje mu tylko poddać się namiętności, z którą walczył jak z grzechem. Kazuisci⁴ stali się synonimem nagannego sposobu myślenia, lecz ich przesadne dążenie do bardzo szczegółowych zróżnicowań ma w sobie cień słuszności i prawdy, przed którym zbyt często, niestety, zamykają się oczy i serca ludzkie - prawdy, która mówi, że osąd moralny musi być fałszywy i powierzchowny, jeśli nie jest kontrolowany i sprawdzany ustawicznym odwoływaniem się do specyficznych okoliczności losów człowieka.

Ludzie rozsądni, o szerokich horyzontach, czują instynktowną niechęć wobec rygorystów - wcześniej bowiem zdają sobie sprawę, że tajemniczej złożoności naszego życia nie da się ująć w reguły oraz że podporządkowanie się takim regułom musi w konsekwencji położyć tamę wszelkim boskim ponagleniom i natchnieniom, których źródłem jest nasza coraz to większa umiejętność patrzenia w głąb drugiego człowieka i nasze dla niego współczucie. Zaś rygorysta to ktoś, kto swoje sądy moralne opiera wyłącznie na ogólnie przyjętych zasadach, uważając, że jest to opatentowana droga do sprawiedliwości, nie wymagająca wysiłku, cierpliwości, bezstronności i głębi rozeznania, ktoś, kto nie próbuje się nawet upewnić, czy ma intuicję, jaką daje ciężko zdobyta umiejętność doceniania pokusy lub też życie na tyle żywe i intensywne, by mogło wytworzyć szerokie poczucie braterstwa ze wszystkim, co ludzkie.

4 kazuista (w znaczeniu użytym tu przez pastora) - od łac. casus - przypadek: przedstawiciel tej gałęzi filozofii moralnej, która zajmuje się rolą sumienia w poszczególnych postępkach ludzkich i uwarunkowaniem tych postępków.

ROZDZIAŁ III

ROZDZIAŁ III

KTÓRY DOWODZI, ŻE STARZY ZNAJOMI POTRAFIĄ NAS JEDNAK ZADZIWIĆ

Po powrocie Madzi matka przyniosła do domu wiadomość o zdumiewającym zachowaniu cioci Glegg. Dopóki nie było wieści

O siostrzenicy, pani Glegg przymknęła okiennice i ściągnęła rolety, pewna, że Madzia utonęła. Wypadek był o wiele bardziej prawdopodobny niż to, by jej siostrzenica i spadkobierczyni splamiła honor rodziny. Kiedy wreszcie dowiedziała się od Tomka, że Madzia wróciła

I jak wytłumaczyła swą nieobecność, zaczęła surowo wyrzucać siostrzeńcowi, iż przyjął od razu najgorszą wersję wydarzeń za prawdziwą, choć nic go do tego nie zmuszało. Jeżeli się nie ma bronić swoich krewnych tak długo, jak długo można wierzyć, iż został im choćby strzęp honoru, to przepraszam, ale kogo w ogóle ma się bronić? Nie było nigdy zwyczajem Dodsonów przyjmować pochopnie za pewnik, iż jeden z członków rodziny postąpił tak, że trzeba będzie zmienić testament. I chociaż pani Glegg czarno widziała przyszłość Madzi w czasach, kiedy inni ludzie byli może mniej spostrzegawczy, mimo to ceniła sobie uczciwą grę. Nie wolno najbliższym pozbawiać jej dobrego imienia i wyrzucać z rodzinnego gniazda na pośmiewisko całego świata, jeśli nie doszli do jednomyślnego wniosku, że stała się zakałą rodziny. Pani Glegg nigdy się z taką sytuacją nie spotkała - nic podobnego nie przydarzyło się jeszcze w rodzinie Dodsonów; lecz w tym wypadku dziedziczna uczciwość i osobista siła charakteru zespoliły się z jej podstawową zasadą, że rodzina powinna się trzymać, zasadą, która jej była przez całe życie drogowskazem w sprawiedliwych podziałach pieniędzy.

Kłóciła się z panem Glegg, którego dobroć, wyrażająca się we współczuciu dla Lucy, kazała sądzić Madzie równie surowo, jak sądził sam pan Deane. Fukając na panią Tulliver, która nie przyszła do niej natychmiast po pomoc i radę, pani Glegg

I

44

KSIĘGA SIÓDMA

586

zamykała się we własnym pokoju od rana do wieczora z Wiecznym odpoczynkiem świętych Baxtera, nie przyjmując nikogo, póki pan Glegg nie przyniósł od pana Deane wiadomości o liście Stefana. Tu pani Glegg poczuła, że dostała broń do ręki - odłożyła Baxtera i gotowa była na przyjęcie każdego. Pani Pullet trzęsła tylko głową i płakała, i wolałaby, żeby kuzyn Abbot umarł albo żeby było nie wiem ile pogrzebów, ale nie to, bo czegoś podobnego nigdy jeszcze nie było, więc skąd tu wiedzieć, jak się zachować i już nigdy nie pojedzie do miasta, bo przecież znajomi słyszeli o wszystkim- a w tym samym czasie pani Glegg marzyła tylko, żeby przyszła pani Wool albo ktokolwiek inny i zaczął opowiadać te kłamstwa ojej siostrzenicy, a ona już będzie wiedziała, co odpowiedzieć takim źle poinformowanym osobom.

Znowu zrobiła Tomkowi wiele wyrzutów, o tyle surowszych, o ile mocniejszą miała teraz pozycję. Lecz Tomek, jak wszystko, co stałe, nieruchomiał tylko, kiedy się starano go poruszyć. Biedny Tomek wydał sąd, opierając się na tym, co zdołał dostrzec, a ten sąd był dla niego samego wystarczająco przykry. Uważał, że przez wiele lat naocznij stwierdzał niezbite fakty, świadczące, że Madzi nie można ufać, że ma ona wiele złych skłonności, którym nie wolno pobbłażać i z tego właśnie należy wyciągnąć wnioski - lecz myśl ta zaprawiała jego dni goryczą. Tomek, jak i każdy z nas, nie mógł przekroczyć granic, zakreślonych mu przez

własną naturę; wykształcenie prześliznęło się po nim tylko, zostawiając powierzchowny polor. Jeżeli chcecie surowo oceniać jego surowość, pamiętajcie, że obowiązek tolerancji spoczywa na ludziach o szerokich horyzontach. W Tomku powstała do Madzi odraza, której intensywność wywodziła się z ich dziecinnej łości; w czasach, kiedy splatali małe dłonie, a także w późniejszym poczuciu bliskości i wspólnoty zarówno w obowiązkach, jak i bólu. Widok jej - jak sam powiedział - był mu nienawistny. W tej gałęzi rodziny Dodsonów pani Glegg znalazła naturę mocniejszą od siebie samej, naturę, w której uczucia rodzinne nie miały charakteru klanowości, bo zabarwiły się mocno dumą osobistą. Pani Glegg uważała, owszem, że Madzia powinna zostać ukarana - nie ma zamiaru tego zaprzeczać - wie, jaką wagę należy przywiązywać do

ROZDZIAŁ III

587

właściwego zachowania - lecz powinna być ukarana proporcjonalnie do występków, jakie jej zostały dowiedzione, a nie tych, które jej zarzucają ludzie spoza rodziny, co może chęć pokazać, że ich własna rodzina jest lepsza.

- Ciocia Glegg zwymyślała mnie, jak nigdy - mówiła biedna młyniarzowa, kiedy wróciła do Madzi - za to, że nie przyszedłam do niej wcześniej ... mówiła, że to nie ona do mnie powinna przychodzić. Ale mówiła jak siostra; chciała to ona była zawsze i trudno ją zadowolić, ale to były najlepsze słowa, jakie o tobie usłyszałam, odkąd wróciłaś, moja droga. Bo ona powiada, że chociaż nigdy nie chciała mieć w domu dodatkowej osoby i wyjmować dodatkowych łyżek i innych rzeczy, i żeby jej kto przeszkadzał, jak ona już ma swoje przyzwyczajenia, to jednak da ci schronienie w swoim, jeżeli pójdziesz do niej posłusznie, a ona cię będzie bronić przez tymi, co mówią o tobie źle i bez racji. Ja jej powiedziałam, że ty nie możesz znieść kogo innego, tylko mnie, taka jesteś tym nieszczęściem złamana, ale ona powiada: "Ja jej tam złego słowa nie powiem, dość jest ludzi spoza naszej rodziny, co są do tego aż nadto chętni. Ale dam jej dobrą radę. I musi być pokorna". To niesłychane u Janki, bo przecież pamiętam, że zawsze na mnie zrzucała wszystko, co popsułam, czy to było skwaśniałe wino rodzynkowe, czy za gorące paszteciki, czy też co innego.

- Och, mamó - Madzia była wewnątrznie tak obolała, że wzdragała się na samą myśl o spotkaniu z kimkolwiek - powiedz jej, że jestem bardzo wdzięczna ... przyjdę ją odwiedzić, jak tylko będę mogła, ale teraz nie jestem zdolna nikogo oglądać oprócz pastora. Byłam u niego, on mi doradzi i pomoże zdobyć jakieś zajęcie. Nie mogę z nikim mieszkać ani być od nikogo zależna, niech mama to powie cioci Glegg. Sama muszę zarobić na chleb. Ale czy mamusia nie słyszała czegoś o Filipie, o Filipie Wakemie? Nie spotkała mamusia nikogo, kto by o nim coś wiedział?

- Nie, kochana, ale byłam u Lucy i widziałam się z twoim wujkiem, który mówił, że ona wysłuchała listu i poznała najstarszą pannę Guest, i zadawała pytania, a doktor myśli, że teraz zacznie wracać do zdrowia. Cóż to za świat, moja droga ... co za nieszczęście.

I

KSIĘGA SIÓDMA

588

Zaczęło się od chodzenia po sądach i doszło do jeszcze gorszego ... i tak nagle, właśnie kiedy wydawało się, że los się odwraca - były to pierwsze słowa żalu, jakie wymknęły się pani Tulliver przy Madzi, lecz po wizycie u pani Glegg stare przyzwyczajenie odżyło.

- Biedna, biedna moja mamó - wybuchnęła Madzia przejęta do głębi serca bólem i skrucą, zarzucając matce ręce na szyję. - Zawsze byłam dla mamy niedobra i tyle miała mama ze mną kłopotów. A teraz, gdyby nie ja, mogłaby mama być szczęśliwa.

- Ech, moja droga - odparła pani Tulliver pochylając się nad ciepłym młodemu policzkiem - muszę wszystko cicho znosić od moich dzieci, bo nie będę ich już miała więcej. Jak mi

przynoszą nieszczęście, to i to muszę lubić, nie mam nic więcej do lubienia, bo moje meble dawno poszły w świat. A ty byłaś kiedyś taka dobra, nie mogę zrozumieć, jak to się wszystko mogło na złe obrócić?

Minęły jeszcze dwa czy trzy dni, a Madzia wciąż nie miała wiadomości o Filipie. Niepokój o niego kazał jej zebrać wreszcie odwagę i zapytać pastora podczas jego następnej wizyty. Lecz on nie wiedział nawet, czy Filip Wakem jest w domu. Na skutek ostatnich przykrych wydarzeń stary Wakem ogromnie zgorzkniał; rozczarował się do młodego Jetsome, do którego widać był przywiązany, a później przeżył ruinę nadziei syna i to po tym, jak zadając gwałt własnym uczuciom zgodził się na wybór Filipa, o czym nieopatrznie wspominał na mieście. Tak więc, kiedy go ktokolwiek pytał o syna, odpowiadał szorstko i prawie niegrzecznie. Ale Filip nie mógł być chory, bo rozeszłyby się wiadomość, że wzywano lekarza; bardziej było prawdopodobne, że wyjechał na jakiś czas z miasta. Niepewność dławiła Madzie za gardło, a wyobrażenia jej tworzyła gorączkowo obrazy cierpień Filipa. Co on o niej myśli? W co uwierzył?

Wreszcie Bob przyniósł list bez znaczka, adresowany pismem, które znała doskonale, które od bardzo dawna kreśliło jej nazwisko - widniało ono na posiadanym przez nią do dzisiaj kieszonkowym tomiku Szekspira. Matka była w bawialni, a Madzia ogromnie przejęta pobięła na górę, by przeczytać list w samotności. Czytała, a w skroniach jej pulsowało.

ROZDZIAŁ III

589

"Madziu!

Wierzę w Ciebie - wiem, że nigdy nie chciałaś mnie oszukać - wiem, że chciałaś dochować wiary mnie i innym. Wierzyłem, nie mając jeszcze na to innego dowodu jak znajomość twojej natury. W ów wieczór, kiedy rozstałem się z Tobą po raz ostatni, cierpiałem męki.

Dostrzegłem coś, co utwierdziło mnie w przekonaniu, że nie jesteś wolna, że jest ktoś inny, kto ma nad Tobą władzę, jakiej ja nigdy nie miałem. Ale mimo wszystkich podszeptów - prawie morderczych podszeptów gniewu i zazdrości, doszedłem do wiary w Twoją uczciwość. Byłem pewien, że chcesz ze mną zostać, tak jak to powiedziałaś; żeś go odrzuciła, że walczysz ze sobą, by się go wyrzec, ze względu na Lucy i na mnie. Lecz nie mogłem znaleźć rozwiązania, które nie byłoby zgubne dla Ciebie - i ten strach odpędził samą myśl o rezygnacji. Przewidywałem, że on Cię nie zaniecha, i wierzyłem wtedy, tak jak i teraz wierzę, że siła, która was wzajemnie przyciągała, płynęła z pewnych tylko cech waszych charakterów i tych sprzecznych, jednostronnych działań naszej natury, które są przyczyną połowy nieszczęść ludzkich. Czułem w Tobie wibrację strun, których zawsze brakowało u niego. Ale może się mylę, może myślę o tobie jak malarz o pejzażu, o którym zawsze rozmyśla z miłością - trząsłby się ze strachu, gdyby namalowanie go powierzone zostało innym rękom, nie uwierzyłby nigdy, że dla kogo innego może on mieć tyle samo znaczenia i piękna.

Nie mogłem sobie zaufać i przyjść do Ciebie tego ranka - przepełniały mnie samolubne uczucia, byłem roztrzęsiony po nocy świadomego oblędu. Powiedziałem Ci już dawno, że nigdy się nie godziłem z miernością moich sił - jak więc mogłem się pogodzić z utratą jedynej rzeczy, jaka tu, na ziemi, niosła mi obietnicę radości tak wielkiej, że nawet przeszłym cierpieniom mogłaby nadać cudowne znaczenie; która niosła mi obietnicę, że stanie przy mnie moje drugie "ja", co przemieni me zbolące uczucia w boski zachwyt wiecznego i na zawsze zaspokojonego pragnienia.

Przejścia tej nocy przygotowały mnie na to, co miało nastąpić później. Nie było to dla mnie niespodzianką. Byłem przekonany, że on

KSIĘGA SIÓDMA

590

skłoni Cię, byś poświęciła dla niego wszystko, toteż z równą pewnością czekałem na wiadomość o waszym ślubie. Twoją miłość i jego mierzyłem własną miłością. Ale pomyliłem się, Madziu. Jest w Tobie coś mocniejszego niż miłość do niego.

Nie będę Ci mówił, co przechodziłem przez te dni. Ale nawet na dnie rozpacz, w najstraszliwszych mękach, jakie przejść musi człowiek, który kocha, nim się wyzbędzie samolubnych pragnień - moja miłość do Ciebie wystarczyła, by mnie powstrzymać od samobójstwa, bez żadnej innej pomocy. Przy całym egoizmie nie mogłem znieść myśli, bym miał na Twą ucztę weselną przyjść jako cień śmierci. Nie mogłem porzucić świata, na którym Ty jeszcze żyjesz i możesz mnie potrzebować. Była to część wiary, jaką Ci ślubowałem - czekać i wytrwać. Madziu, masz oto dowód czegoś, o czym Cię chcę zapewnić - że męka, jaką musiałem znieść przez Ciebie, nie była zbyt wysoką ceną za nowe życie, w które wszedłem kochając Cię. Pragnę, byś się nie dręczyła myślą, że mi sprawiłaś ból. Wyrosłem w poczuciu ułomności; nigdy nie oczekiwałem szczęścia, a w poznaniu Cię i w mojej do Ciebie miłości znalazłem i dotąd znajduję to, co mnie godzi z życiem. Byłaś dla mego serca tym, czym jest światło i kolor dla moich oczu, a muzyka dla ucha - mglisty niepokój przemieniłaś w żywą świadomość. To nowe życie, które zawierało się w tym, że twoje radości i smutki bardziej mnie obchodziły niż własne, to nowe życie zmieniło mój bunt w chęć wytrwania, a tak się rodzi silne uczucie. Myślę, że jedynie prawdziwa i mocna miłość mogła mnie wprowadzić w to pełniejsze życie, które się wzbogaca wchłaniając w siebie życie cudze, a do którego zamykała mi zawsze drzwi natrętna świadomość, czym jestem. Czasem nawet myślę, że ten dar nowego życia, który otrzymałem dzięki mej miłości do Ciebie, może stać się dla mnie źródłem nowej siły.

A więc, droga moja, mimo wszystko, byłaś moim błogosławieństwem. Nie rób sobie przeze mnie żadnych wyrzutów. To raczej ja powinienem mieć do siebie pretensję, że narzucałem Ci się z moimi uczuciami i nakłoniłem do wypowiedzenia słów, które ciążyły Ci jak kajdany. Chciałaś być wierna tym słowom; byłaś im wierna. Mogę

ROZDZIAŁ III

591

mierzyć twoje poświęcenie tym, czego zaznałem będąc z tobą przez jedne pół godziny, kiedy to marzyłem, że może mnie pokochasz najmocniej. Lecz, Madziu, ja nie mam do Ciebie żadnych praw; proszę Cię tylko o serdeczną pamięć.

Przez pewien czas wzdragałem się pisać do Ciebie, bo bałem się choćby pozoru ponownego narzucania Ci się i powtarzania mego pierwotnego błędu. Ale Ty zrozumiesz to, jak należy. Wiem, że przez dłuższy czas będziemy musieli się trzymać z dala od siebie; zmuszą nas do tego okrutne języki ludzkie, jeśli nic więcej nie stanie nam na przeszkodzie. Ale ja nie wyjadę. Gdziekolwiek pojechałbym, dusza moja musi żyć tam, gdzie Ty jesteś. I pamiętaj, że jestem Twój niezmiennie, nie rządzą mną egoistyczne pragnienia, lecz całkowite oddanie, które takie pragnienia wyklucza.

Niech Cię Bóg pocieszy, moja Ty wielkoduszna, kochająca Madziu. Choćby wszyscy inni powzięli o Tobie błędne mniemanie, pamiętaj, że nigdy nie zwątpił w Ciebie ten, którego serce poznało Cię dziesięć lat temu.

Nie dawaj wiary, jeżeli ktokolwiek powie, że jestem chory, bo mnie nie widują na mieście. Miałem newralgiczne bóle głowy - nie gorsze niż te, które miewałem dawniej. Lecz te stratne upały zmuszają mnie do zupełnego spokoju i przebywania w domu. Jestem wystarczająco silny, by posłuszny być Twemu rozkazowi, jeśli powiesz mi, że mogę Ci służyć słowem lub czynem. Twój do ostatka Filip Wakem."

Madzia klęczała przy łóżku przyciskając ten list do serca, a uczucie jej wypowiadało się w szepcie, powtarzanym wśród łkań, zawsze w tych samych słowach:

- O Boże, czy jest takie szczęście w miłości, które pozwoliłoby mi zapomnieć o ich bólu?

KSIEGA SIÓDMA

Pod koniec tygodnia pastor Kenn zrozumiał, że jedna jest tylko możliwość zapewnienia Madzi pracy na utrzymanie w St. O'es. Nawet po dwudziestoletnim duszpasterskim doświadczeniu przerażony był uporem, z jakim jego parafianie przypisywali jej winy, którym przeczyło świadectwo. Dotychczas otaczało go większe uwielbienie i zaufanie, niż mu to było w smak, lecz teraz, gdy próbował otworzyć uszy kobiet na głos rozsądku, a ich sumienia - na głos sprawiedliwości w sprawie Madzi Tulliver, poniósł taką samą porażkę, jakiej musiałby doznać, gdyby próbował wpłynąć na zmianę fasonu kapeluszy. Pastorowi nie można się było sprzeciwić - słuchano go w milczeniu, lecz gdy drzwi się za nim zamykały, słuchacze, po wzajemnej wymianie poglądów, dochodzili do tego samego wniosku, co przedtem.

Niewątpliwie panna Tulliver postąpiła nagannie - nawet pastor Kenn temu nie przeczył. Jakże więc mógł to lekceważyć i przychylnie tłumaczyć wszystko, co zrobiła? Nawet jeśli przyjąć za prawdziwe założenie wymagające dużej wiary, a mianowicie, że nic z tego, co się mówiło o panie Tulliver, nie jest zgodne z prawdą, to trzeba przecież uznać fakt, że jednak zostało to powiedziane i okryło ją cieniem, który każę odsunąć się od niej każdej kobiecie, dbałej o własną reputację - i Towarzystwo. Aby wziąć Madzie za rękę

1 powiedzieć: "Nie uwierzę w żadne nie dowiedzione twoje grzechy: wargi moje nie wypowiedzą ich, uszy moje będą na nie zamknięte; ja też jestem śmiertelnikiem, co błądzi, co może się potknąć, ja też mogę upaść mimo największych wysiłków. Twój los cięższy był od mojego, twoja pokusa większa. Pomóżmy sobie, byśmy mogły stać i iść razem, a nie upadać więcej" - na to potrzebna była odwaga, głęboka litość, znajomość samego siebie i wielka ufność, na to trzeba kogoś, kto nie smakuje w przyprawie obmowy, kto nie znajduje satysfakcji w potępianiu innych i nie pozwala się oszukać górnolotnym słowom

głoszącym, iż można zachować w życiu założenia moralne i religie, nawet jeśli się z niego wykluczy dążenie do prawdy, sprawiedliwości i miłości w stosunku do każdego napotkanego człowieka. Panie z St. Ogg's nie oszukiwały się żadnymi ogólnymi filozoficznymi koncepcjami, miały jednak ulubione pojęcie, zwane Towarzystwem, które służyło po to, by uspokoić ich sumienie, gdy zaspokajały własny egoizm mówiąc i myśląc jak najgorzej o Madzi Tulliver i odwracając się do niej plecami. Wielkie przeżył pastor rozczarowanie, gdy stwierdził, że po dwóch latach kadzenia mu obficie jego parafianki utrzymują poglądy całkowicie sprzeczne z jego poglądami i, co za tym idzie, sprzeczne z Wyższym Autorytetem⁵, który jeszcze dłużej czyli. Ten Autorytet dał jednoznaczną odpowiedź ludziom, którzy się pytali, gdzie zaczynają się ich obowiązki społeczne, i mieli co do tego bardzo zróżnicowane poglądy. Odpowiedź nie mówiła o korzyści Towarzystwa, ale "pewnego człowieka", którego znaleziono w nieszczęściu przy drodze⁶.

Nie można też powiedzieć, by w St. Ogg's nie było kobiet z odrobiną czułości w sercu i pewną wrażliwością sumienia: znajdowało się tam zapewne tyle samo dobrych ludzi, co w każdym innym miasteczku kupieckim w owych czasach. Lecz zanim wszyscy ludzie dobrzy nie staną się również odważni, wiele kobiet dobrych będzie jednocześnie lęklwych. Może nawet zbyt lęklwych, by wierzyć w słuszność najlepszych swoich odruchów, jeśli sprowadzają je one do mniejszości. A mężczyźni w St. Ogg's w żadnym wypadku nie byli odważni. Niektórzy nawet do tego stopnia lubowali się w skandalach, że rozmowy ich mogłyby wydać się rozmowami kobiet, gdyby nie wyróżniały ich męskie żarty i pogardliwe wzruszenie ramionami nad wzajemną kobiecą niechęcią. Mężczyźni w St. Ogg's uważali, że nie należy się wtrącać we wzajemne stosunki pań.

I tak się stało, że gdziekolwiek zwrócił się pastor Kenn w nadziei, że znajdzie jakieś dobrotliwe zrozumienie i pracę dla Madzi, wszędzie

5 Wyższy Autorytet - Chrystus.

6 którego znaleziono w nieszczęściu przy drodze - aluzja do przypowieści o dobrym Samarytaninie {Ewangelia św. Łukasza, X 29- 35}.

KSIĘGA SIÓDMA

594

spotykało go rozczarowanie. Pani Jamesowa Torry nie mogła w ogóle myśleć o Madzi jako o opiekunce dla dziecka - nawet czasowej; młoda kobieta, o której "mówiono takie rzeczy" i o której "panowie opowiadają dowcipy"! ... Panna Kirke, której dolegał kręgosłup i która potrzebowała lektorki i towarzyszki, była pewna, że nie może ryzykować kontaktu z podobnym umysłem jak Madziny. Dlaczego panna Tulliver nie przyjęła schronienia, jakie jej ofiarowuje ciotka Glegg? Takiej dziewczynie nie wypada odmawiać podobnemu zaproszeniu. Albo też, dlaczego nie wyjeżdża z okolicy i nie weźmie posady tam, gdzie jej nie znają? (Widocznie nie było ważne, że jej niebezpieczne skłonności zagrożą rodzinom nieznanym w St. Ogg's). Musi być ogromnie zatwardziała i zuchwała, żeby się upierać przy pozostawaniu w parafii, gdzie się na nią wszyscy gapią i szepczą o niej po kątach.

Pastor Kenn, człowiek z natury silny, w obliczu tej opozycji zawziął się, jak każdy energiczny człowiek, o wiele bardziej niż to było potrzebne ze względu na cel, jaki mu przyświecał. Sam szukał dochodzącej wychowawczynie do swych młodszych dzieci. Chociaż w pierwszej chwili zawahał się przed zaproponowaniem Madzi tego zajęcia, teraz popchnęła go do tego chęć zaprotestowania z całą siłą osobistego i duchowego autorytetu przeciwko gnębieniu jej i wypędzaniu obmową z miasta. Madzia przyjęła pracę z wdzięcznością. Miała teraz obowiązki i mogła zarobić na siebie. Dni jej się zapełnią, a samotne wieczory będą mile witanym odpoczynkiem. Nie potrzebowała już poświęcenia matki, boć przecież mieszkanie z córką było dla młynarzowej poświęceniem, i namówiła panią Tulliver, by wróciła do młyna.

Lecz okazało się teraz, że pastor Kenn, który dotąd służył wszystkim za wzór, ma swoje dziwactwa - a może i słabości. Męska część St. Ogg's uśmiechała się domyślnie i nie dziwiła się, że pastor lubi widzieć codziennie parę pięknych oczu, czy też, że tak wyrozumiale ustosunkował się do przeszłości Madzi. Żeńska część miasta, która w tym wypadku mniej miała do gadania, zapatrywała się na całą sprawę bardziej melancholijnie. A jeżeli pastor ulegnie i da się wciągnąć w małżeństwo z tą panną Tulliver? Niebezpiecznie jest

ROZDZIAŁ IV

595

pokładać zbyt wiele zaufania nawet w najlepszym mężczyźnie: apostoł upadł i gorzko potem żałował, a chociaż zaparcie się Piotra nie może tu posłużyć za precedens, to jego skrucha może się jeszcze takim precedensem okazać.

Niewiele upłynęło tygodni, odkąd Madzia podjęła codzienną pracę na plebanii, a już zaczęto wszędzie szeptać o straszliwej możliwości jej małżeństwa z pastorem i panie zastanawiały się, jak w takim przypadku powinny się zachować w stosunku do niej. Bo, jak twierdzono, pastor Kenn siedział w pokoju szkolnym pół godziny jednego dnia, kiedy panna Tulliver dawała lekcję - ach, nie, siadywał tam codziennie, raz nawet odprowadził ją do domu - prawie zawsze odprowadzają do domu, a jeśli nie, to chodzi do niej wieczorami. Cóż to za przewrotna istota! Jakaż to będzie matka dla tych dzieci! Biedaczka pani Kenn przewraca się w grobie na myśl, że małżeństwa oddano pod opiekę tej dziewczyny za ledwie w kilka tygodni po jej śmierci. Czy on okaże się tak dalece wyzbyty przyzwoitości, by się żenić przed upływem roku? Mężczyźni byli bardziej sceptyczni i myśleli, że nie.

Pannom Guest to szaleństwo pastora pozwoliło odetchnąć z ulgą - przynajmniej brat ich będzie teraz bezpieczny. Dobrze znały upór Stefana i dlatego właśnie lękały się ustawicznie,

że wróci i ożeni się z Madzią. Należały do osób, które uwierzyły w wiadomości zawarte w liście brata, lecz nie uwierzyły w to, że Madzia wyrzekła się go na zawsze - podejrzewały, że cofnęła się przed sekretną ucieczką, a nie przed małżeństwem, i że zwleka w St. Ogg's licząc, iż on do niej wróci. Zawsze były zdania, że jest niemila- teraz uważały, że jest przewrotna i dumna. Miały do tego takie same podstawy, na jakich ty i ja budujemy wiele podobnych przekonań. Z początku nie były zachwycone myślą o ewentualnym małżeństwie Stefana z Lucy, lecz strach przed małżeństwem Stefana z Madzią wzmógł ich litość i oburzenie na krzywdę, wyrządzoną tej łagodnej, porzuconej dziewczynie; pragnęły teraz, by Stefan do niej wrócił. Natychmiast, kiedy Lucy będzie mogła wyjść z domu, pojedzie z nimi nad morze, by tam szukać ucieczki przed męczącym upałem sierpniowym. Panny Guest zaś postanowiły, że

KSIĘGA SIÓDMA

596

nakłonią Stefana, by się do nich przyłączył. Natychmiast na pierwszą wzmiankę o plotkach dotyczących Madzi i pastora Kenna napisały do brata.

Madzia miała często wiadomości o powolnym powrocie Lucy do zdrowia- od matki, od ciotki Gleggczy pastora. Myśli jej ustawicznie biegły do domu wujka Deane. Pragnęła całym sercem rozmowy z Lucy - choćby przez pięć minut - żeby tylko powiedzieć słowo skruchy, żeby usłyszeć z własnych ust Lucy i wyczytać z jej oczu, że nie wierzy w rozmyślną zdradę tych, których kochała i którym wierzyła. Wiedziała jednak, że nawet gdyby wujek nie zamknął przed nią z oburzeniem drzwi swojego domu, emocje związane z tym spotkaniem byłyby szkodliwe dla Lucy. Lecz ulgą byłoby zobaczyć ją, choćby bez rozmowy, bo Madzie straszyl obraz twarzy okrutnej poprzez swoją łagodność, twarzy, która wychylała się ku niej z radosnym, słodkim spojrzeniem zaufania i miłości z mroków pamięci, lecz zmienionej teraz smutkiem i zniszczonej pierwszym ciosem w samo serce. I w miarę jak płynęły dni, ta blada twarz stawała się coraz bardziej wyrazista: mściwe wyrzuty sumienia uwydatniały ją i przydawały jej ostrości: łagodne orzechowe oczy z wyrazem cierpienia patrzyły na Madzie, przejmując ją tym spojrzeniem do głębi, tym bardziej, że nie dostrzegała w nich gniewu. Ale Lucy nie mogła jeszcze pójść do kościoła ani nigdzie, gdzie by ją Madzia mogła zobaczyć. Prysnęła nadzieja nawet na to, kiedy ciotka Glegg powiedziała, że za kilka dni Lucy jedzie do Scarborough⁷ razem z pannami Guest, które twierdziły, że liczą, iż przyłączy się tam do nich ich brat.

Tylko ci, którzy przeszli najcięższy konflikt wewnętrzny, mogą wiedzieć, co czuła Madzia, kiedy tak siedziała samotnie, usłyszawszy od pani Glegg tę wiadomość - tylko ci, co znają strach przed własnymi egoistycznymi pragnieniami, podobny do strachu czuwającej nad dzieckiem matki przed napojem nasennym, zdolnym uśmierzyć jej własny ból.

⁷ Scarborough - modne w XIX w. uzdrowisko nadmorskie w hrabstwie Yorkshire w półn. Anglii.

ROZDZIAŁ IV

597

Siedziała tak w zmroku, bez świecy, w oknie otwartym na rzekę. Męczący upał sprawiał, że kamień gniotący jej serce wydawał się jeszcze cięższy. Siedziała na krześle przy oknie, z ręką wspartą o framugę, i patrzyła niewidzącym wzrokiem na rzekę płynącą wartkim wstecznym prądem przypływu. Próbowwała jeszcze raz wyobrazić sobie słodką twarz, smutną, lecz bez wyrzutu; twarz ta od czasu do czasu jakby zatapiała się i ginęła za jakimś kształtem, który wciskał się między nie i stwarzał ciemność. Słyszac, jak się drzwi otwierają, przypuszczała, że to pani Jakin wchodzi jak zwykle z kolacją; nie chciała się odwrócić i powiedzieć, że nie zje, bo miała wstręt do pospolitych rozmów, jak zwykle człowiek słaby i nieszczęśliwy; mała, pocziwa pani Jakin na pewno zaprotestuje z najlepszego serca. Lecz w następnej chwili, nie słyszac nawet kroków, poczuła lekką dłoń na swoim ramieniu, a koło ucha głos, który powiedział: - Madziu!

Ta twarz była tutaj - zmieniona, lecz jeszcze słodsza; wyrzały orzechowe oczy, a w nich przesywająca serce czułość.

- Madziu! - powiedział łagodny głos.

- Lucy! - odpowiedział głos z ostrą nutą bólu. I Lucy zarzuciła ramiona na szyję Madzi i przytuliła błąd policzek do jej rozplamionej skroni.

- Wykradłam się - mówiła Lucy prawie szeptem, siadając przy Madzi i ujmując ją za rękę - kiedy nie było tatusia i nikogo. Przyszła ze mną Alicja. Prosiłam ją, żeby mi pomogła. Mogę zostać tylko chwilę, bo tak jest późno.

Łatwiej było powiedzieć na początku to niż cokolwiek innego. Siedziały, patrząc na siebie. Wydawało się, że to spotkanie skończy się milczeniem, tak trudno im było mówić. Obie bały się, że słowa przyniosą coś gorzkiego, co przypomni zło, które się stało. Lecz gdy Madzia tak patrzyła, wszystkie jej myśli poczęła zalewać fala serdecznej skruchy i słowa popłynęły ze łzami:

- Niech cię Bóg błogosławi za to, żeś przyszła, Lucy. Obie zaczęły szlochać.

KSIĘGA SIÓDMA

598

- Madziu, kochana, niechże cię pocieszę - mówiła Lucy, znów przytulając policzek do policzka Madzi. - Nie martw się tak strasznie. - I ucichła w nadziei, że ta czuła pieśczoła uspokoi Madzie.

- Nie chciałam cię oszukać, Lucy - zaczęła Madzia, gdy tylko odzyskała głos. - Tak się ciągle gryzłam, że czuję coś, o czym ci nie chcę powiedzieć ... ale to dlatego, że myślałam, że wszystko zwalczę i ty nigdy nie zauważysz nic, co mogłoby cię zranić.

- Wiem, kochanie - mówiła Lucy - wiem, że nigdy nie chciałaś mnie zasmucić ... to jest nieszczęście, które przyszło na nas wszystkich ... ty musisz znieść więcej niż ja ... i zostawiłaś go wtedy ... zrobiłaś coś, co musiało być bardzo trudne dla ciebie.

Zamilkły znowu, trzymając się za ręce, przytulone policzkami.

- Lucy - zaczęła Madzia - on też walczył. Chciał być ci wierny. Wróci do ciebie ... Przebaczone mu ... będzie wtedy szczęśliwy ...

Te słowa dobieła Madzia z dna własnej duszy z wysiłkiem, jak konwulsyjny chwyt tonącego. Lucy zadrżała i nie powiedziała ani słowa.

Do drzwi rozległo się ciche pukanie. Była to Alicja, pokojówka, która weszła teraz.

- Boję się zostać dłużej, panienko. Odkryją wszystko i będą się gniewać, że panienka tak późno wyszła.

- Dobrze, Alicjo, za chwilę - odpowiedziała Lucy i wstała.

- Wyjeżdżam w piątek, Madziu - dodała, gdy Alicja zamknęła za sobą drzwi. - Kiedy wrócę i będę silna, pozwolę mi robić, co zechcę. Wtedy będę tu przychodziła, kiedy mi się spodoba.

- Lucy - powiedziała Madzia z jeszcze jednym wielkim wysiłkiem - modlę się bez ustanku do Boga, bym już nigdy nie była powodem twego bólu.

Ucisnęła małą rączkę, którą trzymała w swych dłoniach, i spojrzała na pochyloną nad sobą twarz. Lucy nigdy nie zapomniała tego spojrzenia.

- Madziu - szepnęła głosem, w którym była uroczysta nuta spowiedzi - ty jesteś lepsza niż ja. Ja nie mogę ...

Urwała i nie powiedziała nic więcej. Ale objęły się jeszcze raz w ostatnim uścisku.

ROZDZIAŁ V

599

ROZDZIAŁ V

OSTATNI KONFLIKT

W drugim tygodniu września Madzia siedziała znowu w samotnym pokoju walcząc z dawnymi mrocznymi wrogami, którzy pobici, wciąż podnosili się z martwych. Było już po północy, a ulewny deszcz walił mocno w szyby gnany szalejącym, rozjęczanym wiatrem.

Następnego dnia po wizycie Lucy pogoda zmieniła się nagle: minął upał i posucha, a przyszły zimne, zmienne wiatry, na przemian z obfitymi deszczami. Nie pozwolono Lucy podjąć ryzyka zamierzonej podróży, póki pogoda się nie ustali. W górze rzeki deszcze padały nieustannie i nie można było dokończyć żniw. Ostatnio przez dwa dni deszcz padał bez przerwy tu w niższym biegu rzeki; starzy ludzie potrząsali głowami i opowiadali, jak to było sześćdziesiąt lat temu, kiedy przy podobnej pogodzie, gdzieś koło 22 września, przyszła taka powódź, że most został zerwany, a całe miasto dotknięte klęską. Lecz młodsze pokolenie, które widziało kilka niegroźnych powodzi, nie przejmowało się tymi ponurymi wspomnieniami i przepowiedniami. Bob Jakin, skłonny do optymizmu, śmiał się, gdy matka wyrzekała, że wzięli dom nad rzeką, i mówił, że inaczej nie mieliby przecież łódek, które w przypadku powodzi są najbardziej przydatnym sprzętem, bo trzeba daleko jeździć po jedzenie.

Lecz teraz wszyscy już spali - zarówno ci, pełni obaw, jak i tamci, beztroscy. Była nadzieja, że deszcz ustanie nad ranem. Młodzi widzieli w swym życiu groźniejsze sytuacje, gdy przychodziła nagle odwilż po opadach śnieżnych; w najgorszym wypadku brzegi zostaną przerwane bliżej ujścia rzeki, gdzie przyływ uderza z całą siłą, a wody spłyną nie wyrządzając większych szkód i tylko najbiedniejsi je odczują, a o nich zadba przecież dobroczynność publiczna.

Wszyscy byli już w łózkach, bo północ minęła: wszyscy, oprócz tych, co czuwali samotnie, jak Madzia. Siedziała w swojej małej bawialni wyglądającej na rzekę, przy jednej tylko świecy, która

45 BN 11/234 G. Eliot: Młyn nad Flossą

KSIĘGA SIÓDMA

600

wszystko wokół pozostawiała w mroku oprócz leżącego na stole listu. Ten list, przyniesiony dzisiaj, był jednym z powodów, dla których czuwała tak późno w nocy - nie zdając sobie sprawy z upływających godzin - nie dbając o sen i odpoczynek; w mózgu jej wyryty był jeden tylko obraz spoczynku - bardzo, bardzo dalekiego, z którego nie obudzi się już nigdy do ziemskiego, pełnego zmagania życia.

Na dwa dni przed otrzymaniem tego listu Madzia była na plebanii po raz ostatni. Ulewny deszcz i tak nie pozwoliłby jej chodzić do pracy, miała jednak inny powód. Pastor Kenn z początku słyszał tylko wzmianki o nowych plotkach i obmowach, których przedmiotem była Madzia, lecz ostatnio zdał sobie z nich wyraźnie sprawę, usłyszawszy od jednej ze swych owieczek poważny zarzut, jak to niedobrze, kiedy ktoś z uporem stara się przeciwstawić opinii większości parafian. Pastor mając w tej sprawie czyste sumienie chciał wytrwać mimo wszystko - z niechęcią myślał o ustępstwie wobec zapatrywań, które uważał za nikczemne i godne pogardy. Wreszcie się poddał, zważywszy, że pozycja jego była szczególnie odpowiedzialna i musiał w niej unikać nawet pozoru zła- pozoru, który zawsze zależy od przeciętnego poziomu otaczających nas ludzi. Kiedy umysły te są prymitywne i prostackie, wpływ owych "pozorów" rośnie wprost proporcjonalnie. A może grozi mu niebezpieczeństwo działania w uporze? Może obowiązkiem jego jest ustąpić? Ludzie sumienni widzą zawsze swój obowiązek w tym, co dla nich najbardziej przykre, a ustępstwo było zawsze przykre dla pastora. Uznał więc za konieczne poradzić Madzi, by na pewien czas wyjechała z St. Ogg's, a trudne to zadanie wykonał najdelikatniej, jak mógł, mówiąc ogólnikowo, że jego wysiłki, by jej pomóc, są źródłem nieporozumienia między nim a parafianami i mogą sprawić, że jako duchowny będzie mniej pożyteczny. Prosił, by mu pozwoliła napisać do przyjaciela, również duchownego, który może zechce ją przyjąć do swego domu jako guwernantkę, a jeśli nie, to z pewnością będzie wiedział o jakiejś pracy dla młodej osoby, której losami pastor Kenn bardzo się interesuje.

Biedna Madzia słuchała, a wargi jej drżały. Nie mogła wydobyć z siebie więcej, niż: "Dziękuję, bardzo będę wdzięczna" - i z nowym

ROZDZIAŁ V

601

poczuciem osamotnienia wracała w strugach deszczu do domu. Musi pozostać samotnym wędrowcem; musi wejść pomiędzy nowe twarze, które przyglądać się jej będą w zdumieniu, widząc, że dni nie przynoszą jej radości: trzeba zaczynać nowe życie, zmuszać się do przyjmowania nowych wrażeń - a ona jest tak niewymownie, tak straszliwie zmęczona. Nie ma domu, nie ma pomocy dla błędzącej: nawet ci, co się nad nią litują, zmuszeni są do surowości. Ale czy powinna narzekać? Czy powinna cofać się przed pokutą życia - przed jedyną możliwością, jaką ma, aby ująć ciężaru innym cierpiącym i zmienić nieszczęsną namiętność w nową siłę wyzbytej z egoizmu ludzkiej miłości? Przez cały następny dzień siedziała samotnie w pokoju. Chmury zaciemniały okno, a deszcz walił w szyby - Madzia myślała o tej przyszłości i walczyła o wytrwanie - boć przecież biedna Madzia nigdy nie mogła zdobyć dla siebie spokoju inaczej jak przez walkę.

Ale trzeciego dnia - tego dnia, w którym tak długo nie kładła się do łóżka - przyszedł list, który leżał teraz przed nią na stole.

List był od Stefana, który wrócił z Holandii i był znowu w Mud- port, choć nie wiedział o tym nikt z mieszkających tam jego znajomych. List przesłał do kogoś w St. Ogg's, komu ufał. Od początku do końca list ten był namiętym krzykiem wyrzutu - buntem przeciwko niepotrzebnej ofierze jego i jej samej, przeciwko temu wypaczonemu pojęciu dobra, które kazało jej zniszczyć wszystkie jego nadzieje wyłącznie w imię oderwanej idei, a nie dla jakiejś konkretnej przyczyny. Jego nadzieje - jego, którego przecież kocha i który kocha ją tą jedyną, przemożną miłością, równą ubóstwieniu, miłością, którą mężczyzna może dać kobiecie tylko raz w życiu!

"Pisali mi, że masz wyjść za Kenna. Jakbym mógł w to uwierzyć! Może i tobie opowiadali o mnie podobne bajki! Może ci mówili, że "podróżowałem"! Moje ciało było włóczęne gdzieś tam, aleja nigdy nie odszedłem z tego straszego miejsca, gdzie mnie zostawiłaś, gdzie się ocknąłem z odrętwienia bezradnego gniewu, by zobaczyć, że odeszłaś!

Madziu! Czyj ból równa się mojemu! Czyja krzywda podobna jest mojej? Któż oprócz mnie otrzymał kiedyś to długie spojrzenie miłości,

45

KSIĘGA SIÓDMA

602

które wypaliło się w mojej duszy tak, że żaden inny obraz nie może w niej zamieszkać! Madziu! Przywołaj mnie do siebie! Przywołaj mnie do życia i dobroci! I jedno, i drugie jest mi teraz niedostępne! Nie mam żadnych dążeń - wszystko mi zubożyło. Te dwa miesiące pogłębiły tylko przekonanie, że życie bez ciebie nie ma dla mnie wartości. Napisz mi jedno słowo- powiedz "wróć". W dwa dni będę przy tobie. Madziu, czyś zapomniała, co to znaczy być razem? Być na odległość spojrzenia - w zasięgu naszych głosów?"

Kiedy Madzia przeczytała ten list po raz pierwszy, czuła, że prawdziwe kuszenie teraz się dopiero zaczęło. Przy wejściu do chłodnej, ciemnej jaskini odwracamy się o.d światła ze świeżą odwagą, lecz jak postąpimy, gdy zaszedłszy daleko w wilgotne ciemności, słabi i zmęczeni, zobaczymy nagle nad sobą niespodziewane przejście, za którym zaprasza nas życiodajne światło dnia? Tak mocne jest naturalne pragnienie, by się uwolnić od męki, że łatwo zapominamy o innych, odległych celach - dopóki się nie wyzwolimy z bólu.

Przez długie godziny wydawało się Madzi, że daremna jej walka. Przez długie godziny obraz Stefana czekającego na jedno słowo, które go do niej przywoła, przesłaniał jej wszystkie inne myśli, jakie usiłowała skrzyknąć na pomoc. Nie czytała tego listu, słyszała, jak mówi go

Stefan, a głos jego wstrząsnął nią z dawną, dziwną mocą. Cały poprzedni dzień myślała o samotnej przyszłości, o tym, jak będzie musiała dźwigać swój ciężar za winy, podtrzymywana jedynie niezachwianą wiarą. A tutaj - tuż - wystarczy ręką sięgnąć - narzuca się żądanie wyboru innej przyszłości, w której gorzka wytrwałość i wysiłek mogą być zastąpione rozkosznym zdaniem się na siłę czyjegoś kochania. Lecz nie obietnica radości w miejscu smutku była najgroźniejszą dla Madzi pokusą. Były nią słowa męża Stefana, zwątpienie w słuszność własnej decyzji - to wszystko wstrząsnęło jej postanowieniem i sprawiło, że zerwała się raz z krzesła, by sięgnąć po pióro i napisać "wróc".

Lecz opanowała się natychmiast: poczucie, że przeciwstawia się samej sobie, jaką była w momencie siły i jasnego widzenia słusznej

ROZDZIAŁ V

603

drogi, wzbudziło w niej świadomość własnowolnego nikczemnienia. Nie- musi czekać. Musi się modlić. Światło, które ją opuściło, wróci. Znowu będzie czuła to, co czuła wtedy, kiedy uciekała ponaglana czymś mocniejszym niż śmiertelne cierpienie, mocniejszym niż miłość. Będzie czuła znowu to, co wówczas, kiedy stała koło niej Lucy, kiedy list Filipa obudził w niej wszystkie więzy z cichą przeszłością.

Siedziała bardzo spokojnie głęboko w noc: nie miała najmniejszej ochoty zmienić pozycji; brakło jej nawet siły na prostą czynność, jaką jest pacierz. Czekala tylko na światło, które wróci na pewno. Przyszło razem ze wspomnieniami, których żadna namiętność nie może stłumić na długo: wróciła pamięć przeszłości, a wraz z nią źródło współczucia pełnego samowyrzeczenia, źródło uczucia, wierności i siły. Słowa zaznaczone spokojną ręką w małej, starej książeczce, słowa, których się dawno nauczyła na pamięć, wypłynęły na jej usta w cichym szepcie, zagłuszonym głośnymi uderzeniami deszczu w szyby okienne, jękami i rykiem wichru. "Przyjąłem, przyjąłem krzyż z Twej ręki; będę go dźwigał i dźwigał aż do śmierci, tak jakeś go na mnie włożył"8.

Lecz po chwili przyszły i inne słowa, które tylko w szlochu mogły z ust wypłynąć: "Przebacz mi, Stefanie! ... To minie! Wrócisz do niej". Ujęła list i przytrzymała go nad świecą, a potem dała mu się dopalić w kominku. Jutro napisze do Stefana ostatnie słowa pożegnania.

"Będę go dźwigał i dźwigał aż do śmierci ... "

Ale jak długo jeszcze trzeba będzie czekać na tę śmierć? Taka jestem młoda, taka zdrowa. Skąd znajdę siły i wytrwałość? Czyż mam walczyć, upadać i żałować znowu? Czy życie szykuje mi jeszcze inne próby, równie ciężkie?

Z okrzykiem rozpaczony Madzia upadła na kolana przy stole i zakryła wykrzywioną cierpieniem twarz. Dusza jej wybiegła ku Niewidzialnemu Miłosierdziu, które jej nie opuści aż do śmierci. Z pewnością ta świadomość wielkiej potrzeby niesie jej jakąś naukę. Może pojmie tajemnicę ludzkiej wrażliwości i długotrwałych cierpień,

8 w małej starej książeczce - w O naśladowaniu Jezusa Chrystusa.

KSIĘGA SIÓDMA

604

których nie mogą znać ci, co mniej błędzili. "O, Boże! jeśli życie moje ma być długie, pozwól mi żyć tak, bym była dla innych błogosławieństwem i pocieszeniem!"

W tej chwili Madzi wydało się nagle, że pod kolanami i stopami czuje coś zimnego. Na podłodze była woda. Porwała się na nogi: strumień wody wypływał spod drzwi prowadzących na korytarz. Ani przez chwilę nie czuła zdziwienia - wiedziała, że to powódź.

Huragan wrażeń, jakie przeżyła przez ostatnie dwanaście godzin, zostawił w niej teraz wielki spokój. Nie krzyknawszy nawet pobiegła ze świecą na górę do sypialni Boba Jakina. Drzwi były otwarte - weszła i potrząsnęła go za ramię.

- Bob, powódź! Woda wpływa już do domu. Chodźmy zobaczyć, czy da się zabezpieczyć łodzie.

Zapaliła mu świecę, i gdy żona Boba porwawszy dziecko w ramiona zaczęła krzyczeć, Madzia pobiegła na dół sprawdzić, jak szybko woda się podnosi. Z klatki schodowej prowadził jeden stopień w dół do pokoju i Madzia zobaczyła, że woda zalewa już ten stopień. Kiedy tak patrzała, coś runęło ze strasznym trzaskiem na okna, wypychając do wnętrza oprawne w ołów szybki i starą drewnianą ramę okienną, rozbitą w drzazgi - za tym czymś do wnętrza lunęła woda.

- To łódź! - krzyknęła Madzia. - Bob, schodź na dół! - I bez najmniejszego lęku ruszyła przez wodę, która s bko podnosiła się aż do jej kolan; w migotliwym świetle postawioi na schodach świecy weszła na parapet okienny i wpełzła do łodzi, Która dziobem tkwiła w oknie. Bob zbiegł natychmiast, bez butów i skarpetek, ale z latarnią w ręku.

- No, są obydwie ... obydwie łodzie - mówił Bob włączając do tej, w której siedziała Madzia. - Wiązania cudem się nie urwały i cumy też.

Pochłonięty przełazaniem do drugiej łodzi, odwiązywaniem jej i chwytniem wiosł, Bob nie zorientował się, w jakim niebezpieczeństwie znalazła się Madzia. Nie zwykliśmy się lękać o nieuleknionych, którzy nam towarzyszą w trudnych chwilach, Bob zaś był przede wszystkim pochłonięty myślą, jak zabezpieczyć tych bezradnych,

ROZDZIAŁ V

605

których pozostawił wewnątrz. Fakt, że Madzia nie spała, obudziła go i pierwsza zabrała się do działania, wywołał w umyśle Boba mgliste wrażenie, że to ona mu będzie pomagała chronić innych, a sama nie potrzebuje być chroniona. Madzia schwyciła wreszcie wiosło i odepchnęła się, chcąc wyswobodzić łódź z wbitej na nią ramy okiennej.

- Woda się szybko podnosi - mówił Bob. - Niedługo dojdzie do górnych pokoi - dom stoi tak nisko. Bardziej mi się widzi wziąć Prissy, matkę i dziecko do łodzi, jeśli dam radę, i wypłynąć na wodę

- ten stary dom nie jest bezpieczny. A jeśli puszcze łódź ... ale panienka! - krzyknął oświetlając nagle latarką Madzie, która stała w deszczu z wiosłem w ręku, a czarne jej włosy spływały na plecy.

Madzia nie miała czasu na odpowiedź, bo nowa fala przyływu przeleciała wzdłuż linii domów i wypchnęła obie łodzie na szersze wody z siłą, która wyniosła je daleko poza przeciwny jej prąd rzeki.

W pierwszej chwili Madzia nie myślała o niczym, nie czuła nic

- wydawało jej się, że nagle odeszła od życia, którego tak się bała: przeżyła śmierć, lecz bez śmiertelnej agonii - i oto znalazła się sama w ciemnościach z Bogiem.

Wszystko to było tak nagłe, takie do snu podobne, że zerwały się nici normalnych skojarzeń; Madzia opadła na ławkę trzymając mechanicznie wiosło i przez dłuższą chwilę nie zdawała sobie sprawy, gdzie się znajduje. Pierwsze, co przywróciło jej świadomość, to to, że deszcz ustał. Zauważyła też, że ciemności przedziela słabiutkie światło, oddzielające ponurą czerń na górze od bezmiaru wód w dole. Płynęła na fali powodzi - tego strasznego dopustu bożego, o którym zwykł opowiadać ojciec - żywiołu, który był senną zmorą jej dziecinnych snów. Ta myśl przywiodła jej przed oczy obraz starego domu

- i Tomka, i matki - zawsze słuchali razem tych opowiadań.

- O, Boże, gdzie jestem? Którędy droga do domu? - krzyknęła w mgliste pustkowie.

Co się dzieje z nimi we młynie? Przecież powódź kiedyś niemal zburzyła młyn. Mogą być w niebezpieczeństwie, w nieszczęściu! Matka i brat - samotni, bez pomocy! Duszę jej wypełniała teraz tylko ta

606

KSIĘGA SIÓDMA

jedyna myśl. Madzia widziała, jak te ukochane twarze wyglądają pomocy w ciemnościach i nie znajdują nikogo.

Płynęła już po spokojnej wodzie, pewno po zalanych polach. Nie miała poczucia zagrożającego jej w tej chwili niebezpieczeństwa, które mogłoby zawrócić tę myśl biegnącą do dawnego domu. Oczy jej wpatrywały się z wysiłkiem w mroczną zasłonę, chcąc coś zobaczyć - choćby najmniejszy znak, wskazujący miejsce, o które tak bardzo była niespokojna.

Och, jak to dobrze, że rozszerza się horyzont złowieszczych wód, że powoli podnosi się pułap chmur, powoli zarysowuje się czerń przedmiotów nad lustrzaną ciemnością. Tak, musi być gdzieś na polach, tam widać czubki drzew przerastających żywopłot. W której stronie jest koryto rzeki? Patrząc za siebie widziała linię czarnych drzew - przed sobą nie widziała nic. A więc rzeka jest przed nią. Chwyciła wiosło i zaczęła wiosłować z całą energią budzącej się nadziei. Zdawało jej się, że świt nadchodzi coraz szybciej teraz, kiedy zaczęła coś robić. Zobaczyła biedne, nieme zwierzęta stłoczone żałością na wzgórzu, gdzie szukały schronienia. W coraz to jaśniejszym świetle ranka próbowała na zmianę to wiosłować, to płynąć na pych - oblepiała ją mokra suknia, wiatr plątał jej rozpuszczone włosy, lecz nie odczuwała żadnych wrażeń fizycznych - nic, prócz poczucia siły, płynącej z ogromnego przejęcia. Razem z myślą o niebezpieczeństwie i możliwości ratunku dla tych najdroższych istot tam, w starym jej domu, łączyły się niesprecyzowane myśli o pojednaniu z bratem, jakaż bowiem kłótnia, jaka surowość, jaka niewiara może się ostać w obliczu tak strasznej klęski, kiedy spadają wszelkie sztuczne maski i zasłony, a wszystkich nas zrównują pierwotne, ludzkie potrzeby. Madzia czuła to mgliście - ogarniała ją znowu powracająca fala miłości do brata, która zmyła ostatnie wrażenie ciężkiej, okrutnej urazy i nieporozumień, zostawiając tylko głębokie, niewzruszone, najważniejsze wspomnienia dawnej jedności.

Lecz wtem Madzia dostrzegła w odległości jakąś ciemną masę, a tuż obok zobaczyła nurt rzeki. Ta ciemna masa to musi być ... tak, to jest St. Ogg's. Ach, teraz już wiadomo, w którą stronę patrzeć, by

ROZDZIAŁ V

607

dojrzeć zarysy tak dobrze znanych drzew ... szarych wierzb, żółknących teraz kasztanów ... i starego dachu nad nimi! Ale nie mogła jeszcze rozróżnić ani kolorów, ani kształtów; wszystko rysowało się niewyraźnie, za mgłą. Coraz więcej czuła w sobie energii, pragnącej wyładować się w wysiłku, jakby całe jej życie było zmagazynowaną siłą, która musi zostać zużyta w tej właśnie godzinie, bo nie będzie już potrzebna w przyszłości.

Musi wprowadzić łódź w nurt Flossy, bo inaczej nie zdoła minąć Ripple i zbliżyć się do młyna - ta myśl przyszła jej do głowy, kiedy zaczęła sobie wyobrażać, jak wygląda teraz wszystko wokół starego domu. Ale oczywiście może ją wtedy znieść daleko w dół rzeki, a ona nie zdoła wydostać się z nurtu. Po raz pierwszy zaczęło się w niej budzić wyraźne poczucie niebezpieczeństwa, lecz nie było wyboru, nie było czasu na wahania i Madzia skierowała łódź w nurt rzeki. Płynęła teraz szybko, bez wysiłku. Odległość się zmniejszała, wokół rozjaśniało się coraz bardziej i Madzia wyraźniej widziała coś, co zapewne było drzewami i dachami - tak, znajdowała się już niedaleko rwącego, mętnego prądu; to zapewne zmieniona dziwnie Ripple.

Wielki Boże! Zbita, płynąca masa może przecieżyć, mijając, uderzyć w jej łódź i sprawić, że zginie za wcześnie. Cóż to jest?

Po raz pierwszy serce Madzi zaczęło trzepotać w skurczu strachu. Siedziała bezradnie, nie zdając sobie sprawy, że ją woda znosi, w napięciu oczekując uderzenia. Lecz przerażenie było chwilowe, niebezpieczeństwo minęło przed zbliżającymi się magazynami St. Ogg's. Wobec tego musiała minąć ujście Ripple. Teraz trzeba skupić wszystkie umiejętności i siły, opanować łódź i, jeśli to możliwe, wydostać się z prądu. Widziała, że most jest zwalony - w dali, na zalanych wodą polach, sterczały maszty statku osiadłego na mieliźnie. Lecz nie było

ani jednej łodzi na rzece - wszystkie, których powódź nie zniosła, pływały teraz na zalanych ulicach.

Podjąwszy decyzję, Madzia chwyciła wiosło i stanęła w łodzi, próbując płynąć na pych. Lecz nowa fala odpływu przyspieszyła bieg rzeki i łódź zniosło aż za most. Madzia słyszała krzyki z okien wychodzących na rzekę, wołali ją jacyś ludzie. Dopiero kiedy dopłyne-

KSIĘGA SIÓDMA

608

ła prawie do Tofton, udało jej się wyrwać łódź z prądu. Wtedy rzuciwszy jedno tęskne spojrzenie na dom wuja Deane, który leżał dalej, w dole rzeki, zaczęła energicznie wiosłować poprzez zalane pola z powrotem do młyna. Zaczynały się teraz budzić kolory, a kiedy zbliżyła się do pól Dorlcote, rozróżniła barwy drzew - daleko na prawo widziała stare szkockie jodły i domowe kasztany - och, jak głęboko stały w wodzie, głębiej niż drzewa po tej stronie wzgórza. A dach młyna? Gdzież jest dach? Te ciężkie szczątki, gnające w dół Rinnie róż to było! Ale to nie dom - dom stoi mocno, zatopiony do pierwszego piętra, lecz jeszcze cały, a może zawalony od strony młyna? Rozpierzana radością, że dotarła tu wreszcie - radością, która przesłaniała poczucie nieszczęścia - Madzia podpłynęła do domu od frontu. Z początku nie słyszała najmniejszego dźwięku, nie zauważyła żadnego ruchu. Znajdowała się na wysokości okien pierwszego piętra. Zawołała donośnym, rozdzierającym głosem:

- Tomku, gdzie jesteś! Mamo, gdzie jesteś! Tu Madzia!

I zaraz, ze środkowego okna na poddaszu, rozległ się głos Tomka:

- Kto tam?! Czy macie łódź?!

- To ja, Tomku, Madzia! Gdzie jest mama?!

- Nie ma jej, pojechała przedwczoraj do Garum. Zejdę do niższego okna ... Sama, Madziu? - zapytał Tomek tonem głębokiego zdumienia, otwierając środkowe okno na tym samym poziomie co łódź.

- Tak, Tomku. Bóg się mną opiekował, żebym mogła dopłynąć do ciebie. Wsiadaj szybko. Nie ma więcej nikogo?

- Nie - odparł Tomek wsiadając do łodzi. - Boję się, że parobek utonął ... musiało go znieść w dół Ripple, kiedy runęła część młyna; zwały się kamienie i belki. Wołałem i wołałem, ale nie było odpowiedzi. Daj mi wiosła, Madziu.

Dopiero gdy Tomek wypchnął łódź na szerokie wody i znalazł się twarzą w twarz z Madzia - dopiero wtedy zrozumiał w pełni, co się stało. Przyszło to na niego z tak przemożną siłą, było tak niespodzianym objawieniem głębin leżących poza jego możliwościami poznania, o których bystrości i jasności był święcie przekonany - że

ROZDZIAŁ V

609

nie jpotrafił zadać ani jednego pytania. Siedzieli w milczeniu patrząc na siebie: z Madzinej zmęczonej, udrećzonej twarzy spoglądały oczy pełne intensywnego życia - Tomek był błąd od grozy i upokorzenia. Umysł pracował gorączkowo, lecz choć usta milczały i Tomek nie mógł pytać, odgadnął historię cudownego, z boską pomocą dokonanego dzieła. Wreszcie mgła przesłoniła szaroniebieskie oczy i wargi znalazły słowo, które zdolne były wymówić stare, dziecinne:

- Madzinku!

Madzia odpowiedziała tylko długim, głębokim szlochem tajemniczego zadziwiającego szczęścia, które jest jedno z bólem.

- Pojedziemy do Lucy, Tomku - odezwała się, gdy mogła wreszcie mówić. - Sprawdzimy, czy jest bezpieczna, a potem pomożemy innym.

Tomek wiosłował z nieustającą energią i o wiele większą szybkością niż biedna Madzia.

Wkrótce łódź znalazła się znowu w nurcie rzeki - niedługo będą w Tofton.

- Park House stoi wysoko nad poziomem wody - powiedziała Madzia. - Może zabrali tam Lucy?

Więcej już nic nie mówili. Rzeka niosła ku nim nowe niebezpieczeństwa. Wielkie, drewniane urządzenia oderwały się od przystani, a ogromne ich części płynęły z nurtem rzeki. Słońce wstawało i szeroka pustka wody rozpościerała się wokół nich straszliwie wyraźnie.

Straszliwie wyraźnie widać też było pędzące ku nim groźne masy drzewa. Duża grupa ludzi, wiosłujących ciężko pod domami Tofton, spostrzegła niebezpieczeństwo i krzyczała:

- Wydostańcie się z prądu!

Lecz na to trzeba było czasu, a Tomek patrząc przez siebie widział pędzącą ku nim śmierć.

Wielkie części drzew, zbite w zgubnym splocie, waliły w dół całą szerokością nurtu.

- Idzie już, Madziu - powiedział Tomek głębokim, ochrypłym głosem, rzucając wiosła i chwytając ją w ramiona.

W następnej chwili łódź zniknęła z powierzchni - a ogromne masy drzewa pędziły dalej w straszliwym triumfie.

610

KSIĘGA SIÓDMA

Lecz wkrótce wynurzył się kil łodzi - czarna cętka na złotej wodzie. J

Łódź wynurzyła się, lecz brat i siostra poszli na dno w uścisku Który nie miał się nigdy rozłączyć, przeżywając w jednym szczytowym momencie dni, kiedy z miłością splatali swe małe dłonie i razem biegali po łąkach, pełnych stokroci.

ZAKOŃCZENIE

Natura naprawia poczynione przez siebie spustoszenia - naprawia je słońcem i ludzkim trudem. W pięć lat później niełatwo było znaleźć na powierzchni ziemi ślady zniszczeń spowodowanych powo- dzia. Piąta jesień przyniosła bogate stogi zbóż, które wynurzały się gęsto znad dalekich żywopłotów. Składy i nabrzeża. Flossy znów kipiały życiem, rozbrzmiewały wesołymi głosami, a wyładunki i załadunki zapowiadały się jak najlepiej. I wszyscy mężczyźni i kobiety, o których była mowa w tej opowieści, żyli jeszcze - oprócz tych, których koniec znamy.

Natura naprawia poczynione przez siebie spustoszenia - lecz nie wszystkie. Wyrwane z korzeniami drzewa nie wrastają z powrotem w ziemię - rozdarte pagórki nie łączą się nigdy. Jeśli coś na nich wyrasta, to już nie te same drzewa, co poprzednio, a pagórki pod zielonym płaszczem noszą ślady dawnego rozdarcia. Dla oczu, które znały przeszłość, naprawa nie może być pełna.

Młyn Dorlcote został odbudowany. A cmentarz Dorlcote - gdzie po powodzi znaleziono na murowanym grobie znanego nam ojca obalony kamień nagrobny - przywrócony został do dawnego porządku i należnego spokoju wśród traw.

Koło murowanego grobu wzniesiono inny zaraz po powodzi, dla dwóch ciał, znalezionych w mocnym uścisku. Przychodzili tu w różnych chwilach dwaj mężczyźni, których najgłębsza radość i najgłębszy ból w tym właśnie grobie spoczywał.

Jeden z nich odwiedził grób później ze słodką twarzą u boku - lecz to było dopiero po latach.

Drugi zawsze przychodził samotnie. Wiernymi jego towarzyszami

ZAKOŃCZENIE

612

były drzewa w Czerwonej Dolinie, nad którymi dotąd unosiła się jego pogrzebana radość - niby nawiedzający to miejsce duch.

Na grobowcu wyryto imiona Tomka i Madzi Tulliver, a pod nimi słowa:

"I w śmierci swojej nie są rozłączeni"1.

Zakończenie jest często krytykowane za zawarte w nim niedopowiedzenia: nie wiadomo np., z czyjej inicjatywy wyryto na grobie werset z II Księgi Samuela (123), który w całości brzmi: "Saul i Jonatan, kochający się przyjaciele za życia i w śmierci nie są rozdzieleni" (cyt. wg Biblii Tysiąclecia, Poznań 1965)- Wątpliwości nasuwa też zastosowanie wersetu do sytuacji siostry i brata, bardzo często rozdzielanych za życia niemożnością wzajemnego zrozumienia.

SPIS TREŚCI

WSTĘP. Napisała Alina Szala	III
I. Życie i czasy George Eliot	III
Droga do wiedzy	IV
W kręgu intelektualistów	VI
Kim jest George Eliot?	X
Lata sławy	XII
Koniec drogi	XIII
II. Twórczość George Eliot	XIV
Powieść wczesnowiktorianańska	XXI
Komercjalizacja powieści	XXIII
Realizm, ale jaki?	XXVII
George Eliot a religia	XXXII
Echa romantyzmu	XXXVI
III. Młyn nad Flossą	XXXIX
Nowe elementy	XL
Siostra i brat	XLIV
Portret angielskiego drobnomieszczaństwa	XLVIII
Podziały mieszczańskiego świata	LV
Dziedzictwo przeszłości . . '	LXIII
Rzeka	LXIX
Komentarz a świat powieści	LXXII
Niedostatki kompozycyjne	LXXVIII
Recepcja twórczości George Eliot	LXXXII
Młyn nad Flossą	LXXXII
Sądy współczesnych i potomnych	LXXXIII
Europejska recepcja powieści George Eliot	XCII

SPIS TREŚCI

614

Twórczość George Eliot w Polsce	XCIX
Nota wydawnicza	CIII
BIBLIOGRAFIA. (Wybór)	CIV
Młyn nad Flossą	
Księga pierwsza. Chłopiec i Dziewczynka	3
Rozdział I. Pod młynem Dorlcote	5
Rozdział II. Pan Tulliver z młyna Dorlcote oznajmia, jaką powziął decyzję w sprawie Tomka	8
Rozdział III. Pan Riley udziela rady w sprawie szkoły dla Tomka.	15
Rozdział IV. Oczekiwanie na Tomka	31
Rozdział V. Tomek wraca do domu	37
Rozdział VI. Przyjeżdżają wujostwo	49
Rozdział VII. Wkraczają wujostwo	61
Rozdział VIII. Pan Tulliver ukazuje piętę achillesową ...	86
Rozdział IX. Wyjazd do Garum Firs	97
Rozdział X. Madzia zachowuje się gorzej, niż przewidywała	113

Rozdział XI. Madzia stara się uciec przed własnym cieniem . .	120
Rozdział XII. Państwo Glegg u siebie	132
Rozdział XIII. Pan Tulliver jeszcze bardziej wikła motek życia .	148
Księga druga. Czasy Szkolne	153
Rozdział I. Pierwsze półrocze Tomka	155
Rozdział II. Święta Bożego Narodzenia	179
Rozdział III. Nowy kolega	188
Rozdział IV. Kiełkująca myśl	196
Rozdział V. Druga wizyta Madzi	210
Rozdział VI. Scena miłosna	215
Rozdział VII. Przejście Złotych Wrót	220
Księga trzecia. Upadek	229
Rozdział I. Co się stało w domu	231
Rozdział II. Bożyszczka pani Tulliver, czyli bóstwa domowe . .	238
Rozdział III. Rada rodzinna	243
Rozdział IV. Niknący promień	260
SPIS TREŚCI	
615	
Rozdział V. Tomek zabiera się do dzieła	265
Rozdział VI. Który stara się zwalczyć powszechny przesąd, jakoby scyzoryk był niewłaściwym prezentem . . .	278
Rozdział VII. Jak kura chwyta się podstępów	286
Rozdział VIII. Świt na ruinach	300
Rozdział IX. Nowa pozycja w rejestrze rodzinnym	309
Księga czwarta. Dolina Upokorzenia	317
Rozdział I. Odmiana protestantyzmu nie znana Bossuetowi . .	319
Rozdział II. Ciernie kłują poszarpane gniazdo	325
Rozdział III. Głos z przeszłości	331
Księga piąta. Ziarna i Plewy	349
Rozdział I. Czerwona Dolina	351
Rozdział II. Ciocia Glegg poznaje szerokość kciuka Boba . .	364
Rozdział III. Szale się ważą	384
Rozdział IV. Druga scena miłosna	392
Rozdział V. Rozszczepione drzewo	399
Rozdział VI. Ciężko zapracowany triumf	412
Rozdział VII. Dzień obrachunku	417
Księga szósta. Wielkie Kuszenie	425
Rozdział I. Duet w raju	427
Rozdział II. Pierwsze wrażenia	437
Rozdział III. Zwierzenia	454
Rozdział IV. Brat i siostra	459
Rozdział V. W którym okazuje się, że Tomek dokonał dzieła	467
Rozdział VI. Ilustrujący prawo przyciągania	472
Rozdział VII. Filip powraca	483
Rozdział VIII. Wakem w nowym świetle	498
Rozdział IX. Dobroczynność w pełnej gali	506
Rozdział X. Wydaje się, że zakłęcie przyszło	517
Rozdział XI. Na ścieżce	524
Rozdział XII. Przyjęcie rodzinne	531
Rozdział XIII. Porwani nurtem	538

Rozdział XIV. Przebudzenie	553
Księga siódma. Ocalenie	565
46 BN 11/234 G. Eliot: Młyn nad Flossą	
SPIS TREŚCI	
616	
Rozdział I. Powrót do młyna	567
Rozdział II. St. Ogg's wydaje wyrok	575
Rozdział III. Który dowodzi, że starzy znajomi potrafią nas jednak zadziwić	585
Rozdział IV. Madzia i Lucy	592
Rozdział V. Ostatni konflikt	599
Zakończenie	611